

# **ORIANA FALLACI**

## **WYWIAD Z HISTORIA**

*Z włoskiego przełożyły*

*Agnieszka Czepnik*

*Anna Osmólska-Mętrak*

*Joanna Ugniewska*

Sfery

## SPIS TREŚCI

Przedmowa .....	4
WYWIAD Z HISTORIAŁ .....	11
Wstęp.....	12
Henry Kissinger.....	17
Nguyen Van Thieu .....	40
Generał Giap.....	66
Norodom Sihanouk.....	78
Golda Meir.....	104
Jasir Arafat.....	135
George Habbasz.....	150
Husajn, król Jordanii .....	165
Indira Gandhi.....	175
Ali Bhutto .....	201
Sirimavo Bandaranaike .....	225
Pietro Nenni.....	241
Giovanni Leone .....	263
Giulio Andreotti.....	288
Giorgio Amendola.....	312
Willy Brandt .....	340
Hajle Syllasje.....	362
Mohammad Reza Pahlawi.....	382
Ahmed Zaki Yamani .....	404
William Colby .....	427
Otis Pike .....	451
Mário Soares.....	470
Drugi wywiad z Mário Soaresem .....	486
Álvaro Cunhal .....	504
Santiago Carrillo.....	520
Helder Camara.....	541
Arcybiskup Makarios .....	560

Aleksandros Panagulis.....	581
SUPLEMENT.....	619
Nota od wydawcy .....	620
Noty biograficzne .....	622

# Przedmowa

„Ach, gdyby tak ktoś przeprowadził wywiad z Jezusem Chrystusem, żeby zatrzymać jego głos, myśli, słowa! Ach, gdyby tak ktoś porozmawiał przed kamerą z Napoleonem!”

Ambicji jej nie brakowało: tym „kimś” oczywiście chciałyby być ona sama, Oriana Fallaci. Niewielu z jej współczesnych zdołało się obronić przed jej nieugiętą ciekawością, przed tymi przesłuchaniami, które mogły niespodziewanie zamienić się w mowę prokuratorską albo obrończą, w akt oskarżenia. Tego, czego nie da się zrobić z bohaterami dawnych epok, ona dokonała z najważniejszymi ludźmi drugiej połowy XX wieku. Podarowała nam niezapomnianą galerię postaci swoich czasów: polityków rządowych i opozycyjnych, demokratycznych liderów i dyktatorów, humanitarnych pacyfistów i bojowników, przywódców duchowych, ideologów, ludzi czynu. W tym zbiorze wywiadów historia światowa staje się ludzka, konkretna, ożywiana przez osoby z krwi i kości, obnażone w swoich prywatnych historiach, cierpieniach i marzeniach, ze wszystkimi przywarami i słabościami, czasem objawiające irytującą przeciętność. Niewielu mocarzy tego świata ośmieliło się odeprzeć jej obłąkanie, jej natarczywe pytania. Albowiem Fallaci, reżyserka i autorka tych wywiadów, miała już międzynarodowy prestiż i autorytet. Była uznawana za jednego z największych reporterów swoich czasów, wysyłano ją na wszystkie kontynenty, była naocznym świadkiem krwawych konfliktów, wojen domowych, zamachów stanu. Jej pytania do przywódców nie były „chłodne”, nie pochodziły z abstrakcyjnego notatnika problemów, ale rodziły się często z jej osobistych wspomnień wysłanniczki na front. Siedząc naprzeciw premiera albo generała jakiejś nuklearnej potęgi, amerykańskiego sekretarza stanu czy też wojskowego dyktatora któregoś z krajów trzeciego świata, uzbrojona wyłącznie w dziennikarski notes, identyfikowała się z ofiarami bombardowań, z gnębionymi ludami, z więzionymi opozycjonistami, z torturowanymi i zabijanymi dysydentami. Za pośrednictwem jej pytań cała ludzkość rozlicza moźnych tego świata.

Ważne, aby odczytywać te wywiady w kontekście ich powstania, w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, w epoce już bardzo odległej ze względu na zasady komunikowania się, styl i dziennikarski obyczaj. Był to czas, kiedy wielu polityków uważało zachowywanie rezerwy wobec mass mediów za obowiązek związany z pełnioną przez siebie funkcją; kultywowali oni dyskrecję jako formę samoobrony, przestrzegali zasady

powściągliwości jako gwarancji swojego wizerunku. Trzydzieści lat później wywiad stał się gatunkiem pozornie łatwym, nadużywanym, na pewno zdewaluowanym. Wielu polityków zamieniło się w kuglarzy, którzy wloką swoją twarz z jednego talk-show do drugiego, spędzają większość czasu na publicznych zwierzeniach, wykonując coś na kształt nieustannego bezwstydnego i nużącego wirtualnego striptizu. Nie działało się tak w czasach, w których powstawały te „wywiady z historią”. Dla dziennikarki każde spotkanie było wówczas osiągnięciem, zdobytą fortecą, dziennikarską sensacją, kopalnią informacji niedostępnych w żaden inny sposób. Fallaci przygotowywała się do tych rozmów jak do pojedynków. Podchodziła swoją zdobycz, używając każdego rodzaju broni: od kobiecego uwodzicielstwa po współnictwo, od prowokacji po szyderstwo. Była rozmówczynią wymagającą, nieokazującą szacunku, zbuntowaną. W razie potrzeby potrafiła się odwołać do osobistych niechęci, zawiści, urazów i pragnienia odwetu u osób udzielających wywiadu, ustawiając symbolicznie jednych przeciwko drugim. Jej równoległe rozmowy z Henrym Kissingerem i z generałem Giapem, dwoma przeciwnikami w wojnie wietnamskiej, albo z Goldą Meir i Arafatem, Indirą Gandhi i Bhutto są przykładami sytuacji, w których reporterka gra na zestawianiu oskarżeń, doprowadzając do swoistej konfrontacji na odległość między wielkimi rywalami.

W wywiadach tych, w opowiadanych przez nie historiach, odnajdujemy korzenie naszej współczesnej historii, rodowód wciąż otwartych konfliktów, strategiczne błędy, za które płaci się jeszcze dzisiaj. Lektura tych stronicy płata dziwne optyczne figle, jakbyśmy przechodzili przez starą galerię krzywych zwierciadeł. Niektóre z rozmów wydają się nam bardzo bliskie, tak aktualne są bowiem poruszane w nich tematy: na przykład wywiad z szejkiem Yamanim, saudyjskim ministrem do spraw ropy naftowej, przeprowadzony wkrótce po pierwszym kryzysie energetycznym, który doprowadził do podniesienia cen ropy o 130 procent (październik 1973 roku). Inne epizody zdają się bardzo odległe, a jednak bogate w znaczenia, jak gest niemieckiego kanclerza Willy’ego Brandta, klęczącego w Warszawie przed pomnikiem upamiętniającym powstanie w getcie, i słowa, którymi on, przeciwnik Hitlera, tłumaczy swoje zachowanie: „Nie rzuciłem się na kolana po to, żeby wyznać jakąś winę, ale dlatego, że chciałem utożsamić się z moim narodem. To znaczy z narodem, z którego wyszli ludzie odpowiedzialni za dokonanie tych potworności. Ten gest nie był skierowany tylko do Polaków. Był skierowany także do Niemców. Trzeba wspólnie dźwigać to brzemień”. Są to słowa dziś zapomniane, w epoce, w której tyłu przywódców wielkich lub średnich mocarstw – od Ameryki po Chiny, od Rosji po świat islamski

– zdaje się uodpornionych na wszelkie poczucie winy, reaguje alergicznie na propozycje autokrytyki, cierpi na niebezpieczną historyczną amnezję. Fallaci utożsamia się z uniwersalnymi wartościami, które zrodziły się na Zachodzie – z liberalną demokracją, z prawami człowieka, z wolnością informacji – i właśnie dlatego nie dopuszcza niespójności, nie okazuje pobłażania, kiedy przyłapuje Zachód na rażącym łamaniu tych zasad. W rozmowie z szefem CIA oskarża Amerykę o wspieranie „w imię wolności wszystkich tych, którzy wolność zabijają”, poczynając od generała Franco w Hiszpanii, po chilijskiego organizatora zamachu stanu Pinocheta oraz faszystowskich dyktatorów w Ameryce Łacińskiej czy w Azji. Przejmuje ją wstręt oraz oburzenie w obliczu *Realpolitik* sekretarza stanu Kissingera, który wciąż posyła młodych Amerykanów na śmierć (a także po to, by zabijali Wietnamczyków i Kambodżan), choć już dawno ogłosił decyzję o wycofaniu Ameryki z frontu indochińskiego. Jednak Fallaci nie jest też łagodna wobec walczących po przeciwnej stronie, i w istocie wietnamscy przywódcy oskarżają ją o to, że jest sterowana przez Amerykanów. Jej wieczna podejrzliwość, to, że jest niewygodna, niepoohamowana, niemiła wszystkim wielkim postaciom, z którymi się spotyka, stanowi część jej zawodowego przeznaczenia: Fallaci nie chciała być „dworską portrecistką”.

W starannych i zabawnych wprowadzeniach, które poprzedzają każdy wywiad, nie pomija też intymnych szczegółów: nic nie powinno pozostać poza polem widzenia czytelnika, by mógł on sobie stworzyć pełne wyobrażenie o postaci, z którą ma się spotkać. Długo opisuje jasnowłosego i błękitnookiego piękniśa pełniącego funkcję ochroniarza Arafata i wskazuje go jako jednego z kochanków palestyńskiego przywódcy. W stosunku do samego Arafata jest surowa, złośliwa, nie waha się przed obaleniem jego mitu, uważa, że jest rozczarowujący, a jego rzekomą charyzmę uznaje za wymysł mediów. Widząc a posteriori, jakże nędzne dziedzictwo polityczne Arafat pozostawił narodowi palestyńskiemu, a także szybki upadek jego mitu wśród jego własnych ludzi, zdajemy sobie sprawę, że jest to jeden z tych przypadków, kiedy intuicja Fallaci z dużym wyprzedzeniem okazała się celna i niemal profetyczna.

Niektóre kobiety wyzwalają w niej natychmiastową sympatię, instynktowną solidarność, a także postawę zdecydowanie feministyczną. Ocenia jako „fantastyczną” Goldę Meir, z tą „irytującą skromnością”, która przypomina jej własną matkę. Udaje jej się odnaleźć w niej kobiecość i pewien rodzaj piękna. Broni ją przed wulgarną męską ironią. Z pytania zadanego Goldzie Meir wyziera to, co myśli sama Fallaci: „Żeby osiągnąć sukces, kobieta musi być dużo lepsza od mężczyzny”. To naturalnie prawda, a włoska dziennikarka odczuła ją na własnej

skórze. U premier Indiry Gandhi uderza owo poczucie samotności kobiet u steru władzy, ogromne wyrzeczenia w życiu rodzinnym, zdolność kobiecego spojrzenia na historię. Fallaci uchwyciła niezwykle znaczenie symboliczne władzy Indiry w kraju, w którym sytuacja kobiet jest jeszcze tragicznie anachroniczna: „Trudno być kobietą i nie czuć się wyzwoloną, pomszczoną za sprawą sukcesu, który zaprzecza wszelkim komunałom uzasadniającym patriariat i męską dominację”. Indira, jej syn Rajiv Gandhi, prezydent Bhutto (ojciec Benazir): uderza długa lista rozmówców, którzy później tragicznie skończyli, zamordowani, podążając krwawym śladem towarzyszącym losom ich dynastii i naznaczającym haniebnym piętnem wciąż nierozwiązane konflikty narodowościowe czy religijne.

W zbiorze tym jest niewiele, ale za to bardzo cennych, wywiadów z postaciami ze sceny włoskiej. Nie dlatego, że Fallaci nie kochała swojego kraju, ale dlatego, że miała dużo szersze zainteresowania, inne zawodowe priorytety. Poza tym z trudem przychodziło jej rozszyfrowywanie Włoch, brzydził ją polityczny bizantyzm. To zniecierpliwienie słysząc w pytaniu, które zadała liderowi socjalistów, Pietro Nenniemu: „Arthur Schlesinger tak wyraził się o Włochach: kto może was zrozumieć, skoro jesteście pierwszymi, którzy nie rozumieją samych siebie? Panie senatorze, jestem tu, by poprosić pana o pomoc w zrozumieniu nas samych i tego, co dzieje się we Włoszech”. Wśród zawilości rzymskiego mikrokosmosu politycznego Fallaci podąża za pewnymi wyborami światopoglądowymi: jest antyfaszystką, zdecydowanie nie komunistką, jest nieufna wobec roli katolików w polityce, wroga wszelkiej formie totalitaryzmu (również kiedy przywdziewa on szaty młodych kontestatorów ze skrajnej lewicy). Potrafi być niezwykle ostra wobec przywar Włoskiej Partii Komunistycznej: „W owym czasie, rozmawiając z osobą nie będącą komunistą, włoscy komuniści mieli okropny zwyczaj, by traktować ją z ironią albo pobłażaniem, niemal jakby mieli przed sobą kretyna, którego ominęło Objawienie marksizmu”. Natomiast bez żadnych zastrzeżeń pochyla się przed moralną wzniosłością Giorgia Amendoli i oddaje cześć jego intelektualnej uczciwości. Jest zachwycona, kiedy Amendola ośmiela się wypowiedzieć te, jakże surowe, mało demagogiczne i zaskakujące dla przywódcy opozycji, słowa: „Niech pani posłucha, powtarzam zawsze młodym: Włochom nigdy nie było tak dobrze jak dziś. Było im zawsze gorzej niż dziś. Żyli zawsze w gorszych warunkach, jedli zawsze mniej. Kiedy byłem młody, średnia konsumpcji mięsa w Lukanii wynosiła jeden kilogram na rok *pro capite*. Kobiety na Capri chodziły boso i z portu Marina nosiły pod górę worki z węglem. Bądźmy uczciwi, nigdy nie mieliśmy we Włoszech tyle wolności”.

We wstępie Fallaci jasno odkrywa reguły gry, zasady, którymi się kieruje, swoją ideę dziennikarstwa. Jest w niej zuchwałe odrzucenie neutralności. Czuje się w obowiązku zawsze zajmować stanowisko. W tej postawie kryje się źródło jej potrzeby pozostawania w centrum uwagi; podobnie jak inny wielki włoski dziennikarz, Indro Montanelli, również Fallaci nie jest nigdy „poza boiskiem”, ona sama jest postacią zawsze dobrze widoczną w swoich opowieściach, na antypodach anglosaskich tradycji uprawiania tego zawodu. Do możliwych tego świata, z którymi się spotyka, odczuwa zarówno pociąg, jak i odrazę: są to rozmówcy niezbędni do zinterpretowania biegu historii, a jednocześnie stanowią część logiki panowania i ciemnienia, która dla dziennikarki jest odpychająca. „Postrzegam władzę jako zjawisko niehumanitarne i wstrętne”, mówi. Stąd jej wyraźne preferowanie wszelkich buntowników, przeciwników systemu, stawiających opór ustanowionemu porządkowi, szczególnie jeśli jest to porządek oparty na władzy i przemocy.

Jak dalece dziennikarstwo w stylu Fallaci pozostaje wciąż zasadne? W jakim stopniu reguły informacji zmieniły się w XXI wieku, odkąd dramatyczne zdarzenia tworzące historię mogą zostać uchwycone przez jakiegokolwiek świadka telefonem komórkowym, uwiecznione turystyczną kamerą wideo, w zaledwie kilka chwil rozpowszechnione na cały świat za pośrednictwem telewizji satelitarnej i internetu, zmagazynowane w zasobach YouTube, komentowane na bieżąco na setkach tysięcy blogów? Szczególnie po 11 września 2001 roku rozmnożyły się sensacyjne wiadomości rozpowszechniane przez „niezawodowe dziennikarstwo”, amatorskie filmy wideo stały się dokumentami o zasadniczej wartości. Na pozór żyjemy w epoce maksymalnej demokratyzacji informacyjnej, zalewani reportażami pochodzącymi „z dołu”. Wciąż na pozór ta technologiczna i kulturalna rewolucja może wyznaczać schyłek dziennikarstwa autorskiego. W rzeczywistości te nieobrobione informacje stały się „commodity”, towarem, produktem zmasowanym, dostępnym wszędzie w dużych ilościach i małym kosztem. Ale już żeby je wyselekcjonować, uporządkować i nadać im znaczenie, sprowadzić do właściwych rozmiarów, odmitologizować i, jeśli to konieczne, odrzucić, bardziej niż kiedykolwiek aktualny jest styl Fallaci: żywy kontakt z konkretnymi postaciami, pogłębione dochodzenie na miejscu wydarzeń, zdolność analizy, zbieranie dokumentacji, praca „wykopaliskowa” i interpretacyjna, która nazywa się dziennikarstwem śledczym, niezależnie od tego, czy będzie ono polityczne, gospodarcze, czy strategiczne.



Praca reportera nie jest skazana na przeminięcie, jeśli już, skazana jest na specjalizację. W epoce internetu stała się bardziej złożona, ponieważ nie istnieją już uprzywilejowane pozycje. Nie wystarczy nawet indywidualna odwaga, gotowość mierzenia się z osobistymi zagrożeniami, zapal i determinacja, aby dotrzeć na miejsce wydarzeń przed konkurencją; zawsze będzie jakiś niedziennikarz, który znajdzie się tam przypadkiem i cię uprzedzi. Nie wystarczy powiedzieć „ja tam byłem i opowiem wam, co widziałem”, ponieważ bezpośrednie świadectwo stało się powszechnie dostępnym i tanim surowcem. Dotarcie do publiczności jest uproszczone, tradycyjne bariery broniące wejścia do biznesu informacyjnego rozpadają się, internetowe strony gazet zamieszczają obok siebie blogi reporterów i czytelników, przy jednoczesnym wymieszaniu hierarchii. Każde stwierdzenie, jakie reporter publikuje na temat dalekich i egzotycznych krajów, może być natychmiast zweryfikowane przez jego odbiorców za pomocą tak potężnych i szybkich narzędzi, jak Wikipedia i Google.

Właśnie ten gigantyczny przyrost masy dostępnych informacji oraz szybkość, z jaką się rozprzestrzeniają, popycha w rzeczywistości w stronę selekcji opartej na jakości, wiarygodności, powadze. Ktoś zostaje dziennikarzem nie tylko dlatego, że umie pisać na komputerze albo obsługiwać kamerę telewizyjną. Tak samo jak w czasach Fallaci nie wystarczało jeździć do odległych krain albo stawiać czoło trudnościom i niebezpieczeństwom. Informatyczne hipermarkety nie sprzedają na CD oprogramowania uczącego zawodowej etyki, intelektualnej deontologii, zasad sprawdzania źródeł, umiejętności unikania konfliktu interesów, historycznej kultury. Obywatelskie zaangażowanie, skłonność do podawania w wątpliwość usłyszaných prawd, komunałów i stereotypów, biegłość w przygotowywaniu reportaży polegająca na gromadzeniu wiedzy na temat najdalszej rzeczywistości – takie pozostają wyróżniki wśród prawdziwych dziennikarzy i tych, którzy zarządzają owym „commodity”, towarem. Nowe technologie nie zmieniają podstawowych zasad rządzących jakością i wiarygodnością informacji. Najpoważniejsze zagrożenia dla zawodu reportera wynikały zawsze nie z konkurencji nowych mediów, ale ze splotu między interesami i informacją, z konfliktu interesów, z serwilizmu, tajnych porozumień i współnictwa, występujących między dziennikarzami i politykami, między dziennikarzami i potentatami gospodarczymi albo po prostu między dziennikarzami i ich informatorami, kiedy wiadomości stają się towarem wymiennym w handlu przysługami, w służbie ukrytych i tajemnych agend, logiki danej władzy, partii, mafii, grup poparcia. Rola mass mediów, mająca na celu kształtowanie społeczeństwa obywatelskiego poinformowanego i

świadomego swoich praw, upada za każdym razem, kiedy dziennikarze służą interesom innym niż interesy ich publiczności. Najlepsze rozdziały w historii dziennikarstwa miały zawsze źródło w silnym poczuciu prestiżu tego zawodu, jego autorytetu, funkcji strażnika konstytucyjnych praw demokratycznego społeczeństwa.

Jeśli chodzi o jakość narracji, nie może ona ucierpieć z powodu faktu, że na rynku informacji pojawia się tak wiele nowych postaci. Im większa konkurencja, tym twardsza selekcja. Ci sami młodzi ludzie, którzy tłoczą się na MySpace ze swoimi pamiętnikami spisanymi nastoletnią składnią, idą do księgarni szukać książek Oriany Fallaci. To nie przypadek, że po tylu latach jest wciąż czytana. To nagroda za to, że poświęciła temu zawodowi całe życie, z maniackalnym rygorem, z łąpczywą pasją oddając się dziennikarstwu, będącemu „nadzwyczajnym i straszliwym przywilejem”.

*Federico Rampini*  
*październik 2008*

# WYWIAD Z HISTORIA

Wszystkim tym,  
którzy nie lubią władzy.

Pamięci mojej matki

**Toski Fallaci**

i towarzysza mojego życia

**Alekosa Panagulis**

## Wstęp

Książka ta nie zamierza być niczym więcej niż tym, czym jest, to znaczy bezpośrednim świadectwem dotyczącym dwudziestu siedmiu politycznych postaci współczesnej historii. Nie chce obiecywać niczego ponad to, co obiecuje, to znaczy być dokumentem pomiędzy dziennikarstwem a historią. Nie chce też jednak zaprezentować się jako zwykły zbiór wywiadów dla badaczy władzy i antywładzy. Nie czuję się ani nigdy nie zdołam się poczuć chłodnym rejestratorem tego, co słyszę i co widzę. Każdemu doświadczeniu zawodowemu oddaję kawałek duszy, uczestniczę w tym, co widzę i co słyszę, jakby sprawa osobiście mnie dotyczyła albo jakbym miała zająć stanowisko (w istocie zawsze tak robię na podstawie precyzyjnego wyboru moralnego), a do moich dwudziestu siedmiu rozmówców nie udałam się, przyjąwszy postawę anatoma czy też niewzruszonego kronikarza. Udałam się tam ogarnięta gniewem, przytłoczona tysiącem pytań, które, zanim uderzyły w nich, uderzały we mnie, z nadzieją, że zrozumiem, w jaki sposób, będąc u władzy albo z nią walcząc, ludzie ci determinują nasz los. Takie przykładowe pytania to: Czy historię tworzą wszyscy, czy tylko nieliczni? Czy zależy ona od uniwersalnych praw, czy tylko od kilku jednostek?

Wiem, to stary dylemat, którego nikt nie rozwiązał i nigdy nie rozwiąże. To także stara pułapka, w którą bardzo niebezpiecznie jest wpaść, bo każda odpowiedź mieści w sobie własne zaprzeczenie. Nie przypadkiem wiele osób odpowiada kompromisowo i twierdzi, że historia tworzona jest przez wszystkich i przez nielicznych, że ci nieliczni pojawiają się u steru władzy, ponieważ rodzą się we właściwym momencie i potrafią ten moment zinterpretować. Być może. Ale ten, kto nie ma złudzeń na temat absurdałnej tragedii życia, pójdzie raczej śladem Pascala, który mówi, że gdyby nos Kleopatry był krótszy, zmieniłoby się całe oblicze ziemi; będzie się raczej obawiał tego, czego obawiał się Bertrand Russell, który pisał: „Daj sobie spokój, to, co się dzieje na świecie, nie zależy od ciebie. Zależy od pana Chruszczowa, od pana Mao Tse-tunga, od pana Fostera Dullesa. Jeśli oni mówią »umierajcie«, umrzemy, jeśli mówią »żyjcie«, będziemy żyć”. Nie potrafię mu zaprzeczyć. Słowem, nie potrafię wykluczyć, że o naszej egzystencji decydują nieliczni, piękne marzenia albo kaprysy nielicznych, inicjatywa albo wola nielicznych. Tych nielicznych, którzy poprzez idee, odkrycia, rewolucje, wojny, czasem jeden prosty gest, zabicie tyrana, zmieniają bieg rzeczy oraz los większości.

Jest to oczywiście okrutna hipoteza. Jest to obraźliwa myśl, bo w takim wypadku, kim my jesteśmy? Bezradnym stadem w rękach pasterza, raz szlachetnego, raz nikczemnego? Tworzywem, liśćmi niesionymi przez wiatr? Żeby temu zaprzeczyć, przyjmiesz może tezę marksistów, według której wszystko rozwiązuje się poprzez walkę klasową: historię-tworzą-ludy-poprzez-walkę-klasową. Szybko jednak dostrzegasz, że codzienna rzeczywistość im także przeczy, zauważasz, że bez Marksa nie istniałby marksizm (nikt nie może udowodnić, że gdyby Marks się nie urodził albo nie napisał *Kapitału*, napisaliby go John Smith lub Mario Rossi). Strapiony dochodzisz do wniosku, że takiego a nie innego przełomu dokonuje niewielu, że taką a nie inną drogę każe nam obrać niewielu, niewielu tworzy idee, dokonuje odkryć, rewolucji, wywołuje wojny, zabija tyranów. Jeszcze bardziej strapiony zastanawiasz się, jacy oni są: inteligentniejsi od nas, silniejsi, bardziej światli, bardziej od nas przedsiębiorczy? A może to ludzie tacy jak my, ani od nas lepsi, ani gorsi, zwyczajni, niezasługujący na naszą złość, na nasz podziw, na naszą zazdrość?

Pytanie obejmuje przeszłość, a czasem bardzo odległą przeszłość, o której wiemy tylko to, czego nam kazano posłusznie nauczyć się w szkole. Kto da nam pewność, że w szkole nie nauczono nas kłamstw? Kto dostarczy nam bezspornych dowodów na dobre intencje Kserksesa, Juliusza Cezara, Spartakusa? Wiemy wszystko na temat stoczonych przez nich bitew, nic zaś na temat ich ludzkiego wymiaru, ich słabości i kłamstw, ich intelektualnych i moralnych braków. Nie mamy żadnego dokumentu, z którego by wynikało, że Wercyngetoryks był draniem. Nie wiemy nawet, czy Jezus Chrystus był wysoki, czy niski, czy był blondynem, czy brunetem, czy był człowiekiem wykształconym, czy prostaczkiem, czy poszedł do łóżka z Marią Magdaleną, czy też nie, czy naprawdę mówił to wszystko, co twierdzą św. Łukasz, św. Mateusz, św. Marek, św. Jan. Ach, gdyby tak ktoś przeprowadził z nim wywiad, nagrywając go na magnetofon, żeby zatrzymać jego głos, myśli, słowa! Ach, gdyby tak ktoś stenografował to, co Joanna d'Arc oświadczyła na procesie i przed wkroczeniem na stos! Ach, gdyby tak ktoś przepytał w obecności kamery Cromwella i Napoleona! Ja nie ufam kronikom przekazywanym z ust do ust, sprawozdaniom sporządzanym poniewczasie i bez możliwości przedstawienia dowodu. Wczorajsza historia jest powieścią pełną faktów, których nie mogę sprawdzić, sądów, którym nie mogę zaprzeczyć.

Dzisiejsza historia nie. Ponieważ dzisiejsza historia pisana jest w tej samej chwili, kiedy się dzieje. Można ją sfotografować, sfilmować, nagrać na taśmę, jak wywiady z tymi

nielicznymi, którzy kontrolują świat albo zmieniają jego bieg. Można ją natychmiast rozpowszechnić poprzez prasę, radio, telewizję. Można ją na gorąco interpretować, poddawać pod dyskusję. Dlatego kocham dziennikarstwo. Dlatego obawiam się dziennikarstwa. Jaki inny zawód pozwala ci zapisywać historię w tej samej chwili, w której się ona staje, a także być jej bezpośrednim świadkiem? Dziennikarstwo jest nadzwyczajnym i straszliwym przywilejem. Nie przypadkiem, jeśli jesteś tego świadomy, trawi cię sto kompleksów związanych z własnymi ograniczeniami. Nie przypadkiem, kiedy mam przeżyć jakieś ważne wydarzenie albo spotkanie, ogarnia mnie jakby niepokój, strach, że nie mam wystarczająco wiele oczu, wystarczająco wiele uszu i wystarczająco dużo mózgu, żeby patrzeć, słuchać i rozumieć, niczym kornik, który toczy drewno historii. Nie przesadzam, kiedy mówię, że każdemu doświadczeniu zawodowemu oddaję kawałek duszy. Nielatwo mi powiedzieć sobie: daj spokój, nie trzeba być Herodotem, jakkolwiek źle by poszło, i tak dołożysz kamyczek potrzebny do ułożenia mozaiki, swoimi informacjami dasz ludziom do myślenia. A jeśli się pomylisz, to trudno.

Książka ta narodziła się właśnie w taki sposób, na przestrzeni siedmiu lat, podczas których przeprowadziłam dwadzieścia osiem wywiadów dla mojej gazety „L’Europeo”. Do wszystkich ludzi, których ustawiam tu w szeregu, udałam się w takim duchu: za każdym razem szukając, oprócz informacji, odpowiedzi na pytanie, w czym są różni od nas. Zorganizowanie spotkania z nimi wymagało często wyczerpujących wysiłków. Reakcją na prośbę o wyznaczenie wizyty niemal zawsze było mroźne milczenie albo odmowa (w istocie, tych dwudziestu siedmiu rozmówców występujących w książce to nie wszyscy, z którymi usiłowałam się spotkać), a kiedy się zgadzali, musiałam czekać miesiącami, żeby poświęcili mi godzinę albo tylko pół godziny. Kiedy wreszcie się z nimi spotykałam, musiałam stawać na głowie, żeby zatrzymać ich dłużej niż na ten przewidziany czas. Gdy jednak już z nimi byłam, dotknięcie prawdy stawało się grą, odkryciem, że nawet to, że zostali wybrani, nie usprawiedliwia ich władzy: ci, którzy wyznaczają nasz los, naprawdę nie są od nas lepsi, nie są ani inteligentniejsi, ani silniejsi, ani bardziej świątli. Najwyżej są bardziej przedsiębiorczy, ambitni. Tylko w niezwykle rzadkich przypadkach miałam pewność, że znajduję się przed istotami zrodzonymi po to, żeby nas prowadzić albo kazać nam pójść tą, a nie inną drogą. Przypadki te dotyczyły jednak ludzi, którzy wcale nie byli u władzy, przeciwnie, walczyli z nią, ryzykując własnym życiem. Wobec tych, którzy w jakiś sposób mi się spodobali albo mnie uwiedli – nadeszła chwila, by to wyznać – mój mózg zachował coś na kształt rezerwy, a moje serce czuło pewien rodzaj niezadowolenia. W gruncie rzeczy było mi

przykro, że siedzą na szczycie piramidy. Nie będąc w stanie uwierzyć im tak jakbym chciała, nie mogłam uznać ich za niewinnych. A tym bardziej za towarzyszy podróży.

Może dlatego, że nie rozumiem władzy, mechanizmu, który powoduje, że mężczyzna lub kobieta czują się obdarzeni lub zostają obdarzeni prawem rozkazywania innym i karania ich w razie nieposłuszeństwa. Niezależnie od tego, czy należy ona do despotycznego władcy czy wybranego prezydenta, generała mordercy czy ukochanego przywódcy, ja sama postrzegam władzę jako zjawisko nieludzkie i ohydne. Może się mylę, ale ziemski raj nie zakończył się w dniu, w którym Adam i Ewa zostali powiadomieni przez Boga, że od tej chwili będą pracować w pocie czoła i rodzić w bólu. Zakończył się w dniu, kiedy spostrzegli, że mają pana, który zabrania im zjeść jabłko i – wypędzeni z powodu tego jabłka – stanęli na czele plemienia, w którym zakazywało się spożywania mięsa w piątki. Zgoda, żeby żyć w grupie, potrzebna jest władza rządząca, w innym razie powstaje chaos. Najbardziej jednak tragicznym aspektem kondycji ludzkiej wydaje mi się właśnie potrzeba władzy, która rządzi, czyli potrzeba przywódcy. Nigdy nie wiadomo, gdzie zaczyna się, a gdzie kończy władza przywódcy, pewne jest tylko, że nie możesz jej kontrolować i że zabija ona twoją wolność. Gorzej, jest najbardziej gorzkim dowodem na to, że wolność absolutna nie istnieje, nigdy nie istniała, nie może istnieć. Choć trzeba zachowywać się, jakby istniała, i poszukiwać jej. Za wszelką cenę.

Uważam za swój obowiązek uprzedzić czytelnika, jak bardzo jestem o tym przekonana, a także o tym, że jabłka rodzą się po to, by je zrywać, a mięso można jeść również w piątek. Jeszcze ważniejsze wydaje mi się przypomnienie, że w takiej samej mierze, w jakiej nie rozumiem władzy, rozumiem tych, którzy władzy się sprzeciwiają, którzy władzę potępiają, którzy władzę kontestują, a przede wszystkim rozumiem tych, którzy buntują się przeciwko władzy narzuconej w sposób brutalny. Zawsze patrzyłam na nieposłuszeństwo wobec despotów jako na jedyny sposób wykorzystania cudu naszych narodzin. Milczenie tych, którzy nie reagują, a wręcz przyklaskują, postrzegałam zawsze jako ich prawdziwą śmierć. Najpiękniejszym pomnikiem ku czci ludzkiej godności pozostaje dla mnie to, co razem z moim towarzyszem życia Alekosem Panagulisem zobaczyłam na jednym ze wzgórz Peloponezu w dniu, w którym zaprowadził mnie do kilku członków ruchu oporu. Było to latem 1973 roku, Papadopoulos był jeszcze u władzy. Nie chodziło o żaden wizerunek ani o flagę, ale o trzy litery, OXI, co po grecku znaczy NIE. Ludzie spragnieni wolności napisali je między drzewami podczas okupacji nazistowsko-faszystowskiej i przez trzydzieści lat to NIE tam pozostało: nie wyblakło od deszczu

i od słońca. Potem pułkownicy kazali zamalować je wapnem. Ale natychmiast, jakby za sprawą czarów, deszcz i słońce rozpuściły wapno. Tak więc dzień po dniu trzy litery wylaniały się uparte, rozpaczliwe, niezatarte.

Ta książka naprawdę nie chce być niczym więcej niż tym, czym jest. Nie chce obiecywać niczego ponad to, co obiecuje, to znaczy ma być bezpośrednim świadectwem, dostarczonym przez postaci współczesnej historii, z których każda obdarzona jest symbolicznym znaczeniem. Przygotowując książkę do tego nowego wydania, o wiele bogatszego od poprzedniego, nie chciałam przerabiać żadnego wywiadu i zrobiłam tylko niewielkie uaktualnienia we wstępach, w niektórych przypadkach ograniczając się do zmiany czasu, to znaczy nadając formę czasu przeszłego czasownikom, które wcześniej występowały w czasie teraźniejszym. Tej samej zasady trzymałam się, dodając dziesięć spośród najważniejszych wywiadów, które przeprowadziłam po opublikowaniu pierwszej wersji książki: z Giuliem Andreottim, Giorgiem Amendolą, arcybiskupem Makariosem, szefem CIA Williamem Colbym, jego przeciwnikiem Otisem Pike, Santiago Carrillem, Alvarem Cunhalem, Mariem Soaresem i z Yanim. Oczywiście wraz z upływem lat ocena danego spotkania i postaci poszerza się i pogłębia. Gdybym jednak uległa pokusie komentowania ich z perspektywy czasu, straciłyby one walor dokumentów, które skryształizowały się w chwili, kiedy przeżywałam i przedstawiałam te spotkania, ich bezpośredniość zostałaby zafałszowana dokładnie tak, jak poddawana retuszom fotografia. Jedynie we wprowadzeniu do wywiadu, który symbolicznie zamyka książkę, to znaczy do rozmowy z Alekosem Panagulisem, uznałam za stosowne dodać obszerny fragment mówiący o tym, co się z nim stało. Powody nie są natury sentymentalnej, to znaczy nie wynikają z faktu, że Alekos stał się moim towarzyszem życia, ale natury moralnej. Panagulis umarł, zamordowany przez tę samą Władzę, którą książka oskarża, potępia i której nienawidzi. Tym bardziej więc po jego zamordowaniu to, co próbowałam powiedzieć przez moją pracę, powinno być czytane przy nieustannej obecności owego NIE, które wylaniało się, wylania, uparte, rozpaczliwe, niezatarte, pośród drzew na wzgórzu Peloponezu.

*Oriana Fallaci*

*czerwiec 1977*



## Henry Kissinger

Ten człowiek zbyt sławny, zbyt ważny, mający zbyt wielkie szczęście, którego określano przydomkiem Superman, Superstar, Superkraut, a który zawierał paradoksalne sojusze, osiągał niemożliwe porozumienia, sprawiał, że świat wstrzymywał oddech, jakby ten świat był grupą jego studentów z Harvardu. Ten niewiarygodny, niezrozumiały, w gruncie rzeczy absurdalny osobnik, który spotykał się z Mao Tse-tungiem, kiedy tylko chciał, wchodził do Kremla, kiedy miał na to ochotę, budził prezydenta Stanów Zjednoczonych i wkraczał do jego pokoju, kiedy uznał to za stosowne. Ten pięćdziesięciolatek w okularach z zausznikami, w porównaniu z którym James Bond był całkowicie jałowym wymysłem. On nie strzelał, nie bił się na pięści, nie wyskakiwał z rozpędzonych samochodów jak James Bond, ale doradzał wojny, kończył wojny, rościł sobie prawo do zmiany naszego losu, a nawet go zmieniał. Kim więc, koniec końców, był ten Henry Kissinger?

Na jego temat napisano książki niczym o wielkich postaciach strawionych już przez historię. Książki w typie tej, która ilustruje jego formację polityczno-kulturalną, *Kissinger i praktyki władzy*, owoc podziwu jednego z uniwersyteckich kolegów; książki w typie tej, która opiewa jego zalety uwodziciela (*Dear Henry*), owoc nieodwzajemnionej miłości pewnej francuskiej dziennikarki. Z kolegą z uniwersytetu nigdy nie chciał rozmawiać. Z francuską dziennikarką nigdy nie chciał pójść do łóżka. Obydwoje wspomina z grymasem niechęci i zbywa ich pogardliwym gestem tłusciutkiej dłoni: „Niczego nie rozumie”, „To kompletna nieprawda”. Jego biografia jest przedmiotem badań, które ocierają się o kult, i wszyscy wiedzą, że urodził się w Fürth, w Niemczech, w 1923 roku jako syn Louisa Kissingera, nauczyciela w szkole średniej, i Pauli Kissinger, gospodyni domowej. Wiadomo, że była to rodzina żydowska, że czternaścioro jego krewnych zginęło w obozach koncentracyjnych, że wraz z ojcem, matką i bratem Walterem w 1938 roku uciekł do Londynu, a potem do Nowego Jorku, że miał wtedy piętnaście lat, a na imię Heinz, a nie żaden Henry, i nie znał słowa po angielsku. Nauczył się go jednak bardzo szybko. Kiedy ojciec pracował w urzędzie pocztowym, a matka otwierała cukiernię, on uczył się tak dobrze, że przyjęto go na Harvard, który ukończył z maksymalną liczbą punktów, pisząc pracę o Spenglerze, Toynbeem i Kancie, by potem zostać profesorem tej uczelni. Wiadomo, że w wieku dwudziestu jeden lat był żołnierzem w Niemczech, gdzie przebywał z grupą GI, złożoną z osobników wyselekcjonowanych na podstawie testu i uznanych za tak inteligentnych, iż ocierali

się o geniusz. Z tego powodu (i mimo młodego wieku) powierzono mu zadanie zorganizowania władzy cywilnej w niemieckim mieście Krefeld. To właśnie w Krefeld zrodziła się jego pasja do polityki: namiętność, którą zaspokoił, stając się doradcą Kennedy'ego, Johnsona, a następnie asystentem Nixona. Nie przypadkiem można go było uznawać za drugiego najpotężniejszego człowieka Ameryki. Chociaż niektórzy uważali, że był kimś więcej, o czym świadczy dowcip, który w okresie mojego wywiadu krążył po Waszyngtonie: „Pomyśl, co by się stało, gdyby umarł Kissinger. Richard Nixon zostałby prezydentem Stanów Zjednoczonych...”.

Nazywano go umysłową niańką Nixona. Dla niego i Nixona ukuto złośliwe i demaskatorskie nazwisko: Nixinger. Prezydent nie mógł się bez niego obyć. Chciał go mieć zawsze u boku: podczas każdej podróży, uroczystości, oficjalnej kolacji, w czasie wakacji. A przede wszystkim przy podejmowaniu każdej decyzji. Jeśli Nixon postanawiał jechać do Pekinu, wprawiając w osłupienie prawicę i lewicę, to właśnie Kissinger podsunął mu wcześniej pomysł podróży do Pekinu. Jeśli Nixon postanawiał jechać do Moskwy, żeby zmylić Wschód i Zachód, to Kissinger zasugerował mu, by udał się do Moskwy. Jeśli Nixon postanawiał zawrzeć ugodę z Hanoi i opuścić Thieu, to Kissinger przekonał go do tego kroku. Jego domem był Biały Dom. Kiedy nie był akurat w podróży jako ambasador, tajny agent, minister spraw zagranicznych, negocjator, wchodził do Białego Domu wczesnym rankiem, a wychodził wieczorem. Do Białego Domu przynosił nawet bieliznę do prania, w formie paczek zwiniętych w papier, które trafiały nie wiadomo dokąd (czyżby do prywatnej pralni prezydenta?). W Białym Domu często też jadał. Nie sypiał tam, ponieważ nie mógłby sprowadzać kobiet. Rozwiedziony od dziewięciu lat, ze swoich przygód miłosnych uczynił mit, który starannie podsycał, choć wiele osób nie bardzo w to wierzyło. Aktorki, aktoreczki, piosenkarki, modelki, producentki, dziennikarki, tancerki, miliardarki. Podobały mu się wszystkie. Sceptycy twierdzili jednak, że nie podobała mu się żadna, że zachowywał się tak dla zabawy, świadomy, iż dodaje mu to szyku, przysparza popularności, zwiększa liczbę fotografii w tygodnikach. Również w tym znaczeniu był człowiekiem, o którym w Ameryce najczęściej plotkowano, był „modny”. Modne stały się jego okulary krótkowidza, jego loki (jak u żyda), jego szare garnitury z granatowym krawatem, jego niepewny krok prawiczka, który właśnie odkrył przyjemność.

Człowiek ten pozostawał zatem zagadką, tak samo jak jego nieporównywalny sukces. Jedną z przyczyn takiej tajemnicy był fakt, że zbliżyć się do niego, zrozumieć go było niezwykle trudno, nie udzielał bowiem indywidualnych wywiadów, wypowiadał się wyłącznie na

konferencjach prasowych zwoływanych przez biuro prezydenta. Tak więc, przysięgam, dotąd jeszcze nie zrozumiałam, dlaczego zgodził się mnie przyjąć zaledwie trzy dni po otrzymaniu mojego pozbawionego złudzeń listu. On sam mówi, że to z powodu mojego wywiadu z generałem Giapem, przeprowadzonego w Hanoi w lutym 1969 roku. Być może. Pozostaje jednak faktem, że po tym nadzwyczajnym „tak” zmienił zdanie i postanowił zobaczyć się ze mną pod jednym warunkiem: że nic mi nie powie. Podczas spotkania to ja miałam mówić i na podstawie tego, co powiem, on miał postanowić, czy udzieli mi wywiadu, czy też nie. Zakładając, że znajdzie czas. Co też rzeczywiście się stało w Białym Domu, w czwartek 2 listopada 1972 roku, kiedy zobaczyłam go, jak nadchodzi zasapany, bez uśmiechu, mówiąc: „Good morning, miss Fallaci”. Następnie, wciąż bez uśmiechu, wprowadził mnie do swojego eleganckiego gabinetu, pełnego książek, telefonów, papierów, abstrakcyjnych obrazów, fotografii Nixona. Tutaj zapomniał o mnie, pograżywszy się w lekturze długiego maszynopisu. Było to trochę kłopotliwe siedzieć tam pośrodku pokoju, podczas gdy on czytał odwrócony do mnie tyłem. Z jego strony było to również głupie, prostackie. Pozwoliło mi jednak przyjrzeć mu się, zanim on przyjrzał się mnie. Nie tylko po to, żeby odkryć, że nie jest pociągający, taki niski, krępy, przygnieciony tą wielką, baranią głową, ale by odkryć, że wcale nie jest swobodny ani pewny siebie. Zanim z kimś się zmierzy, potrzebuje zyskać na czasie i osłonić się swoją władzą. Jest to zjawisko częste u osób nieśmiałych, które chcąc to ukryć, stają się w końcu niegrzeczne. Albo naprawdę takie są.

Po zakończeniu lektury maszynopisu, skrupulatnej i uważnej, zważywszy na czas, jaki jej poświęcił, odwrócił się wreszcie w moją stronę i poprosił, bym usiadła na kanapie. Następnie usiadł w fotelu obok, wyższym od kanapy, i z tej strategicznej, uprzywilejowanej pozycji zaczął mnie przepytować: tonem profesora egzaminującego ucznia, któremu specjalnie nie ufa. Przypominał mojego nauczyciela matematyki i fizyki z florenckiego Liceo Galilei, osobnika, którego nienawidziłam, ponieważ lubił mnie straszyć, wpatrując się we mnie ironicznie zza okularów. Podobnie jak ów profesor, miał nawet barytonowy, wręcz gardłowy głos, jak również sposób siedzenia w fotelu z prawą ręką obejmującą oparcie i nogą założoną na nogę, gdy tymczasem marynarka napinała mu się złośliwie na brzuchu, stwarzając ryzyko odpadnięcia guzików. Jeśli chciał, bym poczuła się nieswojo, udało mu się to znakomicie. Koszmar szkolnych dni powrócił z takim impetem, że przy każdym jego pytaniu myślałam: „O Boże, czy będę umiała odpowiedzieć? Bo jak nie będę wiedziała, obleje mnie”. Pierwsze pytanie dotyczyło generała Giapa: „Jak pani mówiłem, nigdy nie udzielam indywidualnych wywiadów. Powód, dla

którego szykuję się do rozważenia ewentualności udzielenia wywiadu pani, jest pochodną tego, że przeczytałam pani rozmowę z Giapem. *Very interesting*. Bardzo interesująca. Jakim typem jest Giap?”. Zadał to pytanie z miną kogoś, kto ma mało czasu do dyspozycji, dlatego zmusiłam się, by streścić wszystko w efektownej odpowiedzi, i odparłam: „Wydał mi się francuskim snobem. Jednocześnie jowialny i arogancki, w gruncie rzeczy nudny niczym deszczowy dzień. W jego przypadku, bardziej niż wywiad, był to wykład. Nie zachwycił mnie. Jednak to, co mi powiedział, sprawdziło się”.

Umnieszyć w oczach Amerykanina postać Giapa jest niemal obelgą: wszyscy są w nim trochę zakochani, podobnie jak trzydzieści lat temu w Rommlu. Wyrażenie „francuski snob” niemal go zmieszało. Być może go nie zrozumiał. Odkrycie, że jest „nudny niczym deszczowy dzień” zaniepokoiło go, wiedział, że sam ma oznaki nudnego typu, i że dwa razy jego błękitne spojrzenie rozbłysło we wrogi sposób. Jednak szczegół, który go najbardziej uderzył, to to, że dałam wiarę Giapowi, iż ten przewidział prawdziwe rzeczy. Przerwał mi, pytając: „Dlaczego się sprawdziło?”. Dlatego, że Giap zapowiedział w 1969 roku to, co nastąpiło w roku 1972, odparłam. „Na przykład?”. Na przykład fakt, że Amerykanie będą się stopniowo wycofywać z Wietnamu, następnie zarzucą wojnę, która kosztowała ich coraz więcej pieniędzy i miała ich wkrótce doprowadzić na skraj inflacji. Błękitne spojrzenie znów rozbłysło. „A jaka była, pani zdaniem, najważniejsza rzecz, którą powiedział pani Giap?”. To, że zasadniczo zaprzeczył ofensywie Tet, przypisując ją wyłącznie żołnierzom Vietcongu. Tym razem nie skomentował. Zapytał tylko: „Sądzi pani, że inicjatywa wyszła od Vietcongu?”. „Być może tak, doktorze Kissinger. Nawet dzieci wiedzą, że Giap lubi ofensywy z czołgami, w stylu Rommla. W istocie ofensywę wielkanocną wykonał w takim właśnie stylu i...”. „Ale ją przegrał”, zaprotestował. „Czy rzeczywiście przegrał?”, spytałam. „Co pozwala pani myśleć, że jej nie przegrał?”. „Fakt, że zaakceptował pan ugodę, która nie podoba się Thieu, doktorze Kissinger”. Próbując wyciągnąć z niego jakąś informację, dodałam roztargnionym tonem: „Thieu nigdy nie ustąpi”. Wpadł w tę małą pułapkę. Odparł: „Ustąpi. Musi”. Po czym skupił się na Thieu, swoim polu minowym. Zapytał, co myślę o Thieu. Powiedziałam, że nigdy mi się nie podobał. „A dlaczego nigdy się pani nie podobał?”. „Doktorze Kissinger, wie pan to lepiej ode mnie. Męczył się pan z Thieu trzy dni, ba, cztery”. Słowa te wywołały u niego pomruk aprobaty i grymas, który – jeśli się nad tym zastanowić – dziwi. Kissinger potrafi doskonale kontrolować twarz, z wielkim trudem pozwala swoim ustom i oczom zdradzić jakąś myśl bądź uczucie. Ale podczas tego

pierwszego spotkania, nie wiedzieć czemu, mało się kontrolował. Za każdym razem, kiedy mówiłam coś o Thieu, przytakiwał albo uśmiechał się porozumiewawczo.

Po Thieu przepytiał mnie z Cao Ky i Do Cao Tri. O pierwszym powiedział, że jest słaby i zbyt dużo gada. O drugim, że przykro mu, iż go nie poznał. „Czy był naprawdę wielkim generałem?”. Tak, potwierdziłam, był wielkim generałem i generałem odważnym: jedynym generałem, którego widziałam, jak kroczy w pierwszym szeregu i idzie do boju. Również dlatego, przypuszczam, został zamordowany. „Zamordowany?! Przez kogo?”. „Na pewno nie przez Vietcong, doktorze Kissinger. Helikopter nie spadł dlatego, że został trafiony z moździerza, ale ponieważ ktoś uszkodził śmigła. A Thieu na pewno nie płakał z powodu tej zbrodni. Cao Ky też nie. Wokół Do Cao Tri zaczynała powstawać legenda, a on wypowiadał się bardzo źle o Thieu i o Ky. Również w czasie mojego wywiadu bezlitośnie ich zaatakował”. Odpowiedź ta zaniepokoiła go bardziej niż moja późniejsza krytyka armii południowowietnamskiej. Co nastąpiło, kiedy zapytał mnie o mój ostatni pobyt w Sajgonie, o to, co tam zobaczyłam, a ja odpowiedziałam, że widziałam zupełnie bezwartościową armię, i wtedy na jego twarzy pojawiło się zmieszanie. W istocie absolutnie przekonana, że gra, zażartowałam: „Doktorze Kissinger, proszę mi nie mówić, że potrzebuje pan mnie, żeby się o tym dowiedzieć. Pan, który jest najlepiej poinformowaną osobą na świecie!”. Nie zrozumiał jednak ironii i dalej przesłuchiwał mnie, jakby od moich opinii miały zależeć losy kosmosu albo jakby on sam nie mógł bez nich żyć. Umie pochlebiać z diaboliczną, obłudną finezją. A może powinnam powiedzieć: dyplomatyczną?

W piętnastej minucie rozmowy, kiedy plułam już sobie w brodę, że zgodziłam się na ten absurdalny wywiad ze strony kogoś, z kim sama chciałam go przeprowadzić, zapomniał trochę o Wietnamie i tonem gorliwego reportera zapytał, którzy przywódcy państwowi wywarli na mnie największe wrażenie (bardzo lubi to określenie). Zrezygnowana, sporządziłam mu taką listę. Zgodził się przede wszystkim, jeśli chodzi o Bhutto: „Bardzo inteligentny, bardzo błyskotliwy”. Zdziwiła go natomiast Indira Gandhi: „Naprawdę podobała się pani Indira Gandhi?”. Nie chciał też uzasadnić złego wyboru, jaki zasugerował Nixonowi podczas konfliktu indyjsko-pakistańskiego, kiedy stanął po stronie Pakistańczyków, którzy mieli przegrać wojnę przeciwko Hindusom, którzy mieli ją wygrać. Na temat innego przywódcy, o którym powiedziałam, że nie wydał mi się inteligentny, ale bardzo mi się spodobał, wypowiedział się następująco: „Inteligencja nie jest potrzebna, żeby być przywódcą państwa. Cechą, która liczy się u

przywódców państwa, jest siła. Odwaga, spryt i siła”. Uważam to zdanie za jedno z najciekawszych, jakie mi powiedział. Dobrze ilustruje jego typ, jego osobowość. Mężczyzna kocha siłę ponad wszystko. Odwaga, spryt i siła. Inteligencja interesuje go wiele mniej, choć ma jej dużo, jak wszyscy twierdzą. (Czy chodzi jednak o inteligencję, czy też o erudycję i przebiegłość? Według mnie, inteligencja, która się liczy, rodzi się ze zrozumienia ludzi. Nie powiedziałabym, że ma on taką inteligencję. Należałoby przeprowadzić na ten temat trochę głębsze badania. Założywszy, że warto).

Ostatni etap egzaminu narodził się z pytania, którego zupełnie się nie spodziewałam: „Jak pani myśli, co wydarzy się w Wietnamie wraz z przerwaniem ognia?”. Zaskoczona powiedziałam prawdę. Powiedziałam, że napisałam o tym we właśnie opublikowanej korespondencji, to znaczy, że po obydwu stronach nastąpi wielka krwawa łaźnia. „Obawiam się, że pierwszy zacznie właśnie pański przyjaciel Thieu”. Podskoczył niemal obrażony: „Mój przyjaciel?”. „No cóż, Thieu”. „A dlaczego?”. „Ponieważ zanim jeszcze Vietcong zadba o swoje rzezie, on dokona jatki w więzieniach i zakładach penitencjarnych. Po przerwaniu ognia w rządzie tymczasowym nie znajdzie się wielu neutralistów i ludzi Vietcongu...”. Zmarszczył czoło, siedział zmieszany, w końcu odezwał się: „Pani także wierzy w krwawą łaźnię... Ale przecież będą międzynarodowi inspektorzy!”. „Doktorze Kissinger, również w Dhace byli Hindusi. A nie udało im się wcale zapobiec masakrom dokonanych przez bojowników Mukti Bahini na Biharczykach”. „Tak, tak, a jeśli... A jeśli opóźnilibyśmy zawieszenie broni o rok albo dwa?”. „Co takiego, doktorze Kissinger?”. „A jeśli opóźnilibyśmy zawieszenie broni o rok albo dwa?”, powtórzył. Mogłabym obciąć sobie język, zapłakać. Myślę wręcz, że podniosłam na niego dwoje błyszczących oczu: „Doktorze Kissinger, proszę mnie nie straszyć, że podsunęłam panu na myśl coś niesłusznego. Doktorze Kissinger, wzajemna jatka i tak się dokona: dzisiaj, za rok, za dwa lata. Ale jeśli wojna potrwa jeszcze rok albo dwa, oprócz ofiar tej rzezi będziemy musieli dodatkowo liczyć ofiary bombardowań i walk. Czy jasno się wyrażam? Dziesięć dodać dwadzieścia równa się trzydzieści. Czy lepiej, żeby było dziesięć trupów, czy trzydzieści?”. Z powodu tej sprawy nie spałam zresztą dwie noce i kiedy spotkaliśmy się ponownie na wywiad, wyznałam mu to. Ale on pocieszył mnie, mówiąc, że bym nie zadreślała się poczuciem winy, że mój rachunek matematyczny był ścisły, lepiej dziesięć niż trzydzieści, i również ten epizod daje wyobrazenie, jaki to typ i osobowość. To człowiek, który wszystko słyszy, wszystko rejestruje jak komputer. A kiedy zdaje

się, że odrzucił jakąś starą już i niedobłą informację, wyciąga ją, jakby była bardzo świeża i dobra.

Mniej więcej w dwudziestej piątej minucie uznał, że zdałam egzamin. Być może udzieli mi wywiadu. Pozostawał jednak szczegół, który trochę mu przeszkadzał: byłam kobietą. A właśnie z kobietą, francuską dziennikarką, która napisała książeczkę *Dear Henry*, miał pechowe doświadczenie. Jeśli mimo wszystkich moich dobrych intencji ja też wprawię go w zakłopotanie? Wtedy się zirytowałam. Oczywiście, nie mogłam powiedzieć mu tego, co mi się cisnęło na usta: to znaczy, że nie miałam najmniejszego zamiaru zakochać się w nim i mu nadskakiwać. Mogłam mu jednak powiedzieć inne rzeczy, więc to uczyniłam. Żeby nie stawiał mnie w sytuacji, w jakiej znalazłam się w Sajgonie w 1968 roku, kiedy musiałam posunąć się do idiotycznego zuchwalstwa po tym, jak pewien tchórzliwy Włoch całkowicie się zblądził. Słowem, by zrozumiał, że nie jestem w żadnym stopniu odpowiedzialna za zły gust jakiejś pani, która wykonuje ten sam co ja zawód. Tak więc nie powinnam za to płacić: jeśli to konieczne, przyjdę do niego z przyklejonymi wąsami. Przytaknął bez śladu uśmiechu i oznajmił, że znajdzie dla mnie godzinę w sobotę. Tak więc o dziesiątej w sobotę 4 listopada znów znalazłam się w Białym Domu. O dziesiątej trzydzięci ponownie wchodziłam do jego gabinetu, żeby rozpocząć być może najbardziej niewygodny wywiad, jaki kiedykolwiek przeprowadziłam. Boże, co za męka! Co dziesięć minut przerywał nam dzwonek telefonu i był to Nixon, który czegoś chciał, nieznośny, dokuczliwy jak dziecko, które nie potrafi przebywać z dala od mamy. Kissinger odpowiadał z troskliwością i uniżonością, zaś rozmowa ze mną rwała się, czyniąc jeszcze trudniejszym wysiłek, by choć trochę go zrozumieć. Wreszcie, w najciekawszym momencie, kiedy zdradzał mi nieuchwytną istotę swojej osoby, znów zadzwieczał jeden z telefonów. I znów był to Nixon: czy pan Kissinger może do niego na chwilę zajrzeć? Oczywiście, panie prezydencie. Zerwał się na równe nogi, powiedział, żebym na niego zaczekała, spróbuje dać mi jeszcze trochę czasu, i wyszedł. Tak zakończyło się moje spotkanie. Dwie godziny później, kiedy wciąż jeszcze czekałam, asystent Dick Campbell przyszedł zakłopotany, żeby mi wyjaśnić, iż prezydent wylatuje do Kalifornii i pan Kissinger musi mu towarzyszyć. Nie wróci do Waszyngtonu przed wtorkowym wieczorem, kiedy rozpocznie się obliczanie głosów, ale szczerze wątpi, bym mogła dokończyć wywiad w tych dniach. Gdybym mogła poczekać do końca listopada, kiedy tak wiele spraw się wyjaśni...

Nie mogłam i nie było warto. Czemu miałyby służyć próba potwierdzenia portretu, który miałam już w ręku? Portretu, który rodzi się z chaosu myśli, barw, wymijających odpowiedzi, wyważonych zdań, irytującego milczenia. Na temat Wietnamu, to oczywiście, nie mógł powiedzieć mi więcej i dziwię się, że powiedział aż tyle; nie tylko od niego zależało, czy ta wojna miała się skończyć, czy być kontynuowana, a on nie mógł pozwolić sobie na luksus wystawienia wszystkiego na szwank jednym słowem za dużo. Jeśli chodzi o niego samego, nie miał takich problemów, a jednak za każdym razem, kiedy zwracałam się do niego z jakimś konkretnym pytaniem, usztywniał się, po czym wyślizgiwał jak węgorz. Węgorz bardziej lodowaty od samego lodu. Boże, co za lodowaty człowiek. Przez cały czas trwania wywiadu ani razu nie zmienił obojętnego wyrazu twarzy, tego ironicznego albo posępnego spojrzenia, monotonnego, smutnego, wciąż takiego samego tonu głosu. Wskaźnik w magnetofonie zmienia położenie, kiedy jakieś słowo wypowiedziane jest wyższym albo niższym tonem. W jego przypadku pozostawał zawsze nieruchomy, kilkakrotnie musiałam upewnić się, czy magnetofon dobrze działa. Czy kojarzycie obsesyjny, bębniący dźwięk kropli deszczu padających na dach? Tak właśnie brzmiał jego głos. W gruncie rzeczy takie też były jego myśli, nigdy niezakłócone jakimś pragnieniem fantazji, dziwacznym zamysłem, pokusą błędu. Wszystko było w nim skalkulowane, kontrolowane niczym w locie samolotu kierowanego przez automatycznego pilota. Ważył każde słowo co do miligrama, nie wyrwało mu się nic, czego nie chciał powiedzieć, a to, co mówił, mieściło się zawsze w mechanizmie jakiejś korzyści. Le Duc Tho musiał w tamtych dniach pocić się jak mysz, a Thieu musiał poddać swoją przebiegłość bardzo ciężkiej próbie. Kissinger ma nerwy i umysł szachisty.

Naturalnie odnajdziecie tezy, które biorą pod uwagę inne aspekty tej postaci. Na przykład fakt, że jest bezsprzecznie Żydem i nieodwołalnie Niemcem. Na przykład fakt, że jako Żyd i Niemiec przeszczepiony do kraju, który wciąż spogląda podejrzliwie na Żydów i Niemców, nosi wciąż w sobie całą masę węzłów, sprzeczności, resentymentów, a może też ukrytego człowieczeństwa. Tak, powiedziałam: człowieczeństwa. Podobni mu osobnicy czasem je mają; z wysiłkiem, ale możesz odnaleźć w Kissingerze elementy człowieka, który zakochuje się w Marlenie Dietrich z filmu *Błękitny anioł*. I ztraca się dla niej. Zresztą w moich oczach pozostaje on typowym bohaterem społeczeństwa, w którym wszystko jest możliwe, nawet to, że nieśmiały profesor z Harvardu, przywykły pisać nieczytelne książki o historii i eseje o kontrolowaniu energii atomowej, staje się rodzajem gwiazdy, która rządzi razem z prezydentem, rodzajem



playboya, który porządkuje stosunki między wielkimi mocarstwami i kończy wojny, enigmą, którą staramy się rozszyfrować, nie zauważając, że prawdopodobnie nie ma nic albo prawie nic do rozszyfrowywania. Jak zawsze, kiedy przygoda przywdziewa szare szaty.

\* \* \*

Wywiad z Kissingerem – przedrukowany w całości przez tygodnik „New Republic”, powtórzony w swoich najbardziej palących punktach przez dzienniki w Waszyngtonie, Nowym Jorku, a następnie przez niemal wszystkie gazety w Stanach Zjednoczonych – wywołał sensację, która zaskoczyła mnie na równi z jej konsekwencjami. Najwyraźniej nie doceniłam postaci i zainteresowania, jakie budziło każde jego słowo. Najwyraźniej umniejszyłam znaczenie tej nieznośnej godziny, którą z nim spędziłam. Stała się ona natychmiast tematem dnia. Wkrótce zaczęły krążyć pogłoski, jakoby Nixon był rozwścieczony na Henry’ego, jakoby z tego powodu nie chciał go widzieć, zaś Henry bezskutecznie do niego dzwonił, prosił o audiencję, jeździł do jego rezydencji w San Clemente. Bramy San Clemente pozostawały zamknięte, audiencji nie udzielano, telefon nie odpowiadał, ponieważ prezydent wciąż nie odbierał. Prezydent nie wybaczył między innymi tego, co Henry powiedział mi na temat przyczyn swojego sukcesu: „Chodzi o to, że zawsze działałem sam. Amerykanom niezmiernie się to podoba. Amerykanie lubią kowboja, który prowadzi kolumnę, jadąc samotnie z przodu na swoim koniu, kowboja, który wkracza sam do miasta, do miasteczka, tylko ze swoim koniem i basta...”. Również prasa krytykowała go za te słowa.

Prasa była zawsze wobec Kissingera wspianiałomyślna, wobec Nixona bezlitosna. W tym przypadku jednak sytuacja się odwróciła i wszyscy dziennikarze potępili wyniosłość, albo przynajmniej nieostrożność, podobnej wypowiedzi. Jak Henry Kissinger ośmielał się przypisywać sobie całą zasługę za to, co uzyskiwał jako wysłannik Nixona? Jak ośmielał się sprowadzać Nixona do roli widza? Gdzie był prezydent Stanów Zjednoczonych, kiedy profesorek wjeżdżał do miasteczka, żeby uporządkować sprawy w stylu Henry’ego Fondy z filmowych westernów? W najbardziej bezwzględnych gazetach ukazały się karykatury, na których przebrany za kowboja Kissinger jechał konno w stronę saloonu. W innych pojawiła się fotografia Henry’ego Fondy, z ostrogami i w kapeluszu, podpisana „Henry, samotny kowboj”. Aż w końcu, doprowadzony do ostateczności, Kissinger zgodził się na rozmowę z reporterem, któremu powiedział, że zgoda na spotkanie ze mną była „najgłupszą rzeczą, jaką zrobił w życiu”. Następnie oświadczył, że zniekształciłam jego odpowiedzi, wykrzywiłam jego myśli, ubarwiłam

jego słowa, a uczynił to w sposób tak grubiański, że wściekłam się bardziej niż Nixon i przeszłam do kontrataku. Wysłałam mu telegram do Paryża, gdzie przebywał w tamtych dniach, i w skrócie zapytałam go, czy jest człowiekiem honoru czy pajacem. Zagroziłam też, że podam do publicznej wiadomości nagranie wywiadu. Żeby pan Kissinger nie zapomniał, że rozmowa została nagrana na taśmie i że taśma ta jest do dyspozycji wszystkich, żeby odświeżyć mu pamięć i przypomnieć o rzetelności. To samo oświadczyłam „Time Magazine”, „Newsweekowi”, stacjom telewizyjnym CSB i NBC, każdemu, kto pytał mnie, co się dzieje. Kłótnia trwała prawie dwa miesiące, na nieszczęście obydwójga, a szczególnie moje. Miałam już dość Henry’ego Kissingera, samo jego nazwisko wystarczało, by mnie zdenerwować. Nienawidziłam go do tego stopnia, że nie byłam nawet w stanie zdać sobie sprawy, iż biedak nie miał innego wyboru, jak tylko zrzucić winę na mnie. Ale oczywiście błędem byłoby powiedzieć, że w owym czasie życzyłam mu wszystkiego najlepszego i dużo szczęścia.

Faktem jest, że moje klątwy nie mają dużej mocy. Wkrótce Nixon przestał się bocyć na swojego Henry’ego i obydwaj znów zaczęli gruchać jak dwa gołąbki. Ich rozejm szczęśliwie dobił do portu. Amerykańscy jeńcy wrócili do domu. Ci jeńcy, którzy tak bardzo naciskali na pana prezydenta. Zaś rzeczywistością Wietnamu stało się oczekiwanie na kolejną wojnę. Potem, po roku, Kissinger został sekretarzem stanu zamiast Rogersa. W Sztokholmie dali mu Pokojową Nagrodę Nobla. Biedny Nobel. Biedny pokój.

ORIANA FALLACI. *Zastanawiam się, co czuje pan w tych dniach. Zastanawiam się, czy pan też jest rozczarowany tak jak my, jak większość świata. Czy jest pan rozczarowany, panie Kissinger?*

HENRY KISSINGER. Rozczarowany? Dlaczego? Co takiego wydarzyło się w tych dniach, że miałbym być rozczarowany?

*Pewna newsosła rzecz, panie Kissinger: choć powiedział pan, że pokój jest „na wyciągnięcie ręki” i choć potwierdził pan, że porozumienie z północnymi Wietnamczykami zostało osiągnięte, pokój nie nastąpił. Wojna trwa jak wcześniej, gorzej niż wcześniej.*

Pokój nadejdzie. Jesteśmy zdecydowani go osiągnąć i będzie. Nastąpi za kilka tygodni, może mniej, to znaczy zaraz po podjęciu negocjacji z północnymi Wietnamczykami na temat ostatecznego porozumienia. Powiedziałem tak dziesięć dni temu i teraz powtarzam. Tak, pokój nastąpi w rozsądnie krótkim czasie, jeśli Hanoi zgodzi się na jeszcze jedno posiedzenie przed podpisaniem porozumienia, posiedzenie poświęcone ustaleniu szczegółów, i jeśli zgodzi się na

nie w takim samym duchu i z taką samą postawą, jak w październiku. Owe „jeśli” są jedyną niepewnością ostatnich dni. Jest to jednak niepewność, której nie chcę nawet rozważać: pani pozwala się ogarnąć panice, a w tych sprawach nie należy pozwolić ogarnąć się panice. Ani też zniecierpliwieniu. Faktem jest, że... Słowem, przez wiele miesięcy prowadziliśmy te negocjacje, a wy, dziennikarze, nie wierzyliście nam. Wciąż powtarzaliście, że do niczego nie doprowadzą. Potem, nagle, zaczęliście obwieszczać zawarty już pokój, a teraz mówicie, że negocjacje się nie powiodły. Mówiąc w ten sposób, mierzycie nam gorączkę codziennie, cztery razy dziennie. Mierzycie ją jednak z punktu widzenia Hanoi. Ale... proszę dobrze uważać: ja rozumiem punkt widzenia Hanoi. Północni Wietnamczycy chcieli, żebyśmy podpisali 31 października, co było zarazem rozsądne i nierozsądne i... Nie, nie zamierzam z tym polemizować.

*Ale wy zobowiązaliście się podpisać 31 października!*

Mówię i powtarzam, że to oni naciskali na tę datę i że dla uniknięcia abstrakcyjnej dyskusji dotyczącej dat, które wówczas wydawały się całkiem teoretyczne, powiedzieliśmy, że dołożymy wszelkich starań, by zakończyć negocjacje do 31 października. Ale było zawsze jasne, przynajmniej dla nas, że nie będziemy mogli podpisać porozumienia, w którym pozostawały do ustalenia szczegóły. Nie będziemy mogli dotrzymać tego terminu tylko dlatego, że w dobrej wierze obiecaliśmy, że dołożymy wszelkich starań, by go dotrzymać. W jakim jesteśmy więc punkcie? Ano w takim, że pozostają te szczegóły do ustalenia i nowe spotkanie jest niezbędne. Oni mówią, że nie jest niezbędne, że nie jest konieczne. Ja mówię, że jest konieczne i że się odbędzie. Odbędzie się, jak tylko północni Wietnamczycy wezwą mnie do Paryża. Ale jest dopiero 4 listopada i mogę zrozumieć, że północni Wietnamczycy nie chcą podejmować negocjacji w kilka dni po terminie, w którym domagali się podpisania porozumienia. Mogę zrozumieć to ich odsuwanie terminu. Jest jednak nie do pojęcia, przynajmniej dla mnie, żeby mieli odmówić kolejnego posiedzenia. Właśnie teraz, kiedy pokonaliśmy dziewięćdziesiąt procent drogi i docieramy do mety. Nie, nie jestem rozczarowany. Będę na pewno, jeśli Hanoi zechce zerwać porozumienie, jeśli Hanoi będzie chciało odrzucić dyskusję nad zmianami. Ale nie mogę w to uwierzyć, nie. Nie mogę nawet podejrzewać, że doszliśmy tak daleko, aby teraz polec z powodów prestiżowych, proceduralnych, z powodu dat, niuansów.

*A jednak wygląda na to, że się usztywnili, panie Kissinger. Wrócili do twardego języka, wysunęli poważne, niemal obelżywe dla pana oskarżenia...*

Och, to nic nie znaczy. Zdarzało się to również wcześniej i nigdy nie przywiązywaliśmy do tego wagi. Powiedziałbym, że twardy język, poważne oskarżenia, a nawet obelgi mieszczą się w normalności. W samej istocie nic się nie zmieniło. Po wtorku 31 października, to znaczy odkąd my tutaj się uspokoiiliśmy, wy wciąż dopytujecie się nas, czy chory zachorował. Ja jednak nie widzę tu żadnych chorób. I naprawdę uważam, że sprawy potoczą się mniej więcej tak jak utrzymuję. Pokój, powtarzam, nastąpi w przeciągu niewielu tygodni od podjęcia negocjacji. Nie w przeciągu wielu miesięcy. W przeciągu niewielu tygodni.

*Ale kiedy podjęte zostaną negocjacje? W tym problem.*

Kiedy tylko Le Duc Tho zechce mnie znów zobaczyć. Jestem tu i czekam. Ale bez niepokoju, zapewniam panią. Do licha! Przedtem między jednym a drugim spotkaniem mijały dwa albo trzy tygodnie! Nie rozumiem, dlaczego teraz mielibyśmy się zadręczać, jeśli mija kilka dni. Jedynym powodem nerwowości, która was wszystkich ogarnęła, jest to, że ludzie zastanawiają się: „Ale czy te negocjacje zostaną podjęte?”. Kiedy byliście cyniczni i nie wierzyliście, że coś się wydarzy, nigdy nie dostrzegaliście, że czas mija. Byliście zbyt pesymistyczni na początku, potem nazbyt optymistyczni po mojej konferencji prasowej, a teraz znów jesteście zbyt pesymistyczni. Nie chcecie wbić sobie do głowy, że wszystko toczy się tak, jak zawsze myślałem, od chwili kiedy powiedziałem, że pokój jest w zasięgu ręki. Wtedy liczyłem, jak mi się zdaje, że będzie to parę tygodni. Ale gdyby nawet miało być więcej... Dosyć, nie chcę już rozmawiać o Wietnamie. Nie mogę sobie w tej chwili na to pozwolić. Każde wypowiedziane przeze mnie słowo staje się wiadomością. Może pod koniec listopada... Niech pani posłucha, dlaczego nie mielibyśmy się spotkać pod koniec listopada?

*Ponieważ teraz jest ciekawiej, doktorze Kissinger. Ponieważ Thieu na przykład wezwał pana do zabrania głosu. Proszę przeczytać ten wycinek z „New York Timesa”. Przytacza zdanie Thieu: „Zapytajcie Kissingera, jakie są punkty, które nas dzielą, jakie są punkty, których nie akceptuję”.*

Proszę dać mi przeczytać... Ach! Nie, nie odpowiem mu. Nie wezmę pod uwagę tego zaproszenia.

*On już odpowiedział, doktorze Kissinger. On już powiedział, że bolesny punkt wynika z faktu, iż – zgodnie z zaakceptowaną przez pana umową – oddziały północnowietnamskie pozostaną w Wietnamie Południowym. Panie Kissinger, czy sądzi pan, że zdoła kiedykolwiek*

*przekonać Thieu? Sądzi pan, że Ameryka będzie musiała podpisać z Hanoi oddzielne porozumienie?*

Proszę mnie o to nie pytać. Muszę trzymać się tego, co powiedziałem publicznie dziesięć dni temu... Nie mogę, nie powinienem rozważać hipotezy, która według mnie się nie ziści. Hipotezy, która nie powinna się ziścić. Mogę pani tylko powiedzieć, że jesteśmy zdeterminowani, by zawrzeć ten pokój, i że tak czy inaczej go zawrzemy, w jak najkrótszym czasie po moim nowym spotkaniu z Le Duc Tho. Thieu może mówić co chce. To jego sprawa.

*Doktorze Kissinger, gdybym przystawiła panu do skroni pistolet i kazała panu wybierać między kolacją z Thieu a kolacją z Le Duc Tho... kogo by pan wybrał?*

Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

*A gdybym ja na nie odpowiedziała, mówiąc, że sprawia mi przyjemność myśleć, iż chętniej poszedłby pan na kolację z Le Duc Tho?*

Nie mogę, nie mogę... nie chcę odpowiadać na to pytanie.

*A zatem może pan odpowiedzieć na to: podobał się panu Le Duc Tho?*

Tak. Wydał mi się człowiekiem bardzo oddanym swojej sprawie, bardzo poważnym, bardzo silnym i zawsze uprzejmym, dobrze wychowanym. Czasami również bardzo twardym, a wręcz trudnym w pertraktacjach: ale właśnie to zawsze w nim szanowałem. Tak, bardzo szanuję Le Duc Tho. Naturalnie, nasz kontakt był bardzo profesjonalny, ale sądzę... Sądzę, że wyczułem w nim pewną łagodność. Prawdą jest na przykład, że chwilami udawało się nam nawet zażartować. Mówiliśmy, że pewnego dnia ja pojedę wyklądać stosunki międzynarodowe na uniwersytecie w Hanoi, a on przyjedzie wyklądać marksizm-leninizm na uniwersytecie w Harvardzie. Cóż, określiłbym nasze stosunki jako dobre.

*Czy to samo powiedziałby pan o Thieu?*

Również z Thieu miałem dobre stosunki. Wcześniej...

*Właśnie, wcześniej. Południowi Wietnamczycy powiedzieli, że nie przywitaliście się jak najlepsi przyjaciele.*

Co powiedzieli?

*Że nie przywitaliście się jak dobrzy przyjaciele, powtarzam. Czy stwierdziłby pan coś odwrotnego, doktorze Kissinger?*

Cóż... Oczywiście mieliśmy i mamy własne punkty widzenia. I niekoniecznie te same punkty widzenia. Powiedzmy zatem, że przywitaliśmy się jak sojusznicy, ja i Thieu.

*Panie Kissinger, zostało już udowodnione, że Thieu jest twardszą sztuką, niż się zdawało. Czy zatem również w jego przypadku czuje pan, że uczynił wszystko, co było do zrobienia, czy też ma pan nadzieję, że może pan zrobić coś jeszcze? Słowem, czy czuje się pan optymistą wobec problemu Thieu?*

Oczywiście, że czuję się optymistą! Mam jeszcze coś do zrobienia! Wiele do zrobienia! Wcale nie skończyłem, wcale nie skończyliśmy! I nie czuję się bezsilny. Nie czuję się zniechęcony. Wcale. Czuję się gotowy, ufny. Jestem optymistą. Jeśli nie mogę rozmawiać o Thieu, jeśli nie mogę pani powiedzieć, co teraz robimy i w jakim miejscu są nasze pertraktacje, nie oznacza to, że zamierzam utracić wiarę w możliwość ułożenia wszystkiego w czasie, o którym mówię. Oto dlaczego zbędne jest, żeby Thieu prosił was, dziennikarzy, byście kazali mi określić punkty, w których nie jesteśmy zgodni. Jest to tak zbędne, że nawet nie denerwuję się na takie żądanie. Zresztą nie jestem typem, który pozwala się ponieść emocjom. Emocje niczemu nie służą. A już najmniej ze wszystkiego służą osiągnięciu pokoju.

*Ale ten, kto umiera, kto jest umierający, spieszy się, panie Kissinger. W dzisiejszych gazetach było straszne zdjęcie: pokazuje młodziutkiego żołnierza Vietcongu, który zginął dwa dni po 31 października. Była też straszna wiadomość o dwudziestu dwóch Amerykanach, którzy zginęli w helikopterze zestrzelonym przez pocisk Vietcongu trzy dni po tej dacie. W czasie, kiedy pan krytykuje zbyt pospieszne działania, amerykański Departament Obrony wysłał Thieu nową broń i nową amunicję. Hanoi robi to samo.*

To było nieuniknione. Dzieje się tak zawsze przed przerwaniem ognia. Nie pamięta pani manewrów na Środkowym Wschodzie w czasie zawieszenia walk? Trwały przynajmniej dwa lata. Wie pani, fakt, że my wysyłamy nową broń do Sajgonu, a Hanoi wysłała nową broń północnym Wietnamczykom ulokowanym w Wietnamie Południowym, nic nie oznacza. Nic. Nic. I proszę nie kazać mi mówić więcej o Wietnamie.

*Nie chce pan też mówić o tym, że zdaniem wielu porozumienie przyjęte przez pana i Nixona jest praktycznie aktem poddania wobec Hanoi?*

To absurd! To absurd mówić, że prezydent Nixon, prezydent, który wobec Związku Radzieckiego i komunistycznych Chin, a także mając na względzie zbliżające się wybory, przyjął pozycję pomocy Wietnamowi Południowemu i jego obrony przeciwko temu, co uznawał za północnowietnamską inwazję... To absurd myśleć, że taki prezydent może poddać się Hanoi. I dlaczego miałby się poddać właśnie teraz? To, co zrobiliśmy, to nie była kapitulacja. To było

stworzenie Wietnamowi Południowemu możliwości przeżycia w warunkach, które są dzisiaj bardziej polityczne niż militarne. Teraz kolej na południowych Wietnamczyków, żeby wygrali polityczne rozgrywki, które ich czekają. To, co zawsze powtarzaliśmy. Jeśli porówna pani przyjęte porozumienie z naszymi propozycjami z 8 maja, zauważy pani, że chodzi niemal o to samo. Nie ma wielkich różnic między tym, co zaproponowaliśmy w maju, a tym co zawiera szkielet przyjętego porozumienia. Nie wprowadziliśmy nowych klauzul, nie poszliśmy na dalsze ustępstwa. Odrzucam całkowicie i absolutnie opinię o „kapitulacji”. Ale teraz naprawdę wystarczy już o Wietnamie. Porozmawiajmy o Machiavellim, o Cyceronie, o wszystkim, tylko nie o Wietnamie.

*Porozmawiajmy o wojnie. Pan nie jest pacyfistą, prawda?*

Nie, rzeczywiście nie sędzę, że bym nim był. Choć szanuję autentycznych pacyfistów, nie zgadzam się z żadnym pacyfistą, a szczególnie z pacyfistami połowicznymi, wie pani, takimi, którzy z jednej strony są pacyfistami, a z drugiej wprost przeciwnie. Jedyńi pacyfiści, z którymi zgadzam się rozmawiać, to ci, którzy ponoszą wszystkie konsekwencje braku przemocy. Ale również z nimi rozmawiam chętnie tylko po to, by im powiedzieć, że zostaną zmiażdżeni przez wolę silniejszych i że ich pacyfizm może ich doprowadzić wyłącznie do straszliwych cierpień. Wojna nie jest jakąś abstrakcją, jest czymś zależnym od warunków. Na przykład wojna przeciwko Hitlerowi była koniecznością. Nie chcę przez to powiedzieć, że wojna sama w sobie jest koniecznością, że narody powinny ją toczyć, by podtrzymać swoją męźność. Chcę powiedzieć, że istnieją zasady, o które narody powinny być przygotowane walczyć.

*A co ma mi pan do powiedzenia na temat wojny w Wietnamie, panie Kissinger? Pan nigdy nie był przeciwnikiem wojny w Wietnamie, jak mi się zdaje.*

Jak bym mógł? Również zanim osiągnąłem dzisiejszą pozycję... Nie, nigdy nie byłem przeciwnikiem wojny w Wietnamie.

*Ale czy nie sądzi pan, że ma rację Schlesinger, kiedy mówi, że wojna w Wietnamie pokazała tylko, jak pół miliona Amerykanów z całą swoją techniką nie było w stanie pokonać źle uzbrojonych ludzi w czarnych piżamach?*

To jest inny problem. Jeśli chodzi o to, czy wojna w Wietnamie była konieczna, słuszna, czy raczej... Osądy tego typu zależą od pozycji, jaką ktoś zajmuje, kiedy kraj jest już uwikłany w wojnę i nie pozostaje nic innego, niż obmyślić metodę, jak go stamtąd wycofać. Poza wszystkim moja i nasza rola polegała na coraz większym zmniejszaniu zaangażowania Ameryki w wojnę,

żeby potem tę wojnę skończyć. W ostatecznej ocenie historia osądzi, kto uczynił więcej: czy ci, którzy działali, wyłącznie krytykując, czy my, którzy próbowaliśmy ograniczyć wojnę, a potem ją zakończyliśmy. Tak, osąd należy do potomnych. Kiedy jakiś kraj jest zaangażowany w wojnę, nie wystarczy powiedzieć: trzeba ją skończyć. Trzeba ją skończyć rozsądnie. A to całkiem coś innego, niż powiedzieć, że przystąpienie do tej wojny było słuszne.

*Ale czy nie uważa pan, że była to wojna niepotrzebna?*

Co do tego, mogę się zgodzić. Ale nie zapominajmy, że celem, dla którego przystąpiliśmy do tej wojny, było uniemożliwienie pochłonięcia Południa przez Północ, pozwolenie, by Południe pozostało na Południu. Naturalnie nie chcę przez to powiedzieć, że to był nasz jedyny cel... Było też coś więcej... Ale dzisiaj moje położenie nie pozwala mi osądzać, czy wojna w Wietnamie była słuszna, czy też nie, czy przystąpienie do niej było potrzebne, czy niepotrzebne. Ale my wciąż rozmawiamy o Wietnamie?

*Tak. I rozmawiając nadal o Wietnamie, czy sądzi pan, że może powiedzieć, iż prowadzone przez pana negocjacje były i są najważniejszym zadaniem w pańskiej karierze, a może w pańskim życiu?*

Były najtrudniejszym zadaniem. Często również najbardziej bolesnym. Być może nie jest nawet słuszne określenie ich jako najtrudniejszego zadania, właściwiej jest powiedzieć, że były najboleśniejszym zadaniem. Ponieważ zaangażowały mnie emocjonalnie. Widzi pani, zbliżenie się do Chin było pracą trudną intelektualnie, ale nie emocjonalnie. Pokój w Wietnamie był natomiast pracą trudną emocjonalnie. Jeśli chodzi o określenie tych negocjacji jako najważniejszej rzeczy, której dokonałem... Nie, to, co chciałem osiągnąć, to nie był tylko pokój w Wietnamie, chodziło o trzy rzeczy. O to porozumienie, o zbliżenie z Chinami i o nowe stosunki ze Związkiem Radzieckim. Zawsze bardzo mi zależało na kwestii nowych stosunków ze Związkiem Radzieckim. Powiedziałbym, nie mniej niż na zbliżeniu z Chinami i na zakończeniu wojny w Wietnamie.

*I udało się panu. Powiódł się ruch z Chinami, powiódł się ruch z Rosją, prawie powiódł się ruch z zawarciem pokoju w Wietnamie. W tym momencie pytam pana o to, o co pytałam astronautów, kiedy lecieli na Księżyc: „What after that? Co zrobisz po Księżycu, czego jeszcze będziesz mógł dokonać w twoim zawodzie astronauty?”*

Ach! I co odpowiadali pani astronauty?

*Byli zmieszani i odpowiadali: „Zobaczmy... Nie wiem”.*



To tak jak ja. Naprawdę nie wiem, co będę robił potem. Ale w przeciwieństwie do astronautów nie jestem z tego powodu zmieszany. W moim życiu zawsze znajdowałem tyle rzeczy do robienia i jestem pewny, że kiedy opuszczę to stanowisko... Naturalnie będę potrzebował czasu na dojście do siebie, okresu odprężenia, nie można znajdować się na pozycji takiej jak ja, potem opuścić ją i zacząć natychmiast coś innego. Ale kiedy już się odprężę, jestem przekonany, że znajdę zajęcie, któremu warto będzie się poświęcić. Nie chcę myśleć o tym teraz, wpłynęłoby to na moje... na moją pracę. Przeżywamy tak rewolucyjny czas, że planowanie własnego życia jest zachowaniem w stylu dziewiętnastowiecznych drobnomieszczan.

*Czy wróciłby pan do nauczania na Harvardzie?*

Mógłbym. Ale jest to bardzo mało prawdopodobne. Istnieją ciekawsze rzeczy; a jeśli ze wszystkimi swoimi doświadczeniami nie znalazłbym sposobu na kontynuowanie interesującego życia... to będzie tylko moja wina. Zresztą wcale jeszcze nie postanowiłem rzucać tej pracy. Bardzo ją lubię, wie pani?

*Oczywiście. Władza jest zawsze pociągająca. Doktorze Kissinger, w jakim stopniu władza pana fascynuje? Proszę, niech pan spróbuje być szczery.*

Będę. Widzi pani, kiedy ma się w ręku władzę, i kiedy ma się ją w ręku przez długi czas, w końcu uznaje się ją za coś, co się nam należy. Jestem pewien, że kiedy opuszczę to stanowisko, odczuję brak władzy. Jednak władza jako narzędzie samo w sobie nie ma dla mnie żadnego uroku. Nie budzę się każdego ranka, mówiąc, do licha, czy to nie nadzwyczajne, że mogę mieć do własnej dyspozycji samolot, że auto z szoferem czeka na mnie przed domem? Kto by kiedyś powiedział, że stanie się to możliwe? Nie, takie gadanie mnie nie interesuje. A jeśli coś takiego mi się zdarzy, nie stanie się na pewno elementem decydującym. Mnie interesuje to, co można zrobić, mając władzę. Można zrobić wspaniałe rzeczy, niech mi pani wierzy... W każdym razie to nie poszukiwanie władzy popchnęło mnie w stronę tego zajęcia. Jeśli prześledzi pani moją przeszłość polityczną, odkryje pani, że prezydent Nixon nie mógł być częścią moich planów. Trzy razy byłem przeciwko niemu podczas wyborów.

*Wiem. Raz oświadczył pan nawet, że Nixon „nie nadaje się na prezydenta”. Czy zdarza się panu czasem czuć z tego powodu zażenowanie wobec Nixona?*

Nie pamiętam dokładnych słów, jakie mogłem wypowiedzieć przeciwko Richardowi Nixonowi. Ale przypuszczam, że powiedziałem mniej więcej w taki sposób, skoro powtarza się to zdanie w cudzysłowie. W każdym razie, jeśli tak powiedziałem, stanowi to dowód, że Nixon

nie był częścią moich planów wspinania się po szczeblach władzy. Jeśli zaś chodzi o to, czy czuję się wobec niego zażenowany. Ja w owym czasie go nie znałem. Przyjmowałem w stosunku do niego konwencjonalną postawę intelektualistów, czy jasno się wyrażam? Ale myliłem się. Prezydent Nixon pokazał wielką siłę, wielką zręczność. Również wzywając mnie. Nie byłem blisko niego, kiedy zaferował mi tę pracę. Wprawilo mnie to w osłupienie. Wiedział przecież o niewielkiej przyjaźni i znikomej sympatii, jaką zawsze mu okazywałem. O, tak, dał dowód wielkiej odwagi, powołując mnie.

*Nie stracił na tym, doktorze Kissinger. Poza zarzutem, który pada dziś pod pańskim adresem, że jest pan umyslową niańką Nixona.*

Jest to zarzut pozbawiony sensu. Nie zapominajmy, że prezydent Nixon, zanim mnie poznał, był bardzo aktywny w polityce zagranicznej. Zawsze go ona pochłaniała. Jeszcze zanim został wybrany, widać było, jak niezwykle ważną kwestią jest dla niego polityka zagraniczna. Ma w tej dziedzinie bardzo wyraziste poglądy. To silny człowiek. Zresztą nie zostaje się prezydentem Stanów Zjednoczonych, nie jest się dwukrotnie nominowanym jako kandydat w wyborach prezydenckich, nie trwa się tak długo w polityce, będąc słabym człowiekiem. Może pani myśleć, co chce, o prezydencie Nixonie, ale jedno jest pewne: nie zostaje się dwukrotnie prezydentem, jeśli jest się narzędziem kogoś innego. Pewne interpretacje są romantyczne i niesłuszne.

*Czy jest pan do niego bardzo przywiązany?*

Mam dla niego wielki szacunek.

*Doktorze Kissinger, ludzie mówią, że Nixon pana zupełnie nie obchodzi. Mówią, że dla pana ważne jest pańskie zajęcie i nic więcej. Mówią, że robiłby pan to z każdym prezydentem.*

Ja natomiast wcale nie jestem pewny, że mógłbym robić z innym prezydentem to, co zrobiłem z Nixonem. Tak szczególny związek, to znaczy związek, jaki istnieje między mną a prezydentem, zależy zawsze od stylu obydwu ludzi. Innymi słowy, nie znam wielu przywódców, a poznałem ich sporo, którzy mieliby odwagę wysłać swojego asystenta do Pekinu, nikomu o tym nie mówiąc. Nie znam wielu przywódców, którzy pozostawiliby swojemu asystentowi zadanie negocjowania z północnymi Wietnamczykami, informując o tym jedynie małą grupkę osób. Naprawdę, pewne rzeczy zależą od typu prezydenta, to, co zrobiłem, było możliwe, ponieważ on mi to umożliwił.

*A jednak był pan również doradcą innych prezydentów. Nawet takich, którzy byli przeciwnikami Nixona. Mówię o Kennedym, Johnsonie...*

Moja postawa wobec wszystkich prezydentów była zawsze taka, że to im pozostawiałem decyzję, czy chcą poznać moje zdanie, czy też nie. Kiedy mnie o to prosili, przedstawiałem moją opinię, mówiąc każdemu, bez różnicy, co myślę. Nigdy nie obchodziła mnie partia, do której należeli. Z taką samą niezależnością odpowiadałem na pytania Kennedy'ego, Johnsona, Nixona. Dawałem im takie same rady. Z Kennedym było trudniej, to prawda. W istocie, zwykło się mówić, że nie byłem z nim za bardzo w zgodzie. Cóż... tak, zasadniczo była to moja wina. W owym czasie byłem dużo bardziej niedojrzały niż teraz. Poza tym byłem doradcą w wolnych chwilach, nie można wpływać na codzienną politykę prezydenta, widując go dwa razy w tygodniu, podczas gdy inni widują go siedem razy w tygodniu. To znaczy... z Kennedym i z Johnsonem nigdy nie byłem w sytuacji porównywalnej do tej, jaką mam teraz z Nixonem.

*Żadnego makiawelizmu, doktorze Kissinger?*

Nie, żadnego. A czemu?

*Ponieważ w pewnych chwilach, słuchając pana, można się zastanawiać nie nad tym, jak bardzo pan wpłynął na prezydenta Stanów Zjednoczonych, ale w jaki sposób Machiavelli wpłynął na pana.*

W żaden. We współczesnym świecie jest naprawdę bardzo niewiele z Machiavellego, co można by przyjąć albo zastosować. Dla mnie u Machiavellego ciekawy jest tylko sposób, w jaki rozważa on wolę księcia. Ciekawy, ale nie do tego stopnia, żeby na mnie wpływać. Jeśli chce pani wiedzieć, kto miał na mnie większy wpływ, odpowiem nazwiskami dwóch filozofów: Spinozy i Kanta. Tak więc to dziwne, że kojarzy mnie pani z Machiavellim. Ludzie łączą mnie raczej z Metternichem. Co jest wręcz infantylne. Na temat Metternicha napisałem tylko jedną książkę, która miała być początkiem długiej serii książek dotyczących budowy i rozpadu międzynarodowego porządku w XIX wieku. Była to seria, która miała się zamknąć na pierwszej wojnie światowej. To wszystko. Nie mogę mieć nic wspólnego z Metternichem. On był kanclerzem i ministrem spraw zagranicznych w okresie, kiedy potrzeba było trzech tygodni, żeby z Europy Środkowej przemieścić się z jednego kontynentu na drugi. Był kanclerzem i ministrem spraw zagranicznych w okresie, kiedy wojny toczono przez zawodowych żołnierzy, zaś dyplomacja znajdowała się w rękach arystokracji. Jak można to porównywać z dzisiejszym

światem, światem, w którym nie istnieje żadna jednolita grupa przywódców, żadna jednolita sytuacja wewnętrzna, żadna jednolita rzeczywistość kulturowa?

*Doktorze Kissinger, ale jak pan wyjaśni niewiarygodne gwiazdorstwo, które pana wyróżnia, jak wyjaśni pan fakt, że jest pan niemal bardziej sławny i popularny od prezydenta? Czy ma pan w tej sprawie jakąś teorię?*

Tak, ale jej pani nie wyjawię. Ponieważ nie jest zbieżna z teorią większości. Na przykład z teorią dotyczącą inteligencji. Inteligencja nie jest aż tak ważna w sprawowaniu władzy, a często jest wręcz nieprzydatna. Tak samo jak szef państwa, człowiek, który wykonuje mój zawód, nie musi być koniecznie bardzo inteligentny. Moja teoria jest całkowicie odmienna, ale, powtarzam, nie wyjawię jej pani. Dlaczego miałbym, dopóki jestem w trakcie wykonywania swojej pracy? Proszę mi raczej powiedzieć, jakie jest pani wyjaśnienie. Jestem pewny, że pani również ma jakąś teorię na temat powodów mojej popularności.

*Nie jestem tego pewna, doktorze Kissinger. Szukam jakiejś teorii poprzez ten wywiad. I nie znajduję jej. Przypuszczam, że u źródeł wszystkiego leży sukces. To znaczy, jak w przypadku szachisty, udały się panu dwa albo trzy posunięcia. Przede wszystkim Chiny. Ludzie lubią szachistów zbijających króla.*

Tak, Chiny były dla mojego sukcesu niezwykle ważnym elementem. Jednak nie jest to zasadniczy punkt. Zasadniczy punkt... A tak, powiem to pani. W końcu, co mi zależy? Chodzi o to, że zawsze działałem sam. Amerykanom niezmiernie się to podoba. Amerykanie lubią kowboja, który prowadzi kolumnę, jadąc samotnie z przodu na swoim koniu, kowboja, który wkracza sam do miasta, do miasteczka, tylko ze swoim koniem i tyle. Może nawet bez rewolweru, bo on nie strzela. On działa, kierując się we właściwe miejsce we właściwym momencie. Słowem, western.

*Zrozumiałam. Widzi się pan jako ktoś w rodzaju Henry'ego Fondy, bezbronnego i gotowego bić się o uczciwe ideały. Samotnego, odważnego...*

Niekoniecznie odważnego. W istocie kowboj nie musi być odważny. Wystarcza mu, że jest samotny, że pokazuje innym, jak wchodzi do miasta, i robi wszystko sam. Ta romantyczna, zdumiewająca postać zdecydowanie mi odpowiada, ponieważ bycie samym było zawsze częścią mojego stylu lub, jeśli pani woli, mojej techniki. Razem z niezależnością. Och, ta cecha jest bardzo we mnie i dla mnie ważna. Wreszcie, przekonanie. Jestem zawsze przekonany, że powinienem robić to, co robię. A ludzie to czują, wierzą w to. Mnie zaś zależy na tym, żeby mi

wierzyli: kiedy kogoś się wzrusza albo zdobywa, nie należy go oszukiwać. Nie można też kalkulować, i tyle. Niektórzy uważają, że ja skrupulatnie planuję, jakie wrażenie wywrze na społeczeństwie jakaś moja inicjatywa albo staranie. Sądzą, że troska taka nie opuszcza mojej głowy. Tymczasem konsekwencje tego, co robię, to znaczy społeczna ocena, nigdy mnie nie niepokoiły. Ja nie domagam się popularności, nie szukam popularności. A wręcz, jeśli naprawdę chce pani wiedzieć, popularność nic mnie nie obchodzi. Zupełnie się nie boję utraty zwolenników, mogę sobie pozwolić na to, by mówić, co myślę. Nawiązuję do autentyczności, która jest we mnie. Gdybym pozwolił sobie niepokoić się reakcjami społecznymi, gdybym poruszał się popychany wyłącznie wykalkulowaną techniką, niczego nie doprowadziłbym do skutku. Niech pani spojrzy na aktorów: ci naprawdę dobrzy nie posługują się wyłącznie techniką. Grają, idąc jednocześnie za techniką i za swoim przekonaniem. Są jak ja autentyczni. Nie mówię, że to wszystko musi trwać wiecznie. To wręcz może wyparować z taką samą szybkością, z jaką przyszło. Tymczasem jednak jest.

*Czy mówi mi pan może, że jest człowiekiem spontanicznym, doktorze Kissinger? Mój Boże, jeśli odłożę na bok Machiavellego, pierwszą postacią, z którą w naturalny sposób mi się pan kojarzy, jest chłodny, opanowany aż do bólu matematyk. Może się mylę, ale jest pan bardzo zimnym człowiekiem, panie Kissinger?*

W taktyce, nie w strategii. W istocie bardziej wierzę w stosunki między ludźmi niż w idee. Posiłkuję się ideami, ale potrzebuję stosunków z ludźmi, jak pokazałem w swojej pracy. W gruncie rzeczy, czy to, co mi się przytrafiło, nie przytrafiło mi się przypadkiem? Do licha, byłem zupełnie nieznanym profesorem. Jak mogłem powiedzieć samemu sobie: „Teraz pokieruję tak sprawami, że stanę się znany na arenie międzynarodowej”? Byłoby to czyste szaleństwo. Chciałem być tam, gdzie dzieją się ważne rzeczy, to prawda, ale nigdy nie płaciłem za to, żeby się tam znaleźć. Nigdy nie poszedłem na ustępstwa. Zawsze poddawałem się spontanicznym decyzjom. Ktoś mógłby powiedzieć: zatem stało się, ponieważ miało się stać. Mówi się tak zawsze, kiedy coś się już wydarzy. Nigdy nie mówi się tak o rzeczach, które się nie wydarzają, nigdy nie została napisana historia rzeczy, które się nie zdarzyły. W pewnym sensie jestem jednak fatalistą. Wierzę w przeznaczenie. Jestem przekonany, że trzeba walczyć, aby osiągnąć cel. Uważam też jednak, że istnieją granice walki, jaką człowiek może toczyć dla osiągnięcia celu.

*Jeszcze jedna sprawa, panie Kissinger: jak udaje się panu pogodzić straszliwą odpowiedzialność, jaką pan na siebie wziął, i frywolną reputację, jaką pan się cieszy? Jak pan to robi, żeby Mao Tse-tung, Czou En-laj, Le Duc Tho brali pana na serio, a potem by oceniano pana jako beztroskiego uwodziciela kobiet albo wręcz playboya? Czy to pana nie krępuje?*

Zupełnie nie. Dlaczego miałoby mnie to krępować, kiedy idę na negocjacje z Le Duc Tho? Kiedy rozmawiam z Le Duc Tho, wiem, co mam robić z Le Duc Tho, a kiedy jestem z dziewczynami, wiem, co mam robić z dziewczynami. Zresztą Le Duc Tho nie dlatego zgadza się ze mną negocjować, że reprezentuję przykład czystej prostolinijności. Zgadza się na negocjacje ze mną dlatego, że chce ode mnie pewnych rzeczy, tak samo jak ja chcę pewnych rzeczy od niego. Widzi pani, w przypadku Le Duc Tho, tak samo jak w przypadku Czou En-laja i Mao Tse-tunga, myślę, że reputacja playboya była i jest mi potrzebna, ponieważ służyła i służy temu, by ludzie wiedzieli, co o mnie myśleć. Żeby im pokazać, że nie jestem obiektem muzealnym. W każdym razie ta reputacja frywolnego człowieka bawi mnie.

*I pomyśleć, że ja uważałam ją za reputację niezasłużoną, słowem, bardziej za inscenizację niż prawdę.*

Cóż, częściowo jest przesadzona, to oczywiste. Ale po części, przynajmniej, jest prawdziwa. Nie liczy się to, w jakim stopniu jest prawdziwa czy też w jakim stopniu poświęcam się kobietom. Liczy się to, w jakim stopniu kobiety stanowią część mojego życia, jego treść. Ale zupełnie tym nie są. Dla mnie kobiety są wyłącznie rozrywką, hobby. Nikt nie poświęca nadmiernego czasu na hobby. To, że poświęcam im ograniczony czas, można zrozumieć, jeśli zajrzy się do mojego notesu. Powiem pani więcej: nierzadko wolę zobaczyć się z moimi dziećmi. W istocie widuję je często, choć nie tak jak kiedyś. Z reguły spędzam z nimi Boże Narodzenie, ważne święta, kilka tygodni w lecie i jeżdżę do Bostonu raz w miesiącu. Żeby je odwiedzić. Oczywiście wie pani, że jestem od lat rozwiedziony. Nie, fakt, że jestem rozwiedziony, nie ciąży mi. Fakt, że nie mieszkam z dziećmi, nie wywołuje u mnie poczucia winy. Od chwili, kiedy moje małżeństwo się skończyło, a nie skończyło się z winy jednej czy drugiej strony, nie było powodu, by rezygnować z rozwodu. Zresztą jestem dużo bliżej z dziećmi teraz, niż kiedy byłem mężem ich matki. Jestem też w tej chwili dużo z nimi szczęśliwszy.

*Czy jest pan przeciwko małżeństwu?*

Nie. Małżeństwo czy też jego brak to dylemat, którego nie można rozwiązać jako kwestię zasady. Mogłoby się zdarzyć, że ponownie się ożenię... tak, mogłoby się tak zdarzyć. Ale wie

pani, kiedy jest się poważnym człowiekiem jak ja, to koniec końców, koegzystować z drugą osobą i przetrwać taką koegzystencję jest bardzo trudno. Związek między kobietą a takim jak ja typem jest nieuchronnie bardzo skomplikowany... Trzeba być rozważnym. Och, trudno mi to wyjaśnić. Nie jestem osobą, która zwierza się dziennikarzom.

*Zauważyłam, doktorze Kissinger. Nigdy nie przeprowadzałam wywiadu z kimś, kto tak bardzo uchylałby się przed pytaniami i precyzyjnymi określeniami, z nikim, kto tak jak pan broniłby się przed czyjąś próbą przeniknięcia swojej osobowości. Czy jest pan nieśmiały, panie Kissinger?*

Tak. Dosyć. Sądzę natomiast, że jestem bardzo zrównoważony. Widzi pani, niektórzy przedstawiają mnie jako osobę niespokojną, tajemniczą, inni zaś pokazują mnie jako człowieka niemal wesołego, który ciągle się uśmiecha, wciąż się śmieje. Obydwa wizerunki są nie do końca prawdziwe. Nie jestem ani jednym, ani drugim. Jestem... Nie powiem pani, kim jestem. Nigdy nikomu tego nie powiem.

*Waszyngton, listopad 1972*

## Nguyen Van Thieu

Spotkanie z Nguyenem Van Thieu wyznaczone było na ósmą rano w pałacu prezydenckim w Sajgonie, do którego prezydent zapraszał mnie na wspólne śniadanie. Punktualnie o ósmej Nguyen Van Thieu wszedł do sali, gdzie czekałam na niego w towarzystwie jego specjalnego doradcy Hoanga Duc Nha i fotografa gazety, dla której pracowałam. Powitały mnie szeroki uśmiech na gładkiej, okrągłej twarzy, niespodziewana uprzejmość w głosie i w oczach. Thieu podszedł, wyciągając dłoń, i od razu zaczął od żartu. „Kto z was dwojga jest szefem?”, zapytał, celując krótkim palcem wskazującym w fotografa i we mnie. „Obydwoje”, odparł fotograf. „Wcale nie – zażartowałam w odpowiedzi. – Ja jestem szefem, choć on jest wysoki, a ja malutka”. I może dlatego, że pan prezydent był bardzo malutki, mniejszy nawet ode mnie, odpowiedź mu się spodobała. Wybuchnął pełnym aprobaty śmiechem i zakrzyknął: „Słusznie. Całkowicie się zgadzam. Władzy się nie dzieli. Musi ją mieć jeden człowiek i basta”. Ten właśnie pogląd potwierdził na zakończenie wywiadu, kiedy podekscytowany powie: „Proszę mnie zapytać, kto jest tutaj szefem”. Ja na to: „Kto jest tutaj szefem?”. A on: „Ja! To ja jestem szefem! *Moi! C'est moi! C'est moi le chef!*”. Opisano mi go jako człowieka bardzo zamkniętego, dlatego byłam oszołomiona. Zastanawiałam się wręcz, czy ta jego otwartość i wesołość nie były rezultatem bombardowań Hanoi, trwających nieubłagane od wielu dni. Wiadomość, że Amerykanie znów je zawiesili, a Kissinger ma się ponownie spotkać z Le Duc Tho, jeszcze do niego nie dotarła.

Thieu miał na sobie szary garnitur z jasną koszulą. Dwa dni wcześniej przysłał do mnie zapytanie, czy wolę, by był w galowym mundurze, czy po cywilnemu, a ja odpowiedziałam: „Po cywilnemu, na litość boską”. Jednak, podobnie jak w przypadku wielu wojskowych, cywilny strój do niego nie pasował i to powodowało pewną niezręczność, którą skażony był każdy jego gest. Na przykład wysiłek, jaki czynił, abym czuła się mile widziana albo uznała go za doskonałego gospodarza. O Boże, czy pora nie jest dla mnie za wczesna? Czy piłam już kawę? Czy jego mały *breakfast* będzie mi smakował? Proszę, przejdźmy do tej drugiej sali. Proszę, niech się pani rozgości. Sam usiadł u szczytu stołu, z serwetką wetkniętą za kołnierzyk koszuli i kiedy fotograf wykonał gest, że zaraz zrobi zdjęcie, Nha zaczął balet porozumiewawczych mrugnięć, błagalnych spojrzeń wzywających go do wyjęcia serwetki zza kołnierzyka, na litość boską. On nie rozumiał. Pytającym wzrokiem zdawał się odpowiadać: „Ale czego chcesz, o co ci



chodzi?”. Wreszcie pojął i wyjął serwetkę. Zakłopotany, czerwieniąc się. Jednak jego nadąsana mina zdawała się komentować: „Ale czemu? Co w tym złego? Teraz się poplamie i żona będzie zła”. Naha siedział po jego lewej stronie, bacząc na każdy błąd. Ja siedziałam po prawej. Stół nakryty był starannie, śniadanie zbyt obfite. Zupa rybna, jarzyny, zrazy, desery, herbata, kawa, nadszkiewanie: „Proszę jeść, proszę. To dobre, wie pani? Dobre, gorące. No proszę, nie jest pani głodna?”.

Rozmowa rozwinęła się, ledwie zadałam pierwsze pytanie: „Pan zawsze tak wcześnie się budzi, panie prezydencie?”. Czekał z niecierpliwością, żebym mu coś powiedziała. Podskoczył. „Och, tak! Prawie zawsze. O szóstej trzydzieści, proszę sobie wyobrazić, żeby wysłuchać wiadomości radiowych”. Jednak w łóżku zostaje do wpół do ósmej, żeby chwilę pomyśleć. O ósmej jest już gotowy, by spotkać się z generałami, ministrami i wypalić cygaro. „Tylko jedno. Wystarcza mi na cały dzień. Robię tak od dwóch lat, dwóch i pół, odkąd przestałem palić fajkę. To zupełnie nie pasuje, żeby prezydent palił fajkę, nie wydaje się pani? Dla prezydenta właściwsze jest cygaro, prawda?”. Bóg jeden wie, kto mu powiedział, że prezydent nie pali fajki, tylko cygaro. W każdym razie mógł to być tylko jakiś Amerykanin, a takie bajdurzenie skłania natychmiast do pewnej litości: „Oczywiście, panie prezydencie. Prawda”. Wieczorem chodzi spać bardzo późno. Do drugiej w nocy nigdy nie śpi. Zасыpiając, zostawia włączone radio, więc jest również włączone, kiedy śpi. Tak się przyzwyczaił do spania z włączonym radiem i do odróżniania przez sen muzyki od słów, że kiedy muzyka ustaje i zaczynają się wiadomości, natychmiast otwiera oczy i słucha w pełnej przytomności umysłu. Żebym jednak nie pomyślała, że nie umie docenić życia. Czasami grywa w tenisa, jeździ konno, a trzy albo cztery razy w tygodniu każe pokazywać sobie film. Historie sentymentalne, westerny, filmy o judo i karate. Jedyna rzecz, na jaką nie ma czasu, to czytanie. Zbyt absorbujące, nieprawdaż? „Oczywiście, panie prezydencie. Rozumiem”.

Jedząc z apetytem, wręcz zachłannie, opowiedział mi o swojej młodości, o karierze wojskowej, o udziale w zamachu stanu przeciwko Diemowi; nazwisko Diema przywołało u niego nieoczekiwany smutek. „Obiecali mi, że go nie zabiją. Powiedziałem im: w porządku, wezmę udział pod warunkiem, że nie zostanie zabity. Tymczasem ci idioci go zabili. Ci nieodpowiedzialni szaleńcy. Sprawilo mi to ból, który wciąż tu jest, między głową a sercem. W każdą rocznicę jego śmierci każe odprawiać mszę, tu, w mojej kaplicy. I zawsze się za niego modłę, za jego duszę”. Wydawał się szczery. Nic w nim nie zdradzało diabolicznej przebiegłości,

dzięki której pozostał aż do dziś tyranem chronionym przez armię złożoną z miliona ludzi i przez dokonujący rzezi korpus policji. Stopniowo ze zdziwieniem zastanawiałeś się, czy rzeczywiście jest taki perfidny, jak się mówi. I myślałeś: może tę zadowoloną minę ma nie dlatego, że na Hanoi spadają bomby; ta jowialność to komedia, która ma pokryć nieśmiałość byłego wieśniaka. Może nie zaatakował cię z tą historią o władzy, której się nie dzieli, *le-chef-c'est-moi*, bo jest zarozumiały, ale po prostu dlatego, że boi się, iż nie będzie traktowany poważnie. To dziwne, może paradoksalne, a nawet naiwne: wiedząc, że jest ponurym dyktatorem, wiedząc, że południowowietnamskie więzienia pełne są żołnierzy Vietcongu, nienawidząc go i nienawidząc od zawsze wszystkiego tego, co sobą reprezentował – zrabowaną i niezasłużoną władzę, ignorancję, korupcję, posłuszeństwo wobec silniejszego, nadużycia – mimo woli i z gniewem człowiek zaczynał czuć do niego sympatię. Wydawał się taki mały, taki zagubiony, taki samotny. Wydawał się symbolem kraju zdeptanego, wykorzystanego, poniżonego przez interesy tych, którzy bawią się cudzym losem jak składaną zabawką. Globalne strategie Henry’ego Kissingera. Jego menuety z Chinami i Rosją. Cynizm kogoś, kto pewnego dnia mówi ci: „Musisz wydać wojnę komunistom! Komuniści są źli! Musisz ich zabić!”. A następnego dnia mówi: „Dlaczego prowadzisz wojnę z komunistami? Komuniści nie są źli! Nie trzeba ich zabijać, rozumiałeś? Podpisz tu i trzymaj cygaro. Nie pali się fajki. Amerykańscy prezydenci zawsze palili cygara”. Zbuntował się, żeby spostrzec, że stracił przyjaciół, a może nigdy nie miał przyjaciół, tylko panów. Teraz szukał przyjaciela. Choćby na godzinę, na jeden poranek, w zagranicznej dziennikarce, której nigdy wcześniej nie widział i o której wiedział, że nie jest mu przyjazna. „Och, *mademoiselle*! Czasami wydaje mi się, że nic więcej nie można zrobić, tylko modlić się do Boga, *mademoiselle*!”.

Kiedy śniadanie dobiegło końca, przy całej niedogodności, jaką może odczuwać Europejka, jedząc zupę rybną o ósmej rano, zapytał mnie grzecznie, czy zechcę kontynuować wywiad w jego gabinecie, może fotograf będzie wolał inne tło dla swoich zdjęć. Tak więc przenieśliśmy się do jego gabinetu i zostaliśmy tam do wpół do pierwszej. Rozmawialiśmy niemal cały czas po francusku, w języku, w którym studiował. Tylko kiedy chciał dobrze wyjaśnić jakąś myśl, w swojej rozpaczliwej potrzebie wytłumaczenia się, bycia przez kogoś zrozumianym, powtarzał zdanie po angielsku. Ale jego angielski nie był dobry i dlatego prosił Nha, by przyszedł mu z pomocą. Chwilami miał łzy w oczach. Chwilami głos mu się załamywał w natychmiast opanowywanym szloch. Trząsł się z gniewu, z bólu, z pasji. A także z poczucia

godności: „Panowie Amerykanie, powiedziałem im! *Messieurs les Américains!* Ja nie mam zupełnie nic do sprzedania Rosji i Chinom! Dla mnie to kwestia życia albo śmierci! *To be or not to be!*”. Słowem, w nim i w jego tragedii była pewna godność. Czy dobrze go zrozumieliśmy? Że nie jest już śmieszną marionetką Amerykanów, jak sądziliśmy? A ponieważ zawsze dobrze jest zrehabilitować człowieka, każdego człowieka, nawet złego, przyjemność sprawiało mi okazywanie mu zrozumienia i pewnego respektu.

Czy się myliłam? Teraz obawiam się, że tak. W istocie niemal za każdym razem, kiedy próbowałam okazać jakiemuś możnowładcy zrozumienie i respekt, niemal za każdym razem, kiedy próbowałam rozgrzeszyć choćby częściowo jakiegoś sławnego sukinsyna, potem gorzko tego żałowałam. Mimo swojej gadaniny Thieu bardzo szybko podpisał to, co chciał Kissinger. A po podpisaniu utrzymał swoje przepelnione więzienia, odmówił rozpisania obiecanych wyborów, nigdy nie usiadł do negocjacji z Vietcongiem. A kiedy Sajgon upadał, uciekł jak tchórz, a wręcz jak złodziej. Schronił się w Londynie, gdzie ukrył pieniądze zrabowane swojemu ludowi. *Le chef c'est moi.*

*ORIANA FALLACI. Panie prezydencie, nie jest już tajemnicą, że między panem a Amerykanami panuje dziś bardziej wrogość niż przyjaźń. Stanowczość, z jaką odrzucił pan w październiku porozumienie zaakceptowane przez Kissingera, chłód, z jakim przyjął pan w Boże Narodzenie generała Haiga, wszystko to pokazuje, że właściwie jesteście na noże. Ludzie zastanawiają się, co o tym dramacie myśli Thieu.*

*NGUYEN VAN THIEU. Mademoiselle...* Ja nie jestem tajemniczym typem, jak wielu uważa. Przeciwnie, jestem człowiekiem bardzo otwartym. Nigdy niczego nie ukrywam, nawet w polityce, i nie słucham tych, którzy radzą mi, żebym nie mówił, co myślę, albo mówił coś odwrotnego. W istocie zawsze im odpowiadam: „Trzeba to powiedzieć. Bez ogródek”. Ale kiedy dotyka się takiego tematu, muszę pamiętać, że reprezentuję Wietnam Południowy. Jako prezydent Thieu nie mogę sobie pozwolić na luksus bycia otwartym wrogiem Stanów Zjednoczonych, które tak czy inaczej, pozostają moimi przyjaciółmi, sojusznikami. Poza tym obiecałem Nixonowi, że nawet jeśli pojawią się rozbieżności, pozostaniemy sojusznikami i nie będziemy uważać się za wrogów. *Mademoiselle*, czy między żoną a mężem nie ma nigdy kłótni? I czy z tego powodu stają się wrogami? To nie wszystko: kłótnie między żoną a mężem powinny odbywać się w sypialni po zamknięciu drzwi na klucz. Dzieci nie powinny widzieć rodziców szarpiących się za włosy. Z przyjaciółmi jest tak samo. W moim interesie, w interesie Stanów

Zjednoczonych leży unikanie wszelkich publicznych awantur, które przysłużyłyby się komunistom.

*Rozumiem. Ale kiedy rozmawiałam z Henrym Kissingerem, odniosłam wrażenie, że między wami dwoma nie panuje szalona miłość, i pańska ostrożność trochę mnie dziwi, panie prezydencie.*

*Vous savez, mademoiselle...* Trzeba umieć zapominać. Tak, zapominać. Kiedy prowadzi się kraj naprzód, nie ma co zachowywać urazy. Moje dyskusje z doktorem Kissingerem były bardzo szczerze. Chwilami wręcz twarde. Ośmieliłbym się powiedzieć, bardzo twarde. W gruncie rzeczy pozostawały jednak dyskusjami przyjacielskimi i... słowem: powinienem traktować go jak przyjaciela. Po jego wyjeździe wszyscy dziennikarze w Sajgonie pytali mnie: „Jak tam nieporozumienie?”. A ja odpowiadałem: „Kiedy mówi się o nieporozumieniu, trzeba mówić o porozumieniu. Między nami dwoma istnieją porozumienia i nieporozumienia”. *Mademoiselle...* powiedziałem Amerykanom: nie. Czego chce pani więcej? Kiedy mówię nie, to jest nie. Ale nie nadeszła jeszcze chwila, by oznajmić światu, że wszystko skończone. Jest jeszcze nadzieja na pokój. Ja wciąż ufam, że pokój nastąpi. Mógłby nadejść nawet za kilka tygodni, za miesiąc. Nie ma powodu poddawać się rozpacz.

*To zatem prawda, że pańskie „nie” to jest „nie” w stylu wietnamskim. To znaczy „nie”, które mogłoby znaczyć „tak”.*

Skądże. Kiedy mówię nie, to znaczy nie, powtarzam pani. A kiedy mówię całkowicie-się-z-wami-nie-zgadzam-panowie-Amerykaniechoć-pozostaję-waszym-przyjacielem, to znaczy właśnie tyle. Zawsze utrzymywałem, że doktor Kissinger, jako negocjator i przedstawiciel Nixona, ma święty obowiązek konsultować się ze mną i porównywać mój punkt widzenia z amerykańskim punktem widzenia. Oczekiwałem zawsze, że rząd Stanów Zjednoczonych będzie popierał moje zdanie i pomoże mi przekonać komunistów, żeby zmodyfikowali swoje żądania. Żeby to nie było ogólne, powiem pani, jakie są dwa podstawowe punkty zaakceptowane przez Kissingera, a odrzucone przeze mnie. Pierwszy to obecność oddziałów północnowietnamskich w Wietnamie Południowym. Drugi to formuła polityczna, jaką północni Wietnamczycy chcieliby narzucić naszej przyszłości. Podobnie jak całe porozumienie, te dwa punkty zostały obmyślane przez komunistów w Paryżu. Tak więc wyjaśniłem doktorowi Kissingerowi, że zaakceptowanie ich oznaczałoby ugięcie się przed żądaniami północnych

Wietnamczyków. To, czego żądają północni Wietnamczycy, to utrata Wietnamu Południowego, koniec Wietnamu Południowego. *Voilà*.

*Czy nie mógłby pan wyrazić się jaśniej, panie prezydencie?*

*Mais vous savez, mademoiselle, c'est très simple!* Amerykanie twierdzą, że w Wietnamie Południowym jest sto czterdzieści pięć tysięcy północnych Wietnamczyków, ja mówię, że jest ich trzysta tysięcy, jakkolwiek taka sprzeczka jest zbędna. Czy ich ocena jest prawdziwa, czy moja (ale to moja jest prawdziwa), absolutnie nie do przyjęcia jest tolerowanie obecności trzystu tysięcy północnych Wietnamczyków zalegalizowanej przez prawne porozumienie, zatwierdzonej przez międzynarodową konferencję, to znaczy przez cały świat. Oznacza to bowiem przyznanie im prawa do określania się jako wyzwolicieli oraz prawa do twierdzenia, że Wietnam jest tylko jeden, od Hanoi po Sajgon, jednak należy do Hanoi, a nie do Sajgonu. Czy dobrze to wyjaśniłem, *mademoiselle*? Ja twierdzę, że zaakceptowanie obecności w kraju armii złożonej z trzystu tysięcy żołnierzy oznacza zaakceptowanie władzy takiej armii nad tym krajem. Oznacza uznanie północnych Wietnamczyków za wyzwolicieli, a nie za agresorów. W konsekwencji oznacza uznanie armii południowowietnamskiej za najemną armię Amerykanów. Słowem, odwrócenie kota ogonem. Właśnie to powiedziałem Kissingerowi: „Ależ doktorze Kissinger, czy nie rozumie pan, że działając w ten sposób, stawia pan legalny rząd Wietnamu Południowego w pozycji rządu marionetkowego, zainstalowanego przez Amerykanów?!”.

*Ale po zawieszeniu broni północni Wietnamczycy wycofałyby się z Wietnamu Południowego, czyż nie?*

*Eh bien*, porozumienie wcale o tym nie mówi. Nie, nie mówi tego. Stąd moja odpowiedź północnym Wietnamczykom: „Bądźmy uczciwi. Jeśli nie macie czegoś w zamyśle, jeśli naprawdę nie zamierzacie odnowić agresji wobec Wietnamu Południowego, dlaczego tak bardzo nalegacie, żeby zostawić tu armię? Jak to? Żądacie, żeby oddziały amerykańskie wycofały się w ciągu sześćdziesięciu dni, żądacie, żebym wykopał naszych sojuszników, a potem chcecie, żebym zatrzymał w domu agresora? *Mais c'est fou!* To szalone, bez sensu!”.

*Panie prezydencie, bądźmy realistami: czego może się pan obawiać z armią miliona żołnierzy pod swoimi rozkazami?*

*Voilà la question*. Wszyscy pytają mnie o to samo: „Panie prezydencie, jeśli jest pan tak silny pod względem militarnym i politycznym, czym się pan przejmuje?”. Wyjaśnię pani, czym się zajmuję. Dla Wietnamczyka z północy wcale nie jest trudno nauczyć się południowego

akcentu i uchodzić za południowca. Oni też są Wietnamczykami. Nie są wśród nas tak rozpoznawalni jak Amerykanie. Czy nie zrobili już tej sztuczki w Laosie z Pathet Lao? W 1962 roku, kiedy Amerykanie wycofali się z Laosu, także północni Wietnamczycy mieli się wycofać. A wie pani, co się stało? Amerykanie udali się na lotnisko, jeden po drugim, począwszy od najważniejszego generała po ostatniego żołnierza, zarejestrowali swój wyjazd. Znana była nawet ich liczba: czterdzieści osiem osób. Natomiast północni Wietnamczycy pozostali w dżungli, posługując się językiem Pathet Lao, przebrani za Pathet Lao, i żadna komisja kontrolna nie była nigdy w stanie się dowiedzieć, ilu ich było. *Mademoiselle...* to jest ich system. Tutaj zdarzyłoby się dokładnie to samo. Czy już się tak nie dzieje? Uczą się południowego akcentu, rozpraszają się po wioskach, wnikają do jednostek Vietcongu, i w ten sposób stają się trzystoma tysiącami aktywistów gotowych scalić się na nowo w armię. *Messieurs les Américains*, mówię, czy to wydaje się wam do przyjęcia? A poza tym jak to jest, że zmieniliście zdanie?

*Zmienili zdanie na jaki temat?*

*Mademoiselle...* dam pani przykład. Kiedy do twojego domu wchodzi złodziej, możesz zrobić dwie rzeczy: wezwać policję albo poradzić sobie samemu. Ale jeśli wezwiesz policję, policja przyjedzie i zamiast aresztować złodzieja, mówi ci: „No dalej, pogódź się z tym złodziejem, musisz zaakceptować fakt, że jest już w twoim domu, odwagi, podpisz ten papier, żeby zalegalizować jego obecność w twoim domu”, to ja się wściekam. I odpowiadam: „Ej, panie policjancie, czyśmy oszaleli? Najpierw mówi mi pan, że trzeba aresztować złodziei, że trzeba wzywać policję, że trzeba się bronić, a teraz pan mówi, że mam zaakceptować obecność złodzieja na piśmie? Ale jak to? Wcześniej tak bardzo bał się pan złodzieja, a teraz już nie? Teraz wręcz upoważnia go pan do rabowania moich rzeczy? *Monsieur le policier! Mais alors!*”.

*Nie mieści się to panu w głowie, prawda, panie prezydencie?*

*Bien sûr!* Bo, *mademoiselle*, co to za pokój, który daje północnym Wietnamczykom prawo trzymania tu swoich oddziałów?! Co to za traktat, który de facto legalizuje ich obecność? Ja zaproponowałem inne rozwiązanie, choć na swoją niekorzyść. Powiedziałem: „Każmy wycofać oddziały północnowietnamskie równocześnie z oddziałami amerykańskimi, a ja zobowiązuję się potem zdemobilizować taką samą liczbę żołnierzy. Jeśli północni Wietnamczycy wycofają na przykład sto czterdzieści pięć tysięcy żołnierzy, ja zdemobilizuję sto czterdzieści pięć tysięcy żołnierzy. Jeśli wycofają trzysta tysięcy, ja zdemobilizuję trzysta tysięcy”. Nie

zgodzili się. Dlaczego? Ja wiem, dlaczego. Potrzebują wszystkich swoich żołnierzy, żeby dokonać wielkiej krwawej łaźni.

*Panie prezydencie, uważa pan, że przerwanie ognia doprowadzi do krwawej łaźni?*

*Oui, bien sûr!* To nieuniknione. Nie można brać na serio tego, co Pham Van Dong mówi w wywiadach i w swojej propagandzie. On powtarza, że północni Wietnamczycy nie chcą komunistycznego rządu w Wietnamie Południowym, nie chcą krwawej łaźni w Wietnamie Południowym, nie chcą wziąć w posiadanie Wietnamu Południowego, ale powtarza to tylko po to, żeby uspokoić Amerykanów, którzy obawiają się krwawej łaźni. Czy mamy może zapomnieć o masakrach wokół Quang Tri, An Loc, na drodze numer 1, która nazywa się już drogą potworności? Czy mamy może zapomnieć to, co zrobili w 1968 roku w Hue, w czasie ofensywy Tet? A co zrobili w Hanoi po objęciu władzy? Również o tym rozmawiałem z Kissingerem. Powiedziałem mu: „Doktorze Kissinger, a zatem mielibyśmy walczyć przez osiemnaście lat, mielibyśmy poświęcić setki tysięcy ludzkich istnień dla miliona głów uciętych po przerwaniu ognia? Ja też chciałbym przejść do historii jako człowiek, który przyniósł pokój. Ja też! Jeśli podpiszę to, co pan chce, w ciągu sześciu miesięcy nastąpi krwawa łaźnia. A mnie nie interesuje chwilowy aplauz, ludzie, którzy krzyczą: »Brawo, brawo, brawo! *Vive la paix!*«. Dla mnie ważne jest to, co wydarzy się później”.

*Zatem pańskim zdaniem Nixon i Kissinger popełnili błąd. Panie prezydencie, jak wyjaśni pan fakt, że popełnili błąd?*

To proste: byli zbyt niecierpliwi, żeby zawrzeć pokój, zbyt niecierpliwi, żeby negocjować i podpisać. Kiedy pertraktujesz z komunistami, nie powinieneś wyznaczać terminu zakończenia. Nie powinieneś im mówić, że chcesz jak najszybszej repatriacji jeńców i jak najszybszego zawarcia pokoju, jeśli powiesz, wykorzystają to. Biada wyznać im szczerze: „Jeńcy muszą wrócić do domu przed Bożym Narodzeniem. Pokój musi zostać osiągnięty, zanim wygaśnie mandat prezydencki, przed nowymi wyborami, przed nowym rokiem...”. To karygodny błąd, ponieważ oni znają zachodnią mentalność, zachodnią demokrację, i w ten sposób cię szantażują. Oni doskonale wiedzą, że jeśli prezydent Stanów Zjednoczonych wyznacza ostateczną datę, to znaczy, że cały Kongres stoi mu nad głową i wymaga, by dotrzymał obietnicy. Co udaje im się udowodnić? Że prezydent Nixon jest niezdolny do wprowadzenia pokoju w terminie wyznaczonym przez samego siebie. Przez samego siebie! Wykorzystują opozycję, dyskredytują

rząd, i... Ja powiedziałem Amerykanom: „Bądźcie cierpliwi, z komunistami trzeba być cierpliwym, bardziej cierpliwym niż oni”. Daremnie.

*Innymi słowy, panie prezydencie, pan spodziewał się tego, co nastąpiło.*

*Mademoiselle!* Północ czy Południe, wszyscy jesteśmy Wietnamczykami, a ja znam Wietnamczyków trochę lepiej niż Amerykanie. W 1968 roku, kiedy rozpoczęła się konferencja pokojowa w Paryżu, wiele osób pytało mnie: „Panie Thieu, jak pan sądzi, kiedy konferencja się zakończy?”. A ja odpowiadałem: „*Vous savez...* Jeśli komuniści godzą się na negocjacje, to znaczy, że potrzebują negocjacji. Nie, że chcą pokoju. Tym, czego chcą, jest zawieszenie bombardowań, żeby nabrać tchu i rzucić się do kolejnej ofensywy. Korzystając z tej przerwy, spróbują zadać nam kolejne Dien Bien Phu”. Mniej więcej to samo, co zrobili podczas konferencji w Genewie w 1954 roku. W Genewie tracili tylko czas i grali w tę samą grę, co przez cztery lata w Paryżu. Ale kiedy wygrali pod Dien Bien Phu, dostali natychmiastowego przyspieszenia i negocjacje zakończyli. Gdyby nie było Dien Bien Phu, konferencja w Genewie trwałaby do tej pory.

*Panie prezydencie, pozwoli pan, że nie uwierzę, iż tamta przemowa o cierpliwości była jedyną, jaką skierował pan do Kissingera. Co jeszcze mu pan powiedział?*

*Voilà.* Jest pan gigantem, powiedziałem mu. Pana zupełnie nic nie obchodzi, ponieważ nie ma niczego, czego by się pan bał. Waży pan sto kilo i jeśli połknie pan niewłaściwą pigułkę, nawet pan nie zauważy. Pański organizm ją zneutralizuje. Ale ja jestem małym człowieczkiem, być może też trochę chorym. Ważę zaledwie pięćdziesiąt kilo i jeśli połknę taką samą pigułkę, mogę umrzeć. Jest pan wielkim bokserem. Przechadza się pan ulicą, obnosząc swoje wielkie bary, swoje wielkie mięśnie i jeśli ktoś uderzy pana pięścią w brzuch, nawet pan nie zauważy. Co najwyżej odwróci się pan i spojrzy na niego z uśmiechem i pogardą. Natomiast ja jestem małym bokserem, a być może nie jestem nawet bokserem, bo moja budowa fizyczna nie pozwala mi na podobny sport. Jeśli ktoś zada mi taki sam cios, padnę na ziemię jak szmata. Tak więc pan może sobie pozwolić na luksus przyjęcia takiego porozumienia. Ja nie. Pana złe porozumienie ani ziębi, ani grzeje. Dla mnie jest kwestią życia i śmierci. *Allons, donc!* Czym jest dla pana trzysta tysięcy północnych Wietnamczyków? Przecinkiem, niczym. Czym jest dla pana utrata Wietnamu Południowego? To ledwie plamka na mapie świata. A nawet utrata Wietnamu Południowego może być panu na rękę. Służy powstrzymaniu Chin, służy pańskiej światowej strategii. Ale mnie,



panowie Amerykanie, nie chodzi o wybór między Moskwą a Pekinem. Mnie chodzi o wybór między życiem i śmiercią.

*Chciałabym wiedzieć, co odpowiedział!*

*Mademoiselle*, jego strategiczna idea świata jest bardzo błyskotliwa. Azjatycki południowy wschód kontrolowany przez Rosjan albo Indochiny kontrolowane przez Rosjan, żeby kontrolować i powstrzymać Chiny. Rosjanie są mniej groźni od Chińczyków, dlatego trzeba prosić Rosjan, żeby powstrzymywali Chińczyków, i przeciwstawić im Indochiny jako zagrożenie na południowych granicach Chin etc., etc., amen. Dobrze, znakomicie! To tak, jakby widzieć jakiegoś generała, który przygląda się mapie i wskazuje pałeczką strategiczne punkty. Ale dla biednego kapitana, który prowadzi swoją kompanię przez rzeki i lasy, dla biednego kapitana, który wspina się na wzgórza pod nieprzyjacielskim ostrzałem i śpi w okopach, nie jest już wcale tak dobrze. On nie ma żadnych globalnych interesów na tej planecie. Nie ma nic do oddania w zamian. Nie może wymienić Bliskiego Wschodu z Wietnamem, Niemiec z Japonią, Rosji z Chinami! Dla niego istnieje tylko kwestia życia albo śmierci dla siedemnastu i pół miliona mieszkańców. Ryzykuje, że znajdzie się pod egidą Hanoi. Albo Moskwy i Pekinu, co na jedno wychodzi. *Voilà le problème, messieurs les Américains!* Wy spoglądacie bardzo daleko, zbyt daleko, my nie możemy sobie na to pozwolić. Wy jesteście nie tylko wielkim bokserem, gigantem, jesteście też przepotężnym biznesmenem i możecie pozwolić sobie na luksus powiedzenia: „Wydałem dolara, ale teraz muszę zrobić zamianę, biznes to biznes, pieniądze się nie liczą, i *allez hop!* Zgadzam się odzyskać tylko dziesięć centów. Dziewięćdziesiąt, które stracę... kogo to obchodzi? Dziewięćdziesiąt centów to nic!”. Dla mnie tak nie jest. Jeśli kupuję cygaro i płacę dolara, muszę odsprzedać je za dolara dziesięć. Potrzebuję tych dziesięciu centów na jedzenie. Jestem małym krajem, drodzy przyjaciele Amerykanie. Nie prowadzę waszych globalnych interesów, moim jedynym interesem jest przeżycie. Ach, te wielkie potęgi, które dzielą między siebie świat. Mają wszędzie wolny rynek i co z tego, że taki rynek kosztuje życie małego kraju?

*Innymi słowy, panie prezydencie, myśli pan, że Kissinger miał zamiar sprzedać Wietnam w imię swojej światowej strategii.*

*Eh bien...* Nie wiem, czy takie były dokładnie ich intencje. Mogło też być tak, że ufał on w dobrej wierze w uczciwe porozumienie. W każdym razie powiedziałem mu tak: „Panie doktorze... być albo nie być. Oto jest problem dla nas!”.

*Mówiąc w ten sposób, wygrał pan. Przynajmniej chwilowo. Pańskie „nie” uniemożliwiło porozumienie. Przynajmniej chwilowo. Ale na jak długo? Jak pan zareaguje, panie prezydencie, jeśli Amerykanie podpiszą bez pana? Kissinger powiedział to dobitnie na ostatniej konferencji prasowej: „Z całym szacunkiem dla Sajgonu, jeśli osiągniemy porozumienie, które prezydent uzna za właściwe, pójdziemy naprzód”.*

*Allons donc! Żeby podpisać co? Jeśli chcieli podpisać sami, już by podpisali. Nie czekaliby aż do dziś! Fakt, że nie podpisali do wyznaczonej przez siebie daty, za zgodą czy bez zgody Wietnamu Południowego, pozwala mi myśleć, że prezydent Nixon zastanowił się i zrozumiał, iż podobny podpis oznaczałby porzucenie Wietnamu Południowego. Ale chcę odpowiedzieć pani w sposób bardziej bezpośredni, *mademoiselle*, ponieważ nie pani pierwsza mnie pyta: „Jeśli Stany Zjednoczone pana opuszczą, to co pan zrobi?”. Oto odpowiedź: „Przypuszczam, że będziemy walczyć do ostatniego naboju i że potem komuniści nas podbiją”. To pewne. Nie ma wątpliwości. Francuzi opuścili nas w 1954 roku, w następstwie czego pół Wietnamu wpadło w ręce komunistów. Jeśli Stany Zjednoczone powtórzą to, co zrobili Francuzi, również drugą połowę Wietnamu spotka ten sam los. Albowiem kiedy Amerykanie odejdą z podpisem, Rosjanie i Chińczycy nie zostawią nas w spokoju. A gdzie jest inna potęga, która mogłaby nam pomóc, jak nam pomagały Stany Zjednoczone? Być może znalazłyby się inne kraje gotowe nas wesprzeć, ale żaden z nich nie miałby takich możliwości jak Stany Zjednoczone. Nie, nie: jeśli Ameryka nas opuści, to dla nas koniec, całkowity koniec, absolutny, i nie ma już o czym dyskutować. Pamięta pani Tybet? Nikt nie interweniował w Tybecie, nawet Narody Zjednoczone, i teraz Tybet jest komunistyczny. Jeśli kraj nie jest w stanie oprzeć się inwazji, nie pozostaje mu nic innego, jak na nią pozwolić.*

*Panie prezydencie, czy nie wydaje się panu, że za bardzo liczył pan na Amerykanów?*

*Nie mogę jeszcze wydać takiego osądu, *mademoiselle*! Nie nadszedł jeszcze dla mnie moment, bym powiedział: „Jestem opuszczony”. Muszę wciąż tłumaczyć Amerykanom, że patrzą zbyt daleko, rozumie pani? Może nazbyt na nich liczyłem, to prawda. Ale na moim miejscu zrobiłaby pani to samo. Taki mały kraj jak mój, żeby utrzymać niezawisłość, potrzebuje wszystkiego: od pomocy militarnej po wsparcie ekonomiczne. Och, pewnie, że bardzo liczyłem na Amerykanów, pewnie! Wciąż na nich liczę, mimo wszystko! Jeśli nie ufa się przyjacielom, to komu można zaufać? Przyjaciel jest jak żona. Dopóki cię nie opuści albo ty nie opuścisz jej, dopóki nie dostaniecie rozwodu, musi być zaufanie, czyż nie?*

*Cóż, musiał pan odzyskać trochę zaufania, kiedy Amerykanie wznowili bombardowania Hanoi. Tutaj, w Sajgonie, mówiliśmy: „Thieu musiał wznosić toasty szampanem, kiedy dotarła do niego ta wiadomość!”.*

Powiedzmy od razu jedno: nikt nie kocha wojny. Ja oczywiście nie kocham wojny. Być zmuszonym ją toczyć nie sprawia mi żadnej radości. Zatem nie piję szampana z powodu bombardowań Hanoi, tak samo jak nie piję szampana z powodu rakiet wystrzelonych na Sajgon. Ale szczerze mówiąc, od chwili, kiedy ta wojna istnieje, trzeba ją toczyć. A w dniu, kiedy te bombardowania znów zostaną zawieszane, zapytam pana Nixona: „Dlaczego? Co chce pan przez to osiągnąć? Co pan osiągnął?”. Nie, ja nie poproszę, żeby przerwano bombardowania. One mają cel, a jeśli chce się osiągnąć cel, musimy bombardować. *Mademoiselle*, mówiąc jako wojskowy, powiem pani, że wojna jest tym mniej okrutna, im jest krótsza.

*Mówią tak również zwolennicy bomby atomowej, panie prezydencie.*

Ja nie jestem zwolennikiem wojny atomowej. Nie mam na myśli bomby atomowej. Mam na myśli... Czy słyszała pani kiedyś o stopniowaniu? A zatem moim zdaniem stopniowanie nie jest sposobem na wyleczenie choroby. Szczególnie jeśli choroba trwa od dłuższego czasu, trzeba ją leczyć szybko, drastycznymi metodami. *Mademoiselle*, wojna jest chorobą. Nikomu się nie podoba, ale kiedy na nas spada, trzeba szybko rozwiązać problem. Bez stopniowania. Stopniowanie prezydenta Johnsona było nieznośne. On nigdy nie zrozumiał tej prostej prawdy: wojnę się prowadzi albo nie. Stopniowanie, które Amerykanie stosowali po Johnsonie, było takie samo. Już od lat Amerykanie bombardują, przestają bombardować, znowu bombardują, redukują, eskalują, nad dwudziestym równoleżnikiem, pod dwudziestym równoleżnikiem... Co to ma być? Wojna? To nie jest wojna, to jest połowiczna wojna. *C'est une demi-guerre*. Do dzisiaj prowadziliśmy połowiczną wojnę, *une demi-guerre*. A ja powiem pani, że gdybyśmy zaatakowali Wietnam Północny jak w klasycznej wojnie, gdybyśmy nieprzerwanie bombardowali Wietnam Północny, gdybyśmy wylądowali w Wietnamie Północnym, dzisiaj wojna byłaby skończona. I dodam, że – jeśli pertraktacje pokojowe się nie powiodą – istnieje jedyny sposób, żeby zakończyć tę wojnę: przenieść wojnę do Wietnamu Północnego. Pod każdym względem, łącznie z desantem.

*To znaczy, że desant jest wciąż brany pod uwagę?*

Czemu nie, jeśli Amerykanie są skłonni go przeprowadzić? Jeśli nie będzie to możliwe dla Amerykanów, nie będzie możliwe dla nikogo! Pozwoli pani, że lepiej to wyjaśnię. Kiedy

byłem ministrem obrony, a Amerykanie rozpoczęli bombardowania, w czerwcu 1965 roku, ktoś mnie zapytał: „Panie ministrze, czy sądzi pan, że te bombardowania spowodują przerwanie wojny w ciągu trzech miesięcy?”. A ja odparłem: „To zależy od was, Amerykanów”. Po czym powtórzyłem przykład z bokserem. „Jesteście wielkim bokserem, a Wietnam Północny jest małym bokserem. Jeśli zechcecie, możecie posłać go na matę w pierwszej rundzie. Jeśli nie będziecie chcieli i przedłużycie mecz do dziewiątej rundy, publiczność może się zniechęcić i poprosić o zwrot pieniędzy za bilety. Jest coś jeszcze gorszego: jeśli z powodu przedłużającego się meczu złapie was skurcz, ten mały przeciwnik może was nawet pokonać. *Allons, donc! Soyez de grands boxeurs!* Poślijcie go na matę w pierwszej rundzie! Poprzez stopniowane bombardowania nigdy niczego nie osiągniecie. Przeciwnie, dostarczycie Giapowi argumentu, by mógł twierdzić, że taki mały kraj jak Wietnam Północny może oprzeć się amerykańskiej potędze. Wystawiają was na próbę, panowie Amerykanie! Nie bombardujcie dla formy, nie prowadźcie wojny psychologicznej, prowadźcie wojnę!”. *Mademoiselle*, my wszyscy byliśmy pod amerykańskimi bombardowaniami. Ja też byłem, w 1942 roku, kiedy byli tutaj Japończycy. I przypominam pani, że nie jest wcale trudno wytrzymać bombardowania, po pewnym czasie można przywyknąć, szczególnie jeśli ma się do dyspozycji dobre schrony. Tak więc podczas pierwszych bombardowań północni Wietnamczycy całkowicie podupadli na duchu. Morale ludności było bardzo niskie, a w Hanoi spodziewano się desantu. Ale Amerykanie nie napierali i... Amerykanie zabijają przez pięć minut, potem dają cztery minuty wytchnienia, potem znowu zabijają...

*Panie prezydencie, proszę pozwolić, że będę naiwna. Albo po prostu ludzka. Czy nie odczuwa pan dyskomfortu na myśl, że ci nieszczęśnicy pod bombami, w Hanoi, są Wietnamczykami jak pan?*

*Mademoiselle!* Doskonale wiem, że są Wietnamczykami jak ja. W głębi serca wcale mnie to nie bawi. Ale wiem również, że aby zakończyć wojnę, trzeba ich bombardować, i wiem, że koniec wojny w Wietnamie Południowym będzie końcem wojny w Wietnamie Północnym. Sądzi pani, że oni też nie mają tego dosyć? Sądzi pani, że cierpią tylko z powodu bombardowań? A wyobraża sobie pani, co to znaczy udźwignąć ciężar korpusu ekspedycyjnego na Południu? I mieli już tylu poległych! Razem z żołnierzami Vietcongu od 1964 roku do dzisiaj mają milion pięćdziesiąt siedem tysięcy poległych. Proszę spojrzeć, mam to w moich tajnych dokumentach. Poza tym północni Wietnamczycy cierpią z powodu czegoś jeszcze innego: cierpią z powodu

reżimu, który nie pasuje do ich mentalności, do ich sposobu życia. Komunizm nie jest dobry dla Wietnamczyków. Są zbyt dużymi indywidualistami, i zapewniam panią, że tylko niewiele milionów na dwadzieścia to na Północy komuniści. Zapewniam panią, że zdecydowana większość zbuntowałaby się, gdyby nastąpił desant.

*Co wydaje mi się nieprawdopodobne, biorąc pod uwagę wszystkie problemy, jakim Nixon musi stawić czoło przed Kongresem, przed Senatem, przed opinią publiczną, która ma dosyć tej wojny i żąda, by ją zakończyć, panie prezydencie.*

To inna sprawa. Znam problemy Nixona, nie przypadkiem jako pierwszy oklaskiwałem jego doktrynę. W czerwcu 1969 roku, kiedy odbyłem podróż na Tajwan i do Korei Południowej, Czang Kaj-szek i Park Chung-hee zapytali mnie: „Ale co się dzieje? Czy to prawda, że Amerykanie chcą wycofać oddziały z Wietnamu? Dlaczego zgadza się pan na coś podobnego? Dlaczego nie poprosi pan, żeby zostali do końca wojny?”. A ja na to: „To nie jest kwestia uniemożliwienia Amerykanom wycofania ich oddziałów. To kwestia rozwiązania problemu przez zastąpienie ich oddziałów moją armią. To znaczy armią, którą powinni byli dać mi dawno temu”. Tak, *mademoiselle*. W 1954 roku, kiedy odeszli Francuzi, Amerykanie już przewidzieli, że północni Wietnamczycy zaatakują nas tak jak północni Koreańczycy zaatakowali Koreę Południową. Gdyby dostarczyli nam wtedy armię, nie byłoby potrzeby prosić ich potem o pomoc. Myśmy ich wezwali, żeby rozwiązać bezpośredni problem, nie na zawsze. A kiedy zorientowałem się, że ich obecność w Wietnamie Południowym zagraża dwóm prezydentom, powiedziałem: „Pomóżcie mi, bym mógł pomóc wam. Dajcie nam silną armię. Będziemy walczyć sami”. Zgodziłem się z Nixonem w sprawie wietnamizacji i Nixon zaczął wycofywać swoje oddziały. A kiedy to w historii wojny widziano armię złożoną z ponad pół miliona ludzi, która wycofałaby się w ciągu czterech lat! Po Amerykanach nie zostało już nic poza lotnictwem. Zaś wietnamizacja znakomicie się powiodła, co wszyscy przyznają, i sprawy potoczyły się tak, jak powiedziałem. Powiedziałem też, że nastąpi atak przed wyborami amerykańskimi, a drugi w siedemdziesiątym trzecim...

*Panie prezydencie, pozwoli pan na pewne spostrzeżenie. Wcale nie jestem pewna, że wszyscy potwierdzają powodzenie wietnamizacji. Gdyby nie amerykańskie lotnictwo, północni Wietnamczycy wygraliby swoją ofensywę wielkanocną.*

*Oui. D'accord.* Ale wietnamizacji nie można było dokonać w jeden dzień, *mademoiselle*. A nawet w rok. Wiedzieliśmy, że zajmie od pięciu do siedmiu lat, a zatem nie została jeszcze

zakończona. To prawda, ustąpilibyśmy przed atakiem Giapa, gdyby nie było amerykańskich samolotów. Ale kto odzyskał Quang Tri i Binh Dinh? Kto powstrzymał północnych Wietnamczyków w An Loc i w Kon Tum? Może Amerykanie? Wietnamizacja zakończy się, kiedy zostanie wzmocnione nasze lotnictwo.

*Co wzmocnione, panie prezydencie? Przecież macie pełno samolotów, helikopterów, maszyn zwiadowczych, transportowców, a północni Wietnamczycy mają tylko dwa albo trzy migi! Kiedy przyjeżdża się na lotnisko w Sajgonie...*

Mamy samoloty, ale nie mamy pilotów, *mademoiselle*. Nie mamy techników. Musimy ich jeszcze przeszkolić, wdrożyć. A to zajmuje rok albo dwa. Dlaczego wcześniej ich nie przygotowaliśmy? Właśnie dlatego, że wcześniej musieliśmy zajmować się armią! Zawsze mówiłem, że nie będziemy gotowi przed 1973 rokiem. Oto dlaczego komuniści żądają powstrzymania wietnamizacji i jej się boją. A wie pani, ile czasu potrzeba, żeby stworzyć nowoczesną armię?!

*Panie prezydencie, ja już nic nie rozumiem. Zaczęliśmy, rozmawiając mniej więcej o pokoju, a teraz znów rozmawiamy o wojnie. Czy pan chce zakończyć wojnę, czy wygrać wojnę?*

Chcę ją skończyć, *mademoiselle*. Nie szukam zwycięstw jak Giap. A jako wojskowy, nie polityk, dodaję: co mamy do wygrania w tej wojnie? Jeśli podpiszemy pokój jutro, co zyskamy w Wietnamie Południowym? Ja pani powiem co. Inflację, setki tysięcy poległych, Bóg jeden wie, ile zniszczonych miast, milion uchodźców, milion żołnierzy do opłacenia każdego dnia... Znosić wojnę we własnym domu to znaczy przegrać tę wojnę, nawet jeśli zwycięstwo zapisane jest czarno na białym w zawieszeniu broni. Sztuka wojenna polega w istocie na prowadzeniu wojny na terytorium nieprzyjacielskim i niszczeniu na terytorium nieprzyjacielskim, co znakomicie wyjaśniłby pani Giap. W tym sensie ma on pełne prawo powiedzieć, że wygrał wojnę. I znów panią pytam: jeśli podpiszemy pokój jutro, co zyskamy? Zdobyliśmy może choć centymetr kwadratowy terytorium Wietnamu Północnego? Zdobyliśmy może jakieś miejsce w parlamencie Wietnamu Północnego? Nic nie zyskaliśmy, nic. Przegraliśmy, żeby zamienić naszą klęskę na traktat pokojowy. *Mademoiselle!* Nazwano mnie nieprzejednanym. Jak można nazywać nieprzejednanym człowieka, który jest gotów negocjować z Narodowym Frontem Wyzwolenia, człowieka, który jest gotów podać się do dymisji na miesiąc przed wyborami? Czy może gotowi są negocjować ze mną różni Pham Van Dong, Le Duan, Nguyen Vo Giap? Podać się do dymisji?

*Słowem, ile będzie trwać ta wojna, panie prezydencie? Lata, miesiące, tygodnie?*

Czy zadała pani kiedykolwiek to pytanie Giapowi?

*Tak, ale prawie cztery lata temu.*

I co pani odpowiedział?

*Powiedział, że wojna mogłaby potrwać nawet dwadzieścia lat.*

*Voilà la réponse.* Ta wojna potrwa tak długo, jak zechce tego Giap, to znaczy dopóty, dopóki będzie chciał ją nam narzucać. Gdybym ja mógł przenieść wojnę na Północ, tak jak on sprowadził ją na Południe, wówczas miałaby pani pełne prawo zadać mi takie pytanie i wymagać odpowiedzi. Ale teraz mogę przedstawić pani tylko moją opinię: albo pokój nastąpi w przeciągu niewielu tygodni, powiedzmy, w ciągu miesiąca, albo wojna potrwa jeszcze trzy, cztery lata. Bardzo trudno zakończyć wojnę opartą na partyzantce. Ilu partyzantów było w Malezji? Dziesięć tysięcy? A ile czasu zajęło Anglikom pokonanie ich? Dwanaście lat. Trudno walczy się w wojnie prowadzonej przez chuliganów.

*Powiedział pan to generałowi Haigowi, kiedy tu przyjechał? Bo z tego, co zrozumiałam, tak naprawdę nie rzuciliście się sobie w ramiona, pan i Haig?*

*Eh bien, mademoiselle, vous savez...* On do mnie mówi panie prezydencie, ja do niego panie generale, a nawet generale, tak więc... Nie mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Ja mu powiedziałem: „A zatem, jest pan tu, generale. Proszę wyjaśnić, w jakim jest pan tu charakterze”. A on odparł: „Jestem tu, by przekazać punkt widzenia prezydenta Nixona”. Wtedy ja podkreśliłem, że nie jest tu nawet jako negocjator, tylko jako posłaniec: „Posłuchajmy, jaki jest ten punkt widzenia, generale”. Przedstawił mi go. Wysłuchałem, a potem powiedziałem mu tylko, że odpowiem bezpośrednio Nixonowi w osobistym liście. I że powierzę ten list jemu, Haigowi, jako posłańcowi. Haig poszedł, wrócił następnego dnia, a ja dałem mu list: „*Voilà la lettre, mon général. Bon voyage. Au revoir*”. Wciąż tłumaczę Amerykanom. Wciąż i wciąż, w nadziei, że zrozumieją. W dniu, kiedy mi powiedzą: „Nie rozumiemy pana, panie Thieu, a zatem opuszczamy pana”... *Bon!* Zobaczycie, jak zareaguję na ich pokój. Aż do tego dnia... oczywiście gotów jestem znów przyjąć Kissingera! Wciąż czekam, że przyjedzie do Sajgonu zobaczyć się ze mną. Nie rozumiem, dlaczego jeszcze nie przyjechał. Może pomyślał, że to nie jest sprzyjający moment... Może dochodzi właśnie do porozumienia, które wydaje mu się właściwe... Może właśnie jedzie, żeby mi powiedzieć: „Panie prezydencie, moim zdaniem nadeszła chwila, żeby podpisać pokój”. Wtedy odpowiem mu: „Proszę usiąść. Zobaczmy, o jakim pokoju pan mówi”.

*I jest pan gotów podjąć go takim śniadaniem, jakim potraktował pan mnie?*

Czemu nie? Jeśli północni Wietnamczycy poczęstowali go herbatą i ciasteczkami, dlaczego ja nie miałbym podjąć go śniadaniem? Nie jestem wcale gorzej wychowany od Le Duc Tho. Zawsze można próbować dyskusji przy jedzeniu, pod warunkiem, że nie zakłóca ona trawienia. Ja nie jestem wrogiem doktora Kissingera. Nie jestem też wrogiem północnych Wietnamczyków jako takich. Moimi jedynymi wrogami są komuniści, kiedy chcą wprowadzić komunizm tutaj. U siebie w domu mogą go sobie mieć, jak długo chcą. *Mademoiselle*, kiedy wojna się skończy, będę w pełni gotowy, by uścisnąć dłoń Giapowi. A nawet by udać się do niego i zjeść kolację w jego domu. A tam powiedzieć mu: „*Alors, mon général!* Porozmawiajmy. Pan jest z Północy, ja jestem z Południa. Pan ma masę węgla, ja mam masę ryżu. Zbudujmy piękną kolej z Hanoi do Sajgonu i wymieniamy się naszymi towarami. Teraz dziękuję za kolację i kiedy będę miał zaszczyt gościć pana w Sajgonie?”.

*Ile razy wymienił pan nazwisko Giapa, panie prezydencie! Można by powiedzieć, że ma pan to nazwisko ciągle w głowie! Co pan myśli o Giapie?*

*Mademoiselle*, myślę, że był dobrym generałem, ale wcale nie azjatyckim Napoleonem, jak mu się zdaje. Wielkość Giapa została wymyślona przez prasę francuską po Dien Bien Phu. A Dien Bien Phu pozostaje jego jedynym dużym zwycięstwem, choć nie było to tak nadzwyczajne zwycięstwo, jak on sam twierdzi i jak zawsze twierdzili w swoich gazetach Francuzi. Z militarne punktu widzenia Dien Bien Phu było dla Giapa łatwą bitwą. Francuzi pod Dien Bien Phu nie mieli już nic, ani samolotów, ani czołgów, ani artylerii. Giapowi wystarczyło tylko użyć masy ludzi i zastosować taktykę zawsze świeżych dywizji. Bądźmy uczciwi: co takiego w gruncie rzeczy stracili Francuzi pod Dien Bien Phu? Nawet nie jedną dziesiątą swojej armii. Każdy z francuskich generałów, którzy znajdowali się wtedy w Indochinach, powie pani, że armia francuska wcale nie została całkowicie pokonana: gdyby dostali posiłki z Paryża, mogliby obronić nawet Wietnam Północny. Wojna nie została przegrana przez Francuzów pod Dien Bien Phu za sprawą Giapa. Wojna została przegrana w Dien Bien Phu, ponieważ już wcześniej została przegrana we Francji, politycznie, psychologicznie, moralnie. To Giap wbił sobie do głowy, że dokonał czegoś militarnie rozstrzygającego pod Dien Bien Phu. I od tamtej pory szuka nowego Dien Bien Phu, nie rozumiejąc, że nowoczesna armia ma dziś niewiele wspólnego z armią francuską z lat pięćdziesiątych. Błąd Giapa w obecnej wojnie polegał na tym, że nie znał nadzwyczajnej siły armii amerykańskiej, jak również nie docenił mojej armii.



*Panie prezydencie, mówimy tutaj tylko o północnych Wietnamczykach. Wydaje mi się zatem, że nadszedł moment, by porozmawiać o Vietcongu i o jeszcze jednej różnicy poglądów między panem a Kissingerem.*

*Très bien.* Ja twierdzę, że formuła polityczna przyjęta przez Amerykanów w październiku jest formułą podstępną, poprzez którą północni Wietnamczycy próbują narzucić nam rząd koalicyjny. Twierdzę, że nigdy nie zaakceptujemy takiej formuły, pod żadnym przebraniem, ponieważ ja nie narzucam Hanoi żadnego rządu i nie chcę, żeby Hanoi narzucało cokolwiek Sajgonowi. Konstytucja Wietnamu Północnego mówi, że Wietnam jest jeden, niepodzielny, od Lao Cai po Ca Mau. Konstytucja Wietnamu Południowego mówi to samo: Wietnam jest jeden, od Ca Mau po Lao Cai itd. Pozostaje jednak faktyczna sytuacja: dwa państwa wewnątrz tego narodu. Państwo Wietnamu Północnego i państwo Wietnamu Południowego, każde ze swoim rządem, ze swoim parlamentem, ze swoją konstytucją. Zatem każde z tych państw powinno samodzielnie decydować o własnej przyszłości politycznej, bez ingerencji drugiego. Jak Niemcy. Jak Korea. Czy jasno się wyraziłem? Powiedziałem, dwa państwa, dwa państwa, dwa państwa. Jak Korea. Jak Niemcy. Dwa państwa w oczekiwaniu na ponowne zjednoczenie. Kiedy takie zjednoczenie nastąpi, Bóg jeden wie. Osobiście wykluczam, by mogło to się stać wcześniej niż za dwadzieścia lat, i dlatego zawsze prosiłem, żeby Wietnam Północny i Wietnam Południowy zostały przyjęte do ONZ...

*Ale Vietcong istnieje, panie prezydencie, są to południowi Wietnamczycy, powinni uczestniczyć w życiu politycznym Wietnamu Południowego.*

Tak, ale bez ingerencji ze strony Wietnamu Północnego. Tak też mówię: pozwólcie, że o przyszłości politycznej Wietnamu Południowego będziemy decydowali my i południowowietnamscy komuniści. Ja zgadzam się negocjować z Narodowym Frontem Wyzwolenia, zgadzam się organizować wybory z jego udziałem, zgadzam się go mieć w przyszłości jako partię polityczną. Ale to jest sprawa polityki południowowietnamskiej, a nie polityki północnowietnamskiej! Nie chcę nakazów z Hanoi, chcę swobodnie negocjować z Narodowym Frontem Wyzwolenia! Ale jak mogę to robić, jeśli północni Wietnamczycy są tu przebrani za żołnierzy Vietcongu? *Mademoiselle*, nawet sam Front Wyzwolenia nie mógłby swobodnie ze mną negocjować, mając na karku trzysta tysięcy północnych Wietnamczyków uzbrojonych w artylerię! Tak więc powtarzam: zostawcie nas samych, nas i Vietcong. Lepiej się zrozumiemy, szybciej. Wszyscy jesteśmy południowymi Wietnamczykami i ja wiem, że

większość żołnierzy Vietcongu, walczących od dwudziestu lat, nie chce opanowywać Wietnamu Południowego! Jak mogą to uczynić, skoro są południowymi Wietnamczykami?! Ja wiem, że chcą tylko uczestniczyć w życiu politycznym kraju i...

*Czy próbował pan kiedykolwiek nawiązać z nimi dialog, panie prezydencie?*

Ale jak mam to zrobić, skoro są tu północni Wietnamczycy?! Jak oni mają to zrobić, skoro są tu północni Wietnamczycy? Właśnie to wciąż powtarzam Amerykanom, którzy nie rozumieją! Przypuśćmy, że chciałbym spotkać się z madame Binh, co mogłoby skądinąd sprawić mi przyjemność. Jak mam to zrobić? Jak ona ma to zrobić? Madame Binh nie ma swobody rozmawiania ze mną, jej rzecznikami są północni Wietnamczycy! Mówię pani, *mademoiselle*, że dopiero kiedy północni Wietnamczycy odejdą, ludzie Vietcongu poczują się wolni, żeby przyjść i rozmawiać ze mną. I przyjdą. Ponieważ ja ich zaproszę i ponieważ nie będą już kontrolowani przez innych. Faktem jest, że... *Mademoiselle*, dwa albo trzy lata temu miało miejsce zjawisko nazywane tu ruchem Chu Hoi. Chu Hoi znaczy mniej więcej dezerterski z Vietcongu. A więc w pewnym momencie ich liczba była bardzo wysoka: około dwustu tysięcy. To zaniepokoiło ogromnie północnych Wietnamczyków, ponieważ – to jasne – pozwól Chu Hoi pójść dalej i koniec z Narodowym Frontem Wyzwolenia. Co więc zrobili północni Wietnamczycy? Rozproszyli się po wsiach i jednostkach Vietcongu, żeby zastąpić ich żołnierzy albo uniemożliwić im dezercję. I... Ale czy nie rozumie pani, że ta druga różnica poglądów z doktorem Kissingerem jest konsekwencją pierwszej?! Nie rozumie pani, że podstawowym problemem pozostaje obecność trzystu tysięcy północnych Wietnamczyków?

*Tak, panie prezydencie, ale pan posuwa się nieco dalej, odrzucając ipso facto rząd koalicyjny. Jeśli jest pan gotów zaakceptować Vietcong w polityce Wietnamu Południowego, to dlaczego odrzuca pan ideę rządu koalicyjnego?*

Ponieważ to, co powiedziałem do tej pory, nie oznacza wcale rządu koalicyjnego, oznacza po prostu udział Vietcongu w wyborach! Ponieważ to, co odrzucam, to żądanie koalicyjnego rządu zgłaszane przez kogoś innego! Rząd jest wynikiem wyborów, tak czy nie? Zatem jeśli nawet pewnego dnia będzie w Sajgonie rząd całkowicie kontrolowany przez komunistów, będzie to musiało wynikać z wyborów. Tak czy nie? Nie będzie to rząd spreparowany. Nie będzie to rząd narzucony przez Hanoi. O co proszę w gruncie rzeczy? O trzy miesiące rozmów z Narodowym Frontem Wyzwolenia, plus trzy miesiące na znalezienie z nim porozumienia i zorganizowanie wyborów, wreszcie o wybory jedna-osoba-jeden-głos. *Allons, donc!* Czego się

ode mnie oczekuje? Czego ponad to? Reprezentuję legalny rząd, a zniżam się do rozmów z tymi, którzy chcą nielegalnie zająć moje miejsce, zgadzam się na ich udział w wyborach... do diaska! Akceptuję nawet możliwość, że wygrają, choć jestem gotów się założyć, że tak się nie stanie, poderżnę sobie gardło, jeśli wygrają... Nie, nie, *mademoiselle*. Reprezentują zbyt mały procent ludności. Ich liczba wynosi około stu tysięcy. Od pięćdziesięciu do stu tysięcy i...

*Plus ci, którzy są teraz w więzieniu. Panie prezydencie, pańska analiza może być nawet przekonująca, na pierwszy rzut oka. Ale przeanalizowana w świetle faktów, które pan przemilcza, przekonuje już mniej. Jak może pan zorganizować prawdziwe wybory z tysiącami członków Vietcongu i podejrzanymi o przynależność do nich, którzy zapełniają więzienia i obozy koncentracyjne Wietnamu Południowego?*

Natychmiast odpowiadam na pani upomnienie. Kiedy jesteśmy w stanie wojny, to oczywiście, że wsadza się do więzienia tych, którzy pracują dla wroga toczącego z nami wojnę. Dzieje się tak w każdym kraju. *C'est la normalité, mademoiselle*. A ci, którzy siedzą dziś w więzieniach, brali udział w aktach zabójstw lub innych okrucieństwach. I jest ich mniej, niż pani myśli. Jednak kiedy nastąpi pokój, również ich problem zostanie rozwiązany. Nie proszę o nic więcej, tylko o wymianę jeńców. Cóż, północni Wietnamczycy odmówili również tego. A ja mówię: ale jak to?! Jestem gotów wymienić pięciuset amerykańskich jeńców wojennych na dziesięć tysięcy północnowietnamskich jeńców wojennych i kilka tysięcy więźniów cywilnych. Jestem gotów dać wolną drogę wszystkim, północnym Wietnamczykom, Kambodżanom, Laotańczykom, ludziom Vietcongu, cywilom, wszystkim, i jeszcze nie są zadowoleni?! Oczywiście taka wymiana powinna nastąpić po zakończeniu wojny, przecież nie wcześniej! Wie pani, jaki jest prawdziwy problem? To, że Amerykanie okazali się zbyt niecierpliwi, zbyt niespokojni z powodu tych pięciuset jeńców w Hanoi i teraz północni Wietnamczycy używają ich, jakby to był towar pozwalający im narzucać warunki polityczne. To obrzydliwe.

*A neutraliści, panie prezydencie? O ile zrozumiałam, stanowią oni większość ludności, która ma dosyć wszystkich: Thieu, Vietcongu, Amerykanów, północnych Wietnamczyków, wojny...*

Nie są większością ludności, jak pani mówi. Gdyby tak było, *mademoiselle*, nie byłoby mnie tutaj. Zdecydowana większość południowych Wietnamczyków, proszę mi wierzyć, bardzo boi się komunistów. To strach, który skryształizował się za sprawą ofensywy Tet oraz rzezi, które towarzyszyły ofensywie wielkanocnej. Inaczej nie dałoby się wytłumaczyć tego, co wydarzyło

się tu podczas kampanii flag. Wystarczyło, że powiedziałem słowo, i wszyscy kupili flagi albo wymalowali barwy naszej flagi na fasadach domów. Naprawdę sądzi pani, że pewne rzeczy można narzucić rozkazem? *Mademoiselle*... ja patrzę na neutralistów jak na biedne niewiniątka, a nawet jak na biednych głupców, i staram się nimi nie przejmować. Neutraliści budzą moje politowanie, ponieważ pozwalają się wciągać w grę komunistów. Co za naiwniacy. Uważają, że uprawiają politykę, a dają się wodzić za nos komunistom. Równie dobrze mogliby przyłączyć się do jednostek Vietcongu i walczyć z nami zbrojnie. Szanowałbym ich dużo bardziej. A tak nie są ani politykami, ani żołnierzami, nie ryzykują ani po jednej, ani po drugiej stronie, i... *Soyons sérieux, mademoiselle!* Jak można być neutralistą w Wietnamie?

*To dlatego wydał pan dekret, który likwiduje partie opozycyjne w Wietnamie, panie prezydencie?*

*Mon Dieu!* Dekret nie służy ich likwidacji. Ma je zachęcić, żeby się połączyły. W Wietnamie Południowym jest dwadzieścia siedem legalnych partii politycznych plus czterdzieści nielegalnych. Podobna obfitość byłaby luksusem nawet w czasie pokoju, a co dopiero podczas wojny. Nie zapominajmy też, że nasza konstytucja zachęca do dwupartyjności. Teraz przypuśćmy, że układ pokojowy zostanie podpisany w Paryżu, przypuśćmy, że w ciągu trzech miesięcy osiągnie się porozumienie z Frontem Wyzwolenia, i co się stanie? Stanie się tak, że – od chwili zwalczenia komunistów za pomocą gry zwanej demokracją – dojdzie do walki wyborczej, w której po jednej stronie staną komuniści, a po drugiej dwadzieścia siedem legalnych partii politycznych i czterdzieści nielegalnych. Jeśli chcemy wygrać, czy nie lepiej trochę się pogrupować? Tak powiedziałem: zgrupujmy mniejsze partie w nie więcej niż w sześciu większych partiach. *Mademoiselle, ç a suffit!* Wydaje mi się to wystarczające dla kraju liczącego siedemnaście i pół miliona mieszkańców! Polityka nie powinna być nieodpowiedzialna. *Allons, donc!*

*Allons. Panie prezydencie, rozprawiamy tu strasznie dużo o demokracji i wyborach. Czuję się zatem upoważniona zadać panu przykre pytanie. Co może pan odpowiedzieć tym, którzy nazywają pana dyktatorem z Wietnamu Południowego?*

*Tiens!* No proszę! *Mademoiselle*, nie wiem, czy to też powinniśmy nagrać na pani magnetofon, ale... niech pani rzuci okiem na kraje Azji Południowo-Wschodniej i potem niech mi pani powie, które z tych krajów mogą zostać określone jako demokratyczne zgodnie z pani pojęciem demokracji. Tajlandia? Korea? Filipiny? *Mademoiselle!*... Najzupełniej szczerze,

wydaje mi się, że Wietnam Południowy jest wciąż najbardziej demokratycznym krajem. Może nie tak demokratycznym, jakby się pani podobało, ale demokracja nie jest standardem, który można zastosować wszędzie w identyczny sposób. Demokracja, jaką mają w Ameryce albo jaką wy macie w Europie, tutaj nie może jeszcze istnieć. Nie jesteśmy jeszcze na nią gotowi. Proszę nie zapominać, że Wietnam nigdy nie poznał demokratycznego życia w takim sensie, jakie pani nadaje temu wyrażeniu. Do 1945 roku pozostawaliśmy kolonią francuską. Do 1954 roku byliśmy zdominowani przez Viet Minh. Do 1963 roku podlegaliśmy prezydentowi Diemowi. Pozwalam sobie zatem stwierdzić, że demokracja zaczęła się tutaj dopiero w 1965 roku, kiedy prezydentem został Thieu.

*Ale co to za demokracja, która w wyborach proponuje tylko jednego kandydata?! W wyborach w 1971 roku nie miał pan ani jednego przeciwnika, panie prezydencie!*

*Tiens, tiens. Mademoiselle!* Należy osądzać te sprawy w kontekście Wietnamu. Należy pamiętać, że prezydent wybrany w 1971 roku to prezydent, który miał prowadzić rozmowy pokojowe. Należy pamiętać, że właśnie w tamtym okresie, to znaczy kiedy nie było już stabilności politycznej, ponieważ moi przeciwnicy wycofali się z kandydowania, północni Wietnamczycy zgromadzili swoje dywizje za strefą zdemilitaryzowaną i wzdłuż granicy z Kambodżą, żeby przygotować się do rozpoczęcia nowej ofensywy. Kiedy to się dzieje, przychodzi masa ludzi, którzy mówią: „Panie Thieu, jeśli pozostali wycofują kandydaturę, pan też powinien to uczynić. Jeśli nie, to nie jest demokracja”. A ja odpowiadam: „Nasza konstytucja nie przewiduje unieważnienia wyborów, jeśli jest tylko jeden kandydat. Nie mówi też, że jedyny kandydat powinien ustąpić albo poszukać przeciwnika. Jeśli zatem ja się wycofam, trzeba przerobić konstytucję. To zajmie przynajmniej sześć, siedem miesięcy. Dla północnych Wietnamczyków sześć, siedem miesięcy to dużo czasu, żeby zakończyć przygotowania do ofensywy i zaatakować nas. Mówię: zaatakować nas właśnie wtedy, kiedy nie mamy przywództwa wojskowego i politycznego. Żegnaj Wietnamie Południowy. Mówcie zatem, co chcecie. Ja zostaję”. Jakie jest pani następne pytanie, *mademoiselle*?

*Pytanie brutalne, panie prezydencie. Nie znoszę być brutalną, także dlatego, że był pan wobec mnie taki uprzejmy, podjął mnie pan śniadaniem itd., ale mam w zanadrzu wiele brutalnych pytań. Oto pierwsze: Jak skomentuje pan fakt, że nazywa się pana „amerykańską marionetką” albo „człowiekiem Amerykanów”?*

Kto tak mówi?

*Wszyscy. Prawie wszyscy. Jest pan tym naprawdę zaskoczony?*

Mówią tak też Amerykanie?

*Tak, wielu Amerykanów.*

Ach! *Tiens!* Hmm... *Mademoiselle!* Ja jestem człowiekiem Wietnamczyków, nie jestem człowiekiem Amerykanów. Tym bardziej nie jestem amerykańską marionetką i sędzę, że ostatnio to udowodniłem. Również w tym wywiadzie. Jestem sojusznikiem Amerykanów i tyle. Niech pani kontynuuje, proszę.

*Kontynuuję. Pytanie numer dwa. Co odpowie pan tym, którzy oskarżają pana, że jest pan skorumpowany, że jest pan najbardziej skorumpowanym człowiekiem w Wietnamie?*

*Mademoiselle,* nie warto im nawet odpowiadać. Co miałbym odpowiedzieć? Kiedy machina, która obrzuca oszczerstwami prezydenta, zostaje wprawiona w ruch, nie ma sposobu jej zatrzymać. Podobne oskarżenia nie pojawiają się przez pomyłkę: pojawiają się w konkretnym celu. Można zdementować pomyłkę, ale nie cel. Powiem pani tylko: czy kiedykolwiek widziała pani córkę jakiegoś prezydenta, która mieszka na pensji u sióstr zakonnych w Londynie? Moja tam mieszka.

*Cóż, spróbujmy więc zadać to pytanie inaczej, panie prezydencie. Czy to prawda, że urodził się pan bardzo biedny?*

To najprawdziwsza prawda. Mój ojciec został sierotą w wieku dziesięciu lat. A kiedy się ożenił, moja matka utrzymywała rodzinę, nosząc na targ do miasteczka kosze z ryżem i orzechami kokosowymi. Trzydzieści dni po narodzinach pierworodnego syna musiała sprzedać chatę i przenieść się na drugą stronę rzeki, bo nie miała pieniędzy. Dzięki niej mój starszy brat mógł studiować w Paryżu. Mój młodszy brat mógł studiować w Hue. Ale ja musiałem uczyć się w szkole w miasteczku. Jesteśmy rodziną, która sama sobie wszystko zawdzięcza, moi bracia są dzisiaj ambasadorami. Ale moje siostry wciąż noszą kosze z ryżem i kurczakami na targ, żeby je sprzedać, jak to robiła moja matka. *Oui, c'est vrai.*

*A czy to prawda, że dzisiaj jest pan niezmiernie bogaty, posiada konta w bankach oraz domy w Szwajcarii, Londynie, Paryżu, Australii?*

To nieprawda. Przysięgam pani na głowę mojej córki i mojego syna, że nie mam nic za granicą. Ani domu w Londynie, ani domu w Paryżu, ani domu w Australii, ani domu w Szwajcarii... O tym domu w Szwajcarii dowiedziałem się dawno temu od pewnych Amerykanów. I odparłem: „*Messieurs les Américains,* macie całą potrzebną technikę, żeby

odkryć ten dom, wszystkie potrzebne aparaty fotograficzne, żeby go sfotografować. Przywieźcie mi zdjęcia tego domu”. Posiadam tylko coś w Wietnamie i chce pani wiedzieć, co? Mieszkanie w kwaterze głównej, gdzie jako generał mam prawo do dwóch kawalerek. Połączyłem je więc w jedno mieszkanie. Trochę je zmodernizowałem i utrzymuję, żeby jeździć tam na weekendy. Ale tak naprawdę nie należy do mnie, należy do armii. I armii je oddam, zamienione w muzeum. Poza tym mam drewniany dom nad rzeką i tam jeżdżę, kiedy mam ochotę popływać na nartach wodnych. To tani dom z prefabrykatów. Podarował mi go związek zawodowy pracowników leśnych. Poza tym mam dom, w którym się urodziłem, najbiedniejszy w miasteczku. Ludzie przechodzą tamtędy i śmieją się: „Spójrz na dom prezydenta Thieu!”. Wreszcie mam też małą posiadłość ziemską, gdzie bawię się w eksperymenty rolnicze. Uprawiam tam ryż, melony, hoduję kury, gęsi, świnie, a nawet ryby, bo jest tam staw. To wszystko. Odkąd jestem prezydentem, nie kupiłem nawet samochodu, używam wciąż auta prezydenta Diema. To stary mercedes z silnikiem, który wciąż się psuje. Wyobraża sobie pani prezydenta Wietnamu, który wraca uroczyście z jakiejś podróży, wysiada z samolotu, wsiada do tego mercedesa, który rusza i nagle się zatrzymuje? Więc policja wojskowa musi go popychać, w nadziei że silnik zaskoczy, i pif! paf! Tymczasem prezydent przeklina: „Cholera! Muszę kupić samochód!”. Proszę kontynuować, *mademoiselle*.

*Kontynuuję, panie prezydencie. Pytanie numer cztery. Czy nie obawia się pan, że zostanie zamordowany? Na przykład zabity tak jak prezydent Diem?*

Nie. Szczerze mówiąc, nie. Wierzę w Boga i w to, że mnie chroni. Proszę mnie dobrze zrozumieć, nie żebym był stuprocentowym fatalistą. Innymi słowy, nie wierzę, że Bóg jest tu ciągle, żeby cię chronić, a więc nie ma potrzeby, byś chronił sam siebie. Przeciwnie, myślę, że każdy powinien robić wszystko, co możliwe, by wyręczać Boga i pomagać mu w chronieniu siebie. Ale są granice wszystkiego i w końcu konkluduję: „Ja spełniam swój obowiązek i chronię się przed zagrożeniami, jakie ten obowiązek ze sobą niesie. Reszta należy do Boga. Żeby on też wziął jakąś odpowiedzialność w stosunku do mnie, *n'est-ce-pas?* Poza wszystkim jest to kwestia wzajemnego zaufania!”. *Mademoiselle*, żarty na bok, zamordowanie mnie nie byłoby wcale trudne. Podaję rękę wszystkim i za bardzo nie uważam, agenci mojej służby bezpieczeństwa wciąż tylko narzekają. A ja odpowiadam: „*Messieurs les agents, qu'est-ce que c'est ça?!* Ja wykonuję swoją pracę, wy wykonujecie swoją. Jeśli wam nie wychodzi, tym gorzej dla was i dla mnie. Mam to w nosie. *Je m'en fous*”. Mam to w nosie, ponieważ... jak tego uniknąć, jeśli ktoś

naprawdę chce cię zabić? W ubiegłym tygodniu dokonałem przeglądu pięciu tysięcy ludzi z oddziałów samoobrony. Każdy z nich miał naładowany karabin i żeby mnie zabić, wystarczyłaby jedna jedyna kula z jednego karabinu. Nie ma nic łatwiejszego niż zabić prezydenta Wietnamu. Ale dlaczego mieliby to zrobić, jeśli im wytłumaczyłem, że nie warto, że wolę odejść raczej żywy niż martwy? Zresztą myśl o śmierci nie prześladuje mnie. Pokazałem to, uczestnicząc w Bóg wie ilu walkach do 1965 roku, stawiając również niedawno czoło artylerii północnowietnamskiej i ostrzałom Vietcongu. Kto zmuszał mnie, żebym udał się do Quang Tri, do Binh Long, do Kon Tum? Byłem prezydentem, a nie generałem na froncie! A jednak pojechałem tam. Pomodliłem się do Matki Boskiej, a potem pojechałem.

*Jest pan bardzo religijny, prawda?*

*Oui, oui, oui! Beaucoup! Beaucoup!* W każdą niedzielę wysłuchuję mszy w mojej kaplicy, każdego wieczora się modłę. Modliłem się również, żeby moje oddziały odzyskały Quang Tri bez nadmiernego przelewu krwi. Modliłem się też, kiedy doktor Kissinger przyjechał tu, by spróbować nakłonić mnie do zaakceptowania tego, na co nie mogłem się zgodzić. Jestem prawdziwym katolikiem. Nawróciłem się po ośmiu latach przemysleń. Moja żona była już katoliczką, kiedy poślubiłem ją w 1951 roku, a ponieważ Kościół utrzymywał, że małżeństwo będzie ważne tylko wtedy, gdy się nawrócę, poszedłem do księdza i powiedziałem: „Wasza Wielbność, jestem oficerem i prowadzę wojnę. Nie mam czasu studiować katechizmu. Proszę dać mi czas. Kiedy wojna się skończy, obiecuję, przestudiuję katechizm i nawrócę się”. Wojna się skończyła, a ja dotrzymałem obietnicy. Ale nie było to wcale takie łatwe, jak myślałem. Chciałem zrozumieć wszystko i doprowadzałem tego biednego księdza do szaleństwa moimi pytaniami. Był to wiejski ksiądz, nie wiedział, co odpowiadać. Musiałem poszukać sobie ojca dominikanina i... *Voyez bien, mademoiselle*, wszystko, co robię, lubię robić dobrze. Czy się nawracam, czy gram w tenisa, czy jeżdżę konno, czy sprawuję władzę prezydenta. Lubię odpowiedzialność, bardziej niż władzę. Oto dlaczego mówię, że władzy nigdy nie należy dzielić z innymi. Oto dlaczego zawsze to ja decyduję. Zawsze! Wysłuchuję innych, pozwalam sobie zasugerować decyzję, a potem postanawiam odwrotnie. *Oui, c'est moi qui décide*. Jeśli nie przyjmuje się odpowiedzialności, nie jest się godnym być przywódcą i... *Mademoiselle*, proszę mnie zapytać: „Kto jest tutaj szefem?”

*Kto jest tutaj szefem?*

Ja! Ja jestem szefem! *Moi! C'est moi! C'est moi le chef!*



*Dziękuję, panie prezydencie. Teraz, jak sądzę, mogę już odejść.*

Odchodzi pani? Skończyliśmy? Jest pani zadowolona, *mademoiselle*? Bo jeśli nie jest pani zadowolona, musi mi pani powiedzieć. *Mademoiselle*, mam nadzieję, że jest pani zadowolona, ponieważ niczego przed panią nie zataiłem i rozmawiałem z panią z całkowitą szczerością, przysięgam. Na początku nie chciałem. Ale potem... cóż mogę zrobić? Taki już jestem. Ej, proszę mi powiedzieć, czy spodziewałaby się pani, że spotka kogoś takiego?

*Nie, panie prezydencie.*

*Merci, mademoiselle.* Jeśli pani zdoła, proszę modlić się za pokój w Wietnamie. Pokój w Wietnamie oznacza pokój na świecie. Czasami czuję się tak, jakby nie było już nic do zrobienia, poza modleniem się do Boga.

*Sajgon, styczeń 1973*

## Generał Giap

Był to człowiek, którego nazwisko podczas wojny w Wietnamie wymieniano najczęściej. Nie dlatego, że był ministrem obrony w Hanoi, głównodowodzącym sił zbrojnych, wicepremierem, ale dlatego, że był tym, który pokonał Francuzów pod Dien Bien Phu. Amerykanie byli ogarnięci zmorą nowego Dien Bien Phu i kiedy tylko sprawy przybierały gorszy obrót, mawiali: „To Giap przygotowuje nowe Dien Bien Phu”. Albo po prostu: „To Giap”. Mówiono: Giap, w lutym 1968 roku, kiedy Vietcong przeprowadzał ofensywę Tet. Mówiono: Giap, w marcu i w kwietniu, kiedy północni Wietnamczycy utrzymali Hue i otoczyli Khe San. Mówiono: Giap, w maju i w czerwcu, kiedy Vietcong przypuścił drugą ofensywę w Sajgonie i na nizinach centralnych. Miało się mówić: Giap, również później, przez wiele lat. To krótkie i suche jak smagnięcie w policzek nazwisko było wciąż wiszącą w powietrzu groźbą, straszakiem od siedemnastego równoleżnika w dół. Dzieci straszysz, mówiąc: „Zaraz zawołam wilka”. Amerykanów straszysz, szepcząc: „Zaraz przybędzie Giap”. A zresztą, czy to nie oni sami rozdmuchali jego sławę w swojej manii tworzenia legend? Nawet się nie zastanowili, czy legenda nie jest przedwczesna. Pod Dien Bien Phu Giap triumfował, to prawda, ale nie można było jeszcze uznać, że jest on naprawdę azjatyckim Napoleonem, geniuszem militarnej strategii, nieustannym zwycięzcą. Czy ofensywa Tet nie była może porażką, a co z ofensywą majową? Czy Hue może nie padło, a w Khe San nie przerwano w końcu oblężenia? W lutym 1969 roku szale zwycięstwa przechylały się raczej na stronę Amerykanów i południowych Wietnamczyków. Jedynym prawdziwym zwycięstwem Hanoi było ustąpienie Johnsona i powstrzymanie bombardowań Wietnamu Północnego. W Sajgonie Thieu umocnił swoją władzę.

Jednak Giap pozostawał Giapem. Każdy, kto był dziennikarzem, chciał przeprowadzić wywiad z Giapem. To oczywiste. Ho Chi Minh był już za stary, zbyt schorowany. Odwiedzającym ścisnął dłoń, wykrzykiwał kilka zdań o zwycięstwie, po czym oddalał się, pokaszując. Spotkanie z nim miało wartość wyłącznie z ludzkiego albo osobistego punktu widzenia. Poznanie Ho Chi Minha nie dawało większego pola do popisu. Za to spotkanie z Giapem! Giap miał wiele rzeczy do powiedzenia, a nie mówił ich od 1954 roku. Jeszcze bardziej nieprzystępny od samego Ho Chi Minha, nie pokazywał się nawet na oficjalnych uroczystościach; od czasu do czasu rozchodziła się pogłoska, że nie żyje. Kiedy więc tylko przyjechałam do Hanoi, w lutym 1969 roku, od razu poprosiłam o widzenie z Giapem i

przygotowywałam się z upartą nadzieją na to spotkanie, gromadząc dokładną dokumentację na temat jego biografii. Niezwykle fascynująca jest historia Giapa, który, jako syn zubożałego właściciela ziemskiego, wyrósł w rodzinie bogatych Francuzów – bardzo daleko od wychowania marksistowskiego. Jak na rasowe mieszczaństwo przystało, uczył się najpierw w gimnazjum cesarskim w Hue, potem studiował na uniwersytecie w Hanoi, gdzie zdobył dyplom z prawa i filozofii; w końcu pracował jako nauczyciel literatury i historii w liceum francuskim w Hanoi, dręcząc swoich uczniów kampaniami napoleońskimi. Rysował na tablicy szczegóły bitew, analizował je rozwlekle, a koledzy dworowali sobie z niego: „Chcesz zostać generałem?”. Jako rewolucjonista zaczął jednak bardzo szybko: w wieku czternastu lat. Jako osiemnastolatek trafił już do więzienia, a mając lat dwadzieścia, przyłączył się do Ho Chi Minha, który z powodu jego niepojętych napadów wściekłości i kamiennego milczenia nadał mu przydomek Wulkan Pokryty Śniegiem, zaś ze względu na odwagę nazywał go Kui, Diabeł... W 1935 roku Giap wstąpił do partii komunistycznej i ożenił się z jedną z towarzyszek: Minh Tai. W roku 1939, kiedy komuniści zostali wyjęci spod prawa, zbiegł do Chin, a Minh Tai osłoniła jego ucieczkę, pozwalając się aresztować zamiast niego. Zmarła w 1941 roku w celi, w której grasowały szczury... Wielu utrzymywało, że w wyniku tego wydarzenia Giap nauczył się nienawiści, zamknięty na wszelką litość, otwarty na wszelkie okrucieństwo. Czy nie wiedzieli o tym Francuzi, którzy – pomiędzy 1945 a 1954 rokiem – wpadali w jego pułapki wypełnione jadowitymi pszczołami, w doły pełne węży albo wchodziłi na miny ukryte pod pozostawionymi na ulicach trupami? Był mistrzem; zwykł mawiać, że partyzantka będzie miała zawsze przewagę nad nowoczesną bronią. To naturalne, że pod Dien Bien Phu wygrał za pomocą armat. Stu armat, przetransportowanych przez Viet Minh kawałek po kawałku, na plecach, na rowerach, w forsownych marszach bez jedzenia. Jeśli Dien Bien Phu kosztowało Francuzów dwanaście tysięcy zabitych, Giapa kosztowało aż czterdzieści pięć tysięcy. To naturalne, że wspominał o tych poległych z obojętnością i dystansem: „Co dwie minuty umiera na tej planecie trzysta tysięcy ludzi. Czym jest czterdzieści pięć tysięcy na jedną bitwę? Na wojnie śmierć się nie liczy”. Twardości jego charakteru nieobcy był cynizm i w istocie miał bardzo niewiele wspólnego z surowymi marksistami z Hanoi. Nosił zawsze nowe i wyprasowane mundury, mieszkał w pięknej kolonialnej willi, zbudowanej przez Francuzów i wyposażonej we francuskie meble, miał auto z firankami i ożenił się ponownie z piękną, o wiele od siebie młodszą dziewczyną. Słowem, absolutnie nie prowadził życia mnicha albo jakiegoś Ho Chi Minha.

W Hanoi moja prośba o wywiad z Giapem została przyjęta przez północnych Wietnamczyków z wieloma zastrzeżeniami: „Dlaczego właśnie Giap? Wojny nie prowadzi tylko Giap. Poza tym Giap nie przyjmuje”. Jednak na trzy dni przed wyjazdem moja opiekunka An The podarowała mi wiadomość, że tak, zobaczę Giapa: „Jutro o trzeciej trzydzięci po południu. Dla jasności, nie będzie to oficjalny wywiad, tylko *causerie*, pogawędka. I nie będę sama, ale w towarzystwie innych kobiet z delegacji”. Inne kobiety z delegacji to były dwie komunistki i jedna socjalistka z Partito Socialista Italiano di Unità Proletaria, wraz z którymi zostałam wysłana do Wietnamu Północnego. Nazywały się Carmen, Giulia, Marisa, były inteligentne i przyjacielskie. Zrozumiały kłopot, jaki sprawiało mi to zbiorowe spotkanie, i obiecały, że nie otworzą ust, bym mogła przepytąć Giapa z możliwie największą swobodą. Obiecały też, że ustąpią mi miejsca, jeśli on wybierze którąś z nich, by usiadła obok niego, i że będą robiły notatki, gdyby zabronił użycia magnetofonu. Następnego dnia ubrały się starannie i w południe były już gotowe. A ja z nimi, spięta, nerwowa. W istocie nie pamiętam, co wydarzyło się po dwunastej. Pamiętam tylko, że wyruszyliśmy w eskorcie An The, jej pomocnicy Huan, tłumaczki Ho i że oficerowie sztabu głównego czekali na nas przy wejściu do Ministerstwa Wojny, wszyscy poważni i wystrojeni w oliwkowozielone mundury. Następnie jeden po drugim ukłonili się z szerokimi uśmiechami i eskortowali nas wzdłuż korytarza aż do wielkiej sali z kanapą i licznymi fotelami ustawionymi pod ścianami. Na środku sali, sztywny niczym ołowiany żołnierz, stał Nguyen Vo Giap. Legendarny Giap.

Zdziwiły mnie przede wszystkim jego rozmiary. Wiedziałam, że ma niespełna metr pięćdziesiąt cztery centymetry wzrostu, ale – widziany na żywo – wydawał się jeszcze niższy. Miał krótkie nogi, krótkie ramiona i króciutką szyję, która i tak tonęła w marynarce. Ciało było krępe, wręcz tłuste. Twarz miał napuchniętą i pokrytą błękitnymi żyłkami, które czyniły ją siną. Nie była to sympatyczna twarz, o nie. Może z powodu tego sinego kolorytu, a może z powodu tych rozmazanych rysów twarzy, trzeba się było mocno wysilić, by szybko mu się przyjrzeć i odkryć mało ciekawe rzeczy. Ogromne usta wypełnione maleńkimi ząbkami, spłaszczony nos, poszerzony wielkimi nozdrzami, czoło, które ginęło w połowie czaszki porośniętej gęstwiną czarnych włosów... Ale jego oczy! Być może były to najinteligentniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałam. Przenikliwe, przebiegłe, roześmiane, okrutne, było w nich wszystko. Lśniły jak dwie krople światła, dziurawiły jak dwa ostre noże i wyrażały niezwykłą pewność siebie. Niezwykłą władczość. Zastanawiałam się z niedowierzaniem, czy to możliwe, że takie

oczy płakały pewnej nocy w górach Lam Son? Pewnej nocy, w górach Lam Son, gdzie organizował partyzantkę antyfrancuską, ktoś przyniósł Giapowi wiadomość, że Ho Chi Minh nie żyje. W jednej ze swoich książek tak opisał to wydarzenie: „Poczułem, że wszystko wokół mnie wiruje. Zebrałem jego rzeczy do słomianego koszyka, który służył mu za walizkę, i poprosiłem Tonga, żeby wygłosił mowę żałobną. Było bardzo zimno i miliony gwiazd rozświetlały bezkres nieba. Ale nieskończony smutek rozdzierał mi serce, patrzyłem w te gwiazdy oczami pełnymi łez i nagle zapłakałem”. No cóż! Może w odległej przeszłości oczy te wylały tak dużo łez, że nic na świecie nie pozwoliłoby im już więcej zapłakać.

Wyszedł mi naprzeciw z ręką wyciągniętą ze światową swobodą. Również jego uśmiech miał w sobie coś światowego. Zapytał, czy mówię po francusku, a jego głos był dźwięczny, ton niemal inkwizytorski, co mnie onieśmieliło, i odpowiedziałam „Oui, monsieur”, zamiast „Oui, mon général”. Ale on się tym nie zirytował, a wręcz wydało mi się, że sprawia mu przyjemność zwracanie się do niego „monsieur”, zamiast „towarzyszu”, takiego zwrotu używały Giulia, Carmen i Marisa. Poprowadził nas w głąb sali, żeby tam usiąść, poprosił Giulie i Marisę, by zajęły fotele, a Carmen zaprosił, by usiadła obok niego na kanapie. Posłuszna umowie Carmen wykręciła się i zrobiła tak, żebym to ja zajęła jej miejsce. Ale to wymagało czasu i minęło kilka minut, zanim wszyscy się usadowili: moje przyjaciółki, An The, Huan i Ho w fotelach po naszej prawej stronie, a oficerowie sztabu głównego po lewej. Jednego z oficerów uwierały buty. Poluzował sznurowadło na jednej haftce, potem na drugiej i na jeszcze jednej i wkrótce oba buty były całkowicie rozsznurowane. Wtedy inny oficer poszedł w jego ślady, a potem jeszcze trzeci, tymczasem ja zastanawiałam się, jak przeprowadzę wywiad. Nie była to na pewno sytuacja dla mnie idealna, z tymi wszystkimi ludźmi, którzy siedzieli w rzędzie, jakby to była szkoła albo teatr. Nie wiedziałam też, jak będzie wyglądał ceremoniał i co wydarzy się w ciągu pierwszych dziesięciu minut, wymiana komplementów, poczęstunek? Naprzeciw kanapy, na której siedziałam z Giapem, stał stół zastawiony przysmakami: smażonymi kulkami sera, słodyczami z ryżu, mięsnymi krokietkami, cukierkami, ciasteczkami, oraz kieliszkami z jakimś czerwonym trunkiem. Ale nikt z wyjątkiem mnie ich nie tknął i wydarzyło się coś, co pozwoliło mi wygrać rozgrywkę. Giap dostrzegł mój magnetofon i zaniepokoił się. „*Je vous prie, pas celui-là, ça sera seulement une causerie entre nous, vous savez*”(Proszę pana, bez tego, to będzie tylko luźna rozmowa między nami, rozumie pan). Próbowałam pertraktować, wywołało to dyskusję, w końcu

uzgodniliśmy potrzebę robienia przynajmniej notatek. Kontynuując tę rozmowę, zaczęłam nakłaniać go do mówienia.

Trzeba przyznać, że nie było to wcale trudne. Giap uwielbia mówić i mówił przez czterdzieści pięć minut, bez chwili przerwy, mentorskim tonem profesora, który wykladał mało inteligentnym uczniom. Przerwać mu, żeby zadać pytania, było przedsięwzięciem beznadziejnym. Giulia, Carmen, Marisa, An The, Ho, wszyscy, którzy robili notatki, nie byli w stanie za nim nadążyć. Widok tych głów pochylonych nad zeszytami i tych rąk, które tak pracowicie pisały, pisały i pisały, był wręcz żalosporny. Jedyńą, która nie pisała, byłam ja, ale jakbym mogła, kiedy jego straszne oczy szukały moich? Giap mnie przepytawał, upominał, zaprzeczał i nierzadko wybuchał gniewem. Jak wtedy, kiedy powiedziałam mu, że ofensywa Tet nie powiodła się, a on podniósł się nerwowo, okrążył stół, rozłożył ręce i z rozpostartymi ramionami krzyknął: „Niech to pani powie Frontowi Wyzwolenia” (wypierając się tym samym przypisywanej mu przez wszystkich odpowiedzialności za tę ofensywę). Jego rączki poruszały się bez ustanku, było w nim zadowolenie kogoś, kto lubi słuchać samego siebie, i uspokoił się dopiero, kiedy spostrzegł, że minęła wyznaczona godzina. Uspokoił się w jednej chwili. I od razu gwałtownie się podniósł, nakłaniając wszystkich, żeby wstali. Oficerowie, którzy rozsznurowali buty, nie wiedzieli teraz, co robić. Czerwoni na twarzy, wpatrywali się w wijące się po podłodze sznurowadła. A jeden z nich, zrywając się na nogi, potknął się i o mało nie runął jak długi na ziemię.

W hotelu przepisałyśmy słowo po słowie notatki Giuli, Carmen, Marisy, An The, Huan i Ho, następnie porównałyśmy je ze sobą i ułożyłyśmy tekst wywiadu, nie rezygnując nawet z jednego przecinka. Następny poranek przyniósł mi jednak niespodziankę. Przyszła An The z trzema arkusikami maszynowych przebitek, wręczyła mi je, mówiąc, że to i tylko to jest tekstem rozmowy, jaką przeprowadziłam z generałem. Generał nie autoryzuje innego tekstu, a ja mam się zobowiązać do jego publikacji. Przeczytałam kartki. Nie było tam już nic z tego, czego wysłuchałam, a co inni spisali. Nie było odpowiedzi na pytanie o ofensywę Tet ani o konferencję pokojową w Paryżu, ani też na pytanie dotyczące zakończenia wojny. Nie było nic poza serią retorycznych i ogólnikowych zdań, nadających się co najwyżej na jakieś publiczne zgromadzenie. „Powtarzam, że generał żąda publikacji tego tekstu”, powiedziała An The z wyciągniętym palcem wskazującym. „Opublikuję go – odparłam – ale razem z prawdziwym tekstem”. Tak też uczyniłam.

\* \* \*

Giap nigdy mi tego nie wybaczył, a północni Wietnamczycy, którzy wydali mi wizę, tym bardziej. Niezależność osądu, wiadomo, jest cnotą, która wielu komunistom się nie podoba. Albo podoba się tylko w przypadkach, kiedy skłania cię do napisania tego, co jest im wygodne. W Hanoi kochali mnie za to, co napisałam w 1968 roku z Sajgonu, atakując Amerykanów i chwając Vietcong. Teraz jednak, kiedy w tym samym duchu wyjaśniałam, w czym mylili się w Hanoi, wszelka ich czułość w stosunku do mnie ulotniła się wraz z dobrą pamięcią. Zadedykowali mi obelgi, kretyńskie zniewagi. Powiedzieli, że wyrządziłam krzywdę generałowi Giapowi, żeby oddać przysługę Amerykanom, a nawet że udałam się do Wietnamu Północnego na zlecenie Amerykanów: to-oczywiste-że-należałam-do-CIA! Ale nadmiernie się tym nie dręczyłam, a tym bardziej mnie to nie zdziwiło, zaś mój wywiad pozostaje dokumentem, o którym mówi się jeszcze dzisiaj. Opublikowany na całym świecie, wylądował również na biurku Henry'ego Kissingera, który dzięki niemu (co wyjaśniłam w innym miejscu) zgodził się ze mną zobaczyć i porozmawiać.

*ORIANA FALLACI. Generale Giap, w wielu pańskich pismach zadaje pan sobie następujące pytanie: Kto ostatecznie wygra wojnę w Wietnamie? Pytam pana zatem: Czy dzisiaj, to znaczy w pierwszych miesiącach 1969 roku, uważa pan, że może powiedzieć, iż Amerykanie przegrali wojnę w Wietnamie, zostali militarnie pokonani?*

NGUYEN VO GIAP. Oni sami to przyznają. Ale teraz dowiodę pani, dlaczego Amerykanie są już pokonani, militarnie i politycznie. A żeby udowodnić ich klęskę militarną, odwołam się do ich klęski politycznej, która leży u podstaw wszystkiego. Amerykanie popełnili bardzo poważny błąd, wybierając jako pole walki Wietnam Południowy. Reakcyjniści z Sajgonu są zbyt słabi, wiedzieli o tym również Taylor, McNamara, Westmoreland. Nie wiedzieli jednak, że przy takiej słabości nie będą potrafili skorzystać z amerykańskiej pomocy. Jaki bowiem był cel agresji amerykańskiej w Wietnamie? To jasne: neokolonia oparta na marionetkowym rządzie. Ale by stworzyć neokolonię, potrzebny jest stabilny rząd, a rząd w Sajgonie jest skrajnie niestabilny. Nie ma żadnego wpływu na ludzi, nie wierzą mu. W jakiej więc paradoksalnej sytuacji znajdują się Amerykanie? Paradoks polega na tym, że nie mogą się wycofać z Wietnamu Południowego, nawet jeśli tego chcą, ponieważ żeby się wycofać, muszą zostawić stabilną sytuację polityczną. To znaczy kilku sługusów, którzy by ich dobrze zastąpili. Sługusów, tak, ale silnych. Sługusów, tak, ale poważnych. Marionetkowy rząd w Sajgonie nie jest silny i nie jest

poważny, nie nadaje się też na sługusa, nie trzyma się na nogach, nawet jeśli podeprzeć go czołgami. Jak więc Amerykanie mają sobie pójść? A jednak muszą odejść, nie mogą przecież trzymać sześciuset tysięcy ludzi w Wietnamie przez kolejnych dziesięć, piętnaście lat! Oto zatem ich klęska polityczna: z politycznego punktu widzenia nie zyskali nic mimo ogromnego aparatu militarnego, jakim dysponują.

*To, generale, nie oznacza, że militarnie przegrali wojnę.*

Niech pani będzie cierpliwa, proszę mi nie przerywać. Oczywiście, że oznacza: gdyby nie czuli się pobici, Biały Dom nie mówiłby o honorowym pokoju. Zrobimy jednak krok wstecz, do czasów Genewy i Eisenhowera. Jak zaczęli Amerykanie w Wietnamie? Stosując metody konwencjonalne, to znaczy udzielając pomocy wojskowej i ekonomicznej marionetkowym rządóm. Słowem, dając dolary. Ponieważ oni wciąż wierzą, że mogą wszystko rozwiązać za pomocą dolara. Sądzieli, że również wolny, niezależny rząd będą mogli zainstalować za pomocą dolara, to znaczy z armią kukiełek kupionych za dolary, z trzydziestoma tysiącami doradców opłacanych w dolarach, przez wynalezienie wiosek strategicznych zbudowanych za dolary. Ale wkroczył naród i plan Amerykanów upadł. Padły wioski strategiczne, padli doradcy, padła kukiełkowa armia. Amerykanie byli zmuszeni do interwencji wojskowej zalecanej już przez ambasadora Taylora. W ten sposób rozpoczęła się druga faza ich agresji: wojna specjalna. Byli pewni, że zdołają ją zakończyć do 1965 roku, najdalej do 1966, angażując sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi i osiemnaście miliardów dolarów. Ale w roku 1966 wojna wcale nie była skończona, przeciwnie, dołożyli dwieście tysięcy ludzi i mówili o trzeciej fazie, to znaczy o wojnie ograniczonej. Słynna polityka oskrzydłająca Westmorelanda: z jednej strony zjednać sobie ludność, a z drugiej eksterminować siły Wyzwolenia. Manewr ten jednak się nie powiódł i Westmoreland przegrał wojnę. Jako generał przegrał ją w 1967 roku, kiedy chciał desantu kolejnych żołnierzy, a w Waszyngtonie przedstawił swój optymistyczny raport, ogłaszając, że rok 1968 będzie dobry dla wojny w Wietnamie, pozwoli Johnsonowi ponownie wygrać wybory. W Waszyngtonie Westmoreland został powitany jak bohater, ale wiedział oczywiście, że wojna ta zaczyna być trochę nazbyt kosztowna. Taylor zrozumiał to od samego początku. No przecież! Korea kosztowała Amerykanów dwadzieścia miliardów dolarów, Wietnam kosztował już ponad sto miliardów. Korea pochłonęła ponad pięćdziesiąt cztery tysiące poległych, Wietnam przekroczył już tę liczbę...

*Amerykanie mówią o trzydziestu czterech tysiącach poległych, generale.*



Hmm... Ja powiedziałbym przynajmniej dwa razy tyle. Amerykanie zawsze podają liczby zaniżone w stosunku do rzeczywistości, w najlepszym przypadku trzy zamiast pięciu. Nie mogli mieć tylko trzydziestu czterech tysięcy zabitych. Jeśli zestrzeliliśmy im ponad trzy tysiące dwieście samolotów! Jeśli przyznają, że jeden ich samolot na pięć został strącony! Proszę zważyć: przez pięć lat wojny na pewno nie stracili mniej niż siedemdziesiąt tysięcy ludzi. A być może oceniam za nisko.

*Generale, Amerykanie mówią też, że wy straciliście pół miliona ludzi.*

Dokładna liczba.

*Dokładna?*

Dokładna. Ale wracajmy do naszych rozważań: nadszedł rok 1968 i wtedy Amerykanie byli naprawdę pewni zwycięstwa. A potem znienacka następuje ofensywa Tet i Front Wyzwolenia udowadnia, że może ich zaatakować, kiedy chce i gdzie chce. Łącznie z najbardziej chronionymi miastami, łącznie z Sajgonem. Amerykanie w końcu przyznają, że ta wojna jest strategicznym błędem. Przyznaje to Johnson, przyznaje to McNamara. Zgadzą się, że niewłaściwe jest miejsce, niewłaściwy moment, że miał rację Montgomery, mówiąc, że nie należy wprowadzać armii na kontynent azjatycki. Zwycięska ofensywa Tet...

*Generale, wszyscy są zgodni, uznając ofensywę Tet za wielkie zwycięstwo psychologiczne. Ale nie sądzi pan, że z militarne punktu widzenia była ona porażką?*

Porażką?

*Powiedziałabym, że tak, generale.*

Proszę to powiedzieć, a właściwie proszę o to zapytać Front Wyzwolenia.

*Najpierw chciałabym zapytać o to pana, generale.*

Musi pani zrozumieć, że jest to pytanie delikatne, że ja nie mogę wydawać tego rodzaju osądów, że nie mogę wchodzić w sprawy Frontu. Jest to delikatna sprawa... bardzo delikatna... W każdym razie zaskakuje mnie pani, ponieważ cały świat przyznał, że z militarne i politycznego punktu widzenia ofensywa Tet...

*Generale, również z punktu widzenia politycznego nie było to wielkie zwycięstwo. Nie nastąpiło powstanie ludności i po dwóch tygodniach Amerykanie znów przejęli kontrolę. Tylko w Hue mieliśmy do czynienia z trwającą miesiąc epopeją. W Hue, gdzie byli północni Wietnamczycy.*

Nie wiem, czy Front przewidywał powstanie ludności albo czy go chciał, choć myślę, że bez pomocy ludności siły Frontu nie mogłyby wejść do miasta. I nie będę dyskutował o ofensywie Tet, która nie zależała ode mnie, nie zależała od nas, była przeprowadzona przez Front. Jest jednak faktem, że po ofensywie Tet Amerykanie przeszli od ataku do obrony. Zaś obrona jest zawsze początkiem porażki. Mówię: początkiem porażki, nie przecząc sobie, nasze końcowe zwycięstwo ma dopiero nadejść i nie można jeszcze mówić o definitywnej porażce Amerykanów. Liczebnie Amerykanie są wciąż silni, kto mógłby temu zaprzeczyć? Potrzeba jeszcze wielu wysiłków z naszej strony, żeby całkowicie ich pobić. Problem militarny... teraz mówię jako wojskowy... tak, Amerykanie są silni, ich uzbrojenie jest silne. Ale niczemu to nie służy, ponieważ wojna w Wietnamie nie jest tylko wojną militarną, zatem siła militarna i strategia militarna nie wystarczą, ani by ją wygrać, ani by ją zrozumieć.

*Tak, generale. Ale...*

Proszę mi nie przerywać. Mówiłem, że Stany Zjednoczone prowadzą wojnę zgodnie ze strategią arytmetyczną. Pytają swoje komputery, dodają i odejmują, wyciągają pierwiastki kwadratowe i na ich podstawie działają. Ale strategia arytmetyczna nie ma tu znaczenia, gdyby miała, już by nas zgładzili. Na przykład swoimi samolotami. Nie przypadkiem sądzili, że nas złamią w niewiele tygodni, zrzucając na nas te miliardy ładunków wybuchowych. Bo, jak już pani powiedziałem, oni liczą wszystko w miliardach, w dolarach. A nie doceniają ducha narodu, który potrafi walczyć o słuszną sprawę, o ocalenie ojczyzny przed agresorem. Nie chcą wbić sobie do głowy, że wojnę w Wietnamie można zrozumieć tylko dzięki strategii wojny ludu, że wojna w Wietnamie nie jest kwestią stanu liczebnego i ilości, że to wszystko nie rozwiązuje problemu. Dam przykład. Oni mówili, że do zwycięstwa konieczny jest stosunek dwadzieścia pięć do jednego. Potem zdali sobie sprawę, że taka liczba jest niemożliwa i zredukowali ją do sześciu do jednego. Potem zeszli do trzech, twierdząc, że jest to niebezpieczny stosunek. Nie, trzeba czegoś więcej niż stosunek trzy do jednego, sześć do jednego, dwadzieścia pięć do jednego, a tym czymś jest stający przeciwko nim naród. Kiedy cały lud powstaje, nic się nie da zrobić. Nie ma takiego bogactwa na świecie, które mogłoby to spłacić. Stąd nasza strategia, nasza taktyka, której Amerykanie nie potrafią pojąć.

*Jeśli jest pan tak pewny, że zostaną definitywnie pokonani, generale, jak pan sądzi, kiedy to nastąpi?*

Och, to nie jest wojna, którą można rozwiązać w niewiele lat. W wojnie przeciwko Stanom Zjednoczonym trzeba czasu, czasu... Amerykanów pokonuje się czasem, męcząc ich. A żeby ich zmęczyć, my musimy kontynuować, trwać... długo... Zawsze tak robiliśmy. Bo my, wie pani, my jesteśmy małym narodem. Jest nas zaledwie trzydzieści milionów, połowa Włoch, a było nas ledwie milion na początku ery chrześcijańskiej, kiedy przybyli Mongołowie. Po podbiciu Europy i Azji Mongołowie przybyli tutaj. A my, których było ledwie milion, pokonaliśmy ich. Mongołowie przybywali tu trzy razy i trzykrotnie ich pokonaliśmy. Nie mieliśmy ich środków, a jednak wytrzymaliśmy i przetrwaliśmy, i powtarzaliśmy: trzeba, żeby cały naród walczył. To, co było ważne w 1200 roku, pozostaje ważne w XX wieku. Problem jest ten sam. Jesteśmy dobrymi żołnierzami, ponieważ jesteśmy Wietnamczykami.

*Generale, również Wietnamczycy z Południa, którzy walczą u boku Amerykanów, są Wietnamczykami. Co pan o nich myśli jako o żołnierzach?*

Nie mogą być dobrymi żołnierzami. Nie są dobrymi żołnierzami. Ponieważ nie wierzą w to, co robią, i dlatego brakuje im ducha walki. Wiedzą o tym też Amerykanie, którzy są nieskończenie od nich lepsi. Gdyby Amerykanie nie wiedzieli, że żołnierze marionetki są marnymi żołnierzami, nie potrzebowałiby sprowadzać do Wietnamu tyłu swoich oddziałów.

*Generale, porozmawiajmy o konferencji w Paryżu. Czy sądzi pan, że pokój może nastąpić dzięki konferencji w Paryżu, czy też dzięki militarnemu zwycięstwu, takiemu jak to, które odniósł pan pod Dien Bien Phu?*

Dien Bien Phu... Dien Bien Phu... Fakt, że jesteśmy w Paryżu, jest dowodem naszych dobrych intencji. Nie można powiedzieć, że Paryż jest zbędny, od chwili, kiedy nie tylko my, ale również Front Wyzwolenia tam jest. W Paryżu trzeba przełożyć na płaszczyznę dyplomatyczną to, co dzieje się w Wietnamie i... madame! *Paris, madame, vous savez...* to sprawa dla dyplomatów.

*A zatem, mówi pan, generale, że wojna nie zakończy się w Paryżu, że może zostać zakończona tylko militarnie, nigdy dyplomatycznie, że Dien Bien Phu Amerykanów musi jeszcze nadejść i nadejdzie?*

Dien Bien Phu, Madame, Dien Bien Phu... Otóż nie jest zawsze prawdą, że historia się powtarza. Ale tym razem się powtórzy. I tak jak pokonaliśmy militarnie Francuzów, tak samo pobijemy Amerykanów. Tak, madame, ich Dien Bien Phu musi jeszcze nadejść. I nadejdzie. Amerykanie przegrają definitywnie wojnę w momencie, kiedy ich stan liczebny osiągnie

maksimum, a wielka machina, którą razem skonstruowali, nie będzie już w stanie się ruszyć. To znaczy pokonamy ich w chwili, kiedy będą mieli najwięcej ludzi, najwięcej broni, najwięcej nadziei na zwycięstwo. Ponieważ całe to bogactwo, ta siła, stanie się dla nich kamieniem u szyi. To nieuchronne.

*Może się myłę, generale, ale czy nie spróbowaliście już drugiego Dien Bien Phu w Khe Sanh?*

O, nie. Khe Sanh nie miało i nie mogło być Dien Bien Phu. Khe Sanh nie było dla nas tak ważne. Albo było w takim stopniu, w jakim było ważne dla Amerykanów; w istocie w Khe Sanh w grę wchodził ich prestiż. Bo widzi pani, jest to paradoks, jaki zawsze występuje u Amerykanów: dopóki pozostawali w Khe Sanh, żeby bronić swojego prestiżu, mówili, że Khe Sanh jest ważne. Kiedy opuścili Khe Sanh, powiedzieli, że Khe Sanh nigdy nie było ważne. Czy nie sądzi pani zresztą, że wygraliśmy w Khe Sanh? Ja mówię, że tak i... ale wie pani, że dziennikarze są ciekawscy? Nazbyt ciekawscy. A ponieważ ja także jestem dziennikarzem, chcę odwrócić role i zadać pani kilka pytań. Pierwsze pytanie: Czy zgodzi się pani z tym, że Amerykanie przegrali wojnę na Północy?

*Powiedziałabym, że tak, generale. Jeśli za wojnę na Północy uznaje się bombardowania, myślę, że Amerykanie przegrali. Nie zyskali bowiem niczego konkretnego, a potem musieli ich zaprzestać.*

Drugie pytanie: Czy zgodzi się pani z tym, że Amerykanie przegrali wojnę na Południu?

*Nie, generale. Nie przegrali jej. Albo jeszcze nie. Nie odesłaliście ich przecież. Wciąż tam są. I zostają.*

Myli się pani. Wciąż tam są, ale w jakich warunkach? Ugrzęźli tam sparaliżowani, w oczekiwaniu na kolejne porażki, których próbują uniknąć, nie wiedząc jak. Porażki, które mają i będą miały dla nich katastrofalne konsekwencje z punktu widzenia ekonomicznego, politycznego, historycznego. Siedzą tam ze związanymi rękami, zamknięci na klucz w swojej własnej sile, mogą tylko pokładać nadzieje w Konferencji Paryskiej. Ale tam też są tacy uparci, nie porzucają swoich pozycji.

*Generale, mówi pan, że w Paryżu Amerykanie są uparci. Ale Amerykanie to samo mówią o was. Czemu więc służy ta konferencja w Paryżu?*

*Madame, vous savez...*

*Generale, tutaj mówi się wciąż o pokoju, ale zdaje się, że nikt go tak naprawdę nie chce. Jak długo będzie więc trwała ta konferencja w Paryżu?*

Długo! Szczególnie jeśli Stany Zjednoczone nie ustąpią ze swoich pozycji. Długo. Tym bardziej że my nie ustąpimy z naszych, nam się nie spieszy, my mamy cierpliwość. Ponieważ kiedy delegacje dyskutują, my kontynuujemy wojnę. Kochamy pokój, ale nie pokój na każdych warunkach, nie pokój oparty na kompromisie. Pokój może dla nas oznaczać wyłącznie całkowite zwycięstwo, całkowity wyjazd Amerykanów. Każdy kompromis stanowiłby zagrożenie niewolą. A my wolimy śmierć od zniewolenia.

*A zatem, generale, jak długo potrwa wojna? Jak długo będzie się wymagać od tego biednego narodu, by się poświęcał, cierpiał, umierał?*

Tak długo, jak będzie to konieczne: dziesięć, piętnaście, dwadzieścia, pięćdziesiąt lat. Dopóki nie osiągniemy całkowitego zwycięstwa, jak powiedział nasz prezydent Ho Chi Minh. Tak! Nawet dwadzieścia, nawet pięćdziesiąt lat! Nam się nie spieszy, my się nie boimy.

*Hanoi, luty 1969*

## Norodom Sihanouk

Przyjął mnie na Brioni, w willi oddanej mu do dyspozycji przez Titę. Od kilku tygodni podróżował po krajach, które nie uznają Kambodży Lon Nola, i Jugosławia była przedostatnim etapem. Stamtąd zamierzał udać się do Rumunii, a z Rumunii miał wrócić do Pekinu, gdzie mieszkał, szanowany i kochany, od marca 1970 roku, kiedy Lon Nol pozbył się go i zajął jego miejsce z błogosławieństwem Amerykanów. Tito przyjął go w Belgradzie z honorami należnymi urzędującej głowie państwa i gościł go w Brioni z przepychem godnym króla i przyjaciela. Zdawali się bardzo zaprzyjaźnieni. Może zgadzali się w kwestii nieposłuszeństwa i sztuki pozostawiania niezależnym w świecie, w którym takie zadanie staje się coraz trudniejsze. To wyraźnie uszczęśliwiało Sihanouka, który wyszedł mi naprzeciw z otwartymi ramionami. Zresztą mijał już niemal rok, odkąd mieliśmy się spotkać. Między nami odbywała się wymiana listów i długiej serii telegramów. Kiedy tylko przychodziła depecha z Pekinu, zanim ją jeszcze otworzyłam, wiedziałam, kto jest nadawcą. Był nim Sihanouk, a moje pragnienie, by go spotkać, podwoiło się po podróży, jaką odbył do Kambodży okupowanej przez Czerwonych Khmerów, co było fantastycznym wyzwaniem rzuconym Lon Nolowi. Wiedziałam, że planował tam pojechać. Nie sądziłam, że wyjdzie z tego żywy. Kiedy przeczytałam, że nie tylko pojechał, ale także wrócił w jednym kawałku, liczba listów i telegramów podwoiła się. Potem nadeszło zaproszenie na Brioni i ten wywiad, trwający siedem bitych godzin.

Siedem godzin podzielonych na dwie części, bo około wpół do drugiej zaprosił mnie na posiłek. Rezygnuje ze wszystkiego poza jedzeniem, i to dobrym jedzeniem. Uwielbia jedzenie przynajmniej w takim stopniu, w jakim uwielbia swój kraj, ten tragiczny kraj, który zdołał utrzymać z dala od wojny przez szesnaście lat i który po jego odsunięciu stał się teatrem krwawych wydarzeń. Gdyby jednak chodziło o mnie, nie tracilibyśmy czasu przy stole, bowiem słuchanie go to prawdziwa rozrywka. Ośmieliłabym się powiedzieć, pocieszenie. Bo możesz powiedzieć o Sihanouku, co chcesz: że jest wierutnym kłamcą, postrzeleńcem, oszustem, hochsztaplerem, międzynarodową karykaturą, ale nawet jeśli tak myślisz, nie możesz zaprzeczyć, że w epoce, która politycznie zdaje się rodzić wyłącznie postaci szare, tępawe, nudne, a w każdym razie pozbawione fantazji, jest on rodzajem cudu. Przyznają to nawet Amerykanie, od których pochodzi słynna kwestia: „W jednym punkcie musimy się ostatecznie zgodzić. Nie istnieje na tej ziemi nikt taki jak Sihanouk”. Przy stole pragnęłam tylko, żeby szybko zjadł i jak

najszybciej wrócił na miejsce przed moim magnetofonem. Chociaż jego żonie, księżniczce Monique, wcale na tym nie zależało. Od miesięcy niepokoiła się spotkaniem, jakie zamierzał odbyć ze mną jej mąż: „Ciekawe, co jej powiesz! Ciekawe, do powiedzenia czego cię nakłoni!”, powtarzała. Ale on jej odpowiadał wzruszeniem ramion: „Lubię ryzyko”. Czy nie chodziło zresztą o skalkulowane ryzyko, o przewidziane zwycięstwo? Poznać go oznacza automatycznie zaakceptować, a należy tu wyjaśnić, że przed poznaniem absolutnie go nie akceptowałam. Nie byłam w stanie brać go na serio, nie byłam w stanie pogodzić odpowiedzialności męża stanu z jego kaprysmi playboya. Na przykład z tym, że pisywał różne piosenki i kierował zespołem jazzowym. Z tym, że kręcił śmieszne filmy, w których brał na siebie rolę aktora, jego żona aktorki, a potem narzucał je swoim poddanym, tak jak nakłada się podatki. Albo z tym, że grał rolę oświeconego, nowoczesnego polityka, a był ponurym despotą, który napychał sobie brzuch kawiozem i foie gras. Zarówno przed zamachem stanu Lon Nola, jak i po nim słyszałam zbyt wiele historii na temat Sihanouka, na temat pieniędzy, których żądał od Vietcongu, żeby gościć jego ludzi w Kambodży, na temat stosunków, jakie utrzymywał z Amerykanami, żeby wybaczyli mu obecność Vietcongu w Kambodży, na temat myta, jakiego jego teściowa żądała od każdej północnowietnamskiej ciężarówki, która trafiała do Sihanoukville, na temat ataków szału, w jakie wpadał bez powodu, na temat wygłaszanych przez niego kłamstw. Czytając jego telegramy i wysyłając swoje, uśmiechałam się zawsze z rezerwą. Uważałam to za coś w rodzaju zabawy.

Natomiast Sihanouk, którego spotkałam na Brioni, nie był zabawą. Był zrozpaczonym człowiekiem, który – mimo swoich ekstrawagancji – bardzo dobrze symbolizował kogoś umięającego sprzeciwić się każdemu, kto zagroziłby wolności jakiegoś kraju lub osoby, prawu człowieka do pomyłki, jeśli się myli, do bycia innym, jeśli jest inny. A on, nie ma rady, jest inny. Jak przyznaje szczerze, nie jest politykiem z powołania, jest artystą. Bardziej go bawi pisanie piosenek, komedii, wierszy i kierowanie zespołami muzycznymi, aniżeli decydowanie o cudzym losie. Nie wypiera się swojej przeszłości suwerena, nie ukrywa swoich błędów, nie zaprzecza, że wciąż pozostaje nieco zepsutym lekkoduchem. Czy Czou En-laj nie wybudował mu może basenu z ciepłą wodą w zimie, a chłodną latem w jego domu w Pekinie? Nie oddał mu może do dyspozycji całej drużyny kucharzy wyspecjalizowanych w słodczykach i przysmakach? Czyż nie utrzymuje go wraz z setką Kambodżan, udając, że udziela mu pożyczki do zwrotu po roku dwutysięcznym? A jednak Wasza Wysokość zmienił się: wie już, po której stronie stanąć, i wykazuje się pewną moralną odwagą... Nie dodam nic więcej na temat Norodoma Sihanouka.

Wywiad, którego mi udzielił, mówi sam za siebie, jest to jeden z najbardziej autentycznych autoportretów, jakie zdarzyło mi się zarejestrować. Szkoda, że słowo pisane nie oddaje jego piskliwego głosiku, jego małych oczu, którymi wywraca rozzłoszczony, jego ramionek, które poruszają się w tańcu tłuściutkich rąk. Spotkaliśmy się i rozstaliśmy jak przyjaciele. Obiecał mi nawet, że będzie interweniował u Czou En-laja, by wydano mi chińską wizę, na którą od lat daremnie czekałam. Ja obiecałam mu w zamian dwa kilogramy świeżej foie gras: miałam mu ją przywieźć do Pekinu. Potem, przed moim wyjazdem, obdarował mnie książkami, fotografiami, płytami. Słowa i muzyka, Jego Wysokość Norodom Sihanouk, przywódca królestwa Kambodży. Teraz pisuje piosenki dla Chińczyków, którzy śpiewają je we wszystkich szkołach w swoich miastach i wioskach. Czy to nie nadzwyczajne?

\* \* \*

Wizy chińskiej nigdy nie dostałam. Najwyraźniej nawet Sihanouk nie zdołał przekonać Czou En-laja, że bardziej na nią zasługuję od Amerykanów, od dyktatorów, od faszystów, którym udzielają jej z taką hojnością. W ten sposób stracił dwa kilogramy foie gras. Ale w nagrodę dostałam jeszcze jeden telegram. Był to długi, czuły telegram, w którym, nie bacząc na wydatek, dziękował mi za wywiad. Co mogę dodać? Sihanouk pozostaje jedynym przywódcą, jedynym możliwym, który zechciał podziękować mi, i to osobiście, kiedy o nim napisałam. Wybaczcie, jeśli to mało. Tylko za to zasługiwałby na dwa kwintale foie gras.

*ORIANA FALLACI. Moim zdaniem, najbardziej zadziwiającą rzeczą, jaką można powiedzieć o Norodomie Sihanouku jest to, że im dłużej się go słucha, tym bardziej się za nim podąża, im dłużej się go analizuje, tym mniej się go rozumie. Mimo to, Wasza Wysokość, czy spróbujemy stworzyć jego portret za pomocą tego wywiadu? Zaczynając może od szczegółu, że wydaje się on w ostatnich latach nieco odmieniony.*

NORODOM SIHANOUK. Odmieniony? Naprawdę uważa pani, że się zmieniłem? O, nie, *mademoiselle!* Mimo że mieszkam w Pekinie, a nie w Phnom Penh, jestem wciąż tym samym Sihanoukiem. Trochę oryginalnym lub, jeśli pani woli, dziwacznym. Trochę niezrozumianym lub, jeśli pani woli, niezrozumiałym. Ale ze swoimi nienaruszonymi przekonaniami i swoją niezmienną osobowością. Nie stałem się na przykład komunistą, wciąż określam siebie jako różowego, a nie czerwonego. Nie zaszyłem sobie ust, wciąż wykrzykuję to, co myślę, na temat wszystkiego i wszystkich, nie zważając na konsekwencje. I nie mam najmniejszego zamiaru skończyć jak playboy na wygnaniu. Chcę skończyć jak człowiek honoru,



wracając zwiędnię do Phnom Penh i czerpiąc przyjemność z widoku Lon Nola wiszącego na szubienicy. Jedyna różnica między wczorajszym i dzisiejszym Sihanoukiem polega na tym, że dzisiejszy Sihanouk nie myli już zdrajców z patriotami, a patriotów ze zdrajcami. Jestem już w stu procentach z Czerwonymi Khmerami i u ich boku walczę, żeby pokonali Amerykanów i rządili w komunistycznej Kambodży. Nie mam innego sposobu, żeby ocalić mój kraj i nie stracić twarzy. *Vous savez, mademoiselle*, jest wiele sposobów utraty twarzy, a nie traci się twarzy, tracąc tron. Czasem traci się ją, zdobywając tron. Albo zatrzymując go. Zupełnie mnie nie interesuje, żeby zostać kimś w rodzaju Hirohito, który produkuje aparaty fotograficzne, albo kimś w rodzaju Elżbiety, królowej Anglii, która zna się tylko na koniach. Jeszcze mniej obchodzi mnie, żeby przypominać jakiegoś Juana Carlosa, który jest tylko duchem Franco. Nie mam osobistych ambicji.

*Kiedyś pan miał, Wasza Wysokość!*

Nie. Powiedzmy, że wiodłem nieco ekstrawagancki tryb życia. Byłem trochę szczególnym przywódcą państwowym, nie za bardzo socjalistą. Lubiłem samochody wyścigowe, oddawałem się radościom życia, prowadziłem zespół jazzowy... Królowie, prezydenci zazwyczaj nie prowadzą zespołów jazzowych. Grałem na saksofonie i na klawecie, komponowałem piosenki i jeździłem na prowincję, by śpiewać je z moim ludem... Gorzej: kazałem je śpiewać przedstawicielom korpusu dyplomatycznego, ale w gruncie rzeczy, co w tym złego? My, Kambodżanie, lubimy muzykę, więc dlaczego szef państwa musi przyjmować ambasadorów w surowy sposób, urządzając nudne bale i polowania na bażanty? Zresztą nie kazałem im tylko śpiewać. Kazałem im też pracować. Tak, tak. Im i moim ministrom. Ładowałem ich na ciężarówki i wywoziłem na wieś, żeby pomagali chłopom. Zbierać ryż, budować spichlerze albo małe tany, przekopywać ziemię. Och, to było piękne widzieć ich z motyką w ręku. Miałem z tego dobrą zabawę. Bo w Azji ledwie jakiś dureń ma dyplom albo umie utrzymać pióro w ręku, uważa się za intelektualistę i uznaje za niestosowne zniżyć się do pracy fizycznej. Wie pani, tak zwana elita. Naturalnie, nazywali mnie szaleńcem, megalomanem, wykolejeńcem, moją oryginalność określali jako skandaliczną i nawet nie podejrzewali, że jest to inteligentna metoda zbliżenia się do mas, zrozumienia ich. Poza tym robiłem inne rzeczy. Na przykład pisywałem komedie. Wystawiałem je na scenie jako reżyser i grałem w nich jako aktor. Bawiłem się w ten sposób, uprawiałem kulturę i dostarczałem pieniędzy Czerwonemu Krzyżowi. Kręciłem też filmy. Och, masa ludzi twierdziła, że moje filmy nie są nic warte, że są wręcz obrzydliwe, że nie

umiem ani grać, ani używać kamery. Ale ja uwielbiam kino i co mnie obchodziła ich gadanina? Odpowiadałem: „Jeśli niczemu więcej, przynajmniej służy to edukacji ludu”. Jak ten film zatytułowany *Cienie nad Angkorem*. Słyszała pani o nim?

*Nie, Wasza Wysokość.*

Cóż, opowiadał on w fabularyzowanej formie o próbie zamachu stanu zorganizowanej w 1959 roku przez CIA po skorumpowaniu jednego z moich generałów. Udaremniłem go dzięki informacjom ambasad francuskiej i chińskiej. W istocie mój wywiad był figę wart, kierował nim Lon Nol. Zdrajca uciekł do lasu, tam moi żołnierze go wytropili i zabili, a co ja zrobiłem? Zaczepnąłem z tej historii temat do filmu. Wyreżyserowałem go, zagrałem i w taki sposób pokazałem, że Stany Zjednoczone zagrażają naszej niepodległości, naszej neutralności, by zmusić nas do ustawienia się z nimi w jednym szeregu i uczestniczenia w ich antykomunistycznej krucjacie. Komuniści zawsze odnosili się do nas z szacunkiem, nie rozumiałem, dlaczego ktoś nie ma być komunistą, jeśli mu to odpowiada, poza tym chciałem być w przyjaźni ze wszystkimi i kino pomagało mi te sprawy wyjaśnić, jest nie tylko po to, by opowiadać banalne historie miłosne. Ech tak, mademoiselle, wtedy to była zupełnie inna sprawa. W Kambodży nie było wojny i mogłem dostosować kraj do moich idei, do moich upodobań, do mojej beztroskiej radości życia. Prowadziłem moje piękne samochody, miałem lancję, alfa romeo, mercedesa 250 SL...

*I nie brakuje panu tego wszystkiego w Pekinie?*

Nie, *mademoiselle*. Nie brakuje mi, przysięgam. Jestem wrażliwszy, niż się zdaje i kiedy człowiek cierpiał poniżenia, jakie ja cierpiałem, oszczerstwa, jakie ja znosiłem, czy naprawdę sądzi pani, że może przywiązywać wagę do wozów wyścigowych albo zabaw? Kiedy człowiek cierpi, tak jak ja cierpię z powodu mojego kraju, na który B-52 dokonują dwieście sześćdziesiąt nalotów dziennie, czy naprawdę sądzi pani, że może tęsknić za dolce vita i zespołami jazzowymi? Ja niczego nie żałuję. Jestem w żałobie i nawet już nie myślę o beztrosce tamtych czasów. Było, minęło. Gdybym odzyskał moje lancie, moje alfa romeo, moje mercedesy, nie wiedziałbym już, co z nimi robić. Wydałbym się sobie niemal śmieszny. Zresztą w Pekinie niczego mi nie brakuje. Nie mówię tego przez hipokryzję. Chińczycy traktują mnie wspaniale, oddali mi do dyspozycji ogromny dom, wielki jak pałac, mogę korzystać z wszystkich sal. Dla mnie, mojej rodziny, moich urzędników. Jest nas już w Pekinie stu Kambodżan, poza tym pałacem mam kilka innych domów. Mam też przepiękny kryty basen, z zimną wodą w lecie i

ciepłą w zimie. Polecił zbudować go dla mnie Czou En-laj. Tak, tak, *mademoiselle*: Czou En-laj. Specjalnie dla mnie. Do tego dał mi siedmiu chińskich kucharzy i siedmiu cukierników zdolnych przygotować każde danie, każdy deser. Wie, że ciągle lubię dobrze zjeść, gastronomia zajęła miejsce sportowych aut i jazzu, dlatego zaopatrzył mnie też we francuską *épicerie* i często zabawiam się, ucząc francuskich potraw moich chińskich kucharzy, a od nich ucząc się potraw chińskich. Z Paryża przywieźli mi też moje ukochane foie gras; nawet ze złamanym sercem, nie jestem w stanie zrezygnować z foie gras. Niestety jest w puszcze, a nie świeże, jak lubię. Ale czasem jadam je także świeże, bo Chińczycy potrafią zrobić gęsią wątróbkę. I moje łakomstwo jest zaspokojone.

*Czy wciąż Wasza Wysokość gra na saksofonie?*

Nie. Zarzuciłem to. Zarzuciłem też klarnet. Zamiast niego Czou En-laj oddał mi do dyspozycji znakomity fortepian, dzięki czemu mogę wciąż komponować. W ciągu tych ostatnich trzech lat napisałem wiele piosenek. Niektóre z nich śpiewane są we wszystkich chińskich szkołach, we wszystkich rewolucyjnych komunach. Na przykład ta zatytułowana *Niech żyje Chińska Republika Ludowa, niech żyje prezydent Mao Tse-tung*. Albo ta, która mówi: „Oh, Chine bien aimée, ma seconde Patrie – Dans mon douloureux destin je trouve un grand bonheur – C’est celui qui me procura une amie bien aimée – La Chine en cette période de souffrances que nous traversons – Nous donne par son total soutien toutes les raisons de ne pas désespérer de l’avenir”. Napisałem też wiele pieśni na cześć naszych przyjaciół północnokoreańskich, północnowietnamskich, laotańskich, afrykańskich, arabskich. I nie nudzę się, nie. Poza tym, że mam dużo pracy do wykonania z moimi ministrami, tyle przemówień do napisania, orędzi do mojego narodu do przeczytania w radiu, Chiny nie są już religią zamkniętą samą w sobie. Jest to kraj otwarty, liberalny, do Pekinu wciąż przybywają turyści, którzy chcą mnie poznać, zapytać o różne rzeczy. Nauczyciele uniwersyteccy, dziennikarze, amerykańscy studenci. Często uprawiam sport, gram w ping-ponga. Często proszę, by wyświetlono mi jakiś film. Wcześniej dawali mi tylko rewolucyjne filmy chińskie, ale teraz sprowadzają dla mnie filmy francuskie, angielskie, włoskie. Chińczycy są tacy hojni. Dlatego że podróżuję po krajach, które uznają prawdziwą Kambodżę i Sihanouka, potrzebowałem dwóch samolotów: jednego dla mnie i trzydziestu towarzyszących mi osób, drugiego na moje bagaże. No więc dali mi iluzyna 62, który jest samolotem prezydenckim, i czterosilnikowego ıla 18. Z chińską załogą. A kiedy potrzebuję broni, dają mi broń. Kiedy potrzebuję ubrań, dają mi ubrania. Wystarczy, że poproszę. Jak

powiedział mi Mao Tse-tung w 1970 roku: „Sihanouk, ja nawet nie ośmielę się zaoferować panu tego, o co pan mnie nie poprosi. Obawiam się uchodzić za tego, który chce coś panu narzucić. Pozostanę zatem w oczekiwaniu, by dowiedzieć się, czego pan potrzebuje, i takie milczenie nie powinno pana niepokoić. Przeciwnie, ma spowodować, by poczuł się pan jak najbardziej swobodnie. Słowem, to pan ma nam mówić, czego chce, a my będziemy posłuszni”.

*Czy Wasza Wysokość stał się taki biedny?*

Biedny?! Nie mam już grosza. Nie mam już nic swojego. Ani samochodu, ani domu, nic. Został mi tylko mały bagaż, który miałem na Lazurowym Wybrzeżu, kiedy Lon Nol dokonał zamachu stanu. Gdyby Chiny mi nie pomogły, nie miałbym nawet w co się ubrać. Banda Lon Nola i Sirika Mataka wszystko mi skonfiskowała: posiadłości ziemskie, przedmioty osobiste. Sprzedali nawet na aukcji moje psy i biżuterię mojej żony. Och, to niecne oszczerstwo, że Monique schowała je w bezpiecznym miejscu w Hongkongu. Nigdy nie była w Hongkongu. Zostawiła te klejnoty w Phnom Penh, gdzie oficerowie Lon Nola sprzedali je wraz z jej garderobą i moimi samochodami. *Mademoiselle*, stałem się biedniejszy od proletariusza. Jestem już proletariuszem.

*Do licha! Kto więc płaci za pana pobyt w Pekinie?*

Chińczycy. Wszystko opłacają oni. Wszystko! Nie tylko ponoszą wydatki konieczne do utrzymania mojej rodziny i setki Kambodżan z mojej świty, ponoszą też wydatki konieczne do prowadzenia dyplomacji na arenie światowej. Jednak czynią to z wielką delikatnością. Żeby nie stwarzać wrażenia, że nas utrzymują i robią nam prezenty, słowem, że nie szanują naszej godności, uznali nas za urzędujący rząd i z tym rządem podpisali precyzyjne umowy finansowe. Umowy te zawierają długoterminowe pożyczki bez oprocentowania, do zwrotu trzydzieści lat po całkowitym wyzwoleniu Kambodży. Zakładając zatem, że w przyszłym roku Czerwoni Khmerzy wejdą do Phnom Penh, dopiero w 2004 roku oddamy Chińczykom to, co wydali na mnie od maja 1970 roku. Zwrócimy dług w jakiegokolwiek walucie, którą będziemy dysponowali, od dolarów po riale, i nie wszystko na raz. Umowa przewiduje pewną sumę rocznie, a jeśli w którymś roku nie będziemy mieli pieniędzy, spokojnie. Jak pani widzi, chodzi o spłatę całkowicie nominalną, o fortel pozwalający uniknąć naszego poniżenia. Ach, Chiny to wspaniały kraj. Jeśli jest się Azjatą, trudno nie kochać Chin i nie być z tego dumnym. Chiny nie eksportują czołgów i żołnierzy. Eksportują godność, szacunek.

*A Czou En-laj? Często go pan widuje, Wasza Wysokość?*

Bardzo często. To najprawdziwszy przyjaciel, jakiego kiedykolwiek miałem. Poza tym jest wytwornym człowiekiem, pełnym troski, wyrafinowania. Najbardziej arystokratyczny arystokrata, jakiego może pani spotkać. Komuś, kto nie rozumie, jak ja, niekomunista, mogę być przyjacielem Czou En-laja, odpowiadam: „Ależ on jest bardziej książęcym księciem niż ja!”. Jeśli mam potrzebę go widzieć, dzwonię i mówię: „Czy mogę do pana przyjść?”. A on: „Proszę się nie fatygować! Ja przyjdę. Zaraz będę”. „Ależ nie – protestuję – pan ma tyle do zrobienia, kolej na mnie złożyć panu wizytę”. A on: „Nie, nie. Proszę się nie trudzić. Rzucam wszystko i biegnę do pana”. Przychodzi i nawet zostaje z nami na posiłku. Nie wiem, jak to robi, bo praca go przytłacza, niemal wszystkie trudy rządzenia spoczywają na jego barkach. To znaczy: Mao Tse-tung żyje w coraz większym odosobnieniu i wszystkie obowiązki Mao Tse-tunga spadły praktycznie na Czou En-laja. Sam problem sukcesji został w ten sposób praktycznie rozwiązany, tak więc nie rozumiem, jak on znajduje czas, by jeszcze poświęcić go Sihanoukowi. A jednak go znajduje. Czasami wręcz zaprasza mnie z Monique, byśmy zjedli u niego w domu. Pomaga żonie w przygotowaniu kolacji, bez żadnych ceregieli daje mi spróbować potraw, a potem zabiera mnie do parku na spacer, żeby pogawędzić o tym i owym. Tak, łączy nas prawdziwa przyjaźń. I wcale nie jest taka niedawna, sięga dziesięciu lat wstecz, kiedy poznałem go na pierwszej konferencji krajów azjatyckich. Wyszedł mi naprzeciw i powiedział: „Książę Sihanouk, proponuję wam przyjaźń i obiecuję wam, że nigdy nie będę się mieszał w sprawy waszego kraju”. „Nie proszę o nic więcej”, odparłem i uścisnęliśmy sobie dłonie. Wtedy dodał, że gotów jest pomóc Kambodży, a ja powiedziałem, że zamierzam industrializować kraj. W przeciągu niewielu miesięcy spowodował, że zbudowano sześć fabryk... Przebiegło to doskonale. Jego technicy przyjechali, harowali i wyjechali, bez siania propagandy czy wychowywania buntowników. To oczywiste, że kiedy poprosił, bym pomógł północnym Wietnamczykom i Vietcongowi, byłem bardzo rad, że mogę to uczynić. Zresztą czyż nie było to zbieżne z moimi interesami?

*A czy nigdy nie rozmawia pan z Czou En-lajem o dniach, kiedy kazał pan śpiewać dyplomatom swoje piosenki, Wasza Wysokość?*

O, nie! Nigdy nie rozmawiamy o czasach, kiedy byłem playboyem itd. Byłoby tak, jakbyśmy rozmawiali o czasach, kiedy miałem pięć faworyt. Zresztą nie sądzę, żeby Czou En-laj zrozumiał, Chińczycy są tak dyskretni, tak wstydliwi. Pewnych tematów nigdy nie poruszają, co najwyżej wspomną o prezerwatywach, ale w bardzo oficjalnym tonie. Słowem, nie żartują z tego, tak jak my i...

*Przepraszam, powiedział pan: pięć faworyt?*

Tak, *mademoiselle*. Pięć faworyt, od których miałem jedenaścioro z moich trzynaścioro dzieci. Dwóch moich synów jest w Kambodży i walczy u boku Czerwonych Khmerów. Z moją żoną Monique mam tylko Norodoma Sihamoniego, który studiuje w Paryżu, i Norodoma Norindraponga, który studiuje w Moskwie. Ale pięć faworyt to nie było wiele w porównaniu z sześćdziesięcioma, jakie miał mój dziadek i trzystoma, jakie miał mój pradziadek. Mój ojciec nie, miał tylko jedną, poza swoją żoną, czyli moją matką. Nawet nie byłoby mi przykro pójść w jego ślady. Ale kiedy byłem królem, między 1941 a 1955 rokiem, moja matka nie chciała, bym się ożenił, bo nie podobała jej się myśl o rywalizowaniu z drugą królową. Mówiła: „Jesteś za młody na małżeństwo!”. I pozwalała mi tylko na faworyty, których szybko było pięć. *Mademoiselle...* co za wysiłek! Widzi pani, z jednej strony poligamia to piękna rzecz, bo pozwala uniknąć hipokryzji i nudy. Zawsze mówię: „Monogamia równa się monotonia”. Z drugiej jednak strony to nieźła mordęga i naprawdę nie wiem, jak sobie radził mój dziadek, zważywszy, że on z tymi sześćdziesięcioma współżył: miał dwieście dzieci. Jeśli chodzi o pradziadka, jestem pewien, że przynajmniej połowę z tych kobiet trzymał dla efektu. W dniu, kiedy abdykowałem i poślubiłem Monique, od razu poczułem się lepiej i dzisiaj, kiedy mam pięćdziesiąt jeden lat, jestem naprawdę zadowolony, że mam zaledwie jedną żonę. Nie tylko dlatego, że Monique jest piękna, inteligentna, wykształcona, wyrozumiała i, mam nadzieję, wierna, ale dlatego, że w moim wieku nie dałbym już rady zajmować się pięcioma kobietami. Nie mógłbym nawet trzymać ich w Pekinie, Chińczycy oburzaliby się i zaczęliby mi podsuwać środki antykoncepcyjne i... zostawmy to. Pewna frywolność podoba się Amerykanom, ale prawdziwy Sihanouk nie jest postacią z haremu. To człowiek, który w 1954 roku zrezygnował z tronu, żeby pozwolić się wybrać w sposób demokratyczny. To człowiek, któremu przez szesnaście lat udało się utrzymać w Kambodży pokój. Wreszcie to człowiek, który miał właściwy ogląd sytuacji, kiedy powtarzał głuchym: „Nie pozwólcie się uwieść Amerykanom. Z nimi nie staniemy się nawet drugą Tajlandią sprzedaną za dolary wuja Sama. Staniemy się drugim Wietnamem”.

*Wasza Wysokość, zawsze pan tak bardzo nienawidził Amerykanów?*

*Uh! Là là! Uh!* Od czasu, kiedy miałem faworyty i byłem młodzieńcem bez doświadczenia. Nigdy nie zapomnę pierwszego kontaktu, jaki z nimi miałem w 1953 roku. Próbowałem przekonać Francuzów, żeby sobie poszli, a Czerwoni Khmerzy zanudzali mnie, mówiąc, że jestem zdrajcą, sprzedawczykiem Francuzów. Nie wiedziałem już, do kogo się

zwrócić, i ktoś mi powiedział, że Amerykanie nie są tacy jak Francuzi: wierzą w wolność, w demokrację, odrzucają kolonializm. Poleciałem więc do Waszyngtonu i poprosiłem o rozmowę z Fosterem Dullesem. Poprosiłem go o pomoc w imię wolności, demokracji itd., a on odpowiedział z arogancją: „Niech pan wraca do domu, Wasza Wysokość, i dziękuje Bogu, że ma Francuzów. Bez nich Ho Chi Minh pochłonąłby pana w dwa tygodnie. Goodbye”. Od tamtego dnia nienawidzę ich. Ich i tej ich fałszywej demokracji, fałszywej wolności, imperializmu prowadzonego w imię chrześcijańskiej cywilizacji, ich zamachów stanu, takich jak ten zamach stanu przeciwko mnie...

*Wasza Wysokość, czy wie pan, co mówiło się w czerwcu 1970 roku? Mówiło się, że zamach stanu przeciwko Sihanoukowi zorganizował sam Sihanouk, ażeby wyjść z nieznośnej dla siebie sytuacji.*

Co takiego?!? To jest naprawdę nikczemne. A także dosyć głupie. Gdybym chciał poradzić sobie w sposób tak makiaweliczny, dlaczego walczyłbym z Lon Nolem? Dlaczego, zamiast siedzieć w Pekinie, nie spędzałbym miło czasu na Lazurowym Wybrzeżu, gdzie jest świeżutkie foie gras, takie jakie lubię? Bądźmy poważni, wszyscy już wiedzą, że to Nixon chciał się mnie pozbyć. Już od dawna Amerykanie marzyli o tym, by powtórzyć przeciwko mnie to, czego nie udało im się zrobić z Fidelem Castro w Zatoce Świń. Od lat rekrutowali Tajlandczyków i Wietnamczyków pochodzenia kambodżańskiego. Od lat organizowali ich w komanda, żeby rozmieszczać wzdłuż granicy z Kambodżą i wzniecać zamieszki z pomocą Lon Nola. Och, jeden grzech leży po mojej stronie! To moja wina, że wybrałem Lon Nola, że uczyniłem z niego swoją prawą rękę, dowódcę sztabu generalnego, premiera, nie podejrzewając, że jest zdrajcą na usługach CIA. Ale uważałem go za patriotę. Pracował ze mną w czasach Francuzów, walczył ze mną o niepodległość Kambodży, kto by pomyślał, że Amerykanie się nim posłużą? Poza wszystkim, to był taki idiota! Ni w ząb nic nie rozumiał, gapił się na mnie zawsze tym cielęcym wzrokiem i cały czas spędzał na modlitwach. Gorzej, zanim wydmuchał nos, pytał wróżbitów wróżących z trzewi zwierząt, żeby sprawdzić, czy gwiazdy sprzyjają wydmuchaniu nosa. Nigdy, przenigdy nie uwierzyłbym, że jest zdolny oszukiwać i kłamać. Uh, co za wściekłość! Powiedziałem to nawet Pham Van Dongowi: „Historia pełna jest zdrajców i to, co przytrafiło mi się z Lon Nolem, nie jest niczym wyjątkowym. Jednak zdrajcy to zazwyczaj ludzie inteligentni, a nie tacy kretyni jak Lon Nol! Wstydzę się za moją nację, że wydała takiego idiotę

jak Lon Nol. Ale największym idiotą nie jest wcale Lon Nol. Jest nim Sihanouk, który wybrał Lon Nola. Och, nie jestem z siebie dumny, nie”. Chodzi o to, *mademoiselle*, że ja jestem naiwny.

*Pan naiwny, Wasza Wysokość?*

Naiwny jak dziecko, czasem. Ludzie sądzą, że jestem makiaweliczny. Tymczasem jestem bardziej łatwowierny od Machiavellego, który udzielał tylu wspaniałych rad swojemu księciu, a potem dawał się nabrać nawet jemu. W manewrach politycznych wydaję się pokretny, w zamierzeniach zdaję się diaboliczny, a w rzeczywistości nie potrafię być nawet sprytny. Ponieważ zawsze boję się wbijać komuś nóż w plecy, zawsze zważam na to, by walczyć z otwartą przyłbicą i, co najgorsze, nazywam rzeczy po imieniu i stawiam kropkę nad i. Czy to jest makiawelizm, czy naiwność? Do licha, każdy może popełniać błędy. Życie każdego polityka wybrukowane jest błędami. Ale zaufać Lon Nolowi i dać mu się podejść, nie, to zbyt wielki błąd. Proszę pomyśleć: nie zorientowałem się nawet, że wykręcił mi numer, wprowadzając do mojej armii Tajlandczyków i Wietnamczyków przebranych za Kambodżan. Pewnego dnia przychodzi do mnie i mówi: „Ach, księżę Sihanouku! Nakłoniłem tych komandosów do poddania się. Są już skruszeni. Przyznają, że zostali użyci przez Amerykanów, i chcą zasłużyć na pańskie przebaczenie, walcząc o neutralność Kambodży. Czy zechcemy ich przyjąć?”. A ja: „Przyjmijmy ich”. Najbardziej nadzwyczajne jest to, że kiedy o tym opowiadam, to ja wychodzę na durnia. Kto tego słucha, ma prawo pomyśleć: „No! Ostatecznie ten Lon Nol nie wydaje się aż takim kretynem”. Ale plan nie był jego. Mózgiem takich pomysłów był mój kuzyn Sirik Matak. Ten to jest inteligentny. Zły, perfidny, zazdrosny drań. Ale inteligentny. Tak. Ten jest coś wart. Nie przypadkiem CIA wołało od niego Lon Nola.

*Wasza Wysokość, jest pewien fakt, którego nikt nie zrozumiał. Dlaczego, kiedy zaatakowano ambasadę Wietnamu Północnego i Vietcongu w Phnom Penh, w marcu 1970 roku, nie wrócił pan do Kambodży, tylko został we Francji?*

Ponieważ wiedziałem już, że Amerykanie przygotowali wszystko, żeby mnie zamordować, i nie miałem ochoty dawać im takiej satysfakcji. Leżałem wtedy w szpitalu i wyskoczyłbym nawet z łóżka, gdyby królowa, moja matka, nie przysłała mi wiadomości: „Nie wracaj. Lon Nol zastąpił gwardię królewską fałszywymi Kambodżanami z komandosów. Zabiją cię”. Wszystko było precyzyjnie zorganizowane. Na lotnisku miałem zostać przyjęty przez fałszywą gwardię królewską i przez korpus dyplomatyczny. W obecności dyplomatów nie ośmieliliby się nic zrobić, ale potem miałem wsiąść do oficjalnego wozu, a ten, zamiast



skierować się do Phnom Penh, miał mnie zawieźć w górzyste miejsce trzysta kilometrów od Phnom Penh. Tutaj fałszywa gwardia królewska miała mnie zastrzelić i pochować w lesie. Potwierdziło mi to kilka źródeł.

*Ale jeśli został pan tak zaskoczony, jak pan wyjaśni, że nawet ambasador radziecki w Phnom Penh przewidział zamach stanu? W dniu, kiedy wyjechał pan do Francji, powiedział: „Ciekawe, czy dadzą mu wrócić!”.*

*Mademoiselle... Oczywiście, że Sowieci wszystko wiedzieli! W porozumieniu z Amerykanami wybrali już Lon Nola. Moskwa była zawsze przeciwko mnie. Jeszcze przed zdradą miałem dyskusję z Breżniewem. Nalegał, żebym uczestniczył w pakcie bezpieczeństwa dla Azji Południowo-Wschodniej, więc straciłem cierpliwość i wybuchnąłem: „Panie Breżniew, spójrzmy sobie w oczy. Pan dobrze wie, że nasz brak bezpieczeństwa jest wynikiem amerykańskiego imperializmu. Jeśli jest pan szczery, dlaczego nie pomoże nam bronić się przed Amerykanami? Dlaczego nie przekona ich pan, żeby zostawili nas w spokoju i zrezygnowali ze swojego imperium w Azji? Niech pan spojrzy na mapę, panie Breżniew: imperium amerykańskie w Azji zaczyna się od Tajlandii i ciągnie dalej, przez Wietnam Południowy, Laos, Filipiny, Formozę, Koreę Południową, Japonię. Nie wspominając o Indonezji, gdzie Amerykanie usunęli Sukarno, żeby wprowadzić Suharto, czy o Malezji i Singapurze, które pozostają pod egidą brytyjską, a zatem amerykańską. Niech pan nie będzie hipokrytą, panie Breżniew! Co mi pan proponuje przez ten pakt bezpieczeństwa? Ja panu powiem: czterech żandarmów przebranych za wielkie mocarstwa. A kim są te wielkie mocarstwa? Francja i Anglia, które się nie liczą i są posłusznymi statystami? To wy, panie Breżniew, Ameryka i Związek Radziecki. To waszym celem jest zdobycie panowania nad Azją i światem i żeby się nie kłócić, dzielcie po połowie. Pańska propozycja mi nie odpowiada, panie Breżniew”. Cóż, jestem człowiekiem emocjonalnym, wręcz porywczym. Nie wiem, czy mówiłem podekscytowanym tonem. Ale wiem, że moja odpowiedź zupełnie mu się nie spodobała. Mademoiselle, Sowietom zbyt zależy na obecności Amerykanów w Azji. Jak mogliby bez nich kontrolować Chiny?*

*Przepraszam, Wasza Wysokość...*

Proszę pozwolić mi skończyć, *mademoiselle*. Wiem, co chce mi pani powiedzieć. Chce pani powiedzieć, że Rosjanie pomogli Wietnamowi Północnemu. Cóż, niech się pani nie da zwieść starym karabinom, które podarowali Hanoi, czołgom, które im sprzedali. Sowieci pomagają tylko posłusznym komunistom. Proszę zauważyć, jacy są niechętni wobec Czerwonych

Khmerów. Nie mogą znieść, że są oni najpierw Kambodżanami, a dopiero potem komunistami, że zależy im przede wszystkim na niepodległości Kambodży, a dopiero potem na socjalizmie, że nie poddają się niczym wpływom, nawet przyjaciół Chińczyków. Nie dostaliśmy od Sowietów ani jednego karabinu, ani jednego słowa poparcia. Są za pan brat z Lon Nolem. Są takimi samymi imperialistami jak Amerykanie. Proszę zauważyć, co zrobili z Indiami i Bangladeszem, żeby dotrzeć do Oceanu Indyjskiego. Oni, którzy oskarżali mnie, że jestem dyktatorem. Do diaska! Jeśli moje rządy były dyktaturą, czym są rządy Lon Nola? Ustąpiłem z tronu, żeby pokazać masom, iż nie istnieje coś takiego jak prawo boskie, że nikt nie schodzi z nieba, by władać ludem. W moich czasach odbywały się w Kambodży regularne wybory. Uczestniczyli w nich wszyscy, od Czerwonych Khmerów po skrajną prawicę. W moim rządzie rozdzielałem ministerstwa między wszystkich, od Czerwonych Khmerów po skrajną prawicę. Być może było to trochę oryginalne, zgoda, cóż poradzę, jestem artystą, już taki jestem, ale byłem inteligentny i nie byłem niczym sługą. Jeśli chodzi o Lon Nola, nie wyznaczyłem go na premiera dla swojego osobistego kaprysu, był przedstawicielem wybranym przez skrajną prawicę, a ta, dzięki CIA, wygrała wybory. Ale Rosjanom na rękę była wojna w Kambodży. Rosjanie...

*Wasza Wysokość, pomijając Rosjan, czy nie uważa pan, że Kambodża została poświęcona przez Le Duc Tho i przez Kissingera?*

Nie, *mademoiselle*. Ponieważ my zażądaliśmy, żeby pominąć Kambodżę w rozmowach między Le Duc Tho i Kissingerem. Osobiście wysłałem oficjalną wiadomość do pana Le Duc Tho: „Monsieur, jest pan wielkim dyplomatą i potrafi dbać o interesy swojego kraju. Proszę mi jednak oddać przysługę i nie zajmować się interesami mojego. Proszę pominąć Kambodżę. Proszę o niej nie wspominać, nawet kiedy będzie pan rozmawiał z Kissingerem. Proszę się nami nie zajmować. Dziękuję”. *Mademoiselle*, ja nie mogę pozwolić, żeby Le Duc Tho mówił w moim imieniu. Nie ma do tego żadnego prawa. Nie jesteśmy satelitą Wietnamu Północnego. Amerykanie chcą nakłonić północnych Wietnamczyków do rozmawiania o Kambodży, a pan Nixon, ten spryciarz, czyni wszystko, by przekonać świat, że Kissinger i Le Duc Tho spotykają się już, żeby rozmawiać o Kambodży. To nieprawda! Północni Wietnamczycy pomogli nam, tak, to dzięki nim mogliśmy dostać broń podarowaną nam przez Chiny. Ale teraz już ich nie potrzebujemy. Nawet z powodu broni. *Uh, là là!* Jest jeden artykuł za dużo w traktatach podpisanych przez Kissingera i Le Duc Tho: to artykuł dwudziesty, dotyczący Kambodży, zobowiązujący obie strony do wycofania oddziałów, do nieudzielania nikomu pomocy. Pomijając

fakt, że Amerykanie skandalicznie łamią ten artykuł uzbrojeniem, w które zaopatrują Lon Nola, bombardowaniami dokonywanymi przez ich B-52, ich phantomy, ich F-111, nikt nigdy nie upoważnił północnych Wietnamczyków do jego podpisania. Jeśli Hanoi przyjęło przerwanie ognia, to ich sprawa, nie nasza. Czerwoni Khmerzy nigdy nie zaakceptują przerwania ognia. Nigdy nie pójda na ugodę. Nigdy.

*Wasza Wysokość, czy kiedykolwiek próbował pan rozmawiać z Kissingerem?*

*Uh, là là! Oczywiście, mademoiselle!* Kiedy przyjechał do Chin, dałem mu znać przez Czou En-laja, że z przyjemnością bym się z nim spotkał. A on odpowiedział Czou En-lajowi, że prezydent Nixon nie upoważnił go do spotkania ze mną. Kiedy udał się do Hanoi, znów zawiadomiłem go, tym razem przez Pham Van Donga, że z przyjemnością bym się z nim spotkał, a on udzielił Pham Van Dongowi takiej samej odpowiedzi. Nawet nie wiem, jaki jest ten Kissinger, znam go tylko za pośrednictwem tego, co mówią o nim inni, i z wywiadu, którego pani udzielił. *Mademoiselle*, próbowałem też nawiązać kontakt z Nixonem przez prezydenta Senegalu, przez prezydenta Gwinei, przez króla Maroka. Wysłałem mu wiadomość, że jeśli przestanie ochraniać Lon Nola, moja armia wyzwoleńcza zgodzi się na kontakt. Kazał mi odpowiedzieć, że moje wiadomości go nie interesują. Potem pożałował i byle tylko pójść ze mną na ugodę, rozkazał Lon Nolowi, żeby zdjął areszt z mojej matki i moich dzieci, które przebywają w Phnom Penh. Za późno. Również ta wielka kobieta, moja matka, przysłała mi wiadomość: „Nie rozmawiaj z nimi. Pozwól, by znów nas aresztowali”. *Mademoiselle*, zaakceptowanie dialogu równałoby się uznaniu prawowitości Lon Nola; zaakceptowanie przerwania ognia równałoby się podziałowi Kambodży na dwie części. Jak Wietnamu na Wietnam Północny i Południowy, jak Korei na Koreę Północną i Południową. Lon Nol zostałby w Phnom Penh, a Czerwoni Khmerzy znów musieliby się wycofać do lasów. Nie, dziękuję. Nie chcemy kawałka Kambodży, chcemy całej Kambodży.

*Ale jeśli nie udało się to północnym Wietnamczykom i Vietcongowi, jak może się udać wam, Wasza Wysokość?*

Zaraz to pani wyjaśnię. Przede wszystkim my nie mamy pięt achillesowych, jakie mieli północni Wietnamczycy, nikt nie może zaminować nam portu w Hajfongu, nie może zaminować tam czy Hanoi. Nie mamy portów, nie mamy tam, nie mamy miast. Mamy tylko rzeki i lasy, na które B-52 wciąż zrzucają tony bomb, i nic z tego nie wynika. Słowem, znajdujemy się w dużo wygodniejszym położeniu geograficznym w porównaniu z północnymi Wietnamczykami. Poza

tym nie mamy przeciwko sobie tak inteligentnego zdrajcy jak Van Thieu i tak silnej armii jak armia Thieu. Mamy nieudacznika imieniem Lon Nol i armię, która przy pierwszym starciu ucieka, porzucając nie tylko broń, ale też buty. Wreszcie, kontrolujemy niemal całą Kambodżę. Ponad dwie trzecie kraju znajduje się w naszych rękach: pozostaje nam tylko wyzwolić Phnom Penh i kilka miast. Zablokowaliśmy nawet wszystkie drogi prowadzące do Phnom Penh. Jediną przeszkodą, jaka nie pozwala nam chwilowo wejść do Phnom Penh, jest amerykańskie lotnictwo. A ono, prędzej czy później, będzie musiało zaprzestać bombardowań. Nixon znajduje się w bardzo trudnej sytuacji. Afera Watergate źle mu się przysłużyła, Senat i Kongres sprzeciwią się w końcu jego wydatkom w Kambodży. Ale nawet jeśli znajdzie on sposób, by oszukać Senat i Kongres, bo w tych sprawach jest bardzo dobry, możemy spokojnie poczekać na koniec jego mandatu. Ponieważ, powtarzam, nie jesteśmy tak narażeni jak Wietnam Północny.

*Kto zdaniem Waszej Wysokości wygrał wojnę w Wietnamie?*

Nikt. Tymczasem nikt. Kto wygra jutro, tego nie wiem. Wiem jednak, że północni Wietnamczycy są bardzo inteligentni i dalekowzroczni. Jeśli w tej chwili zgodzili się zatrzymać, to znaczy, że w tej właśnie chwili pasowało im się zatrzymać, wykluczam, że zapomnieli o testamencie Ho Chi Minha dotyczącego ponownego zjednoczenia Wietnamu. Wykluczam, że dadzą się Amerykanom nabrać po raz drugi. Niektórzy twierdzą, że Vietcong został poświęcony przez północnych Wietnamczyków i przez Le Duc Tho. Nie powiedziałbym. To, co podpisał Le Duc Tho, to jest przeczekiwanie. Zarówno północni Wietnamczycy, jak i Vietcong dobrze znają taktykę przeczekiwania, cierpliwość. Dzięki cierpliwości uzyskują wszystko. Nixon nie będzie trwał wiecznie, mówią, dlatego spróbujemy tymczasem unormować stosunki z Amerykanami, a potem, łagodnie, sprawy obrócą się na naszą korzyść. Thieu też nie będzie trwał wiecznie, a kiedy jego zabraknie, nie będzie nikogo, kto go zastąpi. W Wietnamie nie ma trzeciej siły. Buddyści stanowią zero, kaodaiści też zero. Jediną zorganizowaną siłą są komuniści. Przeznaczeniem Wietnamu Południowego jest stać się państwem komunistycznym. To już nieuniknione, a kto nie jest komunistą, może podziękować Amerykanom. Ja zawsze mówiłem: uwaga, to nie Mao Tse-tung zagraża południowo-wschodniej Azji, nie Ho Chi Minh. Jeśli całe Indochiny staną się komunistyczne, będzie można podziękować Amerykanom, amerykańskim błędom, amerykańskim gafom, amerykańskim zbrodniom, amerykańskiemu imperializmowi, który osłania albo wprowadza do gry tylko reżimy skorumpowane, dyktatorskie, antyludowe, byle były antykomunistyczne. Jedynym krajem, który mógł uniknąć komunistycznego

przeznaczenia, była Kambodża. Wypędzając mnie, otworzyli na oścież drzwi dla komunizmu w Kambodży. Ale może lepiej się stało.

*Wasza Wysokość, zauważyłam, że wyraził się pan w sposób dosyć pochlebny o Thieu. Nazwał go pan inteligentnym. Czy naprawdę dobrze pan o nim myśli?*

Myślę o nim to, co powiedziałem Pham Van Dongowi, kiedy mówiłem mu o Lon Nolu. „Monsieur, gratuluję panu pańskiej nacji, bo wywodzą się z niej tylko inteligentni ludzie. Nawet kiedy są zdrajcami. Moja nacja wydała zdrajcę takiego jak Lon Nol. Ale pańska wydała zdrajcę inteligentnego jak Thieu”. A Pham Van Dong odpowiedział mi: „*Vous avez raison*. Ma pan rację”. Przy całej swojej perfidii, przy swoim egoizmie, Thieu jest człowiekiem wielkiej wartości. Jest wieśniakiem, który ma dużo intuicji, a także odwagi. Wiele rzeczy, które powiedział pani w wywiadzie, jest słusznych. Poza tym... nie chciałbym bawić się w czarny humor, ale co mi tam... oddał mi tyle przysług, ten Thieu. Jak skończy się wojna, bardzo chciałbym go poznać i podziękować mu. Powiedziałem to też Pham Van Dongowi: „Zżera mnie ochota, żeby zaprosić Thieu na śniadanie, żeby podziękować mu za wszystkie uprzejmości, jakie mi wyświadczył”. Pierwszą uprzejmością było wysłanie do Kambodży jego bardzo brutalnych oddziałów. *Uh, là là!* Sirik Matak mówił, że północni Wietnamczycy i Vietcong źle się zachowywali w Kambodży. Ale kiedy zobaczył żołnierzy Thieu, te bestie, które mordują dzieci, gwałcą kobiety, podpalają domy, niszczą świątynie, musiał przyznać: „Lepsi byli Wietnamczycy Sihanouka”. Słowem, gdyby Thieu nie przysłał mi swoich bestii, nie byłoby tylu Czerwonych Khmerów, dziesiątki młodych Kambodżan nie przyłączyłoby się do formacji partyzanckich. Drugą uprzejmością, jaką mi wyświadczył Thieu, było rzucenie kłód pod nogi Hanoi i Waszyngtonowi. Robi to nadal, i za każdym razem mam ochotę zapalić mu świeczkę. Och, to uroczy człowiek, ten Thieu. Kochany. Ja go kocham. Wystarczy, żeby Waszyngton i Hanoi były bliskie osiągnięcia porozumienia, a on już zaczyna wrzeszczeć: „Nie, nie, nie! Nie pozwalam, nie chcę! Sabotuję, sabotuję, sabotuję!”. Oddaje mi ogromną przysługę, bo dla nas, Kambodżan, wcale nie jest dobrze, żeby te dwa kraje zbyt dobrze się porozumiały albo zbyt szybko. Och! Biada, jeśli północni Wietnamczycy i Amerykanie dogadają się zbyt szybko, północni Wietnamczycy ośmielą się wtykać nos w nasze sprawy. Interes Hanoi wcale nie zbiega się zawsze z interesem Kambodży. Tak, dużo zawdzięczam Thieu. Jeśli go pani zobaczy, proszę mu to powiedzieć.

*Wróćmy do pańskich Czerwonych Khmerów, Wasza Wysokość. Pozwoli pan, że mu przypomnę: choć dziś jest pan z nimi, w przeszłości wcale ich pan dobrze nie traktował. Wystarczy pomyśleć o masakrach w regionie Battambang.*

Może mi pani wierzyć albo nie, ale mogę pani udowodnić, że masakry w Battambang zostały dokonane przez Lon Nola i Sirika Mataka w czasie, kiedy ja leżałem w szpitalu na Lazurowym Wybrzeżu. Nie chodziło nawet o Czerwonych Khmerów, ale o chłopów, którym ci dwaj dranie zarekwirowali ziemię. Ja nie musiałem wysyłać Lon Nola, żeby zabierał im ziemię, bo miałem jej aż w nadmiarze i zamiast ją kraść, rozdawałem. Nie tylko: dla wieśniaków byłem kimś w rodzaju bohatera narodowego, byłem bogiem, to na nich opierała się moja popularność. Jakie szaleństwo miało mną powodować, by uczynić sobie z nich wrogów? Jeśli chodzi o Czerwonych Khmerów, popełniłem w stosunku do nich błędy, wiem. Lon Nol przedstawiał mi fałszywe raporty, chcąc udowodnić, że chcą oni obalić rząd, a ja ich zwalczałem. Traktowałem ich jak zdrajców. Była to największa pomyłka w moim życiu. Ale nie mordowałem ich, jak mówi ten kłamca Lon Nol, a dowodem na to jest fakt, że wszyscy rzekomi rozstrzelani są dziś moimi ministrami. Khiem Pham Sam, przywódca kambodżańskiego ruchu oporu, nie jest może tym, którego według Lon Nola miałem kazać zabić? Przyjął mnie z otwartymi ramionami, kiedy pojechałem do Kambodży trzy miesiące temu. Powiedział mi: „Wasza Wysokość, my zawsze wiedzieliśmy, że nie byliście przeciwko nam i że polował na nas Lon Nol. Zawsze wiedzieliśmy, że Lon Nol to zdrajca i że pana wykończy”.

*A pan co odpowiedział?*

Rozgniewałem się. Powiedziałem mu: „Jak to?! Wiedzieliście i nigdy mi nie powiedzieliście?!”. A oni: „Wasza Wysokość, musi nas pan zrozumieć. Lon Nol był dla nas wygodny. Bez Lon Nola musielibyśmy czekać czterdzieści lat, żeby dojść do władzy. Powtarzaliśmy: »Niech go zdradzi. Z Sihanoukiem na tronie Amerykanie nigdy nie zaatakują i będziemy musieli czekać, aż Sihanouk umrze ze starości i rewolucja nigdy się nie dokona«. Wasza Wysokość, pański pech był naszym szczęściem”. Ja na to: „Jak to?!”. A oni: „Tak, Wasza Wysokość. Gdybyśmy pana poinformowali, pan by zareagował. Gdyby pan zareagował, nie bylibyśmy w Kambodży potrzebni. Taktyka, Wasza Wysokość”. Piękna taktyka. Naprawdę piękna. Cóż! Ja ich nie potępiam, a wręcz zdaję sobie sprawę, że tak było dobrze, bo – choć moje poglądy były dosyć socjalistyczne – Kambodża nigdy nie stałaby się ze mną naprawdę socjalistyczna. Jednak w stosunku do mnie ci Czerwoni Khmerzy nie byli uprzejmi i jeśli

mówimy o makiawelizmie, trzeba przyznać, że komuniści biją wszystkich o tysiąc długości. Na przykład ja tych Czerwonych Khmerów przyjąłem do wielu ministerstw. Do Ministerstwa Zdrowia Publicznego, Edukacji Publicznej, Gospodarki Narodowej. Ale kiedy byli moimi ministrami, nie mieli ochoty nic zmieniać i tylko sabotowali moje polecenia. Kiedy więc zobaczyłem, że w wyzwolonych strefach tak dobrze funkcjonują, trochę się obraziłem i powiedziałem im: „Ale jak to?! Jesteście dobrzy, radzicie sobie. Dlaczego nie zachowywaliście się w taki sam sposób przy mnie?”. Odpowiedzieli mi: „Wasza Wysokość, gdybyśmy pracowali dobrze dla pana, przyczynilibyśmy się do umocnienia pańskiej pozycji, a wtedy... żegnaj rewolucjo!”. Nawet się roześmiałem, ale w głębi duszy było mi przykro. I znów powiedziałem sobie: „Jaki ty byłeś naiwny, Sihanouk!”. Potem powiedziałem im: „Komuniści są supermakiaweliczni”. A oni mi odpowiedzieli: „Tak, Wasza Wysokość”. Wciąż mówią do mnie Wasza Wysokość.

*Wasza Wysokość, jesteście w nastroju do szczerych wyznań: dlaczego po tym, jak osłaniał pan przez tyle lat północnych Wietnamczyków i Vietcong, nagle zdemaskował pan ich obecność podczas konferencji prasowych?*

Znów to samo. To Lon Nol poprosił mnie, bym to zrobił, a potem postawił w sytuacji, że musiałem to uczynić. Na początku 1969 roku przyszedł do mnie i opowiedział mi, że w niektórych regionach, jak Mondulkiri i Rattanakiri, komuniści wietnamscy kontestują moją władzę. Nie uwierzyłem mu, osobiście pojechałem, żeby rzucić na to okiem i... Do dziś nie wiem, czy chodziło o przedstawienie zorganizowane przez Lon Nola i Sirika Mataka, jak twierdzą północni Wietnamczycy, czy też o prawdę. Wiem jednak, że zobaczyłem coś bardzo nieprzyjemnego. Na początek wieśniacy, którzy mieli zwyczaj wychodzić mi naprzeciw i rzucać się radośnie do moich stóp, wycofywali się na mój widok, jakby przechodziła zaraza. Drogi wyludniały się, drzwi chat zamykały. Poza tym w domach nie wisiały moje portrety. Były portrety Ho Chi Minha. Wściekłem się. O tak, wściekłem się. Powiedziałem: „Dość tego! Ja ich chronię, tych z Vietcongu, pomagam im, trzymam ich tu, nastawiając Amerykanów jeszcze bardziej do siebie wrogo, a oni dziękują mi, traktując mój kraj, jakby należał do Ho Chi Minha. Zdejmują moje zdjęcie i wieszają fotografię Ho Chi Minha”. Wróciłem do Phnom Penh, zwołałem konferencję prasową, zdemaskowałem ich. Już taki jestem. Mam gorącą krew i czasem dziecinne reakcje. Może powinienem zastanowić się dwa razy, zanim to uczynię.

*Sirik Matak mówi, że trzymał pan północnych Wietnamczyków i ludzi Vietcongu dla zysku. Bo płacili panu czynsze i myto.*

Przysięgam pani na mój honor, że nigdy nie dostałem grosza od Vietcongu. Ani moja żona, ani teściowa, jak opowiadał ten łajdak Sirik Matak. Nie zgadzam się też, by o tym dyskutować, ponieważ jest to zbyt obelżywe dla godności człowieka i jego rodziny. Pomogłem Vietcongowi tylko dlatego, że poprosił mnie o to Czou En-laj i ponieważ uważałem taką pomoc za słuszną.

*Wasza Wysokość, powiedział pan niedawno, że przeznaczeniem Kambodży jest stać się krajem komunistycznym. Czy zechciałby pan lepiej wyjaśnić tę prognozę?*

Kambodża stanie się komunistyczna, i to jest słuszne, żeby stała się komunistyczna, ponieważ rewolucja, którą Czerwoni Khmerzy przeprowadzili w wyzwolonych strefach, powiodła się. Przekonałem się o tym na własne oczy. Czerwoni Khmerzy to poważni ludzie. Potrafią budować kraj i uzyskali to, czego mnie nigdy nie udało się uzyskać. Na przykład koniec korupcji. W mojej Kambodży była korupcja, kontrabanda. W Kambodży Lon Nola sprzedawało się nawet lekarstwa w szpitalach. Natomiast w Kambodży wyzwolonej przez Czerwonych Khmerów nie zdarza się nic takiego, społeczeństwo jest czyste. A zdyscyplinowany lud pracuje. Och, nie jest już tak jak za moich czasów, kiedy wszyscy ludzie oddawali się lenistwu, śpiewając pieśni Sihanouka pod palmami i bananowcami. Może wojna ich zahartowała, może minęła im radość życia, nie wiem. Wiem jednak, że nauczyli się ciężko pracować i dlatego nie cierpią już głodu. Na wyzwolonych obszarach niczego nie brakuje, ani mięsa, ani warzyw, ani owoców, ani ryżu, ani ubrań. Mimo wojny ryżu produkuje się dwa razy więcej. Kiedy ja rządziłem państwem, produkowało się półtorej tony z hektara. Dzisiaj dwie i pół tony z hektara. Albo trzy. Produkty są dobre, ceny niskie, choć używa się tej samej waluty, riala. Nie umiera się z niedożywienia jak w Phnom Penh, gdzie jedzenie jest transportowane samolotami przez Amerykanów albo statkami eskortowanymi przez marynarkę wojenną Thieu. A kiedy widzi się podobne rezultaty, trzeba przyznać, że ten, kto je osiągnął ma prawo rządzić krajem. *Mademoiselle*, między skorumpowanym reżimem Lon Nola a poważnym reżimem Czerwonych Khmerów wybór jest prosty. Gdyby była pani na moim miejscu, gdyby była pani kambodżańską patriotką, gdyby była pani Sihanoukiem kochającym swój kraj bardziej niż cokolwiek na świecie, powiedziała by pani to samo. Tak, *mademoiselle*. Jest słuszne, bym pogratulował kambodżańskim komunistom i powiedział im: „Brawo. Zaslugujecie, żeby rządzić zawsze i nikt nie powinien was zastąpić.



Nawet Sihanouk. Sihanouk nie powinien już rządzić na waszym miejscu, ponieważ nie zdołał zrobić tego, co wyście zrobili. Chciał tego, marzył o tym, ale nie był zdolny. Poza tym Sihanouk się nie liczy. Liczy się Kambodża. Zatem nawet jeśli pewnego dnia go wypędzicie, będzie myślał tak jak teraz. Bo jest ekstrawagancki, tak. Ale nie jest nieuczciwy. I nie jest głupcem”.

*Pan naprawdę nie stał się komunistą, Wasza Wysokość?*

Nie, *mademoiselle*! Nie! Przysięgam pani, powtarzam pani: moje przekonania nie zmieniły się! Powiem więcej, nikt nie próbował mnie nakłonić do ich zmiany! Ani w Pekinie, ani gdzie indziej. Chińczycy nigdy nie pozwolili sobie powiedzieć mi choćby słowa, kazać mi przeczytać jakąś książkę. Nie jestem komunistą. Ale nie jestem też antykomunistą i nie boję się komunistów, twierdząc, że jeśli jakiś naród chce być komunistyczny, ma do tego prawo. A ma do tego podwójne prawo, jeśli służy to zachowaniu niepodległości kraju. Wiem, że Czechosłowacja nie jest niepodległa ani Polska, ani Węgry, ani wschodnie Niemcy i tak dalej. Ale Rumunia jest, Jugosławia jest. Dlaczego Kambodża nie ma być jak Jugosławia, jak Rumunia? Kiedyś sądziłem, że komuniści kambodżańscy są giermkami Vietcongu, północnych Wietnamczyków, Chińczyków. Nawet Rosjan. Potem zorientowałem się, że nie są niczymi giermkami i że Rosjanie nienawidzą ich przynajmniej tak samo, jak ja nienawidzę Rosjan. Zorientowałem się, że nie są też maoistami i że zrobili wiele dobrego. Czego jeszcze potrzebuję, żeby stanąć po ich stronie? *Mademoiselle*, nie przeprowadzam autokrytyki w stylu komunistycznym: „*Mea culpa, mea culpa*, byłem zły, proszę o przebaczenie”. Przyznaję po prostu, że byłem w błędzie.

*A gdyby jeszcze raz się pan pomylił, Wasza Wysokość? Jest pan pewny, że Czerwoni Khmerzy kochają pana tak jak pan kocha ich?*

*Mademoiselle*! Powiedziałem, że są zdolni rządzić krajem lepiej ode mnie, a zatem zasługują, by być na moim miejscu, nie powiedziałem, że są moimi przyjaciółmi. *Uh, là là!* Nie jestem naiwny do tego stopnia! Czerwoni Khmerzy zupełnie mnie nie kochają. Wiem o tym! *Uh, là là!* Doskonale rozumiem, że trzymają mnie, aby się mną posługiwać, bo jestem im potrzebny, bo beze mnie nie mieliby chłopów. A rewolucji w Kambodży nie zrobi się bez chłopów. Doskonale rozumiem, że kiedy nie będę im już potrzebny, wyplują mnie jak pestkę wiśni. *Mademoiselle*... jest tu ze mną przedstawiciel Czerwonych Khmerów i śledzi mnie od rana do wieczora. Wiem, że dostał zadanie szpiegowania mnie. Wiem, że mnie uprzejmie nienawidzi. O, dobrze o tym wiem! *Là là!* To mój najgorszy wróg. Poza tym jest antypatyczny. Ale jakie to ma znaczenie? Nawet gdyby chcieli mnie któregoś dnia zabić, co z tego? Czy nie walczą z moimi

wrogami? Jakim byłbym patriotą, gdybym uzależniał wszystko od mojej osoby i od moich antypatii? Jakim Kambodżaninem bym był, gdybym nie mówił moim chłopom, którzy mnie uwielbiają: „Idźcie z Czerwonymi Khmerami”. *Mademoiselle!* Ja nie robię sobie złudzeń, jeśli chodzi o komunistów i do pewnego stopnia mogę nawet przyznać, że są mi wrogami, jak ten antypatyczny typ, który depta mi po piętach. Ale nie mam wyboru ani na płaszczyźnie politycznej, ani na płaszczyźnie moralnej. Chińczycy, w swojej nieskończonej mądrości, nauczyli mnie, że trzeba umieć wybierać między głównym wrogiem i wrogiem drugorzędym. A więc dla Chin głównym wrogiem jest Związek Radziecki, a wrogiem drugorzędym Ameryka. Najpierw zajmują się więc Związkiem Radzieckim, a potem zajmą się Ameryką. Dla mnie głównym wrogiem jest amerykański imperializm i faszyzm Lon Nola; drugorzędym wrogiem są komuniści. Wniosek: wybieram stanie u boku drugorzędnego wroga, żeby pokonać wroga głównego. Jasne?

*Jasne, Wasza Wysokość.*

Pójdę dalej i powiem pani: ja wiem, że komuniści, kiedy już zatriumfują nad Amerykanami i Lon Nolem, staną przeciwko mnie. I wtedy będę pokonany. Ale to dotyczy tylko mnie i temu, kto mi mówi: „Sihanouk, uwaga na komunistów”, odpowiadam: „Nie możecie zrozumieć”. Nie chcę Kambodży, która byłaby kalką Filipin, Tajwanu, Wietnamu Południowego, Korei Południowej. Nie chcę też Kambodży, która będzie eksportować aparaty fotograficzne jak Japonia. Chcę porządnej Kambodży, Kambodży takiej jak Chiny. A jeśli uczyni ją to trochę zbyt surową, to trudno. Jeśli odbierze jej to radość, którą potrafiłem kultywować moimi filmami i moimi piosenkami, to trudno. Mówią mi, że jest tu problem wolności indywidualnej, wolności myśli. Tak, jest. Ale czy jest inne wyjście? Nie ma. Poza tym korzystajmy z logiki: nawet gdyby istniało inne wyjście, komuniści kambodżańscy nie oddadzą władzy. W Europie zdarzyło się tak trzydzieści lat temu. W Europie komuniści walczyli z faszystami, wygrali, a potem, po skończonej wojnie, pozwolili odebrać sobie władzę przez trzecią siłę. Ale w Europie komuniści nie mieli do dyspozycji armii. W Kambodży mają. W Kambodży, jak w Wietnamie, nie ma trzeciej siły, alternatywy. Nie ma już też sihanoukizmu. Jest Sihanouk i tyle. Kiedy on zniknie, zostaną tylko oni. Jestem postacią tragiczną, *mademoiselle*. Wydaję się taki zabawny, a jestem tragiczny. Ponieważ jestem symbolem wszystkich wolnomyślicieli, którzy – ściśnięci między dwiema barierami – muszą wybrać między dwoma wyjściami, i tyle.

*Ale skąd pochodzi ta szalona miłość do kraju, który do pana należy, zgoda, ale który w gruncie rzeczy przysporzył panu tylu cierpień?*

Od mojej matki. Za wielu mężczyznami stoją ich matki i ja jestem jednym z nich. Nigdy nie wyzwoliłem się od mojej matki, sądzę, że nigdy się nie wyzwolę. Nigdy nie podziwiałem ojca. Zawsze podziwiałem matkę. Nigdy nie byłem pod wpływem ojca. Zawsze byłem pod wpływem matki. To kobieta despotyczna, na swój sposób straszna, ale kobieta wspaniała. Z powodu inteligencji, godności, dumy, patriotyzmu. To ona nauczyła mnie kochać niepodległość i nienawidzić kolonizatorów. Kiedy Francuzi posadzili mnie na tronie, sądząc, że mogą mnie użyć jako marionetki, ona powiedziała: „To poniżające być królem podległym Francji albo jakimkolwiek innemu mocarstwu”. A więc ja wychowałem się w szkole tego poniżenia. Musiałem na przykład podpisywać dekrety, które zakazywały mojemu ludowi korzystać z własnych produktów. Była zima i potrzebowaliśmy koców, a Francuzi mówili: „To nas nie interesuje. Te koce będą dla północnych Wietnamczyków”. Musiałem na przykład akceptować, żeby Nowy Rok świętowany był pierwszego stycznia. U nas Nowy Rok wypada trzynastego kwietnia: dlaczego świętować go pierwszego stycznia? Musiałem na przykład pozwalać, żeby nasz język zapisywany był literami łacińskimi. Nasz alfabet jest inny i... moja matka jako jedyna stała z podniesioną głową w obliczu francuskiej przemocy. Wszystko jej zawdzięczam. W gruncie rzeczy również mojego socjalistycznego ducha. Wierzyła astrologom i kiedy się urodziłem, astrologowie powiedzieli, że nie powinienem pozostać w pałacu, inaczej umrę. Wysłała mnie więc na wieś, do swojej babki, a babka powierzyła mnie pewnemu wieśniakowi. Spędziłem dzieciństwo z chłopami w małej osadzie. Opuściłem wieś, dopiero kiedy poszedłem do szkoły, ale ona tymczasem przekonała ojca, żeby posłać mnie do szkoły powszechnej, nie do szkoły dla arystokratów. Potem, w uzgodnieniu z nią, ojciec zapisał mnie do francuskiego liceum w Sajgonie pełnego młodych kontestatorów, którzy rozmawiali o międzynarodowym socjalizmie. Widzi pani... trzeba umieścić mnie na lewicy już od dzieciństwa i wczesnej młodości.

*Ale Francuzi o tym nie wiedzieli, Wasza Wysokość?*

Przypuszczam, że nie, wzięwszy pod uwagę, że woleli mnie od mojego wuja, którego uważali za frondystę, ponieważ ukończył francuskie liceum w Nicei. Czy to nie zabawne? I czy to nie zabawne, że moja krew jest naprawdę błękitna, że moja rodzina jest naprawdę starą rodziną królewską, i że mimo to przekazuję swój tron komunistom? W dodatku w imię swojej godności? Prawda jest taka, że kiedy ktoś stracił wszystko, jak ja, może się ucześcić tylko godności.

Również z powodu godności pojechałem do Kambodży. Och, już od trzech lat chciałem wjechać do Kambodży. Ale jedyną drogą, by tam dotrzeć, był szlak Ho Chi Minha, a mój transport zależał od północnych Wietnamczyków, którzy mówili: „Nie możemy, książę Sihanouku. Amerykanie za bardzo bombardują, ryzyko śmierci wynosi przynajmniej sześćdziesiąt do stu. Trzeba poczekać na sprzyjający moment”. Poprosiłem nawet Pham Van Donga: „Pozwólcie mi podjąć to ryzyko!”. A Pham Van Dong: „Nie. Nie wezmę na siebie tej odpowiedzialności”. Wysłałem też wiadomość do Czerwonych Khmerów: „Czy zechcecie mi pomóc?”. A oni: „Wasza Wysokość, nie można ryzykować, trzeba poczekać”. Wbiłem sobie do głowy, że mnie nie chcą. Na dodatek ktoś rozpuścił pogłoskę, że jeśli pojedę, nie przyjmą mnie. Ale potem bombardowania na drodze Ho Chi Minha ustały i wysłałem do komunistów drugą wiadomość: „Czy teraz mnie chcecie?”. Odpowiedzieli: „Nie prosimy o nic więcej”. A północni Wietnamczycy dodali: „Na dziewięćdziesiąt procent nic nie powinno się panu stać. Pomożemy”. Tak więc w marcu wyruszyłem z żoną w tę bolesną i cudowną podróż, była to najbardziej niezapomniana przygoda mojego życia.

*Proszę mi o niej opowiedzieć, Wasza Wysokość.*

To, co utworzyło się w Hanoi, to był prawdziwy konwój. Eskortowało nas aż stu pięciu północnych Wietnamczyków. Pham Van Dong dał mi oddział przeciwlotniczy z ciężkimi armatami i cały przenośny szpital na wszelki wypadek. To znaczy lekarzy, chirurgów, pielęgniarzy, osocze krwi, wszystko. Dał mi nawet ekipę kucharzy razem z kuchnią. Oni podróżowali w ciężarówkach, a my w jeepach produkcji radzieckiej, które właśnie dotarły z Moskwy. Były to tak nowe i tak piękne jeepy, że nie wierzyłem własnym oczom. Pomyślałem: „Proszę, po zakończeniu wojny Rosjanie postanowili dać północnym Wietnamczykom coś, co nie jest z odrzutów!”. Po czym powiedziałem do Pham Van Donga: „Nie sądzi pan chyba, że sprawi przyjemność Sowiecom, transportując mnie radzieckimi jeepami!”. A Pham Van Dong odparł: „Nie, nie. Nie chcę nikomu robić przyjemności. Te jeepy nie są już radzieckie. Są wietnamskie i robię z nimi, co chcę”. Ruszyliśmy dłuższą trasą: nie tą, która przecina Laos, bo w ten sposób przysporzylibyśmy problemów przyjacielom Laotańczykom. Wybraliśmy trasę, która biegnie wzdłuż granicy z Laosem. Mieliśmy cały czas na karku amerykańskie samoloty zwiadowcze, a także phantomy, F-105 i B-52, które leciały bombardować Kambodżę. Ale przed nami rozciągał się też jeden z najpiękniejszych krajobrazów na świecie i przez dziewięć dni cieszyliśmy nim oczy. Od czasu do czasu trzeba się było zatrzymać, żeby rozbroidć jakąś minę,

droga jest jeszcze pełna min. Co pewien czas wybuchła bomba z opóźnionym zapłonem. Moja żona zachowała się jednak znakomicie, jak prawdziwa ambasadorka monogamii. W nocy sypialiśmy w hamakach rozwieszonych między dwoma drzewami na nylonowych linach. Dziewiątego dnia dotarliśmy na granicę z Kambodżą i zostaliśmy tam przyjęci przez Czerwonych Khmerów, a konwój północnych Wietnamczyków zawrócił.

*Czy to znaczy, że w Kambodży nie ma już północnych Wietnamczyków?*

Nieeee! Nie. Przysięgam pani, że od drugiej połowy 1972 roku nie ma już w Kambodży jednostek północnowietnamskich. Przysięgam pani, że w Kambodży znajdują się tylko jednostki kambodżańskie. Poważnie, nie kłamię, wojnę z Lon Nolem prowadzą wyłącznie Kambodżanie. Nie potrzebujemy już północnych Wietnamczyków i Vietcongu. Ani po to, żeby nas szkolili, ani po to, by nam pomagali w jakikolwiek inny sposób. Aż dwieście tysięcy żołnierzy walczy w szeregach Czerwonych Khmerów i po trzech latach walki ich przygotowanie jest kompletne. Ich wyposażenie jest więcej niż wystarczające. Są silni, a więc całkowicie niezależni od Hanoi. Jedyne jednostki północnowietnamskie, jakie można spotkać czasem w Kambodży, to te, które proszą nas o prawo przejścia, żeby dostać się do Wietnamu Południowego. A my oczywiście udzielamy im go.

*Wasza Wysokość, kiedy wojna się skończy i opuści pan Pekin, gdzie się pan osiedli?*

W Angkorze. Poszukam sobie dobrego mercedesa benza i urzęduję się w Angkorze. Nie będę już musiał rządzić i nawet jeśli Czerwoni Khmerzy nadal będą mnie chcieli jako przywódcę państwa, Angkor będzie znakomity. Jest tam lotnisko, jest wszystko, co potrzebne. Do Phnom Penh będę przyjeżdżał tylko na ceremonie reprezentacyjne, a – jeszcze wcześniej – żeby zobaczyć, jak będą wieszać Lon Nola. Nienawidzę Phnom Penh. Brzydzę się tym perfidnym i niewdzięcznym miastem. Zbyt je kochałem. Zbyt wiele dla niego zrobiłem. Uczyniłem je pięknym i... To wcale nieprawda, wie pani, że Phnom Penh stworzyli Francuzi. Za czasów Francuzów była to osada. To ja zbudowałem ogrody, ulice, aleje, pałace. A to podłe miasto, któremu oddałem duszę, odplaciło mi tylko oszczerstwami, obelgami, zdradą. Chcę mieszkać w Angkorze, który jest bardzo pięknym miastem i wcale nie został tak zniszczony, jak sądziłem. I chcę tam być, nawet jeśli Czerwoni Khmerzy nie będą mnie już chcieli jako przywódcę państwa. Nie chcę jechać do Francji. Nie kocham już Francji. Francja mnie opuściła, obraziła mnie, uznała Lon Nola. Nie chcę jechać do Włoch. Nie kocham już Włoch. Kochałem Rzym, kochałem Florencję, kochałem Wenecję, jak rzymianin, florentczyk, weneccjanin. Nie chcę więcej widzieć

tych miast. Stanowią część kraju, który uznał Lon Nola. Włochy, Francja są dla mnie skończone. Ich rządy robią wszystko, żeby przypodobać się Rosjanom i Amerykanom. *Mademoiselle*, w Kambodży jest takie przysłowie, które mówi: „W trudnych chwilach odróżnia się przyjaciół od wrogów”. Cóż, odróżniłem ich. Moja noga więcej nie postanie w krajach, które mnie opuściły. Nie pozwolę też ich konsulom, ich ambasadorom, ich przedstawicielom, żeby postawili nogę w moim kraju. Pan Breżniew i pan Pompidou kazali mnie poinformować, że po zakończeniu wojny z radością staną się znów naszymi przyjaciółmi. Dostałem szału. Odpowiedziałem, że ich wiadomość jest zniewagą i że są dwoma hipokrytami bez charakteru: „Panie Breżniew, panie Pompidou, zróbcie mi uprzejmość. Zostańcie u siebie w domu. Nie stawiajcie nas w sytuacji, byśmy musieli wyrzucać was kopniakiem w siedzenie”.

*Wasza Wysokość! Ale skoro Chiny uznały Grecję pułkowników i Hiszpanię Franco! Skoro otworzyły ambasady w Atenach i Madrycie!*

Chiny to Chiny, a Sihanouk to Sihanouk. Chiny robią, co chcą, i ja robię, co chcę. Chiny mają osiemset milionów mieszkańców, ja mam siedem milionów. Chiny mają swoje interesy, ja swoje. Kiedyś napisałem piosenkę, która mówiła: „Przyjaciele moich przyjaciół są moimi przyjaciółmi...”. Teraz z kolei chcę napisać inną, która mówi: „Przyjaciele moich przyjaciół niekoniecznie są moimi przyjaciółmi”. Nie chcę bowiem obrazić krajów, które pozostały mi wierne. Nie wspominam nawet o Jugosławii i o Rumunii, to oczywiste. Mam na myśli Nigerię, Mauretanię, Senegal, Czad, to znaczy biedne kraje, spalone suszą, które odrzucając Lon Nola, naraziły się na karę ze strony Amerykanów i Rosjan. Wstrzymali im nawet dostawę lekarstw i żywności. Ale one nie ustąpiły. Uczyniły z tego zasadniczą kwestię i znosiły konsekwencje. Miałbym je zatem potraktować jak pana Breżniewa i pana Pompidou? To nazbyt wygodne. Powiedziałem to też Czerwonym Khmerom i wierzę, że pójdą za moją radą.

*Ale czy nie ma pan dość polityki, Wasza Wysokość?*

Tak, *mademoiselle*. Mam jej powyżej uszu. Ponieważ zdałem sobie sprawę, jak bardzo źle odplacono mi za to wszystko, co uczyniłem, a to znaczy, że spędziłem swoją młodość, trudząc się nadaremnie. A zatem po co kontynuować? Od tej pory wszystko, co mogę zrobić, to oddać do dyspozycji Kambodży swoją osobę, swoją sławę i swoje znajomości. Od reszty umyвам ręce i w ten sposób umrę z honorem. Odesłałem Francuzów, obroniłem niepodległość kraju, towarzyszyłem początkom komunistycznej rewolucji, która stanowi przyszłość, i od tej pory mniej będę się zajmował polityką, mniej będę ryzykował. I będę się lepiej czuł. Błędem jest być

nazbyt dynamicznym, a w życiu nie należy robić zbyt dużo. W przeciwnym wypadku istnieje ryzyko rozbicia nosa.

*Mówi pan, jakby się pan sobie nie podobał, Wasza Wysokość.*

W istocie. Zupełnie się sobie nie podobam, *mademoiselle*. Nic z mojej postaci mi się nie podoba. Gdybym miał na nowo rozpocząć życie, naprawdę nie wybrałbym tego, kim byłem. Niech pani tylko pomyśli, że znajduję się w środku wojny, nie mogąc znieść wojen, broni, mundurów, orderów, wybuchów, dokuczliwych hałasów, krwi, śmierci. Jestem tak wielkim przeciwnikiem militarystyki, że kiedy zostałem królem i Francuzi zmusili mnie do uczęszczania do szkoły wojskowej, ledwie umiałem odróżnić sierżanta od kapitana. Ludzi Viet Minhu, którzy przedostali się do Kambodży pod pretekstem polowania na Francuzów w 1953 roku, wyrzuciłem bez jednego wystrzału. Powiedziałem tylko: „Co do diabła tu robicie? Won!”. W zeszłym roku pewien północnokoreański marszałek powiedział mi: „Powodem, dla którego pański szef sztabu generalnego dokonał zamachu stanu, jest to, że nigdy nie zajmował się pan bezpośrednio armią”. Spiorunowałem go wzrokiem i odparłem: „Monsieur! Pan jest wojskowym z zawodu i z powołania. Ja jestem artystą. Urodziłem się artystą i lubię zajmować się teatrem, kinem, muzyką, literaturą. Pańska szkoła wojskowa nigdy mnie nie pociągała”. Właśnie tak, *mademoiselle*, i w rezultacie we wszystkim się pomyliłem. Albo to przeznaczenie się pomyliło? Ponieważ ja doskonale wiedziałem, czego chcę. To ja poprosiłem, bym mógł uczyć się przedmiotów klasycznych, robić karierę literacką. To ja zażyczyłem sobie, by studiować grekę i łacinę, historię i filozofię, muzykę i sztukę. A potem znalazłem się w sytuacji, w której musiałem zostać królem i zająć się polityką. Polityka to straszna machina, jak raz trafisz w jej tryby, już się nie wydostaniesz. Zaprzęgnięty do tej maszyny popełniłem wiele głupstw i wziąłem sobie na kark wiele win, i myślę... Chce pani wiedzieć, co myślę? Myślę, że moje życie byłoby bardziej godne, gdybym nie uprawiał polityki. Gdybym pisał tylko piosenki i tyle. Co pani o tym myśli?

*Myślę, że jest pan bardzo inteligentnym człowiekiem, Wasza Wysokość.*

*Brioni, czerwiec 1973*

## Golda Meir

Historia tego wywiadu jest bardzo szczególna. W istocie jest to historia wywiadu, który został w tajemniczy sposób skradziony i który musiałam zrobić od nowa. Rozmawiałam z Goldą Meir dwukrotnie, przez ponad trzy godziny, zanim zdarzyła się kradzież. Ponownie widziałam się z Goldą Meir dwukrotnie, przez mniej więcej dwie godziny, już po kradzieży. Dlatego sądzę, że jestem jedyną dziennikarką, która gawędziła aż cztery razy i przez sześć godzin z tą fantastyczną kobietą, o której możesz napisać pochwały i obelgi, ale której nie możesz odmówić przymiotnika fantastyczna. Jestem w błędzie? Grzeszę optymizmem albo, powiedzmy, feminizmem? Być może. Ale na temat Goldy Meir nigdy nie będę obiektywna. Nigdy nie zdołam oceniać jej, przyjmując postawę wyzbytą złudzeń, jaką chciałabym sobie narzucić, kiedy mówię, że wielka postać jest zjawiskiem, które należy analizować na chłodno, ze skalpelem. Moim zdaniem, nawet jeśli zupełnie się z nią nie zgadasz, z jej polityką, z jej ideologią, trudno jej nie szanować, nie podziwiać, a wręcz nie kochać. Ja pokochałam ją natychmiast. Na dodatek przypominała mi moją matkę, do której była trochę podobna. Również moja matka miała takie siwe kręcone włosy, zmęczoną i pomarszczoną twarz, ciężkie ciało, podtrzymywane przez spuchnięte, niepewne, ołowiane nogi. Także moja matka miała ten energiczny i łagodny wygląd, tę powierzchowność gospodyni domowej, o władniętej obsesją na punkcie czystości, i przedstawiała typ kobiety, której bogactwo polega na rozbijającej prostocie, irytującej skromności, mądrości będącej wynikiem życiowej harówki, pośród cierpienia, niewygód, udręki, które nie pozostawiają czasu na sprawy zbyteczne. Zgoda: Golda Meir była też kimś innym, czymś więcej. Na przykład była osobą, od której zależał los milionów ludzi, która mogła wprowadzić albo zburzyć pokój na Bliskim Wschodzie, zapalić albo zgasić lont światowego konfliktu. Poza tym była być może najbardziej wpływową przedstawicielką doktryny, którą zbyt wielu z nas potępia albo na temat której wyraża wątpliwości: syjonizmu. Ale to się wie. A mnie nie interesuje, żeby mówić o Goldzie Meir to, co się wie. Interesuje mnie, żeby powiedzieć to, czego się nie wie. Oto zatem historia tego wywiadu. A właściwie moja historia z Goldą Meir.

Pierwsze spotkanie miało miejsce na początku października, w jej rezydencji w Jerozolimie. Był poniedziałek, a ona była ubrana na czarno, tak jak moja mama, kiedy miała kogoś przyjąć. Upudrowała nawet nos, tak jak robiła moja mama, kiedy miała kogoś przyjąć. Siedząc w salonie, przed filiżanką kawy i z paczką papierosów, zdawała się przejęta tylko tym,



żebym poczuła się swobodnie i żeby zminimalizować swój autorytet. Wysłałam jej moją książkę o Wietnamie razem z bukietem róż. Róże stały w wazonie, książkę trzymała w rękach. Zanim zadałam pytania, zaczęła dyskutować o sposobie, w jaki postrzegałam wojnę, nie było zatem trudno nakłonić ją, aby powiedziała o swojej wojnie, o terroryzmie, Palestyńczykach, o terytoriach okupowanych, o warunkach, jakie postawiłaby Sadatowi i Husajnowi, gdyby doszło do negocjacji z Arabami. Jej głos był ciepły, dźwięczny. Wyraz twarzy uśmiechnięty, jowialny. Natychmiast, bez żadnego wysiłku, oczarowała mnie. Podbiła mnie całkowicie, kiedy – po upływie godziny z kwadransem – powiedziała, że znów się ze mną spotka. Co nastąpiło trzy dni później, w jej gabinecie premiera. Dwie niezwykle interesujące godziny. Porzuciwszy problemy polityczne, przy których słuchałam jej czasem z pewną rezerwą, podczas drugiego spotkania opowiadała mi wyłącznie o sobie, o swoim dzieciństwie, o rodzinie, o swoich kobiecych dramatach, o przyjaciółkach, takich jak Pietro Nenni, w stosunku do którego żywiła nieograniczony podziw, wzruszające uczucie. W chwili pożegnania my też zostaliśmy przyjaciółkami. Dała mi fotografię dla mamy z najbardziej pochlebną dedykacją na świecie. Poprosiła, bym jak najszybciej znów ją odwiedziła: „Ale bez tego tu, dobrze? Tylko po to, żeby pogawędzić przy filiżance herbaty!”. „To tu” to był magnetofon, na którym nagrałam każdą odpowiedź, każde zdanie. Jej pomocnicy zdawali się oszołomieni: przed „tym tu” nigdy nie otworzyła się z taką szczerością. Jeden z nich poprosił mnie o przysłanie kopii taśm, żeby przekazać je w darze dla kibucu, który przechowuje dokumenty dotyczące Goldy Meir.

Taśmy. W tej pracy nie ma nic cenniejszego od taśm. Nie istnieją notatki stenograficzne, wspomnienia, zapiski, które mogłyby zastąpić żywy głos osoby. Taśmy to były dwie małe kasety po dziewięćdziesiąt minut każda, i trzecia, na której zapisane było jeszcze pięć albo sześć minut. Tylko pierwsza z nich została przepisana. Włożyłam je zatem do torby ze starannością zarezerwowaną dla klejnotów i nazajutrz wyjechałam, żeby dotrzeć do Rzymu około ósmej trzydzieści wieczorem. O dziewiętej trzydzieści wchodziłam do hotelu. Wielkiego hotelu. Tutaj, ledwie znalazłam się w pokoju, wyjęłam z torby trzy kasety, żeby schować je do koperty. Następnie położyłam kopertę na biurku, a na niej okulary, bardzo wartościową puderniczkę, inne przedmioty i opuściłam pokój. Zamknęłam oczywiście drzwi na klucz, oddałam klucz portierowi i wyszłam z hotelu. Na mniej więcej piętnaście minut, tyle, żeby przejść przez ulicę i zjeść kanapkę. Kiedy wróciłam, klucz zniknął. Szukano go wszędzie, na kontuarze portiera, ale daremnie. A kiedy weszłam na górę, drzwi do pokoju były otwarte. Tylko drzwi. Reszta była w

porządku. Walizki były zamknięte, wartościowa puderniczka i inne przedmioty leżały tam, gdzie je zostawiłam, na pierwszy rzut oka zdawało się, że nic nie zostało ruszone. Potrzeba było paru sekund, żebym spostrzegła, iż koperta z kasetami jest pusta, że nie ma w niej taśm Goldy. Nie było też magnetofonu, w którym była jeszcze jedna, czysta taśma. Wyjęto go z torby podróżnej, ignorując kuferek z biżuterią, a potem ułożono starannie zawartość torby. Na koniec zabrano dwa naszyjniki pozostawione na stole. Dla zmyłki, powiedziała policja.

Policja przybyła natychmiast i została do świtu. Przyjechała nawet policja polityczna, reprezentowana przez dwóch antypatycznych i smutnych młodzieńców, których nie interesują kradzieże, tylko bardziej delikatne sprawy. Przyjechała nawet policja kryminalna, z aparatami fotograficznymi i narzędziami służącymi do znajdowania śladów w przypadku morderstw. Ale znaleźli tylko moje odciski palców; w każdym sensie złodzieje dokonali kradzieży w rękawiczkach. Potem antypatyczni i smutni młodzieńcy doszli do wniosku, że chodziło o rabunek polityczny, a to ja też rozumiałam. Nie rozumiałam natomiast, dlaczego go dokonano i kto był sprawcą. Jakiś Arab poszukujący informacji? Jakiś osobisty wróg Goldy? Jakiś zazdrosny dziennikarz? Wszystko zostało wykonane precyzyjnie, szybko, przytomnie, w stylu Jamesa Bonda. I na pewno byłam śledzona, nikt nie wiedział, że przybędę do Rzymu tego dnia, o tej porze, do tego hotelu. A klucz? Dlaczego klucz zniknął z przegródki? Następnego dnia wydarzyła się dziwna rzecz. Kobieta z dwiema torbami jednej z linii lotniczych pojawiła się w hotelu i zapytała, gdzie jest policja. W zaroślach Villi Borghese znalazła torby i chciała przekazać je policji. Co zawierały te torby? Około dwudziestu małych kaset magnetofonowych, identycznych jak moje. Natychmiast ją zatrzymano i zaprowadzono na komisariat. Tutaj, jedna po drugiej, przesłuchano wszystkie taśmy. Były na nich tylko nagrania piosenek. Ostrzeżenie? Groźba? Żart? Kobieta nie potrafiła powiedzieć, dlaczego poszła szukać policji właśnie do tego hotelu.

Wróćmy do Goldy. Golda dowiedziała się o kradzieży następnego wieczoru, kiedy przebywała w domu z kilkorgiem przyjaciół i opowiadała o naszych spotkaniach: „Przedwczoraj miałam ciekawe doświadczenie, miło spędziłam czas, udzielając wywiadu...”. Przerwał jej jeden ze współpracowników, podając jej mój telegram: „Ukradli mi wszystko powtarzam wszystko stop proszę spróbować znów się ze mną spotkać”. Ona przeczytała, jak mi opowiedziano, podniosła rękę do piersi i przez kilka minut nie wymówiła słowa. Po czym podniosła zmartwione, ale stanowcze oczy i, dobitnie skandując sylaby, powiedziała: „Najwyraźniej ktoś

nie chce, żeby ten wywiad został opublikowany. A zatem należy go powtórzyć. Znajdźcie mi parę godzin na nowe spotkanie”. Zapewniają mnie, że powiedziała dokładnie tak, a ja wykluczam, że inni mężowie stanu zareagowaliby w taki sam sposób. Sądzę, że każdy inny na jej miejscu wzruszyłby ramionami: „Tym gorzej dla pani. Dałem już pani ponad trzy godziny. Niech pani napisze, co pamięta, proszę sobie radzić”. Prawda jest taka, że Golda była przede wszystkim jedną z takich kobiet, jakich już się nie spotyka, a dopiero potem politykiem. Jedynym warunkiem, jaki postawiła, było odczekanie miesiąca, a nowe spotkanie zostało wyznaczone na wtorek, 14 listopada. Tak też się stało. Oczywiście, wracając do niej tego dnia, nie wyobrażałam sobie, że odkryję, iż mogę ją kochać. Aby jednak wyjaśnić tak poważne stwierdzenie, muszę powiedzieć o czymś, co wzruszyło mnie najbardziej.

Golda mieszkała sama. W nocy nie było nawet psa, który czuwałby nad jej snem w przypadku, gdyby źle się poczuła; przy wejściu do jej willi była ochrona i to wszystko. W ciągu dnia do pomocy w pracach domowych miała tylko dziewczynę, która przychodziła posłać łóżko, odkurzyć, wyprasować ubrania. Jeśli na przykład zapraszała kogoś na kolację, gotowała sama. A potem sprzątała, żeby-dziewczyna-jutro-nie-zastała-za-dużo-brudu. No więc w wieczór poprzedzający nasze spotkanie miała na kolacji gości, którzy wyszli o drugiej w nocy, zostawiając piekło brudnych talerzy, kieliszków, pełnych popielniczek, bałaganu. Żeby-dziewczyna-jutro-nie-zastała-za-dużo-brudu, o drugiej w nocy Golda zaczęła zmywać talerze i kieliszki, zamiatać, froterować i przed trzecią trzydzieści nie położyła się spać. O siódmej jak zwykle wstała, żeby przeczytać gazety i posłuchać radia. O ósmej konferowała z jakimiś generałami. O dziewiątej konferowała z jakimiś ministrami. O dziesiątej... źle się poczuła. Dla kogoś, kto skończył siedemdziesiąt cztery lata, trzy i pół godziny odpoczynku to mało. Ja, kiedy się o tym dowiedziałam, wstydziłam się wejść. Powtarzałam: „Przełożmy spotkanie, nic nie szkodzi, przysięgam, nic nie szkodzi!”. Ale ona chciała respektować swoje zobowiązanie: tak-bidulka-przyjechała-aż-tutaj-już-drugi-raz-przyjeżdża-a-do-tego-ukradli-jej-taśmy. Gdy weszłam, siedziała przy stole po dwudziestominutowym odpoczynku na kanapie w swoim gabinecie, blada, wykończona, przemiała. Powiedziała, żebym nie przejmowała się opóźnieniem, poświęci mi czas, którego potrzebuję. I podjęliśmy wywiad, jak poprzednim razem, lepiej niż poprzednim razem. W październiku nie zdołała opowiedzieć mi o swoim mężu, o tym, co było tragedią jej życia. Tym razem zrobiła również to, a ponieważ mówienie o tej sprawie było dla niej druzgocące, kiedy zorientowała się, że nie może kontynuować, zapewniła mnie: „Niech pani będzie spokojna,

dokończymy jutro!”. Po czym wyznaczyła mi czwarte spotkanie, cudowną godzinę, w czasie której rozmawialiśmy o starości, o młodości, o śmierci. Boże, jakaż wydawała mi się ujmująca, kiedy mówiła te rzeczy. Wielu twierdziło, że Golda jest brzydka, i czerpało przyjemność z robienia jej okrutnych karykatur. No cóż! Piękno to oczywiście opinia, ale mnie Golda zdawała się piękną starą kobietą. Wielu twierdziło, że Golda jest męska, i zabawiało się, rozpowszechniając na jej temat wulgarnie dowcipy. No cóż! Kobiecość to oczywiście opinia, ale mnie Golda wydawała się we wszystkim kobieca. Na przykład to czarujące zawstydzenie. Ta niemal niewiarygodna naiwność, i pomyśleć, że mogła być tak przebiegła i sprytna, kiedy trwała pośród politycznych zawirowań. Ten trud wyrażenia udręki kobiety, której nie wystarczało rodzenie. Ta czułość, z którą przywoływała świadectwo dzieci i wnuków. Ta mimowolna kokieteria. Ostatnim razem, kiedy ją widziałam, miała na sobie bluzkę z błękitnej krepy i naszyjnik z pereł. Gładząc go palcami o krótkich, pomalowanych na różowo paznokciach, zdawała się pytać: „Dobrze mi w nim?”. A ja myślałam: szkoda, że jest potężna, szkoda, że jest po stronie tych, którzy rozkazują. U takiej jak ona kobiety władza jest niegustowną pomyłką.

Nie będę powtarzać, że urodziła się w Kijowie w 1898 roku jako Golda Mabowicz, że dorastała w Ameryce, w Milwaukee, i tutaj w 1917 roku poślubiła Morrisa Meyersona, że w 1918 roku wyemigrowała z nim do Palestyny, że nazwisko Meir narzucił jej Ben Gurion, by brzmiało bardziej po hebrajsku, że jej sukces narodził się po tym, jak była ambasadorem w Moskwie za czasów Stalina, że paliła przynajmniej sześćdziesiąt papierosów dziennie, że żywiła się głównie kawą, że jej dzień pracy trwał osiemnaście godzin, że jako premier zarabiała równowartość nędznych dwustu czterdziestu tysięcy lirów miesięcznie. Nie będę próbowała szukać tajemnicy jej legendy. Poniższy wywiad sam ją tłumaczy. Ułożyłam go zgodnie z chronologią spotkań i tłumacząc z angielskiego, języka, który być może znała najlepiej i w którym rozmawialiśmy.

\* \* \*

Oczywiście policja nigdy nie rozwiązała zagadki kradzieży taśm. A jeśli znalazła rozwiązanie, dobrze się pilnowała, żeby mnie nie poinformować. Jednak poszlaka, która wkrótce stała się czymś więcej niż tylko poszlaką, nasunęła się sama. Warto o tym opowiedzieć, również po to, by stworzyć inne wyobrażenie o moźnych tego świata.

Niemal równocześnie z wywiadem z Goldą Meir poprosiłam o wywiad z Kaddafim. A on, za pośrednictwem wysokiego urzędnika libijskiego Ministerstwa Informacji, zawiadomił mnie,

że mi go udzieli. Ale nagle, kilka dni po kradzieży taśm, wezwał dziennikarza z tygodnika konkurującego z „L'Europeo”. Dziennikarz pospieszył do Trypolisu, a Kaddafi, dziwnym trafem, wypowiedział zdania, które brzmiały jak odpowiedzi na to, co powiedziała mi Meir. Nie trzeba dodawać, że biedny dziennikarz nie miał pojęcia o tym szczególe. Nie trzeba też dodawać, że ja zorientowałam się natychmiast i poruszyłam bardziej niż uzasadnioną kwestię: jak to możliwe, żeby pan Kaddafi odpowiedział na coś, co nie zostało nigdy opublikowane i o czym nikt poza mną nie wiedział? Czyżby pan Kaddafi przesłuchał moje taśmy? A może wręcz kazał mi je ukraść? Moja pamięć natychmiast odtworzyła pewien zarejestrowany szczegół. Nazajutrz po kradzieży wcieliłam się w detektywa i po cichutku zesłam pogrzebać w pojemniku, w którym zostały zgromadzone śmieci z piętra hotelu, gdzie miało miejsce przestępstwo. Tutaj, choć wszyscy w hotelu przysięgali, że od wielu dni nie pojawił się w nim żaden Arab, odkryłam karteczkę napisaną po arabsku. Przekazałam ją policji politycznej razem z moimi zapytaniami.

To wszystko. Kaddafi nigdy nie udzielił mi obiecane wywiadu. Nigdy nie wezwał mnie do Trypolisu, żeby rozwiązać hańbiące podejrzenie, jakie jeszcze dziś czuję się upoważniona wobec niego żywić. Zresztą jeśli włoska prasa tak szalenie go interesuje i ma on czelność domagać się zwolnienia dziennikarza z Turynu, dlaczego nie miałby mieć na tyle tupetu, żeby kazać skraść moje taśmy w rzymskim hotelu?

GOLDA MEIR: Dzień dobry, moja droga, dzień dobry. Przeglądałam pani książkę na temat wojny i zastanawiałam się, czy kobiety naprawdę reagują na wojnę inaczej niż mężczyźni... Ja uważam, że nie. W ciągu tych ostatnich lat i podczas wojny na wyczerpanie wielokrotnie byłam zmuszona podejmować pewne decyzje, na przykład czy wysyłać naszych żołnierzy w miejsca, skąd mieli nie wrócić, albo angażować ich w operacje, które miały kosztować życie nie wiadomo ilu ludzi po obydwu stronach. I cierpiałam... cierpiałam. Ale wydawałam te rozkazy, tak jak wydałby je mężczyzna. A teraz, kiedy o tym myślę, wcale nie jestem pewna, że cierpiałam bardziej, niż cierpiałby mężczyzna. Pośród moich kolegów mężczyzn widziałam takich, którzy ogarnięci byli głębszym smutkiem od mojego. Och, nie dlatego, żeby mój smutek był mały! Ale nie wpływał on, nie, nie wpływał na moje decyzje... Wojna jest ogromną głupotą. Jestem przekonana, że pewnego dnia wszystkie wojny się skończą. Jestem przekonana, że pewnego dnia dzieci w szkole będą uczyć się historii o ludziach toczących wojny, tak jak studiuje się absurdy. Będą się temu dziwić, będą się oburzać, tak jak dziś oburza je

kanibalizm. Również kanibalizm przez długi czas był akceptowany jako coś normalnego. A przecież dziś, przynajmniej fizycznie, już się go nie praktykuje.

*ORIANA FALLACI. Pani Meir, cieszę się, że pierwsza poruszyła pani ten temat. Bo właśnie od tego zamierzałam zacząć. Pani Meir, kiedy nastąpi pokój na Bliskim Wschodzie? Czy doczekamy się tego pokoju za naszego życia?*

Pani tak, myślę. Może... Ja na pewno nie. Uważam, że wojna na Bliskim Wschodzie będzie jeszcze trwała wiele, wiele lat. Powiem pani, dlaczego. Z powodu obojętności, z jaką arabscy przywódcy wysyłają na śmierć swoich ludzi, z powodu nikłego szacunku, jaki mają dla ludzkiego życia, z powodu niezdolności narodów arabskich do buntu, do powiedzenia dość. Pamięta pani, jak Chruszczow zdemaskował zbrodnię Stalina podczas dwudziestego zjazdu komunistów? Głos z głębi sali powiedział: „Towarzyszu Chruszczow, a wy gdzie byliście?”. Chruszczow rozejrzał się w poszukiwaniu twarzy, ale jej nie znalazł, i zapytał: „Kto mówił?”. Nikt nie odpowiedział. „Kto mówił?”, jeszcze raz zapytał Chruszczow. I znów żadnej odpowiedzi. Wtedy Chruszczow wykrzyknął: „Towarzyszu, byłem tam, gdzie ty teraz jesteś”. Cóż, naród arabski jest właśnie tam, gdzie był Chruszczow, gdzie był ten, który go upominał, nie mając odwagi pokazać swojego oblicza. Pokój z Arabami można by osiągnąć tylko poprzez ich ewolucję, która mieściłaby w sobie demokrację. Ale gdziekolwiek obrócę wzrok i popatrzę na nich, nie dostrzegam cienia demokracji. Widzę tylko dyktatorskie reżimy. A dyktator nie musi tłumaczyć się swojemu ludowi z niezawartego pokoju. Nie musi też rozliczać się z ofiar. Kto kiedykolwiek dowiedział się, ilu żołnierzy egipskich zginęło w dwóch ostatnich wojnach? Tylko matki, siostry, żony, krewni, którzy nie doczekali się ich powrotu. Przywódcy nie przejmują się nawet tym, żeby się dowiedzieć, gdzie zostali pochowani, czy są pochowani. Natomiast my...

*Natomiast wy?...*

Proszę spojrzeć na tych pięć tomów. Zawierają zdjęcia i życiorysy wszystkich żołnierzy i wszystkich żołnerek poległych na wojnie. Każda pojedyncza śmierć jest dla nas tragedią. My nie lubimy prowadzić wojny, nawet kiedy ją wygrywamy. Po ostatniej na naszych ulicach nie było radości. Nie było tańców ani śpiewów, ani święta. Powinna pani zobaczyć naszych żołnierzy, którzy powracali jako zwycięzcy. Każdy z nich był okazem smutku. Nie tylko dlatego, że widzieli, jak umierają ich bracia, ale dlatego, że musieli zabijać swoich wrogów. Wielu z nich zamykało się w pokoju i nie chciało nic mówić. Albo otwierali usta, żeby powtarzać jak refren: „Musiałem strzelać. Zabiłem”. Dokładne przeciwieństwo Arabów. Po wojnie zaoferowaliśmy

Egipcjanom wymianę jeńców. Siedemdziesięciu ich za dziesięciu naszych. Odpowiedzieli: „Ale wasi to oficerowie, nasi to fellachowie! To niemożliwe”. Fellachowie, chłopci. Obawiam się...

*Obawia się pani, że wojna między Izraelem a Arabami może znów wybuchnąć?*

Tak. To możliwe, tak. Bo widzi pani, wiele osób mówi, że Arabowie są gotowi podpisać z nami porozumienie. Ale kto da nam pewność, że w tych dyktatorskich reżimach porozumienie będzie potem coś znaczyć? Przypuśćmy, że Sadat podpisze, a potem zostanie zabity. Albo po prostu wyeliminowany. Kto nam zaręczy, że jego następca będzie respektował porozumienie podpisane przez Sadata? Czy było respektowane zawieszenie broni, które wszystkie kraje arabskie podpisały z nami? Mimo tego zawieszenia broni na naszych granicach nigdy nie zapanował spokój i dziś wciąż pozostajemy w oczekiwaniu, że nas zaatakują.

*Ale o porozumieniu dzisiaj się mówi, pani Meir. Mówi o nim również Sadat. Czy nie jest łatwiej negocjować z Sadatem, niż negocjowało się z Naserem?*

Absolutnie nie. Jest dokładnie tak samo. Z tej prostej przyczyny, że Sadat nie chce z nami negocjować. Ja jestem bardziej niż gotowa do negocjacji z nim. Powtarzam to od lat: „Usiądźmy do stołu i spróbujmy załatwić sprawę, Sadat”. A on nie. On nie jest absolutnie gotowy, żeby usiąść ze mną do stołu. Wciąż mówi o różnicy, jaka istnieje między porozumieniem a traktatem. Mówi, że jest gotowy na porozumienie, ale nie na traktat pokojowy. Ponieważ traktat pokojowy oznaczałby uznanie Izraela, stosunki dyplomatyczne z Izraelem. Czy to jasne? To, co ma na myśli Sadat, to nie jest definitywna rozmowa, która ustanowiłaby zakończenie wojny, to coś w rodzaju przerwania ognia. Poza tym on odmawia bezpośredniego negocjowania z nami. Chce negocjować przez pośredników. Nie możemy ze sobą rozmawiać przez pośredników! To bez sensu, niepotrzebne! Również w 1949 roku, na Rodos, po wojnie o niepodległość, podpisaliśmy porozumienie z Egipcjanami, Jordańczykami, Syryjczykami, Libańczykami. Ale odbyło się to za pośrednictwem doktora Bunche, który z ramienia Narodów Zjednoczonych spotykał się raz z jedną grupą, a raz z drugą... Wspaniały rezultat.

*Fakt, że Husajn mówi o pokoju, też nie oznacza nic dobrego?*

Ostatnio powiedziałam na temat Husajna miłe rzeczy. Pogratulowałam mu, że wypowiedział się publicznie na temat pokoju. Powiem więcej: wierzę Husajnowi. Jestem przekonana, że zdał już sobie sprawę, jak bardzo niekorzystne byłoby dla niego wdanie się w kolejną wojnę. Husajn zrozumiał, że popełnił straszliwy błąd w 1967 roku, kiedy przystąpił do wojny przeciwko nam i nie rozważył wiadomości, którą przesłał mu Eshkol: „Niech pan nie

przystępuje do wojny, a nic się panu nie stanie”. Zrozumiał, że było tragiczną głupotą posłuchanie Nasera, jego kłamstw na temat zbombardowanego Tel Awiwu. Tak więc teraz chce pokoju. Chce go jednak na swoich warunkach. Żąda lewego brzegu Jordanu, czyli Zachodniego Brzegu, żąda Jerozolimy, powołuje się na rezolucję Narodów Zjednoczonych... Myśmy już raz przyjęli rezolucję Narodów Zjednoczonych. Wtedy, kiedy poproszono nas, byśmy podzielili Jerozolimę. Dla naszych serc była to głęboka rana, a jednak zgodziliśmy się. Konsekwencje są znane. To może my zaatakowaliśmy armię jordańską? Nie, to armia jordańska weszła do Jerozolimy! Arabowie są naprawdę dziwni, przegrywają wojny, a potem żądają, by na tym zyskać. Czy wojnę sześciodniową myśmy w końcu wygrali, czy nie? Mamy prawo do stawiania naszych warunków czy nie? Od kiedy to w historii ten, który atakuje i przegrywa, ma prawo zgłaszać roszczenia wobec tego, który wygrywa? Ciągłe tylko mówią: oddaj to, oddaj tamto, zrezygnuj z tego, zrezygnuj z tamtego...

*Czy kiedykolwiek zrezygnujecie z Jerozolimy, pani Meir?*

Nie. Nigdy. Nie. Jerozolima nie. Jerozolima nigdy. To niedopuszczalne. Jerozolima jest poza kwestią. Nie zgadzamy się nawet dyskutować o Jerozolimie.

*Czy moglibyście zrezygnować z lewego brzegu Jordanu, z Zachodniego Brzegu?*

W tym miejscu w Izraelu panują różne opinie. Zatem możliwe jest, że będzie gotowość do negocjacji na temat Zachodniego Brzegu. Zaraz to jaśniej wytłumaczę. Uważam, że większość Izraelczyków nigdy nie poprosiłaby parlamentu, żeby całkowicie zrezygnował z Zachodniego Brzegu. Jednak gdyby doszło do negocjacji z Husajnem, większość Izraelczyków gotowa by była zwrócić część Zachodniego Brzegu. Powiedziałam: część, żeby było jasne. Tymczasem rząd nie postanowił ani tak, ani nie. Podobnie jak ja. Dlaczego mielibyśmy kłócić się między sobą, zanim szef państwa arabskiego zadeklaruje swoją gotowość, by usiąść z nami do stołu? Osobiście uważam, że gdyby Husajn zdecydował się z nami negocjować, moglibyśmy mu oddać część Zachodniego Brzegu. Czy to po decyzji rządu albo parlamentu, czy to w wyniku referendum. Oczywiście moglibyśmy rozpisać referendum w tej sprawie.

*A Gaza? Czy zrezygnowalibyście z Gazy, pani Meir?*

Ja mówię, że Gaza musi, powinna być częścią Izraela. Tak, taka jest moja opinia. A właściwie nasza. Jednak żeby negocjować, nie żądam od Husajna czy od Sadata, aby zgadzali się ze mną we wszystkich punktach. Mówię: „Moje zdanie, nasze zdanie jest takie, że Gaza powinna zostać w Izraelu. Wiem, że wy myślicie inaczej. All right, siadajmy do stołu i zacznijmy



negocjować”. Jasne? Wcale nie jest niezbędne, żeby zgadzać się przed negocjacjami; negocjacje służą właśnie temu, żeby znaleźć porozumienie. Kiedy twierdę, że Jerozolima nie będzie nigdy podzielona, że Jerozolima pozostanie w Izraelu, nie wymagam, żeby Husajn czy Sadat nie mieli wspominać o Jerozolimie. Nie wymagam też, by nie wspominali o Gazie. W momencie negocjacji mogą wspominać, o czym chcą.

*A Wzgórze Golan?*

Mniej więcej takie samo myślenie. Syryjczycy chcieliby, żebyśmy zeszli ze Wzgórz Golan, żeby strzelać do nas jak kiedyś. Nie trzeba mówić, że nawet o tym nie myślimy, że nigdy nie zejdziemy z płaskowyżu. Jesteśmy jednak gotowi negocjować również z Syryjczykami. Na naszych warunkach. A nasze warunki polegają na wytyczeniu między Syrią i Izraelem granicy, która ustaliłaby naszą obecność na płaskowyżu. Innymi słowy, dzisiaj Syryjczycy znajdują się dokładnie tam, gdzie powinna zostać wytyczona granica. W tej kwestii nie ustąpimy, nie sądzę. Ponieważ tylko jeśli pozostaną tam, gdzie są dzisiaj, mogą przestać do nas strzelać, jak robili przez dziewiętnaście lat.

*A Synaj?*

My nigdy nie mówiliśmy, że chcemy całego Synaju albo większej części Synaju. Nie chcemy całego Synaju. Chcemy kontroli nad Szarm asz-Szajch oraz części pustyni, powiedzmy, pasa pustyni, który połączyłby Izrael z Szarm asz-Szajch. Czy to jasne? Czy mam się powtarzać? Nie chcemy większej części Synaju. Może nie chcemy nawet połowy Synaju. Ponieważ zupełnie nas nie interesuje, żeby siedzieć na Kanale Sueskim. Jako pierwsi zdajemy sobie sprawę, że Kanał Sueski jest zbyt ważny dla Egipcjan, że stanowi on dla nich wręcz kwestię prestiżową. Wiemy też, że Kanał Sueski nie jest konieczny dla naszej obrony. Od dziś mówimy, że gotowi jesteśmy z niego zrezygnować. Nie zrezygnujemy jednak z Szarm asz-Szajch i z pasa pustyni, który połączy nas z Szarm asz-Szajch. Ponieważ chcemy, żeby nasze statki wpływały do Szarm asz-Szajch i stamtąd wypływały. Ponieważ nie chcemy znaleźć się znów w warunkach, w jakich znaleźliśmy się poprzednim razem, kiedy zrezygnowaliśmy z Szarm asz-Szajch. Ponieważ nie chcemy ryzykować, by znów obudzić się pewnego ranka z Synajem pełnym oddziałów egipskich. Na tych podstawach i tylko na tych podstawach jesteśmy skłonni negocjować z Egipcjanami. Wydaje mi się, że są to dosyć rozsądne podstawy.

*Zatem to oczywiste, że nie wrócicie nigdy do starych granic.*

Nigdy. A jeśli mówię nie, to nie dlatego, że zamierzamy anektować nowe terytoria. Zamierzamy zapewnić naszą obronę, nasze przetrwanie. Jeśli istnieje możliwość osiągnięcia pokoju, o której mówiła pani na początku, to jest jedyny sposób. Nigdy nie byłoby pokoju, gdyby Syryjczycy wrócili na Wzgórza Golan, gdyby Egipcjanie odzyskali cały Synaj, gdybyśmy z Husajnem przywrócili granice z 1967 roku. W 1967 roku odległość między Netanja a morzem wynosiła zaledwie dziesięć mil, to znaczy piętnaście kilometrów. Jeśli podarujemy Husajnowi możliwość ponownego przemierzenia tych piętnastu kilometrów, Izrael ryzykuje, że zostanie przecięty na dwie części i... Oskarżają nas o ekspansjonizm, ale ekspansjonizm, proszę mi wierzyć, nie interesuje nas. Interesują nas tylko nowe granice. Niech pani posłucha, ci Arabowie chcą wrócić do granic z 1967 roku. Jeśli tamte granice były słuszne, dlaczego je zniszczyli?

*Pani Meir, mówiłyśmy do tej pory o porozumieniach, negocjacjach, traktatach. Ale po przerwaniu ognia z 1970 roku wojna na Bliskim Wschodzie przybrała nowe oblicze: oblicze terroru, terroryzmu. Co pani myśli o tej wojnie i o ludziach, którzy ją prowadzą? Na przykład o Arafacie, o Habbaszu, o przywódcach Czarnego Września?*

Myślę po prostu, że to nie są ludzie. Nie uważam ich nawet za ludzkie istoty, a najgorsze, co można powiedzieć o człowieku, to to, że nie jest ludzką istotą. To tak jakby powiedzieć, że jest zwierzęciem, czyż nie? Ale jak może pani nazywać to, co robią, wojną? Nie pamięta pani zdania Habbasza, kiedy kazał wysadzić w powietrze autobus pełen izraelskich dzieci? „Najlepiej zabijać Izraelczyków, kiedy są jeszcze dziećmi”. No nie, to, co robią, to nie jest wojna. Nie jest to też ruch rewolucyjny, ponieważ ruch, który chce wyłącznie zabijać, nie może nazywać się rewolucyjnym. Proszę posłuchać, na początku tego wieku, w Rosji, w ruchu rewolucyjnym, który powstał, żeby obalić cara, była partia, która uważała terror za jedyne narzędzie walki. Pewnego dnia jeden z ludzi tej partii został wysłany z bombą na róg ulicy, którą miał przejeżdżać powóz z wysokim oficerem carskim. O wyznaczonej godzinie powóz przejechał. Ale oficer nie był sam, towarzyszyła mu żona i dzieci. Co zatem uczynił ów prawdziwy rewolucjonista? Nie rzucił bomby. Pozwolił, żeby wybuchła mu w rękę, i zginął rozerwany na kawałki. Proszę posłuchać, my także podczas wojny o niepodległość mieliśmy nasze grupy terrorystyczne: Stern, Irgun. Ja byłam im przeciwna, zawsze... Jednak żadna z nich nie splamiła się hańbą, jaką plamią się Arabowie w stosunku do nas. Żadna z nich nie podkładała nigdy bomb w supermarketach ani dynamitu w autobusach z dziećmi. Żadna z nich nie wywołała nigdy tragedii, jak te w Monachium czy w Lod.

*Jak walczyć z tym terroryzmem, pani Meir? Czy naprawdę sądzi pani, że bombardowanie libańskich wiosek czemuś służy?*

Do pewnego stopnia tak. Oczywiście. Ponieważ w tych wioskach są fedaini. Sami Libańczycy mówią: „Niektóre-obszary-to-terytorium-Al-Fatah”. Zatem pewne obszary należy oczyścić. O ich oczyszczeniu powinni pomyśleć Libańczycy. Libańczycy twierdzą, że nie mogą nic zrobić. No cóż, również Husajn twierdził to samo w czasie, kiedy fedaini mieli obozy w Jordanii. Przyznawali to nawet nasi przyjaciele Amerykanie: „Nie to, żeby Husajn nie chciał ich odesłać! Chodzi o to, że nie ma wystarczającej siły, żeby ich wyrzucić”. Ale we wrześniu 1970 roku, kiedy Amman był w niebezpieczeństwie i jego pałac był w niebezpieczeństwie, i on sam znalazł się w niebezpieczeństwie, Husajn zorientował się, że jednak może coś zrobić. I pozbył się ich. Jeśli Libańczycy nadal nie będą z tym nic robić, my odpowiemy: „Znakomicie. Zdajemy sobie sprawę z waszych trudności. Nie możecie. Ale my możemy. I żeby wam to udowodnić, zbombardujemy obszary goszczące fedainów”. Liban, być może bardziej niż którykolwiek z krajów arabskich, oferuje gościnę terrorystom. Japończycy, którzy dokonali masakry w Lod, wyruszyli z Libanu. Dziewczyny, które próbowały porwać samolot Sabeny w Tel Awiwie, były przygotowywane w Libanie. Obozy szkoleniowe są w Libanie. Mamy może siedzieć z założonymi rękami, modlić się do bogów i szeptać: „Miejmy-nadzieję-że-to-się-nie-stanie”? Modlitwa na nic się zda. Trzeba kontratakować. Wszelkimi możliwymi środkami, łącznie ze środkami, które nam się nie podobają. Oczywiście, że wolelibyśmy walczyć z nimi w otwartym polu. Ale ponieważ to niemożliwe...

*Pani Meir, byłaby pani skłonna rozmawiać z Arafatem czy Habbaszem?*

Nigdy! Z nimi nie! Nigdy! Co znaczy dyskutowanie z ludźmi, którzy nie mają nawet odwagi ryzykować własną skórą i wręczają ładunki wybuchowe komuś innemu? Jak na przykład ci dwaj Arabowie w Rzymie. Ci, którzy przekazali gramofon z bombą dwóm głupim angielskim dziewczynom. Proszę posłuchać, my chcemy osiągnąć pokój z państwami arabskimi, z odpowiedzialnymi rządami państw arabskich, niezależnie od tego, jaki panuje u nich reżim, ponieważ ich reżim nas nie dotyczy. Ale z ludźmi takimi jak Habbasz, Arafat, z Czarnym Wrześniem, nie mamy sobie nic do powiedzenia. Ludzie, z którymi możemy rozmawiać, to kto inny.

*Czy ma pani na myśli nas, Europejczyków?*

Właśnie tak. To konieczne, żeby Europejczycy i nie tylko Europejczycy zdecydowali się uniemożliwić to, co pani nazywa wojną. Do tej pory istniała z waszej strony zbyt wielka tolerancja. Tolerancja, która – niech mi pani pozwoli powiedzieć – ma swoje korzenie w nieugaszonym antysemityzmie. Ale antysemityzm nigdy nie wyczerpuje się wyłącznie w cierpieniu Żydów. Historia udowodniła, że antysemityzm na świecie zawsze zapowiada tragedię dla wszystkich. Zaczyna się od dręczenia Żydów, a kończy na dręczeniu wszystkich. Prosty przykład: pierwszy porwany samolot. Był to samolot El Al, pamięta pani? Uprawdowano go do Algierii. Jedni powiedzieli wówczas, że im przykro, inni okazali z tego powodu zadowolenie, a żadnemu z pilotów nawet się nie przyśniło, żeby powiedzieć: „Nigdy więcej nie polecę do Algierii”. Gdyby to powiedział, gdyby to powiedzieli, dzisiaj koszmarnictwa piractwa powietrznego by nie istniał. Tymczasem nikt nie zareagował i piractwo powietrzne stało się obyczajem naszych czasów. Każdy wariat może uprawdować samolot, żeby zaspokoić swoje szaleństwo, każdy kryminalista może porwać samolot, żeby wymusić okup. Motywy polityczne nie są niezbędne. Ale wróćmy do Europy i do tego szczegółu, że terroryzm ma swoje centrale w Europie. W każdej europejskiej stolicy istnieją biura tak zwanych ruchów wyzwolenia i doskonale wiecie, że nie chodzi tu o niewinne biura. Ale nic przeciwko nim nie robicie. Pożalujecie tego. Za sprawą waszej inercji i waszej pobłażliwości terror rozprzestrzeni się i wy też za to zapłacicie. Czyż nie stało się tak już z Niemcami?

*Właśnie, była pani bardzo surowa wobec Niemców po wypuszczeniu trzech Arabów.*

Och, musi pani zrozumieć, co znaczyła dla nas tragedia w Monachium! Sam fakt, że wydarzyła się w Niemczech... To znaczy powojenne Niemcy nie są Niemcami nazistowskimi. Znam Willy'ego Brandta, zawsze się z nim spotykam na konferencjach socjalistów, raz przyjechał także tutaj, kiedy był burmistrzem Berlina, i dobrze wiem, że walczył z nazistami. Nawet przez chwilę nie pomyślałam, że wypuszcza tych Arabów z przyjemnością. Ale Niemcy... Widzi pani, ja nigdy nie byłam w stanie postawić nogi w Niemczech. Jeżdżę do Austrii i nie jestem w stanie przekroczyć granicy niemieckiej... Dla nas, Żydów, kontakty z Niemcami to konflikt między głową a sercem... Proszę nie kazać mi mówić tych rzeczy, jestem premierem, ponoszę pewną odpowiedzialność... Zakończę zatem, stwierdzając, że moja surowość osądu była nieunikniona. Złożone przez Niemców deklaracje były dodatkową obelgą dla rany, dla zniewagi. Chodziło przecież o Arabów, którzy brali udział w zamordowaniu jedenastu bezbronnych Izraelczyków, a teraz będą próbowali zabijać innych.

*Pani Meir, wie pani, jaka jest opinia wielu ludzi? Że terroryzm arabski istnieje i będzie zawsze istniał, dopóki będą palestyńscy uchodźcy.*

To nieprawda, ponieważ terroryzm stał się rodzajem okrutnej międzynarodówki, choroby, która dotyka osoby niemające nic wspólnego z uchodźcami palestyńskimi. Proszę wziąć na przykład Japończyków, którzy dokonali masakry w Lod. Czy Izraelczycy okupują może terytoria japońskie? Co do uchodźców, proszę posłuchać: wszędzie tam, gdzie wybucha wojna, są uchodźcy. Na świecie są nie tylko uchodźcy palestyńscy, są uchodźcy palestyńscy, hinduscy, tureccy, niemieccy. Do licha, istniały miliony uchodźców niemieckich wzdłuż granicy polskiej, tam jest teraz Polska. A przecież Niemcy wzięły odpowiedzialność za tych ludzi, którzy byli ich ludźmi. A Niemcy sudeccy. Nikt nie myśli, że powinni wrócić do Czechosłowacji, oni sami wiedzą, że nigdy tam nie wrócą. W ciągu dziesięciu lat, kiedy bywałam w Narodach Zjednoczonych, nigdy nie słyszałam o Niemcach sudeckich wypędzonych z Czechosłowacji. Jak to jest, że wszyscy wzruszają się tylko z powodu Palestyńczyków?

*Ale przypadek Palestyńczyków jest inny, pani Meir, ponieważ...*

Na pewno tak jest. Wie pani, dlaczego? Ponieważ, kiedy jest wojna i ludzie uciekają, zazwyczaj uciekają do krajów o odmiennym języku i odmiennej religii. Natomiast Palestyńczycy uciekli do krajów, w których mówi się tym samym językiem i przestrzega tej samej co oni religii. Uciekli do Syrii, do Libanu, do Jordanii, gdzie nikt nie uczynił nigdy nic, by im pomóc. Jeśli chodzi o Egipt, Egipcjanie, którzy zajęli Gazę, nie pozwolili Palestyńczykom nawet pracować i utrzymywali ich w nędzy, żeby używać ich jako broni przeciwko nam. Hammarskjöld zaproponował plan rozwoju dla Bliskiego Wschodu, a plan ten przewidywał przede wszystkim uporządkowanie sprawy uchodźców palestyńskich. Ale kraje arabskie odmówiły.

*Pani Meir, czy nie ma pani dla nich przynajmniej trochę współczucia?*

Oczywiście, że mam. Ale współczucie nie jest odpowiedzialnością, a odpowiedzialność wobec Palestyńczyków nie jest nasza, to odpowiedzialność Arabów. My, w Izraelu, przyjęliśmy około miliona czterystu tysięcy arabskich żydów: z Iraku, z Jemenu, z Egiptu, z Syrii, z krajów północnoafrykańskich, jak Maroko. Ludzi, którzy przyjeżdżając tu, cierpieli na wiele chorób i nie umieli nic robić. Na przykład wśród siedemdziesięciu tysięcy żydów przybyłych z Jemenu nie było ani jednego lekarza, ani jednej pielęgniarki, a niemal wszyscy byli chorzy na gruźlicę. A jednak ich wzięliśmy i zbudowaliśmy dla nich szpitale, wyleczyliśmy ich, wykształciliśmy, umieściliśmy w czystych domach i przemieniliśmy w rolników, lekarzy, inżynierów,

nauczycieli... Wśród stu pięćdziesięciu tysięcy żydów przybyłych z Iraku była tylko mała grupa intelektualistów, a jednak ich dzieci uczęszczają dziś na uniwersytety. Oczywiście, mamy z nimi problemy, nie wszystko złoto, co się świeci, ale pozostaje faktem, że ich przyjęliśmy i wspomogliśmy. Natomiast Arabowie nie robią nigdy nic dla swoich ludzi. Wysługują się nimi i tyle.

*Pani Meir, a gdyby Izrael pozwolił uchodźcom palestyńskim wrócić tutaj?*

To niemożliwe. Przez dwadzieścia lat karmieni byli nienawiścią do nas, nie mogą znów wrócić między nas. Ich dzieci nie urodziły się tutaj, urodziły się w obozach, a wszystko, co wiedzą, to to, że trzeba zabijać Izraelczyków, zniszczyć Izrael. Znaleźliśmy książki do arytmetyki w szkołach w Gazie, w których były takie zadania: „Masz pięciu Izraelczyków. Zabijasz trzech. Ilu Izraelczyków zostaje do zabicia?”. Kiedy uczysz podobnych rzeczy istoty siedmio- czy ośmioletnie, wszelka nadzieja pryska. Och, to byłby niezły paszтет, gdyby nie było dla nich innego wyjścia, jak tylko wrócić tutaj! Ale wyjście istnieje. Udowodnili to Jordańczycy, kiedy nadali im obywatelstwo i wezwali ich do zbudowania kraju zwanego Jordanią. Właśnie to, co zrobili Abdullah i Husajn, jest dużo lepsze od tego, co zrobili Egipcjanie. Ale pani wie, że w dobrych latach Palestyńczycy zajmowali w Jordaniі stanowiska premiera i ministra spraw zagranicznych? Pani wie, że po podziale z 1922 roku Jordania miała tylko trzysta tysięcy Beduinów, a uchodźcy palestyńscy stanowili większość? Dlaczego nie zaakceptowali Jordaniі jako swojego kraju, dlaczego...

*Ponieważ nie czują się Jordańczykami, pani Meir. Ponieważ mówią, że są Palestyńczykami, a ich dom jest w Palestynie, nie w Jordaniі.*

Zatem musimy porozumieć się co do słowa Palestyna. Należy przypomnieć, że kiedy Anglia przejęła mandat nad Palestyną, Palestyna była ziemią między Morzem Śródziemnym a granicami Iraku. Ta Palestyna obejmowała dwa brzegi Jordanu, nawet Wysoki Komisarz, który nią zarządzał, był ten sam. Potem, w 1922 roku, Churchill dokonał podziału i terytorium na wschód od Jordanu stało się Cisjordanią, terytorium na zachód od Jordanu stało się Transjordanią. Dwie nazwy dla tych samych ludzi. Abdullah, dziadek Husajna, miał Transjordanię, a następnie przejął też Cisjordanię, ale – powtarzam – wciąż chodziło o tych samych ludzi. O tę samą Palestynę. Arafat, zanim zlikwiduje Izrael, powinien pozbyć się Husajna. Ale Arafat jest takim ignorantem. Nie wie nawet, że pod koniec pierwszej wojny światowej to, co dziś jest Izraelem, nie nazywało się Palestyna, tylko Syria Południowa. Poza

tym... no naprawdę! Jeśli mamy rozmawiać o uchodźcach, przypominam pani, że przez wieki Żydzi byli uchodźcami *par excellence*! Rozproszeni po krajach, gdzie nie mówiono w ich języku, nie przestrzegano ich religii, nie znano ich obyczajów... Rosja, Czechosłowacja, Polska, Niemcy, Francja, Włochy, Anglia, Arabia, Afryka... Zamknięci w gettach, prześladowani, eksterminowani. A jednak przeżyli, i nigdy nie przestali być narodem, i odnaleźli się, żeby założyć państwo...

*Ale to właśnie tego chcą Palestyńczycy, pani Meir: zbudować sobie kraj. Właśnie dlatego niektórzy mówią, że powinni mieć swoje państwo na Zachodnim Brzegu.*

Proszę posłuchać, już pani wyjaśniłam, że na wschód i na zachód od Jordanu są ci sami ludzie. Już pani wyjaśniłam, że najpierw nazywali się Palestyńczykami, a potem nazywali się Jordańczykami. Czy teraz chcą się nazywać Palestyńczykami, czy Jordańczykami, zupełnie mnie nie obchodzi. To nie moja sprawa. Natomiast moją sprawą jest to, żeby między Izraelem, a tym, co dzisiaj nazywa się Jordanią, nie powstało nowe państwo arabskie. Na obszarze zawartym między Morzem Śródziemnym a granicami Iraku jest miejsce tylko na dwa kraje, dwa państwa: jedno arabskie i drugie żydowskie. Jeśli podpiszemy traktat pokojowy z Husajnem i ustalimy granice z Jordanią, to to, co wydarzy się po drugiej stronie granicy, nie będzie dotyczyło Izraela. Palestyńczycy będą mogli ułożyć się z Husajnem, jak zechcą, będą mogli nazwać to państwo, jak zechcą, nadać mu rządy, jakie zechcą. Ważne, żeby nie powstało trzecie państwo arabskie między nami a Jordanią. Nie chcemy go. Nie możemy sobie na to pozwolić. Ponieważ zostało by ono użyte jako nóż przeciwko nam.

*Pani Meir, chciałabym poruszyć inny temat. Kiedy ma się jakieś marzenie, marzenie to żywi się utopią. A kiedy marzenie się urzeczywistnia, odkrywa się, że... utopia to utopia. Czy jest pani zadowolona z tego, czym jest dzisiaj Izrael?*

Jestem szczerą kobietą. Odpowiem pani w szczerzy sposób. Jako socjalistka, nie, nie mogę powiedzieć, że Izrael jest tym, o czym marzyłam. Jako żydowska socjalistka, która zawsze bardzo podkreślała żydowski element swojego socjalizmu, cóż: Izrael to więcej, niż sobie wymarzyłam. Zaraz to wyjaśnię. Urzeczywistnienie syjonizmu jest dla mnie częścią socjalizmu. Wiem, że inni socjaliści się ze mną nie zgodzą, ale ja tak uważam. Nie jestem w tym względzie obiektywna i myślę, że są na świecie dwie wielkie niesprawiedliwości: ta, która gnębi czarnych Afrykanów, i ta, która gnębi Żydów. Myślę ponadto, że te dwie niesprawiedliwości można naprawić wyłącznie dzięki zasadom socjalizmu. Oddanie sprawiedliwości narodowi

żydowskiemu stało się celem mojego życia i... krótko mówiąc: czterdzieści czy pięćdziesiąt lat temu wcale nie wierzyłam, że Żydzi będą mieli suwerenne państwo. Takie państwo teraz istnieje, zatem nie wydaje mi się słuszne nadmierne zadreczanie się jego wadami i jego winami. Mamy ziemię, po której możemy stąpać, gdzie możemy realizować nasze socjalistyczne ideały, unoszące się kiedyś tylko w powietrzu. To już wiele. Oczywiście, jeśli dokonam bezlitosnego rachunku sumienia...

*Co się pani nie podoba w Izraelu? Co panią rozczarowało?*

Och... Sądzę, że nikt z nas, marzycieli, nie zdawał sobie początkowo sprawy z trudności, jakie się ujawnią. Na przykład nie przewidzieliśmy problemu połączenia ze sobą Żydów wyrosłych w tak bardzo różnych krajach, którzy pozostawali w oderwaniu od siebie przez tyle wieków. Przybyli tu Żydzi z całego świata, jak chcieliśmy, tak. Ale każda grupa miała swój język i zintegrowanie jej z innymi grupami okazało się dużo trudniejsze, niż zdawało się w teorii. To nie jest proste stworzyć jednolity naród z tak różnych ludzi... Starcie było nieuniknione. Przysporzyło mi to przykrości, rozczarowań. Poza tym... wydam się pani głupia, naiwna, ale ja myślałam, że w państwie żydowskim nie będzie tego zła, które dotyka inne społeczeństwa. Kradzieży, morderstw, prostytucji... Tak myślałam, bo dobrze wystartowaliśmy: piętnaście lat temu w Izraelu prawie nie było kradzieży, nie było zabójstw, nie było prostytucji. Tymczasem teraz mamy wszystko, wszystko... Przyprawia to o ból serca: rani bardziej, niż odkrycie, że nie stworzyliśmy jeszcze bardziej sprawiedliwego i równego społeczeństwa.

*Pani Meir, ale czy pani wciąż wierzy w socjalizm tak jak wierzyło się weń czterdzieści lat temu?*

Zasadniczo tak. Podstawowa idea jest wciąż ta sama. Ale uczciwie rzecz ujmując, trzeba patrzeć realistycznie. Trzeba przyznać, że istnieje duża różnica między ideologią socjalistyczną a socjalizmem poddanym próbie praktycznej. Wszystkie partie socjalistyczne, które znalazły się u steru rządów i przyjęły odpowiedzialność za kraj, musiały pójść na kompromis. Nie tylko; odkąd socjaliści są u władzy w poszczególnych krajach, międzynarodowy socjalizm osłabł. Czym innym było uprawianie socjalizmu międzynarodowego, kiedy ja byłam dziewczyną, to znaczy kiedy żadna partia socjalistyczna nie była u władzy, a czym innym jest uprawiać go dzisiaj. Marzenie, jakie miałam, marzenie o świecie sprawiedliwym i zjednoczonym w socjalizmie, diabli wzięli. Interesy narodowe przeważały nad interesami międzynarodowymi, a socjaliści szwedzcy okazali się przede wszystkim Szwedami, socjaliści angielscy okazali się przede



wszystkim Anglikami, socjaliści żydowscy okazali się przede wszystkim Żydami... Zaczęłam to rozumieć w czasie wojny w Hiszpanii. W wielu krajach u władzy byli socjaliści. Ale nie ruszyli palcem w sprawie socjalistów hiszpańskich.

*Ale o jakim socjalizmie pani mówi, pani Meir? To znaczy czy zgadza się pani z Nennim, kiedy mówi on, że woli socjalizm szwedzki?*

Oczywiście! Bo widzi pani, można mieć wszystkie marzenia, jakie się chce, ale kiedy się śni, nie jest się przytomnym. Kiedy zaś się budzimy, zauważamy, że sen ma niewiele wspólnego z rzeczywistością. Być wolnym, móc mówić to, co się myśli, to jest takie niezbędne... Rosja sowiecka nie jest biedna, nie jest niewykształcona, a jednak ludzie tam nie ośmielają się mówić. A honor wciąż istnieje... W Narodach Zjednoczonych nigdy nie dostrzegłam różnicy między ministrami spraw zagranicznych państw socjalistycznych a ministrami spraw zagranicznych państw reakcyjnych. Rok temu, wstrzymując się od głosu, pozwolili nawet przejść rezolucji, która nazywała nas zbrodniarzami wojennymi. I ja to powiedziałam moim kolegom socjalistom, kiedy spotkałam ich na konferencji w Wiedniu: „Twój kraj wstrzymał się od głosu. Więc ja miałabym być zbrodniarką wojenną, co?”. Ale mówiła pani o Pietro Nennim... Nenni to co innego, Nenni to osobny rozdział w historii socjalizmu. Nenni jest jednym z najlepszych ludzi, jacy żyją dziś na świecie. Ponieważ jest tak bardzo uczciwy, jest w nim taka prawość, takie człowieczeństwo, taka odwaga przekonań! Podziwiam go jak nikogo innego. Jestem dumna, że mogę nazywać go przyjacielem. I... oczywiście, o socjalizmie myślę tak jak on!

*Pani Meir, wie pani, nad czym się zastanawiałam, słuchając pani? Zastanawiałam się, czy tak wiele rozczarowań nie doprowadziło pani do cynizmu, a przynajmniej do utraty złudzeń?*

Och, nie! Ja nie jestem wcale cyniczna! Straciłam złudzenia, to wszystko. Na przykład czterdzieści czy pięćdziesiąt lat temu wierzyłam, że socjalista jest zawsze porządnym człowiekiem, niezdolnym do kłamstwa. Teraz natomiast wiem, że socjalista jest taką samą istotą ludzką jak inni, zdolną jak inni kłamać i jak inni zachowywać się w nieuczciwy sposób. Jest to smutne, oczywiście, ale nie wystarczy, żeby stracić ufność w człowieka! Nie wystarczy, by stwierdzić: człowiek-jest-z-gruntu-zły. Nie, nie! Widzi pani, kiedy kogoś poznaję, myślę zawsze, że chodzi o porządnego człowieka i myślę tak, dopóki nie udowodni mi się czegoś przeciwnego. Jeśli już dostanę taki dowód, nie mówię, że ta osoba jest zła. Mówię: była zła w stosunku do mnie. Słowem, nie jestem podejrzliwa. Nigdy nie spodziewam się po ludziach najgorszego. I... nie wiem, czy nazwać się optymistką. W moim wieku optymizm jest nadmiernym luksusem. Ale

cóż, podczas mojego długiego życia widziałam bardzo dużo zła, tak. Widziałam też bardzo dużo dobra. Bardzo, bardzo dużo... A jeśli w pamięci ocenię wiele osób, które poznałam, proszę mi wierzyć, jest wśród nich naprawdę mało takich, o których mogę wydać całkowicie negatywny osąd.

*Jest pani religijna, pani Meir?*

Nie! Och, nie! Nigdy nie byłam. Nawet kiedy byłam dzieckiem. Nie, ta moja postawa nie bierze się z wiary religijnej. Bierze się z mojego instynktownego zaufania do ludzi, z mojej uporczywej miłości, którą obdarzam ludzkość. Religia... Wie pani, moja rodzina była tradycyjna, ale nie religijna. Tylko mój dziadek był religijny, ale z nim cofamy się bardzo daleko w czasie, do dni, kiedy mieszkaliśmy w Rosji. W Ameryce, widzi pani... rozmawialiśmy między sobą po hebrajsku, przestrzegaliśmy świąt, ale do świątyni chodziliśmy bardzo rzadko. Ja chodziłam tam tylko w Nowy Rok, żeby towarzyszyć mamie i znaleźć jej miejsce siedzące. Tylko raz śledziłam modlitwy w synagodze, to było w Moskwie. I wie pani, co jej powiem? Gdybym została w Rosji, stałabym się religijna. Może.

*Dlaczego?*

Ponieważ w Rosji synagoga jest jedynym miejscem, gdzie Żydzi mogą wyrażać samych siebie. W 1948 roku, kiedy zostałam wysłana do Moskwy przez mój rząd, jako szef misji, proszę posłuchać, co zrobiłam. Przed wyjazdem zebrałam ludzi, którzy jechali ze mną, i powiedziałam: „Weźcie wszystkie modlitewniki, szale modlitewne, nakrycia głowy, wszystko. Jestem pewna, że Żydów spotkamy tylko w synagodze”. Cóż, dokładnie tak się stało. Naturalnie w pierwszą sobotę nikt nie wiedział, że pójde do synagogi, i zastałam tam zaledwie dwieście osób. Albo niewiele więcej. Ale w Rosz ha-Szana, to znaczy żydowski Nowy Rok, i w Jom Kipur, to znaczy Dzień Pojednania, przyszły tysiące. Pozostałam w synagodze od rana do wieczora i w chwili, kiedy rabin zaintonował ostatnie zdanie modlitwy przebaczenia, to, które mówi „*Leszana haba Biruszalaim*. W przyszłym roku w Jerozolimie”, cała synagoga zdała się drżeć. Naprawdę. Rozumie pani, to nie było tak, jak znaleźć się w Buenos Aires czy Nowym Jorku i powiedzieć: „W przyszłym roku w Jerozolimie”. W Buenos Aires, w Nowym Jorku wsiadasz w samolot i lecisz. Tam, w Moskwie, to wołanie nabierało specjalnego znaczenia. Modląc się, powiedziałam: „Boże, uczyn, by naprawdę tak się stało! Jeśli nie w przyszłym roku, to za kilka lat”. Czyżby Bóg istniał i mnie wysłuchał? To się dzieje naprawdę.

*Pani Meir, czy nie odczuwa pani żadnego uczuciowego związku z Rosją?*

Nie, żadnego. Wie pani, wielu moich przyjaciół, którzy opuścili Rosję jako dorośli ludzie, mówi, że czują się związani z tym krajem, z jego pejzażem, z literaturą, z muzyką. Ale ja nie miałam czasu, by docenić te rzeczy, byłam zbyt mała, kiedy opuściłam Rosję, miałam tylko osiem lat, a z Rosji mam tylko złe wspomnienia. Nie, z Rosji nie zabrałam ze sobą nawet jednej chwili radości, wszystkie moje wspomnienia, aż do wieku ośmiu lat, to wspomnienia tragiczne. Koszmar pogromów, brutalność Kozaków, którzy atakowali młodych socjalistów, strach, wrzaski: oto bagaż, który spakowałam w Rosji i przywiozłam ze sobą do Stanów Zjednoczonych. Wie pani, jakie jest moje pierwsze wspomnienie? Widok mojego ojca, który zabija drzwi i okna gwoździami, żeby uniemożliwić Kozakom wejście do domu i zabicie nas. Och, dźwięk młotka, który wbija gwoździe w deski! Och, hałas końskich kopyt, kiedy Kozacy przejeżdżają wzdłuż naszej ulicy!

*Ile miała pani lat, pani Meir?*

Pięć, sześć lat. Ale pamiętam wszystko w bardzo żywy sposób. Mieszkaliśmy w Kijowie, i ten dzień, kiedy ojciec opuścił Kijów, żeby udać się do Stanów Zjednoczonych... Byliśmy bardzo biedni, nie mieliśmy nawet jedzenia, i on pomyślał, żeby pojechać do Ameryki na rok albo dwa, odłożyć trochę pieniędzy i wrócić. Na początku XX wieku dla Żydów Ameryka była czymś w rodzaju banku, gdzie jeździło się, żeby zbierać rozrzucone na chodnikach dolary i wrócić z pełnymi kieszeniami. Tak więc mój ojciec opuścił Kijów, ale Kijów był miastem zakazanym dla Żydów bez pracy. Ojciec był rzemieślnikiem, ale kiedy wyjechał, my też musiałyśmy wyjechać. Pojechałyśmy do Pińska, ja, mama, moje dwie siostry. Był rok 1903. Zostałyśmy w Pińsku do roku 1905, kiedy brutalność reżimu carskiego osiągnęła swój szczyt. Konstytucja 1905 roku była w istocie brudnym kłamstwem, sztuczką pozwalającą zgrupować socjalistów i łatwiej ich aresztować. A moja dziewięć lat starsza siostra należała do ruchu socjalistycznego. Ze względu na swoją działalność polityczną pozostawała poza domem do późnej nocy, a moja matka szalała, ponieważ nasze mieszkanie znajdowało się obok komisariatu policji, do którego przyprawiano młodych aresztowanych socjalistów i... Katowano ich na śmierć i każdego wieczora słyhać było krzyki! Mamie za każdym razem zdawało się, że rozpoznaje głos mojej siostry: „To ona! To ona!”. Och, byłyśmy takie szczęśliwe, kiedy ojciec napisał, żebyśmy dołączyły do niego w Ameryce, bo w Ameryce żyje się dobrze!

*Pani jest bardzo przywiązana do Ameryki, prawda?*

Tak, nie tylko dlatego, że w Ameryce wyrosłam, uczyłam się, mieszkałam prawie do dwudziestego roku życia. Dlatego... cóż, dlatego, że w Ameryce pozbyłam się strachu z Pińska, z Kijowa. Jak wytłumaczyć różnicę, jaka istnieje dla mnie między Ameryką a Rosją? Widzi pani, kiedy tam przyjechałyśmy, miałam niewiele ponad osiem lat, moja starsza siostra miała lat siedemnaście, a młodsza cztery i pół. Ojciec pracował i należał do związków zawodowych. Był bardzo dumny ze swoich związków zawodowych i po dwóch miesiącach, z okazji Labour Day, powiedział do matki: „Dzisiaj jest pochód. Jeśli przyjdziecie na róg takiej to a takiej ulicy, zobaczycie, jak będę maszerował z moimi związkami”. Matka zabrała nas tam i kiedy stałyśmy, czekając na pochód, wyłonili się policjanci na koniach, żeby utorować drogę manifestacji, rozumie pani? Ale moja czteroipółletnia siostrzyczka nie mogła tego wiedzieć i kiedy zobaczyła policjantów na koniach, zaczęła się trząść, a potem krzyżeć: „Kozacy! Kozacy!”. Musiałyśmy ją stamtąd zabrać, nie dając ojcu satysfakcji oglądania go w marszu w otoczeniu jego związków zawodowych, a ona leżała przez wiele dni w łóżku z wysoką gorączką, powtarzając: „Kozacy! Kozacy!”. Słowem, widzi pani: Ameryka, którą poznałam, to miejsce, gdzie ludzie na koniach osłaniają pochód pracowników, Rosja, którą poznałam, to miejsce, gdzie ludzie na koniach masakrują młodych socjalistów i Żydów.

*Nie jest dokładnie tak, pani Meir, w każdym razie...*

Och, proszę posłuchać! Ameryka to wielki kraj. Ma wiele grzechów, wiele społecznych nierówności, i to tragedia, że problem czarnych nie został rozwiązany pięćdziesiąt czy sto lat temu, ale pozostaje wielkim krajem, krajem pełnym możliwości, wolności! Czy dla pani to nic, że można mówić, co się chce, pisać, co się chce, również przeciwko rządowi, establishmentowi? Być może nie jestem obiektywna, ale czuję wobec Ameryki wielką wdzięczność! Jestem przywiązana do Ameryki, OK?

*OK. Dotarliśmy wreszcie do osoby Goldy Meir. Czy zechcemy zatem porozmawiać o kobiecie, którą Ben Gurion nazwał „najzdolniejszym mężczyzną w moim rządzie”?*

To jedna z legend, które narosły wokół mnie. To również legenda, którą zawsze uważałam za irytującą, choć mężczyźni uznają ją za wielki komplement. Jest nim? Nie powiedziałabym. Co bowiem w gruncie rzeczy oznacza? Że być mężczyzną jest lepiej niż być kobietą, to zasada, z którą zupełnie się nie zgadzam. Oto więc, co chciałabym odpowiedzieć tym, którzy obdarzają mnie takim komplementem: a gdyby Ben Gurion powiedział: „Mężczyźni-z-mojego-rządu-są-tak-zdolni-jak-kobieta”? Mężczyźni czują zawsze taką wyższość! Nigdy nie

zapomnę, co wydarzyło się na kongresie mojej partii w latach trzydziestych, w Nowym Jorku. Wygłaszałam przemówienie, a wśród słuchaczy był mój przyjaciel pisarz. Porządny człowiek, o wielkiej wrażliwości i kulturze. Kiedy skończyłam, podszedł do mnie i zawołał: „Brawo! Wygłosiłaś wspaniałe przemówienie! I kiedy pomyślę, że jesteś tylko kobietą!”. Zawołał dokładnie tak, w sposób całkowicie spontaniczny, instynktowny. Całe szczęście, że na pewne rzeczy reaguję z humorem...

*To sprawi przyjemność kobietom z feministycznego ruchu wyzwolenia, pani Meir.*

To znaczy wariatom, które palą staniki, chodzą rozmemłane i nienawidzą mężczyzn? To wariatki. Wariatki. Jak można akceptować podobne wariatki, dla których zajście w ciążę to nieszczęście, a wydanie na świat dzieci to katastrofa? Jeśli to największy przywilej, jaki my, kobiety, mamy w stosunku do mężczyzn! Feminizm... Proszę posłuchać, ja weszłam do polityki w czasie pierwszej wojny światowej, kiedy miałam szesnaście albo siedemnaście lat, i nigdy nie byłam członkiem żadnej organizacji kobiecej. Kiedy zapisałam się do Syjonistycznej Partii Pracy, zastałam tam tylko dwie kobiety, w dziewięćdziesięciu procentach moimi towarzyszami byli mężczyźni. Wśród mężczyzn żyłam i pracowałam całe życie, a jednak fakt, że jestem kobietą, nigdy, powtarzam, nigdy, w niczym mi nie przeszkodził. Nigdy nie sprawiał mi kłopotu, nie wywoływał kompleksu niższości. W stosunku do mnie mężczyźni zawsze zachowywali się dobrze.

*Czy mówi pani, że woli ich od kobiet?*

Nie, mówię, że nigdy nie cierpiałam z powodu mężczyzn tylko dlatego, że jestem kobietą. Mówię, że mężczyźni nigdy nie traktowali mnie w specjalny sposób, ale też nie rzucali mi kłód pod nogi. Oczywiście, miałam szczęście, oczywiście, nie wszystkie kobiety miały takie doświadczenie jak ja, jakkolwiek by było, mój osobisty przypadek nie jest dowodem na to, że te szalone kobiety mają rację. Jest jeden punkt, w którym się z nimi zgadzam: żeby osiągnąć sukces, kobieta musi być dużo lepsza od mężczyzny. Niezależnie od tego, czy się poświęca karierze zawodowej, czy polityce. W naszym parlamencie jest mało kobiet, to bardzo mi przeszkadza. Te nieliczne kobiety, zapewniam panią, wcale nie są mniej zdolne od mężczyzn. Często przeciwnie, są dużo zdolniejsze. Tak więc to śmieszne, że w stosunku do kobiet istnieje jeszcze tyle zastrzeżeń, tyle niesprawiedliwości, że kiedy przygotowuje się na przykład listę na wybory, umieszcza się na niej nazwiska mężczyzn i tyle. Ale czy to tylko wina mężczyzn? Czy nie jest to może, przynajmniej po części, również wina kobiet?

*Pani Meir, powiedziała pani przed chwilą, że kobieta, by osiągnąć sukces, musi być dużo lepsza od mężczyzny. Czy nie znaczy to może, że bycie kobietą jest dużo trudniejsze niż bycie mężczyzną?*

Tak, oczywiście. Trudniejsze, bardziej męczące, bardziej uciążliwe. Ale niekoniecznie z winy mężczyzn, powiedziałabym, z przyczyn biologicznych. Dzieci rodzi kobieta. Dzieci wychowuje kobieta. A kiedy kobieta nie chce tylko rodzić dzieci, wychowywać dzieci... kiedy kobieta chce też pracować, być kimś... Cóż, to trudne. Trudne, trudne. Wiem to z własnego doświadczenia. Jesteś w pracy, a myślisz o dzieciach, które zostawiłaś w domu. Jesteś w domu, a myślisz o pracy, której nie wykonujesz. Wewnątrz siebie rozpętuje się walka, serce pęka. Chyba że mieszkasz w kibucu, gdzie życie jest zorganizowane w taki sposób, żebyś mogła pracować i mieć dzieci. Poza kibucem to ciągle bieganie, rozdarcie, niepokój i... Słowem, odbija się to nieuchronnie na strukturze rodziny. Szczególnie jeśli twój mąż nie jest zwierzęciem społecznym i czuje się nieswojo z żoną aktywną, z żoną, której nie wystarcza bycie żoną... Zdarza się starcie. A starcie może rozbić związek. Jak zdarzyło się mnie. Tak, zapłaciłam za to, żeby być tym, kim jestem. Bardzo dużo zapłaciłam.

*W jakim sensie, pani Meir?*

W sensie... cierpienia! Bo widzi pani, ja wiem, że moje dzieci, kiedy były małe, bardzo cierpiały z mojego powodu. Tak często zostawiałam je same... Nigdy nie byłam z nimi, kiedy powinny i chciałam. Och, pamiętam, jak szczęśliwe były moje dzieci za każdym razem, kiedy nie szłam pracować z powodu bólu głowy. Skakały, śmiały się, śpiewały: „Mama zostaje w domu! Mamę boli głowa!”. Mam wielkie poczucie winy wobec Sarah i Menachema, nawet dzisiaj, kiedy są dorośli i mają własne dzieci. A jednak... jednak muszę być uczciwa i zapytać samą siebie: „Golda, czy żałujesz do końca faktu, że zachowałam się w stosunku do nich tak, jak się zachowałam?”. Nie, nie do końca. Bowiem poprzez cierpienie dałam im życie bardziej interesujące, mniej banalne. To znaczy, nie wyrosli w zamkniętym środowisku rodzinnym. Poznali ważnych ludzi, byli przy istotnych dyskusjach, uczestniczyli w wielkich sprawach. Jeśli pani z nimi porozmawia, potwierdzą to. Powiedzą pani: „Tak, mama nas zaniedbywała, cierpieliśmy z powodu jej nieobecności, jej polityki, jej rozkojarzenia, ale nie jesteśmy w stanie mieć do niej żalu, ponieważ będąc, jaką była, dała nam dużo więcej niż inna mama!”. Gdyby pani wiedziała, jaką dumę odczuwałam tamtego dnia, kiedy... W 1948 roku, kiedy walczyliśmy z Anglikami, pisałam ulotki, które młodzi z ruchu rozklejali w nocy na murach. Moja córka, która

nie wiedziała, że to ja pisałam te ulotki, powiedziała mi pewnego dnia: „Mamo, dziś wieczorem wrócę późno. A może nie wrócę”. „Dlaczego?”, zapytałam zaniepokojona. „Nie mogę ci powiedzieć, mamo”. Później wyszła z pakunkiem pod pachą. Nikt lepiej niż ja nie mógł wiedzieć, co jest w tej paczce, a rozklejanie ulotek nocą było bardzo niebezpieczne. Nie spałam do świtu, czekając na Sarah, przeklinając się w obawie, że coś jej się stanie. Jednocześnie jednak byłam z niej taka dumna!

*Pani Meir, czy to poczucie winy, jakie ma pani w stosunku do dzieci, miała pani również w stosunku do swojego męża?*

Nie mówmy o tym... Nie chcę o tym mówić... Nigdy o tym nie mówię... No dobrze. Spróbujmy. Widzi pani, mój mąż był nadzwyczaj porządnym człowiekiem. Wykształcony, uprzejmy, dobry. Wszystko było w nim dobre. Ale był też osobą, którą interesowała tylko rodzina, dom, muzyka, książki. Dostrzegał problemy społeczne, tak, ale w obliczu domu i jedności rodziny traciły dla niego wszelkie znaczenie. Byłam zbyt różna od niego. Zawsze taka byłam. Nie wystarczało mi szczęście domowe, czułam potrzebę, żeby robić to, co robiłam! Rezygnacja z tego zdałaby mi się aktem tchórzostwa, nieuczciwości wobec samej siebie. Utrwaliłaby we mnie niezadowolenie, smutek... Poznałam męża, kiedy miałam zaledwie piętnaście lat. Szybko wyszłam za niego i on nauczył mnie wszystkich pięknych rzeczy, muzyki, poezji. Ale ja nie urodziłam się, by zadowolić się muzyką, poezją, i... On chciał, żebym siedziała w domu i porzuciła politykę. Tymczasem ja byłam ciągle poza domem, ciągle w polityce i... Oczywiście, że mam poczucie winy również w stosunku do niego... Jemu też przysporzyłam wielu cierpień... Przyjechał do Izraela, ponieważ ja chciałam przyjechać do Izraela. Znalazł się w kibucu, ponieważ ja chciałam być w kibucu. Zmierzył się z życiem, które mu nie odpowiadało, ponieważ było to życie, bez którego ja nie mogłam się obejść... To była tragedia. Wielka tragedia. Ponieważ, powtarzam, on był cudowną istotą i z kobietą inną niż ja mógłby być bardzo szczęśliwy.

*Czy nigdy nie uczyniła pani żadnego wysiłku, żeby się do niego dostosować, zadowolić go?*

Dla niego dokonałam największego poświęcenia w życiu: opuściłam kibuc. Widzi pani, niczego nie kochałam tak jak kibucu. W kibucu podobało mi się wszystko, praca fizyczna, koleżeństwo, niewygody. Nasz znajdował się w Dolinie Jezreel i na początku nie miał nic do zaoferowania poza bagnami i piachem, ale wkrótce stał się ogrodem pełnym pomarańczy,

owoców, i samo patrzeć na to wszystko dawało mi taką radość, że mogłabym spędzić tam całe życie. On natomiast nie mógł tego znieść, ani pod względem psychologicznym, ani fizycznym. Nie był w stanie jadać przy wspólnym stole z innymi. Nie był w stanie wytrzymać ciężkiej pracy. Nie był w stanie tolerować tego klimatu i czuć się częścią wspólnoty. Był zbyt wielkim indywidualistą, introwertykiem, był za delikatny. Rozchorował się i... musieliśmy stamtąd odejść, wrócić do miasta, do Tel Awiwu. Ból, który jeszcze dziś przeszywa mnie jak igła. Był to dla mnie prawdziwy dramat, ale zniosłam to, myśląc, że w mieście rodzina będzie spokojniejsza i bardziej związana. Tak się nie stało. W 1938 roku rozstaliśmy się. Potem, w 1951 roku, on zmarł.

*Nie był z pani dumny, przynajmniej w ostatnich latach?*

Nie wiem... Nie sędzę. Nie wiem, co myślał w ostatnich latach, a zresztą on był tak zamknięty w sobie, że nikt nie mógłby tego odgadnąć. W każdym razie jego tragedia nie wynikała z faktu, że mnie nie rozumiał, rozumiał mnie doskonale. Wynikała z faktu, że mnie rozumiał, a jednocześnie zdawał sobie sprawę, że nie może mnie zmienić. Wiedział, że nie ma dla mnie wyboru, że muszę być tym, kim jestem. Ale tego nie aprobował. Kto wie, czy nie miał racji.

*Nie pomyślała pani nigdy, żeby się rozwieść, pani Meir, nie pomyślała pani, żeby ponownie wyjść za mąż po jego śmierci?*

Och, nie! Nigdy! Podobna myśl nigdy mi nawet nie zaświtała, nigdy! Wciąż uważałam się za jego żonę! Po separacji nadal się widywaliśmy. Czasami przychodził odwiedzić mnie w biurze... Może nie zrozumiała pani ważnej rzeczy: mimo że byliśmy tak różni i niezdolni do wspólnego życia, między nami była zawsze miłość. Nasza miłość była wielka, trwała od dnia, kiedy się poznaliśmy, do dnia jego śmierci. Takiej miłości nie można zastąpić.

*Pani Meir, czy to prawda, że jest pani bardzo wstydliva? Jakby to powiedzieć... bardzo purytańska, o władnięta moralnością?*

Widzi pani, jak wcześniej powiedziałam, żyłam zawsze wśród mężczyzn. I nigdy, ale to nigdy żaden mężczyzna nie pozwolił sobie na opowiedzenie w mojej obecności jakiegś plugawej historyjki, na skierowanie do mnie zdania albo propozycji pozbawionych szacunku. Wie pani, dlaczego? Ponieważ zawsze mówiłam, że jeśli mi dadzą szklankę wody, ta woda ma być czysta. W przeciwnym razie jej nie wypiję. Taka już jestem, lubię czyste rzeczy. Pewien serdeczny przyjaciel powiedział mi kiedyś: „Golda, nie bądź taka sztywna. Nie ma rzeczy moralnych i niemoralnych. Są rzeczy piękne i rzeczy brzydkie”. Przypuszczam, że miał rację. Przypuszczam



nawet więcej: że jedna rzecz może być i piękna, i brzydka. Ponieważ jednym wydaje się piękna, a innym wydaje się brzydka. Niemniej... Nie wiem, jak to wyjaśnić... Może tak: miłość jest zawsze piękna, ale akt miłosny z prostytutką jest brzydki.

*Mówi się też, że jest pani bardzo twarda, nieugięta...*

Ja twarda?! Nie. Są pewne sprawy w polityce, w przypadku których można uważać mnie za twardą. Rzeczywiście nie jestem skłonna do zawierania kompromisów i przyznaję to w sposób niezłomny. Wierzę w Izrael, nie ustępuję w sprawie Izraela, koniec kropka. Tak, w tym sensie słowo nieugięta do mnie pasuje. Ale jeśli chodzi o resztę, to znaczy w życiu prywatnym, z ludźmi, z ludzkimi problemami... nazwać mnie twardą to głupota. Jestem najbardziej wrażliwą istotą, jaką zdarzy się pani spotkać. Nie przypadkiem wielu zarzuca mi, że uprawiam politykę sercem, a nie głową. A gdyby nawet tak było? Nie widzę w tym nic złego, przeciwnie. Zawsze żał mi było ludzi, którzy boją się uczuć, emocji, skrywają swoje doznania i nie potrafią płakać całym sercem. Bo kto nie umie płakać całym sercem, nie potrafi też śmiać się na cały głos.

*Naprawdę zdarza się pani płakać?*

Czy mi się zdarza?! I to jak! Jednak jeśli mnie pani zapyta: „Powiedz mi, Golda, czy w swoim życiu więcej się śmiałaś, czy płakałaś?”, odpowiem pani: „Sądzę, że więcej się śmiałam, niż płakałam”. Poza moimi dramatami rodzinnymi, miałam bardzo szczęśliwe życie. Poznałam tylu wspaniałych ludzi, zostałam obdarzona przyjaźnią takich ciekawych osób, szczególnie przez te pięćdziesiąt lat spędzonych w Izraelu. Zawsze przebywałam w kręgu gigantów ducha, byłam zawsze doceniana i kochana. Czego więcej możesz wymagać od losu? Byłabym prawdziwą niewdzięcznicą, gdybym nie umiała się śmiać.

*Całkiem niezłe jak na kobietę, która uznawana jest za symbol Izraela.*

Ja symbol?! Jaki tam symbol! Może pani sobie ze mnie żartuje? Nie poznała pani wielkich ludzi, którzy naprawdę byli symbolami Izraela, ludzi, którzy założyli Izrael i którzy mieli na mnie wpływ. Pozostał z nich jeszcze tylko Ben Gurion i – przysięgam pani na moje dzieci i wnuki – nigdy nie zaliczałam siebie do kategorii ludzi takich jak Ben Gurion i Kacnelson. Jeszcze nie zwariowałam! Zrobiłam to, co zrobiłam, zgoda. Ale wykluczam, że jeśli nie zrobiłabym tego, co zrobiłam, Izrael byłby inny.

*Dlaczego zatem mówi się, że tylko pani udaje się utrzymać kraj w jedności?*

Bajki! Teraz powiem pani coś, co panią przekona. Kiedy umarł Eshkol, w 1969 roku, przeprowadzono sondaż, żeby stwierdzić, jaki jest stopień popularności jego możliwych

następców. Wie pani, ile osób opowiedziało się za mną? Jeden procent. Może półtora. Zgoda, w mojej partii był kryzys i odczułam to również jako minister spraw zagranicznych, ale jeden procent, półtora! Kobieta tak niepopularna jeszcze trzy lata temu miałaby dzisiaj być tą, która utrzymuje kraj w jedności? Proszę mi wierzyć, kraj sam utrzymuje się w jedności, nie potrzebuje premiera, który nazywa się Golda Meir. Gdyby młodzi powiedzieli: „Dosyć walki – dosyć wojny – poddajemy się”, żadna Golda Meir nie mogłaby nic zrobić. Gdyby w kibucach Beth Shean powiedzieli: „Dosyć-życia-pod-rakietami-fedainów, dosyć-spania-w-schronach, idziemy-stąd”, żadna Golda Meir nie mogłaby nic zrobić. Zresztą Golda Meir przejęła ster rządów w kraju przypadkiem. Umarł Eshkol, trzeba go było zastąpić, partia pomyślała, że mogłabym go zastąpić, bo byłam akceptowana przez wszystkie nurty i... nic więcej. Tak naprawdę nie chciałam się nawet zgodzić. Wyszłam z polityki rządowej, byłam zmęczona. Proszę zapytać moje wnuki i moje dzieci.

*Pani Meir, proszę mi nie mówić, że nie jest pani świadoma swojego sukcesu!*

Oczywiście, że jestem! Nie ogarnia mnie mania wielkości, ale nie gnębi mnie też kompleks niższości. Kiedy zaprzeczam, że jestem symbolem i że utrzymuję kraj w jedności, wcale nie twierdzę, że jestem porażką! Nie zawsze byłam doskonała, ale nie twierdzę, że poniosłam klęskę w mojej karierze, jako minister pracy, jako minister spraw zagranicznych, jako sekretarz partii, jako szef rządu. Muszę wręcz przyznać, że moim zdaniem kobiety mogą być dobrymi rządzącymi, dobrymi przywódcami państwa. O Boże, być może funkcjonowałabym równie dobrze, gdybym była mężczyzną... Nie wiem, nie mogę tego spróbować, nigdy nie byłam mężczyzną... Myślę jednak, że kobiety, bardziej niż mężczyźni, mają cechę, która służy wykonywaniu tego zawodu. To znaczy umiejętność zmierzania prosto do istoty rzeczy, do chwytania byka za rogi. Kobiety są bardziej praktyczne, bliższe rzeczywistości. Nie rozpraszają się jakimiś błahostkami jak mężczyźni, którzy krążą wciąż wokół drzewa, żeby uchwycić sedno sprawy.

*A jednak czasami mówi pani tak, jakby się sobie nie podobała. Czy pani się sobie podoba, pani Meir?*

Jaka rozsądna osoba podoba się samej sobie? Zbyt dobrze się znam, żeby się sobie podobać. Zbyt dobrze wiem, że nie jestem taka, jaka chciałabym być. A żeby wytłumaczyć, jaka chciałabym być, powiem pani, kto mi się podoba: moja córka. Sarah jest taka dobra, taka inteligentna, taka intelektualnie nieskazitelna! Kiedy w coś wierzy, wierzy w to do końca. Kiedy

coś myśli, mówi to bez ogródek. I nigdy nie ustępuje innym, większości. Naprawdę nie mogę powiedzieć tego samego o sobie. Kiedy ktoś wykonuje taką pracę jak ja, zawsze musi iść na kompromisy, nigdy nie może sobie pozwolić, by pozostać w stu procentach wiernym swoim ideałom. Naturalnie jest granica ustępstw i nie mogę powiedzieć, że zawsze idę na kompromisy. Jednak robię to dosyć często. To jest złe. Również z tego powodu nie mogę się doczekać, kiedy się wycofam.

*Naprawdę wycofa się pani?*

Daję pani słowo. Proszę posłuchać, w maju przyszłego roku będę miała siedemdziesiąt pięć lat. Jestem stara. Jestem wyczerpana. Moje zdrowie jest zasadniczo w dobrym stanie, moje serce funkcjonuje, ale nie mogę w nieskończoność ciągnąć tego szaleństwa. Gdyby pani wiedziała, ile razy powtarzam sobie: do diabła ze wszystkim, do diabła ze wszystkimi, zrobiłam moją część, niech teraz inni zrobią, co do nich należy, dosyć, dosyć, dosyć! Są takie dni, kiedy zwinęłabym manatki i odeszła, nikogo nie zawiadamiając. Jeśli zostałam do tej pory, jeśli na razie zostaję, to tylko z obowiązku, nic poza tym. Nie mogę przecież wyrzucić wszystkiego przez okno! Tak, wiele osób nie wierzy, że odejdę. Tymczasem powinni uwierzyć, podam im nawet datę: październik 1973 roku. W październiku 1973 roku odbędą się wybory. Po ich zakończeniu, goodbye.

*Nie wierzę. Wszyscy mówią, że zmieni pani zdanie, ponieważ nie jest zdolna do nic nierobienia.*

Widzi pani, jest jeszcze jedna rzecz, której ludzie o mnie nie wiedzą. Z natury jestem kobietą leniwą. Nie jestem jedną z tych osób, które muszą mieć wypełnioną każdą minutę, bo inaczej są chore. Lubię nie mieć nic do roboty i posiedzieć na przykład w fotelu albo marnować czas na głupstwka, które mnie bawią. Sprzątać dom, prasować, przygotowywać jedzenie... Jestem znakomitą kucharką, znakomitą panią domu. Moja matka mawiała: „Ale dlaczego chcesz studiować? Jesteś naprawdę dobra jako pani domu!”. Poza tym lubię spać. Och, bardzo lubię! Lubię przebywać z ludźmi, gawędzić o tym i owym, do diabła z poważnymi rozmowami, z rozmowami politycznymi! Lubię chodzić do teatru. Lubię chodzić do kina bez ochroniarza płaczącego się pod nogami. Czy to możliwe, że kiedy mam ochotę obejrzeć film, wysyłają za mną także rezerwy armii izraelskiej? To ma być życie? Już od lat nie mogę robić tego, co chcę, ani spać, ani rozmawiać o błahostkach, ani siedzieć z założonymi rękami! Wciąż przywiązana do tej karteczki, która wylicza co pół godziny, co mam zrobić, co mam powiedzieć. Ach! Poza tym

jest moja rodzina. Nie chcę, żeby moje wnuki mówiły: „Babcia źle się zachowała wobec swoich dzieci i zaniedbała je, a potem zachowała się źle wobec nas i nas zaniedbała”. Jestem babcią. Nie pozostało mi wiele lat życia. I te lata zamierzam spędzić z wnukami. Zamierzam je też spędzić z moimi książkami. Mam półki pełne książek, których nie przeczytałam. O drugiej w nocy, kiedy kładę się do łóżka, biorę książkę do ręki i próbuję czytać, ale po dwóch minutach: buch!, zasypiam, a książka spada na ziemię. Wreszcie chcę jeździć do kibucu Sarah, kiedy przyjdzie mi ochota. Na tydzień, na miesiąc, nie w piątek wieczorem, biegiem, żeby uciec w sobotę wieczorem, biegiem. To ja muszę stać się panią zegarka, a nie odwrotnie.

*A więc nie boi się pani starości?*

Nie, nigdy mnie nie przerażała. Kiedy wiem, że mogę zmieniać rzeczy, staję się cyklonem. I prawie zawsze udaje mi się je zmienić. Ale kiedy wiem, że nic nie mogę zrobić, godzę się z tym. Nigdy nie zapomnę pierwszego razu, kiedy leciałam samolotem, w 1929 roku, z Los Angeles do Seattle. Służbowo, nie dla zabawy! Był to mały samolot i w chwili, kiedy wystartował, pomyślałam: „Co za szaleństwo! Dlaczego to zrobiłam?”. Jednak zaraz potem uspokoiłam się. Czemu miałby służyć przestrasz? Innym razem poleciałam samolotem z Nowego Jorku do Chicago, razem z przyjacielem. Rozszalała się straszliwa burza. Samolot podskakiwał, tańczył, mój przyjaciel płakał jak dziecko. Więc mu powiedziałam: „Przestań, dlaczego płaczesz, czemu to służy?”. Moja droga, starość jest jak samolot, który leci pośród burzy. Kiedy raz się tam znajdziesz, nie możesz już nic zrobić. Nie zatrzymasz samolotu, nie zatrzymasz burzy, nie zatrzymasz czasu. A zatem warto przyjąć ją spokojnie, z mądrością.

*To ta mądrość czyni panią czasem surową wobec młodzieży?*

Proszę posłuchać: trzeba być szalonym, żeby nie zdawać sobie sprawy, że młodsze pokolenia myślą w inny sposób i że tak ma być. Byłoby całkiem ponuro, gdyby każde pokolenie było kopią poprzedniego, świat nie poszedłby naprzód. Ja akceptuję z radością, że młodzi są inni niż ja. To, co u nich potępiam, to zarozumiałość w mówieniu: „Wszystko-co-zrobiliście-jest-pomyłone-zatem-my-zrobimy-to-od-nowa”. Cóż, gdyby zrobili to lepiej, nawet by mi to odpowiadało, ale zdarza się, że często nie są lepsi od nas starych i może są nawet gorsi. Kalendarz nie jest przecież miarą dobra i zła! Znam młodych reakcjonistów i egoistów, a także szczodrych i postępowych starców. Jest jeszcze jedna rzecz, którą potępiam u młodych: mania naśladowania tego, co przychodzi z zewnątrz. Ich mody mnie denerwują. Dlaczego ta muzyka, która nie jest muzyką i przyprawia cię tylko o ból głowy? Dlaczego te długie włosy, te krótkie

sukienki? Nie znoszę mód, nigdy ich nie znosiłam. Moda jest czymś narzuconym, brakiem wolności. Ktoś w Paryżu decyduje, nie wiedzieć czemu, że kobiety mają nosić minispódniczki, i proszę, wszystkie w minispódniczkach, długie nogi, krótkie nogi, chude nogi, grube nogi, brzydkie nogi... Niech będzie, dopóki są młode. Kiedy mają pięćdziesiąt lat, po prostu się wściekam. A widziała pani tych starych mężczyzn, którzy zapuszczają sobie na szyi plerezę loczków?!

*Fakt jest taki, pani Meir, że pani pokolenie było pokoleniem heroicznym, tymczasem to dzisiejsze...*

Również to dzisiejsze takie jest. Jak pokolenie moich dzieci. Kiedy widzę mężczyzn czterdziestopięcio- czy pięćdziesięcioletnich, którzy walczą na wojnie od dwudziestu, trzydziestu lat... Ale wie pani, co pani powiem? Również pokolenie dzisiejszej młodzieży jest heroiczne. Przynajmniej w Izraelu. Kiedy pomyślę, że w wieku osiemnastu lat są już żołnierzami, a być żołnierzem tutaj nie znaczy szkolić się i tyle... czuję, jak pęka mi serce. Kiedy spotykam się z uczniami szkół średnich i myślę, że kaprys Sadata może wyrwać ich ze szkolnych ław, czuję, jak ściska mi się gardło. Często jestem wobec nich niecierpliwa. Kłócę się. Ale po pięciu minutach mówię sobie: „Golda, za miesiąc mogliby być na froncie. Nie bądź wobec nich niecierpliwa. Pozwól, żeby byli pretensjonalni, arogancy. Pozwól, żeby chłopcy nosili długie włosy, a dziewczyny krótkie spódniczki”. W zeszłym tygodniu byłam w kibucu na północy. W biurze byli oburzeni, mówili: „Wyruszać w taką podróż! Tak męcząca! Jest pani szalona!”. Ale wie pani, dlaczego tam pojechałam? Ponieważ żenił się wnuk jednego z moich starych towarzyszy. W czasie wojny sześciodniowej zginęli jego dwaj inni wnukowie.

*Pani Meir, czy kiedykolwiek pani kogoś zabiła?*

Nie... Nauczyłam się naturalnie strzelać, ale nigdy nie zdarzyło mi się nikogo zabić. Mówię to bez ulgi, nie ma żadnej różnicy między zabijaniem a podejmowaniem decyzji o wysłaniu innych, by zabijali. To dokładnie to samo. A może to jeszcze gorsze.

*Pani Meir, jak pani patrzy na śmierć?*

Zaraz pani powiem: moją jedyną obawą jest, że będę żyła zbyt długo. Wie pani, starość nie jest grzechem i nie jest radością, jest cała masa nieprzyjemnych rzeczy w starości. Nie móc wbiegać po schodach, nie móc skakać... A jednak do pewnych rzeczy człowiek przyzwyczaja się bez trudu. Chodzi tylko o kłopoty fizyczne, a kłopoty fizyczne nie są poniżające. Poniżej natomiast utrata przytomności umysłu, stawanie się zgrzybiałym. Zgrzybiałość... Znałam ludzi,

którzy umarli zbyt wcześnie, i sprawiło mi to ból. Znałam ludzi, którzy umarli zbyt późno, i sprawiło mi to taki sam ból. Proszę posłuchać, dla mnie przyglądanie się rozkładowi pięknej inteligencji jest obelgą. Nie chcę, żeby taka obelga mi się przytrafiła. Chcę umrzeć z jasnym umysłem. Tak, moją jedyną obawą jest zbyt długie życie.

*Jerozolima, listopad 1972*

## Jasir Arafat

Kiedy przyszedł, bardzo punktualnie, zawahałam się przez chwilę, myśląc, że nie, to nie może być on. Wydawał się zbyt młody, zbyt niewinny. Przynajmniej na pierwszy rzut oka nie dostrzegało się w nim niczego, co zdradzałoby władczość, ani nie czuło się tego tajemniczego fluidu, który emanuje zawsze od przywódcy, uderzając cię jak zapach albo wymierzony policzek. Wrażenie robiły tylko wąsy, gęste i identyczne jak wąsy noszone przez wszystkich Arabów, oraz karabin maszynowy zawieszony na ramieniu ze swobodą kogoś, kto nigdy się z nim nie rozstaje. Oczywiście musiał bardzo kochać ten karabin, bo owinał jego kolbę jaskrawozieloną taśmą samoprzylepną, było to zabawne i miłe. Był niskiego wzrostu, jakieś metr sześćdziesiąt. Dłonie też miał małe, i stopy. Zbyt małe, myślałaś, żeby utrzymać dwie grube nogi i masywny tułów o ogromnych biodrach i wydętym z otyłości brzuchu. Nad tym wszystkim wyrastała maleńka główka, z obliczem okolonym kefiją, i dopiero przyglądając się tej twarzy, przekonywałaś się, że tak, to jest Jasir Arafat, najśłynniejszy partyzant na Bliskim Wschodzie, człowiek, o którym tak wiele się mówiło, aż do znudzenia. Przedziwne, niepowtarzalne oblicze, które rozpoznałbyś pośród tysiąca innych, w ciemności. Oblicze gwiazdora. Nie tylko z powodu ciemnych okularów, które wyróżniały go w takim samym stopniu jak opaska jego zaciekłego wroga Mosze Dajana, ale z powodu maski nieprzypominającej nikogo, podobnej z profilu do drapieżnego ptaka albo do rozwścieczonego barana. Nie ma prawie policzków ani podbródka. Cała twarz ogranicza się do wielkich ust o czerwonych i grubych wargach, agresywnego nosa i oczu, które – jeśli nie są ukryte za szklanym ekranem – hipnotyzują cię, ogromne, połyskujące, wypukłe. Dwie plamy atramentu. Takimi oczami patrzył teraz na mnie, grzeczny i rozkojarzony. Po czym uprzejmym, niemal czułym głosem wymamrotał po angielsku: „Dobry wieczór, dwie minuty i jestem u pani”. Jego głos miał w sobie jakiś zabawny poświst. A także coś kobiecego.

Kto spotkał go w ciągu dnia, kiedy jordańska siedziba Al-Fatah wypełniona była partyzantami i innymi ludźmi, przysięgał, że widział wokół niego pełną poruszenia ekscytację, taką samą, jaką wzbudza za każdym razem, kiedy pojawia się publicznie. Moje spotkanie odbywało się jednak w nocy i o tej porze, o dziesiątej, nie było tam prawie nikogo. Przyczyniło się to do odebrania jego przybyciu wszelkiej dramatycznej atmosfery. Kiedy nie znało się jego tożsamości, można było dojść do wniosku, że chodzi o ważnego człowieka, tylko dlatego, że towarzyszył mu ochroniarz. Jaki tam ochroniarz! Najprzystojniejszy przystojniak, jakiego

kiedykolwiek widziałam. Wysoki, szczupły, elegancki, wiesz, taki, co nosi kombinezon maskujący, jakby to był frak, do tego o pociągłej twarzy: jak zachodni uwodziciel. Może dlatego, że był blondynem o błękitnych oczach, pomyślałam spontanicznie, że przystojniak musi być z zachodniej Europy, a wręcz, że to Niemiec. I może dlatego, że Arafat prowadził go za sobą z taką dumą, jeszcze bardziej spontanicznie przyszło mi na myśl, że przystojniak może być kimś więcej niż tylko ochroniarzem. Powiedzmy, bardzo oddanym przyjacielem. Poza nim, który szybko zawinął się na pięcie i zniknął, był tam też typek w cywilu, który zerkał na ciebie brzydko, jakby chciał powiedzieć: „Tknij-tylko-mojego-szefa-a-podziurawię-cię-jak-sito”. W końcu był jeszcze przewodnik, który miał służyć jako tłumacz, i Abu George, którego zadaniem było zapisywać pytania i odpowiedzi, ażeby sprawdzić je potem z moim tekstem. Dwaj ostatni poszli za nami do pokoju wybranego na wywiad. Stało tam kilka krzeseł i biurko. Arafat położył na biurku karabin maszynowy i usiadł z uśmiechem, odsłaniając białe zęby, ostre jak zęby wilka. Na jego wiatrówe z szarzielonego płótna wyróżniała się odznaka z dwoma marines z Wietnamu i napis „Black Panthers against American Fascism”. Czarne Pantery przeciwko amerykańskiemu faszyzmowi. Dali mu ją dwaj chłopaczekowie z Kalifornii, którzy nazywali się amerykańskimi marksistami i przyjechali pod pretekstem zaoferowania mu sojuszu z Rapem Brownem, w rzeczywistości zaś chcieli nakręcić film i na nim zarobić. Powiedziałam mu to. Moja opinia go dotknęła, ale nie obraziła. Atmosfera była swobodna, serdeczna, lecz pozbawiona obietnic. Wywiad z Arafatem nigdy nie służy, wiedziałam o tym, uzyskaniu pamiętnych odpowiedzi. A jeszcze mniej wyciągnięciu jakichś informacji na jego temat.

Najsłynniejszy człowiek palestyńskiego ruchu oporu jest także najbardziej tajemniczy; zasłona milczenia, która otacza jego życie prywatne, jest tak gęsta, że każe się nam zastanawiać, czy nie stanowi fortelu wzmagającego rozgłos wokół jego postaci, kokieterii, mającej uczynić go jeszcze cenniejszym. Nawet uzyskanie rozmowy z nim jest niezwykle trudne. Pod pretekstem, że jest wciąż w podróży, a to w Kairze, a to w Rabacie, to znów w Libanie albo w Arabii Saudyjskiej, w Moskwie albo w Damaszku, każą ci wzdychać do tej rozmowy przez wiele dni, tygodni, a kiedy potem udzieli ci na nią zgody, robią to z taką miną, jakby darowali ci specjalny przywilej albo wyłączność, których nie jesteś godzien. W międzyczasie ty oczywiście próbujesz zebrać wiadomości dotyczące jego charakteru, przeszłości. Ale do kogokolwiek się zwrócisz, napotykasz zakłopotane milczenie, tylko częściowo usprawiedliwione faktem, że Al-Fatah utrzymuje na temat swoich przywódców bardzo ścisłą tajemnicę i nigdy nie dostarcza ich



biografii. Informatorzy podszeptają ci po kryjomu, że nie jest komunistą, że nigdy by nim nie został, nawet gdyby go miał indoktrynować osobiście sam Mao Tse-tung, chodzi o żołnierza, powtarzają, o patriotę, a nie o ideologa. Rozpowszechnione już niedyskrecje potwierdzą ci, że urodził się w Jerozolimie, może trzydzieści sześć, może czterdzieści, a może czterdzieści pięć lat temu, że pochodzi ze szlacheckiej rodziny, a jego młodość była dostatnia, ojciec posiadał stary majątek, którego konfiskaty specjalnie nie naruszyły. Takimi konfiskatami, przeprowadzanymi przez półtora wieku, objęte zostały przez Egipcjan niektóre latyfundia i niektóre nieruchomości w centrum Kairu. Co jeszcze? Spójrzmy: potem, w 1947 roku, Jasir walczył przeciwko Żydom, którzy powoływali do życia Izrael, i wstąpił na uniwersytet w Kairze, żeby studiować inżynierię. W owych latach założył też Stowarzyszenie Studentów Palestyńskich, to samo, które miało się stać zaczątkiem Al-Fatah. Po uzyskaniu dyplomu pojechał do pracy w Kuwejcie i tam założył gazetę wzywającą do walki narodowościowej, wstąpił też do ugrupowania pod nazwą Bracia Muzułmańscy. W 1955 roku wrócił do Egiptu, żeby uczęszczać na kurs dla oficerów, na którym specjalizował się w ładunkach wybuchowych, w 1965 roku przyczynił się w szczególny sposób do powstania Al-Fatah, przyjmując imię Abu Ammar, to znaczy Ten, który Buduje, Ojciec Budowniczy. W 1967 roku został wybrany przewodniczącym OWP, Organizacji Wyzwolenia Palestyny, ruchu, w którym uczestniczą już członkowie Al-Fatah, Frontu Ludowego, Al-Saiqa itd., dopiero ostatnio został mianowany rzecznikiem Al-Fatah, jej wysłannikiem. Kiedy jednak pytałeś, dlaczego właśnie on, rozkładali ręce i odpowiadali: „No ktoś przecież musiał to robić, ten czy inny to bez znaczenia”. O jego życiu codziennym nie mówili ci nic, poza szczegółem, że nie ma nawet domu. Była to prawda, bo kiedy nie mieszkał w domu brata, w Ammanie, sypiał w bazach albo gdzie popadło. Prawdą było również, że nie był żonaty. Nie znano jego kobiet i mimo plotki o platonicznym flircie z pewną żydowską pisarką, która przyłączyła się do sprawy arabskiej, wydawało się, że może się bez nich obyć, tak jak podejrzewałam, widząc go nadchodzącego z przystojniakiem.

Widzisz, moje podejrzenie jest takie, że – poza szczegółami użytecznymi w korygowaniu nieścisłości – nic więcej o Arafacie nie da się powiedzieć. Jeśli człowiek ma burzliwą przeszłość, czujesz to, nawet jeśli stara się to ukryć: ponieważ przeszłość pozostaje wypisana na twarzy, w oczach. Natomiast na obliczu Arafata odnajdujesz tylko tę dziwną maskę, założoną mu przez matkę naturę, a nie przez opłacone czymś doświadczenia. Jest w nim coś niewystarczającego, coś jeszcze niedokonanego. Jeśli dobrze się zastanowisz, spostrzeżesz, że jego sława wybuchła

bardziej za sprawą prasy niż czynów: z cienia wyciągnęli go zachodni dziennikarze, szczególnie amerykańscy, zawsze znakomici w wymyślaniu postaci albo ich wyolbrzymianiu. Wystarczy pomyśleć o bonzach z Wietnamu, o czcigodnym Tri Quangu. Zgoda: Arafata nie można porównywać z Tri Quangiem. On jest naprawdę twórcą palestyńskiego ruchu oporu, albo jednym z jego twórców, i strategiem. Lub też jednym ze strategów. W Moskwie naprawdę jest rzecznikiem Al-Fatah. Do Rabatu czy do Kairu jeździ naprawdę. Ale to nie znaczy, a tym bardziej nie znaczyło, że jest on liderem walczących Palestyńczyków. W każdym razie spośród wszystkich spotkanych przeze mnie Palestyńczyków Arafat pozostaje tym, który zrobił na mnie najmniejsze wrażenie.

A może powinnam powiedzieć, że jest tym, który najmniej mi się ze wszystkich spodobał? Jedno jest pewne: nie jest on człowiekiem, który urodził się po to, żeby się podobać. To człowiek, który urodził się, żeby irytować. Trudno poczuć do niego sympatię. Przede wszystkim z powodu milczącej odmowy, jaką daje każdemu, kto próbuje nawiązać z nim ludzki kontakt; jego uprzejmość jest powierzchowna, jego grzeczność jest formalna i kompletna błahostka wystarczy, by uczynić go wrogiem, chłodnym, aroganckim. Rozgrzewa się tylko wtedy, kiedy się wścieka. Wtedy jego głosik staje się głośnikiem, jego oczy stają się krynicami nienawiści i wygląda, jakby chciał cię rozszarpać wraz ze wszystkimi swoimi wrogami. Trudno go polubić również z uwagi na brak oryginalności i wdzięku, charakteryzujący wszystkie jego odpowiedzi. Moim zdaniem w wywiadzie nie pytania się liczą, ale odpowiedzi. Jeśli jakaś osoba ma talent, możesz ją zapytać o najbardziej banalną rzecz na świecie, a odpowie ci zawsze w sposób błyskotliwy i głęboki. Jeśli osoba jest przeciętna, możesz zadać jej najbardziej przenikliwe pytanie na świecie, odpowie ci zawsze w sposób przeciętny. A jeśli taką zasadę zastosujesz do człowieka rozdartego między kalkulację i namiętność, po wysłuchaniu go zostajesz z pustymi rękami. W przypadku Arafata tak właśnie się stało. Reagował niemal zawsze, wygłaszając aluzyjne albo wymijające mowy, pokrętne zdania, niezawierające w sobie nic poza jego retorycznym nieprzejednaniem, jego nieustanną obawą, że mnie nie przekona. Nie przejawiał najmniejszej chęci uwzględnienia, choćby tylko w dialektycznej zabawie, punktu widzenia innej osoby. Nie wystarczy zauważyć, że spotkanie Araba wierzącego w wojnę z Europejką, która w nią już nie wierzy, jest spotkaniem niezwykle trudnym. Również dlatego, że ta druga pozostaje przesiąknięta swoim chrześcijaństwem, swoją nienawiścią do nienawiści, on natomiast obwarowany jest swoim prawem oko za oko, ząb za ząb, w którym streszcza się każda

duma. Jednak punkt, w którym taka duma szwankuje, pojawia się wtedy, kiedy Jasir Arafat nawołuje innych do zrozumienia albo usiłuje przeciągnąć na swoją stronę osoby ogarnięte wątpliwościami. Nie wystarczy mu zainteresowanie jego sprawą, uznanie jej fundamentalnej słuszności, krytykowanie jej słabych punktów i ryzykowanie tym samym własnej nienaruszalności fizycznej i psychicznej. Reaguje na to wręcz z arogancją, o której wspominałam, z najbardziej nieuzasadnioną wyniosłością i z absurdalną skłonnością do wszczynania kłótni.

\* \* \*

Wywiad trwał pięćdziesiąt minut, z których większość została zmarnowana na tłumaczenie odpowiedzi, jakich udzielał mi po arabsku. To on tego zażądał: żeby zastanowić się nad każdym słowem, jak przypuszczam. Każda z tych pięćdziesięciu minut wywołała we mnie niezadowolenie, tak na płaszczyźnie ludzkiej, jak i intelektualnej czy politycznej. Rozbawiło mnie jednak odkrycie, że ciemnych okularów wieczorem nie nosi dlatego, że to okulary optyczne. Nosi je, by zwrócić na siebie uwagę. W rzeczywistości zarówno w dzień, jak i w nocy widzi znakomicie. Z kłapkami na oczach, ale znakomicie. Czy nie zrobił może w ostatnich latach kariery? Nie spowodował, że wybrano go na przywódcę palestyńskiego ruchu oporu i nie jeździ po świecie jak szef państwa? Nie wymaga już też, by nazywać go Abu Ammar.

*ORIANA FALLACI. Abu Ammar, mówi się tak wiele o panu, ale niemal nic o panu nie wiadomo i...*

JASIR ARAFAT: Można o mnie tylko powiedzieć, że jestem skromnym palestyńskim bojownikiem. Od dawna. Zostałem nim w 1947 roku, wraz z całą moją rodziną. Tak, to wtedy obudziła się moja świadomość i zrozumiałem, do jakiej barbarzyńskiej inwazji doszło w moim kraju. Nigdy w historii świata nie zdarzyło się nic podobnego.

*Ile miał pan lat, Abu Ammar? Pytam o to, bo na temat pańskiego wieku istnieją kontrowersje.*

Żadnych pytań osobistych.

*Abu Ammar, pytam tylko, ile ma pan lat. Nie jest pan kobietą. Może mi pan powiedzieć.*

Powiedziałem: żadnych pytań osobistych.

*Abu Ammar, jeśli nie chce pan zdradzić nawet swojego wieku, dlaczego wystawia się pan wciąż na uwagę świata i pozwala, żeby świat patrzył na pana jak na przywódcę palestyńskiego ruchu oporu?*

Ale ja nie jestem jego przywódcą! Nie chcę nim być! Naprawdę, przysięgam. Jestem zaledwie członkiem komitetu centralnego, jednym z wielu, a ściślej tym, któremu powierzono funkcję rzecznika. To znaczy referowania tego, co decydują inni. To duże nieporozumienie uznawać mnie za przywódcę, palestyński ruch oporu nie ma przywódcy. Próbuujemy stosować pojęcie kolektywnego kierownictwa i oczywiście stwarza to trudności, ale my upieramy się, ponieważ uważamy za niezbędne nie obarczać odpowiedzialnością i prestiżem jednej osoby. Jest to nowoczesne pojęcie i służy temu, by nie krzywdzić walczących mas, ginących braci. Kiedy umrę, pani ciekawość zostanie zaspokojona, dowie się pani o mnie wszystkiego. W tej chwili nie.

*Nie powiedzialabym, żeby pańscy towarzysze chcieli sobie pozwolić na luksus, by dać panu umrzeć, Abu Ammar. A sądząc po pańskiej ochronie, powiedzialabym, że uważają pana za dużo bardziej pożytecznego, jeśli pozostanie pan przy życiu.*

Nie. Jest natomiast prawdopodobne, że będę dużo bardziej przydatny jako martwy, a nie żywy. O tak, moja śmierć bardzo przysłużyłaby się sprawie jako bodziec. Dodam nawet, że w moim przypadku występuje bardzo duże prawdopodobieństwo śmierci, mogłoby się to stać dziś w nocy, jutro. Jeśli umrę, nie będzie tragedii, ktoś inny ruszy w świat, by reprezentować Al-Fatah, ktoś inny pokieruje walkami... Jestem bardziej niż gotów na śmierć. Nie dbam o swoje bezpieczeństwo tak, jak się pani zdaje.

*Rozumiem. Zresztą, pan również od czasu do czasu przekracza linie, żeby dostać się do Izraela, prawda, Abu Ammar? Izraelczycy uznają za pewnik, że przedostał się pan do Izraela dwukrotnie, wymykając się ich zasadzkom. I dodają, że ten, komu udaje się tego dokonać, musi być bardzo sprytny.*

To, co pani nazywa Izraelem, to jest mój dom. Nie byłem więc w Izraelu, ale w domu, mając pełne prawo iść do swojego domu. Tak, byłem tam, ale dużo więcej razy niż tylko dwa. Ciągłe tam jeżdżę, kiedy tylko zechcę. Oczywiście egzekwowanie tego prawa jest dość trudne, ich karabiny maszynowe są zawsze w pogotowiu. Ale jest łatwiejsze, niż im się zdaje, zależy to od okoliczności, od punktów, które się wybiera. Konieczna jest przebiegłość, w tym mają rację. Nie przypadkiem nazywamy te podróże „podróżami lisa”. Ale proszę ich też poinformować, że takie podróże nasi chłopcy, fedaini, odbywają codziennie. Nie zawsze po to, by atakować wroga. Przyzwyczajamy ich do przekraczania linii, żeby poznali swoją ziemię, żeby swobodnie się po niej poruszali. Często docieramy, bo to też uczyniłem, aż do Strefy Gazy i aż do pustyni Synaj.

Dostarczamy tam też broń. Bojownicy z Gazy nie dostają wcale broni z morza, dostają ją od nas, stąd.

*Abu Ammar, jak długo to wszystko potrwa? Jak długo będziecie mogli stawiać opór?*

Nawet nie próbujemy dokonywać takich obliczeń. Jesteśmy dopiero na początku tej wojny. Teraz zaczynamy przygotowywać się do tego, co będzie długą, bardzo długą wojną. Zapewne wojną, która rozciągnie się na pokolenia. Nie jesteśmy pierwszym pokoleniem, które walczy: świat nie wie albo zapomina, że w latach dwudziestych nasi ojcowie już walczyli z syjonistycznym najeźdźcą. Byli wówczas słabi, bo zbyt osamotnieni w obliczu bardzo silnych przeciwników, wspieranych przez Anglików, Amerykanów, imperialistów tego świata. Ale my jesteśmy silni, od stycznia 1965 roku, to znaczy od dnia, kiedy narodził się ruch Al-Fatah, jesteśmy dla Izraela bardzo groźnym przeciwnikiem. Fedaini zdobywają doświadczenie, mnożą ataki i poprawiają partyzantkę, a ich liczba zawrotnie wzrasta. Pyta pani, jak długo będziemy mogli stawiać opór. Pytanie jest błędne. Powinna pani zapytać, jak długo wytrzymają Izraelczycy. Ponieważ nie zatrzymamy się, dopóki nie wrócimy do naszego domu i nie zniszczymy Izraela. Jedność świata arabskiego uczyni to możliwym.

*Abu Ammar, powołujecie się zawsze na jedność świata arabskiego. Ale doskonale wiecie, że nie wszystkie państwa arabskie są skłonne przystąpić do wojny o Palestynę i że dla tych, które już w niej uczestniczą, porozumienie pokojowe jest możliwe, a wręcz pożądane. Powiedział to nawet Naser. Jeśli dojdzie do takiego porozumienia, czego życzy sobie również Rosja, co wtedy zrobicie?*

Nie zgodzimy się na nie. Nigdy! Będziemy prowadzić wojnę z Izraelem sami, dopóki nie odzyskamy Palestyny. Kres Izraela jest celem naszej walki, a ona nie dopuszcza ani kompromisów, ani mediacji. Punkty tej walki, czy się to podoba naszym przyjaciółom, czy nie, pozostaną zawsze zapisane w zasadach, które wymieniliśmy w 1965 roku wraz z utworzeniem Al-Fatah. Po pierwsze: rewolucyjna przemoc jest jedynym sposobem, by oswobodzić ziemie naszych ojców; po drugie: celem tej przemocy jest likwidacja syjonizmu we wszystkich jego formach politycznych, ekonomicznych, wojskowych i wyrzucenie go na zawsze z Palestyny; po trzecie: nasza akcja rewolucyjna musi być niezależna od wszelkiej kontroli partyjnej czy państwowej; po czwarte: akcja ta będzie długotrwała. Znamy intencje niektórych przywódców arabskich: rozwiązać konflikt przez porozumienie pokojowe. Kiedy to nastąpi, przeciwstawimy się.

*Wniosek: wy zupełnie nie chcecie pokoju, którego wszyscy sobie życzą.*

Nie! Nie chcemy pokoju. Chcemy wojny, zwycięstwa. Pokój oznacza dla nas zniszczenie Izraela i nic więcej. To, co wy nazywacie pokojem, to pokój dla Izraela i imperialistów. Dla nas to niesprawiedliwość i wstyd. Będziemy walczyć aż do zwycięstwa. Jeśli będzie to konieczne, przez dziesiątki lat, przez pokolenia.

*Bądźmy praktyczni, Abu Ammar, niemal wszystkie bazy fedainów znajdują się w Jordanii, inne są w Libanie. Liban nie ma wielkiej ochoty prowadzić wojny, a Jordania ma wielką chęć z niej wyjść. Przypuśćmy, że te dwa kraje, zdecydowane na zawarcie porozumienia pokojowego, postanowią uniemożliwić wam ataki na Izrael. Innymi słowy, uniemożliwią partyzantom walkę partyzancką. Tak już się stało i znów się stanie. Co wobec tego uczynicie? Wypowiecie wojnę również Jordanii i Libanowi?*

My nie możemy walczyć na podstawie „jeśli”. Prawem każdego państwa arabskiego jest postanowić, co zechce, łącznie z porozumieniem pokojowym z Izraelem; naszym prawem jest chęć powrotu do domu bez kompromisów. Niektóre spośród państw arabskich są z nami bezwarunkowo. Inne nie. Ale ryzyko, że pozostaniemy sami w walce z Izraelem, jest ryzykiem, które przewidzieliśmy. Wystarczy pomyśleć o obelgach, jakimi obrzucono nas na początku. Byliśmy tak źle traktowani, że nie zwracamy już uwagi na wyrządzane nam krzywdy. Chcę powiedzieć, że samo nasze powstanie jest już cudem: świeczka, która zapaliła się w 1965 roku, zajaśniała w najczarniejszym mroku. Ale teraz tych świec jest wiele i oświetlamy cały naród arabski. I sięgamy jeszcze dalej.

*Ta odpowiedź jest bardzo poetycka i bardzo dyplomatyczna, ale nie jest to odpowiedź na moje pytanie, Abu Ammar. Ja zapytałam: jeśli Jordania naprawdę już was nie będzie chciała, wypowiecie wojnę Jordanii?*

Ja jestem wojskowym, i to przywódcą wojskowym. Jako taki muszę zachować swoje sekrety, nie zdradzę więc pani naszych przyszłych pól bitewnych. Gdybym to uczynił, Al-Fatah wysłałby mnie pod sąd wojenny. Proszę zatem wyciągnąć wnioski z tego, co powiedziałem wcześniej. Powiedziałem, że będziemy kontynuować do końca marsz ku wyzwoleniu Palestyny, czy to się podoba, czy też nie krajom, w których się znajdujemy. Również teraz znajdujemy się w Palestynie.

*Znajdujemy się w Jordanii, Abu Ammar. Pytam więc pana: co znaczy Palestyna? Sama tożsamość narodowa Palestyny zagubiła się z czasem, zagubiły się również jej granice*

*geograficzne. Przed mandatem brytyjskim i przed Izraelem byli tu Turcy. Jakie są zatem granice geograficzne Palestyny?*

My nie stawiamy sobie problemu granic. W naszej konstytucji nie mówi się o granicach, ponieważ granice ustanowili zachodni kolonialiści, którzy napadli na nas po Turkach. Z arabskiego punktu widzenia nie można mówić o granicach, Palestyna jest małym punktem na wielkim arabskim oceanie. Nasz naród jest narodem arabskim, który rozciąga się od Atlantyku po Morze Czerwone i dalej. To, czego chcemy, odkąd wybuchła katastrofa w 1947 roku, to wyzwolenie naszej ziemi i odbudowanie demokratycznego państwa palestyńskiego.

*Ale kiedy mówi się o państwie, należy jednak powiedzieć, w jakich granicach geograficznych tworzy się albo będzie tworzyło to państwo! Abu Ammar, raz jeszcze pytam: jakie są granice geograficzne Palestyny?*

Jako pewną wskazówkę możemy ustalić, że granice Palestyny to te, które zostały wyznaczone w czasach mandatu brytyjskiego. Jeśli weźmiemy porozumienie francusko-angielskie z 1918 roku, Palestyna oznacza terytorium rozciągające się od miasta An-Nakura na północy aż po Akabę na południu, a następnie od wybrzeża Morza Śródziemnego, które obejmuje Strefę Gazy, aż po rzekę Jordan i pustynię Negew.

*Zrozumiałam. Ale to zawiera również spory kawałek ziemi stanowiącej dziś część Jordanii: to znaczy cały region na wschód od Jordanu. Cisjordanę.*

Tak. Ale granice nie mają znaczenia, powtarzam. Znaczenie ma wyłącznie jedność arabska.

*Granice mają znaczenie, jeśli dotykają albo przekraczają terytorium państwa już istniejącego, jak Jordania.*

To, co nazywa pani Cisjordaną, to Palestyna.

*Abu Ammar, jak można mówić o jedności arabskiej, jeśli już tutaj pojawiają się podobne problemy z niektórymi krajami arabskimi? Nie tylko, skoro nie zgadzacie się również między sobą, Palestyńczykami? Istnieje poważny spór między wami z Al-Fatah i innymi ruchami. Na przykład Ludowym Frontem.*

Każda rewolucja ma swoje prywatne problemy. Także w rewolucji algierskiej był więcej niż jeden ruch, a o ile wiem, było tak również w Europie w ruchu oporu wobec nazistów. W samym Wietnamie istnieje więcej ruchów, Vietcong jest tylko zdecydowaną większością, tak jak my z Al-Fatah. Obejmujemy dziewięćdziesiąt siedem procent bojowników i to my prowadzimy

walkę wewnątrz okupowanego terytorium. Kiedy Mosze Dajan zdecydował o zniszczeniu osady El Heul i zaminował dwieście osiemnaście domów w celach karnych, nie przypadkiem powiedział: „Musimy wyjaśnić, kto kontroluje tę osadę, my czy Al-Fatah”. Wymienił Al-Fatah, a nie Ludowy Front. Ludowy Front... W lutym 1969 roku Ludowy Front rozpadł się na pięć części, z których cztery przyłączyły się do Al-Fatah, zatem powoli się jednoczymy. A jeśli George Habbasz, przywódca Ludowego Frontu, nie jest dzisiaj z nami, wkrótce do nas dołączy. Już go o to poprosiliśmy, w gruncie rzeczy nie istnieje różnica w celach między nami a Ludowym Frontem.

*Ludowy Front jest komunistyczny. Wy mówicie, że z założenia nie jesteście komunistami.*

Są wśród nas bojownicy wszystkich poglądów, pewnie ich pani spotkała. Jest zatem między nami miejsce również dla Frontu Ludowego. Od Ludowego Frontu różnią nas tylko niektóre systemy walki. My z Al-Fatah nigdy nie uprowadziliśmy samolotu, nie detonowaliśmy bomb ani nie prowokowaliśmy strzelanin w innych krajach. Wolimy prowadzić walkę czysto militarną. Nie znaczy to jednak, że nie uciekamy się też do systemu sabotaży na obszarze Palestyny, który pani nazywa Izrael. Na przykład to niemal zawsze my detonujemy bomby w Tel Awiwie, w Jerozolimie, w Ejlacie.

*Wmieszani są w to jednak również cywile. Nie jest to walka czysto militarna.*

Jest! Ponieważ, cywile czy wojskowi, wszyscy są jednakowo winni chęci zniszczenia naszego narodu. Szesnaście tysięcy Palestyńczyków zostało aresztowanych, ponieważ pomagali naszym komandosom, osiem tysięcy domów Palestyńczyków zostało zniszczonych, nie licząc tortur, którym poddawani są nasi bracia w ich więzieniach, oraz zrzucania napalmu na bezbronną ludność. My przeprowadzamy pewne operacje, nazywane sabotażem, żeby udowodnić im, że jesteśmy zdolni trzymać ich w garści takimi samymi sposobami. To nieuchronnie dotyka cywilów, ale cywile są pierwszymi współnikami bandy rządzącej Izraelem. Ponieważ jeśli cywile nie aprobują systemu bandy znajdującej się u władzy, wystarczy, że to pokażą. Doskonale wiemy, że wielu tego nie aprobuje. Na przykład ci, którzy mieszkali w Palestynie przed żydowską emigracją, a także niektórzy z tych, którzy emigrowali z precyzyjnym zamiarem zrabowania naszych ziem. Przybyli tu bowiem z naiwną nadzieją, że zapomną o starych cierpieniach. Obiecano im raj, tutaj, na naszej ziemi, i oni przyjechali wziąć sobie ten raj. Zbyt późno zorientowali się, że to piekło; gdyby pani wiedziała, jak wielu z nich chce teraz uciec z



Izraela. Powinna pani zobaczyć podania o ekspatriację, które leżą w ambasadzie Kanady w Tel Awiwie albo w ambasadzie Stanów Zjednoczonych. Tysiące.

*Abu Ammar, pan nigdy nie odpowiada mi bezpośrednio. Ale tym razem musi pan to zrobić: co pan myśli o Mosze Dajanie?*

Jest to bardzo kłopotliwe pytanie. Jak mam na nie odpowiedzieć? Powiedzmy tak: mam nadzieję, że pewnego dnia zostanie on osądzony jako zbrodniarz wojenny, niezależnie od tego, czy jest genialnym przywódcą, czy też tytuł genialnego przywódcy sam sobie przyznał.

*Abu Ammar, wydaje mi się, że gdzieś przeczytałam, iż Izraelczycy szanują pana bardziej niż pan ich. Pytanie: Jest pan zdolny szanować swoich wrogów?*

Jako bojowników albo raczej jako strategów... czasami tak. Trzeba przyznać, że niektóre z ich taktyk wojennych są godne szacunku, inteligentne. Ale jako osoby, nie, ponieważ zachowują się zawsze jak barbarzyńcy, nie ma w nich nigdy nawet krzty człowieczeństwa. Często mówi się o ich zwycięstwach, a ja mam własny pogląd na temat ich zwycięstwa w 1967 roku i tego z 1956 roku. Zwycięstwo z 1956 roku nie powinno nawet nosić takiego miana, byli oni wtedy tylko w ogonie agresorów francuskich i angielskich. A wygrali z pomocą Amerykanów. Jeśli chodzi o zwycięstwo z 1967 roku, ono też było wynikiem pomocy amerykańskiej. Amerykanie szafują pieniędzmi dla Izraela w nieograniczony sposób. Poza pieniędzmi dostarcza się im najbardziej potężną broń, najbardziej zaawansowane technologie. Wszystko, co najlepsze w posiadaniu Izraelczyków, pochodzi z zewnątrz. Tej historii o cudach, jakich mieliby oni dokonać w naszym kraju, powinny zostać przywrócone proporcje zgodne z większym poczuciem rzeczywistości. My dobrze wiemy, co jest, a co nie jest bogactwem Palestyny, nie wydobędzie się za wiele z naszej ziemi, na pustyni nie powstaną ogrody. Zatem większa część tego, co posiadają, pochodzi z zewnątrz. Oraz z technologii dostarczanej im przez imperialistów.

*Bądźmy uczciwi, Abu Ammar: z technologii czynili oni i czynią dobry użytek. Jako wojskowi też sobie dobrze radzą.*

Nigdy nie wygrali z powodu swoich pozytywnych stron, zawsze wygrywali z powodu negatywnych stron Arabów.

*To również stanowi część gry wojennej, Abu Ammar. Zresztą wygrali również dlatego, że są dobrymi żołnierzami.*

Nie! Nie! Nie! Nie są, nie! W walce wręcz, twarzą w twarz nie są nawet żołnierzami. Zbyt boją się śmierci, nie wykazują żadnej odwagi. Tak się stało podczas bitwy pod Karameh i tak się stało niedawno podczas bitwy pod El Safin. Po przekroczeniu linii runęli z czterdziestoma czołgami na Wadi Fifa, z dziesięcioma czołgami na Wadi Abata, z dziesięcioma czołgami i dwudziestoma jeepami z działami kaliber 106 na Khirbet el Disseh. Kontynuowali natarcie ciężkim bombardowaniem artyleryjskim i po dziesięciu godzinach wpuścili samoloty, które zbombardowały cały obszar, a następnie helikoptery, które wystrzeliły rakiety na nasze stanowiska. Ich celem było dotarcie do doliny El Nmeiri. Nigdy tam nie dotarli, po dwudziestoczterogodzinnej bitwie zepchnęliśmy ich poza linię. Wie pani, dlaczego? Ponieważ wykazaliśmy więcej odwagi. Otoczyliśmy ich, zaszliśmy ich od tyłu z naszymi karabinami, z naszymi bazookami, twarzą w twarz, bez strachu przed śmiercią. Z Izraelczykami jest zawsze tak samo: atakują dobrze samolotami, bo wiedzą, że my nie mamy samolotów, czołgami, bo wiedzą, że nie mamy czołgów, ale kiedy napotykają bezpośredni opór twarzą w twarz, nie ryzykują. Uciekają. A co jest wart żołnierz, który nie ryzykuje, który ucieka?

*Abu Ammar, co pan powie o operacjach przeprowadzanych przez ich komandosów? Na przykład kiedy ich komandosi przedostają się do Egiptu, żeby zdemontować radar i zabrać go ze sobą? Trochę odwagi trzeba mieć przy takich akcjach.*

Nie, nie trzeba. Ponieważ szukają zawsze celów bardzo słabych, bardzo łatwych. To ich taktyka, która – powtarzam – jest zawsze inteligentna, ale nigdy odważna, jako że polega na zaangażowaniu ogromnych sił w przedsięwzięcie, którego powodzenia są pewni w stu procentach. Nigdy się nie ruszą, jeśli nie są pewni, że wszystko pójdzie znakomicie, a jeśli ich zaskoczysz zniemacka, nigdy nie angażują się do końca. Za każdym razem, kiedy Izraelczycy atakowali fedainów pełnymi siłami, przegrywali. Z nami ich komandosi nie przejdą.

*Z wami może nie, ale z Egipcjanami tak.*

To, co robią w Egipcie, to nie akcja militarna, ale wojna psychologiczna. Egipt pozostaje ich najsilniejszym wrogiem, więc próbują zniechęcić go i umniejszyć jego znaczenie za pomocą wojny psychologicznej, prowadzonej przez syjonistyczną prasę przy pomocy prasy międzynarodowej. Ich gra polega na nagłaśnianiu akcji poprzez ich wyolbrzymianie. Wszyscy się na to nabierają, bo mają oni potężne biuro prasowe. My nie mamy żadnego biura prasowego, nikt nie wie, co robią nasi komandosi, nasze zwycięstwa przechodzą niezauważone, ponieważ brakuje nam teleksów, żeby przekazywać wiadomości do gazet, które zresztą i tak by ich nie

opublikowały. A zatem nikt nie wie, że tego samego dnia, kiedy Izraelczycy ukradli radar Egipcjanom, my weszliśmy do bazy izraelskiej i zabraliśmy pięć wielkich rakiet.

*Ja nie mówiłam o was, mówiłam o Egipcjanach.*

Nie ma różnicy między Palestyńczykami a Egipcjanami. Wszyscy jesteśmy częścią narodu arabskiego.

*To bardzo wspaniałomyślne stwierdzenie z pana strony, Abu Ammar. Przede wszystkim biorąc pod uwagę, że pańska rodzina została wywłaszczona właśnie przez Egipcjan.*

Moja rodzina została wywłaszczona przez Faruka, nie przez Nasera. Dobrze znam Egipcjan, ponieważ studiowałem w Egipcie i z armią egipską walczyłem w 1951, 1952, w 1956 roku. Są dzielnymi żołnierzami i są moimi braćmi.

*Wróćmy do Izraelczyków, Abu Ammar. Mówi pan, że z wami ponoszą zawsze ogromne straty. Jak pan myśli, ilu Izraelczyków zostało przez was do dziś zabitych?*

Nie mogę pani podać dokładnej liczby, ale Izraelczycy wyjawili, że w wojnie przeciwko fedainom stracili procent ludzi wyższy niż Amerykanie w Wietnamie, w stosunku do ludności obydwu krajów, rozumie się. Wymowny jest też fakt, że po wojnie 1967 roku liczba ofiar wypadków samochodowych dziesięciokrotnie u nich wzrosła. Słowem, po bitwie albo starciu z nami dowiadujemy się, że cała masa Izraelczyków zginęła w samochodach. Takiego spostrzeżenia dokonali sami dziennikarze izraelscy, ponieważ wiadomo, że generałowie izraelscy nigdy nie przyznają, że tracą ludzi na froncie. Mogę jednak pani powiedzieć, że według statystyk amerykańskich w bitwie pod Karameh mieli tysiąc dwieście czterdzieści siedem ofiar, zabitych i rannych.

*Czy cena, jaką wy płacicie, jest równie wysoka?*

Dla nas straty się nie liczą, dla nas śmierć nie ma znaczenia. W każdym razie od 1965 roku do dzisiaj mieliśmy trochę ponad dziewięćset ofiar śmiertelnych. Trzeba jednak brać również pod uwagę sześć tysięcy cywilów, którzy zginęli podczas nalotów powietrznych oraz naszych braci zmarłych w więzieniu w wyniku tortur.

*Dziewięćset zmarłych to może być dużo i mało, zależy to od liczby walczących. Ilu jest w sumie fedainów?*

Żeby podać pani tę liczbę, powinienem zapytać o zgodę radę wojskową, i nie sądzę, bym ją dostał. Mogę jednak powiedzieć, że pod Karameh było nas tylko trzystu dziewięćdziesięciu dwóch przeciwko piętnastu tysiącom Izraelczyków.

*Piętnastu tysiącom? Abu Ammar, chce pan może powiedzieć tysiącu pięciuset.*

Nie! Nie! Nie! Powiedziałem piętnaście tysięcy, piętnaście tysięcy! Łącznie, rozumie się, z żołnierzami obsługującymi ciężką artylerię, czołgi, samoloty, helikoptery oraz spadochroniarzami. Tylko jako oddział mieli oni cztery kompanie i dwie brygady. Wy z Zachodu nigdy nie wierzycie w to, co mówimy, słuchacie ich i tyle, wierzycie im i tyle, przekazujecie to, co mówią oni i tyle!

*Abu Ammar, nie jest pan sprawiedliwy. Ja jestem tutaj i słucham pana. A po tym wywiadzie przekażę słowo w słowo to, co mi pan powiedział.*

Wy, Europejczycy, zawsze trzymacie z nimi. Może ktoś z was zaczyna nas rozumieć, można to wyczuć w powietrzu. Ale zasadniczo trzymacie z nimi.

*To jest wasza wojna, Abu Ammar, nie nasza. I w tej waszej wojnie my jesteśmy tylko widzami. Ale również nie może pan od nas jako widzów wymagać, żebyśmy byli przeciwko Żydom, i nie powinien się pan dziwić, że w Europie często lubi się Żydów. Widzieliśmy, jak ich prześladowano, prześladowaliśmy ich. Nie chcemy, żeby to się powtórzyło.*

No właśnie, wy musicie uregulować z nimi wasze rachunki. I chcecie je zapłacić naszą krwią, naszą ziemią, zamiast waszą krwią, waszą ziemią. I wciąż ignorujecie fakt, że my nic nie mamy przeciwko Żydom, my mamy problem z Izraelczykami. Żydzi będą mile widziani w demokratycznym państwie palestyńskim, proponujemy im, że mogą pozostać w Palestynie, kiedy nadejdzie ten moment.

*Abu Ammar, ale Izraelczycy są Żydami. Nie wszyscy Żydzi mogą identyfikować się z Izraelem, ale Izrael nie może nie identyfikować się z Żydami. I nie można żądać, żeby Żydzi z Izraela znów zaczęli tułać się po świecie, gdzie skończą w obozach zagłady. To nierozsądne.*

Czyli chcecie wysłać nas, żebyśmy tułali się po świecie.

*Nie. Nie chcemy nikogo wysłać. Tym bardziej was.*

Ale teraz to my jesteśmy na tułaczce. A jeżeli tak bardzo wam zależy, żeby dać ojczyznę Żydom, dajcie im waszą, macie masę ziemi w Europie, w Ameryce. Nie domagajcie się, żeby dać im naszą. Na tej ziemi żyliśmy całe wieki, nie oddamy jej, żeby spłacić wasze długi. Popętniacie błąd również z ludzkiego punktu widzenia. Jak to możliwe, że Europejczycy nie zdają sobie z tego sprawy, choć są ludźmi tak cywilizowanymi, tak rozwiniętymi, może najbardziej rozwiniętymi ze wszystkich kontynentów? A przecież wy też toczyliście wojny wyzwolenicze, wystarczy pomyśleć o waszym Risorgimento. Wasz błąd jest zatem celowy. Nie można założyć

waszej niewiedzy na temat Palestyny, ponieważ dobrze znacie Palestynę, przysyłałiście tu waszych krzyżowców i jest to kraj, który macie pod bokiem. To nie Amazonia. Wierzę, że pewnego dnia wasza świadomość się obudzi. Ale aż do tego dnia lepiej się wzajemnie nie oglądać.

*Czy to dlatego, Abu Ammar, nosi pan zawsze ciemne okulary?*

Nie. Noszę je, żeby nie wiadano, czy śpię, czy czuwam. Ale, między nami, ja zawsze czuwam za moimi okularami. Śpię tylko wtedy, kiedy je zdejmuję, a sypiam bardzo mało. Żadnych pytań osobistych, powiedziałem.

*Tylko jedno, Abu Ammar. Nie jest pan żonaty i nieznane są w pana życiu kobiety. Chce pan być jak Ho Chi Minh, czy też myśl o życiu u boku kobiety pana odstręcza?*

Ho Chi Minh... Nie, powiedzmy, że nigdy nie znalazłem właściwej kobiety. A teraz nie ma już na to czasu. Poślubiłem kobietę, która nazywa się Palestyna.

*Amman, marzec 1972*

## George Habbasz

Człowiek, którego miałam przed sobą, to człowiek, którego wówczas obarczano winą za większość zamachów w Europie. Bomba w siedzibie linii izraelskich w Atenach, ginie dziesięcioletnie dziecko. Strzelanina na lotnisku w Monachium, jeden pasażer ginie, inni trafiają w agonii do szpitala, jedna stewardesa z trzema kulami w brzuchu. Kanister z benzyną w synagodze w Hamburgu, siedmiu biednych starców ginie w płomieniach. Mechanizm wybuchowy w luku bagażowym caravelle startującego z Frankfurtu, eksplozja podczas lotu i tylko cudem samolot jest w stanie zawrócić i lądować. Maszynie Swissair startującej z Zurychu już się to nie udaje. Wybucho i spada w lesie w okolicy Dottingen, gdzie zostaną znalezione porzucane szczątki czterdziestu siedmiu osób. Czterdziestu siedmiu cywilów różnych narodowości winnych tego, że udają się do Tel Awiwu. Jest to najbardziej nikczemny epizod. Tak nikczemny, że Ludowy Front, po wzięciu na siebie odpowiedzialności za pośrednictwem rzeczników w Bejrucie i Ammanie, zmienia zdanie i zaprzecza: „To nie byliśmy my”. Potem są bomby w paczkach pocztowych, pożary w domach towarowych w Londynie, uprowadzenia samolotów nad Damaszkiem, Algierem, Kuwejtem, nie mówiąc o masakrze na lotnisku Fiumicino: wszystkie wydarzenia, które zjednoczone komando palestyńskie samo nazywa „zbrodniami godnymi potępienia”, a które Abu Lotuf, mózg Al-Fatah, komentuje z niesmakiem: „To nie jest wojna, to bestialstwo. Robota małp. *Monkey business*. Zapytała ich pani, dlaczego to robią, dlaczego?”.

Jeszcze nie, a pytanie paliło mnie w usta wraz z przemową. Oto ona: Przybyłam tu, żeby was zrozumieć, zrozumieć was poprzez moje wątpliwości. Byłam na waszym froncie, między waszymi bojownikami, wysłuchałam ich i obdarzyłam szacunkiem, jakim zawsze obdarza się tych, którzy walczą za jakąś ideę i w imię jakiegoś prawa. Zbliżyłam się do waszych przywódców, zadawałam im pytania, podziwiałam ich, kiedy wyrażali się inteligentnie i uczciwie. Przyczyniłam się do upowszechnienia wiedzy o was i waszych racjach, ale teraz jestem zniechęcona. Zastanawiam się, czemu służy szanowanie was, czasem podziwianie, a w każdym razie robienie wam propagandy, jeśli wy atakujecie nas różnymi podłościami. My również mamy osobników, którzy podkładają bomby, nie podkładają ich jednak w waszych domach i nie uważamy ich za bohaterów. Uważamy ich za morderców, aresztujemy ich, wytaczamy im procesy i wsadzamy do więzienia. Natomiast wy za te same sprawy domagacie się licencji

bohaterów i domagacie się naszego zrozumienia, naszego współnictwa. Jakim prawem? Kiedy toczyliśmy naszą wojnę w Europie, czy podkładaliśmy może bomby w waszych pociągach, ukrywaliśmy urządzenia wybuchowe w workach pocztowych, podpalaliśmy wasze bazary, strzelaliśmy do waszych dzieci, a na koniec domagaliśmy się waszego zrozumienia, waszego współnictwa? Tylko wy popełniacie podobne nadużycia w neutralnych krajach. Vietcongowi na przykład nigdy się to nawet nie śniło. Można pójść jeszcze dalej, bo – powiedzmy to sobie raz na zawsze – niepotrzebna jest żadna odwaga, żeby umieścić mechanizm zegarowy w walizce i strącić samolot. Nie potrzeba żadnej odwagi, żeby podpalić dom biednych starców, odciąć dopływ tlenu w szpitalu pełnym chorych. Nie potrzeba żadnej odwagi, by wypełnić materiałem wybuchowym dwa słoiki marmolady i zostawić je w supermarkecie. W którejkolwiek części świata to się zdarza, łącznie z Izraelem. Odwagi potrzeba, żeby zaatakować koszary, zmotoryzowaną kolumnę, wycelowany karabin maszynowy. Odwagi potrzeba, żeby przejść przez zaminowane pole, odeprzeć atak czołgów i samoloty mirage, jak to robią fedaini, prawdziwi żołnierze. Ale zabijać bezbronnych podstępem i oszustwem, brać na cel tych, którzy nie mogą się bronić, czy to po żołniersku, po ludzku?

Mężczyzna widział, że przyszedł do niego, by zapytać go przede wszystkim o te sprawy, wytoczyć te oskarżenia. Teraz patrzył na mnie nieruchomymi i zbolałymi oczami, z miną, jakby chciał powiedzieć: „Jestem gotów, strzelaj”. Pod oczami miał zapadnięte policzki, szorstkie od zarostu niegolonego nie wiadomo od jak dawna, siwego jak jego wąsy i włosy. Włosy ostrzyżone były na jeża, a na skroniach siwizna przybierała wręcz odcień bieli. Jego ciało było krzepkie, mocne, o szerokich ramionach zapaśnika. Z wyglądu był zaniedbany: pogniecione portki, sweter owinięty wokół szyi, płócienna niebieska kurtka. Nie wyglądał na Araba, powiedziałabym raczej, że na Włocha z północy, hutnika albo niewykwalifikowanego robotnika. Z każdego jego gestu emanował wielki smutek i wielka godność i dlatego, kiedy mu się przyglądałam, ogarniała mnie nieodparta sympatia. Nie chciałam jej odczuwać. Odpychałam ją od siebie. Ale powracała falami i nic nie mogłam na to poradzić, tylko odnotować rodzaj gniewu i głębokiego zdumienia. Wydaje się, że dzieje się tak z każdym, kto spotyka doktora George’a Habbasza, założyciela i lidera Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny, ruchu, który zwalcza Izrael metodami terrorystycznymi. Mówię „doktor” Habbasz, ponieważ zanim zaczął zabijać ludzi, ratował ich, był lekarzem. I to jakim lekarzem. Nie jednym z tych, którzy traktują chorych według kryterium księgowego, ale takim, który płacze, kiedy chory umiera. Miał klinikę, w której pracował wraz z

grupą sióstr zakonnych, nazaretanek. Klinika mieściła się w Ammanie i przyjmowała głównie dzieci, ponieważ specjalizował się w pediatrii. Oprócz dzieci klinika gościła biedaków, starców, opuszczonych, którzy nie mogli sobie pozwolić na luksus kupienia aspiryny, ponieważ doktor Habbasz nie tylko nie kazał sobie płacić, ale swoim pacjentom kupował lekarstwa, a kiedy wychodzili wyleczeni, wsuwał im do ręki zwitek pieniędzy: „Masz, idź na targ i kup sobie parę butów i ubranie”. Bogato urodzony, w ten sposób spożytkował swój majątek. Na siebie nie wydawał nigdy grosza, wystarczało, że zarzucał na stare ubranie zdezynfekowany fartuch. Klinika bywała też jego domem, sypiał na łóżku polowym obok szpitalnych oddziałów. Słowem, doktor Schweitzer. Ale doktor Schweitzer potrafił też czasem być wybuchowy i stanowczy. On natomiast był zawsze łagodny, wyrozumiały, pobłażliwy. Nie muzułmanin, ale ortodoksyjny chrześcijanin, wierzył w prawo „nadstaw drugi policzek”, a nad leżanką wisiał u niego krucyfik. Po czym pewnego dnia klinika została nagle zamknięta. Chorem powiedziano, żeby poszukali sobie innego lekarza, nazaretankom, żeby poszukały innego szpitala, a doktor Habbasz zniknął. „Dokąd poszedł, co robi?”. Poszedł z fedainami, by pokierować jedynym przedsięwzięciem, w jakie wierzył: bezlitosną zemstą.

Był rok 1967 i poczynając od tego dnia, miał poświęcić swojej nowej wierze wszystko, nawet dwoje dzieci, przepiękną żonę, wygodny dom, w którym mieszkał. Teraz żył w kryjówkach, które opuszczał tylko nocą w asyście ochrony; żona mieszkała praktycznie w Egipcie, gdzie wróciła na studia na wydziale psychologii. Do Egiptu docierały do niej często wiadomości, których zrozumienie wymagałoby interwencji psychologii: George kazał wysadzić w powietrze magazyn, szpital, samolot, George ukrył się, bo Izraelczycy chcą go porwać, tak jak porwali Eichmanna, George został aresztowany w Syrii za przemyt broni. To ostatnie zdarzyło się rok wcześniej. Do Damaszku dotarł ładunek karabinów i amunicji, a doktor Habbasz poszedł go sobie wziąć, ignorując wszelkie prawa, jakie mu tego zabraniały. Wylądował w więzieniu i już by stamtąd nie wyszedł, gdyby towarzysze z Frontu nie oswobodzili go za pomocą pewnego fortelu. W centrali policji pojawiła się elegancka kobieta o zielonych oczach, jak pani Habbasz. Oznajmiła, że jest żoną Habbasza, poprosiła, żeby pozwolono jej, na litość boską, zobaczyć męża. Doktora Habbasza wyprowadzono z celi, przywieziono do centrali. Tutaj fałszywa żona objęła go, szepcząc: „Bądź gotów w drodze powrotnej”. Eskortująca go do więzienia furgonetka policyjna została zaatakowana przez ośmiu fedainów i doktor Habbasz mógł wrócić do Jordanii,



na nowo ująć ster Ludowego Frontu. Zobaczmy, czym był jego Ludowy Front w 1972 roku, kiedy Europę terroryzowali wyłącznie Palestyńczycy Habbasza.

Był to twór człowieka zranionego w swoich najlepszych uczuciach, w swoich najzdrowszych ideach, powiedziałabym, w swoim chrześcijaństwie. Był to organizm, który zastąpił w sercu i umyśle doktora Habbasza klinikę pediatryczną w Ammanie. George Habbasz dał mu życie po rozłamie w narodowym ruchu arabskim, do którego należał, i uformował z wielką jasnością umysłu, jak też w pogardzie dla kompromisów. Na płaszczyźnie taktycznej wybrał strategię terroru, na płaszczyźnie ideologicznej przyjął komunistyczną teorię maoistowską. Słowem, całkowite przeciwieństwo Al-Fatah; nie przypadkiem stosunki między nimi były fatalne, pełne wzajemnych oskarżeń, ledwie tłumionej wrogości. Al-Fatah oskarżał Front o wrogie nastawienie międzynarodowej opinii publicznej do Palestyńczyków, Front odpowiadał Al-Fatah, że ten leży na miliardach z ropy saudyjskiej i amerykańskiej. Zarówno jedni, jak i drudzy mówili prawdę, na nic się w istocie zdało, że kompania odważnych fedainów przekonała trzech czy czterech reporterów jakąś piękną bitwą, jeśli potem Front doprowadzał do katastrofy samolotu z czterdziestoma siedmioma niewinnymi pasażerami na pokładzie, a cały świat reagował z oburzeniem. Było jednak też absurdem, że Al-Fatah gadał o rewolucji, jeśli potem prosił o pieniądze tych samych, których chciał niby unicestwić, to znaczy towarzystwa naftowe pozostające w rękach Amerykanów. Być może słusznie jest myśleć, że cel uświęca środki, ale jeszcze słuszniej jest myśleć, że moralność jest niezbędna, by być idealistami.

Z finansowego punktu widzenia moralność Frontu była z czystego kryształu: Front nie miał ani grosza. Czasami kupował karabin od Beduinów, a jeśli kazali sobie zapłacić choćby trzysta dolarów, jego kieszenie stawały się puste. Wiele karabinów zostało więc, by tak powiedzieć, zarekwirowanych. Albo skonfiskowanych. Lub też otrzymanych w darze od jakiegoś komunistycznego kraju. Kto wystrzelił nabój bez żadnej logicznej przyczyny, podlegał karze. Musiał choćby powtórzyć tysiąc razy: „Nabój kosztuje tyle a tyle, nabój kosztuje..., nabój kosztuje...”. Fedaini z Frontu nie dostawali wynagrodzenia, jak ci z Al-Fatah, co najwyżej oferowano im zapomogę w wysokości pięciu dolarów miesięcznie i transport, by mogli raz w miesiącu odwiedzić rodzinę. W nielicznych bazach wojskowych, jakie mieli, wyposażenie było niewystarczające i trzeba było zaciskać pasa. Codzienny posiłek składał się z gotowanego bobu albo fasoli, mięso jadało się raz w tygodniu, kiedy się dobrze powodziło. Godziny niezajęte szkoleniem wojskowym były ściśle wypełnione kursami indoktrynacji politycznej, czyli

studiowaniem tekstów marksistowskich i leninowskich, lekturą myśli Mao Tse-tunga, najnowszych szkiców rewolucyjnych. Nabożów nie trwoniono, ale czerwone książeczki tak. Dostawali je w darze od Chin, i to wszystko. Front był tak biedny, że nie miał nawet prawdziwej siedziby i numeru telefonu. Jeśli chciałeś nawiązać kontakt, musiałeś zdać się na przypadek albo rozpuścić wiadomość, że jesteś w takim to a takim hotelu i chcesz się z kimś zobaczyć, a potem czekać, aż ktoś zadzwoni. Tym kimś był zazwyczaj jakiś intelektualista albo mieszczanin, jeden z wielu, którzy – co wydaje się paradoksem – tworzą kręgosłup ruchu. Poza tym, że nie miał siedziby i telefonu, Front nie miał też biura prasowego ani gazety czy środków transportu. Dzielny człowiek, który zawiózł mnie do Habbasza, prowadził samochód tak stary i rozklekotany, że dotarcie do celu było dla nas obojga powodem nadzwyczajnego zdziwienia. Innymi słowy, kto zostawał fedainem we Froncie, nie robił tego z grzeczności albo przebiegłości. Zresztą liczba jego fedainów była bardzo mała. Szeptano się o dwóch tysiącach, ale jeden z nich wyznał mi: „Tysiąc sześćset”. Tysiąc sześciuset ludzi, którzy – dobrze lub źle – koncentrowali na sobie uwagę świata. I to nie tylko z powodu okrucieństwa ich sabotaży w Izraelu czy w Europie, ale z uwagi na określoną orientację polityczną, która ich wyróżniała i wpływała na cały ruch fedainów. Ale dosyć tych historii; tak naprawdę palestyński ruch oporu był zawsze komunistyczny, wspierany i podżegany przez Chiny i Rosję, które zrećcznie wykorzystują nacjonalizm Arabów. A jeśli walka kierowana jest dziś przez przywódców Al-Fatah, socjaldemokratów czy liberalnych socjalistów, nie jest powiedziane, że również jutro będzie przez nich kierowana. Przeciwnie. Wielu podejrzewa, że człowiekiem jutra nie jest Arafat, ale doktor George Habbasz, który już wtedy przedstawiał się swoim prawdziwym nazwiskiem. „Nie, ja się nie ukrywam, nie maskuję. Kto wybiera sobie pseudonim, często robi to z upodobania do dramatu, a ja mam wystarczająco dużo dramatów w sobie, żeby wymyślać kolejne”. W tym miejscu wracamy do mojego spotkania z lekarzem, który urodził się, by być aniołem, ale którego nienawiść albo rozpacz przemieniła tymczasem w diabła.

Spotkanie odbyło się w nocy, na peryferiach Ammanu, w pokoju jakiegoś budynku przylegającego do obozu uchodźców. Było tam tylko biurko i kilka krzeseł. Ściany wyklejono plakatami przeciwko syjonizmowi. Za zamkniętymi drzwiami pomieszczenia stali na straży fedaini uzbrojeni w karabiny maszynowe. W środku byłam tylko ja, on, fotograf i osobnik, który nas tam przyprowadził. Ja siedziałam przy biurku, a George Habbasz na krześle naprzeciwko, ze zgarbionymi plecami, rękami na kolanach, twarzą uniesioną w oczekiwaniu na moje pytania. W

takiej pozycji wciąż patrzył na mnie tymi nieruchomymi i zbolałymi oczami, a to niweczyło we mnie chęć, by go zaatakować. Zapytałam, ile ma lat, odpowiedział, że czterdzieści cztery. Po czym przesunął palcami po siwych włosach, jakby chciał przeprosić, że wydaje się taki stary, i po wargach przemknął mu gorzki uśmiech. Ale kiedy zadałam pierwsze pytanie, uśmiech zgasł. Przytaknął poważnie i poważnie wyjaśnił. Mówił po angielsku, w języku, który zna bardzo dobrze, a jego głos był głosem profesora uczącego studentów anatomii. Spokojny, pewny. Jego ton był natomiast obojętny, był to ton kogoś, kto nie szuka sojuszników ani przyjaciół, ponieważ ich nie potrzebuje, zaś samotność jest jego wyborem. Pozostał taki przez półtorej godziny, to znaczy do chwili, kiedy zadałam mu ostatnie pytanie, a on zmienił się na twarzy i zapłakał. Zapłakał naprawdę. Kiedy opowiadał o tym, co zobaczył w 1967 roku, o trzech tysiącach Palestyńczyków, którzy odchodzili popychani karabinami żołnierzy izraelskich, jego usta zaczęły drżeć, a jego oczy wypełniły się łzami. Po czym długa łza spłynęła mu po nosie i... co miałam myśleć? Natura ludzka jest niezrozumiała, nitka dzieląca dobro od zła jest tak cienka, niewidoczna. Nic nie powiedziałam i pomyślałam, że czasami ta nitka przerywa się w dłoniach, mieszając dobro ze złem w tajemnicy, w której się gubisz. W tajemnicy tej nie ośmielasz się już oceniać człowieka.

\* \* \*

Oceñałam jednak Habbasza, kiedy wywiad został opublikowany w „Life”, a on popełnił błąd, każąc wysłać do mnie za pośrednictwem zaimprovizowanego Departamentu Informacji Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny nikiemny list. List zarzucał mi użycie słowa terrorysta, twierdził, że doktor Habbasz nigdy nie pozwoliłby na użycie takiego określenia, oskarżał mnie o antysemityzm na mocy faktu, że Arabowie uznawani są za semitów, negował 1967 rok jako czas porzucenia praktykowania medycyny przez Habbasza, w końcu zaprzeczał, jakoby to z ust Habbasza padło zdanie, że zupełnie nie przejmuje się groźbą wywołania trzeciej wojny światowej. Odpowiedziałam listem otwartym po angielsku. W taki oto sposób: „Tak zwany Departament Informacji LFWP, a mówię »tak zwany«, ponieważ żaden z jego członków nie dał znaku życia podczas mojego pobytu w Palestynie, nie wie najwyraźniej o istnieniu urzędnika zwanego magnetofonem. Mój wywiad z doktorem Habbaszem został przeprowadzony przy użyciu magnetofonu. Taśma jest do jego dyspozycji, żeby odświeżyć mu pamięć w przypadku, gdyby coś zapomniał albo chciał zapomnieć. Wolalabym jednak myśleć, że doktor Habbasz nie wie o liście wysłanym do mnie przez tak zwany Departament Informacji.

Chciałabym myśleć, że gdyby o tym wiedział, zakazałby napisania tak wielu niepotrzebnych idiotyzmów i tak wielu bezsensownych obelg. W istocie doktor Habbasz doskonale wie, że powiedział do mikrofonu to, co powiedział. Jest naturalnie prawdopodobne, że słowo terroryzm nie było przeze mnie zbyt często użyte, a to z powodu przezorności, której teraz żałuję. Jednak użyłam tego słowa kilka razy, a nawet skomentowałam je z doktorem Habbaszem, mówiąc, że my, Europejczycy, nie zabijaliśmy bezbronnych istot i dzieci, kiedy walczyliśmy o naszą wolność. Doktor Habbasz nie zareagował na to gniewem. Wyłuszczył mi wręcz swoją teorię, żeby mi udowodnić, że się mylę. Po spisaniu swoich wywiadów pracuję nad nimi, jak każdy dziennikarz. Nie miałam jednak potrzeby pracować wiele nad tym wywiadem, ponieważ był dobry w takiej formie, w jakiej się odbył. Nie przypadkiem zaczyna się on w swojej wersji pisemnej tak samo, jak zaczęła się moja rozmowa z Habbaszem, i kończy, tak jak skończyła się moja rozmowa z Habbaszem. Jak najwierniej przytacza to, co Habbasz powiedział mi podczas dziewięćdziesięciu minut, po angielsku, a słowa na taśmie są jasne. Dźwięk jest znakomity. Błędy nie są możliwe, z wyłączeniem roku 1967. Doktor Habbasz ma lekką wadę wymowy, zwaną seplenieniem, a zatem bardzo możliwe, że powiedział on 1957, a ja zrozumiałam 1967. To, co zostało napisane, powtarzam, jest nagrane na taśmie, na której brakuje tylko łez doktora Habbasza i spazmatycznego drżenia jego ust, ludzkiej reakcji, z powodu której mi się spodobał. I w tym, przyznaję, mogłam się pomylić. Jego tak zwany Departament Informacji insynuuje, że jestem faszystką. Na takie grubiaństwo odpowiadam tylko, że kiedy doktor Habbasz nie robił nic, by pokazać, że jest antyfaszystą, a jego naród był tak bardzo w zgodzie z nazistami, ja byłam dziewczynką z warkoczami, która walczyła z faszyzmem we włoskim Ruchu Oporu. Pamiętam, że nie było wśród nas palestyńskich dziennikarzy, którzy przeprowadzaliby z nami wywiady i okazywali sympatię, ryzykując z tego powodu życiem”.

*ORIANA FALLACI. Doktorze Habbasz, wy z Frontu specjalizujecie się w aktach terroryzmu. Wiele z nich dokonywanych jest w Europie. Dlaczego chcecie narzucić nam wojnę, która nie jest naszym udziałem? Według jakiego kryterium, jakiego prawa?*

GEORGE HABBASZ. Zaraz to pani wyjaśnię. Przede wszystkim poprzez wprowadzenie. Prowadząc wojnę, trzeba w naukowy sposób ustalić, kto jest naszym wrogiem. W sposób naukowy stwierdzam, że naszym wrogiem nie jest wyłącznie Izrael. Jest nim Izrael plus ruch syjonistyczny, który panuje w wielu krajach popierających Izrael, plus imperializm. Mam szczególnie na myśli imperializm angielski obejmujący lata od 1918 do 1948 oraz imperializm

amerykański od roku 1948 po dzień dzisiejszy. Gdybyśmy mieli stawić czoło tylko Izraelowi, sprawa byłaby prawie prosta, ale musimy stawić czoło każdemu, kto wspiera Izrael gospodarczo, militarnie, politycznie, ideologicznie. To znaczy krajom kapitalistycznym, które chciały Izraela i teraz wykorzystują go jako bastion dla swoich interesów w Arabii. Poza Ameryką kraje te obejmują niemal całą Europę. Teraz zapomnijmy na chwilę o Europie, z którą nie jesteśmy w stanie wojny, to prawda, i zajmijmy się Izraelem, z którym jesteśmy w stanie wojny. Izrael, z ekonomicznego, jak również politycznego punktu widzenia, jest wyspą, leży bowiem odizolowany od wszystkich zaprzyjaźnionych krajów, w otoczeniu krajów wrogich. To znaczy Syrii, Libanu, Jordanii, Egiptu. W konsekwencji jego kontakty z zaprzyjaźnionymi krajami odbywają się wyłącznie drogą morską i drogą powietrzną, nieodzowne jest zatem uszkodzenie Izraelowi w jego morskich i powietrznych połączeniach komunikacyjnych. Komunikacją morską zajmujemy się w przyszłości, na okrętach, w portach, na samym Morzu Śródziemnym. Komunikacją powietrzną zajmujemy się już od dawna: uderzając w samoloty izraelskiego towarzystwa lotniczego El Al. Samoloty El Al są dla nas jak najbardziej uzasadnionym celem wojskowym: nie tylko dlatego, że należą do wroga, nie tylko dlatego, że jak żaden inny środek transportu łączą wyspę Izrael z innymi wybrzeżami, ale dlatego, że zapewniają transport amunicji i oddziałów wojskowych. Dowodzą nimi oficerowie rezerwy izraelskiego lotnictwa. Podczas wojny uprawnione jest uderzanie w nieprzyjaciela, gdziekolwiek on się znajduje, taka zasada prowadzi nas również na lotniska, gdzie maszyny El Al lądują i startują. Czyli do Europy.

*Doktorze Habbasz, zapomina pan, że na pokładach tych samolotów są pasażerowie, którzy nie są Izraelczykami, ale obywatelami państw neutralnych. Zapomina pan też, że lotniska te nie należą do Izraelczyków, ale do krajów neutralnych. Respektowanie krajów neutralnych jest innym prawem wojennym.*

Pomijając fakt, że lotniska te znajdują się zawsze w krajach filiszejonistycznych, powtarzam pani, że mamy prawo zwalczać naszego wroga, gdziekolwiek się znajdzie. Jeśli chodzi o pasażerów nieizraelskich, udają się oni do Izraela. Ponieważ nie mamy żadnej jurysdykcji nad krajem, który został nam zrabowany i nazywany jest Izraelem, właściwe jest, żeby każdy, kto udaje się do Izraela, musiał dostać nasze pozwolenie. Zresztą kraje takie jak Niemcy, Włochy, Francja, Szwajcaria mają wśród swoich obywateli wielu Żydów i pozwalają tym Żydom korzystać ze swojego terytorium, żeby walczyli z Arabami. Jeśli na przykład Włochy

są bazą, żeby uderzać w Arabów, Arabowie mają pełne prawo używać Włoch jako bazy, żeby uderzać w Żydów.

*Nie, doktorze Habbasz. Włochy nie służą Żydom jako baza, żeby uderzać w Arabów. Tak samo jak Niemcy, Francja, Szwajcaria. To wy siejecie w naszych krajach terror i śmierć. Nie atakujecie wyłącznie samolotów El Al. Jak daleko chcecie zająć? Toczyć wojnę z trzema czwartymi planety?*

Nie, nie chcemy toczyć wojny z trzema czwartymi planety. Ale trzeba być ścisłym i uznać, że nasza rewolucja jest elementem rewolucji światowej, nie ogranicza się do odzyskania Palestyny. Trzeba być uczciwym i przyznać, że to, co chcemy osiągnąć, to taka sama wojna jak w Wietnamie. Chcemy drugiego Wietnamu i to nie tylko w regionie Palestyny, ale wszystkich krajów arabskich. Palestyńczycy stanowią część narodu arabskiego, jest konieczne, żeby cały naród arabski przystąpił do wojny, co zresztą nastąpi, dając pani trzy albo cztery lata. Wówczas, a nawet wcześniej, siły rewolucyjne Jordanii, Syrii, Libanu powstaną u naszego boku w wojnie totalnej. Jesteśmy dopiero na samym początku naszej walki, najpiękniejsze ma nadejść. Słuszne jest, żeby Europa i Ameryka wiedziały od tej chwili, że nie będzie dla nich pokoju, dopóki nie będzie sprawiedliwości dla Palestyny. Czekają was uciążliwe dni i nie jest to cena zbyt wysoka za pomoc, jaką okazujecie Izraelowi. Po tym wyjaśnieniu dochodzimy do ataków, które kierujemy przeciwko samolotom nienależącym do El Al. Przypuszczam, że nawiązuje pani do samolotu TWA uprowadzonego nad Damaszkiem. Cóż, Ameryka jest portem naszego wroga, a zatem jest naszym wrogiem. Urowadziliśmy samolot w odwecie za to, że Ameryka sprzedała Izraelowi phantomy.

*Doktorze Habbasz, jeśli Ameryka daje phantomy Izraelowi, Rosja daje miği Egipcowi. Zatem jest remis. Gdybyśmy mieli porwać samolot za każdym razem, kiedy Rosja daje broń Egipcowi, podróżowałoby się tylko na rowerach. Czy nie niepokoi pana podejrzenie, że wywołuje pan trzecią wojnę światową?*

Szczerze mówiąc, nie. Świat się nami posłużył, zapomniał o nas. Czas, żeby sobie o nas przypomniał, czas, żeby przestał się nami posługiwać. Cokolwiek się wydarzy, będziemy kontynuować naszą walkę, żeby wrócić do domu.

*Nie interesuje was nawet światowa opinia publiczna? Nie interesuje was oburzenie, wrogość, jaka wylewa się na was za każdym razem, kiedy wywołacie nieszczęścia na obcej ziemi?*

*Jak możecie domagać się naszego zrozumienia i szacunku, jeśli strzelacie do nas, gdy tymczasem my do was nie strzelamy?*

Oczywiście, że interesuje nas światowa opinia publiczna. Kiedy opinia publiczna jest z tobą, to znaczy, że stoisz po właściwej stronie; jeśli nie, to znaczy, że jest z tobą coś nie tak. Ale to nie jest sposób postawienia problemu, ponieważ opinia publiczna interesuje nas bardziej na płaszczyźnie wiedzy niż na płaszczyźnie sympatii. Zaraz to wyjaśnię. Ataki Ludowego Frontu nie opierają się na ilości, tylko na jakości. Twierdzimy w istocie, że zabicie Żyda daleko od pola walki przynosi większy efekt, niż zabicie stu Żydów podczas bitwy, przyciąga bowiem większą uwagę. Zatem jeśli podłożymy ogień w londyńskim domu towarowym, tych kilka płomieni równych jest całkowitemu spaleniu dwóch kibuców. Ponieważ nakłaniamy ludzi, żeby zastanowili się nad przyczyną, i w ten sposób informujemy ich o naszej tragedii. Trzeba wam nieustannie przypominać, że istniejemy. Światowa opinia publiczna w gruncie rzeczy nigdy nie była ani z nami, ani przeciwko nam, zawsze i po prostu nas ignorowała. Od 1917 roku, od deklaracji Balfoura, wy, Europejczycy, nic o nas nie wiecie. Dopiero teraz ludzie zaczynają się domyślać, że zostaliśmy wypędzeni z naszej ziemi jak parszywe psy, z ziemi, na której żyliśmy, tak jak pani żyje we Włoszech albo jak Francuz żyje we Francji, Anglik w Anglii czy Syryjczyk w Syrii. Cóż, poprzez te sabotaże chcemy też przypomnieć światu, że tutaj wydarzyła się katastrofa, a sprawiedliwości musi stać się zadość. Och, proszę nam wierzyć, po tym, co się stało, mamy prawo zrobić wszystko, łącznie z tym, co pani nazywa sabotażami czy terroryzmem. Gdzie była opinia publiczna w 1947 roku, kiedy Anglicy postanowili podarować Żydom ziemię zamieszkaną w dziewięćdziesięciu sześciu procentach przez Palestyńczyków?

*Zajmowała się taką drobną sprawą nazywaną drugą wojną światową, panie Habbasz. Czy z pańskiej odpowiedzi mam wnioskować, że wy z Frontu nie przejmujecie się ofiarami wśród nas, Europejczyków? Czy mam wnioskować, że zamierzacie kontynuować podpalanie naszych sklepów, strzelanie na naszych lotniskach, podkładanie bomb w naszych workach pocztowych, dręczenie nas terroryzmem?*

Kiedy te rzeczy robili Żydzi w Palestynie, wy nie nazywaliście tego aktami terrorystycznymi, mówiliście: wojna wyzwolenicza. Tak, oczywiście, że będziemy upierać się przy naszej strategii, a wręcz ją rozszerzymy. Czyniąc jednak, co się da, by nie szkodzić Europejczykom. Przysięgam na głowę moich dzieci, że problemowi temu poświęcamy wiele uwagi, rozkaz wydawany naszym komandosom mówi zawsze o oszczędzaniu Europejczyków.

Podczas wszystkich operacji przeprowadzonych przez Ludowy Front w 1969 roku rozkaz ten był respektowany i żaden Europejczyk nie stracił życia. Proszę na przykład spojrzeć na pożar, który wywołaliśmy w domu towarowym w Londynie. Naszemu fedainowi łatwo by było rzucić dwie albo trzy bomby i zabić masę ludzi. Tymczasem zadowolili się podłożeniem ognia w nocy, nie powodując ofiar. W Atenach, to prawda, zginęło jedno dziecko, ale my z Frontu nie mamy nic wspólnego z tamtą operacją. Nie jesteśmy jedynymi, którzy dokonują tego, co pani nazywa sabotażami. Proszę nie zapominać, że ruchy palestyńskie są liczne.

*Porozmawiajmy o czym innym, doktorze Habbasz. Na przykład o krajach, którym nie zagraża to, co zagraża nam, czyli o waszych przyjaciółach.*

Celem naszej walki jest nie tylko przywrócenie tożsamości Palestynie, ale wprowadzenie tu socjalizmu. Jesteśmy w takim samym stopniu nacjonalistami co socjalistami, powiedzmy, że Ludowy Front jest ruchem kierującym się ideologią socjalistyczną. W 1967 roku zrozumieliśmy bezsporny fakt, że aby wyzwolić Palestynę, trzeba podążać za przykładem chińskim, za przykładem wietnamskim. Nie ma innej drogi. Długo się nad tym zastanawialiśmy, naukowo. Izrael jest zjawiskiem kolonialnym, kolonializm jest zjawiskiem imperialistycznym, imperializm jest zjawiskiem kapitalistycznym, zatem jedynymi krajami, które uważamy za przyjaciół i którym nawet nam się nie śni porywać samoloty, są kraje socjalistyczne. Jednak krajem najbardziej zaprzyjaźnionym są Chiny. Ich postawa wobec Palestyńczyków jest bardzo jasna, bardzo przyjazna, a ich idee są precyzyjne: Chiny chcą, żeby Izrael został zmieciony, ponieważ dopóki będzie istniał Izrael, w Arabii będzie agresywna baza imperializmu.

*A Związek Radziecki?*

W drugiej kolejności również Związek Radziecki jest naszym przyjacielem. Oczywiście. To on dostarcza broń arabskim reżimom albo raczej reżimom, które rządzą aktualnie Arabią. Może niewłaściwe jest nawet powiedzieć „w drugiej kolejności”, ponieważ jesteśmy bardzo zaprzyjaźnieni także ze Związkiem Radzieckim. Widzi pani, nasza postawa jest taka jak postawa Wietnamczyków: jesteśmy przyjaciółmi tych, którzy są nam przyjaźni. Chiny nas wspierają, pomagają nam, zatem jesteśmy z nimi. Związek Radziecki nas wspiera, pomaga nam, zatem jesteśmy z nim. My nie patrzymy na Sowieców tak, jak Chińczycy chcieliby, byśmy patrzyli na Sowieców, i nie patrzymy na Chińczyków tak, jak chcieliby Sowieci, byśmy patrzyli na Chińczyków. Oczywiście nie podoba nam się, kiedy Związek Radziecki proponuje programy pokojowe albo takie pułapki, jak rezolucja Rady Bezpieczeństwa ONZ, ponieważ my nie chcemy



pokoju, nigdy nie pójdziemy na pokojowe kompromisy. Chiny w tym punkcie się z nami zgadzają.

*W czym wyraża się pomoc Chin? Czy wy także wysyłacie tam na przykład waszych instruktorów?*

Nie, nigdy. Zresztą nie wysyłamy ich też do Wietnamu Północnego ani do Algierii. My z Frontu sami się szkolimy, mamy nasze obozy i nasze kursy, na których uczymy się nie tylko strzelać. Uczymy się na przykład hebrajskiego. Nasz system szkolenia jest inny niż w Al-Fatah.

*Wasze stosunki z Al-Fatah nie są dobre. Co pan myśli o Jasirze Arafacie?*

Jesteśmy dosyć zaprzyjaźnieni. Kiedy się spotykamy, wdajemy się w gorące dyskusje, ale ogólnie się zgadzamy. Nie mogłoby być inaczej, walczymy po tej samej stronie barykady. Jednak my i Al-Fatah mamy zbyt odmienne poglądy w zbyt wielu sprawach. My na przykład nigdy nie przyjęlibyśmy pieniędzy, które oni przyjmują od sił reakcyjnych, nigdy nie dotknęlibyśmy pieniędzy śmierdzących amerykańską ropą. Sporządzając dla pani listę naszych wrogów, zapomniałem w istocie wymienić narodowe reżimy arabskie. Te, których Al-Fatah nie bierze pod uwagę, i te, z którymi współpracuje. Niesłusznie, ponieważ gdybym opowiedział pani historię ostatnich pięćdziesięciu dwóch lat Palestyny, pokazałbym, że największe utrudnienia spotykały nas zawsze ze strony reakcyjnych sił arabskich. Poczynając od Arabii Saudyjskiej, gdzie większość szybów naftowych jest w rękach amerykańskich. Następnie Liban, gdzie rządzi zgniły reżim. Następnie Jordania, gdzie jest ten król gotowy uznać Izrael. Tę listę można by ciągnąć. Wniosek: przyjęcie od nich pieniędzy oznaczałoby rezygnację z naszej moralności, dyshonor. Ciułamy więc pieniądze między nami, a – jeśli brak pieniędzy stanie się kwestią życia albo śmierci – weźmiemy je od tych, którzy je mają. Weźmiemy je, nie przyjmujemy. Tym bardziej nie poprosimy o nie. Kto wstępuje do Ludowego Frontu, wie, że Ludowy Front nie żartuje. Zresztą siła rewolucyjna Palestyny nie jest organizowana przez Al-Fatah, jest organizowana przez nas. To my mobilizujemy masy proletariackie, słowem prawdziwy lud.

*Doktorze Habbasz, zatem jak to jest, że zdecydowana większość proletariuszy jest z Al-Fatah, a wśród was widzę przede wszystkim intelektualistów i mieszczan?*

To prawda, nie jesteśmy silni. Albo jeszcze nie. Ale to nie wywołuje w nas żadnego kompleksu niższości, ponieważ nie wystarczy mieć wielu proletariuszy w partii, żeby być uznanym za partię proletariacką. Wystarczy pomyśleć, że proletariusze w Europie byli zawsze po stronie mieszczaństwa, to, co się liczy, to proletariacka ideologia, proletariacki program. Zdobyć

wielu fedainów, przyciągając ich choćby pieniędzmi, nic nie znaczy; stu fedainów o jasnych poglądach rewolucyjnych walczy lepiej niż tysiąc fedainów rekrutowanych za pomocą dobrego żołdu. Nawet gdybyśmy mieli pieniądze Al-Fatah, nie przyjęlibyśmy zbyt wielu ludzi, nadal byśmy myśleli, że siła fedainów nie opiera się na liczbie, ale na jakości. Szczególnie kiedy trzeba uciec się do strategii sabotażu, jak to pani nazywa.

*Doktorze Habbasz, ale co heroicznego jest w terroryzmie, w podpalaniu domu starców, w niszczeniu zapasów tlenu w szpitalu, w strąceniu samolotu albo w zniszczeniu supermarketu?*

To partyzantka, pewien rodzaj partyzantki. A czym jest partyzantka, jeśli nie wyborem celu, który obiecuje stuprocentowy sukces? Czym jest partyzantka, jeśli nie udręką, dywersją, wyczerpaniem nerwów, wyrządzaniem małych szkód? W partyzantce nie używa się zwierzęcej siły, używa się mózgu. Szczególnie kiedy ktoś jest tak biedny jak my z Frontu. Myślenie o normalnej wojnie byłoby z naszej strony głupie. Imperializm jest zbyt potężny, a Izrael zbyt silny. Ma pierwszorzędných generałów, phantomy, mirage, znakomicie wyszkolonych żołnierzy oraz system, który może zmobilizować trzysta tysięcy ludzi. Walczyć z nimi to tak jak walczyć z Ameryką; lud tak słaby i zacofany jak nasz nie może zmierzyć się z nimi twarzą w twarz. Bądźmy poważni! Żeby ich zniszczyć, trzeba uderzyć raz tu, raz tam, posuwać się krok po kroku, milimetr za milimetrem, przez lata, dziesiątki lat, z determinacją, uporem, cierpliwością. Za pomocą wybranych przez nas systemów. A są to systemy inteligentne, proszę mi wierzyć. Pani naprawdę czuje się na siłach, żeby podróżować samolotami El Al? Ja bym się nie czuł na siłach. Och, wydaje się pani oburzona!

*Jestem, doktorze Habbasz.*

Ma pani pełne prawo. Ma pani pełne prawo sprzeciwiać się. Ale ja nie mogę sobie pozwolić na luksus brania pod uwagę pani idei, pani uczuć. To tak, jakbym chciał przeprowadzić bezkrwawą operację chirurgiczną. Mnie nie interesuje pani opinia, choć na swój sposób jest słuszna, mnie interesuje opinia moich ludzi. A gdyby pani wiedziała, co czują moi ludzie za każdym razem, kiedy jakaś operacja się powiedzie! Morale podnosi się niebotycznie. Im bardziej wy się oburzacie, tym bardziej oni nabierają otuchy.

*Ale czy nigdy nie przeprowadzacie operacji wojskowych? Takich, w których ryzykuje się nie więzienie, ale życie?*

A jakże. Osiemdziesiąt pięć procent działalności militarnej na terenie Izraela to nasza zasługa, nie Al-Fatah. Na przykład w Strefie Gazy przeprowadzamy przeważającą część ataków,

a na pozostałym okupowanym terytorium działamy w pięćdziesięciu procentach. W Gazie stoczyliśmy nawet bitwę, co poświadczył sam Mosze Dajan, określając ją jako najgorszą spośród wszystkich, jakie miały miejsce wewnątrz kraju. Była to bitwa na polu Madazi. A poza tym na co dzień czołg zniszczony tu, żołnierz zabity tam, stracony zdrajca. Jakiś czas temu odkryliśmy szpiega, skazaliśmy go na śmierć i dokonaliśmy egzekucji w miasteczku Nusajrat. Nazywał się Youssef Kokach i mówił, że jest arabskim biznesmenem, handlowcem. Tymczasem był oficerem armii izraelskiej. W ubiegłym miesiącu jeden z towarzyszy zaatakował sam restaurację uczęszczaną przez izraelskich wojskowych. Zginął, ale przed śmiercią zabił ponad dwudziestu wrogów.

*Doktorze Habbasz, chciałabym porozmawiać trochę o panu. Był pan lekarzem i pana zawodem było ratowanie ludzi, a nie ich zabijanie. Był pan także chrześcijaninem, a pana religia opierała się na miłości, na przebaczeniu. Czy nie zdarza się panu nigdy tęsknić za swoją przeszłością?*

Byłem... chrześcijaninem, tak. Ortodoksyjnym chrześcijaninem. Byłem... lekarzem, tak. Pediatrą. Bardzo to lubiłem. Myślałem, że wykonuję najpiękniejszą pracę na świecie. I taka jest, wie pani? Dlatego że to praca, w którą angażujesz wszystko: umysł, emocje. Szczególnie przy dzieciach. Kochałem leczyć dzieci... I trudno było wszystko zostawić, trudno! Czasem żal mnie przeszywa, tak. Przeszywa mnie jak szpilka. Ale musiałem zrobić to, co zrobiłem, i nie żałuję. Między moją działalnością polityczną a moją pracą w klinice istniała zbyt wielka sprzeczność. Człowiek nie może dzielić w ten sposób swoich uczuć, swojego rozumowania, z jednej strony leczyć, a z drugiej zabijać. Nadchodzi dzień, kiedy człowiek musi sobie powiedzieć: albo tu, albo tam.

*Doktorze Habbasz, proszę powiedzieć prawdę: co kazało panu zdecydować? Co spowodowało tę metamorfozę? Chcę zrozumieć, proszę mi wytłumaczyć.*

Co? Nie rozumowanie, obawiam się. Na przykład nie Marks. Marksa przeczytałem już wcześniej, do pewnych wniosków naukowych już doszedłem. To... to było uczucie, tak. Ja, widzi pani, byłem przyzwyczajony do widoku cierpienia fizycznego, ale nie cierpienia moralnego. Tak samo jak do widoku niesprawiedliwości, wstydu. Do 1948 roku byłem młodzieńcem jak wszyscy, typowym synem zamożnego ojca, typowym studentem, który lubi się zabawiać, pływając w basenie, grając w tenisa albo idąc na spacer z dziewczynami. To, co wydarzyło się w 1948 roku, przygnębiło mnie, ale za bardzo nie zmieniło; miałem dwadzieścia

dwa lata i mieszkałem w Lod, niedaleko Jerozolimy, nie musiałem dzielić tragedii uchodźców. Po ukończeniu studiów uciekłem się do medycyny jako jedyne sposobu, by stać się pożytecznym dla ludzkości. A także sposobu zastosowania mojego socjalizmu; doszedłem do socjalizmu w ostatnich latach uniwersytetu. Ale potem nadszedł rok 1967 i oni byli w Lod i... nie wiem, jak to wyjaśnić... co to dla nas znaczy... nie mieć już domu ani narodu, ani kogoś, kogo obchodzisz... Zmusili nas do uciezki. To widok, który mnie prześladowuje i którego nigdy nie zapomnę... Nigdy! Trzysta istot, które odchodziły pieszo, płacząc... krzyżąc z przerażenia... Kobiety z dziećmi na ręku albo uczepionymi spódnicy... Tymczasem żołnierze izraelscy popychali je karabinami. One upadały na ziemię... często już się nie podnosiły... Straszne, straszne, straszne! Widzisz pewne rzeczy i myślisz: ale to nie jest życie, to nie są ludzie, czemu służy leczenie chorego ciała, jeśli potem dzieje się coś takiego? Trzeba zmienić ten świat, trzeba coś zrobić, zabijać, jeśli to konieczne, zabijać kosztem bycia nieludzkim, a potem samemu umrzeć... Kiedy to zobaczyłeś, twój umysł i twoje serce zmieniają się... Czujesz, że jest coś, co liczy się bardziej niż życie... Wy nas nie rozumiecie, może nami gardzicie, ale potem nas zrozumiecie. I przestaniecie nami gardzić, będziecie w stu procentach z nami.

*Amman, marzec 1972*

## Husajn, król Jordanii

Król był uosobieniem goryczy, dumnego i pozbawionego jakichkolwiek złudzeń cierpienia. Nie można go było obserwować, nie odczuwając potrzeby zrobienia czegoś dla niego, choćby wyszeptania: „Niech pan wszystko rzuci, Wasza Wysokość. Niech pan stąd wyjedzie, niech się pan ratuje. Jeśli pan zostanie, zabiją pana. Jeśli pana zabiją, nikt panu nie podziękuje. Nie warto, Wasza Wysokość, ryzykował pan już nazbyt wiele. Ma pan dopiero trzydzieści trzy lata”. Zamiast mu to wyszeptać, wręcz byś mu to wykrzyczał, i nie powstrzymywałaby cię przed tym obawa, że go obrazisz. Ale świadomość, że on wie. Było to wypisane na jego twarzy, na której tkwiły wąsy obsypane już siwizną, na której zmarszczki żłobiły już wspomnienie odległej młodości. Czy widziałeś kiedykolwiek twarz smutniejszą od twarzy Husajna? Jego wargi są jak dwa paski przygnębienia, wydaje się, jakby miał zaraz zapłakać, choć uśmiecha się albo śmieje. Nie sądzę zresztą, żeby umiał się śmiać, może z wyjątkiem rzadkich momentów, kiedy bawi się z dziećmi. Gdziekolwiek go przyłapiesz i w jakiegokolwiek sytuacji, ma wygląd człowieka, któremu nie możesz powiedzieć, że życie jest darem Boga. Przeżywa je, tak, i na pewno nie jako asceta czy święty mnich; podobają mu się kobiety, motocykle, samochody wyścigowe, wakacje nad morzem i gwałtowne emocje. Broni go, tak, i na pewno nie jako słabeusz, dlatego nauczył się używać pistoletu i bezbłędnie trafia do celu. Czyni to jednak z dystansem, z gniewem, powiedziałabym, z podejrzeniem, że każdy dzień jest dniem ostatnim.

Król siedział w fotelu w swoim gabinecie w pałacu królewskim i miał na sobie zielonkawy garnitur, niezbyt elegancki, z koszulą, w której było mu natomiast bardzo do twarzy, i gustownie dobranym krawatem. Fotel był ogromny, i to czyniło go jeszcze mniejszym niż był: miał sto pięćdziesiąt dziewięć centymetrów wzrostu. Kiedy opierał się plecami, jego stopy ledwie muskały dywan. Ale siedział tak, trzymając łokcie na poręczach i splatając dłonie na wysokości żołądka, niemal tak, jakby chciał ci pokazać, że niski wzrost nie wywołuje u niego żadnego kompleksu, i w istocie obnosił się z nim z wielką godnością, wspomagany dobrze rozwiniętym ciałem. Szerokie ramiona, pełne bicepsy, mocne uda, umięśnione łydki, ciało byczka wciąż poszukującego bójkę albo gotowego do poskramiania. Porównanie przychodziło spontanicznie, jeśli zapomniałeś o twarzy, była w nim rozpaczliwa siła młodego byka, który nigdy nie ustępuje. Łapiesz go na łąkę, a on ucieka, po czym wraca i się rzuca. Znow go chwytasz, zamykasz w klatce, a on w nią uderza, dopóki go nie uwolnisz, żeby mógł wejść na arenę. Tam walczy. Im

bardziej go drażnisz, im bardziej go męczysz, im bardziej go ranisz, tym bardziej walczy. Choćby nawet w sposób niepewny, chaotyczny, pomyłony, uderzenie rogami tu, walnięcie łbem tam, kopnięcie kopytem jeszcze gdzie indziej. Polityka Husajna. Można się zastanawiać, czy jego gorycz i jego smutek nie rodzą się przede wszystkim z tego, to znaczy ze świadomości, że jest tylko młodym bykiem, wrzuconym na corridę, z której może wyjść tylko martwy. Pikadorzy, banderillerzy, toreadorzy, przyjaciele, wrogowie, Izraelczycy, Egipcjanie, Syryjczycy, Palestyńczycy, wszyscy zjednoczeni są przeciwko niemu, w bardzo łatwym w gruncie rzeczy spisku. W jego przypadku władza jest przeciwieństwem wygody. Wystarczy pomyśleć o zamachach, których był ofiarą od wczesnej młodości.

Mówisz: Husajn i mówisz: zamachy. Mówisz: spiski, strzały z pistoletu, bomby, trucizna. On sam napisał w jednej z książek: „Tak liczne, różne i uporczywe były zmowy przeciwko mnie, że czasem czuję się jak bohater powieści kryminalnej”. Pierwszy raz, jak wiadomo, zdarzyło się to, kiedy miał szesnaście lat i na jego oczach zabito dziadka, króla Abdullaha. Było to na progu meczetu Al-Aksa w Jerozolimie, a strzały z rewolweru nie były skierowane tylko w Abdullaha, jeden trafił również jego, prosto w serce. Uratował go ciężki medal, jaki dziadek zawiesił mu na mundurze, kula roztrzaskała się o niego. Natomiast epizod z syryjskimi migami miał miejsce z 1958 roku. Leciał swoim samolotem w kierunku Europy, zaatakowali go we dwóch, a on wyszedł z tego dzięki swojej sprawności pilota, pikując, a potem wznosząc się, zmieniając zygzakami kurs, ryzykując, że roztrzaska się o góry i wzniesienia. W 1960 roku spróbowali usunąć go najbardziej podstępny sposób. Dostał zapalenia zatok i lekarz zalecił mu stosowanie kropli do nosa. Pewnego dnia Husajn otworzył nową buteleczkę i jedna kropelka spadła na umywalkę, umywalka zaczęła dymić, a na miejscu kropli szybko pojawiła się dziura: ktoś podmienił lekarstwo na kwas siarkowy. A co powiedzieć o słudze, który próbował go zasztytować podczas snu? Albo o kucharzu, który dodawał mu truciznę do jedzenia? Zorientowali się, ponieważ oficer ordynansowy dawał jedzenie do spróbowania kotom z pałacu królewskiego, a te umierały. A bomba podłożona w gabinecie jego premiera, Hazy al-Madžalego, w dniu, w którym Husajn miał się udać do niego z wizytą? Husajn nie zginął, ponieważ bomba wybuchła za wcześnie, zabijając tylko premiera i osiem innych osób. A cztery serie z karabinu maszynowego w samochód, który miał być jego autem, tymczasem był autem wuja? A rewolta wojskowa zorganizowana przez najwyższego dowódcę jego armii, Abu Nuwara? Oddziały były skoszarowane w Zerqa, Husajn wskoczył do jeepa i do nich dojechał. Kiedy wysiadł z jeepa,

zauważył, jak ktoś przystawia mu rewolwer; tym razem uratował się, bo był szybszym strzelcem od tego drugiego. Chodzi zawsze ze swoim coltem 38 wsuniętym za pas, kiedy idzie spać, wkłada go pod poduszkę. Ponieważ to jest u Husajna najbardziej niezwykle: im bardziej jego życie jest zagrożone, tym bardziej on się wystawia. W dniu, kiedy przybyłam do Ammanu, zauważyłam na pasie startowym krępego wąsatego młodego człowieka, który bardzo przypominał Husajna. Młodzieniec pomagał jakiejś miłej pani i dwójce dzieci wsiąść do samolotu liniowego, lecącego do Londynu. Po czym podszedł do mercedesa zaparkowanego przy bramie, usiadł za kierownicą i odjechał zupełnie sam drogą prowadzącą do miasta. Wykrzyknęłam: „Ten tam wygląda jak Husajn”. A ktoś odpowiedział: „Tak, to był Husajn. Porusza się zawsze bez eskorty, bezbronny”. Podkreślanie, że Husajn jest odważny, wydaje się zresztą absurdalne. Jest odważny w sposób zuchwały, irytujący. W 1967 roku, kiedy Izraelczycy szli na Jordanię, był jedynym przywódcą państwa, który udał się na front. Sam, swoim jeepem. Jego żołnierze uciekali, obszarpani, a on szedł naprzód wśród huku bomb i moździerzy. W styczniu tego roku, kiedy Izraelczycy przekroczyli granicę w El Sifa i zaatakowali pięćdziesięcioma czołgami, pognął tam i zaczął śledzić bitwę. Pewne rzeczy robili w przeszłości kondotierzy, dzisiaj nawet generałowie nie uczestniczą w walkach. Tak więc nie możesz nie dojść do wniosku, że niebezpieczeństwo fizyczne mu się podoba. Kładę nacisk na słowo „fizyczne”, co jest jego wielkim ograniczeniem. Jak u byków. Same sporty, które uprawia, niosą ze sobą niebezpieczeństwo fizyczne i tyle. Bawi go skakanie ze spadochronem, gaszenie silników helikoptera, który spada, aż on w ostatniej chwili odzyskuje nad nim kontrolę, jazda porsche ponad trzysta na godzinę, wykonywanie lekkomyślnych akrobacji swoim jetem Hawker Hunter. Kiedyś lubił też przebierać się za taksówkarza i szukać nocą na ulicach Ammanu klientów, żeby ich zapytać, co myślą o nowym królu Husajnie.

Król żadnym szczególnym gestem nie ucieleśniał tego, co do tej pory powiedziałam. Przeciwnie, jego zachowanie było spokojne, uprzejme, jego uśmiech niewymuszony. Był taki od chwili, kiedy otworzył na oścież drzwi i uścisnął mi rękę, pytając, czy dobrze czuję się w Jordanii i czy nikt mi nie uchybił. Gdyby coś takiego się zdarzyło, miałam go natychmiast zawiadomić. To oczywiste, kogo miał na myśli: jego ton należał do pana domu, który chce ci przypomnieć, że to on jest gospodarzem, a nie fedaini, których spotkałaś wcześniej. Po wyjaśnieniu tej kwestii król poczęstował mnie jordańskim papierosem i pochylił się, żeby podać mi ogień, rozbawiony zdaniem, którym zaznaczyłam swoją nieznajomość protokołu. „Polecono mi, żebym zwracała się

do pana Wasza Wysokość, i już po raz drugi o tym zapominam... Wysokość”. „Proszę dać spokój – odparł. – Dzisiaj król jest tylko urzędnikiem państwowym, nie wydaje mi się, żeby trzeba było bawić się w ceremonie. Ja tego nigdy nie robię”. Co było bardzo prawdziwe, jeśli pomyślisz, że często przyjmował dziennikarzy w samej koszuli, mieszkał w zaledwie kilkupokojowej willi z nieliczną służbą, a jedzenie przygotowywała jego ówczesna żona Muna, czyli przemiła angielska eksmaszynistka, która zanim wyszła za niego, nazywała się Tony Gardiner. W owym czasie, choć miał wiele romansów, Husajn ją kochał. Wydaje się, że u źródeł tej miłości leżała właśnie prostolinijność kobiety, która nie wstydziła się gotować i odmawiała tytułu królowej, akceptując niechętnie tytuł księżnej. Dlatego nikt nie podejrzewał, że dwa lata później porzuci ją dla żony młodszej i piękniejszej. Życie w tej rodzinie toczyło się dokładnie tak jak w domu jakiegokolwiek mieszczańskiego przeciwnego rozwodom.

Spytałam króla, czy mogę zacząć wywiad. Przytaknął i w tym samym momencie jego swoboda się ulotniła. Głos, który przedtem brzmiał po męsku, władczo, zwiądl i przygasł w uprzejmym szepcie: „Proszę, proszę zaczynać”. To mnie skłoniło, by podejrzewać coś, czego ewentualności nie brałam nawet pod uwagę: że jest on nieśmiały. A jest. Właśnie w taki sposób jak walczące byki, kiedy odkrywają, że nie robisz im krzywdy, i zakłopotane wycofują się z pochylonym łbem. Ale ty jesteś zaskoczony. Nie dziwi cię natomiast zwierzęca intuicja, z jaką uprzedza twoje ciosy, wężowa zręczność, z jaką ich unika. W istocie, jeśli jego edukacja jest zachodnia (nie zapominajmy, że Husajn uczył się w szwajcarskim gimnazjum i został ukształtowany przez Glubb Paszę, to znaczy Anglika, który zbudował jego armię), jego krew jest arabska na tysiąc procent, przesiąknięta przebiegłością, pokrętnością. Na moje pierwsze pytanie jego szczęki zacisnęły się, ramionami wstrząsnął niezauważalny dreszcz, a reakcja ta miała się powtórzyć wielokrotnie w trakcie naszej rozmowy, wręcz za każdym razem, kiedy miałam go zapytać o coś niewygodnego. Udzielanie wywiadów nie bawi go i z tego powodu mój wywiad nie był wielkim wywiadem. Obiecał mi czterdzieści minut. Kiedy minęło czterdzieści pięć, spojrzął na zegarek i z trudem ukrywając ulgę, wyszeptał: „Przykro mi, musimy przerwać. Mam inne obowiązki”. Nie było sposobu, żeby dłużej go zatrzymać. Pożegnaliśmy się w drzwiach z obietnicą, że dokończymy spotkanie kilka dni później. Ale nie zobaczyłam go nigdy więcej.

\* \* \*

Być może dlatego, że nie chciał podjąć rozmowy, w której – o czym wiedział – nie był szczerzy. Albo dlatego, że to, co powiedział mi o Palestyńczykach, było jednym wielkim



kłamstwem? Z tego fotela, w którym był pogrążony, ukazał się jako tak z nimi solidarny, tak tolerancyjny, tak pragnący pokoju. Przeżuwał słowo pokój z takim samym zapalem, z jakim żuje się gumę. Potem, po pięciu miesiącach, podburzył swoich Beduinów przeciwko fedainom, których zdziesiątkował w przerażającej krwawej łaźni, w masakrze, znanej dziś jako czarny wrzesień. Fedaini bronili się, walka trwała kilka dni. Jednak nadaremnie. Zostali zaatakowani ze zbyt dużego zaskoczenia i nie mogli poradzić sobie z całą armią. Również w obozach uchodźców były tysiące zabitych. Ten, kto widział tamte ofiary, przyznaje, że oddziały Husajna były bezlitosne. Niektórym, po wcześniejszym związaniu, obcięto genitalia, nogi, ręce. Innym ścięto głowy. Wśród ofiar były staruszki, dzieci... Brzydka, bardzo brzydka historia. W istocie cały cywilizowany świat zareagował z obrzydzeniem, potępiając Husajna. Wielu uznało, że podobnym gestem zaognił sytuację, że od tej chwili będzie dużo gorzej. Nie pomylili się, ponieważ ci, którzy ocaleli, schronili się w Libanie i tam odzyskali siły, wzmagając terroryzm, coraz bardziej stosując go w Europie, nawet w krajach, które spoglądały na nich z przyjaźnią i zrozumieniem, stąd rzezie w Monachium, Fiumicino, Zurychu. Czy mam gardzić Husajnem, bo mnie okłamał? Nie wiem, nie sędzę. Ten, kto jest przywódcą państwa tak udręczonego jak jego kraj, na pewno nie może ujawniać przed wrogiem swojej strategii, a tym bardziej nie może odsłaniać się przed dziennikarzem. Skoro jego sposób uwolnienia się od fedainów opierał się na raptownym zwrocie i na nieoczekiwanej jatce, nie miał innego wyboru jak mnie okłamać. Kłamał jednak zbyt dobrze i kłamstwo to pokazuje człowieka, który jest tragiczny, to prawda, ale też zdradliwy. Tragiczny z przeznaczenia, zdradliwy z konieczności. Kto chciałby znaleźć się na miejscu Husajna?

*ORIANA FALLACI. Wasza Wysokość, ale kto rozkazuje w Jordanii? Na posterunkach zatrzymują fedaini, na granicach atakują fedaini, w wioskach decydują fedaini. Nie jest już paradoksem stwierdzenie, że ustanowili oni państwo wewnątrz pańskiego państwa.*

HUSAJN. Wiele rzeczy nie jest w porządku, wiem. Nadużycia, zajmowanie pozycji, na które nie mogę pozwolić. Czasami wywołuje to tarcia. Rozmawiałem o tym długo z ich przywódcami, powoływałem się na porozumienia, których zobowiązali się przestrzegać, a których często nie przestrzegali. Jordania jest państwem suwerennym. Jednocześnie Jordania jest krajem, który płaci za represje Izraelczyków. Na te moje słowa ich przywódcy zareagowali jak rozsądni ludzie i sędzę, że pewne rzeczy się zmieniają. Ale jesteśmy dalecy od stwierdzenia, że wszystko odbywa się tak, jak bym chciał, by się odbywało. A jednak... kiedy mnie pytają,

dlaczego nie powstrzymuję fedainów, dlaczego ich nie wyrzucam... odpowiadam: nie powstrzymam ich, nie wyrzucę ich. Nie dlatego, że nie mogę, ale dlatego, że nie chcę. To nieprawda, że jestem więźniem fedainów, tak jak mówi izraelska propaganda. To nieprawda, że nie mogę ich kontrolować. Prawdą jest, że nie chcę ich kontrolować. Ponieważ oni mają wszelkie prawo, by walczyć, by stawiać opór. Cierpią od dwudziestu lat, a Izraelczycy okupują ich ziemię. Ta ziemia jest również terytorium jordańskim, kto, jeśli nie Jordania, powinien im pomóc? Proszę nie zapominać, że duża część mojej ludności jest palestyńska, proszę nie zapominać, że tragedia uchodźców jest bardziej oczywista tutaj niż gdzie indziej. Muszę być z nimi.

*Ale oni nie są z panem, Wasza Wysokość. Nie znalazłam wśród fedainów wiele przyjaźni wobec pana. Często zaś spotykałam się, jakby to powiedzieć, z wrogością.*

Kiedy ludzie cierpią z powodu nadużyć i noszą w sercach gniew, ich działania mają niekontrolowane konsekwencje. Boli mnie to, ale nie zniechęca. Dojdziemy do porozumienia, ich przywódcy nie są głupcami, a ja jestem optymistą. Oczywiście jest to męczące, czasem bolesne. Ale w życiu trzeba dokonywać wyborów i potem być im wiernym. Ja wybrałem, że przyjmę fedainów, i jestem wierny mojemu wyborowi. Nawet jeśli moja postawa może się wydawać donkiszotowska albo naiwna... pewnego dnia będziemy przecież musieli dojść do pokojowego rozwiązania.

*Wasza Wysokość, pan naprawdę wierzy w pokojowe rozwiązanie?*

Tak, wierzę. Zawsze akceptowałem rezolucję zaproponowaną przez Radę Bezpieczeństwa ONZ, zawsze o nią walczyłem i nadal będę walczył. Moja postawa jest jasna: mówię i powtarzam, że wszystko, co mają zrobić Izraelczycy, to wycofać się z terytoriów zajętych w 1967 roku. Nie ma innego sposobu osiągnięcia pokoju. Ale Izraelczycy nie chcą się wycofać, nie chcą pokoju.

*Przyjmując rezolucję Rady Bezpieczeństwa, przyznaje pan Izraelowi prawo do istnienia. Słowem, nie zaprzecza pan, że Izrael jest faktem historycznym, niedającym się wyeliminować.*

Nie, nie zaprzeczam. Przyjęcie tej rezolucji zakłada automatycznie uznanie Izraela. Oznacza, że wierzę w możliwość pokojowego współżycia z Izraelem.

*Ale jest to dokładnym przeciwieństwem tego, czego chcą fedaini, Wasza Wysokość! Fedaini chcą zniszczyć Izrael, nie uznają prawa Izraela do istnienia. Fedaini uważają za swego wroga, a wręcz zdrajcę, każdego, kto przyjmie rezolucję zaproponowaną przez Radę*

*Bezpieczeństwa ONZ. Odrzucają każdy pokojowy kompromis, nie uchylają się od wojny, domagają się wojny. Wasza Wysokość, jak może pan pogodzić swoją pozycję z pozycją fedainów?*

Pozornie jest nie do pogodzenia, ale jestem pewny, że prędzej czy później fedaini przekonają się, iż trzeba osiągnąć pokojowy kompromis. Ponieważ również inne państwa arabskie przekonają ich o takiej konieczności. Poza tym, jeśli dobrze się zastanowić, nie ma dużej różnicy między moim poszukiwaniem pokoju a ich wolą wojny. Na Zachodzie może się to wydawać paradoksem, ale dla nas, którzy mamy bardziej elastyczną mentalność, paradoksu nie ma, zarówno ja, jak i fedaini chcemy, żeby uznano nasze prawa. A ja nigdy nie zaakceptuję pokoju, który nie uzna naszych praw, ich praw. Powiem pani, że jeśli Izrael przyjąłby rezolucję Rady Bezpieczeństwa, ataki komandosów by ustały, komandosi nie mieliby dłużej racji bytu. To upór Izraelczyków prowokuje istnienie komandosów, a nie odwrotnie.

*Pozwoli pan, że się nie zgodzę, Wasza Wysokość. Fedainom wcale nie wystarczy, że Izraelczycy wycofają oddziały z okupowanych terytoriów. Jeśli Izraelczycy wycofaliby oddziały, fedaini kontynuowałiby ataki coraz głębiej. Również dlatego Izraelczycy się nie wycofują.*

Ja muszę wierzyć, chcę wierzyć, że tak nie jest. Ja muszę wierzyć w pokój, ktoś musi weń wierzyć...

*Wasza Wysokość, mówiąc o państwie palestyńskim, które chcą ustanowić, przywódcy fedainów wciąż powtarzają, że będzie ono obejmowało terytorium na lewym brzegu Jordanu: słowem Zachodni Brzeg. Ale czy terytorium to nie należy do królestwa Jordanii?*

Tak, ale jest niemal całkowicie zamieszkałe przez Palestyńczyków, to Palestyna. Zatem to normalne, że Palestyńczycy chcą prędzej czy później o nie się upomnieć. A żeby dochować wierności wyborom, jakich dokonałem, jest równie normalne, że ja się nie sprzeciwiam. Kiedy nadejdzie właściwy moment, poproszę Palestyńczyków z Zachodniego Brzegu, żeby zdecydowali, czy chcą zostać z Jordanią, czy dostać niepodległość. Powiem im: sami zdecydujcie o waszej przyszłości. Następnie zaakceptuję ich decyzję.

*Ale co pozostanie wówczas z Jordanią?*

Zostanie... to, co zostanie. Doskonale wiem, że Zachodni Brzeg stanowi najbardziej urodzajne tereny Jordanii. Zajmując je, Izraelczycy wyrządzili nam ogromną szkodę gospodarczą. Ale znów pojawia się konieczność wyboru: interesy czy sumienie. Kiedy król, słowem, szef państwa, twierdzi, że uznaje prawo do samostanowienia narodów, musi się do tego w pełni stosować. Bardzo łatwo jest być liberalnym w słowach, bardzo trudno w czynach. Nawet

kiedy ta wojna się skończy, Jordania będzie krajem, który zapłaci najokrutniejszą i najbardziej gorzką cenę ze wszystkich.

*Ta część Jordanii, z której gotów jest pan zrezygnować, obejmuje Jerozolimę, Wasza Wysokość.*

Tak... ale Jerozolima nigdy nie będzie mogła być niczyją prywatną własnością. Jerozolima jest tak samo święta dla muzułmanów, jak dla chrześcijan i jak dla żydów. W tej sprawie my, Arabowie, jesteśmy wszyscy zgodni. Zatem najbardziej palącą kwestią jest, by także Izraelczycy zdali sobie z tego sprawę i uznali nasze prawa do arabskiej części Jerozolimy. Aby nie żądali przyłączenia jej do Izraela. Pani podkreśla przyszłe spory w świecie arabskim, a zapomina, że to Izraelczycy chcą nas zmiażdżyć swoim ekspansjonizmem.

*Wasza Wysokość, spory te nie należą do przyszłości: należą do teraźniejszości. Jedność arabska nie istnieje, zobaczyliśmy to w Rabacie.*

Konferencja w Rabacie nie była przydatna, ale ja zawsze wiedziałem, że jedności arabskiej nie osiągnie się przy stoliku, zbierając w jednej sali przywódców różnych państw arabskich. Osiąga się ją tylko poprzez osobne kontakty pomiędzy poszczególnymi państwami, powoli, cierpliwie. My i Syria, my i Egipt... Byłem wielokrotnie w Egipcie i znów tam wrócę, bowiem każde spotkanie jest bardziej owocne, niż się zdaje. Krawędzie stają się bardziej zaokrąglone, wyjaśnia się szczegóły...

*Także z Egiptem, z Naserem? A propos Nasera: to zawsze pan jeździ do niego, Wasza Wysokość. Naser nigdy nie przyjeżdża do pana. Czy można wyciągnąć z tego wnioski?*

Podróżuje ten, kto mniej boi się podróżować; niektórym samolot przeszkadza, bo zbyt zależy im na życiu. Powiedzmy tak: mnie samolot nie przeszkadza, nie boję się podróżować, żeby znaleźć przyjaciół.

*Nawet kiedy przyjaciele próbują pana strącić, jak się to zdarzyło z syryjskimi migami? Mylę się, Wasza Wysokość, czy to zawsze pańscy arabscy przyjaciele, jak Naser, chcą pana zabić?*

Nie chcę o tym rozmawiać... Nie trzeba o tym rozmawiać... Arabowie są moimi sojusznikami, moimi przyjaciółmi...

*Wiem, Wasza Wysokość. Ale my, Włosi, mamy przysłowie, które w pańskim przypadku można tak odwrócić: Strzeż mię, Boże, od wrogów, bo z przyjaciółmi sam sobie poradzę. Pan,*

*kiedy udaje się do przyjaciół, zawsze zabiera ze sobą pistolet. Jest pan pewny, że pistolet wystarczy, by zapewnić panu bezpieczeństwo?*

Ludzie z Zachodu wciąż się boją, że zostaną zamordowani. Pierwsza rzecz, o jaką mnie pytają, to: nie boi się pan, że zostanie zamordowany? Nie, nawet o tym nie myślę. Przysięgam. Byłem już tyle razy twarzą w twarz ze śmiercią, że przywykłem do ryzyka jak do dnia i do nocy. Zresztą, gdybym pozwolił ovladnąć się ideą śmierci, nie wychodziłbym z domu, a nawet tam nie czułbym się pewnie. Jestem Arabem, wierzę w przeznaczenie: niech się dzieje wola Boga, a jeśli coś ma się zdarzyć, to się zdarzy.

*Wszyscy, którzy bawią się ryzykiem fizycznym, mówią o nieuchronności, Wasza Wysokość.*

Nie, to nieprawda, że lubię ryzyko, żaden inteligentny człowiek nie lubi igrać z życiem. Ale ryzyko stało się dla mnie naturalnym elementem istnienia, tym, czym jest woda dla ryby. Ryba nie zdaje sobie nawet sprawy, że żyje w wodzie, ponieważ nie mogłaby żyć gdzie indziej. Lubię sport, to prawda, sport zawsze daje margines ryzyka albo nie jest sportem. Ale nie uprawiam go z tego powodu, uprawiam go, bo potrzebuję ruchu, ćwiczeń. Kiedyś ktoś mnie zapytał, czy zaletą, jaką najbardziej podziwiam u człowieka, jest odwaga. Zawahałem się, zanim odpowiedziałem „tak”. Oczywiście, że podziwiam odwagę, człowiek bez odwagi nie jest człowiekiem. Jednak odwaga fizyczna nie wystarczy, jeśli nie towarzyszy jej inteligencja, a tym, co najbardziej podziwiam w człowieku, jest inteligencja. Tylko dzięki niej rozwiązuje się problemy, nie dzięki determinacji.

*Ona też nie wystarczy, Wasza Wysokość. Udowadnia to pański przypadek. Wasza Wysokość, mówił mi pan wcześniej o wspaniałych planach, ale ja chciałabym odpowiedzieć panu realistycznym pytaniem: czy nie zdarza się panu nigdy, że ma pan już dość, że marzy pan o rzeczy najbardziej praktycznej, to znaczy, żeby posłać wszystko do diabła, wycofać się i żyć w spokoju?*

Tak... obawiam się, że tak. Są dni, kiedy człowiek, który zajmuje się tym co ja, naprawdę tak myśli. Budzi się rano i mówi: dosyć... Każdy poranek jest dylematem: kontynuować czy nie? I kończę każdy poranek, rozwiązując ten dylemat i mówiąc samemu sobie: kontynuować, musisz kontynuować. Widzi pani, ja nie urodziłem się, żeby być królem. Kiedy byłem chłopcem, a perspektywa zostania królem była jeszcze odległa, ponieważ wiedziałem, że po śmierci dziadka królestwo przejdzie na mojego ojca, myślałem, żeby wybrać sobie jakiś zawód. Wahałem się między zawodem adwokata i zawodem pilota. Studiowanie prawa jest przepiękne, jeśli wierzy się w prawo, tak jak ja w nie wierzę. Poza tym prawo jest poszukiwaniem wszystkich powodów;

byłbym znakomitym adwokatem, wiem to. Dialektyczna gra między słusznym i niesłusznym, między racją i jej brakiem... Tak, to jeszcze lepsze niż być pilotem. Choć prowadzenie samolotów to dla mnie porywająca radość: otwarte przestrzenie, technika... Kiedy prowadzę swój samolot, nigdy nie pozwalam, żeby drugi pilot przejął stery. Tymczasem dziadek umarł tak szybko, a... mój ojciec zachorował, i przyszło mi zostać królem. Tak młodo. Miałem zaledwie siedemnaście lat. Mało, zbyt mało. Gdyby pani wiedziała, jakie to było dla mnie trudne. Nic nie umiałem i myliłem się, myliłem... Przez tyle lat popełniałem błędy. Nauczyłem się bardzo późno.

*A kiedy się pan nauczył, spodobało się panu, Wasza Wysokość? Albo raczej postawmy to pytanie w sposób bardziej brutalny i uczciwy: czy dzisiaj Wasza Wysokość uważa, że warto?*

Cóż to za trudne, kłopotliwe pytanie. Już pani powiedziałem, że to nie ja wybrałem to zajęcie i że gdybym mógł, być może bym go nie wybrał. Ponieważ jeśli bycie szefem państwa jest wyrokiem z ograniczonym terminem, bycie królem jest wyrokiem dożywotnim. Jednak ja nie muszę stawiać sobie pytania, czy mi się podoba, czy nie, muszę postawić sobie pytanie, jak to robić, nawet jeśli mi się nie podoba. W każdej pracy zdarzają się dni zmęczenia, zniechęcenia, ale gdybyśmy mieli się temu poddać, byłibyśmy jak ludzie nieprzystosowani, którzy wciąż zmieniają zajęcie i w końcu każdą pracę wykonują źle. Nie, dopóki mój lud mnie chce albo dopóki jestem żywy wśród ludu, który mnie chce, nigdy nie porzucę pracy króla. Poprzysiągłem to samemu sobie, zanim uczyniłem to wobec innych. Nie tylko z uwagi na dumę, proszę mi wierzyć. Ale dlatego, że kocham tę moją ziemię. I myślę, że porzucenie jej, żeby żyć na Lazurowym Wybrzeżu, byłoby tchórzostwem, zdradą. Zatem zostaję tu. Nieważne, warto czy nie; niech kosztuje, ile ma kosztować. Jestem gotów stawić czoło każdemu; każdemu, kto próbuje mnie stąd usunąć.

*Amman, kwiecień 1972*

## Indira Gandhi

Ta niesamowita kobieta, która rządziła prawie pół miliardem ludzi i wygrała wojnę, której sprzeciwiały się Stany Zjednoczone i Chiny. Mówiło się, że nikt nie zdoła zrzucić jej z tronu, który demokratycznie sobie wywalczyła. Mówiło się, że będzie premierem Indii przez kolejnych dwadzieścia lat, a ponieważ niedawno skończyła lat pięćdziesiąt, może pozostać na tym stanowisku przez całe życie. W gruncie rzeczy była jedyną prawdziwą królową naszych czasów. A może jedną z niewielu postaci u władzy w epoce ubogiej w prawdziwe postaci u władzy? Przyjrzyj się dobrze liderom, którzy trzymają w ręku losy świata: z wyjątkiem dwóch albo trzech przypadków, zdają się apostołami szarości i przeciętności. W porównaniu z nimi Indira Gandhi wygrywała bezapelacyjnie jak rasowy koń. Była zresztą do tego przyzwyczajona. Czy kiedykolwiek przegrała?

Zrozumieć ją było przedsięwzięciem niepokojącym. Jej osobowość wymykała się wszelkim próbom zamknięcia jej w jakimś kolorze, konkretnym kształcie. Mieściła w sobie zbyt wiele rzeczy, a wszystkie wzajemnie sprzeczne. Wielu osobom się nie podobała. Określano ją jako arogancką, cyniczną, ambitną, bezlitosną. Zarzucano jej ideologiczną pobieżność, prowadzenie podwójnej gry, demagogię. Innym z kolei podobała się aż do zakochania. Określali ją jako silną, odważną, szczodłą, genialną. Wychwalali ją za zdrowy rozsądek, równowagę, uczciwość. Wśród tych, którzy jej nie lubili, często spotykałeś mężczyzn. Wśród tych, którzy ją lubili, często spotykałeś kobiety. W istocie trudno być mężczyzną i zaakceptować krążące w Indiach zdanie: „She wears the trousers all right. Umie nosić spodnie”. Innymi słowy, to niemożliwe być kobietą i nie poczuć się wyzwoloną, pomszczoną przez kolosalny sukces zaprzeczający wszystkim banałom, którymi usprawiedliwia się patriarchy i męską dominację w jakimkolwiek społeczeństwie. Ale czy rację mieli pierwsi? Czy rację mieli drudzy? Może i ci, i ci. Jak zawsze dzieje się z wielkimi postaciami historii, skazanymi na przeciwstawne osądy również po śmierci, prawda była po obydwu stronach. W każdym razie, żeby rządzić krajem, a szczególnie takim krajem, który nazywa się Indie, tak skłóconym, tak skomplikowanym, nie trzeba być świętym. Cokolwiek o tym mówi Henry Kissinger („Inteligencja nie jest potrzebna, żeby być przywódcą państwa. Cechą, która liczy się u przywódców państwa, jest siła. Odwaga, spryt i siła”), żeby rządzić takim państwem jak Indie, trzeba być inteligentnym. Ona świętą naprawdę nie była, pod każdym względem potrafiła pić z kielicha życia. Natomiast była

inteligentna. Udowadnia to na przykład ten wywiad. Przeprowadzić z nią wywiad było łatwiej, niż ją zrozumieć. Nie dlatego, że spotkać się z nią było łatwo, ale dlatego, że – jeśli zgodziła się na spotkanie – zachowywała się z zadziwiającym brakiem wyniosłości. Mówiła długo, nie każąc się prosić. Odpowiadała nawet wtedy, kiedy zdawało się, że nie może albo nie powinna, w ostateczności chroniąc się za zdaniami, które zaprzeczały i potwierdzały, na sposób wyroczeni wypowiedzianej sybilińskie zdania. Mam na myśli wypowiedzi polityczne. W kwestiach osobistych była spontaniczna. Niczego nie ukrywała, obnażała się, mówiła głosem łagodnym, modulowanym, niezwykle przyjemnym. Przyjemna była również jej twarz. Miała piękne orzechowe oczy, nieco smutne, i dziwny uśmiech, pobłażliwy, tajemniczy, budzący ciekawość. Nie przypominała nikogo, nawet te jej czarne pukle, które po lewej stronie rozjaśniały się dziwnym, siwym pasmem, niemal jakby srebrną błyskawicą. Jej ciało było szczupłe, drobne. Nosila tylko sari dopasowane do zachodnich sweterków. Było w niej wiele z Zachodu. Nawet w chwilach, w których zdawała się zakotwiczona w pradawną mądrość, eksplodowała nagle nowoczesnymi ideami. Znaną sprawą jest jej odpowiedź na moje pytanie o religię. Kiedy jest się przywódcą najbardziej religijnego ludu na świecie, trzeba odwagi, żeby powiedzieć, iż nie wierzy się w bogów, ale w Człowieka.

Należało jej słuchać, mając ciągle w pamięci, że nie jest zwyczajną kobietą, o zwyczajnym losie i o zwyczajnej przeszłości. Przynajmniej była córką Jawaharlala Nehru, a następnie uczennicą Mahatmy Gandhiego: dwóch legend, które ośmieliły się rzucić wyzwanie brytyjskiemu imperium i zapoczątkowały jego rozpad. W ich cieniu wyrosła, wykształciła się, ukształtowała. I jeśli dzisiaj Nehru wspomniany jest jako ojciec Indiry, do wczoraj Indira była znana jako córka Nehru. Jeśli dzisiaj nazwisko Gandhiego myli się z nazwiskiem Indiry (ona przyjęła je po mężu, a ten nie był krewnym Gandhiego), do wczoraj Indira zawdzięczała część swojej popularności temu, że nazywa się Gandhi. Jej przypadek to przypadek osoby, która urodziła się wśród wyjątkowych ludzi w wyjątkowych czasach. Rodzina Nehru była obecna w polityce od pokoleń. Jeden z dziadków był wśród założycieli Kongresu, partii, do której należy Indira. Rodzice byli członkami komitetu wykonawczego, tak samo jak jedna z ciotek, Widżaja Lakszmi Pandit, która będzie kandydować na stanowisko Sekretarza Generalnego ONZ. Jako dziecko Indira ciągnęła za wąsy nie tylko Mahatmę, ale wszystkich ważnych mężczyzn, którzy mieli zbudować Indie. Walka o niepodległość toczyła się na jej oczach, jej pierwszą szkołą życia były niespodziewane nocne wizyty policji, która przychodziła, żeby dokonać aresztowań.



Opowiada się, że potem otwierała drzwi przyjaciółom i mówiła: „Przykro mi, nie ma nikogo. Tata, mama, dziadek, babcia i ciocia są w więzieniu”. Również z tego powodu, kiedy miała osiem lat, wysłano ją do szkoły w Szwajcarii. Ale mając lat trzynaście, wróciła i założyła korpus małych partyzantów, Monkey Brigade. Sześć tysięcy dzieci, które nie zawsze odgrywały rolę kurierów, czasem atakowały angielskie koszary. Pod jej przewodnictwem. Z tego okresu pochodzą listy, które pisał do niej z więzienia Nehru: „Mój Księżycu, pamiętasz, jak byłaś zafascynowana Joanną d’Arc i chciałaś być do niej podobna? No więc w Indiach tworzymy historię jak za czasów Joanny d’Arc. Ja i ty mamy dużo szczęścia, że ją przeżywamy...”. Dzisiaj listy te zebrane są w dwóch książkach, z których korzysta się w szkołach.

Ona też była w więzieniu: przez trzynaście miesięcy, które – zgodnie z wyrokiem specjalnego trybunału – miały być siedmioma latami. Przebywała tam z mężem. Kiedy wróciła do Europy, żeby studiować w Somerville College w Oksfordzie, zapisała się do partii laburzystowskiej i poznała tam młodego adwokata z Bombaju, Feroze Gandhiego. On także zaangażowany był mocno w politykę. Ślub odbył się w Delhi w lutym 1942 roku. Sześć miesięcy później władze brytyjskie aresztowały oboje pod zarzutem działalności wywrotowej i był to początek trudnego małżeństwa, na pewno nie szczęśliwego. W 1947 roku, kiedy Nehru został premierem, Indira zamieszkała praktycznie z ojcem, który był wdowcem i potrzebował u swego boku kobiety. Feroze Gandhi nigdy nie zaakceptował takiego wyboru. Przeciwstawiał mu się aż do dnia śmierci, która nastąpiła w 1960 roku w wyniku zawału serca. Jednak nie dopiął swego. Również pod wpływem żalu wynikającego z nadmiernej uwagi, jaką Feroze poświęcał podobno innym kobietom, przez siedemnaście lat Indira była więcej z ojcem niż z mężem. Nazywano ją „pierwszą damą Indii”, „córką narodu”. Razem z ojcem podróżowała, przyjmowała szefów państw, prowadziła wiece. W 1956 roku weszła do komitetu wykonawczego partii. W 1958 roku została przewodniczącą partii i usunęła z niej ludzi, których podziwiała jako dziecko. Po śmierci Nehru, w 1964 roku, wydawało się nieuchronne, że zajmie jego miejsce. I w wyborach 1966 roku tak się stało: zdobyła 355 miejsc w parlamencie przeciwko 169. Potem, w wyborach 1970 roku, triumf był dwa razy większy. Jej biografia polityczna ma sporo punktów zbieżnych z karierą Goldy Meir, która doszła jak ona do władzy poprzez działalność partyjną. Ale podobieństwa między Goldą i Indirą na tym się nie kończą, ponieważ również Golda miała nieszczęśliwe małżeństwo, również Golda poświęciła dla władzy męża, którego kochała i z którym miała dwoje dzieci. Ich losy potwierdzają z przerażającą zgodnością, jak trudno utalentowanej kobiecie

realizować zdolności, a jednocześnie ocalić szczęście. Więcej niż trudno, jest to wręcz tragicznie niemożliwe. Paradoksalnie, trud i brak sprawiedliwości w byciu kobietą pokazują nam właśnie dwie kobiety, które dotarły na szczyt piramidy. Ogarnia cię wściekły ból, kiedy odkrywasz, że mężczyzna z przeznaczeniem może za nim podążać, nie rezygnując z rodziny, z miłości. Kobieta nie. Dla kobiety te dwie rzeczy nie mogą współistnieć. Albo współistnieją wyłącznie w tragedii.

Spotkałam Indirę Gandhi w jej gabinecie w pałacu rządowym. W tym samym gabinecie, który należał do jej ojca, dużym, chłodnym, bez żadnych ozdób. Siedziała, mała i drobna, za pustym biurkiem. Kiedy weszłam, wstała i wyszła mi naprzeciw, żeby podać mi rękę, potem na powrót usiadła i przerwała wstępy, patrząc na mnie w sposób, który oznaczał: proszę pierwsze pytanie, niech pani nie traci czasu, ja nie mam czasu do stracenia. Początkowo odpowiadała z rozważą. Potem otworzyła się jak kwiat i rozmowa popłynęła bez przeszkód, pośród wzajemnej sympatii. Spędziłyśmy razem ponad dwie godziny, a po zakończeniu wywiadu wyszła ze mną z biura, żeby odprowadzić mnie do czekającej na ulicy taksówki. Idąc wzdłuż korytarzy i po schodach, trzymała mnie pod ramię, jakby znała mnie od zawsze, i dalej gawędziła. Roztargnionym gestem odpowiadała na pozdrowienia urzędników. Wyglądała tamtego dnia na zmęczoną, a ja nagle zawołałam: „W gruncie rzeczy nie zazdrozczę pani i nie chciałabym znaleźć się na pani miejscu”. A ona powiedziała: „Problemem nie są kłopoty, jakie mam, ale idioci, którzy mnie otaczają”. Czterdzieści osiem godzin później, po znalezieniu w wywiadzie pewnych luk, chciałam się z nią raz jeszcze zobaczyć i nie zważając na ceremoniał, udałam się do jej domu, skromnej willi, którą dzieli z synami Rajivem i Sanjayem. Nikt nie był bardziej przystępny niż Indira Gandhi; zauważyłaś to rano, kiedy przyjmowała ludzi, którzy przychodzili do niej z petycjami, protestami, wieńcami kwiatów. Nacisnęłam dzwonek, otworzyła mi sekretarka, a ja zapytałam, czy pani premier może mi podarować jeszcze pół godziny. Sekretarka odpowiedziała: „Zobaczmy”, po czym oddaliła się i wróciła z Indirą. „Proszę siadać, napijemy się herbaty”. Usadowiłyśmy się w salonie wychodzącym na ogród i rozmawiałyśmy jeszcze przez godzinę. Poza sprawami, o które ją pytałam, opowiedziała mi o synu Rajivie, który ożeniony był z Włoszką i pracował jako pilot w Indian Airlines, a potem o młodszym, Sanjayu, który projektował samochody i był jeszcze kawalerem. Na koniec zawołała ślicznego, ciemnego chłopca, który bawił się na trawie i obejmując go czule, wyszeptała: „Oto mój wnuk, oto mężczyzna, którego kocham najbardziej na świecie”. Widok tej kobiety o wielkiej władzy przytulonej do dziecka robił dziwne wrażenie. Przywodził ci na pamięć niesprawiedliwość, o

której wspominałam, samotność przytłaczającą kobiety zmuszone bronić własnego przeznaczenia.

Wywiad z Indirą miał dalszy ciąg. Kiedy Bhutto go przeczytał, rozszłościł się i, zazdrosny, kazał mnie wezwać, żebym wysłuchała także jego. Ale to historia, którą opowiem później, w rozdziale poświęconym Bhutto. Jest to mała historia wewnątrz Historii. W istocie historią, która się liczy, jest upadek Indiry. Nastąpił nagle, kiedy ta niewiarygodna kobieta uwierzyła, że może narzucić swoją osobowość epoce, która nie może już sobie pozwolić na to, żeby zależeć od jednostki, i tyle. Pośliznęła się na skórce banana i to był nieuchronny koniec.

*ORIANA FALLACI. Pani Gandhi, jest wiele pytań, które chciałabym zadać: osobistych i politycznych. Do osobistych przejdę jednak później: kiedy zrozumie, dlaczego wielu ludzi się pani boi i mówi, że jest pani chłodna, a wręcz zimna, twarda...*

INDIRA GANDHI. Mówią tak, ponieważ jestem szczerą. Aż nazbyt szczerą. Również dlatego, że nie tracę czasu na kwieciste pogaduszki, jak to jest w zwyczaju w Indiach, gdzie pierwsze pół godziny zajmują grzeczności: „Jak się pani czuje, co u dzieci, co u wnuków, itd.”. Ja odmawiam takich kwiecistych pogaduszek. A grzeczności, jeśli już, zostawiam na czas po wykonaniu pracy. Ale w Indiach nigdy nie mogli przełknąć takiego mojego zachowania i kiedy mówię: „Przejdźmy do sedna, szybko!”, źle to przyjmują. Myślą więc, że jestem chłodna, wręcz zimna, twarda. Jest jeszcze inny powód związany z moją otwartością: nigdy nie gram. Nie umiem grać, pokazuję się zawsze taka, jaka jestem, z takim nastrojem, jaki właśnie mam. Jeśli jestem zadowolona, okazuję zadowolenie; jeśli jestem zagniewana, okazuję gniew. Nie przejmując się tym, jak zareagują inni. Kiedy miało się tak trudne życie jak ja, człowiek nie przejmuje się tym, jak reagują inni. Teraz proszę strzelać. Może mnie pani pytać, o co zechce.

*Znakomicie. Zacznę od najbardziej brutalnego pytania. Wygrała pani wojnę, bezapelacyjnie. Jednak wielu z nas uważa to zwycięstwo za niebezpieczne. Czy naprawdę sądzi pani, że Bangladesz jest takim sojusznikiem, na jakiego pani liczyła? Nie obawia się pani, że może okazać się bardzo niewygodnym ciężarem?*

Proszę posłuchać, życie jest zawsze pełne niebezpieczeństw, a ja nie sądzę, żeby należało ich unikać. Uważam, że trzeba robić to, co wydaje się nam słuszne. A jeśli to, co wydaje się nam słuszne, niesie ze sobą niebezpieczeństwo... to dobrze, trzeba zaryzykować. Taka była zawsze moja filozofia, nigdy nie myślałam o konsekwencjach koniecznego gestu. Konsekwencjom przyglądałam się później, kiedy pojawia się nowa sytuacja, i wówczas mierzę się z tą nową

sytuacją. Koniec, kropka. Mówi pani, że to zwycięstwo jest niebezpieczne. Ja mówię, że dziś nikt jeszcze nie może powiedzieć, że jest niebezpieczne, że dziś nie widzę zagrożeń, o których pani napomyka. Kiedy jednak zagrożenia te będą się miały urzeczywistnić... będę się zachowywać zgodnie z nową sytuacją. Mam nadzieję, że brzmi to pozytywnie. Chcę odpowiadać pani w sposób pozytywny. Chcę oświadczyć, że między Bangladeszem a nami będzie przyjaźń. Oczywiście nie będzie to przyjaźń jednostronna, nikt nie robi niczego dla niczego, każdy ma coś do dania i coś do wzięcia. Jeśli zaoferujemy coś Bangladeszowi, to jasne, że Bangladesz zaoferuje coś nam. A dlaczego Bangladesz nie mógłby dotrzymywać danych obietnic? Gospodarczo ma pełno zasobów i może stanąć na nogi. Politycznie wydaje mi się kierowany przez sprawnych ludzi. Uchodźcy, którzy się tu schronili, zaczynają wracać do domu...

*Naprawdę zaczynają wracać?*

Tak, dwa miliony już wróciły.

*Dwa miliony z dziesięciu. To niewiele.*

Nie, ale proszę dać im czas. Wracają szybko. Dosyć szybko. Ja jestem zadowolona. Bardziej, niż się spodziewałam.

*Pani Gandhi, wspominając o niebezpieczeństwach związanych z pani zwycięstwem, nie odnosiłam się tylko do Bangladeszu. Miałam też na myśli Bengal Zachodni, który jest w Indiach, a który burzy się teraz w sprawie swojej niepodległości. Słyszałam naksalitów w Kalkucie... Jest takie zdanie Lenina, które brzmi: „Rewolucja światowa przejdzie przez Szanghaj i przez Kalkutę”.*

Nie. To niemożliwe. Wie pani dlaczego? Ponieważ w Indiach już się dzieje rewolucja. Sprawy już się tu zmieniają, pokojowo i demokratycznie. Zagrożenie komunizmem nie istnieje. Istniałoby, gdyby zamiast mojego rządu był tu rząd prawicowy. W istocie komuniści urosli w Indiach w siłę, kiedy naród myślał, że moja partia zbacza na prawo. Miał rację, w obliczu takiej groźby nie pozostawał mu inny wybór, jak tylko rzucić się ku skrajnej lewicy. Ale teraz, kiedy naród dostrzega nasze wysiłki, kiedy widzi, że rozwiązujemy problemy, komuniści tracą na sile. Jeśli chodzi o naksalitów z Bengalu Zachodniego, są całkowicie pod kontrolą i jestem pewna, że również ci z Bangladeszu zostaną objęci kontrolą. Nie, nie spodziewam się przykrości.

*Pewnych przykrości w Bangladeszu już pani przysporzono. Po wyzwoleniu widziałam w Dhace przerażające lincze.*

Wydarzyły się w ciągu pierwszych pięciu dni i było ich niewiele w porównaniu z masakrami, jakich dokonali inni, w porównaniu z milionem istot, które inni zamordowali. Chodziło o nieszczęśliwe epizody, to prawda, a my próbowaliśmy im zapobiec. Gdyby pani wiedziała, ilu ludzi ocaliliśmy! Ale nie mogliśmy być wszędzie, nie mogliśmy widzieć wszystkiego, było nieuniknione, że coś nam umknie. We wszystkich społecznościach są grupy, które zachowują się źle. Ale je również trzeba zrozumieć. Ludzie byli tacy wściekli, zaślepieni urazą. Żeby oddać sprawiedliwość, nie należy brać pod uwagę tego, co pani widziała przez kilka dni, ale to, co oni widzieli i wycierpieli przez wiele miesięcy.

*Pani Gandhi, zna pani oskarżenie, według którego to wy, Hindusi, mieliście sprowokować tę wojnę i zaatakować jako pierwsi. Co pani na to?*

Odpowiadam, oświadczając, że jeśli chcemy bardzo cofnąć się w czasie, to my pomogliśmy Mukti Bahini. Zatem jeśli rozważa pani wszystko, poczynając od tamtej pomocy, tak, to my zaczęliśmy. Ale nie mogliśmy postąpić inaczej. Nie mogliśmy trzymać dziesięciu milionów uciekinierów na naszej ziemi, nie mogliśmy znosić tak niestabilnej sytuacji przez nie wiadomo ile czasu. Taki napływ uchodźców nie skończyłby się, przeciwnie. Trwałby i trwał, i trwał, aż doszłoby do eksplozji. Nie byliśmy już w stanie kontrolować przybywania tych ludzi, w naszym interesie leżało, by ich zatrzymać! Właśnie to powiedziałam panu Nixonowi i wszystkim innym szefom państw, których odwiedziłam, żeby zażegnać wojnę. Ale jeśli weźmie się pod uwagę początek prawdziwej wojny, można bez trudności zauważyć, że pierwsi zaatakowali Pakistańczycy. To oni runęli na nas samolotami o piątej owego popołudnia, kiedy pierwsze bomby spadły na Agrę. Mogę pani udowodnić, że zostaliśmy całkowicie zaskoczeni. Koniec tygodnia to jedyny moment, kiedy jako członkowie rządu możemy opuścić Delhi, i proszę bardzo: niemal nikogo z nas nie było w Delhi. Ja pojechałam do Kalkuty. Minister obrony pojechał do Patny, a stamtąd miał się udać do Bangalore, na południu. Minister finansów pojechał do Bombaju i właśnie docierał do Puny. Szef sił zbrojnych był jeszcze gdzie indziej, nie pamiętam gdzie. Musieliśmy wszyscy popędzić z powrotem do Delhi i dlatego nasze oddziały przeszły do kontrofensywy dopiero następnego dnia, a nie w przeciągu kilku godzin. To dlatego Pakistańczycy zdołali zająć niektóre tereny. Naturalnie byliśmy przygotowani, wiedzieliśmy, że coś się stanie. Ale tak naprawdę byliśmy gotowi tylko na ataki powietrzne. Gdyby nie to, wykończyliby nas.

*Pani Gandhi, wspomniła pani o podróży, którą odbyła do Europy i Ameryki, żeby zażegnać konflikt. Czy może powiedzieć pani dzisiaj prawdę na temat tego, co się zdarzyło? Jak poszło z Nixonem?*

Odbyłam tę podróż, wiedząc, że jestem jak dziecko, które zatyka dziurę w tamie, wkładając w nią palec. Są takie sprawy, że... nie wiem... nie można... A tymczasem tak! Prawda jest taka, że rozmawiałam otwarcie z panem Nixonem. Powiedziałam mu to, co już wcześniej powiedziałam panu Heathowi, panu Pompidou, panu Brandtowi. Powiedziałam mu bez ogródek, że nie możemy zostać z dziesięcioma milionami uchodźców na karku, nie możemy dłużej trzymać lontu tak zapalnej sytuacji. No więc pan Heath, pan Pompidou i pan Brandt zrozumieli to bardzo dobrze. Tymczasem pan Nixon nie. Fakt jest taki, że kiedy ktoś rozumie jakąś sprawę, pan Nixon rozumie coś innego. Ja podejrzewałam, że on jest bardzo propakistański. A wręcz wiedziałam, że Amerykanie byli zawsze przychylni Pakistanowi, nie dlatego, że sprzyjali Pakistanowi, ale dlatego, że byli przeciwko Indiom. W ostatnich latach miałam jednak wrażenie, że się zmieniają, nie tyle, żeby stać się mniej propakistańscy, ile żeby stać się mniej antyindyjscy. Myliłam się. Moja wizyta u Nixona zupełnie nie przyczyniła się do zażegnania wojny. Posłużyła tylko mnie, bo przekonałam się, że kiedy ludzie robią coś przeciwko tobie, to coś obraca się zawsze na twoją korzyść. Przynajmniej możesz tego użyć dla własnego pożytku. Jest to prawo życia; proszę spróbować, a zobaczy pani, że sprawdza się ono w każdym przypadku. Wie pani, dlaczego wygrałam ostatnie wybory? Ponieważ podobałam się ludowi, tak, ponieważ ciężko pracowałam, tak, ale również dlatego, że opozycja źle się wobec mnie zachowała. A wie pani, dlaczego wygrałam tę wojnę? Ponieważ moja armia potrafiła tego dokonać, tak, ale również dlatego, że Amerykanie stali po stronie Pakistanu.

*Nie rozumiem.*

Już pani wyjaśniam. Ameryka zawsze sądziła, że pomaga Pakistanowi. Ale gdyby mu nie pomagała, Pakistan byłby silniejszym krajem. Nie pomaga się krajowi, wspierając reżim wojskowy, który odrzuca każdy przejaw demokracji, a tym, co zgubiło Pakistan, był jego reżim wojskowy. Ten reżim popierany przez Amerykanów. Czasami przyjaciele są groźni. Trzeba bardzo uważać na pomoc, jakiej udzielają ci przyjaciele.

*A Chińczycy? Po stronie Pakistanu byli także Chińczycy, a jeśli się nie mylę, Chiny są największym potencjalnym wrogiem Indii.*

Nie. Nie widzę powodu, dlaczego my i Chińczycy mielibyśmy być wrogami. My nie chcemy być ich wrogami. Jeśli oni tego chcą, nie możemy nic zrobić, ale nie uważam, żeby naprawdę tego chcieli, ponieważ nie sądzę, by w ostatecznym rozrachunku mogło im to służyć. Jeśli chodzi o postawę, jaką przyjęli podczas tej wojny... cóż, uważam, że byli zręczniejsi od Amerykanów. Na pewno mieli lżejszą rękę, gdyby chcieli, mogli zrobić dużo więcej dla Pakistanu. Tak czy nie? Siódmą Flotę do Zatoki Bengalskiej wysłali Amerykanie, a nie Chińczycy. Ja, żeby nie ryzykować, nie usunęłam oddziałów z granicy z Chinami, ale nigdy nie wierzyłam, że Chińczycy się wtrącają, robiąc jakiś fałszywy krok. Innymi słowy, nigdy nie wierzyłam w groźbę trzeciej wojny światowej. Naturalnie, gdyby Amerykanie wystrzelili, gdyby Siódma Flota zrobiła coś więcej poza zatrzymaniem się w Zatoce Bengalskiej... tak, wybuchłaby trzecia wojna światowa. Ale, zupełnie uczciwie, taka obawa nawet mnie nie musnęła.

*Jakie to dziwne wrażenie rozmawiać o wojnie z panią, która została wychowana w kulcie niestosowania przemocy, pani Gandhi! Zastanawiam się, jak się pani czuła podczas tych dni konfliktu.*

Musi pani wziąć pod uwagę, że nie chodziło o moją pierwszą wojnę: stawiałam czoło innym. W każdym razie na temat braku przemocy opowiem pani pewną historię. Ledwie tylko Indie stały się niepodległe, w 1947 roku, Pakistan napadł na Kaszmir, który w owym czasie rządzony był przez maharadżę. Maharadża uciekł, a lud Kaszmiru, dowodzony przez szejka Abdullaha, poprosił o pomoc Indie. Lord Mountbatten, wówczas jeszcze gubernator generalny, odpowiedział, że nie będzie mógł udzielić Kaszmirowi pomocy, jeśli Pakistan nie wypowie mu wojny, i zdawał się nie przejmować faktem, że Pakistańczycy wyrzynają ludność. Tak więc nasi przywódcy postanowili podpisać dokument, w którym zobowiązują się przystąpić do wojny z Pakistanem. A Mahatma Gandhi, apostoł niestosowania przemocy, podpisał wraz z nimi. Tak, wybrał wojnę. Powiedział, że nie było innego wyjścia. Wojna jest nieunikniona, jeśli trzeba bronić czegoś albo bronić siebie.

*Problem w tym, że ja upieram się, by postrzegać tę wojnę jako wojnę między braćmi. Powiedziałam to też generałowi Aurorze i generałowi Niaziem. Obydwaj odpowiedzieli: „W gruncie rzeczy jesteście braćmi”.*

Nie w gruncie rzeczy, ale całkowicie. Hindusi i Pakistańczycy są dosłownie braćmi. Wiem, że była pani zdziwiona, bo po zajęciu Dhaki oficerowie pakistańscy i indyjscy ściskali sobie ręce. Ale czy zdaje sobie pani sprawę, że do 1965 roku w naszej armii i w armii

pakistańskiej można było spotkać generałów, którzy byli braćmi? Braćmi krwi, synami tego samego ojca i tej samej matki. Albo po jednej stronie był wuj, a po drugiej bratanek, tu jeden kuzyn, tam drugi. Zresztą jeszcze dziś to się zdarza. Powiem pani więcej: w pewnym momencie nawet dwaj ambasadorowie w Szwajcarii, ambasador Pakistanu i ambasador Indii, byli rodzonymi braćmi. Och, podział narzucony nam przez Anglików był tak nienaturalny! Posłużył tylko temu, żeby rozdzielić rodziny, rozbić je. Pamiętam przejmujące epizody. Ludzi, którzy emigrowali, ludzi, którzy nie chcieli emigrować... Wielu muzułmanów nie chciało opuścić Indii, żeby przenieść się do Pakistanu, ale propaganda głosiła, że będą tam mieli większe możliwości, więc wyjechali. Z drugiej strony wielu hindusów nie chciało zostać w Pakistanie, ale mieli tam powiązania albo majątki, więc zostali. Żeby stać się naszymi wrogami, co za absurd. Obłądny absurd, jeśli pomyśli pani, że walkę o niepodległość toczyliśmy wspólnie, muzułmanie i hindusi. Tak, również za panowania Anglików istniały wrogie grupy. Dochodziło do starć. Ale o tym dowiedzieliśmy się później, chodziło o starcia wywołane przez tych, którzy nie mieli interesu w tym, żebyśmy żyli wspólnie, mając już na widoku podział. Polityka dzielenia nas była zawsze wolą cudzoziemców, również po podziale. Gdyby Hindusi i Pakistańczycy pozostali razem... nie mówię jako kraje skonfederowane, ale jako kraje sąsiedzkie i zaprzyjaźnione... jak na przykład Włochy i Francja, proszę mi wierzyć, i oni, i my dokonalibyśmy dużo większego postępu. Ale, jak się zdaje, nie było w interesie „kogoś”, żebyśmy poszli naprzód. W interesie „kogoś” było, żebyśmy wciąż toczyli wojnę, żebyśmy się zadręczali. Tak, skłonna jestem uniewinnić Pakistańczyków. Jak mieli się zachować? Zachęcali ich, żeby nas atakowali, dawali im broń, żeby nas atakowali. I oni nas atakowali.

*Bhutto mówi, że byłby skory do konfederacji z Indiami. Co pani o tym myśli, pani Gandhi?*

Wie pani... Bhutto nie jest człowiekiem bardzo zrównoważonym. Kiedy coś mówi, nigdy się nie rozumie, co chce przez to powiedzieć. Co chce powiedzieć tym razem? Że chce zostać naszym przyjacielem? My od dawna chcemy być jego przyjaciółmi, ja zawsze tego chciałam. Oto szczegół, którego ludzie z Zachodu nie znają. Prasa zachodnia zawsze podkreślała fakt, że Indie są wrogiem Pakistanu i vice versa, że hindusi są przeciwko muzułmanom i vice versa. Nigdy nie powiedziała na przykład, że moja partia zwalcza taką postawę, odkąd zostaliśmy rozdzieleni na dwa kraje. Od tamtej pory twierdzimy, że nienawiści religijne są błędne i absurdalne, że mniejszości nie mogą być usuwane z kraju, że ludzie różnych religii powinni żyć razem. Jak to



możliwe, żeby we współczesnym świecie ludzie mieli się zabijać z powodu religii?! Dzisiaj musimy się zajmować zupełnie innymi problemami! To problemy biedy, praw jednostki, zmian narzucanych nam przez technologię. Te rzeczywiście się liczą, bardziej niż religia! Ponieważ są to problemy uniwersalne, ponieważ dotyczą w równej mierze Pakistanu i nas. Ja nie mogę brać na poważnie kogoś, kto podnieca się, wrzeszcząc, że religia jest w niebezpieczeństwie i podobne bzdury. Niestety również w Indiach są tacy, którzy mówią w ten sposób. To ci sami, którzy stwierdzają: „Nigdy nie powinniśmy byli zaakceptować istnienia Pakistanu. Teraz istnieje i trzeba go zniszczyć”. Chodzi jednak o nielicznych szaleńców, których masy nie słuchają. Nie znajdzie pani w Indiach propagandy przeciwko Pakistanowi. Podczas wojny było jej trochę, ale również w czasie wojny zdołaliśmy ją kontrolować. Pakistańczycy byli tym oszołomieni. W szpitalach polowych byli jeńcy, którzy krzyčili: „Jak to?! Pan jest hinduskim lekarzem i chce mnie leczyć?”. Mogę powiedzieć tylko tyle, że jeśli Bhutto wie, co mówi, mówi tylko to, co można powiedzieć. A gdyby tak nie mówił, jaka byłaby jego przyszłość? Opowiadają mi, że Bhutto jest ambitny. Ja mam nadzieję, że jest bardzo ambitny, ambicja może mu pomóc zobaczyć rzeczywistość.

*Nawias, pani Gandhi: pani nie jest religijna, prawda?*

Cóż... zależy, co ma pani na myśli, mówiąc słowo „religia”. Oczywiście nie chodzę do świątyń i nie modlę się do bogów czy coś w tym rodzaju. Ale jeśli jako religię rozumiemy wiarę nie w bogów, ale w ludzkość, próbę uczynienia człowieka lepszym i trochę szczęśliwszym, wówczas tak, jestem bardzo religijna.

*Mam nadzieję, że nie było to niewygodne pytanie, pani Gandhi.*

Nie, dlaczego?

*Natomiast to będzie niewygodne. Proklamowała pani zawsze politykę niezaangażowania, a w sierpniu podpisała pani traktat o przyjaźni indyjsko-radzieckiej. Czy między tymi dwiema sprawami nie ma sprzeczności?*

Nie, nie powiedziałabym. Co bowiem oznacza niezaangażowanie? Oznacza, że nie należymy do żadnego bloku wojskowego i że zachowujemy prawo do przyjaźni z każdym krajem, niezależnie od wpływu jakiegokolwiek kraju. Wszystko to pozostało niezmiennie po podpisaniu traktatu indyjsko-radzieckiego, a inni mogą mówić lub myśleć, co chcą; nasza polityka nie zmienia się za sprawą Związku Radzieckiego. Dobrze wiemy, że los Indii związany jest z pokojem na świecie. Niemniej traktat istnieje, mówi pani, i stawia nas wobec Związku

Radzieckiego w innej pozycji niż ta, jaką mamy wobec innych krajów. Tak, traktat istnieje. Lecz nie istnieje tylko po jednej stronie; proszę się przyjrzeć, jak jesteśmy usytuowani geograficznie, a wywnioskujecie pani, jak ważne są Indie dla Związku Radzieckiego. W sprawach międzynarodowych traktat jednak nic nie zmienia. To znaczy nie zabrania nam być przyjaciółmi innych krajów, co rzeczywiście ma miejsce. Nie zakazuje, byśmy prowadzili politykę niezaangażowania, co rzeczywiście się dzieje. I zapewniam panią, że nadal będziemy podejmować decyzje, nie przejmując się tym, czy podobają się one, czy też nie Związkowi Radzieckiemu, Chinom, Ameryce, Francji, czy komu tam jeszcze. Chce pani wiedzieć więcej? Miesiąc po podpisaniu traktatu ktoś zapytał Czou En-laja, co o tym myśli, a on odpowiedział: „To bez różnicy. Nie wiem, dlaczego miałyby to robić jakąś różnicę”.

*Mające nastąpić wkrótce otwarcie ambasady indyjskiej w Hanoi robi natomiast różnicę. Przewodniczy pani Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli w Wietnamie. Co to oznacza? Że zrezygnuje pani z zasiadania w tej Komisji i z przewodniczenia jej?*

Nie wiem... Problem oczywiście się pojawia... Ale nie myślałam jeszcze, jak go rozwiązać. A mówienie o tym... Porozmawiajmy więc na ten temat, i proszę posłuchać: Międzynarodowa Komisja Nadzoru i Kontroli niczego nie stanowi, nigdy o niczym nie postanowiła. Czemu służy zasiadanie w niej? Zanim zdecydowaliśmy, że otworzymy ambasadę w Hanoi, długo o tym myślałam, ale decyzja naprawdę nie była trudna. Polityka amerykańska w Wietnamie jest jaka jest, w Sajgonie panuje całkiem nienormalny stan rzeczy, a ja jestem zadowolona, że zrobiłam to, co zrobiłam.

*Mają więc rację ci, którzy uważają, że jest pani bardziej na lewo od swojego ojca?*

Proszę posłuchać, ja nie postrzegam świata jako czegoś podzielonego między prawicę a lewicę. Nic mnie nie obchodzi, kto jest na prawicy, kto na lewicy, a kto w centrum. Wyrażenia te, choć ich używamy, choć ja sama ich używam, straciły znaczenie. Nie interesuje mnie ten czy inny epitet, interesuje mnie tylko to, żeby rozwiązywać pewne problemy, żeby dotrzeć tam, gdzie chcę dotrzeć. Mam kilka celów. Są to te same cele, które miał mój ojciec: dać ludziom wyższy poziom życia, zlikwidować raka biedy, usunąć konsekwencje zacofania gospodarczego. Chcę te cele osiągnąć. I chcę to uczynić w jak najlepszy sposób, nie przejmując się tym, że ludzie określą moje działania jako lewicowe albo prawicowe. To ta sama historia jak wtedy, kiedy nacjonalizowaliśmy banki. Ja nie jestem za nacjonalizacją, za retoryką nacjonalizacji, nie jestem za nią też dlatego, że widzę w nacjonalizacji lekarstwo na wszelką niesprawiedliwość. Jestem za

nacjonalizacją w przypadkach, w których jest ona koniecznością. Kiedy mówiono o niej po raz pierwszy, w mojej partii nastąpił podział na nurt zwolenników i nurt przeciwników nacjonalizacji. Żeby nie doszło do rozpadu, zasugerowałam kompromis: dać bankom rok i zobaczyć, czy będą w stanie udowodnić nam, że nacjonalizacja nie jest potrzebna. Minął rok i zorientowaliśmy się, że niczemu to nie posłużyło, pieniądze nadal trafiały do rąk bogatych przemysłowców albo przyjaciół bankierów. Doszłam więc do wniosku, że należy nacjonalizować banki. I zrobiliśmy to. Nie uznając tego za gest socjalistyczny albo antysocjalistyczny, ale za gest konieczny. Kto nacjonalizuje tylko po to, żeby uznano go za lewicowca, jest dla mnie głupcem.

*Przy różnych okazjach używała pani jednak słowa socjalistyczny.*

Tak, ponieważ jest najbliższe temu, co chcę robić. Także dlatego, że we wszystkich społeczeństwach, w których wprowadzono jakąś formę socjalizmu, pewien stopień równości społecznej i ekonomicznej został osiągnięty. Również samo słowo socjalizm ma już wiele znaczeń i interpretacji. Rosjanie określają się jako socjaliści, Szwedzi określają się jako socjaliści. Wszyscy określają się jako socjaliści. Nie zapominajmy, że w Niemczech był też narodowy socjalizm.

*Pani Gandhi, a co dla pani znaczy słowo socjalizm?*

Sprawiedliwość. Tak, oznacza sprawiedliwość. Oznacza próbę pracy w bardziej równym społeczeństwie.

*Jednak w sensie pragmatycznym, wolnym od ideologii.*

Tak. Czemu bowiem służy pozostawanie przywiązaniem do jakiejś ideologii, jeśli poprzez nią niczego się nie osiąga? Ja też mam swoją ideologię: nie można pracować w próżni, trzeba w coś wierzyć. Jak mawiał mój ojciec, trzeba mieć otwartą głowę, ale trzeba też coś do niej wlewać, jeśli nie, myśli uciekną jak piasek między palcami. Fakt, że mam ideologię, nie oznacza jednak, że jestem indoktrynowana. Dzisiaj nie można poddawać się indoktrynacji, świat zmienia się tak szybko! Coś, czego chciałeś dwadzieścia lat temu, może być już niepotrzebne, jest przebrzmiałe. Widzi pani, dla mnie jedynym punktem, który pozostał niezmienny przez te wszystkie lata, jest fakt, że w Indiach istnieje wciąż tak wiele biedy. Duża część ludu nie korzysta jeszcze z dobrodziejstw, które powinna przynieść mu niepodległość, a zatem czemu służy wolność? Koniec końców, dlaczego chcieliśmy stać się wolni? Przecież nie po to, żeby wyrzucić Anglików i tyle. W tej kwestii wyrażaliśmy się zawsze jasno, zawsze mówiliśmy, że nasza walka nie jest skierowana wyłącznie przeciwko Anglikom jako przedstawicielom kolonializmu, jest

skierowana przeciwko całemu złu, jakie istnieje w Indiach. Złu systemu feudalnego, złu systemu opartego na kastach, złu niesprawiedliwości ekonomicznej. A więc to zło nie zostało wyplenione, po dwudziestu pięciu latach jesteśmy wolni politycznie, tak, ale bardzo dalecy od osiągnięcia celu, jaki sobie wyznaczaliśmy.

*Do jakiego zatem doszliście punktu?*

Trudno powiedzieć, ponieważ punkt docelowy ciągle się przesuwa. Czy kiedykolwiek wspinała się pani na górę? No właśnie, kiedy dociera się na szczyt, wydaje się nam, że osiągnęliśmy najwyższy punkt. Jest to jednak wrażenie, które trwa krótko. Szybko zauważamy, że wierzchołek, na który weszliśmy, jest jednym z najniższych, że wzniesienie stanowi część łańcucha górskiego, że gór, na które trzeba się wspiąć, jest bardzo wiele... A im więcej ich zdobywasz, tym bardziej chcesz się wspinać dalej, choć jesteś śmiertelnie zmęczony. Chcę powiedzieć, że bieda, tu w Indiach, ma różne oblicza. Nie chodzi tylko o biedaków, których widzi się w miastach, są też biedacy w plemionach, są biedacy żyjący w lasach, biedacy żyjący w górach. Czy mamy o nich zapomnieć, kiedy biedakom z miast żyje się już lepiej? Lepiej w stosunku do czego? Do tego, czego chciało się dziesięć lat temu? Wówczas zdawało się to dużo. Dzisiaj to już nie tak wiele. Tak więc, widzi pani, kiedy rządzi się krajem, a szczególnie krajem tak rozległym i złożonym jak Indie, nigdy niczego się nie osiąga. W chwili, kiedy sądzimy, że coś osiągnęliśmy, spostrzegamy, że dotarliśmy donikąd. A jednak trzeba iść dalej, w stronę marzenia tak odległego, że twoja droga nie ma już początku ani końca.

*A pani, pani Gandhi, do którego punktu na tej drodze dotarła?*

Nigdzie, a jednocześnie do bardzo ważnego punktu, to znaczy przekonałam Hindusów, że mogą działać. Wcześniej ludzie pytali nas: „Możesz to zrobić?”. A my milczeliśmy, ponieważ nie wierzyliśmy w siebie, nie wierzyliśmy, że możemy coś zrobić. Dzisiaj ludzie już nam nie mówią: „Możesz?”. Pytają: „Kiedy możesz?”. Ponieważ Hindusi wreszcie w siebie wierzą, wierzą, że mogą coś zrobić. Och, słowo „kiedy” jest takie ważne dla narodu, dla jednostki! Kiedy człowiek myśli, że nie da rady czegoś zrobić, nigdy nie da rady. Nawet jeśli jest bardzo inteligentny, nawet jeśli ma tysiąc talentów. Żeby stać się skutecznym, trzeba mieć zaufanie do samego siebie. A zatem sądzę, że jako naród zdobyliśmy zaufanie do samych siebie. Lubię myśleć, że to zaufanie ja im dałam. Lubię też myśleć, że – dając zaufanie – rozbudziłam dumę. Mówię, rozbudziłam, bo dumy się nie daje. Nie wybucha też nagle, to uczucie, które dojrzewa bardzo powoli, bardzo chaotycznie. Nasza duma urosła w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat,

choć inni tego nie rozumieli i nie doceniali. Wy z Zachodu nigdy nie byliście zbyt szczerzy w stosunku do nas, Hindusów. Powinniście byli zauważyć, że sprawy, choć wolno, zmieniają się. Powinniście byli zauważyć, że coś się zmienia. Niewiele, coś.

*Naprawdę nie dała pani swojemu ludowi również dumy, pani Gandhi? Pani jest taka dumna.*

Nie. Wcale nie jestem. Nie.

*Oczywiście, że pani jest. Czyż nie była aktem dumy odmowa przyjęcia pomocy, którą świat wam oferował podczas klęski głodu w 1966 roku? Pamiętam pewien statek załadowany mąką, jedzeniem, który nie opuścił nigdy portu w Neapolu. I wszystko się zepsuło, a tymczasem ludzie w Indiach umierali.*

Nic o tym nie wiedziałam. Nie, nie wiedziałam, że statek jest załadowany i gotowy do wypłynięcia, w przeciwnym razie nie odmówiłabym jego przyjęcia. Ale to prawda, że odrzuciłam pomoc zagraniczną. To prawda. Nie była to jednak moja osobista decyzja, cały kraj powiedział nie. Stało się to samo z siebie, proszę mi wierzyć, nagle. Tak, nagle pojawiły się napisy na murach. Pojawiły się plakaty. Ta odmowa eksplodowała w całych Indiach, w akcie dumy, który nawet mnie zaskoczył. Wtedy również partie polityczne, wszystkie, deputowani do parlamentu, powiedzieli nie: lepiej umrzeć z głodu, niż uchodzić za naród żebraków. Musiałam stać się wyrazicielką tej odmowy, powtarzać ją tym, którzy chcieli nam pomóc. Było to dla was trudne, rozumiem. Wierzę, że was to zraniło. Czasami raniły się nawzajem, nie wiedząc o tym.

*Myśmy nie chcieli was zranić.*

Wiem. Powtarzam, że to rozumiem. Ale trzeba też zrozumieć nas, byliśmy zawsze niedoceniani, lekceważeni, traktowani z niedowierzaniem. Nawet kiedy my wierzyliśmy, wy nam nie wierzyliście. Mówiliście: „Jak to możliwe walczyć bez przemocy?”. A my bez przemocy zyskaliśmy naszą wolność. Mówiliście: „Jak to możliwe wprowadzać demokrację z ludem umierających z głodu analfabetów?”. A my z tym ludem wprowadziliśmy demokrację. Mówiliście: „Plany gospodarcze są typowe dla krajów komunistycznych, demokracja i planowanie nie mogą iść w parze!”. A mimo wszystkich błędów, jakie popełniliśmy, nasze plany się powiodły. Potem oznajmiliśmy, że w Indiach nie będzie już umierających z głodu. Odpowiedzieliście: „To niemożliwe. Nigdy się wam nie uda!”. Tymczasem udało się, dzisiaj w Indiach nikt już nie umiera z głodu, produkcja żywności wysoko przekracza zapotrzebowanie. W końcu przyrzekliśmy, że ograniczymy liczbę urodzin. W to zupełnie nie wierzyliście,

uśmiechaliście się szyderczo. Cóż, w tej sprawie też poszło dobrze. W istocie to prawda, że urosliśmy o ponad siedemdziesiąt milionów w dziesięć lat, ale jest również prawdą, że urosliśmy mniej niż wiele innych krajów: w tym krajów europejskich.

*Często za sprawą okrutnych metod, jak metoda męskiej sterylizacji. Pani to popiera, pani Gandhi?*

W odległej przeszłości Indii, kiedy ludności było niewiele, życzenie, z jakim zwracano się do kobiety, brzmiało: „Żebyś mogła mieć dużo dzieci”. Duża część naszej epiki i naszej literatury nadmiernie uwydatnia to życzenie, a idea, że kobieta powinna mieć dużo dzieci, nie przeminęła. Ja sama z serca mówię, że ludzie powinni mieć tyle dzieci, ile zechcą. Ale jest to niesłuszna idea, jak wiele naszych idei, które sięgają tysięcy lat wstecz, i trzeba ją wyplenić. Trzeba chronić rodziny, trzeba chronić dzieci, które mają niezbywalne prawa i które powinny być kochane, powinny mieć fizyczną i umysłową opiekę, nie powinny być wydawane na świat, żeby cierpieć i tyle. Wie pani, że do niedawna biedacy płodzili dzieci po to tylko, żeby się nimi wysługiwać? Jak jednak zmienić, na siłę i nagle, wielowiekową tradycję? Jedynym sposobem jest planowanie, za pomocą takich czy innych środków, urodzeń. Sterylizacja mężczyzn jest jednym ze środków planowania urodzeń. Środkiem najbardziej radykalnym, najpewniejszym. Pani wydaje się okrutny. Mnie się zdaje, że właściwie stosowany, wcale nie jest okrutny; nie widzę nic złego w sterylizacji mężczyzny, który spłodził już ośmioro albo dziesięcioro dzieci. Szczególnie jeśli służy to podniesieniu jakości życia tej ósemki czy dziesiątki dzieci.

*Czy była pani kiedykolwiek feministką, pani Gandhi?*

Nie, nigdy. Nigdy nie miałam takiej potrzeby, zawsze mogłam robić to, co chciałam. Natomiast moja matka była. Fakt bycia kobietą uważała za bardzo niekorzystny. Miała swoje racje. W jej czasach kobiety bywały więzione, w niemal wszystkich indyjskich stanach nie mogły się nawet pokazać na ulicy. Muzułmanki musiały wychodzić osłonięte burką, tym ciężkim prześcieradłem skrywającym nawet oczy. Hinduski musiały poruszać się w *doli*, rodzaju lektyki zamkniętej jak trumna. Mama zawsze mi o tym opowiadała, z goryczą, z gniewem. Była najstarsza wśród dwóch sióstr i dwóch braci i wyrosła z braćmi, którzy byli w zbliżonym do niej wieku. Do dziesięciu lat wychowywała się jak dzikie źrebę, a potem to się skończyło, raptownie. Nagięto ją do jej „przeznaczenia kobiety”, powtarzając: „Tego się nie robi, tak nie wypada, to nie jest godne kobiety”. W pewnym momencie rodzina przeprowadziła się do Dżajpuru, gdzie żadna kobieta nie mogła wywinąć się od *doli* i od burki. Trzymali ją w domu od rana do wieczora,

mogła albo nic nie robić, albo gotować. Nienawidziła nic nie robić i nienawidziła gotować. Była wychudzona i chora, a dziadek daleki od przejmowania się jej stanem zdrowia, pytał: „I kto się teraz z nią ożeni?”. Babcia czekała więc, aż dziadek wyjdzie, po czym przebierała mamę w męskie ubrania i pozwalała, żeby jechała z braćmi, konno. Dziadek nigdy się o tym nie dowiedział, a mama opowiadała mi tę historię bez jednego uśmiechu. Wspomnienie o takiej niesprawiedliwości nigdy jej nie opuściło. Aż do dnia śmierci mama walczyła o prawa kobiet. Uczestniczyła we wszystkich ruchach kobiecych swoich czasów, wznieciła wiele buntów. Była wielką kobietą, wielką postacią. Dzisiejszym kobietom ogromnie by się spodobała.

*A co pani o nich myśli, pani Gandhi? To znaczy o ich ruchu wyzwolenia?*

Dobrze o nim myślę. Dobrze. Bo widzi pani, aż do dziś o prawa ludzi dopominało się niewiele osób działających w imieniu mas. Natomiast dzisiaj ludzie nie chcą już być reprezentowani, każdy chce mówić za siebie i uczestniczyć bezpośrednio; jest tak w przypadku czarnych, żydów, kobiet. A zatem zarówno czarni, jak i żydzi czy kobiety stanowią część wielkiej rewolty, którą można tylko aprobować. Kobiety czasem przesadzają, to prawda. Ale tylko wtedy, kiedy się przesadzi, inni nas słuchają. Również tego nauczyło mnie doświadczenie. Czy może nie dlatego, że przesadziliśmy, przyznali nam prawo głosu? Tak, w świecie zachodnim kobiety nie mają innego wyboru, jak tylko przesadzać. W Indiach nie. Wyjaśnię pani powód. Jest to powód, który tłumaczy również mój przypadek. W Indiach kobiety nigdy nie były we wrogiej rywalizacji z mężczyznami, nawet w najdalszej przeszłości; kiedykolwiek jakaś kobieta objawiła się jako przywódca, choćby jako królowa, lud ją akceptował. Jako fakt normalny, a nie wyjątkowy. Nie zapominajmy, że w Indiach symbolem siły jest kobieta: bogini Śakti. Ale nie tylko – walka o niepodległość była tutaj prowadzona w takim samym stopniu przez mężczyzn i przez kobiety. A kiedy niepodległość uzyskaliśmy, nikt o tym nie zapomniał. Natomiast w świecie zachodnim nigdy nic takiego się nie wydarzyło, kobiety uczestniczyły, tak, ale rewolucje były zawsze robione przez mężczyzn i już.

*Jesteśmy przy pytaniach osobistych, pani Gandhi. Teraz jestem gotowa je zadać. Oto pierwsze: Czy kobieta taka jak pani lepiej czuje się z mężczyznami, czy z kobietami?*

Dla mnie to absolutnie to samo, zarówno jednych, jak i drugie traktuję w identyczny sposób. To znaczy jako osoby, nie jako mężczyzn i kobiety. Ale również tu trzeba brać pod uwagę fakt, że odebrałam bardzo szczególne wychowanie, że jestem córką takiego mężczyzny, jak mój ojciec, i takiej kobiety, jak moja matka. Wyrosłam jak chłopiec, także dlatego, że

większość dzieci, które przychodziły do naszego domu, to byli chłopcy. Z chłopcami łąziłam po drzewach, ścigałam się, biłam. Nie miałam w stosunku do chłopców kompleksu niższości ani im nie zazdrościłam. Jednocześnie jednak podobały mi się lalki. Miałam dużo lalek. I wie pani, jak się nimi bawiłam? Przedstawiając powstanie, wiece, sceny aresztowań. Moje lalki prawie nigdy nie były dziećmi, które trzeba było nakarmić, ale mężczyznami i kobietami atakującymi koszary i trafiającymi potem do więzienia. Zaraz pani wytłumaczę. Nie tylko moi rodzice, ale cała rodzina zaangażowana była w ruch oporu: babcia i dziadek, wujowie i ciotki, kuzyni i kuzynki. Tak więc strażę ciągle przychodziły i ich zabierały, bez różnicy. Cóż, fakt, że aresztowali zarówno mojego ojca, jak i matkę, zarówno dziadka, jak i babcie, zarówno wuja, jak i ciotkę, przyzwyczaiał mnie do patrzenia takimi samymi oczami na mężczyzn i kobiety, na płaszczyźnie absolutnej równości.

*Poza tym jest ta historia z Joanną d'Arc, czyż nie?*

Tak, to prawda. To prawda, że Joanna d'Arc była moim dziewczęcym marzeniem. Odkryłam ją, kiedy miałam jakieś dziesięć czy dwanaście lat, i pojechałam do Francji. Nie pamiętam, gdzie o niej przeczytałam, ale pamiętam, że nabrała dla mnie zasadniczego znaczenia. Chciałam poświęcić życie dla mojego kraju. Wydaje się, że to głupstwa, tymczasem... To, co zdarza się, kiedy jesteście dziećmi, na zawsze naznacza nasze życie.

*Rzeczywiście. A ja chciałabym zrozumieć, kto uczynił panią tym, kim pani jest, pani Gandhi.*

Życie, jakie miałam. Trudności, problemy, cierpienia, jakich doznałam jako dziecko. To wielki przywilej przeżyć trudne życie, i ten przywilej miało wielu ludzi z mojego pokolenia. Czasami zastanawiam się, czy dzisiejsza młodzież nie jest pozbawiona dramatów, które zbudowały nas... Gdyby pani wiedziała, jak ukształtowało mnie życie w tym domu, do którego wdzierała się policja, żeby wszystkich zabrać! Na pewno nie miałam szczęśliwego i pogodnego dzieciństwa. Byłam chudą, chorą i nerwową dziewczynką. Po najściach policji zostawałam sama całymi tygodniami, miesiącami, musiałam sama sobie radzić. Bardzo szybko się tego nauczyłam. Zaczęłam sama podróżować do Europy, kiedy miałam osiem lat. W tym wieku przemieszczałam się już między Indiami i Szwajcarią, Szwajcarią i Francją, Francją i Anglią. Jak dorosła, zarządzając swoimi finansami. Ludzie często mnie pytają: „Kto miał na panią większy wpływ? Pani ojciec czy Mahatma Gandhi?”. Tak, moje wybory były dokonywane głównie pod ich wpływem, pod wpływem ducha równości, który mi wpoili; moja obsesja na temat sprawiedliwości pochodzi od mojego ojca, który z kolei przejął ją od Mahatmy Gandhiego. Nie



jest jednak właściwe mówić, że mój ojciec wpłynął na mnie bardziej niż inni, i nie umiałabym powiedzieć, czy moją osobowość bardziej ukształtował mój ojciec, moja matka, Mahatma, czy przyjaciele, którzy byli z nami. Wszyscy się na to złożyli, to była całość. Sam fakt, że nikt mi nigdy niczego nie narzucał albo nie próbował narzucać innym. Nikt mnie nigdy nie indoktrynował. Różne sprawy odkryłam sama, w cudownej wolności. Na przykład ojciec przywiązywał wielką wagę do odwagi, również fizycznej. Pogardzał ludźmi, którzy jej nie mieli. Jednak nigdy mi nie powiedział: „Chcę, żebyś była odważna”. Ograniczał się tylko do dumnego uśmiechu za każdym razem, kiedy robiłam coś trudnego albo wygrywałam wyścig z chłopcami.

*Jak bardzo musiała pani kochać tego ojca!*

O, tak! Mój ojciec był święty. Miał w sobie coś najbliższego świętemu, co można znaleźć u normalnego człowieka. Bo był taki dobry. Tak niewiarygodnie, nieznośnie dobry. Jako dziecko zawsze go broniłam i sądzę, że wciąż go bronię, przynajmniej jego polityki. Och, on zupełnie nie był politykiem, w żadnym znaczeniu tego słowa. W jego pracy podtrzymywała go tylko ślepa ufność w Indii, w zupełnie obsesyjny sposób niepokoił się o przyszłość Indii. Rozumieliśmy się.

*A Mahatma Gandhi?*

Po jego śmierci narodziło się dużo mitów. Ale pozostaje faktem, że był wyjątkowym człowiekiem, niesamowicie inteligentnym, z fantastycznym wyczuciem ludzi i wielkim instynktem sprawiedliwości. Mawiał, że pierwszym prezydentem Indii powinna być dziewczyna *harijan*, niedotykalna. Był tak bardzo przeciwny systemowi klasowemu i uciskowi kobiet, że niedotykalna stawiała się dla niego szczytem czystości i błogosławieństwa. Ja zaczęłam z nim obcować, kiedy bywał w naszym domu; wraz z moim ojcem i moją matką należał do komitetu kierowniczego. Po odzyskaniu niepodległości dużo z nim pracowałam, w okresie zamieszek między hindusami i muzułmanami polecił mi, bym zajęła się muzułmanami. Żeby ich chronić. Tak, to był wielki człowiek. Ale... między mną a Gandhim nie było nigdy takiego porozumienia, jakie było między mną a moim ojcem. Wciąż mówił o religii... Był przekonany, że to jest słuszne... Słowem, my, młodzi, w wielu sprawach się z nim nie zgadzaliśmy.

*Wróćmy do pani, pani Gandhi, do historii niezwyklej kobiety. Czy to prawda, że nie chciała pani wyjść za mąż?*

Tak. Mniej więcej do osiemnastego roku życia, tak. Ale nie dlatego, że czułam się sufrażystką, chciałam całą swoją energię poświęcić walce o wyzwolenie Indii. Myślałam, że małżeństwo odciągnęłoby mnie od obowiązków, jakie na siebie wzięłam. Stopniowo jednak

zmieniłam zdanie i mając około osiemnastu lat, zaczęłam rozważać ewentualność wyjścia za mąż. Nie po to, żeby mieć męża, ale żeby mieć dzieci. Zawsze chciałam mieć dzieci, gdyby to zależało ode mnie, wydałabym na świat jedenaścioro. To mój mąż chciał tylko dwoje. Powiem pani więcej, lekarze odradzali mi urodzenie choćby jednego. Mój stan zdrowia wciąż nie był dobry i mówili, że ciąża będzie dla mnie fatalna. Gdyby mi tego nie powiedzieli, może nie wyszłabym za mąż. Ale ta diagnoza mnie sprowokowała, rozwścieczyła. Odpowiedziałam im: „Jak myślicie, po co wychodzę za mąż, jeśli nie po to, żeby urodzić dzieci? Nie chcę słyszeć, że nie mogę wydać na świat dzieci, chcę, żebyście mi powiedzieli, co mam robić, żeby wydać na świat dzieci!”. Skulili się w sobie i wymamrotali, że może gdybym przytyła, to by mi trochę pomogło, takiej chudej nigdy nie udałoby mi się zająć w ciążę. W porządku, powiedziałam, przytyję. Kazałam robić sobie masaże, zaczęłam pić tran, jeść dwa razy więcej. Ale nie przybył mi nawet gram. Wbiłam sobie do głowy, że w dniu zaręczyn będę grubsza, a nie przybył mi nawet gram. Wtedy udałam się do Mussoorie, które jest zdrowym miejscem, zignorowałam zalecenia lekarzy, sama wymyśliłam sobie dietę i utylam. Dokładna odwrotność tego, co chciałabym teraz. Teraz mam problemy z utrzymaniem linii. Ale udaje mi się. Nie wiem, czy się pani zorientowała, że jestem stanowczą kobietą.

*Tak, tak, zorientowałam się. Jeśli się nie mylę, udowodniła to pani również, wychodząc za mąż.*

Rzeczywiście. Nikt nie chciał tego małżeństwa, nikt. Nawet Mahatma Gandhi nie był z tego zadowolony. Jeśli chodzi o mojego ojca... to nieprawda, że się sprzeciwił, jak się opowiada, ale zupełnie mu na tym nie zależało. Jak przypuszczam dlatego, że ojcowie jedynaczek woła, kiedy te wychodzą za mąż jak najpóźniej. W każdym razie sprawia mi przyjemność myśleć, że to z tego powodu. Widzi pani, mój narzeczonny należał do innej religii. Był parsem. Tego nikt nie mógł znieść, całe Indie były przeciwko nam. Całe Indie. Pisali do Gandhiego, do mojego ojca, do mnie. Obelgi, groźby śmierci. Każdego dnia listonosz przynosił ogromny wór i wysypywał listy na podłogę. Nawet już ich nie czytaliśmy, dawaliśmy je do czytania kilkorgu przyjaciółom, którzy zdawali nam potem relacje. „Jest taki, który chce pociąć was na kawałki. Jest taki, który gotów jest cię poślubić, chociaż ma już żonę. Mówi, że on przynajmniej jest hindusem”. W pewnym momencie Mahatma wdał się w polemikę; właśnie odnalazłam artykuł, który napisał do swojej gazety, żeby błagać ludzi, by zostawili go w spokoju i nie mieli tak ograniczonej

mentalności. W każdym razie ja poślubiłam pana Feroze Gandhiego. Kiedy sobie coś wbiję do głowy, nikt na świecie nie jest w stanie nakłonić mnie do zmiany zdania.

*Miejmy nadzieję, że nie stało się tak samo, kiedy pani syn Rajiv ożenił się z Włoszką.*

Czasy się zmieniły, oni nie musieli przechodzić udręki, jaką ja przeżyłam. Pewnego dnia 1965 roku Rajiv napisał do mnie z Londynu, gdzie studiował, i poinformował mnie: „Pytasz mnie zawsze o dziewczyny, czy znam jakąś szczególną dziewczynę itd. No dobrze, spotkałem szczególną dziewczynę. Jeszcze się nie oświadczyłem, ale to dziewczyna, którą chciałbym poślubić”. W następnym roku, kiedy pojechałam do Anglii, poznałam ją. A kiedy Rajiv wrócił do Indii, zapytałam go: „Czy wciąż myślisz o niej w taki sam sposób?”. A on odpowiedział, że tak. Ona jednak nie mogła wyjść za mąż, dopóki nie miała dwudziestu jeden lat i dopóki nie była pewna, że życie w Indiach będzie jej odpowiadało. Poczekaliśmy więc na jej dwudzieste pierwsze urodziny, ona przyjechała do Indii i powiedziała, że Indie jej się podobają, ogłosiliśmy zaręczyny, a dwa miesiące później byli mężem i żoną. Sonia jest już niemal całkowicie Hinduską, choć nie zawsze nosi sari. Ale ja też, kiedy studiowałam w Londynie, często ubierałam się na modłę zachodnią, a przecież jestem najbardziej indyjską kobietą, jaką znam. Gdyby pani na przykład wiedziała, jak bardzo lubię być babcią! Czy wie pani, że jestem już podwójną babcią? Rajiv i Sonia mają synka i córeczkę. Dziewczynka właśnie się urodziła.

*Pani Gandhi, pani mąż umarł już kilka lat temu. Czy myślała pani kiedykolwiek, żeby powtórnie wyjść za mąż?*

Nie, nie. Może zastanawiałabym się nad tą sprawą, gdybym spotkała kogoś, z kim chciałabym żyć. Ale tego kogoś nigdy nie spotkałam i... Nie, nawet gdybym go spotkała, wykluczam ponowne małżeństwo. Dlaczego miałabym wychodzić za mąż teraz, kiedy moje życie jest takie pełne? Nie, nie. To niemożliwe.

*Zresztą nie potrafię sobie pani wyobrazić jako gospodyni domowej.*

Myli się pani! Och, myli się pani! Byłam doskonałą gospodynią domową, bycie matką stanowiło zawsze zajęcie, które podobało mi się najbardziej. Ze wszystkiego. Bycie matką, gospodynią domową nigdy nie było dla mnie żadnym poświęceniem, rozkoszowałam się każdą minutą tamtych lat. Moi synowie... Szalałam za moimi synami i myślę, że wykonałam świetną pracę, wychowując ich. Są dziś w istocie dwoma poważnymi i dzielnymi mężczyznami. Nie, nigdy nie rozumiałam kobiet, które z powodu dzieci zachowują się niczym ofiary i zakazują sobie innych zajęć. Wcale nie jest trudno pogodzić dwie rzeczy, jeśli inteligentnie zarządza się

własnym czasem. Nawet kiedy moje dzieci były małe, pracowałam. Byłam pracownikiem opieki społecznej w Indian Council for the Child Welfare. Opowiem pani pewną historię. Rajiv miał wtedy zaledwie cztery lata i chodził do przedszkola. Któregoś dnia odwiedziła nas matka jego małego kolegi i słodziutkim głosem powiedziała: „Och, to musi być dla pani bardzo smutne nie mieć czasu dla swojego dziecka!”. Rajiv zaryczał jak lew: „Moja mama jest więcej ze mną niż ty ze swoim dzieckiem, zrozumiano? Twój syn ciągle mi opowiada, że zostawiasz go samego, żeby grać w brydża!”. Nienawidzę kobiet, które nic nie robią, a potem grają w brydża.

*Był więc długi okres w pani życiu, kiedy pozostawała pani z dala od polityki. Przestała pani w nią wierzyć?*

Polityka... Widzi pani, zależy od rodzaju polityki. Ta, którą uprawialiśmy za pokolenia mojego ojca, była obowiązkiem. Była przepiękna, ponieważ miała na celu zdobycie niepodległości. Natomiast ta, którą uprawiamy dzisiaj... Proszę nie myśleć, że szaleję za tym rodzajem polityki nie przypadkiem próbowałam wszystkiego, żeby trzymać z dala od niej swoich synów i do dziś mi się to udało. Po odzyskaniu niepodległości natychmiast wycofałam się z polityki. Dzieci mnie potrzebowały, lubiłam pracę w opiece społecznej. Powiedziałam: „Swoje zrobiłam. Niech o reszcie myślą inni”. Wróciłam do polityki dopiero wtedy, kiedy stało się jasne, że w mojej partii sprawy nie idą tak jak powinny. Wciąż się kłóciłam, z wszystkimi: z moim ojcem, z liderami, których poznałam jako dziecko... aż pewnego dnia, było to w 1955 roku, jeden z nich wykrzyknął: „Ty krytykujesz i tyle. Jeśli uważasz, że możesz poprawić różne rzeczy, popraw je. Naprzód, dlaczego nie spróbujesz?”. Cóż, nigdy nie potrafiłam oprzeć się wyzwaniu, spróbowałam. Sądziłam jednak, że będzie to sprawa tymczasowa, tak myślał również mój ojciec, który nigdy nie podejmował prób angażowania mnie do swojej działalności. Są w błędzie ci, którzy twierdzą to-jej-ojciec-przygotował-jej-miejsce-premiera, to-jej-ojciec-ją-wylansował. Kiedy mnie poprosił, bym mu pomogła, naprawdę nawet nie podejrzewał, jakie będą konsekwencje.

*A jednak wszystko zaczęło się z jego powodu.*

Oczywiście. Był premierem i zajmowanie się jego domem, bycie jego asystentką oznaczało automatycznie maczanie rąk w polityce, obcowanie z jej przedstawicielami, znajomość różnych rozgrywek, tajemnic. Oznaczało również, że prędzej czy później musiałam wpaść w sidła bezpośredniej próby. Miała ona miejsce w 1957 roku, w pewien weekend, kiedy mój ojciec miał udać się na północ na jakiś wiec. Jak zwykle mu towarzyszyłam i kiedy dotarliśmy do

Ćamby, dowiedzieliśmy się, że kobieta odpowiedzialna za program zorganizowała mu jeszcze jeden wiec w innym miejscu, w poniedziałek rano. Tak więc gdyby mój ojciec zrezygnował z wiecu w Ćambie, przegralibyśmy wybory w Ćambie; gdyby zrezygnował z wiecu w drugim mieście, leżącym w pobliżu Pathankotu, przegralibyśmy wybory tam. „A gdybym ja pojechała? – ośmieliłam się zapytać. – Gdybym ja przemówiła, gdybym wyjaśniła, że nie możesz być jednocześnie w dwóch miejscach?”. Odparł, że to niemożliwe, musiałabym przemierzyć pięćset kilometrów fatalną drogą przez wzgórza. A była już druga nad ranem w poniedziałek. Powiedziałam więc dobranoc i wymamrotałam: „Szkoda, wydawało mi się, że to dobry pomysł”. O piątej trzydzieści, kiedy się obudziłam, znalazłam pod drzwiami bilecik. Był od ojca: „Samolot zawiezie cię do Pathankotu. Stamtąd są tylko trzy godziny samochodem. Zdażysz na czas. Powodzenia”. Zdażyłam i poprowadziłam wiec. Okazał się sukcesem i zapraszano mnie na kolejne. To był początek... wszystkiego.

*Czy w tamtym czasie była pani jeszcze zamężna, czy już w separacji?*

Ależ ja zawsze pozostałam w związku małżeńskim z moim mężem! Zawsze, aż do dnia jego śmierci! To nieprawda, że byliśmy w separacji! Widzi pani, prawda jest inna i... dlaczego nie powiedzieć jej raz na zawsze? Mój mąż mieszkał w Lakhnau. Mój ojciec naturalnie w Delhi. Jeździłam więc tam i z powrotem między Delhi a Lakhnau i... Oczywiście, jeśli mąż potrzebował mnie w dniach, kiedy przebywałam w Delhi, pędziłam do Lakhnau. Ale gdy ojciec potrzebował mnie w dniach, kiedy przebywałam w Lakhnau, pędziłam do Delhi. Nie, nie była to wygodna sytuacja. W końcu, między Delhi i Lakhnau jest pewna odległość. I... tak, mój mąż się wściekał. I kłócił się. Kłóciliśmy się. Dużo się kłóciliśmy. To prawda. Byliśmy dwiema osobami równie silnymi, równie upartymi: żadne z dwojga nie chciało ustąpić. I... Lubię myśleć, że tamte kłótnie uczyniły nas lepszymi, że ożywiły nasze życie: bo bez nich mielibyśmy normalne życie, to prawda, ale banalne i nudne. Nie zasługiwaliśmy na życie normalne, banalne i nudne. Poza wszystkim, nasze małżeństwo nie było narzucone i on mnie wybrał... To znaczy, że to raczej on mnie wybrał, a nie ja jego... Nie wiem, czy kochałam go w takim stopniu, jak on kochał mnie, kiedy się zaręczaliśmy, ale... Potem uczucie urosło, także we mnie, stało się wielkie i... Słowem, trzeba go zrozumieć! Nie było dla niego łatwo być zięciem mojego ojca! Dla nikogo nie byłoby to łatwe. Nie zapominajmy, że on też był deputowanym do parlamentu! W pewnym momencie ustąpił. Postanowił opuścić Lakhnau i zamieszkać w Delhi, w domu mojego ojca, z nim i ze mną. Ale będąc deputowanym do parlamentu, co miał robić, kiedy spotykał ludzi w domu premiera?

Natychmiast się zorientował, tak więc musiał poszukać sobie innego małego domu, ale to też nie było wygodne. Być trochę tu, trochę tam, trochę z nami, trochę sam... Nie, jego życie też nie było łatwe.

*Pani Gandhi, czy kiedykolwiek czegoś pani żałowała? Czy kiedykolwiek bała się pani ustąpić?*

Nie. Nigdy. Strach, każdy strach, to strata czasu. Tak samo jak żal. Wszystko, co zrobiłam, zrobiłam dlatego, że chciałam to zrobić. Robiąc to, rzucałam się na oślep, zawsze z wiarą. Zarówno wtedy, kiedy byłam dzieckiem i walczyłam z Anglikami w Monkey Brigade, jak i wtedy, kiedy byłam dziewczyną i chciałam mieć dzieci, jak wreszcie wtedy, kiedy byłam kobietą i poświęcałam się dla ojca, wywołując gniew męża. Za każdym razem byłam głęboko zaangażowana w swoje decyzje i znosiłam ich konsekwencje. Również wtedy, kiedy biłam się o sprawy nie dotyczące Indii. Och, pamiętam, jak się wściekłam, kiedy Japonia najechała Chiny! Natychmiast weszłam do komitetu zbierającego pieniądze i lekarstwa, natychmiast zapisałam się do międzynarodowej brygady, rzuciłam się na złamanie karku w propagandę przeciwko Japonii... Typ taki jak ja nie zna strachu przed i żalu po.

*Zresztą nie popełniła pani błędów. Niektórzy mówią, że po wygraniu tej wojny nikt nie zdoła pani zdeponować i pozostanie pani u władzy przez co najmniej dwadzieścia lat.*

Natomiast ja nie mam zielonego pojęcia, jak długo będę u władzy, i wcale mnie to nie obchodzi, ponieważ nie zależy mi na tym, żeby pozostać premierem. Interesuje mnie tylko, aby wykonywać dobrą pracę, dopóki jestem do tego zdolna i dopóki nie jestem zmęczona. Zmęczona nie jestem, to prawda, praca nie męczy, to nuda jest męcząca. Jednak nic nie trwa wiecznie i nikt nie może przepowiedzieć, co się ze mną stanie w bliższej czy dalszej przyszłości. Nie jestem ambitna. Zupełnie. Wiem, że zdziwię wszystkich, mówiąc w ten sposób, ale to święta prawda. Zaszczyty nigdy mnie nie pociągały i nigdy ich nie szukałam. Jeśli chodzi o pracę premiera, lubię ją, tak. Ale nie bardziej niż inne zajęcia, którymi parałam się w dorosłym życiu. Chwilę temu powiedziałam pani, że mój ojciec nie był politykiem. Myślę natomiast, że ja nim jestem. Ale nie w tym sensie, że jestem zainteresowana karierą polityczną; w tym sensie, że uważam za konieczne dołożyć starań dla zbudowania takich Indii, jakich chcę. Indie, jakich chcę, nigdy nie przestanę tego powtarzać, to Indie sprawiedliwe, mniej biedne i całkowicie wolne od obcych wpływów. Gdybym uznała, że kraj kroczy już w takim kierunku, natychmiast przestałabym zajmować się polityką i być premierem.

*Żeby robić co?*

Cokolwiek. Już pani powiedziałam, że zakochuję się we wszystkim, co robię, i staram się zawsze robić to dobrze. A co? W moim życiu nie istnieje tylko praca premiera! Jeśli o mnie chodzi, mogłabym mieszkać w jakiejś wiosce i być zadowolona. Kiedy nie będę już rządzić swoim krajem, znów zajmę się dziećmi. Albo zacznę studiować antropologię. To nauka, która zawsze bardzo mnie interesowała, również w relacji do problemu władzy. Albo wróć do studiów historycznych: w Oksfordzie zrobiłam dyplom z historii. Albo... nie wiem, fascynują mnie wspólnoty plemienne. Będę mogła się nimi zająć. Proszę posłuchać, na pewno nie będę miała pustego życia! Przyszłość nie budzi we mnie obaw, choć zapowiada się bogata w nowe trudności. Z trudnościami jestem oswojona, trudności nie mogą zostać wymazane z życia. Ludzie zawsze będą je mieli, kraje zawsze będą je miały... Jedyne, co można zrobić, to je zaakceptować, jeśli to możliwe, pokonać, jeśli nie, wejść z nimi w układ. Trzeba się bić, tak, ale tylko wtedy, kiedy to możliwe. Kiedy to niemożliwe, lepiej pójść na kompromis, bez oporu i bez narzekań. Kto narzeka, jest egoistą. Za młodu byłam wielką egoistką, teraz już nie. Teraz nie pozwalam, by niepokoiły mnie nieprzyjemne sprawy, nie odgrywam roli ofiary i jestem zawsze gotowa iść na układ z życiem.

*Pani Gandhi, czy jest pani szczęśliwą kobietą?*

Nie wiem. Szczęście jest tak przelotnym punktem widzenia, trwałe szczęście nie istnieje. Istnieją jedynie chwile szczęścia, od zadowolenia do ekstazy. A jeśli przez szczęście rozumie pani ekstazę... Tak, poznałam ekstazę, móc to powiedzieć jest błogosławieństwem, ponieważ tylko niewielu może to przyznać. Ale ekstaza trwa bardzo krótko i powtarza się rzadko, czasami nigdy. Natomiast jeśli przez szczęście rozumie pani zwykłe zadowolenie, wówczas tak, jestem dosyć zadowolona. Nie usatysfakcjonowana. Zadowolona. Satysfakcja jest słowem, którego używam wyłącznie w odniesieniu do mojego kraju, a nigdy nie będę usatysfakcjonowana z powodu mojego kraju. Dlatego wciąż wybieram trudne ścieżki i między asfaltową szosą a dróżką, która pnie się pod górę, wybieram dróżkę. Ku wielkiej irytacji moich ochroniarzy.

*Dziękuję, pani Gandhi.*

To ja pani dziękuję. I moc życzeń. Jak zawsze powtarzam, nie życzę pani, żeby miała pani łatwe życie, ale życzę, żeby pokonała pani każdą trudność, jaką życie może pani przynieść. *I do not wish you an easy time but I wish you that whatever difficulty you may have, you will overcome it.*

*New Delhi, luty 1972*



## Ali Bhutto

Zaproszenie było bulwersujące. Pochodziło od Zulfikara Ali Bhutto, prezydenta Pakistanu, i zdawało się nie być w żaden sposób uzasadnione. Proszono tylko, żebym przyjechała do Rawalpindi i wyruszyła jak najszybciej. Zastanawiałam się, dlaczego. Każdy dziennikarz śni o tym, że zostanie wezwany przez tych, którzy – kiedy ich szukasz – uciekają albo odmawiają. Jednak materia snów jest nielogiczność, zaś nielogiczność prowadzi do podejrzliwości. Dlaczego Bhutto chciał mnie widzieć? Żeby powierzyć mi wiadomość skierowaną do Indiry Gandhi? Żeby ukarać mnie za to, że sportretowałam ją z szacunkiem i sympatią? Pierwsza hipoteza została odrzucona natychmiast. Bhutto nie potrzebował listonosza, żeby skomunikować się ze swoim wrogiem, tym zajmowali się dyplomaci szwajcarscy i rosyjscy. Druga hipoteza została odrzucona szybko. Bhutto cieszył się sławą osoby cywilizowanej, a osoby cywilizowane zazwyczaj nie zabijają zaproszonych gości. Trzecia hipoteza, zakładająca, że zamierza udzielić mi wywiadu, napęliła mnie uzasadnionym zdumieniem. A właśnie tego chciał Bhutto po przeczytaniu mojego artykułu na temat prezydenta Bangladeszu, nieszczęsnego Mujibura Rahmana. Dowiedziałam się o tym, kiedy ciekawość wzięła górę nad podejrzliwością, i postanowiłam przyjąć zaproszenie. Jednak przyjmując je, wysłałam mu wiadomość, że bycie jego gościem nie przeszkodzi mi w napisaniu o nim z niezależnością osądu, którą stosowałam bez wyjątku i której żadna uprzejmość czy pochlebstwo nie byłyby w stanie kupić. Bhutto kazał mi odpowiedzieć, że oczywiście, w porządku. To dało mi pierwsze wyobrażenie o człowieku.

Był to człowiek nieprzewidywalny, dziwaczny, ze skłonnością do ekscesów, do nietypowych decyzji. I, przynajmniej to, bardzo inteligentny. O inteligencji przebiegłej, lisiej, używanej po to, by zwodzić, oszukiwać, ale jednocześnie karmiącej się kulturą, pamięcią, węchem. I o klasie wielkiego pana. Na lotnisku w Rawalpindi czekało na mnie dwóch urzędników, którzy oznajmili mi w podnieceniu, że prezydent przyjmie mnie za godzinę. Była dziesiąta rano, a ja od dwóch dni nie spałam. Za godzinę nie, potrzebuję dobrej kąpieli i dobrego snu. Cóż, ktoś inny uznałby to za zniewagę. On nie. Przełożył spotkanie na siódmą trzydzieści wieczorem, dodał, że oczekuje mnie na kolacji, a ponieważ inteligencja połączona z uprzejmością jest najlepszym narzędziem uwodzenia, było nieuniknione, że spotkanie to okaże się serdeczne. Bhutto przywitał mnie z wyciągniętą ręką, cały w uśmiechach. Był wysoki, mocno zbudowany, trochę zbyt korpulentny jak na te szczupłe nóżki, delikatne stópkę, i wyglądał jak

bankier, który chce, żebyś otworzył konto w jego banku. Wyglądał na więcej niż swoje czterdzieści cztery lata. Włosy miał siwe, ale dotknęły go już początki łysiny. Pod krzaczastymi brwiami twarz wydawała się ciężka: ciężkie policzki, ciężkie wargi, ciężkie powieki. W oczach zamknięty był na klucz tajemniczy smutek. Uśmiech był nieco nieśmiały. Również jego, jak wielu moźnych tego świata, hamowała i usztywniała nieśmiałość.

On też był wieloma postaciami naraz i podobnie jak u Indiry Gandhi, pozostawały one w sprzeczności ze sobą. Im bardziej próbowałeś go przeniknąć, tym bardziej stawałeś się niepewny, zagubiony. Niczym graniastolup obracający się na osi, za każdym razem pokazywał ci odmienną twarz i w tej samej chwili, kiedy poddawał się twojemu oglądowi, umykał ci. Mogłeś więc określić go na tysiąc sposobów i każdy z nich był prawdziwy: liberalny i autorytarny, faszysta i komunista, szczery i kłamliwy. Bez wątpienia był jednym z najbardziej skomplikowanych przywódców naszych czasów i jedynym ciekawym liderem, jakiego do tej pory wydał jego kraj. Ponadto jedynym, który był w stanie go ocalić, przynajmniej na trochę. W tym sensie, bardziej niż Indirę Gandhi, przypominał króla Husajna. Podobnie jak królowi Husajnowi, zarzucano mu, że kieruje sztucznie utworzonym narodem. Podobnie jak Husajn, zamknięty był w glinianym dzbanie, wciśniętym między dzbany z żelaza: Związek Radziecki, Indie, Chiny, Amerykę. Podobnie jak Husajn, zdecydowany był nie ugiąć się i utrzymywał się z odwagą akrobata na trapezie, który nie ma siatki zabezpieczającej. Natomiast w innym sensie przypominał Johna Kennedy'ego. Podobnie jak Kennedy, wyrósł wśród pieniędzy, dla których nie ma rzeczy niemożliwych, choćby zdobycie władzy politycznej, ilekolwiek by kosztowało. Podobnie jak Kennedy, miał dzieciństwo wygodne, szczęśliwe i uprzywilejowane. Podobnie jak Kennedy, bardzo szybko rozpoczął wspinanie się na przywódcze pozycje. Pochodził z rodziny arystokratów i posiadaczy ziemskich. Studiował w Berkeley, w Kalifornii, a potem w Oksfordzie, robiąc dyplom z prawa międzynarodowego. Mając niewiele ponad trzydzieści lat, został ministrem u Ayuba Khana, choć go nienawidził. Będąc przed czterdziestką, był ministrem u Yahya Khana, choć nim pogardzał. Do prezydentury dochodził z okrutną cierpliwością, nie pozwalając zaburzyć tego procesu nieprzyjemnymi zapachami wytwarzanymi przez pewne grupy.

Władza jest namiętnością bardziej gwałtowną niż miłość. Kto kocha władzę, ma wytrzymały żołądek, a jeszcze bardziej wytrzymały nos. Bhutto te zapachy nie przeszkadzały. Kochał władzę. Jaki charakter miała ta władza, trudno było zgadnąć. On sam udzielał ci

niejednoznacznej odpowiedzi, przestrzegał cię przed politykami mówiącymi prawdę albo wykazującymi moralność niedoświadczonych harcerzy. Słuchając go, byłeś skłonny uwierzyć, że jego ambicje są szlachetne, że naprawdę zamierza zbudować bezinteresowny i prawdziwy socjalizm. Ale potem odwiedzałeś jego wspaniałą bibliotekę w Karaczi i odkrywałeś, że na honorowym miejscu stoją luksusowe tomy o Mussolinim i Hitlerze oprawione w srebro. Rodziła się w tobie wątpliwość, gniew. Pytałeś go i dowiadywałeś się, że jego prawdziwymi przyjaciółmi są Sukarno i Naser: dwaj osobnicy kierujący się być może dobrymi zamiarami, ale na pewno nie liberałowie. Wprowadzało cię to w zakłopotanie. Czyżby jego tajemnym marzeniem było zostanie dyktatorem, wychwalanym pewnego dnia w luksusowych tomach oprawnych w srebro? Dla jasności, takie pytanie było w stylu ludzi Zachodu, którzy nic nie wiedzą o tragedii kraju, gdzie wolność, demokracja, opozycja nie miały nigdy żadnego sensu i były zawsze zastępowane przez głód, niesprawiedliwość, poniżenie. Było to jednak pytanie uprawnione i złowrogiu niczym błysk, który rozpałał jego spojrzenie, kiedy coś mu się nie podobało. Dochodząc do władzy, zastał stan wojenny. Do tej pory go nie zniósł.

Poniższy wywiad został przeprowadzony w pięciu częściach, podczas sześciu dni, kiedy byłam jego gościem i towarzyszyłam mu w podróży przez niektóre prowincje kraju. Zatem, ściśle respektując jego słowa zarejestrowane na magnetofonie, jest on mozaiką pięciu różnych rozmów. Pierwsza odbyła się w Rawalpindi, wieczorem w dniu mojego przyjazdu. Druga w samolocie, który wiozł nas do Lahore. Trzecia w mieście Hala w prowincji Sindhi. Czwarta i piąta w Karaczi. Byłam ciągle u jego boku, zarówno przy stole, jak i w podróży, i gdybym chciała, mogłabym sporządzić jego portret na podstawie dziennika tamtych dni. Bhutto, który ubrany w stylu pakistańskim – szarozielona piżama i sandały – przemawia do tłumu w Sangharze, gdzie dwa lata wcześniej uniknął zamachu, a tłum jest posępny, on drze się do mikrofonu w urdu, potem w sindhi, macha rękami, wystawia się z zuchwałą butnością na możliwe strzały. To jest Bhutto demagog, przywódca ludu w stylu Masaniella, zachłanny na oklaski i autorytet. Albo Bhutto, którzy każe na siebie czekać całymi godzinami w jednym z patio w Hali; miejscowi notable już tam są, ale on zwleka w swoim pokoju, pisze. Dociera tam wreszcie w nocy, krocząc niczym księżę po pięknych dywanach, i niczym księżę siada, sadza mnie obok siebie, jedyną kobietę pośród tylu wąsatych mężczyzn, niemal jakby to była skalkulowana prowokacja. Tak siedząc, przyjmuje na audyencji członków swojej partii, gubernatorów, separatystów, kolejno wskazując ich wyniosłym ruchem palca; jako ostatniego przyjmuje biedaka z kozą przystrojoną

w kokardy, która ma zostać ofiarowana na jego cześć. To jest Bhutto arystokratyczny, Bhutto muzulmański, którego żadna kultura zachodnia nigdy do końca nie zmieni, nie przypadkiem ma dwie żony. Albo Bhutto, który leci niewygodnym helikopterem wojskowym, a na głowie ma czapkę podarowaną mu przez Czou En-laja, to jego talizman. Lecąc, patrzy ze łzami w oczach na jałowe, nieuprawiane pola, na lepianki z błota, w których chłopci żyją jak w czasach prehistorycznych, nagle zaciska pięści i szepcze: „Musi mi się udać, musi mi się udać”. To jest Bhutto marksista, zanurzony po szyję w miraż uczynienia Pakistanu mniej nieszczęśliwym i mniej wygłodniałym. W końcu Bhutto, który przyjmuje mnie w swoich domach w Karaczi i Rawalpindi, tłumacząc się, spowiadając, bezlitośnie atakując Indirę Gandhi, Mujibura Rahmana, Yahyę Khana. Jego domy urządzone są z wysmakowanym gustem, są tam stare perskie dywany i cenne emalie, klimatyzacja i zdjęcia z dedykacjami jego najpotężniejszych kolegów z całego świata, poczynając od Mao Tse-tunga. Do kolacji pije się wino, można jeść kawior, pojawia się także druga żona Nusrat, która jest piękną, swobodną kobietą, przychodzi też jego syn, bystry długowłosego chłopak. To jest Bhutto nowoczesny, wyrafinowany, europejski. Bhutto błyskotliwy rozmówca, autor książek, znający angielski lepiej niż urdu, i każdemu człowiekowi z Zachodu wydaje się sympatyczny. Jak powiedział Walter Cronkite, kiedy zapytałam go o Nixona, Johnsona, Eisenhowera, o moźnych tego świata, z którymi przeprowadzał wywiady podczas swojej długiej kariery dziennikarza telewizyjnego, nie można oceniać przywódcy państwa, widząc w nim tylko człowieka. Nie należy tak czynić. Ponieważ w chwili, kiedy odkryjesz, że on także jest tylko człowiekiem, ze swoimi zaletami, wadami i ludzkimi sprzecznościami, nieuchronnie zaczynasz go lubić i zapominasz o całej reszcie.

\* \* \*

Również ten wywiad z Bhutto wywołał zamieszanie. Nie dziennikarskie, jak w przypadku Kissingera, ale dyplomatyczne, międzynarodowe. Tak samo jak Bhutto obraził się, czytając, że Indira określała go jako człowieka niezrównoważonego, Indira obraziła się, czytając, że Bhutto nazwał ją kobietą przeciętną o przeciętnej inteligencji, istotą pozbawioną inicjatywy i wyobraźni, kujonką nie mającą nawet połowy ojcowskiego talentu, a do tego „myśl, że miałbym ją spotkać, uściskać jej dłoń, napawa mnie dojmującą odrazą”. Nie trzeba mówić, że Indira miała wszelkie powody, by się obrazić. Oceniając ją, Bhutto nie patyczkował się, a nadto wiedziony był nienawiścią. Ja sama byłam tym w istocie zakłopotana, i w takim zakłopotaniu próbowałam go powściągnąć. „Czy nie wydaje się panu, że trochę pan przesadza, że jest pan trochę

niesprawiedliwy?”. Ale Bhutto nie podjął mojej zachęty, a nawet zaczął się upierać, dodając kolejne perfidie, których nie opublikowałam, ale moja cenzura nie na wiele się przydała. Stąd dramatyczne albo wręcz śmieszne konsekwencje, jakie bezwiednie wywołałam.

Bhutto i Indira mieli się spotkać w tamtych dniach, żeby podpisać pokój między Indiami i Pakistanem. Zaniepokojona kilkoma zdaniem przytoczonymi przez gazety z New Delhi, Indira poprosiła o pełny tekst wywiadu i kazała go sobie przesłać telegraficznie z Rzymu. Następnie przeczytała go i oznajmiła, że spotkanie między nią a premierem Pakistanu się nie odbędzie. Bhutto stracił głowę i nie wiedząc, do kogo się zwrócić, zwrócił się do mnie. Odszukał mnie ponownie przez swojego ambasadora we Włoszech. Wytropił mnie w Addis Abebie, gdzie przebywałam, żeby spotkać się z Hajle Syllasje. Zwrócił się do mnie z najbardziej dziwaczną z możliwych prośbą: miałam napisać drugi artykuł i przyznać, że wywiad z nim, z Bhutto, nigdy nie miał miejsca, ponieważ mi się przyśnił. Miałam napisać, że opinie na temat Indiry nie były ocenami wyrażonymi przez niego, ale takimi, które według mojej wyobraźni myślałam, że mógłby wygłosić. W pierwszej chwili sądziłam, że coś źle zrozumiałam. „Jak pan powiedział, panie ambasadorze?”. „Powiedziałem, że powinna pani napisać, iż wszystko wymyśliła, a szczególnie zdania na temat pani Gandhi”. „Ale czy pan oszalał, panie ambasadorze?”. „Miss Fallaci, musi pani zrozumieć: życie sześciuset milionów ludzi zależy od pani, jest w pani rękach”. Wysłałam go do diabła, wykrzykując przekleństwa. Ale Bhutto nie złożył broni i nadal mnie szukał. Gdziekolwiek pojechałam, dopadał mnie jakiś ważny Pakistańczyk i błagał, bym unieważniła cały wywiad, po czym przypominał mi, że życie-sześciuset-milionów-ludzi-jest-w-moich-rękach. Na próżno odpowiadałam, że moje ręce są za małe, żeby pomieścić sześćset milionów istot, na próżno krzyczałam, że ich żądanie jest absurdałne i obelżywe. Koszmar skończył się dopiero wtedy, kiedy Indira, wspaniałomyślnie, postanowiła zachowywać się tak, jakby błąd Bhutto nigdy nie miał miejsca. I spotkali się, żeby podpisać pokój.

Bardzo rozbawił mnie ich widok w telewizji, kiedy ściskali sobie dłonie i wymieniali uśmiechy. Uśmiech Indiry był triumfujący i ironiczny. Uśmiech Bhutto zdradzał tak wielkie skrępowanie, że nawet na czarno-białym ekranie zdawało ci się, że widzisz, jak rumieniec oblewa mu twarz.

ZULFIKAR ALI BHUTTO. Muszę powiedzieć, dlaczego tak bardzo mi zależało, żeby się z panią spotkać. Przede wszystkim dlatego, że jest pani jedyną dziennikarką, która napisała prawdę o Mujiburze Rahmanie, bardzo mnie rozbawił pani artykuł. Poza tym dlatego, że... no

cóż, dużo mniej rozbawiło mnie, kiedy przeczytałem, że miałbym mieć coś wspólnego z marcowymi represjami w Dhace.

*ORIANA FALLACI. Coś wspólnego? Panie prezydencie, w Dhace twierdzi się wręcz, że to pan chciał tej masakry. Że to pan chciał aresztowania Mujibura. I że z tego powodu miał pan zostać w mieście aż do rana 26 marca.*

Żeby radować się widowiskiem z okien mojego apartamentu na ostatnim piętrze hotelu Intercontinental, popijając whisky i może jeszcze grając na cytrze jak Neron. Jak oni mają czelność dyskredytować mnie za pomocą tego jakże barbarzyńskiego i głupiego wydarzenia? Cała sprawa została przeprowadzona w strasznie głupi sposób. Pozwolili, żeby wszyscy przywódcy uciekli do Indii, a potem wzięli się do nieszczęśników, którzy zupełnie się nie liczyli. Tylko Mujibur został aresztowany. Bądźmy logiczni, ja zrobiłbym to inteligentniej, z większą ścisłością, a mniejszą brutalnością. Gazy łzawiące, gumowe kule, i pojmałbym wszystkich przywódców. Och, tylko taki odrażający pijak jak były prezydent Yahya Khan mógł splamić się robotą wykonaną tak źle i krwawo. W każdym razie jaki miałbym mieć interes w tym, żebyście takiego szaleństwa? Czy wie pani, że pierwszą ofiarą Yahyi Khana miał być nie Mujibur, ale ja? Wiele osób z mojej partii siedziało w więzieniu i pod koniec 1970 roku, dokładnie 5 listopada, powiedział on do Mujibura: „Mam aresztować Bhutto czy nie?”. Widzi pani, jedynym powodem, dla którego zmienił plan, jest fakt, że w Pakistanie Zachodnim nie mógł kontrolować sytuacji tak jak w Pakistanie Wschodnim. Poza tym Mujibur nigdy nie był inteligentny i pozwolił przyprzeć się do muru. Ale konkluduję: tragedia 25 marca zaskoczyła mnie, Yahya Khan mnie też oszukał. Wyznaczył mi spotkanie następnego dnia. Po jakimś czasie generał Mohd Umar wyjawiał mi, że uciekł się on do tego podstępu, żebym został w Dhace i „zobaczył skuteczność armii”. Daję pani słowo honoru, że to wszystko prawda.

*W porządku, panie prezydencie. Zastanawiam się jednak, czy ta historia zyska kiedyś dokładną wersję tego, co się wydarzyło owej straszliwej nocy i w ciągu miesięcy, które po niej nastąpiły. Mujibur Rahman...*

Mujibur, widziała go pani, to urodzony kłamca. Nie może się powstrzymać od łgania, to silniejsze od niego. Mujibur plecie bez zastanowienia, zależnie od humoru i wahań swojego chorego umysłu. Mówi na przykład, że były trzy miliony zabitych. Wariat, wariat! I szaleni są wszyscy ci, łącznie z prasą, którzy powtarzają za nim: „Trzy miliony zabitych, trzy miliony zabitych!”. Hindusi wystrzelili z liczbą miliona. Przyszedł on i ją podwoił. A potem potroił. To

charakterystyczna cecha tej postaci, to samo uczynił z cyklonem. Widzi pani, według indyjskich dziennikarzy owej nocy zginęło od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu tysięcy ludzi. Według niektórych misjonarzy było ich trzydzieści tysięcy. Według tego, co udało mi się ustalić do tej pory, powinno ich być około pięćdziesięciu tysięcy. Żeby było jasne, zbyt wielu. Choć akcja była moralnie uzasadniona. Ja nie próbuję minimalizować, próbuję uściślić fakty: między pięćdziesięcioma tysiącami a trzema milionami jest spora różnica. To samo trzeba powiedzieć o uchodźcach. Pani Gandhi twierdzi, że jest ich dziesięć milionów. To jasne, wyszła od takiej liczby, żeby uprawomocnić swoją ofensywę i najechać Pakistan Wschodni. Ale kiedy my zaprosiliśmy Narody Zjednoczone, żeby dokonały kontroli, Hindusi się sprzeciwili. Dlaczego się sprzeciwili? Jeśli liczba jest ścisła, nie powinni się obawiać jej zweryfikowania. Rzecz w tym, że nie chodziło o dziesięć milionów, ale o dwa miliony. Jeśli chodzi o liczbę zabitych, mógłbym się nawet pomylić, ale w przypadku liczby uchodźców nie. Wiemy, kto opuścił kraj. Wielu było Bengalczykami z Bengalu Zachodniego, wysłanymi z Kalkuty. Wysłała ich ona, pani Gandhi. Wszyscy Bengalczycy są podobni, kto by się zorientował? Teraz pomówmy o czymś innym: o zgwałconych i zamordowanych kobietach. Nie wierzę w to. Na pewno nie brakowało ekscesów, ale generał Tikka Khan mówi, że w tamtych miesiącach często zachęcał ludność do bezpośredniego donoszenia mu o nadużyciach. Apelował o to przez megafony, a jednak dowiedział się tylko o czterech przypadkach. Chcemy pomnożyć to przez dziesięć, dojść do czterdziestu? Wciąż jesteśmy daleko od bezsensownych liczb rozpowszechnianych przez Mujibura i Gandhi.

*Nie, panie prezydencie. Proszę pomnożyć przez tysiąc, a może przez dziesięć tysięcy, wtedy będzie pan dokładny. Jeśli Mujibur mówi bez zastanowienia o trzech milionach zabitych, Tikka Khan żartuje, kiedy mówi o czterech przypadkach. Masowe okrucieństwa miały miejsce i to jak, mówi panu o tym ktoś, kto widział w Dhace trupy. A propos, użył pan przed chwilą strasznego wyrażenia, panie prezydencie. Powiedział pan „dająca się moralnie uzasadnić”. A nawet „uzasadniona, justified”. Czy dobrze zrozumiałam? Rzeczywiście chciał pan powiedzieć, że owa masakra była moralnie uzasadniona?*

Każdy rząd, każdy kraj ma prawo skorzystać z siły, kiedy to konieczne. Na przykład w imię jedności. Nie można budować, nie niszcząc. Żeby zbudować kraj, Stalin zmuszony był używać siły i zabijać. Mao Tse-tung zmuszony był używać siły i zabijać. Wymieniam tylko dwa niedawne przypadki, nie przekopując się przez całą historię świata. Tak, istnieją okoliczności,

kiedy krwawa represja daje się moralnie uzasadnić i jest uzasadniona. Od stłumienia secesjonistów w marcu zależała jedność Pakistanu. Jednak przeprowadzenie tej akcji z taką brutalnością na ludności, zamiast na odpowiedzialnych jednostkach, nie było konieczne. Nie takimi metodami przekonuje się biednych ludzi, którym opowiadało się, że dzięki Sześciu Punktom nie będzie już cyklonów, nie będzie powodzi, nie będzie głodu. Wypowiadałem się przeciwko takim metodom z największą ze wszystkich gwałtownością, kiedy nikt nie ośmielał się tego czynić.

*Jednak teraz postawił pan Tikkę Khana, generała, który kierował masakrą, na czele armii. Czyż nie tak?*

Tikka Khan był żołnierzem, który wykonywał zawód żołnierza. Pojechał do Pakistanu Wschodniego z wyraźnymi rozkazami i wrócił stamtąd na wyraźne rozkazy. Zrobił to, co mu polecono zrobić, choć nie zawsze się z tym zgadzał, a ja wybrałem jego, ponieważ wiem, że wykona moje rozkazy z taką samą dyscypliną. I nie będzie próbował wtykać nosa w politykę. Nie mogę zlikwidować całej armii, a zresztą jego zła reputacja w związku z wydarzeniami w Dhace jest przesadzona. Za fakty te odpowiada naprawdę tylko jedna osoba: Yahya Khan. Zarówno on, jak i jego doradcy byli tak upojeni władzą i korupcją, że zapomnieli nawet o honorze armii. Myśleli tylko o załatwianiu sobie pięknych samochodów, budowaniu pięknych domów, nawiązywaniu przyjaźni z bankierami, wyprawdzaniu pieniędzy za granicę. Yahyę Khana nie interesowało rządy krajem, interesowała go władza dla władzy i tyle. Jakim przywódcą jest przywódca, który zaczyna pić, kiedy się budzi, a kończy, kiedy kładzie się do łóżka? Nie ma pani pojęcia, jak uciążliwe było obcowanie z nim. Był z niego naprawdę Jack the Raper, Kuba Rozpruwacz.

*Gdzie teraz jest Yahya Khan? Co zamierza pan z nim zrobić?*

Przebywa w areszcie domowym w małej willi w pobliżu Rawalpindi, willi należącej do rządu. Tak, mam z nim poważny problem. Powołałem komisję wojenną do zbadania odpowiedzialności związanych z ostatnim konfliktem, czekam na jej ustalenia, a one pomogą mi w decyzji. Jeśli komisja uzna go winnym, myślę, że odbędzie się proces. Porażka, jakiej doznaliśmy, jest jego klęską, pani Gandhi słusznie może chlubić się tym, że wygrała wojnę, ale za to zwycięstwo powinna podziękować przede wszystkim Yahyi Khanowi i jego bandzie psychopatycznych analfabetów. Nawet nakłonienie go do myślenia było niemożliwym przedsięwzięciem, powodowało tylko utratę panowania nad sobą. W kwietniu, po tej pięknej



robiecie w Dhace, wezwał mnie do siebie. Wydawał się usatysfakcjonowany, pewny siebie, przekonany już, że trzyma wszystko w garści. zaproponował mi coś do picia i powiedział: „Cóż, wy, politycy, jesteście już naprawdę skończeni”. Po czym dodał, że nie tylko Mujibur, ale także ja uznawany jestem za agitatora, że ja też wypowiadałem się przeciwko jedności Pakistanu. „Ciągłe tylko na mnie naciskają, że bym pana aresztował, Bhutto”, powiedział. Tak się wściekłem, że straciłem kontrolę nad sobą. Odparłem, że nie dam mu się zastraszyć, że jego metody doprowadzą nas do katastrofy, rzuciłem szklanką z whisky i wyszedłem. Za progiem zatrzymał mnie generał Pirzada, chwytając mnie za ramię: „Nie, no już, proszę się uspokoić, proszę wrócić”. Uspokoilem się, wróciłem. Spróbowałem mu wytłumaczyć, że jest zasadnicza różnica między mną a Mujiburem: on był secesjonistą, a ja nie. Daremny wysiłek. Zamiast mnie słuchać, tylko pił i pił. Potem się zezłościł i...

*Panie prezydencie, czy możemy na chwilę się cofnąć i spróbować zrozumieć, jak doszło do owego strasznego marca dającego się moralnie uzasadnić albo nie?*

Proszę bardzo. Dwudziestego siódmego stycznia pojechałem do Dhaki, żeby konferować z Mujiburem. Jeśli chciałeś z nim dyskutować, musiałeś udać się z pielgrzymką do Dhaki: on nigdy nie raczył przyjechać do Rawalpindi. Pojechałem tam, mimo że właśnie tego dnia zmarł mąż mojej siostry i miał zostać pochowany w grobowcu przodków w Larkanie. Siostra obraziła się na mnie. W wyborach Mujibur uzyskał większość w Pakistanie Wschodnim, a ja miałem większość w Pakistanie Zachodnim. Ale teraz nalegał na Sześć Punktów i trzeba było dojść do porozumienia: Yahya Khan żądał, żebyśmy w ciągu stu dwudziestu dni ustalili konstytucję, bo w przeciwnym razie rozwiąże Zgromadzenie i rozpisze nowe wybory. Wytłumaczyć to Mujiburowi było zadaniem rozpaczliwym: nie można wymagać mózgu od kogoś, kto go nie ma. Ja rozważałem, tłumaczyłem, a on powtarzał z tępym uporem: „Sześć Punktów. Akceptujesz Sześć Punktów?”. Mój Boże, na temat pierwszego, drugiego, trzeciego byłem nawet skłonny negocjować. Ale czwarty przewidywał, że każda prowincja będzie dowolnie dysponować handlem zagranicznym oraz pomocą zagraniczną. Gdzie miała się podzielić suwerenność państwa, jedność kraju? Przede wszystkim wiadomo było, że Mujibur chce odłączyć Pakistan Wschodni od Pakistanu Zachodniego i że od 1966 roku utrzymuje stosunki z Hindusami. Tak więc w styczniu nasz dialog się urwał i doszliśmy do marca. W połowie marca Yahya Khan przyjechał do Karaczi i powiedział, że jedzie do Dhaki, czy chcę z nim jechać? Tak, odparłem, jeśli Mujibur będzie skłonny ze mną rozmawiać. Telegram, w którym informowano mnie, że Mujibur jest

skłonny ze mną rozmawiać, został wysłany z Dhaki i przez samego Yahyę Khana. Wyruszyłem 19 marca. Dwudziestego spotkałem się z Yahyą, a dwudziestego pierwszego z Mujiburem w obecności Yahyi Khana. „Przybyłem, żeby porozumieć się z panem, panie prezydencie, i nie chcę mieć nic wspólnego z panem Bhutto. Prasie powiem, że spotkałem się z prezydentem, a pan Bhutto znalazł się tu przypadkiem”, mówił ceremonialnym tonem. Na to Yahya: „Nie, nie, Mujiburze. Musicie ze sobą rozmawiać”. A Mujibur: „Tylu ludzi zginęło podczas cyklonu. Tylu ludzi”. Z nim tak jest: znienacka w jego chorym umyśle pojawia się jakieś zdanie, może to być zdanie zupełnie bez związku, a on powtarza je bez końca. W pewnej chwili straciłem cierpliwość. Jaką winę ja ponoszę za cyklon? Czy to ja zesłałem cyklon? W odpowiedzi Mujibur wstał i powiedział, że musi iść na pogrzeb. No cóż, nie warto o tym mówić.

*Ależ przeciwnie. Proszę kontynuować, panie prezydencie.*

Chodzi o to, że kiedy rozmawia się z Mujiburem, każda rzecz wydaje się taka niewiarygodna. Nie rozumiem, jak świat może brać go na serio. Cóż, ja też wstałem, żeby odprowadzić go aż do przedpokoju, choć tego nie chciał. W przedpokoju były trzy osoby: adiutant Yahyi, jego sekretarz wojskowy oraz jego rzeźnik polityczny, generał Umar. Mujibur zaczął wrzeszczeć: „Wszyscy precz, wszyscy precz! Muszę porozmawiać z panem Bhutto!”. Trzej mężczyźni wyszli. On usiadł i powiedział: „Bracie, bracie! Musimy dojść do porozumienia, bracie! Na miłość boską, błagam cię!”. Oszołomiony, wyprowadziłem go na zewnątrz, żeby nikt go nie usłyszał. Tam, tonem szczególnie podekscytowanym, oświadczył, że ja mam wziąć sobie Pakistan Zachodni, on Wschodni i że zorganizował wszystko na potajemne spotkanie. Miał przysłać po mnie w nocy. Odparłem, że nie podoba mi się to, nie przyjechałem do Dhaki, żeby spotykać się z nim jak złodziej pod drzewem bananowym i po ciemku, nie zamierzam dzielić Pakistanu, a jeśli on chce secesji, niech zaproponuje to Zgromadzeniu, licząc na absolutną większość. Ale było tak, jakbym mówił do ściany. Musiałem zgodzić się na kompromis, na wznowienie dialogu za pośrednictwem naszych rzeczników. Do czego doszło, oczywiście bez żadnego efektu. W tamtych dniach był jeszcze bardziej chwiejny niż zwykle: tracił głowę z byle powodu. Tak nadszedł 25 marca.

*Nie zauważył pan niczego podejrzanego 25 marca?*

Tak. Dojrzał we mnie pewien niepokój, dziwne uczucie. Co wieczór chodziłem do Yahyi, żeby zawiadomić go, że ja i Mujibur nie robimy żadnych postępów, a Yahya nie wykazywał zainteresowania. Patrzył w inną stronę, narzekał na telewizję albo marudził, że nie może słuchać

swoich ulubionych piosenek, bo z Rawalpindi nie dotarły jego płyty. Rankiem dwudziestego piątego powiedział coś, co wprawiło mnie w osłupienie: „Nie jest konieczne, żeby spotykał się pan dzisiaj z Mujiburem. Zobaczymy się jutro, ja i pan”. Odparłem więc: „W porządku”, a o ósmej wieczorem przekazałem to wysłannikowi Mujibura. Na co tamten wykrzyknął: „Ten sukinsyn już wyjechał”. Nie uwierzyłem. Zadzwoiłem do rezydencji prezydenckiej i poprosiłem o rozmowę z Yahyą. Odpowiedziano mi, że nie można mu przeszkadzać, jest na kolacji z generałem Tikką Khanem. Zadzwoiłem do Tikki Khana. Odpowiedziano mi, że nie można mu przeszkadzać, jest na kolacji z Yahyą Khanem. Dopiero wtedy zacząłem się niepokoić i podejrzewając oszustwo, poszedłem na kolację. A potem poszedłem spać. Obudziły mnie strzały i przyjaciele wybiegający z innych pokoi. Dopadłem okna i, Bóg mi świadkiem, zapłakałem. Płakałem i powiedziałem: „Mój kraj jest skończony”.

*Dlaczego? Co pan zobaczył przez to okno?*

Nie zobaczyłem nadmiernego zabijania, ale żołnierze próbowali zniszczyć siedzibę „People”, opozycyjnej gazety, która miała biura dokładnie naprzeciw Intercontinentalu. Przez megafony nakazywali ludziom, żeby wychodzili. Kto wychodził, odpychany był na bok pod groźbą użycia karabinów maszynowych. Inne grupy, na chodniku, strzeżone były również przez karabiny, zaś hotel otoczony był przez czołgi. Kto próbował się w nim skryć, wpadał w ręce żołnierzy. To wszystko. O tym, że Mujibur został aresztowany, dowiedziałem się o ósmej rano, kiedy wyjechałem. Jak to przyjąłem? Ucieszyłem się, że żyje, i pomyślałem, że pewnie się nad nim trochę znęcali. Potem pomyślałem, że jego aresztowanie posłuży osiągnięciu kompromisu: przetrzymają go w więzieniu przez miesiąc albo dwa, a tymczasem będzie można przywrócić porządek i prawo.

*Panie prezydencie, Mujibur mówił panu: „Ty weźmiesz sobie Pakistan Zachodni, a ja wezmę sobie Wschodni”. Tak właśnie się stało. Czy nienawidzi go pan za to?*

Wcale nie. I nie mówię tego w stylu indyjskim, czyli z hipokryzją. Mówię to szczerze, ponieważ zamiast nienawiści czuję dla niego wielkie współczucie. Jest taki nieudolny, próżny, pozbawiony kultury, zdrowego rozsądku, wszystkiego. Nie jest w stanie rozwiązać żadnego problemu, ani politycznie, ani społecznie, ani ekonomicznie, ani międzynarodowo. Potrafi tylko wrzeszczeć i chełpić się. Znam go od 1954 roku i nigdy nie brałem go na serio, od pierwszej chwili zrozumiałem, że nie ma w nim żadnej głębi, żadnego przygotowania, że jest zapalonym agitator, pozbawionym jakiegokolwiek idei. Jediną ideą, jaką miał zawsze w głowie, była

secesja. Jak można w stosunku do takiego osobnika żywić coś innego jak tylko litość? W 1961 roku, podczas mojej podróży do Dhaki, znów się z nim spotkałem. Był w holu mojego hotelu, wyszedłem mu naprzeciw i powiedziałem: „Witaj Mujibur, napijmy się herbaty”. Właśnie wypuszczono go z więzienia, wydawał się przepelniony goryczą i udało nam się wtedy porozmawiać niemal z powagą. Powiedział, że Pakistan Wschodni jest wykorzystywany przez Zachodni, traktowany na równi z kolonią, że wysysa się z niego krew. Była to najprawdziwsza prawda, napisałem o tym nawet w mojej książce. Nie wyciągnął jednak z tego wniosków, nie wyjaśnił, że wada tkwi w systemie ekonomicznym i w reżimie, nie mówił o socjalizmie i o walce. A oświadczył, że lud nie jest przygotowany do walki, że nikt nie może przeciwstawić się wojskowemu, że niesprawiedliwości powinni rozwiązywać wojskowi. Nie miał odwagi. Nigdy jej nie miał. Czy naprawdę przedstawia się dziennikarzom jako „tygrys bengalski”?!

*Mówi wręcz, że podczas procesu odmówił obrony i że jego postawa po aresztowaniu była heroiczna. Przebywał w celi, w której nie było nawet materaca do spania.*

Ależ skąd! Nie przebywał w celi, tylko w mieszkaniu, które oddawane jest do dyspozycji ważnych więźniów politycznych. W Lyallpurze, w pobliżu Mijanwali, w więzieniu prowincji Pendżab. Nie mógł tam czytać gazet ani słuchać radia, to prawda, ale miał do dyspozycji całą bibliotekę gubernatora Pendżabu i żyło mu się całkiem nieźle. W którymś momencie dali mu nawet bengalskiego kucharza, bo chciał jeść po bengalsku. W czasie procesu bronił się, i to jak. Poprosił, by asystowali mu dwaj znakomici adwokaci: Kamal Husajn i A.K. Brohi, jego doradca prawny i przyjaciel. Kamal Husajn był w więzieniu, ale Brohi nie, a jego udział oznacza, że ma się to, co najlepsze. Początkowo Brohi nie chciał się zgodzić, ale Yahya Khan zmusił go i wtedy pojawił się na procesie z czterema asystentami, czterema innymi adwokatami. Oczywiście opłacanymi przez państwo. Ten proces kosztował fortunę. No cóż, Brohi ma jedną wadę: jest gadułą. Tak więc za każdym razem, kiedy wracał z Lyallpuru do Karaczi, opowiadał o rozmowach, jakie miał z Mujiburem, i mówił, że trudno będzie go uznać winnym. Mujibur przedstawiał sprawy w bardzo przekonujący sposób, jeśli chodzi o swój respekt dla jedności Pakistanu i jego oddanie Yahyi Khanowi. Niestrudzenie powtarzał, że Yahya Khan jest dzielnym człowiekiem, wielkim patriotą i że został sprowadzony na złą drogę przez mnie, jedyne odpowiedzialnego za jego aresztowanie. Potwierdził mi to generał Pirzada, któremu powiedziałem: „Dajcie go mnie, a zobaczycie, że nazwie mnie dzielnym człowiekiem, wielkim patriotą, a znieważy was”. Dokładnie to, co miało się stać.

*Ale został skazany.*

Nie. Specjalny trybunał uznał go za winnego i od tamtej chwili do Yahyi, jako zarządcy stanu wojennego, należał wybór kary, która mogła wynosić pięć lat więzienia, dożywocie, albo stracenie. Yahya nic nie postanowił, wybuchła wojna i miał zupełnie co innego na głowie.

*Mnie Mujibur powiedział, że wykopano mu grób.*

Wie pani, czym był ten grób? Schronem przeciwlotniczym. Wykopano go dookoła murów więzienia. Biedny Mujibur. Zawsze strachliwy, wszystko brał za zapowiedź śmierci. Ale ja nie sądzę, żeby Yahya zamierzał go zabić. Dwudziestego siódmego grudnia, kiedy miałem zaprzysiężenie na nowego prezydenta republiki, spotkałem się z Yahyą Khanem. Był zrozpaczony, pijany: wydawał się portretem Doriany Graya. Powiedział mi: „Największym błędem mojego życia było niewykonanie wyroku śmierci na Mujiburze Rahmanie. Niech pan to zrobi, jeśli uzna za słuszne”.

*A pan?*

Odparłem, że tego nie uczynię i, choć po zastanowieniu, przygotowałem się do uwolnienia Mujibura. Po tym, jak został potępiony przez wszystkich za rzekome okrucieństwa armii, Pakistan potrzebował przychylności; pomyślałem, że akt łaski przysporzy mu dużo życzliwości. Poza tym sądziłem, że taki gest przyspieszy wymianę jeńców wojennych. Dlatego natychmiast wysłałem do Lyallpuru grupę komandosów, żeby przywieziono Mujibura do Rawalpindi. Kiedy komandosi do niego dotarli, Mujibur się przeraził. Zaczął lamentować, że przyszli po niego, żeby go stracić, nie uspokoił się nawet podczas podróży i w chwili wchodzenia do willi, którą oddałem mu do dyspozycji. Piękna willa dla szacownych gości. Kiedy przyszedłem z aparatem radiowym, z telewizorem i z paczką ubrań, napadł na mnie: „Co pan tutaj robi?”. Wyjaśniłem, że zostałem prezydentem, natychmiast zmienił ton. Rzucił mi się na szyję, powiedział, że to najpiękniejsza wiadomość w jego życiu, że Bóg zawsze mnie przysyła, by go ocalić... (Również poprzednim razem to ja go wyciągnąłem). Po czym, co było do przewidzenia, zaczął atakować Yahyę i przerwał tylko po to, żeby zapytać, czy może uważać się za wolnego. Zobaczyłem go jeszcze dwa razy, zanim wrócił do Dhaki przez Londyn. Za każdym razem wyciągał książeczkę Koranu i przysięgał na Koran, że będzie utrzymywał stosunki z Pakistanem Zachodnim. Przysięgł to również w samolocie, kiedy odwozłem go o trzeciej nad ranem, i niemal zdołał mnie wzruszyć. Przysięgając, ścisnął mnie, dziękował, zapewniał o swojej

dozgonnej wdzięczności: „Proszę się nie martwić, panie prezydencie, wkrótce wrócę. Chcę lepiej poznać pana piękny kraj i wkrótce znów mnie pan zobaczy, wkrótce”.

*Czy żałuje pan kiedykolwiek, że go uwolnił?*

Nie, nigdy. Jest jak ja Pakistańczykiem, cokolwiek o tym mówi. Nieraz znosiliśmy te same oskarżenia, te same prześladowania, w gruncie rzeczy jest między nami związek. Zawsze będę pamiętał, jak zobaczyłem go pewnego styczniowego dnia i on uczepony mojego ramienia szlochał i błagał: „Ratuj mnie, ratuj mnie”. Moja litość dla niego jest szczerą. Poza tym biedny Mujibur nie przetrwa długo. Osiem miesięcy, najwyżej rok, potem pochłonie go chaos, którego sam chciał. Widzi pani, dzisiaj Bangladesz jest satelitą Indii. Ale wkrótce stanie się satelitą Rosji, a Mujibur nie jest komunistą. Nawet gdyby zdołał się wymanewrować, co wykluczam, weszliby mu na kark maoiści, którzy są prawdziwymi zwycięzcami w tej wojnie. Już ma ich na karku. Politycznie Mukti Bahini się nie liczą, pozbawieni jakiegokolwiek przygotowania ideologicznego, jakiegokolwiek indoktrynacji, jakiegokolwiek dyscypliny. Poza tym stanowią kłopot w sensie społecznym, potrafią tylko strzelać w powietrze, straszyć, grabić, krzyczeć „Joy Bangla”. Natomiast bengalscy maoiści... cóż, nie są na pewno dużo bardziej wyrafinowanym wytworem, co najwyżej przeczytali pół książeczki Mao. Stanowią jednak połączoną siłę i nie pozwalają się wykorzystywać przez Hindusów, nie sądzę nawet, żeby byli przeciwko jedności Pakistanu; wyjdą z tego zwycięsko. Mój Boże, potrzeba by geniusza, żeby zmierzyć się z tak skomplikowanymi i tak przerażającymi problemami, wyobraźmy sobie, że miałby im stawić czoło Mujibur. Poza tym ta ziemia jest tak nieszczęsna. Cyklony, powodzie, nawałnice. Chciałoby się powiedzieć, zrodzona pod złą gwiazdą, i nie zapominajmy, że gospodarczo była zawsze światową mielizną. Gdyby pani widziała, czym była Dhaka w 1947, a także w 1954 roku! Brudną wsią, w której nie było nawet ulic. Teraz, kiedy wszystko jest zniszczone, również dzięki dynamitowi Mukti Bahini, Bangladesz...

*Jestem zaskoczona, że mówi pan Bangladesz.*

To oczywiste, że mówię tak z gniewem i pogardą. To oczywiste, że dla mnie to wciąż Pakistan Wschodni. Ale słusznie czy nie, i choćby nawet w wyniku akcji militarnej Hindusów, pięćdziesiąt krajów uznało ten fakt. Muszę to zaakceptować. Sam jestem nawet gotów go uznać, jeśli Indie zwrócą nam jeńców, jeśli zakończą się masakry Biharczyków, jeśli federaliści nie będą prześladowani. Żeby połączyć się w federację, trzeba najpierw ustanowić stosunki dyplomatyczne. A ja wierzę, że za dziesięć albo piętnaście lat Pakistan i Bangladesz będą mogły

połączyć się w federację. Będą mogły i będą musiały, w innym razie kto wypełni pustkę? Zachodni Bengal, który chce odłączyć się od Indii? Nie ma nic wspólnego między Bengalczykami ze wschodu i Bengalczykami z zachodu. Natomiast między nami i Bengalczykami ze wschodu jest wspólna religia. Podział z 1947 roku był rzeczą jak najbardziej słuszną.

*Słuszną?! Stworzenie kraju o dwóch kikutach oddalonych od siebie o dwa tysiące kilometrów, a między nimi Indie?*

Te dwa kikuty pozostały razem przez dwadzieścia pięć lat, mimo popełnionych błędów. Państwo nie jest tylko pojęciem terytorialnym czy geograficznym. Kiedy jest ta sama flaga, ten sam hymn narodowy, ta sama religia, odległość nie jest problemem. W czasie kiedy Mongołowie zjednoczyli Indie, muzułmanie z tej strony poświęcali sto dni, żeby dotrzeć na drugą stronę. Dzisiaj wystarczy sto dwadzieścia minut samolotem. Czy jasno się wyrażam?

*Nie, panie prezydencie. Lepiej rozumiem Indirę Gandhi, kiedy mówi, że podział z 1947 roku był niesłuszny i że wojny religijne są w latach siedemdziesiątych śmieszne.*

Pani Gandhi ma tylko jedno marzenie: wziąć sobie cały subkontynent, zawładnąć nami. Chciałaby konfederacji, żeby Pakistan zniknął z powierzchni Ziemi, i dlatego twierdzi, że jesteśmy braćmi itd. Nie jesteśmy braćmi. Nigdy nie byliśmy. Nasze religie sięgają zbyt głęboko w nasze dusze, w nasz sposób życia. Nasze kultury są odmienne, nasze zachowania są odmienne. Od dnia narodzin do dnia śmierci hindus i muzułmanin poddawani są prawom i zwyczajom, które nie mają wspólnych punktów. Nawet ich sposób jedzenia i picia jest inny. Są to dwie silne, niedające się pogodzić wiary. Wskazuje na to fakt, że żadna z dwóch nie zdołała nigdy osiągnąć z drugą kompromisu, *modus vivendi*. Jedynie dyktatorskie monarchie, obce najazdy, od Mongołów po Anglików, zdołały utrzymać nas razem za pomocą czegoś w rodzaju *pax romana*. Harmonijnych stosunków nigdy nie osiągnęliśmy. Widzi pani, hindusi nie są łagodnymi istotami, w co każe nam wierzyć pani Gandhi. Dla świętych krów mają respekt, dla muzułmanów nie. Zawsze nas źle traktowali, poniżali. Nigdy nie zapomnę zdarzenia, jakie przeżyłem w 1944 roku. Byłem na wakacjach z moimi rodzicami w Kaszmirze. Biegałem w górę i w dół po wzgórzach, jak to dzieci, i w pewnym momencie poczułem wielkie pragnienie. Podeszedłem więc do człowieka, który sprzedawał wodę, i poprosiłem o picie. Mężczyzna napełnił filiżankę, wyciągnął ją w moim kierunku, po czym zatrzymał się i zapytał: „Jesteś hindusem czy muzułmaninem?”. Zawahałem

się przy odpowiedzi: rozpaczliwie chciałem tej wody. Wreszcie odparłem: „Jestem muzułmaninem”. Wtedy mężczyzna wylał wodę na ziemię. Proszę to opowiedzieć pani Gandhi.

*Wy dwoje nie możecie się ścierpieć. Prawda?*

Ja jej nawet nie považam. Uważam ją za przeciętną kobietę o przeciętnej inteligencji. Nie ma w niej nic wielkiego, wielki jest tylko kraj, którym rządzi. To znaczy jej tron sprawia, że wydaje się wysoka, choć jest mała. A także nazwisko, które nosi. Proszę mi wierzyć: gdyby była premierem Cejlonu, nie byłaby nikim więcej niż Bandaranaike. A gdyby była premierem Izraela... Nie, nie ośmielę się porównać jej do Goldy Meir. Golda zbyt ją przerasta. Ma przenikliwy umysł, pewny osąd i przechodzi przez dużo trudniejsze kryzysy niż pani Gandhi. Do władzy doszła również za sprawą swojego talentu. Natomiast pani Bandaranaike znalazła się tam z tego prostego powodu, że jest wdową po Bandaranaike, zaś pani Gandhi z tego prostego powodu, że jest córką Nehru. Nie mając jednak blasku Nehru. W tych wszystkich sari, z czerwoną kropką na czole, ze swoim uśmiechem, nigdy nie zdoła zrobić na mnie wrażenia. Nigdy nie robiła na mnie wrażenia, od kiedy poznałem ją w Londynie. Byliśmy razem na jakimś wykładzie, a ona robiła notatki z taką pedanterią i uporczywością, aż zapytałem: „Robi pani notatki czy pisze pracę dyplomową?”. A propos pracy: wie pani, nie sądzę, żeby była w stanie uzyskać magisterium z historii w Oksfordzie. Ja w dwa lata zrobiłem w Oksfordzie trzyletni kurs. A ona w trzy lata nie zdołała go ukończyć.

*Nie wydaje się panu, że trochę pan przesadza, że jest pan trochę niesprawiedliwy? Naprawdę sądzi pan, że mogłaby tak długo trwać na stanowisku, gdyby nie była nic warta? Czy też zmusza się pan, by sądzić, że nie jest nic warta, bo jest kobietą?*

Nie, nie. Nic nie mam przeciwko kobietom jako szefom państw, choć nie uważam, że kobiety są lepszymi przywódcami państw od mężczyzn. Moja opinia na temat pani Gandhi jest bezosobowa, obiektywna. Na mój osąd nie wpływa też fakt, że zachowuje się ona w sposób jakże naganny, nie oddając nam jeńców wojennych i nie respektując konwencji genewskiej. Ja zawsze ją tak postrzegałem: jako pilną uczennicę, kujonkę, kobietę pozbawioną inicjatywy i wyobraźni. Zgoda, dzisiaj jest lepsza, niż kiedy studiowała w Oksfordzie czy robiła notatki w Londynie. Władza dała jej wiarę w samą siebie, a nic nie przynosi większego sukcesu od samego sukcesu. Chodzi jednak o sukces nieproporcjonalny do jej zasług; gdyby Indie i Pakistan utworzyły konfederację, bez żadnego wysiłku odebrałbym pani Gandhi stanowisko. Nie obawiam się intelektualnej konfrontacji z nią. W związku z tym jestem gotów się z nią spotkać, kiedy zechce i



gdzie zechce. Nawet w New Delhi. Tak, jestem gotów udać się nawet do New Delhi, jak Talleyrand po kongresie wiedeńskim. Jedyne, co mnie niepokoi, to myśl o eskorcie gwardii honorowej armii indyjskiej oraz o fizycznym kontakcie z panią Gandhi. Drażni mnie to. Boże! Proszę nie kazać mi o tym myśleć. Proszę mi raczej opowiedzieć, co pani Gandhi powiedziała pani o mnie?

*Powiedziała, że jest pan człowiekiem niezrównoważonym, że dziś twierdzi pan jedno, a jutro drugie, że nigdy nie można zrozumieć, co ma pan w głowie.*

Ach tak? Zaraz pani odpowiem. Jediną rzeczą, z jaką zgadzam się u filozofa Johna Locke'a, jest następujące stwierdzenie: „Konsekwencja jest zaletą małych umysłów”. Innymi słowy, myślę, że podstawowy zamysł powinien pozostawać niezmienny, ale że w ramach tego podstawowego zamysłu należy się poruszać. Raz na gorąco, raz na chłodno. Intelktualista nigdy nie powinien być uczepiony jednej konkretnej idei: powinien być elastyczny. W przeciwnym razie utonie w monologu, w fanatyzmie. Tak samo polityk. Polityka sama w sobie jest ruchem, polityk powinien być mobilny. Powinien przechylać się raz na prawo, raz na lewo, rzucać na stół sprzeczności, wątpliwości. Powinien nieustannie się zmieniać, próbować, atakować ze wszystkich stron, żeby zlokalizować słaby punkt przeciwnika i uderzyć. Biada, jeśli natychmiast ujawni swój podstawowy zamysł, biada, jeśli się odśloni, biada, jeśli się sztywno określi. Biada, jeśli uniemożliwi sobie wykonania obrotu, dzięki któremu rzuci przeciwnika na matę. Pozorna niekonsekwencja jest najważniejszą zaletą inteligentnego człowieka i przebiegłego polityka. Jeśli pani Gandhi tego nie rozumie, nie rozumie piękna zawodu, który wykonuje. Jej ojciec to rozumiał.

*Indira Gandhi mówi, że Nehru nie był politykiem, był świętym.*

Och, pani Gandhi wyrządza krzywdę swojemu ojcu! Nehru był wielkim politykiem, gdyby miała choć połowę ojcowskiego talentu! Widzi pani, choć był on przeciwny powstaniu Pakistanu, zawsze podziwiałem tego człowieka. W młodości byłem nim wręcz oczarowany. Dopiero później zrozumiałem, że był czarodziejem o wielu wadach, próżnym, bezlitosnym, i że nie miał klasy Stalina, Churchilla czy Mao Tse-tunga. Co jeszcze, co jeszcze powiedziała pani Gandhi?

*Powiedziała, że wojnę zaczęliście wy, Pakistańczycy.*

To śmieszne. Wszyscy wiedzą, że to oni nas zaatakowali. Dwudziestego szóstego listopada, na froncie wschodnim. Czy Pakistan Wschodni nie był może Pakistanem? Bądźmy

poważni, jeśli ktoś napada na Palermo, czy nie wnioskuje pani z tego, że zaatakowane zostały Włochy? Jeśli ktoś napada na Marsylię, czy nie wnioskuje pani z tego, że zaatakowana została Francja? Pani Gandhi udaje, że zapomniała, iż nasz kontratak w Kaszmirze, na spornym terytorium, nastąpił dopiero trzeciego grudnia. Przypominam sobie, że widziałem się z Yahią dwudziestego dziewiątego grudnia i że zarzuciłem mu brak kontraktaku. „Zachowuje się pan tak, jakby na wschodzie nic się nie stało. Opóźniając akcję, ułatwia pan rozgrywkę Indiom, pozwala wierzyć, że Pakistan Wschodni i Pakistan Zachodni to nie jest ten sam kraj”, powiedziałem. Ale on mnie nie słuchał. Czterokrotnie zmieniał rozkazy dotyczące kontraktaku. Za czwartym razem oficerowie i żołnierze z rozpaczy walili głowami w czołgi. A Dhaka? Wycofajmy się do Dhaki, mówiłem, stwórzmy tam fortecę i pozostaniemy przez dziesięć miesięcy, przez rok, cały świat będzie z nami. Ale on martwił się tylko tym, żeby Hindusi nie zdobyli kawałka terytorium i nie zatknęli tam flagi Bangladeszu. A kiedy rozkazał Niaziem poddać się... Boże! Mógłbym umrzeć tysiąc razy i czuć się lepiej. Byłem w Nowym Jorku, pamiętam. Wysłał mnie tam jako turystę i znalazłem się na tej niewiarygodnej sesji ONZ...

*I zrobił pan scenę.*

Prawdziwą scenę, przyznaję. Ale byłem wzburzony od gniewu, od obrzydzenia. Arogancja Hindusów. Strach wielkich mocarstw, które chciały się tylko przypodobać Indiom. Nie zdołałem opanować namiętności i wygłosiłem przemowę, w której posłałem wszystkich do diabła. Popłakałem się też. Tak, ja często płacę. Płacę zawsze, ilekroć odkryję coś niegodziwego, niesprawiedliwego. Jestem bardzo emocjonalny.

*Emocjonalny, nieprzewidywalny, skomplikowany, i... bardzo dyskusyjny. Wydaje mi się, że nadszedł moment, by zająć się pańską osobą, panie prezydencie. Porozmawiajmy trochę o tym człowieku, który jest bardzo bogaty, a jednak jest socjalistą, żyje w zachodnim stylu, a jednak ma dwie żony...*

Jest we mnie wiele kontrastów: mam tego świadomość. Próbuję je pogodzić, przezwyciężyć, ale bez skutku, więc pozostaję tą dziwną mieszaniną Azji i Europy. Moja kultura jest świecka, zaś moje wychowanie jest muzulmańskie. Mój umysł jest zachodni, zaś moja dusza jest wschodnia. Jeśli chodzi o dwie żony, cóż mogę począć? W wieku trzynastu lat ożeniono mnie z kuzynką. Ja miałem trzynaście lat, ona dwadzieścia trzy. Nie wiedziałem nawet, co to znaczy mieć żonę, a kiedy próbowali mi to wyjaśnić, wściekłem się jak wariat. Dostałem furii. Nie chciałem żony, chciałem grać w krykieta. Bardzo lubiłem krykieta. Żeby mnie uspokoić,

musieli mi podarować dwie nowe torby do krykieta. Po zakończeniu ceremonii uciekłem pograć. Ileż rzeczy muszę zmienić w moim kraju! A ja jeszcze miałem szczęście. Mojego partnera od gry ożenili, kiedy miał jedenaście lat, z kobietą trzydziestodwuletnią. Zawsze mi powtarzał: „Szczęściarz z ciebie!”. Kiedy zakochałem się w mojej drugiej żonie, miałem dwadzieścia trzy lata. Ona też studiowała w Anglii i choć jest Iranką, to znaczy pochodzi z kraju, gdzie istnieje poligamia, trudno mi ją było przekonać, by mnie poślubiła. Nie miałem wielu argumentów, poza tymi trzema słowami: *So what, dammit!* „Jakie to ma znaczenie, do licha!”. Nie, myśl o rozwodzie z pierwszą żoną nie przemknęła mi nawet przez głowę. Nie tylko dlatego, że jest moją kuzynką, ale także dlatego, że spoczywa na mnie odpowiedzialność za nią. Całe jej życie zostało zrujnowane przez to absurdalne małżeństwo z chłopcem, przez absurdalny obyczaj, w jakim wyrosliśmy. Mieszka w moim domu w Larkanie, widujemy się od czasu do czasu. Niemal zawsze jest sama. Nie miała nawet dzieci, moja czwórka urodziła się z drugiego małżeństwa. Krótco z nią byłem, jako nastolatek wyjechałem na Zachód na studia. To niesprawiedliwe. Uczynię wszystko, żeby zniechęcić do poligamii, przede wszystkim stwarza ona niemały problem ekonomiczny. Często żony zostają odseparowane w innych domach albo miastach, jak w moim przypadku. Ale nie wszyscy mogą sobie na to pozwolić. Choć nie jestem tak bogaty, jak pani mówi.

*Nie?*

Nie. U was być bogatym to być jak Dupont albo jak Rockefeller. U nas znaczy to dużo mniej. Kto jest tutaj bogaty, posiada dużo ziemi, ale tak naprawdę jest bogaty jak ci baronowie, którzy w Europie mają wspaniałe podupadłe wille i żeby przeżyć, są żigolakami. Nasza ziemia jest sucha, mało rodzi. Zamiast bogaty, powiedzmy więc, że jestem względnie bogaty, że żyję dobrze, że moja siostra żyje dobrze, że mój brat żył dobrze, że chodziliśmy do dobrych szkół, ale nigdy nie trwoniliśmy pieniędzy. Nigdy nie byłem playboyem. Kiedy byłem studentem w Ameryce i w Oksfordzie, nigdy nie kupiłem sobie samochodu. Zawsze mądrze rozporządzałem pieniędzmi, na przykład żeby pojechać do Europy, poznać ciekawych ludzi i kupić książki. Jeśli spojrzysz pani na moją bibliotekę, zrozumie pani, gdzie lokuję dużą część pieniędzy: w książkach. Mam ich tysiące, często stare i przepiękne, zawsze szaleńczo lubiłem czytać. Tak samo jak uprawiać sport. Niektórzy zarzucają mi, że dobrze się ubieram. To prawda. Ale nie dlatego, że szastam pieniędzmi na ubrania, tylko dlatego, że lubię być czysty. Uwielbiam myć się i przebierać, nigdy nie mogłem znieść indyjskich i pakistańskich książąt, którzy są niechlujni i

śmierdzą. Mam piękne i wygodne domy. To też prawda. Ale przez długi czas nie miałem nawet klimatyzacji. Wydaję kolacje, ale nigdy dla ludzi głupich i niepotrzebnych. Umieję tańczyć, ale tylko dlatego, że kocham muzykę i nie znoszę stać z boku, kiedy inni tańczą. Wreszcie...

*Wreszcie ma pan opinię ladies killer, to znaczy kobieciarza. Czy to prawda, panie prezydencie?*

Również w tym jest wiele przesady. Jestem romantykiem, sądzę, że nie można być politykiem, nie będąc romantykiem, a jako romantyk myślę, że nic bardziej nie inspiruje od idylli. Nie ma nic złego w zakochaniu się i zdobywaniu kobiety, byłoby niedobrze, gdyby mężczyźni się nie zakochiwali. Można się zakochać nawet sto razy, i ja się zakochuję. Ale jestem człowiekiem bardzo, bardzo moralnym. I szanuję kobiety. Ludzie uważają, że muzułmanie nie szanują kobiet. Cóż za błąd. Szanować je i chronić to jedna z pierwszych nauk naszego proroka Mahometa. Kiedyś ja, który nie uważam się za mistrza w kwestii przemocy fizycznej, wychłostałem człowieka. Wychłostałem go okrutnie, do krwi. Wie pani, dlaczego? Dlatego, że zgwałcił dziewczynkę. Gniew zaślepił mnie dziś rano, kiedy przeczytałem, że setka studentów na plaży w Karaczi napadła i rozebrała kilka studentek. Dranie! Zastosuję wobec nich prawa stanu wojennego. Powiem więcej. Gdybym zdołał się upewnić, że nasi żołnierze naprawdę użyli przemocy w stosunku do kobiet w Bangladeszu, zażądałbym, żeby to ja ich sądził i ukarał.

*Zajmijmy się czymś innym, panie prezydencie. Zajmijmy się pańskim marksizmem i tym, w jaki sposób może go pan pogodzić ze swoimi przywilejami, ze swoją wiarą muzułmańską.*

Uważam się za marksistę w sensie ekonomicznym, to znaczy ograniczam się do przyjęcia doktryny marksistowskiej w tym, co dotyczy gospodarki. Z marksizmu odrzucam dialektyczną interpretację historii, teorie dotyczące życia, pytanie, czy Bóg istnieje, czy też nie. Jako dobry muzułmanin wierzę w Boga. Słusznie czy niesłusznie, wierzę, wiara jest czymś, co jest albo czego nie ma. Jeśli jest, nie ma o czym dyskutować. We mnie jest i nie jestem skłonny z niej zrezygnować w imię doktrynalnych czy filozoficznych aspektów marksizmu. Jednocześnie jestem przekonany, że uznawanie się za marksistę i za muzułmanina może iść ze sobą w parze, szczególnie w tak zacofanym kraju jak Pakistan, gdzie nie widzę innych rozwiązań poza naukowym socjalizmem. Powiedziałem: Pakistan, nie powiewam flagami, by prowadzić międzynarodowe krucjaty, nie wtykam nosa w cudze sprawy. Koncentruję się na rzeczywistości mojego kraju i tyle. Przyznaję, że nie zamierzam wprowadzać procesów rewolucyjnych. Chciałbym, mogę bowiem spojrzeć pani w oczy i przysiąc, że jestem rewolucjonistą. Nie mogę

jednak pozwolić sobie na nagłe i krwawe rewolucje. Pakistan by tego nie zniósł, popadłby w ruinę. Muszę zatem postępować z cierpliwością, poprzez reformy, środkami, które stopniowo doprowadzą do socjalizmu, nacjonalizując tam, gdzie to możliwe, rezygnując tam, gdzie to konieczne, respektując kapitały zagraniczne, które są nam potrzebne. Muszę mieć czas, być chirurgiem, który nie wbija noża zbyt głęboko w społeczną tkankę. To społeczeństwo jest bardzo chore i żeby nie umarło pod skalpelem, trzeba operować je ostrożnie, stopniowo, czekając, aż rana się zablizni, aż reforma się utrwali. Przez tyle wieków spaliśmy, nie może nas teraz obudzić brutalnie trzęsienie ziemi. Zresztą również Lenin na początku poszedł na kompromis.

*Panie prezydencie, wielu ludzi panu nie wierzy. Mówią, że jest pan żądnym władzy demagogiem i tyle, że jest pan gotów na wszystko, byle tylko utrzymać władzę w ręku, że nie zrezygnuje pan ze swoich posiadłości.*

Nie? W wyniku reform rolnych, które wprowadziłem w ciągu tych trzech miesięcy, moja rodzina straciła czterdzieści pięć tysięcy akrów ziemi. Ja osobiście straciłem od sześciu do siedmiu tysięcy akrów. I stracę kolejne, kolejne stracą moje dzieci. Bóg mi świadkiem, że nie bawię się socjalizmem, że nie działam powoli z egozimu. Strach przed rezygnacją z tego, co posiadam, nie dotyka mnie od dnia, kiedy przeczytałem Marksa. Mogę nawet pani powiedzieć, gdzie i kiedy: w Bombaju, w 1945 roku. Jeśli chodzi o zarzut, że moim celem miałyby być tylko władza, cóż, należałoby porozumieć się co do znaczenia terminu władza. Przez władzę nie rozumiem tego, co miał Yahya Khan. Przez władzę rozumiem to, co wykonuje się, żeby niwelować góry, czynić urodzajnymi pustynie, budować społeczeństwo, w którym nie umiera się z głodu i poniżenia. Nie mam złowrogich planów, nie chcę zostać dyktatorem. Ale mogę już teraz powiedzieć, że będę musiał być bardzo stanowczy, wręcz autorytarny. Rozbite szyby, które zamierzam posklejać, to często odpryski. Będę musiał wyrzucić odpryski. A jeśli odrzucę je lekką ręką, nie będę miał kraju, będę miał bazar. W każdym razie widzi pani: nie wchodzi się do polityki, żeby robić marmoladę. Wchodzi się do niej, żeby zdobyć władzę i ją utrzymać. Ktokolwiek mówi inaczej, jest kłamcą. Politycy chcą zawsze sprawiać wrażenie dobrych, moralnych, konsekwentnych. Proszę nigdy nie wpaść w ich pułapkę. Nie istnieje polityk dobry, moralny i konsekwentny. Polityka polega na zadawaniu i odbieraniu ciosów, jak uczył mnie mój ojciec, mówiąc: „Nigdy nie uderzaj człowieka, jeśli nie jesteś gotowy być przez niego uderzony dwa razy”. Reszta to zabawa dla harcerzy, a o harcerskich sprawnościach zapomniałem od czasów, kiedy chodziłem do szkoły.

*Mówi się, panie prezydencie, że jest pan namiętym czytelnikiem książek o Mussolinim, Hitlerze, Napoleonie.*

Oczywiście. Również książek o de Gaulle'u, Churchillu, Stalinie. Chce pani, żebym wyznał, iż jestem faszystą? Nie jestem. Faszysta jest przede wszystkim wrogiem kultury, a ja jestem intelektualistą zakochanym w kulturze. Faszysta jest człowiekiem prawicy, a ja jestem człowiekiem lewicy. Faszysta jest drobnomieszczaninem, a ja pochodzę z arystokracji. Czytać o kimś nie oznacza uczynić z tej postaci własnego bohatera. Miałem swoich bohaterów, tak, ale kiedy byłem studentem. Wie pani, bohaterowie są jak guma do żucia, trzeba ich przeżuć, wypluć, zmienić, i lubimy ich przede wszystkim w młodości. W każdym razie jeśli zależy pani, żeby się dowiedzieć, kogo najdłużej przeżuwałem, proszę: Czyngis-chana, Aleksandra, Hannibala, Napoleona. Najbardziej z wszystkich Napoleona. Ale żułem też trochę Mazziniego, Cavoura, trochę Garibaldiego. Sporo Rousseau. Widzi pani, ile jest we mnie sprzeczności?

*Widzę. A zatem, żeby spróbować lepiej pana zrozumieć, zapytam, jakie są postaci naszych czasów, które były lub są panu bliskie, kto się panu najbardziej podobał albo komu pan się najbardziej podobał.*

Jednym jest Sukarno. Mawiał, że jesteśmy z tej samej gliny. Uwielbiał mnie. A ja uwielbiałem jego. Był wyjątkowym człowiekiem, mimo swoich słabości, na przykład wulgarności wobec kobiet. Nie jest konieczne ani godne nieustanne pokazywanie swojej męskości, ale on tego nie rozumiał. Zresztą nie rozumiał też ekonomii. Drugim jest Naser. Również Naser był człowiekiem pierwszej klasy, również z nim bardzo się zgadzałem. Lubilem go i on mnie lubił. W 1966 roku, kiedy byłem zmuszony opuścić rząd, Naser zaprosił mnie do Egiptu i przyjął mnie z honorami jak głowę państwa, potem powiedział, że mogę zostać, ile zechcę. Następnie, zobaczymy... Stalin. Tak, Stalin. Mój szacunek dla Stalina był zawsze głęboki, powiedziałbym, bezgraniczny, na równi z moją niechęcią do Chruszczowa. Może mnie pani lepiej zrozumieć, jeśli powiem, że Chruszczow nigdy mi się nie podobał, że zawsze uważałem go za pyszałka. Wciąż się przechwalał, wrzeszczał, pokazywał palcem na ambasadorów, pił... I zawsze gotów był poddać się Amerykanom. Chruszczow bardzo skrzywdził Azję. Wreszcie... wiem, spodziewa się pani, że powiem coś o Mao Tse-tungu. Ale cóż pani chce, żebym powiedział o takim gigancie jak Mao Tse-tung? Łatwiej mi mówić o Czou En-laju. To jego znam najlepiej, z nim rozmawiałem i dyskutowałem najdłużej. Niekończące się dyskusje, od świtu do

nocy, całymi dniami, przynajmniej raz w roku. Jeżdżę do Chin od roku 1962 i spotykam się z Czou En-lajem. Jego... jego po prostu podziwiam.

*Panie prezydencie, wszyscy ci ludzie musieli dużo walczyć, żeby zdobyć władzę. Pan tymczasem nie.*

Myli się pani. Nie było mi łatwo dojść aż tutaj. Siedziałem w więzieniu, wiele razy ryzykowałem życiem. Za Ayuba Khana, za Yahyę Khana. Próbowali mnie zabić, zatruwając mi jedzenie, strzelając do mnie. Dwa razy w 1968 roku, raz w 1970. W Sangharze, dwa lata temu, byłem przez godzinę pod krzyżowym ogniem zamachowców nasłanych przez Yahyę Khana. Jeden z moich ludzi zginął, osłaniając mnie, inni zostali ciężko ranni... Nie zapominajmy o cierpieniach moralnych; kiedy rodzisz się bogaty i zaczynasz wprowadzać socjalizm, nikt ci nie wierzy. Ani przyjaciele z twojego środowiska, którzy wręcz się z ciebie naigrawają, ani biedacy, którzy nie są wystarczająco oświeceni, żeby uwierzyć w twoją szczerość. Najtrudniejszą dla mnie sprawą nie było uchronić się przed strzałami czy trucizną, najtrudniej było przekonać tych, którzy mi nie wierzyli. Przywileje, wśród których się urodziłem, nie wyniosły mnie na latający dywan Aladyna. A gdybym nie miał tego powołania do polityki...

*Jak zrodziło się to powołanie, jak się objawiło?*

Zawsze je miałem, od dziecka. Ale jeśli chcemy zabawić się w psychoanalitików, trzeba powiedzieć, że zawdzięczam je swoim rodzicom. Mój ojciec był błyskotliwym politykiem, szkoda, że wycofał się bardzo szybko, po porażce w pewnych wyborach. Miał bardzo wzniosłe wyobrażenie o polityce, arystokraty, który jest arystokratyczny aż po czubki palców, mówił mi o tym w bardzo natchniony sposób. Zabierał mnie na spacer po Larkanie, pokazywał mi stare świątynie, wspaniałe domy, ślady naszej cywilizacji, i mówił mi: widzisz, polityka to jak budowanie świątyni, domu. Albo mówił, że jest jak komponowanie muzyki, poezji. Opowiadał mi o Brahmsie, Michale Aniele... Matka była inna. Pochodziła z ubogiej rodziny i miała obsesję na temat cudzej biedy. Wciąż mi powtarzała: trzeba-zajmować-się-biednymi, trzeba-pomagać-biednym, biedacy-odziedziczą-ziemię itd. Pojechałem do Ameryki, żeby studiować na uniwersytecie w Berkeley, gdzie wykładał wielki specjalista prawa międzynarodowego. Chciałem zrobić dyplom z prawa międzynarodowego. Był to okres maccartyzmu, polowania na komunistów: moje wybory nabrały kształtów. Żeby uciec z Sunset Boulevard, od dziewczyn z pomalowanymi na czerwono paznokciami, jechałem na Maxwell Street i żyłem pośród czarnych. Tydzień, miesiąc. Dobrze się z nimi czułem, byli prawdziwi, umieli się śmiać. A dzień, kiedy w

San Diego nie udało mi się dostać pokoju w hotelu, bo mam oliwkową skórę i wyglądałem na Meksykanina... cóż, pomógł mi. Potem z Ameryki pojechałem do Anglii. Były to lata wojny w Algierii, więc natychmiast stanąłem po stronie Algierczyków. Nie wykrzykiwałem jednak sloganów przed domem na Downing Street 10. Może dlatego, że w głębi duszy jestem trochę nieśmiały, nigdy nie lubiłem mieszać się z tłumem i uczestniczyć w rozruchach. Zawsze wolałem debatę na piśmie, walkę poprzez grę polityczną. To bardziej inteligentne, bardziej subtelne, bardziej finezyjne.

*Ostatnie pytanie, panie prezydencie, i proszę wybaczyć jego brutalność. Wierzy pan, że pan przetrwa?*

Powiedzmy tak. Mógłbym się skończyć jutro, ale sądzę, że będę trwał dłużej niż ktokolwiek, kto rządził w Pakistanie. Przede wszystkim dlatego, że jestem zdrowy i pełen energii, mogę więc pracować, tak jak pracuję, nawet osiemnaście godzin dziennie. Poza tym dlatego, że jestem młody, mam zaledwie czterdzieści cztery lata, dziesięć mniej od pani Gandhi. W końcu dlatego, że wiem, czego chcę. Jestem jedynym przywódcą Trzeciego Świata, który wrócił do polityki mimo oporu dwóch wielkich mocarstw; w 1966 roku Stany Zjednoczone i Związek Radziecki były bardzo zadowolone, widząc mnie w tarapatkach. Powodem, dla którego zdołałem wydobyć się z tych kłopotów, jest to, że znam podstawową regułę tego zawodu. Jaka to reguła? Cóż, w polityce trzeba czasem udawać, że jest się głupim, i pozwolić innym wierzyć, że są jedynymi inteligentnymi. Ale żeby to robić, trzeba mieć lekkie, giętkie palce i... Czy widziała pani kiedykolwiek ptaka wysiadującego jaja w gnieździe? Właśnie, polityk musi mieć palce na tyle lekkie i giętkie, żeby wsunąć je pod ptaka i zabrać mu jajka. Jedno po drugim. Tak, żeby ptak się nie spostrzegł.

*Karaczi, kwiecień 1972*



## Sirimavo Bandaranaike

Cisza zapadła nad tragedią, otulając żywych i umarłych jednym wielkim całunem milczenia. Nikt już nie wspominał o Cejlonie i o rewolcie, która wybuchła na wyspie. Dziennikarzy, którzy całymi miesiącami próbowali daremnie wylądować w Kolombo, kierowano do krajów bardziej otwartych i mniej kłopotliwych. Staranie się o wizę było wyczerpującym przedsięwzięciem, uwieńczonym sukcesem raz na sto przypadków. Jeśli, w drodze wyjątku, otrzymałeś ją i mogłeś wylądować w stolicy, napotykałeś wyłącznie milczących ludzi i zatrzaśnięte drzwi. Nieliczni pomagali ci w poszukiwaniu prawdy, większość pragnęła, aby świat zapomniał, co wydarzyło się w kwietniu. A co takiego wydarzyło się w kwietniu? To, czego nikt nie mógł przypuszczać, że może się wydarzyć w kraju, gdzie rządzą socjaliści wraz z komunistami i trockistami. Nagle, pewnej nocy, dziesiątki tysięcy młodych ludzi, w wieku od szesnastu do dwudziestu pięciu lat, zbuntowało się przeciwko rządowi i postanowiło go obalić. Uczniowie szkół średnich, studenci, świeżo upieczeni absolwenci wyższych uczelni. Maoiści, powiadają niektórzy; zwolennicy Che Guevary, twierdzą inni. Uzbrojeni w stare karabiny, prymitywne bomby, butelki z benzyną, laski dynamitu, noże, otoczyli w czterdziestu okręgach komisariaty policji, zablokowali mosty i ulice, zajęli wiele wsi i przez ponad trzy tygodnie trzymali wyspę w garści. Tylko Kolombo się uratowało, otoczone przez buntowników, a rząd słał ze stolicy rozpaczliwe apele, błagając Wielką Brytanię, Związek Radziecki, Amerykę, Chiny, Indie, aby wysłały wojsko i amunicję, helikoptery i samoloty. Wiadomości docierały z rzadka i były sprzeczne. Rozwścieczona cenzura nie przepuszczała niczego. Telefony milczały, zamary dalekopisy, najbardziej odważni korespondenci zostali wydalen, a poza granicami kraju nie mieli już wiele do opowiedzenia, godzina policyjna trwała całą dobę i nie pozwalała na samodzielne poruszanie się. Potem, na początku maja, okazało się, że bunt został krwawo stłumiony. Co najmniej pięć tysięcy zabitych, a niektórzy utrzymują, że dziesięć tysięcy. Rzeź Heroda. I, być może, najbardziej nieuzasadniona rzeź naszych czasów.

Kto nie zginął w walce, ten został rozstrzelany, tak jak ta dwudziestolatka, miss Cejlonu, którą pluton egzekucyjny w Katarandze rozebrał najpierw do naga i zgwałcił. Kto nie został rozstrzelany, ten zawisł na szubienicy, jak ci studenci historii w Kosgodzie. Kto nie został powieszony, ten umarł ukrzyżowany, jak ci młodzi z dyplomem uniwersyteckim w Kandy. Kto nie został ukrzyżowany, tego spalono żywcem, jak tę grupę z Akuessy, rzuconą na stos

podpalonych kołder. Kto nie został spalony żywcem, umarł na skutek tortur, jak ten uczeń z Bandaragamy, któremu zdarto skórę z podeszew stóp i posypano je pieprzem. Kto nie umarł na skutek tortur, temu obcięto głowę albo go utopiono. Całymi dniami rzeki niosły w stronę morza trupy młodych ludzi, których nadgarstki powiązane były drutem. Całymi dniami z drzew kokosowych zwisały szczupłe ciała powieszono za nogi. Całymi dniami na tablicach drogowych widać było dziewczyny i chłopców przybitych do nich niczym Jezus. Można by powiedzieć, że fala krwawego szaleństwa ogarnęła umysły policjantów, żołnierzy. Koszmar skończył się jedynie wraz z aresztowaniami. Kiedy zmęczeni się już masakrowaniem, torturami, strzelaniem, zaczęły się aresztowania. Nie uratował się nikt, kto miał młodą skórę i jasne spojrzenie. Ktokolwiek nie miał wąsów i zmarszczek, ktokolwiek wyglądał na szesnaście albo dwadzieścia lat, był zatrzymywany i osadzany w więzieniu. Albo w obozie koncentracyjnym. W ciągu niecałego miesiąca szkoły i uniwersytety przemieniły się w przerażające więzienia, gdzie chłopcy i dziewczęta przebywali w niewyobrażalnym ścisku niczym zarażone prosięta. Piętnaście tysięcy aresztowanych to oficjalna liczba. A zatem można śmiało przypuszczać, że było ich o wiele więcej.

Ale kim byli ci młodzi zbuntowani? Kto ich podburzył i posłał na rzeź? Jak się zbuntowali i dlaczego? Czego chciały te dzieci, czego poszukiwały? Co się rzeczywiście stało na Cejlonie, który wydawał się ostatnim miejscem na świecie, gdzie mogłoby wybuchnąć powstanie? Tutaj nikt nie był uciskany przez opresyjny reżim: głosowano swobodnie, funkcjonował parlament. Tutaj nikomu nie zabraniano walczyć o inny ustrój społeczny: istniały marksistowskie partie we wszystkich politycznych odcieniach, od promoskiewskich do prochińskich i prokubańskich. Także Korea Północna, Wietnam Północny, tymczasowy rząd Vietcongu, NRD miały swoje ambasady, nie mówiąc już o dyplomatach chińskich czy radzieckich, traktowanych wręcz lepiej niż korpus dyplomatyczny amerykański lub brytyjski. Co więcej, tutaj nikt nie umierał z głodu, z nędzy. Według zwyczaju ustanowionego przez Anglików (którzy wynieśli się elegancko z Cejlonu, zostawiając mu niepodległość i mnóstwo pieniędzy w państwowych kasach) każdy obywatel dostawał tygodniową rację ryżu: dwa kilogramy na głowę. Związki zawodowe były silne i cieszyły się szacunkiem. Opieka medyczna była bezpłatna, tak jak szkoła włącznie ze studiami uniwersyteckimi. Walczono skutecznie z analfabetyzmem, każdy mógł otrzymać dyplom, nie wydając ani grosza. I wszyscy, naprawdę wszyscy, mieli domy, a nawet kawałek ziemi. Zarówno w mieście, jak i na wsi nie widać było nigdzie nędzy, która rzuca

ci się w oczy w Indiach, Pakistanie, Indochinach, w całej Azji. Żadnych żebraków, żadnych chorych, żadnego brudu. A więc skąd taki wściekły bunt i takie bezlitosne represje?

Analiza tragedii musiała się zatem rozpocząć od niej, Sirimavo Bandaranaike, matrony rządzącej Ceylonem. To ją właśnie buntownicy zamierzali schwytać i zabić na zakończenie zamachu stanu i to ona zdołała opanować to trzęsienie ziemi w sposób bardziej niż nadzwyczajny. I jest oczywiste, że wszystko wydaje się nadzwyczajne w tej pięćdziesięciopięciolatce, pierwszej kobiecie naszych czasów, która została premierem. Bardziej niż nadzwyczajna jest jednak, muszę powiedzieć, dziwna mieszanina prostoty i przebiegłości. Kiedy spotkałbyś ją na ulicy, nie wiedząc, kim jest, wziąłbyś ją za gospodynię domową wybierającą się po zakupy. Przypomina gospodynię domową przez swój ciężki, trochę niezręczny chód, otyłość, brak wszelkiego wyrafinowania. Nosi włosy zebrane w węzeł, ściągnięte niedbale nad niskim czołem i na skroniach, jak gdyby nie ceniła zbyt wiele samej siebie. Nie pudruje się ani nie maluje. Twarz, która była może kiedyś piękna albo przynajmniej ładna, jest maską wyrażającą energię, wiecznie nadąsaną, niemal klasztorną. Wiesz, tak wygląda maska niektórych matek, które tyle się naharowały, tyle zniosły, nie zaznały radości, ani seksu, ani uczuć. A skoro nie zaznały radości, gnębi je tysiąc kompleksów i nie potrafią się z nich wyzwolić nawet wtedy, kiedy los podarowuje im triumf, sławę. Ona zresztą swoje kompleksy hoduje od dzieciństwa: kiedy była buddyjską uczennicą w katolickiej szkole z internatem imienia św. Brygidy, siedziała zawsze w ostatniej ławce i słuchała w milczeniu. Również dlatego jest sama. Nie ma mężczyzny w jej życiu, przyjaźni, której mogłaby zaufać; od dnia, w którym umarł jej mąż, gra rolę wdowy z azjatycką, ponurą konsekwencją. I coś w jej nieruchomym spojrzeniu, w jej surowej rezygnacji budzi podejrzenie, że była sama nawet za jego życia. Został jej narzucony przez rodzinę, to było jedno z tych zaaranżowanych małżeństw z wyrachowania i dla interesu, zgodnie z obyczajem wciąż jeszcze częstym w Azji. Wyszła za niego, kiedy miała dwadzieścia cztery lata. Solomon Bandaranaike miał lat czterdzieści cztery, zbyt dużo. Był mężczyzną bardzo wykształconym, niewątpliwie inteligentnym, studiował w Oksfordzie z Anthonym Edenem i nosił się bardzo elegancko, ale kobietami interesował się w minimalnym stopniu; jego prawdziwą kochanką była polityka. Legenda albo plotka głoszą, że chciała poślubić innego, Dudleya Senanayake, który dziś jeszcze jest jej najbardziej zawziętym wrogiem politycznym, jej najbardziej znienawidzonym wrogiem. „Wszystko, co robi Sirimavo – powiada się w Kolombo – robi z powodu pretensji, jaką żywi do Senanayake”. Ale związek z Solomonem okazał się udany,

urodziła się nawet trójka dzieci, dwie córki i syn: Sunetra, która dziś ma dwadzieścia osiem lat i mieszka w Londynie; Chandrika, która dziś ma lat dwadzieścia sześć i mieszka w Paryżu; Anura, który dziś ma lat dwadzieścia jeden i żyje między Kubą a Kolombo.

Solomon Bandaranaike był, w politycznym sensie, kimś w rodzaju Nehru. Miał obsesję na punkcie konieczności ustanowienia trzeciej postępowej siły, w stylu socjaldemokracji, mogącej przeciwstawić się marksistowskiej lewicy i konserwatywnej prawicy, która wraz z Senanayake rządziła krajem. Założył w tym celu Lanka Freedom Party, Partię Wolności, i w tym przedsięwzięciu Sirimavo bardzo go wspomagała, w takim samym duchu, w jakim dbała o jego posiłki, jego dzieci, jego skarpetki. Posłuszna, oddana, łagodna żona towarzyszyła mu w każdej podróży i na każdym wiecu. Była jego sekretarką – częsty zwyczaj na Cejlonie, gdzie żony polityków są niemal zawsze depozytariuszkami ich sekretów. I tak, również dzięki niej, Partia Wolności odniosła sukces: w 1956 roku Solomon Bandaranaike pokonał w wyborach Senanayake i został premierem. Cztery lata później zginął, zabity przez buddyjskiego mnicha z niejasnych powodów, być może związanych z faktem, że niezbyt lubił kobiety. Siedział na werandzie swojego domu w Kolombo, czytał i oczekiwał wizyt, ponieważ był przyzwyczajony do przyjmowania wszystkich bez zbędnych ceremonii. Nadszedł mnich i wystrzelił do niego sześć kul z rewolweru. Rozległ się krzyk, a potem: „Sirimavo! Na pomoc! Sirimavo!”. Mnich, osądzony i skazany na śmierć, nigdy nie wyjawiał motywów swojego czynu.

Morderstwo to pogrzyżyło Sirimavo w rozpacz równą rozpacz członków partii, pozbawionej nagle jedyne lidera i wszelkiej nadziei na przyszłe sukcesy. Nie było nikogo, kto mógłby zastąpić Bandaranaike, a przecież zbliżały się nowe wybory na lata 1960–1965. Co zrobić? Partia rozwiązała problem, proponując Sirimavo stanowisko Solomona. Sirimavo nie chciała, broniła się, wreszcie skapitulowała; przeciwnikiem był Dudley Senanayake. I trochę z wyrachowania, a trochę szczerze poprowadziła kampanię wyborczą w sposób zupełnie genialny, a mianowicie płacząc. Stawała przed tłumem ubrana jak wdowa, to znaczy w białe sari, i zamiast mówić, płakała, tłum zaś płakał wraz z nią. Odniosła miażdżące zwycięstwo. Zaczęła rządzić. I z łagodnej żony, dyskretnej sekretarki zmieniła się w postać, która wydawała się wymyślona specjalnie po to, aby uwieść wyobraźnię ludu: zwykłej matki kierującej narodem jak rodziną. Nie zdarzyło się nigdy, aby kobieta została premierem: Golda Meir i Indira Gandhi miały dostąpić tego zaszczytu znacznie później. I chociaż w polityce wewnętrznej poniosła szereg porażek (uprzemysłowienie kraju nie powiodło się, nacjonalizacja ropy naftowej nic nie dała, bezrobocie

niebezpiecznie wzrosło), w polityce zagranicznej udało się jej dokonać cudu: zapewnić sobie całkowitą neutralność dzięki tak zwanemu niezaangażowaniu. Inaczej mówiąc, to, co wyrafinowanemu umysłowi Solomona wydawało się trudnym przedsięwzięciem, dla jej zdrowego rozsądku okazało się czymś elementarnie prostym: „Nie kupuj u jednego sklepikarza, kupuj u wszystkich albo u nikogo”. Pojechała do Moskwy, gdzie spotkała się z Chruszczowem, do Pekinu, gdzie spotkała się z Czou En-lajem. Pojechała do Czechosłowacji i Polski, do Jugosławii, gdzie zjawiała się z torebką na ramieniu, ozdobą na sari i ze złożonymi na sercu dłońmi, mówiąc „Zwracam się do was jako kobieta i jako matka!”. Nie przeszkadzało jej to zresztą w utrzymywaniu znakomitych stosunków z krajami kapitalistycznymi, które, aby jej nie stracić, nie żałowały pieniędzy. Kanada zbudowała jej w prezencie lotnisko w Kolombo, Stany Zjednoczone sfinansowały jej kampanię przeciw malarii i przeludnieniu, Wielka Brytania dostarczała jej surowców. Prawdziwe arcydzieło. W gruncie rzeczy nie zasługiwała na przegraną w wyborach w 1965 roku i na zastąpienie jej przez ulubionego rywala Dudleya Senanayake.

Ale płacząca wdowa nie była już płaczącą wdową, rola, która przez przypadek albo na mocy zrządzenia losu przypadła jej w udziale, bardzo się jej spodobała. Przez następnych pięć lat walczyła z Senanayake z furią lwicy i pielęgnowała jedno marzenie: zająć ponownie jego miejsce. Aby je odzyskać, każdy chwyt był dozwolony, nawet najśmielszy kompromis. Na przykład utworzyła Zjednoczony Front z partią komunistyczną i trockistowską: ona, która zawsze chwaliła się, że odrzuca marksizm, ona, która pochodziła z rodziny właścicieli ziemskich i odziedziczyła po Solomonie wielkie sumy na koncie w banku. Czy chodziło z jej strony o chęć władzy, czy o dobrą wiarę? Wielu było przekonanych, że chodzi o dobrą wiarę, niepozabawioną wszakże szczyptą naiwności. Zarówno córka Sunetra, która ukończyła w Oksfordzie ekonomię polityczną, jak i Chandrika, która na Sorbonie ukończyła nauki polityczne, a także syn Anura, który studiował w Londynie historię nowożytną, powtarzali jej nieustannie, że świat się zmienia i że stare schematy już nie obowiązują. Ich rozumowanie nie było odmienne od tego, które rozpało umysły młodych kontestatorów na Cejlonie z niejakim Rohanem Wijeweerą na czele, byłym studentem uniwersytetu imienia Lumumby i zdeklarowanym maoistą. Sirimavo nie tylko nie ignorowała tych argumentów, lecz zapamiętywała je z pokorą, zastanawiała się nad nimi, kierowana ciekawością, pozostawała pod ich wpływem. Powtarzała niczym refren, że po jednej stronie są bogaci, a po drugiej biedni, że pustkę trzeba wypełnić, wprowadzić socjalizm. Kierując się najuczciwszymi intencjami, twierdzą niektórzy, założyła Zjednoczony Front i ogłosiła

manifest, w którym rzucała anatemy na kapitalistów, miejscowych i zagranicznych, obiecywała nacjonalizację banków, uspołecznienie dóbr konsumpcyjnych, ustanowienie państwowych instytucji do kierowania plantacjami herbaty, drzew kokosowych i kauczukowych. Występowała na wiecach, na których nie było już łez, i krzyczała: „Zabierzemy bogatym, aby dać biednym!”, i znowu odniosła miażdżące zwycięstwo. Zwycięstwo jeszcze bardziej miażdżące niż w 1960 roku, zdobywając sto piętnaście miejsc na sto pięćdziesiąt jeden. Ale rok później wybuchł jej, niczym granat pod nogami, ten absurdalny bunt. We Włoszech nazwalibyśmy to buntem sił pozaparlamentarnych.

Powiada, że kiedy się o tym dowiedziała, osunęła się na fotel i ciężko dyszała, nie mogąc złapać powietrza. Powiada, że zwierzyła się jednemu z krewnych: „To największy ból w moim życiu, najokrutniejsze szyderstwo”. Powiada, że kiedy przemawiała przez radio do buntowników, głos jej drżał i nieraz zdawało się, że zacznie szlochać jak dawniej. Ale była jedyną, która nie uciekła, i jedyną, która zareagowała. Podczas gdy ministrowie, wiceministrowie, przywódcy partyjni, posłowie kryli się niczym przerażone króliki po hotelach, domach przyjaciół, a nawet w piwnicach i na dachach, Sirimavo pozostała w swojej rezydencji po to, aby zorganizować obronę i kontrofensywę, rzecz niemal niemożliwą. Z jej woli bowiem wojsko syngaleskie stało się najmniej sprawne na świecie: zaledwie sześć tysięcy żołnierzy, nieco ponad dziesięć tysięcy policjantów, tysiąc pięciuset marynarzy, dwustu, trzystu szeregowców w lotnictwie i żadnych armat, żadnych czołgów, żadnych rakiet. Tylko stare czechosłowackie albo brytyjskie karabiny, dwa albo trzy tuziny zardzewiałych karabinów maszynowych, cztery rozwalone wozy opancerzone. Podczas Dnia Sił Zbrojnych, odbywającego się co roku na nadmorskim bulwarze, wystarczył kwadrans, żeby ten nędzny sprzęt przedefilował, a żeby pochód nie wydawał się zbyt krótki, dołączano do niego uczniów, piękne dziewczęta, mnichów buddyjskich. A jednak się nie poddała. Ze zdrowym rozsądkiem gospodyni domowej, która widzi, że dom płonie, i która prosi o pomoc, kogo się da, sąsiadów i przechodniów, przyjaciół i wrogów, skierowała swoje SOS do wszystkich, którzy chcieli jej wysłuchać. I rozwiązała problem. Pierwszym krajem, który odpowiedział, były Indie: wysłały pięciuset ludzi, pięć helikopterów i trzy kutry patrolowe do pilnowania wybrzeża. Drugim był Pakistan, który wysłał dwa helikoptery, mundury, walkie-talkie, amunicję. Trzecim Wielka Brytania, która z Singapuru przysłała sześć helikopterów „pożyczonych” od Stanów Zjednoczonych, broń, wozy opancerzone. Czwartym była Jugosławia, wraz z Egiptem, a pod koniec miesiąca Związek Radziecki, który wysłał pięć migów i około

sześćdziesięciu pilotów i techników. Ostatnim krajem były Chiny, które, choć z opóźnieniem, dołożyły sto pięćdziesiąt milionów rupii, to znaczy piętnaście miliardów i siedemset pięćdziesiąt włoskich lirów oraz liścik podpisany przez Czou En-laja. Przyjęcie wszystkiego od wszystkich okazało się genialnym posunięciem ze strony Bandaranaike, wiedziała ona bowiem doskonale, że za buntownikami stoją te same potęgi, które udzieliły jej następnie pomocy. Kto nie brał jej dotąd na serio, musiał zmienić zdanie i pochwalić ją.

\*\*\*

Mój wywiad z Sirimavo Bandaranaike odbył się w jej rezydencji, skromnej willi w centrum Kolombo. Trwał półtorej godziny i przez półtorej godziny mogłam bez znużenia obserwować tę matronę, którą przypadek obdarzył władzą, na próżno wszakże usiłowałam odkryć sekret, z powodu którego przy władzy pozostała. Nie miała w sobie prestiżu ani uroku Indiry, nie miała porywającej siły Goldy, nie miała nawet intelektualnego bagażu, który czasami zastępuje brak podobnych darów. Im bardziej się ją obserwowało, tym bardziej dochodziło się do wniosku, że jest kobietą całkowicie zwyczajną, identyczną jak tysiące innych. Zresztą również dzisiaj we wspomnieniu zachowałam jedynie obraz pięćdziesięciolatki potężnej budowy, wręcz grubej, ubranej w sari w żółte i niebieskie kwiaty, która siedzi z rozstawionymi szeroko nogami niczym pozbawiona zażenowania gospodyni domowa i nachyla się w moją stronę, aby mnie przekonać do swoich słów. Twarz miała otyłą i nieładną, również z powodu zbyt dużego nosa. Skóra w kolorze herbacianym była pełna niedoskonałości, skronie pokrywał czarny, tłusty puszek. Włosy były zebrane byle jak w węzeł, jaki noszą chłopki, z przekłutych uszu zwisały dwa tanie kolczyki. Rozmawiała ze mną po angielsku, szybko i z zadyszką. Mówiąc, gestykulowała dłońmi ozdobionymi pierścionkami i uderzała się ze wszystkich sił w kolana. Ale jej poczciwa szczerłość i bezpośredniość kryły tajemnicę, która w sumie fascynowała. Jeśli tylko zapomniało się, że kryje się za nią władza. Jeśli tylko zapomniało się, że władza jest władzą nawet wtedy, kiedy przybiera pozór sympatyczności. Ponieważ będąc u władzy, nawet poczciwa gospodyni domowa bez skłonności do okrucieństwa może nakazać rzeź tysięcy i tysięcy oszalałych dzieci.

*ORIANA FALLACI. Pani Bandaranaike, minęły już cztery miesiące od wybuchu rewolty na Ceylonie. W wielu regionach nadal toczą się jednak walki, na całej wyspie obowiązuje jeszcze godzina policyjna, nie widać, żeby stan wyjątkowy miał się skończyć, podobnie jak niepewność, niespokojne oczekiwanie na kolejną krwawą łaźnię. Pani Bandaranaike, zapytam panią o to, o co*

*chciałby zapytać każdy: Jak to możliwe, że wszystko to rozpętało się w kraju, gdzie rządzi lewica czy wręcz socjaliści?*

SIRIMAVO BANDARANAIKE. Prosi mnie pani, żebym pomogła jej zrozumieć coś, czego sama nie rozumiem i nie potrafię sobie wyjaśnić. Jediną pewną rzeczą jest to, że chodzi o rewoltę młodych, teoretycznie nieróżniącą się od buntów wybuchających w niemal wszystkich krajach świata, które przybrały najostrejszą formę w paryskim maju 1968 roku. Wy też coś zresztą o tym we Włoszech wiecie, na waszych ulicach i waszych uniwersytetach dochodzi niekiedy do aktów gwałtu. Tak, moim zdaniem podstawowa idea, jaką wyznają ci młodzi, jest mniej więcej taka sama. Chodzi o ślełą nienawiść do społeczeństwa, irracjonalne uleganie fascynacji przemocą: obu tych postaw nasze społeczeństwo nie potrafi powstrzymać, ponieważ jest zbyt permissywne, zbyt pobłażliwe. Ale czym to uzasadniają? Zrozumiałabym tych młodych, gdyby, zamiast buntować się przeciwko ustrojom demokratycznym, buntowali się przeciwko reakcyjnym faszystowskim reżimom. Na Cejlonie nigdy nie było naprawdę reakcyjnego faszystowskiego reżimu, a dziś mniej niż kiedykolwiek. Na Cejlonie nikt nigdy nie umierał ani nie umiera z głodu, zdobycze socjalne są znaczne. Jedzenia jest dość dla wszystkich, jest dość mieszkań dla wszystkich. Ryż, który stanowi podstawę żywienia, rozdawany jest za darmo, a resztę sprzedaje się za śmiesznie niską cenę. Opieka lekarska jest bezpłatna. Nauka jest bezpłatna, włącznie ze studiami na uniwersytecie. Procent analfabetów jest dzięki temu bardzo niski. Wiele jeszcze rzeczy pozostaje do zrobienia, na przykład bezrobocie jest wysokie. Ale tylko trzydzieści cztery procent młodych uczestniczących w rewolcie nie miało pracy i jeśli mogę usprawiedliwić te trzydzieści cztery procent, nie mogę usprawiedliwić pozostałych sześćdziesięciu sześciu. Dlaczego wybrali drogę przemocy, przelewu krwi? Z ich strony nie był to ruch spontaniczny. Musiał być ktoś, kto ich podburzył, posłużył się nimi, wykorzystał ich. Ale kto?

*No właśnie, kto. Wiem, że pani wykluczyła oficjalnie wszelką odpowiedzialność Związku Radzieckiego i Chin. A zresztą zarówno Rosjanie, jak i Chińczycy udowodnili, że popierają bezwarunkowo pani rząd.*

Istotnie. Zarówno jedni, jak i drudzy potępiłi rewoltę. Rosjanie dostarczyli nam migi, pilotów, aby ci trenowali naszych pilotów. Na temat użyteczności migów można by dyskutować, to jasne, ponieważ z partyzantką nie wygra się za pomocą migów, ale na początku byliśmy tak wstrząśnięci, że nie pomyśleliśmy o podobnym szczególe. W każdym razie faktem jest, że



Rosjanie byli jednymi z pierwszych, którzy nam pomogli, wraz z Amerykanami, Hindusami, Pakistańczykami, Anglikami. Co do Chińczyków, zaoferowali nam pomoc militarną nieco później, kiedy już w znaczącej mierze stłumiliśmy bunt. Pomogli nam jednak, ofiarowując wysokie sumy pieniędzy, i pozostaje bezsporne, że Czou En-laj zajął wobec mojego rządu nader przyjazną postawę. Do dziś nie mamy najmniejszego choćby dowodu na to, że za tym buntem stały Chiny i Rosja; jedyna odpowiedzialność, którą ustaliliśmy, spoczywa, choć to dyskusyjne, na Korei Północnej. Nie ma wątpliwości co do tego, że Koreańczycy podburzyli młodzież i pomogli jej, że indoktrynowali ją za pomocą zebrań, wykładów, broszur, że nauczyli ją fabrykować bomby i zdobywać je. Wiemy nawet, że młodzi powstańcy bywali u nich w domach. Na skutek tego wydaliliśmy cały personel ambasady północnokoreańskiej, która teraz stoi pusta. Chcę przez to powiedzieć, że stosunki dyplomatyczne z Koreą Północną nie zostały zerwane, ale my nie mamy ambasadora w Phenianie, a oni nie mają już swoich przedstawicieli w Kolombo. Ale nie na tym polega sedno sprawy. Chodzi o coś innego: z czyjego ramienia działali północni Koreańczycy? Na lotnisku ich ambasadora zegnali Chińczycy. Nie Rosjanie. Ale dziś interesy północnych Koreańczyków w Kolombo są w rękach Sowieców. To Sowieci na przykład płacą czynsz za willę goszczącą ambasadę Korei Północnej. W tym sensie można by rzec, iż stosunki między północnymi Koreańczykami a Rosjanami są bardzo dobre. Prawda wyjdzie na jaw. Moje śledztwo trwa nadal.

*Pani Bandaranaike, czy próbowała pani porozmawiać ze zrewoltowaną młodzieżą, z więźniami albo aresztowanymi?*

Oczywiście, że próbowałam. Rozmawiałam długo. Ale niczego nie odkryłam. Spotkałam jedynie młodych niespokojnych, niezadowolonych, przygnębionych i pełnych nienawiści do społeczeństwa, w którym żyją. Dyskutować z nimi było bardzo trudno, nie tylko z powodu tej nienawiści, ale również pretensji, które żywili do mnie. Wydawało się, że przeszli pranie mózgu, powtarzali wszyscy to samo jak zepsuta płyta. A wśród rzeczy, które powtarzali z największym przekonaniem, była chęć pozbycia się mnie. Powiedzieli mi, że główny plan polegał na zbombardowaniu mojego domu i schwytaniu mnie, a potem zabiciu. Wtedy ich zapytałam, dlaczego, i nie umieli mi odpowiedzieć. Potrafili mi tylko oznajmić, że miałam zostać zabita i że gdyby ich nie zdradzono, z pewnością by mnie zabili. Zadałam im więc kolejne pytanie: „Myśleliście naprawdę, że to będzie możliwe?”. Odpowiedź: „Tak, wystarczyłyby nam dwadzieścia cztery godziny, aby panią wyeliminować i przejąć rządy”. Oblędny dialog.

Próbowałam nawet się dowiedzieć, kogo umieściliby w rządzie, a oni mi odpowiedzieli: „Nas samych”. To, czego nie potrafili mi powiedzieć, to to, co by zrobili, kiedy by już doszli do władzy. W tym momencie zaczynają powtarzać slogany, zdania pozbawione sensu. Niektórzy opowiadają, że chcieli ściąć i wyrwać wszystkie krzewy herbaciane, ponieważ zostały zasadzone przez Anglików, i zastąpić je plantacjami ryżu. Wydali mi się często naiwni, politycznie i mentalnie bardziej niedojrzali, niż wskazywałby na to ich wiek, osiemnaście, dwadzieścia lat. Ale przede wszystkim wydali mi się źle pokierowani, wykorzystani przez swoich przywódców.

*Ilu przywódców aresztowaliście?*

Tylko pięciu czy sześciu i w dodatku jedynie lokalnych. A więc niewielu. Zresztą oni nie mówią, a co do nielicznych spraw, o których mówią, nigdy się nie zgadzają. Można by rzec, iż nie wie prawica, co czyni lewica. Dałoby się z pewnością stwierdzić jedynie to, że ich organizacja powstała jakieś pięć, sześć lat temu i że opiera się na systemie tajnych komórek partyjnych. Do każdej komórki należą trzy osoby i rzadko podają ci nazwiska pozostałych dwóch. Jedyne nazwisko, które podają bez wahania, to Rohana Wijeweera, ich bezdyskusyjny i uznany przez wszystkich przywódca. Ale o tym już wiedzieliśmy i właśnie dlatego Wijeweera został aresztowany w marcu, to znaczy przed rewoltą. Wiedzieliśmy również, że Wijeweera nie jest prosowiecki, jest prochiński. Wszyscy oni zresztą są chyba prochińscy: nie wierzą w demokrację, pogardzają systemem parlamentarnym, są przekonani, że za pomocą reform i ustaw nie osiągnie się postępu. Są niecierpliwi. Gwałtowni i niecierpliwi. I to jest najbardziej bolesny szczegół, szczegół odnoszący się nie tylko do młodych ekstremistów na Cejlonie, lecz do wszystkich młodych ekstremistów na świecie z Europą włącznie. Cena demokracji nazywa się tolerancją, cierpliwością. Demokracja jest powolna, potrzebuje czasu, by zrealizować reformy. Nie dysponuje czarodziejskimi różdżkami, nie potrafi czynić cudów. Oni natomiast chcieliby rozwiązać wszystko za pomocą czarodziejskiej różdżki, cudów. Czy może powinnam powiedzieć: za pomocą uciekania się do przemocy?

*Ale w zeszłym roku, podczas kampanii wyborczej, Wijeweera i młodzi z jego ruchu wspomogli znacznie koalicję, na czele której pani stała. Podobno bez nich nie wygrałaby pani w sposób tak miażdżący, pani Bandaranaike. Podobno ich rewolta zrodziła się właśnie z faktu, że pani rząd ich rozczarował, nie dotrzymując złożonych obietnic.*

Przed wszystkim nie można osądzać ani potępiać rządu, który jest u władzy dopiero od jedenastu miesięcy. Chyba że jest się właśnie niecierpliwym i głupim dzieciakiem. Jednym

słowem, wracamy do czarodziejskiej różdżki. Przeprowadziliśmy już niektóre nacjonalizacje, kiedy wybuchła rewolta, i rozpoczęliśmy wiele reform. Poza tym nie jest prawdą, że zawdzięczam swoje zwycięstwo w wyborach ludziom takim jak Wijeweera. On nigdy nikomu nie pomógł, tym bardziej mnie. Zresztą dlaczego by miał to zrobić, skoro nie wierzy w system parlamentarny ani w demokrację? I jakże bym mogła przyjąć pomoc ze strony kogoś, kto najwyraźniej pluje na demokrację? Mój sojusz z komunistami i trockistami miał i ma miejsce na zasadzie jasnego paktu: albo akceptujecie moje zasady gry, to znaczy zasady demokracji, albo o niczym nie ma mowy. Komuniści i trockiści zgodzili się, godzą się, więc trzymam ich w rządzie. W dniu, w którym odmówią takiej zgody, obejdę się i bez nich. Nie jestem marksistką, nigdy nią nie byłam, i kiedy mówię o socjalizmie, nie posługuję się ich językiem. Rozumiem przez socjalizm równość, sprawiedliwość społeczną w wolności. Jeśli aby zasypać przepaść pomiędzy tymi, którzy mają, i tymi, którzy nie mają, trzeba uciec się do przemocy, nie może być o tym mowy. Oczywiście, mogło się jak najbardziej zdarzyć, że w niektórych okręgach, w niektórych wsiach młodzi ekstremiści doradzali, aby głosować na moją listę, ale w złej wierze, zapewniam panią. Mój rząd zapowiadał się jako liberalny, pobłażliwy i oni wiedzieli, że zbrojna rewolta będzie łatwiejsza pod rządem liberalnym, pobłażliwym. Tego właśnie nie mogę wybaczyć tym młodym, uważam, że to z ich strony tchórzostwo. Nigdy się nie buntują, kiedy trzeba, to znaczy w faszystowskich reżimach, reżimach reakcyjnych, reżimach totalitarnych, prawicowych i lewicowych. Buntują się zawsze w ustrojach, które pozwalają im żyć i organizować się. Łatwe, prawda? Cytują Lenina, chcą powtórzyć czyny Lenina. Zapominają jednak, albo udają, że nie pamiętają, iż Lenin zbuntował się przeciwko społeczeństwu, które nie miało w sobie nic sprawiedliwego, a tym bardziej nic liberalnego. W demokracji nikt nie zabrania nikomu być komunistą. Na Cejlonie komunizm jest bardzo silny we wszystkich swoich formach i odcieniach. I właśnie to oni wykorzystują.

*Pani Bandaranaike, co czuła pani tamtej nocy, kiedy dowiedziała się pani, że trzy czwarte kraju znalazło się w rękach zbuntowanej młodzieży? Strach, złość, ból?*

Wszystkie trzy rzeczy, lecz przede wszystkim ból. Mam troje dzieci i każdy z tych młodych mógłby być moim synem. Któż nie cierpi, kiedy zmuszony jest strzelać do własnych synów? Płakałam. Tak. Czemu się do tego nie przyznać? Nigdy się nie wstydziłam swoich łez, bo mają zawsze jakąś przyczynę, i gdyby politycy umieli choć trochę płakać, rządzenie byłoby czymś bardziej ludzkim. A potem poczułam strach, tak. Szczególnie pierwszego dnia byliśmy

wszyscy dość przerażeni. Ale, proszę mi wierzyć, to nie był strach o własną osobę. Kiedy zgodziłam się zająć miejsce po mężu, wiedziałam doskonale, że mogę zostać zamordowana tak jak on. Powiedziałam to nawet moim dzieciom: „Skoro się zgodziłam, mam duże szanse skończyć tak jak wasz ojciec. Wcześniej czy później ktoś wystrzeli do mnie kilka kul z rewolweru”. Czekam na te kule każdego dnia, od lat. Przyzwyczyłam się do tego stopnia do podobnej możliwości, że przestałam się już przejmować ryzykiem i początkowy strach przemienił się w rezygnację. A może w obojętność? Strach, o którym mówię miał więc inne korzenie: dotyczył tego nieszczęsnego kraju, do którego należę. Poświęciłam swoje życie dla dobra tego kraju, myślałam, i te niedobre dzieci mi go niszczą. To właśnie odczuwałam. Wiem, rozeszła się plotka, że uciekłam do Szwajcarii, kiedy wygłosiłam swój apel przez radio, wielu sądziło, że przemawiam ze statku. Ale ja byłam tutaj, w swojej rezydencji, wydawałam najboleśniejsze rozkazy, jakie może wydać szef państwa i kobieta. Rozkaz odparcia zrewoltowanych. Widzi pani, mówię zrewoltowanych. Zawsze mówiłam zrewoltowani, nigdy terroryści. A Bóg jeden wie, że w niektórych przypadkach zachowywali się naprawdę jak terroryści.

*Ale policja tyłu ich zabiła, pani Bandaranaike. Zbyt wielu. Mówi się o wielu tysiącach, cały kraj zdziesiątkowany, jeśli chodzi o młodzież. Mówi się o okrucieństwach, brutalności niemającej sobie równych. Czy myślała pani o tym, wydając wówczas rozkazy?*

O wiele bardziej niż pani sądzi. Doszło do ekscesów, to prawda. Do paskudnych epizodów, nie zaprzeczam. Epizodów również niepotrzebnych. Ale zachodnia prasa zbyt je nagłośniła albo nagłośniła je, nie zastanawiając się nad przyczynami. A przyczyny istnieją. Zarówno wojsko, jak i policja były kompletnie nieprzygotowane do stawienia czoła podobnemu atakowi. Nie tylko dlatego, że nikt nie uważał za możliwe, aby na Cejlonie wybuchła rewolucja, ale dlatego, że nie było broni, za pomocą której można było się bronić. W grupach po dwieście, trzysta osób zrewoltowani zaatakowali komisariaty policji, których broniło zaledwie pięć, sześć osób dysponujących dwoma, trzema rewolwerami, maksimum jednym czy dwoma karabinami automatycznymi. Zaatakowali je za pomocą bomb ręcznych, ładunków dynamitu, wielu policjantów spłonęło żywcem. Inni zostali bezlitośnie zmasakrowani. Inni jeszcze żyli całymi dniami w wielkim strachu, łączność telefoniczna z Kolombo została uniemożliwiona przez przecięcie drutów, mosty wysadzono, zablokowano drogi. Sami z tymi marnymi rewolwerami, dwoma karabinami automatycznymi, policjanci nie wiedzieli, czy dożyją do rana. A naszemu

bratu policjantowi nikt nigdy nie wybacza, policjant budzi zawsze niechęć. Ja mu natomiast wybaczam. I uważam za zrozumiałe, że gdy już odzyskali kontrolę nad sytuacją, posunęli się niekiedy do aktów przemocy. Z zemsty, gniewu, z powodu paniki. W jakiej wojnie walczy się, stosując cywilizowane metody?

*W żadnej. Ale im dłużej trwają represje, tym dłużej trwa wojna. Istotnie, te akty przemocy nie zdołały jej zakończyć, wojna trwa nadal.*

Tak, działają jeszcze grupki zrewoltowanych. Na ogół ukrywają się oni w dżungli. Wychodzą, aby zdobyć jedzenie czy je ukraść, a potem wracają do swoich kryjówek, gdzie czasami znajduje ich jakiś patrol albo helikopter. Jak potrafią to wytrzymać, nie wiem. A jednak wytrzymują. Kilka dni temu schwytano ich dwunastu: trzech chłopaków i dziewięć dziewczyn. Byli w okropnym stanie, mieli ręce i nogi kompletnie zniekształcone przez ukąszenia węży i owadów. Nie jedli od wielu dni, nie byli już w stanie chodzić, z trudem oddychali, trawiła ich gorączka. Nie może pani sobie wyobrazić, czym jest dżungla o tej porze roku. Komary, węże, dzikie zwierzęta. Możemy obliczyć, ilu młodych zginęło od broni palnej, nie możemy obliczyć, ilu zmarło na skutek infekcji, malarii, a nawet zostało pożartych przez tygrysy. W dżungli mają swoje obozy i prawie wszystkich rannych zabrali do tych obozów. A więc jestem pewna, że największa masakra nastąpiła właśnie tam, i to jest straszne. Gdybyśmy tylko potrafili ich przekonać, aby wyszli, poddali się...

*Aby trafić do obozów koncentracyjnych! O ile wiem, w więzieniach i obozach koncentracyjnych przebywa około piętnastu tysięcy. Stłoczonych niczym zwierzęta przez całe miesiące. Ale jak długo możecie trzymać za drutem kolczastym całe pokolenie?*

Na takie pytanie nie da się jeszcze odpowiedzieć. Nawet ja nie wiem, jak długo będziemy mogli i musieli trzymać ich w zamknięciu. Ponieważ możliwości są tylko dwie: albo puścimy ich wolno i w ten sposób wrócą do dżungli po to, by przygotować kolejną rewoltę, albo będziemy ich więzić i w ten sposób pozbawimy kraj jego młodzieży. Czy powinnam raczej powiedzieć, jego przyszyłych przywódców? Nie jest dla nikogo tajemnicą, że dzisiejsi młodzi więźniowie są najinteligentniejsi, najodważniejsi, najlepsi. Sprowadzeni na złą drogę, to prawda, z zamętem w głowie, to prawda, zdolni tylko do niszczenia i bez pomysłu na odbudowę, a jednak to oni są przyszłością Cejlonu. Nie potrafię uwierzyć, że działali wyłącznie ze złej woli; jestem pewna, że większość działała w dobrej wierze, że dążyli do szczytnego celu. Kto gotów jest na śmierć, ten zawsze jest wielkoduszny. A więc co powinniśmy zrobić z tymi wielkodusznymi młodymi

ludźmi? Czy powinniśmy ich wszystkich zabić? Czy też my wszyscy powinniśmy się dać zabić? Jediną nadzieją jest odzyskanie ich zaufania, rozmowa z nimi, dyskusja, wykazanie, że opowiedzieli się po złej stronie, że przemoc prowadzi tylko do przemocy. Próbuje. Kłopot w tym, że nas nie słuchają. Są zbyt rozczarowani, zbyt rozgoryczeni, śmiertelnie rozgoryczeni. Każdemu rozumowaniu przeciwstawiają głuche milczenie, można by rzec, nie mają ochoty na nic, nawet na to, aby myśleć.

*Może mają jedynie ochotę spróbować jeszcze raz. Krąży plotka, że są gotowi do nowej rewolty, że przygotowują się do niej, aby spróbować znowu jeszcze w tym roku.*

Wiem o tym. Są gotowi podjąć nową próbę. Dlatego pozostają w dżungli i pozwalają się pożerać węzom i tygrysom. Mają jeszcze broń, a także przywódców. Znowu się zorganizowali, znowu fabrykują bomby i ich komórki partyjne nadal funkcjonują. Niektóre z ich schronień są dobrze chronione i niemal niedostępne w górskich rejonach. Wiem, będziemy ich mieli jeszcze na głowie przez dłuższy czas, wraz z tymi, którzy ich podburzają. Wiedzą już, jakie popełnili błędy, zauważyli, że zastosowana w kwietniu taktyka była prymitywna i niedoskonała, posłużą się poniesioną porażką, aby opracować lepszy plan. Wiem o tym i nie mam złudzeń. Nie sądzę jednak, że ruszą wkrótce, i nie sądzę także, że są pewni zwycięstwa za następnym razem. Łatwiej im było zwyciężyć w kwietniu, wówczas przynajmniej zadziałał na ich korzyść element zaskoczenia. A także ułudy: ktoś im powiedział, że niektóre obce potęgi dostarczą im pomocy, że ludność powstanie, że w ciągu doby zdobędą władzę. Teraz wiedzą, że ludność się nie ruszy, że obce potęgi wolą pomóc rządowi. Cejlon nie jest, przynajmniej z geograficznego punktu widzenia, Wietnamem. Cejlon jest wyspą, wystarczy pilnować wybrzeży, aby nie podpłynął żaden obcy statek. Kiedy spróbują jeszcze raz, to będzie tylko reakcja na upokorzenie. Samobójstwo.

*A gdyby nie udało się wam ich powstrzymać?*

Musimy wzmocnić wojsko, to jasne. Tu właśnie tkwi moja największa porażka. Ponieważ, widzi pani, byłam zawsze nastawiona antimilitarystycznie, zawsze nienawidziłam wojny, broni, wybuchów. Zawsze zmniejszałam wydatki na armię aż do niemal śmiesznego minimum, zawsze byłam dumna, że mam małe i niewystarczające wojsko. Bez generałów, bez helikopterów. Czy wie pani, ile mieliśmy helikopterów? Trzy. I nawet nie bojowe, tylko zwiadowcze. Można je było zestrzelić za pomocą procy. Podobał mi się pomysł nieposiadania czołgów, rakiet, armat, moździerzy. Sądziłam, że mój pacyfizm jest zaraźliwy, powiadałam: to

nie za pomocą karabinów broni się demokracji, to nie za pomocą karabinów zaprowadza się sprawiedliwość społeczną i wolność! A jednak nie. Nauczyłam się na własnej skórze, że także demokracji, sprawiedliwości, wolności trzeba bronić za pomocą karabinów; żeby obronić się przed przemocą, pozostaje jedynie przemoc. Cóż za okrutna lekcja, cóż za okrutne rozczarowanie. Miałam ściśnięte gardło, kiedy prosiłam o broń obce kraje, ale potem poczułam ulgę i zaczęłam płakać, kiedy zobaczyłam transporty broni. Urodziłam się, żeby być matką, ale nie matką, która lubi spuszczać lanie. I oto spuszczam lanie moim niegrzecznym dzieciom. Gdybym chociaż wiedziała, przez kogo zrobiły się niegrzeczne!

*Prawdopodobnie gdyby się pani dowiedziała, nie mogłaby pani tego powiedzieć, pani Bandaranaike. Cały pani wysiłek związany z niezaangażowaniem poszedłby szybko na marne.*

To też prawda. Ocean Indyjski staje się beczką prochu, stanie się nią. Na Cejlon ma ochotę zbyt wielu: z prawej i z lewej, ze wschodu i z zachodu. Aby nie wpadł w czyjeś ręce, aby nie stał się małym Wietnamem, nie mam innego wyboru, jak siedzieć na dwóch stołkach, trzech, na ilu tylko się da. Nie mogę sobie pozwolić na opowiedzenie się po stronie jednego albo drugiego bloku, nie mogę wzbudzać zawiści, pretensji, rywalizacji. Widzi pani, nie jestem zwierzęciem politycznym w tym sensie, że nigdy nie studiowałam sztuki polityki, nigdy nie przeczytałam ani nie napisałam żadnej rozprawy. W polityce znalazłam się dzięki zrządzeniu losu albo przypadkiem, nie całkiem niedoświadczona, ponieważ kiedy miało się takiego męża jak mój, nabrało się trochę doświadczenia, ale bez podstaw naukowych. No cóż, podstawy naukowe zastąpiłam zdrowym rozsądkiem. A co mówi zdrowy rozsądek? Dokładnie to, co mówią traktaty na temat wysokiej polityki: kiedy dwa psy szczekają, nie wchodzi między nie, pozwól, aby pogryzły się między sobą. Zresztą mam dość kłopotów we własnym domu, aby szukać ich jeszcze w cudzym.

*Pani Bandaranaike, jest pani pierwszą kobietą w naszych czasach, która kieruje krajem. Czy zdarzyło się pani kiedykolwiek ubolewać z tego powodu, wręcz tego żałować?*

To wielkie słowa i nie chciałabym ich używać, ale jeśli mam być uczciwa, obawiam się, że muszę ich użyć. Ponieważ to nie był w żadnym razie mój wybór, powtarzam, to była konieczność narzucona mi przez innych. Jak już pani mówiłam, funkcję tę zaczęłam pełnić na mocy zrządzenia losu i przez przypadek, nie dlatego, że pragnęłam władzy. Również w młodości byłam nieśmiała, pozbawiona ambicji. W szkole siedziałam zawsze w ostatniej ławce i nigdy nie otwierałam ust. Moje koleżanki, jestem pewna, dziś jeszcze nie wierzą, że premier Sirimavo

Bandaranaike to ta sama osoba, którą poznały w dzieciństwie, w szkole prowadzonej przez zakonnice. Wydaje mi się, że je słyszę: „Ale kto by mógł przypuszczać, że Sirimavo...”. Ja też nie mogłam przypuszczać. Nie marzyłam nigdy o karierze, o zawodzie, marzyłam zawsze tylko o rodzinie i dzieciach, o niedzielnych popołudniach spędzanych na pracy w ogródku. Dziś jeszcze największą radością jest dla mnie spędzenie popołudnia w ogrodzie na hodowaniu moich róż. Dwuznaczność polityki głęboko mnie drażni: kłamstwa, kompromisy. Dyplomacja i przebiegłość nie były nigdy moją mocną stroną. Moją największą wadą albo, jeśli pani woli, moją największą zaletą było zawsze mówienie tego, co myślę, z otwartością, którą często brano za złe wychowanie. Znalazłam się tu, gdzie jestem, bez entuzjazmu, dostosowałam się do konieczności niczym do nieszczęścia, które na mnie spadło. I największą ceną, jaką musiałam zapłacić, było wyrzeczenie się dzieci: nie mogłam się już nimi zajmować, dbać o ich wykształcenie. Czasami zastanawiam się, czy nie mogę pojąć sensu rewolty tych młodych właśnie dlatego, że dialog między mną a moimi dziećmi się urwał. One...

*One są bardziej po stronie powstańców niż po pani stronie, czy nie tak, pani Bandaranaike? Słyszałam o liście, który z Paryża napisała podobno do pani córka Chandrika.*

Nie, Sunetra, ta, która mieszka w Anglii, to ona zajęła wyraźne stanowisko. Opublikowała również w pewnym czasopiśmie artykuł przeciwko mojemu rządowi i mnie. Często zdarza się, że młodzi nie zgadzają się z rodzicami. I w gruncie rzeczy to normalne, a także sprawiedliwe. Gdyby tak się nie działo, świat zastygłby w przeszłości i nic by się nie mogło zmienić. Jest jednak coś w tych kontestatorach, z czym nie mogę się zgodzić: żyją oni o wiele lepiej od swoich ojców i matek. Dostali o wiele więcej. Więcej wolności, więcej jedzenia, więcej kultury. W sumie to była szczęśliwa wyspa, wygodna, na pewno lepsza od wielu innych. A więc dlaczego rozpętali tę krwawą łaźnię? Czego chcą, czego chcieli? Powtarzam pani to, co powiedziałam na początku naszej rozmowy: nie mogę pani pomóc w zrozumieniu sytuacji, bo ja też jej nie rozumiem. Rozumiem tylko, że oni są nieszczęśliwi. Ale dlaczego? Czyżby dobrobyt ich unieszczęśliwiał? Nie chciałabym, żeby ta tragedia nauczyła mnie czegoś najgorszego: że aby być szczęśliwym, trzeba cierpieć.

*Kolombo, sierpień 1972*



## Pietro Nenni

Zamknięty w swojej wieży z kości słoniowej, która do niego nie pasuje, wielki starzec uczestniczył już w niewielkim stopniu w życiu politycznym, któremu poświęcił trzy czwarte swoich osiemdziesięciu lat, któremu dał wszystko, co może dać człowiek. Nawet córkę, która zginęła w obozie koncentracyjnym w Auschwitz, a przed śmiercią napisała do francuskich towarzyszy: „*Dites à mon père que je n'ai jamias trahi ses idées*”. (Powiedzcie mojemu ojcu, że nigdy nie zdradziłam jego idei). Z tej wieży z kości słoniowej, którą z przerwami było jego mieszkanie w Rzymie i również z przerwami dom w Formii, wychodził jedynie po to, aby udać się do Senatu. Dano mu stanowisko dożywotniego senatora i przyjął ten urząd po długim wahaniu, on, który o mało co nie został wybrany na prezydenta Republiki. W Partii Socjalistycznej liczył się już tylko jako symbol, który się wyciąga, kiedy jest potrzebny, a kiedy nie jest już potrzebny, odkłada się na bok. Nie udało mu się. Przegrał swoją bitwę i przegrał ją źle, z goryczą i nie przyznając się do poczucia niesmaku. Kiedy opuszczał obrady kongresu, był rok 1968, usłyszałam, jak szepcze: „Tutaj Nenni nie ma już przyjaciół”. Szkoda. Miałyby jeszcze tyle do powiedzenia, do uratowania. Wiek nadał mu jedynie wygląd zmęczonego patriarchy, jeśli chodzi o resztę, był w znakomitej formie. Wstawał co rano o siódmej, czytał gazety, pedałuąc na swoim rowerze stacjonarnym tyle czasu, ile trzeba na przejechanie pięciu kilometrów. Grał w bule z zapalem młodzieniaszka; lekarze przyglądali mu się z niedowierzaniem. Ale w jego organizmie lwa stworzonego do tego, aby się nie poddawać, najlepszy był mózg. Dalej funkcjonował jak komputer.

Większość czasu spędzał na czytaniu, pisaniu. Pracował nad książką, która miała być jego biografią i która, zważywszy na jego niechęć do mówienia o sobie samym, w końcu się nią nie stała. Chciał ją zatytułować *Testimonianza d'un secolo* (Świadectwo stulecia). Wielu zastanawia się, czy w ostatnim rozdziale powiedziałby to, czego teraz nie chce powiedzieć albo mówi niejasno: że jego socjalizm jest inny niż pięćdziesiąt lat temu, a nawet dwadzieścia pięć lat temu. To jest już socjalizm odrzucający dogmatyczne myślenie, schematy, abstrakcyjne formuły, żywiący natomiast ślepią wiarę w wolność, w demokrację, w człowieka. Niewybaczalne herezje dla prawdziwego marksisty. Jeśli chciało się z nim o tym porozmawiać, zmieniał temat. Albo zaczynał mówić w sposób pokrętny, coś przyznawał, ale zaraz potem się wycofywał. Prawda jednak mu nie umykała, zauważył, że świat nie opiera się tylko na gospodarce, że państwowy

kapitalizm nie różni się od kapitalizmu prywatnego i pod wieloma względami jest jeszcze bardziej despotyczny, ponieważ nie podlega prawom krytyki, rynku, konkurencji. Zauważył, że dyktatura proletariatu to zwykła formuła i nic więcej, że przeciwko właścicielowi, który nosi nazwisko Agnelli, można walczyć, a przeciwko państwu, które jest właścicielem, nie, jak dowodzą tego robotnicy masakrowani w Gdańsku i Szczecinie, intelektualisci wsadzani do więzień albo szpitali psychiatrycznych w Moskwie i Leningradzie. „Czuję się lepiej w Sztokholmie niż w Leningradzie”, mawiał. I było to jedyne bezkompromisowe zdanie, którym ośmielał się przerwać swoje milczenie. Zakochał się w szwedzkim socjalizmie, który nie obalił własności prywatnej, lecz dał człowiekowi więcej, niż mógł to zrobić doktrynerski i naukowy socjalizm. Być może odrodziła się w nim też młodzieńcza miłość do anarchii, rozumianej jako obrona pojedynczej jednostki. Kto wie, ile udręki musiało mu przysporzyć i przysparza nadal podobne odkrycie. Kto wie, ile bezsennych nocy, ile niepokoju wynikającego ze skrupułów wobec tych, dla których był mistrzem. Pod koniec życia doświadczył i doświadcza dramatu porównywalnego do dramatu teologów, którzy odkrywają, że nie wierzą już w Boga. Albo że nie wierzą już w Kościół, chociaż jeszcze wierzą w Boga.

Zwróciłam się do jego dalekowzroczości, do jego mądrości, aby móc zrozumieć, co dzieje się we Włoszech lat siedemdziesiątych. I on mi odpowiedział. Rozmowa trwała wiele dni i podzielona była na szereg spotkań. Nie był w najlepszym zdrowiu, spotykałam się więc z nim w jego domu w Formii, gdzie jeździł pod byle pretekstem albo w weekendy, lub w mieszkaniu w Rzymie, na ostatnim piętrze kamienicy przy piazza Adriana. Na ogół rozmawialiśmy trochę rano, po jego partyjce buli, i przerywaliśmy, kiedy trzeba było siadać do stołu. Jedliśmy bez pośpiechu, popijając dobre francuskie wino, potem on szedł się zdrzemnąć. Około czwartej, piątej budził się, powoli, tak jak mówił. Na każde pytanie odpowiadał irytująco rozwlekle, oddzielając jedno słowo od drugiego, jak gdyby dyktował sekretarce, zatrzymując się przy kropkach i przecinkach, ignorując zegar odmierzający godziny. Zmierzch zaskakiwał nas podczas tego powolnego następowania po sobie zdań, idei, które jednak tak bardzo mnie fascynowały, że zapomniałam zapalić światło. Zapamiętam na zawsze posiedzenie, które zakończyło się, kiedy zapadł już zmrok i nikt z nas dwojga nie zauważył, że zrobiło się ciemno. Siedzieliśmy w jego gabinecie w Formii, w małym pokoju, gdzie stała tylko kanapa, biurko, biblioteka i dwa krzesła. Weszła Pina, jego opiekunka, i skrzyczała nas: „Jak to? Teraz rozmawiacie jak ślepi?”. Innym razem zmierzch zaskoczył nas w jego rzymskim gabinecie, równie małym, lecz przypominającym raczej

sanktuarium. Tutaj nad kanapą wisiał duży portret olejny zmarłej żony i zdjęcia Vittorii, córki zmarłej w Auschwitz. Ale nie normalne zdjęcia z jakiegoś szczęśliwego dnia, ale zdjęcia zrobione w obozie, w pasiaku, z wytatuowanym numerem. Jedno en face i jedno z profilu. Zawsze zastanawiałam się, dlaczego. Może po to, aby nigdy nie zapomnieć, w żadnym momencie, a tym bardziej w chwili zasypiania lub budzenia się, o ofierze córki? W rzymskim gabinecie spotkania odbywały się raczej po to, aby przejrzeć i przedyskutować zapis rozmów zarejestrowanych na taśmie magnetofonowej w Formii.

Nie jest łatwo przeprowadzić wywiad z Pietrem Nennim, wszyscy o tym wiedzą. On sam był dziennikarzem, i zamiast pozwolić przeprowadzić z sobą wywiad, wolałby zrobić to sam i później sam napisać artykuł, by wyważyć każde zdanie, każdy przymiotnik, każdy przecinek i może zaraz potem wszystko przekreślić i zacząć od początku. Nigdy nie jest zadowolony z tego, co pisze. Kiedy był naczelnym „Avanti”, zmuszał się, aby oddawać do drukarni swoje teksty w ostatniej chwili, kiedy nie można już było wprowadzić żadnych poprawek. Jak więc może być zadowolony z tego, co mówi do magnetofonu. „To pani urządzenie niezbyt mi się podoba, jest niebezpieczne”. Jeśli przeprowadzasz z nim wywiad podczas wielu posiedzeń, jak w moim wypadku, nazajutrz zastajesz go zatopionego w morzu karteczek pokrytych bazgrołami, notatkami, przypomnieniami. Wznosząc pomarszczony palec wskazujący, odczytuje je i nieuchronnie chodzi o nową wersję tego, co już ci powiedział: sprawdzoną, poprawioną, odrzuconą. Bardziej niż czyta, dyktuje ci ją, dorzuca dodatkowe zmiany. Rozwlekle. „Niech pani usunie to *ja*. Niedobrze jest mówić *ja, ja, ja*. Niech pani usunie to *oni* i zastąpi przez *my*. Nie jest dobrze obarczać innych winami, które są także moje”. Chciałoby się wpaść w złość, a zamiast tego się wzruszasz: jest taki elegancki, taki uczciwy. I taki wielkoduszny; kiedy osądza innych, obawia się zawsze, że ich obrazi. Prosił mnie, żebym pominęła jego opinię na temat Churchilla – człowieka, którego nigdy nie lubił z powodu pogardy okazywanej wszystkim – żeby nie wyjść na niesprawiedliwego. „W gruncie rzeczy bez niego dziś nie moglibyśmy rozmawiać”. Churchill, Stalin, de Gaulle, Mao Tse-tung, Chruszczow, Kennedy, Nixon, Gramsci, Turati, Malatesta, królowa Elżbieta: przez jego życie przewinęli się wszyscy i nie były to powierzchowne spotkania. „Pamiętam, kiedy Mao mi powiedział... Pamiętam, kiedy de Gaulle mi powiedział...”. I najważniejsza opowieść dnia, kiedy on, republikanin, musiał wsiąść do złotej karety Jej Wysokości, księżniczki Małgorzaty: „Nie, tego proszę mi nie przypominać”. I dzień, w którym podczas oficjalnego obiadu chcieli go posadzić obok ambasadora Grecji. On zaś zmienił

miejsce, oburzony. „Ach, co za udręka, co za niepokój. Rozbolał mnie żołądek”. Słuchanie go jest przyjemnością, którą trzeba traktować jako dar. Spisywanie natomiast tego, co się usłyszało, jest męką, którą należy traktować jako karę.

I tak w momencie redagowania tego wywiadu miałam problem sumienia: zredagować go na swój sposób czy na jego, opowiedzieć wszystko, co mi wcześniej powiedział o swoich przemyśleniach czy zacytować tylko to, czego żądała ode mnie jego skrajna skrupulatność? Poważny problem, kiedy szanuje się człowieka tak jak ja szanuję jego, ale jednocześnie wierzy się we własną pracę i traktuje ją jak obowiązek. Dręczyłam się tym przez kilka dni, raz postanawiałam zrobić to, co on chciał, raz postanawiałam go nie słuchać. Na koniec rozstrzygnęłam dylemat, stosując rodzaj kompromisu. To znaczy zredagowałam wywiad tak jak wydawało mi się słuszne, a zarazem godząc się na niektóre jego zalecenia.

\*\*\*

Udało się. Po przeczytaniu wywiadu w gazecie Nenni powiedział mi, że nie zdradziłam ani jego myśli, ani jego samego. I był to początek przyjaźni, która jest dla mnie zaszczytem i powodem do dumy. Odczułam też wielką ulgę, ponieważ, jak rozumiała to Vittoria, córka, która zginęła w Auschwitz, dlatego że była jego córką, przede wszystkim nie wolno go zdradzić. To zbrodnia, którą popełniło wielu. Zbyt wielu. Nawet kiedy w uznaniu jego zasług miano go wybrać na prezydenta Republiki. Byłby wspaniałym prezydentem Republiki i z korzyścią dla nas byłoby go mieć w Kwirynale. Ale nie pozwolili mu na to, nie pozwolili nam na to. Jego przyjaciele, bardziej jeszcze niż jego wrogowie.

*ORIANA FALLACI. W wywiadzie na łamach „Europeo” Arthur Schlesinger powiedział na temat Włochów: „Któż może was zrozumieć, skoro wy sami siebie nie rozumiecie?”. Senatorze Nenni, proszę pana, żeby nam pan pomógł zrozumieć samych siebie i to, co dzieje się we Włoszech. Ma pan opinię pesymisty, wiem. Jednakże...*

PIETRO NENNI. Nie, jestem pesymistą, jeśli chodzi o ocenę najbliższej przyszłości: jeśli mnie pani zapyta, co się stanie dziś wieczór, odpowiem, że prawdopodobnie zdarzy się coś nieprzyjemnego. Ale jeśli mnie pani spyta, co zdarzy się w trakcie najbliższych lat, wówczas będę optymistą. Ponieważ wierzę w ludzi, w ich zdolność do zmieniania się na lepsze. Ponieważ uważam człowieka za początek i koniec wszystkiego. Ponieważ jestem przekonany, że decydującym kryterium jest zawsze on, człowiek, i że tylko zmieniając człowieka, zmieni się społeczeństwo. Podczas sześćdziesięciu pięciu lat działalności politycznej mój problem polegał

zawsze na tym, że chciałem zmieniać się na lepsze jako człowiek i pomagać w tym samym moim towarzyszom walki. Nie jest to niemożliwe, kiedy rozumie się ludzi. I kiedy Schlesinger powiada, że nie można zrozumieć Włochów, posługuje się błyskotliwym powiedzonkiem. Nie są oni bardziej niezrozumiali od innych i nie są też gorsi. Jest im jedynie bardzo trudno zrationalizować swoje życie zbiorowe i nie traktować poważnie niektórych zagrożeń. Nieudany zamach stanu Valeria Borghese na przykład. Oczywiście, niebezpieczeństwem nie jest Valerio Borghese sam w sobie. Niebezpieczeństwem jest rozpad demokratycznego państwa, rozpad, do którego się przyczyniamy, zaczynając coś nieustannie, a następnie niszcząc, w ten sposób bowiem grozi nam, że epizod taki jak zamach Valeria Borghese może nas zaskoczyć.

*Zgodzi się pan chyba, że trudno traktować serio Valeria Borghese czy wręcz dyktaturę, na której czele stałby Valerio Borghese.*

Przypomina mi pani tych, którzy podczas kryzysu w latach 1920–1922 powiadali: „Ale ty traktujesz zbyt poważnie tego Mussoliniego! Chyba dlatego, że byłeś z nim razem w więzieniu. Jak taki ktoś może twoim zdaniem dojść do władzy? We Włoszech brakuje człowieka, który wprowadziłby dyktaturę!”. Co znaczy „brakuje człowieka”? Nie potrzeba wcale kogoś wyjątkowego, aby uczynić z niego symbol sytuacji! Wystarczy jakikolwiek nawiedzony facet, dziwak uważany za nieszkodliwego, człowiek próżny pragnący sukcesu. Kim był zresztą Mussolini w 1920 roku, a także w 1921 i 1922? Dostał cztery tysiące głosów w wyborach w 1919 roku, cztery tysiące głosów w Mediolanie, mieście, którym praktycznie władał od roku 1913, kiedy został naczelnym „Avanti!”. Gotów był uciekać do Szwajcarii, sądził, że taka ewentualność jest bardziej prawdopodobna niż udanie się do Rzymu i utworzenie rządu. A jednak udał się do Rzymu. Tak jak się obawiałem. Ponieważ wiedziałem, że kiedy tacy awanturnicy, a raczej „kondotierzy” działają w chorym społeczeństwie, wszystko staje się możliwe. Dlatego trzeba być doprawdy lekkomyślnym, żeby teraz uśmiechać się i powtarzać: gdzie-jest-dziś-ktoś-taki-jak-Mussolini, gdzie-jest-dzisiaj-Hitler. Kogoś takiego jak Mussolini, kogoś takiego jak Hitler wystarczy wymyślić. A żeby go wymyślić, wystarczy setka gazet, które codziennie będą powtarzać „to wielki człowiek”, papież, który oznajmi, że „to mąż opatrnościowy”, i może ktoś taki jak Churchill, który oświadczy: „to pierwszy człowiek, za którym, czuję, opowiada się wola włoskiego narodu”. Jak powiedział o Mussolinim. Czyż nie można więc wymyślić w ten sam sposób Valeria Borghese, który już jest księciem i pułkownikiem i torpedował okręty i dowodził dziesiątą jednostką do walki z łodziami podwodnymi? To prawda, że jego nieudany zamach

stanu przypomina karykaturę *golpe*: nie da się zająć Włoch, zajmując Palazzo Chigi i Rai-TV. Chyba że ma się wspólników wewnątrz państwa, na przykład w siłach zbrojnych albo w policji. Dziś mogłoby się to zdarzyć jedynie na małą skalę i dzięki wspólnikom na samym szczycie władzy państwowej. Nie zapominajmy, że Mussolini wsiadł do pociągu dopiero wtedy, kiedy otrzymał telegram od króla, który zapraszał go do Kwirynału. Ale dzisiaj w Kwirynale nie ma już króla, jest Saragat. W każdym razie nie to jest najważniejsze. Najważniejsze...

*Chwileczkę, senatorze Nenni. Pan głosi przerażającą tezę. Twierdzi pan, że istnieją analogie między Włochami z 1971 roku a Włochami z 1922. Czy tak?*

Tak, po części tak. Włochy z 1971 roku nie są Włochami z 1922, to jasne. W tamtych czasach nie znaliśmy faszyzmu, a teraz znamy go już nawet zbyt dobrze i nie jesteśmy skłonni tolerować go po raz drugi. Ale jest jeden punkt, który wskazuje na znaczne analogie między Włochami z 1971 roku a Włochami z 1922, przedstawiłem go w Senacie, kiedy przypominałem, że w 1922 roku nie zgubiła nas ofensywna siła faszyzmu. Zgubiła nas słabość klasy politycznej u władzy. Małostkowe podziały skonfliktowały polityków, budząc zawiść, chęć odwetu, oczekiwania. Nikt nie wierzył w zagrożenie. Wszyscy czekali. Giolitti czekał w Vichy, zastanawiając się nie wiadomo nad czym. Być może nad straszliwym zdaniem Cromwella: „Trzeba, żeby wszystko potoczyło się gorzej, aby mieć nadzieję, że potoczy się lepiej”. Ilu dzisiejszych polityków myśli tak samo? I czy im także nie grozi, że obudzą się pewnego pięknego dnia, a raczej brzydkiego, i nie będą już nic mogli zrobić? Nie zapominajmy, że pewnego wieczoru 1967 roku ateńczycy poszli spać, mając jeszcze w oczach i uszach manifestacje za starego Papandreu, a rano obudzili się z pułkownikami u władzy.

*Ale Włochy nie są Grecją, senatorze Nenni. We Włoszech lewica jest silna.*

Byliśmy silni także w 1920 roku, nie wystarczy być silnym. Trzeba umieć zapobiec pewnym rzeczom, sprawiając, że działa państwo, rząd, parlament, a nie wciąż odwlekać, odwlekać i odwlekać; taką praktykę stosowaliśmy aż za często w ostatnich latach. Od lat ostrzegam przed zawiścią, chęcią odwetu, powolnością, małostkowością. Od lat powtarzam to, co teraz pani mówię, kiedy jest mowa o faszyzmie. Lepiej nadmiar niż niedostatek czujności. Nie słuchają mnie. Te moje słowa mogły trafić w pustkę również latem 1964 roku. Co gorsza, wówczas komuniści przyjęli je jako ostrzeżenie przed „urojonym niebezpieczeństwem”, jako „odwrócenie uwagi mające ukryć nieskuteczność centrolewicy”. A przecież przedstawiłem realne fakty: proszę pomyśleć o tym, czego dowiedzieliśmy się później o Służbach Informacyjnych Sił

Zbrojnych i o niektórych dowództwach wojskowych. Jak to możliwe, żeby w Reggio Calabria ten Franco Ciccio czy Ciccio Franco, czy jak-mu-tam odgrywał rolę Masaniella? Jak to możliwe, żeby w Aquili partie były nieobecne? Chodziło o bunty lokalne i cóż za przypadek, miały one za cel siedziby partii lewicowych i rząd. Nie zaś siedziby MSI. A więc najważniejszy nie jest Valerio Borghese. Najważniejsze jest, co mogło przekonać Valeria Borghese, że akcja mająca na celu Palazzo Chigi i RAI-TV może się przemienić w zamach stanu i spotkać z wdzięcznością ze strony państwa?

*Czy jest na to odpowiedź?*

Oczywiście, że jest! Również i w tym przypadku, tak jak w roku 1922 faszyci liczyli na pomoc ze strony prawicy. Klasycznej prawicy, tej co zawsze, prawicy, która otrzymuje niewiele głosów, ale ma władzę ekonomiczną, poparcie w administracji państwowej i w siłach zbrojnych. Prawicy, która chciałaby wchłonąć siły umiarkowane Chrześcijańskiej Demokracji. Prawicy, która chce ustanowić na powrót miniony już mieszczański porządek. Prawicy, która posługuje się faszystami jako elementem prowokacji, ponieważ potrzebuje chaosu, to znaczy strachu. Chaos służy zawsze wrogom demokracji. Służy nawet komunistom, którzy w ten sposób mogą przybrać postawę obrońców legalności, a więc jak może nie służyć prawicy. Tego właśnie nie rozumieją nasi politycy, kiedy bawią się wypaczeniem reform. Tego właśnie nie rozumieją młodzi z pozaparlamentarnych drobnych ugrupowań, kiedy za sprawą aktów przemocy pomagają reakcji i MSI.

*Senatorze Nenni, czy uważa pan za słuszne, żeby MSI zasiadał w parlamencie?*

Nie, nie uważam tego za słuszne. Ponieważ MSI powstał, mając cechy partii faszystowskiej; zgoda na jego istnienie była kolejnym błędem nas, Włochów, którzy nigdy nie traktujemy niczego zbyt serio. Tak, również w przypadku MSI demokratyczne państwo nie spełniło swoich funkcji: nie zastosowało artykułu 12 Konstytucji, nie zastosowało nawet ustawy Scelby z 1952, zabraniającej wyraźnie zakładania organizacji i partii odwołujących się do faszyzmu. W każdym razie przypisuję względne znaczenie faktowi, że w parlamencie jest partia typu faszystowskiego, ponieważ postrzegam rzeczywistość w kategoriach politycznych. Partię faszystowską może pani rozwiązać, kiedy i jak pani chce, to nie wystarczy, aby zniknęli faszyci. Aby zniknęli, trzeba wyrwać społeczne, polityczne, psychologiczne korzenie, które tkwią u źródeł faszyzmu. A korzeni tych nie wyrwano dotąd we Włoszech, poprzestano na powierzchni.

*Do tego chciałam przejść, senatorze Nenni, do predyspozycji, jaką przejawiają do choroby zwanej faszyzmem. Faszyzm to przede wszystkim przemoc, pogarda dla demokracji, a więc jego kolor jest nie tylko czarny. Czy nie sądzi pan, że te nigdy niewyrwane korzenie zakwitają na nowo także w aktach przemocy ze strony lewicowych ekstremistów?*

Tak, młodzi, którzy określają się jako maoiści, trockiści, neoanarchiści, stosują przemoc, to prawda. I w ten sposób dają przykład, pretekst, budzą nienawiść, strach, nie zauważając, że nic nie zyskają za sprawą nienawiści i strachu. Ale nie należy ich mylić z faszystami. Faszyzm nie jest ruchem ekstremistycznym, jest faszyzmem i koniec. Faszyzm jest tym, co znosiliśmy za Mussoliniego, za Republiki Salò. On nie chce, żeby świat posuwał się do przodu, chce go cofnąć. Mam na myśli to, że maoistyczny akt przemocy i faszystowski akt przemocy mogą być, tak, tym samym, ale jedynie w sensie materialnym. Z moralnego i historycznego punktu widzenia jest między nimi ogromna różnica. Faszyci są niebezpieczni, ponieważ odwołują się do niedawnej tradycji naszego kraju i mają za sobą siły reakcji; tak zwani maoiści nie są niebezpieczni, bo nie wychodzą poza bunt w gruncie rzeczy dziecinny. Kierują nimi idee, które nie są godne pogardy, lecz są utopijne i obce rzeczywistości włoskiej czy wręcz europejskiej. Widzieliśmy wybuch ich rewolty we Francji w maju 1968 roku; cóż takiego osiągnęli? Przeciwnieństwo tego, co chcieli. Wystarczył tamten maj, aby spowodować cofnięcie się francuskiego społeczeństwa i jego powrót do konserwatyzmu. Jeśli dzisiaj we Francji istnieje gaullizm bez de Gaulle'a, ma władzę i ją sprawuje, zawdzięczamy to ruchowi młodych, którzy wzbudzili strach. Przywołałem w Senacie zdanie Lenina. Brzmi ono: „Przede wszystkim starajcie się nie wzbudzać niepotrzebnie strachu”. Ci młodzi powinni byli wziąć je sobie do serca.

*A kiedy piszą na temat Nenniego obraźliwe wierszyki, jak zdarzyło się w Turynie? Zachowali się wówczas wobec pana w sposób oburzający.*

Ależ nie. To był drobny epizod braku tolerancji. Nie zrobiło to na mnie najmniejszego wrażenia. Ich towarzysz został aresztowany, a oni protestowali przeciwko temu, kto reprezentuje autorytet rządu. Dla nich ja byłem rządem, odpowiedzialnym za aresztowanie... Nie zapominajmy, że młodzi ekstremiści są historycznym produktem tej odrobiny autorytaryzmu, który tkwi w każdym ustroju społecznym, w każdym zorganizowanym społeczeństwie. Biada, gdyby w wieku dwudziestu lat rozumowało się z mentalnością kogoś, kto ma, tak jak ja, osiemdziesiątkę. Albo choćby z mentalnością czterdziestolatka. Proszę mi wierzyć, moja pobłażliwość wobec nich nie bierze się z przygnębienia, bierze się ze znajomości historii. W



naszym społeczeństwie zjawisko młodzieżowej rewolty objawia się cyklicznie, na początku tego stulecia bunt młodych był jednym z najsilniejszych ruchów. Już wtedy miał w sobie wszystko i w dodatku w wymiarze międzynarodowym: antimilitaryzm, antyklerykalizm, futurizm, brak porozumienia między dziećmi a rodzicami... Chociaż w innych kategoriach, my także buntowaliśmy się przeciwko naszym rodzicom. My również nie chcieliśmy słuchać naszych chłopskich matek, które mówiły nam: „Daj spokój, świat zawsze tak działał i będzie działać zawsze”. Pamiętam doskonale, w tym buncie byłem jednym z najbardziej gniewnych protagonistów.

*Jednym słowem, historia się powtarza i Giambattista Vico miał rację.*

Oczywiście, że miał rację. Historia nie powtarza się w identycznych warunkach, ale się powtarza. Wówczas także istniał ekstremistyczny syndykalizm i organizowano dzikie strajki. Najbardziej typową manifestacją był tak zwany strajk zapalczany, kiedy palono zboże. W Bolonii, w Parmie, w Modenie. Walka klasowa była wówczas przede wszystkim walką chłopów i robotników rolnych. Punktem kulminacyjnym był dla nas Czerwony Tydzień, którym miałem szczęście kierować u boku Enrica Malatesty. Trafiłem na skutek tego pod sąd przysięgłych w Aquili, oskarżony o zamach na państwo. Przed Czerwonym Tygodniem, w 1909 roku, zorganizowaliśmy wielki strajk międzynarodowy dla uczczenia pamięci anarchisty Francisca Ferrera. Rozstrzelano go w Barcelonie za poglądy, a ja byłem jednym z promotorów tego strajku w Carrarze, wówczas anarchistycznej i republikańskiej. W Forli zorganizowałem strajk przeciwko wojnie z Libią. Wierzyliśmy, że strajk jest środkiem, który zmusi do ustąpienia siły kapitalistyczne, potem że może powstrzymać wojnę i zapewnić pokój między narodami... Powtarzam pani: te kryzysy, podczas których wszystko zostaje podane w wątpliwość, powtarzają się. Niekiedy przybierają formy kulturowe, niekiedy społeczne, ale w istocie są zawsze tym samym. Za moich czasów powoływano się na Georges'a Sorela i jego *Réflexions sur la violence*. Dzisiaj powołują się na *Mysli* Mao. Zainspirowane czy to Mao, czy Sorelem, zjawisko to odwołuje się zawsze do jednakowej zasady. Zasady, według której młodzi są elementem rozwoju społeczeństw. Dzisiejsza młodzież natomiast sądzi, że wynalazła świat. Młodzież zawsze sądzi, że świat zaczyna się od niej.

*Senatorze Nenni, wasz bunt zrodził się z nędzy i opresji nieporównywalnych z dzisiejszą sytuacją. Czy nie uważa pan zatem, że wasza przemoc była bardziej usprawiedliwiona niż ich?*

Bez wątpienia. I pani pytanie przypomina mi artykuł, który ukazał się na temat „umiarkowanego” Nenniego: człowiek, który organizował Czerwony Tydzień dziś żąda, aby wyrzec się przemocy. W tym artykule przyznawano mi logiczną konsekwencję. Nie brakuje mi jej, droga przyjaciółko. Ponieważ dziś mamy czego bronić. A za moich czasów nie mieliśmy doprawdy nic. Albo bardzo mało. Dziś wolność myśli, organizowania się, manifestacji istnieje, jest dostępna wszystkim. Za moich czasów nie istniała. Dziś nie zabrania się zmieniać obecnego porządku obywatelskiego i społecznego. Za moich czasów zabraniano tego, jednym słowem, dzisiaj wszelka walka o wolność musi zakładać obronę swobód już zdobytych i kiedy obserwuję dzisiejszą młodzież, żałuję tylko jednego: że pozwalają się uwieść odradzającemu się mitowi przemocy. Przemoc jest połączona z historią, tak, ale kiedy stosuje się ją w odpowiednim miejscu i czasie. Obecnie nie ma takich warunków w naszym kraju. Przemoc jest odpowiedzią na opresję, która nie pozostawia innej drogi domagania się sprawiedliwości, tak, ale na resztki tego, co przetrwało z dawnego ucisku, mamy inne sposoby walki. Gdyby działalność tych młodych prowadzona była w sferze idei, odniosłaby znacznie większe skutki. Kłopot w tym, że nie wszyscy mają idee, wielu z tych zbuntowanych to jutrzejsi przemysłowcy i solidni mieszkańcy. Podobnie jak wielu z buntowników na początku XX wieku stało się faszystami, a nawet ministrami za faszyzmu. Proszę mi wierzyć, czasami zastanawiam się, czy te ich zamieszki na ulicach i na uniwersytetach nie są przejściową modą, sposobem wyładowania się, ceną płaconą za chwilowe resentymety, nie zaś przemyślaną negacją świata, do którego przecież w dużej mierze należą.

*Plują na demokrację, senatorze Nenni. Nierzadko plują na Ruch Oporu. Powołując się na Mao, obierają za wzór społeczeństwo, z którym nie mamy nic wspólnego. Pan był w Chinach i poznał Mao Tse-tunga...*

Tak, ale krótki kontakt z nieznanym krajem nie wystarczy, żeby zrozumieć rewolucję, ustrój, człowieka. Nie bardzo ufam niektórym podróżom. Widzi pani, pewnego razu Chruszczow opowiedział mi, że Stalin niewiele wiedział o Rosji, i widząc moje zdumienie, wyjaśnił: „Kręciliśmy dla niego filmy i potem mu je wyświetlaliśmy. Sceny z życia miast i wsi, wszystko sztuczne”. Odpowiedziałem żartem: „To samo, co pokazujecie nam, kiedy przyjeżdżamy do Rosji”. Tak właśnie jest. Niewiele wiemy o Związku Radzieckim, nawet jeśli tam byliśmy. I niewiele więcej wiemy o Chinach, nawet jeśli tam byliśmy. Na przykład, jak można poznać tajemnicę ostatniej chińskiej rewolucji? W sensie wolnościowej rewolty wydaje się faktem

pozytywnym. Ale czy chodzi tylko o wolnościowy bunt? Przekonamy się w przyszłości. Co do Mao Tse-tunga, no właśnie: kiedy Mao Tse-tung do ciebie podchodzi, nie podchodzi zwykły człowiek o rysach Mao Tse-tunga, lecz twórca wielkiej rewolucji i nasz stan ducha jest całkiem szczególny. W przypadku Mao Tse-tunga zdarzyło mi się to samo, co w przypadku Stalina. Widziany z bliska Stalin zdawał się nieszkodliwym i miłym człowieczkiem. W tej swojej dobrotliwości sprawiał nawet wrażenie kogoś niedbałego. Nie zapominało się jednak, że to był Stalin, jeden ze zwycięzców, jeśli nie zwycięzca, drugiej wojny światowej, wielki przywódca Rosji.

*Wróćmy do Mao Tse-tunga. Polubił go pan?*

Oczywiście! Być może pozostaje on postacią, którą polubiłem najbardziej. Ale gdybym miał uzasadnić ten wybór, nie potrafiłbym tego zrobić. Ponieważ to sprawa instynktu. Przypuszczam, że mi się spodobał, bo pochodzi z wiejskiego świata. A ja jestem chłopskim synem, bez żadnej domieszki miejskiej czy mieszczańskiej. Mao, cóż pani chce, żebym opowiedział o Mao? Spędziliśmy razem popołudnie, z którego połowa przeznaczona była na tłumaczenie; mówiliśmy do siebie za pośrednictwem tłumacza. Nawet Czou En-laj, który był górnikiem w Belgii i powinien znać dobrze francuski, z pewnością zaś mówi po angielsku, nie rozmawiał ze mną bez tłumacza. Mao był serdeczny. Spytał mnie nawet, co to takiego plan operacyjny Nenniego, o którym tyle mówiły wówczas gazety. Wyjaśniłem mu, że chodzi o próbę otwarcia na Chrześcijańską Demokrację, aby skłonić ją do zwrotu w lewo, ale on nie zdradził, co o tym sądzi. To zrozumiałe, niektóre sprawy nie wchodzą w zakres jego zainteresowań. Potem dyskutowaliśmy na temat wejścia Chin do ONZ, wzajemnego uznania obu naszych krajów, o misjach katolickich w Chinach, w których wypadku mówiło się o masakrach. Wydał mi się żywym człowiekiem. A ja dobrze się czuję z żywymi ludźmi. Odnosi się to w pierwszym rzędzie do Chruszczowa. Widzi pani, radzieccy przywódcy są jak ściana. Nie wprowadzają nigdy nic ludzkiego do tego, co mówią: unikają dowcipów, przemawiają zawsze jak z mównicy. Chruszczow natomiast nigdy nie stał na mównicy, nawet w obecności kogoś obcego, takiego jak ja. Pił, żartował, kpił sobie ze swoich współpracowników. Mówiąc o Mołotowie, rzekł mi: „Wie pan, to jest prawdziwy muł!”. Że jest mułem, sam się o tym przekonałem, kiedy spotkaliśmy się w sprawie Triestu. Ale po co te wspomnienia? Czyż nie mieliśmy mówić o Włoszech i Włochach?

*Tak i oto pytanie, które wielu chciałoby panu zadać. Mówi się coraz częściej o republice pojednania, złożonej z katolików i komunistów. Czy wierzy pan w rychłe nadejście, a przede wszystkim w możliwość takiego małżeństwa?*

Nie, niezbyt wierzę. Republika pojednania to sugestywna formuła, podobnie jak „spaghetti w sosie chilijskim”. Ale również jako formuła, uważam że jest mało prawdopodobna. Nie opiera się na solidnych realnych podstawach. Zbyt wiele rzeczy stoi jej na przeszkodzie: Partia Socjalistyczna, która ma świadomość swojej roli i swojej autonomii, siły laickie reprezentowane przez takie partie jak Partia Republikańska, obecność Włoch w świecie kultury zaangażowanym w obronę wolności... jest oczywiste, że Chrześcijańskiej Demokracji i Partii Komunistycznej taka perspektywa wydaje się kusząca: dwupartyjność w gruncie rzeczy jest ich politycznym marzeniem. Jest oczywiste, że istnieją ugrupowania zaangażowane w taką operację, nawet poza Chrześcijańską Demokracją i Partią Komunistyczną są tacy, którzy łudzą się, że związek „czarnych księży” i „czerwonych księży” zapewniłby na kilka lat względny spokój społeczny, utrzymanie *status quo*. Czy mnie też się to nie przydarzyło, kiedy mówiłem o otwarciu na lewo? Wielu sądziło, że dopuszczenie do władzy socjalistów zagwarantuje *status quo*. Ale, powtarzam, niezbyt wierzę w możliwość czegoś równie niedobrego. Nie, nie. To zbyt pesymistyczna hipoteza. Nie chcę jej przyjąć.

*Przyjmijmy ją jednak. Choćby w sferze political fiction. Senatorze Nenni, czym byłaby republika pojednania? Jakie wynikłyby z niej dla nas konsekwencje?*

To oczywiście, byłyby to małżeństwo dwóch integralizmów zgodnych co do jednego: wyeliminowania wszystkich sił odwołujących się do zasady demokracji i wolności. Dwóch integralizmów, które wyczuwają pewne problemy, tak, to prawda, ale nie wyczuwają innych, dla mnie zasadniczych: indywidualnej wolności, życia demokratycznego. Wraz z nastaniem republiki pojednania mielibyśmy dwa Kościoły: jednemu przypadłaby hegemonia państwa, drugiemu hegemonia opozycji. Jednocześnie zobaczylibyśmy, że znikają czy też ewentualnie zostają wyeliminowane wszelkie siły pośredniczące i zdolne zahamować ów proces. W gruncie rzeczy zniknęłaby Partia Socjalistyczna i zniknąłby blok sił laickich. Zniknęłyby też liczne ugrupowania o inspiracji chrześcijańskiej, które przyczyniły się znacznie do laickiego i demokratycznego odrodzenia Włoch. Takie małżeństwo działa na wyobraźnię cudzoziemców na równi ze spaghetti w sosie chilijskim. Za granicą bowiem problem komunistów w rządzie – wraz z Chrześcijańską Demokracją czy bez niej – przedstawiany jest jako główny problem Włoch. Nie uważam tak.

Uważam, że to jeden z problemów. I rozwiązanie tego problemu pozostaje jeszcze w rękach komunistów.

*Co pan ma na myśli?*

Mam na myśli, że to do nich należy wyjaśnienie ich obecności w koalicji, która miałaby wspólny mianownik w postaci demokracji. A wydaje mi się, że tego komuniści nie zrobili. Do niektórych spraw zmienili swoją metodę i taktykę, to prawda. Wystarczy pomyśleć o zwrocie w Salerno w 1944 roku, o spotkaniu Togliattiego z królem. Wiele powiedzieli, to prawda. Wiele zaryzykowali. Ale celem dla komunistów pozostaje dojście do władzy i mniej lub bardziej totalitarna hegemonia ich partii. W dodatku na poziomie międzynarodowym ich historyczne umiejscowienie pozostaje w systemie radzieckim, który ma swój punkt odniesienia w Moskwie. Także wtedy, kiedy dystansują się wobec tego, co zdarzyło się w Czechosłowacji czy w Polsce, także wtedy, kiedy wiedzą, że Rosjanie byli gotowi interweniować w Warszawie, tak jak interweniowali w Pradze. Jednym słowem, czy komuniści zbliżają się do socjalizmu demokratycznego i z ludzką twarzą, czy też nie? Czy akceptują ten rewizjonistyczny socjalizm o nowym obliczu, czy też nie?

*Senatorze Nenni, sądzi pan, że może się to stać?*

Przyjmuję do wiadomości fakt, że nie stało się to w ostatnich pięćdziesięciu latach ani nawet w ostatnich dziesięciu. To długi czas. Wiemy, że w krajach przez nich rządzonych wszelkie rewizjonistyczne próby mające na celu socjalizm z ludzką twarzą tłumione były siłą i terrorem. Wiemy, że Pekin określa Związek Radziecki jako „raj dla grupy kapitalistycznych i monopolistycznych biurokratów oraz więzienie dla milionów ludzi pracy”. Wiemy, że Moskwa rewanżuje się Pekinowi, nazywając Mao Tse-tunga „jednym z największych zdrajców w historii, porównywalnym do Hitlera”. I na temat tych zasadniczych przeciwieństw komuniści włoscy nigdy nie wypowiedzieli się jasno. A więc absurdem jest uznać za dokonane to, co się jeszcze nie dokonało, co mogłoby się zdarzyć i równie dobrze nie zdarzyć, ale na razie się nie zdarzyło. Oczywiście, wszystko jest możliwe, w rządzie włoscy komuniści już przecież byli. Byliśmy w nim razem, od roku 1944 do 1947. I De Gasperi był wówczas przerażony ich umiarkowaniem. Mówił mi: „Widzisz, nie mogę podjąć z tobą politycznych negocjacji, ponieważ kiedy ty dajesz mi dziesięć, przychodzi Togliatti i daje mi od razu pięćdziesiąt”. Czy jutro też tak postąpią? Kto wie. Tylko ścisła kontrola mogłaby zaowocować skutkami, które uprawdopodobniłyby historyczny proces, wobec którego komuniści pozostają obcy. A zatem wciąż jest dziś jeszcze

aktualne to, co powtarzam od lat: komuniści i socjaliści, zarówno jedni, jak i drudzy, muszą odegrać swoją rolę. Ale kluczową kwestią dzisiejszych Włoch, proszę mi wierzyć, nie jest republika pojednania. Ani spaghetti w sosie chilijskim. Kluczową kwestią, a raczej kluczowym problemem jest kryzys centrolewicy. I słabość demokratycznego państwa, która z takiego kryzysu wynika.

*Do tego chciałam przejść, senatorze Nenni: centrolewica to pańskie dziecko. Czy należy mówić o kryzysie, czy o przegranej?*

Przegranej? Czy mamy uznać to doświadczenie za przegraną, zamiast raczej zastanowić się nad przyczynami kryzysu i czynnikami, które centrolewicy mogą znów przysporzyć siły? To prawda, były z naszej strony błędy. Były sprzeczności, opóźnienia, niewybaczalna powolność. Gorzej, nastąpiło wypaczenie, w sensie oligarchicznym, władzy, korupcja w relacjach między sferą publiczną władzy a prywatnymi interesami. Nastąpiło osłabienie ideałów. Stąd krytyka dotycząca wszystkiego i wszystkich, stąd utrata zaufania do klasy politycznej. Ale jeśli słuszne jest podkreślanie błędów centrolewicy, niesłuszne jest globalne potępienie dzieła centrolewicy. Tym bardziej, że o to troszczyć się już bardzo prawica i komuniści. Proszę nie zapominać o ważnej sprawie: centrolewica musiała stawić czoło nie tylko plagom odziedziczonym po faszyzmie, musiała stawić czoło także zjawiskom nowym i problemom dręczącym cały świat. Niech pani pomyśli o tym, co znaczyło dla całego świata pojawienie się na scenie publicznej młodzieży wymykającej się tradycyjnej kontroli szkoły i rodziny po to, aby tworzyć własną przyszłość. Niech pani pomyśli o nowej sytuacji robotników, o dramacie związanym z automatyzacją: człowiek na usługach maszyny zamiast maszyna na usługach człowieka. Niech pani pomyśli o rewolucji seksualnej i o tym, jak wpłynęła ona na relacje w rodzinie...

*Zgoda. Centrolewica musiała rządzić w trudnym momencie, kiedy dawne reguły przestają obowiązywać, wartości kulturowe się zmieniają i ludzkość przeżywa kryzys okresu dorastania. Ale również inne kraje musiały doświadczyć tych samych wstrząsów, a jednak coś dobrego udało im się zrobić. I dzisiaj nie muszą używać ciężkich słów, których pan słusznie użył: wypaczenie władzy, korupcja, osłabienie ideałów.*

Wiem. W Republice Federalnej Niemiec mała koalicja socjaldemokratów i liberałów ma przewagę w postaci jedynie pięciu czy sześciu głosów. I dzięki tym pięciu, sześciu głosom Brandt mógł stawić czoło problemom o historycznym wymiarze, jak umowa ze Związkiem Radzieckim co do wzajemnej rezygnacji z użycia siły, traktat z Polską. We Włoszech

centrolewica ma przewagę w postaci stu głosów i codziennie staje przed jakąś trudnością. Na ogół trudnością o charakterze wewnętrznym: grupami i grupkami, z których każda żąda części władzy, trwonieniem energii, brakiem odwagi i inicjatywy. Czasami zastanawiam się, czy średnie pokolenie, to znaczy pomiędzy moim a tym, które puka do drzwi, nie znalazło się zbyt łatwo na szczycie władzy. Przeszło z klasztoru ojca Gemelli do gry możliwych tego świata, jak powiedział Francuz Nobécourt w wywiadzie na łamach „Europeo”. Nie, nie żądam, aby każdy człowiek miał za sobą taki bagaż, jaki miało wielu z mojej generacji: ciężar walki z faszyzmem, nieszczęście w postaci najbardziej ponurych dramatów naszego wieku. Ale...

*Ale jakieś drobne utrudnienie by im nie zaszkodziło, nieprawdaż, senatorze Nenni? Wszyscy urodzili się ministrami, wykrzyknął pan kiedyś.*

Ale mają problemy, które nie dają im spokoju, bądźmy sprawiedliwi! Proszę pomyśleć o wyludnianiu się wsi, o setkach tysięcy rodzin, które przenoszą się do miast i stykają nagle z inną rzeczywistością. Proszę pomyśleć o zawrotnym tempie rozwoju szkolnictwa: w ciągu ośmiu lat liczba studentów z dwóch milionów rośnie do ponad siedmiu, a budowa szkół i dydaktyka nie nadążają za tym zjawiskiem. Proszę pomyśleć o reformie podatków, opieki zdrowotnej, urbanistyki, o koniecznej reorganizacji regionów. To są ogromne problemy, a we Włoszech są one jeszcze większe niż gdzie indziej.

*Czy teraz pan przyzna, że jest pesymistą, senatorze Nenni?*

Nie. Nic nie jest ostatecznie przekreślone. Istnieje jedna tylko ewentualność, w obliczu której bylibyśmy bezbronni: kryzys gospodarczy, monetarny, kryzys produkcji połączony z niestabilnością rządu. Wtedy rzeczywiście tamy by puściły i nastąpiłaby katastrofa. Ale i do tego można nie dopuścić, jeśli tylko zakaszemy rękawy, jeśli tylko uchwalimy reformy, jeśli tylko przestaniemy marnować czas na polemikę na temat nowej równowagi w ramach rozpoczynającego się procesu historycznego. Chodzi o najbliższe dziesięć lat. Nie jestem prorokiem ani dzieckiem proroków, ale powiadam, że ta historia z nową równowagą opiera się na nieporozumieniu i na bardzo wątpliwej perspektywie: ewolucji Partii Komunistycznej. Grozi nam, że zajmując się tymi łamigłówkami, ulegniemy złudzeniu i zniszczymy to, co zostało już zbudowane. Grozi nam, że przeszkodzimy Chrześcijańskiej Demokracji w jej udziale w polityce postępu społecznego i wpędzimy ją na powrót w ramiona prawicy.

*Senatorze Nenni, pańska negacja pesymizmu byłaby do przyjęcia, gdyby Partia Socjalistyczna była tym, co pan sobie wymarzył. Ale nie jest. Jest partią podzieloną i nie może już*

*pan za jej pośrednictwem wpływać na wydarzenia w kraju. Zamierzam więc zadać panu pytanie brutalne i być może okrutne. Kiedy dokonał pan dzieła zjednoczenia, powiedział pan: „Teraz mogę umrzeć w spokoju”. A dzisiaj?*

Dzisiaj myślę o tym z wielkim żalem, ale także bez kompleksu winy. Przegrałem swoją batalię polityczną, ale trzeba umieć pogodzić się z porażką. Tym bardziej że w wieku osiemdziesięciu lat człowiek nie ma już wielu okazji, żeby się odegrać. Uznać swoją porażkę nie oznacza jednak uznać ją za absolutną i ostateczną. Wniosłem swój wkład, ilekolwiek byłby wart. I wniósłbym go raz jeszcze, gdybym widział, że zagrożone są instytucje republiki, wolność demokratyczna mas. Do niektórych zdobyczy przyczyniłem się, jak sądzę, w sposób znaczący; moim największym zwycięstwem było nastanie we Włoszech republiki, nikt nie pragnął jej tak usilnie jak ja. I jeśli nie zdołałem skonsolidować jedności socjalistycznej, to dlatego, że sądziłem, iż ma ona swoją podstawę w świadomości i woli działaczy. Ale ta świadomość i wola nie sprostały próbie. Próbie względnego braku sukcesu w wyborach 1968 roku, polemiki na temat braku zaangażowania, mówienia o nowej równowadze. Cóż mam pani powiedzieć? To zjawisko typowo włoskie, podziały, rozpady. Nikt nie oczekuje, żeby wydarzenia zadały mu kłam czy przyznały rację, każdy chce mieć rację natychmiast. Cóż! Ja chciałem partii świadomej własnej autonomii, zaangażowanej w odzyskanie mas robotniczych i utraconych pozycji po podziale z 1947 roku. Chciałem partii zdolnej do stworzenia socjalistycznej alternatywy w ramach centrolewicy. Kiedy taka możliwość zniknęła, mogę jedynie sobie życzyć, aby centrolewica odzyskała świadomość samej siebie i zaangażowała się w politykę faktów.

*Senatorze Nenni, czy nie jest może tak, że Włochom dobrze jest tylko z dogmatami i Kościołami?*

Nie, chociaż dobrze im z władzą, ponieważ nie pozbyli się jeszcze dziedzictwa stuleci spędzonych w cudzoziemskiej niewoli i w uległości wobec lokalnych tyranii. „Mam rodzinę. Mam sześcioro dzieci. Ośmioro dzieci”, zawsze ci odpowiadają. I to jest element tego dziedzictwa, wzmacniany przez brak zabezpieczenia socjalnego wielu grup społecznych. Mówiąc „mam rodzinę”, rezygnują z walki. Albo rezygnują z niej przez sceptyczną, uszczypliwą, niszczącą inteligencję. Inteligencję będącą wrogiem konkretności. Krytykować wszystko i wszystkich to sposób, żeby nie krytykować nikogo, służy jedynie temu, aby pozostać poza walką. A w tym jesteśmy świetni. Ale proszę zwrócić uwagę: nie jest dokładnie tak, że Włosi czują się dobrze tylko z dogmatami i Kościołami. Na ucisk i kompromis żywo reagują. Albo raczej



powiedzmy, że w końcu zawsze zareagują. I to rekompensuje z nawiązką negatywny spadek po procesie kształtowania się narodu i społeczeństwa, który jest z pewnością opóźniony w stosunku do innych narodów.

*À propos niszczącej inteligencji: Schlesinger powiedział w tym wywiadzie na łamach „Europeo”, że prawdziwą tragedią współczesnych Włoch był koniec Partii Czynu.*

Schlesinger poznał kierownictwo Partii Czynu i słusznie wysoko je cenił, ponieważ gromadziło wokół siebie ludzi pełnych zalet moralnych i intelektualnych, ludzi, którzy przyczynili się znacznie do walki z faszyzmem, narodzin republiki, powstania konstytucji. Ale była to partia poza rzeczywistością, musiała z czasem zniknąć właśnie z powodu rodzaju inteligencji, o którym mówimy: takiej, która wszystko niszczy i niczego nie tworzy. Poza tym Partia Czynu miała to nieszczęście, że musiała przejść próbę bycia u władzy, kiedy już straciła swojego najwybitniejszego przywódcę: Carla Rossellego. Poznałem Carla Rossellego wiele lat przed tym, nim faszyści zabili jego i jego brata we Francji. To było w 1925 roku, po tym, jak napisałem do moich towarzyszy list, w którym głosiłem konieczność nadania europejskiego wymiaru naszej walce i namawiałem, aby nie tracić czasu na anarchistyczne gesty w rodzaju zamachów. Pewnego ranka jakiś nieznajomy zastukał do moich drzwi. Wpuściłem go i powiedział mi mniej więcej co następuje: „Jestem Carlo Rosselli, profesor na Uniwersytecie Genueskim. Przeczytałem pański list do kierownictwa partii i wysoko go cenię. Jestem bogaty, nie mam problemów materialnych, które dla wielu z was są przeszkodą. Przychodzę, aby poprosić pana o możliwość wspólnej pracy”. Pracowaliśmy wspólnie. Razem założyliśmy „Quarto Stato”, czasopismo, z którym współpracowali najbardziej zasłużeni działacze późniejszej Partii Czynu. Ale, powtarzam, w ich błyskotliwej inteligencji był jakiś niszczycielski duch. I kiedy Partia Czynu przestała istnieć...

*...ci najbardziej zasłużeni działacze rozproszyli się po innych partiach, a wy wszyscy zaraziliście się w końcu niszczycielskim duchem ich błyskotliwej inteligencji. Wy z Partii Socjalistycznej jako pierwsi. I co by to miało znaczyć?*

Tak, ale kłopoty Partii Socjalistycznej były innej natury. Partia Socjalistyczna to partia pogranicza, której polityczna przestrzeń zagrożona jest z lewa i z prawa; w takich warunkach bronimy się zawsze źle. Wystarczy mały krok na lewo i już grozi nam, że wessą nas komuniści, mały krok na prawo i grozi nam, że będziemy uchodzić za umiarkowanych. Potrzeba jasnych idei, kiedy nie chce się wpaść w orbitę jednych albo drugich i chce się bronić socjalizmu.

*Senatorze Nenni, kiedy mówi pan o socjalizmie, co pan przez to rozumie? Pański socjalizm dzisiaj nie jest już tym sprzed pięćdziesięciu lat.*

I tak, i nie. Ponieważ, widzi pani, socjalizm sprzed pięćdziesięciu lat był zorientowany tylko częściowo na konstrukcje utopijne albo jeszcze utopijne. Funkcjonował, i to jeszcze jak, w rzeczywistości codziennych walk, walk robotników i chłopów, nie miał jednak wzorców „jutrzejszego państwa”. Dziś natomiast te wzorce konkretnie istnieją. Ukształtowały się dwa typy socjalizmu: komunistyczny i szwedzki. Wzorzec komunistyczny zrealizował obalenie własności prywatnej, ale dokonał tego w ramach społeczeństw zamkniętych na wszelki powiew wolności jednostki i demokratycznego życia, przez zbudowanie społeczeństw koszar, gdzie ucisk ze strony państwa jest straszliwy. Wzorzec szwedzki doprowadził ludzką wolność, równość między jednostkami, demokratyczne życie mas na najwyższy poziom, jaki kiedykolwiek został osiągnięty, ale nie dokonał wyłomu w systemie własności kapitalistycznej. Ja czuję się lepiej w Sztokholmie niż w Leningradzie. Sądzę, że w Sztokholmie istnieje nowy sposób pojmowania życia, nieznan w Leningradzie. Problem jednak nie da się rozwiązać za pomocą takiego elementarnego wyboru, można go rozwiązać, dążąc do syntezy obu doświadczeń, to znaczy do ustroju, w którym społeczna własność środków wymiany i produkcji łączyłaby się z maksimum wolności człowieka. Ponieważ w gruncie rzeczy jaki jest cel człowieka? Osiągnąć maksimum wolności, wolności od wszelkiego wyzysku, od wszelkiej tyranii... Ale to jest wypowiedź bardziej pasująca do obrad koła naukowego niż do wywiadu na temat Włoch lat siedemdziesiątych.

*Nie sądzą. Interesuje zbyt wielu Włochów z lat siedemdziesiątych. Interesuje wszystkich tych, którzy zauważyli, że nie godzą się na socjalizm naukowy, socjalizm dogmatyczny, negujący wolność. Ale czy pan sądzi, że pański socjalizm jest osiągalny?*

Tak, chociaż nie wiem, w jakich konkretnych formach. I tak pani odpowiadam, ponieważ uwolniłem się już od tej manii wyobrażania sobie społeczeństwa przyszłości. To mania, która wcześniej czy później ogarnia wszystkich, a od której już jestem wolny. Czy zresztą ten socjalizm nie realizuje się już we Włoszech i w dużej części świata? Proszę pomyśleć, w ciągu jednego stulecia socjalizm stał się motorem wszelkiej batalii o wolność i równość, bodźcem do wszelkiej walki o niezawisłość ludzi i narodów. Przeniknął do najróżniejszych społeczeństw, również i tam, gdzie wydaje się nie istnieć. Odmienił nie tylko warunki życia i stosunki między klasami, ale także relacje między ludźmi i ich sposób myślenia, bycia. Dlaczego? Dlatego, że w

jego konkretnym rozwoju samo pojęcie socjalizmu nabyło nowych cech. I udowodnił nam, że w krajach demokratycznych państwo dąży do stania się państwem wszystkich. W krajach komunistycznych natomiast nie. Dyktaturę proletariatu wymyślił Marks jako wyjątkową formę władzy nadającą się na okres przechodzenia od społeczeństwa kapitalistycznego do społeczeństwa socjalistycznego. Ale w krajach komunistycznych dyktatura proletariatu stała się dyktaturą partii komunistycznej nad społeczeństwem i ludźmi pracy. A w samej partii stała się dyktaturą aparatu nad partią. W aparacie partyjnym zaś stała się dyktaturą charyzmatycznego przywódcy, takiego jak Stalin. Jednym słowem, okazało się, że nawet rewolucja proletariacka, jeśli nie podtrzymuje jej ducha demokracji i wolności, może wyrodzić się w biurokrację, technokrację, państwo policyjne, tyranię. Samo zaś obalenie własności kapitalistycznej nie rozwiązało problemu uspołecznienia i samozarządzania środkami produkcji i wymiany. Doprowadziło do kapitalizmu państwowego, który nie różni się od kapitalizmu prywatnego, a wręcz staje się narzędziem ucisku i alienacji w nie mniejszym stopniu niż kapitalizm prywatny. Faktem jest, że zasady są zawsze pociągające, kiedy zostają wyrażone za pomocą formuły. Nie zdajemy sobie nigdy sprawy, że przełożone na rzeczywistość mają niespodziewane skutki. Właśnie dlatego, że zrodziły się z określonej formuły.

*I pomyśleć, że ta formuła, dyktatura proletariatu, przekonała tylu Włochów. Począwszy od pana. Ale czy nie uświadomił pan sobie tego wszystkiego podczas pierwszej podróży do Rosji?*

Oczywiście. Także wtedy byłem bowiem socjalistą, a nie komunistą. Ale nie trzeba było jechać do Rosji, aby to wszystko sobie uświadomić. My, socjaliści, zawsze odrzucaliśmy model radziecki. Zanim Związek Radziecki stał się potęgą militarną równą Stanom Zjednoczonym, broniliśmy rewolucji bolszewickiej, to prawda. Ale dlatego, że interpretowaliśmy pewne fakty jako trudności wynikające z zacofania rosyjskiego społeczeństwa, trudności powstałe w trakcie procesu industrializacji kraju w przeważającej mierze chłopskim. Co więcej, ponieważ byliśmy tak zaangażowani w walkę z nazifaszystem, musieliśmy szukać współpracy komunistów we Włoszech i poparcia Związku Radzieckiego w skali międzynarodowej. Powie mi pani: ale jak to? A procesy moskiewskie? A eksterminacja po tych procesach większości bolszewików, którzy kierowali rewolucją październikową? Proszę zwrócić uwagę, że opublikowałem cztery artykuły na łamach „Nuovo Avanti!” wydawanego przez nas w Paryżu. W tych czterech artykułach pisałem o procesach moskiewskich i odmówiłem im jakiegokolwiek moralnego i prawnego uzasadnienia. Ale nie wyciągnąłem kategorycznych wniosków, nie uczyniłem z nich powodu do

głośnego zerwania. Dlaczego? Ponieważ w Hiszpanii walczyliśmy razem, socjaliści i komuniści, narażeni na te same niebezpieczeństwa, co nie jest ważne, i związani politycznie z sukcesem czy klęską wojny domowej w Hiszpanii, a to jest bardzo ważne. Wiedzieliśmy, że nasze zwycięstwo będzie ciężkim ciosem dla nazifaszystów, nasza klęska zaś przyspieszy rozpoczęcie przez Hitlera wojny. A karabiny, z których strzelaliśmy, to były karabiny radzieckie, nieliczne czołgi, którymi dysponowaliśmy, były wyprodukowane w Związku Radzieckim; jedynie Rosja nam pomogła, Francja i Anglia sympatyzowały z nami tylko w słowach. Szok nadszedł później. Nadszedł wraz z Węgrami. I był to szok naprawdę gwałtowny. Jediną rzeczą, w którą nigdy nie wierzyłem, było to, że kraj komunistyczny może zgnieść za pomocą czołgów aspiracje innego narodu do wolności.

*I to wtedy zwrócił pan nagrodę pokojową imienia Stalina.*

Zwrócić to czasownik, którego nie lubię, bo implikuje teatralny gest, niepasujący do mojego temperamentu. Powiedzmy, że było tak: w 1952 roku otrzymałem tę nagrodę i kiedy wybuchł kryzys węgierski, jednoczesny z kryzysem bliskowschodnim, pomyślałem, że ta pokojowa nagroda musi być wykorzystana dla pokoju. Przełałem więc tę sumę pieniędzy na konto Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, dla węgierskich uciekinierów i dla ofiar wojny angielsko-francuskiej w Egipcie. Ale po co o tym mówić?

*Po to, aby udowodnić, że we Włoszech żyje jeszcze jakiś dżentelmen. Ale wracając do Włoch: Jak widzi pan ich umiejscowienie w kontekście europejskim?*

Mówić o Włoszech w kontekście europejskim znaczy mówić o Europie. I kiedy Alsop powiada, że Europa nie istnieje, Europa się nie liczy, mówi niestety gorzką prawdę. Ja też sądzę, że przyszłość świata nie decyduje się już dziś w Europie. Jak zresztą nie decyduje się wyłącznie w Ameryce. Istnieje już komponent azjatycki, który Europejczycy i Amerykanie muszą brać pod uwagę, i nie mam na myśli tylko Chin. Mówię o Japonii, o Indiach. Europa mogłaby odegrać ogromną rolę w świecie, gdyby została zjednoczona politycznie i gospodarczo, co było wielką ideą zrodzoną z drugiej wojny światowej. Ale minęło ćwierć wieku i Europy jak nie było, tak nie ma. Partykularyzm poszczególnych państw przeważył nad wspólnotą interesów, a zresztą, jak nie rozumieć tego we Włoszech, gdzie nie zdołano nigdy przewyciężyć municypalnych partykularyzmów dzielących Catanzaro od Reggio Calabria, Aquilę i Pescarę? Przeciwwstawianie partykularyzmu jedności europejskiej zaczęło się w Anglii. Potem przeszło na Francję i stało się historycznym błędem de Gaulle'a. Z tego punktu widzenia de Gaulle bardzo zaszkodził Europie i

zaszkodził także Francji. Pozwolił jej uniknąć ciężkich doświadczeń, to prawda, prawdopodobnie był jedynym, który mógł zakończyć konflikt algierski. Ale w sumie jego działalność polegała na opóźnianiu. Opóźnianiu w dziedzinie wolności, demokracji, polityki zagranicznej. I Europa nie zjednoczyła się także z jego winy.

*Jego też pan znał, prawda?*

Tak, poznałem go zaraz po wojnie, poruszyłem z nim kwestię pokojowego traktatu z Włochami. Złożona osobowość. Nie mówię: fascynująca, ponieważ rozmawiając, traktował cię z góry, a to musiało denerwować. Ale w sprawie naszych granic był bardzo otwarty. Na temat Val d'Aosta odrzucił na przykład sugestie wojskowych i polityków domagających się włączenia tego regionu do Francji. Zgodził się na takie same sugestie co do Brigi i Tandy, ponieważ, jak mi powiedział, potrzebna jest *sanction morale* przeciw Włochom, które wypowiedziały wojnę Francji bez uzasadnienia. Wie pani, gaullizm, który do końca cenilem, to ten z 18 czerwca 1940 roku, kiedy de Gaulle zbuntował się przeciwko bezwarunkowemu poddaniu się Francji. Ale jest i gaullizm, którego nie mogę zaakceptować, i to jest ten z roku 1958: monarchistyczne pojęcie państwa. Także i to było źródłem niechęci de Gaulle' a do zjednoczonej Europy. Powie mi pani: ale przecież powiedział nie NATO. Aby powiedzieć nie NATO, trzeba było powiedzieć tak Europie. Same poszczególne państwa europejskie nie są w stanie przeciwstawić się wpływowi jednego czy drugiego bloku. Jeśli dziś świat podzieliły między siebie Stany Zjednoczone i Związek Radziecki na podstawie *status quo*, to właśnie dlatego, że nie udało nam się utworzyć Europy. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

*Senatorze Nenni, w jakiej mierze wątpienie naznaczyło pańskie życie?*

W znacznej mierze, zawsze. Wątpienie noszę w sobie, czasami aż do przesady. Na temat wątpienia polemizowałem kiedyś z Gramscim. Wydaje mi się, że powiedział to Renan: „Kiedy nie wątpimy, tracimy dokładną ocenę faktów i rzeczy, mania pewności to wstęp do fanatyzmu”. Mania pewności nie pozwala nam w końcu uznać cudzych sądów. Ja natomiast jestem zawsze gotów wysłuchać cudzych sądów i doszukiwać się w nich elementów pozytywnych. Wątpienie pasuje do mnie, ponieważ potrzebuje wolności, a nie zakłada z konieczności utraty wiary, chęci walki. Choćby wymagało to nieuniknionych błędów.

*I nieuniknionych cierpień, nieuniknionej rezygnacji, nieuniknionej goryczy. Wszystkiego tego pan zaznał, i to niemało. Senatorze Nenni, zastanawiał się pan kiedykolwiek, czy było warto?*

Nigdy. Nawet teraz, kiedy moje życie dobiega końca. Kiedy oglądam się wstecz i myślę o ideałach mojej młodości, cenie, którą przyszło mi zapłacić, niczego nie żałuję. Ponieważ uważam, że zrobiłem po prostu to, co miałem do zrobienia, i ponieważ warto walczyć o świat bardziej sprawiedliwy. Warto, proszę mi wierzyć. Na moich oczach wyrosły trzy pokolenia: moje, moich dzieci i moich wnuków. A teraz szykuję się do obserwacji pokolenia moich prawnuków. Kiedy na nich patrzę, myślę: nie były daremne te dziesięciolecia walk, dziś żyje się o wiele lepiej niż za moich czasów. Tak, życie jest dzisiaj o wiele mniej ciężkie. Nie ma porównania ze światem, w którym się urodziłem, nie mówiąc już o świecie, w którym urodzili się mój ojciec i dziadek. Jesteśmy na o wiele wyższym poziomie życia obywatelskiego, w każdej dziedzinie zrobiliśmy ogromne postępy. Także w dziedzinie wolności. Pani wygląda na zaniepokojoną w obliczu tych Włoch pełnych fermentów, oznak niezadowolenia. I ja panią rozumiem. Co więcej, powiem pani: głos każdej zaniepokojonej osoby powinien być dzwonkiem alarmowym, którego nie należy lekceważyć. Ale niech pani zwróci uwagę, że gdy analizuje się dziedzinę po dziedzinie, część po części, element po elemencie, wydaje się, że wszystko zaraz się zawali. Analizując natomiast całość, stwierdzamy, że budowla dobrze się trzyma.

*A więc skąd tyle lęków, tyle przemocy, tyle negacji tego, co już zostało dokonane?*

Ponieważ, kiedy rozwiąże się jeden problem, od razu pojawia się następny. To typowe dla człowieka. Człowiek nie godzi się nigdy na *status quo*, nigdy nie potrafi powiedzieć „nie mam już problemów”. I biada nam, gdyby tak uznał. Wszystko ugrzęzłoby w bezruchu, zdegenerowałoby się, zabrakłoby mechanizmu, który czyni życie znośnym. To znaczy nieustannego poszukiwania czegoś lepszego. Droga przyjaciółko, życie należy postrzegać z pesymizmem inteligencji, krytycyzmem wątpienia, ale także z optymizmem woli. Za sprawą woli nic nie jest konieczne, nieuniknione, nic nie jest niezmiennie. Powiedziałem pani na początku: ja wierzę w człowieka. Człowieka, który jest twórcą własnego losu.

*Dziękuję, senatorze Nenni.*

*Rzym, kwiecień 1971*

## Giovanni Leone

Poszłam do niego przepelniona złością i goryczą z powodu Włoch, które się rozpadają przy całkowitym braku odpowiedzialności, powagi, w aktach przemocy, w nieustannych nawrotach faszyzmu ukrywającego się niekiedy pod pozorem innych barw, a nie tylko czerni, i był to pierwszy raz, kiedy go spotkałam. Nigdy nie podałam mu ręki. Nigdy nie widziałam go z bliska. Nawet w sądzie, gdzie występował jako adwokat, ani w parlamencie, kiedy był jego przewodniczącym. Znałam tylko jego biografię, cudze opinie na jego temat, łagodny wizerunek tatusia gotowego wszystko ci wybaczyć. Patrzyłam na niego z dystansem, jaki budzi najwyższa władza, której winny jesteś pokłony, pochlebstwa, podobnie jak lęk przed skończeniem w więzieniu, kiedy nie potraktujesz jej z należyтым szacunkiem. I teraz, kiedy miałam go przed oczyma, zastanawiałam się z niedowierzaniem, dlaczego budzi moją sympatię. Z powodu pobłażliwego, dobrotliwego uśmiechu? Czulego, złośliwego spojrzenia małych oczu? Braku wszelkiej zarozumiałości? Tak, może to było to. Wydawał się jeszcze oszołomiony tym, że mieszka w Kwirynale pełnym luster, gobelinów, żyrandoli, stiuków, pięknych parkietów, na których kroki rozbrzmiewają w lodowatej ciszy. Siedząc za wielkim dziewiętnastowiecznym biurkiem, w głębi salonu służącego mu za gabinet, i wydając się jeszcze niższy z powodu tak wielkiej zbędnej przestrzeni przeładowanej przepychem, zdawał się mówić: „Dziecko moje, widzisz, co mnie spotkało? Gdybyś wiedziała, jakim problemem jest dla mnie ten największy zaszczyt!”. Potem, jak gdyby chciał niemal prosić, abym mu wybaczyła, że tak wysoko zaszedł, potraktował mnie jak starego przyjaciela, „Wypijemy kaweczkę? Bardzo mocną?”, i pozwalał, żebym wylała na niego swoją złość i gorycz. Wiedziałam, że zachowuję się okrutnie. Wiedziałam o tym. Na moje pytania reagował niewidocznym drżeniem, jak gdybym wbijała mu igłę w serce. Ale mimo to udzielał mi odpowiedzi, spokojny, pogodny. Nie uciekał się do hipokryzji ani chytrych sztuczek, których uczysz się w polityce i adwokaturze. Nie bronił się nawet za pomocą prawa do nieudzielania odpowiedzi, jeśli chce. Nagle pomyślałam: „Czuję do niego sympatię, bo to porządny człowiek. Przynajmniej z nim się nam udało”.

Jest także inteligentny. Ma inteligencję wolną jak ptak, która uniknęła cudownie pułapek dogmatów i władzy. Fakt bycia praktykującym katolikiem nie zniewolił go, powtarza często słowo „laicki” i twierdzi, że zamierza dać cesarzowi, co cesarskie, a Kościołowi, co kościelne. Fakt, że był zawsze na szczycie piramidy, nie oślepił go, jeszcze częściej powtarza, że życie dało

mu więcej, niż się spodziewał. Największą zaletą takiej inteligencji jest równowaga połączona z błyskawiczną, niemal czarnoksięską intuicją. Wspominasz o jakimś problemie i od razu, niczym mewa, która zauważyła zdobycz, nurkuje, chwytą go i powraca na powierzchnię, aby ci go podarować, już spreparowany albo już przetrawiony. Nie chwając się, nie dając do zrozumienia, że pojął wcześniej od ciebie. Również z ludzkiego punktu widzenia pełen jest wyrafinowanej subtelności, nieuchwytniej elegancji. Nie przypadkiem nie cierpi ciętych kwiatów: „Lubię żywe, rosące w ziemi. Szczególnie róże”. Nie przypadkiem uwielbia kobiety: „Piękna kobieta to najmocniejszy argument na rzecz istnienia Boga”. Nie przypadkiem potrafi cierpieć z powodu porażek i nie wie, co to cynizm. W gruncie rzeczy jest człowiekiem XIX wieku. Wiesz, dziewiętnastowiecznego Neapolu, z jego romantyzmem, jego przesadną wrażliwością. O tym, że jest neapolitańczykiem, istotnie nigdy nie zapomina. I nie pozwala ci nigdy o tym zapomnieć. Któżby mógł, słuchając tego akcentu pełnego podwójnych spółgłosek, spaghetti w sosie pomidorowym, gitar rozbrzmiewających w Margellinie? Przywołuje Neapol pod byle pretekstem, Kennedy podbił jego serce, pisząc do niego: „Viva Napoli!” z wykrzyknikiem. I jeśli przypomina to fakt, że Włochy są mozaiką dopiero co sklejoną w całość, jednocześnie ujawnia jego szczerość. Sądzę, że stąd się bierze jego otwarta serdeczność. A może z niewypowiedzianej potrzeby podobania się i bycia kochanym? Jak w wypadku wielu południowców, widać w nim mnóstwo stłumionych namiętności, samotniczą melancholię, drażliwość. Opowiada, że w dzieciństwie, aby cokolwiek przedsięwziąć, potrzebował ojcowskiej zachęty: „No jazda, na pewno ci się uda, jesteś przecież bystrym chłopcem!”. Zdany na siebie czuł, że powstrzymuje go mnóstwo kompleksów, niepewności, obaw. Sukces osiągnął mimo woli i jeśli się nie mylę, odkrył siebie samego około czterdziestki, kiedy przeczytał listy partyzantów skazanych na śmierć. To ktoś, kogo Anglicy nazywają a *late-blossomed tree*, późno zakwitłe drzewo. Trudno. Albo tym lepiej. Cudowne dzieci szybko się wyczerpują, a późno zakwitłe drzewa mają dłuższą młodość. Nam potrzeba, żeby pozostał długo młody, skoro twierdzi, że chce skutecznie bronić naszej republiki, która kosztowała nas tyle krwi, trudu i cierpienia, a którą ktoś chciałby rozbić na kawałki.

\*\*\*

Nie przypadkiem ten wywiad z Giovannim Leone wywołał gniew włoskich faszystów. Poseł z ramienia MSI wygłosił w parlamencie interpelację dotyczącą tego, czy prezydent ma prawo czy też nie ma prawa rozmawiać z dziennikarzami tak jak Leone rozmawiał ze mną. „Il



Secolo d'Italia" poświęcił mu artykuł, w którym oskarżył go niktzemnie o to, że w latach dwudziestych zapisał się do Narodowej Partii Faszystowskiej. Ten haniebny dziennik kierowany przez dwóch byłych zwolenników Republiki Salò, poświęcił mu wiele stron, na których obelgi, które zwykle zarezerwowane są dla mnie, zostały rozszerzone, chociaż ostrożniej i bardziej tchórzliwie, również na niego. A wszyscy razem krzyczeli, jak bardzo jest on wobec nich niewdzięczny: czyż nie przyczynili się do jego wyboru, oddając na niego około trzydziestu głosów? Wydawało się, że ogarnęła ich prawdziwa histeria i ta histeria była dla mnie najsłodsza satysfakcją, jakiej kiedykolwiek dostarczyło mi dziennikarstwo. Przyjemnie było też się dowiedzieć, że Giovanni Leone przyjął tę falę nienawiści z milczącym spokojem kogoś, kogo nie mogą zaniepokoić szantaże czy obelgi. Istotnie, nie pożałował (powiada) tego, że mnie przyjął i rozmawiał ze mną przez ponad cztery godziny. I aby to udowodnić, zaprosił mnie po kilku miesiącach do Castel Porziano, gdzie poczęstował mnie jedną z tych swoich kaweczek, bardzo mocnych, z małą ilością wody.

*ORIANA FALLACI. Panie prezydencie, nie wiem, do jakiego stopnia będzie pan mógł odpowiedzieć na moje pytania. Niektórzy uważają prezydenta republiki za postać dekoracyjną, która przebywa w swojej wieży z kości słoniowej tylko po to, aby rozdawać medale, a opuszcza ją tylko po to, aby otwierać mosty i wygłaszać ogólnikowe mowy. Mam jednak wielką nadzieję, że odpowie mi pan szczerze. Ponieważ sądzę, że jak nigdy przedtem, istnieje dziś potrzeba, jakże słuszna, wręcz rozpaczliwa, żeby wysłuchać tego, kto reprezentuje kraj.*

GIOVANNI LEONE. Widzi pani, kiedy tylko się tutaj wprowadziłem, zadałem sobie pytanie: Kim ja jestem? I codziennie ponawiam ten rodzaj aktu skruchy. Na temat roli prezydenta republiki istnieje wiele górnolotnych określeń: ojciec duchowy, wielki doradca itd. Ale ja, no właśnie, ja wierzę w to, co się nazywa „możliwością wyrażania opinii ze strony prezydenta”. Sądzę, że prezydent może wyrazić swój sąd i postępować stosownie do niego. Oczywiście ostrożnie. Z umiarem, to jasne. Nie podkreślając tych punktów widzenia, które mogą być przedmiotem polemiki. Ale nawet gdyby stanowisko zajęte przez prezydenta miało stać się przedmiotem polemiki... no właśnie, sformułowałbym je mimo wszystko, przepuściwszy przez filtr własnego sumienia po to, aby zastanowić się, czy koresponduje ono z tym, co czują Włosi. Konstytucja powiada ogólnie, że prezydent wygłasza orędzia. Największym orędziem jest przysięga i także ona podlega rozmaitym interpretacjom. Mieliśmy na przykład orędzie Einaudiego, pozornie oschłe i chłodne. Mieliśmy orędzie Gronchiego, pełne wizji przyszłości,

które niektórzy ocenili jako przemówienie premiera, a nie głowy państwa. Mieliśmy orędzie Saragata, sytuujące się w połowie drogi. I ja też trzymałem się takiego schematu, ponieważ sądzę, że o niektórych sprawach nie wolno milczeć. Są dramatyczne chwile, w których prezydent musi wręcz, ze względu na własne sumienie i interes narodowy, powiedzieć rzeczy bardzo nieprzyjemne. Albo je zrobić. Jak pani wie, mógłbym również zawetować ustawę przegłosowaną przez parlament, co, mam nadzieję, nigdy się nie stanie. A zatem prawa do wyrażania sądów, które, po długim namyśle, wydają mi się słuszne... nie, tego nie można mi odebrać. Nie można tego odebrać prezydentowi. Chodzi o prawomocną władzę prezydenta. Władzę i obowiązek.

*Obowiązek. Dziękuję, ponieważ należy pomówić właśnie o dramatycznej chwili, w której znalazły się Włochy. Włochy chore na tysiąc chorób i tysiąc win. Włochy na skraju samobójstwa z powodu tysiąca chorób i tysiąca win, ale przede wszystkim z powodu winy polegającej na tak perfidnym wykorzystywaniu wolności i demokracji. Skąd się nam bierze, panie prezydencie, ten kryzys wolności i demokracji?*

Trzeba zastanowić się nad tym spokojnie i od tego chcę zacząć. De Nicola pewnego dnia, w czasach Włoskiej Rady Narodowej, do której należał jako jeden ze starych antyfaszystów, wrócił do Neapolu i powiedział mi: „Wczoraj usłyszałem coś, co bardzo mi się spodobało. Powiedział to człowiek z pańskiej partii, drogi Leone. Nazywa się Piccioni, pochodzi z Florencji. Powiedział, a raczej miał odwagę powiedzieć, że przed faszyzmem we Włoszech nie było demokracji”. I tak właśnie jest. To była formalna demokracja, schemat demokracji. A więc kiedy tamtą demokrację zabił faszyzm, nikt jej nie żałował; właśnie dlatego, że nie zapisała się w duszach Włochów. Nawet nie próbowała rozwiązać ich problemów. Proszę posłuchać, powołam się na przykład mojej ziemi: południa Włoch. Każdy zresztą jest depozytariuszem i niewolnikiem własnego doświadczenia. Na południu demokracja była do tego stopnia opakowaniem, słowem i niczym więcej, iż rząd mógł w każdej chwili rozwiązać administrację komunalną. Dziś w tym celu potrzebna jest opinia Rady Państwa i dekret prezydenta republiki. Wyrażam się jasno? Rząd Giolittiego miał w tamtej demokracji władzę absolutną. Ojciec opowiadał mi zawsze, że podczas wyborów – nie było wtedy wyborów powszechnych, a więc opierały się one na nielicznych elektorach – wystarczyło, że wiceprefekt wydał pozwolenie na broń, aby poglądy polityczne tych nielicznych elektorów kompletnie się odmieniały. Wyrażam się jasno? Włosi cierpią na historyczny brak wychowania do demokracji. I to jest pierwsza w czasie przyczyna dzisiejszego kryzysu. Drugą jest oczywiście faszyzm, który był tego wynikiem. Trzecia tkwi w problemach,

które spadły nam na głowę po upadku faszyzmu. Niech pani pomyśli o materialnej odbudowie Włoch. Pojawiła się nagle nowa ekonomia, nowe społeczeństwo i, w rezultacie, całe życie dokonało nowego zwrotu. Powtarzam, że gdybyśmy mogli otworzyć oczy za sto lat i osądzić wszystkie te zwroty, które nam się przytrafiły w ciągu dziesięciolecia, od technologii do ekonomii, wpadlibyśmy w osłupienie. Wykrzyknęlibyśmy: „Ale jak daliśmy sobie z tym wszystkim radę?”. A przecież tej traumy doświadczyliśmy w momencie, w którym budowaliśmy we Włoszech demokrację. To znaczy w momencie, w którym ta demokracja wypełniała się treścią, żeby nie być formalną i rozczarowującą kopią starej demokracji unicestwionej przez faszyzm.

*Tak, tak. Ale dobrze czy źle, demokrację zbudowaliśmy. I minęło dopiero ćwierćwiecze, odkąd ją zbudowaliśmy, a już wielu powiada: „My, Włosi, nie potrafimy żyć bez kija”. I zachowują się stosownie do tej opinii, więc prowokują, świadomie i nieświadomie, użycie kija. To ponure. I haniebne.*

Zgoda. Bo to stan ducha jest pożywką faszyzmu albo ruchu, który we Włoszech spogląda z nostalgią w stronę faszyzmu. Nie jest to nawet historyczna nostalgia, młodzi nie wiedzą przecież, czym był faszyzm. Nie widzieli go, nie cierpieli tak jak my. Spoglądają więc w jego stronę, ponieważ pragną mocnego państwa, nie wiedząc, że kij odbiera wolność, nie rozwiązując problemów. Jak na to wszystko mają reagować osoby rozsądne i kochające wolność? Przede wszystkim nie dając neofaszystom pretekstu do nawoływania do użycia kija, to znaczy zwalczając przemoc szerzącą się wraz z przestępczością i nietolerancją. Rozumieją to wszyscy oprócz ekstremistów z tak zwanych ugrupowań pozaparlamentarnych. Jeśli nie będziemy bronić porządku publicznego za pomocą skutecznych sił policyjnych, jeśli nie będziemy walczyć z przemocą, z którejkolwiek strony by pochodziła, będziemy wówczas podsycać kryzys demokracji i to przerażające pragnienie kija. Kija! Cóż za straszliwy błąd. Wie pani, nie wierzę w zwycięstwo podobnych sił. Wręcz je wykluczam. Ale powiadam, że już sam ich wzrost by nas pognębił.

*Ich wzrost jest faktem, panie prezydencie. Wiedzą już o tym wszyscy, również poza Włochami. Za każdym razem, kiedy jadę do innego kraju, spotykam kogoś, kto mnie prosi: „Opowiedz nam o odrodzeniu faszyzmu we Włoszech”. Wstyd chwyta mnie za gardło. Panie prezydencie: co takiego robicie, wy u władzy, aby temu przeszkodzić?*

Problem brzmi następująco: Co się rozumie przez „interweniować”, czy rozumie się przez to rozwiązanie za pomocą ustawy niektórych organizacji paramilitarnych, na przykład Awangardy Narodowej, o której mowa? To sprawa rządu. Prezydent ma jedynie podpisać dekret uchwalony przez rząd w trybie pilnym albo ustawę uchwaloną przez parlament. Podobnych inicjatyw prezydent nie może podejmować, może tylko nakłaniać do ich podjęcia. I jasne jest, że gdybym dostrzegł jakieś niedopatrzenie, czułbym się w obowiązku od razu interweniować; nie mam wątpliwości ani wahań co do tego, że z tymi ludźmi trzeba walczyć do końca. Co więcej, mogę pani powiedzieć z całkowitą pewnością, iż rząd zdecydowany jest nie godzić się na pewne rzeczy i wyeliminować je. Faktem jest, że istnieją nie tylko faszystowskie organizacje paramilitarne, istnieje prawdziwy powrót faszyzmu. Mówię o tym zawsze, we wszystkich swoich przemówieniach. Pewnie to pani zauważyła. Przypominam zawsze Włochom Ruch Oporu, znaczenie Ruchu Oporu, listy partyzantów skazanych na śmierć... Nawiasem mówiąc, Boże, jakie są piękne! Przeczytałem je po raz pierwszy w 1948 roku i zrobiły na mnie wielkie wrażenie! Nigdy ani słowa o zemście, nigdy ani jednego zdania o nienawiści, zawsze ta nadzieja, że sieje się ziarno nowego społeczeństwa. Przypominają niektóre zdania męczenników Kościoła: „Zmielemy zęby bestii, aby wyrosło na nich zboże nowego życia”. Powinno się je czytać w szkołach, tak jak za moich czasów czytaliśmy *Moje więzienia* Silvia Pellica. Tak, należałoby tłumaczyć lepiej w szkołach, czym był faszyzm, a przede wszystkim nazifaszyzm. Tylko w ten sposób moglibyśmy nauczyć zwalczać go legalnie. Ale wracając do pani pytania: mnie bardzo się spodobała ta mediolańska petycja przeciwko odradzaniu się faszyzmu.

*Właśnie. Chociaż faszystów to my mamy w parlamencie i chroni ich istnienie legalnej partii. Chociaż aby taka petycja powstała, potrzebne były siły policyjne, szczególnie w San Babila, gdzie faszyci biwakują przez nikogo nie niepokojeni. Chociaż właśnie w tych dniach pięciu faszystów porwało aktorkę Frankę Rame, ciężko ją pobili i zgwałcili.*

Zgwałcili? Och, nie! Jezusie, nie wiedziałem! Matko Boska, co za wstyd! Co za ohyda! Co za hańba! Ale trzeba ich zidentyfikować, trzeba...

*Faktem jest, że policja nie zidentyfikowała nikogo i nikogo nie aresztowała, panie prezydencie. W innym mieście policja aresztowała całą miejscową organizację partyjną leninistów sprowokowanych przez działaczy MSI kierowanego przez Almirante, a w Mediolanie nie aresztowała tych, którzy popełnili tę nieczemność na France Rame. Wielu sądzi, panie prezydencie, że także w policji jest sporo faszystów.*

Nie. Wykluczam to. Mieliśmy przecież na czele policji kogoś o wielkiej wrażliwości demokratycznej: Angela Vicariego. Mieliśmy dowódcę karabinierów, który był człowiekiem bardzo szanowanym, także przez partie opozycyjne: generała San Giorgio. Jestem absolutnie przekonany, że żadna instytucja państwowa nie żywi ani odrobiny sympatii wobec odradzania się faszyzmu. Z siłami zbrojnymi włącznie. Na mocy konstytucji jestem najwyższym dowódcą sił zbrojnych, kontroluję je i sądzę, że mogę powiedzieć, iż są one uodpornione na neofaszyzm. Są także dobrze chronione przed podobnymi infiltracjami i, moim zdaniem, fakt, że niektórzy wojskowi przeszli na drugą stronę, dowodzi, że w kręgach wojskowych nie znaleźli sprzyjających dla siebie warunków. Co do policji, może się zdarzyć, że istnieje X albo Y, albo Z, który żywi pewne sympatie... prywatnie, taka już jest ludzka natura. Ale to nie jest regułą, nie, i wykluczam, żeby policja zamierzała kryć sprawców takich haniebnych czynów, takich jak te, które dotyczą Franki Rame. Wykluczam, żeby w policji istniał tajny układ albo żeby panowała tolerancja względem faszystów. Problem polega na czymś innym. Policji się nie pomaga. Nie aresztuje się tego, nie aresztuje się tamtego, trzeba poruszać się pośród całkowitej zmywy milczenia, ponieważ obywatel, który składa zeznanie, czuje się zagrożony. Jako prawnik powtarzam to od dawna: nie potrafimy nigdy niczego wykryć, ponieważ panuje zmywa milczenia, strach. Ileż razy ktoś, kto godzi się zostać świadkiem, naraża się na niebezpieczeństwo i nikt go nie broni! Na koniec zatem mówię pani, że chociaż mamy do czynienia z pewnym odradzaniem się faszyzmu, faszyzm nie będzie mógł nigdy zwyciężyć we Włoszech. Także dlatego, że przeciwstawiłyby mu się wszystkie siły państwa.

*To piękne, że jest pan takim optymistą, panie prezydencie.*

Prywatnie jestem wielkim pesymistą. Zawsze taki byłem, jak wszyscy neapolitańczycy i w ogóle ludzie południa. Również we wczesnej młodości czarno widziałem wszystko, co mnie dotyczyło. Kiedy jednak podejmuję się jakiejś odpowiedzialności, staję się optymistą.

*Kłopot w tym, że faszyci nie są naszym jedynym nieszczęściem, panie prezydencie. Faszyci są najbardziej ponurą emanacją naszego braku odpowiedzialności, powagi. Panie prezydencie, z uwagi na swoją pracę podróżuję często daleko od Włoch i za każdym razem widzę po powrocie, że jest gorzej. Z punktu widzenia moralnego, materialnego. To jakby się patrzyło na kogoś, kto turla się po zboczach: nie wstaje, nie zatrzymuje się. I ogarnia mnie pełen smutku gniew. Czy pan nie czuje się przynajmniej zniechęcony?*

Waham się pomiędzy dwoma stanami ducha. Ponieważ ten gabinet to w gruncie rzeczy sala tortur. Spotykam tu wiele osób i trzy czwarte z nich przychodzi opowiedzieć mi o sprawach raczej przykrych niż przyjemnych. Przemysłowcy, handlowcy, rzemieślnicy, działacze związkowi, ekonomiści. Trochę dlatego, że sądzą, iż mam nie wiadomo jaką władzę, trochę dlatego, że chcą po prostu się wygadać, przychodzą zawsze albo prawie zawsze po to, aby mi powiedzieć, że sprawy idą źle, wręcz coraz gorzej. Stałem się odbiorcą zmartwień, rozczarowań. To boli, rani, i to tym bardziej, jeśli zakładasz, że mówią ci prawdę. Oto jeden z moich dwóch stanów ducha i, tak... rozumiem panią, kogoś takiego jak pani, kto często jest daleko od Włoch, a więc nie zna naszego codziennego mozołu; kto opuszcza rodzinę, a potem powraca, lepiej widzi, co jest nie w porządku. Tyle, tyle rzeczy jest nie w porządku. Na przykład praca. Można by powiedzieć, że społeczeństwo dobrobytu, hedonistyczna atmosfera, w której żyjemy, zabija w nas chęć do pracy. We Włoszech zjawisko absencji jest niepokojące. I nie mówimy o liczbie mostów, czyli świąt przypadających w ciągu tygodnia. Mówisz o ustawie, która ujednocili mosty, a wielu ci odpowiada: Nie, święta potrzebne są w połowie tygodnia, aby był możliwy długi most. Proponujesz przesunąć św. Mikołaja na sobotę i masz przeciwko sobie tych, którzy odpowiadają: Nie, dobrze, że św. Mikołaja wypada w czwartek. Trzeba więc powiedzieć: Uwaga, kiedy się nie pracuje, nie produkuje; co zarobimy dzisiaj, stracimy jutro z powodu katastrofy ekonomicznej. Jestem przekonany, że gdybyśmy to wyjaśnili Włochom, zrozumieliby. Jestem przekonany, że gdybyśmy spytali każdego po kolei: Chcesz pracować?, odpowiedzieliby: Tak, chcę pracować. Proszę posłuchać: temu, że pracować jest ciężko, nikt nie zaprzeczy. Praca jest przeciwko naturze, powiedzmy sobie prawdę. Ja zawsze tak sądziłem, chociaż zawsze harowałem... I dodam: wstawać rano, żeby pójść do pracy, to wielkie poświęcenie, jest nim nawet wtedy, kiedy wykonujesz zawód, który sobie wybrałeś i w którym po kilku godzinach nie chce ci się już spać i jesteś szczęśliwy. Pomyślmy tylko, jak jest, kiedy wykonujesz zawód, którego sobie nie wybrałeś, zawód, w którym jesteś maszyną. Rozumiem więc tych, którzy powiadają: Tak, cieszę się, że produkujecie tyle samochodów i tyle śrub, ale chcę pracować mniej. Słusznie! Jednak pracować mniej to jedno, a nie pracować wcale to drugie. Niektórzy powinni sobie przypomnieć czasami, że praca nie jest tylko koniecznością, jest też warunkiem godności. Kiedy przez cały dzień nic nie robisz, czujesz się od razu bezużyteczny, pozbawiony godności.

*Godność: oto słowo, które nie zawsze pasuje do naszych nieszczęść, panie prezydencie. Także przemoc, na którą Włosi godzą się już jak na letnie upały i śnieg zimą, pozbawiona jest wszelkiej godności. Czy chcemy o tym porozmawiać, panie prezydencie?*

Jezusie! Przemoc jest naszym najpoważniejszym problemem. Ponieważ pochodzi z dwóch frontów. Z jednej strony przemoc faszystowska, przeciwko której należy walczyć bez żadnych dyskusji, to znaczy przypominając, że wyeliminowanie jej jest obowiązkiem zawartym w konstytucji. Jest obowiązkiem moralnym. Z drugiej przemoc pozaparlamentarnych ugrupowań czy małych grup. Ona też musi być wyeliminowana. Nie można pozwolić, żeby profesor podawał się rano za chorego z obawy przed pobiciem przez swoich studentów. Nie można pozwolić, żeby studenci, którzy chcą się uczyć, nie szli na uniwersytet z obawy przed kolegami. Ale czego chcą te tak zwane ugrupowania pozaparlamentarne? Co dają, co proponują poza taką przemocą pozbawioną ideałów? Mogę nawet uznać, że są sprawy, które zapoczątkowały kontestację: winy klasy kierowniczej istnieją, i to jakie. Są opóźnienia w odnowie państwa, jest społeczeństwo, które wybucha nam w rękach i stawia pytania, na które nie ma natychmiastowych odpowiedzi, jest rozczarowanie, o którym mi pani mówiła. Ale co mówią te ugrupowania pozaparlamentarne? Nie mówią nam nawet, jak zamierzałyby odbudować świat po jego zniszczeniu. Powtarzają jedynie bezmyślnie po tym Marcuse, którego nie zdołałem przeczytać do końca, ja, który czytam wszystko. Doszedłem do połowy i zostawiłem, bo co mnie obchodzi ktoś, kto zapowiada rewolucję, nie mówiąc mi, w imię czego rewolucja ta nastąpi i co ma pojawić się na miejscu tego, co ona zmiecie z powierzchni? Proszę posłuchać, w historii narodów, także naszego kraju, studenci odgrywali często najbardziej szlachetną rolę. Ale mieli jakiś ideał: republikę, państwo laickie, powszechne wybory, wolność od dyktatury, sprawiedliwość społeczną. Ci mają jedynie przemoc jako cel sam w sobie, przemoc bez ideałów. Czasami zastanawiam się, czy ich przemoc nie jest spowodowana zarażeniem się słowem przemoc albo czy nie uciekają się do niej dlatego, że nie mają innych sposobów uzewnętrzniania fizycznej energii.

*Mówiłabym raczej o zarażeniu faszyzmem, ponieważ także ich przemoc z moralnego punktu widzenia jest faszyzmem. Tylko w najlepszym przypadku jest modą, tak jak skórzane kurtki i dżinsy. Z braku kultury, znudzenia światem mieszczańskim. Oni prawie wszyscy są z klasy średniej, z domów z samochodem i pokojówką. Nie są głodni, dlatego kpią sobie z tego, kto głodny jest.*

Otóż tak: w ich pokoleniu brakuje celów. Powtarzam to zawsze swoim dzieciom, które trochę mnie słuchają, a trochę reagują z kpiącym uśmiechem: dzieci, ja jestem synem adwokata i w waszym wieku nie byłem z pewnością bogaty, ale też nie głodowałem. A przecież nie miałem jednej dziesiątej tego, co mieliście zawsze wy. Podróżowałem trzecią klasą przez większość mojego życia. Przesiadłem się do drugiej, kiedy zostałem profesorem uniwersyteckim i wykładałem poza Neapolem. Pierwszą klasę poznałem podczas wojny, ponieważ jako podpułkownik wojskowego wymiaru sprawiedliwości musiałem jeździć pierwszą i należała mi się sześćdziesięcioprocentowa zniżka. Wagon sypialny zobaczyłem po raz pierwszy w wieku trzydziestu siedmiu lat, kiedy się ożeniłem i wybrałem w podróż poślubną. A co do samochodu... Zacząłem jeździć samochodem w 1947 roku, w czasie kampanii wyborczej, i nie był nawet mój: pożyczył mi go teść. Na obrady Konstytuanty jeździłem tramwajem, a własny samochód kupiłem dopiero w roku 1948. To był samochód osobowo-bagażowy z drewnianą karoserią. Słuchajcie, odnalazłem książeczkę oszczędnościową i ścisnęło mi się serce, kiedy odkryłem siedem, dziesięć lirów, które matka wpłacała mi na imieniny. Ale moje dzieci mnie nie rozumieją. Och, niech pani weźmie pod uwagę, że miałem szczęście: mam trzech wspaniałych synów i cudowny z nimi kontakt. A jednak mnie nie rozumieją, czuję, że niemal mi nie wierzą. To, co im opowiadam, jest zbyt daleko od rzeczywistości, ich rzeczywistości. Co najwyżej wyczuwają, bez przekonania, poetycki urok tego, co przeżyłem, stopniowego zdobywania miejsca w życiu. A więc oto, do czego zmierzam: energię, którą zużyłem na stopniowe zdobywanie miejsca w życiu, wielu studentów zużywa dziś na bicie profesorów i rzucanie butelkami z benzyną. To ich sposób, żeby wytyczyć sobie jakiś cel, czuć, że żyją.

*W czym popełniłmy błąd, panie prezydencie?*

W wielu sprawach. Na przykład w tym, że nie zrozumieliśmy, dokąd to wszystko prowadzi, i że sympatyzowaliśmy z kontestatorami. Pamiętam moją koleżkę, profesora na uniwersytecie w Rzymie, człowieka bardzo uczciwego, katolika i byłego partyzanta, który na początku kontestacji opowiedział się po stronie studentów. Pewnego dnia poszedł okupować z nimi uczelnię i po czterdziestu ośmiu godzinach zostawił ich rozgoryczony: „Nie wiedziałem, że jesteście tak zinstrumentalizowani. Sądziłem, że to szlachetny i młodzieńczy bunt”. Ale widzi pani, nie chodzi o winy, chodzi także o obiektywne racje. Niewiarygodny wzrost liczby studentów bez odpowiedniego przyrostu pomieszczeń i narzędzi dydaktycznych. Fakt, że ułatwiliśmy dostęp do uniwersytetów, nie uwzględniając bardziej surowego kryterium selekcji i



nie przygotowawszy niezbędnych struktur. Wyeliminowaliśmy próg przy przyjęciu na studia, który dopuszczał najzdolniejszych i kwita, a nie daliśmy wszystkim tym studentom sal koniecznych, aby mogli studiować. Przeszliśmy jednym słowem od niegodziwości szkoły zarezerwowanej tylko dla zamożnych, do niegodziwości szkoły, która nie tylko przyjmuje również tych, którzy na to nie zasługują, ale także jest pod zbyt wieloma względami szkołą niedostosowaną do potrzeb. Wraz ze szkołą obowiązkową chcieliśmy wyeliminować analfabetyzm. W pewnym sensie jednak wzmocniliśmy go.

*Czy mówi pan o studentach, którzy odbierają dyplom z architektury, recytując myśli Mao Tse-tunga?*

Żeby chociaż znali myśli Mao! Byłby to dowód kultury. Faktem jest, że nie mają pojęcia także i o nich. Kilka dni temu przeczytałem wywiad z Mariem Capanną, w którym mówi: „Chcę wytoczyć mi proces, ponieważ powiedziałem, że prezydent republiki jest w sposób oczywisty reakcjonistą”. Cóż, prawdę mówiąc, nie powiedział „w sposób oczywisty reakcjonistą”, powiedział „reakcyjną świnią”. Ale nieważne. Ważne jest tylko, żebym nim nie był. A wie pani, dlaczego jego zdaniem jestem podobno reakcjonistą? Ponieważ, za moich drugich rządów kazałem założyć na uniwersytecie zakratowane bramy. Potem unieważniłem egzaminy i zdjąłem ze stanowiska dziekana. Przeprowadzali grupowe egzaminy i ja, w pewnych granicach, mógłbym nawet zrozumieć grupowe egzaminy. Na architekturze na przykład. Siadamy razem, ja, pani i jeszcze ktoś, wykonujemy projekt. Zanosimy go do profesora, a on go przedyskutowuje: „Niech pani posłucha, Fallaci. Niech pan posłucha, Leone”. Ale w tych grupowych egzaminach uczestniczyło... czy ja wiem, tysiąc albo dwa tysiące studentów naraz. Po czym profesor przechodził do biurokratycznego stawiania stopni: „Fallaci Oriana, cztery. Leone Giovanni, trzy”. Ale jak to?! Do czego to podobne!?

*Panie prezydencie, przemoc to jedno, a szkoła to drugie. Włoska szkoła, proszę mi wybaczyć brutalność, jest ohydna. I nie tylko z powodu uczniów, którzy się nie uczą, ale z powodu nauczycieli, którzy nie uczą, z powodu*

Cóż, egzamin maturalny w liceum klasycznym nie jest z pewnością tym, czym był za moich czasów. Prawdą jest, że jeszcze go wspominam ze zgrozą, ale tamtej kulturze zawdzięczam wszystko, czym jestem. Powtarzam to często moim dzieciom: „Macie pretensje do wiedzy książkowej, nie lubicie jej. Ale również my jej nie lubiliśmy, a później okazała się użyteczna. Nie uczycie się już rzeczy na pamięć, a jednak nam się to przydało, ponieważ czegoś

udało się nam dokonać i życie w świecie lepszym od naszego. Czego wy dokonacie?”. Bądźmy poważni: tamtą kulturę przefiltrowaliśmy i wzbogaciliśmy, chociaż początkowo jej nienawidziliśmy, ale dostarczyła nam przesłanek, a jej dyscyplina bardzo się nam przydała. Co się tyczy profesorów, oto co mam do powiedzenia. Byłem jednym z najbardziej pobłażliwych profesorów we Włoszech, również na egzaminach, to prawda. Nie pozwoliłem sobie nigdy na to, by budzić strach, to prawda. Ale moi studenci musieli wiele się uczyć i jak to się dzieje, że zawsze za mną przepadali, że szanowali mnie nawet w czasach kontestacji? Tylko raz przyszło do mnie trzech osobników, chyba z prawicy. Chcieli skontrolować, czy komisja egzaminacyjna jest w porządku. Wyrzuciłem ich za drzwi i dalej spokojnie odpytywałem.

*Panie prezydencie, nie traktuję łagodnie młodych, o których mówiliśmy. A jednak w tym swoim braku zaufania do niektórych instytucji mają, jak sądzę, rację. Mam na myśli sam fakt, że określają się jako siły pozaparlamentarne i że nie żywią najmniejszego szacunku dla naszych parlamentarzystów, którzy zresztą sobie na to zasłużyli. Proszę mi wybaczyć, że mówię o tym panu, który w wywiadzie udzielonym Missirolemu bronił tak żarliwie parlamentarzystów.*

Nie żebym chciał się powoływać na ten stary wywiad, prawdopodobnie podyktowany zawodowym obowiązkiem w czasach, kiedy byłem przewodniczącym parlamentu. Ale praca deputowanego jest pracą nierozumianą i niedocenianą. W tym sensie należałoby jej bronić. W innym sensie byłoby nieuczciwe ignorować aspekty negatywne, jak przypadki absencji. Wiem, że wielu sądzi, iż moralność parlamentarzystów przeżywa pewien kryzys, jeśli zważyć na to, czego się od nich domagamy, chociaż nie wiem, czy jest słuszne się od nich tego domagać: nieskazitelnej postawy tych, którzy są naszymi przedstawicielami. Włosi nie żywią sympatii do zawodowych polityków. Pewnego razu Mussolini, sądząc, że obrazi swojego przeciwnika, posła z Neapolu, powiedział: „Pan X, z zawodu poseł”. Włosi sądzą, że jeśli ktoś zostaje posłem albo ministrem, nie będąc wybitnym profesorem albo wybitnym lekarzem, albo wybitnym adwokatem, nie ma powodu, żeby go szanować.

*Może lubimy myśleć o polityce jako o czymś odpowiednim dla ludzi o wielkich zaletach moralnych i intelektualnych, a więc godnych reprezentować nas i uchwalać prawo. Oburza nas odkrycie, że są oni często przeciętni, niezdolni albo że są biurokratami wykorzystującymi nasze głosy do zrobienia kariery.*

Ale polityka wymaga dziś takiego zaangażowania, takiego *full-time*; kiedy się do niej zabierasz, musisz z konieczności zostawić całą resztę i uczynić z niej to, co pani nazywa karierą.

Proszę pozwolić to powiedzieć mnie, który byłem nauczycielem, profesorem i posłem. Nie mówię tego dlatego, że chcę stanąć na jakimś piedestale. To był niehumaniczny wysiłek, straszliwe poświęcenie. Jak to więc wygląda? Wygląda to tak, że osobistości rozstają się z polityką albo nie zostają wybrane, ponieważ nie należą do partyjnego aparatu, i w rezultacie poziom parlamentarzystów się obniża. Niech Bóg mnie strzeże przed nieszanowaniem obecnych posłów... ale jeśli weźmie pani listę deputowanych do Konstytuanty i porówna ją z listą dzisiejszą, zauważy pani, że nie ma już wielkich nazwisk. Albo prawie nie ma. Z jednej strony jest to godne ubolewania, z drugiej jest nieuniknione. Udowodnię to pani na przykładzie. Przypuśćmy, że chciałaby pani widzieć Valdonego w parlamencie. Czy Valdoni gotów jest zrezygnować ze swojego zawodu lekarza? Nie mam pojęcia, widziałem żałosne przypadki posłów, którzy, żeby zostać posłami, porzucili swoje zawody i potem skończyli na bruku. Ale nawet jeśli Valdoni gotów jest zaryzykować, kto na niego zgłasza? Elita. Bo za nim nie stoi żaden aparat partyjny. Nie przypadkiem od dwudziestu lat upieram się, aby powrócić do listy krajowej, takiej jaką mieliśmy w czasach Konstytuanty. Uwalniając kandydatów od określonej liczby głosów, które wyborca może oddać na daną listę, lista krajowa pozwoliłaby wprowadzić do parlamentu ludzi o wielkich nazwiskach i wielkim doświadczeniu, a więc odzyskać uznanie opinii publicznej.

*I w dniu, w którym Włosi zobaczyliby w Montecitorio osoby, dla których żywią szacunek, powiedzieliby: no cóż, polityka nie jest w sumie karierą dla ludzi z drugiej ligi. I system dwupartyjny nieco by się osłabił.*

Tak, rozumiem taki stan ducha. Ale partie są potrzebne, prawda? Może nie tyle, ile my ich mamy, ale są potrzebne. Proszę posłuchać, kiedyś pomyślałem sobie, czy to możliwe, żeby południe nie zrobiło kroku do przodu, chociaż miało największych mężów stanu, od Orlanda do Salandry, od De Nicoli do Nittiego? I nasunęła mi się następująca odpowiedź, nie wiem, na ile prawidłowa. Brakowało partii, które by za nimi stały. Wchodzili do parlamentu dzięki uzyskanym głosom i nie potrafili przeforsować swoich postulatów, bo nie mieli za sobą partii. To znaczy pośrednika między nimi a opinią publiczną, nimi a władzą publiczną.

*Prawdziwy z pana adwokat, panie prezydencie. Mało brakuje, żeby udało się panu uniewinnić w moich oczach tych oskarżonych, choćby tylko z powodu braku dowodów. Ale proces się nie zakończył i teraz przenosi się poza granice Włoch. Nasz kryzys odbija się już na*

*stosunkach ze Wspólnotą Europejską, gdzie Włochom przypadła rola Kopciuszka. Ktoś powiedział, że gdybyśmy wyszli z EWG, wyświadczyliśmy przysługę innym narodom i...*

To bolesna i niesprawiedliwa teza, ponieważ w gruncie rzeczy Włochy były jednym z pierwszych krajów, które chciały zjednoczonej Europy, i walczyły o to, aby przystąpili do niej inni, na przykład Anglia. Przynajmniej w tym sensie Włochom należy się odrobina więcej wdzięczności i... tak, kiedy słyszy się niektóre rzeczy, ogarnia człowieka gorzkość. Tak czy owak, nie wierzę w taką ewentualność. Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Och, to byłoby najbardziej bolesne, najbardziej dramatyczne wydarzenie ze wszystkich możliwych. To byłaby prawdziwa klęska włoskiej polityki. Nie, nie! Włochy są zasadniczym składnikiem Wspólnoty Europejskiej i ich wyjście nie byłoby korzyścią dla nikogo. Faktem jest, że w życiu obserwujemy smutne zjawisko: bicie leżącego. Włochy przechodzą dziś trudny moment i łatwo im dołożyć. Łatwo przerzucać się oskarżeniami: ja-tego-nie-powiedziałem, ależ-tak-powiedziałeś.

*Ale krytyki kierowane do Włoch z powodu ich polityki europejskiej albo raczej nieeuropejskiej są usprawiedliwione. Bardziej niż usprawiedliwione, panie prezydencie.*

To prawda. Musimy przyznać, że istnieje wiele braków i wiele niedociągnięć względem Wspólnoty Europejskiej. Niektóre z nich zresztą spotkał wyrok skazujący Trybunału w Luksemburgu. Bardzo mi jest z tego powodu przykro, bardzo... Ale podobne braki występują też w innych krajach. U nas, jeśli nie da się ich usprawiedliwić, można przynajmniej je wyjaśnić. Przede wszystkim sprawa zjednoczonej Europy zaczyna być odczuwana we Włoszech dopiero dzisiaj, siły lewicowe doszły do tego z dużym opóźnieniem, ze strony opozycji zabrakło więc niezbędnego bodźca i w rezultacie większość nie wykazała się szybkimi inicjatywami. Poza tym nie dostosowaliśmy jeszcze do Europy naszych struktur państwowych. Są sztywne, zardzewiałe, przestarzałe: z winy wewnętrznej organizacji, która nie pozwala nam odpowiadać szybko na postanowienia EWG. Wyrażam się jasno? W innych krajach Wspólnoty wystarczy dekret z mocą ustawy, aby się do nich dostosować. U nas potrzebna jest ustawa, a pani wie, co to znaczy we Włoszech uchwalić ustawę: przygotować ją, przedstawić, uchwalić w parlamencie po niekończących się bataliach. Jak gdyby tego było jeszcze mało, hamują nas regiony. Mają one szeroką władzę na przykład w dziedzinie rolnictwa i zarządzania lasami i nie zawsze dbają o Wspólnotę Europejską. Jednocześnie nic jej nie obchodzą nasze regiony. A biedny włoski rząd nie może ignorować ani EWG, ani regionów i krytykowany jest przez obie strony. Faktem jest, że kiedy zebrała się Konstytuanta, Europa istniała jedynie w marzeniach nielicznych

oświeconych umysłów. A zatem nasza konstytucja powstała na podstawie pojęcia państwa zamkniętego w sobie, chronionego we własnej suwerenności. Jedyńm zaworem, który zostawiliśmy otwarty, był artykuł 11 odnoszący się do traktatów unijnych. To znaczy artykuł umożliwiający Traktat rzymski, w którym państwa rezygnują z suwerenności i godzą się na Międzynarodowy Trybunał, ten zaś może wydać na nie wyrok skazujący.

*Czy nie można by zmienić konstytucji?*

Można by... Nie jest napisane w Starym Testamencie, że konstytucja jest nienaruszalna na wieki wieków amen. Jedyńą rzeczą nietykalną jest ustrój republikański. On nie podlega dyskusji, tak jak zakaz odbudowywania partii faszystowskiej. W każdym razie, nawet bez zmian w konstytucji, można by coś zrobić. Na przykład mieć ministra do spraw europejskich. Twierdę, że tak jak jest minister do spraw południa, tak powinien być minister do spraw europejskich, który stałby na czele komitetu ministrów zajmujących się kwestiami o zasięgu europejskim. Mam na myśli rolnictwo, finanse, system podatkowy...

*Aj! Panie prezydencie, kojarzy mi się to z VAT-em, tym VAT-em tak znienawidzonym przez Włochów.*

Bo my, Włosi, zawsze jesteśmy rozdarci: chcielibyśmy mieć ciastko i zjeść ciastko. Ci, co atakują rząd za wprowadzenie VAT-u, powinni pamiętać, że VAT jest podatkiem międzynarodowym. Gdybyśmy go nie wprowadzili, Wspólnota Europejska naprawdę by nas wyrzuciła. Czyż jednym z powodów tarć z EWG nie było nasze opóźnienie we wprowadzeniu VAT-u? A opóźnienie to nie wynikało z faktu, że Włosi go nie chcieli? Widzi pani, ile przeszkód pojawia się na drodze do zjednoczenia Europy. W gruncie rzeczy są to te same przeszkody, które utrudniały zjednoczenie Włoch. Czy wie pani, że dziś jeszcze w Neapolu wspominają z pretensją, że zjednoczenie Włoch pozbawiło Banca di Napoli jego rezerwy w złocie, ponieważ została ona przeniesiona do Banca d'Italia? I niewielu cię słucha, kiedy odpowiadasz, że, cóż, może południe nie odniosło wielkich korzyści gospodarczych, ale z pewnością nie jest już tym, czym było za panowania Burbonów. Oto kolejny przykład braku refleksji z naszej, Włochów, strony: bierzemy zawsze pod uwagę aspekt negatywny sprawy, nigdy pozytywny.

*Ale czy pan, panie prezydencie, był zawsze przekonany o konieczności zjednoczenia Europy?*

Każdy człowiek kultury, który nie jest nacjonalistą w negatywnym sensie tego słowa, dostrzegał taką konieczność. Chociaż byłem przepelniony uczuciami patriotycznymi w sensie

tradycyjnym, nie myślałem nigdy o ojczyźnie jako o ojczyźnie granic. W tym sensie, to znaczy w sensie romantyczno-kulturowo-sentymentalnym, zawsze odczuwałem konieczność zjednoczenia Europy. Ale po Konstytuancie przekonałem się, że także w sensie politycznym jedność europejska jest niezbędna. Ponieważ odtworzyła się na świecie równowaga dwóch mocarstw, jedność europejska jest dla nas kwestią przetrwania... Nie, żebym protestował przeciwko takiej równowadze dwóch mocarstw, prawdopodobnie nie jest ona niczym złym, ponieważ wielcy tego świata, zanim zrobią jakiś błąd, zastanowią się. Mówię tylko, że taka równowaga istnieje, a zatem Europa musi się w nią włączyć i to nie na zasadzie podrzędności czy podporządkowania. I żeby tego dokonać, musimy się zjednoczyć w jednolitym ustroju demokratycznym, we wspólnocie kulturowych korzeni.

*Jedna dygresja, panie prezydencie. Kiedy mówi pan o Europie, mówi pan też o Włoszech w Pakcie Atlantyckim, prawda?*

Zawsze, zawsze. Zresztą nawet ze strony sił lewicowych opozycja wobec Paktu Atlantyckiego osłabła. Sądzę, że wszyscy są już przekonani, że Pakt Atlantycki to pakt pokojowy, a nie sojusz wojenny. No właśnie... pamiętam podpisanie Paktu Atlantyckiego. Wielu z nas wróciło do domu i znalazło na drzwiach napis: „Głosowałeś za wojną”. Wojna nie wybuchła i sądzę, że nie wybuchła także dzięki Paktowi Atlantyckiemu. Oczywiście, że byłoby pięknie, gdybyśmy pewnego dnia nie potrzebowali już ani Paktu Atlantyckiego, ani Układu Warszawskiego, ponieważ owego dnia moglibyśmy powołać do życia wielką Europę a nie tylko małą Europę. A jedynie wielka Europa może stanowić prawdziwy czynnik światowej równowagi.

*W tym rzecz. Mówi się o Europie, ale ta Europa to mała Europa, która jest połową Europy. Jednak nawet ograniczając się do tej małej Europy, która jest połową Europy, czyż nie tworzymy utopii? Czy taka Europa może istnieć bez jednej myśli politycznej i bez jednego przedstawicielstwa?*

To jasne, że trzeba do tego dojść. Powiedziałem to nawet prezydentowi Pompidou, kiedy przyjechał do San Rossore, a w ubiegłych dniach prezydentowi Heinemannowi: „Nie możemy poprzestać na aspekcie monetarnym, wspólnocie gospodarczej. Wspólnota musi być także polityczna, w przeciwnym razie jaki ma sens?”. Oczywiście, że ten proces jest powolny, że polityczna jedność Europy jest odległa, to rzeczywistość, którą należy przyjąć do wiadomości. Ale taka powolność nie jest spowodowana tym, że Włosi nie wywiązują się z obowiązków, nie zapominajmy, że proces zjednoczenia Europy został zahamowany, wręcz odwrócony, przez tak

wybitnego człowieka jak de Gaulle. Dopiero po de Gaulle' u Francja zaczęła się stopniowo włączać do Wspólnoty Europejskiej. A jeśli obawia się pani, że to marzenie jest utopią... Mój Boże, czasami też tak myślę, że może się okazać utopią. Ale potem mówię sobie: nie, nie może być utopią, również żeby utworzyć Włochy, potrzeba było wieków, potrzeba było ludzi uważanych za egzaltowanych. Garibaldi na przykład. Później jednak Włochy powstały. Och, nie jest łatwo zjednoczyć politycznie narody odmienne pod względem języka, kultury, ustroju, podziału sił politycznych wewnątrz krajów. Jedną z trudności jest Parlament Europejski. Zawsze twierdziłem, że Parlament Europejski powinien być wybierany w wyborach powszechnych i bezpośrednich. Odpowiada mi się jednak, że w ten sposób zabrakłoby powiązania między Parlamentem Europejskim a politycznymi siłami poszczególnych państw i parlamenty w każdym kraju musiałyby obradować równolegle. Ale można by znaleźć kruczki prawne...

*Tymczasem Włochom zarzuca się, że spoglądają bardziej na basen Morza Śródziemnego niż na Europę. Według pana, co jest w tym prawdziwego?*

Według mnie mamy obowiązek prowadzić europejską politykę, nie zapominając, że żyjemy w basenie Morza Śródziemnego. Jednym słowem, że nasza głowa jest w Europie, a ciało w Śródziemnomorzu. Nie oznacza to uprawiania niezależnej polityki w stosunku do Śródziemnomorza czy też polityki, która oderwałaby nas od Europy. Oznacza, że chcemy i możemy być pomostem między Europą a krajami basenu Morza Śródziemnego. Nie, nie powiedziałbym, że Włochy mają na celu politykę śródziemnomorską w opozycji do Europy. Powiedziałbym raczej, że bardziej niż inne narody europejskie rozumiemy problem Śródziemnomorza, to logiczne, ponieważ jesteśmy częścią tego ostatniego. Trzeci Świat stanowi także poważny problem ekonomiczny, niech pani pomyśli o miliardach dolarów, które płyną do Libii, Arabii Saudyjskiej, Kuwejt, a kraje te nie wiedzą, jak... Albo to ich bogactwo będzie odpowiednio kontrolowane, albo w pewnym momencie ekonomicznie nas pokonają.

*Już nas pokonali, panie prezydencie. Ale dajmy temu spokój, nie chcę już więcej pana dręczyć i przyprawiać o smutek, bo inaczej będę winna prezydentobójstwa. Chciałabym teraz raczej porozmawiać o panu, panie prezydencie, odwołując się może do tego, co powiedział pan na początku: „Ten gabinet to sala tortur”.*

Cóż! Niech pani pomnoży przez tysiąc wszystkie te smutne rzeczy, o których mi pani powiedziała albo o które mnie zapytała; chora demokracja, kraj, który się rozpada, neofaszyzm, który się rozwija, Wspólnota Europejska, która chciałaby nas wyrzucić, i zobaczy pani, że nie

przesadziłem. Kiedy słyszy się to wszystko każdego dnia, żyje się w końcu w takim napięciu, w takim przygnębieniu! Nie żeby udręki były dla mnie czymś nowym, niech to będzie jasne. Także przedtem miałem ich mnóstwo, życie adwokata jest bardzo męczące. Może pani sobie wyobrazić, co to znaczy wracać do domu, niosąc na plecach ciężar dożywocia, na które klient nie zasłużył? Ale to są udręki bardziej dotkliwe i jeśli weźmie pani pod uwagę, że jestem człowiekiem ulegającym łatwo emocjom, że dręcę się wszystkim i cierpię... Cierpię także, kiedy dzieją się rzeczy niemające nic wspólnego z polityką. Tragedia w Vicenzy na przykład: morderstwo tych dwóch nieszczęsnych kobiet. Wiem, takie rzeczy zdarzają się w każdym tak zwanym cywilizowanym społeczeństwie. Ale odbijają się takim echem w mojej duszy! Siedzę tu, przygnębiony, zasmucony i myślę: Kto wie, czy nie ma w tym także trochę mojej, naszej, winy, nas jako klasy politycznej? Kto wie, czy ja też, czy my też nie jesteśmy za to odpowiedzialni? I mam coś takiego jak... jak...

*Ściśnięte gardło? Ochotę na płacz?*

Eh! Czasami, tak. Czy to z powodu martwienia się tym, co nie działa, czy z powodu buntu przeciwko samokontroli, do której jestem zmuszony. Rozmawiałem o tym z Heinemannem, prezydentem Federalnych Niemiec, który był przedtem adwokatem, tak jak ja. Powiedziałem mu: Jest się o wiele bardziej wolnym, kiedy jest się adwokatem! Można uzewnętrzniać bez ograniczeń własne myśli, a tutaj natomiast każde zdanie musi być przemyślane, przestudiowane... Mnie ciąży przede wszystkim fakt, że muszę cały czas pamiętać, iż jestem przedstawicielem jedności narodowej, a więc kontrolować każdy krok, każde spojrzenie, każdy gest. Byłem krytykowany na przykład przez Fortebraccia, ponieważ poszedłem na ślub syna Covello; poszedłem z uwagi na pannę młodą, która jest córką Filipa, laryngologa. Filippo jest moim przyjacielem i... Fortebraccio powiada: „Ale prezydent nie może mieć życia prywatnego”. Jak to? Nie mogę mieć życia prywatnego, nie mogę pójść na ślub, muszę zawsze zważać, że teść takiej i takiej jest również ojcem takiego i takiego... To są rzeczy, od których ściska cię w gardle. A wie pani, co jest najbardziej przykre? To, że niektóre krytyki świetnie rozumiem. Pozycja prezydenta republiki jest tak delikatna, tak niepewna. Nic nie ryzykujesz tylko w tych krajach, gdzie jest ustrój prezydencki, co dzięki Bogu, nigdy we Włoszech nie nastąpi. Przynajmniej mam nadzieję, że nigdy nie nastąpi. Na litość boską! Dwuwładza prezydenta republiki i szefa rządu jest bardzo ważna! Rola prezydenta jako moderatora jest niezbędna. Wyobraża sobie pani, gdybym był też na czele władzy wykonawczej? Jezusie! Do kogo bym się odwołał?



*Panie prezydencie, kiedy został pan wybrany, powiedział pan piękne zdanie: „Nie potrafię być daleko od życia. Chyba Kwirynał nie okaże się wieżą z kości słoniowej?”.*

Usiłowałem ją trochę zburzyć, tę wieżę z kości słoniowej, ponieważ na początku było mi w niej naprawdę za ciasno. Chcę powiedzieć: przytrafiła mi się zmiana życia, której zupełnie nie przewidziałem, i szczególnie w pierwszych miesiącach brakowało mi trochę powietrza. Trzeba mnie zrozumieć, zawód adwokata karnisty jest taki urozmaicony, taki żywy. Masz dzięki niemu kontakt z różnymi dramatami, różnymi osobami, różnymi miejscami i zyskujesz swobodę, której nie zyskuje nawet lekarz. Przywołuję to porównanie, bo podobałby mi się zawód lekarza; nie próbowałem się kształcić w tym kierunku, gdyż widok fizycznego cierpienia mnie przeraża i nie potrafię reagować na nie obojętnie. Wygłosić natomiast pełną pasji mowę obrócić... Oddać prawodawstwo na usługi ludzi... Kiedy byłem adwokatem, fascynowało mnie to zagłębianie się w niepoznawalne meandry ludzkiej duszy, rozumienie człowieka bez wyznaczania sobie granic i bez zastrzeżeń. A więc tak, ta wieża z kości słoniowej krępowiała mnie na początku. Ale potem przezwyciężyłem to wrażenie i rozpostarłem skrzydła.

*A zatem nie zmartwił się pan tym, co wydarzyło się w 1964 roku, kiedy o mało co nie zamieszkał pan w Kwirynale i kiedy się to nie udało?*

Już pani mówię. Nie, nie cierpiałem z tego powodu, że nie zostałem prezydentem w 1964 roku. Również ze względu na to, że byłem młodszy, wolałem zostać ze swoją rodziną i uprawiać swój zawód. Miałem zawsze umiarkowane marzenia i już pani mówiłem, że jeśli chodzi o mnie, byłem zawsze pesymistą. W dzieciństwie potrzebowałem, żeby ojciec klepnął mnie po plecach i powiedział: „No jazda, na pewno ci się uda! Jesteś przecież bystrym chłopcem!”. Z pewnością nie przypuszczałem, że zostanę znanym adwokatem, cenionym profesorem, a potem przewodniczącym parlamentu, szefem rządu, prezydentem Republiki. Nie, nigdy nie przewidywałem, że dotrę na sam szczyt. A teraz, kiedy się tam znalazłem, wydaje mi się, że dostałem więcej, niż się spodziewałem. Być może więcej, niż mi się należało. To, co sprawiło mi przykrość w 1964 roku, to fakt, że niektóre odłamy w mojej partii mnie opuściły. Najpierw nakłoniły mnie do kandydowania, a potem... szybko jednak o tym zapomniałem, również jeśli chodzi o ludzi, którzy odegrali zasadniczą rolę w tym wycofaniu poparcia... Łatwo się domyślić, o kim mówię... Wybaczyłem im, tak jak trzeba.

*Przydarzyło się to również innym. Tym razem przydarzyło się Nenniemu. À propos Nenniego: wiem, że kiedy kandydowaliście jeden przeciwko drugiemu na prezydenta republiki,*

*pojechaliście razem do Crans-sur-Sierre na Sylwestra. Zastanawiam się więc, czy w głębi serca nie wolałby pan pokonać kogoś innego.*

Pewnie, że tak! Jest we mnie wiele takich ludzkich skrupułów. Nenni dobrze wie, jak było mi przykro kandydować przeciwko niemu. Wie także, jak mi było przykro, że przegrał z mojego powodu. Lubię tego człowieka, ogromnie go szanuję, ponieważ pod każdym względem jest to ktoś godny szacunku. Mieszkaliśmy razem przy via Colombo, wie pani o tym? Potem przeniósł się na piazza Adriana, ale w dalszym ciągu widywaliśmy się w Crans-sur-Sierre. Ja i Nenni byliśmy kandydatami także w 1964 roku, ale wtedy on miał mniejsze szanse. Kiedy Rinaldo, nasz dozorca, powiedział: „Stąd wyjdzie prezydent republiki!”, Nenni mu odpowiedział: „Mylisz się, Rinaldo, stąd nikt nie wyjdzie”. Tym razem Nenni miał spore szanse. Nie twierdzą, że gdybym się wycofał, wygrałby on. Nie, na nic by to się nie zdało. Ale gdybym rywalizował z przyjacielem i od mojej rezygnacji zależałoby jego zwycięstwo, wycofałbym się. Zdarzyło się tak przy innych okazjach i udowodniłem, że potrafię tak postąpić. Tak, chętnie widziałbym kogoś takiego jak Nenni na stanowisku prezydenta republiki. Nenni ma silne poczucie państwowości.

*Dziwna przyjaźń, jesteście przecież tacy inni. Pan na przykład jest bardzo religijny, prawda?*

Raczej tak. Nie żebym chodził zawsze na mszę... chociaż teraz chodzę trochę częściej, ponieważ częściej się zdarza, że mam wolną niedzielę. Ale jestem katolikiem, co więcej, katolikiem neapolitańskim, a katolicy neapolitańscy to szczególny gatunek ludzi. Pozbawieni są klerykalizmu, ponieważ nie zaznali antyklerykalizmu. Nie mieli Państwa Kościelnego, a więc nie musieli reagować na nie antyklerykalizmem i... to okazało się czymś bardzo pozytywnym. Niektóre postawy anachronicznie i zażarcie antyklerykalne są błędem politycznym. Mówi to pani laicki katolik, to znaczy katolik, który nigdy by nie pozwolił na uszczuplenie władzy państwowej. Nigdy.

*Laicki katolik i... neapolitańczyk. Przede wszystkim neapolitańczyk. Panie prezydencie, ileż razy w tej rozmowie wymienił pan Neapol! I jeszcze ten akcent... co? Kiedy słyszę, jak wygłasza pan przemówienie, nie mogę się powstrzymać, żeby nie wykrzyknąć: „Och, dlaczego on nie mówi bardziej po florencku?!”.*

Ma pani rację, ma pani rację. Wiem o tym, wiem. Nie udało mi się nigdy zmienić tego akcentu i mam z tego powodu trochę kompleksów. Zawsze sobie mówię: „Również De Nicola był rdzennym neapolitańczykiem tak jak ja, niemal bardziej niż ja, a jednak miał piękny akcent.

Dlaczego więc ja nie potrafię stracić tej wymowy?”. Nie potrafię. Jak to możliwe w moim wieku? Kiedy próbujesz coś takiego zrobić, popadasz w śmieszność. Pamiętam pewnego neapolitańskiego posła, który w parlamencie mówił „Perugia” tak jak mówicie wy, florentczycy. Za każdym razem prowokowano go: „Panie pośle! No nie! W Neapolu Perugia pisze się z trzema g! Peruggia!”. A zatem możliwości są dwie: albo popada się w śmieszność, albo trzeba zachować swój kompleks, szczególnie w telewizji. Ja zachowuję swój kompleks. Ale tylko co do akcentu, ponieważ jestem dumny z tego, że jestem neapolitańczykiem. A wie pani, dlaczego? Ponieważ neapolitańczycy nie są nigdy prowincjonalni, nigdy nie są partykularni. Jest w nich wiele uniwersalizmu! Nie wiem nawet, skąd się to bierze. Może stąd, że tyle wycierpieli, że znieśli tyle ucisku. Neapolitańczycy czują się wszędzie jak u siebie w domu. Przed każdym otwierają ramiona. Są inteligentni. Jak wielką przyjemność sprawił mi Kennedy, kiedy na końcu listu z podziękowaniami za zgotowane mu przyjęcie napisał „Viva Napoli!”. To był dwustronicowy list, po angielsku. Nie znam angielskiego, niestety, nie znam obcych języków, i to „Viva Napoli!” napisane po włosku, wzruszyło mnie. Wie pani, jedyny list, którego nie zostawiłem w Palazzo Chigi; zabrałem go do swojego wiejskiego domu. W jednym tylko nie jestem neapolitańczykiem: nie jestem przesądny. Nigdy nie wierzyłem w te głupoty związane z 13 albo 17, czarnym kotem, wylaną oliwą, stłuczonym lustrem. Nigdy nie trzymałem w kieszeni amuletu, na przykład jakiegoś rogu...

*Panie prezydencie, kiedy mówimy o Neapolu i De Nicoli, który był prezydentem monarchistą, nasuwa mi się pytanie, które może się wydać bezczelne, ale jest uzasadnione. Wynika bowiem z pewnej niejasności w tej dziedzinie. Czy był pan zawsze zwolennikiem republiki?*

Spoglądałem zawsze z sympatią na ustrój republikański. I nie tylko dlatego, że republika lepiej odpowiada ustrojowi demokratycznemu, nie tylko dlatego, że monarchia jest trochę nienaturalna, z tym dziedziczeniem na przykład, ale uważałem zawsze za niemożliwe, wręcz bezprawne, żeby monarchia trwała nadal we Włoszech po tym, jak skompromitowała się doszczętnie przez swój związek z faszyzmem. Rozumiem jednak pani pytanie: w tej dziedzinie było rzeczywiście trochę niejasności, nie po raz pierwszy muszę dementować fakt, że byłem monarchistą, mówiono nawet, że byłem członkiem włoskiej Unii Monarchistycznej. A wie pani, dlaczego? Ponieważ w Neapolu liczni ludzie kultury byli monarchistami i nie tylko oni. W Neapolu kochano monarchię z powodów sentymentalnych. Republikanów nie było wielu, jak

wiedział o tym dobrze mój ojciec, który był zwolennikiem republiki. Innym powodem tej niejasności co do mojej osoby było to, że aż do 1946 roku nie zdarzyło mi się nigdy wyrazić swojego poglądu na ten temat. Do 1946 roku byłem naukowcem i w polityce znalazłem się przypadkiem, kiedy ojcu zaproponowano miejsce na liście Chrześcijańskiej Demokracji, on zaś odpowiedział: „Nie, jestem stary. Weźcie mojego syna”. Politykiem więc stałem się nieumyślnie. Niezależnie od własnej woli.

*Proszę mi pozwolić drążyć dalej ten temat, panie prezydencie, chcę przypomnieć fakt, że w 1946 roku, na kongresie Chrześcijańskiej Demokracji poświęconym referendum, pan przedstawił stanowisko agnostyczne i nierepublikańskie.*

Dokładnie tak. Na tamtym kongresie mieliśmy zdecydować, jakiej linii będzie przestrzegać Chrześcijańska Demokracja w sprawie ustroju, i frakcje były trzy: monarchistyczna, republikańska, agnostyczna. Ja stanąłem na czele tej ostatniej, ponieważ na południu przewaga monarchistów była miażdżąca i opowiadając się jasno za republiką, Chrześcijańska Demokracja mogła przegrać. I odwrotnie, pozostawiając swoim członkom swobodę głosowania za monarchią czy za republiką, mogłaby zyskać wiele głosów. Do referendum brakowało dwóch miesięcy i podczas tych dwóch miesięcy nie zdążylibyśmy wykorzenić na południu sentymentu do monarchii. Sentyment poddaje się z większym trudem niż rozum. Cóż... Nie pomyliłem się. Moja teza przepadła, ale w istocie zastosowano się do niej: wielu kandydatów z Chrześcijańskiej Demokracji było monarchistami i w ten sposób zyskała ona wysoki procent głosów. I dobrze się stało, proszę mi wierzyć, w przeciwnym razie liczba posłów podważających powojenny porządek i faszystowskich okazałaby się tak znaczna, że byśmy się już nie podnieśli. Ale teraz proszę mi pozwolić powiedzieć coś na korzyść tego nieszczęsnego południa: nie powinno się go potępiać za słabsze zainteresowanie referendum. Na południu ludzie mniej wycierpieli z powodu okupacji nazistowskiej i faszystowskiej, a więc powoływanie się na monarchię jako współwinną faszyzmu nie było czymś oczywistym. W każdym razie południe zaakceptowało republikę bardziej, niż się sądzi. Kiedy towarzyszyłem Einaudiemu w jego podróży do Campobasso, miasta, które w dziewięćdziesięciu procentach głosowało za monarchią, zobaczyłem coś, co wprawiło mnie w zdumienie: entuzjastyczne przyjęcie.

*Tak, tak. Ale kiedy ogłoszono republikę, pan się z tego ucieszył?*

Z pewnością. Proszę pamiętać, że nigdy nie życzyłem sobie, żeby wygrała monarchia. Obawiałem się jedynie, że referendum może wywołać wojnę domową. Ale aby wyrazić się

jaśniej, muszę odwołać się do mojego ojca, człowieka, którego bardzo kochałem i który wywarł na mnie ogromny wpływ. Ojciec był nie tylko zwolennikiem republiki, ale miał tak nowoczesne poglądy, że mógłby zapisać się do Partii Socjalistycznej. Wie pani, dlaczego się nie zapisał? Ponieważ był katolikiem, a w tamtych czasach bycie socjalistą oznaczało automatycznie zadeklarowanie się jako antyklerykał. Zapisał się natomiast do Partii Ludowej. W 1919 roku. To wiele mówi, prawda? Wiele mówi na przykład o moim wychowaniu, katolickim, lecz nie klerykalnym, a jeszcze mniej reakcyjnym, o oświeceniowej atmosferze, w której wyrosłem, o tekstach Mazziniego i innych działaczy epoki Risorgimenta, które mnie ukształtowały...

*Proszę mi pozwolić na jeszcze jedno pytanie, które może zabrzmieć brutalnie, ale nie taka jest moja intencja. Panie prezydencie, czy żałował pan kiedykolwiek, że nie zadeklarował się pan politycznie nieco wcześniej i że nie uczestniczył pan bezpośrednio w walce z faszyzmem?*

Widzi pani... W czasach faszyzmu jedyną zorganizowaną opozycją byli komuniści. Potem pojawił się ruch Sprawiedliwość i Wolność, który przekształcił się w Partię Czynu. Ale chociaż katolicy tacy jak ja spoglądali z wielką sympatią na Partię Czynu, było już za późno, aby do niej dołączyć: byliśmy wszyscy w Akcji Katolickiej, jedynym wielkim ruchu antyfaszystowskim, do którego mieliśmy dostęp. Dramat nas, katolików, powiedziałbym wręcz, wielki błąd wielu z nas, katolików, to był właśnie brak bezpośredniego uczestnictwa w walce z faszyzmem. Nie uprawialiśmy aktywnego antyfaszyzmu, ograniczaliśmy się do przygotowywania kultury antyfaszystowskiej, to znaczy opartej na zasadach wolności, demokracji, międzyludzkiej solidarności. Akcja Katolicka była dla nas prawdziwym ratunkiem, biada, gdybyśmy jej nie mieli. Ale z pewnością w jej ramach zrobiliśmy mniej, niż moglibyśmy zrobić. A zresztą trudno abstrahować od własnych uczuć, od tradycji rodzinnej, od środowiska, w którym się żyje... W Neapolu nie prześladowano przesadnie antyfaszystów, szczególnie intelektualistów antyfaszystowskich. Byli pośród nich ludzie, których Mussolini nie śmiał tknąć: Croce, De Nicola, Porzio... Byliśmy więc milczącymi antyfaszystami. Na przykład kiedy Hitler przyjechał do Neapolu i policja zrobiła rewizję w naszym domu, ojciec ukrył fotografię, na której stoi obok don Sturza, De Gasperiego, Rodinò, Spataro. Fotografię zrobioną na ostatnim kongresie Partii Ludowej. Potem pobiegł do domu krewnych i schował ją za obrazem; trzymał ją tam aż do dnia, w którym upadł faszyzm. To sympatyczna historia, ale z pewnością nie wychodzimy w niej na bohaterów. Widzi pani... dla mnie naprawdę wszystko zaczęło się w 1946 roku.

*Istotnie, to także rok, w którym się pan ożenił. Jak to się stało, że również małżeństwo przyszło tak późno?*

Dla nas, neapolitańczyków, rodzina to poważna sprawa, wyznacznik naszego losu, poza tym za moich czasów nie postępowano tak jak dzisiejsi młodzi: ledwie się poznają i już biorą ślub, a po pół roku wszystko się kończy. Chciałem się ustawić przed założeniem rodziny. Nie wyobrażałem sobie, że mogę się ożenić i mieć dzieci, zanim nie osiągnę solidnej pozycji ekonomicznej i społecznej. I tak dopiero w 1936 roku, kiedy otrzymałem katedrę uniwersytecką, pomyślałem: teraz mogę zacząć myśleć o założeniu rodziny. W 1938 roku jednak porzuciłem ten zamiar, wojna była tuż – tuż, wydawało mi się to lekkomyślne ożenić się, żeby moja żona owdowiała. I zacząłem szukać tej, która miała zostać moją żoną, kiedy nastanie pokój. Miałem już trzydzieści siedem lat, ale, proszę mi wierzyć, wszystko dobrze się ułożyło. Mimo bólu po stracie syna i z powodu choroby drugiego, który później, dzięki Bogu, wyzdrowiał, rodzina dała mi wiele szczęścia! Wie pani, ja żyję bardzo rodzinnie, ponieważ panuje między nami wielka zgoda. O moich problemach rozmawiam także z żoną i synami, a fakt, że są młodzi, a więc mają nowoczesne, krytyczne poglądy, ogromnie mi pomaga. Wierzę w młodych.

*A w kobiety?*

Uwielbiam kobiety. Dla mnie kobiety są najpiękniejszymi istotami na świecie. Zawsze powtarzam: najmocniejszym argumentem na rzecz istnienia Boga jest piękna kobieta. To jest zresztą pogląd tomistyczny, bo św. Tomasz twierdził, że piękno tego świata jest jednym z dowodów na istnienie Boga. Ale ja nie tylko kocham kobiety; również je szanuję. Do tego stopnia, że powiadam: nie jestem zadowolony, że mam tylko synów, chciałbym mieć córkę. W tym pokoleniu kobiety udowodniły, że potrafią wszystko. Także kierować krajem: wystarczy pomyśleć o Goldzie Meir i Indirze Gandhi. Pewnie, że widziałbym kobietę na stanowisku prezydenta republiki. Na swój sposób jestem feministą. Mówię, na swój sposób, bo cokolwiek by robiły, nie potrafię postrzegać ich poza rodziną.

*Rozumiem. Nie ma w takim razie sensu pytać pana o rozwody. A raczej o referendum.*

Cóż pani chce, żeby powiedział o referendum? Na razie, w tym roku, się nie odbędzie. My, adwokaci, znamy coś, co się nazywa „odroczeniem sprawy”. Kiedy sprawa jest trudna, odracza się ją. Na razie rozwody mamy. Jak wszyscy wiedzą, uczestniczyłem w obiektywnej i bezstronnej mediacji, która pozwoliła usunąć z ustawy kilka poważnych błędów. Inne niestety pozostały i czasami wychodzą na jaw. Ale jestem przekonany, że wraz z przesunięciem

referendum zyskamy czas na ulepszenie tej ustawy Fortuny. Ważne jest, żeby rozwody nie wywołały czegoś w rodzaju wojny domowej. Nie ma potrzeby odtwarzać podziałów na gwelfów i gibelinów, klerykałów i antyklerykałów, katolików i niewierzących; należy wyeliminować wszystkie powody konfliktów i rozwód nie może się stać przyczyną waśni pomiędzy Włochami. Kościół spełnił swój obowiązek i bronił swoich interesów, powiadając: dla-nas-rozwód-jest-sprzeczny-z-konkordatem. Wykluczam jednak, aby oznaczało to wtrącanie się w sprawy wewnętrzne włoskiego państwa. Trybunał Konstytucyjny ustalił zresztą, że rozwód nie jest sprzeczny z konstytucją. A zatem nie musimy się niepokoić. Tym bardziej nie musimy się obawiać ingerencji, na które ja, chociaż jestem katolikiem, bym się nie zgodził. Przeciwnie, powtarzam, musimy sprawić, aby te nieszczęsne Włochy uniknęły kolejnych podziałów i kolejnych problemów. Mają ich już za dużo, myślę co wieczór, kiedy modlę się do Boga. Och, nie uwierzy pani, ale ja wieczorem, zanim pomodlę się za moją rodzinę, modlę się za Włochy. Mówię: „Pomóż im, Panie. Bo tego potrzebują. Spraw, żeby powróciły na drogę postępu, Panie. Bo naprawdę tego potrzebują”.

*Dziękuję, panie prezydencie. Chciałabym, żeby pańskie słowa natchnęły nas odrobiną nadziei.*

Ja też bym chciał. Prosiła mnie pani, żebym mówił szczerze, i rozmawiałem z panią z całkowitą szczerością. Może nawet z przesadą. Ale taki już jestem.

*Rzym, kwiecień 1973*

## Giulio Andreotti

Mówił tym swoim głosem powolnym, zdradzającym dobre wychowanie, niczym spowiednik, który za pokutę wyznacza ci odmówienie pięciu *Ojczy nasz*, pięciu *Zdrowaś Mario*, dziesięciu *Wieczny odpoczynek*, a ja czułam skrępowanie, chociaż nie potrafiłam powiedzieć, dlaczego. Potem nagle zrozumiałam, że to nie było skrępowanie. To był strach. Ten człowiek budził we mnie strach. Ale dlaczego? Przyjął mnie niezwykle uprzejmie, wręcz serdecznie. Dowcipny, doprowadził mnie do głośnego śmiechu, i z pewnością nie wyglądał groźnie. Te ramiona wąskie jak u dziecka i przygarbione. Ten niemal wzruszający brak szyi. Ta gładka twarz, na której nie możesz wyobrazić sobie zarostu. Te delikatne dłonie o długich palcach, białych jak воск. Ta postawa wiecznego wycofania. Siedział cały zatopiony w sobie, z głową schowaną w koszuli i wydawał się chorym człowieczkiem, który chroni się przed deszczem, kuląc się pod parasolem, albo żółwiem, który wychyla się nieśmiało ze swojej skorupy. Kto może się bać chorego człowieczka, kto może się bać żółwia? Kogo mogą skrzywdzić? Dopiero później, wiele później, pojęłam, że mój strach brał się właśnie z tego. Prawdziwa władza nie potrzebuje zuchwałości, długiej brody, grubego głosu. Prawdziwa władza dusi cię jedwabną wstążką, wystarczą jej dobre maniery, inteligencja.

Inteligencji doprawdy mu nie brakowało. Do tego stopnia, że mógł sobie pozwolić na luksus niedemonstrowania jej. W odpowiedzi na każde pytanie wyslizgiwał się jak piskorz, wykonywał tysiąc piruetów, a potem powracał, aby uraczyć cię wypowiedzią skromną i konkretną. Jego poczucie humoru było subtelne, perfidne jak ukłucie szpilką. Na początku nie czuło się tych ukłuć, ale potem tryskała z nich krew i czułeś ból. Przyglądałam mu się ze złością. Siedział przy biurku pokrytym papierami, a za nim, na ścianie obitej jasnobrązowym aksamitem, wisiał obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Prawa ręka Matki Boskiej opuszczała się na jego głowę i błogosławiła ją. Nie, nikt nigdy nie zdoła go zniszczyć. To zawsze on będzie niszczył innych. Spokojnie, bez pośpiechu, z niewzruszoną pewnością co do swoich przekonań. Czy też swoich dogmatów? Wierzy w raj i piekło. O świcie idzie na mszę i służy do niej lepiej od ministranta. Bywa u papieży ze swobodą sekretarza stanu i biada temu, kto obudzi w nim cichy gniew. Kiedy sprowokowałam go niegrzecznym pytaniem, jego ciało się nie poruszyło i wyraz twarzy pozostał kamienny. Ale w oczach zapalił mu się lodowaty błysk, od którego dziś jeszcze



ciarki mnie przechodzą. Mówi, że w szkole miał piątkę ze sprawowania. Ale założę się, że pod ławką rozdawał kopniaki, które pozostawiały granatowe sińce.

Można by napisać książkę o Giuliu Andreottim. Książkę fascynującą i niepokojącą, ponieważ wszystko, czym jest, wykracza poza przypadek jednostki. Reprezentuje Włochy. Włochy katolickie, chadeckie, konserwatywne, z którymi walczysz na pięści, ale obcierasz sobie tylko knykcie i to wszystko. Włochy rzymskie, ze swoim Watykanem, swoim sceptycyzmem, swoją mądrością, swoją zdolnością przetrwania, zawsze, dawania sobie rady, zawsze, czy kiedy przybywają barbarzyńcy, czy Marsjanie; tak czy owak, zaprowadzi się ich wszystkich na plac św. Piotra, żeby się pomodlili. W polityce nie znalazł się w sposób zamierzony; nie miał pojęcia, że ma do niej talent. Do władzy nie doszedł za sprawą walki i ryzyka: nie walczył z faszyzmem. Jedna i druga stała się jego udziałem na skutek zrządzenia losu, ale pozostał w nich z własnej woli. Nadzwyczajnej, godnej pozazdroszczenia woli, którą mają pracoholicy potrafiący obudzić się, kiedy jest jeszcze ciemno, po to, żeby pracować. Rządzi nami od około trzydziestu lat, to znaczy odkąd ukończył lat dwadzieścia pięć. Będzie nami rządził dalej w ten lub inny sposób aż do dnia, w którym udzieli mu ostatniego namaszczenia. Bliski przyjaciel De Gasperiego, członek włoskiej Rady Krajowej, cały czas w parlamencie, sześć razy podsekretarz w kancelarii prezydenta, sekretarz rady ministrów, szef klubu parlamentarnego, minister spraw wewnętrznych, skarbu, dwukrotnie minister finansów i przemysłu, siedem razy minister obrony, trzykrotny premier. Nawet dzieci o tym wiedzą, a historie, które składają się na jego postać, przysparzają mu tony głosów: bogatych, biednych, młodych, starych, wykształconych, analfabetów. Lubi piłkę nożną, uwielbia wyścigi konne, podoba mu się quiz Rischiatutto, kolekcjonuje dzwonki, nie ma żadnych nałogów, jest oddanym i szczęśliwym mężem nauczycielki literatury włoskiej w liceum, która obdarowała go czwórką dzieci, ładnych, dobrych i chętnych do nauki. Ma słabość do Ameryki z powodu wyścigów konnych, do bezkrwistych i błyskotliwych blondynek typu świętej pamięci Carole Lombard. Do tych ostatnich oczywiście w sensie platonicznym. Jest świetnym pisarzem i jego książki słusznie nie przechodzą nigdy niezauważone. Szkoda, że pisze tylko o rzeczach, wokół których unosi się zapach kadzidła.

Oto wywiad. Przeprowadziłam go w jego gabinecie, odbył się w trzech etapach, trwał pięć godzin. I przez pięć godzin ja, która palę bez przerwy, zapaliłam tylko jednego papierosa. Pod sam koniec. Nie ośmieliłam się zrobić tego wcześniej. Nie znosi dymu. Żadnego rodzaju

dymu, tym bardziej dymu z ognia, w którym płonie stary świat, aby zrobić miejsce dla nowego. Walczy z nim za pomocą świeczki, z dymem i z tym, co nowe, jak gdyby to był Szatan.

*ORIANA FALLACI. Jest pan pierwszym chadakiem, z którym rozmawiam, panie pośle, i trochę się martwię, ponieważ... No więc, powiedzmy, że nigdy was, chadeków, nie rozumiałam. Jesteście dla mnie mgławicą. Czymś, czego nie potrafię uchwycić.*

GIULIO ANDREOTTI. Przypomina mi pani przemówienie Gianniniego w parlamencie, kiedy powiedział: „Zdaję sobie sprawę, że reprezentujecie siłę polityczną, ale gdybym miał powiedzieć, że zrozumiałem Chrześcijańską Demokrację, skłamałbym”. Potem opowiedział historię przeoryszy, która miała dwa czyżyki i chciała umieścić je razem, żeby była z nich para, ale dwa czyżyki nie chciały zostać parą i biedna przeorysza nie potrafiła odgadnąć, czy dzieje się tak dlatego, że dwa czyżyki są tej samej płci. Co gorsza, nie potrafiła odgadnąć, jakiej płci są dwa czyżyki, czy są jednej płci. I pewnego dnia wykrzyknęła, zniecierpliwiona: „Z osłem to co innego! Od razu widać, czy to samiec, czy samica!”. Taką właśnie historię opowiedział Giannini i zawiera ona sporą dozę prawdy. Ponieważ, widzi pani, na początku było dość jasne, co znaczy być chadekami: chrześcijańska polityka społeczna oparta na bezdyskusyjnych podstawach demokratycznych. Jednym słowem, linia don Sturza. Ale dziś nie można powiedzieć, że stanowisko Chrześcijańskiej Demokracji jest równie jasne, może dlatego, że problemy się zmieniają i komplikują, może dlatego, że partia nie może żyć z kapitału... O co chodzi? Czegoś sobie pani życzy?

*Nie, nie. Mam zwyczaj palić, ale wiem, że pan nie znosi osób z takim nałogiem i...*

Pewnego razu papież wywodzący się z Kampanii, Leon XIII, poczęstował kardynała tabaką. Kardynał odpowiedział: „Dziękuję, ten grzech jest mi obcy, nie mam takiego nałogu”. Na to papież: „Gdyby to był grzech, nie byłby obcy Jego Eminencji”.

*I kto jest tym kardynałem? Ja czy pan?*

Musimy, jak mówiłem, opracować na nowo program Chrześcijańskiej Demokracji. Może nawet obierając za punkt wyjścia początkową platformę, to znaczy referat Gonellego z 1946 roku, będący dla nas rodzajem Magna Charta. Musimy się zastanowić nad tym, co zostało zrobione czy też nie, przeanalizować nowe problemy, a potem, na nowych podstawach, wytyczyć linię polityczną o ściśle określonym kierunku. Inaczej pozostawimy w końcu inicjatywę innym i przyjdzie się nam pogodzić z bramką strzeloną z kontry. To jest też trochę problem włoskich

sojalistów: brak jasności stanowi powód poważnego kryzysu także dla nich. Tak jak i oni, musimy przezwyciężyć rozłamy, frakcje, sojusze o charakterze osobistym...

*Panie Andreotti, zanim odkryjemy pleć aniołów, a raczej czyżyków, a raczej chadeków, chciałabym odmalować pańską postać. O tak, bez żadnego schematu. Na przykład pomijając fakt, że jest pan wielkim bigotem, chętnie bym się dowiedziała...*

Bigotem? Ja, no cóż, z tą etykietką bigota jest tak: to prawda, że kiedy mogę, idę na mszę. To prawda, że kiedy mogę, poszczę w piątek. Ale jakie to ma znaczenie? Zawsze tak postępowałem, urodziłem się w rodzinie, która tak postępowała. Nie, nigdy się nie buntowałem, zgoda. Nigdy nie miałem ochoty zachowywać się inaczej. Ale nie rozumiem. Jeśli Arab nie pije alkoholu i nie je wieprzowiny, wszyscy mówią: Cóż za dobry z niego muzułmanin! Jeśli katolik żyje tak jak ja, wszyscy mówią: Cóż za bigot! Nie religijny. Bigot.

*Dobrze: religijny. Pomijając fakt, że jest pan tak bardzo religijny, chętnie bym się dowiedziała, dlaczego został pan chadekiem.*

Rzekłbym, że z powodu De Gasperiego. Nie byłem jeszcze chadekiem, kiedy poznałem De Gasperiego w bibliotece watykańskiej, gdzie poszedłem, aby dowiedzieć się czegoś o watykańskiej marynarce wojennej, i De Gasperi powiedział mi: „Nie ma pan nic lepszego do roboty?”. Byłem nikim, nie zastanawiałem się nigdy nad problemem politycznego wyboru. Miałem dziewiętnaście lat. Ale spotkanie z tym człowiekiem, De Gasperim, to był rodzaj iskry. Miał tak wielki urok, tak wielką zdolność przekonywania. I iskra ta odkryła przede mną rzeczy, w które wierzyłem, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, doprowadziła mnie w sposób niemal naturalny do dokonania wyboru. Chcę przez to powiedzieć, że nigdy nie przyszło mi do głowy, że mógłbym dokonać innego wyboru, na przykład wstąpić do partii socjalistycznej albo liberalnej. Broń Boże, nigdy nie miałem podobnych pokus. Co do komunistów, już wtedy byłem pewny, że nie da się pogodzić komunizmu i wolności. Szesnastego października 1943 roku napisałem list do Franca Rodano, który jest tego dowodem. Rodano należał do ugrupowania komunistów katolików, ludzi, z którymi się przyjaźniłem i których lubiłem. Papież Pius XII był raczej zaniepokojony z powodu tych komunistów katolików. Więc kiedy na początku 1943 roku zostali aresztowani, przestraszyłem się, żeby ich nie potępił w homilii, którą miał wygłosić w czerwcu do robotników. Dostarczyłoby to zresztą tylko wody na młyn wszystkim, którzy oskarżali go o sprzyjanie faszyzmowi. Udałem się od razu do niego, ale go nie zastałem i zostawiłem mu liścik. „Ojczy Świąty, przyszedłem odwiedzić Waszą Świątobliwość, bo ci

chłopcy trafili do więzienia, i chciałem prosić, aby Wasza Świątobliwość nie poruszał tego tematu...”.

*Chwileczkę. Poszedł pan, ot tak, do papieża, jak ja idę do kiosku z papierosami? Zostawiał mu pan, ot tak, liściki, jak ja zostawiam je mojej sekretarce?*

Ależ oczywiście. Byłem przewodniczącym Włoskiej Federacji Studentów Katolickich, chodziłem często do papieża. Duże organizacje związane z Akcją Katolicką miały stałe audiencje u papieża co dwa miesiące, ale w tamtych czasach widywałem go nawet częściej. Był dla mnie bardzo miły, traktował mnie bardzo serdecznie. Naturalnie nigdy nie zapominałem, że on jest papieżem, a ja dwudziestoczteroletnim studentem, ale... Jednym słowem, zostawiłem mu ten liścik i papież mnie posłuchał. W swojej homilii do robotników nie zrobił żadnej aluzji do ugrupowania komunistów katolików i dwa tygodnie później, kiedy wróciłem do Watykanu, aby towarzyszyć niektórym naszym przywódcom przyjmowanym na audyencji generalnej, spytał mnie: „Jesteś zadowolony?”. Nikt nie zrozumiał, co ma na myśli, ale ja zrozumiałem i odparłem: „Bardzo zadowolony”. Ach, Pius XII to był święty człowiek. Był wielkim papieżem, największym ze wszystkich. Wystarczyło być przy nim, patrzeć na niego i czuć, że jest inny: bardziej oświecony, bardziej natchniony, bardziej wybrany...

*Niektórzy mówią coś wręcz przeciwnego. A poza tym podobno bił kardynałów.*

Nic mi o tym nie wiadomo. Jeśli to robił, znaczy, że sobie zasłużyli.

*Właśnie. Dziwi mnie jednak, że woli pan Piusa XII od Jana XXIII.*

No tak. Ponieważ widzi pani... jednym słowem... sposób komunikowania się z ludźmi, jaki charakteryzował Jana XXIII, zmuszał go do zejścia z piedestału. Pewnego razu przyprowadziłem do niego moje dzieci i kiedy już je posadził, żeby poczuły się swobodnie, powiedział im: „Widzicie tę szafę? Przedtem nie można jej było zamknąć, a ja umieściłem w niej drzwiczki, bo przypominała mi pudło na kapelusze”. Jan tworzył od razu bezpośrednią atmosferę, zachowywał się z wielką prostotą. Ale sądzę, że była to bardzo inteligentna prostota, to znaczy miała ściśle określony cel... Na przykład pamiętam dzień, w którym w Rzymie, w Tuscolano, ludowej dzielnicy, zażądał mikrofonu, aby przemówić do ludzi, którzy zgromadzili się na placu. Nie było to przewidziane, przyniesiono mu jednak mikrofon, a on przemówił tak: „Widzicie, Rzym to trudne miasto, ponieważ jest to miasto, gdzie nie uznaje się zasług. Albo gdzie zasługi przypisuje się osobom, które ich nie mają. O mnie na przykład się mówi, że jestem skromny, bo nie chcę być noszony na przerośnym papieskim tronie. Ale powodem nie jest moja skromność.

Nie chcę być noszony, bo jestem gruby i zawsze mi się wydaje, że z papieskiego tronu mógłbym spaść”. Wszyscy zaczęli się śmiać. Jeszcze mam ten śmiech w uszach. A potem papież dodał: „Posłuchajcie, młodzi. Proszę was, żebyście byli mili. I żebyście byli mili wobec staruszek, bo wobec młodych dziewcząt jesteście mili aż za bardzo”. Czy to jasne?! Takie dwa zdania wypowiedziane przez papieża. Potem wygłosił jeszcze dziesięciminutowe kazanie, jak proboszcz walczący o wiarę. Ale najpierw rozśmieszył ludzi.

*Znał pan dobrze także jego?*

O, tak! Doskonale. Z powodów rodzinnych. Za młodu był bliskim przyjacielem wuja mojej żony, to znaczy brata teściowej, który był kapłanem-archeologiem tu, w Rzymie. Pozostali w wielkiej przyjaźni i na przykład kiedy wuj zachorował, papież przyszedł go odwiedzić. Potem, kiedy wuj zmarł, poszedł na jego grób i... jednym słowem często go spotykałem.

*Niech to! Zna pan również dobrze Pawła VI?*

O, tak! Oczywiście. Doskonale. Był opiekunem naszej katolickiej organizacji uniwersyteckiej. Ale jego od jakiegoś czasu widuję rzadko. Ostatni raz, proszę sobie wyobrazić, widziałem go 2 stycznia ubiegłego roku na audiencji generalnej, kiedy towarzyszyłem grupie z Kampanii z okazji siedemsetlecia śmierci św. Tomasza z Akwinu. Na ogół unikam chodzenia do niego. Wie pani, żeby nie mieszać tego, co świeckie, i tego, co święte. Z powodów politycznych, wyrażam się jasno? Powiedziałbym, że do Watykanu chodziłem częściej kiedyś. Zresztą i wtedy chodziłem rzadko. Och, nasze kontakty z Watykanem są słabsze, niż ludziom się wydaje. Mam na myśli: w ważnych sprawach... we wspólnym interesie, takim jak konkordat... rozumie się, że... Ale co do reszty... Proszę pomyśleć, w całym okresie pontyfikatu Piusa XII De Gasperi był na audiencji tylko dwa razy. Co do innych przypadków, poszedł, aby uczestniczyć w jakichś uroczystościach. Na przykład z powodu sztuki *Zwiastowanie* Claudela. Nie, z Watykanem nie mamy takich stosunków, jakie sobie pani wyobraża.

*Ach! Co do tego, proszę mi pozwolić nie dowierzać. Szczególnie w pańskim przypadku. Wiedzą o tym nawet dzieci, że jeśli jest we Włoszech człowiek związany ze środowiskami kościelnymi, to jest nim Andreotti. Nie licząc papieży.*

Stosunki osobiste, tak. Więzi, tak. Ale większość tych ludzi znam od czasów, w których myślałem o wszystkim, tylko nie o polityce. W każdym razie nie chodzi o klerykalizm. Wystarczy jeden przykład: szkoły prowadzone przez księży pełne są dzieci osób, które uważają się za nieprzejednanych wrogów Kościoła, mnie natomiast nigdy nie przyszło do głowy, żeby

posłać moje dzieci do tego typu szkoły. Fakt, że jestem przekonany katolikiem, nie wpływa na moje decyzje. Jeśli już, to pozwala mi pokonywać przeszkody. Nie jest tajemnicą, że przez wiele lat tu, w Rzymie, nie potrafiono zbudować meczetu, ponieważ zakłócałoby-to-święty-charakter-miasta. Potem, podczas kilku miesięcy mojego rządu, przyjechał król Fajsal. Ten od oranzady. Mam na myśli: ten, który nie pije alkoholu, a nikt nie nazywa go bigotem. I porozmawiał ze mną o tej sprawie, mnie zaś wydała się ona na tyle słuszna, że natychmiast wydałem pozwolenie na budowę meczetu dla muzułmanów.

*Niech pan posłucha, panie Andreotti, czy myślał pan kiedyś, żeby zostać księdzem?*

Trudno powiedzieć. Może bym mógł. Nie wiem. Jeśli to pani coś wyjaśni, to w dzieciństwie spędzałem zawsze wakacje razem z dwoma rówieśnikami i jeden z nich jest teraz nuncjuszem apostolskim, a drugi arcybiskupem w Chieti. Ale czułem się zawsze świetnie w roli męża i ojca rodziny, odpowiadała mi ona coraz bardziej i nigdy tego nie żałowałem. Być może dlatego, że miałem szczęście i trafiła mi się cudowna żona, normalne i pracowite dzieci... Tak czy owak, nie mogę powiedzieć, że nie spełniłem swojego kapłańskiego powołania. Jedyne powołanie, które się nie spełniło, to zawód lekarza. Och, bycie lekarzem bardzo by mnie cieszyło. Ale nie mogłem sobie pozwolić na sześcioletnie studia medyczne. Nie byłem bogaty. Mój ojciec, nauczyciel w szkole podstawowej, zmarł zaraz po moim urodzeniu; kiedy tylko zapisałem się na uniwersytet, musiałem zacząć pracować. Zapisałem się na prawo i uzyskałem dyplom, mając zamiar zostać karnistą. Bardzo jednak żałowałem. Tak, ogromnie. Jeszcze dziś żałuję. Trudno, tak wyszło. Ciekawe, że żadne z moich dzieci nie chciało studiować medycyny. Jeden syn ukończył filozofię, drugi kończy właśnie inżynierię, trzeci prawo, córka jest na drugim roku archeologii.

*Cóż, gdyby został pan lekarzem, nie byłby pan dzisiaj jednym z najpotężniejszych ludzi we Włoszech. Chyba pan nie zaprzeczy, że w pańskim przypadku polityka jest synonimem władzy.*

Powiedziałbym, że nie. W moim przypadku nie łączyłbym ani trochę słowa polityka ze słowem władza, ponieważ, niech pani posłucha, kiedy piszę albo uczestniczę w dyskusji, czuję większą polityczną satysfakcję, niż kiedy mam formalną i konkretną władzę. Najwięcej zadowolenia przyniosła mi w trakcie tych dwudziestu pięciu lat funkcja szefa klubu w parlamencie. Oczywiście trzeba ustalić definicję władzy. Dla prasy na przykład władzą jest to, co widać, forma zewnętrzna. Jeśli ktoś jest ministrem od motyli i powiada, że dziś jest piątek, natychmiast jego słowa przytaczane są z szacunkiem: „Minister od motyli oświadczył, że dziś

jest piątek”. Jeśli natomiast opracuje jakąś teorię albo wyrazi pogląd, trudno mu puścić je w obieg. Inaczej mówiąc, jeśli mieć władzę znaczy odgrywać znaczącą rolę i znajdować posłuch dla niektórych idei, nakłaniać innych, aby je rozważyli, w takim razie czuję się istotnie człowiekiem władzy. Choć czasem brakuje mi narzędzi do jej sprawowania...

*Komu? Panu?! Panu, który ma tak wielki wpływ na policję, na wojsko, nawet na prokuraturę? Panu, który był przyjacielem trzech papieży, który z zawodu jest ministrem i ma teczki wszystkich włoskich polityków?!*

To są bezpodstawne legendy. Jeśli chce pani zajrzeć do mojego archiwum, pokażę je pani. Jest do pani dyspozycji, naprawdę. Oczywiście, kiedy ktoś był przez całe lata ministrem obrony, zna wiele osób. A ja znam wiele osób; co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ale nigdy nie uważałem, że władza polega na gromadzeniu teczek, aby potem nimi szantażować. Nie mam zaszyfrowanych sekretów. Mam tylko dziennik, który piszę każdego wieczoru, jaki Bóg zsyła na ziemię; nigdy mniej niż kartkę. Jeśli przypadkiem któregoś wieczoru boli mnie głowa i nic nie napiszę, następnego dnia od razu uzupełniam brak. I kiedy muszę napisać artykuł na temat czegoś, co zdarzyło się dwadzieścia lat temu, zaglądam do mojego dziennika i znajduję w nim rzeczy, których nie znalazłbym z pewnością w prasie. Oczywiście prowadzę go w taki sposób, aby nikt poza mną nie mógł go zrozumieć, to są rzeczy, które spisuję wyłącznie dla siebie. Nikt poza mną nie powinien go przeczytać. To jest naprawdę sekretny dziennik i mam nadzieję, że moje dzieci spalą go w dniu mojej śmierci. Ale moje teczki, proszę mi wierzyć, zawierają tylko wycinki z gazet. Jeśli chce pani do nich zajrzeć, przyniosę pani jedną. No, proszę podać jakieś nazwisko. Proszę je wymienić.

*Fanfani. Zwany także władcą Włoch. Czyż nie jest on pańskim wielkim wrogiem? Czyż nie jest prawdą, że może on podziękować Andreottiemu za to, że nie został prezydentem republiki?*

Nie, to nieprawda. Dostał głosy naszego ugrupowania, z małymi wyjątkami. Chrześcijańska Demokracja oddała na niego swoje głosy. Ale sama Chrześcijańska Demokracja, jak wiadomo, nie może wybrać prezydenta republiki i to, czego zabrakło Fanfaniemu, to było poparcie opozycji. Wrogość, która okazała się początkiem kryzysu centrolewicy, okazywali mu socjaliści. Zawarli z komunistami pakt o wspólnym działaniu i... Poparliby Moro, ale w żadnej mierze nie chcieli wesprzeć Fanfaniego. Co się tyczy określenia go jako władcy Włoch, nie wiem, czy jest to komplement, zważywszy na to, jak sprawy stoją... Fanfani jest sekretarzem największej włoskiej partii, ale żeby określać go tak, jak określiła go pani... Szczególnie w fazie

powszechnej anarchii, w której obecnie żyjemy... Niekiedy gazety przypisują mu raz taką, raz inną polityczną orientację, ale ja nie mam powodu, żeby sądzić, iż...

*Krótko mówiąc, jesteście czy nie jesteście wrogami?*

Osobiście sądzę, że możliwość zaprowadzenia jedności wewnątrz Chrześcijańskiej Demokracji to sprawa skomplikowana, ponieważ każdy ma swoje poglądy, swoje duże i małe konfraternie, swoje interesy, prawomocne przecież... Nie mówię wyłącznie o nieuzasadnionych i przesadnych ambicjach... Fanfani, w porównaniu z innymi, jest dziś w korzystnej sytuacji, ponieważ jest o mniej więcej dziesięć lat od nas starszy, a to mu pozawala na snucie planów, które w gruncie rzeczy nikomu nie przeszkadzają... Poza tym wykazał się ogromnymi zdolnościami odzyskiwania utraconych, zdawałoby się, pozycji ogromną siłą woli... Pod tym względem stanowi naprawdę element siły i... byłoby absurdalne nie waloryzować elementów siły, aby przeważyły inne aspekty. Co chce pani ode mnie usłyszeć? Pracowałem kilkakrotnie z Fanfanem, ale nigdy przez długi czas... nie mogę więc twierdzić, że miałem zbyt dużo okazji, aby z nim współpracować i... szczególnie jeśli chodzi o działalność partyjną, nie mam tego typu doświadczeń... Proszę posłuchać, dzisiejsza sytuacja wydaje mi się na tyle poważna, że obchodzi mnie tylko jedno: trzeba ustawić z powrotem samochód na start. Czy to zrobi jeden czy drugi, dla mnie to sprawa drugorzędna. Ktokolwiek może pomóc, będzie dobrze widziany.

*Nie udaje mi się pana rozzłościć. Zawsze się pan tak kontroluje, jest pan taki niewzruszony, jak z kamienia?*

Tak, bo nie warto dostarczać satysfakcji temu, kto cię złości. Po co być jak zapalka, która się zapala i już po niej? A zresztą nie cierpię ludzi, którzy podnoszą głos lub używają wulgarnych słów. Moim zdaniem wskazuje to na brak silnych przekonań. Jeśli ktoś jest o czymś przekonany, nie potrzebuje przecież walić pięścią w stół, pocić się, podniecać! Ci, co się złością czy obrażają, są śmieszni. Potem muszą się bardzo starać, żeby przeprosić, przesadzają w odwrotną stronę, upokarzają się... We Włoszech istnieje tradycja głośnej, krzykliwej polemiki. Ale ja jestem rzymianinem i wolę nie dramatyzować bardziej niż to konieczne; bycie rzymianinem bardzo pomaga dostrzec prawdziwy wymiar spraw i naprawdę szkoda, że Rzym prawie nigdy nie był rządzony przez rzymian. Proszę tylko pomyśleć, że przede mną nie było nigdy premiera, który byłby rzymianinem, że pochodzili oni zawsze z południa albo z północy... W każdym razie nawet wtedy, kiedy idę na mecz piłki nożnej, na którym świetnie się bawię, zachowuję spokój. Tak samo, kiedy idę na wyścigi konne. Tak, wyścigi konne lubię jeszcze bardziej. Tłum ludzi,



gra kolorów, *suspence*, zakłady... Czy wygrywam, czy przegrywam, nikt nie może zauważyć, czy jestem podniecony lub zdenerwowany. Nie mówiąc o tym, że prawie zawsze wygrywam, bo mam szczęście. Gram niewiele, zakładam się o małe sumy, ale na ogół wygrywam.

*Czy mówi pan o koniach, czy o polityce?*

Nie żeby konie były moją jedyną rozrywką. Dobrze się bawię także w kinie, albo kiedy oglądam *Rischiatutto*, albo pisząc książki. Pisanie mnie odpręża, odtruwa, pozwala mi zapomnieć o ustawach i porządkach dnia. Wszystkie te przyjemności mają wspólny mianownik: uspakajają mnie i pomagają odnaleźć równowagę. Wie pani, bardzo lubię przebywać z ludźmi, którzy nie zajmują się polityką. Coś pani opowiem. Przez wiele lat jeździłem na kuracje do Montecatini. Za pierwszym razem, kiedy tam pojechałem, byłem podsekretarzem w kancelarii prezydenta, dyrektor uzdrowiska przyjechał po mnie na dworzec i oznajmił mi: „Zawiozę pana do pawilonu, aby pokazać, gdzie umieszczamy posłów i senatorów”. A ja na to: „Brawo, proszę mnie zaraz tam zawieźć, pokazać mi dokładnie ten pawilon, żebym mógł wybrać sobie inny”. I tak też zrobiłem. Nie żeby unikać moich kolegów, ale żeby nie tworzyć takiej konfraterni. Polityka jest czymś, co wciąga, i biada, jeśli w niej utkniemy: w końcu nie będziemy już nic widzieli poza nią, stając się fatalnymi przedstawicielami naszych wyborców.

*To jest pańska definicja polityki?*

Ja... proszę posłuchać... dałbym wiele, żeby definiować ją tak, jak definiują ją moi koledzy: polityka jest kulturą, jest moralnością, jest misją, jest sztuką itd. Ale nie potrafię. To zresztą tak, jak gdyby poproszono rybę o opisanie wody, w której pływa. Ryba nie potrafi opisać wody, w której pływa, wie tylko, że to jest jej życie. Już chyba pani mówiłem, że gdyby mi przepowiedziano karierę polityczną, kiedy byłem w liceum, wybuchnąłbym śmiechem. I dziś jeszcze nie poddaję się schematom. Nie należę bowiem do tych, którzy gubią się w abstrakcjach i mówią na przykład: „Robotnik nie chce mieszkania na własność, chce prawa do powierzchni”. Co to znaczy? Dlaczego tak mówią? Może się obawiają, że nie będą uchodzić za wykształconych? A może mają poglądy tak niejasne, że nie potrafią ich wyrazić? Często to są ci sami, którzy mówią *my-jesteśmy-blisko*—robotników, cudowne wyrażenie, ponieważ są zawsze blisko i nigdy nie pracują. Och, ma rację moja matka, twierdząc, że kiedy słucha się ich w telewizji, nie rozumie się nawet połowy z tego, co mówią. Mnie polityczne słownictwo śmiertelnie nudzi. Zgoda, teoria musi istnieć, bo inaczej poruszamy się po ruchomych piaskach,

trzeba jednak brać pod uwagę ludzi, którzy sobie nie radzą i nie chcą, aby na nich napadano na ulicy, kiedy idą odebrać emeryturę... O co chodzi? Czegoś pani sobie życzy?

*Nie, nie. Szukałam odruchowo papierosa, nie pamiętając o historii Leona XIII i kardynała.*

Cóż! Jeśli chce pani koniecznie zapalić, proszę. Zapalę świecę. Widzi pani, mam w tym celu specjalną świecę. Oczyszcza powietrze i chroni mnie przed bólem głowy. Nie żebym nie znosił palaczy, nie znoszę dymu. Przyprawia mnie o ból głowy, a ja cierpię na straszliwe bóle głowy, które wyłączają mnie z życia na trzy, cztery godziny. Nigdy nie udało mi się dowiedzieć, skąd się biorą. Być może są dziedziczne. Cierpiał na nie ojciec, a także matka. A może są pochodzenia reumatycznego. Objawiają się, kiedy jestem zmęczony, kiedy czuję napięcie, kiedy zmoknę. Ale jeśli chce pani koniecznie zapalić, proszę.

*Po tym, co mi pan powiedział? Nie, nie. Proszę, niech pan mówi dalej.*

Mówiliśmy o polityce rozumianej jako konkretne działanie. Cóż, u nas panowała zawsze pogarda dla kogoś, kto przywiązuje wagę do spraw zwykłej administracji, ale jedna z rzeczy, która przysporzyła mi najwięcej satysfakcji, dotyczy dziedziny zwykłej administracji w czasach, kiedy byłem ministrem finansów. Przemycano ogromne ilości ropy naftowej, ja zaś, zamiast lamentować, zwołałem komisję. Potem wezwałem dowódcę straży celno-podatkowej i powiedziałem mu: „Potrzebuję kogoś młodego, zdolnego i bystrego”. I on zaproponował mi pewnego kapitana, który jest już pułkownikiem. Kapitan zatrudnił się jako robotnik w rafinerii i potrzebował zaledwie pół roku, żeby odkryć prawdę. Wokół każdej rafinerii była wielka aparatura, która miała doprowadzić wodę w razie pożaru. A oni, zamiast doprowadzać wodę, odprowadzali na zewnątrz ropę. W odległości kilometra od bramy nie było już straży celno-podatkowej, nie było już kontroli, mogli więc załadowywać ropę do autocystern i wywozić ją. Wydałem dekret z mocą ustawy, na podstawie którego nikt nie mógł wozić benzyny autocysterną, jeśli nie ma dokumentu, z którego wynika, gdzie ją załadował oraz gdzie ją wyładuje i... wie pani, że tamtego roku do kas wpłynęło dwadzieścia osiem miliardów podatku? Ach, gdybyśmy tracili mniej czasu, walcząc między sobą na kongresach, kongresach przygotowawczych, w sekcjach, w odłamach i gdybyśmy zajmowali się tym, co najważniejsze!

*Proszę mi wybaczyć, ale jeśli pan to rozumie, to jak mógł pan narobić tyle szkód za swojego rządu? Upadek lira, wyżka cen...*

To, co pani mówi, wydaje mi się bardzo niesprawiedliwe. Rząd jest zawsze dzieckiem poprzedniego rządu, ojcem następnego, a mój rząd nastał, ponieważ upadł rząd centrolewicowy. To było przedsięwzięcie niemal niemożliwe, mieliśmy tak minimalne marginesy swobody. W senacie na przykład trzeba było rachować każdego dnia od nowa, a to uniemożliwiało jakiegokolwiek planowanie. Podczas pierwszego półrocza rząd koalicyjny był dość spójny, ale w styczniu znaczna część ministrów zaczęła myśleć bardziej o przyszłości niż o teraźniejszości. I to nas osłabiło. Ale niektóre decyzje podjęliśmy, stojąc mocno na ziemi: decyzję o podwójnym kursie lira, o niepozbywaniu się ani grama złota... Nie jest absolutnie prawdą, jakoby był odpowiedzialny za upadek lira. Przeciwnie, lir upadłby, gdyby mój rząd nie podjął pewnych decyzji. Nie zapominajmy o problemach międzynarodowych: ze strony kraju produkującego ropę spotkały nas spekulacje, które w ciągu jednego dnia wpłynęły na cenę lira na ogólną kwotę dwustu miliardów lirów. Gdybyśmy się zgodzili na normę europejską, na mocy której transakcje walutowe pomiędzy różnymi krajami EWG muszą być zawierane w połowie w złocie i w połowie w którejś z europejskich walut, za miesiąc nie mielibyśmy już ani grama złota i ani jednego dolara. I na cóż by się zdały Europie Włochy zrujnowane finansowo?

*Skłonna jestem przyznać panu rację, ale ten rząd powiada, że nie robi nic innego, tylko naprawia błędy rządu Andreottiego...*

Wydaje mi się, że jest to z ich strony objaw ogromnej zarozumiałości. Odpowiem im tak: kiedy byłem dzieckiem, spędzałem lato w wiejskim domu, gdzie z rur dzień i noc lała się woda. I nigdy nie przyszedł hydraulik, chociaż wezwać hydraulika nie było wówczas niczym trudnym, nie tak jak dzisiaj. I zawsze podłoga była zalana wodą. Potem, pewnego dnia, hydraulik się zjawił. I zrobiło się z tego wielkie święto, wszyscy wznosili okrzyki radości i wdzięczności. Hydraulik zabrał się do pracy, w atmosferze wdzięczności i radości i... wszystko rozwalił. Zalał cały dom. Nie chciałbym więc, aby obecni odnowiciele spowodowali to, co spowodował hydraulik. Och, nie istnieją rozwiązania centrolewicowe czy centroprawicowe, czy też centrowe. Istnieją dobre rozwiązania i kwita. W dzisiejszych czasach trzy czwarte problemów ma do tego stopnia wymiar międzynarodowy, że nie zaradzimy zalanej podłodze za pomocą uderzenia młotka. Oczywiście nic z tego nie będzie, jeśli nie wzrośnie produkcja, jeśli nie nastąpi większy napływ waluty na skutek na przykład promocji turystyki...

*Ale jak to zrobić? Skoro kina i teatry zamykają się o północy, a restauracje wyrzucają cię przed jedenastą, w niedziele panuje zakaz używania samochodu, a benzyna jest racjonowana?*

Nie chciałbym się wymądrzać, ale w tym wypadku przyznaję pani rację. Z pewnością zakaz używania samochodów w niedziele nie rozwiąże problemu. W globalnym procencie zużycia ropy to, co zużywamy do jazdy samochodem, to zaledwie piętnaście procent. Ale jeżdżąc siedem dni na siedem, nie wykluczając niedziel.

*Można by też zachęcać do odwiedzania naszego kraju, wydając w wielu językach biuletyn na temat naszych skandali, zastępując choćby atrakcję, jaką jest latin lover, skorumpowanym politykiem.*

Może jeszcze nie zapadł wieczór i trzeba poczekać, aż zapadnie, żeby dojść do tak katastroficznych wniosków. Nie chciałbym wpaść na wiecznego mediatora, ale niektóre rzeczy nabiorą w końcu pozytywnego wydźwięku i w ten stan rozchwiania zaprowadzą równowagę. Jednym słowem, może się zdarzyć, że to trzęsienie ziemi uporządkuje wiele spraw. Obawiam się tylko, że może posłużyć do stronnich spekulacji. Dopóki nie ma procesu, orzeczenia sądowego, apelacji i ostatecznego wyroku, nie można powiedzieć, że dana osoba postąpiła niezgodnie z prawem. Nie, nie jest słuszne, że już w przeciągu tygodnia człowiek zostaje oskarżony i osądzony. Ponieważ potem, nawet jeśli zostanie całkowicie uniewinniony, jego wiarygodność jest już skompromitowana. I podobnie w odniesieniu do systemu. Mieliśmy niesłychane przypadki postępowań przeciwko politycznym postaciom, które w sądzie apelacyjnym, a nawet już w śledztwie, skończyły się przeprosinami. Faktem jest, że potrzeba nam większego poszanowania tajemnicy śledztwa, we Włoszech natomiast tajemnica śledztwa jest kpina. Wszyscy zwołują konferencje prasowe, od kwestora do prokuratora. A potem, ewentualnie, winę zwała się na dziennikarza: jak-pan-mógł-to-napisać. A on wie o tym od kwestora albo prokuratora. Na Boga! W Anglii, gdyby nazwała pani mordercą mordercę, który przyznał się do winy, ale nie został jeszcze osądzony, może on podać panią do sądu i żądać odszkodowania. U nas natomiast...

*Zgoda. Widzieliśmy to przy okazji Valpredy. „Oto zbrodniarz” głosił tytuł na okładce pewnego tygodnika, który chce uchodzić za postępowy. Ale ja...*

Czy wie pani, że w czasach mojego rządu jednym z aktów prawnych, któremu zarzucano słabość, była właśnie ustawa pozwalająca na uwolnienie Valpredy? I kiedy niektórzy powiedzieli mi: „A więc jesteś za Valpredą”, odpowiedziałem: „Nie wiem, czy Valpreda jest winny, czy nie. Nie do mnie należy wiedzieć i okaże się to podczas procesu. Ale gdyby twój syn był w więzieniu i nie wiedział, czy czeka go akt oskarżenia, byłbyś zadowolony, gdyby siedział w celi dwa albo

trzy lata, aż sędziowie uzgodnią, kto ma go sądzić?”. Cóż. Być może wynika to z rodzaju wychowania, a raczej złego wychowania. Może brakuje nam kultury opartej na poszanowaniu ludzi. Jakkolwiek by było, nasz system skłania do linczu. I nie tyle do linczu fizycznego, ile moralnego. Takiego, jak również w przypadku Valpredy. Mówię „również”, bo kiedy określano go jako „tancerza”, mnie przypomniał się casus Piccioniego. Historia z Montesi. Pamięta pani sędziego Sepe? Pewnego dnia spytałem Sepe: „Proszę mi wybaczyć, ale jakie są dowody na to, że Piccioni znał Montesi?”. A Sepe na to: „Ale czy pan zna Piera Piccioniego?! Kompozytor jazzowy! Kochanek aktorki!”. Zezłościłem się i odparłem: „Proszę mi wybaczyć, panie sędzio, ale gdyby nazywał się Fanfani i Bertarelli, jak firma, która sprzedaje wieńce nagrobne na piazza d’Indipendenza, dla pana byłby automatycznie kimś poza podejrzeniem!”. Istnieje we Włoszech brzydki zwyczaj: najpierw wyrabiamy sobie przekonanie, potem szukamy na nie dowodu. A to jest odwróceniem pojęcia sprawiedliwości. Wszyscy jesteśmy trochę sędzią Sepe, który uważał się za wysłannika samego Boga, mającego wyczyścić stajnię Augiasza. Sepe!... Kiedy zostałem ministrem finansów, napisał do mnie list: chciał zostać u mnie szefem biura legislacyjnego!

*Tak, tak. Święta prawda. Ale nie zmienia to niewątpliwego wstydu z powodu wielkiej korupcji we Włoszech. Zmienił pan temat. Skandal istnieje i dotyczy także partii.*

Powiedziałem, że wieczór jeszcze nie zapadł. Na przykład o komunistach jeszcze nie rozmawialiśmy, ale jak wyglądają ich sprawy finansowe? To, że otrzymują pomoc z zagranicy, to nie złośliwość, to fakt. A spośród osobistości, które mogłaby pani przepyttać, jest Eugenio Reale, który był ich pełnomocnikiem. Może mógłby coś pani opowiedzieć. Nie odkrywamy przecież Ameryki, mówiąc, że każda partia otrzymuje pomoc z zewnątrz! Bo w przeciwnym razie trzeba się zgodzić na finansowanie ze strony państwa... Ale czy należy wierzyć w finansowanie ze strony państwa? De Gasperi na przykład nie wierzył. Powiadał, że opinia publiczna by tego nie zaakceptowała albo źle by na to zareagowała: „To nie brzmi dobrze: państwo rozdaje pieniądze partiom”. Być może gdyby udało się naprawdę namówić je na upublicznienie ich budżetu i nieukrywanie przychodów i rozchodów... Ale partie nigdy nie ujawnią swoich budżetów. Nawet własnym członkom. Wchodzę w skład kierownictwa Chrześcijańskiej Demokracji i przez trzydzieści lat nigdy nie widziałem na oczy budżetu. W innych partiach, jak sądzę, pewnie jest tak samo. W 1945 i 1946 roku na kongresach odczytywano referat skarbnika, ale dziś nie ma nawet tego.

*Niedawno powiedział mi pan, że to trzęsienie ziemi mogłoby uporządkować wiele spraw. Powinien pan jednak wiedzieć, że we Włoszech trzęsienia ziemi niczego nie porządkują, ponieważ po początkowym hałasie wokół sprawy przestaje się o niej mówić.*

Może dlatego, że chce się załatwić zbyt wiele rzeczy naraz. W ogromnym zamieszaniu, które z tego wynika, gubią się sprawy podstawowe. Widzi pani, każdy rząd zaczyna od programu, na którego realizację nie wystarczyłoby piętnaście lat. Nikt nie postępuje już tak jak Nitti, który powołał rząd, aby znacjonalizować towarzystwa ubezpieczeniowe, i to wszystko. To był program ograniczony, oczywiście, ale był to program jasny i pozwalał na kontrolę rezultatów. Nikt nie postępuje już tak jak De Gasperi, który zaproponował reformę rolną, doprowadził do uchwalenia ustawy i zrealizował ją, czy się to podobało, czy nie. Albo jak Vanoni, który wprowadził reformę podatkową i ludzie narzekali, kiedy jednak zobaczyli formularz jego autorstwa, doszli do wniosku, że dobrze czy źle, ale coś jednak zrobił. Dziś partie prowadzą między sobą abstrakcyjny dialog, ja-jestem-bardziej-postępowy-od-ciebie, nie-to-ja-jestem-bardziej-postępowy-od-ciebie, ja-jestem-piękniejszy-od-ciebie, ty-jesteś-brzydszy-ode-mnie... nie w sensie fizycznym oczywiście, ponieważ w tym sensie bylibyśmy wszyscy oszukani... W każdym razie nie mówi się już o sprawach praktycznych. Rządy nie mają czasu na nic, bo kiedy rząd powstaje, nie wiadomo nigdy, czy utrzyma się do następnego dnia. Proszę pomyśleć o podsłuchach telefonicznych...

*Pan też ma telefon na podsłuchu?!*

Nie wiem. Mam nadzieję, że nie. Ale nie mam pojęcia. Widziała pani okładkę książki telefonicznej Rzymu z lat 1972–1973? No właśnie. Proszę spojrzeć na okładkę: „Prywatny detektyw Tony Ponzi, nagroda Złotej Maski. Osobiście wykonuje kontrole, śledztwa przemysłowe i prywatne, również za pomocą elektronicznej zminiaturyzowanej aparatury. Wszędzie”. Zresztą, jeśli ktoś wpada w szal z tego powodu, że jego telefon jest pod kontrolą, zwykli ludzie powiedzą złośliwie: Chyba-nie-chce-żeby-go-podsłuchiowano-bo-ma-coś-do-ukrycia.

*Ładnie powiedziane. Ale kiedy był pan w rządzie, co pan zrobił, aby zapobiec tym ohydny podśluchom?*

Właśnie miałem pani powiedzieć, że ujawniłem problem i zobowiązałem moich ministrów do przygotowania projektu. Projekt został przygotowany, ale potem musieliśmy odejść i... wracamy do poprzedniego rozumowania: jak można coś zrobić, kiedy nie dają nam czasu?

Trzeba by powiedzieć rządowi, jakiegokolwiek rządowi: „Będziesz u władzy przez dwa lata. Jeśli przez te dwa lata nie dokonałeś przynajmniej dwóch zasadniczych rzeczy, jeśli ci się nie udało, posyłam cię na zieloną trawkę i zabraniam ci rządzić. Przez dziesięć lat nie będziesz mógł być członkiem rządu”. Ale dzieje się to, co się dzieje, nie licząc tego, że szef rządu musi spędzać dni na zajmowaniu się ceną prosa albo konferencją w Kopenhadze. A doba ma przecież tylko dwadzieścia cztery godziny.

*Wykorzystujcie je lepiej, te dwadzieścia cztery godziny. Nie zajmujcie się ceną prosa. Nie jedźcie na konferencję w Kopenhadze. To dlatego we Włoszech nic nie działa i grozi nam, że nastąpi samobójstwo demokracji.*

Może pani przesadza. Nie chcę zaprzeczać, że jest jakaś prawda w tym, co pani mówi w sposób nieco brutalny, ale nie powinno się twierdzić, że we Włoszech nic nie działa. Przede wszystkim kiedy żądamy, aby wszystko działało, domagamy się recepty, która nie istnieje. A czy jest może tak, że widzimy tylko to, co nie działa, ignorując to, co działa? Coś przecież działa. Jest wiele osób, które wykonują swoje obowiązki, pracują sumiennie, studiują sumiennie i uzyskują dyplomy ze świetnym wynikiem. Trzeba uważać, żeby wszystkiego nie zniszczyć. Może to doprowadzić, nie mówię do pułkowników, ale do kogoś takiego jak Giannini, to znaczy do stanu permanentnego niezadowolenia, a to nie umacnia demokracji. Nie możemy twierdzić, że nadszedł rok zerowy. Nie chcę uciekać się do hurraoptymistycznych statystyk, ale, na Boga! Dla mnie to już dużo, że w ciągu dwudziestu lat liczba uczniów wzrosła z miliona do sześciu i pół miliona, a studentów uniwersyteckich z dwustu tysięcy do ośmiuset tysięcy, poziom życia tak bardzo się poprawił, jemy dobrze i... demokracja to trudny ustrój, powolny, pełen zasadzek. Wymaga cierpliwości, nie potrafi uniknąć błędów.

*To prawda. Ale samozadowolenie to istota dyktatur, krytyka zaś to istota demokracji. I pytam pana jako człowieka władzy, jako przedstawiciela rządzącej klasy politycznej: Czy może pan powiedzieć, że pana sumienie jest czyste?*

No właśnie, czystego sumienia nie można mieć nigdy, ponieważ zawsze się myśli, że można było zrobić coś lepiej. A poza tym gra polityczna nie jest nigdy grą intelektualną; tak jak w piłce nożnej, pracuje się w drużynie. Gdyby każdy z nas miał odpowiadać przed samym sobą i już...

*Nie powiedziałam: Giulia Andreottiego i już. Powiedziałam: Giulia Andreottiego jako przedstawiciela władzy i rządzącej klasy politycznej.*

W takim razie proszę mi pozwolić powiedzieć co następuje: jako klasa polityczna, zaczynaliśmy od całkowitego braku doświadczenia. Gdybyśmy dwadzieścia lat temu mogli oprzeć odbudowę Włoch na doświadczeniu, którym dysponujemy dzisiaj, popełnilibyśmy mniej błędów i dokonalibyśmy trzy razy więcej dobrych rzeczy. Przecież nie potrafiliśmy nawet przemawiać publicznie! Byliśmy zupełnie nieprzygotowani! Żeby dojrzeć różnicę między wczoraj a dziś, mnie wystarczy spojrzeć na młodych z sił zbrojnych: oni potrafią nawet przemawiać publicznie. Jeśli więc osądza pani wszystko po drobiazgach, naszych niedociągnięciach, naszych codziennych błędach, ma pani rację, mówiąc, że jedziemy na przedziurawionych oponach. Ale jeśli spojrzy pani z perspektywy historycznej, musi pani dojść do wniosku, że całkiem nieźle dajemy sobie radę. Ja jestem optymistą.

*Zadzroszczę panu.*

Tak, ponieważ na rzeczywistość nie patrzę nigdy w stanie ekscytacji. To na nic się nie zdaje i jest niebezpieczne. I nawet kiedy jestem zatroskany, zachowuję pewien dystans. Na przykład w innych wywiadach podniosła pani fakt, że Włosi są w istocie anarchistami. To prawda. Każdy z nas chce dyktować prawo, nikt nie chce robić tego, co do niego należy: związki zawodowe chcą się zajmować referendum, regiony chcą się zajmować wojną w Wietnamie... A chociaż konstytucja mówi o prawach i obowiązkach, każdy mówi o prawach, a nigdy o obowiązkach. Uważa się, że to niedemokratyczne mówić o obowiązkach. W tym sensie zachowujemy się jak dzieci. Ale... jesteśmy anarchistami i chodzimy głosować liczniej niż w jakimkolwiek innym kraju. Jesteśmy anarchistami, ale kiedy prosi się nas, abyśmy nie używali samochodu, chodzimy piechotą. Nie lubimy porządku i oburzamy się z powodu nieładu... jednym słowem, nie uważam, tak jak pani, że nasza wolność jest w niebezpieczeństwie. Och, wiem, że grozi mi, iż wydam się banalny, ale proszę wziąć przykład Italia Nostra. Wydawało się, że wszyscy czują się uprawnieni do oszpecania pejzażu, jak im się żywnie podoba, ale Italia Nostra uregulowała nieco sytuację.

*Ja mówię o wolności, a pan mi mówi o pejzażu. Gdyby we Włoszech zdarzył się zamach stanu...*

Nie wierzę w taką wersję wypadków. Zakłada ona istnienie letargu, a we Włoszech nie panuje wcale letarg. Istnieje ogromna witalność instytucji.

*Jeśli pan mi to mówi, jestem spokojniejsza. Bo wie pan, jaka plotka krąży? Że gdyby nastąpił we Włoszech zamach stanu, pan by się dowiedział o tym pierwszy.*



Sądzę, że nie. Sądzę, że byłbym jednym z pierwszych, którzy zostaliby aresztowani. W każdym razie powtarzam pani, że nie wierzę w zamach stanu. Obawiam się czegoś innego: że ludzie przestaną wierzyć, iż ten ustrój, ustrój demokratyczny, gwarantuje normalne, spokojne życie. Poczta nie dochodzi, przestępczość rośnie... Farmaceute obok mojego domu okradziono dziś w nocy aptekę i z pewnością on nie jest zadowolony ze *status quo*. Nie sądzę jednak, że byłbym pierwszym, który by się dowiedział o tej okropności, o której pani mówi.

*Z tego powodu także oddycham z ulgą. Andreotti, pan wie z pewnością, że określa się pana jako człowieka prawicy. Odrzuca pan, czy też nie, takie określenie?*

Powiedziałbym, że odrzucam, ponieważ kwalifikacja: człowiek prawicy nie służy we Włoszech usytuowaniu danej osoby, lecz włożeniu jej ołowiu pod siodło, utrudnieniu jej życia. Przyklepanie etykietek to kolejna choroba Włochów, w słowach prawica, lewica jest zresztą wiele hipokryzji. Wolę, żeby nazywano mnie konserwatystą. Pod wieloma względami, choćby z powodu troski o demokrację, jestem konserwatystą. Zauważam istotnie, że kiedy chce się zmieniać świat, zmienia się go w końcu niemal zawsze na gorsze. Lepiej więc zachować go takim, jaki jest. Sądzę zresztą, że już powiedziałem pani, iż nie miałem nigdy socjalistycznych ciągot. Nawet za młodu... Hmm... Nie jest jasne, co się rozumie przez socjalizm. Reformy? Jeśli są dobre, też jestem za nimi, ale nierzadko to czczy gadanina i kwita. Ich jedynym skutkiem jest pogorszenie stanu rzeczy, jak w wypadku reformy służby zdrowia, albo wszystko zostaje po staremu. Mogę nawet przeprowadzić reformę, aby została pani królową Anglii. Ale i tak nią pani nie zostanie.

*Nie chcę zostać królową Anglii i nie podoba mi się książę Filip. Miałam na myśli co innego. Na przykład pańskie uściski z marszałkiem Grazianim.*

Już pani o tym opowiadam. Był kongres MSI w Arcinazzo i Graziani był przewodniczącym MSI. Niepokoiło mnie to, ponieważ w Kampanii nie było rodziny, która nie otrzymałaby od Grazianiego jakichś faworów, i nie podobało mi się, że Graziani zbiera głosy. Zwołałem więc rodzaj kontrwiecu Chrześcijańskiej Demokracji i kiedy tylko przyszedłem, poblady kwesor mi oznajmił: „W tłumie jest marszałek Graziani!”. Odpowiedziałem, że nic mnie to nie obchodzi, i odbyłem swój wiec wyborczy, wyjaśniając, że co do demokracji nie może być żadnych dyskusji. Kiedy wiec dobiegł końca, rozległ się donośny głos: „Czy mogę coś powiedzieć?”. To był on. „Proszę, niech pan mówi. Mamy demokrację”, odpowiadam mu. A on podchodzi do mikrofonu i mówi: „Ach, ja się nie znam na polityce, ale muszę przyznać, że jeśli

zalesiono te góry i te doliny, stało się to dzięki De Gasperiemu”. Niepoważne wystąpienie. Istotnie, jakiś staruszek z Chrześcijańskiej Demokracji zareplikował: „Panie Marszałku, dlaczego pan nie powie, że Chrześcijańska Demokracja to wróg numer jeden?”. Graziani na to: „Kto tak mówi, jest palantem”. A staruszek: „Panie Marszałku, tak powiedział De Marsanich!”. Graziani zaś: „W takim razie także De Marsanich jest palantem”. To wszystko. Uścisków nie było, w żadnym sensie: ani fizycznym, ani moralnym. Historia o tych uściskach to największa bzdura, jaką kiedykolwiek słyszałem.

*Poza tym miałam na myśli oskarżenie, według którego przy różnych okazjach nie gardził pan podobno głosami członków MSI.*

To kolejna bzdura. Dysponuję konkretnymi liczbami. My w Chrześcijańskiej Demokracji przeprowadziliśmy akcję przeciwko Almirante właśnie w chwili, w której nie mieliśmy dostatecznie dużo głosów. Aby doprowadzić do jego procesu, wysłałem osobiście list do mojego ugrupowania parlamentarnego. Nie, to nieprawda, że członkowie MSI na mnie głosowali. Poza wszystkim, nie mieli żadnego interesu, aby poprzeć mój rząd. Bardziej już im pasowało poprzeć centrolewicę, aby potem powiedzieć: Mówiliśmy-wam-że-Chrześcijańska-Demokracja-sklania-się-na-lewo. Och! Oskarża się mnie też o to, że byłem zbyt letni w telewizyjnej debacie z Almirante, ponieważ, tak jak zwykle, nie wrzeszczałem i zwracałem uwagę jedynie na istotę tego, co mówię. Zresztą to, co mówiłem, nie było skierowane do Almirante, ale do części naszych wyborców, którzy, nie będąc faszystami czy neofaszystami, głosowali na niego. Zależało mi na tym, żeby ich odzyskać. Wie pani, sądzę, że głosy oddane na MSI nie zależą od umiejętności jego działaczy, ale od naszego braku umiejętności. Czasami podajemy im te głosy na srebrnej tacy, niczym owoc naszych błędów. Proszę pomyśleć o Neapolu.

*Andreotti, zadam panu pytanie, które zadałam także Leone: Czy nie żałuje pan, że w młodości nie walczył pan aktywnie z faszyzmem?*

Tak. Z pewnością. Jedno ze źródeł, a raczej źródło wszystkiego, co udało się zrobić dobrze we Włoszech w pierwszych dziesięciu latach demokracji, to właśnie kręgosłup moralny tych, którzy aktywnie walczyli z faszyzmem. Batalia z 1948 roku na przykład to nie było prymitywne zderzenie czołowe; to było odzyskanie umiejętności demokratycznego sporu. I tę umiejętność zawdzięczamy także Komitetowi Wyzwolenia Narodowego. Komitet Wyzwolenia Narodowego to była wielka rzecz. To była szkoła demokracji.

*Zapytam więc pana o coś innego, o co pytam często kogoś, kto nie jest faszystą. Czy potrafi pan rozmawiać z członkami MSI?*

Proszę posłuchać, kiedy jest się dwadzieścia pięć lat w parlamencie i widuje się wciąż te same osoby, w końcu się z nimi zaczyna rozmawiać, a nawet idzie się na kawę. A kiedy zasiada się na trybunie parlamentarzystów podczas meczu piłki nożnej, jak można nie powiedzieć dzień dobry? Zdarzyło mi się rozmawiać z Almirante, to jasne. Żadne głębokie dyskusje, ale... Zresztą czyż umiejętność rozmawiania z przeciwnikami nie powinna charakteryzować każdego cywilizowanego posła? Ja rozmawiam ze wszystkimi. Bez odrazy, nie czując się nieswojo. Wymienić poglądy czy wiadomości nie znaczy przecież chcieć zastawiać pułapki albo nawracać. To samo dotyczy komunistów. Kiedy debatowano nad ustawą o rozwodach, miałem bardzo owocne spotkania z komunistami. Nie mówiąc już o tym, że niektórych z nich znam od dzieciństwa, a z innymi się przyjaźnię. Mario Melloni na przykład pozostaje jednym z moich najbliższych przyjaciół. Był naczelnym „Il Popolo”, chadekiem. Przemiana, która się w nim dokonała, nie sprawiła, że nie potrafię się z nim porozumieć. Są komuniści, z którymi przyjemnie jest przebywać. Na przykład z Pajettą. Albo z Bufalinim.

*A z Berlinguerem?*

Jego znam mało. Należy do pokolenia młodszego od mojego. Znałem lepiej jego ojca, który należał do Partii Czynu, a potem do Partii Socjalistycznej. Wiem jednak, że to młody człowiek pełen rezerwy, dobry ojciec rodziny, a to dla mnie bardzo się liczy. Reprezentuje element równowagi. Proszę posłuchać, mój stosunek do komunistów jest całkiem jasny. Szanuję ogromnie ofiary, które ponieśli, oddanie pracy, samą ich metodę pracy. Prawdą jest, że są poważni. W parlamencie zawsze są przygotowani, pilniej przestrzegają obecności od nas, mają grupy badawcze, które dobrze funkcjonują, mają wiarę... Jako opozycja są nadzwyczajni. A ja wolę dobrze przygotowanego i sumiennego członka opozycji niż sojusznika, który przychodzi oddać głos i to wszystko. Ale... Otóż to: ale jestem przekonany, że komunizm jest dyktaturą. A zatem trzeba zapobiec jego ewentualnemu sukcesowi. Dyktatura proletariatu nie jest przecież czymś drugorzędnym, to nie jest udział w zyskach czy w zarządzaniu fabryką! To jest dogmat, tak jak dla Kościoła istnienie Boga. I tak jak papież nie może powiedzieć, że w istnienie Boga wierzy w miesiące parzyste i kwita, nie wystarczy, aby komunista wierzył w dyktaturę proletariatu w miesiące parzyste i kwita. Wyrażam się jasno? Trzeba rozróżniać pomiędzy komunistami a komunizmem. I ja rozróżniam. Pajettę na przykład z trudem mogę sobie

wyobrazić w dyktaturze proletariatu. Sądzę, że zaraz by go rozstrzelano. Ale to, że rozstrzelano by mnie wraz z nim, byłoby marnym pocieszeniem.

*Domyślam się chyba, że nie byłby pan skłonny sprzyjać kompromisowi historycznemu, jak twierdzą niektórzy.*

Och, nie! Z komunistami rozmawiam, ale nie po to, żeby zostać nowym Kiereńskim. Poza tym, proszę posłuchać: kompromis historyczny jest wynikiem wielkiego ideologicznego, kulturowego, programowego, historycznego pomieszania. A w praktyce okazałby się sumą dwóch problemów: klerykalizmu i komunistycznego kolektywizmu. Wielu ludzi powiada: cóż, komuniści istnieją, jest ich wielu i się liczą, a zatem mogliby wprowadzić dyscyplinę i nakazać swoim wyborcom, żeby dobrze się zachowywali itd. Wydaje mi się jednak, że trzeba otworzyć oczy temu, kto to mówi. Nasz ustrój jest oparty na wielu partiach i wśród nich liczy się szczególnie Partia Socjalistyczna. Kompromis historyczny oznaczałby nie tylko likwidację wielopartyjności, lecz szczególnie Partii Socjalistycznej. Włoska Partia Socjalistyczna uważa często, że może przemawiać w imieniu mas komunistycznych, i twierdzi, że jej siła przewyższa siłę wynikającą z uzyskanych głosów. Przypisuje sobie jednym słowem rolę pośrednika. Partia Komunistyczna skłonna jest z racji swojej natury wchłonąć inne i dąży do takiego celu konsekwentnie, nie na mocy fałszywego czy pospiesznego rachunku. Jak zresztą każda dyktatura. Początkowo dyktatury posługują się taktycznie wszystkimi, nie mogą jednak nie dążyć do sytuacji, w której istnieje tylko partia rządząca. Wydaje mi się obraźliwe mówienie, że logiką komunizmu jest stalinizm. Czyż doświadczenie krajów komunistycznych nie dowodzi nam, że kiedy tylko trochę poluzują, ściągają sobie na głowę mnóstwo kłopotów i muszą się cofnąć? Rozśmieszają mnie ci, co się oburzają z powodu Sołżenicyna. Czyż nie wiedzieli, że w Rosji nie ma wolności myśli i słowa? Nie, nie wierzę w kompromis historyczny. Nie podoba mi się.

*A przecież wielu chadeków w niego wierzy.*

Może wielu tych, którzy powiadają: skoro-papież-odesłał-Mindszenty'ego, to znaczy że-jest-możliwe-powołanie-republiki-pojednania. Kto nie jest komunistą i rozważa taką możliwość, popełnia ten sam błąd, jaki popełnili liberałowie i członkowie Partii Ludowej, kiedy w 1922 roku sprzymierzyli się z faszystem, łudząc się, że będą go mogli kontrolować. Taki historyczny błąd trwał zaledwie kilka miesięcy. Ale wystarczyły one, aby dowieść, że współpraca z dyktatorem jest absurdalną iluzją. Dyktator cię wycisnie, a potem wyrzuci. Być może za pięćdziesiąt lat sprawy potoczą się inaczej, ale dziś wyglądają tak i nie wydaje mi się konieczne, abyśmy służyli

jako króliki doświadczalne przy tworzeniu tak niebezpiecznych formuł. Do takich wniosków dochodzę z powodu szacunku, jaki żywię do katolików i, proszę mi pozwolić, do komunistów. Pomysł Berlinguera to był błędny ruch. Kuszący w oczach nierozważnych, którzy powiadają: przynajmniej-będziemy-mieli-porządek-i-spokój, ale błędny. A wie pani, dlaczego? Ponieważ zwykli ludzie nie dadzą się na niego nabrać.

*Miejmy nadzieję. Ale zwykli ludzie się nie liczą.*

Kto tak mówi?

*Zwykli ludzie.*

W najważniejszych chwilach się liczą. Uważa mnie pani za cynika, ale w tym wypadku nie jestem ani trochę cyniczny. I powiadam: największą gwarancją, jaką dysponujemy w zasadniczych sprawach, są właśnie zwykli ludzie, bo nie potrafiąc teoretyzować na temat wolności, naprawdę jej bronią. Jestem przekonany, że znaczna część elektoratu komunistycznego broni tego rodzaju życia, którego nie mogłaby prowadzić w ustroju komunistycznym.

*Zobaczmy, jak będziecie manipulować tymi zwykłymi ludźmi przy okazji referendum dotyczącego rozwodów. Skoro tak ich szanujecie, tych zwykłych ludzi, dlaczego nie zaczniecie ich przeproszać, że występujecie w referendum ramię w ramię z MSI?*

Nie czynimy z tego kwestii partyjnej. Istotnie, nie wystąpiliśmy o uchylenie ustawy Fortuny w parlamencie. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy to zrobić, ponieważ w parlamencie, po upadku Włoskiej Partii Socjalistycznej Jedności Proletariackiej, zwolennicy rozwodów nie mają już większości. Większość mielibyśmy dziś my, razem z MSI. Ale ta suma głosów miałaby znaczenie polityczne, więc jej nie chcieliśmy.

*Panie Andreotti! Gdybyśmy mieli zmieniać wszystkie ustawy za każdym razem, kiedy zmienia się legislatura, ładnie byśmy wyglądali. Ustawa dotycząca rozwodów istnieje, przeszła nie z powodu jakiegoś szatańskiego kaprysu, lecz na mocy demokratycznej większości i Trybunał Konstytucyjny uznał ją dwukrotnie za prawomocną.*

Trybunał Konstytucyjny uznał, że rozwód nie jest sprzeczny z Konkordatem, ale Trybunał Konstytucyjny nie może zabronić uchylenia ustawy. Jeśli izba niższa chce uchylić ustawę, może to zrobić w każdej chwili. Moim zdaniem ustawa dotycząca rozwodów jest niedobra z mnóstwa powodów. Gdyby ustaliła, że sędzia może zawiesić postępowanie rozwodowe, kiedy wynika z niego nieodwracalna szkoda dla dzieci albo dla jednego z małżonków... Gdyby wymagała odpowiedniej sytuacji ekonomicznej rozwiedzionego

współmałżonka zamiast tej historii z alimentami, które są nieskuteczne... jednym słowem, gdyby to była lepsza ustawa, byłoby nam trudno uczynić z niej jedynie kwestię zasady. Ale skoro jest jak jest, mnie się to wydaje kwestią zasady. Nie mówiąc o fakcie, że co oczywiste, jestem w ogóle przeciwko rozwodom. I nie tylko jako katolik. Jeśli prawdą jest, że rozwód może uleczyć niektóre sytuacje, prawdą jest również, że zagraża instytucji małżeństwa.

*Niech pan posłucha: Dlaczego chce pan narzucić swoją katolicką wiarę wszystkim? Dotąd wychwalał pan wolność, a teraz chciałby pan odebrać wolność rozwiedzenia się komuś, kto myśli inaczej niż pan. Wydaje mi się to ogromnym brakiem konsekwencji, więcej, ogromnym nadużyciem. Jeśli rozwód się panu nie podoba, niech się pan nie rozwodzi! Nie jest to wcale obowiązkowe, wie pan?*

Są chwile, kiedy trzeba wprowadzać nowe prawo, zgoda. Istnieją cywilizowane kraje, które zawsze miały rozwody, zgoda. We Włoszech nie nadużywano ich, zgoda. Ustawa może być poprawiona, zgoda. Znam wszystkie argumenty. Ale powiadam: nie było dobrym posunięciem wprowadzenie rozwodu w tak trudnej fazie psychologicznego kryzysu, kiedy w kraju zapanował permissywizm, który zdążył już ogarnąć świat. Ten obłądny permissywizm. Moim zdaniem źle wybrano także moment, w którym postanowiono zająć się tym problemem. Proszę mnie posłuchać, nie żebym odwoływał się do dogmatu. Obawiam się, że rozwód osłabi instytucję małżeństwa, teraz, kiedy jesteśmy świadkami wielkiego społecznego, duchowego kryzysu... Powiadam: przez tyle lat nie mieliśmy rozwodów. Można było jeszcze trochę poczekać, czyż nie? Co było w tym takiego pilnego? Nie, to nie był właściwy moment.

*Ach! To nie jest godna pana argumentacja. A kiedy jest właściwy moment, żeby coś zmienić?! Gdybyśmy czekali na właściwy moment, mieszkalibyśmy jeszcze w jaskiniach i zastanawiali się, czy warto wynaleźć koło!*

Z małżeństwem nie ma żartów. Nie można powiedzieć: rozwodzę się, zawieram inne małżeństwo, a potem jeszcze inne. Nie powinno się.

*A w takim razie unieważnienia przez Trybunał Świętej Roty? Przecież Kościół unieważnia małżeństwa, w którym urodziły się dzieci! Wystarczy mieć pieniądze i dobre nazwisko.*

Moim zdaniem droga, jaką powinien przebyć Kościół, prowadzi w odwrotnym kierunku. To znaczy potrzebna jest większa surowość, mniej permissywizmu. Kościół powinien unieważniać mniej małżeństw.

*To znaczy być bardziej papieskim od papieża. Na szczęście nie został pan księdzem, a potem papieżem. Na szczęście mnóstwo chadeków myśli tak jak ja, a nie tak jak pan.*

I mnóstwo ludzi głoszących na Chrześcijańską Demokrację myśli tak jak ja, a nie tak jak pani.

*Proszę posłuchać, jeśli mnie pan zdenerwuje, zapalę papierosa.*

A ja zapalę świecę.

*Zgoda. I tak rozboli pana głowa.*

Nie, nie. Jestem mniej delikatny niż się zdaje. Wydaję się takim chuchrem, bo mam wąską klatkę piersiową. Rzeczywiście, z powodu wąskiej klatki piersiowej nie wzięli mnie do wojska. Proszę pomyśleć, za młodu nie miałem nawet minimalnego obwodu klatki piersiowej. Major, który mnie badał, powiedział: „Nie przeżyje pan pół roku”. Ha, ha! Kiedy zostałem ministrem obrony, natychmiast poszukałem majora. Chciałem mieć satysfakcję z zaproszenia go na obiad, żeby mu udowodnić, że żyję. Ale nie było to możliwe. Umarł.

*Założyłabym się, że tak to się skończy.*

*Rzym, marzec 1974*

## Giorgio Amendola

Tyłu rzeczy chciałam się od niego dowiedzieć. Wszystkiego, czego ktoś, kto nie jest komunistą, chciałby się dowiedzieć od jednego z przywódców Włoskiej Partii Komunistycznej na początku roku 1974: stanowisko, jakie zajęłaby partia, gdyby odbyło się referendum dotyczące rozwodów, prawdziwa natura kompromisu historycznego, będącego wówczas przedmiotem licznych dyskusji i tak bardzo nieprawdopodobnego, stosunki z socjalistami i ugrupowaniami pozaparlamentarnymi ze skrajnej lewicy, które określały Partię Komunistyczną jako partię senną i burżuazyjną, wreszcie relacje ze Związkiem Radzieckim i problem wolności. Do jakiego stopnia komuniści mogli udowodnić, że są niezależni od Moskwy i do jakiego stopnia możemy im wierzyć, kiedy twierdzą, że nie odejdą od partyjnego pluralizmu? Przez niemal trzydzieści lat godzili się na demokratyczną grę sił, to prawda, pełnili poprawnie swoją rolę opozycji, ale czy będą postępować tak samo, kiedy dojdą do władzy i zaczną rządzić? Czy z ich strony to strategia, czy szczerłość? Berlinguer praktycznie milczał. Pełen rezerwy i nieśmiały, nie udzielał w tamtym czasie wywiadów, dopiero wybory w 1976 roku sprawiły, że wyszedł ze swojej skorupy i zgodził się na kontakty z prasą. Jeśli więc chciałeś dowiedzieć się tego, co ja, musiałeś zwrócić się do kogoś innego. A tym kimś był Giorgio Amendola: jedyny w gruncie rzeczy, który gotów był mówić i nie obawiał się odpowiadać nawet na najbardziej podchwytliwe pytania.

Ale przede wszystkim chciałam go poznać: jako człowieka, jako postać. Uważałam go za jednego z najbardziej interesujących włoskich polityków. Historia jego życia wydaje się jak wzięta z powieści i nie przypadkiem opowiedział ją w książkach, które odniosły wielki sukces. Syn wielkiego liberała, jakim był Giovanni Amendola, i tej nadzwyczajnej kobiety, jaką była Eva Kuhn, urodził się i wyrósł w środowisku intelektualnym i mieszczańskim; został więc komunistą, nie mając stygmatów. Aż do dwudziestego roku życia on też był liberałem i wszystko przed jego nawróceniem się na Partię Komunistyczną pozwalało przypuszczać, że co najwyżej zwiąże się z ruchem Sprawiedliwość i Wolność. Był uczniem Benedetto Crocego, przyjacielem Galeazza Ciana; jego przypadek różnił się od przypadków takich ludzi, jak Giancarlo Pajetta czy Longo, czy Scoccimarro. Był w każdym razie kimś osobnym, człowiekiem pełnym fantazji i zaskakującym. Jako antyfaszysta walczył dzielnie, płacąc za swój wybór zesłaniem i emigracją; w Ruchu Oporu uczestniczył bardziej na mocy czynów niż słów i wkrótce został jednym z jego



dowódców; było to dramatyczne i bolesne. Brał między innymi udział w akcji na via Rasella, za którą w odwecie Niemcy rozstrzelali grupę rzymian w Fosse Ardeatine. To również dzięki niemu w okresie 1940–1945 Włoska Partia Komunistyczna tak bardzo się umocniła, że stała się najsilniejszą partią komunistyczną w Europie Zachodniej. A jednak zachował zawsze godną uwagi niezależność postępowania i myślenia: na przykład jako jedyny ośmielił się zbuntować przeciwko Togliattiemu. Oddany Stalinowi, był jednym z pierwszych, którzy spostrzegli, że stalinizm jest czymś haniebnym; proces destalinizacji Partii Komunistycznej był w dużej mierze jego dziełem. Nie przypadkiem niektórzy nazywali go kpiąco socjaldemokratą. Kiedy jednak na niego patrzymy, wydaje się komunistą w starym stylu: jest taki twardy i surowy, oschły. Może z powodu swojego wyglądu, to znaczy imponującej, wysokiej i masywnej sylwetki, pomarszczonej i żywej twarzy, jak u wieśniaka, włosów ostrzyżonych bardzo krótko, jak w wojsku, poruszania się z powagą i dostojeństwem. Szła też za nim fama choleryka i rzeczywiście, mówiąc, miał zwyczaj podkreślania najważniejszych słów przez uderzanie zaciśniętą dłonią w stół, tak mocno, że przypominało to wystrzały z karabinu.

Kiedy więc spotkałam się z nim w celu przeprowadzenia wywiadu, byłam bardzo zdziwiona jego uprzejmością. Jasne jest, że na początku taka uprzejmość wydała mi się sztuczna: zwracał się do mnie jak nauczyciel starej daty zwraca się do tępego ucznia, aby przekonać go do tego, by czytał więcej i lepiej. Takie wrażenie wzmocniały uderzenia dłonią w stół i potężny, surowy głos, który często przesadnie podnosił, sprawiając, że podskakiwałam przestraszona. Szybko jednak spostrzegłam, że chodzi o zewnętrzną powłokę i że wewnątrz kryje się prawdziwa uprzejmość. Nawet jeśli się czymś pasjonował, nie przestawał być dobrze wychowany, elegancki i nie było pytania, które by go uraziło albo na które zareagowałby milczeniem czy dyplomatycznym wykrętem. Na każdą prowokację, bezczelność odpowiadał tolerancyjną perswazją; dogmat nie wydawał się go hamować ani usztywniać. „Jesteście nudni, wy, komuniści...”. „Wiem, wiem”. „Macie zawsze rozzłoszczoną, nadąsaną, podejrzliwą minę...”. „To prawda, to prawda”. Warto zatrzymać się nad tym szczegółem, bo w tamtych czasach, rozmawiając z niekomunistą, włoscy komuniści mieli odrażający zwyczaj: traktowali go ironicznie i pobłażliwie, jak gdyby mieli przed sobą kretyna, na którego nie spłynęła łaska ducha świętego marksizmu, objawienie. Ironia przemieniała się niekiedy w pogardę, pobłażliwość w poczucie wyższości graniczące z pychą, więc w końcu czułeś się urażony i uznawałeś, że wszelki kontakt z nimi jest niemożliwy. Oczywiście wada ta nie zniknęła i w elektoracie występowała

nadal często: im bardziej komunista jest ignorantem, rzekłabym, tym bardziej jest zarozumiały i traktuje politycznego przeciwnika z idiotycznym brakiem tolerancji. Ale wśród przywódców trudniej o takie zachowanie dzisiaj niż w przeszłości. Ważne jest zatem, że już wówczas Amendola był tak odmienny i że, przynajmniej w stosunku do mnie, nie popełnił nigdy błędu typowego dla swoich towarzyszy. A przecież miał czas, aby się zdradzić, bo wywiad trwał długo: niemal sześć godzin podzielonych na trzy spotkania.

Zapanowała więc między nami serdeczność, której nie zawahałabym się nazwać przyjaźnią, chociaż jej nie podtrzymywaliśmy, a później szczególne porozumienie z innych przyczyn. Już w dniach naszych spotkań jego córka, zaledwie trzydziestoosmioletnia, była ciężko chora. Kilka miesięcy potem umarła i ja, wiedząc, jak Amendola cierpi z tego powodu, napisałam do niego, zapewniając go o swoim współczuciu. Odpowiedział mi cudownym i smutnym listem. Jak zdarza się często, kiedy tracimy ukochaną osobę i wydaje się nam, że nie dość dla niej zrobiliśmy, dręczyła go myśl, że poświęcił mniej czasu córce niż pracy, i wiedząc, że przeżywam podobną tragedię z powodu matki chorej na nieuleczalną chorobę, radził mi, żebym nie popełniła tego samego błędu: „Wyrzut sumienia z tego powodu, że nie spędziłaś z nią godziny, bo musiałaś lecieć do Brukseli, potem cię zabija”. Zdanie to wyryło się w mojej pamięci niczym koszmar i pewnego dnia miałam wyznać Amendoli, jak bardzo mi się przydało. Potem był epizod jeszcze bardziej wzruszający. Kiedy wyszła moja książka *List do nienarodzonego dziecka*, wysłałam mu egzemplarz. Odpowiedział mi drugim listem, w którym napisał, że płakał, czytając moją książkę, ponieważ rozpoznał się w bohaterce: kobiecie, która oczekuje dziecka i je traci. W dziecku, a raczej w embrionie, rozpoznał swoją córkę. Być może większość uznałaby tę książkę za pochwałę wątpliwości albo przerywania ciąży, albo miłości, napisał mi, ale on uważał ją za książkę o śmierci i cierpieniu. I czuł potrzebę zapewnienia mnie o swoim przywiązaniu, ponieważ, teraz był tego pewien, znam już i rozumiem cierpienie. Cóż, tym razem to ja płakałam, czytając jego list. W tym szorstkim, krwistym, oschłym, grubym mężczyźnie była niemal kobieca delikatność.

\*\*\*

Rozdział, który choćby pobieżnie porusza problem Włoskiej Partii Komunistycznej jest z konieczności niekompletny i pełen luk. Szczególnie kiedy porusza w pewnych punktach problemy, które Historia zdążyła już rozstrzygnąć lub przezwyciężyć. Za dużo jest rzeczy, które należałoby powiedzieć o włoskich komunistach, wątpliwości zaś pozostają niezliczone. Co do

postaci Giorgia Amendoli, takiej złożonej i pełnej niuansów, zasługiwałaby ona na coś więcej niż tekst napisany na początku 1974 roku. Ale wierna zobowiązaniu, aby publikować swoje wywiady jako dokumenty, które skryzlowały się w momencie ich przeprowadzenia, drukuję także ten, nie biorąc pod uwagę wszystkiego, co tymczasem zdążyło się zestarzeć albo zmienić. Zresztą nie uważam, aby był to wywiad na temat włoskiego komunizmu, lecz portret człowieka, z którym, chociaż nie mam nic wspólnego w sensie politycznym, chciałabym się ponownie spotkać, gdyby trzeba było walczyć na ulicach o wolność. Oto więc tekst naszej rozmowy. Jej punktem wyjścia stała się książka, którą Amendola właśnie opublikował, *Lettere da Milano* (Listy z Mediolanu). Widzę siebie ponownie w jego gabinecie: on siedzi za biurkiem, ja naprzeciwko. Gabinet jest pełen obrazów podpisanych przez malarzy. Ani jednego plakatu ani portretów Lenina i Marksa.

*ORIANA FALLACI: Przede wszystkim, gratulacje, senatorze Amendola. Przeczytałam pańską książkę i wcale się nie znudziłam! Proszę mi wybaczyć, ale na ogół wy, komuniści, jesteście tacy nudni. Mówicie w sposób taki zawity, przygnębiający. Kiedy się was czyta albo słucha, nie sposób powstrzymać się od ziewania.*

GIORGIO AMENDOLA. Wiem. To jest zarzut, który zawsze nam towarzyszył. Skierowany był na przykład do Togliattiego, do Longa. Surowość jest cechą naszej partii, tak jak dyscyplina, a surowość zakłada nudę. Naturalnie także wśród nas jedni są bardziej, drudzy mniej nudni, ale... ja też byłem nudny. Przez lata występowałem publicznie, wygłaszając śmiertelnie nudne mowy, nieznośne. Mowy dwugodzinne, pełne liczb, informacji ekonomicznych... Z obawy przed popełnieniem błędu najpierw je pisałem. Potem poprawiałem, czytałem na głos... Surowość była niczym zbroja, która mnie cisnęła, sprawiała, że kulałem. Potrzeba było czasu, żebym odrzucił kule i zaczął mówić swobodnie. Nie jest to wcale łatwe, wie pani? Trzeba dojrzeć, być pewnym siebie; kto przemawia w imieniu wielkiej partii, takiej jak moja, czuje ciężar ogromnej odpowiedzialności! A dyscyplina cię wiąże, przytłacza, dusi cię wraz ze strachem przed popełnieniem błędu, przed niepowiedzeniem wszystkiego albo powiedzeniem źle... Moi towarzysze, kiedy zobaczyli książkę, spodziewali się jakiejś cegły. Powiedzieli mi więc zaskoczeni i ucieszeni: „Ale to się czyta jak kryminał!”. Sprawilo mi to przyjemność. Najwyraźniej również i nam udaje się przełamać ten lodowaty dystans, wydobyć na jaw bogate człowieczeństwo, które istnieje, proszę mi wierzyć, istnieje.

*Ale zawsze nieodłączne od tego lodowatego dystansu, od tej surowości jak u księży. Macie zawsze rozzłoszczoną minę, nadąsaną, podejrzliwą... Zupełnie jak księża, którzy nienawidzą tych, którzy nie wierzą w raj i piekło. Ale po co to?*

No tak. Tak właśnie jest. Chociaż są wyjątki. Di Vittorio na przykład miał w sobie wielką witalność i ja na starość przypominam coraz bardziej Di Vittoria. Giancarlo Pajetta jest żywy, ekstrawertyczny. I nie jesteśmy zimni, wie pani? Jesteśmy pełni pasji. Pewnego razu zrobiłem listę towarzyszy, którzy zmarli na zawał serca, choćby po wygłoszeniu przemówienia, i rezultat był niewiarygodny: Togliatti, Di Vittorio, Alicata, Romagnoli, Grieco... nasza grupa kierownicza została zdziesiątkowana przez pasję. Pracę i pasję.

*Zacznijmy wywiad, panie Amendola. Ale swobodnie, bez zbroi, które cisną, bez obaw, które nie pozwalają rozmawiać spokojnie. Zacznijmy od pańskiego historycznego sporu z Longo, bardzo interesującego, ponieważ po raz pierwszy dwóch towarzyszy klóci się na oczach wszystkich. To wywołało zdziwienie, podobnie jak informacja, że w 1943 roku zbuntował się pan przeciw Togliattiemu.*

Proszę posłuchać, Togliatti jako człowiek bardzo mi odpowiadał. Zawsze podziwiałem Togliattiego. Kiedy jednak pod koniec 1943 roku usłyszeliśmy ten komunikat radiowy, rozkaz współpracy z Badogliem, zbuntowałem się. I moja odpowiedź była drastyczna: „To jest rada, ale nie więcej niż rada. I tak należy ją potraktować. Togliatti w Moskwie nie potrafi ocenić sytuacji, w której się znaleźliśmy, nie zna reakcji innych. Socjalistów i członków Partii Czynu na przykład. On jest szefem partii, zgoda. Ale przejmie funkcje szefa partii, kiedy wróci do Włoch. Dopóki jest poza Włochami, nie można zgodzić się na jego przywództwo, to znaczy przywództwo na odległość. Przywódca musi być tutaj”. Opowiedziałem mu o tym, kiedy wrócił. A on zaczął się śmiać i powiedział „Mieliście rację”. Faktem jest, że Togliatti często przyznawał rację wszystkim.

*Ale w tym wypadku naprawdę miał pan rację.*

Oczywiście! Miałem całkowitą rację. Istotnie, nie byłem jedynym, który tak myślał: w Rzymie zbuntowaliśmy się wszyscy przeciwko temu komunikatowi. Scoccimarro z powodu doktrynerskiej sztywności, jaka zawsze cechowała tego trochę naiwnego profesora, ja z powodów politycznych... Widzi pani, 8 września byłem człowiekiem najbardziej skłonny do nawiązania kontaktów z Badogliem. Krytykowałem go z wielu powodów, ale nie chciałem zerwać z nim stosunków. Badoglio reprezentował siłę, którą uznawali inni członkowie Komitetu

Wyzwolenia Narodowego. Badoglio miał w ręku los towarzyszy na zesłaniu albo w więzieniu... Wszyscy moi najlepsi przyjaciele byli na zesłaniu albo w więzieniu, Pajetta na przykład, mój brat Pietro, a ja chciałem ich stamtąd wydostać. Rozważaliśmy nawet projekt, żeby utworzyć z Badogliem rząd w momencie zawieszenia broni. Ale nadszedł 8 września i tamci uciekli. Wszyscy. Od Roatty w dół. Powszechna, bezładna ucieczka... Nie ma pani pojęcia, co się wydarzyło. Proszę sobie wyobrazić, że pobiegłem szukać Piccardiego do Ministerstwa Korporacji i znalazłem go samego, biedny Piccardi. Poczuliśmy się obrażeni, poczuliśmy się oszukani. Jakże to?! Najpierw Badoglio daje nam mnóstwo gwarancji, a potem nas zostawia i ucieka bez słowa? Jeśli chciał przewieźć króla na południe, dlaczego z nami o tym nie porozmawiał? Dlaczego nie zorganizował wszystkiego porządnie, godnie? Cały rzymski Komitet Wyzwolenia Narodowego, zniesmaczony, przyjął stanowisko przeciwko Badogliowi. Nawet chadecy byli przeciwko Badogliowi. Socjaliści i Partia Czynu okazali się bezwzględni. A ja nie chciałem utracić kontaktów z Partią Czynu, z Pertinim, Nennim. Chciałem, żebyśmy pozostali zjednoczeni. I nagle słyszymy ten komunikat Togliattiego. To oczywiste, że zareagowałem tak, jak zareagowałem.

*Tak, ale dlaczego w takim razie zmienił pan tak szybko zdanie? Wiosną 1944 roku już pan zmienił zdanie. Dlaczego był pan tak niekonsekwentny?*

Niech pani posłucha, niektórzy chcą zawsze głośić konsekwencję po fakcie. Ale ludzie nie są konsekwentni, ani nawet partie. Linia partyjna nie jest jajkiem, które pojawia się już gotowe i ukształtowane, jest czymś, co wypracowuje się poprzez liczne próby. A mnie zdarzały się odchylenia, wahania... Nastąpiły dwie rzeczy. Przede wszystkim wśród członków Partii Czynu i socjalistów powstał nurt maksymalistyczny, doprowadzający do skrajności stanowisko przeciwko Badogliowi i odrzucający możliwość kontaktów z ukrywającymi się monarchistami. Andreoni, stojący na czele tego nurtu, powiedział wręcz: „Wyliminujmy generałów, konserwatystów. W gruncie rzeczy co nas obchodzi walka z Niemcami? Przecież jutro będziemy mieli przeciwko sobie generałów, konserwatystów”. Odrzuciłem z oburzeniem podobne stanowisko. W Rzymie było wielu oficerów i żołnierzy nastawionych antyniemiecko: czemu zrezygnować z ich poparcia? Poza tym na czele monarchistów stał człowiek o wielkich walorach moralnych: generał Montezemolo. Razem z Montezemolo, który później został rozstrzelany w Fosse Ardeatine, miałem zorganizować wiele zamachów, jak ten, w którym wysadziliśmy w

powietrze pociąg na linii Rzym-Cassino w noc Bożego Narodzenia. A poza tym spostrzegłem, że w ogóle socjaliści są zbyt lewicowi.

*Zbyt lewicowi?*

Tak. W lutym 1944 roku Nenni opublikował artykuł na łamach „Avanti!”: „Cała władza w ręce Komitetu Wyzwolenia Narodowego”. Ten artykuł był zupełnie bezpodstawny. To była tylko maksymalistyczna propaganda, rodzaj parafrazy cała-władza-w-ręce-rad. Komitet nie miał szerokiej bazy ludowej. Zdałem więc sobie sprawę, że skręcając zbyt na lewo, rozpadłby się. I zainterweniowałem za pośrednictwem Scoccimarra, aby zszyć poszczególne kawałki. Ale Scoccimarro był bardziej związany z socjalistami niż ja. W czasie ponownego nawiązywania porozumienia wybuchły spory między nami dwoma i... Krótko mówiąc, zacząłem zmieniać zdanie w marcu 1944 roku i mój kryzys osiągnął punkt kulminacyjny w momencie, w którym Bonomi podał się do dymisji w Komitecie Wyzwolenia Narodowego. Tego samego dnia dokonaliśmy zamachu na via Rasella. Rozważyłem wówczas ponownie komunikat Togliattiego.

*To właśnie o to oskarża pana Longo, kiedy powołuje się na list napisany w maju 1944 roku. Oskarża pana o to, że wypiera się pan buntu przeciwko Togliattiemu i że obarcza pan Scoccimarra całkowitą za niego odpowiedzialnością. Określa też pana jako „karierowicza, osobę zmieniającą poglądy”.*

Longo powiedział coś znacznie poważniejszego. Powiedział: „Zrobiłeś coś w stylu Jacopa”. Chodziło o towarzysza, Jacopa Berti, który był krytykowany za swoje zmiany poglądów, o to, że wił się jak piskorz. Naprawdę bardzo się zezłościłem. I wykrzyczałem do Longa: „Nie, na to nie masz prawa sobie pozwalać”. Ale kłótnia nie odbyła się listownie, odbyła się bezpośrednio. Nigdy nie widziałem tego listu Longa, przypuszczam, że dotarł do Rzymu, kiedy ja już byłem w Mediolanie. Znalazłem się w Mediolanie 7 maja i spotkanie z Longiem było początkowo przyjacielskie. Uściski, pocałunki itd. Ale zaraz przerodziło się w starcie, bo on zaczął mnie krytykować nie tylko z politycznego, ale i moralnego punktu widzenia. Oskarżył mnie o zmianę poglądów, to prawda. I nie tyle dlatego, że zmieniłem stanowisko, ile dlatego, że według mediolańskich towarzyszy zmieniłem je, mając na uwadze własną karierę. Ja zaś, który nigdy nie zaprzeczałem, że zmieniłem stanowisko, poczułem się obrażony oskarżeniem, że zmieniłem je, mając na uwadze własną karierę. Longo zawsze zgadzał się z Togliattim co do konieczności współdziałania z Badogliem: to fakt. Ale Longo przebywał na północy, a na północy mniej się rozczarowano Badogliem. Poza tym na północy mieli trudności w nawiązaniu

kontakty z większością sił wojskowych, które przybywały z Francji i które popierały Badoglio. To były znaczne siły, jeśli chodzi o broń i o pieniądze...

*Podobno pan i Longo żyliście zawsze jak pies z kotem. Czy to prawda?*

Nie! Tylko w tamtym okresie, ale nie trwało to długo. Kiedy już wszystko sobie wygarnęliśmy, zabraliśmy się do roboty: ja, Longo i Secchia. Zostałem prawą ręką Longa. Zresztą już od 1931 roku, kiedy przyjechałem do Paryża, Longo był zawsze moim idolem. To był twórca zwrotu z Salerno, mówiło się wręcz, że zwrot nastąpił z woli Longa i że Togliatti się na niego zgodził. Chociaż miałem dwadzieścia dwa lata, a on trzydzieści, już wtedy nasze stosunki były przyjacielskie. Ale zaprzyjaźniłem się też od razu z Togliattim. Jadąc do Paryża, myślałem, że Longo i Togliatti to dwa potwory, ale okazali się od razu otwarci. W Paryżu byłem cały czas głodny. Chodziłem więc na makaron do domu Longa, a na risotto do domu Togliattiego. Trzeba też powiedzieć, że mediolański spór toczył się bardziej między Longiem a Scoccimarrem niż między Longiem a Amendolą. I to ja podniosłem głos, a nie Longo, który, będąc prawdziwym piemontczykiem, podobnie jak Togliatti, nigdy nie podnosił głosu. Okropny charakter miałem ja, a nie Longo. Stosunki między mną a Longiem były zawsze znakomite, również po wyzwoleniu. Zresztą także podczas bitwy o południowe Włochy. Czyż nie walczyłem razem z Longo?

*Tak, ale mówi się, że oskarżył go pan „o takie obrzydlistwa jak wlewanie wina do zupy”. Podkreśla się brak zrozumienia będący wynikiem odmiennych korzeni: pańskie były bardziej mieszczańskie, Longa bardziej ludowe...*

Głupstwa. Longo nigdy nie wlewał wina do zupy i ja nigdy go nie oskarżałem o wlewanie wina do zupy. To Longo opowiadał, że jego dziadkowie wlewali wino do zupy. Co, poza wszystkim, nie jest żadnym obrzydlistwem, tylko sposobem na przyrządzenie zupy. Jediną gastronomiczną różnicą między mną a Longiem jest to, że ja lubię makaron, bo jestem neapolitańczykiem mieszkającym w Rzymie, a on lubi risotto, bo jest z Turynu. Myli się ten, kto chce przedstawić mnie jako arystokratę w przeciwieństwie do Longa proletariusza. Obaj mamy korzenie mieszczańskie. Ja pochodzę z intelektualnych kręgów rzymskiego drobnomieszczaństwa, on z piemonckiego drobnomieszczaństwa zajmującego się handlem. Jego rodzina wywodzi się z chłopów, to prawda, ale ojciec przeniósł się do Turynu, gdzie otworzył winiarnię. Różnica między mną a Longiem polega na tym, że ja miałem ciekawszą młodość, w okresie przedkomunistycznym uprawiałem wiele sportów i dobrze się bawiłem. A z politycznego

punktu widzenia, pochodzę ze środowiska liberalnego. Longo natomiast już w wieku siedemnastu lat był działaczem komunistycznym.

*Zgoda, zgoda. Dajmy spokój z Longiem i wróćmy do Togliattiego. Czy w tym pańskim buncie nie było też trochę pretensji o to, że Togliatti nie nadstawiał głowy we Włoszech?*

Nieeee! Nie ma o tym nawet mowy. Biedak, jak mógł uczestniczyć w Ruchu Oporu, skoro nie mógł się ruszyć z Moskwy? My znaleźliśmy się w Ruchu Oporu, bo mieliśmy to polityczne szczęście, że wróciliśmy z Francji. Togliatti został we Francji aresztowany i skazany. Potem, w 1940 roku, wysłano go do Moskwy. Bo w tamtym czasie istniała jeszcze Międzynarodówka Komunistyczna. Nie żebyśmy my nadstawiali głowy, a on nie. Moskwa nie była wygodnym miejscem w czasie wojny i z pewnością nie można twierdzić, że Togliattiemu brakowało odwagi. Jego odwaga była nie tylko polityczna, ale i fizyczna. Czyż nie udowodnił jej także w czasie wojny w Hiszpanii, gdzie widziano go zawsze na pierwszej linii? Proszę pamiętać, że moja krytyka dotyczy jedynie tego, że kierował partią z Moskwy, nie mając informacji na temat sytuacji we Włoszech. Ja i on byliśmy naprawdę przyjaciółmi.

*A jednak czytałam o gwałtownych starciach między panem a Togliattim. Czytałam, że kiedyś nazwał pana camorzystą, człowiekiem bez zasad.*

Nieeee! Togliatti był bardzo uprzejmym człowiekiem. Im bardziej był surowy, tym bardziej był uprzejmy. Nigdy mnie nie zwymyślał; potrafił się ogromnie kontrolować. Powiem pani, jak się zachowywał Togliatti. Na kongresie w 1962 roku wygłosiłem referat bardzo w stylu Chruszczowa. A Togliatti, któremu nie podobało się ponowne wytoczenie procesu Stalinowi, skomentował chłodno: „Odpowiem ci”. Ale jego odpowiedź brzmiała następująco: „Dyskusję zdominowały w zbyt dużym stopniu aspekty emocjonalne. Na przykład towarzysz Amendola udowodnił, że nie zna dobrze sytuacji w Związku Radzieckim. Być może jest on bardzo prowincjonalny. Być może mało podróżuje. Na przyszłość dobrze by mu zrobiło, gdyby więcej podróżował”. Togliatti był człowiekiem bardzo inteligentnym. Nie uciekał się nigdy do krzyków i obelg. Jedyнным problemem była trudność w przełamaniu jego rezerwy. Trzymał nas na dystans. A poza tym irytowały go niektóre ataki na Stalina, ponieważ otwierały na nowo rany.

*Proszę mi wybaczyć, ale czy pan też nie był żarliwym stalinistą?*

Tak, tak. Och, tak. Czy mogłem nie być stalinistą po tym, jak zobaczyłem reakcję zachodnich demokracji na zwycięstwo Hitlera? Kiedy przyjechałem do Paryża w 1937 roku, republika francuska była zgniła. Burżuazja, gotowa na wszystko, aby tylko uratować się przed



władzą ludu. Przypominało to kobiety z garnkami manifestujące przeciwko Allende. A po drugiej stronie całego tego kryzysu był tylko Stalin walczący z tą swoją jakobińską dyscypliną. Cóż, w gruncie rzeczy rewolucje bronią się za pomocą terroru: czyż rewolucja francuska nie broniła się za pomocą terroru, czyż i ona nie pożarła własnych dzieci? Twardość Stalina była dla nas niemal gwarancją. Tak, byłem stalinistą, żarliwie i namiętnie. Również pakt niemiecko-sowiecki postrzegałem jako tymczasowy kompromis mający na celu opóźnienie przystąpienia Rosji do wojny. Moje wątpliwości zaczęły się zaraz po wybuchu wojny: trochę z powodu podziału na strefy wpływów, trochę dlatego, że uważałem, iż naród rosyjski dojrzał już do wyzwolenia się ze stalinowskiego reżimu... Potem XX Zjazd mnie wyzwolił.

*Czy wyzwolił też pana z uroku, jaki Związek Radziecki miał zawsze w pańskich oczach?*

Myślę, że bez siły Związku Radzieckiego świat by już przepadł. Śmieszają mnie ci, którzy powiadają chcemy-autonomii-europejskiej-żeby-uniknąć-porozumienia-między-wielkimi-potęgami. Na szczęście istnieje porozumienie między wielkimi potęgami! Czy my, Europejczycy, możemy wpływać na Związek Radziecki albo Amerykę? Kiedy Nixon postanawia zdevaluować dolara, wywołuje szereg skutków w ramach włoskiej gospodarki, a zatem dzisiejszy świat nie może być postrzegany niezależnie od określonych uwarunkowań. Te same osoby odpowiadają: ale porozumienie między dwiema potęgami nie ma na nas wpływu! Cóż, byłoby o wiele gorzej, gdyby zamiast porozumienia, miały na nas wpływ bomby! Nie wiem, jak Europa może przetrwać, jeśli światowego porządku nie gwarantuje porozumienie między dwiema potęgami. Europa odgrywa pewną rolę, to prawda, ale rola ta nie może polegać na rywalizowaniu w charakterze trzeciego wielkiego partnera obok Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego. Również i dlatego, że podstawy ekonomiczne Europy opierają się na braku wydatków na wojsko. Gdybyśmy zaczęli konstruować rakiety ziemia-powietrze i bomby atomowe, ładnie byśmy wyglądali!

*Pan chyba nie wierzy w Europę, prawda?*

Europa nie jest dla mnie utopią. Ale jedynie w sensie kulturowym, intelektualnym, handlowym. Nie w sensie militarnym. Europa jest podzielona. W Europie nastąpiło historyczne pęknięcie i aspiracja do jedności paneuropejskiej może oznaczać jedynie poszukiwanie porozumienia: za punkt wyjścia trzeba zatem obrać jej intelektualne dziedzictwo, pamiętając, że świat funkcjonuje w oparciu o myśl europejską. Powtarzam: Europa może mieć tylko funkcję

pokoju, nie powinna zaś rywalizować z obiema potęgami. Europie wypada pełnić rolę neutralną.

*Nie będę z tym dyskutować. Zaprowadziłoby nas to daleko, a musimy przecież porozmawiać o dzisiejszych Włoszech, o kompromisie historycznym, o sprawach, które bezpośrednio nas dotyczą. Najpierw jednak chciałabym trochę porozmawiać o panu, ponieważ sądzę, że pomoże to zrozumieć kogoś, kto przewodzi włoskim komunistom. Pan jest jednym z tych, którzy wywodzą się z liberalnego mieszczaństwa i...*

Tak, ale nie trzeba mieć błędnego wyobrażenia o dawnym włoskim świecie, do którego należałem. To był świat bardzo oschły, bardzo surowy. To nie był świat frywolny. Tłumaczę to zawsze towarzyszom, którzy nie mają o tym pojęcia: „Pamiętajcie, inni nie są bez wyjątku łajdakami. To są ludzie, z którymi można i trzeba mieć kontakty”. Powiem pani więcej: było czymś bardzo pozytywnym, że mogłem wnieść do partii moje liberalne doświadczenie, moją znajomość innych. Na przykład znajomość z Benedetto Croce. I kiedy pytają mnie, czy Croce odegrał wobec mnie rolę przewodnika, odpowiadam: „Tak, ale nie przewodnika intelektualnego. Był wzorem życia, pracy”. Croce żył w sposób nader surowy, niczym w klasztorze. Zaczynał pracę o szóstej rano i pracował do pierwszej. O tej porze jadł obiad, szedł na spacer, podczas którego czasami mu towarzyszyłem, i zaraz potem zabierał się znowu do pracy. Był zwyczajny, serdeczny, ale nie przyjacielski. Pewnego dnia poprosiłem go o pożyczenie pewnej książki, on zaś mi odpowiedział: „Nie. Jeśli chce ją pan przeczytać, proszę przyjść i przeczytać ją na miejscu. Moja biblioteka jest do pańskiej dyspozycji”. W Togliattim odnalazłem taką samą surową samokontrolę, jaką wyróżniał się Croce, taką samą pasję do nauki. Także Togliatti się złościł, jeśli nie przeczytaliśmy jakiejś książki albo udawaliśmy, że ją przeczytaliśmy. Mnie zawsze podobały się osoby poważne.

*No to jak mógł pan być przyjacielem Galeazza Ciana?*

Z Galeazzem łączyła mnie miłość do teatru. To był okres, w którym Pirandello zaczął odnosić sukcesy, i my, młodzi, chodziliśmy wygwizdywać stary teatr mieszczański Marca Pragi. Galeazzo był krytykiem teatralnym w „Il Paese”. Poznałem go, kiedy zostałem aresztowany po raz pierwszy, bo wygwizdałem nie pamiętam już jaką komedię. Przyszedł mnie uwolnić wraz z innymi krytykami. Od razu się zaprzyjaźniliśmy, ponieważ był taki błyskotliwy, taki inteligentny. Miał inteligencję nieco cyniczną, to prawda, a cynizm jest ograniczeniem inteligencji... Pewnego dnia powiedziałem do Galeazza: „W gruncie rzeczy mamy takie same poglądy. Dlaczego nie

jesteś antyfaszystą?”. A on na to: „Musiałbym być idiotą. Ty jesteś synem antyfaszystowskiego przywódcy, a ja Costanza Ciana, który jest przewodniczącym izby niższej parlamentu. Mam zapewnioną karierę. Miałbym z niej zrezygnować?”. Przypomniały mi się te słowa, kiedy zginął rozstrzelany właśnie przez faszystów. Jakże często wydaje się, że warto być cynikiem, a potem okazuje się, że bezpieczniej jest pozostać wiernym swoim ideałom. Moja przyjaźń z Galeazzem urwała się, kiedy zostałem zesłany. W 1937 roku, gdy wróciłem do Rzymu, chciał się ze mną zobaczyć. Był już ministrem. Przekazałem mu wiadomość: to niemożliwe. Nalegał: „Przyjdź. Chciałbym się dowiedzieć, jak to wszystko widzisz”. Nie ustąpiłem i nie poszedłem do niego, chociaż nieco mnie to kosztowało. Widzi pani, ludzie są zawsze inni, niż się wydaje, i musieliśmy poznać lepiej także faszyzm. Widzimy wszystko jako monolit, a zapominamy, że reżim składa się z jednostek.

*Co chce pan przez to powiedzieć?*

Chcę powiedzieć, że faszyzm we Włoszech był reżimem pełnym sprzeczności, że działały w nim przeciwstawne siły. Siły o charakterze konserwatywnym, jak monarchia i wysoka finansjera, siły reprezentowane przez skrzydło ludowe i związki zawodowe. Ta walka wewnętrzna nie była całkiem pozorna, to nie była gra ról, to była naprawdę walka sił, które występowały w ramach reżimu i które Mussolini potrafił kontrolować aż do 1936 roku. To znaczy aż do zwycięstwa w Etiopii. Jeśli tego nie wyjaśnimy, jak zdołamy wyjaśnić różnicę między tym, co stało się we Włoszech, a tym, co stało się w Niemczech w 1943 roku? Inną sprawą, o której trzeba powiedzieć, jest fakt, że represje ze strony faszyzmu miały rozmaite natężenie. Po okrutnej przemocy pierwszych lat, kiedy zamordowali mojego ojca, nastąpiły represje dozowane, które wkrótce przybrały postać korupcji. Między 1926 a 1943 rokiem faszystowskie represje były głównie korumpowaniem: zapisz-się-do-partii-faszystowskiej itd. Nie zdarzyło się to, co zdarzyło się w przypadku nazizmu w Niemczech. Istotnie, trzeba przypomnieć, że nie wszystkie oznaki poparcia były dowodem tchórzostwa. Na przykład dlaczego Pirandello zapisał się do partii faszystowskiej? Zapisał się we wrześniu 1924 roku, po zabójstwie Matteottiego, a przecież jego wizja świata nie miała nic wspólnego z faszyzmem... jego teatr był przeciwieństwem teatru D'Annunzia... Tak, były chwile, w których faszyzm cieszył się wielkim poparciem. Na przykład ogromna większość Włochów nie była przeciwna wojnie w Etiopii. Chciała tego miejsca—pod-słońcem.

*Ależ pan mi mówi, że prawie wszyscy Włosi byli faszystami!*

Mówię, że my, antyfaszyści, byliśmy mniejszością, otoczoną powszechnym niedowierzaniem. „Giorgio-rozumiem-twój-ślan-ducha-to-jasne-zamordowali-przecież-pańskiego-ojca-ale-żebyś-i-ty-angażował-się-w-tę-historię-daj-spokój!” Takie było podejście krewnych, przyjaciół. Nasz Ruch Oporu był heroiczny właśnie dlatego. Och, jaką presję wywierano na więźniach, aby podpisali prośbę o ułaskawienie! „Posłuchaj, wystarczy jeden podpis. Nie chcemy, żebyś zapisał się do partii faszystowskiej, chcemy, żebyś tylko podpisał. Jeśli tego nie zrobisz, twoja żona i dzieci nie będą miały z czego żyć!”. To właśnie mam na myśli, kiedy mówię o korumpującej przemocy. Nie chcę przez to powiedzieć, że reżim nie był haniebny, niech to będzie jasne. Chcę wyjaśnić, że w latach 1926–1943 faszystowskie represje nie były takie, jakie miały nastąpić w okresie Republiki Salò. Chcę po prostu podkreślić, że łatwiej walczyć z brutalnymi represjami niż z przemocą elastyczną, paternalistyczną. „Po-co-ci-to-Giorgio”. Chodzi o moralność odziedziczoną przez Włochów po stuleciach panowania cudzoziemców: „Hiszpanie czy Francuzi, ważne, abyśmy mieli pełny brzuch”. Na historię tak należy patrzeć, dostrzegając jej prawdę. Historię pisze się, nie ukrywając prawdy. A możliwości są dwie: albo naród włoski jest narodem baranów i idiotów, w co nie wierzę, albo jest narodem, który w pewnym momencie znalazł się w wyjątkowej sytuacji. Jeśli w faszyzmie dostrzegamy tylko aspekt groteskowy, wygłupy i potworności, nie zrozumiemy jego szkodliwego działania, które zahamowało rozwój Włoch na niemal czterdzieści lat.

*Wróćmy do pańskiej historii, panie Amendola. Dlaczego został pan komunistą?*

Byłem antyfaszystowskim liberałem, zwolennikiem Gobettiego. Należałem do Studenckiego Związku na rzecz Wolności, rodzaju ruchu, do którego należeli socjaliści, ludowcy, republikanie, tacy jak Ugo La Malfa, Sergio Fenaltea, Basso. Chciałem walczyć z faszyzmem. Szczególnie po śmierci ojca same słowa już mi nie wystarczały. Ale prawie wszyscy starzy liberałowie wyemigrowali za granicę, a ci, którzy zostali we Włoszech, nie chcieli podjąć podziemnej działalności. Croce mi powtarzał: „Głupstwa, głupstwa! Uczyć się, uczyć! Trzeba wykształcić jutrzejszych przywódców, nie ma nic innego do zrobienia!”. I nie rozumiał, że nauka mi nie wystarczała, nam nie wystarczała. Komuniści byli jedynymi, którzy walczyli. Każdego dnia komuniści byli aresztowani, wytaczano im procesy, zsyłano ich, podczas gdy liberalny antyfaszyzm pozostawał bezpieczny. I tak, w 1928 roku, pod pretekstem przewiezienia szczątków ojca, pojechałem do Paryża. W Paryżu mieszkał Treves: dla nas, młodych, najpoważniejszy liberalny antyfaszysta. Przywiozłem mu memorandum domagające się

utworzenia zagranicznego centrum podtrzymującego naszą walkę we Włoszech i pozwalającego uniknąć monopolu komunistów na opozycję wobec reżimu. Treves przeczytał memorandum i wybuchnął płaczem. Płacząc, powiedział mi: „Nie liczcie na nas. Zostaliśmy pokonani. Szukajcie własnej drogi”. Zmieszałem się i spytałem go, do kogo mam się udać. A on: „Nie idź do nikogo, to jest środowisko pełne szpiegów. Licz tylko na siebie”. Wróciłem do Włoch, zatrzymałem się w Turynie, gdzie spotkałem się z Garoscim, byłem w Rzymie, gdzie widziałem La Malfę, ale wiele nie działałem, ponieważ był zamach na króla i policja dokonała wielu aresztowań. Wróciłem więc do Neapolu, gdzie poczułem się opuszczony przez wszystkich, i zacząłem się zastanawiać. W Neapolu przebywał Sereni. Sereni był już komunistą. Rozmawiając z nim, pojąłem, że tylko robotnicy mogą poprowadzić walkę.

*I został pan komunistą?*

Nie. Trudno mi było podjąć decyzję. Zastanawiałem się prawie dwa lata. Ponieważ w gruncie rzeczy moje ugrupowanie tworzyli prekursorzy Sprawiedliwości i Wolności. Byłem przyjacielem Ernesta Rossiego i gdybym nie został komunistą, zostałbym członkiem Sprawiedliwości i Wolności. Ale kiedy Ernesto Rossi zaproponował mi, żebym zorganizował w Neapolu Sprawiedliwość i Wolność, ja byłem już zdecydowany zapisać się do Partii Komunistycznej. I rzeczywiście, zapisałem się dziesięć dni później, 7 listopada 1929 roku. Tak, zapisałem się właśnie z powodu roli, jaką Partia Komunistyczna odgrywała w antyfaszystowskiej opozycji, a także z powodu niemożliwości nawiązania innych kontaktów. Jasne jest, że zdążyłem już przeczytać pierwszy tom *Kapitału*, jasne jest, że byłem pod wielkim wrażeniem tego, co dzieje się w Związku Radzieckim... na przykład tego, że w Związku Radzieckim mówi się o planach pięcioletnich, a zachodni kapitalizm pogrąża się w kryzysie ekonomicznym. I jaka ogarnęła mnie złość, kiedy podczas mojego pobytu w Rzymie La Malfa powiedział mi: „Nie jesteś w stanie tego ocenić!”. Odpowiedziałem mu: „To ty nie jesteś w stanie tego ocenić!”. La Malfa zawsze przybierał profesorski ton. Już wówczas.

*Zastanawiam się, czy te liberalne korzenie mają coś wspólnego z faktem, że dzisiaj uważany jest pan za prawicowego komunistę.*

Uzbierałem wiele etykietek. Pewnego razu określili mnie nawet jako maoistę. Ale etykietki przemijają i zmieniają się tak jak mody, ja zaś nie powiedziałbym, że jestem prawicowym komunistą. Nie powiedziałbym, że jestem bardziej liberalny i tolerancyjny od moich towarzyszy. Wspomniałem już, że byłem żarliwym stalinistą i postępowałem zawsze

zgodnie z linią polityczną, która była linią polityczną mojej partii. Wspomniałem już, że trzymałem się zawsze Togliattiego i pokłóciłem się z nim tylko raz z powodu taktycznych różnic: drobnostek, takich jak wejście, czy też nie, do rządu Badoglia. Tak jak wszyscy neofici, popadałem wręcz w jeszcze większy schematyzm i uznałem swoje błędy dopiero wtedy, kiedy do własnych błędów przyznała się partia. Nie, nie ma wątpliwości, że konieczność zerwania z przeszłością i przyjaciółmi skłoniła mnie raczej do bycia przeciwnikiem tego, co się mówi. Na przykład przeciwko Nenniemu napisałem rzeczy niewyobrażalnie agresywne i nie bez racji odpowiedział mi, zauważając, że mam w sobie agresywność nowego bojownika. Moje polemiki z politycznymi przeciwnikami były zawsze bezlitosne, faulowałem, jak się mówi w języku sportowym. A ponieważ jestem raczej cholerykiem...

*Skąd się więc bierze ta etykieta liberalkomunisty?*

Przypuszczam, że to dlatego, iż popierałem zawsze politykę jedności sił demokratycznych i odrzucałem z wielką niechęcią lewackie schematy z lat sześćdziesiątych. Dlatego, że powtarzałem wielokrotnie: błędem jest zamykać włoską rzeczywistość w doktrynalnych i z góry ustanowionych schematach. Błędem jest przeprowadzać reformy po to, żeby wprowadzić socjalizm. Gdybyż ludzie chcieli socjalizmu! Gdyby ludzie, wszyscy ludzie, chcieli socjalizmu... socjalizm by zapanował, czyż nie? Zawsze mówiłem: nie przeprowadza się reform, ponieważ chce się osiągnąć jakiś strategiczny cel, przeprowadza się je, ponieważ odpowiadają obiektywnym potrzebom. Reforma służby zdrowia jest potrzebna, bo chorzy muszą być dobrze leczeni, reforma szkolnictwa, ponieważ dzieci muszą się dobrze uczyć. Biada, kiedy utraci się kontakt z rzeczywistością narodową: to to samo, co utrata kontaktu z interesami mas. Proszę posłuchać, etykiety socjaldemokraty sam jestem sobie winien, ponieważ byłem w centrum polemiki z ugrupowaniami, które dziś nazywają się pozaparlamentarnymi. Wtedy to były odłamy partyjne, jak *il manifesto*. Powiedziałem im: źle skończycie, ponieważ we Włoszech partia nie toleruje obcych ciał. To jest partia, która ma realną siłę, jest żywotna. Początkowo może was wysłuchać, ale potem was odrzuci jak obce ciało, ponieważ jesteście tylko nudziarzami bez kontaktu z rzeczywistością.

*W odniesieniu do ugrupowań pozaparlamentarnych użył pan też określenia „czerwony faszizm”, prawda?*

Prawda. Powiedziałem i mówię, że faszizm może się pojawić w przebraniu czarnym lub czerwonym, ale zawsze pozostaje faszyzmem. Podstawa psychologiczna jest taka sama,

argumenty antydemokratyczne są takie same. Nie zapomnę nigdy pierwszych flag faszystów, były w trzech piątach czerwone, w jednej piątej białe i w jednej piątej zielone. Nigdy tego nie zapomnę! Czyż zresztą faszyzm nie przedstawia się jako siła rewolucyjna? I tak samo nazizm? Och, to, co my starzy możemy zrobić najlepszego dla młodych, to mówić im, co myślimy, a nie kokietować ich, nie kokietować ich lewackością, aby wydać się równie młodymi jak oni. W stosunku do tych młodych zachowywałem zawsze postawę surową i jednoznaczną, nigdy nie puszczałem do nich oka. Mój pierwszy konflikt z nimi nastąpił w maju 1968 roku, kiedy napisałem, że francuski maj nie wyraża sytuacji rewolucyjnej, a jedynie kryzys społeczny. Dzielnica Łacińska to nie Paryż, a Paryż to nie Francja; Francja to tłusta francuska prowincja, wiejska, często konserwatywna, to znaczy Francja, która we francuskim maju pokazała swoją siłę. Nie robi się rewolucji, wznosząc barykady z puszek. Prawdziwe rewolucje mają swoich zabitych, a we francuskim maju nikt nie zginął.

*Zgoda. Ale czy nie sądzi pan, że w jakiejś drobnej sprawie młodzi mają rację?*

Tak, ale nie mają tego, co nazywam pamięcią klasy robotniczej. Klasa robotnicza rejestruje w pamięci doświadczenie przeszłości i wie, że nie ma drogi na skróty. Klasa robotnicza jest cierpliwa i gotowa na długą i ciężką walkę, walkę, która wie, co to porażki. A zatem nie goni za motylami tak jak ci młodzi, którzy są dziećmi burżuazji. Oni gonią za motylami. Jest ktoś taki jak Che Guevara? No to jesteśmy z Che Guevarą. Jest wojna w Wietnamie? No to popieramy Wietnam. Są fedaini? No to jesteśmy z fedainami. Wszystko, co może przerwać monotonię życia, im odpowiada. To prawda, że my, komuniści, pozwoliliśmy, aby nam się wymknęli. To prawda, że daliśmy się zaskoczyć wybuchem ich buntu albo nie zauważyliśmy, jak dojrzewa. Ale potem wielu odzyskaliśmy, chociaż pomału, ponieważ jesteśmy powolną partią... słoniem, który idzie powoli, powoli... Ale idzie do przodu i zawsze odrabia straty. Spotkałem nawet takich, którzy podziwiali konsekwencję mojego „socjaldemokratyzmu”. Jednym słowem, zrozumieli, że wywodzą się z burżuazji i...

*Oni powiadają, że burżujami to jesteście wy, Amendola. Powiadają, że Włoska Partia Komunistyczna stała się już partią mieszczańską, zmieszczaniałą. Dlatego nikt się jej już nie boi.*

Nie chcemy, żeby się nas bano. To był błąd, że chcieliśmy, żeby się nas bano, i dziś wiemy, że popełniliśmy omyłkę, jak krowa, która ryczy i daje mało mleka. Wiemy, że jeśli chcemy poparcia, jeśli chcemy mieć większość, nie trzeba wzbudzać strachu. Togliatti powtarzał nam to wielokrotnie: „Musimy zabiegać o poparcie, musimy dać się poznać, wzbudzić

szacunek”. Dziś chcemy, aby nas szanowano, i rzeczywiście, jesteśmy szanowani, ponieważ w przeciwnym razie, jak można by wytłumaczyć miliony głosów, które dostajemy? Skąd się biorą, jeśli nie od ludzi, którzy nie są komunistami? Skąd się biorą, jeśli nie z szacunku do nas? Wszyscy już powtarzają: „Komuniści mogą się podobać lub nie, ale to poważni ludzie”. Jesteśmy poważni: ze względu na nasze podstawy intelektualne, na naszą uczciwość. Nie mówimy nigdy byle czego, jesteśmy zawsze przygotowani i kiedy coś obiecujemy, dotrzymujemy słowa. Co do naszej uczciwości, jest kryształowa. Żyjemy z połowy pensji, ponieważ połowę zabiera partia, poddani jesteśmy bezlitosnej kontroli, a jednak nic nie mogą znaleźć, aby nas oskarżyć...

*To dlatego, że jeszcze nie byliście u władzy.*

Rządzimy wieloma regionami, czyż nie jest to forma władzy także ekonomicznej? A jednak nie zdarzają się skandale w regionach, w których rządzą. I powiem pani, dlaczego. Nie dlatego, że jesteśmy dobierani w określony sposób; ludzie są wszyscy jednakowi, to jasne... a ja naprawdę nie twierdzę, że komuniści są lepsi od innych. Dlatego, że mamy system, który pomaga nam być uczciwymi. System skrupulatnej, przyjacielskiej kontroli. Ja na przykład zbudowałem sobie wiejski domek. W Velletri. Aby go zbudować, wystąpiłem o kredyt na dziesięć milionów do Banco di Sicilia i zaraz Togliatti się tym zaniepokoił. Zaczął powtarzać, że zaciągam długi i przed podróżą do Rosji, gdzie miał umrzeć, przyjechał go obejrzeć. To wtedy zażartował sobie: „Widzę, że pomalowałeś go na czerwono. Ale to czerwień burbońska”. Tak, partia bardzo nas kontroluje, także jeśli chodzi o życie prywatne. I ta kontrola obyczajów, życia prywatnego, bez bigoterii oczywiście...

*Trochę jednak jesteście bigotami. Księża są zawsze bigotami.*

Nie, nie jesteśmy bigotami. Bigoteria ukrywa w istocie rozwiązłość, niemoralność, a my nie jesteśmy niemoralni. Ruch robotniczy był zawsze surowy obyczajowo. Jesteśmy surowi, powtarzam. Trochę purytańscy, jeśli pani woli. Ale rewolucje były zawsze purytańskie. Proszę pomyśleć o Wietnamie, Chinach, Rosji. Oczywiście, także wśród nas znajdzie pani wyjątki... Giancarlo Pajetta nie jest purytaninem. I jemu nikt nigdy nie robi wyrzutów, nawet moja żona, która wobec mnie jest taka bezwzględna... Gdyby moja żona pozwoliła mi na jedną dziesiątą tego, na co pozwala Giancarlo... Ale koniec z żartami: co do niektórych spraw ja też jestem surowy. Cieszę się, że miałem szczęśliwe życie rodzinne. Cieszę się, że jestem mężem tej samej kobiety od trzydziestu pięciu lat. I kiedy widzę wokół siebie tylu rozwodników, również wśród bliskich krewnych... Nie, proszę mnie dobrze zrozumieć. To nie jest stanowisko katolickie.



Bardziej jeszcze niż komunistą, jestem bezdyskusyjnie laicki. Jestem ateistą. Pewnego razu poproszono mnie nawet o wykład na temat ateizmu w seminarium duchownym. No właśnie... To wtedy, kiedy mi powiedziano, że jestem chrześcijaninem, chociaż o tym nie wiem, i że będą się za mnie modlić... katolicyzm nie ma z tym nic wspólnego. Chodzi, powtarzam, o tę skłonność do surowości. Niechęć do permissywizmu. Permissywizm nie jest wolnością. Jest dowolnością, brakiem woli. Życiem musi kierować wola.

*Proszę mi pozwolić na ważną dygresję. Czy to nie z powodu tego purytanizmu wy, komuniści, zachowaliście się tak fatalnie przy okazji batalii o rozwody? Najpierw głosując przeciw, potem zajmując stanowisko dwuznaczne...*

Nie chcieliśmy dostarczyć broni prowadzącej do wojny religijnej. Nie chcieliśmy, żeby zaczęła działać ekskomunika papieża Pacellego. Nie zapominajmy, że na wiecach organizowanych w południowych Włoszech zaraz po wojnie proboszczowie podburzali przeciwko nam masy. Pamiętam wiece pod gradem kamieni, wie pani? Przyznajmy: wstąpiliśmy do Ruchu Oporu, nie wiedząc dokładnie, czym jest Watykan i katolicka organizacja we Włoszech. Zrozumiałem to dopiero wtedy, kiedy przyjechałem do Rzymu i hrabia Della Torre spytał mnie, co zamierzamy zrobić z traktatami laterańskimi. Nigdy o tym nie pomyślałem. Zaskoczony, odpowiedziałem: „Cóż... będziemy ich przestrzegać, ale konkordat zlikwidujemy”. Wówczas hrabia Della Torre, który jest bardzo uprzejmym człowiekiem, odparł: „Trochę wam będzie trudno go zlikwidować. Może byłoby lepiej, gdybyście to jeszcze raz przemyśleli”. Potem poznałem De Gasperiego, przekonałem się, że jest najważniejszą postacią okresu tuż po wyzwoleniu, i zdałem sobie sprawę, że po drugiej stronie barykady liberałowie zupełnie się nie liczą: prawdziwą siłę reprezentował De Gasperi. I pośrednio dzięki niemu zrozumiałem, jakie znaczenie ma Watykan. Zrozumiał to także Togliatti, kiedy powiedział nie-możemy-dać-się-wciągnąć-w-wojnę-religijną. Proszę posłuchać, gdybyśmy nie stoczyli umiarkowanej batalii o rozwody, gdybyśmy popadli w radykalny ekstremizm...

*Musielibyście przede wszystkim rozliczyć się z włoskimi komunistami, którzy biorą ślub w kościele, a w niedzielę idą na mszę.*

Tak. My z Partii Komunistycznej jesteśmy jak włoski naród, w którym jest mały procent prawdziwie wierzących, mały procent świadomych ateistów i ogromna masa, która praktykuje chrzest, ślub kościelny i ostatecznie namaszczenie jako trzy wielkie momenty w życiu. Nasza laicka epoka musi się zatem kształtować powoli. Nie należało powtarzać dramatu, który podzielił

dawną Partię Socjalistyczną w ramach rodziny: z jednej strony mąż niedowiarek, a z drugiej żona, która chodzi na mszę. Ponieważ to zawsze kobieta wychowuje dzieci i je chrzci. Włoską rodzinę i tak już rozdzierają konflikty, nie można jej unowocześnić za pomocą nowej wewnętrznej wojny. Aby zrozumieć potrzebę rozwodu, trzeba do tego dojść samemu, uświadomić ją sobie. To już jest postęp, że większość Włochów rozumiała, iż rozwód nie jest końcem świata i zdarza się tylko wtedy, kiedy rodzina faktycznie już się rozpadła.

*Senatorze Amendola... czy jeśli dojdzie do referendum, wy, komuniści, możecie liczyć na wasz elektorat?*

Sądzę, że tak. Albo raczej sądzę, że będziemy mogli na niego liczyć, ponieważ daliśmy dowód rozsądku. Gdybyśmy przyjęli postawę radykalną, nie moglibyśmy naprawdę na niego liczyć. Referendum, no cóż: jeśli trzeba będzie pójść na referendum, pójdziemy. Uruchomi się wtedy mechanizm partyjnej dumy, który jest mechanizmem bardzo silnym. Dobrze wiemy, co znaczy, w politycznym sensie, zwycięstwo. Ale żeby ogłosić referendum, trzeba być przekonanym, nie można dać się wciągnąć w awanturę z powodów doktrynalnych. Tak, sądzę, że w wypadku ogłoszenia referendum, zwolennicy rozwodów zwyciężą. Ponieważ sądzę, że siły nowoczesne, to znaczy siły miejskie, siły innych partii, nawet część obywateli głosujących na Chrześcijańską Demokrację pragną rozwodów. Jediną niewiadomą będą niektóre nasze kobiety. Na przykład ta masa prostych kobiet, które mają mężów za granicą. Emigrantów jest pięć milionów, na ich żony spadł obowiązek wychowywania dzieci. A tym żonom wcale się nie podoba, że mąż może się rozwieść i ożenić z cudzoziemką. Jeśli się rozwiedzie, nie będzie już przysyłał do domu pieniędzy i... Tak, to jest niewiadoma.

*Koniec dygresji. Wróćmy do poprzedniego tematu, nie odpowiedział mi pan jeszcze, co pan sądzi o oskarżeniu, jakoby wy, komuniści, bylibyście już burżujami.*

Kiedy słyszę coś takiego, odpowiadam: Co rozumiecie przez burżujów? Oczywiście, dzisiaj nie podkładamy już bomb. Prowadziliśmy walkę zbrojną, kiedy było to konieczne, i mam nadzieję, że nie będzie to już konieczne. Nie ma nic bardziej okrutnego od walki zbrojnej, już jej nie chcemy. A poza tym trzeba postrzegać walkę zbrojną w kontekście jej związku z masami: jeśli nie ma się poparcia mas, jeśli prowadzi ją mniejszość oderwana od mas, staje się ona aktem politycznego awanturnictwa. Nas też oskarżano o polityczne awanturnictwo, a przecież mieliśmy poparcie wśród ludu: ludność ukrywała nas, kiedy podkładaliśmy bomby, robotnicy pomagali nam, organizując strajki powszechne. Walka zbrojna, o jakiej marzą niektórzy młodzi... Nie

mówię nawet o odrażających epizodach, jak ten na Fiumicino, to są oczywiste prowokacje. Mówię o poważnych zdarzeniach, jak zabicie Carrera Blanca. Niektóre sprawy powinni oceniać pod kątem ich celowości ci, którzy potem ponoszą ich skutki. Inaczej, powtarzam, przemieniają się w nierozważne czyny małych grup.

*To dziwne, że pan to mówi. Właśnie pan, który zorganizował zamach na via Rasella. Można by powiedzieć, że teraz ogarniają pana mdłości z powodu...*

Mdłości to nie jest właściwe słowo, ponieważ walka zbrojna jest czymś wzniosłym, świętym. Ale z pewnością walka zbrojna jest formą walki, która kosztuje zbyt wiele cierpienia po obu stronach, i trzeba zrobić wszystko, żeby jej uniknąć. Kiedy myślę o młodych faszystach, którzy zginęli w Turynie, robiąc za snajperów, strzelając do nas... Och, jakie to smutne! Oni nie byli bandytami. Byli chłopcami, którzy sądzili, że działają w słusznej sprawie. I musieć ich zabić było dla mnie jednym z najbardziej tragicznych wydarzeń w Ruchu Oporu. Proszę posłuchać, do niektórych wniosków dochodzi się także w oparciu o kulturę. Polityka jest dla mnie kulturą. Co więcej, jednym z najpiękniejszych wyrazów kultury. Jest historycznym poznaniem, jest namysłem. Biada, jeśli w polityce zrezygnuje się z namysłu, z bagażu kulturowego. Ponieważ kontakty międzyludzkie są niezbędne, jak twierdziłem w czasach mojej polemiki z Longo, ale jeśli w pewnym momencie nie przeważy namysł, bagaż kulturowy... Kiedy polityka jest kulturą, można zrozumieć wiele spraw.

*I być może usprawiedliwić wiele spraw. Czy możemy wreszcie pomówić o kompromisie historycznym, senatorze Amendola?*

Moim zdaniem wielką matrycą tego kompromisu jest Ruch Oporu. I kiedy to mówię, nie mam na myśli spotkania De Gasperiego, Scoccimarra i Nenniego, chociaż miało ono swoje znaczenie. Mam na myśli tę wielką magmę, jaką był Ruch Oporu: żołnierze i oficerowie, którzy poszli do partyzantki, żeby nie zostać schwytani, robotnicy, którzy szli w góry, żeby uniknąć aresztowania, chłopci, którzy im pomagali, żeby ratować bydło... I w tej magmie jak można było oddzielić partyzantów czerwonych od partyzantów białych? Chadeccy mieli swoje oddziały partyzanckie w Emilii i Veneto, to prawda, ale występowali też w oddziałach imienia Garibaldi, byli tam proboszczowie kapelani, byli patrioci niekomuniści. Nie przypadkiem w trakcie wojny dojrzała idea spotkania między nami a chadekami. Nie przypadkiem w Turynie zawarty został pakt pomiędzy Partią Komunistyczną, Socjalistyczną i Chrześcijańską Demokracją, który tak rozzłościł członków Partii Czynu. To była już forma kompromisu

historycznego. Nie przypadkiem ten element trójpartyjny objawił się niemal wyłącznie na północy kraju i w pierwszym rządzie republikańskim De Gasperiego dyskusja nad trójpartyjnością była silnie obecna. Czyż De Gasperi nie mówił o „humanistycznym i laickim solidaryzmie oraz solidaryzmie chrześcijańskim”? Zimna wojna przerwała tę dyskusję, stało się tak z powodu sytuacji międzynarodowej. Kiedy w Turynie socjaliści zbliżyli się do Chrześcijańskiej Demokracji, Togliatti oświadczył: „Doskonale, róbcie tak dalej, a nam pomożecie. Doskonale, abyście tylko utrzymali z nami kontakt”. Powiedział to otwarcie. Zerwanie nastąpiło wtedy, kiedy Nenni odwrócił sytuację i zawarł porozumienie z Chrześcijańską Demokracją, które zakładało izolację komunistów. Togliatti nie miał nic przeciwko centrolewicy, nie podobała mu się ta konkretna centrolewica. I teraz, kiedy...

*Niech pan posłucha, nie mówiąc o tym, że wydaje mi się to co najmniej naciągane przedstawiać chadeków jako autorytety Ruchu Oporu, cóż to za komuniści, którzy...*

I teraz, kiedy minęło dziesięć lat, jak mówiłem, i w kraju panuje kryzys, jak można go rozwiązać, jeśli nie za pomocą demokratycznej lewicowej alternatywy? To kwestia rachunku matematycznego. Cała lewica we Włoszech nie przekroczyła nigdy czterdziestu czterech procent. I do tych czterdziestu czterech procent zaliczam socjaldemokratów i republikanów. Chodzi więc o niejednolite czterdzieści cztery procent: socjaldemokraci i republikanie nie chcą być z nami. My i socjaliści nie przekroczyliśmy nigdy trzydziestu dwóch, trzydziestu trzech procent. Od 1946 roku mogą zmieniać się składniki dodawania, ale suma pozostaje jednakowa. Co do Demokracji Chrześcijańskiej, to ma własną siłę, taką samą jak w 1946 roku: pomiędzy trzydzieści pięć a trzydzieści siedem procent. Istotnie, czterdzieści osiem procent uzyskane 18 kwietnia już się nie powtórzyło, pozostało dla chadeków mirażem, który ścigają zawsze, ale którego nigdy nie potrafią dogonić. W rezultacie od dwudziestu pięciu lat siłujemy się na rękę z Chrześcijańską Demokracją, i to siłowanie się zrujnowało kraj. Opiera się ono na zawsze takiej samej relacji wpływów, nie mówmy o sukcesach i porażkach jednej i drugiej strony, nie mówmy o tym, że z dziewiętnastu przeszliśmy do dwudziestu siedmiu procent, że oni zeszli z czterdziestu ośmiu do trzydziestu siedmiu. Siłowanie się na rękę pozostaje faktem i nie może trwać dłużej, kiedy kraj się rozpada. Stąd konieczność spotkania.

*Spotkania czy wspólnego rządu?*

Kiedy mówimy o kompromisie historycznym, nie twierdzimy, że komuniści muszą wejść do rządu. Mówimy o polityce, w której istnieją inne relacje pomiędzy opozycją a większością, a

także inna większość. Czy komuniści wejdą, czy nie, do rządu, to kwestia drugorzędna. Nas interesuje to, co Togliatti nazywał „strefą rządu”, to znaczy obecność komunistów jako odpowiedzialnej siły. Wejść do strefy rządu oznacza wejść do strefy, gdzie z uwagi na siłę, którą dysponujemy, uważani jesteśmy za współodpowiedzialnych za pewne decyzje. Czy wyraziłem się jasno? Chcę powiedzieć, że w wielkim planie strategicznym, którym mamy się kierować, konkretna forma nowych relacji między nami a Chrześcijańską Demokracją jest czymś drugorzędnym. Nie wykluczamy wejścia do rządu, ale nie traktujemy wejścia do rządu jako warunku. Możemy nawet wziąć na siebie odpowiedzialność wejścia do rządu, ale jeśli inni będą robić z tego problem, nie będziemy rozpaczać. Nie zależy nam na fotelach ministerialnych. Zależy nam na tym, żeby się z nami konsultowano na czas, żebyśmy współuczestniczyli. A to już się dzieje, to prawda. Ale w zbyt małym stopniu. Innymi słowy, powiadamy: skoro nie potraficie rozwiązać problemów, czy możemy coś zrobić? Ja to nazywam „pożytkiem z parasola”. Ponieważ oni mieli zwyczaj mówić: „Wolę zmoknąć, niż wziąć parasol od komunisty”. Nadeszła jednak chwila, aby odpowiedzieć: „Pamiętajcie, że komunistyczny parasol może być pożyteczny”.

*Ale kiedy mówicie o Chrześcijańskiej Demokracji, mówicie o całej czy tylko o ugrupowaniu na lewo od Chrześcijańskiej Demokracji?*

Co do tego naprawdę się wahaliśmy. Przeszliśmy od całej Demokracji Chrześcijańskiej do Chrześcijańskiej Demokracji powstałej z ewentualnego podziału, a potem znowu wróciliśmy do całej. Była taka chwila, kiedy sądziliśmy, że kryzys teorii zbliżenia klas społecznych popycha Chrześcijańską Demokrację do rozłamu, tak jak stało się we Francji. A jednak utrzymała ona jedność, a nawet wyciągnęła korzyść ze swoich wewnętrznych konfliktów, z wielości swoich nurtów. Jest oczywiste, że nigdy nie liczyłem na odpryski religijnej kontestacji: niektóre zjawiska są objawem niepewności, nie są zaś faktem politycznym. A zatem dziś dylemat ten interesuje nas mniej. To Chrześcijańska Demokracja musi zrozumieć, że nie można przechodzić z taką dezynwolturą od otwarcia na prawo do otwarcia na lewo, od centroprawicy do centrolewicy. Możemy tylko sprzyjać jej spoglądaniu na lewo.

*A więc skoro mamy taki piękny związek małżeński, gdzie podzieją się inni? Na przykład socjaliści?*

Zgadzam się na komponent socjalistyczny, ponieważ istnieje elektorat socjalistyczny, który przetrwał błędy socjalistów. Ta wspaiała, cudowna wierność włoskiego elektoratu

socjalistycznego. Mimo tej wierności socjaliści spadli z dziewiętnastu procent do dziesięciu. Wraz z pięcioma procentami socjaldemokratów osiągają piętnaście procent. Czy to więc my zniszczymy jedność socjalistyczną, czy raczej jedność socjalistyczna sama znika w trakcie wymiany pokoleń? Chciałbym bardzo, żeby socjaliści uczestniczyli w kompromisie historycznym. Mają oni funkcję łącznika, mediatora, ponieważ wyrażają coś, co nie jest komunistyczne i nie jest chadeckie. Ale ich obecność w kompromisie historycznym nie zależy od nas, zależy od nich. A jeśli będą dalej się kłócić i dzielić... Wie pani, że mógłbym napisać historię podziałów socjalistycznych z pierwszej ręki? Z pierwszej ręki! Używając słów wszystkich socjalistów, którzy przychodzili do mnie, żeby się wyżalić, opowiedzieć mi o swoich problemach... To byłaby historia niekończących się kłótni, kłótni bezpodstawnych. Mówi pani, że we Włoskiej Partii Socjalistycznej występuje element anarchistyczny, bakuninowski. Ale występuje i u nas, komunistów! We Włoszech element anarchistyczny występuje wszędzie. Albo prawie. Ale my, komuniści, potrafiliśmy go zneutralizować albo przynajmniej wziąć jego dobrą część, to znaczy tendencje wolnościowe. Ależ tak! Ja wzmacniam element wolnościowy w Partii Komunistycznej. Niezależnie od tego, że ruch anarchistyczny był wspaniałą sprawą, nie można zapominać, że jego duch z nami pozostał. Proszę pomyśleć, że nawet Włoską Partią Komunistyczną nie da się kierować w sposób autorytarny. Jest jednak wielka różnica między wzmacnianiem takiego elementu a biernym tolerowaniem go!

*Proszę posłuchać, senatorze Amendola, nie żebym się niecierpliwiła. Przeciwnie, im później zdecydujecie, tym lepiej. Ale ten ślub Chrześcijańskiej Demokracji z Włoską Partią Komunistyczną kiedy nastąpi?*

Cóż! Według mnie niektóre działania trzeba przygotować, a poza tym... Czas realizacji zależy od przypadku, od dramatycznych reperkusji wydarzeń. Jednym słowem, to nie jest coś, co można zrobić na zimno. Potrzeba... Nie wiem, jak to określić...

*Jakieś traumy?*

Być może. Faszystowskiego zagrożenia na przykład. Albo pogłębienia kryzysu gospodarczego. Albo obu rzeczy naraz. Kryzys rozpoczął się wraz z wojną w Wietnamie, to znaczy z dewaluacją dolara, chaosem w handlu, zmienionymi stosunkami między Ameryką a Europą... Jeśli nie uda się doprowadzić do przeorganizowania ładu monetarnego i handlowego na skalę światową, czeka nas długi okres niestabilności ekonomicznej. Czekają nas także zaostrzenie walki klasowej. Jeśli kryzys się pogłębi, klasy panujące będą usiłowały przerzucić

jego ciężar na robotników angielskich, francuskich, niemieckich, włoskich, a ci się zbuntują. Ale zbuntuje się także drobnomieszczaństwo, które żyło dotąd w dobrych warunkach. Drobnomieszczaństwo nie zgodzi się chętnie na rezygnację z tego, co miało, a więc łatwo będzie je zmobilizować przeciwko demokracji. Historia uczy nas, że faszystowskie kalkulacje żywią się zawsze podobnymi sytuacjami, i gdyby zagrożenie faszystowskie stało się konkretne, element republikański i antyfaszystowski w Chrześcijańskiej Demokracji przystąpiłby do działania. Zgodziłby się na kompromis historyczny już bez wahania.

*To jest pytanie, które stawiam wszystkim: Czy ma pan na myśli zamach stanu?*

Zamachy stanu robi się w skali międzynarodowej. Gdyby więc we Włoszech zamachu stanu miały jedynie dokonać siły wewnętrzne, powiedziałbym, że nie obawiam się niczego. Nasze siły wewnętrzne nie działają jednak na własny rachunek; działają na rzecz sił obcych. Nie mam nawet na myśli Ameryki... wiemy, że w tym kraju istnieją sprzeczne dynamiki... mam na myśli obce siły związane z imperializmem w ogóle... jednym słowem, jak to jest, że nie można znaleźć odpowiedzialnych za masakrę na piazza Fontana? Jak to jest, że nie można dojść do tego, kto spowodował zamach na Fiumicino? Mówi o tym nawet Pertini, prawda? Cóż! Może dlatego, że my, starzy antyfaszyści, jesteśmy uczuleni. Może dlatego, że wszystko cuchnie nam faszyzmem. Może dlatego, że przeceniamy zagrożenie faszyzmem, bo widzieliśmy, jak faszyzm się rodzi, i żyliśmy w tym reżimie. Mamy jednak obowiązek powiadomić innych o naszym niepokojach. Dzisiejsza sytuacja w basenie Morza Śródziemnego wcale mi się nie podoba. Za dużo dyktatur w tym Śródziemnomorzu. Komuś może się nie podobać, że Włochy są jedynym demokratycznym półwyspem, może wręcz najbardziej demokratycznym krajem w Europie. A z pewnością najbardziej żywym w sensie kulturalno-politycznym. Tak, Włochy są krajem, który najbardziej walczy o wolność, krajem, gdzie jest najwięcej napięcia i najwięcej uczestnictwa w walce politycznej, i to niepokoi z pewnością tych, którzy chcieliby kontrolować region śródziemnomorski w określony sposób. A zatem ewentualność zamachu stanu we Włoszech związana jest z rozwojem sytuacji na świecie, z problemem bezpieczeństwa europejskiego, przede wszystkim z problemem bezpieczeństwa basenu Morza Śródziemnego. A zagrożenie istnieje. Tak, istnieje.

*A w takim wypadku będziemy potrafili się obronić?*

Odpowiem pani tak: tego nie da się zrobić w ostatniej chwili. Jeśli dziś w nocy przyjdą mnie aresztować, zastaną mnie w domu. Nie chcę goryla przed drzwiami ani goryla jako obstawy

towarzyszającej mi na ulicy. I jeśli wszystkich nas niespodziewanie aresztują, nie obronimy się; kiedy robotnicy zostają pozbawieni przywództwa na skutek wyeliminowania swoich liderów, niewiele mogą zrobić. Dodam jednak: zarówno w Chile, jak i w Grecji zamach stanu nie dokonał się nagle. A więc naszą rolą jest alarmować, abyśmy nie byli zmuszeni bronić się *in extremis*. Proszę posłuchać, aby zorganizować zamach stanu, potrzebne jest wojsko. Nie mam żadnego prawa wątpić w wierność włoskiego wojska; tak jak w sądownictwie, tak i w wojsku toruje sobie drogę pokolenie wyrosłe w czasach antyfaszyzmu i republiki. Ale wojsko związane jest z NATO i istnieje porozumienie między zagranicznymi tajnymi służbami a włoskimi tajnymi służbami. Porozumienie, które działa. Podśluchy telefoniczne na przykład przerażają mnie, ponieważ udowadniają istnienie tajnych kadr, których państwo oficjalnie nie kontroluje. Wyrażam się jasno? Skutki praktyczne mniej mnie niepokoją. Podsluchują rozmowy tak wielu osób, że może sobie pani wyobrazić, jaki z tego wynika zamęt? Co im przyjdzie z podsłuchiwania telefonicznej kłótni między moją żoną a teściową? Co wywnioskują z podsłuchiwania mojej rodziny? Włosi już zmądrzyli: jeśli nie chcą, aby o niektórych sprawach się dowiedziano, z pewnością nie mówią o nich przez telefon. Ale fakt, że mamy pięć tysięcy albo dziesięć tysięcy, albo dwadzieścia tysięcy telefonów na podsłuchu, martwi mnie, ponieważ zakłada istnienie wielkiej organizacji nieopłacanej przez państwo, a więc mogącej się stać narzędziem zamachu stanu. Zagrożeniem dla wolności.

*Proszę mi wybaczyć, ale teraz muszę panu powiedzieć coś nieprzyjemnego. Już od kilku godzin rozmawiamy o demokracji i wolności i gotowa jestem włożyć rękę w ogień za to, że pan osobiście w nie wierzy. Udowodnił to pan całym swoim życiem. Ale pan to nie Partia Komunistyczna i wobec was, komunistów, pozostaje zawsze to samo zastrzeżenie dotyczące wolności. W krajach, gdzie komuniści są u władzy, nie ma wolności. A waszym wzorcem był zawsze model radziecki, niebędący z pewnością symbolem wolności. No to jak to jest?*

Chwileczkę. Mówienie o modelu radzieckim jest nieścisle. Związek Radziecki odpowiada określonej rzeczywistości historycznej, niebędącej rzeczywistością włoską. W każdym razie gwarancji wolności, której pani się domaga, nie dają wypowiedzi nasze, komunistów. Pierwszy przyznaję, że kiedy mówimy, iż chcemy szanować wolność, ktoś może nam nie uwierzyć... Nasze życie i nasze świadectwo liczą się tylko do pewnego stopnia... prawdziwą gwarancją wolności jest zatem charakter naszego kraju, który jest krajem nieznoszącym przymusu. W ostatnich trzydziestu latach Włochy doświadczyły tyle wolności, że już w niej zasmakowały. I



bronią jej. A poza tym nikt nie może wpaść na pomysł, żeby samodzielnie zaprowadzić socjalizm we Włoszech. Socjalizm we Włoszech można zaprowadzić jedynie za pomocą wolności, systemu wielopartyjnego, uczestnictwa różnych sił. I na podstawie obiektywnych potrzeb, a nie doktrynerskiej logiki. Już mówiłem, że nie chcemy przeprowadzać reform na rzecz socjalizmu, ale dlatego, że reformy są konieczne. Mówiłem już, że ludzi, wielu ludzi socjalizm nie interesuje. I... ale przecież nawet w naszej partii nie ma zgody na brak wolności! Ale przecież nawet w latach, nad którymi ciążyła osobowość Togliattiego, był zawsze jakiś komunista, który wstawał, aby zadać bezczelne pytania, pytania, które w innej partii uznano by za lekceważące! W ostatnich dwudziestu latach naród wychował się we Włoszech do wolności i... Powiedziałem, Włochy i już? Powinienem być powiedzieć: Anglia, Francja, Niemcy, jednym słowem, Europa Zachodnia; kraje, gdzie klasa robotnicza ukształtowała się w walkach o wolność. Na przykład prawo do strajku.

*Aha...*

Zgoda. Strajków się nadużywa. Istotnie, mówimy o tym. Ale to nie klasa robotnicza nadużywa strajków, lecz inne kategorie pracowników. Uważam, że w niektórych dziedzinach podstawowych usług, na przykład w szpitalach, uciekanie się do strajku powinno być czymś wyjątkowym, czymś w interesie chorych, a nie kogoś innego. Występuje dziś rozdrobnienie korporacyjne strajków. Potrzeba więcej samodyscypliny, więcej świadomości politycznej. Jeśli ruch związkowy nie ma świadomości politycznej, popada w korporacjonizm: każdy działa na własny rachunek i kraj ginie. A więc kiedy ktoś nas pyta: czemu-nie-interweniujecie, odpowiadam: „Drodzy panowie, zawsze nam zarzucaliście, że nie chcemy niezależnego związku zawodowego. Teraz, kiedy jest niezależny, chcecie, żebyśmy interweniowali. Nie może tak być, żeby zjeść ciastko i mieć ciastko! My już możemy jedynie powiedzieć, że taki a taki strajk nie wydaje się nam słuszny”. Tak właśnie jest. Ale jakże to?! Oskarżano nas o to, że posługiwaliśmy się związkami zawodowymi, aby instrumentalizować walkę klasową, i chociaż ja nie uważam, że tak postępowaliśmy, trzeba przyznać, że w dawnym systemie syndykalizmu wpływy partii były naprawdę obecne. A dziś, kiedy to się już nie zdarza, dziś, kiedy jedność związków jest silna, dziś, kiedy związki są pełnoletnie, biada się nad niedogodnościami. Trudno! Życie składa się także z niedogodności! Nie zgadzam się z tymi, którzy powiadają: dziś-we-Włoszech-rządzą-zawiazki-zawodowe. Związki wywierają wpływ na partie, tak, to prawda, ale partie mają nadal dominującą rolę. Kto, jeśli nie partie, uczestniczy w powszechnych wyborach? Kto, jeśli nie

partie, decyduje o kierunkach życia narodu? Kto, jeśli nie partie, uchwała ustawy w parlamencie? Proszę posłuchać, mój sąd o dzisiejszych Włoszech nie jest negatywny.

*Nie jest?!*

Nie, nie jest.

*Pan zadziwia mnie coraz bardziej. Ponieważ prawdą jest, że nie chcecie już nikogo straszyć, prawdą jest, że nie jesteście już tacy jak przedtem, ale żeby mówić, iż we Włoszech wszystko jest w porządku! Czy nie jest to przypadkiem sposób, aby nie uznać win klasy politycznej, do której wy także należycie?*

Nie istnieje jedna klasa polityczna. To jest pojęcie wprowadzone we Włoszech przez amerykańską socjologię. Należę do partii, która nigdy nie była u władzy, i nie można mnie mylić z kimś, kto był w rządzie, kto władał Włochami przez ponad dwadzieścia lat. Moją jedyną odpowiedzialnością jest to, że przegrałem, to znaczy, że nie byłem zdolny zmienić biegu rzeczy. Jasne jest, że my, komuniści, nie zdołaliśmy dokonać zwrotu politycznego, którego kraj potrzebował. Jasne jest, że nie zdołaliśmy dokonać socjalistycznej rewolucji we Włoszech. Ale czy jest naszą winą, że kraj jej nie chciał, czy jest naszą winą, że socjaldemokraci, republikanie, czasami także socjaliści, jednym słowem, centrolewica, sprzyjali Chrześcijańskiej Demokracji? A jednak, powtarzam, mój sąd o dzisiejszych Włoszech nie jest negatywny.

*Jak na przedstawiciela opozycji, takie słowa to poważna sprawa.*

Niech pani posłucha, powtarzam zawsze młodym: Włochom nigdy nie było tak dobrze jak dziś. Było im zawsze gorzej niż dziś. Żyli zawsze w gorszych warunkach, jedli zawsze mniej. Kiedy byłem młody, średnia konsumpcji mięsa w Lukanii wynosiła jeden kilogram na rok *pro capite*. Dziś wynosi trzydzieści, czterdzieści kilogramów. Kiedy byłem młody, kobiety na Capri chodziły boso i z portu Marina pod górę nosiły worki z węglem. Dziś, gdziekolwiek się znajdziesz na południu, zobaczysz ludzi w butach. Mnóstwo dzieci chodzi do szkoły. Uczy się źle, ale chodzi. Nie zdarza mi się już brać udziału w zebraniach, na których większość składa się z robotników analfabetów, jak w 1945 roku w Neapolu. Co się tyczy wolności, poszerzyliśmy ją. Nie jest jeszcze tak, jak przewiduje konstytucja, ale... bądźmy uczciwi: we Włoszech nigdy nie mieliśmy tyle wolności. Nie została nam podarowana, zgoda. Została zdobyta, zgoda. Ale jest. Niektórzy powiadają nawet, że jest jej za dużo, że manifestacje tamują ruch uliczny. Cóż, może. Ale ja wolę to niż cmentarny spokój epoki faszystów, czyż nie? Trzeba przeprowadzić jeszcze wiele reform. To prawda. Już mówiłem, że reformy wymusza postęp, nie zaś brak postępu. A

obecny kryzys bierze się właśnie z postępu. Bierze się z faktu, że kraj się rozwija, zmienia. I wtedy młodzi zaczynają protestować, objawiać niezadowolenie, zarzucają mi, że bronię własnego pokolenia. Ale ja odpowiadam im: tak, bronię go, w przeciwnym razie musiałbym uznać, że nasze życie minęło nadaremnie. Nie twierdzę, że zrobiliśmy wszystko. Twierdzę, że zrobiliśmy, co do nas należało, i jeśli uważacie, że to nie dosyć, a zresztą słuszne jest, że tak uważacie, resztę zróbcie wy. Przekazać pałeczkę młodym, czyż nie na tym polega prawo natury? Może my, starzy, czujemy się zbyt usatysfakcjonowani tym, co zrobiliśmy, a wy jesteście niezadowoleni. Skoro jesteście niezadowoleni, zróbcie to lepiej niż my. Nie powiem wam tego, co Treves mi powiedział: „Zostaliśmy pokonani, szukajcie własnej drogi”. O, nie! Nie jesteśmy pokonani! Bronię z przekonaniem mojego stanowiska! Zastanowiwszy się nad bilansem życia i walki, mogę śmiało powiedzieć: to nie jest zły bilans. I tym zamykam naszą rozmowę.

*Dziękuję i raz jeszcze gratuluje, senatorze Amendola. Nie nudziłam się, czytając pana, i nie nudziłam się, słuchając pana. Przeciwnie, dobrze się bawiłam. Jediną rzeczą, która mnie teraz martwi, jest to, jak zasugerować Włochom, aby szykowali się do włożenia blaszanych majtek. Kiedy bigoteria chadeków i purytanizm was, komunistów, połączą się w kompromisie historycznym, będzie gorzej niż za królowej Wiktorii!*

*Rzym, styczeń 1974*

## Willy Brandt

Historia ustali, w jakiej mierze Willy Brandt był wielkim mężem stanu i wielkim człowiekiem, ale jest już pewne, że jako przywódca był jedyną znaczącą postacią Europy Zachodniej w okresie powojennym. W dodatku to on kierował przez lata nowymi Niemcami, to znaczy Niemcami, które nie budziły już nienawiści i strachu, a jeśli już, to zazdrość innych krajów. Wiele w tym zasługi samego Brandta, ale jego największą zasługą jest to, że przekonał nas, iż słowo Niemiec nie oznacza Hitlera. Hitlera zwalczał już w wieku lat czternastu „na słowa i pięści”. Przeciwno nazistom pisał, z nazistami się bił, od nazistów uciekł, chroniąc się w krajach skandynawskich, gdzie kontynuował walkę. A niewielu było Niemców, którzy tak postąpili. Z pewnością to nie on powinien uklęknąć w Warszawie przed pomnikiem Żydów zamordowanych przez Trzecią Rzeszę. To nie on powinien czytać psalm przebaczenia w Jerozolimie. A jednak to zrobił i wydaje mi się, że nie jest to mniej ważne od jego Ostpolitik, od jego europejskości, od jego socjalizmu, który jest może bardziej poszukiwaniem socjalizmu niż samym socjalizmem; niech jednak rzuci pierwszy kamieniem ten, kto może powiedzieć, że zaprowadził socjalizm. Jedno jest poza dyskusją: ów tak krytykowany socjalizm Willy’ego Brandta przysłużył się lepiej niemieckim robotnikom niż tyle utopii, a w dodatku nie przekreślił wolności. W kulcie wolności ten człowiek, często nielubiany, ale zawsze szanowany, dorastał, został dziennikarzem, pisarzem, burmistrzem Berlina, kanclerzem i zawsze zajmował jasne stanowisko. Willy Brandt jest jedynym szefem państwa, który wypowiedział się z taką samą jasnością i taką samą siłą przeciwko greckim pułkownikom i radzieckim funkcjonariuszom, którzy wysyłają do szpitala psychiatrycznego tych, co myślą inaczej niż oni.

Jego biografia jest wyjątkowa już od chwili narodzin, 8 grudnia 1913 roku w Lubece: przyszedł na świat jako syn młodej niezamężnej działaczki związkowej. Nigdy nie poznał swojego ojca, a jego ojciec nigdy go nie uznał. Dopiero w wieku trzynastu lat usłyszał jego nazwisko, które brzmiało jak szwedzkie, norweskie albo duńskie. W jednej z książek pisze: „Chłopiec usłyszał je, ale nie wykazał zainteresowania. A może jednak? Gęsta zasłona rozpościera się nad tamtymi latami, szara jak mgła w porcie Lubeki. Twarze i postaci mieszają się niczym cienie, które wypływają na powierzchnię i znikają... Trudno mi uwierzyć, że ten chłopiec zwany Herbertem Frahmem to byłem ja”. Nie lubi mówić o swoim ojcu. Oniemiałam, kiedy mi wyznał, że zawsze wiedział, kim on jest: „Żył jeszcze po wojnie, ale i wtedy nie

chciałem się z nim spotkać”. Trzeba przypomnieć, że piętno nieślubnego syna bardzo mu utrudniło karierę polityczną. Jego przeciwnicy posłużyli się nim haniebnie nawet w kampaniach wyborczych. Szczególnie Adenauer. Ale jeśli rzuca to ponury cień na nasze myślenie o Adenauerze, pomaga zrozumieć Brandta. Często wyróżniamy się na tle innych, bo życie przyniosło nam upokorzenia i cierpienie; wielkie sny, a czasami nawet sukces rodzą się często z głodu i nieszczęścia. Być może gdyby Willy Brandt w dzieciństwie bawił się, siedząc na kolanach ojca, dzisiaj nie byłby Willym Brandtem.

Niezbyt przypomina swoich rodaków. Przez dwanaście lat był Norwegiem i przyznaje naiwnie, a raczej z zuchwałą szczerością, że ma Norwęgę we krwi: „Kiedy jeszcze jako chłopiec uciekasz do jakiegoś kraju, którego kulturę i język przejmujesz, tracisz jedną ojczyznę, aby zyskać drugą. Dla mnie Norwegia stała się drugą ojczyzną”. Czy jest nią nadal? Im dłużej mu się przyglądasz i go słuchasz, tym bardziej się zastanawiasz, gdzie kończy się w nim Niemiec, a zaczyna Norweg. Albo na odwrót. W Norwegii ma dom i wraca tam co roku na wakacje. W Norwegii ma najbliższych przyjaciół. W Norwegii znalazł pierwszą i drugą żonę, tak że jego dzieci są w połowie Norwegami. Po norwesku pisze lepiej niż po niemiecku, co było kolejnym zarzutem ze strony Adenauera, który nazywał go cudzoziemcem. Na paszporty patrzy z dystansem, powiedziałabym, że ze wzruszeniem ramion. I czyż nie jest czymś nadzwyczajnym, że ktoś tak wyzbyty małostkowych nacjonalizmów reprezentował i nadal reprezentuje kraj, który rozpętał drugą wojnę światową w imię nacjonalizmu właśnie? Brandt został z powrotem obywatelem niemieckim dopiero w 1946 roku: wybranie go przynosi zaszczyt nowym Niemcom. Pozbawienie go zaś władzy w aurze skandalu przynosi im wstyd. Z jakiegokolwiek punktu widzenia patrzyłoby się na tę sprawę, nie zasługiwał na skandal wywołany przez własnego sekretarza, który go szpiegował na rzecz Sowietów, ani na szantaż, który z tego wyniknął. Szczególnie szantaż był prawdziwą hańbą.

Ten wywiad został przeprowadzony w jego gabinecie w Bundeskanzleramt w dwóch częściach: we wtorek 28 sierpnia i poniedziałek 3 września 1973 roku. Rzadko się zdarza, aby wywiad stał się portretem człowieka, ale tym razem tak było. Nie tyle z powodu tego, co mówi czy nie mówi, ile sposobu, w jaki mówi to, co mówi. Wypowiada się w sposób precyzyjny, obszerny, surowy. Prawie nigdy nie ucieka się do dowcipnych odpowiedzi, które naruszyłyby jego powagę, do wyznań, które zmniejszyłyby jego rezerwę. Jeśli próbujesz zagłębić się bardziej w meandry jego duszy, wycofuje się elegancko i milczy. Próbowalam wielokrotnie: na próżno.

Otwierał szeroko drzwi, kiedy zadawałam pytania politykowi, zamykał je, kiedy szukałam człowieka. Nigdy nie napotkałam takiej nieśmiałości, takiej rezerwy. Dlatego trudno mi widzieć go tak, jak widzą go inni, to znaczy jako wesołego Niemca, który przepada za kobietami, winem, piwem, głośnym śmiechem. Łatwiej mi go utożsamić z chłopem znad fiordu, którego opisuje w wywiadzie. Twardym, nieustępliwym, masywnym i wrogim wobec błahostek. Nawet jego uprzejmość pozbawiona jest błahości, tak jak serdeczność, z którą cię przyjmuje. Szkoda, że nie mogłam z nim porozmawiać w cztery oczy. Przy wywiadzie był obecny jego doradca Klaus Harpprecht, szef biura prasowego, jego stenograf, któremu nie dość było robienia notatek, więc nagrywał wszystko na magnetofon ustawiony obok mojego. Wyglądało to na spotkanie na szczycie, zebranie rangi państwowej. On tak chciał. I chociaż początkowo mi to przeszkadzało, wkrótce wzbudziło mój szacunek. Cóż za ulga znaleźć się pośród ludzi, którzy zachowują się poważnie.

*ORIANA FALLACI. Szczerze mówiąc, nie wiem, od czego zacząć, panie kanclerzu Brandt. Za dużo jest rzeczy, o które chciałabym spytać, włącznie z historią pańskiego nazwiska, bo nie jest ono takie, z jakim przyszedł pan na świat. Nazywał się pan Herbert Frahm i...*

WILLY BRANDT. Tak, nazwiska Willy Brandt zacząłem używać na początku 1933 roku, zanim opuściłem Niemcy i po tym, jak naziści doszli do władzy. Wybrałem je jako *nom de guerre*, bo zamierzałem się poświęcić podziemnej walce przeciwko Hitlerowi. Pod tym nazwiskiem pojechałem za granicę, kiedy miałem dziewiętnaście lat. Pod tym nazwiskiem zacząłem pisać do gazet i wydawałem swoje książki, pod tym nazwiskiem zaangażowałem się w politykę i stałem dorosłym, a także wróciłem do Niemiec pod koniec wojny. Wszystko łączy się z tym nazwiskiem i nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby wrócić do tego, z którym się urodziłem.

*Zresztą jako Willy Brandt się pan ożenił, przyjął obywatelstwo norweskie, no właśnie: może powinniśmy od tego wyjść. To znaczy od faktu, że przez lata był pan obywatelem innego kraju. Oprócz Żydów nie było wielu obywateli niemieckich, którzy opuścili hitlerowskie Niemcy.*

A jednak wielu je opuściło. Jeśli weźmie pani jako przykład moje miasto, Lubekę, okaże się, że wielu wyjechało. I jest oczywiste, że niemal wszyscy byli starsi ode mnie. Dlaczego opuściłem Niemcy? Ponieważ gdybym został, aresztowano by mnie i wysłano do obozu koncentracyjnego. Nie miałem zbyt wielu szans, żeby sobie poradzić w tamtym pierwszym okresie. Nawet gdybym nie wyemigrował, musiałbym opuścić Lubekę. Ale nawet opuściwszy Lubekę, nie mógłbym uczęszczać na uniwersytet, i to był powód, który skłonił mnie do ucieczki.

Po ukończeniu szkoły zacząłem pracować jako pośrednik w agencji wynajmu statków i przez rok to była interesująca praca. Ale ja chciałem studiować historię, a w hitlerowskich Niemczech nie było już możliwe studiowanie historii. A zatem, kiedy tylko nadarzyła mi się okazja... Pewien mężczyzna, który był członkiem mojej grupy, musiał uciekać do Norwegii, aby otworzyć tam biuro i zająć się problemami związanymi z naszym ruchem oporu. Wszystko było gotowe, rybak miał go zabrać z miejsca niedaleko od domu, gdzie mieszkałem. Miałem mu pomóc i pomogłem, ale i tak mu się nie udało. Został aresztowany i wysłany do obozu koncentracyjnego. Wtedy moi berlińscy przyjaciele spytali mnie, czy chcę jechać zamiast niego. Nie wyobrażałem sobie, co oznacza przebywanie tak długo na emigracji. Mowa była o roku, maksimum czterech latach. Nie należałem do optymistów, ale łudziłem się, że nie będzie to wszystko trwało dłużej niż pierwsza wojna światowa. A jednak trwało dwanaście lat.

*Te dwanaście lat spędzonych w krajach skandynawskich, z czego uczynili zarzut pańscy adwersarze. A więc zadam panu następujące pytanie: Czy nie żałuje pan, że nie brał pan udziału bezpośrednio, to znaczy w Niemczech, w walce przeciwko nazizmowi?*

Udowodniłem, wówczas i później, że jestem gotów ryzykować życiem za każdym razem, kiedy to konieczne. A także kiedy nie było to konieczne. Wróciłem nielegalnie do hitlerowskich Niemiec. Pozostałem tam kilka miesięcy, zanim uciekłem po raz drugi, ponieważ już mnie mieli złapać. Pojechałem do Norwegii, a po zajęciu jej przez Hitlera, do Szwecji. A zatem ryzykowałem. I jeśli zastanawiam się nad pani pytaniem z racjonalnego punktu widzenia, odpowiadam: gdybym został w Niemczech, zamiast emigrować, prawdopodobnie nie miałbym takich okazji, aby rozwinąć się i przygotować do tego, co robiłem później w Berlinie. Mam na myśli przede wszystkim moje europejskie i międzynarodowe doświadczenia. Oczywiście, wszystko ma swoją cenę. A cena, którą musiałem zapłacić, była bardzo różna od ceny zapłaconej przez większość moich rodaków. To była cena wyjazdu. Tak, to prawda, niektórym wydało się to dziwnym sposobem zapłaty i tak sądząc, dostarczyli moim przeciwnikom okazji do wrogiej kampanii przeciwko mnie. Odpowiadam im, że w takim razie jest równie dziwne, iż tylu Niemców utożsamia się ze mną i obdarza mnie zaufaniem. Powiedziałem: dziwne? Powinienem być powiedzieć: piękne. To naprawdę piękne, że tylu Niemców obdarza zaufaniem człowieka, który miał życie inne niż oni. Nie lepsze. Inne.

*Panie kanclerzu Brandt, przypuszczam, że mówiąc o zapłaconej cenie, ma pan na myśli także to, że po wyjeździe został pan pozbawiony obywatelstwa niemieckiego. Czy cierpiał pan z powodu utraty niemieckiego obywatelstwa i przyjęcia obywatelstwa norweskiego?*

Nie.

*Dlaczego? Czy zbyt już pan kochał Norwegię?*

Tak. Uważałem ją za moją drugą ojczyznę. Ponieważ, kiedy za młodu ktoś trafia do kraju, gdzie czuje się jak w domu i opanowuje dobrze język... nauczyłem się bardzo szybko norweskiego i nauczyłem się go dobrze. Mówiłem wielokrotnie, że pisałem po norwesku o wiele lepiej niż po niemiecku. I to była prawda, chociaż dzisiaj to już nie jest prawda. Poza tym kiedy w kraju, który cię przyjmuje, znajdujesz wielu przyjaciół, kiedy przyswajasz sobie do głębi jego kulturę, kiedy przychodzi ci to łatwo, bo wywodzisz się z Bałtyku... No właśnie: czujesz, że różni cię to od twoich rodaków, ale czujesz się też wzbogacony o coś, czego normalnie byś nie miał. Jasne? Chcę powiedzieć, że na początku tracisz jeden kraj, a w końcu zyskujesz inny. Nie odkryłem tego dzisiaj, bo zawsze wyznawałem tę prawdę. Podczas wojny napisałem w przedmowie do książki wydanej w Szwecji: „Działam jednocześnie na rzecz wolnej Norwegii i demokratycznych Niemiec. To znaczy na rzecz Europy, gdzie Europejczycy mogliby żyć”. W każdym razie przyjęcie obywatelstwa norweskiego nie oznaczało dla mnie wyrzeczenia się Niemiec. Albo raczej – mojego pojmowania Niemiec.

*Odwróć więc poprzednie pytanie. Czy było dla pana czymś bolesnym utracić obywatelstwo norweskie, żeby odzyskać obywatelstwo niemieckie?*

Nie. Istnieją kraje, które nie stawiają nas twarzą w twarz wobec takiego wyboru. Gdybym został obywatelem amerykańskim, nie musiałbym zwracać paszportu i mógłbym zachować oba obywatelstwa. W Norwegii to niemożliwe. Albo jesteś obywatelem norweskim, albo nim nie jesteś. Oddałem więc norweski paszport, nie robiąc z tego dramatu, wiedząc wręcz, że paszport nie ma wpływu na twoją postawę i twoje więzi z innymi. Wiedziałem, że będę dalej przyjeżdżać do Norwegii, mieć tam przyjaciół, mówić ich językiem, że, jednym słowem, moje więzi nie zostaną zerwane z powodu paszportu. Wielu ludzi ma paszport, który nie odpowiada ich narodowości, i jeśli pani mnie spyta: „Czy to ważne mieć paszport?”, odpowiem: Ważne przede wszystkim po to, by móc przekraczać granice, ale kwestię dokumentów często się przecenia. Tożsamość narodowa jest czymś innym.



*A zatem to poszukiwanie narodowej tożsamości, ojczyzny, zawiodło pana po wojnie do Berlina?*

Nie. Do Niemiec wróciłem jako dziennikarz jesienią 1945 roku, a potem w 1946. Wróciłem, aby być na procesie norymberskim i pojeździć trochę po kraju. Zaproponowano mi kierowanie gazetą czy agencją prasową w Niemczech, ale nic z tego nie wyszło. Wówczas mój dobry przyjaciel Halvard Lange, który był wtedy ministrem spraw zagranicznych, powiedział mi: „Jeśli nie wracasz do Niemiec w ciągu najbliższego roku, dlaczego nie zatrudnisz się w moim ministerstwie i nie pojedziesz do Paryża z norweską misją dyplomatyczną?”. Ale kiedy już miałem się zgodzić, zmienił zdanie: „Premier i ja sądzymy, że byłoby lepiej, gdybyś pojechał do Berlina w charakterze attaché prasowego z zadaniem dostarczania norweskiemu rządowi informacji politycznych”. I tak się stało. Jasne jest, że wybór Berlina ugruntował we mnie ów proces utożsamienia się z Niemcami. Więcej: jasne jest, że ugruntował się on znacznie wcześniej, niż gdybym pojechał do Paryża. Prawdopodobnie gdybym pojechał do Paryża, wszedłbym w skład jakiejś międzynarodowej organizacji. I przynajmniej przez kilka lat...

*Pozostałby pan obywatelem norweskim.*

No cóż, tak. Przynajmniej przez jakiś czas, tak. Potem może nie. Istotnie, gdybym poczekał jeszcze trochę dłużej, nie miałbym już potrzeby wystąpienia o ponowne przyznanie obywatelstwa niemieckiego. Zgodnie z konstytucją z 1949 roku wystarczyłoby mi stawić się w biurze i powiedzieć: „Przyszedłem, żeby odzyskać narodowość, której pozbawili mnie naziści”. Ja natomiast poprosiłem o ponowne zostanie niemieckim obywatelem, zanim jeszcze powstało nowe państwo niemieckie: wiosną 1948 roku. Rzeczywiście... Proszę tylko pomyśleć: w Szlezwiku-Holsztynie przywrócili mi narodowość na papierze, na którym była jeszcze wydrukowana swastyka! Tak, tak! Byli tak biedni, że nie mieli nawet nowych formularzy. Musieli ukryć swastykę, zamazując ją piórem. Przechowuję ten dokument w domu. Przechowuję go jako pamiątkę po sposobie, w jaki zostałem ponownie niemieckim obywatelem.

*Zabawne. Ale nie mogę uwierzyć, że powrócił pan do Niemiec przez przypadek, a nie z powodu sentymentu.*

A jednak tak było. Nie miało to nic wspólnego z sentymentem. Nie. Wróciłem do Berlina z tego prostego powodu, że Berlin był interesujący. Był w centrum kontrowersji między Wschodem a Zachodem. Był miejscem, gdzie należało być. Że przyspieszyło to mój proces identyfikacji, to inna sprawa. I nie mam tylko na myśli procesu identyfikacji politycznej: mam na

myśli proces identyfikacji z ludźmi, którzy żyli w nędzy, przegrani. Berlin był kupą gruzów, ale wśród tych ruin kwitły największe zalety tego narodu. Tak, to się często zdarza w trudnych czasach, ale zadziwia za każdym razem. Och, morale berlińczyków nie było nigdy tak wysokie, jak w pierwszych latach po wojnie. Nawet podczas blokady nie miało być równie wysokie. Więc mój proces identyfikacji...

*Ale co pan rozumie przez identyfikację? To, co nazywa się ojczyzną?*

Nie. To nie ojczyzna mnie odzyskała. To był naród, który przeszedłszy przez dyktaturę i wojnę, i zniszczenie, próbował odbudować życie w oparciu o wolność. Tak, to właśnie skłoniło mnie do stania się na powrót Niemcem. To była fantastyczna chęć pracy, która tkwiła w każdym z nich, zdolność odnoszenia sukcesu, wola pomagania sobie nawzajem... Wola, którą utraciliśmy, bogacąc się... Czuło się w powietrzu, że jesteśmy wszyscy złączeni we wspólnym wysiłku, mimo ekonomicznej nędzy. Rozumie pani? To była kwestia wartości ludzkich i moralnych, bardziej niż narodowych. Im bardziej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem przekonany, że w tamtych latach w Berlinie zakorzeniła się we mnie idea Europy. A raczej przyszłości Europy.

*Zastanawiam się, czy w głębi serca, a raczej w głębi mózgu, nie jest pan bardziej Europejczykiem niż Niemcem.*

Cóż... Spodziewać się takiego wyznania od niemieckiego kanclerza na progu sześćdziesiątki to zbyt duże wymaganie. Szczególnie, kiedy się wie, że Europa nie zachowała się tak jak powinna. Nie, nie można ode mnie żądać, abym się czuł albo zachowywał bardziej jak Europejczyk niż Niemiec. Nie można nawet ode mnie żądać, abym sprawiał takie wrażenie. Powiedzmy więc, że próbuję być dobrym Europejczykiem, kiedy przyjmuję na siebie odpowiedzialność jako Niemiec. I na pani pytanie odpowiadam: Nie, jestem Niemcem.

*Rozumiem. Ale w takim razie... myślę o pańskiej wizycie na terenie dawnego getta w Warszawie... pytam pana: Do jakiego stopnia ciąży na panu kompleks winy, który pańskie pokolenie dźwiga na plecach wraz ze słowem Niemiec?*

Widzę różnicę między winą a odpowiedzialnością. Nie czuję się winny i uważam, że nie jest słuszne ani poprawne przypisywanie tego poczucia winy mojemu narodowi i mojemu pokoleniu. Wina jest czymś, co przypisuje się jednostce, nigdy narodowi ani pokoleniu. Odpowiedzialność to co innego. I chociaż opuściłem Niemcy bardzo wcześnie, chociaż nigdy nie byłem zwolennikiem Hitlera, oględnie mówiąc, nie mogę zwolnić siebie samego z pewnej

odpowiedzialności. Czy współodpowiedzialności. Tak: nawet gdybym nie miał nic wspólnego z moim narodem, czułbym się współodpowiedzialny za dojście Hitlera do władzy. Trzeba bowiem zadać sobie pytanie: Dlaczego doszedł do władzy? I trzeba odpowiedzieć: Nie tylko dlatego, że miliony były dostatecznie głupie, żeby pójść za nim, ale dlatego, że inni nie potrafili go zatrzymać. Byłem wówczas młody, zgoda. Ale ja też należę do tej grupy ludzi, którzy nie potrafili go zatrzymać. W życiu narodu decydujący moment następuje wtedy, kiedy naród pozwala, aby władza trafiła w ręce zbrodniarzy. A także kiedy naród, mając taką możliwość, nie wykorzystuje jej, żeby stworzyć warunki niezbędne do powstania odpowiedzialnego rządu. Ponieważ później nic już się nie da zrobić. Później jest coraz trudniej przepędzić zbrodniarzy, którzy przejęli władzę. Jednym słowem, sądzę, że współodpowiedzialność zaczyna się wcześniej i kończy później. I niestety taka współodpowiedzialność ciąży także na młodych. Nie w takiej mierze, jak na ojcach, ale... Przywołała pani Warszawę...

*Bo pan padł na kolana w Warszawie, panie kanclerzu Brandt.*

Nie padłem na kolana dlatego, że miałem do wyznania jakąś winę, ale dlatego, że chciałem się utożsamić z moim narodem. To znaczy z narodem, z którego wyszli ci, którzy popełnili tak straszliwe czyny. Ten gest nie był skierowany jedynie do Polaków. Był skierowany także do Niemców. Myli się ten, kto sądzi, że zwróciłem się tylko do ofiar nazizmu czy do ich rodzin. Zwróciłem się także i przede wszystkim do ludzi z mojego kraju. Ponieważ wielu, zbyt wielu powinno wiedzieć, że nie są sami i że trzeba razem nieść ten ciężar.

*Czy zdecydował się pan na ten gest w ostatniej chwili, czy myślał już pan o nim wcześniej?*

Nie myślałem o nim wcześniej, ale skąd możemy wiedzieć, co zamierza nasza podświadomość? Z pewnością pomysł powstał już w mojej podświadomości, ponieważ, pamiętam, tamtego ranka obudziłem się z dziwnym wrażeniem, że nie ograniczę się do złożenia wieńca i tyle. Intuicyjnie czułem, że coś się stanie. Ale nie wiedziałem, co. Potem, nagle, poczułem potrzebę ukłęknięcia.

*A w Jad wa-Szem, podczas ostatniej podróży do Izraela? Na gest w Jad wa-Szem nie można zdecydować się w ostatniej chwili.*

Ma pani rację. Zanim pojechałem do Izraela, zastanawiałem się długo, co mógłbym robić. Słyszałem, że nazywają Jad wa-Szem miejscem prawdy, straszliwej prawdy poza wszystkim, co umysł ludzki może sobie wyobrazić. I chciałem nadać rzeczywistość tej prawdzie, ponieważ...

Auschwitz dowiódł, że piekło na ziemi istnieje. Chyba już o tym mówiłem, chyba w Warszawie. I chyba już mówiłem, że kiedy byłem w Szwecji, wiedziałem, co dzieje się w Niemczech. Dowiedziałem się wcześniej niż większość tych, którzy żyli w Niemczech i poza nimi. I tak, kiedy przygotowywałem się do podróży do Izraela, ogarnęło mnie na powrót to poczucie współodpowiedzialności, które próbowałem wyjaśnić pani wcześniej. I tak jak w Warszawie, pomyślałem, że nie mogę z kamienną twarzą czy też z twarzą, na której maluje się wzruszenie, ograniczyć się do złożenia wieńca. Kiedy już stanę wobec tego, co się stało, będę musiał zareagować w jakiś sposób na swoją bezsilność. Rozumie pani? Chciałem coś zrobić, nie chciałem pozostać bierny. Powtarzałem sobie: Musi być jakiś gest dla dobra Niemców i Żydów, gest, który otworzy drogę do przyszłości. Och, nie chcę mówić nierozważnie o pogodzeniu się, nie ode mnie ono zależy. Ale rozwiązanie, które znalazłem, wydało mi się słuszne, ponieważ z narodem żydowskim mamy jedną ważną rzecz wspólną: Biblię. Albo przynajmniej Stary Testament. Dlatego postanowiłem przeczytać Psalm 103, od wersu ósmego do wersu szesnastego: „Miłosierny i litościwy jest Pan, nieskory do gniewu i wielce łaskawy...”. Postanowiłem przeczytać te słowa po niemiecku, w języku Marcina Lutera. Niektóre wyrażenia były jednak trudne do zrozumienia. Szczególnie dla młodych. A zatem kiedy leciałem do Tel Awiwu, przestudiowałem tekst i porównałem przekład Marcina Lutera z wersją hebrajską. Zachowałem niemal wszystkie poetyckie wyrażenia Marcina Lutera i dodałem kilka zdań z Biblii Żydów. Sądzę, że Izraelczycy dobrze zrozumieli, co chciałem powiedzieć. I dlatego będę im zawsze wdzięczny.

*Zależało panu bardzo na tej podróży do Izraela, prawda? Być może bardziej niż na podróży do Warszawy.*

To były dwie różne sprawy, ponieważ w Warszawie nie znałem nikogo i wszystko było dla mnie nowe. W Izraelu natomiast byłem już w 1960 roku jako burmistrz Berlina, spotkałem się tam z Ben Gurionem i Eshkolem. Na międzynarodowych kongresach partii socjalistycznych spotkałem kilkakrotnie Goldę Meir. Ale... to prawda, na podróży z ubiegłego czerwca bardzo mi zależało, ponieważ jechałem jako przedstawiciel mojego państwa i mojego narodu. Jednym słowem, nie jako Willy Brandt, lecz jako przedstawiciel nowych Niemiec. Wyjaśnię to dokładniej: Jerozolima nie była moim pierwszym czy ostatnim spotkaniem z przeszłością. Pojadę jeszcze do Lidic, kiedy będę w Czechosłowacji. Ale Jerozolima jest miejscem najważniejszym: tym, które wyraża najpełniej czarne strony naszej historii. Oznacza uznanie naszej niemieckiej

odpowiedzialności, przypomina, że nic z tego, co zrobiliśmy, nie może być zapomniane ani przekreślone. Nie, nie może... Nie może... Nie o to chodzi, że pozostało jeszcze coś do wyznania. Już wszystko jest wiadome. Ale o uznanie naszej odpowiedzialności... Cóż, służy to nie tylko oczyszczeniu naszego sumienia, ale i wspólnemu życiu. Żydzi, Polacy, Niemcy. Ponieważ musimy żyć wspólnie.

*Golda Meir jednak, kiedy przeprowadzałam z nią wywiad w listopadzie ubiegłego roku, powiedziała mi, że nigdy jej noga nie mogłaby postać w Niemczech.*

Wiem. Powiedziała o tym również innym. I nie mogę jej za to potępić. Zaprosiłem ją jednak oficjalnie, zgodziła się, zarówno prywatnie, jak i publicznie, i mam nadzieję, że przyjedzie. Naprawdę mam taką nadzieję. Jestem pewny, że jest gotowa przyjechać, i chcę wierzyć, że moja wizyta w Izraelu przyczyniła się może do oswojenia jej z myślą o tym, że jej noga postanie jednak w Niemczech. Golda to wielka kobieta. Kobieta fascynująca. Kobieta o postawie niemal biblijnej. Wszyscy znamy jej zalety, które tylko ludzie zacofani określają jako męskie. Jej żelazna wola na przykład, jej przebiegłość. To nie są cechy ani męskie, ani kobiece, to są po prostu cechy. A poza tym jest w Goldzie tyle ludzkiego ciepła... Ja twierdzę, że przyjedzie.

*Taka wiara dobrze charakteryzuje Willy Brandta. Ale, à propos wiary, chciałabym wrócić do tematu, który ledwo poruszyliśmy, ale którego nie możemy z panem nie zgłębić: Europy. Przed chwilą wspomniał pan o niej w tonie przygnębienia. Czy nigdy nie ogarnia pana podejrzenie, że może Europa jest utopią?*

Nie. Europa może powstać. Europa już powstaje. Z pewnością nie rozwinęła się i nie rozwinie tak, jak tego oczekiwali nasi przyjaciele Amerykanie po drugiej wojnie światowej, kiedy mówili o Stanach-Zjednoczonych-Europy. Amerykanie popełnili błąd, porównując możliwości zjednoczenia Europy z tym, co wydarzyło się w Stanach Zjednoczonych. Takie porównanie nie ma sensu. Stany Zjednoczone są kotłem, w którym wrze rzeczywistość zbyt różna od naszej, i stworzenie Europy to coś całkiem innego. Stworzyć Europę oznacza zachować wartość narodowych tożsamości, a następnie nałożyć na nie strukturę europejskiego rządu. I chociaż niestety bardzo wolno, chociaż bez politycznego sex appealu, chociaż wbrew biurokratycznym procedurom, czyż coś takiego właśnie się nie dzieje? Czyż nie poruszamy się swobodnie po Europie? Czyż nie ma w Europie wymiany na skalę niespotykaną nigdy

wcześniej? Ależ tak, Europa właśnie się tworzy! Jestem o tym coraz bardziej przekonany, kiedy porównuję dzisiejszą Wspólnotę Europejską z tą sprzed czterech czy pięciu lat.

*Ależ, panie kanclerzu Brandt, Europa, którą nazywamy Europą, to jest maleńka Europa! To nie jest nawet pół Europy!*

Proszę posłuchać, byłbym szczęśliwy, gdybyśmy potrafili zbudować Stany Zjednoczone Europy. Gdybym mógł wybierać między Europą w całości zjednoczoną a zjednoczoną częścią Europy, wybrałbym tę pierwszą, to jasne. Ale nie jest to możliwe, nie jesteśmy w stanie wybrać między rozwiązaniem niedoskonałym a rozwiązaniem bardziej niż doskonałym. Trzeba działać na rzecz Europy podzielonej na pół, a nawet na trzy części. Trzeba działać na rzecz Europy Zachodniej, to znaczy zdolnej zmierzać w stronę wspólnego rządu. Poza tym poprzez politykę odprężenia, która już się rozpoczęła, trzeba zwiększać kontakty między Europą Wschodnią a Zachodnią, pomimo różnic, jakie istnieją między nimi a naszym ustrojem społecznym, między nimi a naszą strukturą polityczną. Och, gdyby ktoś mi ofiarował sposób na zjednoczenie czegoś więcej niż Europa Zachodnia, powiedziałbym: Dobrze, doskonale, dziękuję. Ale nie jest to możliwe, nie jest to możliwe. Poza wszystkim, istnieje rzeczywistość, którą nazywam trzecim wymiarem: Europa plus Stany Zjednoczone. Stany Zjednoczone jako część Europy w dziedzinie bezpieczeństwa....

*A więc pan nie myśli o Europie neutralnej, zdolnej stanowić element równowagi między dwoma mocarstwami?*

Nie, nie patrzyłbym na Europę jako na siłę usytuowaną między dwoma światowymi mocarstwami. Nie mówiąc o tym, że kiedy się mówi o światowych mocarstwach, nie należy mówić o dwóch, lecz o trzech, a więc należałoby mówić o Europie jako o czwartym mocarstwie, i dołączyć jeszcze piąte mocarstwo, to znaczy Japonię... Nie mówiąc o tym, że traktowanie Europy jako czwartego mocarstwa nie ma sensu, bo gdyby zjednoczona Europa przystąpiła do handlu, stałaby się mocarstwem numer jeden w handlu światowym... Nie, nie chcę sprawiać wrażenia, że dążę do Europy, która prowadziłaby neutralną politykę względem dwóch bloków reprezentowanych przez Stany Zjednoczone i Związek Radziecki. Oczywiście ze Stanami Zjednoczonymi chcę stosunków innych niż ze Związkiem Radzieckim. Ze Stanami Zjednoczonymi chcę stosunków partnerskich, chociaż jednocześnie chcę polityki niezależnej. Przypuszczam zresztą, że Stany Zjednoczone chętnie widziałyby nasze bardziej niż dotąd dojrzałe zachowanie.

*A więc... zjednoczenie Niemiec? Jeśli tak się rzeczy mają, sądzę, że będzie pan świadkiem zjednoczenia Niemiec?*

Nie. Nie wydaje mi się. Proszę posłuchać: wkrótce skończę sześćdziesiąt lat, już o tym wspominałem. I nie spodziewam się zostać kimś w rodzaju Matuzalema. Być może, gdybym spodziewał się zostać kimś w rodzaju Matuzalema, moja odpowiedź byłaby bardziej pozytywna. Ponieważ musiałbym dożyć co najmniej stu trzydziestu lat, jak niektórzy starcy z Kaukazu, żeby zobaczyć zjednoczenie Niemiec. Nawet i za dwadzieścia, pięćdziesiąt lat nie spodziewam się osobnego rozwiązania kwestii niemieckiej. Nie, nie mogę nawet sobie wyobrazić osobnego rozwiązania kwestii niemieckiej. Sądzę, że zmiana stosunków między oboma niemieckimi państwami nastąpi jedynie jako skutek zmiany relacji między dwiema Europami. Dlatego, widzi pani, nie udzielę pani optymistycznej odpowiedzi, ale udzielę odpowiedzi, która zakłada możliwość, że Europa rozstrzygnie problem podziału Niemiec. Ale uwaga: jeśli tak się stanie, nie będzie to oznaczało, że znów stworzymy jedno państwo niemieckie. Będzie to oznaczało, że Niemcy z obu państw niemieckich postanowią nawiązać między sobą inną relację i żyć pod innym dachem niż ten, pod którym żyli od końca drugiej wojny światowej.

*Panie kanclerzu Brandt, kiedy mówi pan o Europie Zachodniej, ma pan oczywiście na myśli zjednoczoną Europę. Ale co oznacza dla pana to wyrażenie?*

Oznacza trzy rzeczy. Bo trzeba zrobić trzy rzeczy. Pierwsza to integracja gospodarcza. Ale ona już się dokonuje, ponieważ sądzę, że zdążamy w kierunku jednego wspólnego systemu monetarnego. Nie w sensie, że musimy koniecznie używać tej samej waluty, ale że będzie istniała stała relacja pomiędzy naszymi walutami. Tak czy owak, będziemy mieć wspólny europejski bank, osiągniemy jedność gospodarczą i monetarną. Drugą rzeczą jest to, co nazywam jednością socjalną Europy. A kiedy mówię o jedności socjalnej, nie mam na myśli tylko polityki społecznej w dawnym sensie tego słowa, to znaczy w sensie, do którego odwołują się związki zawodowe itd. To również jest ważne, ale przez jedność socjalną rozumiem to, co nowoczesny slogan określa jako „jakość życia”. Innymi słowy, nie odwołuję się jedynie do wzrostu produkcji, ponieważ wzrost produkcji nie jest celem samym w sobie. Odwołuję się do problemów związanych ze środowiskiem, warunkami pracy, edukacją... Trzeba żyć wystarczająco wielkie ambicje, żeby za dziesięć lat zjednoczona Europa Zachodnia stała się najbardziej rozwiniętą socjalnie częścią świata. Dziesięć lat to dosyć, w dziesięć lat powinno się nam to udać. Wtedy rzeczywiście będziemy mogli mieć wspólną strukturę polityczną, ponieważ nie może ona istnieć

bez integracji ekonomicznej i bez jedności socjalnej. Trzecią rzeczą jest zachowanie naszych tożsamości narodowych. To byłoby prawdziwe nieszczęście, gdybyśmy z nich zrezygnowali.

*Tak, ale w tej zachwycającej Europie Zachodniej, której domaga się nasza ambicja, co zrobimy z krajami niedemokratycznymi? Co zrobimy na przykład z Hiszpanią i Grecją?*

Jasne jest, że żaden kraj nie może stać się członkiem EWG, jeśli nie opiera się na naszych instytucjach. To znaczy na rządzie i parlamencie wybranym przez naród, na związkach zawodowych itd. Jasne jest, że jeśli jakiś kraj nie przestrzega w minimalnym stopniu Deklaracji Praw Człowieka, nie może być częścią naszej Europy. A zatem problem jest poważny. O tyle poważniejszy, że doświadczenie mi wykazało, iż niemal nigdy nie udaje się przywrócić wolności w kraju, który ją utracił. Kiedy się to udaje, dzieje się tak niemal zawsze na skutek wojny; rzadko się zdarza, żeby naród pod dyktaturą znalazł sposób uwolnienia się od niej i aby stało się to bez wojny. Jeszcze mniej służą temu słowa innych i posunięcia innych. Bojkot produktów na przykład... Niejeżdżenie tam na wakacje... To wszystko na nic się nie zda. Ale historia oznacza zawsze rozwój wypadków i czasami rozwój satysfakcjonujący. Weźmy Hiszpanię. Poznałem Hiszpanię podczas wojny domowej, kiedy pojechałem tam za młodu jako dziennikarz. Zostałem tam pół roku, przede wszystkim w Barcelonie i w Katalonii, i pamiętam straszną nienawiść dzielącą obie strony. Pamiętam niewiarygodną nędzę panującą na wsi. Odtąd powróciłem tam tylko dwukrotnie, za pierwszym razem, żeby spędzić wakacje na pewnej wyspie, za drugim na pół dnia. To było wtedy, kiedy popłynąłem do Stanów Zjednoczonych statkiem. Wsiadłem na statek w Neapolu i zatrzymałem się na pół dnia w Maladze, gdzie trochę pospacerowałem. Cóż... nie żeby to było typowe miejsce, ale zobaczyłem ogromny postęp. To już nie była Hiszpania, którą znałem. A więc nie zdziwiłbym się, gdyby w następnym pokoleniu Hiszpania się zmieniła i wstąpiła do EWG. Mogłaby do tego dojść na drodze ewolucji.

*A Grecja?*

Och, przypadek Grecji jest bardziej skomplikowany. Kiedy mówimy o Grecji, nie możemy zapominać, że sprawy nie są tak proste, jak twierdzą nasi greccy przyjaciele, kiedy utrzymują, że aż do 1967 roku panowała u nich cudowna demokracja. Cudowna demokracja, która nagle przemieniła się w dyktaturę wojskową. Odwiedziłem Grecję w 1960 roku, kiedy Karamanlis był premierem, i poznałem Kanellopulosa, który dziś działa bardzo odważnie w opozycji. Ach tak, to cudowny człowiek, ten Kanellopulos. W dodatku mocno związany z niemiecką kulturą. Pozostaliśmy cały czas w kontakcie w tych latach, kiedy musi stawić czoło



tak wielu trudnościom... Ale faktem jest, że moja konferencja prasowa w Atenach była zupełnie odmienna od konferencji w innych częściach świata. Podobna raczej do tych, które miałem w krajach o ograniczonej demokracji. Nie jest więc łatwo przewidzieć, co wydarzy się w Grecji. Mogę mieć tylko nadzieję, że siły wolności są wystarczająco potężne w tym kraju. Bo jeśli są, nie ma wątpliwości, że znajdą przyjaciół za granicą. Pozostaje jednak fakt, że nie można przywrócić demokracji za pomocą broni. Broń jest potrzebna tylko w wypadku wojny. Myślę jednak, że naród grecki, jeśli chce, może odzyskać wolność. Jeśli powstanie specjalna sytuacja, może się tak stać. Także bez broni. I wtedy potrzebna jest również pomoc ze strony zagranicznych przyjaciół.

*Dobrze. Wróćmy teraz do Willy Brandta. Trochę się od niego oddaliliśmy i... Panie kanclerzu, nie potrafię nie myśleć o panu jako o dziennikarzu. Zbyt długo był pan dziennikarzem. Czym było dla pana dziennikarstwo?*

Wie pani, dla mnie to był po prostu sposób na zarabianie na życie. Pisanie przychodziło mi zawsze łatwo; zacząłem pisać jeszcze w szkole. Aby zarobić na naukę, pracowałem w dzienniku wychodzącym w Lubece i rzeczywiście, kiedy szkoła się skończyła, na świadectwie napisano mi: „Zostanie dziennikarzem”. Nie chciałem, żeby użyto słowa „Journalist”, wołałem „Zeitungs-Schreiber”, to znaczy pisujący do gazet. Byłem młodym lewicowym socjalistą i potępiałem używanie obcych terminów w języku niemieckim. Ale mnie nie posłuchano i napisano „Journalist”. W każdym razie od dzieciństwa nie miałem wątpliwości co do tego, że zostanę dziennikarzem. I kiedy myślałem o tym, jak ułożę sobie życie, zawsze dochodziłem do tego wniosku. Moim marzeniem było zostać naczelnym dziennika ukazującego się w Lubece, a potem posłem do parlamentu w Berlinie.

*A zatem ostatecznym celem była polityka, a nie dziennikarstwo.*

Powiedzmy dziennikarstwo polityczne plus polityka.

*Polityka czy władza? Przeczytałam gdzieś zdanie, które podobno pan wypowiedział, kiedy był pan burmistrzem Berlina: „Polityka jest jedynym sposobem, żeby zrobić coś sensownego”.*

Nie pamiętam dokładnie, ale zdanie pewnie tak mniej więcej brzmiało. Wypowiedziałem je podczas przyjacielskiego sporu z moją żoną, która obawiała się, że władza to zbyt wielka odpowiedzialność. Władza... Nie lubię słowa władza. To słowo budzące dwuznaczne skojarzenia. W moim przypadku wolę słowo wpływ. Ale możemy też powiedzieć władza, wyjaśniając, że używamy tego słowa w dobrym sensie. A więc: jasne jest, że aby coś osiągnąć, trzeba mieć możliwość osiągnięcia czegoś. Niekoniecznie trzeba być szefem państwa, chociaż

człowiek może działać wiele jako szef państwa. Jeśli tylko... jeśli tylko będzie nim przez jakiś czas.

*Pan nim był i zamierza być nadal jeszcze długo. Pytam więc pana: Jaki jest, jaki był pański cel? Po co chciał pan mieć władzę?*

Wewnątrz kraju po to, by wprowadzić bardziej nowoczesny model życia. To znaczy wyższy poziom demokratyzacji i równowagi społecznej. Powiedziałem: równowagi społecznej, a nie równości. Na zewnątrz po to, żeby udowodnić, że nasz naród może mieć dobrosąsiedzkie stosunki zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie. Mógłbym może powiedzieć, że chciałem wytyczyć zagraniczną politykę Niemiec, bo Niemcy nie mieli polityki zagranicznej. Ale tak powiedziane, brzmi nieładnie, ponieważ nie wyjaśnia, że polityka zagraniczna Niemiec to była jeszcze niemiecka polityka sprzed podziału, a potem Niemiec udręczonych przez okupację. Jest więc słuszniej powiedzieć, że zależało mi na usytuowaniu Niemiec w kontekście europejskim, ustanowieniu dobrosąsiedzkich stosunków wewnątrz i na zewnątrz.

*Przypuszczam, że ma pan przede wszystkim na myśli swoją Ostpolitik, to znaczy otwarcie na Wschód. Czy jest pan zadowolony z tego, co osiągnęła pańska Ostpolitik?*

Prawie. Kiedy patrzę wstecz, widzę zaledwie dwie, trzy rzeczy, którym mógłbym stawić czoło inaczej. Ale niezbyt inaczej. W sumie jestem na tyle zadowolony, żeby powiedzieć sobie, iż mam nadzieję nie popaść w samouwielbienie na starość. Och, proszę mnie zrozumieć: nie istnieje nigdy sytuacja, w której można sobie powiedzieć nie-mogłem-zrobić-więcej. Poza tym rzadko działamy sami, na ogół to, co się robi, jest rezultatem szerokiego procesu, w który jesteśmy zaangażowani. Ale... zanim pani przyszła, rozmawiałem tu z moim ambasadorem w ONZ i opowiadał mi bardzo przyjemne rzeczy na temat swoich kontaktów z innymi ambasadorami. Włącznie z tymi z Europy Wschodniej. Oni sądzą, że ja dużo zrobiłem, i zamierzają przyjąć mnie dobrze podczas mojej najbliższej podróży do Nowego Jorku. Cóż, sprawiło mi to przyjemność. Mam na myśli: ucieszyłem się bardzo, że nie przyjmą mnie, rzucając we mnie kamieniami.

*Także w Erfurcie, kiedy udał się pan do NRD, nie rzucono w pana kamieniami. Co pan czuł, patrząc na ten tłum, który tak entuzjastycznie pana oklaskiwał?*

Byłem bardzo wzruszony, ale i przestraszony. Przestraszony z ich powodu, z powodu niebezpieczeństwa, na jakie się narażali, reagując w ten sposób. Dawałem im cały czas znaki, żeby się tak nie ekscytowali. To było dla nich niebezpieczne.

*Pozwala mi to zadać panu pytanie, które zadałabym każdemu mężczyźnie albo kobiecie u władzy. Sądzi pan, że historia się zmienia zależnie od tego, czy trafia się taka jednostka, a nie inna? Inaczej mówiąc, sądzi pan, że dzisiejsze Niemcy byłyby takie same, gdyby im się nie trafił Willy Brandt?*

Sądzę, że jednostki odgrywają zasadniczą rolę w historii. Ale sądzę również, że to sytuacje sprawiają, że pojawia się taki talent, a nie inny. Talent, który już istniał przedtem, to oczywiste. Podam pani przykład. Gdyby w 1939 roku nie wybuchła druga wojna światowa, gdyby alianci nie byli tak nieprzygotowani, gdyby po zajęciu Norwegii i Danii Hitler nie zaatakował Holandii, Belgii, Francji, co by się stało z Winstonem Churchillem? Czy byłby tym samym niezwykłym człowiekiem, czy też raczej byłby nieco kłótliwym outsiderem, nawykłym do podnoszenia głosu? Zdarzyło się to, co się zdarzyło, i to w kluczowym momencie, ponieważ Churchill nie był jeszcze zbyt stary, Anglicy mogli się więc skupić wokół niego i wykorzystać jego nadzwyczajną zręczność. Ale cóż to wszystko znaczy? Znaczy, że wartość Churchilla byłaby taka sama, nawet gdyby wydarzenia miały miejsce pięć lat później, czy też znaczy, że wartość Churchilla byłaby mniejsza, gdyby te wydarzenia miały miejsce pięć lat później? Nie, nie jest łatwo stwierdzić, czy znajdując się w pewnej sytuacji, robimy coś, czego nikt inny by nie mógł zrobić. De Gaulle zrobił rzeczy, których nikt inny we Francji nie mógł zrobić. A jednak powiadam, że musi zaistnieć sytuacja i że niektóre jednostki muszą zaistnieć w tej samej chwili, co ta sytuacja. Kiedy jednostka i sytuacja się spotykają, uruchamia się mechanizm, który sprawia, że historia zmierza w takim kierunku, a nie w innym.

*Dziwne, że przywołuje pan de Gaulle'a, to znaczy kogoś, kto opóźnił jednoczenie się Europy.*

De Gaulle był wielkim człowiekiem, jedynym zdolnym do uwolnienia Francji od poczucia niższości z powodu drugiej wojny światowej. Jedynym zdolnym uczynić z niej wielką potęgę *honoris causa*. Jeśli patrzymy na Europę z perspektywy Stanów Zjednoczonych Europy, to trzeba przyznać, że nie był ich zwolennikiem. Ale pozostaje zadziwiający fakt, a mianowicie, że za jego rządów Wspólnota Europejska rozwinęła się, a nie rozpadła. Mógł ten proces powstrzymać, ale tego nie zrobił. Nie możemy zrzucić na niego wszystkich win. Kiedy zaś mowa o Ostpolitik...

*Ostpolitik to Brandt, ponieważ to Brandt pojechał do Europy Wschodniej.*

Tak, ale nie wykluczam, że ktoś inny mógłby prowadzić politykę podobną do mojej. Nawet gdybym nie rozpoczął tej polityki w 1967 i w 1968 roku, kiedy byłem ministrem spraw zagranicznych, ktoś inny prowadziłby ją później. Chociaż w mniej sprzyjających warunkach. Trzeba było ją zrealizować, w przeciwnym razie Niemcy pozostałyby na uboczu i w sprzeczności z polityką prowadzoną już przez swoich najważniejszych sojuszników. To znaczy Stany Zjednoczone i Francję. Och, proszę mi wierzyć: jednostka jest potrzebna, ale i odpowiednia sytuacja jest potrzebna.

*To jest rozumowanie niemal marksistowskie. Panie kanclerzu Brandt, pan był za młodu marksistą, prawda?*

Sądziłem, że nim jestem. Ale nie jestem pewny, czy wystarczająco się starałem, aby nim zostać. Szkoda. Powinienem być. Ponieważ być marksistą za młodu, to doskonale przygotowanie do bycia socjalistą na starość.

*Należał pan w każdym razie do socjalistycznej lewicy. A zatem co zostało w panu z socjalizmu, o którym pan marzył, kiedy był niespokojnym i pełnym zapału młodzieńcem?*

Proszę posłuchać, znaczna część postulatów tego socjalizmu stała się rzeczywistością. Kiedy porównuję warunki, w jakich naród żył wtedy, i te, w których żyje teraz, muszę dojść do wniosku, że osiągnęliśmy w dużej mierze bezpieczeństwo materialne. To, co pozostaje do zrobienia dzisiaj, jest permanentnym zaangażowaniem socjalizmu. Nie tylko co się tyczy zarobków, rzecz zresztą ważna, ale co się tyczy rozwoju ludzkiej osobowości. Nie wiem, czy wyrażam się jasno: człowiek musi wiedzieć, co zrobić z własnym życiem. A... widzi pani, za młodu nie wiedziałem, że socjalizm jest permanentnym zaangażowaniem. Sądziłem, że socjalizm to coś, co trzeba zrealizować, a potem ewentualnie ulepszać. Jest natomiast czymś o wiele, wiele większym. To sposób na połączenie wolności i sprawiedliwości, i solidarności w zaangażowaniu, które nigdy nie ma końca. Socjalizm jest jak marynarz, który bardzo szybko uczy się, jak być marynarzem, chociaż jest chłopcem i nigdy nie widział morza. I w czasie swojego pierwszego rejsu odkrywa, że horyzont to nie jest linia graniczna. Kiedy statek się przemieszcza, także horyzont się przemieszcza, coraz dalej, coraz dalej, aż przemienia się w tyle nowych horyzontów. Och, tak. Tak właśnie widzę socjalizm: jako horyzont, do którego nigdy nie dotrzemy, chociaż próbujemy się do niego coraz bardziej zbliżyć.

*W jakiej mierze wpłynął na pana skandynawski socjalizm? A raczej, czy w ogóle na pana wpłynął?*

Tak, z pewnością. Proszę pomyśleć o takim kraju jak Norwegia. To znaczy kraju, który był dla mnie ważny. Życie w Norwegii było dla mnie jednym z najpiękniejszych doświadczeń, ponieważ w Norwegii chłopci nie byli nigdy niewolnikami. Nigdy. Ruch chłopski tkwi nadal u podstaw ich nowoczesnej demokracji i... z pewnością wpłynęło to na mnie. Odkryłem tam elementy liberalizmu, bez których nie może istnieć humanistyczny socjalizm.

*Panie kanclerzu Brandt, wiem, że najstarszy z pańskich synów jest maoistą i...*

Och, on by się nie określił jako maoista. Powiada, że jest marksistą i może marksistą-leninistą. Ma już dwadzieścia pięć lat, to dorosły mężczyzna, nie reprezentuje już młodych buntowników, którzy określają się jako maoiści. Chociaż jego poglądy różnią się bardzo od poglądów jego ojca.

*Pytanie, które chciałam panu zadać, jest nadal aktualne. Czy uważa pan, że dzisiejsi młodzi są w jakiejś mierze niewdzięczni i w jakiejś mierze ślepi wobec wszystkiego, co zostało zrobione, aby żyli w lepszym świecie?*

Nie. Nie ująłbym tego w ten sposób. Ponieważ dzisiejsi młodzi nie porównują dzisiejszej rzeczywistości z wczorajszą nędzą. Nędzą, w której byliśmy na przykład pogrążeni podczas wojny i po niej. Większość z nich jeszcze się nie urodziła, kiedy my żyliśmy w tej nędzy, więc porównują dzisiejszą rzeczywistość z jutrzejszymi możliwościami. Wyrażam się jasno? Nie rozumują tak jak my, którzy na jednej szali kładziemy to, co zrobiliśmy dzisiaj, a na drugiej to, co zrobiliśmy w 1945 i 1946 roku. Potem ważymy i powiadamy: „Byliśmy dobrzy. Wykonaliśmy niezłą robotę”. Wobec dzisiejszych młodych bronię tego, co zrobiliśmy. Mówię: nikt z was nie może odebrać nam dumy z tego, że wiele zrobiliśmy. Nie spodziewam się jednak, żeby utożsamiali się oni z moim problemem, ponieważ to nie jest ich problem. W rezultacie bronię swoich czasów, a oni bronią swoich. I tak dzieje się także z moimi dziećmi, chociaż na szczęście udaje nam się unikać sporów. Nie stoczyliśmy ich zbyt dużo, muszę przyznać, także dlatego, że zawsze przebywałem z nimi tak mało... Tak mało w domu... Ale kiedy najstarszy syn, który mieszka w Berlinie, odwiedza mnie albo spędza z nami wakacje, nie kłócimy się. Kiedy zdarzy się nam analizować ideał moralny, który każdy z nas wyznaje, ucinam krótko: „Mój problem to nie jest wasz problem, a wasz nie jest moim”.

*To nadzwyczajne, że polityka nie uczyniła pana cynicznym.*

Nie, nie. Nigdy! Niebezpieczeństwo stania się cynikiem istnieje, i to jak jeszcze, kiedy dochodzi się do władzy. Ale mnie zawsze udawało się je kontrolować i unikać go.

*Także kiedy Adenauer zaatakował pana nadzwyczaj brutalnie, podkreślając, że jest pan nieślubnym dzieckiem, że przyjął pan norweskie obywatelstwo, że...*

Adenauer zachował się wobec mnie fatalnie. A jednak, co dziwne, w stosunkach osobistych nie okazywał mi nigdy wrogości. Chociaż mówił te wszystkie paskudne rzeczy przeciwko mnie, miał do mnie rodzaj sympatii. Ja zaś, chociaż zupełnie się nie zgadzałem z jego metodami i jego polityką, bardzo go szanowałem. W czasie kampanii wyborczej w roku 1961 i w trakcie prania tych brudów, wezwał mnie do swojego gabinetu. Właśnie do tego, w którym teraz siedzimy. Ja siedziałem tam, gdzie pani, a on siedział na moim miejscu. Zaraz mu powiedziałem: „Panie kanclerzu, czy wydaje się panu słuszne, czy wydaje się panu sensowne prowadzić kampanię wyborczą tak, jak pan ją prowadzi?”. A on na to: „Panie burmistrzu! Nie rozumiem, o czym pan mówi! Czy pan sądzi, że mam coś przeciwko panu? W żadnym wypadku! Gdybym miał coś przeciwko panu, wezwałbym pana na stronę i porozmawialibyśmy”. A więc nie zareagowałem. Albo nie zareagowałem tak, jak w kampanii, którą prowadził przeciwko mnie w latach 1957 i 1958. Potem rzecz się powtórzyła w 1965 roku i tym razem naprawdę się wściekłem. Nie chciałem już stanąć do wyborów. Powiedziałem mojej partii: „Dosyć, jestem dla was zbyt dużym obciążeniem. Lepiej zaproponować kandydowanie komuś innemu. Wycofuję się”. I właśnie wtedy sprawy przyjęły korzystny dla mnie obrót. Czasami trzeba zwolnić albo wręcz zatrzymać samochód, żeby potem znowu móc jechać szybko. W 1966 roku odbył się kongres mojej partii. Zakończył się jednogłośnie poparciem Brandta i...

*I Brandt został ministrem spraw zagranicznych, potem kanclerzem, a potem otrzymał nawet Pokojową Nagrodę Nobla. Czy to prawda, że rozplakał się pan na wieść o tym?*

Nie, to przesada. Nie. Czulem, że dadzą mi tę nagrodę, i kiedy Ahlers, jeden z moich asystentów, podał mi kartkę z wiadomością o Noblu, nic nie powiedziałem. Wziąłem kartkę, schowałem ją do szuflady i w dalszym ciągu robiłem pewne notatki. Tamtego dnia zebrał się parlament i... oczywiście, byłem wzruszony. Ale wcale nie płakałem.

*Nigdy pan nie płacze?*

Bardzo rzadko, odkąd jestem dorosły. Bardzo rzadko. Zarówno, kiedy czuję się szczęśliwy, albo nieszczęśliwy czy wzruszony. Widzi pani... jak większość ludzi północy, jestem sentymentalny. Lub, jeśli pani woli, jestem romantykiem. Wzruszenie nie jest mi obce, więc próbuję je ukryć. Albo kontrolować. Ale wolę się śmiać. Szczególnie wieczorem, kiedy wypiję

kieliszek wina w towarzystwie przyjaciół. Lubię opowiadać dowcipy. To moja słabość. Zbieram je, a często też wymyślam. Kłopot w tym, że często śmieję się z nich bardziej niż słuchacze.

*Wszystko to jest sympatyczne, ale mnie się wydaje niemal niemożliwe, żeby mógł pan mówić o Noblu z takim dystansem. Niewielu polityków otrzymuje Nobla i...*

Ponieważ nie ma zbyt wielu dobrych polityków i ponieważ komitet stara się nikogo nie obrazić. W moim przypadku wybrali odpowiedni moment, to znaczy moment, w którym mogli obrazić jak najmniej osób. Rzeczywiście, mimo Nobla, mam jeszcze mnóstwo przyjaciół. Tak, rozumiem. Chce się pani dowiedzieć, czy Nobel sprawił mi wielką satysfakcję. Nie. Był czymś, co dodało mi odwagi, ale na wieść o nim nie fikałem z radości koziółków. Kiedy przeglądam listę tych, co dostali nagrody, i myślę nawet, że Nobel uważany jest za najpoważniejszą z nich, ja... jednym słowem, przyznać Pokojową Nagrodę Nobla mnie to nie to samo, co przyznać ją Karlowi von Ossietzky'emu. Jemu dali ją, kiedy był w obozie koncentracyjnym, i z tego obozu przenieśli go tylko po to, żeby umieścić w obozowym szpitalu, gdzie umarł. Ossietzky był symbolem, męczennikiem. Ja doprawdy nie jestem męczennikiem i ani trochę nie cierpiałem, kiedy otrzymałem nagrodę.

*Chwytam w locie słowo: cierpienie. I zapytam pana o to, o co chciałam zapytać od początku tej rozmowy. Czy cierpiał pan z powodu niewiedzy, kim był pański ojciec?*

Nie. Nie cierpiałem z tego powodu, nie. Gdyby natomiast słowo „cierpieć” zastąpić słowem „naznaczyć”, to inna sprawa. I odpowiem pani, że tak. Ale jeśli naznaczyło mnie to w jakiś sposób, było to tak dawno, że niemal o tym zapomniałem. Bardzo wcześnie zacząłem budować moje życie samodzielnie. Bardzo wcześnie zacząłem mieć własne nazwisko, tylko moje. Nie przypadkiem zawsze uważałem nazwisko, które noszę, za moje prawdziwe nazwisko. Dosłownie. A poza tym nie jest do końca prawdą, że nie wiedziałem, kim jest mój ojciec. Powiem pani coś, czego nie powiedziałem nikomu. Nikomu... Wiedziałem, kim jest mój ojciec. Wiedziałem, jak się nazywa. Jednak nigdy nie interesowało mnie spotkanie z nim. Żył jeszcze po wojnie, ale i wtedy nie chciałem się z nim spotkać.

*Dlaczego? Z powodu pretensji do niego? Przez wzgląd na matkę?*

Nie wiem. Nie chcę komentować tej mojej postawy. Podaję pani fakty i to wszystko.

*Rozumiem. I przypuszczam, że pańska matka była wówczas dla pana kimś bardzo ważnym.*

Tak. Kiedy byłem dzieckiem, chłopcem, tak. Istotnie, kiedy mnie pytają, dlaczego zostałem socjalistą, odpowiadam: z powodu mojej matki. Chociaż była bardzo młoda i chociaż kobietom nie wolno było uczestniczyć w zebraniach politycznych, matka działała w ruchu związkowym. A zatem nie tylko urodziłem się w kręgu socjalizmu i syndykalizmu, ale dorastałem w nich. Miałem bardzo mocne korzenie. Wyrażam się jasno? To nie była moja zasługa. To była jej zasługa.

*Być może stał się pan Willym Brandtem dlatego, że nie miał pan ojca i miał pan taką matkę.*

Tego nie wiem. Nigdy nie byłem u psychoanalityka i nie potrafię pani odpowiedzieć. Mogę jedynie pani wyznać, że mam wrażenie, iż w podświadomości wszystko to miało swój wpływ. Tak, musiało mieć, ale nie wiem, do jakiego stopnia. Zresztą, kiedy obserwuję samego siebie z dystansu, dochodzę do wniosku, że na mój stosunek do życia większy wpływ wywarły książki niż ludzie. Z wyjątkiem oczywiście mojej matki. Na pytanie: „Jaki pisarz, polityk, człowiek wywarł na ciebie największy wpływ?” bardzo trudno mi odpowiedzieć. Jest to wręcz niemożliwe. I w końcu mówię: „Wiele przeczytałem, bardzo wiele przeczytałem”. Nie potrafię nawet powiązać rezultatu tych lektur z okolicznościami, w których się urodziłem i dorastałem. Ale najbardziej znaczącą rzeczą jest to, że mnie to nie obchodzi. Nie interesuje mnie wydobycie podświadomości na powierzchnię.

*Panie kanclerzu Brandt, czy jest pan religijny?*

Hmm... sposób, w jaki pojmuję religię, jest całkowicie nieprawowierny, ale nie jestem ateistą, jeśli tego chce się pani dowiedzieć. Nie, nie jestem ateistą. Po prostu pojmuję to, co ludzie nazywają Bogiem, albo problemy transcendentalne w sposób odmienny niż ci, co chodzą do kościoła. I na ogół nie lubię o tym mówić, ponieważ... ponieważ... jednym słowem, jest czymś wbrew mojej naturze odkrywać się całkowicie. Nie udałoby mi się, nawet gdybym tego chciał.

*To akurat już świetnie wiem... Nigdy mi się nie zdarzyło przeprowadzać wywiadu z człowiekiem tak zamkniętym, tak tajemniczym, jak pan.*

Musi pani pamiętać, że pochodzę znad Bałtyku, że jestem na wpół marynarzem, że wielki wpływ wywarły na mnie lata spędzone w Norwegii. I żeby mnie pani rozgrzeszyła, opowiem pani historyjkę, norweską oczywiście, która wydaje się wymyślona specjalnie dla mnie. Na górze nad fiordem żyją dwaj wieśniacy. Każdy w swoim domu. Pewnego dnia jeden z wieśniaków



udaje się z wizytą do drugiego. Wchodzi do jego domu i nic nie mówi. Kiwa lekko głową. Także drugi nic nie mówi. I nawet nie kiwa głową. Rzuca jednak okiem w stronę spiżarni, gdzie stoi butelka wódki. Wieśniak, który przyszedł z wizytą, pojmuję. Podchodzi do spiżarni, bierze butelkę wódki, dwa kieliszki. Stawia je na stole. Nalewa wódki. Obaj zaczynają pić. Piją w milczeniu, kieliszek za kieliszkiem, powoli. Żadne chrząknięcie nie przerywa tej niemej sceny. Ale przy ostatnim łyku wódki wieśniak, który przyszedł z wizytą, podnosi kieliszek i szepcze: „Skol. Na zdrowie”. Wtedy drugi wybucha: „Ty idioto! Spotkaliśmy się po to, żeby się napić czy żeby gadać głupoty?”.

*Nie powiem panu „skol”, panie kanclerzu Brandt. Ale czy mogę powiedzieć: do widzenia i dziękuję?*

*Bonn, wrzesień 1973*

## Hajle Syllasje

Trudno dziś jeszcze pisać beznamiętnie o zmarłym Hajle Syllasje. Ponieważ trudno zapomnieć, że na niego napadliśmy, obrzuciliśmy obelgami, okradliśmy go z jego kraju za sprawą niepotrzebnej wojny, którą rozpętał Mussolini czterdzieści dwa lata temu. W 1935 roku my też mieliśmy swój Wietnam. Nazywał się Etiopia. Kto traktuje Wietnam jako coś nowego, zapomina albo nie wie, że aby założyć tam imperium, spadliśmy na głowę narodowi, który nie wadził nikomu i który bronił się za pomocą bosego wojska, uzbrojonego praktycznie tylko w szablę. Zapomina albo nie wie, że zaatakowaliśmy ten naród eskadrami Balba i Ciana, bombardując bezbronne wsie, szpitale Czerwonego Krzyża, uciekające rodziny. Wysłaliśmy oddziały marszałka Badoglia, zrzucając trujący gaz, siejąc zniszczenie i groźbę. Wysłaliśmy Czarne Koszule generała Grazianiego, plamiąc się masowymi egzekucjami, najnikczemniejszymi masakrami. Nie powinno nas dziwić My Lai. Nasze My Lai było gorsze. Zdarzyło się w lutym 1937 roku, kiedy na skutek zamachu na Grazianiego Czarne Koszule dostały *carte blanche* w Addis Abebie. I przez trzy dni zabijały kobiety, starców, dzieci. Podpalały domy, kościoły, kryte słomą chaty. Rozstrzeliwały księży, uczniów, niewinnych ludzi. Niektórzy mówią o trzech, niektórzy wręcz o trzydziestu tysiącach. Rzeź ustała dopiero po tym, jak funkcję wicekróla objął porządny człowiek, Amadeo d'Aosta. Ale i wtedy nie przestaliśmy postępować haniebnie z Hajle Syllasje. Poświęciliśmy mu okrutne rysunki satyryczne przedstawiające go na przykład uciekającego z parasolką. Śpiewaliśmy na jego temat obsceniczne piosenki, jak na przykład tę: *Con le mutande di filé, ecco arriva il re dei re*. Albo inną: *Con la barba di Negus farem gli spazzolini, con la pelle di Negus faremo le borsette*. Już na samą myśl o tym czujemy się zażenowani.

Bardziej niż o zażenowaniu, należałoby mówić o poczuciu winy. A wręcz wstydu. I na taką winę, na takie poczucie wstydu Włosi, którzy dziś wspominają Hajle Syllasje, reagują, dostrzegając w nim wyłącznie najlepsze cechy: zasługi z przeszłości. Jego wizerunki zawierają zawsze przesadną dozę czołobitności, bezwzględnego podziwu, pochlebstw. Opowiadają zawsze o jego hieratycznej pozie, królewskiej godności, przenikliwej inteligencji, o jego wielkoduszności względem byłych wrogów. Nie wyjaśniają nigdy, kim jest w rzeczywistości władca, którego uczyniliśmy ofiarą. Nie ośmielają się powiedzieć nam, czy był czymś mniej, czy więcej niż ofiarą. Na przykład starcem trzymającym się sztywno zasad, które stulecia historii zdążyły już

obalić. Na przykład absolutnym panem kraju, który nigdy nie słyszał słów prawo, demokracja i zaledwie za rogatekami miasta żyje niemal w prehistorii, udreńczony głodem, chorobami, ignorancją, ponurością feudalnego reżimu, którego my nie zaznaliśmy nawet w mrokach średniowiecza. Na przykład posągiem, który nie symbolizuje doprawdy cierpień, jakie zadaliśmy Etiopii. Szło się do niego nieprzygotowanym, a raczej nie mając pojęcia o prawdzie, która wszystkich wprawiała w zmieszanie, tak jak zmieszałam się ja, widząc go po raz pierwszy w towarzystwie jego dwóch piesków: dwóch chihuahua, które zabierał z sobą wszędzie na wzór Xaviera Cugata. Jedną różnicą było to, że chihuahua Xaviera Cugata były brązowe, a jego jeden był biały, a drugi czarny. Suczka była biała i nazywała się Lulù, piesek był czarny i nazywał się Papillon. Cóż za imiona dla psów króla. I cóż za psy. Kiedy przybył z nimi do Gonderu, myślałam, że śni mi się jakieś humorystyczne opowiadanie.

Pierwszy raz zobaczyłam go w Gonderze, w regionie opuszczonym przez Boga i ludzi, spalonym słońcem, jałowym. Drzewa, mrowiska, kryte słomą chaty. Jego Wysokość przyjechał do Gonderu, aby otworzyć żelazny most, i aby zobaczyć Jego Wysokość lub raczej aby zbliżyć się do obiadu na cześć Jego Wysokości, przybyły setki biedaków. W łachmanach, pokryci ranami, chorzy na jaglicę. Obiad odbywał się na świeżym powietrzu, wokół cesarskiego namiotu. Zabito tuziny baranów, zapach jedzenia wypełniał dolinę jak mgła, zadając prawdziwą torturę, ale biedacy nie domagali się smacznych kąsków, befsztyków, które lądowały dymiące na obrusie Jego Wysokości, na stołach koptyjskich księży, którzy dotarli aż tam ze swoimi złotymi i srebrnymi krzyżami, swoimi kłamstwami na temat Boga jednakowo sprawiedliwego dla wszystkich. I jedli jak wieprze, ci księża. Biedacy zadowalali się resztkami. I błagali rozpaczliwie i głośno o te resztki, które kucharze wyrzucali. Wnętrznosci, łby, kości z odrobiną mięsa. Ale kucharze wyrzucali resztki na łąkę pilnowaną przez żołnierzy z karabinami w rękach, a żołnierze z karabinami w rękach bili kolbami każdego, kto ośmielił się zbliżyć, i wnętrznosci, łby, kości z odrobiną mięsa trafiały się sępom i psom. Wokół słyhać było warczenie psów, szum skrzydeł sępów, które rzucały się i szczęśliwie wlatywały z pełnym dziobem, podczas gdy biedacy lamentowali: „Uh! uh! Uh!”. Lamentowali przez trzy godziny. Potem Jego Wysokość wsiadł do jeepa, aby wrócić do Addis Abeby i jeepem wiózł skrzynkę nowych dolarów: etiopskie banknoty jednodolarowe, każdy wart dwieście czterdzieści lirów. Jego Wysokość zaczął rozdawać dolary warte dwieście czterdzieści lirów. Jeep jechał bardzo wolno, biedacy biegli wzdłuż drogi, pilnowanej po bokach także przez żołnierzy z karabinami w rękach, i Jego Wysokość dawał

dolara biedakowi, którego żołnierze wyławiali przypadkowo z tłumu. W ciżbie wszyscy się pchali w nadziei, że znajdą się obok żołnierza, błagając: „Ja! Ja!”. Kobiety w ciąży i dzieci przewracały się na ziemię, a silniejsi deptali po nich bez litości. Jego Wysokość widział to z pewnością, ale ani przez moment nie porzucił swojej hieratycznej pozy, królewskiej godności, o której tyle się czytało. Uśmiechał się co najwyżej niezauważalnie na widok tych, którzy chwyтали dolara i uciekali wielkimi susami przez wzgórza – w poszukiwaniu skrótów prowadzących z powrotem do drogi, którą jechała świta i jeep – aby móc znowu uchwycić się żołnierza, znowu zostać wybranym, znowu wyciągnąć rękę w akcie upokorzenia. Najszybszemu, który dziękował faszystowskiemu pozdrowieniem, Jego Wysokość odpowiedział hieratycznym gestem błogosławieństwa.

Szło się do Jego Wysokości, mając to wszystko w oczach. Szło się na audiencję oficjalną w pałacu, który należał do króla Menelika i królowej Taitù, przechodząc wśród postulantów rozwalonych na trawie, brutalnych, popychających cię strażników, ponuro ryczących lwów: dwóch w klatce i jednego na wolności, ledwo uwiązanego na smyczy. Pałac nazywał się Stary Ghebbi i był małą warownią w stylu kolonialnym w centrum Addis Abeby, otoczoną ogrodami i wysokim murem. Wchodziło się po schodach, medytując nad komizmem, który niekiedy towarzyszy cierpieniu: zostałam powiadomiona o audiencji dziewięć dni wcześniej, a jednocześnie otrzymałam kilka zabawnych zaleceń. Przede wszystkim żadnych spodni. Jego Wysokość jest staromodnym panem, nie znosi kobiet ubranych po męsku i uwaga: nie znosi również krótkich sukienek, z głębokim dekoltem, bez rękawów. Żadnych kłopotliwych ani zaskakujących pytań, na przykład na temat Erytrei. Żadnej bezpośredniej rozmowy: Jego Wysokość będzie mówić po amharsku i prywatny sekretarz będzie tłumaczyć. Co do kwestionariusza, trzeba dostarczyć go wcześniej i poddać pod rozagę doradców. Zezłościłam się. I z tego wszystkiego zgodziłam się tylko na dwa punkty: jeden dotyczący spodni i drugi Erytrei. Ale moja przebojowość została ukarana za sprawą straszliwych wieści na temat dwóch chihuahua. Tak, Lulù i Papillon miały być obecne przy rozmowie i czy wiem, dlaczego? Ponieważ Jego Wysokość posługiwał się nimi jako radarem. Sygnalizowały cesarzowi bomby, zdrady, wrogów, materialne i moralne niebezpieczeństwa, ludzi, przed którymi należy mieć się na baczności, i ludzi, którym można zaufać. Rok wcześniej zasygnalizowały mu bombę zegarową w samolocie, którym miał polecieć. Kiedy znalazły się na pokładzie, zaczęły histerycznie szczekać i król zrozumiał, że trzeba uciekać.

Za schodami był przedpokój, potem salonik w stylu chińskim, potem inny przedpokój i z niego wchodziło się do sali Jego Wysokości: dużej, czerwonej, pełnej stiuków, zasłon, dywanów, foteli w stylu rokoko. Po przekroczeniu progu należało złożyć ukłon, potem drugi, potem trzeci. Kiedy już się skończyło wykonywać ukłony, można było podnieść głowę i stojąc na wprost tronu wyłożonego jasną materią w różowe i niebieskie kwiatki, ujrzeć Hajle Syllasje, cesarza Etiopii, Lwa Judei, Wybrańca Boga, Potęgę Trójcy, Króla Królów. Tak, właśnie jego: tego malutkiego starca, bardzo starego. Ile lat mógł mieć? Naprawdę osiemdziesiąt, jak twierdzą biografie? Ja twierdzę, że dziewięćdziesiąt, sto. Twarz była zniszczona, pozbawiona ciała, pokryta skórą pełną brązowych plam, bez wyrazu. Wydawała się twarzą faraonów leżących w kairskim muzeum, zeszywniałych we śnie trwającym całe tysiąclecia. Bardziej niż twarz, były to nos i dwoje oczu. Głowa ptaka. Nos był ostry, długi, niczym dziób orła: wydawało się, że nie ma końca. Oczy były okrągłe, otępiałe, zamglone i wodniste: czaiło się w nich zapomnienie. Brwi, wąsy, broda, włosy pokrywały większość twarzy niczym pióra. Ciało poniżej tej głowy ptaka z twarzą faraona wydawało się kruche jak ciało dziecka przebranego za starca. Tylko klatka piersiowa była nieco szersza, ponieważ pod żakietem Jego Wysokość nosił kamizelkę kuloodporną, wszyscy o tym wiedzieli. Musiała być ciężka: Jego Wysokość z trudem trzymał się na nogach, chociaż stopy w porównaniu z resztą były nieproporcjonalnie duże. Widziałeś, z jakim znużeniem podaje ci rękę i ściska twoją. Powiedziałbyś, że wystarczy lada podmuch, żeby go przewrócić na ziemię, aby rozsypał się na kawałki. Doprawdy, widziany z bliska, nie onieśmiał. Budził niemal czułość. Przez chwilę chciałbyś go objąć, podtrzymać i powiedzieć mu: „Wasza Wysokość, proszę nie stać z mojego powodu, proszę usiąść, proszę nie nosić tej kamizelki, ciężko w niej oddychać. No już, proszę ją zdjąć. Powolutku, ostrożnie, brawo. Zaraz przyniosę poduszkę, przyniosę rosółu. Czy Wasza Wysokość jeszcze czegoś potrzebuje?”.

Nagle coś się wydarzyło. Do sali wpadły te przeklęte chihuahua, bezczelne i złośliwe jak dwa komary. I podbiegły do mnie, aby powąchać, czy jestem przyjacielem, czy wrogiem, ale w pół drogi nagle wyhamowały, jak gdyby między mną a nimi był zaminowany teren. I tak pozostały, nieruchome, obserwując mnie w ciszy pełnej niewiadomych. Jego Wysokość przyjrzał się im, przyjrzał się mnie surowo. Cesarz siedział teraz na tronie, na który opadł był ostrożnie i powoli, odnalazł już całą bezlitosną władczość z Gonderu. Koniec z kruchością, koniec z czułością, od razu stało się jasne, że nie zrobi niczego, żeby okazać serdeczność i odpowiedzieć na moje pytania. On był Królem Królów, ja zaś zaledwie kimś, kto nie podoba się jego psom.

„Parlez!” rzekł cichym, ochrypłym głosem. Mimo protestów sekretarza uruchomiłam magnetofon i poprosiłam Jego Wysokość, żeby odpowiadał mi po francusku; nie ufałam bowiem tłumaczeniom. Sekretarz zadrżał z oburzenia. Jego Wysokość uciszył go, nawet na niego nie patrząc, wznosząc jedynie zakrzywiony palec wskazujący. I... O, Boże! Chciałam zacząć od jakiegoś miłego zdania, przysięgam. Na przykład od zdania, które odwoływałoby się do naszego narodowego poczucia winy. Ale przed moimi oczami pojawiła się na powrót rozpaczliwa, klująca scena z Gonderu: ci biedacy w łachmanach, pokryci ranami, wyciągający ręce w stronę wnętrzości pożeranych przez psy, sępy, podczas gdy żołnierze z karabinami w rękach odganiaли ich kopniakami, ten tłum, który biegł, deptał się, zabijał, aby schwycić dolara wartego dwieście czterdzieści lirów, królewskiego dolara. I zadałam moje pierwsze pytanie, niecierpliwe, bezczelne. Rozmowa trwała ponad godzinę. Cesarz odpowiadał z trudem, robiąc niekończące się pauzy, dysząc. Często nie rozumiał zresztą tego, o co go pytałam, unikając bezpośrednich aluzji. Może dlatego, że nie znał francuskiego tak jak twierdził, może dlatego, że jego stary umysł nie nadążał za moim rozumowaniem. Musiałam więc powtarzać, znosić jego gniew, który niekiedy stawał się obraźliwy: „Etudiez! Etudiez!”. Czego miałam się uczyć? Dobrych manier czy hipokryzji, czy tysiąca rzeczy, o których królowie nie mają pojęcia? Słyszając w końcu ostatnie pytanie, przestraszył się. To było pytanie dotyczące śmierci. A cesarz nie lubił słowa śmierć. Za bardzo bał się umrzeć, on, który posyłał z taką łatwością innych na śmierć. Zezłościł się więc i kazał mi wyjść.

\*\*\*

Ale zezłościł się o wiele bardziej, kiedy wywiad został opublikowany. Aby wyjaśnić lepiej to, co powiedział, wydawało mi się konieczne przepleść jego odpowiedzi informacjami i komentarzami. Te informacje i komentarze nie mogły mu pochlebiać, to jasne. Jego gniew wybuchł gwałtownie i spowodował groźby, oficjalne i nieoficjalne protesty, dyplomatyczne kłopoty, które stały się udziałem etiopskiego ambasadora w Rzymie i niestety włoskiego ambasadora w Addis Abebie. Pomijam zarzuty ze strony Włochów mieszkających w Etiopii, tych, którzy z mojej winy obawiali się królewskiej zemsty. Większość Włochów w Etiopii mówi z nostalgią o Mussolinim i nie darzy mnie wielką sympatią: ich zarzuty nie były przyjazne. Wolę zacytować listy tych, którzy poinformowali mnie życzliwie, że lepiej będzie, jeśli moja noga nie postanie w Etiopii aż do dnia, w którym Jego Wysokość przejdzie do lepszego życia. „Proszę panią, niech się pani zastosuje do mojej rady”.

Znałam już tę radę. Dotarła do mnie z Haiti po moim spotkaniu z dyktatorem znanym jako Baby Doc. „Proszę panią, niech się pani trzyma z daleka od Port au Prince. Jeśli tam pani wróci, zabiją panią”. Najbardziej irytującą cechą tyranów jest brak fantazji i w gruncie rzeczy to właśnie udowadnia niniejszy wywiad. Ponieważ Syllasje jest już tylko szkielecikiem pochowanym nie wiadomo gdzie. W końcu bowiem jego generałowie urządzili mu piękny zamach stanu. I w więzieniu Syllasje zmarł. Ze starości.

*ORIANA FALLACI. Jest jedno pytanie, Wasza Wysokość, które mnie niepokoi, odkąd zobaczyłam tych biedaków biegnących za Waszą Wysokością i depczących się z powodu dolara wartego dwieście czterdzieści lirów. Co odczuwa Wasza Wysokość, rozdając jałmużnę swojemu narodowi? Co pan odczuwa w obliczu ich nędzy?*

HAJLE SYLLASJE. Biedni i bogaci zawsze byli i zawsze będą. Dlaczego? Dlatego że są ci, którzy pracują, i ci, którzy nie pracują, ci, którzy chcą zarobić, i ci, którzy nie chcą ruszyć palcem. Kto pracuje, kto chce pracować, ten nie jest biedny. Istotnie, prawdą jest, że Nasz Pan i Stwórca pozwala nam wszystkim urodzić się równymi, ale jest też prawdą, że kiedy się rodzimy, nie jesteśmy ani bogaci, ani biedni, Jesteśmy nadzy. Dopiero potem stajemy się bogaci lub biedni, zależnie od zasług. Tak, wiemy również i My, że rozdawanie pieniędzy na nic się nie zda. Dlaczego? Dlatego, że aby wyeliminować nędzę, potrzeba tylko jednego: pracy.

*Wasza Wysokość, chciałabym być pewna, że dobrze zrozumiałam. Wasza Wysokość chce powiedzieć, że ten, kto jest biedny, zasługuje na bycie biednym?*

Nie powiedzieliśmy, że biedny jest ten, kto nie pracuje, ponieważ nic mu się nie chce. Powiedzieliśmy, że bogactwo trzeba z trudem zdobywać. Powiedzieliśmy, że ten, kto nie pracuje, nie je. A teraz dodajemy, że zdolność zarobienia na życie zależy od jednostki: każda jednostka jest odpowiedzialna za swoje nieszczęścia, za swój los. Nie jest słuszne oczekiwać, że pomoc spadnie z nieba jak prezent, na bogactwo trzeba zasłużyć! Praca jest jednym z przykazań Naszego Pana i Stwórcy! Jałmużna, *vous savez...*

(Pośród rodzajów jałmużny rozdawanej przez cesarza poddanym był także chleb. Każdej soboty, kiedy przenośli się do jednej ze swoich willi na wsi albo nad jeziorem, napełniał swój samochód bochenkami chleba i wyrzucał je przez okno. Nie zawsze jednak bochenki trafiały do rąk poddanych. Psy i barany nauczyły się tego rytuału i kiedy samochód się pojawiał, biegły i wszczynały okrutne walki z dorosłymi i dziećmi, na ogół też wygrywały. Chleb w Etiopii to jedzenie bogatych. Narodową potrawą jest w Etiopii indżera: miękkie kluski z szarej mąki. Je się

ją z *berberé*, zabójczym sosem z ostrą papryczką i posiekaną cebulą. *Berberé* pozwala nie czuć głodu, indzera wypełnia żołądek. Mięso je się tylko dwa, trzy razy do roku, na surowo. Powodem jest fakt, że Etiopia to kraj z najniższym na świecie dochodem na głowę. Pensja *zabagni*, czyli strażnika miejskiego, wynosi piętnaście dolarów miesięcznie: trzy tysiące sześćset lirów. Proletariat w gruncie rzeczy nie istnieje. Ogromna większość ludności zajmuje się pasterstwem. W czasach Hajle Syllasje ziemia należała w całości do Kościoła i do niego, a on zarządzał majątkiem państwowym jak mu się podobało. Na przykład aby dawać prezenty protegowanym i dworzanom. Według szwedzkiej statystyki, opublikowanej przez „Dagens Niether” w latach siedemdziesiątych i dziś jeszcze w przeważającej mierze aktualnej, dziewięćdziesiąt pięć procent Etiopczyków jest analfabetami, a pozostałe pięć procent potrafi często czytać, ale nie pisać. Według tej samej statystyki czterdzieści procent ma syfilis, pięćdziesiąt procent jaglicę, trzydzieści procent trąd).

*Co sądzi Wasza Wysokość o nowym pokoleniu, które jest niezadowolone? Mam na myśli studentów, którzy burzą się na uniwersytetach, szczególnie w Addis Abebie i...*

Młodzież to młodzież. Nie da się zmienić niestosownych zachowań młodzieży. Zresztą nie są one niczym nowym, na świecie nigdy nie dzieje się nic nowego. Proszę się zastanowić nad przeszłością: przekona się pani, że nieposłuszeństwo młodzieży jest odwieczne. Młodzież nie wie, czego chce. Nie może tego wiedzieć, ponieważ brakuje jej doświadczenia, brakuje jej mądrości. To przywódca państwa musi pokazać młodzieży słuszną drogę i ukarać ją, jeśli się buntuje przeciwko władzy. To My musimy to zrobić. Ale nie cała młodzież jest zła i tylko najbardziej winni muszą być bezlitośnie ukarani. Pozostałych powinno się zmusić do posłuszeństwa, a następnie skłonić do służenia swojemu krajowi. Tak My sądzimy i tak musi być.

*Ukarać ich może karą śmierci, Wasza Wysokość?*

Trzeba dobrze wszystko rozpatrzyć. Odkryje się wtedy, że kara śmierci jest właściwa i konieczna. Na przykład dla nieposłusznych. Dlaczego? Dlatego że jest w interesie narodu. Znieśliśmy wiele rzeczy. Znieśliśmy niewolnictwo. Ale kary śmierci nie; nie możemy jej znieść. To byłoby tak, jakbyśmy zrezygnowali z ukarania kogoś, kto ośmiela się podważać autorytet władzy. Tak My sądzimy i tak musi być.

(Autorytet cesarza był bezdyskusyjny i nie do podważenia: naród go wielbił jak boga i godził się bez szemrania z każdą jego decyzją. Ale drobna mniejszość młodych, którzy



studiowali na uczelniach, szczególnie w Addis Abebie, tak nie myślała. I roznosiła nielegalne gazetki, rozprawiała o ziarnie, z którego wyrosnie roślina. „Ziarno rośliny zwanej wolnością”. W odpowiedzi na takie protesty, zresztą chaotyczne i pozbawione dalszego ciągu, następowały aresztowania i studenci znikali. Na uniwersytecie w Addis Abebie studiowało normalnie trzy tysiące młodych ludzi. W niektóre semestry było ich tylko kilka setek. Gdzie przepadała reszta? Nikt tego nie wiedział. Ktoś zapytał o to ministra edukacji, ale on nie udzielił odpowiedzi. Jedyną nadzieją było to, że zostali zamknięci w „rolniczej wspólnocie”, to jest w tych co zawsze obozach koncentracyjnych, albo w kopalniach złota, takich jak cesarska kopalnia złota, gdzie pracowali tylko więźniowie. Dowodów nie było).

*Chciałabym, aby Wasza Wysokość opowiedział mi trochę o sobie. Proszę mi powiedzieć; czy był kiedyś nieposłusznym młodzieńcem? Ale może powinnam spytać, czy Wasza Wysokość miał kiedykolwiek czas być młodym.*

Nie rozumiemy takiego pytania. Cóż to za pytanie? To oczywiste, że My byliśmy młodzi: nie urodziliśmy się przecież starymi! Byliśmy dzieckiem, a potem nastolatkiem, a potem młodzieńcem, a potem dorosłym, a potem starym. Tak jak wszyscy. Nasz Pan i Stwórca uczynił nas takim jak wszyscy. Może chce pani się dowiedzieć, jakim młodzieńcem byliśmy. A więc byliśmy młodzieńcem bardzo poważnym, bardzo pracowitym, bardzo posłusznym. Czasami byliśmy karani, ale wie pani, dlaczego byliśmy karani? Ponieważ Nam nie wystarczało to, czego kazano Nam się uczyć, i chcieliśmy się uczyć więcej. Chcieliśmy zostać w szkole po lekcjach, nie lubiliśmy rozrywek, konnej jazdy, zabawy. Nie chcieliśmy tracić czasu na zabawę.

*Wasza Wysokość, może nie wyraziłam się jasno...*

*Ça suffit, ç a suffit! Dosyć, dosyć!*

(W rzeczywistości Hajle Syllasje urodził się stary. W wieku siedmiu lat, pod wpływem swojego ambitnego i bardzo inteligentnego ojca, rasa Makonnena, kuzyna króla Menelika, czytał i pisał poprawnie po amharsku. W wieku dziewięciu lat znał na pamięć większą część literatury francuskiej. W wieku trzynastu lat otrzymał od króla Menelika tytuł Wielkiego Szeryfa, w wieku czternastu został mianowany gubernatorem prowincji Sodali. W tym samym roku zmarł jego ojciec i król Menelik wezwał go na dwór, aby nauczył się sztuki polityki, mimo że królowa Taitù uważała go za antypatycznego i przeciwstawiała się jego sukcesji. Na dworze przebywał dwa lata. Potem został gubernatorem Sidamo, a w wieku szesnastu lat sprawował władzę sądową, orzekał wyroki śmierci i wymierzał kary cielesne, kierował karnymi ekspedycjami: był

absolutnym przywódcą miliona ludzi, którzy po jego przejściu całowali ziemię. Tafari Makonnen – tak nazywał się naprawdę – nie miał nigdy czasu ani sposobu, żeby przeżyć okres, w którym się odkrywa, co jest słuszne, a co niesłuszne. Wychowany wśród spisków, intryg, okrucieństw, nauczył się, jak przetrwać dzięki cynizmowi, i całe jego życie było skoncentrowane na wysiłku zdobycia władzy, a potem na jej utrzymaniu. Udało mu się to, bo nie miał zbyt wielu skrupułów i uciekał się często do metod, które przeraziłyby Borgiów i Machiavellego jednocześnie. Sposób, w jaki wyeliminował prawdziwego następcę tronu, Lija Yasu. Sposób, w jaki zneutralizował królową Zauditu. Sposób, w jaki rozgromił wrogich sobie rasów. Bezlitosny, uparty, dalekowzroczny, wstąpił wreszcie na tron w 1930 roku po okresie, w którym był regentem. I po tym, jak poświęcił temu marzeniu nawet zdolność uśmiechania się. Nigdy się nie uśmiechał. I nikt nigdy nie słyszał, jak się śmieje).

*Wasza Wysokość, jest pan monarchą, który króluje najdłużej ze wszystkich zasiadających dziś jeszcze na tronie. W czasach, w których upadło tak wiele monarchii, Wasza Wysokość jest jedynym absolutnym monarchą. Czy zdarza się panu kiedykolwiek czuć się samotnie w świecie tak różnym od tego, w którym pan wyrósł?*

My uważamy, że świat w ogóle się nie zmienił. My uważamy, że te zmiany nic nie zmieniły. Nie widzimy nawet różnic między republiką a monarchią. Nam się wydaje, że są dwa w istocie jednakowe sposoby rządzenia narodem. No, proszę nam powiedzieć: Jaka jest różnica między republiką a monarchią?

*Doprawdy, Wasza Wysokość... Otóż, nam... chcę powiedzieć... mnie się wydaje, że w republikach, gdzie panuje demokracja, szef państwa jest wybierany. A w monarchiach nie.*

Nie widzimy różnicy.

*Nieważne. Co Wasza Wysokość myśli o demokracji?*

Demokracja, republika: co znaczą te słowa? Co zmieniły one w świecie? Może ludzie stali się uczciwsi, bardziej lojalni, lepsi? Może naród jest szczęśliwszy? Wszystko jest jak przedtem, jak zawsze. Złudzenia, złudzenia. Trzeba też się zastanowić, jakie są interesy narodu, zanim zaczniesz się obalać porządek za pomocą słów. Czasami demokracja jest konieczna i My sądymy, że niektóre narody afrykańskie mogą ją wprowadzić. Ale czasami przynosi szkody, jest błędem.

(W Etiopii nie wiedziano nawet, co to takiego wybory, co to takiego głosowanie. Gdyby ktoś wyjaśnił pasterzowi z Gonderu, że ma prawo wyrazić swoją opinię i objawić ją za pomocą

czegoś, co nazywa się oddaniem głosu, uznaliby, że się z niego kpi, i nie uwierzyłyby. Oczywiście nie było partii politycznych. Nawet nielegalnych. Tajna policja była świetnie zorganizowana, kontrolowano rozmowy telefoniczne i nawet cudzoziemcy obawiali się wyrazić swój punkt widzenia, który nie byłby zbieżny z punktem widzenia cesarza. Z byle powodu można było zostać oskarżonym o obrazę majestatu i skończyć w więzieniu albo na szubienicy. Faktem jest, że cesarz nie wierzył w Etiopię mogącą korzystać z wolności i demokracji, nie szanował też zbyt swego narodu. W obecności osób, którym ufał, powtarzał zawsze z pogardą: „Vous savez, ces gens...”. I przytaczał przykład Konga: „Oto, co się dzieje, kiedy da się wolność niektórym ludziom”).

*Czy Wasza Wysokość ma na myśli, że niektóre narody, to znaczy pański naród nie jest gotów do demokracji, a więc na nią nie zasługuje? Mam na myśli, że wolność wypowiedzi, druku byłaby tutaj nie do przyjęcia?*

Wolność, wolność... cesarz Menelik i także Nasz ojciec, ludzie oświeceni, zastanawiali się nad tym słowem i z bliska obserwowali te zjawiska. A raczej rozpatrzyli je i zrobili wiele ustępstw wobec narodu. My później zrobiliśmy inne ustępstwa. Wspominaliśmy już, że to My znieśliśmy niewolnictwo. Ale powtarzamy, niektóre rzeczy są dobre dla narodu, a niektóre nie. Trzeba znać nasz naród, aby zdać sobie z tego sprawę. Trzeba postępować powoli, ostrożnie, być bardzo rozważnym ojcem w stosunku do naszych dzieci. Nasza rzeczywistość jest inna niż wasza. A nasze nieszczęścia są nieskończone.

(Na początku swojego panowania Hajle Syllasje wprowadził w Etiopii radio. Później gazety i telewizję. Mimo to nawet w Addis Abebie nie wiadano nic o tym, co dzieje się w reszcie świata. Zarówno radio, jak i gazety oraz telewizja służyły jedynie jako narzędzia królewskiej propagandy. Każdego wieczoru dziennik telewizyjny zaczynał się od wiadomości dotyczącej cesarza, który otworzył most albo odsłonił tablicę, albo wziął udział w dobroczynnej wystawie, albo spotkał się z jakimś ambasadorem. Niezmiennie dwa pierwsze słowa brzmiały: „Jego Wysokość...”. Gazety były w gruncie rzeczy pałacowymi biuletynami. Również „Etiopian Herald” wychodzący w języku angielskim zaczynał się od takiej samej wiadomości jak dziennik telewizyjny. Nawet wybuch wojny, wylądowanie pierwszego człowieka na Księżycu, miejscowe katastrofy schodziły na drugi plan w obliczu ceremonii, w której uczestniczył cesarz, i relacjonowane były w kilku liniijkach. W dniu, w którym samolot East African rozbił się na pasie startowym i zginęło pięćdziesiąt osób, prasa poświęciła wszystkie szpalty wizycie Jego

Wysokości na wsi. Etiopczycy byli tak bombardowani mitem Jego Wysokości, że kiedy słuchali w radio reklamy Coca-Coli, sądzili, że słyszą jego głos).

*Czy zdarzyło się kiedyś Waszej Wysokości żałować, że los sprawił, iż został królem? Czy marzył pan kiedyś o tym, aby żyć jak normalny człowiek?*

Nie rozumiemy pani pytania. Nawet w najtrudniejszych chwilach, najbardziej bolesnych, My nigdy nie żalowaliśmy ani nie przeklinaliśmy naszego losu. Nigdy. A dlaczegoż to mielibyśmy? Zrodziliśmy się z królewskiej krwi, władza się Nam należy. Ponieważ się Nam należy, ponieważ Nasz Pan i Stwórca uznał, że możemy być potrzebni narodowi tak jak ojciec jest potrzebny synowi, bycie monarchą jest dla Nas wielką przyjemnością. Urodziliśmy się po to i po to zawsze żyliśmy.

*Próbuję zrozumieć Waszą Wysokość jako człowieka, nie zaś jako króla. A zatem nalegam i pytam, czy ten fach Waszej Wysokości nie ciąży, na przykład kiedy Wasza Wysokość musi uciekać się do użycia siły.*

Król nigdy nie może żałować użycia siły. Bolesna konieczność to konieczność i król nie może się zatrzymać w obliczu żadnej konieczności. Nawet kiedy jest mu niemiła. Nigdy się nie obawialiśmy surowości; król wie, czego potrzebuje naród, naród tego przecież nie wie. Na przykład tego, żeby go ukarać. Musimy stosować się do nakazów Naszego sumienia i to wszystko. Nigdy nie cierpimy z powodu wymierzenia kary, ponieważ wierzymy w tę karę, mamy całkowite zaufanie do Naszego sumienia. Tak musi być i tak jest.

(Kary wymierzane przez cesarza nie obejmowały członków królewskiej rodziny. Nie mogli być oni skazani na śmierć ani na kary cielesne. Co się tyczy innych, kary zaczynały się od pracy przymusowej, a kończyły na powieszeniu. Zniknęło obcinanie dłoni i stopy, bardzo rozpowszechnione jeszcze kilka lat temu, pozostała kara zamurowania żywcem dla zdrajców własnego domu. Ostatnio jednak cesarz trochę złagodniał i rok wcześniej nakazał uwolnienie rasa, którego zamurował żywcem w 1954 roku. Mimo osiemnastu lat ciemności i milczenia ras nie umarł, ale ciężko się rozchorował. Hajle Syllasje umieścił go w szpitalu i na znak przebaczenia podarował mu samochód. Aby uczynić egzekucje mniej bolesnymi, cesarz chciał wprowadzić w Etiopii krzesło elektryczne i powierzył całą sprawę pewnemu Włochowi, który rzeczywiście je skonstruował. Ale krzesło nie zadziałało, skazaniec uległ poparzeniu i to wszystko, więc cesarz wrócił do starych metod. Inną drogą mu metodą było publiczne upokorzenie. Zdarzało się na przykład, że jakiś dworzanin popełnił błąd albo okazał się niegodny

jego zaufania. W takim przypadku Jego Wysokość karał go tak: zmuszał go do stawiania się co rano przed nim, na kolanach, i udawał, że go nie dostrzega. I tak całymi miesiącami, nawet latami. Przebaczenie następowało w dniu, w którym cesarz się zatrzymywał i powiadał: „Jesteśmy zaskoczeni, że cię tu widzimy, synu. Co możemy dla ciebie zrobić?”).

*Wasza Wysokość mówi wciąż o karach. Ale czy to prawda, że jest tak pobożny i przejęty chrześcijańskimi naukami?*

Byliśmy zawsze religijni, od dziecka, od dnia, w którym Nasz ojciec, ras Makonnen, nauczył Nas przykazań Naszego Pana i Stwórcy. Dużo się modlimy i chodzimy do kościoła jak najczęściej; jeśli to możliwe, co rano. Przystępujemy do komunii każdej niedzieli, regularnie. Ale przez religię rozumiemy nie tylko naszą i pozwoliliśmy narodowi wyznawać taką religię, jaka mu się podoba. Wierzymy w jedność Kościołów i dlatego podczas naszej wizyty we Włoszech z taką radością spotkaliśmy się z Pawłem VI. Bardzo się Nam spodobał. Wydał się Nam człowiekiem wielkich zdolności, szczególnie jeśli chodzi o jego starania na rzecz jedności Kościołów. A on z kolei potraktował Nas bardzo przyjaźnie.

(Spotkanie z papieżem było od dziesięcioleci marzeniem Hajle Syllasje. Ale papieżem, którego chciał poznać, nie był Paweł VI, lecz Jan XXIII. Powtarzał: „Musimy się spotkać, my dwaj. Zanim jeden z nas umrze!”. Śmierć Jana XXIII tak go zmartwiła, że przez jakiś czas przestał mówić o papieżach. Zaczął na nowo po latach i jak się powszechnie sądzi, jego wizyta we Włoszech miała cele bardziej mistyczne niż polityczne. Swój mistycyzm Hajle Syllasje zawdzięczał w dużej mierze żonie, cesarzowej Menen, zmarłej w 1965 roku. Bigotka do granic możliwości, Menen była reprezentantką koptyjskiego kleru w ramach Korony. Cesarz był jej bardzo oddany. Nigdy nie przestał jej kochać i słuchać się jej od dnia, w którym zabrał ją jej pierwszemu mężowi. Innym powodem, dla którego cesarz demonstrował tak bardzo swoją religijność, było jednak to, że taki wizerunek sprzyjał jego prestiżowi. Wielokrotnie, fałszując ten wizerunek, żywił nadzieję, że otrzyma Pokojową Nagrodę Nobla. A wręcz o mało co jej nie dostał. Utracił na nią szansę z powodu represji w Erytrei).

*Podczas wizyty Waszej Wysokości we Włoszech Włosi zrobili wszystko, aby udowodnić, jak bardzo boleją nad faktem, że toczyli z nim wojnę. Sposób, w jaki przyjęli Waszą Wysokość miał oznaczać, że wojna z 1935 roku to była wojna Mussoliniego. Czy teraz Wasza Wysokość jest już o tym przekonany?*

Czy jest możliwe rozróżnienie między Włochami a faszystami, nie Nam o tym decydować. Ma o tym zdecydować wasze sumienie. Kiedy cały naród godzi się, a potem utrzymuje przy życiu jakiś rząd, to znaczy, że ten naród uznaje ten rząd. Ale My musimy wyjaśnić, że zawsze rozróżnialiśmy w naszym osądzie wojnę Mussoliniego i rząd Mussoliniego. To były dwie różne rzeczy. A jednocześnie nie czujemy się na siłach osądzić rządu Mussoliniego z powodu wojny, którą wytoczył Etiopii. To sam rząd ocenia, jak przysłużyć się swojemu narodowi, i ewidentnie rząd Mussoliniego napadł na nas, sądząc, że dzięki tej wojnie jest użyteczny dla narodu włoskiego.

*Wasza Wysokość, może dobrze nie zrozumiałam. Mogę spytać, jak dziś Wasza Wysokość osądza Mussoliniego?*

My go nie osądzamy. Dziś już nie żyje i na cóż by się zdało osądzać zmarłych? Śmierć wszystko zmienia, wszystko przekreśla. Także błędy. Nie lubimy mówić o nienawiści ani o pogardzie w stosunku do człowieka, który nie może już Nam odpowiedzieć. I to samo odnosi się do innych, którzy okupowali nasz kraj: do Grazianiego, Badogli. Wszyscy umarli. Cisza. Poznaliśmy Mussoliniego w 1924 roku, kiedy nie byliśmy jeszcze Cesarzem i udaliśmy się do Włoch z oficjalną wizytą. Przyjął nas bardzo dobrze, jak prawdziwy przyjaciel. Był uprzejmy. Spodobał się Nam. Rozmawialiśmy z nim otwarcie o przeszłości i przyszłości. Wzbudził nasze zaufanie; po rozmowie wszystkie nasze wątpliwości zniknęły. Potem nie dotrzymał danego Nam słowa. I tego nigdy nie potrafiliśmy zrozumieć. Ale dziś to już bez znaczenia.

(Nigdy nikomu nie udało się namówić Hajle Syllasje, aby powiedział złe słowo o Mussolinim. Kiedy poruszało się ten temat, co najwyżej można było od niego usłyszeć, że był zaskoczony jego zdradą. Panuje istotnie powszechne przekonanie, że Hajle Syllasje był ostatnim prawdziwym wielbicielem Mussoliniego i że przed 1935 rokiem żywił wobec niego tajemny podziw. Potem, z powodu faszystowskiej wojny, rozczarował się, ale podziw całkiem nie zniknął. Podczas spotkania w 1924 roku Hajle Syllasje, inteligentny polityk i człowiek o przenikliwej intuicji, rozumiał, że może żyć w zgodzie z Mussolinim. To Mussolini nie zdał sobie sprawy, że może żyć w zgodzie z Hajle Syllasje. W gruncie rzeczy chodziło o dwóch autokratów, którzy rządili według tych samych zasad: żelazną ręką i nie zezwalając na żadne swobody. To, co dla nas było winą, dla Hajle Syllasje było cnotą. W 1941 roku, kiedy wrócił do Addis Abeby, cesarz dowiedział się, że różgi liktorskie są zdejmowane. Rozkazał natychmiast,

aby ich nie ruszać. „Dlaczego mielibyśmy to robić?”. Zresztą wszyscy Włosi, którzy w Etiopii mieli kontakty z cesarzem, byli nieodwracalnie, bez reszty faszystami).

*Jak zatem Wasza Wysokość spogląda na tamte smutne lata? Na wojnę, którą prowadziliśmy?*

Spoglądamy na was na rozmaite sposoby, przeciwstawne. Z jednej strony nie można istotnie zapomnieć tego, co wyrządzili Nam Włosi: wiele wycierpieliśmy z waszego powodu. Z drugiej, co mamy powiedzieć? Zdarza się wszystkim prowadzić niesprawiedliwą wojnę i odnieść w niej zwycięstwo. Kiedy tylko wróciliśmy do naszego kraju, w 1941 roku, oznajmiliśmy: musimy być przyjaciółmi Włochów. Dziś jesteśmy nimi naprawdę. Wy zmieniliście się pod wieloma względami, my zmieniliśmy się pod wieloma innymi. I... powiedzmy tak: historia nie zapomina, ludzie zaś mogą zapomnieć. Mogą również wybaczyć, jeśli mają dobrą duszę. A My usiłujemy być dobrzy. Tak, wybaczyliśmy. Ale nie zapomnieliśmy. Zapomnieć, nigdy. Pamiętamy wszystko, wszystko!

*Także przemówienie, które Wasza Wysokość wygłosił w Lidze Narodów? Także dzień, w którym trzeba było uciekać?*

Och, tak. Pamiętamy dobrze przemówienie, poprzedzający je dzień, faszystowskie gazety, które Nas obrażały, słowa, jakie wypowiedzieliśmy, domagając się sprawiedliwości: „Dziś przydarza się to nam, jutro wam się to przydarzy”. Tak się właśnie stało... I pamiętamy dzień, w którym udaliśmy się na wygnanie, bo to był najboleśniejczy dzień w Naszym życiu. Być może także najmniej rozumiany. Istotnie, wymagał wiele odwagi: czasami rzeczy, które nie wydają się podyktowane odwagą, wymagają wiele odwagi. Faktem jest, że nie pozostawało Nam już nic innego oprócz nadziei na powrót i ponowne kierowanie Naszym narodem. Ale ta nadzieja była wielka i podczas gdy podróżowaliśmy, stała się absolutną pewnością. Och, nie wyjechalibyśmy, gdybyśmy się obawiali, że zostaniemy na zawsze w Europie! Zrozumieliśmy, jak potoczą się sprawy, i nikt nie widział nas w rozpaczy w tamtych latach.

(Drugiego maja 1936 roku, trzy dni przed wkroczeniem Grazianiego do Addis Abeby, Hajle Syllasje uciekł specjalnym pociągiem, który zawiózł go do Dżibuti, a stamtąd brytyjskim krążownikiem przepłynął na drugi brzeg Morza Czerwonego. Podróżował z żoną, trzema synami, dwiema córkami, dworem, dwoma pieskami chihuahua, pradziadkami Lulù i Papillona, skarbem Korony i jednym więźniem: rasem Hailù. Ucieczka była trudna, upokarzająca. W Jerozolimie cesarz dowiedział się, że etiopskie oddziały, pozostawione same sobie, złupiły pałac, zabiły

pałacowe lwy, okradły i zniszczyły sklepy białych, dopuściły się mordów na Europejczykach. Krytykowany już za strategiczne błędy popełnione w czasie wojny i za to, że nie pozostał u boku tych, którzy organizowali partyzantkę, zobaczył, jak maleje jego prestiż, na którym tak mu zależało. W Hajfie inny brytyjski krążownik miał go zawieźć wraz z orszakiem do Anglii, ale pod jakimś pretekstem wysadzono go w Gibraltarze i dalej musiał podróżować statkiem rejsowym. Był to rozkaz angielskiego rządu, który w istocie popierał Mussoliniego i nie chciał przyjąć Hajle Syllasje w charakterze oficjalnego gościa. Ale przemówienie, jakie wygłosił dwa miesiące później w Genewie, na posiedzeniu Ligi Narodów, pozostaje najpiękniejszym i najszlachetniejszym momentem w jego życiu. A w dodatku zajęciem przezornego stanowiska, które dziś byłoby aktualne w przypadku innych krajów. „Ja, Hajle Syllasje Pierwszy, cesarz Etiopii, jestem tu, aby oświadczyć, że sprawiedliwość należy się mojemu narodowi, tak jak pomoc przyznana półtora roku temu, kiedy pięćdziesiąt narodów uznało, że dokonany został akt agresji. Ja, Hajle Syllasje Pierwszy, jestem tutaj, aby domagać się praw małych narodów zaatakowanych za przyzwoleniem wielkich...”).

*Wasza Wysokość kładzie wciąż nacisk na swoje przyjazne uczucia wobec Włochów i rzeczywiście, był bardzo pobłażliwy wobec nich, kiedy wrócił do Addis Abeby. Mogę spytać, czy Włosi zrobili coś dobrego w Etiopii?*

Oczywiście. Czemu nie? Było wiele zła z ich strony, szczególnie na początku, ale było także dobro. Szczególnie później. Jak zwykle w życiu, nic nie ma nigdy określonej barwy. Możemy powiedzieć z lekkim sercem: Włosi wyrządzili wielką krzywdę Naszemu krajowi, ale zrobili też dobre rzeczy. Nic nowego, nic nadzwyczajnego, nic, czego My byśmy już nie rozpoczęli wcześniej; trzeba to jasno powiedzieć. Poza tym trzeba wyjaśnić, że gdyby nie zrobili czegoś pozytywnego, mieliby przeciwko sobie całą ludność; nie mogli przecież zrazić przeciwko sobie ludności. Ale... Powiedzmy, że jeśli z jednej strony przerwali oni to, co My zdążyliśmy rozpocząć, z drugiej kontynuowali Nasze dzieło. I dziś jesteśmy bardzo szczęśliwi, że ochroniliśmy Włochów po naszym powrocie.

(Po powrocie Hajle Syllasje nakazał, żeby Włochom nie spadł włos z głowy, i rozkaz został tak powszechnie wykonany, że podobno w Addis Abebie nie było burdelu, gdzie nie schowałoby się co najmniej dwóch, trzech Włochów. On sam, wbrew opinii Anglików, którzy chcieli ich przepędzić, gościł ich pięciuset w swoim pałacu. I tyłu też przyjął jego drugi, młodszy syn, księżę Harer, w pałacu w Harer. Gest ten był interpretowany – podobnie jak dziś – jako



dowód ewangelicznej wielkoduszności. W rzeczywistości jednak chodziło o nader zręczne posunięcie polityczne, chytrą kalkulację. W Etiopii Włosi popełnili немало zbrodni, ale zbudowali także drogi, mosty, tamy, szpitale i importowali klasę niezbędną do rozwoju zacofanego kraju: drobnomieszczaństwo. Gdyby Włosi zostali wymordowani albo choćby wygnani, kto zająłby się sklepami, urzędami pocztowymi, drobnym przemysłem? Nie tylko. W czasie tych czterech lat i sześciu miesięcy Włosi nie okazali się rasistami: żyli z etiopskimi kobietami, często się z nimi żenili, zawsze uznawali zrodzone z tych związków dzieci. Rosło pokolenie Mulatów, którego nie należało poświęcić. Rezultatem tego cesarskiego gestu jest to, że dziś w Etiopii żyje piętnaście tysięcy Włochów bardziej oddanych Hajle Syllasje niż jego własni poddani. Całkowicie przystosowani do jego ustroju i jego reżimu, nie wiedzący nic o dzisiejszych Włoszech, biegli nierzadko za samochodem cesarza i padali na kolana, aby go o coś poprosić. Są też bogacze, jak Barottolo [fabryki bawełny], wdowa Melotti [przemysł piwny], Montanari [fabryki obuwia], Bini [koncesje terenów]. Ci ostatni byli dla Hajle Syllasje niezbędnymi przyjaciółmi).

*Wasza Wysokość, podczas tych trzydziestu jeden lat odzyskanej niepodległości Etiopia nie była z pewnością spokojnym krajem. Wybuchają dziś powszechne bunt, miały miejsce zamachy stanu. Jeden, na ogromną skalę, dwanaście lat temu. Był nawet w niego zaangażowany następca tronu. Co Wasza Wysokość może mi o tym powiedzieć?*

Że My się tym nie martwimy, albo raczej, że się nie martwimy bardziej niż to konieczne. Podobne rzeczy zdarzają się zawsze w życiu kraju. Zawsze jest coś, co jest w ruchu, co fermentuje. I na całym świecie trafiają się ambitne osoby. Osoby złe. Wystarczy stawić im odważnie i zdecydowanie czoło. Biada, jeśli się jest niepewnym, biada, jeśli się jest słabym albo się waha: zostanie się wtedy pokonanym. My nigdy nie zostaliśmy pokonani. Na siłę trzeba reagować siłą i tak wówczas zareagowaliśmy. Oczywiście, sprawiło Nam to ból, nie spodziewaliśmy się, że niektórzy... że pewni... że ten... Ale prawdziwych winnych było mało. Ukaraliśmy ich więc i wybaczyliśmy pozostałym. To wszystko. Tak My mówimy i tak musi być.

*Nie, Wasza Wysokość, to nie wszystko. Miałam na myśli to, że...*

*Ça suffit, ç a suffit! Dosyć tego, dosyć tego!*

(Były dwa tematy, których nie należało poruszać w obecności Hajle Syllasje: Erytrea i rola, jaką odegrał następca tronu, książę Asfa Wossen, w zamachu stanu z 1960 roku. Zamach stanu nastąpił, kiedy cesarz przebywał w Brazylii, i główną rolę odegrali w nim bracia: Mengystu

i Girmané Neway. Ani jeden, ani drugi nie byli ambitni ani źli. To było jedynie dwóch facetów zmęczonych ustrojem feudalnym, szczerze przekonanych do sprawy sprawiedliwości społecznej i wolności. Nie byli nawet komunistami, można ich określić jako socjaldemokratów z programem reform, a nie rewolucji. Girmané studiował w Kalifornii, na uniwersytecie w Berkeley, i zarządzał prowincją Ji-Jigga. Mengystu był dowódcą straży cesarskiej i miał dostęp do prywatnych apartamentów Jego Wysokości, z sypialnią włącznie. Kiedy zaproponowano mu, żeby udusił cesarza we śnie, odmówił oburzony. Zamach stanu zapowiedział przez radio Asfa Wossen i nigdy się nie dowiemy, czy następca tronu był z nimi, czy zmuszono go do tego, przykładając mu rewolwer do skroni, jak głosi wersja oficjalna. Wiadomo jednak, że kiedy bunt został stłumiony, Hajle Syllasje spojrział na syna z pogardą i powiedział do niego: „Wolałbym się dowiedzieć, że nie żyjesz”. Bunt został stłumiony dzięki błyskawicznemu powrotowi Hajle Syllasje, przez wojsko, którym dowodzili amerykańscy instruktorzy. Skończył się krwawą łaźnią. Oblicza się, że co najmniej dziesięć tysięcy ludzi zostało zabitych. Zaraz po klęsce bracia Neway zabili dygnitarzy, których wzięli jako zakładników, a następnie uciekli w góry. Tam zostali otoczeni i aby nie zostać złapani, Girmané strzelił do Mengystu, a potem sam się zastrzelił. Girmané zginął na miejscu, Mengystu nie. Został schwytyany, wyleczony, wytoczono mu proces i skazano na powieszenie. Umarł jak bohater, bo wykopał stołek spod nóg i powiesił się sam. Z rozkazu cesarza jego trup wisiał przez osiem dni na szubienicy. Cesarz zażyczył sobie, żeby to samo zrobiono z trupem Girmané).

*Skoro Wasza Wysokość nie chce mówić o pewnych sprawach, proszę mi jeszcze opowiedzieć o sobie. Wieść głosi, że Wasza Wysokość lubi bardzo zwierzęta i dzieci. Mogę zapytać, czy tak samo lubi ludzi?*

Ludzi... no właśnie; trudno być pobłażliwym wobec ludzi. O wiele łatwiej być pobłażliwym wobec zwierząt i dzieci. Kiedy się miało trudne życie, takie jak Nasze, czujemy się o wiele swobodniej w towarzystwie zwierząt i dzieci. One nie są nigdy złe albo przynajmniej nigdy w sposób zamierzony. Ludzie natomiast... Cóż, są ludzie dobrzy i ludzie źli. Pierwszymi trzeba się posługiwać, drugich trzeba karać, nie zastanawiając się, dlaczego są dobrzy, albo dlaczego są źli. Życie jest jak teatr: biada ci, jeśli próbujesz zrozumieć je w całości i od razu. Nie jest już zabawne. A poza tym My zbyt wiele żądamy od ludzi, aby ich szanować.

*Czego Wasza Wysokość od nich żąda?*

Godności, odwagi.

*Obu bohaterom zamachu stanu nie brakowało godności, Wasza Wysokość. I nie brakowało im także odwagi.*

*Ça suffit, ç a suffit! Dosyć już tego!*

*No, dobrze, Wasza Wysokość. Ale czego Wasza Wysokość żąda od króla, od siebie samego?*

Także od niego żądam odwagi. I umiejętności zachowania równowagi. Król musi umieć się poruszać pomiędzy przyjaciółmi a wrogami, pomiędzy starym a nowym. Król musi potrafić się nie spieszyć i nagiąć wszystko do celu, który sobie wyznaczył. Nauczyliśmy się tego w młodości, kiedy przeczytaliśmy wasze książki i ukształtowaliśmy się w waszej zachodniej kulturze, zgodnie z życzeniem cesarza Menelika i Naszego ojca. Ponieważ zaczęliśmy bardzo wcześnie doceniać nowości, o których pani Nam mówi. Wiele podróżowaliśmy. Nie lubimy podróżować. Męczy Nas to. I często Nas nie bawi. Ale podróżujemy mimo wszystko, ponieważ uważamy, że pożyteczne jest podróżować w poszukiwaniu przyjaciół, bo takie jest przecież zadanie króla.

*Podróże często zaskakujące, w poszukiwaniu nieoczekiwanych przyjaciół. Wasza Wysokość był nawet w Chinach i spotkał się z Mao Tse-tungiem...*

Długo rozmawialiśmy i bardzo polubiłem Mao Tse-tunga. Bardzo. Zrobił na Nas doskonałe wrażenie, zupełnie jak Paweł VI. Jest dobrym przywódcą, przywódcą bardzo poważnym i jego naród dobrze zrobił, wybierając go. Spodobały się Nam także Chiny. Panuje tam zupełnie inny sposób życia, ale każdy powinien żyć na własną modłę. Tak powiedzieliśmy również w Naszym dialogu z Chińczykami i uzyskaliśmy korzystne rezultaty.

(Hajle Syllasje uzyskał od Chińczyków dwie rzeczy. Po pierwsze, że zaprzestaną wszelkiej pomocy dla partyzantki erytrejskiej. Po drugie, pożyczkę wysokości osiemdziesięciu pięciu milionów amerykańskich dolarów: zwrot bez procentów w ciągu dwudziestu lat i pod jednym warunkiem: że zacznie je wydawać w ciągu pięciu lat. Praktycznie prezent. Zwrot miał nastąpić w towarach zbędnych, to znaczy w kawie. Ponieważ Chińczycy zobowiązali się już kupować kawę za dwa miliony amerykańskich dolarów rocznie, Chiny miały się stać magazynem niemal całej etiopskiej kawy. Chociaż nikt w Chinach nie pił kawy. W skali międzynarodowej Hajle Syllasje był wielkim politykiem. Dowodzi tego zresztą przebiegłość, z jaką manipulował wielkimi mocarstwami i wykorzystywał inne kraje. Jego prawdziwymi przyjaciółmi byli Amerykanie, którym zezwolił na kontrolę polityczną i ekonomiczną kraju, a ich doradcom

powierzył pieczę nad wojskiem, lotnictwem, tajnymi służbami. Jego prawdziwymi wrogami byli Sowieci, którzy pchali Dżibuti do niepodległości i pomagali Sudanowi, który z kolei pomagał Erytrei. Pojechał jednak również do Moskwy i Etiopia była pełna Bułgarów, Rumunów, Polaków, Jugosłowian, jednym słowem, komunistycznych ambasad. Hajle Syllasje żył w zgodzie z krajami arabskimi, ale wezwał Izraelczyków, aby wykształcili tajnych agentów, policję kryminalną i straż cesarską. Miał z nimi wspólny interes, aby nie utracić portów Asmara i Assab. Miał także doskonałe relacje z Francuzami w obawie, żeby nie zrezygnowali z Dżibuti. Stosunki były nieco chłodne jedynie z Anglikami: nigdy im nie wybaczył rezerwy, z jaką przyjęli go na wygnaniu. I chociaż Anglicy osadzili go z powrotem na tronie, nikt nigdy nie słyszał, aby cesarz wypowiedział choćby słowo w ich języku. Który zresztą świetnie znał).

*Etiopia to Wasza Wysokość. Wasza Wysokość strzeże jej, dba o jej jedność. Co się stanie w dniu, w którym zabraknie Waszej Wysokości?*

Jak, jak? Nie rozumiemy tego pytania.

*W dniu, w którym Wasza Wysokość umrze.*

Etiopia istnieje od trzech tysięcy lat. A raczej istnieje od dnia, w którym został stworzony człowiek. Moja dynastia panuje od chwili, w której królowa Saby spotkała króla Salomona i z ich spotkania urodził się syn. To jest dynastia, która trwa od stuleci i która będzie trwała przez stulecia. Król jest zastępowalny, a zresztą sukcesja po mnie jest zapewniona. Jest następca tronu i on będzie królował, kiedy Nas zabraknie. Tak postanowiliśmy i tak będzie.

(Wielu w to nie wierzyło. I szeptało, że Hajle Syllasje mógłby nie zostawić tronu Asfie Wossenowi. Nie kochał go, nigdy go nie kochał i nigdy mu nie wybaczył tego, że był zamieszany w bunt braci Neway. Od 1960 roku nikt już nie widział Asfy Wossena u boku ojca; Hajle Syllasje nie powierzył mu żadnej funkcji, pozostawiał go zawsze w cieniu i otaczał pogardą. Kiedy objeżdżał kraj z powodu swoich ceremonii, zabierał z sobą synów księcia Harera, a szczególnie najmłodszego: aroganckie książątko, które zmieniało samochody jak rękawiczki. Miał ich całą kolekcję i wszystkie nieseryjne. Wielką miłością Hajle Syllasje był drugi, młodszy syn, książę Harer. Chciał, żeby to on został jego następcą. Ale książę Harer zginął; niektórzy mówią, że w wypadku samochodowym, niektórzy zaś, że z ręki zazdrosnego męża, i Hajle Syllasje przeniósł swoje uczucie na trzeciego syna, Sehlà Syllasje. Kiedy i ten umarł, na skutek choroby, cesarz musiał powrócić do pomysłu z Asfą Wossenem. Wieści o tym ostatnim były sprzeczne. Jedni określali go jako inteligentnego, zrównoważonego, nowoczesnego, nadającego się na monarchę

konstytucyjnego i skłaniającego się ku demokracji. Inni jako niezdolnego, tchórzliwego, bez fantazji i zdolnego jedynie kontynuować ojcowski absolutyzm. Pewne było jedynie to, że miał pięćdziesiąt sześć lat, korpulentną sylwetkę, nieśmiałe zachowanie i że był bardzo smutny).

*Życie Waszej Wysokości nie było w sumie szczęśliwe. Wszystkie osoby, które Wasza Wysokość kochał, umarły: żona, dwóch synów i dwie córki. Wiele złudzeń się rozwiało i wiele z marzeń Waszej Wysokości. Ale, jak się domyślam, Wasza Wysokość zgromadził wielką mądrość i to odwołując się do niej, pytam: Jak pan patrzy, panie Hajle Syllasje na śmierć?*

Na co, na co?

*Na śmierć, Wasza Wysokość.*

Śmierć? Śmierć? Kim jest ta kobieta? Skąd się wzięła? Czego ode mnie chce?!? Precz, dosyć! *Ça suffit! Ça suffit!*

(Hajle Syllasje był bardzo przesądny i rozpaczliwie przywiązany do życia. Każdego roku jechał do Genewy, poddawał się odmładzającym kuracjom i podobno odnawiał często swoją krew świeżą i młodą krwią. Dręczyły go początki arteriosklerozy. Ale jego śmierci, bardziej niż on sam, bali się inni. Jego polityczny talent nie był bowiem wystarczająco duży, aby przygotować dzień, w którym cesarza zabraknie. Jego geniusz nie był wystarczająco kompletny, aby zasadzić nowe drzewo, kiedy jego już uschnie. Jego stare dłonie nie oddały nigdy ani nie przekazały władzy. Jego stare serce nie wykroczyło nigdy poza zasadę *après-moi-le-déluge*. Być może śmierć tak go przerażała, ponieważ wiedział, że grozi mu bycie ostatnim cesarzem Etiopii, Lwem Judei, Wybrańcem Boga, Potęgą Trójcy, Królem Królów).

*Addis Abeba, czerwiec 1972*

## Mohammad Reza Pahlawi

Jego Wysokość czekał, stojąc pośrodku pełnego przepychu salonu służącego mu za biuro. Nie odpowiedział na moje podziękowanie za zgodę na wywiad i w milczeniu, chłodno, podał mi prawą dłoń. Uścisk był oschły, odpychający. Zachęta, abym usiadła, jeszcze bardziej oschła. Wszystko obyło się bez słów, bez uśmiechu: jego wargi były zaciśnięte jak zatrzaśnięte drzwi, spojrzenie było lodowate jak zimowy wiatr. Można by pomyśleć, że chce mi coś zarzucić, ale nie można było odgadnąć, co takiego. A może hamowała go tylko jego rezerwa, lęk, aby nie wypaść z królewskiej roli? Kiedy usiadłam, on także usiadł: ze złączonymi nogami i skrzyżowanymi ramionami, sztywnym torsem (z powodu kamizelki kuloodpornej, przypuszczam, którą nosi zawsze tak jak Hajle Syllasje). Tak unieruchomiony zaczął mi się przyglądać z rezerwą, podczas gdy ja opowiadałam mu o incydencie przy bramie, gdzie zatrzymał mnie strażnik, tak że o mało co nie spóźniłam się na spotkanie. Usłyszałam w końcu jego głos, kiedy odpowiedział, że bardzo mu przykro, ale niektóre błędy popełniane są z nadmiaru gorliwości. To był głos smutny, zmęczony. Głos niemal bezgłośny. Zresztą również jego twarz była smutna, zmęczona. Pod siwymi włosami, wełnistymi jak futrzana czapka, rzucał się w oczy wielki nos. Co do sylwetki, wydawał się tak kruchy w szarej dwurzędówce, tak wychudły, że zaraz przyszło mi do głowy pytanie, czy dobrze się czuje. Doskonale, odpowiedział, nigdy nie czułem się równie dobrze; informacje, według których jego zdrowie byłoby zagrożone, są bezpodstawne i schudł celowo, ponieważ już trochę za bardzo przytył.

Potrzeba było sporo czasu, aby rozgrzać atmosferę po tym niestosownym początku. Jeśli się dobrze zastanowić, udało mi się to dopiero wtedy, kiedy go spytałam, czy mogę zapalić papierosa, o którym marzyłam od pół godziny. „Mogła mi pani o tym powiedzieć wcześniej. Zrezygnowałem z papierosów, ale lubię zapach tytoniu, zapach dymu”. Wówczas pojawiła się także herbata, podana w złotych filiżankach ze złotymi łyżeczkami. Ale tam w środku niemal wszystko było złote: popielniczka, której nie miało się odwagi pobrudzić, pudełko inkrustowane szmaragdami, figurki na meblach wysadzane rubinami i szafirami, kanty stolików. I w tym blasku złota, szmaragdów, rubinów, szafirów, absurdalnym, irytującym, przebywałam około dwóch godzin, usiłując przeniknąć tajemnicę Jego Wysokości. Potem, ogarnięta wątpliwościami, czy cokolwiek zdołałam się dowiedzieć, poprosiłam o ponowne spotkanie. Zgodził się i następne spotkanie odbyło się cztery dni później. Tym razem Jego Wysokość był bardziej

serdeczny. Aby zrobić mi przyjemność, jak przypuszczam, założył paskudny włoski krawat i rozmowa potoczyła się łatwo, ledwo zakłócona obawą, że jestem na czarnej liście jego policji. Obawa ogarnęła go, ponieważ uzasadniłam jedno z moich pytań, wyjaśniając, że moja książka o Wietnamie została na czas wizyty Nixona usunięta z teherańskich księgarń. Słyszając to, podskoczył jak dźgnięty nożem przez kamizelkę kuloodporną. Jego spojrzenie stało się niespokojne, wrogi: a to dopiero, a więc jestem niebezpieczna? Minęło kilka minut, zanim zdecydował się na jedyne możliwe wyjście z sytuacji, to znaczy rezygnację ze swojej przesadnej rezerwy. Otworzył się więc na uśmiechy i uśmiechając się, zaczęliśmy rozmawiać o autorytarnym reżimie, w który wierzy, o jego relacjach ze Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim, o jego polityce naftowej. Tak, rozmawialiśmy o wszystkim. Dopiero kiedy wyszłam, zdałam sobie sprawę, że jedyną rzeczą, o której nie mówiliśmy, był obłęd, na który podobno cierpi i który jest jakoby powodem jego ukrytego okrucieństwa.

Zdałam sobie również sprawę, że wiem o nim bardzo mało, może jeszcze mniej niż wcześniej: pomimo trzech godzin pytań i odpowiedzi, człowiek ten pozostawał tajemnicą. Czy był na przykład idiotą, czy był inteligentny? Prawdopodobnie jest, tak jak Bhutto, postacią, w której najbardziej paradoksalne przeciwieństwa łączą się po to, żeby pozostać dla ciebie zagadką. Wierzy na przykład w prorocze sny, wizje, w dziecinny mistycyzm, a potem dyskutuje o ropie naftowej jak ekspert (jest nim). Rządzi jak absolutny monarcha, a potem zwraca się do narodu tonem kogoś, kto wierzy w naród i go kocha: kieruje przecież Białą Rewolucją, która ma na swoim koncie jakieś sukcesy w walce z analfabetyzmem i ustrojem feudalnym. Uważa, że kobiety należy uważać za pełne wdzięku dodatki, niezdolne myśleć jak mężczyzna, a potem w społeczeństwie, gdzie kobiety noszą jeszcze chusty, nakazuje dziewczętom pełnienie służby wojskowej. Jednym słowem, kim jest ten Mohammad Reza Pahlawi, który od trzydziestu dwóch lat siedzi mocno na najbardziej niebezpiecznym tronie świata? Czy należy do epoki latających dywanów, czy do epoki komputerów? Czy bliżej mu do proroka Mahometa, czy do szybów w Abadanie? Nie udało mi się tego pojąć. Zrozumiałam jednak, że również Jego Wysokość potrafi kłamać z niebywałą bezwstydną: kiedy wywiad został opublikowany, Reza Pahlawi zażądał od swojej ambasady we Włoszech, aby zdementowała zdanie, w którym zapowiedział, że chce podwyższyć cenę ropy, ale kilka tygodni później podwyższył ją naprawdę. I zrozumiałam jeszcze, że jest ponurym dyktatorem, zniechęconym przez swój naród, tak jak powinno się nienawidzić ponurych dyktatorów. Więzienia w Iranie są tak pełne więźniów politycznych, że

aby rozwiązać ten problem, Jego Wysokość zmuszony jest od czasu do czasu niektórych z nich rozstrzeliwać.

*ORIANA FALLACI. Przede wszystkim chciałabym pomówić o Waszej Wysokości i o fakcie bycia królem. Królów pozostało już tak niewiele i nie mogą przestać myśleć o zdaniu, które Wasza Wysokość wypowiedział w innym wywiadzie: „Gdybym mógł się cofnąć, byłbym skrzypkiem albo chirurgiem, albo archeologiem, albo graczem w polo... Wszystkim, tylko nie królem”.*

MOHAMMAD REZA PAHLAWI. Nie pamiętam, żebym wypowiedział te słowa, ale jeśli tak powiedziałem, miałem na myśli to, że bycie królem to kłopot. Zdarza się więc często, że król ma dość bycia królem. Nie znaczy to jednak, że bym z tego zrezygnował, zbyt wierzę w to, czym jestem, i w to, co robię. Widzi pani... kiedy pani mówi królów-pozostało-już-tak-niewiele, zakłada pani pytanie, na które mogę udzielić tylko jednej odpowiedzi. Kiedy nie ma monarchii, panuje anarchia albo oligarchia, albo dyktatura. W każdym razie monarchia jest jedynym możliwym sposobem rządzenia Iranem. Jeśli mogłem coś zrobić dla Iranu, a zrobiłem dużo, wynika to z drobnego szczegółu, a mianowicie z tego, że jestem jego królem. Aby coś zrobić, potrzebna jest władza, a żeby rządzić, nie można prosić nikogo o pozwolenie czy rady. Nie można z nikim omawiać decyzji i... oczywiście, ja też mogłem popełnić błędy. Ja też jestem człowiekiem. Uważam wszakże, iż mam misję, którą muszę doprowadzić do końca, i zamierzam doprowadzić ją do końca, nie rezygnując z tronu. Nie można przewidzieć przyszłości, to jasne, ale jestem przekonany, że monarchia będzie trwać w Iranie dłużej niż wasze ustroje. A może powinienem powiedzieć, że wasze ustroje nie przetrwają, a mój tak?

*Wasza Wysokość, ile razy próbowano Waszą Wysokość zabić?*

Oficjalnie, dwa razy. A poza tym... Bóg jeden wie. Ale cóż to znaczy? Nie żyję w obsesji, że zostanę zabity. Naprawdę. Nigdy o tym nie myślę. Kiedyś o tym myślałem. Piętnaście czy dwadzieścia lat temu na przykład. Myślałem sobie: „Och, po co mam jechać w to miejsce? Może przygotowano tam na mnie zamach i zabiją mnie. Och, po co lecieć samolotem? Może umieścili w nim bombę, która wybuchnie w czasie lotu?”. Teraz nie. Strach przed śmiercią to już jest strach, który dla mnie nie istnieje. I nie ma z tym nic wspólnego odwaga ani wyzwanie rzucone losowi. Taki spokój ducha wynika z rodzaju fatalizmu, ślepej ufności w to, że nic mi się nie może stać aż do dnia, w którym doprowadzę swoją misję do końca. Tak, będę żył aż do dnia,



w którym dokończę to, co mam dokończyć. Dzień ten zaś wyznaczył Bóg, a nie ten, kto chce mnie zabić.

*To dlaczego Wasza Wysokość jest taki smutny? Może się myłę, ale Wasza Wysokość ma zawsze taką smutną, zagniewaną minę.*

Może ma pani rację. Może w głębi serca jestem smutnym człowiekiem. Ale sądzę, że mój smutek jest smutkiem mistycznym. Smutkiem, który wynika z mojej mistycznej natury. Nie wiem, w jaki inny sposób mógłbym to wytłumaczyć, skoro nie ma żadnego powodu, abym był smutny. Mam już wszystko, czego pragnąłem jako człowiek i jako król. Mam naprawdę wszystko, moje życie przypomina przepiękny sen. Nikt na świecie nie powinien być szczęśliwszy ode mnie, a jednak...

*A jednak pański wesoly uśmiech jest rzadszy od spadającej gwiazdy. Czy Wasza Wysokość nigdy się nie śmieje?*

Tylko kiedy zdarzy mi się coś śmiesznego. Ale to musi być naprawdę coś bardzo śmiesznego, naprawdę śmiesznego. A to często się nie zdarza. Nie, nie jestem z tych, co śmieją się z byle głupstwa, ale musi pani zrozumieć, że moje życie było zawsze takie trudne, takie męczące. Proszę pomyśleć choćby o tym, co musiałem znieść podczas pierwszych dwunastu lat mojego panowania. Rzym rok 1953... Mossadegh... pamięta pani? Nie mam nawet na myśli jedynie moich cierpień osobistych: mam na myśli moje cierpienia jako króla. Zresztą nie potrafię oddzielić w sobie człowieka od króla. Bardziej niż człowiekiem, jestem królem. Królem, którego przeznaczenie jest zdominowane przez misję do spełnienia. I reszta się nie liczy.

*Jezu! To musi być bardzo nieprzyjemne. Chcę powiedzieć: ktoś, kto jest królem bardziej niż człowiekiem, musi się czuć bardzo samotny.*

Nie zaprzeczam, że jestem samotny. Moja samotność jest głęboka. Król, kiedy nie musi zdawać sprawy przed nikim z tego, co mówi i co robi, nieuchronnie jest bardzo samotny. Ale nie jestem całkiem sam, ponieważ towarzyszy mi siła, której inni nie widzą. Moja siła mistyczna. A poza tym otrzymuję przesłania. Przesłania religijne. Jestem bardzo, bardzo religijny. Wierzę w Boga i zawsze powtarzałem, że gdyby Bóg nie istniał, trzeba by go było wymyślić. Och, bardzo żałuję tych nieszczęśników, którzy nie mają Boga. Nie można żyć bez Boga. Ja żyję z Bogiem odkąd skończyłem pięć lat. To jest od kiedy Bóg mi zesłał wizje.

*Wizje, Wasza Wysokość?*

Tak, wizje. Objawienia.

*Czego? Kogo?*

Proroków. Och, dziwię się, że pani nic o tym nie wie. Wiedzą o tym wszyscy, że miałem objawienia. Napisałem o tym także w mojej biografii. W dzieciństwie miałem dwie wizje. Jedną w wieku pięciu lat i jedną, kiedy miałem lat sześć. Za pierwszym razem ujrzałem naszego proroka Alego, tego, który, według naszej religii, zniknął, aby powrócić w dniu, w którym uratuje świat. Miałem wypadek, upadłem na skałę. A on mnie uratował, stanął między mną a skałą. Wiem, bo go widziałem. I nie we śnie, w rzeczywistości. W materialnej rzeczywistości, wyrażam się jasno? Widziałem go i już. Osoba, która mi towarzyszyła, wcale go nie widziała. Ale nikt poza mną nie miał go widzieć, ponieważ... Och, obawiam się, że pani mnie nie rozumie.

*Istotnie, Wasza Wysokość. Zupełnie nie rozumiem. Zaczęliśmy tak dobrze, a teraz... Ta historia z wizjami, objawieniami... No właśnie, nie jest to dla mnie jasne.*

Ponieważ pani nie wierzy. Ani w Boga, ani we mnie. Bardzo wielu nie wierzy. Nie wierzył nawet mój ojciec. Nie uwierzył nigdy, zawsze się z tego śmiał. Inni, wprawdzie z szacunkiem, ale pytają, czy nigdy nie przyszła mi do głowy wątpliwość, że chodzi o czystą fantazję. Fantazję dziecka. A ja odpowiadam: nie. Nie, ponieważ wierzę w Boga, w to, że zostałem wybrany przez Boga, aby spełnić misję. Moje objawienia to były cuda, które uratowały kraj. Moje panowanie uratowało kraj, a uratowało go, ponieważ był przy mnie Bóg. Mam na myśli to, że nie jest słuszne, abym przypisywał sobie całą zasługę co do wielkich rzeczy, jakie uczyniłem dla Iranu. Niech to będzie jasne: mógłbym. Ale nie chcę, bo wiem, że za mną ktoś stał. To był Bóg. Wyrażam się jasno?

*Nie, Wasza Wysokość. Ponieważ... Jednym słowem, te objawienia miał Wasza Wysokość w dzieciństwie czy także później, w wieku dorosłym?*

Tylko w dzieciństwie, mówiłem pani. W dorosłym wieku nigdy, tylko sny. Co rok albo dwa lata. A nawet co siedem albo osiem lat. Na przykład pewnego razu miałem dwa sny w ciągu piętnastu lat.

*Jakie sny, Wasza Wysokość?*

Sny religijne. Wynikające z mojego mistycyzmu. Sny, w których widziałem, co się zdarzy za dwa lub trzy miesiące i co dokładnie zdarzało się po dwóch, trzech miesiącach. Ale o jakie sny chodzi, nie mogę pani powiedzieć. Nie dotyczyły mnie osobiście, odnosiły się do wewnętrznych problemów kraju, a więc powinno się je traktować jak tajemnice państwowe. Ale może zrozumiałaby pani lepiej, gdybym zamiast słowa sny użył słowa przecucia. Wierzę także w

przecucia. Niektórzy wierzą w reinkarnację, ja wierzę w przecucia. Mam ciągle przecucia, silne jak mój instynkt. Również w dzień, w którym strzelano do mnie z odległości dwóch metrów, uratował mnie instynkt. Ponieważ instynktownie, podczas gdy morderca wystrzeliwał naboje z rewolweru, zrobiłem to, co w boksie nazywa się *shadow-dancing*. I w ułamku sekundy, zanim wymierzył mi w serce, uchyliłem się, tak że kula utkwiała mi w ramieniu. Prawdziwy cud. Wierzę także w cuda. Jeśli pomyśli pani, że trafiło mnie pięć kul, jedna w twarz, jedna w ramię, jedna w głowę, dwie w korpus i że ostatnia została w lufie, bo spust się zaciął... trzeba wierzyć w cuda. Przeżyłem tyle katastrof lotniczych, a jednak zawsze wychodziłem z nich cało, dzięki cudowi, którego chciał Bóg i prorocy. Widzę, że pani jest nieufna.

*Bardziej niż nieufna. Skonfundowana. Jestem bardzo skonfundowana, Wasza Wysokość, ponieważ... No właśnie, ponieważ mam do czynienia z postacią, której nie przewidziałam. Nic nie wiedziałam o tych cudach, o tych wizjach... przyszłam, żeby rozmawiać o ropie i o Iranie, i o Waszej Wysokości... Może także o pańskich małżeństwach i rozwodach... Nie żeby zmienić temat, ale te rozwody musiały być wielkim dramatem. Prawda, Wasza Wysokość?*

Trudno powiedzieć, ponieważ moje życie toczyło się zawsze pod znakiem przeznaczenia i kiedy musiałem zranić swoje osobiste uczucia, broniłem się zawsze, myśląc, że tej odrobiny cierpienia żąda ode mnie los. Nie można buntować się przeciwko przeznaczeniu, kiedy ma się misję do spełnienia. A w wypadku króla osobiste uczucia się nie liczą. Król nigdy nie płacze nad sobą. Nie ma do tego prawa. Bycie królem oznacza przede wszystkim obowiązek i poczucie obowiązku było we mnie zawsze bardzo silne. Na przykład kiedy ojciec mi powiedział: „Poślubisz egipską księżniczkę Fawzję”, nie przyszło mi nawet do głowy, żeby się przeciwstawić i powiedzieć: „Nie znam jej”. Zgodziłem się od razu, ponieważ moim obowiązkiem było zgodzić się od razu. Jest się królem albo się nie jest królem. Jeśli jest się królem, trzeba wziąć na siebie całą odpowiedzialność i cały ciężar bycia królem, nie ulegając żalom ani pretensjom ani cierpieniom zwykłych śmiertelników.

*Zostawmy w spokoju przypadek księżniczki Fawzji i zajmijmy się księżniczką Sorayą. Wasza Wysokość sam wybrał ją sobie na żonę. Czy, nie cierpiał, musząc ją opuścić?*

Cóż... tak... Przez jakiś czas tak. Mogę wręcz powiedzieć, że przez pewien czas to była najboleśniejша sprawa w moim życiu. Ale wkrótce rozum zwyciężył i zadałem sobie następujące pytanie: Co muszę zrobić dla mojego kraju? I odpowiedź brzmiała: Znaleźć inną małżonkę, z którą będę dzielić swój los i która da mi następcę tronu. Inaczej mówiąc, moja wrażliwość nie

skupia się nigdy na sprawach prywatnych, lecz na królewskich obowiązkach. Zawsze ćwiczyłem się w niemyśleniu o samym sobie, lecz o własnym kraju i własnym tronie. Ale nie mówmy o pewnych sprawach, o moich rozwodach i tym podobnych. Jestem zbyt ponad, zbyt ponad niektórymi rzeczami.

*Oczywiście, Wasza Wysokość. Ale jest coś, o co muszę zapytać, ponieważ sądzę, że trzeba to wyjaśnić. Czy to prawda, że Wasza Wysokość wziął sobie drugą żonę? Od dnia, w którym niemiecka prasa opublikowała tę wiadomość...*

Kalumnię, nie wiadomość, rozpowszechniła francuska agencja prasowa po tym, jak ogłosiła ją palestyńska gazeta „Al Mohar”, kierując się ewidentnymi celami politycznymi. Kalumnia, głupia, nikczemna, ohydna. Powiem pani tylko, że fotografia tej, która miała być rzekomo moją czwartą żoną, to fotografia mojej siostrzenicy, to znaczy córki mojej siostry bliźniaczki. Moja siostrzenica poza wszystkim jest zamężna i ma dziecko. Tak, niektóre gazety zrobiłyby wszystko, aby mnie zdyskredytować: kierują nimi ludzie bez skrupułów, bez moralności. Jak mogą pisać, że ja, właśnie ja, który chciałem ustawy, według której zabronione jest mieć więcej niż jedną żonę, ożeniłem się powtórnie i to w tajemnicy? To nie do pomyślenia, to nieznośne, haniebne.

*Ale Wasza Wysokość jest muzułmaninem. Religia pozwala Waszej Wysokości wziąć sobie drugą żonę, nie wyrzekając się cesarzowej Farah Diby.*

Tak, z pewnością. Zgodnie z moją religią mógłbym, pod warunkiem że królowa by mi na to pozwoliła. Uczciwie mówiąc, trzeba przyznać, że istnieją przypadki, w których... Na przykład kiedy żona jest chora albo nie chce wypełniać obowiązków małżeńskich i z tego powodu przyczynia się do cierpień męża... no cóż! Trzeba być hipokrytą albo kimś naiwnym, aby wierzyć, że mąż zniesie coś podobnego. Czyż w waszym społeczeństwie, kiedy taka sytuacja zaistnieje, mąż nie bierze sobie kochanki albo wręcz kilku kochanek? W naszym społeczeństwie natomiast mężczyzna może sobie wziąć drugą żonę. Jeśli tylko pierwsza żona wyrazi zgodę i zgodzi się na to sąd. Bez tej podwójnej zgody, na której opiera się moja ustawa, nie można zawrzeć nowego małżeństwa. Dlaczego więc ja, właśnie ja, miałbym złamać to prawo, żeniąc się w tajemnicy?! I z kim?! Ze swoją siostrzenicą?! Z córką swojej siostry?! Proszę posłuchać, o czymś tak wulgarnym nie chcę nawet dyskutować. Nie godzę się rozmawiać o tym ani chwili dłużej.

*Dobrze. Nie mówmy o tym więcej. Powiedzmy, że Wasza Wysokość wszystkiemu zaprzecza i...*

Ja niczemu nie zaprzeczam. Nie zadaję sobie nawet trudu, aby zaprzeczać. Nie chcę, aby cytowano choćby tylko moje dementi.

*Jak to? Jeśli Wasza Wysokość nie zaprzeczy, będzie się w dalszym ciągu powtarzać, że to małżeństwo zostało zawarte.*

Już kazałem zdementować te plotki moim ambasadam!

*I nikt w to nie uwierzył. Trzeba zatem, aby dementi pochodziło od Waszej Wysokości.*

Ale sam fakt dementowania poniża mnie, obraża, bo wszystko to nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Czy wydaje się pani słuszne, aby władca mojego pokroju, władca z takimi problemami, jakie mam ja, poniżał się do dementowania małżeństwa z własną siostrzenicą? Ohyda! Ohyda! Czy wydaje się pani słuszne, żeby król, żeby cesarz Persji tracił czas na rozmowy o takich sprawach? Na rozmowy o żonach, o kobietach?

*Dziwne. Jeśli istnieje monarcha, o którym mówiło się zawsze w związku z kobietami, to jest nim Wasza Wysokość. A teraz nachodzi mnie podejrzenie, że kobiety nic się nie liczyły w pańskim życiu.*

Obawiam się, że w tym przypadku zrobiła pani trafną uwagę. Ponieważ to, co liczyło się w moim życiu, to, co pozostawiło we mnie ślad, to całkiem co innego. Z pewnością nie małżeństwa, z pewnością nie kobiety. Kobiety, wie pani... Powiedzmy tak. Nie lekceważę ich i rzeczywiście, moja Biała Rewolucja przyniosła im więcej korzyści niż cokolwiek innego. Walczyłem wytrwale, aby miały równe prawa i równe obowiązki. Wprowadziłem je nawet do wojska, gdzie przechodzą przez pół roku ćwiczenia wojskowe, a potem zostają wysłane na wieś, aby walczyły z analfabetyzmem. I nie zapominajmy, że jestem synem człowieka, który w Iranie pozwolił kobietom zdjąć chusty. Ale nie byłbym szczery, gdybym twierdził, że działałem pod wpływem jakiejś kobiety. Nikt nie może na mnie wpłynąć, nikt. A tym bardziej kobieta. W życiu mężczyzny kobiety liczą się tylko wtedy, kiedy są piękne i pełne wdzięku i zachowują swoją kobiecość i... Ta historia z feminizmem na przykład. Czego chcą te feministki? Czego chcecie? Powiada się: równość. Och! Nie chciałbym się wydać niegrzeczny, ale... jesteście równe w obliczu prawa, lecz, proszę mi wybaczyć, nie ze względu na zdolności.

*Nie, Wasza Wysokość?*

Nie. Nie miałyście nigdy kogoś takiego jak Michał Anioł albo Bach. Nie miałyście nawet wielkiego kucharza. I jeżeli mówicie mi o daniu wam szansy, odpowiadam wam: Wolne żarty! Czy nie miałyście w historii szansy zostania wielkim kucharzem? Nie stworzyłyście nic wielkiego, nie! Proszę mi powiedzieć: ile kobiet zdolnych do rządzenia poznała pani w trakcie tych wywiadów?

*Co najmniej dwie, Wasza Wysokość. Goldę Meir i Indirę Gandhi.*

No cóż... Mogę jedynie powiedzieć, że kobiety, kiedy rządzą, są o wiele bardziej bezwzględne od mężczyzn. O wiele bardziej okrutne. O wiele bardziej spragnione krwi. Mam na myśli fakty, nie opinie. Kiedy macie władzę, jesteście bez serca. Proszę tylko pomyśleć o Katarzynie Medycejskiej, o Katarzynie Wielkiej, o Elżbiecie królowej Anglii. Nie mówiąc już o waszej Lukrecji Borgii i jej truciznach, intrygach. Jesteście intrygantkami, jesteście złe. Wszystkie.

*Jestem zdziwiona, ponieważ to Wasza Wysokość mianował cesarzową Farah Dibę regentką, w wypadku gdyby dziedzic korony wstąpił na tron jako nieletni.*

Hmm... Właśnie... Tak, gdyby mój syn został królem przed ukończeniem wymaganego wieku, królowa Farah Diba zostałaby regentką. Ale byłaby też powołana rada, z którą musiałaby się konsultować. Ja natomiast nie mam obowiązku konsultowania się z nikim i nie konsultuję się z nikim. Czy dostrzega pani różnicę?

*Dostrzegam. Ale pozostaje fakt, że żona Waszej Wysokości byłaby regentką. A skoro Wasza Wysokość podjął taką decyzję, to znaczy, że uważa swoją żonę za zdolną do rządzenia.*

Hmm... W każdym razie tak uważałem, kiedy podjąłem decyzję. I... chyba nie spotkaliśmy się, żeby mówić tylko o tym, czyż nie?

*Oczywiście, że nie. Zresztą nie zdążyłam jeszcze zapytać o to, co mnie najbardziej interesuje. Na przykład: kiedy tu, w Teheranie, próbuję rozmawiać o Waszej Wysokości, ludzie zamykają się w sobie przestraszeni i milkną. Nie ośmielają się nawet wymówić imienia Waszej Wysokości. Dlaczego?*

Przypuszczam, że z nadmiaru szacunku. Przy mnie bowiem tak się nie zachowują. Kiedy wróciłem z Ameryki, przejechałem przez miasto w odkrytym samochodzie i na trasie od lotniska do pałacu oklaskiwało mnie entuzjastycznie pół miliona ludzi. Krzyczano: „Niech żyje!”, wznoszono patriotyczne hasła, nie milczeli przestraszeni, jak pani powiada. Nic się nie zmieniło od dnia, w którym zostałem królem i mój samochód był niesiony na ramionach ludzi przez pięć

kilometrów Tak, było pięć kilometrów pomiędzy domem, gdzie mieszkałem, a budynkiem, gdzie miałem złożyć przysięgę na konstytucję. Byłem w tym samochodzie. Po kilku metrach ludzie podnieśli samochód, tak jak podnosi się lektykę, i ponieśli go na ramionach pięć kilometrów. Co chciała pani powiedzieć, zadając mi to pytanie? Że wszyscy są przeciwko mnie?

*Niech mnie Bóg broni, Wasza Wysokość. Chciałam powiedzieć tylko to, co powiedziałam: Tu, w Teheranie, ludzie tak bardzo się boją Waszej Wysokości, że nie ośmielają się nawet wymówić jego imienia.*

A dlaczego mieliby rozmawiać o mnie z cudzoziemką? Nie jest dla mnie jasne, do czego pani zmierza.

*Zmierzam do tego, że wielu uważa Waszą Wysokość za dyktatora.*

Tak pisze „Le Monde”. I co mnie to obchodzi? Pracuję dla mojego narodu. Nie pracuję dla „Le Monde”.

*Tak, tak, ale czy Wasza Wysokość zaprzeczy, że jest królem bardzo autorytarnym?*

Nie, nie zaprzeczę, ponieważ w pewnym sensie nim jestem. Ale proszę posłuchać: aby przeprowadzić reformy, nie można nie być autorytarnym. Szczególnie kiedy reformy odbywają się w kraju takim jak Iran, który ma tylko dwadzieścia pięć procent mieszkańców potrafiących czytać i pisać. Nie należy zapominać, że analfabetyzm jest tutaj dramatycznie wysoki, potrzeba będzie co najmniej dziesięciu lat, aby go wyeliminować. I nie mówię: wyeliminować we wszystkich przypadkach, mówię: wyeliminować go w przypadku osób poniżej pięćdziesięciu lat. Proszę mi wierzyć, kiedy trzy czwarte narodu nie umie ani czytać, ani pisać, reformy można przeprowadzić tylko dzięki najsurowszemu autorytaryzmowi, w przeciwnym razie niczego się nie osiągnie. Gdybym nie był twardy, nie wprowadziłbym nawet reformy rolnej i cały mój program reform uległby zahamowaniu. Kiedy tak by się stało, skrajna lewica zlikwidowałaby w przeciągu kilku godzin skrajną prawicę i byłby koniec nie tylko z Białą Rewolucją. Musiałem zrobić to, co zrobiłem. Na przykład rozkazałem moim oddziałom strzelać do tych, którzy przeciwstawiali się rozdawaniu ziemi. A więc twierdzić, że w Iranie nie ma demokracji...

*A jest, Wasza Wysokość?*

Zapewniam panią, że tak, zapewniam panią, że w wielu wypadkach Iran jest bardziej demokratyczny niż wasze kraje w Europie. Nie licząc faktu, że chłopci posiadają ziemię i że robotnicy uczestniczą w zarządzaniu fabrykami, że wielkie zakłady przemysłowe są własnością państwa, a nie osób prywatnych, musi pani wiedzieć, że wybory zaczynają się tutaj we wsiach i

odbywają na poziomie rad lokalnych, miejskich, regionalnych. W parlamencie są tylko dwie partie, zgoda. Ale to są te, które akceptują dwanaście punktów mojej Białej Rewolucji. A ile partii miałyby reprezentować ideologię mojej Białej Rewolucji? Zresztą te dwie są jedynymi partiami, które mogą dostać wystarczająco dużo głosów; mniejszości są tak pozbawione znaczenia, tak śmieszne, że nie mogłyby wybrać ani jednego posła. W każdym razie nie chcę, żeby niektóre mniejszości wybrały choćby jednego posła. Tak jak nie chcę, żeby partia komunistyczna była legalna. Komuniści są w Iranie poza prawem. Chcą tylko niszczyć, niszczyć, niszczyć i przysięgają wierność komuś innemu niż ich kraj i ich król. Są zdrajcami i byłbym szaleńcem, gdybym pozwolił im istnieć.

*Może źle się wyraziłam, Wasza Wysokość. Miałam na myśli demokrację, taką jak rozumiemy ją my na Zachodzie, to znaczy ustroj, który pozwala każdemu myśleć, jak chce, i opiera się na parlamencie, gdzie także mniejszości są reprezentowane...*

Ale ja nie chcę takiej demokracji! Nie zrozumiała pani? Nie wiem, na co mi taka demokracja! Zostawiam ją wam w całości, możecie ją sobie zatrzymać, nie zrozumiała pani tego? Tę waszą cudowną demokrację. Przekonacie się za kilka lat, dokąd was zaprowadzi ta wasza cudowna demokracja.

*Cóż, może jest trochę chaotyczna. Ale jest jedynym możliwym ustrojem, który szanuje Człowieka i jego wolność myśli.*

Wolność myśli, wolność myśli! Demokracja, demokracja! Z pięcioletnimi dziećmi, które organizują strajki i manifestacje na ulicach. Czy to jest demokracja? Czy to jest wolność?

*Tak, Wasza Wysokość.*

Dla mnie nie. I dodam jeszcze: Ile w ostatnich latach nauczyliście się na waszych uniwersytetach? A jeśli dalej nie uczycie się na waszych uniwersytetach, jak możecie dotrzymać kroku postępowi technologicznemu? Czy nie staniecie się niewolnikami Amerykanów z powodu waszych braków w wykształceniu, czy nie staniecie się krajami trzeciej, a raczej czwartej kategorii? Demokracja, wolność, demokracja! Ale co znaczą te słowa?

*Proszę mi wybaczyć, Wasza Wysokość. Moim zdaniem, oznaczają na przykład nieusuwanie niektórych księzek z księgarń, kiedy Nixon przyjeżdża do Teheranu. Moja książka o Wietnamie została usunięta z księgarń w chwili przyjazdu Nixona i przywrócona dopiero po jego wyjeździe.*

Jak to?



*Tak, tak.*

Ale nie jest pani chyba na czarnej liście?

*Tu, w Teheranie? Nie wiem. Być może. Jestem na czarnej liście u wszystkich.*

Hmm... Ponieważ przyjmuję panią w pałacu i siedzi pani tu obok mnie...

*To bardzo mile ze strony Waszej Wysokości.*

Hmm... Z pewnością dowodzi to, że panuje u nas demokracja, wolność...

*Z pewnością. Ale chciałabym spytać o jedno, Wasza Wysokość. Chciałabym spytać, czy gdybym nie była Włoszką, lecz Iranką, i żyła tutaj i myślała tak jak myślę, i pisała tak jak piszę, to znaczy, gdybym krytykowała Waszą Wysokość, czy skończyłabym w więzieniu?*

To prawdopodobne. Gdyby to, co pani myśli i pisze, nie było zgodne z naszymi prawami, miałyby pani proces.

*Tak, prawda? I zostałabym skazana?*

Myślę, że tak. Naturalnie. Ale mówiąc między nami, nie sądzę, żeby było pani w Iranie łatwo krytykować mnie, atakować. Za co miałyby pani mnie atakować, krytykować? Za moją politykę zagraniczną? Za moją politykę naftową? Za to, że rozdałem ziemię chłopom? Za to, że pozwałam robotnikom uczestniczyć aż do dwudziestu procent w zyskach i kupować aż do czterdziestu dziewięciu procent akcji? Za to, że zwalczam analfabetyzm i choroby? Za to, że dzięki mnie nastąpił rozwój kraju, który miał mało albo nic?

*Nie, nie, nie za to. Zaatakowałabym Waszą Wysokość... zastanówmy się. No właśnie: na przykład za represje, które w Iranie skierowane są przeciwko studentom i intelektualistom. Słyszałam, że więzienia są tak przepelnione, że nowi aresztowani muszą być umieszczani w obozach wojskowych. Czy to prawda? Ilu jest dziś w Iranie więźniów politycznych?*

Nie wiem dokładnie. Zależy od tego, co ma pani na myśli, mówiąc o więźniach politycznych. Jeśli chodzi pani na przykład o komunistów, nie uważam ich za więźniów politycznych, ponieważ prawo zakazuje bycia komunistą. A zatem komunista nie jest dla mnie więźniem politycznym, lecz zwykłym przestępcą. Jeśli ma pani na myśli tych, którzy dokonują zamachów i zabijają w ten sposób starców, kobiety, niewinne dzieci, jest jeszcze bardziej oczywiste, że ich także nie uważam za więźniów politycznych. Istotnie, nie mam wobec nich żadnej litości. Och, ja zawsze wybaczałem tym, którzy próbowali mnie zabić, ale nie miałem odrobiny zmiłowania wobec przestępców, których wy nazywacie partyzantami, albo wobec

zdrajców kraju. To są ludzie, którzy byliby zdolni zabić mojego syna, aby tylko spiskować przeciwko bezpieczeństwu państwa. To ludzie, których trzeba wyeliminować.

*Istotnie każe ich Wasza Wysokość rozstrzeliwać, prawda?*

Tych, którzy zabili, oczywiście. Zostają rozstrzelani. Ale nie dlatego, że są komunistami: dlatego że są terrorystami. Komuniści zostają po prostu skazani na więzienie, kary wahają się od kilku do wielu lat. Och, wyobrażam sobie, co myśli pani o karze śmierci itd. Ale widzi pani, niektóre sądy zależą od rodzaju wychowania, jakie otrzymaliśmy, od kultury, od klimatu i nie powinno się wychodzić z założenia, że to, co nadaje się dla jednego kraju, nada się dla wszystkich krajów. Proszę wziąć pestkę jabłka i zasiać ją w Teheranie, a potem wziąć inną pestkę tego samego jabłka i zasiać ją w Rzymie: drzewo, które wyrośnie w Teheranie nie będzie takie samo jak drzewo, które wyrośnie w Rzymie. Rozstrzeliwanie niektórych ludzi jest tutaj słuszne i konieczne. Okazywanie litości jest tutaj czymś absurdalnym.

*Kiedy słuchałam Waszej Wysokości, zastanawiałam się nad jednym. Zastanawiałam się, co sądzi Wasza Wysokość o śmierci Allende.*

Oto, co o niej sądzę. Sądzę, że jego śmierć jest dla nas lekcją: trzeba być jednym albo drugim, być po jednej albo po drugiej stronie, jeśli chce się coś osiągnąć i zwyciężyć. Połowiczne rozwiązania, kompromisy nie są możliwe. Inaczej mówiąc, albo jest się rewolucjonistą, albo jest się kimś, kto narzuca porządek i prawo; nie można być rewolucjonistą, przestrzegając porządku i prawa. Tym bardziej tolerancji. I jeśli Allende chciał rządzić zgodnie ze swoimi marksistowskimi poglądami, dlaczego nie postępował inaczej? Kiedy Castro doszedł do władzy, zabił co najmniej dziesięć tysięcy ludzi, a wy powtarzaliście mu: „Brawo, brawo, brawo!”. Cóż, w pewnym sensie należą mu się brawa, bo wciąż jest u władzy. Ale ja też jestem. I zamierzam pozostać, dowodząc, że przy użyciu siły można dokonać mnóstwa rzeczy, udowodnić nawet, że wasz socjalizm jest skończony. Przeszarżały, nieaktualny, skończony. Sto lat temu mówiono o socjalizmie, sto lat temu o nim pisano. Dziś nie zgadza się już z nowoczesną technologią. Osiągam więcej niż osiągają Szwedzi i nie widzi pani, że nawet w Szwecji socjaliści zaczynają przegrywać? Ach, szwedzki socjalizm... Nie znacjonalizował choćby lasów czy wody. A ja tak.

*Znowu dobrze nie rozumiem. Czy Wasza Wysokość mówi mi, że w pewnym sensie jest socjalistą i że socjalizm Waszej Wysokości jest bardziej rozwinięty i nowoczesny niż socjalizm szwedzki?*

Z pewnością. Ponieważ tamten socjalizm oznacza system bezpieczeństwa dla tych, którzy nie pracują, a jednak otrzymują pensję pod koniec miesiąca na równi z tymi, którzy pracują. Socjalizm mojej Białej Rewolucji zachęca natomiast do pracy. To jest socjalizm nowy, oryginalny i... proszę mi wierzyć, w Iranie jesteśmy o wiele bardziej do przodu od was i nie ma doprawdy niczego, czego moglibyśmy się od was nauczyć. Ale to są rzeczy, których wy, Europejczycy, nigdy nie napiszecie: prasa międzynarodowa jest tak dalece infiltrowana przez lewicowców, przez tak zwaną lewicę. Ach, ta lewica! Zdeprawowała nawet kler. Nawet księży! Oni także stają się osobnikami, którzy dążą jedynie do tego, żeby niszczyć, niszczyć, niszczyć. Nawet w krajach Ameryki Łacińskiej, nawet w Hiszpanii! Wydaje się to niewiarygodne. Wykorzystują własny Kościół. Własny Kościół! Mówią o niesprawiedliwości, o równości... Ach, ta lewica! Zobaczycie, zobaczycie, dokąd was ona zaprowadzi.

*Powróćmy do Waszej Wysokości. Za tą smutną twarzą kryje się tyle bezwzględności, tyle twardości, a może nawet braku współczucia. W gruncie rzeczy przypomina Wasza Wysokość swojego ojca. Zastanawiam się, w jakiej mierze jest to wpływ ojca.*

W żadnej. Nawet mój ojciec nie mógł mieć na mnie wpływu. Nikt nie ma na mnie wpływu, mówiłem pani! Byłem związany z ojcem synowskim uczuciem, tak. Podziwem, tak. Ale na tym koniec. Nigdy nie usiłowałem go kopiować, naśladować. Nie byłoby to zresztą możliwe, choćbym chciał. Byliśmy dwiema osobowościami zbyt różnymi i także historyczne okoliczności, w których się znaleźliśmy, były zbyt różne. Mój ojciec zaczynał od zera. Kiedy doszedł do władzy, kraj nie miał niczego. Nie istniały nawet problemy, które mamy dziś na granicach, szczególnie z Rosjanami. I mój ojciec mógł sobie pozwolić na dobrosąsiedzkie stosunki ze wszystkimi. Jedynym zagrożeniem byli w gruncie rzeczy Anglicy, którzy w 1907 roku podzielili Iran między siebie a Rosjan i chcieli, żeby Iran był rodzajem ziemi niczyjej pomiędzy Rosją a ich imperium w Indiach. Jednak później Anglicy zrezygnowali z tego zamiaru i sytuacja dla mojego ojca się uprościła. Ja natomiast... Ja nie zaczynałem od zera: czekał na mnie tron. Ale kiedy tylko wstąpiłem na niego, okazało się od razu, że muszę rządzić krajem zajęтым przez cudzoziemców. A miałem zaledwie dwadzieścia jeden lat. To niewiele, dwadzieścia jeden lat, to niewiele. Zresztą nie musiałem tylko pilnować cudzoziemców i już. Musiałem stawić czoło piątej kolumnie skrajnej prawicy i skrajnej lewicy: aby móc wywierać na nas większy wpływ, cudzoziemcy powołali do życia skrajną prawicę i skrajną lewicę... Nie, nie było to dla mnie

łatwe. Być może mnie było trudniej niż ojcu. Nie mówiąc o zimnej wojnie, która skończyła się dopiero kilka lat temu.

*Wasza Wysokość wspomniał przed chwilą o problemach na granicach. Kto jest dziś najgorszym sąsiadem Iranu?*

Nie da się powiedzieć, bo nigdy nie wiadomo, kto jest najgorszym sąsiadem. Byłbym jednak skłonny odpowiedzieć pani, że w tym momencie jest nim Irak.

*Jestem zaskoczona, że chodzi o Irak. Spodziewałam się, że Wasza Wysokość wymieni Związek Radziecki.*

Związek Radziecki... Ze Związkiem Radzieckim mamy dobre stosunki dyplomatyczne i handlowe. Ze Związkiem Radzieckim mamy gazociąg. Jednym słowem, Związkowi Radzieckiemu sprzedajemy gaz. Ze Związku Radzieckiego przyjeżdżają specjaliści. I skończyła się zimna wojna. Ale problem ze Związkiem Radzieckim pozostaje zawsze ten sam i pertraktując z Rosjanami, Iran musi zawsze pamiętać o zasadniczym dylemacie: zostać krajem komunistycznym czy też nie? Nikt nie jest taki szalony ani taki naiwny, żeby negocjować rosyjski imperializm. I chociaż imperialistyczna polityka zawsze istniała w Rosji, pozostaje faktem, że jest ona dzisiaj o wiele groźniejsza, bo związana z komunistycznym dogmatem. Chcę powiedzieć: łatwiej jest stawić czoło krajom, które są tylko imperialistyczne, niż krajom, które są imperialistyczne i komunistyczne. Istnieje coś, co nazywamy manewrem oskrzydającym ze strony ZSRR. Istnieje ich marzenie, żeby dotrzeć aż do Oceanu Indyjskiego przez Zatokę Perską. A Iran jest ostatnim bastionem obrony naszej cywilizacji, tego, co uważamy za do przyjęcia. Gdyby zechcieli zaatakować ten bastion, nasze przetrwanie zależałoby jedynie od zdolności i woli stawienia oporu. A zatem problem stawienia oporu jest aktualny już dziś.

*A dziś Iran jest militarnie bardzo silny. Prawda?*

Bardzo silny, ale niewystarczająco silny, żeby móc się oprzeć Rosjanom w razie ataku. To oczywiste. Nie mam na przykład bomby atomowej. Czuję się jednak dostatecznie silny, aby stawić opór, gdyby wybuchła trzecia wojna światowa. Tak, powiedziałem: trzecia wojna światowa. Wiele osób sądzi, że trzecia wojna światowa może wybuchnąć tylko z powodu basenu Morza Śródziemnego, ja natomiast powiadam, że może wybuchnąć o wiele łatwiej z powodu Iranu. Och, o wiele łatwiej! To my kontrolujemy w istocie światowe zasoby energetyczne. Aby dotrzeć do reszty świata, ropa nie płynie przez Morze Śródziemne, płynie przez Zatokę Perską i Ocean Indyjski. A zatem gdyby Związek Radziecki nas zaatakował, stawilibyśmy opór. I

zostalibyśmy prawdopodobnie pokonani, wówczas jednak inne kraje niekomunistyczne nie pozostałyby bierne. I interweniowałyby. I wybuchłaby trzecia wojna światowa. To oczywiste. Świat niekomunistyczny nie może zgodzić się na zniknięcie Iranu, ponieważ wie dobrze, że utrata Iranu oznaczałoby utratę wszystkiego. Czy wyraziłem się jasno?

*Absolutnie jasno. I bezlitośnie jasno. Ponieważ Wasza Wysokość mówi o trzeciej wojnie światowej jako o bardziej niż prawdopodobnej ewentualności.*

Mówię o niej jako o czymś możliwym, w nadziei, że nic takiego nie nastąpi. Jako bliską ewentualność widzę raczej małą wojnę z którymś z sąsiadów. W gruncie rzeczy mamy samych wrogów na naszych granicach. Nie tylko Irak sprawia nam kłopoty.

*A wielki przyjaciel Waszej Wysokości, Stany Zjednoczone, są geograficznie odległe.*

Jeśli spyta mnie pani, kogo uważam za naszego najlepszego przyjaciela, odpowiem pani: między innymi Stany Zjednoczone. Ponieważ Stany Zjednoczone nie są naszym jedynym przyjacielem, wiele innych krajów okazuje nam przyjaźń i wierzy w nas, w znaczenie Iranu. Ale Stany Zjednoczone rozumieją nas lepiej z tego prostego powodu, że mają tu zbyt wiele interesów. Interesów ekonomicznych, a zatem bezpośrednich, interesów politycznych, a zatem pośrednich... Przed chwilą powiedziałem, że Iran jest kluczem lub jednym z kluczy do świata. Pozostaje mi jedynie dodać, że Stany Zjednoczone nie mogą zamknąć się w granicach swojego kraju, nie mogą powrócić do doktryny Monroe'a. Zmuszone są wypełniać swoje obowiązki względem świata, a więc dbać o nas. Nie ujmuje to jednak niczego naszej niezależności, ponieważ wszyscy wiedzą, że nasza przyjaźń ze Stanami Zjednoczonymi nie czyni z nas niewolników Stanów Zjednoczonych. Decyzje podejmowane są tutaj, w Teheranie. Nie gdzie indziej. Nie w Waszyngtonie na przykład. Zgadzam się z Nixonem, tak jak zgadzałem się z innymi prezydentami Stanów Zjednoczonych, ale mogę się z nim zgadzać tylko wtedy, kiedy jestem pewien, że traktuje mnie on jak przyjaciela. Albo raczej jak przyjaciela, który za kilka lat stanie się światową potęgą.

*Stany Zjednoczone są także dobrym przyjacielem Izraela, a w ostatnim czasie Wasza Wysokość wypowiedział się twardo przeciwko Jerozolimie. Bardziej niż przeciwko Arabom, z którymi chce chyba poprawy stosunków.*

Opieramy naszą politykę na niewzruszonych zasadach i nie możemy się zgodzić, żeby jakiś kraj, w tym wypadku Izrael, przyłączał terytoria, używając do tego broni. Nie możemy, ponieważ jeśli taka zasada stosowana jest w stosunku do Arabów, pewnego dnia może zostać

zastosowana w stosunku do nas. Odpowie mi pani, że zawsze tak było, że granice były zawsze zmieniane na skutek użycia broni i w wyniku wojen. Zgoda, ale to nie jest dobry powód, żeby uznać ten fakt za obowiązującą zasadę. Poza tym wiadomo, że Iran zaakceptował postanowienie ONZ z 1967 roku, i jeśli Arabowie przestaną ufać ONZ, jak będzie można ich przekonać, że zostali pokonani? Jak powstrzymać ich przed rewanżem? Posługując się może bronią w postaci ropy? Ropa uderzy im do głowy. Zresztą już uderza im do głowy.

*Wasza Wysokość przyznaje rację Arabom, ale sprzedaje ropę Izraelczykom.*

Ropę sprzedają koncerny naftowe, a to oznacza, że sprzedają ją komukolwiek. Nasza ropa dociera wszędzie, dlaczego miałyby nie docierać do Izraela? I dlaczego miałyby mnie to obchodzić, czy dociera do Izraela? Wszystko jedno gdzie. A co do naszych osobistych relacji z Izraelem, wiadomo, że nie mamy ambasady w Jerozolimie, ale mamy izraelskich ekspertów w Iranie. Jesteśmy muzułmanami, lecz nie Arabami. A w polityce zagranicznej zachowujemy postawę bardzo niezależną.

*Czy taka postawa przewiduje, że pewnego dnia między Iranem a Izraelem zostaną nawiązane normalne stosunki dyplomatyczne?*

Nie. Albo raczej: nie, dopóki nie zostanie rozwiązana kwestia wycofania wojsk izraelskich z okupowanych terytoriów. A na temat szans, aby ta kwestia została rozwiązana, mogę jedynie powiedzieć, że Izraelczycy nie mają wyboru, jeśli chcą żyć w pokoju z Arabami. Nie tylko Arabowie wydają ogromne sumy na wojnę, robią tak również Izraelczycy. I nie widzę, w jaki sposób zarówno Arabowie, jak i Izraelczycy mogliby postępować tak dalej. Poza tym w Izraelu zaczynają występować nowe zjawiska, na przykład strajki. Jak długo Izrael będzie się upierał przy swoim wymyślonym i straszliwym etosie, który kierował nim w czasach jego powstawania? Myślę zwłaszcza o nowych pokoleniach i o Izraelczykach, którzy pochodzą z Europy Wschodniej i są traktowani inaczej niż inni.

*Wasza Wysokość powiedział przed chwilą zdanie, które zrobiło na mnie wrażenie. Powiedział, że Iran stanie się światową potęgą. Czy Wasza Wysokość miał może na myśli prognozy tych ekonomistów, według których za trzydzieści sześć lat Iran będzie najbogatszym krajem na świecie?*

Powiedzieć, że będzie najbogatszym krajem na świecie, to może przesada. Ale nie jest nią wcale przekonanie, że dołączy do pięciu największych i najpotężniejszych krajów świata. A zatem Iran znajdzie się na tym samym poziomie co Stany Zjednoczone, Związek Radziecki,

Japonia, Francja. Nie wymieniam Chin, ponieważ Chiny nie są bogatym krajem i nie mogą się nim stać, jeśli za dwadzieścia pięć lat będą miały miliard czterysta milionów mieszkańców. Nas natomiast za dwadzieścia pięć lat będzie najwyżej sześćdziesiąt milionów. Och, tak: czeka nas wielkie bogactwo, wielka potęga, cokolwiek by o tym mówili komuniści. Nie przypadkiem zamierzam wprowadzić planowanie urodzin. Oto co mam na myśli: nie można oddzielić ekonomii od innych spraw i kiedy kraj jest bogaty z ekonomicznego punktu widzenia, staje się bogaty pod każdym względem. Staje się potężny w skali międzynarodowej. Mówiąc o ekonomii, nie mam zresztą tylko na myśli ropy: mam na myśli zrównoważoną gospodarkę, obejmującą wszelkie rodzaje produkcji, od przemysłowej do rolniczej, od rzemiosła do elektroniki. Mieliśmy przejść od dywanów do komputerów, a w rezultacie zachowaliśmy dywany, dodając do nich komputery. Wytwarzamy jeszcze dywany ręcznie, ale także wytwarzamy je maszynowo. Poza tym robimy mokiety. Co roku podwajamy nasz produkt narodowy. Zresztą jest wiele znaków, że stajemy się światową potęgą. Dziesięć lat temu na przykład, kiedy zaczynała się moja Biała Rewolucja, w wyższych szkołach był tylko milion studentów. Dziś jest ich trzy miliony sto tysięcy, a za dziesięć lat będzie ich pięć, sześć milionów.

*Przed chwilą Wasza Wysokość powiedział, że nie ma na myśli tylko ropy. Ale przecież wiemy, że macie wszystkie te komputery dzięki ropie i że dywany tkacie maszynowo dzięki ropie i że jutrzejsze bogactwo wynika z ropy. Czy możemy wreszcie porozmawiać o polityce odnoszącej się do ropy i do Zachodu?*

To proste. Mam ropę i nie mogę jej wypić. Wiem jednak, że mogę ją maksymalnie wykorzystać, nie szantażując reszty świata, a wręcz zapobiegając temu, aby służyła ona do szantażowania reszty świata. Wybrałem więc politykę zapewniającą jej sprzedaż wszystkim, bez żadnej dyskryminacji. Nie był to trudny wybór: nigdy nie zamierzałem dołączyć do krajów arabskich, które groziły Zachodowi szantażem. Mówiłem już, że mój kraj jest niezależny, i wszyscy wiedzą, że mój kraj jest muzułmański, lecz nie arabski, a więc ja nie robię tego, co jest wygodne dla Arabów, ale to, co służy Iranowi. Poza tym Iran potrzebuje pieniędzy, a ropa pozwala zarobić mnóstwo pieniędzy. Och, różnica między mną a Arabami polega właśnie na tym. Ponieważ kraje, które powiadają nie-będziemy-sprzedawać-ropy-Zachodowi, nie wiedzą, co robić ze swoimi pieniędzmi, a zatem nie martwią się o przyszłość. Często mają zaledwie sześćset albo siedemset tysięcy mieszkańców i tak dużo pieniędzy w bankach, że mogłyby przeżyć trzy lub cztery lata, nie wydobywając ani kropli ropy, nie sprzedając ani odrobiny. Ja natomiast nie. Ja

mam trzydzieści jeden i pół miliona mieszkańców i gospodarkę, którą trzeba rozwinąć, program reform, które trzeba doprowadzić do końca. Potrzebuję więc pieniędzy. Ja wiem, co zrobić z pieniędzmi, i nie mogę sobie pozwolić na to, żeby nie wydobywać ropy. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby nie sprzedawać jej komukolwiek.

*A Kaddafi nazywa Waszą Wysokość zdrajcą.*

Zdrajcą?! Nazywać zdrajcą mnie, który wziąłem całą sprawę w swoje ręce i dysponuję już pięćdziesięcioma jeden procentami produkcji, która przedtem należała wyłącznie do zagranicznych koncernów naftowych? Nie wiedziałem, że pan Kaddafi tak mnie obraził i... proszę posłuchać, tego pana Kaddafiego nie mogę traktować ani trochę poważnie. Mogę mu tylko życzyć, aby zdołał służyć swojemu krajowi, tak jak ja służę mojemu, mogę mu tylko przypomnieć, że nie powinien tak głośno krzyczeć, zapasy ropy w Libii wyczerpią się za dziesięć lat. Mojej ropy natomiast wystarczy co najmniej na trzydzieści, czterdzieści lat. A może nawet pięćdziesiąt, sześćdziesiąt. Zależy od tego, czy zostaną odkryte nowe złoża, czy nie, a jest bardzo, bardzo prawdopodobne, że tak się stanie. Ale nawet gdyby to nie nastąpiło, i tak poradzimy sobie bez trudu. Nasza produkcja rośnie w oczach: w 1976 roku będziemy wydobywać osiem milionów baryłek dziennie. Osiem milionów baryłek to dużo, bardzo dużo.

*W każdym razie Wasza Wysokość narobił sobie sporo wrogów.*

Tego jeszcze nie wiem. Istotnie, OPEC jeszcze nie zdecydował, czy nie sprzedawać ropy Zachodowi, i być może moja decyzja, żeby nie szantażować Zachodu, skłoni Arabów do pójścia w moje ślady. Jeśli nie wszystkich Arabów, to część z nich. Jeśli nie od razu, to za jakiś czas. Niektóre kraje nie są tak niezależne jak Iran, nie mają takich ekspertów jak Iran i nie mają za sobą takiego narodu, jaki mam ja. Ja mogę narzucać swoje decyzje. One jeszcze tego nie mogą. Nie jest łatwo sprzedawać bezpośrednio, uwalniając się od koncernów naftowych, które przez dziesięciolecia miały monopol na wszystko. A nawet gdyby kraje arabskie zastosowały się do mojej decyzji... Och, byłoby o wiele prościej, a także bezpieczniej, gdyby kraje zachodnie były wyłącznie nabywcami, a my bylibyśmy bezpośrednimi sprzedawcami! Nie występowałyby pretensje, szantaże, żale, wrogości... Może się zdarzyć, że ja dam dobry przykład, ale tak czy owak, będę szedł własną drogą. Nasze drzwi są szeroko otwarte dla każdego, kto chce z nami podpisać umowę i wielu nam już złożyło propozycje. Anglicy, Amerykanie, Japończycy, Holendrzy, Niemcy. Na początku byli bardzo nieśmiali. Ale teraz stają się coraz śmielsi.

*A Włosi?*



Włochom na razie nie sprzedajemy zbyt wiele ropy, ale możemy zawrzeć wielką umowę z Urzędem do spraw Energii i myślę, że do tego zmierzamy. Tak, możemy stać się znakomitymi partnerami Urzędu do spraw Energii, zresztą nasze stosunki z Włochami były zawsze dobre. Od czasów Enrica Mattei. Czyż nie udało mi się po raz pierwszy złamać dawnego systemu wyzysku stosowanego przez zagraniczne koncerny naftowe, kiedy zawarłem umowę z Matteim w 1957 roku? Och, nie wiem, co inni opowiadają o Matteim, wiem jednak, że nigdy nie zdołałem być obiektywny w stosunku do niego. Zbyt go lubiłem. Był wspaniałym człowiekiem, człowiekiem zdolnym przewidywać przyszłość: naprawdę wyjątkowa osobowość.

*Istotnie, zamordowano go.*

Prawdopodobnie. Ale nie powinien był wsiadać do samolotu przy tak złej pogodzie. W Mediolanie mgła robi się zimą bardzo gęsta, a ropa potrafi być naprawdę przekleństwem. Ale może przyczyną nie była zła pogoda. W każdym razie wielka szkoda. Także i dla nas. Cóż, nie mówię, że jego śmierć spowodowała blokadę relacji między nami a Urzędem do spraw Energii. Nie, nie, skoro teraz zmierzamy do bardzo ważnej umowy; Mattei nie mógłby zrobić nic więcej, ponieważ to, czego zamierzamy dokonać, to doprawdy maksimum. A jednak gdyby Mattei żył, do tej umowy doszłoby wiele lat wcześniej.

*Chciałabym skończyć i wyjaśnić poprzednią kwestię. Czy Wasza Wysokość wierzy, czy też nie, że Arabowie zrealizują w końcu swoją groźbę i przestaną sprzedawać ropę Zachodowi?*

Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Bardzo trudno, bo zarówno odpowiedź przecząca, jak i twierdząca są narażone na to samo ryzyko dezynwoltury i błędu. Ale ja byłbym skłonny odpowiedzieć przecząco. Przestać sprzedawać ropę Zachodowi, zrezygnować z tego źródła zysków, to byłaby dla nich bardzo trudna decyzja. Nie wszyscy Arabowie stosują się do polityki Kaddafiego i jeśli niektórzy nie potrzebują pieniędzy, inni potrzebują ich bardzo.

*A tymczasem cena ropy wzrośnie?*

Wzrośnie, z pewnością. Och, z pewnością! Może pani przekazać tę złą wiadomość i dodać, że pochodzi ona od kogoś, kto się na tym zna. O ropie wiem wszystko, wszystko. To naprawdę moja specjalność. I jako specjalista mówię pani: cena ropy musi wzrosnąć. Nie ma innego wyjścia. Ale to jest rozwiązanie, którego wy, ludzie Zachodu, sami chcieliście. Albo jeśli wolicie, to jest rozwiązanie, którego chciało wasze bardzo cywilizowane społeczeństwo przemysłowe. Cenę zboża podnieśliście nam o trzysta procent, podobnie jak cukru i cementu. Cena produktów petrochemicznych wzrosła niebotycznie. Kupujecie u nas ropę naftową i

sprzedajecie nam ją ponownie, przetworzoną, w cenie stukrotnie wyższej od tej, którą zapłaciliście. Każecie nam płacić za wszystko więcej, skandalicznie więcej i słuszne jest, żebyście od tej chwili płacili więcej za ropę. Powiedzmy... dziesięciokrotnie więcej.

*Dziesięciokrotnie więcej?!?*

Powtarzam, że to wy zmuszacie mnie do podniesienia ceny! I z pewnością macie swoje racje. Ale wybaczcie mi, ja także mam swoje. Zresztą nie będziemy się wiecznie kłócić: za niecałe sto lat cała ta historia z ropą się skończy. Zapotrzebowanie na ropę rośnie w przyspieszonym tempie, złoża się wyczerpują, wkrótce będziecie musieli znaleźć nowe źródła energii. Atomowej, słonecznej, bo ja wiem. Potrzeba będzie wiele rozwiązań, jedno nie wystarczy. Na przykład trzeba będzie zastosować turbiny uruchamiane falami morskimi. Nawet ja myślę o skonstruowaniu atomowych instalacji do odsalania wody morskiej. Albo trzeba będzie drążyć głębiej, poszukiwać ropy na głębokości dziesięciu tysięcy metrów pod poziomem morza, szukać jej na biegunie północnym... Nie wiem. Wiem tylko, że nadeszła już chwila, w której trzeba coś wymyślić, nie marnując ropy, jak zdarzało się to zawsze. To zbrodnia wykorzystywać ją tak, jak wykorzystujemy ją dzisiaj, to znaczy nieprzetworzoną. Gdybyśmy tylko pomyśleli, że wkrótce jej zabraknie, gdybyśmy tylko pamiętali, że może być ona przerobiona na dziesiątki tysięcy pochodnych, to znaczy na produkty petrochemiczne... Dla mnie jest to na przykład zawsze szok, kiedy widzę, że używa się nieprzetworzonej ropy do generatorów elektrycznych, nie licząc się z tym, co się traci. Och, kiedy mowa o ropie, najważniejszą rzeczą nie jest cena ani bojkot ze strony Kaddafiego, lecz fakt, że ropa nie jest wieczna i zanim się ją wyczerpie, trzeba wynaleźć nowe źródła energii.

*To przekleństwo zwane ropą.*

Czasami się zastanawiam, czy jest tak rzeczywiście. Tyle napisano o przekleństwie zwanym ropą i proszę mi wierzyć: kiedy się ją ma, z jednej strony to dobrze, ale z drugiej to wielka niedogodność. Ponieważ stanowi poważne zagrożenie. Świat może wylecieć w powietrze z powodu tej przeklętej ropy. I nawet jeśli, tak jak ja, walczy się z tym niebezpieczeństwem... Widzę, że się pani uśmiecha. Dlaczego?

*Uśmiecham się, ponieważ, kiedy Wasza Wysokość mówi o ropie, jest odmieniony. Zapala się, przykuwa uwagę. Staje się innym człowiekiem. A ja... odchodzę, nie zrozumiawszy Waszej Wysokości. Z jednej strony, jest taki staroświecki, z drugiej, taki nowoczesny i... Może te dwa elementy łączą się: element zachodni i wschodni, który...*

Nie, my, Irańczycy, nie jesteśmy inni niż wy, Europejczycy. Jeśli nasze kobiety noszą chusty, także wy je nosicie. Chusty, które nakłada na was Kościół katolicki. Jeśli nasi mężczyźni mają kilka żon, także wy je macie. Żony nazywacie kochankami. I jeśli my wierzymy w wizje, wy wierzycie w dogmaty. Jeśli wy uważacie się za lepszych, my nie mamy kompleksów. Nigdy nie zapominamy, że wszystkiego, co macie, nauczyliśmy was trzy tysiące lat temu.

*Trzy tysiące lat temu... Widzę, że teraz Wasza Wysokość się uśmiecha. Nie ma już tego swojego smutnego wyrazu twarzy. Ach, jaka szkoda, że nie mogliśmy dojść do porozumienia w sprawie czarnych list.*

Ale pani jest naprawdę na czarnej liście?

*Wasza Wysokość! Jeśli nie wie tego Wasza Wysokość, który jest królem królów i wie wszystko! Już mówiłam: być może. Jestem na czarnej liście u wszystkich.*

Szkoda. A raczej, nieważne. Nawet jeśli jest pani na czarnej liście moich władz, umieszczę panią na białej liście mojego serca.

*Przeraża mnie Wasza Wysokość. Dziękuję, Wasza Wysokość.*

*Teheran, październik 1973*

## Ahmed Zaki Yamani

Jeszcze dziś ten człowiek, jeśli zechce, może sprawić, że będziemy marzli zimą, i może cofnąć nas do czasów, gdy podróżowało się konno. Jest to człowiek, który, jeśli zechce, może zamknąć wszystkie nasze fabryki, doprowadzić do bankructwa wszystkie nasze banki, rzucić nas na kolana i wyrzucić na bruk. Jego władza, choć nie opiera się na wojskach czy broni nuklearnej, jest przerażająca, bo to on w pierwszej kolejności zarządza tą przeklętą ropą naftową, na której zbudowaliśmy cywilizację przemysłową i technologiczną. W jego kraju występuje ona w takich ilościach, że nawet szukając tam wody, znajdziesz ropę. (Wody rzeczywiście nie ma, nie istnieją tam rzeki ani jeziora, a od stu lat deszcze są coraz bardziej skąpe. Do picia trzeba importować butelkowaną wodę mineralną). Żaden kraj nie produkuje jej tak dużo. Żaden kraj nie ma jej tyle w rezerwie. Będzie ją miał nawet wtedy, gdy inni już ją wyczerpią. Dlatego może kontrolować Iran, Kuwejt, Abu Zabi, Dubaj, Bahrajn, Katar, Algierię, Libię, Irak, Wenezuelę, Ekwador, Indonezję, Nigerię, Gabon, czyli kraje OPEC. To on wymyślił OPEC. To on złożył decydujący podpis na dokumencie, który w październiku 1973 roku podwyższał cenę ropy o sto trzydzieści procent. To on w ciągu jednej nocy wstrząsnął zachodnią gospodarką, wywołał kryzys, który nadal nas dręczy. Dzięki tysiącom miliardów dolarów, które zapłaciliśmy im w ciągu paru lat, nowi królowie Midasi mogą już kupić sobie cały świat. I straszyć nas, szantażować, poniżać, nie tylko pod względem finansowym: Jeśli-pomożesz-Izraelowi-i-nie-powiesz-że-Palestyńczycy-mają-rację-nie-sprzedam-ci-ropy. Mogą sprawić, że Stany Zjednoczone i Związek Radziecki będą tańczyć tak, jak oni im zagrają. Mogą skłonić ONZ do wypędzenia Izraela. Mogą opóźnić lub przyspieszyć wojnę. A on bardziej, niż ktokolwiek inny. Jeśli Kaddafi finansuje terrorystów, którzy urządzają rzezie na lotniskach i w ambasadach, on finansuje Al-Fatah. W swojej dziedzinie jest geniuszem. Mówię o szejku Ahmedzie Zaki Yamanim, ministrze do spraw ropy naftowej Arabii Saudyjskiej.

Gdy patrzyło się na niego, nie budził strachu. Raczej wysoki, dość pulchny czterdziestosiedmiolatek z okrągłą twarzą, noskiem jak kartofel, wąsikami i bródką donzuana. Aby się zaniepokoić, trzeba było poszukać jego oczu: błyszczących, wymykających się, niesamowicie przebiegłych. Oczu potrafiących kłamać, pieścić i przeszywać cię spojrzeniem, które z łagodnego zmienia się nagle w bezwzględne, lecz jest bezwzględne, również będąc łagodnym. Oczy, które kontrolują wszystko, jego własną uprzejmość i pogodę ducha,

cierpliwość, w jaką przyobleka każdy gest i każde zdanie, używając gładkich jak aksamit uśmiechów, lekkich jak puch szeptów. W ciągu ośmiu dni nie słyszałam nigdy, by podniósł głos, nie widziałam nigdy, by pozwolił sobie na jakiś niedbały lub nerwowy ruch. Nerwy stalowe czy zatopione w maśle? Wszystko w nim było dobrze nasmarowane, miękkie i gładkie. Jego uścisk dłoni miał delikatność kwiatu. Potrzeba było czasu, by zdać sobie sprawę, że kwiat może cię otruć, mniej czasu, by zrozumieć, że człowiek ten nie był, nie jest odważny. Jak sam przyznaje, nigdy nie ryzykuje, nigdy nie gra. Nie zaryzykował nawet ze mną. Owszem, chciał wywiadu: lubi być wielbiony, ale nie był skłonny ponosić z jego powodu jakiegokolwiek ryzyka. Zanim mi go udzielił, postanowił mnie wybadać, spokojnie, jak bada się mysz w klatce albo owada w butelce, analizując moje gusta, moje poglądy, moje wady, moje słabe punkty, by w odpowiednim momencie je wykorzystać. Absurdalna, a zarazem przerażająca historia. A może po prostu głupia?

Zaczęło się w Londynie, gdzie spotkałam się z nim na początku czerwca, po miesiącach pertraktacji, depech, teleksów. Przybył tam na zaproszenie Giełdy Papierów Wartościowych i zabrał ze sobą swą drugą, dopiero co poślubioną żonę Tamam. Z pozoru łagodną dwudziestodwulatkę, na swój sposób ujmującą, o smutnych ustach i zrezygnowanym spojrzeniu. Zabrał ze sobą również dwie córki z pierwszego małżeństwa: Maj, kapryśną i pełną wdzięku dwudziestolatkę, i Mahę, nieśmiałą osiemnastolatkę, piszącą pełne rozpaczony wiersze. Oczywiście myślałam, że celem spotkania jest przeprowadzenie wywiadu. Tymczasem on chciał mnie tylko poznać, żeby zdecydować, czy udzielić mi go, czy nie; podstęp, który, jak przypuszczam, przyszedł mu do głowy po przeczytaniu, że zrobił tak Kissinger. Jednak test Kissingera trwał godzinę, a jego trwał dwa dni, podczas których zabrał mnie na kolację z trzema dziewczętami do nocnego lokalu, na giełdę. Nie spodobałam mu się, jak wyznał mi później, w co wierzę: nie zrobiłam nic, by wydać mu się miła. Ale mimo to doszedł do wniosku, że warto ze mną porozmawiać, i poprosił, bym przyjechała do niego do Geddy w lipcu. Zgodziłam się i oto jestem w Geddzie, wraz z kolegą fotografem. Obydwoje jesteśmy gośćmi w *guest-house*, który znajduje się przy jednym z jego domów. (Ma ich cztery, o ile mi wiadomo. Jeden w Geddzie, jeden w Riadzie, jeden w Taifie, jeden w Bejrucie. Ale wydaje się, że ma ich jeszcze więcej, na przykład w Lozannie, i że przygotowuje jeden w Londynie, chociaż zaprzecza, jakoby był bogaty).

W Geddzie złudzenie, że wywiad odbędzie się tym razem bez opóźnień, szybko się rozwiało. Gdy tylko go zobaczyłam, zrozumiałam, że prawdziwy test miał się dopiero odbyć.

Diabelski, drobiazgowy, bardzo przemyślny test, którego jedynym celem nie było już zrozumienie mnie, lecz zneutralizowanie przez wciągnięcie mnie w sieć współnictwa, poufałości. Jeśli wolisz, system pogromcy zwierząt, chcącego powoli zdobyć zaufanie bestii, której pazurów się lęka, lub ją zmęczyć. Spotykałam go codziennie. A z nim Tamam, Maj, Mahe, jego syna Haneya, sympatycznego i inteligentnego czternastolatka, który uczy się w Szwajcarii w szkole Le Rosey i który pewnego dnia doprowadzi nas do rozpaczy dwa razy większej, niż jego ojciec. Widując się z nimi, tonęłam w ich dobroduszości, w ich serdecznych troskach, gorętszych od okrutnego gorąca Arabii. Wspaniałe kolacje, sekretarze do własnej dyspozycji, podróże. Czwartego dnia Yamani wsadził mnie razem ze swoją rodziną na pokład prywatnego samolotu i zawiózł do Bejrutu. Z podróży wykluczył Arafata, który również znajdował się w Geddzie i również miał udać się do Bejrutu. Okrucieństwo czy uprzejmość? „Dałem mu inny samolot. Postanowiłem zaoszczędzić pani kłopotu niepożądanego spotkania. Wiem, że nienawidzi pani Arafata”. W Bejrucie zaprosił mnie do swojego domu, wspaniałego, na wzgórzu, z oknami wychodzącymi na morze, bogatego w arrasy i dywany, z basenem z ciepłą wodą w podziemiach, gdzie w czasach Świętego Cesarstwa Rzymskiego znajdowały się katakumby. Stamtąd zawiózł mnie do Damaszku, gdzie udał się do Al-Asada, a później znowu do Geddy. Jednak ciągle ani słowa na temat wywiadu. Przy stole czy podczas lotów prowadził salonowe, powściągliwe rozmowy. Pragnął się raczej dowiadywać, niż mówić. Jego ulubionymi tematami były miłość, poezja, psychologia. Pewnego razu przeprowadził na mnie psychoanalizę, twierdząc, że uważa, iż jestem dobra, choć wydaję się zawzięta. Innym razem wyjaśnił mi zachowanie seksualne osób dotkniętych libido i mortido. Innym jeszcze razem opowiedział mi o nieszczęśliwym małżeństwie z pierwszą żoną i o jedenastu latach, które przeżył w samotności po separacji z nią; bardzo chciał się rozwieść przed ożenieniem się z Tamam, ale pierwsza żona się nie zgodziła. Tylko w dwóch czy trzech przypadkach wymknęło mu się coś ciekawego: gdy napomknął o swej starej przyjaźni z Arafatem, którego uważa za kogoś w rodzaju Churchilla, i kiedy zareagował na wiadomość, że wraz z królem Fajsalem miał zostać zabity również on. Plan mordercy przewidywał eliminację jego, Yamaniego, i członków rodziny królewskiej w trakcie ceremonii religijnej. Morderca miał strzelać, gdy wszyscy będą się modlić, klęcząc na ziemi. Zmarł tylko Fajsal, ponieważ na skutek upału ceremonia została odwołana. Mówienie o Fajsalu sprawiło, że wilgotniały mu oczy. Został jego doradcą w wieku trzydziestu jeden lat, kochał go bardziej niż ojca. Pozostał natomiast niewzruszony, gdy wspominał o ścięciu mordercy, ceremonii, przy

której był obecny. „Nie zachowywał się źle, ale wszystko odbyło się tak szybko. Wie pani, żeby głowa została dobrze ucięta, ofiara musi wyciągnąć szyję porządnie do przodu. A to uzyskuje się, nakłuwając ją sztyłem na końcu kręgosłupa. W tym samym momencie, w którym szyja się napina, opuszcza się miecz i ciach!”.

Szóstego dnia, jak Stwórca, który przygotowuje się do ostatecznego wysiłku po stworzeniu wód, drzew i zwierząt, Yamani zawiózł mnie do Taif, letniej rezydencji. Tutaj ma dom, który uważa za swój prawdziwy dom, i tutaj gościł nas znowu, wśród serdecznych uprzejmości. Powtarzały się obiady, kolacje, podczas gdy Maha śpiewała, grając na gitarze: *Oh, take me away! Please, take me away!* „Och, zabierzcie mnie stąd! Proszę, zabierzcie mnie stąd!”. Piliśmy kawę na tarasie, spacerowaliśmy po ogrodzie. Zrywając dojrzałe figi, Yamani wkładał mi je z czułością do ust. Tamam nie wydawała się zbyt zadowolona. Ale o wywiadzie nadal nie było mowy i musiałam zagrozić, że odjadę bez niego, aby wahanie się skończyło, spotkanie zostało wyznaczone, podczas gdy sympatyczny Haney żartował, że zaprosi ludzi, jak na mecz bokserski.

Problem w tym, że jego ojciec nie chciał meczu bokserskiego. Przygotował sobie odpowiedzi na przypuszczalne pytania, zaopatrzył się nawet w magnetofon, żeby nagrywać to, co nagrywałam ja. I przez cztery godziny zachowywał ostrożność pirotechnika rozbijającego bombę, ważąc każdy przymiotnik, każdy przecinek, nie pozwalając sobie nawet na najbardziej niewinną spontaniczność. Szkoda, że nie zrozumiał jedynej naprawdę ważnej rzeczy: czasami odwaga ratuje skuteczniej niż strach, szczerść skuteczniej niż wyrachowanie. I w ten sam sposób, w jaki on analizował mnie do swoich celów, ja analizowałam jego do swoich. Rzeczywiście jeszcze przed nagraniem pytań i odpowiedzi sam nakreślił swój portret, którego chciał uniknąć: *Oh, take me away! Please, take me away!*.

*ORIANA FALLACI. Pierwsze pytanie, ministrze Yamani, jest pytaniem desperackim: Czy istnieje jakakolwiek nadzieja, że cena ropy spadnie? Istnieje może ryzyko, że cena ta wzrośnie?*

AHMED ZAKI YAMANI. Że spadnie, nie. Och, nie. Dlaczego mielibyśmy to robić? Żeby sprzedawać więcej? Kraje OPEC nie potrzebują sprzedawać więcej. Ich nadwyżka kapitałowa będzie trwała co najmniej pięć lat. W 1978 roku szacowana wysokość tej nadwyżki sięgnie pełnych dwustu czterdziestu miliardów dolarów i na pewno nie należy się ludzić, że spadek sprzedaży posłuży obniżce cen. Ropa nie jest towarem, który się psuje: gdy się jej nie sprzedaje, zostaje po prostu tam, gdzie jest. Lepiej więc zapytać, czy cena wzrośnie. Cóż, na razie postanowiliśmy zamrozić aktualną cenę do września. Czy po wrześniu będziemy mogli utrzymać

ją zamrożoną jeszcze przez jakiś czas, to sprawa do ustalenia. Wiadomo, że w OPEC nie myślimy wszyscy tak samo. Niektórzy nalegają, żeby cena wzrosła o trzydzieści pięć procent, mniej więcej cztery dolary na baryłce. Inni chcą mniejszej podwyżki.

*A wy z Arabii Saudyjskiej czego chcecie?*

My chcemy zobaczyć, jak zachowują się kraje uprzemysłowione, to znaczy zobaczyć, czy naprawdę dążą do spotkania z krajami produkującymi ropę naftową i do osiągnięcia porozumienia. Innymi słowy, mówimy: obniżcie ceny surowców, które nam sprzedajecie, możecie to zrobić, jako że macie na nie monopol, a my zachowamy się adekwatnie do tego. Wie pani, ile płacimy na przykład za baryłkę wody mineralnej? Dwa razy tyle, ile wy płacicie za baryłkę doskonałej ropy naftowej. Nasza postawa wydaje mi się więc słuszna. W każdym razie to nieodwołalne: jeśli naprawdę zamierzacie obniżyć ceny, my zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby utrzymać zamrożoną aktualną cenę. W przeciwnym razie również my będziemy za podwyżką. Aczkolwiek nie drastyczną.

*Co pan rozumie przez drastyczną?*

Mam na myśli podwyżkę wystarczająco wysoką, by spowodować zakłócenia w światowej gospodarce. Powiedziałbym, że trzydzieści pięć procent jest już drastyczne.

*A kto chce drastycznej podwyżki? Szach Iranu? Kaddafi?*

Nie sądzę, aby Iran chciał drastycznej podwyżki. Tak, chce podwyżki, ale nie o trzydzieści pięć procent. Chcą jej przede wszystkim kompanie naftowe. To jasne, że gdy cena ropy rośnie, zwiększa się ich zarobek. I jeżeli nie zmieni się systemu, jeżeli Arabia Saudyjska nie obejmie na przykład stuprocentowej kontroli nad ARAMCO, na co mam nadzieję w przyszłości, będą one nadal domagać się podwyżek. Jednak razem z kompaniami naftowymi wymienilibym Wenezuelę, Ekwador, Algierię, Irak, Gabon, Libię...

*A Arabia Saudyjska nie może tak naprawdę nic na to poradzić.*

Przeciwnie, Arabia Saudyjska może zrobić wiele, ponieważ jest największym producentem na świecie. Możemy wydobywać ponad jedenaście milionów baryłek dziennie, ograniczamy się do wydobywania trzech i pół miliona; to czyni nas silnymi zarówno wobec krajów producentów, jak i wobec krajów konsumentów. Żeby zniszczyć inne kraje OPEC, faktycznie wystarczyłoby, żebyśmy produkowali tyle, ile możemy; żeby zniszczyć konsumentów, wystarczyłoby, żebyśmy produkowali mniej, niż produkujemy. W pierwszym wypadku cena bardzo by spadła, w drugim wypadku wzrosłaby nie o trzydzieści pięć, ale o



czterdzieści albo pięćdziesiąt, a nawet osiemdziesiąt procent. Krótko mówiąc, możemy podnosić głos na wszystkich, także wewnątrz OPEC. Zdarzają się spotkania OPEC, podczas których rozdzwięk jest tak poważny, że głos bywa podnoszony bardzo często. W niektórych przypadkach chodzi o bardzo poważne krzyki, i rozumie się samo przez się, że później osiągamy zawsze kompromis; każdy z nas wie, że OPEC musi nadal istnieć, że bez OPEC żaden z jego członków by sobie nie poradził. Nasze porozumienie nie jest wojskowe czy polityczne, to porozumienie czysto ekonomiczne: tylko pozostając połączeni, stawimy czoło całemu światu. Występując z OPEC, nawet my, Arabia Saudyjska, wyrządzilibyśmy sobie wielką szkodę. Mamy jednak również poczucie odpowiedzialności wobec światowej gospodarki. Zdajemy sobie sprawę, że jeśli nie chcemy zrujnować światowej gospodarki, musimy przeciwstawić się polityce niektórych członków OPEC.

*Tak jak w 1973 roku, gdy został pan praktycznie zmuszony przez szacha do narzucenia nam tej skandalicznej podwyżki?*

Nie należy robić porównań z tym, co wydarzyło się między końcem 1973, a marcem 1974 roku. To był wyjątkowy okres, a wasz resentyment nie liczy się z tym, że cena ropy nie zmieniała się od ćwierćwiecza. Utrzymywanie jej na takim poziomie było nie do pomyślenia; biorąc pod uwagę wasze ceny, powinniśmy byli zwiększyć cenę ropy o wiele bardziej. Czy było w porządku, żebyśmy nadal byli wyzyskiwani, jak pod koniec lat czterdziestych, podczas gdy cena waszej mąki, waszego ryżu, waszego cukru zwiększyła się czterokrotnie, cena waszych samochodów się podwoiła? Rola Arabii Saudyjskiej nie jest łatwa, mnie się jednak wydaje, że radzi sobie ona dobrze do dziś. OPEC jest silny, światowa gospodarka właściwie nie ucierpiała z powodu podwyżki cen ropy, a nawet się podniosła...

*To pan tak mówi.*

Mówi tak Międzynarodowy Fundusz Walutowy, mówią tak poważne instytucje handlowe, takie jak Chase Manhattan. Może we Włoszech sytuacja wygląda inaczej, bo Włochy są jak chory człowiek, któremu wystarczy podmuch wiatru, by złapać zapalenie płuc. Nie zapominajmy, że wasza inflacja osiągnęła niepokojący poziom już pod koniec 1973 roku. Jednak Niemcy, Francja, inne kraje Europy podniosły się bez problemu. Również Ameryka. W dużej mierze z tego powodu pewni członkowie OPEC chcą tej drastycznej podwyżki. Twierdzą, że Zachód jest w stanie ją znieść.

*Tak prosto w oczy, Yamani: Czy naprawdę warto doprowadzić nas do katastrofy?*

W Arabii Saudyjskiej sędzimy, że nie. Sędzimy, że wasza klęska, jeśli i gdy do niej dojdzie, będzie naszą klęską. Krótko mówiąc, wiemy, że jeśli runie wasza gospodarka, my runiemy razem z wami. Pieniądze same w sobie się nie liczą. Liczą się tylko wtedy, gdy zostaną ponownie wprowadzone w obieg i przekształcone w przemysł, technologię. Innymi słowy, jeśli kraje zachodnie źle prosperują, my nie możemy importować waszego przemysłu i waszej technologii. I nie zależy nam szczególnie, żeby ujrzeć wasz upadek, zarówno z przyczyn politycznych, ponieważ prowadzimy walkę z komunizmem, jak i z przyczyn gospodarczych. Powiem więcej: nie sędzę nawet, żeby zależało na tym innym krajom OPEC, ani tym prozachodnim, jak Kuwejt, Abu Zabi i Iran, ani tym prowschodnim, jak Irak, ani tym neutralnym, jak Algieria. Wszyscy wiedzą, że recesja, gdziekolwiek do niej dojdzie, to ogień, który prędko się rozprzestrzenia i nas dosięga. Ale jest pewien problem: nie wszyscy uważają, że ponowne podwyższenie cen ropy doprowadzi do katastrofy.

*Natomiast pan tak uważa.*

Ja sędzę, że jeśli nie zamrozimy cen, jeśli nie wprowadzimy ponownie w obieg naszych pieniędzy, jeśli nie będziemy zwiększali cen w sposób stopniowy i możliwy do przewidzenia, katastrofa się wydarzy. Nie zgadzam się zupełnie z członkami OPEC, którzy mówią, że jej nie będzie, że istnieje dużo miejsca dla dużej podwyżki, że podwyżka ta posłuży zarówno nam, jak i wam, ponieważ skłoni was do marnowania mniejszej ilości ropy i do odkrywania nowych źródeł energii. O, tak. Nie wszyscy członkowie OPEC są rozsądni, nie wszyscy się martwią, czy światowa gospodarka się nie załamie.

*Światowa gospodarka czy gospodarka europejska i azjatycka? Tamta podwyżka uderzyła w kraje europejskie, Indie, Japonię, niekoniecznie w Stany Zjednoczone.*

Niewątpliwie. W porównaniu z gospodarką europejską oraz japońską gospodarka amerykańska skorzystała na tej podwyżce. Skorzystała z dwóch powodów. Po pierwsze, Stany Zjednoczone importują o wiele mniej ropy niż Europejczycy i Japończycy, ponadto mogą znieść podwyżkę lepiej niż oni. Po drugie, wszystkie wielkie kompanie naftowe są amerykańskie i jak już powiedziałem, zarabiają na podwyżce. W ubiegłym roku po raz pierwszy od bardzo wielu lat amerykański bilans płatniczy nie odnotował deficytu. A wartość dolara wzrosła. Jednak zaraz potem coś się stało. Stało się to, że narzuciliśmy kompaniom naftowym wysokie opłaty i odzyskaliśmy znaczną część ich zarobków. Mogliśmy wręcz obniżyć cenę ropy o czterdzieści

centów na baryłce. A cena dolara spadła. W związku z tym zapewniam panią, że nikt w OPEC nie myślał ani nie myśli o podwyższaniu ceny, by sprawić przyjemność Ameryce.

*Po podwyższeniu doszło do spadku kupna ropy, prawda?*

Tak, mniej więcej o trzysta procent. To dla nas korzystne, kiedy tak się dzieje, jako że gromadzimy mniej pieniędzy.

*Słusznie. Ale jeśli pewnego dnia znaleźlibyśmy sposób, by poradzić sobie bez was?*

Jak?

*Związek Radziecki nie potrzebuje waszej ropy i niektóre kraje komunistyczne ją eksportują. Chiny nie potrzebują waszej ropy, a Japonia zaczęła ją już kupować od Chin.*

Tak, w Chinach jest ropa, i to nie tylko do lokalnego użytku, również na eksport. Istotnie, eksportują ją i będą jej eksportowały coraz więcej. Chiny stanowią obiecujący przypadek i należy życzyć im powodzenia, bo gdziekolwiek zostanie znaleziona ropa, jest to dobre dla ludzkości. Jednak nie robiłbym sobie przesadnych złudzeń; również w przyszłości Chiny będą mogły eksportować tylko niewielką część światowego zapotrzebowania. Związek Radziecki jest samowystarczalny, to prawda. Ale na jak długo? Bardzo możliwe, że w niedalekiej przyszłości Związek Radziecki będzie potrzebował arabskiej ropy; nie ma jej już tyle, co kiedyś, a niektóre z jego państw satelitarnych wstrzymały znaczną część swojego eksportu. Inne, jak Rumunia i Czechosłowacja, kupują ropę na Bliskim Wschodzie. Także Jugosławia. Wspaniała sprawa, niech będzie mi wolno dodać na marginesie, ponieważ ogranicza ryzyko wojny światowej. W jaki więc inny sposób możecie się bez nas obyć?

*Wiele ropy zostanie jeszcze odkryte, a nie wszystkie złoża, które zostaną odkryte, znajdują się w krajach arabskich lub należących do OPEC.*

Zgoda. Ropa do wydobycia występuje na Alasce i na biegunie północnym, wzdłuż zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych i wzdłuż wybrzeży Wietnamu, na wybrzeżach Chin oraz w mniejszych ilościach w Związku Radzieckim. Jest wreszcie w Morzu Egejskim lub przynajmniej są na to duże szanse, wystarczające, powiedzmy, by usprawiedliwić trochę wojny między Grecją a Turcją. Jednak duże złoża istnieją raczej na Alasce niż gdziekolwiek indziej, nie licząc krajów arabskich, takich jak Irak. I ogromna większość tych złóż znajduje się pod powierzchnią morza, na głębokości dwustu lub dwóch tysięcy metrów. A technologia wydobywania ropy na dużych głębokościach jest bardzo kosztowna. Praktycznie pozostaje

jeszcze do opracowania. W każdym razie wie pani, w jakim kraju pozostaje do odkrycia wiele ropy, i to nie pod powierzchnią morza, ale na lądzie?

*Nie, proszę mi powiedzieć.*

W Arabii Saudyjskiej. Przynajmniej jedną szóstą nieodkrytych światowych rezerw posiadamy my. I tym sposobem stosunek sił pozostaje niezmienny. Udowodnię to pani za pomocą liczb. W 1974 roku odkryte już światowe rezerwy wynosiły siedemset czterdzieści miliardów baryłek. Z tego sześćdziesiąt cztery miliardy w krajach komunistycznych, a reszta w krajach, które określam jako należące do wolnego świata. Sześćdziesiąt siedem procent tych miliardów należy do Bliskiego Wschodu, dwadzieścia siedem procent do samej Arabii Saudyjskiej. Pokłady, które pozostają jeszcze do odkrycia, sięgają dziewięciuset sześćdziesięciu trzech miliardów baryłek. Z tego trzysta pięćdziesiąt miliardów baryłek w krajach komunistycznych, a sześćset trzysta miliardów baryłek na Zachodzie i Bliskim Wschodzie. Tak więc co najmniej sto miliardów baryłek do wydobycia znajduje się w Arabii Saudyjskiej. Jak możecie się bez nas obyć?

*Odkrywając inne źródła energii.*

Oby. I zaraz pani wyjaśnię to „oby”. Na razie powiem, że w 1973 roku ropa naftowa zaspokajała czterdzieści osiem procent światowego zapotrzebowania na energię, ropa razem z metanem sześćdziesiąt siedem procent. Obyć się bez ropy nie jest wcale łatwo. I do czego się nawiązuje, mówiąc „inne źródła energii”? Zaczniemy od ropy syntetycznej, której cena dochodzi obecnie do siedmiu dolarów za baryłkę, zamiast dziesięciu dolarów i czterdziestu sześciu centów za prawdziwą ropę. Rozwiązanie problemu za pomocą ropy syntetycznej jest nieekonomiczne, ponieważ podczas gdy cena ropy naftowej maleje wraz ze wzrostem produkcji, cena ropy syntetycznej rośnie wraz ze wzrostem produkcji. W dużych ilościach kosztuje dwukrotnie albo trzykrotnie więcej niż prawdziwa ropa. A teraz przejdźmy do zasobów nuklearnych. Niektórzy twierdzą, że w roku 1985 zakłady nuklearne będą dziennie dostarczać energię stanowiącą równowagę uzyskiwanej obecnie z czternastu milionów baryłek ropy. To naprawdę optymistyczne stwierdzenie. W rzeczywistości, aby tak się stało, potrzebne są zakłady nuklearne. A takie zakłady jeszcze nie istnieją. Nie tylko: żeby zbudować zakłady nuklearne, potrzeba co najmniej dziesięciu lat. Tak więc aby funkcjonowały w ten sposób w 1985 roku, powinny być gotowe już teraz. Aby funkcjonowały w roku 2000, powinno się je zacząć budować teraz. Ach! Dzień, w którym będziecie mogli się bez nas obyć, jest złowroźnie daleki.

*Złowróźnie dla nas czy dla was?*

Obawiam się, że dla obu stron. I to wyjaśnia to moje „oby!”. Rzeczywiście, rozwiązań alternatywnych potrzebują obie strony, ponieważ ropa kiedyś się skończy. Nawet biorąc pod uwagę wszystkie odkryte i nieodkryte złoża, ropa na Ziemi nie starczy na długo. Zwłaszcza jeżeli będziemy ją zużywać, a raczej marnować w takim tempie. Problem nie polega więc na tym, żebyście zaczęli ją kupować w Chinach, na Alasce albo gdzie indziej, i nie na tym, by wydobywać ją w nowych miejscach; polega na tym, że niebawem jej zabraknie. Odwołam się znowu do liczb. Wyłączając kraje komunistyczne, które mają mniejsze rezerwy, wystarczające w sumie tylko dla ich potrzeb, w pozostałej części świata oczekuje się w sumie na wydobycie tysiąca dwustu czterdziestu dziewięciu miliardów baryłek ropy. Jeżeli nadal będzie zużywana w obecnym tempie, ropy może wystarczyć na trzydzieści siedem lat. Jeżeli jej zużycie będzie rosło, jak się przewiduje, o trzy i pół procent rocznie do 1985 roku, a później o dwa procent rocznie, może jej wystarczyć maksymalnie na trzydzieści lat. Oznacza to, że jeśli się nie pospieszymy z odkrywaniem alternatywnych źródeł energii, w roku 2000 na Ziemi pozostanie ropa naftowa tylko na sześć lat. Maksymalnie na dwanaście.

*Ale w dniu, w którym rozwiążemy problem za pomocą źródeł alternatywnych, nie będziemy was już potrzebować.*

Wtedy będziemy tak bardzo bogaci, że będziecie nas potrzebowali do innych celów. Bo do tego dnia zbudujemy nasz kraj na bazie przemysłu i technologii, a ropę, która zostanie, będziemy wykorzystywać tylko na swoje potrzeby. I również my będziemy wykorzystywać energię atomową, energię słoneczną. Już nad tym pracujemy.

*Ale jakie kraje jako pierwsze wyczerpią swoje złoża?*

Algieria, Libia, Iran. Iran wydobywa zbyt dużo, chociaż jest drugim producentem na świecie. Na Bliskim Wschodzie, poza Arabią Saudyjską, kraje, które najdłużej będą wypompowywać ropę, to Abu Zabi, Kuwejt i Irak. Abu Zabi, ponieważ tak jak my ma wiele odkrytych i nieodkrytych rezerw. Kuwejt, ponieważ choć nie może liczyć na nowe rezerwy, spowolnił tempo wydobycia. Irak, bo choć produkuje niewiele, ma niezmiernie możliwości. Ale to inna sprawa ma znaczenie, ta mianowicie, do której nawiązywałem na początku: wasze groźby, że będziecie od nas kupować mniej ropy, nie przerażają nas, a raczej nas cieszą. Nie tylko dlatego, że jeśli będziecie mniej kupować, ropy starczy na dłużej, ale dlatego, że jeśli będziecie mniej kupować, będziemy gromadzić mniej pieniędzy.

*Macie ich już zbyt dużo, prawda?*

Tak. I gromadzenie ich w takich ilościach jest sprzeczne z naszym interesem. Nie możemy dalej układać stosów na stosach pieniędzy, jeśli nie będziemy ich wydawać, jeśli nie wprowadzimy ich ponownie w obieg. A gdzie je wydamy, jeśli nie na Zachodzie? Kto ma nam pomóc szybko je upłynnić, jeśli nie Zachód? Sprzedając nam samochody, jedzenie, pomagając w uprzemysłowieniu naszego kraju. My na przykład planujemy wydać sto czterdzieści miliardów dolarów w pięć lat. Jeśli nie zrealizujemy tego planu, znajdziemy się w kłopotach. A wy razem z nami.

*I na tym właśnie polega problem. Chcieliście pieniędzy i je dostaliście, rujnując nas. Ale gdzie trafiają owe tysiące dolarów? Gdzie? Na wystawach waszych sklepów widzę wiele złotych zegarków i złotych zapalniczek, złotych pierścionków, na waszych ulicach widzę duże samochody. Ale nie widzę domów, nie widzę prawdziwych miast.*

Nie można wymagać, żeby w ciągu jednej nocy zmienić biednego i nieokrzesanego człowieka, żeby w ciągu jednej nocy zmienić biedny i nieokrzesany kraj. To bogactwo trwa od niespełna dwóch lat i dopóki gotówka nie zostanie przekształcona w domy, samochody, drogi, szpitale, szkoły, krótko mówiąc, w infrastrukturę cywilizowanego kraju, mówienie o bogactwie nie ma sensu. W Arabii Saudyjskiej już zaczęliśmy: nasze pieniądze trafiają do Banku Centralnego i jeśli przestudiuje pani nasz budżet, zauważy pani, że znaczna ich część nie jest bynajmniej wykorzystywana w sposób powierzchowny. Budujemy jedną szkołę dziennie i autostrady w fantastycznym tempie. Bogaci nie kupują tutaj złotych zegarków. Noszenie złotych zegarków jest nawet sprzeczne z tradycją. Co do dużych samochodów, są często używane: cadillaki kupione za granicą za cenę toyoty, a później sprowadzone tutaj, bo tutaj nie płaci się cła, nie płaci się podatków, a benzyna kosztuje grosze. Naturalnie można się tu szybko dorobić. Przede wszystkim spekulując na nieruchomościach. Kupując nieruchomości, można podwoić inwestycję w bardzo krótkim czasie: powiedzmy, w niecały rok

*I bogaci stają się jeszcze bogatsi, biedni jeszcze biedniejsi.*

Nie! Bogaci stają się jeszcze bogatsi, przyznaję, ale biedni nie stają się biedniejsi. Stają się bogatsi. Kapitalizm, taki jak rozumiecie go wy, to znaczy w sensie monopolistycznym, jeden człowiek albo grupa ludzi, którzy żyją kosztem dobra publicznego, tutaj na razie nie istnieje, jesteśmy w punkcie zwrotnym, w którym mógłby zaistnieć, zgadzam się. Jednak staramy się tego uniknąć w ten sposób, że prawie każdy rodzaj działalności gospodarczej znajduje się tu w rękach

państwa. Nie ma nigdy osoby lub grupy osób, która by je monopolizowała; akcjonariusze są właścicielami przedsiębiorstw tylko w czterdziestu dziewięciu procentach. Pięćdziesiąt jeden procent należy do państwa, które kupuje dla obywateli i poprzez zyski odbiera sobie później pożyczone pieniądze. Na przykład ten, kto chce wybudować sobie dom, pożycza od rządu siedemdziesiąt procent, bez oprocentowania. Potem oddaje rządowi tylko pięćdziesiąt procent. Naturalnie z przywilejów tych wykluczeni są Jemeńczycy, obywatele innego kraju. Jemeńczycy, którzy przyjeżdżają pracować do Arabii Saudyjskiej, korzystają z darmowych szpitali, z darmowych lekarstw, z darmowych szkół, ale nie mają udziału w bogactwie Saudyjczyków. Które jednak, podkreślam, jest bogactwem pozornym, ponieważ jest to jedynie bogactwo w gotówce.

*No dalej, Yamani!*

Ryzykując, że panią zdenerwuję, twierdzę, że jesteśmy jeszcze biednym krajem. Oprócz przemysłu, rolnictwa i infrastruktury cywilizowanych krajów brakuje nam rzeczywiście kadry. To znaczy wykształconej i wykwalifikowanej. Nauka w Arabii Saudyjskiej jest bezpłatna, włącznie ze studiami uniwersyteckimi. I kształcimy młodzież, wysyłamy ją za granicę, ale potrzeba lat, aby uzyskać magistra albo inżyniera. W tym czasie trzeba sprowadzać inżynierów, techników, wykwalifikowanych ludzi, których nie mamy gdzie zakwaterować, bo brakuje hoteli. Do wybudowania hoteli potrzebni są wykonawcy, ale wykonawców należy ulokować w hotelach. To błędne koło nas wyniszcza. Brakuje nam między innymi cementu. Teraz, gdy otwarto ponownie Kanał Sueski, liczymy na kupowanie go w Europie, ale dotychczas musieliśmy go importować z Korei, z Japonii i ze Stanów Zjednoczonych, opływając Afrykę. Brakuje nam też portów, bo brakuje nam cementu, i brakuje nam innych rzeczy, które, na zasadzie błędnego koła, powinny do nas dotrzeć za pośrednictwem portów. Wreszcie brakuje nam wody. I jesteśmy... jak to powiedzieć?

*Niczym król Midas umierający z pragnienia.*

Mniej więcej. Ponad tysiąc lat temu mieliśmy rzeki oraz jeziora. Ale później wyschły i dzisiaj nie ma ani jednej rzeki, ani jednego jeziora. Jest tylko parę górskich potoków. Od czasów Mahometa kraj jest całkowicie suchy. Jesteśmy uzależnieni jedynie od deszczu. Od stu lat spada bardzo mało deszczu, a od dwudziestu pięciu lat prawie nic. Kiedy trochę popada, pod koniec lata albo w zimie, ludność spieszy, prowadząc za sobą trzodę. Rozbija namioty i pije tę wodę razem z trzodą. Ale niebawem wszystko znowu wysycha i trzeba czekać, aż deszcz spadnie gdzie

indziej. Chmury przyciąga roślinność, roślinności nie ma, a żeby się rozwinąć, potrzebuje wody. Kolejne błędne koło. Trzeba by było nawadniać, uzyskać nieco wilgoci. Królowi Fajsalowi marzył się pewien projekt: wybudowanie kanału między Morzem Czerwonym a Zatoką, przekształcenie północnej części Arabii Saudyjskiej w coś na kształt wyspy. Doprowadzając wodę morską w głąb kraju, dzięki temu kanałowi uzyskalibyśmy większą wilgotność, a więc więcej deszczu. Uzyskalibyśmy ponadto środek komunikacji oraz moglibyśmy odsalać wodę morską wewnątrz kraju, nie tylko na wybrzeżach. Dał mi ten projekt do przeanalizowania. Odkryłem, że był bardzo kosztowny, lecz technicznie wykonalny. Potem król Fajsal umarł.

*Czy nie ma wody pod ziemią?*

Tak, znajdujemy ją. Choć generalnie znajduje się głęboko. Tutaj, wierząc, łatwiej znaleźć ropę niż wodę. Jednak te zasoby wody chcemy zachować na czasy, gdy nie będziemy tacy bogaci; teraz, gdy możemy sobie na to pozwolić, wolimy uzyskiwać wodę, odsalając wodę morską oraz budując tamy i zbiorniki gromadzące deszczówkę. Natomiast jeżeli chodzi o bieżące potrzeby, mam jeszcze prostszy plan: kupować słodką wodę od krajów, do których eksportujemy ropę. Po wypompowaniu ropy tankowce nie mogą płynąć puste. I obecnie w drodze powrotnej wypełnione są wodą morską. Rezultat jest fatalny, bo mamy do czynienia z brudną wodą i kiedy po przyplłynięciu są one ponownie opróżniane, woda morska ulega zanieczyszczeniu. Nie można już łowić ryb. Jeżeli kraje, które są konsumentami ropy naftowej, sprzedawałyby nam czystą, słodką wodę, moglibyśmy napełniać nią tankowce w drodze powrotnej. Na przykład wykorzystując wielkie i solidne plastikowe worki. Później wlewalibyśmy tę wodę do zbiorników retencyjnych, sztucznych jezior i używalibyśmy jej w rolnictwie i przemyśle. Powoli przeobrazilibyśmy się w przemysłowy i rolniczy kraj. W ciągu dwudziestu pięciu lat powinno nam się udać. I nie widzę powodu, dla którego mielibyście odmówić sprzedawania nam wody. Wy potrzebujecie naszej ropy naftowej, my potrzebujemy waszej wody. Dogadajmy się.

*Proszę posłuchać, Yamani, ta historyjka o wodzie jest bardzo wzruszająca. Jest nawet ciekawa, ponieważ we Włoszech mamy dużo wody, którą moglibyśmy dać panu w zamian za ropę. Ale to wszystko nie wystarczy, by odpowiedzieć na to, o co pana pytałam: Co się dzieje z tysiącami miliardów dolarów, które kraje OPEC zarabiają naszym kosztem, to znaczy na naszej inflacji?*

Słucham?



*Nie wszyscy Arabowie są tak mądrzy jak Saudyjczycy i dobrze wiemy, że w Libii pieniądze te wykorzystywane są na przykład do finansowania terrorystów i faszystów podczas masakr, takich jak na Fiumicino. Dobrze wiemy, że emirowie wykorzystują je do kupna złotych sedesów albo hoteli w Londynie. Dobrze wiemy, że szach używa ich, by kupić albo próbować kupić Zachód: od Pan American po Fiata, od ITT po Kruppa.*

Jeśli szach kupuje część Kruppa, przynosi to korzyść Kruppowi i Niemcom oraz Iranowi. Jeśli szach kupuje Pan American, przynosi to korzyść Pan American i Ameryce oraz Iranowi. A w opowieściach o emirach, którzy kupują niepotrzebne rzeczy, jest wiele fantazji, podsycanej przez waszą niechęć. Wiem, że czujecie się przez nas zaatakowani, ale to zjawisko przejściowe. Szybko zdacie sobie sprawę, że wcale nie chcemy was najeżdzać; po prostu umieramy z chęci współpracy z wami. I nie rozumiemy, dlaczego nie chcecie wbić sobie do głowy, że potrzebujecie naszych pieniędzy, a my chcemy inwestować nasze pieniądze u was. Nie sądzę, aby pieniądze należało inwestować w pałace. Ale przypuśćmy, że chciałbym kupić sobie pałac w Anglii. Co w tym złego? Rozumiem, że może to komuś przeszkadzać, zwłaszcza ugrupowaniom politycznym, które nie chcą dobrych stosunków między Arabami a Zachodem. Ale co w tym złego?

*Postawmy sprawę tak: A jeśli zamiast pałacu chciałby pan kupić sobie bombę atomową, jak Kaddafi?*

To kolejna fantastyczna historia, w którą nie mogę uwierzyć. Kto wzięłby na siebie odpowiedzialność za sprzedanie komuś bomby atomowej tylko dlatego, że ten ktoś jest w stanie za nią zapłacić? Stany Zjednoczone, Związek Radziecki, Chiny, Francja? Wykluczam możliwość, żeby Libii udało się kupić bombę atomową. Mogłaby ją najwyżej skonstruować, ale to również nie jest możliwe bez zachodniej technologii i bez zerwania traktatu regulującego kontrolę nad uranem. Znowu, kto weźmie na siebie odpowiedzialność? Nie wspominając o tym, że Egipt zrobiłby natychmiast to samo, że zmieniłby się cały układ...

*Może to właśnie dlatego Kaddafiemu zostaje tyle pieniędzy na finansowanie faszystów i Palestyńczyków, którzy dokonują masakr na Fiumicino.*

Ja nic o tym nie wiem. Nienawidzę przemocy. O tych sprawach czytuję w gazetach.

*Rozumiem. Ale skoro nienawidzi pan przemocy, czy nigdy nie próbował go pan troszkę uspokoić?*

Nieustannie spotykamy się z Libijczykami. Kilka tygodni temu również był w Geddzie libijski premier. Przedstawiliśmy mu nasze zdanie i przeprowadziliśmy z nim długą rozmowę. Także Kaddafi odwiedza nas co jakiś czas i... Większość Arabów nie zgadza się z jego polityką. Różni się ona zupełnie od polityki Al-Asada, Sadata, Arabii Saudyjskiej, wielu krajów. Ale to, że myślimy inaczej niż ktoś inny, nie oznacza, że go potępiamy. Może on wierzy, że swoim postępowaniem służy sprawie arabskiej. Moim zdaniem jest wprost przeciwnie.

*Rozumiem. A skoro już mówimy o dofinansowaniach, proszę mi powiedzieć: Ile waszych pieniędzy trafia do Palestyńczyków?*

Ile dokładnie, tego nie wiem. Ale my w Arabii Saudyjskiej wspomagamy Al-Fatah. Od dawna. Wydaje mi się, że od 1967 roku. A raczej od czasów poprzedzających wybuch wojny sześciodniowej.

*Pan i Arafat jesteście starymi przyjaciółmi, prawda? Od czasu, gdy studiowaliście razem na uniwersytecie w Kairze. Przypuszczam, że pańska opinia o nim jest entuzjastyczna.*

Sądzę, że bez Arafata problem Palestyny nie może zostać rozwiązany; ten, kto sprzeciwia się Arafatowi, z pewnością nie pomaga sprawie Palestyńczyków. Arafat to człowiek, o którym długo będzie głośno, również po rozwiązaniu problemu Palestyny. I nie dlatego, że pewnego dnia zostanie on prezydentem, premierem albo naczelnym dowódcą, ale dlatego, że ma zadatki na lidera. To człowiek odpowiedzialny, zrównoważony...

*W stosunku do mnie, gdy przeprowadzałam z nim wywiad, wcale nie był zrównoważony. Krzyczał, że Izrael musi zostać zmieciony z powierzchni ziemi, usunięty z map.*

Gdyby nie było wojny październikowej w 1973 roku, tak zwany pokój de facto zostałby dziś narzucony przez Izrael. Gdybyśmy nie użyli ropy jako broni politycznej, nikt by nas dziś nie słuchał. Gdyby Arafat tak nie mówił, Palestyńczycy nigdy nie mieliby domu. Czasami ludzie muszą mówić w pewien sposób, muszą mówić pewne rzeczy.

*Faktem jest, że on nie tylko je mówi, on je robi. Ostatnio przyznał się do masakry, która miała miejsce w Jerozolimie. Gdy wybuchła ta lodówka, śmierć poniosło również kilku Arabów.*

Al-Fatah i większość Arabów, podczas gdy potępia pewne akcje Palestyńczyków poza Izraelem, na przykład te, które miały miejsce na lotnisku w Rzymie i w ambasadach saudyjskich w Chartumie czy w Paryżu, uważa, że działania w Izraelu nie są terroryzmem. Bo tam panuje stan wojenny. Izrael musi wbić sobie do głowy, że istnieje naród, który od dwudziestu pięciu lat

żyje w namiotach. Gdy to się skończy, nie będzie więcej terroryzmu w Jerozolimie czy w Tel Awiwie.

*Tak więc rozgrzesza pan akty terroryzmu.*

Powiedziałem, że takie jest stanowisko Al-Fatah i wielu Arabów.

*Ale jakie jest pańskie?*

Trudno wygłaszać sądy, gdy siedzi się wygodnie w domu.

*Czy nie pomyślał pan, że w tej sprawie mogłyby mieć rację obydwie strony? Czy kiedykolwiek rozmawiał pan o tym z Izraelczykiem?*

Nigdy w życiu nie znałem żadnego Izraelczyka. Kiedyś, gdy studiowałem na Harvardzie, poszedłem do biblioteki i zobaczyłem Abbę Ebana, ówczesnego ambasadora w Waszyngtonie. Zobaczyłem go z daleka. I był to jedyny raz, gdy zobaczyłem Izraelczyka.

*Rozumiem. Ale przyznaje pan Izraelowi prawo do istnienia w tej części świata?*

My jako Saudyjczycy mówimy, że nie mamy nic wspólnego z tego rodzaju decyzją, ponieważ nie jesteśmy w tę sprawę zaangażowani. Nie graniczymy z Izraelem. I nie będziemy się sprzeciwiać temu, co zadecydują kraje znajdujące się wokół Izraela.

*Więc jeśli Arafat i owe państwa postanowią zmieścić Izrael z powierzchni ziemi, pan na to przystanie.*

Nie sądzę, żeby to właśnie stanowiło cenę. Jeżeli Izrael uzna prawa Palestyńczyków, myślę, że również Palestyńczycy uznają prawa Izraela. Kraje arabskie uznały już prawo Izraela do istnienia, wyrażając gotowość podpisania traktatu pokojowego. Chęć pozbycia się Izraela nie jest już postawą tych, którym leży na sercu pokój. Ważne jest, żeby Izrael zgodził się żyć wewnątrz pewnych granic i w zgodzie z innymi, zaprzestając swojej polityki ekspansjonizmu. Nie mam wątpliwości co do ekspansjonizmu Izraela. Zresztą świadczy o nim to, co wydarzyło się w 1948, w 1956, w 1967 roku, kiedy zajął Synaj i Zachodni Brzeg i oświadczył: „To jest Izrael”. Kiedy zostanie uznana Palestyna...

*...Arafat uzna Izrael?*

Być może to zrobi. Tego się po nim spodziewam.

*A jakie stanowisko zajmujecie wy, Saudyjczycy, wobec syryjskiej propozycji usunięcia Izraela z ONZ?*

Jeśli Izrael zwróci zajęte terytoria, problem nie zostanie nawet przedłożony. Usunięcie Izraela z ONZ nie należy do naszych celów. Jeśli natomiast ich nie zwróci, użyjemy wszelkich

rodzajów broni, od ONZ po ropę. Powtarzam pani: na wojnie wszystkie środki są dozwolone. My, Saudyjczycy, nie lubimy używać ropy jako broni i jeżeli zapyta pani, co myślę na ten temat osobiście, odpowiem: nie znoszę, naprawdę nie znoszę używać ropy jako broni. To przesada, a ja nie posuwam się nigdy do przesady, jeśli mogę zastosować inne rozwiązania. Ale naszym celem jest odzyskanie zajętych terytoriów, pokój na Bliskim Wschodzie, państwo dla Palestyńczyków. I jeśli Izrael się zgodzi, nie będziemy uciekali się do przesady. Jeśli się nie zgodzi, będziemy próbowali wszystkiego: wykluczenia go z ONZ, embarga na naszą ropę, użycia naszej władzy finansowej.

*Innymi słowy, dopiero wtedy, gdy problem palestyński zostanie rozwiązany, zostanie rozwiązany również problem ropy.*

Właśnie tak. Zapewniam panią.

*W przeciwnym razie będzie kolejne embargo, a wraz z nim upadek gospodarczy. To się nazywa szantaż.*

Nie, ponieważ nie ma nic wspólnego z ceną ropy. Embargo jest bronią polityczną skierowaną wyłącznie przeciwko krajom, które wspomagają i wspierają Izrael w konflikcie bliskowschodnim. Tak jak zrobiliśmy w roku 1974. Wobec pozostałych krajów postąpiliśmy na dwa różne sposoby: albo daliśmy im mniej ropy, tak by zwrócić ich uwagę na problem, którego wydawały się nie być w pełni świadome, albo dawaliśmy im jej nadal tyle, co wcześniej. Francja otrzymywała jej tyle, co wcześniej. Nam wystarczyło, że usłyszeliśmy, iż Izrael powinien oddać zajęte terytoria i że należy uznać prawa Palestyńczyków, abyśmy wznowili dostawy. Utrzymaliśmy embargo tylko w stosunku do tych, którzy nie chcieli powiedzieć tego, czego się domagaliśmy. I odnieśliśmy sukces. Zwykły obywatel, zaskoczony przez kryzys energetyczny, pytał: „Dlaczego?”. A odpowiedź brzmiała: „Z powodu konfliktu arabsko-izraelskiego”.

*A jak pan zareagował na amerykańską groźbę interwencji zbrojnej?*

Och, nie traktowałem jej poważnie. Nawet saudyjski rząd nie potraktował jej poważnie. To była wojna psychologiczna, taka gra, żeby pokazać, że ropa naftowa, używana przez nas jako broń, nie jest wcale bronią. Podjęcie interwencji zbrojnej w celu zajęcia szybów naftowych OPEC byłoby dla Amerykanów samobójstwem: czymś takim, jak zrzucenie bomby atomowej na Moskwę. Zanim zniszczyłoby to nas, zniszczyłoby najpierw zachodnią gospodarkę. Sam Kissinger, przyjeżdżając tutaj, stwierdził, że amerykańskie plany polityczne nie przewidują takich działań. Podobnie Ford.

*Jest pan wielkim przyjacielem Amerykanów, prawda?*

Nie widzę w tym stwierdzeniu nic złego. Jednak proszę zauważyć, że jestem przyjacielem każdego kraju, który jest przyjazny wobec Arabii Saudyjskiej albo ma z Arabią Saudyjską zbieżne interesy. Lubię Amerykę, wszyscy o tym wiedzą. Studiowałem tam i mieszkałem prawie cztery lata. Ale to nie znaczy, żebym rzucał się do stóp Ameryce, i gdy tylko wybucha konflikt interesów, staję się jej wrogiem. Czy to nie ja zaszkodziłem zarobkom amerykańskich kompanii naftowych? Czy to nie z mojej winy spadła cena dolara?

*A Kissinger?*

Przeciwko niemu nie mam absolutnie nic, nie. Bardzo go szanuję. To bardzo świątły człowiek, niezwykle inteligentny, o doskonałym refleksie. I zna się na rzeczy. Nie zgadzam się zupełnie z tymi, którzy go oskarżają, że nic nie zdołał. Uważam, że zrobił wiele, również na Bliskim Wschodzie. Czasami ktoś osiąga sukces i nie zasługuje w pełni na opinię, którą uzyskał dzięki temu sukcesowi; czasami ktoś ponosi porażkę i nie zasługuje w pełni na wyrazy potępienia z powodu tej porażki. Kissinger jest jeszcze czynny i nie można jeszcze wydawać o nim negatywnego sądu.

*Lubił pan tak bardzo również Nixona?*

Nixon? To był twardy człowiek, który nie miał szczęścia. Nie zasługiwał na tyle niepowodzeń. Nie zasługiwał na to, co go spotkało.

*Rozumiem. Ale dlaczego w takim razie odpowiedział pan Amerykanom, że w przypadku interwencji Arabowie wysadzą w powietrze szyby naftowe?*

Ja tego nie powiedziałem, nikt tego tutaj nie powiedział. Nie było potrzeby mówienia czegoś podobnego. Poza tym powtarzam pani, że Amerykanie nigdy by nas nie zaatakowali. Kto, poza Rosjanami, mógłby nam zagrozić? Rosjanie... jeżeli Rosjanie zechcą Arabii Saudyjskiej, wystarczy, że zaatakują. Z pewnością nie możemy się przed nimi obronić. Jest rzeczą wiadomą, że nie mamy z nimi nawet stosunków dyplomatycznych. Zerwaliśmy je ponad trzydzieści lat temu, przed drugą wojną światową, gdy odkryliśmy, że przygotowywali się do wszczęcia w Geddzie ruchów komunistycznych, aby obalić nasz ustrój. Od tego czasu obawiamy się ich do tego stopnia, że nie chcemy nawet ambasady żadnego ich kraju satelitarnego: odmawiamy utrzymywania jakichkolwiek stosunków z każdym, kto jest komunistą czy choćby należy do lewicy. Strach przed komunizmem jest tutaj ogromny. Nienawidzimy wręcz samego tego słowa. Ode mnie poczynając.

*Mimo to, gdy był pan z Arafatem w Kairze, uczęszczał pan na spotkania grup marksistowskich.*

Aby je zbadać i zrozumieć, że komunizm niszczy jednostkę i ludzką godność, że z komunistami nie powinniśmy zamieniać ani jednego słowa.

*Rozumiem. Ale jak możecie pogodzić ten antykomunizm z sojuszem łączącym was z pewnymi państwami arabskimi i z Palestyńczykami, tak powiązanych ze Związkiem Radzieckim? Czy to nie właśnie za pośrednictwem pewnych krajów arabskich i Palestyńczyków Związek Radziecki zdołał przeniknąć w rejon Morza Śródziemnego?*

Nie za pośrednictwem Palestyńczyków czy Arabów: za pośrednictwem Izraelczyków. Gdyby Izraelczycy nie zmusili Palestyńczyków do szukania pomocy w Związku Radzieckim, te powiązania by nie istniały. Tak, wina leży po stronie Izraela. To Izrael dostarczył Rosjanom pretekstu do wejścia w rejon Morza Śródziemnego. Izrael i polityka Stanów Zjednoczonych. I jest tylko jeden sposób, żeby zatrzymać przenikanie sowieckich wpływów nad Morze Śródziemne: rozwiązanie kwestii Palestyny.

*A co każe panu myśleć, że po rozwiązaniu kwestii Palestyny Sowietci przestaną się interesować Morzem Śródziemnym?*

Ależ to proste: kiedy nie będzie już Arabów i Palestyńczyków, którym mogliby pomagać, Rosjanie będą musieli odejść.

*Czyli pana przyjaciel Arafat, który dziś jeździ do Moskwy, gdy tylko mu się podoba, i ciągle prosi Breżniewa o pieniądze i karabiny, jak również o wsparcie ONZ, tego dnia miałby mu powiedzieć: „Teraz dziękuję i precz”. Sowietom może się to nie spodobać.*

Arafat nie będzie musiał tego mówić. Wystarczy, że przestanie jeździć do Moskwy. Teraz tam jeździ, bo tego potrzebuje, bo Moskwa otwiera przed nim drzwi, a wy nie. Gdybyście pomogli mu we Francji, we Włoszech, w Europie, Arafat nigdy nie pojechałby do Moskwy. Nigdy. A wpływy, wywierane dziś przez Rosjan, mielibyście wy. Aby mieć wpływy na danym obszarze geograficznym, konieczna jest podstawa, a podstawą sowieckich wpływów jest konflikt arabsko-izraelski. Z tego powodu Moskwa ma nadzieję, że będzie trwał długo, i nie chce wcale pokoju na Bliskim Wschodzie. Ale po zakończeniu konfliktu skończą się również wpływy. I Arafat postąpi tak, jak postąpił już do pewnego stopnia Sadat.

*Jakie są pana zdaniem przekonania polityczne Arafata?*

Arafat ujawni swoje przekonania polityczne, gdy zostanie uznana Palestyna.

*Wygodnie. Ale pana zdaniem jest to człowiek lewicy czy nie?*

Och, nie. Naprawdę nie sędzę.

*W takim razie wszystko jasne. Na pewno musi być panu ciężko obcować z arabskimi przywódcami, którzy w sprawach polityki nie myślą tak jak Arafat. Czy znał pan Nasera?*

Widywałem go wiele razy, nigdy naprawdę z nim nie rozmawiając. I muszę powiedzieć, że... tak, miał fascynującą osobowość, ale nie zgadzałem się nigdy z tym, co robił i myślał. W mojej opinii nie leżało to ani w interesie jego narodu, ani w interesie świata arabskiego. Czuję się lepiej w towarzystwie Sadata. To najlepszy przywódca, jaki mógł się przytrafić Egiptowi. Jest bardzo sprytny i jest prawdziwym strategiem. Jednak lubię też bardzo Asada. Jest racjonalny, obiektywny i również on jest wspaniałym liderem.

*Czy powiedziałby pan to samo o królu Husajnie, wrogu pańskiego przyjaciela Arafata?*

Nie miałem nigdy okazji spotkać się na dłużej z królem Husajnem i spokojnie z nim podyskutować. Mogę o nim powiedzieć tylko tyle, że król Fajsal byłby szczęśliwy, gdyby Jerozolima została mu odebrana, i że decyzja Rabatu, polegająca na powierzeniu Palestyńczykom zadania odbicia Zachodniego Brzegu, była słuszna. W końcu Zachodni Brzeg to terytorium palestyńskie, nie jordańskie.

*Szkoda, że mój magnetofon nie może nagrać pana mefistofelicznego uśmiešku.*

Czy chce mnie pani jeszcze o coś zapytać?

*Tak, Yamani. Chcę zakończyć tę pogawędkę, zadając panu parę pytań na temat śmierci króla Fajsala. Bo nie była to bynajmniej śmierć wyjaśniona. Wy ograniczyliście się do stwierdzenia, że zabił go szalony bratanek. I nigdy nie dodaliście, kto zapewnił broń temu szalonemu bratankowi.*

Który jednak nie był szalony. Wyszło to również na jaw podczas procesu. Tak, zrobiliśmy, co w naszej mocy, żeby zbadać odpowiedzialność osób trzecich, powiedzmy, odpowiedzialność zagraniczną. Szukaliśmy i przeprowadziliśmy dochodzenia, zrobiliśmy naprawdę wszystko, co było możliwe. Ale nic nie znaleźliśmy. Ani jednego elementu, który pozwoliłby nam wywnioskować, że za mordercą stał ktoś inny, że mordercę namówił ten lub inny kraj. On nigdy się nie przyznał do powiązań z innymi czy do działania w imieniu innych. Czy przyszłość dostarczy nam kolejnych elementów, tego nie wiem. Jednak w to wątpię. W każdym razie dzisiaj mogę powiedzieć tylko tyle, że o ile wiem, o ile wiemy, nikt inny nie jest w to zamieszany. Zgoda: być przekonany o co innego. Ale żeby stwierdzić, że jestem też o tym

przekonany, musiałbym wiedzieć o rzeczach, o których nie wiem i o których nie wie nikt w tym kraju. Dla nas sprawa jest zamknięta.

*Czasami sprawę się zamyka, bo warto ją zamknąć. A spekulacje...*

Gdy zostaje zabity tak wielki człowiek jak Fajsał, trudno uwierzyć, że stało się to z powodu czynu jednego człowieka. I w ten sposób rodzą się spekulacje. Ale osąd nie może być oparty na spekulacjach i jeżeli nie dają one żadnego punktu zaczepienia do poszukiwania prawdy, należy ich zaprzestać. Proszę nie zapominać, że jestem adwokatem i że moje rozumowanie opiera się na faktach, a kiedy brakuje mi faktów, nie wyciągam wniosków. Bylibyśmy niezmiernie szczęśliwi, odkrywając prawdę, jeżeli nie jest nią to, co przyjęliśmy.

*Nawet gdyby był w to wmieszany zaprzyjaźniony kraj?*

Kraj, który kazałby zabić naszego króla, nie byłby krajem zaprzyjaźnionym. I wydaje mi się, że próbuje pani formułować sąd na temat spekulacji, tak jakby ta spekulacja była faktem, to znaczy insynuując, jakoby Stany Zjednoczone stały za zabójstwem króla Fajsała. W ten sposób, dowiadując się, stracilibyśmy przyjaciela. Nie, taka spekulacja nie opiera się wcale na prawdzie. Nie.

*Jak pan chce. A teraz proszę mi powiedzieć. Był pan jednym z niewielu, którzy widzieli śmierć króla. Dlaczego nikomu nie udało się przeszkodzić w zabójstwie?*

Wszystko wydarzyło się tak nagle. Usłyszałem strzały i już było za późno. Kiedy ten człowiek został pojmany, trzykrotnie już strzelił królowi w głowę. I nie widziałem ani jak wchodził, ani jak strzelał. Stałem obok króla, który przyjmował jednego z ministrów Kuwejtu, ale nie patrzyłem w stronę drzwi. Patrzyłem w stronę króla. I również po strzałach moją reakcją było zwrócenie się w stronę króla, nie w stronę zabójcy. Król upadł, ja się nad nim pochylałem. Nasze oczy się nie spotkały, jego patrzyły w górę. Król rzekł: „Amrak”. To znaczy: „Wola boska”. A raczej: „Niech się dzieje wola boska”. Potem nie powiedział już nic. Sądzę, że nie widział nawet, kto strzelił, jakkolwiek wykluczam, by robiło to dla niego różnicę, gdyby wiedział, że to był jego bratanek. Reszta... reszta to ból. Szok i ból.

*Przesłuchiwał pan później mordercę i śledził z bliska proces. Czy wie pan, jakie były jego przekonania polityczne?*

Był z lewicy. I myślę, że mogę powiedzieć, iż bardziej od śmierci człowieka pragnął on śmierci reżimu. A raczej systemu.



*Istotnie, król Fajsal nie był jedynym, który miał umrzeć tego dnia. Plan przewidywał śmierć pięciu osób, z których prawie każda należała do rodziny królewskiej, a jedną z nich był pan. Tak czy nie?*

...

*Ale czy ten szczegół, że chciał zabić system, a nie człowieka lub kilku ludzi, nie skłania pana do odczuwania dla niego choćby minimum szacunku?*

Żadnego szacunku, był fanatykiem. Chciał zniszczyć wszystko, tak jak niszczy się zabawkę. Był zbrodniarzem.

*Był pan obecny, gdy wykonywano karę śmierci, ścinając mu głowę. Jak się zachowywał?*

Nie w sposób dumny ani nawet z godnością. Nie powiedziałbym. Tak, był przerażony. Ale nie przyglądałem się uważnie. To znaczy, nie w tym momencie. Nie koncentrowałem się na tym. Próbowałem nie widzieć szczegółów. I jeśli chce pani wiedzieć, co czułem, odpowiem: coś, czego nie chcę czuć nigdy więcej i czego wolałbym nigdy nie czuć. Zresztą znalazłem się tam prawie przez przypadek. Poszedłem do Pałacu Sprawiedliwości, żeby zanieść dokumenty podpisane przez króla Chalida, te, które dawały pozwolenie na egzekucję po potwierdzeniu wyroku przez proces apelacyjny, i tak zobaczyłem... Ale powinniśmy przestać o tym rozmawiać. To rani moje uczucia. Sprawia, że znowu widzę krew.

*No dalej, pochodzi pan z kraju, gdzie sprawiedliwość wymierza się, ucinając ręce, stopy i głowy. Nie powie mi pan, że nigdy nie widział egzekucji.*

Widziałem już jedną w Egipcie, gdy byłem studentem prawa. Powieszenie. Tutaj natomiast ścina się głowę. A ja nienawidzę krwi. Gdy ujrzałem miecz spadający na głowę człowieka, który zabił króla Fajsala, jedynie myśl, że została wymierzona sprawiedliwość, zrównoważyła moją nienawiść do krwi. Wierzę w karę śmierci, zwłaszcza w pewnych społeczeństwach. Uważam ją za konieczność. Gdyby tu, w świecie arabskim, nie stosowano kary śmierci, szerzyłaby się przestępczość. Jest potrzebna: nie tylko jako kara, lecz również jako środek zapobiegawczy. Ludzi, gdy są ciemni, albo się straszy, albo wychowuje. Naturalnie należy ich wychowywać, ale w oczekiwaniu, aż zostaną wychowani, należy ich straszyć, uciekając się do wszelkich możliwych środków.

*Yamani, czy ktoś panu kiedyś powiedział, że jest pan prawdziwym reakcjonistą?*

Tak, raz. Ale nie sądzę, żebym nim był. I dodam: ja również wierzyłem w demokrację, a raczej w nią wierzę. Ale wasze wyobrażenie demokracji nie może być zastosowane do

wszystkich krajów. Nie chcę demokracji, która wprowadza chaos. To samo odnosi się do wolności. Wolność, która funkcjonuje w pewnym rodzaju społeczeństwa, staje się chaosem, gdy zostanie przeniesiona do społeczeństwa innego rodzaju. Musi więc być przyznawana w małych dawkach, małymi krokami. Wprowadzanie drastycznych zmian w strukturze społecznej jest niemożliwe. Dlatego rewolucje nigdy nie kończą się sukcesem i ogólnie rzecz biorąc, wszystko pozostaje w takim stanie, jak wcześniej. Ewolucja nie jest nigdy rewolucją, prawdziwe zmiany to te, które zachodzą powoli i w sposób łagodny. Oczywiście, zmiany są potrzebne; czy życie nie składa się z ciągłych zmian? Król Fajsal na przykład zmienił wiele rzeczy: zniósł niewolnictwo, uczynił nauczanie szkolne i uniwersyteckie obowiązkowym i bezpłatnym. Pozostawiając jednak system nienaruszony. Chciał zmienić kraj, nie niszcząc ustroju. Także dlatego jego śmierć pozostawiła pustkę i jego brak jest odczuwalny.

*Twierdzi pan, że jego śmierć coś zmieniła?*

Nie, polityka kraju jest taka sama. System jest zbyt silny, by mógł zostać osłabiony na skutek śmierci przywódcy. Będą może zmiany w procedurze; nowi ludzie nie robią nigdy tych samych rzeczy w ten sam sposób. Lecz w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło i nic się nie zmieni. Mechanizm działa i będzie działał długo, bez nieprzewidzianych wypadków.

*Tym bardziej, że pan nie znosi przypadku. Prawda?*

Nie znoszę hazardu. Nienawidzę go. Tak, nienawidzę. Niszczy duszę. Nigdy nie byłem hazardzistą. Nigdy.

*To już zrozumiałam. Ale czy nie ryzykuje pan nigdy, nawet jako minister do spraw ropy? Na przykład, gdy podnosi pan ceny i nas szantażuje?*

Nigdy. To zawsze wyliczone ryzyko. Och, ja dobrze obliczam swoje ryzyko. Co do milimetra. A kiedy je podejmuję, oznacza to, że przedsięwzięłem wszelkie środki ostrożności, aby ograniczyć je do minimum. Niemal do zera.

*Gedda (Arabia Saudyjska), sierpień 1975*

## William Colby

Bardziej niż wywiad była to kłótnia, gwałtowna i irytująca, niespokojna i zła, na próżno przybrana w cywilizowane tony dyskusji. Poza grą pytań i odpowiedzi, pretekstem dziennikarstwa, rzeczywistość uświadamiała nam nasze przeciwstawne i wrogie role. On reprezentował władzę, niewidzialną i wszechobecną ośmiornicę, która wszystko kontroluje i dławi. Ja jej ofiarę. On wierzył w prawo do śledzenia, wtrącania się, przekupywania, obalania rządów, zawiązywania spisków, zabijania, sprawowania kontroli nawet nade mną, na przykład przez nagrywanie moich rozmów telefonicznych. Ja wierzyłam w prawo do bycia pozostawioną w spokoju i do osobistego rozporządzania wolnością, która mi się należy. Tym sposobem niechęć, z jaką go zaatakowałam, mówiąc mu natychmiast, że mój kraj nie jest jego kolonią, jego bananową republiką, szybko mu się udzieliła. I nie było już możliwe znalezienie punktu porozumienia, wzajemnej tolerancji. Godzinami, jak dwa owady, zajęte wzajemnym kluciem, ranieniem się i rozszarpywaniem, obrzucaliśmy się wyrzutami, oskarżeniami i okrucieństwem. (Ideologiczne uprzedzenia, jak je nazywał). I widowisko to miało w sobie coś absurdałnego, na granicy lekkiego szaleństwa. Mój głos, zatruty namiętnością i gniewem, czasami drżał. Jego natomiast pozostawał niezmienny, opanowany, pewny. Jedyne oznaki wrogości widoczne były w błękitnych oczach, nieruchomych niczym oczy ślepeca, w których chwilami rozbłyskiwało nieme okrucieństwo, podczas gdy usta nie przestawały się uśmiechać, ręce nie przestawały z wdziękiem dolewać kawy. W pewnym momencie zadałam sobie pytanie, kogo przypomina ten człowiek z lodu, zadający mi cierpienie. Odpowiedź była prosta. Przypominał inkwizytora albo funkcjonariusza radzieckiej Partii Komunistycznej. Co w sumie na jedno wychodzi. Pewnego razu widziałam w gazecie zdjęcie Susłowa. I William Colby miał to samo spojrzenie, ten sam nos, te same usta, co Susłow. Miał też tę samą wydłużoną, chudą, elegancką sylwetkę. Tę samą bezlitosną uprzejmość. Pomyliłam się, mówiąc mu na koniec, że przypomina mi Cunuhala. Z Cunuhalem łączył go jedynie fanatyzm i brak tej cudownej cnoty zwanej wątpliwością. (Każde jego słowo miało na celu ukazanie jego ślepej, niewzruszonej nienawiści nie tylko do komunistów, ale do każdego, kto należał do lewicy).

William Colby – przez dwadzieścia osiem lat znamienity funkcjonariusz CIA, przez dwa i pół roku jej dyrektor. Jego prawdziwy portret jest taki sam, jak opowiada o sobie. Oto on. „Jak zostaje się szefem CIA? Przypadkiem, *by chance*. A dlaczego wstępuje się do CIA? Dla

przygody intelektualnej. I z patriotyzmu. Mój ojciec był oficerem. Miał duże poczucie obowiązku. Odziedziczyłem je wraz z zamiłowaniem do podróży i miłością do Ameryki. Rodzina mojego ojca przyjechała tu w 1600 roku, z Anglii. Rodzina mojej matki przyjechała dwieście lat później, z Irlandii. Zostałem poczęty w Panamie, urodziłem się w Minnesocie, dorastałem w Chinach, w Tiencin. W wieku osiemnastu lat pojechałem do Francji, by nauczyć się francuskiego. Znam francuski, norweski, niemiecki, włoski, wietnamski; chociaż trochę je pozapominałem. Jestem magistrem prawa i zamierzałem pracować jako adwokat. Dlaczego jednak zostałem szpiegiem? Na pewno nie dla zabawy. Nie czytałem nigdy żadnej książki o Jamesie Bondzie. Czytam jedynie teksty o polityce, historii, filozofii, marksizmie, leninizmie. Sprawy potoczyły się następująco. Podczas drugiej wojny światowej byłem oficerem w Oklahomie. Szkoliłem żołnierzy. Ale nie chciałem przyglądać się wojnie z daleka, z Oklahomy. Dlatego wstąpiłem jako ochotnik do spadochroniarzy. Miałem dwadzieścia dwa lata. Pewnego dnia przyszedł ktoś z OSS. Szukał ludzi do zrzucania w Europie, żeby pomóc ruchowi oporu. Nie miałem nic lepszego do roboty. Zgodziłem się. Zrzucali mnie we Francji i w Norwegii. Walczyłem tam razem z partyzantami. Akcje sabotażowe i tym podobne. Po zakończeniu wojny OSS zostało rozwiązane i dlatego zająłem się pracą adwokata. Ale wybuchła wojna w Korei i znowu wstąpiłem do tajnych służb, do CIA. Po Korei byłem kilka lat we Włoszech. Później w Waszyngtonie i w różnych częściach świata. Dwa razy w Wietnamie. W czasach Diema i w latach 1969–1970, gdy przewodniczyłem programowi Phoenix”. Oczywiście nie powiedział, że program Phoenix doprowadził do zagłady, często za pomocą zabójstw, ponad dwudziestu tysięcy członków Vietcongu. A gdy mu o tym przypomniałam, stwierdził, że dwadzieścia tysięcy to niewiele, w walkach ginie więcej ludzi. Nie powiedział, że nie jest mu obca żadna z tragedii, jakie wydarzyły się w ostatnich latach; że był zamieszany w tę rozgrywającą się w Chile, na Cyprze, wśród Kurdów. By wymienić choćby dwie lub trzy. Przyznał jednak, że to on najmocniej popierał dofinansowanie chrześcijańskich demokratów i socjaldemokratów włoskich. I to było bardzo ważne, jako że przybyłam do niego przede wszystkim po to, by zapytać go o korupcję uprawianą przez CIA w moim kraju.

Wywiad kłótnia odbył się w skromnym domku jednorodzinny w okolicach Waszyngtonu, w którym mieszkał wraz z żoną i dwoma młodszymi synami. (Dwaj starsi byli żonaci. Najstarszy miał trzydzieści cztery lata i pracował jako adwokat). Byłam u niego dwa razy, w pewien długi piątkowy poranek i całe niedzielne popołudnie. Ani za pierwszym, ani za

drugim razem nie pozwolił sobie na niegrzeczny czy niecierpliwy gest, ani za pierwszym, ani za drugim razem nie próbował mnie pospieszać. Był cały czas uprzejmy, elegancki, opanowany – doskonały. W ten sam sposób zachowywał się wobec senatora Churcha i kongresmana Pike’a, którzy przesłuchiwali go podczas prac parlamentarnych komisji śledczych. Skandal, jaki wybuchł przy tej okazji wokół zbrodni CIA, oraz dymisja, do której został zmuszony, nie stargały mu nerwów; tym bardziej nie mogłabym zrobić tego ja. Zachował zimną krew również wtedy, gdy wywiad został opublikowany niemal na całym świecie, wzbudzając wrzawę równą tej, jaką wywołały wywiady z Kissingerem i Cunnahalem. Zarówno telewizji, jak i prasie oświadczył, że tekst świadczy o tym, iż walka została chwalebnie wygrana przez niego, żałośnie przegrana przeze mnie; i dlaczego nie przeprowadzę wywiadu z szefem KGB? Następnie, żeby pokazać mi, jaki jest liberalny, i zapewnić, że moja impertynencja nie robi na nim wrażenia, zaczął pisać do mnie liściki pełne pobłażliwej sympatii i dobronudusznymi wyrzutami o mój „anarchizm” i moje „lewactwo”; przyznając jednak, że jestem skrupulatną i uczciwą dziennikarką. W jednym z nich pisał: „Możemy się nie zgadzać i rzeczywiście, my dwoje bardzo się nie zgadzamy, ale uważam za dobroczynne dla wolnych społeczeństw, że można się w nich kłócić i wymieniać poglądy bez wzajemnych obaw”. Nigdy mu nie odpowiedziałam i nie zapytałam, co rozumie przez wolne społeczeństwa i wymianę poglądów bez obaw. Oczywiście nie bałam się i nie boję jego ani jego CIA, ale muszę wyznać, że widząc jego podpis, za każdym razem odczuwałam rodzaj dreszczu.

Zdaję sobie sprawę, że CIA ma przynajmniej tę zaletę, że pozwala przeprowadzać ze sobą wywiady, a KGB nie; uwaga była słuszna. Jednak trudno zapomnieć o poczuciu zagrożenia, jakie się ma, czując i wiedząc, że jest się przez nie kontrolowanym; tak jak ja jestem od lat. I nie wiem, czy Colby jest o tym poinformowany, zważywszy że stało się to, gdy był już osobą prywatną, ale wydaje się, że CIA była zamieszana w zabójstwo Aleksandrosa Panagulis. I mimo że może to niesłusznie zranić pana Colby’ego, muszę powiedzieć, że ta myśl jako pierwsza przyszła mi do głowy, gdy na Boże Narodzenie 1976 roku otrzymałam od niego ładną kartkę z życzeniami. Z Madonną w błękitnym płaszczu czule tulącą Dzieciątka Jezus.

*ORIANA FALLACI. Te nazwiska, panie Colby. Nazwiska nędzników, którzy brali we Włoszech pieniądze od CIA. Włochy nie są bananową republiką United Fruits, panie Colby, i to niesprawiedliwe, żeby podejrzenie ciążyło na całej klasie politycznej. Nie sądzi pan, że Pertini, marszałek naszego sejmiku, ma prawo poznać te nazwiska?*

WILLIAM COLBY. Nie, ponieważ nasza Izba Reprezentantów postanowiła w głosowaniu, że nazwiska mają pozostać tajne, i ponieważ CIA musi chronić swych członków, musi chronić tych, którzy z nią współpracują. Oczywiście decyzja o podaniu nazwisk lub nie należy do rządu Stanów Zjednoczonych, a ja nie mówię w imieniu rządu. Mówię w imieniu CIA. Ale moja opinia brzmi nie, moje zalecenie brzmi nie. Żadnych nazwisk. To minimum, co mogę zrobić, aby uszanować porozumienie z ludźmi, którzy ze mną pracowali. W pani parlamencie mogą przeprowadzić wszelkie dochodzenia, jakie chcą. Czy nie istnieje policja śledcza? Ten, kto czuje się podejrzany, wystarczy, że powie: „To nieprawda, nie przyjmowałem pieniędzy”. Mnie to w zupełności odpowiada. Nie mogę poświęcić jednych, żeby uniknąć podejrzeń co do drugich. Obiecałem, że zachowam tajemnicę, i ją zachowam, bo jeśli złamię obietnicę, nie będę już mógł zwrócić się do nowych ludzi. Byłoby łatwo zastosować metodę eliminacji, odpowiedzieć „nie” na sześć nazwisk, a na siódme „no comment”. Pani miałaby to, czego szuka. Czemu nie poszuka pani tego samego u Rosjan? Czemu nie poprosi pani radzieckiego rządu o nazwiska komunistów, którzy we Włoszech biorą pieniądze z Moskwy? Związek Radziecki robi dokładnie to, co my. Ma identyczne jak my problemy.

*Później porozmawiamy o Rosjanach. Teraz rozmawiamy o CIA, panie Colby. Gdybym ja, obywatelka obcego kraju, przyjechała tu, aby finansować jedną z amerykańskich partii, i dwudziestu jeden z waszych polityków, ponadto niektórych waszych dziennikarzy, co...*

Popelniłaby pani rzecz nielegalną i gdybym się o tym dowiedział, doniósłbym na panią FBI, żeby panią aresztowało.

*Dobrze. Tak więc ja powinnam donieść włoskiej policji na pana, pańskiego ambasadora, pańskich agentów i sprawić, aby was aresztowano.*

Tego nie mówię.

*Jak to nie? Jeśli jest nielegalne, żebym ja korumpowała, powiedzmy, pana Pike'a albo senatora Churcha, czyż nie jest tak samo nielegalne, żeby pan korumpował, powiedzmy, pana Micelego?*

Nie mówię, że byłaby to korupcja. Mówię, że postąpiłaby pani przeciwko mojemu prawu.

*Ale pan też postąpił przeciwko mojemu, panie Colby! I wie pan, co dodam? Jest tylko jeden człowiek bardziej obrzydliwy od przekupionego – przekupujący.*

My w CIA nie przekupujemy. Jeżeli macie w waszym społeczeństwie problem z korupcją, istniał on na długo przed przybyciem CIA. Przekupywać oznacza dawać pieniądze

komuś, kto coś dla nas robi, a my nie dajemy pieniędzy w tym celu. Dajemy pieniądze temu, kto nie ma wystarczająco dużo pieniędzy, by robić to, co chce. Zasadniczo popieramy ustroje demokratyczne i wśród wszystkich krajów, które powinny to rozumieć, są Włochy. To amerykańska pomoc przez trzydzieści lat powstrzymywała Włochy przed upadkiem w autorytarny komunizm. I poradziliśmy sobie z tym, właśnie wspierając partie demokratycznego centrum.

*Waszych „klientów”, jak określa ich pan w raporcie Pike’a. Panie Colby, w słowniku angielsko-włoskim słowo „client” jest przetłumaczone dosłownie jako klient. Ale co dla pana oznacza klient?*

No więc... otóż... Jak adwokat nazywa... Co robi adwokat ze swoim klientem? Adwokat pomaga klientowi... Tak, klienci adwokata.

*Uważa się pan więc za adwokata chrześcijańskich demokratów i socjaldemokratów we Włoszech.*

Zgadza się. To znaczy... Nie. Nie chcę komentować żadnej konkretnej sytuacji.

*Dlaczego? Odpowiedział mi pan może kłamstwem?*

Ja nie kłamię. I cierpię, kiedy jestem oskarżany o kłamstwo. Naprawdę tego nie robię. Czasami coś przemilczę, czasami odmówię udzielenia informacji, zachowam tajemnicę. Ale żadnych kłamstw, nawet gdybym chciał. Nie pozwoliliby mi na to Izba Reprezentantów ani Senat, ani prasa. Szef amerykańskiej Intelligence to nie to, co szef wywiadu innych krajów, gdzie wolno mu negocjować prawdę. Tutaj wywiad działa pod nadzorem prawa, nie poza prawem. I żeby sobie radzić, trzeba mówić „no comment”. Ale w sprawie finansowania przez nas partii demokratycznych, to ja chciałbym zadać pani pytanie: Czy byłoby w porządku, gdyby Ameryka wsparła partie demokratyczne przeciwko Hitlerowi?

*Odpowiem panu natychmiast, panie Colby: we Włoszech nie ma żadnego Hitlera. A tamte osiemset tysięcy dolarów, które ambasador Graham Martin zechciał dać generałowi Micelemu, z błogosławieństwem Kissingera, nie trafiły wcale w demokratyczne ręce. Trafiły w ręce naśladowców Hitlera.*

Nie będę dyskutował na temat żadnej konkretnej operacji CIA, ale powiem pani, że mam wielki szacunek dla ambasadora Martina. Byliśmy razem w wielu częściach świata i zawsze uważałem go za człowieka silnego, człowieka, który zawsze zajmował właściwą pozycję i podejmował właściwe zobowiązania w interesie Stanów Zjednoczonych. Poza tym sądzę, że w

tego rodzaju działalności CIA może mieć jeden punkt widzenia, a nasz rząd inny. To nie CIA decyduje, decyduje prezydent. Proszę nie zapominać, że w każdej z tych operacji CIA działa w służbie rządu, postępuje według wytycznych rządu. Czasem wytyczne są możliwe do zaakceptowania, czasem nie. Ale w każdym wypadku CIA postępuje ściśle według nich. Przynajmniej do zeszłego roku, to znaczy do czasu wejścia nowej ustawy, prezydent mógł wezwać dyrektora CIA i powiedzieć: „Zrób to i nie mów nikomu”.

*A więc to właśnie Nixon i Kissinger chcieli dać Micelemu te pieniądze; CIA tak naprawdę była przeciwna. Jeśli ich pan spotka, proszę podziękować im za bomby, które faszyci produkują za te pieniądze.*

Nie mogę o tym rozmawiać. Wiem jednak, że neofaszyści mają tylko osiem procent głosów i mimo iż istnieją wśród nich bardzo ekstremistyczne elementy, nie grozi wam z pewnością drugi marsz na Rzym. Wiem, że zagrożenie stanowią dla was komuniści. I wiem, że od zakończenia wojny my w CIA cały czas wspomagaliśmy różne formy demokratyczne przeciw groźbie komunizmu. I trwało to przez dwadzieścia pięć, a raczej trzydzieści lat.

*Z takim rezultatem, że komuniści stoją obecnie u progu rządu i w każdych wyborach zyskują więcej głosów. Czy wydaje się panu, że dobrze pan zainwestował te pieniądze? Wydaje się panu, że pańska Intelligence okazała się inteligentna?*

Zazwyczaj nie wydajemy naszych pieniędzy na głupoty. Pewnych spraw nie należy oceniać tylko na podstawie jednego czynnika. W tym wypadku, na podstawie trzydziestu trzech procent, które uzyskali komuniści w ostatnich wyborach. I możliwe, że amerykańskie interwencje we Włoszech po drugiej wojnie światowej nie były doskonałe, jednak były przydatne. Pozytywne. Mówię również o NATO oraz o planie Marshalla. Gdy byłem w Rzymie, w 1953 roku, ludzie jeździli vespami. Teraz jeżdżą samochodami. Żyje się wam teraz lepiej, niż żyłoby się, gdyby komuniści wygrali w roku 1948 i w 1960. Przeciętnemu Włochowi żyje się lepiej niż przeciętnemu Polakowi, więc amerykańska polityka we Włoszech nie była błędem. Wykonaliśmy dobrą robotę. Kiedy mówicie, że źle się wam wiedzie, powtarzacie to samo, co w 1955 roku. Wtedy też krzyczeliście, że rząd jest fatalny i wszystko się wali. We Włoszech widzicie zawsze sprawy w sposób katastroficzny, cały czas macie wrażenie, że znajdujecie się na skraju przepaści. A jednak w 1955 roku do katastrofy nie doszło. I teraz też nie dojdzie. Bo istnieją porządni Włosi.

*Z pewnością nie są to pańscy „klienci”, panie Colby.*



Mówię o zwykłych ludziach.

*Jaki był pana ulubiony polityk, gdy przebywał pan we Włoszech?*

Myślę, że De Gasperi. Ale nie mogę wymieniać nazwisk. Nie powinienem. Zresztą nie znałem zbyt wielu ważnych osób... Byłem młodym funkcjonariuszem i moja praca polegała raczej na zbieraniu informacji i utrzymywaniu kontaktów z ugrupowaniami politycznymi, jako że mówiłem po włosku. Mogę powiedzieć pani tylko tyle, że w tamtym okresie byłem za otwarciem w stronę lewicy. Tak, za otwarciem wobec socjalistów. Szanowałem ich. Nadal ich szanuję, bo socjaliści są zachodni, europejscy, naprawdę wierzą w wolność i demokrację. W latach pięćdziesiątych sądziłem, że popełnili wielki błąd, sprzymierzając się z komunistami, ale uważałem również, że na dłuższą metę nie utrzymają tego sojuszu. I dlatego tak, byłem za otwarciem w ich stronę. Jednak w tamtym czasie nie był to decydujący element amerykańskiej polityki we Włoszech.

*No tak. Ambasadorem była Claire Boothe Luce. Do jakiego stopnia pan, jako przedstawiciel CIA, działał i działa we współpracy z ambasadą USA?*

Współpracowałem dużo z ambasadą, to oczywiste. Byłem doradcą politycznym, *political attaché*. Zawsze współpracuje się z ambasadami. Większość informacji zdobywamy poprzez nasze ambasady. A pani Luce wykonywała dobrą robotę. Doskonałą robotę. Nadal jestem przyjacielem pani Luce. Interesująca, zdolna kobieta.

*Zwłaszcza zdolna do wtrącania się w sprawy mojego kraju, jakby był jej kolonią. Jednak działacie we Włoszech nie tylko za pośrednictwem waszej ambasady; wszyscy wiemy, że prawdziwym przyczółkiem CIA we Włoszech jest SID. Pytam, jak pan śmie śledzić mnie w moim domu, używając do tego tajnych służb mojego kraju? Jakim prawem na przykład kontroluje pan mój telefon?*

Ponieważ w ten sposób wiem, co dzieje się na świecie. A kontrola telefonu, wie pani... Mój telefon był kontrolowany wiele razy, w wielu krajach, jestem pewny. I nigdy nie miało to dla mnie znaczenia. Nawet gdyby był kontrolowany teraz, co wykluczam, nie miałoby to dla mnie żadnego znaczenia. Przynajmniej pod względem emocjonalnym. Nie widzę nic złego w próbach zrozumienia, co dzieje się na świecie, co myślą i robią ludzie. Nie chodzi wcale o podglądanie cudzej prywatności; chodzi o informację, czy ma pani wycelowany we mnie pistolet lub jakąkolwiek inną broń, która mogłaby wyrządzić mi krzywdę. Krótko mówiąc, pyta mnie pani, czy jedno państwo ma prawo do wykorzystywania swojej Intelligence w innym państwie poprzez

tajną działalność? Cóż, w każdym kraju jest prawo, które odpowiada, że nie. I prawie w każdym kraju się to robi. Bo mamy moralne prawo próbować odkryć, co się dzieje, i w ten sposób się bronić. Jest to nielegalne, ale mamy do tego prawo.

*Sprawdźmy, czy dobrze zrozumiałam. Uważa pan za nielegalne, lecz słuszne również działanie za pośrednictwem tajnych służb innego kraju. Na przykład mojego.*

To zależy. Czasami inna Intelligence nam pomaga. To zależy od polityki kraju. Czasami dwa kraje mają obopólny interes, na przykład znajdują się bardzo blisko swoich sojuszników i bardzo martwi je możliwość penetracji. Wtedy razem pracujemy.

*Tak jak mówiłam. Czy to prawda, że najlepszą operacją CIA z SID-em była ucieczka Swietłany, córki Stalina, z Moskwy?*

Tego nie mogę powiedzieć. Zwłaszcza teraz, w okresie dochodzeń, nie powinienem mówić o naszych współpracownikach i o naszych stosunkach z zagranicznymi tajnymi służbami. Jeśli to zrobię, jeśli ktokolwiek z nas to zrobi, przestaną ufać naszej Intelligence. Służby wywiadowcze nie powinny nic mówić o swoich współpracownikach. Nie wyobraża sobie pani, jak bardzo to, co się wydarzyło, zaszkodziło CIA. Ogromnie. Na całym świecie. Niektórzy ludzie mówią nam teraz: „Jak mam stać po waszej stronie? Czy naprawdę mogę zawierzyć wam swoje życie? Czy też opowiecie wszystko Kongresowi?”. Wielu się od nas odwróciło. Wielu, którzy z nami współpracowali, powiedziało nam: „Nie, dość, nie robię tego więcej”. Nawet niektóre z zagranicznych tajnych służb powiedziały nam: „Nie, dość, dawaliśmy wam wiele tajnych materiałów, a od tej chwili nie będziemy wam już nic dawać”. Straciliśmy taką masę współpracowników, taką masę agentów...

*Tylko agentów czy również klientów?*

Również klientów. Niektórzy powiedzieli nam: „Na miłość boską, nic nam już nie dawajcie, bo później o tym opowiecie”. Nowi i wypróbowani ludzie. Poczuli się zdradzeni. My w CIA bardzo walczyliśmy, żeby utrzymać ich nazwiska w tajemnicy, i sądzę, że wygraliśmy. Ale rozgłos wokół tej sprawy wyrządził nam mimo wszystko wielką krzywdę. Takie rzeczy nie przytrafiają się KGB. We Włoszech macie mnóstwo agentów KGB. Wielu. Oczywiście również Włochów. KGB bardzo się stara we Włoszech, nie mówiąc o tym, że może liczyć na Włoską Partię Komunistyczną. Stara się bardzo energicznie. Jednak nikt nie prosi KGB o ujawnienie nazwisk jego agentów, jego klientów lub prowadzonej przez nie działalności. Nikt nie wymaga od niego postępowania w sposób demokratyczny i liberalny. KGB nie wytyka się przewinień, na

temat KGB nic się nie ujawnia; ani tego, co słuszne, ani tego, co niewłaściwe. Kto oskarża KGB o wtrącanie się do prywatnych spraw państwa?

*Myli się pan, panie Colby. Święta prawda jest taka, że nie chcemy ani was, ani ich. Mamy dość ich i was.*

Dobrze, dobrze. Ale w takim razie dlaczego nie mówicie o pieniądzach, które włoscy komuniści czerpią z handlu z Europą Wschodnią? Wszystkie środki, które przechodzą tam i z powrotem poprzez handel ze Związkiem Radzieckim i krajami satelickimi, przechodzą przez agencje, które oddają pewien procent włoskim komunistom. To dobry system. Skomplikowany, ale dobry. Udoskonalenie go zajęło im trzydzieści lat. Co by pani powiedziała, gdyby Ameryka prowadziła z Włochami handel rządowy i oddawała pewien odsetek jednej z partii?

*Nie zajmuje się tym CIA? Nie zajmują się tym ambasadorowie, tacy jak Martin? Nie zajmują się tym takie firmy, jak Lockheed, Gulf, Esso?*

Pani sposób racjonalizowania i pośredniego dochodzenia do wniosku, że inni to porządni chłopcy, dobre, czyste, wspaniałe istoty, jest nadzwyczajny. Sowieci dają pewien odsetek swoich dochodów z handlu z Włochami pewnym osobom, które przekazują go potem Włoskiej Partii Komunistycznej, a pani mówi: to to samo. Tak, to samo, co zrobili w Polsce, żeby polska partia komunistyczna weszła do rządu, a później objęła władzę. Zaczyna się zawsze w ten sposób: wspomaga się partię komunistyczną pieniędzmi, partia wchodzi do rządu, potem dochodzi do władzy i przy niej zostaje. Ale biada, jeśli nie zostaje tak, jak chce Związek Radziecki! Przyjeżdża delegacja z Moskwy, siada do stołu wraz z centralnym komitetem i tłumaczy mu, że lepiej „grzecznie się zachowywać”. Chciałaby pani, żeby tak się to skończyło we Włoszech? Załóżmy nawet, że korupcja we Włoszech jest tylko po jednej stronie, załóżmy, że włoscy komuniści to porządni, uczciwi chłopcy. Czy z tego względu dopuściłaby ich pani do rządów? Czy z tego względu naraziłaby się pani na podobne ryzyko? Proszę wymienić jeden kraj, w którym panował komunizm, a teraz już nie panuje. Tylko jeden! Jeden, gdzie partia komunistyczna doszła do władzy, a później się wycofała, zgodnie z zasadami demokratycznej gry, oddając innej partii prawo do rządów. Proszę wymienić! Jeden! Tylko jeden!

*Panie Colby, co zrobilibyście wy, Amerykanie, gdyby komuniści wygrali wybory we Włoszech?*

Proszę wymienić jeden kraj! Jeden jedyny!

*Panie Colby, przeprowadzilibyście zamach stanu, jak w Chile?*

Jeden kraj! Tylko jeden! Rumunia? Czechosłowacja? Węgry? Polska?

*Niech mi pan odpowie, panie Colby: Drugie Chile?*

A gdyby później nie było już drugich wyborów? Gdyby później stało się to, co stało się z Hitlerem i z Mussolinim? Czy nie rozumie pani, że komuniści przez te wszystkie lata stosowali się do demokratycznych reguł gry, bo im się to opłacało? Nie rozumie pani, że dopóki byli w mniejszości, ustrój demokratyczny był im potrzebny? Czy naprawdę wierzy pani, że gdy będą u rządów, nadal będą stosowali się do reguł demokracji? To nie są ludzie, którym można powiedzieć: „Jako że dobrzy z was chłopcy, pozwolimy wam trochę porządzić”. Ich centralizm demokratyczny nie ma nic wspólnego z demokracją. A wasze problemy możecie rozwiązać w lepszy sposób, niż pozwalając im wygrać wybory. Proszę o tym pamiętać. Albo nigdy więcej nie wygracie wyborów.

*Może nawet ma pan rację. Ale przypominam panu, że to właśnie wy, Amerykanie, oddajecie kraje w ręce komunistów, kupując, korumpując, popierając faszystów na całym świecie. Ameryka jest największą wytwórną komunistów na świecie, panie Colby.*

To obelga podyktowana ideologicznymi uprzedzeniami, odrzucam ją.

*Niech pan odrzuca. Proszę mi jednak powiedzieć: Czy na podstawie informacji, które miał pan zawsze jako szef CIA, nie widzi pan żadnej różnicy między Partią Komunistyczną Cunhala, a Partią Komunistyczną Carrilla, Marchais'go, Berlinguera?*

Włoska Partia Komunistyczna jest taka sama, jak za czasów Gramsciego i Togliattiego, to znaczy jest partią, która próbuje przetrwać most między systemem radzieckim a zachodnim, usiłując funkcjonować trochę w jednym, a trochę w drugim kręgu. We Włoskiej Partii Komunistycznej istnieje pewna ambiwalencja. A komuniści francuscy, tak jak komuniści hiszpańscy, tylko to naśladują. Włoska Partia Komunistyczna zawsze uważała się za bardzo rewolucyjną, by utrzymać totalitarny krok, a jednocześnie zawsze twierdziła, że jest bardzo włoska, by nadrobić dystans do reszty Włoch. W rzeczywistości chce mnie pani zapytać, czy wierzę pewnym ludziom z Włoskiej Partii Komunistycznej, gdy twierdzą, że popierają pluralizm i tak dalej. Odpowiem: nie znam tych osób, ale kwestia nie polega na tym, czy żywię zaufanie do konkretnych osób. Problem tkwi w ich imperatywach politycznych. Obecnie, gdy Europa Zachodnia jest dość zwarta i silna oraz chroniona przez amerykańskie interesy, imperatywem politycznym dla komunistów jest przynależność do Europy Zachodniej. Jutro, jeśli Europa Zachodnia będzie miała problemy ekonomiczne albo jeśli w Związku Radzieckim zmienią się

siły rządzące, ich imperatyw polityczny może się zmienić. A oni mogą stać się bardziej autorytarni i lojalni wobec Sowietów.

*Ostatnio Włoska Partia Komunistyczna, Hiszpańska Partia Komunistyczna i Francuska Partia Komunistyczna dość otwarcie zaatakowały Związek Radziecki.*

Och, to proste. Zrobiła to również Czechosłowacja w 1968 roku. W zamian za to poparły ZSRR przy wielu okazjach i nadal utrzymują doskonałe stosunki z Moskwą. Zgodnie z ich polityką nie powinno być ani NATO, ani Układu Warszawskiego. Tymczasem prościej jest wyeliminować NATO. Pozbyć się Układu Warszawskiego jest trudno. Dążą do zmniejszenia udziału Włoch w NATO, mówiąc: „Cóż, Układem Warszawskim zajmiemy się później”. Ale w jakim stopniu współpracowałyby żołnierze włoscy i żołnierze amerykańscy, rząd włoski i rząd amerykański w dniu, w którym mielibyście premiera komunistę? Naprawdę sądzi pani, że istniałaby współpraca w interesie NATO? Ja sądzę, że pojawiłoby się wiele trudności.

*Możliwe. Ale powtarzam pytanie, na które nie chce pan odpowiedzieć: Co zrobiliby Amerykanie, gdyby we Włoszech komuniści doszli do władzy?*

Nie wiem. To kwestia polityki Stanów Zjednoczonych. Nie wiem.

*Ależ wie pan, panie Colby. Drugie Chile?*

Niekoniecznie. Nie wiem... To hipotetyczne pytanie, nie mogę na nie odpowiedzieć. To zależy od zbyt wielu czynników. Mogłoby nie wydarzyć się nic, mogłoby się coś wydarzyć, mógłby przytrafić się jakiś błąd.

*Taki błąd, jak w Chile? No dalej, panie Colby. Uważa pan, że gdyby komuniści doszli do rządów, interwencja Stanów Zjednoczonych we Włoszech przy udziale drugiego Pinocheta byłaby uzasadniona?*

Nie sądzę, abym mógł odpowiedzieć na to pytanie. A wasz Pinochet nie jest w Ameryce. Jest we Włoszech.

*Wiem, ale jesteście mu potrzebni. Bez was nic nie zrobi. Panie Colby, próbuję skłonić pana do przyznania, że Włochy są niezawisłym państwem, a nie bananową republiką, nie waszą kolonią! Nie możecie być zawsze policjantami świata. Jasne?*

*Chiaro ma sbagliato.* Proszę pozwolić mi wyjaśnić. Po pierwszej wojnie światowej Ameryka przeżyła zjawisko odrzucenia. Powiedzieliśmy sobie, że wojna była błędem, że źle walczyliśmy, i mieliśmy okres niewinności. Zredukowaliśmy naszą armię do mniej więcej stu pięćdziesięciu tysięcy, chcieliśmy otwartej dyplomacji, a sekretarz stanu rozwiązał Intelligence,

twierdząc, że dżentelmeni nie czytają cudzej poczty. Krótko mówiąc, przygotowywaliśmy się do życia w świecie dżentelmenów i ogłosiliśmy, że nie chcemy się więcej angażować w sprawy zagraniczne. Pojawiły się problemy w Europie i nie interweniowaliśmy. Nadeszła wojna w Hiszpanii i ogłosiliśmy neutralność. Poddaliśmy nawet pod głosowanie ustawę o naszej neutralności. Ale to nie zadziałało. I spadły na nas problemy gospodarcze, nadeszli autorytarni przywódcy, którzy wierzyli, że mogą zapanować nad swoimi sąsiadami, wybuchła druga wojna światowa i musieliśmy do niej przystąpić. Po drugiej wojnie światowej zaczęliśmy od początku: w 1945 roku rozwiązaliśmy armię, rozwiązaliśmy OSS i powiedzieliśmy: pokój. Jednak zaczęła się zimna wojna. Od razu stało się jasne, że Stalin nie pójdzie drogą, którą wytyczyliśmy. Rosyjski komunizm stał się zagrożeniem w Grecji, w Turcji, w Iranie. I tym sposobem zrozumieliśmy lekcję. Połączyliśmy nasze tajne służby, nazwaliśmy je CIA, powstrzymaliśmy autorytarną ekspansję Związku Radzieckiego za pomocą NATO, planu Marshalla i CIA. Wspólnie, liberałowie i konserwatyści; jedni i drudzy przekonani tym razem, że trzeba udzielić pomocy za granicą. Ja byłem jednym z liberałów. W młodości byłem wręcz radykałem i...

*A niech to. Jakim cudem tak się pan zmienił?*

Clemenceau mawiał, że kto nie jest radykałem w młodości, nie ma serca, a kto nie jest konserwatystą na starość, nie ma rozumu. Ale proszę pozwolić mi skończyć. NATO zadziałało. Powstrzymanie radzieckiego ekspansjonizmu udało się. Wywrotowy plan partii komunistycznych został zneutralizowany. I nie chodziło o przejście na stronę faszystów, nie chodziło o prawicę przeciw lewicy. Chodziło o poszukiwanie demokratycznego rozwiązania. I była to polityka amerykańska, do której CIA się przyłączyła i od tamtej pory ją stosowała, mówiąc, że będziemy walczyć o wolność za wszelką cenę. To jasne... no cóż, tak, w trakcie tej walki za wszelką cenę zdarzały się i zdarzają przypadki współpracy z lokalnymi dość autorytarnymi przywódcami. Albo bardziej autorytarnymi niż życzyliby sobie ludzie.

*Od generała Franco po Caetana, od Diema po Thieu, od Papadopulosa po Pinocheta. Nie licząc wszystkich faszystowskich dyktatorów Ameryki Łacińskiej. Na przykład brazylijskich katów. W ten sposób w imię wolności staliście się obrońcami wszystkich tych, którzy zabijają wolność po drugiej stronie.*

Tak jak podczas drugiej wojny światowej, gdy przeciw większemu zagrożeniu, jakim był Hitler, poparliśmy stalinowską Rosję. Tak, dokładnie w ten sam sposób, w jaki wtedy współpracowaliśmy ze Stalinem, teraz zdarza się nam współpracować z... Krótko mówiąc,

czasami musimy współpracować z kimś innym. Ekspansja komunistyczna, począwszy od lat pięćdziesiątych, zajęła miejsce zagrożenia nazistowskiego, a my... No cóż, popierając jakiegoś autorytarnego przywódcę przeciw zagrożeniu komunistycznemu, pozostawia się zawsze otwartą możliwość, że kraj tego autorytarnego przywódcy stanie się w przyszłości demokratyczny. W przypadku komunistów natomiast przyszłość nie rokuje nadziei. Dlatego nie widzę powodu do zgorszenia jeśli chodzi o pewne nasze sojusze. Do sojuszów dochodzi się zawsze, by stawić czoło większemu zagrożeniu. A dla nas, Amerykanów, największym zagrożeniem pozostaje komunizm. Mój rząd uznaje Pinocheta za prawowitą władzę Chile, to prawda. Ale ja nie akceptuję tego, że dwieście milionów Rosjan żyje pod władzą radzieckiego komunizmu. Poza tym Pinochet nie chce podbijać świata. Kogo obchodzi Pinochet?

*Ja panu powiem, panie Colby. Przede wszystkim obchodzi Chilijczyków, którzy od ponad dwóch lat są przez niego więzieni, prześladowani, torturowani i zabijani. Obchodzi też tych, którzy w wolność wierzą naprawdę, a nie tylko w słowach jak pan. Wreszcie obchodzi te kraje, które tak jak mój obawiają się, że staną się drugim Chile. Dzięki wam, Amerykanom.*

Naprawdę myli się pani, wybierając jako przykład Chile. Jeśli przeczyta pani uważnie raport senacki na temat Chile, opublikowany mimo moich obiekcji, zobaczy pani, że od 1964 roku ograniczyliśmy się do wspomagania demokratycznego centrum przeciw Allende, który ogłaszał się sprzymierzeńcem Castro i komunistów. CIA nie miała swojego udziału w obaleniu Allende w 1973 roku. Komisja senacka nie znalazła dowodu naszej kolaboracji po 1970 roku.

*Czyżby? A finansowanie strajków? A interwencje ITT?*

Cóż, trochę pieniędzy zostało przekazane; niewielki wkład. Przekazaliśmy je przez innych ludzi, to znaczy pewnej grupie, która następnie oddała go innej grupie. Głupstwo. Proszę przeczytać moje zeznania przed komisją senatora Churcha, gdy mówię: „Z wyjątkiem sześciu tygodni w 1970 roku”.

*Ja powiedziałabym raczej, że w 1970 roku się zaczęło; 11 listopada, gdy Nixon i Kissinger wezwali Richarda Helmsa, ówczesnego szefa CIA, i rozkazali mu obalić Allende, organizując zamach stanu.*

To trwało tylko sześć tygodni... I nam się nie udało... Reszta naszego programu w Chile polegała na wsparciu sił demokratycznego centrum przeciw zagrożeniu ze strony lewicy. Obalenie Allende w 1973 roku nie wchodziło w zakres naszej polityki. Oczekiwaliśmy wyborów w 1976 roku, mając nadzieję, że siły demokratyczne wygrają w 1976. Oczywiście nie

pomogliśmy Allende, jednak nie jesteśmy winni zamachu stanu w 1973 roku. Ten zamach stanu został wywołany przez samego Allende, który niszczył chilijskie społeczeństwo i gospodarkę, który zachowywał się w sposób niedemokratyczny, który likwidował opozycyjną prasę, który działał w sposób niezgodny z konstytucją, jak stwierdził zarówno parlament, jak i Sąd Najwyższy, który...

*Ale co pan do diabła wymyśla, panie Colby?! Jak pan śmie fałszować w ten sposób historię? Przecież opozycyjna prasa dręczyła Allende do ostatniej chwili!*

To, że Allende był demokratą, to pani osobista opinia. On sam głosił, że chce zlikwidować opozycję, burżuazję. Zlikwidować! Ten pan Allende był ekstremistą, ciemniźcycelem. Wiem o tym. Mam dobre informacje.

*Jeżeli wszystkie pańskie informacje są podobne do tej, panie Colby, to rozumiem, dlaczego CIA tak często się ośmiesza. Ale ja od pana, walczącego w imię demokracji, chcę dowiedzieć się następującej rzeczy: Czy zwyciężywszy w sposób demokratyczny w wyborach, Allende miał prawo, by rządzić swoim krajem?*

No więc, cóż...

*Niech się pan nie waha, panie Colby. Niech mi pan odpowie.*

Czy Mussolini nie zwyciężył w wyborach? Czy Hitler nie został kanclerzem Niemiec dzięki wyborom?

*Nie może pan być tak nieuczciwy, panie Colby. Nie może pan porównywać Allende z Hitlerem i Mussolinim. To fanatyzm.*

Nie jestem fanatykiem. Wierzę w liberalną, zachodnią demokrację.

*W jaki sposób? Mordując? Niech mi pan opowie o zabójstwie generała Schneidera, szefa sztabu głównego Allende.*

My z CIA mieliśmy bardzo niewiele wspólnego z zabójstwem generała Schneidera. Bardzo niewiele... Jest to zapisane w raporcie senackim na temat Chile: grupa, która próbowała go porwać, nie była tą samą, która otrzymywała broń od CIA. Typowa historia w ciągu tych sześciu tygodni. Och, pani sposób postrzegania CIA jest doprawdy paranoiczny. Zachowuje się pani jak amerykańska prasa, gdy ekscytuje się czarnym pistoletem, tym ze strzałkami, o którym mówi senator Church. Broń, która nigdy nie była używana, nigdy. Ach, to wy z prasy obrzucacie błotem CIA, fałszujecie, wypaczacie. Oczywiście, w trakcie naszej działalności za granicą parę osób zginęło... Oczywiście... Nasi agenci, a także ludzie z drugiej strony barykady... Ale



żadnych morderstw. Znam tych, którzy dla mnie pracują, i mogę panią zapewnić, że są to dobrzy Amerykanie, prawdziwi patrioci, którzy walczą, by chronić swój kraj... w imię prawa do obrony wolności...

*Dlaczego nie wyegzekwujecie tego prawa od Pinocheta?*

Każdy naród musi podejmować własne decyzje, poza tym są to sprawy, które dotyczą mojego rządu. Pani tego nie rozumie, bo wychodzi pani od postawy ideologicznej. Ja nie jestem ideologiem, jestem nacjonalistą i pragmatykiem. I jak przystało na dobrego pragmatyka, powiem pani, że do Stanów Zjednoczonych należy decydowanie, gdzie chcą udzielić pomocy, a gdzie nie. Mieliśmy prawo poprzeć przeciwników Allende, tak jak mamy prawo wspomagać w Europie tych, którzy opierają się komunistycznej ofensywie. Powtarzam, CIA robi to od trzydziestu lat i robi to dobrze. A Włochy, powtarzam, są tego najlepszym przykładem.

*Proszę mi powiedzieć, panie Colby, czy w ramach tego pragmatyzmu zdarzyło się kiedykolwiek, żeby CIA zasugerowała swemu rządowi dialog z włoskimi i europejskimi komunistami?*

Dialog? Nie widzę, jak mogłoby dojść do dialogu między nami a nimi. Poza tym ich stanowisko jest znane; znamy ich politykę, ich programy. Dobra wola jednostki nas nie interesuje; jeden człowiek o dobrej woli może zawsze zostać zastąpiony przez innego. Co do ich obietnic... Również Gromyko robił obietnice. Również Mołotow. Również Wyszyński. Uroczyste obietnice.

*A więc to CIA poleciło, by Segremu i Napolitano nie została przyznana wiza, gdy zostali zaproszeni przez Council on Foreign Affairs.*

Nie wydaje mi się odpowiednie pokazywanie komunistom, że jesteśmy gotowi na ich historyczny kompromis. Gorzej jeszcze, na historyczny kompromis między Włoską Partią Komunistyczną a Stanami Zjednoczonymi. Nie, czegoś takiego nie akceptuję. Nie akceptuję ludzi, którzy gdy tylko doszliby do władzy, ograniczyliby swoją przyjaźń do Stanów Zjednoczonych. Nie żywię najmniejszej sympatii do tego typu ludzi.

*A podróż Almirante do Waszyngtonu?*

To pytanie do Departamentu Stanu, nie do mnie. Ja nie znam tego Almirante. Wiem tylko, że to faszysta nienależący do centrum demokratycznego. A faszystów nie lubię. CIA nie ma naprawdę nic wspólnego z jego podróżą do Ameryki. Ja nic o tym nie wiedziałem.

*Jak to?! Mimo że macie tylu szpiegów we włoskich partiach, brakuje wam takiej informacji? Bo macie szpiegów, prawda? Również we Włoskiej Partii Komunistycznej.*

Oczywiście leży w naszym interesie, by znać ich dalsze i sekretne plany. Oczywiście chcemy wiedzieć, w jakim kierunku zdążają i czy są szczerzy, gdy mówią, że chcą pozostać w NATO. KGB też ma swoich agentów do tych celów. Jednak zdobywamy nasze informacje również na wiele innych sposobów; na przykład czytając. Weźmy tę racjonalizację historycznego kompromisu. Czytając ją uważnie, można zrozumieć, że za taktycznymi przemowami ukryta jest strategiczna deklaracja. Tak, że w ciągu dwóch lat wszystkie te przemówienia mogą zostać zastąpione stalinowską wizją historii. Proszę nie zapominać, że Stalin potrafił zawrzeć porozumienie z Hitlerem, a potem je zerwać. Ja wierzę w czytanie tego, co ludzie mówią, że chcieliby zrobić. Być może to zrobią. Gdybyśmy przeczytali z większą uwagą *Mein Kampf* Hitlera...

*Panie Colby, przedstawia mi pan CIA jako stowarzyszenie harcerzy, spędzających większość czasu w bibliotece. Na początek, jesteście szpiegami...*

Chwileczkę. Owszem, w przeszłości Intelligence to było tylko szpiegostwo. Mata Hari i tak dalej. Dzisiaj natomiast Intelligence to proces intelektualny, polegający głównie na zbieraniu informacji, które są centralizowane i badane przez specjalistów. Informacji uzyskiwanych z radia, z prasy, z książek, z rozmów. Dlatego nazywają nas Central Intelligence Agency. Poza tym jest elektronika, są komputery, jednym słowem, jest technika. I w ciągu ostatnich piętnastu lat technika tak bardzo zmieniła Intelligence, że nie jest już potrzebna Mata Hari, która kradłaby tajemnicę, by przekazać ją generałowi. To znaczy, wcześniej zastanawialiśmy się, ile pocisków mają Sowieci. Teraz je liczymy, wiemy, jakiej są wielkości, jak daleko lecą... Oczywiście nadal istnieje potajemna praca, zwłaszcza w krajach zamkniętych. Ale dawna Intelligence, rozumiana jako całkowita tajemnica, skończyła się. I słowo szpieg nie oddaje jej znaczenia właśnie dlatego, że Intelligence nie oznacza tylko szpiegostwa. Oznacza analizę, technikę. O wiele większa, o wiele bardziej fascynująca sprawa niż praca Maty Hari. I właśnie to czyni z CIA najlepsze tajne służby na świecie.

*Lepsze od KGB?*

Och, KGB to co innego. Większa część pracy KGB odbywa się w Związku Radzieckim, gdzie jest ono FBI, CIA, policją państwową, karabinierami, wszystkim. Oczywiście jest też reszta. Tu, w Stanach Zjednoczonych, w czasach szpiegów atomowych przeprowadzili kilka

dobrych operacji. Naprawdę znakomitych. Tak jak wtedy, gdy zwerbowali pewną dziewczynę z sekcji kontrwywiadowczej naszego Departamentu Sprawiedliwości i zdradziła ona wszystko, co wiedzieliśmy na temat ich szpiegów. Wspaniała operacja, wspaniała. A wtedy, gdy umieścili nadajnik w obcasie buta jednego z naszych dyplomatów? To również było znakomite posunięcie. Znakomite. Wie pani, ci ludzie pracują dla swojego rządu i fakt, że nie zgadzam się z ich filozofią, nie oznacza, bym uważał, że nie potrafią wykonać porządnej roboty. Oczywiście należy rozróżniać ich umiejętności i ich cele. Podczas gdy te pierwsze mogą być doskonałe, te drugie mogą być jak najgorsze. Powiem pani jednak, że obecnie również KGB przejmuje metody CIA. Także Rosjanie zaczynają postrzegać Intelligence jako proces intelektualny, skomplikowane badania, analizę.

*Panie Colby, CIA to również coś gorszego. To tajna siła polityczna, która organizuje spiski i zamachy stanu. To narzędzie karzące każdego, kto sprzeciwi się interesom lub polityce Stanów Zjednoczonych. To...*

To, do czego pani nawiązuje, dotyczy zaledwie pięciu procent naszego budżetu. Zaledwie pięć procent jest przeznaczane na nasze działania polityczne i paramilitarne. Działania tajne, to oczywiste, i konieczne w świecie, w którym żyjemy. Bądźmy realistami; niewielka pomoc udzielona pewnym krajom, pewnym przyjacielom może zapobiec poważnemu kryzysowi i być może trzeciej wojnie światowej. W latach pięćdziesiątych te działania stanowiły trzydzieści procent naszego budżetu. W latach osiemdziesiątych, jeśli świat nadal będzie się rozwijał w kierunku totalitarnym, jak się wydaje, możemy wrócić do trzydziestu procent. Lub nawet więcej. Ale obecnie jest to tylko pięć procent. I o to zrobiliście tyle nieuzasadnionego szumu. Tak, nieuzasadnionego. Czy nie lepiej bronić się, finansując kogoś, niż prowadząc wojnę?

*Tak, ale tu nie chodzi o samo finansowanie. Chodzi na przykład o mordowanie zagranicznych przywódców. Mam na myśli wasze trucizny i wasze fiolki bakteriologiczne, mające zabić Castro, Lumumbę...*

W 1973 roku, zanim problem uległ zaognieniu, wydałem wyraźne rozkazy przeciw planom zabójstwa. Odrzuciłem liczne propozycje zabójstw przy wielu okazjach w trakcie mojej kariery, zwłaszcza wtedy, gdy zostałem szefem CIA. Zawsze twierdziłem, że zabójstwo jest błędem. Jednak wielu odpowie, że gdyby Hitler został zamordowany w 1938 roku, lepiej by się dzisiaj działo na świecie.

*Ależ jaki Hitler! Castro to nie Hitler.*

Castro pozwolił Związkowi Radzieckiemu na zainstalowanie na Kubie wyrzutni nuklearnych, narażając w ten sposób na zagrożenie nuklearne wszystkie miasta amerykańskie na południowy wschód od Missisipi.

*I uprawniało to pana do zamordowania Castro?*

Zapewniam panią, że w renesansowych Włoszech wielu ludzi wewnątrz i spoza Kościoła dyskutowało o wadach i zaletach tyranobójstwa. A raczej dyskusja ta zaczęła się kilka wieków wcześniej, u Greków i Rzymian. Jak umarł Juliusz Cezar? Jak umierali książęta różnych włoskich państw? Zabójstwo było bronią polityczną i jako broń polityczna nie zostało doprawdy wynalezione wczoraj rano w Ameryce. Bardzo proszę, niech mnie pani nie umoralnia. I jako Włoszka niech pani nie zrywa się na nogi, by dawać mi lekcje moralności na ten temat.

*Lekcje moralności może nie. Jakkolwiek osobiście i w 1976 roku mam do tego pełne prawo. Lekcje historii, owszem. Rzeczywiście, przypomnę panu, że Cezar został zabity przez Rzymianina, a nie przez Amerykanina. A Perykles wznosił pomniki ku czci Greków, którzy zabili greckiego tyrana, nie Amerykanów, którzy mordowali Kubańczyków.*

Jednak Wercyngetoryks został zamordowany przez Cezara, Marek Atyliusz Regulus przez Kartagińczyków, a pewna liczba zagranicznych przywódców przez Lukrecję Borgię. Ja nie szukam usprawiedliwień. Ja mówię, że robiono to zawsze i że trudno, by jeden kraj udzielał lekcji moralności innemu krajowi.

*To wy mówicie, że jesteście bardziej moralni od innych. To wy przedstawiacie siebie samych jako Archaniola Gabriela. Demokracja, wolność i tym podobne. Teraz chroni się pan pod spódnicą Lukrecji Borgii?*

Może nasza moralność nie jest doskonała, ale jest lepsza niż innych. Na całym świecie amerykańska polityka postrzegana jest jako światło wolności, a wasze oszczerstwa wobec CIA mają na celu jedynie znieważenie Ameryki. Pracowałem w CIA dwadzieścia osiem lat i jestem w stanie stwierdzić, że w ciągu dwudziestu ośmiu lat zdarzyło się naprawdę niewiele rzeczy, których nie powinniśmy byli robić. Na przykład otwieranie korespondencji. Tak, w latach pięćdziesiątych był taki czas, kiedy otwieraliśmy korespondencję wychodzącą i przychodzącą ze Związku Radzieckiego. Był ku temu powód: w Ameryce roilo się od radzieckich szpiegów. Mimo to nie powinniśmy byli i...

*Ale kto mówi o korespondencji! Tutaj mowa o morderstwach, panie Colby!*

CIA nigdy nikogo nie zamordowała. Nawet Diema. Oskarżanie nas o morderstwo jest nieuzasadnione. Zdarzały się przypadki, w których usiłowaliśmy to zrobić, to prawda. Ale nigdy nam się nie udało. Nigdy nie zrealizowaliśmy naszych planów.

*Nawet gdyby mówił pan prawdę, panie Colby, to czy nie wydaje się panu haniebne, że CIA snuła plany zabicia przeciwników, tak jak robił to Al Capone?*

Ludzie robią to na całym świecie, niezależnie od tego, czy jest to mądre, czy nie. Plany zabicia szefów państw istnieją na całym świecie. Ja o tym wiem. Wiem... I powtarzam, że zawsze byłem przeciwny pomysłowi mordowania w ten sposób. W 1973 roku zrobiłem z tego zasadę. Osobiście zwolniłem kilku dyrektorów CIA, ponieważ proponowali mi tego rodzaju rzeczy. Powiedziałem im: „Nie robi pan tego!”. Wyjaśniliśmy tę kwestię, zacytuję pani maksymę Jeffersona: „Drzewo wolności raz na dwadzieścia lat musi być podlane krwią tyranów”.

*Krótko mówiąc, „Jak trzeba, to trzeba”. Czy jest pan religijny, panie Colby?*

Tak, bardzo. Jestem rygorystycznie praktykującym katolikiem.

*Z tych, co chodzą na mszę w każdy niedzielny poranek?*

Tak, oczywiście. Dziś rano też byłem.

*Z tych, co wierzą w niebo i piekło?*

Tak, oczywiście. Wierzę we wszystko, co mówi Kościół. Dlaczego pani pyta?

*Tak sobie. Proszę mi opowiedzieć o mafii. O tym, jak CIA wykorzystuje mafię.*

Jeden przypadek! Tylko jeden przypadek! W 1960 roku! W sprawie Castro! Gdy Castro objął władzę na Kubie, rozważaliśmy możliwość współpracy z osobami, które miały jeszcze na Kubie pewnych przyjaciół. Mam na myśli osoby z mafii. Przyjaciół mafii. Skontaktowaliśmy się z nimi i zgodnie z naszym planem mieli spróbować zabić Castro. Ale to było bardzo... Cóż, nie zadziałało. Allen Dulles i McCone byli w tym czasie dyrektorami CIA. I McCone stwierdził, że nic o tym nie wie.

*Jednak Bobby Kennedy o tym wiedział. Wiedział więc o tym także John, prezydent. Wie pan, co o tym myśle? Te wyznania dyskredytują najbardziej nie CIA, lecz prezydentów Stanów Zjednoczonych.*

Te wyznania świadczą o tym, że CIA nie była nigdy dzikim słoniem, państwem w państwie, rządem poza rządem, lecz zawsze funkcjonowała jako element amerykańskiej polityki. A teraz, gdy kraj przechodzi proces rewizjonizmu, CIA jest trochę kozłem ofiarnym tego

rewizjonizmu... Dowody na to, że prezydenci chcieli pewnych konkretnych akcji, nie są zbyt oczywiste, w niektórych wypadkach nie jest nawet jasne, czy prezydent o tym wiedział, czy nie. Ale fakty wskazują po prostu, że CIA działała w ramach polityki, która zdawała się ją upoważniać do robienia pewnych rzeczy.

*Rzeczywiście, od Eisenhowera po Nixona, żaden się nie uratuje. A za Johnsona jakie łajdactwo uknułicie? Ach tak, zamach stanu Papadopolosa.*

CIA nie poparła, powtarzam, nie poparła puczu pułkowników w Grecji. Oczywiście... nie odrzuciliśmy pułkowników. Ale też ich nie poparliśmy. Powiedzmy jednym słowem, że z nimi pracowaliśmy. Po przejściu władzy przez Papadopolosa zawarliśmy z nim układ o wymianie informacji. Również z Ioannidisem CIA miała układ w tym samym celu. Reszta to mity. Utrzymywanie dobrych stosunków z jakimś autorytarnym przywódcą nie oznacza wcale, że się go popiera. Ach, pani naprawdę nie chce zaakceptować innego obrazu CIA niż ten, który stworzyła pani fantazja. Przypomniała mi pani historię o ślepcach i słoniu. Wie pani jaką? Nadchodzi słoń i zbliża się do niego czterech ślepców. Jeden dotyka jego trąby i mówi: „To włócznia”. Jeden dotyka jego nogi i mówi: „To drzewo”. Jeden dotyka jego ogona i mówi: „To wąż”. Jeden dotyka jego boku i mówi: „To mur”. I żaden z nich nie zauważa, że całość to słoń. Oczywiście, część winy leży po naszej stronie. Intelligence powinno stanowić całkowitą tajemnicę. Kiedy Schlesinger został dyrektorem CIA, zapytał: „Dlaczego przy autostradzie nie ma znaku wskazującego siedzibę CIA?”. Odpowiedzieliśmy: „Był, ale gdy Kennedy został prezydentem, kazał nam go zdjąć, uznając za śmieszny fakt, że tajne służby są oznaczone przy autostradzie”. Schlesinger odrzekł: „Postawcie go z powrotem”. Tak więc go postaviliśmy i... Ale czyż demokracja nie zależy od tajemnicy? Czy głosowanie nie jest tajne?

*A jednak to właśnie pan złamał tajemnicę. Czy kiedykolwiek zdarza się panu żałować, że wyjawiał pan tyle rzeczy komisjom śledczym? Czy mógł pan odmówić?*

Z pewnością nie żałuję, że powiedziałem prawdę. Nigdy nie wątpiłem ani się nie wahałem, czy powinienem odpowiedzieć prawdą na ich pytania. Co do odmówienia zeznań, nie mógłbym, nawet gdybym chciał. Prawo nakazywało mi mówić. Nie miałem wyboru. Nie oczekiwałem wcale, że ujawnione przeze mnie informacje pozostaną tajne. Nie sądziłem jednak, że pewne sprawy wywołają taką sensację. Faktem jest, że życie w społeczeństwie tak otwartym jak amerykańskie nie jest wygodne. Proszę spojrzeć na przypadek Richarda Welsha, agenta CIA zamordowanego w Atenach. Wie pani, jak do tego doszło? Rok temu urzędnik John March

napisał tu, w Waszyngtonie, artykuł, twierdząc, że wie, jak zidentyfikować w różnych ambasadach tych, którzy pracują dla CIA. I zademonstrował to. Czy moglibyśmy mu to uniemożliwić? Nie. Moglibyśmy uniemożliwić publikację wielu nazwisk? Nie. Nasze prawodawstwo jest słabe w tej kwestii. By raport Pike'a nie został opublikowany, konieczna była interwencja Kongresu. A żeby Kongres posunął się tak daleko, trzeba było śmierci Welsha. To była ogromna strata dla nas, CIA. Ogromna. Był niezwykle zdolnym agentem.

*Czy był również w Chile?*

Nie wiem, był w wielu krajach Ameryki Łacińskiej.

*Porozmawiajmy nieco o raporcie Pike'a. Również w raporcie Churcha CIA robi bardzo złe wrażenie. Ale u Pike'a, powiedzmy sobie szczerze, wychodzi idiotycznie. Nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać, ot co.*

Raport Pike'a jest całkowicie stronniczy, pełen uprzedzeń i napisany z zamiarem zdyskredytowania CIA. Raport Churcha, to znaczy ten o zabójstwach i o Chile, jest dość dokładny. Pike'a jest, jest... Nie ma tam nawet wszystkiego, co powiedziałem! Twierdzi on, że szpiegostwo CIA jest tak złe, że gdyby Ameryka została zaatakowana, CIA nie dowiedziałaby się o tym na czas. To fałszywe stwierdzenie. Bezmyślne. Nieodpowiedzialne. Wszystko to, co Pike twierdzi na ten temat, nie pochodzi nawet z jego badań; pochodzi z naszej własnej autokrytyki. On nie zrobił nic więcej; zabrał nasze dokumenty i skopiował je. Ale nie papiery mówiące o naszych sukcesach, zabrał te mówiące o naszych porażkach! Weźmy jako przykład Bliski Wschód. Wiosną 1973 roku powiedzieliśmy naszemu rządowi, że bez interwencji politycznej prawdopodobnie dojdzie do wojny na Bliskim Wschodzie. I przytoczyliśmy wszelkie argumenty na poparcie tej tezy. Wieczorem 5 października oceniliśmy sytuację inaczej: „Pewne znaki wskazują, że wojny nie będzie. Podsumowując, uważamy więc, że do wojny nie dojdzie”. Zgoda, ta druga informacja była błędem. Jednak kilka miesięcy wcześniej powiedzieliśmy, że być może dojdzie do wojny, a w CIA nie odczytujemy przecież przyszłości z kryształowej kuli, prawda? Nie wiemy wcale w stu procentach o wszystkim, co wydarzy się jutro, prawda?

*Panie Colby, jak na Intelligence, która szczyli się tym, że jest najlepsza na świecie, błąd wydaje mi się dość znaczny. Prawie tak poważny jak ten, który popełniliście w Czechosłowacji, gdy na dwa tygodnie „zgubiliście” radzieckie wojska, i o tym, co się działo, powiedział Johnsonowi radziecki ambasador. Co do Portugalii... O Portugalii też nic nie wiedzieliście.*

Trochę wiedzieliśmy, cokolwiek mówiłby na ten temat pan Pike. Wiedzieliśmy, że w wojsku panowała niezgoda, niezadowolenie. I powiedzieliśmy o tym naszemu rządowi. Proszę posłuchać, Portugalia... Podobnie jak w przypadku wojny między Arabami a Izraelem, można znać ogólny obraz, a następnie popełnić drobne błędy. Nie śledziliśmy szczegółowo sytuacji w Portugalii, ponieważ w tamtym okresie nie była dla nas ważna.

*Jednak potem śledziliście ją dokładnie. Czyż nie?*

Ach tak. Oczywiście. Teraz wiemy o wszystkim, co się dzieje, a jakże. Dziś nie przykładamy się wielkiej wagi do tego, co dzieje się na Antarktydzie. Ale gdyby na Antarktydzie wybuchła wojna, sytuacja by się zmieniła.

*Mam na myśli wszystkie te rozruchy na północy Portugalii, gdy katolicy podnieśli bunt przeciwko Cunhalowi. CIA maczała w tym palce... hm?*

Ludzie tacy jak pani widzą CIA pod każdą kanapą. Widzą ją nawet w konkursach na najładniejszego psa roku. Ale dotyczy to, powtarzam, tylko pięciu procent działalności CIA. Nie mamy czasu, żeby być w każdej wiosce na świecie. Portugalia... co mogę pani powiedzieć o Portugalii? To słuszny wniosek, że później bardzo ciężko pracowaliśmy nad tym, co się działo.

*Nieznaczone wsparcie tu i tam...*

*No comment.* Ani na temat Włoch, ani Portugalii, ani żadnego konkretnego kraju.

*No wie pan, panie Colby! Nie w mówi nam pan, że Włochy są jedynym krajem, w którym CIA wydała miliardy. Czemu nie opowie mi pan na przykład o Niemczech?*

Pewne porównania nie są możliwe. Każdy kraj stanowi odrębny przypadek. Martwimy się i zawsze się martwiliśmy wszystkimi europejskimi krajami. Europa jest bardzo ważna dla Stanów Zjednoczonych. Cała. I nie powiedziałbym wcale, by Włochy były tym krajem, w którym musieliśmy najbardziej się napracować. Co do Niemiec... mają wystarczająco dużo własnych pieniędzy. Mogę pani powiedzieć tylko tyle, że miejscem, gdzie CIA odniosła największy sukces na świecie, była bezsprzecznie Europa Zachodnia. Naprawdę udany projekt.

*Panie Colby, kto chciał, by opuścił pan kierownictwo CIA? Kissinger?*

Nie. Kissinger był zawsze wielkim zwolennikiem Intelligence. Między mną a nim były chwile zgody i niezgody, ale nie jesteśmy bynajmniej wrogami. O Kissingerze mogę powiedzieć same dobre rzeczy; uważam, że był wybitnym sekretarzem stanu i że zasługuje na Pokojową Nagrodę Nobla. Tak, drugą. Za Bliski Wschód. Nie należę do CIA, ponieważ prezydent poinformował mnie, że zamierza mi zaproponować inną pracę i... Prezydent może mieć wiele



powodów, by zmienić szefa CIA. To jego przywilej i... Zaproponował mi inną pracę, ale ja odmówiłem. Odpowiedziałem mu, że przysłużę się lepiej CIA, pisząc książkę o tym, czym CIA jest naprawdę i... Zresztą, gdy zaczęło się senackie dochodzenie, ja jako pierwszy powiedziałem, że przydałaby się nowa twarz na moje miejsce. Zapewniam panią, że nie ma we mnie wcale gorczy.

*Widzę. Nic nie jest w stanie poruszyć pańskiego chłodu, pańskiej obojętności.*

Nie jestem uczuciowy, przyznaję. Jednak niektóre rzeczy mnie ranią. Tak jak wtedy, gdy zostałem mianowany szefem CIA i jakaś nieznana grupa zappełniła Waszyngton plakatami nazywającymi mnie mordercą. To mnie bardzo zraniło. Dokładnie tak jak wtedy, gdy mówi pani, że CIA to stowarzyszenie morderców. Moje dzieci musiały żyć z tymi plakatami przez całe tygodnie i...

*Czy zdarza się czasem, że pańskie dzieci nazywają pana „podłym reakcjonistą”?*

Reakcjonistą... nie. Jeśli już, to konserwatystą. W rodzinie zdarzają się dyskusje. Proszę sobie wyobrazić, że moje dzieci były przeciwne wojnie w Wietnamie i... Nie przeczę, że jestem konserwatystą. Głosowałem na Nixona. I jeszcze dzisiaj uważam, że w polityce międzynarodowej wykonał on znakomitą pracę. Proszę pomyśleć o Chinach, o...

*...o Chile, o Cyprze, o finansowaniu chrześcijańskich demokratów i socjaldemokratów we Włoszech. Panie Colby, jestem wyczerpana. Jedyne podczas wywiadu z Cunhalem cierpiałam tak bardzo jak z panem.*

Niech mi pani powie, niech mi pani powie, jakim człowiekiem jest Cunha!

*Już panu powiedziałam: w gruncie rzeczy, takim jak pan.*

Co?!

*Tak, klecha taki jak pan. Och, nigdy pan nie zrozumie, panie Colby, jak bardzo wy dwaj jesteście do siebie podobni. Gdyby urodził się pan po drugiej stronie barykady, byłby pan doskonałym stalinistą.*

Odrzucam z oburzeniem to stwierdzenie. Chociaż, może... Nie, nie. I nie jestem księdzem. Co najwyżej purytaninem. Jeszcze jakieś pytania?

*Tylko jedno. Mogę przeczytać raport CIA na mój temat?*

Według amerykańskiego prawa może pani napisać list do CIA i poprosić o możliwość przeczytania wszystkiego, co mamy na pani temat. Coś pani zapłaci, opłaty za znaczki i tak dalej,

ale wszystko pani pokażą. O ile nie istnieją jakieś powody do utajnienia raportu. Andropow, szef KGB, może zrobić to samo. Czy to nie śmieszne?

*Nie, niepokojące. Ale wszystko to, co mi pan powiedział, było niepokojące, panie Colby. I bardzo, bardzo smutne.*

*Waszyngton, marzec 1976*

## Otis Pike

Należało przeczytać w całości raport kongresmana Pike'a, choćby oceniany i zniekształcony przeróbkami, z którymi do nas dotarł, by zrozumieć oburzenie wstrząsające tym zacnym człowiekiem, który przeciwstawił się CIA, Kissingerowi, samemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych, którym wówczas był Gerald Ford. Należało poznać Otisa Pike'a i doświadczyć poruszenia na widok łez, które w pewnej chwili zraszały mu rzęsy, by zrozumieć studnię niegodziwości, której na imię władza. Jakakolwiek władza; zarówno gdy ukazuje się ubrana w mundury tyranii, jak i w szaty poprawności politycznej. Otis Pike pokazuje, że w jednym i w drugim wypadku walka z nią służy tylko pogoni za marzeniem i zachowaniu czystego sumienia. Biada temu, kto jak Don Kichot łudzi się, że coś osiągnie, grając bohatera.

Zresztą Otis Pike nie był bohaterem. Gdyby nim był, stawiałby do końca czoło konsekwencjom swojego dochodzenia parlamentarnego. Zaryzykowałby utratę swego mandatu, a raczej rzuciłby go w kąt. Opublikowałby raport, nie prosząc nikogo o pozwolenie i nie psując go cenzurą, autocenzurą, owijaniem w bawełnę, aluzjami. Kontynuowałby swoje postępowanie prawne przeciwko Kissingerowi, by ujrzeć go skazanym przez sąd. Zniósłby dwukrotnie takie męczarnie jak te, które zgotował mu w ciągu ostatnich miesięcy sekretarz stanu, FBI, CIA. Nie zrobił tego jednak. W kluczowym momencie, wyczerpany, zde gustowany i zawiedziony, poddał się. Odesłał z powrotem całą sprawę do Kongresu, zaakceptował veto Forda, pozwolił się obezwładnić arogancji i hipokryzji. Dlatego nie poznaliśmy nigdy wszystkich nazwisk tych, którzy dali się przekupić we Włoszech. I przywoływanie ich, szukanie na nic się nie zdało. Ja próbowałam, lecz całkowitą pewnością udało mi się uzyskać tylko co do trzech. Jednym z nich był generał Miceli, drugim bankier Sindona. Trzeciego nie zdradziłam, wstrząśnięta z niedowierzania. Ale teraz to zrobię; był to parlamentarzysta Włoskiej Partii Socjalistycznej. Powiedziano mi, że Miceli brał pieniądze od ambasadora Martina, poinstruowanego przez Kissingera; Sindona w imieniu CIA dostarczał je Chrześcijańskiej Demokracji. Co do parlamentarzysty z Włoskiej Partii Socjalistycznej, nie wiadomo. Te trzy nazwiska były (i są) zapisane w oryginalnym raporcie, zarekwirowanym przez Forda. Informacji tej udzielili mi dwaj adwokaci, asystenci Otisa Pike'a, którzy zredagowali raport. Widziałam się z nimi oraz z ich sekretarką i przez cały czas naszego spotkania byliśmy śledzeni i pilnowani przez agentów FBI.

Jeżeli jednak Otis Pike nie był bohaterem, to był kimś bardzo zbliżonym do męczennika. A w każdym razie osobą, przed którą należało się pokłonić, powiedzieć: „Zrobił pan to, co mógł pan zrobić, tak jak pan potrafił. Dziękujemy mimo wszystko”. Nie można wymagać od każdego, by wszedł do Koloseum i rzucił się w paszczę lwa. (Pewnego lwa zwanego Henry Kissinger. A kiedy gryzł, nie żartował; rozszarpał na strzępy. A żeby rozszarpać, miał do swej dyspozycji Biały Dom, Pentagon, CIA, Agencję Bezpieczeństwa Narodowego, FBI, Wall Street, establishment, prawie całą prasę. Nie licząc niezwykłych przyjaciół, takich jak Breżniew i Mao Tse-tung). Nie można wymagać od kogokolwiek nadludzkiej konsekwencji świętych, którzy rezygnują z bogactw, by przywdziać habit. A Otis Pike sam należał do establishmentu, nie był rewolucjonistą pragnącym odmienić społeczeństwo i ludzkie umysły. Nie był nawet radykałem gotowym do przeprowadzenia strajku głodowego na znak protestu. Z kryształową uczciwością wystrzegał się przedstawiania siebie w ten sposób. Przedstawiał siebie jako tego, kim był, porządnego amerykańskiego obywatela z porządnego amerykańskiego mieszczaństwa, wierzącego w wartości, w których go wychowano: Boga, ojczyznę, rodzinę, dobrze wydawane dolary, połowiczną demokrację. Jest taki stary film Franka Capry, który dobrze oddaje tę myśl: *Mr Deeds Goes to Town*. Tak, ten z Garym Cooperem (a może z Jamesem Stewartem?), który przez przypadek lub może przez pomyłkę zostaje kongresmanem i wyjeżdża do Waszyngtonu, swoją łatwowiernością przysparzając wszystkim kłopotów. Następnie ponosi klęskę. Otóż Otis Pike był kimś takim.

Jego historia to potwierdza. Urodzony w Riverhead, małym miasteczku w stanie Nowy Jork. W czasie drugiej wojny światowej pilot w korpusie marines: czternaście miesięcy spędzonych na bombardowaniu Wysp Salomona i osiem miesięcy na lataniu samolotami rozpoznawczymi nad Okinawą i Pekinem. W sumie sto dwadzieścia misji bojowych, pięć medali oraz stopień kapitana za heroiczne zasługi. Żonaty od 1946 roku z tą samą kobietą, Doris Orth, szkolną koleżanką, i tak do niej przywiązany, że w trakcie mojego wywiadu odbierał tylko jej telefony: „Dla Doris jestem zawsze”. Ojciec trójki dorosłych już dzieci, wdrożonych w system. Dyplomy z wyróżnieniem na uniwersytetach Princeton i Columbia. Z zawodu adwokat. Przywykły spędzać weekendy, łowiąc ryby i pływając swoją żaglówką. Dobrze grający na pianinie i w ping-ponga. Śpiewak ludowych ballad o miłym dla ucha głosie. Deputowany z ramienia Partii Demokratycznej od 1960 roku, wciąż regularnie wybierany w jednym z najbardziej białych i konserwatywnych hrabstw północy: hrabstwie Suffolk. Produkt systemu,

wierny systemowi, przez całe lata nie protestował nawet przeciw wojnie w Wietnamie. Dopiero w 1973 roku sprzeciwił się Nixonowi, głosując przeciw bombardowaniom Kambodży. Jego krytyka nie dotyczyła Kissingera. Był przekonany, że Kissinger to wielki człowiek. Miał pozostać w tym przekonaniu aż do czasu śledztwa.

Jednak to właśnie ta naiwność Mr. Deedsa w mieście, ten jego konformizm posłusznego umiarkowanego polityka, czyniły ciężkimi oskarżenia, które wysuwał teraz pod adresem władzy. I to właśnie owo spóźnione odkrycie rzeczywistości, którą niemal dobrowolnie ignorował, czyniło go godnym szacunku, a nawet sympatycznym. Mnie spodobał się od pierwszej chwili, gdy spotkałam go w jego biurze poselskim, z otwartym oknem wychodzącym na kopułę Kapitolu. Spodobała mi się jego pełna przekory, dobroduszna twarz, jego głowa o włosach tak jasnych, że wydawały się białe. Spodobała mi się jego wysoka, niedbała sylwetka, jego niestaranność osoby roztargnionej, której brakuje zawsze kantu u spodni i guzika w marynarce. Spodobał mi się jego dźwięczny, poirytowany głos protestanckiego kaznodziei, który mimo wszystko wierzy w triumf sprawiedliwych. A przede wszystkim spodobał mi się jego niemy, pełen bólu, naiwny gniew: „Nie rozumiałem, że mnie okłamywali, że się ze mnie naigrawali”. Rozmawiałam z nim łagodnie, wybacząc mu wszystkie niedomówienia. Bardzo często był ostrożny. Można było zrozumieć, że mówił znacznie mniej, niż chciałby powiedzieć; tajony strach, do którego nigdy by się nie przyznał, drgał chwilami na jego ustach, w jego oczach. Była to pamięć o tym, co mu zrobili i co mogliby jeszcze zrobić; o okrucieństwie szantażu wobec rodziny. W tym strachu nie pozwalał mi nawet cytować raportu, który co jakiś czas mu pokazywałam, kartkując „Village Voice”. Jedyne raz chwycił go i przeczytał ponownie dwa punkty, które zaznaczyłam czerwoną kredką: „Szukaliśmy dowodów. Wręczali nam mocno wyczyszczone skrawki papieru. Ale wyczyszczony to bardzo ogólnikowy eufemizm na określenie białych kartek z rozrzuconymi tu i ówdzie kilkoma słowami, często nie do odczytania, w każdym razie mającymi na celu oszukanie nas, i niedokończonymi”. I dalej: „Te trzy oświadczenia zostały poprawione i uogólnione jeszcze bardziej niż poprzednim razem. Usunięto nazwy krajów, zamiast dolarów użyto jedynie przybliżonych sum, zamieszczono niezliczone ogólnikowe opisy”. Po przeczytaniu zamilkł. Być może myślał o stronie, którą przyjaciele Kissingera streścili w ten sposób: „3/ND/DOLLVNM / T-0144-6SG / TRANSL-DECRYPT UNJAC / VN-NR1Y-30 / 300G+FM IJB / TO-CQ-INFO / BBM-STOP / CNNB 30119-5610M / LO / 22-300”.

*ORIANA FALLACI. Panie Pike, William Colby twierdzi, że pański raport jest całkowicie stronniczy, pełen uprzedzeń i że został napisany z zamiarem zdyskredytowania CIA. Mówi, że nie ma tam nawet całości jego zeznań.*

OTIS PIKE. Dobry Boże, nie, nie ma. Gdybym miał zapisać wszystko, co mi powiedział, byłby to jego raport, nie mój. Moje zadanie nie polegało na zredagowaniu czegoś, co otrzymałoby aprobatę CIA, i jest oczywiste, że panu Colby'emu mój raport się nie podoba. Stwierdzamy w nim, że CIA wykonała paskudną robotę. Wyjaśniamy, że CIA nie wywiązała się ze swojego podstawowego obowiązku, jakim jest zapewnienie Stanom Zjednoczonym dobrej Intelligence. Opowiadamy w nim o bardzo poważnych nadużyciach, jakich dopuściła się CIA, i o nieskuteczności, o marnotrawstwie. Śmieci. Nie, dobry Boże, na pewno nie spodziewałem się, że pan Colby mi podziękuje. I nic mnie nie obchodzi, co o mnie mówi. A raczej odpowiem mu tak: zakończyłem moje dochodzenie, mając większy szacunek dla CIA niż dla tych, którzy wydawali CIA rozkazy. Pan Colby zachował się przed moją komisją uczciwiej od innych. To znaczy uczciwiej od tych, którzy reprezentowali organy naszej władzy wykonawczej.

*Czy to aluzja do Kissingera?*

Ech, tak. Nietrudno mi przyznać, że po zakończeniu dochodzenia doktor Kissinger podobał mi się znacznie mniej, niż gdy go poznałem. On nie udziela informacji. Wychodzi z założenia, że wszystkie jego źródła są bardzo osobiste; nie tylko te związane z zagranicznymi szefami państw, lecz również te odnoszące się do urzędników Departamentu Stanu. Tak więc parlament nie powinien się w to wtrącać. Natomiast pan Colby... Cóż, pan Colby jest utalentowanym człowiekiem i potrafi stosować grę słów. Czasem szuka ucieczki w semantyce. Jednak jeśli zadałem mu właściwe pytanie, udzielał mi szczerzej odpowiedzi. On nie jest nieuczciwy. I jest mniej winny niż ci, którzy teraz każą mu płacić za wszystkich.

*Twierdzi pan, że Colby stał się kozłem ofiarnym w tej sprawie?*

Jestem o tym przekonany. I jestem też przekonany, że mu się to podoba. Pewnego dnia mu to powiedziałem: „Podoba się panu rola kozła ofiarnego, prawda?”. Nie odpowiedział. Nadal siedział nieporuszony. Jednak było jasne, że odgrywanie roli kozła ofiarnego sprawiało mu przyjemność. I nikt nie potrafiłby zagrać tej roli lepiej, z lepszym rezultatem. Uczciwy wobec nas, lojalny wobec swoich ludzi... Zostawił CIA, tak by wszyscy uważali go za wielkiego człowieka, bo ich ocalił. Doskonała strategia, wspaniała robota. Ech! Zręcznie mną manipulował ten Colby. Zwyciężył. A ja przegrałem.

*W jakim sensie pan przegrał, panie Pike?*

W najbardziej oczywistym: nie pozwolili mi opublikować raportu, zablokowali go. Kiedy Izba Reprezentantów orzekła, że nie może zostać opublikowany bez zgody prezydenta i do prezydenta należy ustalenie, czy szkodzi on działalności naszej Intelligence za granicą, zrozumiałem natychmiast, że przegrałem. Użyte wyrażenie brzmiało dosłownie: „działalność naszej Intelligence za granicą”; przez działalność mieli na myśli zabójstwa, tajne wojny, opłacanie zagranicznych liderów politycznych. A mój raport nie mówił o niczym innym. Nie przypadkiem poprosiłem o głos, by stwierdzić, że w takim razie Ford nigdy nie wyda zezwolenia. Było mi przykro. Było mi tak bardzo przykro, dobry Boże. To był dobry raport. Raport, z którego można było być dumnym. I mi go zablokowali. Co za porażka. Poniosłem w swoim życiu wiele porażek, ale ta była najgorsza. Problem w tym, że... Cóż, to proste: zlecili nam wykonanie pewnego zadania, a my wykonaliśmy je lepiej, niż się spodziewali. A raczej niż się obawiali.

*Ale kto chciał głosowania, które przekazywało prawo jakiegokolwiek decyzji prezydentowi?*

Biały Dom, Departament Stanu, rząd. I oczywiście doktor Kissinger. Krótko mówiąc, ci wszyscy, którzy mieli na pieńku z naszą komisją. Wszyscy ci, którym nie odpowiadało, aby Kongres sprawował kontrolę nad CIA. A do nich należy zaliczyć wielu deputowanych. Znaleźli mnóstwo wymówek: niestosowność wszczynania kłótni z prezydentem, fakt, że Richard Welsh został zamordowany... Pytali mnie: „Czy w twoim raporcie są nazwiska agentów CIA?”. Ja na to: „Oczywiście. Ale są to nazwiska tych, którzy zeznawali”. Udawali zmartwionych mimo wszystko: „Żadnych nazwisk, żadnych nazwisk! Inaczej staniemy się odpowiedzialni za następnego Welsha!”. Na próżno tłumaczyłem, że ja sam w pierwszej kolejności chciałem tego uniknąć. Na próżno wyznałem, że przed zamknięciem raportu nasz komitet przez tydzień dyskutował na temat tego, co należało opublikować, a czego nie należało. Usunęliśmy nazwiska, usunęliśmy inne rzeczy. Spisany raport nie zawierał wszystkiego, co wiedzieliśmy.

*Jednak wina leży również po pańskiej stronie, panie Pike. Czy było konieczne wniesienie sprawy do parlamentu? Czy było konieczne uzyskanie zgody prezydenta?*

Zgody prezydenta, nie. Nie musieliśmy błagać o żadną zgodę prezydenta. Wniesienie sprawy do parlamentu owszem, było konieczne. Oto co się stało. Dzięki przeszkodom, jakie napotkaliśmy, na przykład przeszkodzie zwanej Henry Kissinger, spóźniliśmy się, nie mieliśmy już czasu, by ukończyć raport do ustalonej daty. Poprosiliśmy parlament o przyznanie nam dwutygodniowego odroczenia i parlament się zgodził. I wykorzystaliśmy je w całości. Raport

został sporządzony przez grono redakcyjne, komisja chciała sprawdzić go rozdział za rozdziałem, a czasem słowo po słowie: opublikowanie go pośpiesznie, z ryzykiem przeoczenia nieścisłości i błędów, byłoby nieodpowiedzialne. Dwudziestego trzeciego stycznia raport został ukończony i zaaprobowany przez komisję większością dziewięciu głosów do czterech. Upoważniało nas to do sporządzenia próbných odbitek, ale ci czterej znaleźli wykręt. Zgodnie z regulaminem mieli prawo do pięciu dni legislacyjnych, by spisać punkty sporne. Dni legislacyjne rozumiane są jako te, w których zbiera się parlament. W ten sposób z pięciu zrobiło się ich osiem. I czterej opozycjoniści dostarczyli swoje dokumenty, gdy komisja miała już zostać rozwiązana. Odwołanie się do głosowania w celu opublikowania raportu było już wtedy konieczne.

*A kim byli ci czterej? Ludźmi Kissingera?*

Tak sędzę. Bo wie pani, dokładnie w tym samym czasie głosowaliśmy nad zaprzestaniem udzielania pomocy finansowej Angoli. Tych dziewięciu z komisji, którzy chcieli opublikować raport, głosowało za zaprzestaniem finansowania w Angoli, tych czterech, którzy nie chcieli go opublikować, zagłosowało za kontynuacją finansowania. Czy to jasne?

*Tak, i wydaje mi się to wielką hipokryzją. Skoro zamierzali rzucać panu kłody pod nogi, to po co powierzali panu dochodzenie? Żeby zamydlić oczy Amerykanom i światu?*

Zgadzam się z panią. Hipokryzja to właściwe słowo.

*Mimo to jest coś, czego nie rozumiem, panie Pike. Dlaczego te rzeczy nie przydarzyły się senatorowi Churchowi? Czemu on zdołał opublikować swój raport? A przecież mówił o Chile, o próbach zabójstw...*

Church miał podobne problemy jak ja. I postępował zgodnie z tą samą procedurą, z jaką ja postępowałem. Spierał się z CIA o to, co miało zostać uwzględnione, a co należało przemilczeć. Usunął niektóre rzeczy na ich żądanie, inne z własnej inicjatywy i jego raport został okaleczony o wiele bardziej od naszego. Brakuje w tym raporcie wielu, wielu elementów. Jedynym nieszczęściem, jakie nie przytrafiło się Churchowi, był brak publikacji. Zastanawia się pani, dlaczego pozwolono mu go opublikować. To proste: ponieważ był to raport ad interim odnoszący się do tematu już nieaktualnego, prób zabójstw. Tematu, który dotyczył działalności osób niesprawujących już urzędu: nieżyjących prezydentów, prezydentów popadłych w zapomnienie. Temat naszego raportu jest aktualny. Dotyczy wydarzeń, które miały miejsce bardzo niedawno, dotyka osób, które nadal sprawują rządy...

*Z Kissingerem włącznie.*



Z Kissingerem włącznie. I powiem więcej: ostateczny raport Churcha nie został jeszcze opublikowany. Church ma go dostarczyć do marca. A ja obawiam się, że kiedy go dostarczy, napotka te same trudności, jakie napotkałem ja. Również w jego przypadku nie zabraknie pretekstów. Na przykład znowu uczepią się zabójstwa Welsha i... Musi pani zrozumieć, że śmierć Welsha bardzo poruszyła Amerykę. I przysporzyła niezmiernej sympatii CIA i jego agentom.

*Spokojnie. Przeczytamy w „Village Voice” również ostateczną wersję raportu Churcha.*

Odmawiam uznania „Village Voice” za oficjalnego rzecznika Stanów Zjednoczonych. I gdy mówi pani o moim raporcie, przeczytawszy go w tym dzienniku, jestem zmuszony odpowiedzieć, że nie wiem, o czym pani mówi. Fakt, że jest powszechnie znany, nie czyni go oficjalnym.

*Rozumiem pańskie oburzenie, panie Pike. Ten raport został panu praktycznie ukradziony. Jednak niezależnie od tego, czy pan to potwierdza, czy nie, to pański raport, nie jakiś wymyślony. I nie tylko „Village Voice” go miał. Ale tylko oni zdobyli się na odwagę, by go opublikować, rzucając wyzwanie klasie rządzącej. Szkoda, że został ocenzurowany. Kto ma oryginalną wersję bez cenzury?*

Ma ją prezydent. Ma ją Kissinger. Ma ją CIA. Zresztą CIA zawsze wszystko miała, zawsze. Dostali pierwszą wersję tego samego dnia, w którym otrzymali ją członkowie komisji. Ja tego chciałem, aby później mi nie powiedzieli, że zawiera błędy. Poza tym mają go cztery komisje Kongresu; w sumie około setki osób. Powiem więcej, każdy senator czy poseł może przejrzeć tę oryginalną wersję, jeśli zobowiąże się, że nie zdradzi tego, co czyta. Ale niewielu to robi.

*Dlaczego?*

Och, większość uważa, że wygodniej jest o nim nie wiedzieć. Zawiera zbyt wiele rzeczy kłopotliwych dla Amerykanów, zbyt wiele rzeczy, o których lepiej nie wiedzieć. Ten kraj przeżył okropny uraz na skutek afery Watergate. Jednak gdy w związku z aferą Watergate kazano mu wierzyć, że tylko Nixon jest złym człowiekiem, teraz każe mu się uwierzyć, że Ameryka okazała się niegodziwym narodem. A kto chciałby przyznać, że należy do niegodziwego narodu?

*Najbardziej zadziwiająca jest ta pseudoniewinność, panie Pike. W gruncie rzeczy wasze raporty potwierdzają jedynie to, co w pozostałej części świata już wiadano. Albo przynajmniej*

*podejrzewano. Ale wy w to nie wierzyliście. Na przykład wtedy, gdy Castro twierdził, że CIA usiłowała go zabić...*

Nie wierzyliśmy. To prawda. To samo przydarzyło się nam z Kambodżą, z Laosem. Gazety może i o tym pisały, ale przeciętny obywatel w to nie wierzył. Gorzej, nie wierzył w to przeciętny poseł, przeciętny senator. Wierzył jedynie w to, co mówił mu rząd. Tak jak ja. Trzeba było tej tragedii, abym się przekonał, że zawsze mnie okłamywali. Chciałbym pani coś wyznać: gdy zaczynałem dochodzenie, niezmiernie szanowałem Kissingera. Wierzyłem, że jest... tak... wierzyłem, że jest wielkim człowiekiem. W Ameryce ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć, słuchają tego, co chcą usłyszeć. I ten, kto przynosi dobre nowiny, jest chwalony, promowany. Ten, kto przynosi złe wieści, jest degradowany i wyrzucany poza system.

*Wróćmy do tematu hipokryzji, panie Pike. Kto przysporzył panu największych trudności?*

Prezydent, Kissinger, Colby, FBI, ogólnie rząd. Zawsze obiecywali nam wszelką współpracę, a później odmawiali informacji. Również po to, aby zmarnować nasz czas. Wiedzieli, że komisja będzie działała krótko, i dlatego marnowali nasz czas. Zaraz to wytłumaczą. Kiedy mówiliśmy: „Potrzebujemy tych dokumentów”, wcale nam ich nie odmawiali. Dawali nam tylko jeden z nich. Tym sposobem trzeba było znowu o nie prosić i znowu dawali nam tylko jeden. Ja wierzę w dokumenty. Ponieważ świadczą o tym, co ludzie mówili, a nie, co później chcieliby powiedzieć. Tak więc cały czas o nie prosiłem, a oni wydzielali mi je w bardzo długich odstępach. Czasami zaś nie dawali mi ich wcale. Co zrobił na przykład pan sekretarz stanu z memorandum Boyatta? Oskarżył nas o chęć dręczenia drugorzędnych postaci z Departamentu Stanu, o uprawianie maccartyzmu. I napisał do nas list, twierdząc, że jeśli chcemy dowiedzieć się pewnych rzeczy, musimy zwrócić się do „ważnych ludzi, którzy tworzą amerykańską politykę”. A ważni ludzie z przyjemnością nam pomogą. Tak więc poprosiliśmy o dokument jego, Kissingera. On oczywiście go miał. Ale nam go nie dał. Gorzej, zakazał wszystkim nam go dawać. Wszyscy odpowiadali nam, że dokument ten chroniony jest przywilejem egzekutywy. Również prezydent powołał się na przywilej egzekutywy.

*Co to jest dokument Boyatta?*

Już pani wyjaśniam. Thomas Boyatt był człowiekiem, który kierował wydziałem Cypru, Cyprus Desk, w Departamencie Stanu. I z tego co wiedziałem, Thomas Boyatt sprzeciwił się gwałtownie temu, co Amerykanie zrobili na Cyprze. I spisał swój sprzeciw w Memorandum

Boyatta lub Memorandum sprzeciwu. Uważaliśmy je za naprawdę niezbędne, aby się dowiedzieć, jak się zachowaliśmy w brzydkiej sprawie Cypru. Był to jedyny sposób na dotarcie do prawdy. Ale Kissinger zachował się tak, jak powiedziałem, i doszło do pierwszego sporu z nim. Wysłaliśmy nawet nakaz dostarczenia tego kawałka papieru. Na próżno. Oczywiście wezwaliśmy pana Boyatta do złożenia zeznań. Również na próżno. Boyatt chciał przyjść. Kissinger się sprzeciwił.

*Gdzie jest teraz pan Boyatt?*

Otrzymał awans. A raczej, zdaje mi się, że jest w Chile. Proszę pozwolić mi wykonać jeden telefon... Tak, jest w Chile. Jako szef misji dyplomatycznej w naszej ambasadzie.

*Jednak Kissinger przyszedł zeznawać.*

Tylko jednego dnia, rano i wieczorem. I nie będę pani opisywał jego zachowania, raport mówi sam za siebie. Ale powiem pani, że rozpaczliwie usiłowałem skłonić go do opowiedzenia tego, co było nam potrzebne. Nie udało mi się. Chronił się zawsze za swoim przywilejem politycznym; za historyjką o swoich „bardzo osobistych” źródłach. Chciałem go oskarżyć o obrazę parlamentu. Podałem pod głosowanie trzy rezolucje, aby go oskarżyć. Sprawa się na tym zatrzymała. Większość parlamentu nie chciała dalszego postępowania. Musieliby wybrać między Kissingerem a mną, między Kissingerem a komisją i nikt nie był gotów uczynić sobie z niego wroga.

*Ale dlaczego w Ameryce ludzie tak bardzo boją się Kissingera?*

Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Może dlatego, że stoi za nim zbyt wiele osób. Ten Kissinger to strasznie przebiegły *public relation man*. Gdy tylko sprawy przestają się toczyć po jego myśli, zwołuje swoich znajomków z prasy i otrzymuje potężne artykuły wstępne, które mówią zupełnie co innego niż ten, kto mu się sprzeciwił. Sprzeciwianie mu się jest niewskazane, zwłaszcza w przypadku polityka. Ja jednak sądzę, iż dowiodłem, że się go nie boję.

*Dlaczego więc nie poprowadził pan dalej sam oskarżenia o obrazę?*

Mógłbym. Zrezygnowałem, bo byłaby to tylko strata czasu. Nasze sądownictwo nie działa szybko, dokładnie tak jak włoskie. I komisja zostałaby rozwiązana, zanim Kissinger zasiadłby na ławie oskarżonych. Tak więc postępowalem dalej ze związanymi rękami i coraz bardziej hamowany przez obstrukcjonizm. Nakazywali nawet milczenie mniej znaczącym świadkom. Mówili im jasno i wyraźnie, że nie wolno im mówić „o pewnym sprawach”. Kissinger posunął się nawet do tego, że poinformował ich, iż nie wolno im pozwolić się przesłuchiwać, jeśli na sali

nie ma funkcjonariusza Departamentu Stanu. I nikt nie złamał tych wytycznych. Ach! Przed chwilą spytała mnie pani: Dlaczego więc powierzono panu dochodzenie? Ja powiem: Dlaczego więc je zarządzili? Hipokryzja to święte, najodpowiedniejsze słowo. Mydlenie oczu to właściwe wyrażenie. Można zrozumieć powściągliwość Colby'ego, obstrukcjonizm CIA; CIA była sądzona. Ale nie zawsze to CIA wiązała nam ręce. Najbardziej wiązał je nam Kissinger, prezydent, Departament Stanu, Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, samo FBI. Dlatego twierdzę, że pod koniec szanowałem bardziej CIA niż tych, którzy wydawali jej polecenia.

*Ale do kogo należało wydawanie poleceń CIA? Do sekretarza stanu, czyli Kissingera?*

Bardziej niż do sekretarza stanu, do specjalnego asystenta prezydenta do spraw Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

*To znaczy do Kissingera.*

Dokładnie. Poza tym do ministra obrony i do sekretarza stanu.

*Którym jest Kissinger.*

Właśnie. Wreszcie do Narodowej Rady Bezpieczeństwa.

*Do której Kissinger należy i w której znaczy najwięcej.*

Właśnie. CIA nie może sama podejmować inicjatyw. Zgadzam się z Colbym, gdy odpowiada, że CIA nie jest dzikim słoniem. Po przeanalizowaniu wszystkiego, co było do przeanalizowania, doszedłem do wniosku, że CIA podejmowała inicjatywę jedynie w sprawach marginalnych i niewywołujących kontrowersji. W sprawach ważnych i odbiegających od normy zachowywała się zawsze w sposób, w jaki ktoś kazał jej się zachowywać. A tym kimś bardzo często był Kissinger.

*Panie Pike, jak wytłumaczy pan władzę Kissingera?*

Och, jest inteligentny. Co do tego nie ma wątpliwości. Ma wybitny umysł. Poza tym ma fascynującą łatwość słowa. Ponadto był bardzo skutecznym dyplomata. Jest też niezwykle popularny w środowisku koktajlowym Waszyngtonu, gdzie nie bywam. Wreszcie, jak już wspomniałem, ma ogromne wsparcie ze strony prasy, która poświęca mu artykuły pochwalne i atakuje jego przeciwników. Na przykład wtedy, gdy reszta świata mówiła, że Kissingerowi nie była obca tragedia w Chile, my w Ameryce w to nie wierzyliśmy. Wyszedł raport senacki Churcha, ale amerykańskie dzienniki nie wymieniły nazwiska Kissingera. Również dwa największe liberalne dzienniki Ameryki, „New York Times” i „Washington Post” je pominęły. Nie pamiętam, abym przeczytał nazwisko Kissingera w artykule, który „Washington Post”

poświęcił odpowiedzialności amerykańskiej w Chile. A „New York Times” nawiązał do tego jedynie marginalnie.

*Niemniej mówi się, że za Forda Kissinger nie cieszy się taką protekcją, jaką miał za Nixona.*

Pozwoli pani, że odpowiem w ten sposób: Sądzę, że prezydent Ford ma ogromny respekt dla Kissingera, i sądzę, że prezydent Ford uważa, iż ogromnie go potrzebuje.

*Panie Pike, czy według pana Kissinger jest demokratą?*

Nie. Tym razem nie będę szukał łagodniejszych określeń. Odpowiedź brzmi: nie. Przede wszystkim myślę, że Kissinger ma bardzo niewiele szacunku dla parlamentu. I być może zasługujemy sobie na niewiele szacunku, jednak doktor Kissinger żywi niewiele szacunku dla wszelkich demokratycznych procesów. O, tak. On naprawdę nie ma cierpliwości do demokracji. W demokracji nie liczy się wcale to, co liczy się w dyplomacji. I jego stanowiska nie może zajmować człowiek, który odmawia uznania punktu widzenia większości, twierdząc, że on wie wszystko lepiej od innych. Nawet jeśli jest to człowiek inteligentny. Doktor Kissinger nie przepada za krytyką. Oskarżenia o maccartyzm łatwo płyną z jego ust, gdy ktoś mówi rzeczy, które się mu nie podobają, a...

*A jeśli jest ktoś, kogo należałoby oskarżyć o maccartyzm, to właśnie on.*

Brawo. Powiedziała to pani. Jest pani odważniejsza ode mnie.

*Dlaczego? Tak wiele się ryzykuje, mówiąc, kim jest Kissinger? Czy fakt, że pan to powiedział, a raczej przewodniczył komisji śledczej, zaszkodził może pańskiej karierze politycznej, panie Pike?*

Jeszcze tego nie wiem. Nie dowiem się tego przed wyborami. Oczywiście, gdybym dzisiaj kandydował, zamiast być już deputowanym, sprawa byłaby beznadziejna.

*Inni pana unikają?*

Na razie nie odnoszę takiego wrażenia, ale jeśli to robią, jest mało prawdopodobne, abym się zorientował, ponieważ zawsze byłem w establishmencie typem wilka samotnika. Mogę powiedzieć, że w moim okręgu wyborczym nadal jestem traktowany uprzejmie; moim wyborcom podoba się człowiek, który wstaje i mówi to, co myśli. Istnieje jeszcze trochę dobra w Ameryce. To znaczy wśród ludzi.

*Panie Pike, czy odnosi pan wrażenie, że CIA pana kontroluje lub kontrolowała pana w czasie śledztwa?*

Tak. A jakże. Oczywiście nie mogę przedstawić pani dowodu na to, że CIA mnie szpiegowała, ale istnieją różne poziomy szpiegostwa. Moja opinia jest taka, że CIA pilnowała, z kim się spotykam, i wiedziała o mnie wszystko: co jem, co piję, co lubię, czego nie lubię i inne osobiste sprawy. Muszą mnie już znać od góry do dołu, z lewa na prawo, z przodu i z tyłu. Ale nie potępiam ich za to. Gdy Intelligence, która jest przesłuchiwana przez jakiegoś posła, nie zadaje sobie nawet trudu, by się dowiedzieć, kim ten poseł jest, nie spełnia swojego najbardziej elementarnego obowiązku.

*Zgadzam się. A czy nikt nigdy nie próbował pana zastraszyć?*

Odpowiedź brzmi: tak. Ale nie powiem pani, w jaki sposób.

*Zapytałam o to, bo wiem, że próbowano to zrobić za zgodą Kissingera.*

Odpowiedź brzmi: tak. Ale nie będę o tym opowiadał.

*Ilu pańskich świadków próbowano zastraszyć?*

Nie znam liczby; rzadko mi o tym opowiadali. Jednak istniały sposoby, żeby dowiedzieć się o tym mimo wszystko i... Opowiem pani przypadek świadka, który pracował w Amerykańskiej Kompanii Rejestracyjnej. Po tym, jak złożył zeznanie przed moją komisją, FBI go odszukało i usiłowało zmusić do zmiany zeznań. Udało się to tylko częściowo i mimo to młody człowiek wykazał się odwagą: przyszedł do nas i wszystko nam opowiedział. Inni się na to nie zdobyli. Ale rząd skontaktował się z wieloma innymi, aby wycofali zeznania. FBI mówiło: „To poważne sprawy. Trzeba je kontrolować”.

*Grożono panu również fizycznie, panie Pike?*

Tak, ale nigdy nie dowiem się, kto. Poza tym było to częścią ryzyka, któremu byłem przygotowany stawić czoło, gdy zgodziłem się przeprowadzić to dochodzenie. Ryzyka wszelkiego typu: od narodowego po osobiste. Do tego pierwszego zaliczyłbym ryzyko spowodowania wybuchu wojny, narażenia mojego kraju na kłopoty i upokorzenia, zaszkodzenia naszej Intelligence za granicą. Wśród tych drugich wymieniłbym te nieuniknione, które spadają na tego, kto prowadzi podobne śledztwo: telefon na podsłuchu, brak poczucia bezpieczeństwa w domu, FBI płaczące się pod nogami. Podsumowując, nawet jeśli uznamy, że wynik dochodzenia był pozytywny, powiedziałbym, że ryzyko znacznie przewyższyło korzyści.

*Przypuszczam, że nie odnosi się pan jedynie do wściekłości Kissingera czy wrogości Colby'ego. Wyciek informacji musiał bardzo panu zaszkodzić.*

Piekielnie. Popsuł wiarygodność komisji, zaszkodził mi osobiście, zniweczył ideę kontroli parlamentarnej nad CIA. Bezprawna publikacja tego raportu przysłużyła się jedynie CIA, Kissingerowi, Białemu Domowi. To znaczy tym, którym nie podobała się kontrola parlamentarna, i dlatego z niecierpliwością czekali na powrót do dawnego systemu tajności. Powiedziawszy to, powiem coś jeszcze: mając wybierać między polityką zabójstw, a wyciekiem wiadomości, wybieram to ostatnie. Mając wybierać między tajną wojną, w której uczestniczy mój kraj, a wyciekiem wiadomości, który kładzie kres tajnej wojnie, wolę to ostatnie.

*Kto mógł doprowadzić do ujawnienia kopii raportu?*

Ja nie. I nie wiem kto. Szczerze. Ale choć nie przeczę, że mógł to być ktoś z komisji albo z grupy redakcyjnej, wcale bym się nie zdziwił, gdyby zrobili to CIA, Biały Dom lub Departament Stanu. Powtarzam, że publikacja raportu w „Village Voice” leżała w interesie Kissingera, Białego Domu i samej CIA. Odpowie mi pani: Ale teraz wiadomo, co zrobili, czy to im służy? Odpowiem: Teraz wiadomo, co zrobili w przeszłości. A ich przeszłość nie interesuje. Interesuje ich terażniejszość i przyszłość.

*Colby zaprzecza z oburzeniem jakiegokolwiek odpowiedzialności CIA w tej kwestii.*

Cóż, po tym, jak zobaczyłem, do czego zdolna jest CIA, nie potrafiłbym twierdzić, że CIA nie mogłaby przemycić raportu do gazet.

*Panie Pike, w pańskim raporcie jest tylko jeden punkt, który napelnia mnie niedowierzaniem. Ten, w którym twierdzi pan, że gdyby Ameryka została zaatakowana, CIA nie dowiedziałaby się o tym na czas.*

Jeżeli nawiązuje pani do ataku z zaskoczenia, jakim był Pearl Harbor, lub do ataku na jedną z naszych placówek w jakiejś części świata, nie dowiedzielibyśmy się o tym na pewno za pośrednictwem CIA. Podczas mojego dochodzenia nie znalazłem nic, co dawałoby mi taką nadzieję. Może moglibyśmy czuć się nieco spokojniej w Europie. Pomimo przykładu Czechosłowacji, gdzie CIA „zgubiła” radzieckie wojska na dwa tygodnie, tam wiemy trochę więcej o tym, co się dzieje. W ciągu siedmiu lat trochę się podszkoliliśmy. Ale gdzie indziej! Przypadek wojny arabsko-izraelskiej z 1973 roku jest zniechęcający. Chociaż chodziło o miejsce, gdzie nie mamy baz ani oddziałów, nasza Intelligence okazała się okropna. CIA okazała się paskudna. Proszę pomyśleć, że trzy lub cztery godziny po rozpoczęciu wojny nadal mówili: „Nic się nie wydarzy!”.

*A Portugalia?*

Dobry Boże! Nie patrzyli nawet we właściwym kierunku. Spodziewali się zamachu stanu ze strony prawicy. Mamy wiarygodne dowody, że nie przeczytali nawet książki Spínoli. Jak się wydaje, w tym okresie CIA nie działała w Portugalii. Jedyne informacje o Portugalii docierały do nas za pośrednictwem pewnego młodego oficera marynarki, attaché wojskowego z ramienia Ministerstwa Obrony, który przestał bywać na koktajlach, by jeździć po kraju, i tym sposobem nawiązał kontakt z lewicowymi elementami. Wie pani, ci z CIA są tacy sami, jak w każdej innej biurokracji: im wyżej są postawieni, tym więcej czasu marnują na koktajle.

*Colby mówi, że pańskie stwierdzenia są nieodpowiedzialne, pełne uprzedzeń i że CIA to najlepsza Intelligence na świecie.*

Colby prawdopodobnie ma rację, mówiąc, że CIA to najlepsza Intelligence na świecie. Jednak nie jest w stanie przewidzieć ataku z zaskoczenia. Colby ma również rację, gdy mówi: „Nie możemy opowiadać o sukcesach, ponieważ zamienią się one w porażki”. Ale czy te sukcesy naprawdę istnieją? Jakoś ich nie dostrzegam. Proszę mi wierzyć, nie rozpoczęliśmy wcale dochodzenia ze z góry powziętym założeniem szukania jedynie porażek. Sprawy potoczyły się w ten sposób. Po skontrolowaniu budżetu CIA, powiedziałem: „Przyjrzyjmy się teraz, jak wydali te pieniądze”. I poprosiłem dwunastu członków komisji o zasugerowanie ważnych dla Ameryki sytuacji w dziedzinie polityki międzynarodowej, obrony narodowej, interesów strategicznych. Oni wybrali na chybił trafił. Tak, w ciemno, nie wiedząc, czy wyniki będą dobre, czy złe. Wybrali ofensywę Tet w Wietnamie, radziecką inwazję na Czechosłowację, wojnę arabsko-izraelską w 1973 roku, wybuch indyjskiej bomby atomowej, zamach stanu w Portugalii, pucz na Cyprze, inwazję turecką na Cypr. I w żadnym z siedmiu przypadków nie znaleźli nic, co usprawiedliwiłoby podatki, jakie amerykański obywatel płaci na utrzymanie CIA. Wszędzie CIA działała źle.

*Nie uwzględniając przypadków, w których zachowała się w odrażająco zbrodniczy sposób. Mam na myśli wymordowanie Kurdów.*

Och, dobry Boże! O, tak! Nie można być aż do tego stopnia cynicznym! To najgorsza sprawa, o jakiej się dowiedziałem w czasie całego śledztwa! Napęliła mnie obrzydzeniem. Jeżeli zapyta pani, co napęliło mnie największym obrzydzeniem, odpowiem: sprawa, którą właśnie pani przytoczyła. Co za ohyda!

*Kolejny kwiatek dla Kissingera. Istotnie, po tym, jak zdradził ich wspólnie z szachem Iranu, po tym, jak sprawił, że dziesiątki tysięcy wraz ze starcami i dziećmi zostały wymordowane*



*przez Irakijczyków, Kissinger otrzymał od nieświadomego i zrozpaczonego Barzaniego pewne prezenty. Co się stało z naszyjnikiem ze złota i pereł, który przywódca Kurdów przesłał żonie Kissingera? A z dywanami dla Kissingera?*

Muszę odpowiedzieć w ten sposób, zakładając, że nie wiem, o czym pani mówi: jeśli Kissinger otrzymał jakiś prezent, prawo nakazywało, by przekazał go amerykańskiemu rządowi.

*Rozumiem. Nie zatrzymał go dla siebie, przekazał go rządowi. Ale czy nie mógł przynajmniej odmówić przyjęcia tego naszyjnika ze złota i pereł i tych dywanów?*

Oczywiście. Każdy może odmówić przyjęcia prezentu.

*Zwłaszcza gdy pochodzi od kogoś, kogo się zdradziło. Prawda?*

To pani to powiedziała. Nie ja.

*Jeśli pan chce, mogę powiedzieć panu gorsze rzeczy. Ale to nie moja kolej, kolej na pana. Niech mi więc pan wyjaśni, panie Pike, czy pański raport wyjawia wszystko na tych siedem tematów?*

O, nie! Powtarzam, że nie uzyskaliśmy na przykład informacji o Cyprze. A jest tam sporo do odkrycia. Dokładnie tak, jak na temat puczu pułkowników w Grecji, zagadnienia, którym się nie zajęliśmy. Dokładnie tak, jak na temat puczu Pinocheta w Chile, kolejnego zagadnienia, którego nie poruszyliśmy, bo zajął się nim Church. Ale powodem największego niezadowolenia pozostaje dla mnie niedowiedzenie się prawdy o Cyprze.

*Dlaczego nie wysłuchał pan swego byłego ambasadora w Atenach, Henry'ego Taski? Wie mnóstwo rzeczy na temat Grecji i Cypru. Poza tym jest wściekły na Kissingera.*

Ech! Ale nie był wystarczająco wściekły, by przyjechać tutaj i zeznawać. Nie, nie okazał się wcale spragniony rozmowy z nami. Pozostał w Rzymie, gdzie mieszka, i do przesłuchania go musiałem wysłać jednego z moich asystentów. Ale wiele z niego nie wyciągnęliśmy.

*Nie odkryliście nawet, kto zamordował na Cyprze ambasadora Daviesa?*

Nie wolno mi mówić o tym, czego nie napisaliśmy lub nie opublikowaliśmy w raporcie.

*No dalej! Wszyscy dziennikarze wiedzą, kto zabił ambasadora Daviesa.*

Domyślam się, że ma pani na myśli grupę, nie jedną osobę.

*Dokładnie. Zrobiła to grupa Samsona, tego bandyty z EOKA B, którego Ioannidis umieścił na stanowisku Makariosa i którego CIA popierała i popiera. Prawda?*

Jest pani dobrym reporterem. Nie wszyscy dziennikarze o tym wiedzą.

*Dziękuję. A teraz proszę mi powiedzieć, czy sądzi pan, że historia napisze, iż Kissinger wiedział o tureckim planie inwazji na Cypr?*

Historia również napisze, że o tym nie wiedział. A ludzie uwierzą w to, w co będą chcieli wierzyć. Prawda... Proszę posłuchać, zrobiłem, co w mojej mocy, by opowiedzieć prawdę tak, jak ją widziałem. Ale prawda to nie statystyka. Prawda to osąd. I to, co ja uważam za prawdę, mogłoby nie być prawdą dla Kissingera z jednej, a dla pani z drugiej strony. Mówimy o tym, co ma na myśli pewien człowiek. Ani ja, ani pani tego nie wiemy i być może nie wie tego nawet on. Jako że ludzki umysł, również w podobnym wypadku, ma skłonność do wierzenia w to, w co jest mu wygodnie wierzyć po fakcie.

*I tym sposobem dotarliśmy do deseru, panie Pike. To znaczy do Włoch. Panie Pike, czy pański raport mówi wszystko, co było do powiedzenia na temat Włoch?*

Z tego, co wiem, tak. Poza nazwiskami, tak.

*A czy będzie nam kiedykolwiek dane poznać te nazwiska?*

Nie mam pojęcia. W tej kwestii czuję się rozdarty. Bo widzi pani, gdybym to ja był członkiem włoskiego parlamentu... A raczej przedstawmy to tak, jako że nie mogę mówić bezpośrednio o Włoszech: gdybym był członkiem parlamentu greckiego i gdyby oskarżono kilku członków greckiego parlamentu o przyjęcie pieniędzy od CIA, żądałbym, aby te nazwiska zostały opublikowane w celu oczyszczenia mojej własnej reputacji. Z drugiej strony, gdybym był członkiem greckiego parlamentu, który przyjął od CIA pieniądze na kampanię wyborczą, i gdyby te pieniądze pomogły mi w tym, że zostałem wybrany, i nie zmniejszyły mojej lojalności wobec Grecji, uważałbym wtedy ujawnienie swojego imienia za wielką niesprawiedliwość. Ponieważ moje życie znalazłoby się w niebezpieczeństwie.

*Mówi pan jak ci, którzy zablokowali pański raport, panie Pike? Przywołuje pan Welsha jako pretekst? Bez przesady, jest spora różnica między szpiegiem a chciwcem!*

Pani mówi, że jest spora różnica, ale ktoś zabił pana Welsha. Nie może pani zawsze wszystkiego racjonalizować. Ci, którzy zabijają, nie są racjonalni. W każdym kraju istnieją szaleńcy i terroryści, i nie jestem pewien, czy ten, kto wziął pieniądze od CIA, w pani kraju czułby się bezpiecznie, gdyby jego nazwisko zostało ujawnione. Nie, nie podejmowałbym bynajmniej podobnego ryzyka.

*Panie Pike, muszę więc postawić pana przed takim samym dylematem, przed jakim postawiłam Colby'ego. Gdybym ja, cudzoziemka, przyszła tutaj dać panu pieniądze, aby skłonić pana do prowadzenia polityki zgodnej z moimi interesami...*

Nie przyjąłbym pieniędzy od cudzoziemca. Z pani strony byłoby nielegalne oferowanie mi pieniędzy, a z mojej strony przyjęcie ich. Musiałbym wezwać FBI i kazać panią aresztować.

*Dokładnie tak odpowiedział mi Colby. A ja z kolei odpowiedziałam mu tak: W takim razie, panie Colby, powinnam wezwać włoską policję i kazać aresztować pana razem z pańskim ambasadorem Martinem i wszystkimi agentami CIA we Włoszech.*

Dobry Boże! Powiedziała mu to pani?!

*Tak, zapomniałam o Kissingerze. On też powinien zostać aresztowany, czyż nie?*

Dobry Boże! Chciałbym przy tym być! Nieźle go pani urządziła. I jak zareagował?

*Nie zareagował. Ograniczył się do odrzucenia słowa korupcja.*

Powiem pani, że w związku z tym słowem również ja mam wiele wątpliwości. Albo lepiej, mam sprzeczne odczucia. Gdy chodzi o dopłaty wyborcze, linia, która dzieli to, co zgodne z prawem, od tego, co z prawem niezgodne, jest niezwykle cienka. Nigdy nie wiadomo, gdzie kończy się dopłata, a zaczyna się opłacanie kogoś, kto wcale dopłat nie potrzebuje. To, co my nazywamy *pay-off*. Jeżeli dopłata jest ważna lub niezbędna, przypuszczam, że można ją nazwać dopłatą, a nie *pay-off*... Gdyby tak nie było, każdy z nas, polityków, byłby łapówkarzem. Niemniej jednak... Otóż, w kraju, do którego pani nawiązuje, słowem, we Włoszech, CIA twierdziła, że pieniądze nie są problemem. „Money is not the problem”.

*Co oznacza, że żadna dopłata nie była niezbędna lub konieczna. Co oznacza, że nie chodziło o dopłatę, lecz o pay-off. Zresztą pański raport mówi o pay-off. A wyrażenie pay-off w każdym słowniku jest tłumaczone w ten sposób: „zapłata dla kogoś, kto wyświadcza nam przysługę lub pozostaje na naszych usługach”. W każdym razie dziękuję za potwierdzenie. A komu powinni podziękować ci włoscy politycy, kupieni za pay-off? Kissingerowi?*

Cóż, nie. Oddając sprawiedliwość Kissingerowi, należy przyznać, że metoda *pay-off* była w użyciu znacznie wcześniej, niż on się pojawił.

*To prawda. On tylko dodał wyrażenie „bezpieczeństwo narodowe, national security”. Przepraszam, ale co ma wspólnego bezpieczeństwo narodowe Stanów Zjednoczonych z pay-off włoskich chrześcijańskich demokratów i socjaldemokratów?*

Bezpieczeństwo narodowe oznacza pokrótce podstawową siłę narodu. I jako że jestem Amerykaninem i nie może pani wymagać, bym o tym zapomniał, mogę nawet zrozumieć, że doktor Kissinger widzi związek pomiędzy bezpieczeństwem narodowym Stanów Zjednoczonych, a *pay-off* kilku Włochów. Podstawowa obawa w Ameryce, jeżeli chodzi o włoskich komunistów, polega na tym, że jeśli komuniści wygrają jedne wybory, więcej wyborów we Włoszech nie będzie. Ja sam nie wiedziałbym, co myśleć, gdyby włoscy komuniści wygrali wybory. To znaczy nie wierzylibym za bardzo w ich przyjaźń wobec Amerykanów na niekorzyść Rosjan. Gdyż szczerze mówiąc, nie przychodzi mi na myśl żaden kraj lub sytuacja, gdzie komuniści zrezygnowaliby z władzy, przegrywając wybory po tym, jak je wygrali.

*Zgoda. Ale pozostaje fakt, że my, Włosi, chcielibyśmy sami załatwić tę sprawę. Bo jak powiedziałam Colby'emu, nie jesteśmy waszą kolonią.*

Całkowicie się z panią zgadzam. Całkowicie. Pozostaje następujący problem: Do jakiego stopnia Związek Radziecki finansuje Partię Komunistyczną we Włoszech? I jaki rodzaj polityki uprawiają ważni ludzie, którzy prowadzą amerykańską politykę? Zadałem sobie to pytanie w związku z Angolą, odpowiadając, że naszej polityki w Angoli nie można było nazwać polityką. Wsparliśmy tam pewną grupę sumą pięćdziesięciu milionów dolarów na raz, a jednocześnie Gulf Oil Corporation dawała co trzy miesiące sto milionów dolarów MPLA. To znaczy tej samej organizacji, która była już finansowana przez komunistów. Nie mieliśmy żadnej polityki!

*We Włoszech ją macie. I wolnym ludziom się ona nie podoba. Panie Pike, dlaczego wybrał pan w swoim dochodzeniu Włochy jako przykład pay-off?*

Nie wybraliśmy Włoch. Szliśmy tropem pieniędzy, próbowaliśmy zrozumieć, gdzie podziały się pieniądze. A trop pieniędzy zaprowadził nas do Włoch.

*Oczywiście. Zadam więc panu ostatnie pytanie. Co pan poczuł, odkrywając, że część tych pieniędzy trafiła, przez generała Micelego i SID, do neofaszystów? Ograniczył się pan w tym momencie do przesłuchania winnych czy rozgniewał się pan, przypominając im, że Ameryka nie ma prawa tego robić?*

To oczywiście, że Ameryka nie ma prawa tego robić! Oczywiście, że to powiedziałem! Oczywiście, że nie ograniczyłem się w tym momencie do przesłuchania, ale zganilem ich za zrobienie czegoś podobnego. Och, zganilem ich, a jakże! Ale ganiecie kogoś, gdy wina została popełniona, jest zupełnie bezcelowe. Celem pozostaje zapobieganie nadużyciom, potwornościom i uniemożliwienie ich ponownego wystąpienia. Należy więc raczej zapytać, czy moje protesty się

na coś przydadzą. Odpowiedź brzmi: tak, na coś się przydadzą. Jako że wiemy teraz, że dopuścili się wykroczeń w wielu miejscach i na wiele sposobów, będą się hamować przez jakiś czas. Moja obawa, biorąc pod uwagę śmierć Welsha i przeciek informacji, jest taka, że nie będzie więcej kontroli parlamentarnych. Obawiam się, że prawdziwa kontrola będzie musiała pochodzić od organów wykonawczych. A nie jestem pewien, czy organy wykonawcze są skłonne same się kontrolować. W ten sposób po pewnym czasie kontrola znowu stanie się czysto formalna. I ponownie rozpoczną się nadużycia.

*Waszyngton, marzec 1976*

## Mário Soares

Podarowana wolność nie przyniosła nic dobrego, jak każda wolność podarowana, a nie zdobyta dzięki walce całego narodu. Dzień po dniu Portugalia uświadamiała sobie, że aby żyć w wolności, nie wystarczy obudzić się pewnego kwietniowego poranka z czołgami pełnymi wojska, zdeterminowanego, by usunąć martwego już dyktatora, zgniły już reżim. Uświadamiała sobie, że aby nauczyć się demokracji, nie wystarczy wkładanie czerwonych goździków w lufy żołnierskich karabinów. Z goździkami czy bez, czy będą one czerwone, różowe, białe, żółte, czy pstrokate, karabiny pozostaną karabinami, żołnierze pozostaną żołnierzami. Uświadamiała sobie wreszcie, że po pięćdziesięciu latach głębokiego faszyzmu nie można w mig nauczyć się wzajemnego szacunku, odpowiedzialności, honoru. Po tym, jak wygasł płomień pięknych obietnic, szlachetnych postanowień, ludzie okazywali się tacy, jacy są: tchórzliwi, gdy trzeba zaryzykować, zuchwali, gdy ryzyko minęło. A do władzy powraca ten, kto najgłośniej krzyczy, kto jest najbardziej arogancki lub przebiegły. Wybory, które miesiąc wcześniej dały w Portugalii nadzieję porządnym ludziom, okazały się kpiną.

Czterdziestoma procentami głosów wygrała Portugalska Partia Socjalistyczna, to znaczy partia, która walczyła w imię ludzkiego socjalizmu, wolności myśli, pluralizmu, bez którego popada się w dyktaturę. Lecz Partia Socjalistyczna, pomimo zwycięstwa, nic nie znaczyła. Jako druga, z dwudziestoma siedmioma procentami głosów, uplasowała się Ludowa Partia Demokratyczna, której nie można było uznać za naprawdę pravicową, ale która mimo wszystko miała silny głos w kraju. Jednak wszyscy zachowywali się, jakby Ludowa Partia Demokratyczna nie istniała. Z dwunastoma i pół procent głosów, plus czterema procentami swojego wytworu, Ruchu Ludowo-Demokratycznego, przegrała Partia Komunistyczna, to znaczy partia, która zdecydowana była narzucić najbardziej tępy, najbardziej przebrzmiały stalinizm. Jednak to właśnie Partia Komunistyczna wydawała rozkazy, za pośrednictwem prasy, radia i telewizji, gdzie wczorajsi faszystowscy dziennikarze odkryli w sobie nagle skrajnie lewicowych rewolucjonistów. Rozkazywała za pośrednictwem jedyne go związku zawodowego, którego przywódcy nie zostali wybrani przez robotników i robili z Pierwszego Maja swoją prywatną własność. Rozkazywała za pośrednictwem zbrojnej milicji kontestatorów, którzy za Caetana nie śmieli nawet pomyśleć o najmniejszym geście odwagi. Rozkazywała za pośrednictwem wojska, z którym łączył ją tajny sojusz. Jeśli komunistom nie podobała się jakaś gazeta, wojsko tę gazetę

zamykało. Jeśli komuniści nie chcieli zgromadzenia ustawodawczego, wojsko deklarowało, że jest skłonne zgromadzenia ustawodawczego nie otwierać. Jak w zerwanym naszyjniku, roztrzaskiwały się jedna za drugą podarowane wolności. Pozostała jedynie wolność słowa, ale ludzie bali się już mówić to, co myśleli. Krytykowano półgłosem, wodząc dookoła podejrzliwym i niespokojnym wzrokiem. Biada, jeśli nie uznali cię za lewicowego albo wystarczająco lewicowego. Było to równoznaczne z okrzyknięciem cię reakcjonistą, kontrrewolucjonistą, faszystą. Tego, kto nie był komunistą, nazywano faszystą. A na wojskowych zgromadzeniach ulubionym hasłem było: „Z nami lub przeciw nam”. Było to również hasło Salazara.

Zrozumieć, czego chcieli ci wojskowi, było trudno, przede wszystkim dlatego, że oni sami dobrze tego nie wiedzieli. Ekstremiści, ultraekstremiści, staliniści, maoiści, moderaci, ich zamęt ideologiczny był ogromny. Uformowali się na wzór szkoły partyzantów z Mozambiku i Angoli; możliwe, że nie czytali Marksa i Mao Tse-tunga po portugalsku. Nie mówiąc o tym, że portugalski jest językiem o bardzo ubogim słownictwie. Ruch Sił Zbrojnych nie był, jak utrzymywano, spójny i jednolity, lecz szarpany przez frakcje i okrutną rywalizację. Wielu oficerów, którzy uczestniczyli w przewrocie 25 kwietnia, trafiło do więzień razem ze zbirami Caetana. W więzieniu można było znaleźć również anarchistów, winnych gryzmolenia na murach Lizbony zachwycających napisów. „Słońce zaświeci dla nas wszystkich”, mówiły manifesty Portugalskiej Partii Komunistycznej. A anarchiści dodawali poniżej: „O ile nie będzie padać”. „Dziś będą nas tysiące, jutro będą nas miliony”. A anarchiści: „Bo nie stosujecie pigułki”. „Jeśli nie podoba ci się w Portugalii, wyjedź”. A anarchiści: „Ostatni gasi światło”. Podczas dyktatury więźniów politycznych było trzystu, teraz były ich dwa tysiące. W czasach rewolucji jest to nieuniknione, to prawda, ale czy miała miejsce jakaś rewolucja? I na czym polegała? Na tym, że w niektórych koszarach żołnierze odmawiali czyszczenia butów oficerom? Na tym, że stolica oferowała przedstawienia moskiewskiego cyrku i kubańskiego baletu? Na znacjonalizowaniu banków i przedsiębiorstw, zanim zdecydowano, kto będzie nimi zarządzał? Za każdym razem, gdy wojskowi przejmują władzę, mówią o rewolucji. Mówił o niej również Papadopoulos w Grecji, mówił również Pinochet w Chile. I na pewno ci portugalscy wojskowi byli szczerzy, naprawdę mieli dobre intencje; jednak demagogia, chaos i samowola stanowiły najbardziej rzucający się w oczy element rzeczywistości. Podczas gdy prawdziwi faszyci, prawdziwi reakcyjniści szczęśliwi zacierali ręce. Podczas gdy na usta cisnęły się gorzkie słowa: nie zawsze rewolucje prowadzą ku demokracji, ku postępowi, ku wolności i nie zawsze to, co określa się

mianem rewolucji, jest rewolucją. Czyż nawet faszyści nie nazywają dziś siebie rewolucjonistami? We Włoszech wiemy dobrze, że czerwień niekoniecznie bywa czerwienią, a czasem jest przykrywką dla czerni, że nierzadko czerwoni albo tak zwani czerwoni mówią tym samym językiem, co czarni, używają tych samych gestów, popełniają te same występki. Co miało się więc stać z Portugalią? Kraj balansował nad przepaścią. Istniało ryzyko, że wyjdzie z tej sytuacji podzielony na pół lub przynajmniej poobijany w wyniku wielkiej szamotaniny i być może zraniony na zawsze.

Poniżej znajduje się pierwszy wywiad, który przeprowadziłam z Soaresem, przywódcą pokonanych zwycięzców. Odbył się on właśnie wtedy, gdy rozgrywał się dramat socjalistycznego dziennika „República”. I pozostaje niezapomnianym dokumentem. Mając ręce i nogi związane paktem z wojskowymi, unieszkodliwiony przez nich i przez ich porozumienie z Portugalską Partią Komunistyczną, Soares wiedział doskonale, że kraj może wyjść z tego podzielony na pół, potłuczony w wyniku wielkiej przepychanki lub poraniony na zawsze. Ale nie mógł nic na to poradzić i nie mógł powiedzieć więcej, niż mówił. Szkoda, że mówił to w sposób niewystarczająco surowy; podczas gdy jego zdania brzmiały dość zdecydowanie, gdy się je czytało, pozostawiały uczucie niedosytu, gdy się ich słuchało. Rzeczywiście, jego sposób wyrażania nie był wojowniczy, a jego głos miał w sobie jakąś słabość, jakieś niezdecydowanie, które wywoływało niezadowolenie, a nawet podejrzliwość. Ale nie rozumiałeś, dlaczego, i również z tego powodu ogarniała cię irytacja. Grzecznie spróbowałam mu to podszeptać. Odpowiedział, że taki już jest, że aby zasnąć, nigdy nie potrzebował środków nasennych. Potem odszedł powolutku, pozwalając mi żywić nadzieję, że powodem była jego zimna krew.

MÁRIO SOARES. Przyjechała pani zobaczyć, co się dzieje w Portugalii, i oto co się dzieje. Właśnie otrzymałem wiadomość, że dyrektor i redaktorzy dziennika „República” zostali uwięzieni przez komunistycznych drukarzy, którzy żądają ich dymisji, by narzucić własnego dyrektora i własnego redaktora naczelnego, oczywiście komunistów. „República” była dziennikiem socjalistycznym i jedynym niezależnym czasopismem, które pozostało w Portugalii, jedynym, gdzie wiadomości nie były kontrolowane, manipulowane i zniekształcane przez komunistów. Wszystkie organa informacji są w Portugalii w rękach komunistów; od prasy po telewizję i radio. Organa posłuszne, jednobarwne, pozbawione jakiegokolwiek zmysłu krytyki. By dowiedzieć się prawdy, czytało się „Repúblikę”. Stąd dzisiejszy zamach. Drukarze stanęli przed dyrektorem, Raúlem Rego, i nakazali mu odejść, mówiąc, że go zastąpią. Rego odmówił,



poparty przez dziennikarzy. I tak został uwięziony wraz z dziennikarzami. Nie mogą wyjść nawet po paczkę papierosów lub kawę. I nie mogą nikogo przyjmować. To ostatni typowy przykład ofensywy, którą portugalscy komuniści rozpętali przeciwko socjalistom i wolności.

*ORIANA FALLACI. Sami komuniści, czy komuniści razem z wojskiem?*

(Soares nie odpowiada. Może dlatego, że zadzwonił telefon i szykuje się do rozmowy z ministrem informacji Correia Jesuino. Twardy żołnierz i zdaje się, popierający komunistów).

Panie ministrze, przypuszczam, że został pan poinformowany o tym, co dzieje się w „República”... Tak, dokładnie... Nie, panie ministrze. Raúl Rego nie jest faszystą. Jest starym antyfaszystą, który poznał podziemie, więzienie i wygnanie... Nie, panie ministrze. Zna pan Alvara Guerrę. I powinien pan wiedzieć, że nie ma wątpliwości co do antyfaszyzmu Alvara Guerrę... Mnie się natomiast wydaje, że powinien pan interweniować, panie ministrze. Ponieważ jest to bardzo, bardzo poważny przypadek, panie ministrze. Chodzi tu o wolność prasy, wolność przekonań, demokrację. Takie zawładnięcie jest nielegalne, sprzeczne z ustawą o prasie i obraża rewolucyjne wartości, i my, socjaliści, nie będziemy tego tolerować, panie ministrze. Nie będziemy tego tolerować. Co takiego? Nie, panie ministrze... Mam taką nadzieję, panie ministrze.

*Samy komuniści, czy komuniści razem z wojskiem?*

(Soares znowu nie odpowiada. Może nie dosłyszał. I wygłasza następujące zdanie, jak gdyby mówił do siebie).

Drukarze chcą drukować na swój sposób gazetę, pisaną przez nich... To Kuba, Albania, to nie jest Portugalia. Chcą zrobić z Portugalii jakąś Kubę, jakąś Albanię.

*Samy komuniści, czy komuniści razem z wojskiem?*

Ofensywa komunistów przeciw socjalistom rozpoczęła się zaraz po wyborach, z wyraźnym zamiarem ich umniejszenia i udowodnienia, że akt wyborczy nic nie znaczy. Zresztą komuniści nie chcieli wyborów, robili wszystko, aby się nie odbyły. Ale się odbyły, w sposób wolny, i ustanowiły, że naród nie godzi się już na utratę wolności, dały komunistom tylko dwanaście procent i... Teraz oni twierdzą, że te dwanaście procent nie oddaje woli ludu, a raczej jest sprzeczne z wolą ludu, że ten wynik ich nie dotyczy. Również wczoraj, podczas publicznego zgromadzenia, przywódca komunistów Cunhal powiedział, że wynik wyborów jest nie do pogodzenia z rewolucją; wybory i rewolucja to dwa sprzeczne pojęcia, rewolucja ma własną dynamikę i nie potrzebuje głosowania, głosowanie to bierny gest i tak dalej. Nie traci okazji, by

dowieść za pomocą faktów, że najsilniejszą partią nie jest ta, która wygrała, czyli Partia Socjalistyczna, lecz ta, która przegrała, czyli Partia Komunistyczna. Odmawia uznania Ludowej Partii Demokratycznej, która uzyskała dwadzieścia siedem procent głosów, za drugą partię Portugalii. Nie czyni tajemnicy z chęci zepchnięcia jej na margines życia politycznego kraju. To typowy sposób komunistów dążących do władzy autorytarnej. Portugalscy komuniści nie są tacy jak komuniści włoscy, francuscy, czy hiszpańscy. Nie dostosowują się do zasad demokracji. Nie uznają ich.

*Sami komuniści, czy komuniści razem z wojskiem?*

W celu negocjowania wyniku wyborów posługują się nie tylko prasą, radiem, telewizją. Posługują się także związkami zawodowymi, które kontrolują w identyczny sposób. Istnieje przepis zapewniający prawo wyboru zarządu Intersindicalu, ale nie jest on przestrzegany. Tym sposobem również Intersindical stanowi ośrodek władzy komunistów, a raczej ośrodek przekazujący wolę komunistów. Wykorzystują ponadto lokalną administrację, niedawno znacjonalizowane przedsiębiorstwa, gdzie przeważa Ruch Ludowo-Demokratyczny, mała lewicowa partia, będąca właściwie przedłużeniem Portugalskiej Partii Komunistycznej. Stworzyli ośrodki władzy oparte na radach robotniczych przypominających rady delegatów z czasów rosyjskiej rewolucji. Za ich pomocą decydują o zatrudnieniu, zwolnieniach, jak jakiś urząd pracy albo karny, a kto nie jest komunistą, jest faszystą. To znaczy, kto nie jest z nimi, ten jest przeciwko nim. Tragedia. I to nie tylko dla Portugalii, lecz dla całej Europy, dla całego obszaru Morza Śródziemnego. Tragedia w szczególności dla europejskiej lewicy. Proszę pomyśleć, jak szkodzą Hiszpańskiej Partii Komunistycznej, samej Włoskiej Partii Komunistycznej. Włoscy komuniści są mi bliscy, czuję się do nich podobny, ponieważ wyznają demokratyczną koncepcję życia politycznego. I przykro mi, że portugalscy komuniści szkodzą również im. Ale portugalscy komuniści działają jedynie na korzyść reakcjonistów, prawicy.

*Sami komuniści, czy komuniści razem z wojskiem? Panie Soares, wiem, że zadaję panu niewygodne pytanie. Niebezpieczne. Ale zadanie go to obowiązek. Kto, jeśli nie wojsko, pozwala komunistom robić to, co chcą? Czy to nie wojsko dzierży władzę?*

To oczywiste, że władza centralna znajduje się w rękach wojska, siły napędowej i gwaranta ciągłości procesu rewolucyjnego. Partie pojawiły się później. Partie połączyły się z wojskiem za pomocą paktu konstytucyjnego; paktu, który w ogólnych zarysach wskazuje drogę, jaką należy podążać. To znaczy pluralistyczny, demokratyczny, wolny socjalizm. Jednak aż do

dzisiaj nie można powiedzieć, aby wojskowi zachowywali się w sposób totalitarny. Nie zapominajmy, że to oni poprosili partię o przyłączenie się, to oni chcieli wyborów, i to wbrew opinii komunistów. Gdyby chcieli zachowywać się jak dyktatorzy, nie obiecywaliby wyborów. Tymczasem je obiecali i przeprowadzili, po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat. Sprawili, że odbyły się bez aktów przemocy, po poprawnej kampanii wyborczej, która zapewniła propagandę wszystkich partii również w telewizji. Nie uchylił się od zobowiązania przeprowadzenia socjalistycznego procesu w poszanowaniu wolności, od zasady „bez wyborów nie ma demokracji”.

*Ale jaki sens miało przeprowadzenie wyborów, jeśli później ignorują ich wyniki albo nie wykorzystują swej władzy, by nakazać ich respektowanie?*

Na razie, do dzisiaj, do tej chwili to nie wojsko ignorowało wyniki wyborów. Robili tak komuniści.

*Niemniej jednak wojsko pozwoliło, by komuniści stali się niekwestionowanymi panami prasy, związków zawodowych, administracji. I stworzyli rząd, gdzie każda partia otrzymała dwa ministerstwa, nie biorąc pod uwagę czterdziestu procent uzyskanych przez socjalistów.*

Nie wymagam, aby wybory były w Portugalii wszystkim. Gdyby wybory były wszystkim, rząd wojskowy nie miałby racji bytu. Istniałaby normalna, polityczna demokracja. My nie mamy normalnej demokracji. Jeśli pani woli, nie mamy żadnej demokracji. Znajdujemy się w sytuacji, w której można najwyżej mówić o predemokracji. Rzeczywiście, władza jest skoncentrowana w rękach sił zbrojnych; władza uprawomocniona przez rewolucję, a nie przez powszechne wybory. Powoływanie się jedynie na wybory oznaczałoby, iż nie zdajemy sobie sprawy, że dziś w Portugalii należy łączyć te dwa źródła władzy. To znaczy rewolucyjną prawomocność sił zbrojnych i demokratyczną prawomocność wyborów powszechnych. Jedynie poprzez równowagę między tymi dwiema siłami można dojść do normalnej, politycznej demokracji.

*Czy taka równowaga istnieje?*

Cóż... w sumie... Istniała do wczoraj. W miarę.

*A dzisiaj?*

Jeżeli Cunhal nie przebierze się w szaty demokracji, jeśli jego komuniści nadal będą monopolizowali gazety, związki zawodowe i miejsca pracy, jeżeli utrwali się sytuacja, w której nie bierze się pod uwagę wyborów powszechnych, jeśli wojsko wszystko to zaakceptuje... Wtedy to koniec. Wpadniemy w pułapkę dyktatury. To jasne. Pewne.

### *Druga Albania czy Chile? Stalinowski reżim czy Pinochet?*

My, socjaliści, walczyliśmy o rozwiązanie, które nie doprowadziłoby ani do drugiej Albanii, ani do Kuby, ani do pojawienia się jakiegoś Pinocheta. Jednak zagrożenie Pinochetem wydaje mi się drugorzędne. Dobrze wiemy, jak powstają tacy Pinochetowie. Odbylem podróż do Chile i poznałem Allende, długo z nim rozmawiałem, poznałem przedstawicieli chilijskiej Partii Radykalnej; znam doświadczenia Chile. Moją troską, od chwili powrotu do Lizbony, było nieustannie to, by nie wpaść w taką sytuację, jak Chile. Wiem, że takie ryzyko istnieje. Wiem, że prawicowe ugrupowania, zwłaszcza za granicą, spiskują na rzecz prawicowego zamachu stanu. Rzekłszy to, potwierdzam, że kolejnym zagrożeniem, pierwszym zagrożeniem, jest stalinowska dyktatura. Ludowa demokracja, jaka marzy się Cunhalowi. Jego akty przemocy, jego prowokacje to ciągle przykręcanie śruby. A Ruch Sił Zbrojnych wydaje się niestety być coraz bardziej pod ich wrażeniem.

*Tu pana mam. Ale kim są ci wojskowi u władzy? Co naprawdę myślą? Jaka jest ich rewolucja? Jakie mają poglądy? Nowoczesny socjalizm, powierzchowny populizm, komunizm na modłę Cunhala?*

Jest wśród nich dużo anarchistycznego populizmu, przyznaję. Poza tym w ciągu ostatnich miesięcy zalała kraj straszna fala demagogii. Wszyscy chcą być bardziej lewicowi, bardziej rewolucyjni od innych. Bezustannie powtarzają, że trzeba zrobić wielką rewolucję, radykalną rewolucję, i martwią się tylko tym, by nie wyjść na umiarkowanych. Jest to moda, która przyczynia się do tego anarchistycznego populizmu. Jest to również moda, która prowadzi do szalonych czynów. Na przykład do zajmowania domów, zakładania szpitali, które utrzymują się jeden miesiąc. Znajduje się choćby czasowo niezamieszkały dom, zajmuje się go wobec braku czyjejkolwiek interwencji, zakłada się tam szpital, którego nikt nie kontroluje, i po miesiącu nie ma już ani domu, ani szpitala. Jest tylko *bagarre*, chaos. Jednocześnie zalewa nas fala nierealnych żądań za strony robotników lub tych, którzy twierdzą, że stoją po stronie robotników. Domagają się podwyżek pensji sięgających absurdu, i to nie dla polepszenia poziomu życia, lecz po to, by doprowadzić do bankructwa zakłady przemysłowe. Tym sposobem zakłady bankrutują, a pracownicy obejmują ich kierownictwo. Obejmują je jednak w sposób nieumiejętny, jako że nie mają żadnej wiedzy na temat zarządzania, i eksperyment kończy się katastrofą.

*Może tego właśnie chcą ci populiści, całkowitej katastrofy. Pretekstu, żeby powiedzieć: otóż to, wy, politycy, na niczym się nie znacie, teraz my, wojsko, weźmiemy kraj w swoje ręce i zrobimy porządek za pomocą kija.*

(Soares nie odpowiada i kontynuuje swoje rozważania).

Nie zostało jeszcze ustalone, do jakiego typu socjalizmu chcemy dojść. Socjalizm, który zrównuje wszystkich w biedzie, jak na Kubie, w Albanii lub w pewnych krajach Europy Wschodniej? My, socjaliści, tego nie chcemy; dla nas zbiorowa bieda to nie socjalizm. Dlatego mówimy: W porządku, przeprowadźmy wielką nacjonalizację, ale jak zamierzamy zarządzać tym, co znacjonalizujemy? Jaka jest rola robotników w tym zarządzaniu? Czy zarządzanie przedsiębiorstwami przypadnie robotnikom, czy biurokratom mianowanym przez państwo, przez jedną z partii? Dobrze, przeprowadźmy reformę rolną, ale kto wprowadzi ją w życie? Rolnicy czy państwo? My nie chcemy kapitalistycznego państwa, nie interesuje nas jedynie zmiana rządzącego. To nie wszystko, pozostaje sektor prywatny, czyż nie? A jeżeli pozostaje, to jaki? Jakiego bodźca możemy użyć wobec robotników, którzy produkują coraz mniej, a żądają coraz więcej; oferując im udział w zyskach, czy nic im nie oferując? Jak zachęcimy właścicieli, którzy nie zostali jeszcze znacjonalizowani; przywracając im wiarę w siebie czy każąc im żyć ze zgorą rzychłego wywłaszczenia? Odpowiedzią jest cisza.

*Muszę powtórzyć panu wcześniejsze pytanie, Soares. Czy to możliwe, że ci wojskowi ekstremiści dążą do całkowitej kontroli nad krajem i dlatego podsycają chaos?*

Musi pani zrozumieć, że w tej chwili wolę nie rozmawiać o sytuacji wewnętrznej w wojsku. Musi pani zrozumieć, że nie chcę i nie mogę pozwolić sobie na nieuczciwe interpretacje zachowań tych, którzy później oskarżyliby mnie o dywizjonizm. Kolejne słowo modne dziś w Portugalii... Muszę myśleć o Ruchu Sił Zbrojnych jako o jednolitej całości, która wierzy w wolny socjalizm, to znaczy w program, który wojsko podpisało z partiami. Wobec nich muszę się zachowywać, jak gdyby naprawdę byli jednością, a nie mieszaniną frakcji. Nie są mi potrzebne ich podziały. To oczywiste, że również wśród nich występują różne opinie. To oczywiste, że nie wszyscy mówią czy zachowują się w taki sam sposób. Jednak wobec nas, partii, postępują tak, jak gdyby się ze sobą dogadywali i podejmowali zgodne decyzje. I żywię nadzieję, że to się utrzyma, bo jeśli Ruch Sił Zbrojnych się podzieli, rewolucja w Portugalii nie będzie dłużej możliwa. A ja jestem za rewolucją. Jestem wewnątrz rewolucji.

*Postawmy sprawę tak: Czy jest pan pesymistą, jeśli chodzi o niebezpieczeństwo puczu w puczu?*

Jestem. I nie tyle ze względów politycznych, co przede wszystkim gospodarczych. Inflacja rośnie w zastraszającym tempie. Wyczerpujemy nasze rezerwy srebra i szykujemy się do wykorzystania naszych rezerw złota. Między tym, co konsumujemy, a tym, co produkujemy, istnieje rozdźwięk rzędu pięćdziesięciu sześciu miliardów escudos rocznie. Wszystkie konsekwencje wojny kolonialnej i nagłej zmiany ciężą na nas. Portugalski kapitalizm był rzeczywiście zawsze kapitalizmem wspieranym przez państwo; pasożytniczy kapitalizm kolonialnego wyzysku. Gdy państwo faszystowskie upadło, wszyscy kapitaliści uciekli za granicę. Wszystko porzucili. Następnie kapitalizm monopolistyczny dokonał reszty. W Portugalii istniało dziewięć grup ekonomicznych i były one skupione w bankach. Po znacjonalizowaniu banków i pozbawieniu tych dziewięciu grup przywódców całość gospodarczych kadr kierowniczych przeniosła się za granicę. Mówię o administratorach, zarządcach, ekonomistach, inżynierach, którzy schronili się w Brazylii, we Francji, w Hiszpanii. Ostatecznie nikt nam już nie ufa. Kto jest gotów nam zaufać? Kto jest gotów inwestować w Portugalii? Kraje socjalistyczne? Związek Radziecki?

*Załóżmy, że Związek Radziecki. Mogłoby mu się to opłacać.*

Nie sądzę. Nie sądzę, nawet jeśli dojdziemy do demokracji ludowej, totalitarnej. I pytanie, które komuniści powinni sobie zadać, zanim skubanizują Portugalię, brzmi właśnie tak: „Kto później uiszcza rachunek? Związek Radziecki?”. Na miejscu Cunhala bym na to nie liczył. Związek Radziecki nie może zarzucić sobie na plecy ciężaru komunistycznej Portugalii, drugiej Kuby. Kuba kosztowała go już zbyt wiele, zarówno pieniędzy, jak i problemów międzynarodowych. I przyniosła mu niewiele zysku, prawie nic. Czy opłaca się im więc powtarzać eksperyment z Portugalią? Nawet biorąc pod uwagę naszą pozycję geograficzno-strategiczną, cena byłaby zbyt wielka. Załóżmy jednak, że Związek Radziecki byłby skłonny nam pomóc, choć nie stalibyśmy się demokracją ludową, totalitarną. Wielu z nas chciałoby wiedzieć, czego zażądałby w zamian. Nie chcemy zostać skolonizowani przez imperializm amerykański, ale przez radziecki też nie. Podsumowując, niewiele jest dróg ratunku. W gruncie rzeczy możemy liczyć tylko na pieniądze od pracujących za granicą. Jest ich ponad milion i po ogłoszeniu wyniku wyborów ponownie zaczęli przysyłać nam pieniądze ze swoich zarobków. Powstaje jednak pytanie, czy nadal będą to robić teraz, gdy widzą, jak nikłe znaczenie ma ten wynik? Nie mówiąc już o turystyce. Ten chaos

z pewnością nie sprzyja turystyce. W Lizbonie hotele mają zaledwie dziesięcioprocentowe obłożenie. W miejscowościach letniskowych są puste. Przyjeżdża, dajmy na to, turysta i zastaje strajk w hotelu, strajk w restauracji...

*Jeżeli wszystko to ułatwia pucz w puczu, to dlaczego jest pan taki wspaniałomyślny wobec wojskowych?*

Ponieważ w tej chwili nie można się bez nich obyć. Jeżeli wrócą do koszar, zapanuje nieodwracalny chaos. Zanim odejdą, należy stworzyć system polityczny, mający za podstawę wolę ludu wyrażaną w wyborach. Nie wszyscy wojskowi stoją po stronie Cunhala, jak się pani wydaje. To pani opinia, która...

*Panie Soares, czy naprawdę wierzy pan w wolność podarowaną przez wojsko?*

Przede wszystkim trzeba przyznać, że są to bardzo szczególni wojskowi, poza tym należy powiedzieć, że wolność nie jest podarunkiem. Proces, który skłonił ich do obalenia Caetano, miał swoje źródło w masowej walce przeciwko faszyzmowi. W Europie o nas zapomnieliście, myśleliście, że śpimy. Ale nie spaliśmy, walka trwała, a wojskowi stanowią konsekwencję tej walki. Zresztą, czy zaraz po tym, jak pomyśleli o wszczęciu rewolty, nie skontaktowali się z opozycyjnymi ruchami? Proszę mi wierzyć, wolność, którą się dzisiaj cieszymy, jest osiągnięciem wszystkich. Do tego stopnia, że jeśli ktoś spróbuje nam ją ukraść, napotka wiele trudności. Teraz wszyscy rozmyślają, dyskutują, łączą się w zgromadzenia. Wczoraj na przykład MRPP, Reorganizujący Ruch Partii Proletariatu, aresztował kilka osób i oddał je w ręce pułku artylerii. Żołnierze z pułku zwołali zgromadzenie i przeprowadzili dyskusję na temat tego, czy zgodzić się na aresztowanie, czy nie.

*No tak, ale jaka była decyzja tego zgromadzenia?*

Zgoda na aresztowanie.

*Innymi słowy, z inicjatywy grupy ktokolwiek może dokonać aresztowania. Nie uprowadzenia, aresztowania.*

Tak. Cóż, tak. Panuje pewna anarchia.

*Następnie wojskowi zwołują zgromadzenie i mogą zatwierdzić aresztowanie.*

Tak. No tak.

*Po czym interweniuje Copcom, to znaczy policja wojskowa, i nadaje moc prawną aresztowaniu. Tak jak stało się z tymi osobami.*

Tak.

*Ponieważ Copcom jest najwyższą władzą, jeśli chodzi o aresztowania. Może zaaresztować, kogo chce.*

Tak.

*Również pana.*

Tak.

*I to pana nie niepokoi, nie wywołuje pańskiego oburzenia?*

Pani wie, że jestem prawnikiem i że zawsze walczyłem o prawa człowieka. Bronilem więźniów politycznych, utrzymywałem liczne kontakty z Amnesty International. Zależy mi na poszanowaniu człowieka, na prawach człowieka. Ale jednocześnie muszę przyznać, że znajdujemy się w sytuacji rewolucyjnej, w okresie przemian. Byłoby czymś nierealnym ludzić się, że rewolucja może się odbyć z formalnym poszanowaniem praw człowieka i ze wszystkimi rękojmiami należnymi obywatelowi. Oczywiście istnieje rewolucyjna praworządność, o którą my, socjaliści, walczymy, i nie możemy pozwolić, by zapanowały rządy samowoli, zasada, według której rację ma ten, kto głośniej krzyczy. Inaczej powstanie sytuacja, w której każdy będzie bronił się sam i każde ugrupowanie polityczne będzie miało własną milicję. Jeśli istnieją milicje, jeśli ugrupowania mogą sobie pozwolić na aresztowanie ludzi wedle własnego upodobania...

*Ależ dokładnie to dzieje się w ostatnich dniach, panie Soares.*

Tak. Często tak.

*Czy to prawda, że istnieją zbrojne grupy polityczne?*

To prawda. To oficjalne.

*Czy to prawda, że wojsko ich nie rozbraja?*

To prawda.

*Czy to prawda, że Partia Komunistyczna ma swoją milicję?*

Cunhal utrzymuje, że nie. A ja nie mogę twierdzić czegoś przeciwnego, jeśli nie mam na to dowodów. Mogę tylko stwierdzić, że my, socjaliści, nie mamy żadnej milicji. I być może jesteśmy jedyni.

*A gdyby rozpętała się wojna domowa?*

Nie mogę uwierzyć w wojnę domową między nami, lewicą. To byłaby kompletna anarchia. Należy znaleźć porozumienie wśród nas, w lewicy, inaczej wszyscy wypadniemy z gry. Komuniści muszą zdać sobie sprawę, że nie mogą kontynuować swoich ataków na nas,



socjalistów, swoich oszczerstw. Proszę sobie wyobrazić, że powiedzieli nawet, iż byliśmy zamieszani w próbę zamachu stanu 11 marca. Nie przejęli się nawet wynikami dochodzenia, przeprowadzonego przez komisję śledczą. Tymi, według których, gdyby zamach się udał, ja zostałbym rozstrzelany razem z Gomezem i Gonçalvesem. Insynuowali wręcz, że jestem człowiekiem Amerykanów. Dla Caetano i Salazara byłem człowiekiem Związku Radzieckiego, dla nich jestem człowiekiem Amerykanów...

*Taki jest los osób niezależnych.*

Ale ja nie jestem niezależny. Jestem socjalistą.

*Czy tutaj, w obecnych czasach, nie oznacza to tego samego?*

Tak, ale należy pamiętać, że na świecie istnieją nie tylko faszyci i komuniści, istnieje też trzecia siła, która jest siłą olbrzymią. Nazywa się wolny socjalizm. I siła ta, choć często przegrywała, powołana jest do zwycięstwa, bo jest to siła złożona z milionów, milionów ludzi. Można ich znaleźć w Europie, w krajach komunistycznych, w Ameryce, wszędzie na świecie. Wielu jest tych, którzy wierzą w wolny socjalizm. Gdyby tu, w Portugalii, udało nam się wygrać, stalibyśmy się sztandarem przeciw wszelkim prawicowym i lewicowym dyktaturom.

*Wygraliście, Soares. I proszę popatrzeć, jak się to skończyło.*

Wcale się nie skończyło.

*Odebrali wam nawet gazetę.*

Jeszcze nam jej nie odebrali.

*Miejmy nadzieję. I pytam pana: Czy zważywszy, jak układają się sprawy, nie obawia się pan, że podczas kolejnych wyborów głosy socjalistów przejdą na komunistów? Oczywiście zakładając, że w Portugalii nadal będą się odbywały wybory.*

Odpowiem pani z całkowitą szczerością. I zakładając, że w Portugalii nadal będą się odbywały wybory... Jeżeli opuszczą nas ci, którzy głosowali na socjalistów w nadziei zaprowadzenia pewnego porządku w chaosie, głosy te nie przejdą na Partię Komunistyczną. Przejdą na prawicę. Nie ma co do tego wątpliwości. W Portugalii Partia Komunistyczna może dojść do władzy tylko za pomocą siły. Na przykład zawierając sojusz z tym, kto ma władzę. I jeśli się to stanie, jeżeli przytłoczy nas komunistyczna albo wojskowo-komunistyczna dyktatura, niedługo po niej nastąpi prawicowy zamach stanu. A raczej skrajnie prawicowy. I na zawsze stracimy nadzieję na stworzenie w kraju bardziej sprawiedliwego, bardziej wolnego społeczeństwa. I zaszkodzimy całej Europie, przyczynimy się do kolejnych przewrotów gdzie

indziej. Nie twierdzą w ten sposób, że głosy, które otrzymaliśmy, nie były głosami socjalistów, głosami lewicy. W ogromnej większości były. Ale zawierały również pewną część głosów tych, którzy obawiali się rozwiązań totalitarnych i pokładali zaufanie w naszym pluralizmie; w naszej demokracji.

*Jeśli mówimy o pluralizmie, należy wspomnieć również o Ludowej Partii Demokratycznej; słusznie czy nie, otrzymała dwadzieścia siedem procent głosów. Kilka lat temu mówił pan, że włoska centrolewica stanowi fascynujący, niezwykle ważny eksperyment i w tym kierunku będzie należało podążać w Portugalii w dniu, w którym Portugalia odzyska wolność.*

Tak, mówiłem w ten sposób, ale w odmiennych okolicznościach. W strukturze kapitalistycznej moglibyśmy rzeczywiście wyobrazić sobie tego typu rozwiązanie. Dzisiaj nie. Po rewolucji, która zmieniła całą strukturę gospodarczą kraju, centrolewica to przeżytek. Myślenie o niej byłoby jednoznaczne z odrzuceniem procesu rewolucyjnego. Jednak Ludowa Partia Demokratyczna istnieje, odpowie pani, i jest drugą partią w Portugalii; co z nią zrobić? Do niej należy decyzja, co chce ze sobą zrobić, lecz według mnie nie pozostaje jej nic innego, jak włączyć się do nowej rzeczywistości. Nie pozostaje jej nic innego, jak pomóc nam w budowie socjalizmu, szukając punktów wspólnych. Zresztą, określa się jako socjaldemokracja. Na pewno nie może liczyć na odrębny układ z Partią Socjalistyczną. Nie chcemy odrębnych układów z nikim; ani z nimi, ani z komunistami. Wierzymy jedynie w koalicję wszystkich partii, w wachlarz, który obejmie nas wszystkich.

*W takim razie muszę pana poprosić o wyjaśnienie pańskiego socjalizmu, Soares. Na przykład w ten sposób: Czy jest pan marksistą?*

Marks mnie zainspirował. Ukształtowałem się politycznie, czytając klasyków marksizmu. Gdy byłem młody, bez przerwy czytałem Marksa, Lenina, a na uniwersytecie byłem członkiem komunistycznej młodzieżówki. Poznałem w tym okresie Cunhala, i prawdą jest, że wywarł wówczas na mnie pewien wpływ. Słuchałem go, szanowałem. Jednak nie on jeden na mnie wpłynął; również ojciec, demokrat i republikanin, ukształtował moje poglądy. Również socjaliści, których poznałem za jego pośrednictwem. Na przykład Benito Caraça, profesor ekonomii. Był bardzo lewicowym socjalistą, lecz jednocześnie wielkim liberałem i miał niezmiernie rozległą kulturę humanistyczną. I po wysłuchaniu go, około 1950 roku, zacząłem formułować bardzo krytyczną interpretację marksizmu. Doszedłem do wniosku, że nie można powoływać się na marksizm niczym na katechizm. Dziś marksizm jest dla mnie metodą, która

pozostaje przydatna w analizie ekonomicznej i społecznej, jednak musi jeszcze uznać zdobycze nauk ekonomicznych i techniki. Innymi słowy, marksizm jest dziś dla mnie elementem inspiracji, bynajmniej nie dogmatem.

*A do jakiego wprowadzonego już w życie socjalizmu nawiązuje pan, gdy mówi o socjalizmie?*

Powiedzmy sobie od razu, że wolny socjalizm nie został nigdy nigdzie wprowadzony w życie. Z jednej strony mamy doświadczenie socjalizmu autorytarnego, a z drugiej socjaldemokrację, funkcjonującą w systemie kapitalistycznym i monopolistycznym. Rozumie się, że gdybym był Niemcem, głosowałbym na Willy'ego Brandta. Nie ma co do tego wątpliwości i nie trzeba przypominać, że cała niemiecka klasa robotnicza popiera Willy'ego Brandta. Gdybym był Szwedem, głosowałbym na Olofa Palmego. Nie ma co do tego wątpliwości. Gdybym był Włochem, głosowałbym na Nenniego. Nie ma wątpliwości. Gdybym był Francuzem, głosowałbym na Mitterranda. Nie ma wątpliwości. Ale żaden z tych socjalistów nie pasuje do portugalskiej rzeczywistości. I jest to równie niewątpliwe. Doświadczenia Portugalii są zbyt odmienne od doświadczeń, które miały Włochy, Niemcy, Francja, Skandynawia, gdzie socjaldemokracja przyniosła pozytywne rezultaty. My musimy stworzyć dla siebie nową drogę, stosować bardziej radykalne zasady. Należy przeprowadzić wielkie reformy, nacjonalizację, należy oddać władzę robotnikom. A to trudne zadanie, niesamowicie trudne, gdy chce się utrzymać pluralizm, swobodną dyskusję i wolność we wszystkich jej aspektach. Codziennie należy korygować drogę, którą się podąża, rewidować teorie i zastanawiać się nad zastosowaniami, które z nich wyniknęły, poprawiać wybrany już model. Zmiana nastąpiła tutaj tak szybko. Życie polityczne i społeczne przeobraziło się tak nagle. Nie mieliśmy czasu na zastanowienie i często działaliśmy bez zastanowienia. Wszyscy jesteśmy nieco zagubieni, nieco oszołomieni.

*To uczciwe, lecz mrożące krew w żyłach wyznanie.*

Wiem. A wina nie leży po naszej stronie. Winny jest faszyzm. Nie można przezwyciężyć pięćdziesięciu lat faszyzmu w jeden dzień lub rok. I kiedy rzeka wystąpi z brzegów, zalewa wszystko, nie patrząc nikomu w oczy. Samo wojsko, które przerwało ostatnie zapory, jest tak bardzo zmieszane i zagubione. Próbuje odnowić swoją mentalność, a to powoduje sprzeczności, konflikty, które odbijają się na wszystkim. Proszę do tego dodać emocje, nieuniknione, gdy zbyt długo się je tłumilo. Potrzeba dużo zimnej krwi, by stawić czoło podobnej sytuacji. Wielu ludzi

nie postanowiło nawet, czy jest za Europą, czy za Trzecim Światem, a raczej w Europie czy w Trzecim Świecie.

*A pan postanowił?*

Ja twierdzę, że jesteśmy krajem europejskim, ale mówię również o Trzecim Świecie. Nie widzę wielkiej sprzeczności między polityką otwarcia wobec Trzeciego Świata a stopniowym jednoczeniem się z Europą. Poprzez kolonie byliśmy zbyt mocno związani z Trzecim Światem, nie możemy nagle z nim zerwać i zapomnieć o więzach z nim. Musimy pozostać jego dobrymi przyjaciółmi. Poza tym wstępem co można jeszcze powiedzieć na temat Trzeciego Świata? Cały nasz handel prowadzony jest z Zachodem. Zboże, mięso, podstawowe produkty przyjeżdżają do nas z Europy, ze Stanów Zjednoczonych, z Argentyny. Osiemdziesiąt procent z Europy. Nie możemy na przykład zrezygnować ze wspólnego rynku. Wpisuje się w to kwestia NATO i... Nikt w Portugalii nie chce zająć stanowiska w kwestii NATO, nawet komuniści. Ale ludzenie się, że możemy wystąpić z NATO, wydaje mi się co najmniej nierealne; nasze położenie geopolityczne jest takie, jakie jest. Możemy co najwyżej prowadzić politykę narodowej niezależności, jak Francuzi i Rumuni, zagrać o pewną autonomię. Pozostanie wewnątrz naturalnego bloku, jakim jest NATO, to jednak konieczność. Dlatego...

(Soares przerywa. Wszedł jakiś człowiek o wzburzonym wyglądzie i teraz szepcze mu coś na ucho. On słucha, niewzruszony, później lekki grymas niezauważalnie wykrzywia mu usta).

*Czy mogę wiedzieć, co się dzieje, panie Soares?*

Komunistyczni drukarze opublikowali „Repúblikę” na własną rękę. Tłum socjalistów pali egzemplarze na ulicy. Wojsko otoczyło siedzibę dziennika i trzyma ją w oblężeniu. Wydają się gotowi na wybór rozwiązania dla nas nie do przyjęcia – zamknięcia gazety. Kuba. Nie, to całkowita anarchia. Tutaj liczy się tylko siła fizyczna, indywidualna przemoc. Trzeba się będzie uciec do masowego buntu.

*I mówi to pan z takim spokojem? Czy nigdy nie wstrząsa panem oburzenie, pasja, pragnienie walki?*

Potrzeba zimnej krwi. I ja taki już jestem. Również kiedy byłem w więzieniu, leżąc na pryczy, spałem spokojnym snem. Nigdy nie potrzebowałem żadnej pigułki, żeby zasnąć.

*Rozumiem, godne podziwu. Ale czasami warto też cierpieć na bezsenność. A Francuzi mają takie powiedzenie: „à la guerre comme à la guerre”.*

Rzeczywiście jesteście na wojnie. I muszę tam iść. Muszę biec, teraz.

*Niech pan idzie. Niech pan biegnie. Proszę nie tracić dla mnie czasu. Jeszcze tylko ostatnie pytanie: A jeśli przegra pan tę wojnę do końca?*

Uważam, że dowiodłem, iż potrafię walczyć o wolność. Jeżeli sprawy w Portugalii nadal będą się układały w ten sposób, nie pozostaje mi nic innego, jak wrócić do tego, co robiłem zawsze: do walki o odzyskanie wolności.

*Lizbona, maj 1975*

## Drugi wywiad z Mário Soaresem

Wojna domowa stała teraz u bram. Utrzymywała Portugalię w stanie wyjątkowym, który mógł trwać zarówno kilka tygodni, jak i kilka miesięcy, a w możliwość jej uniknięcia nikt już nie wierzył. Panował zupełny chaos. Kompletna anarchia. Bezgraniczne zagubienie. Każdego dnia miało miejsce jakieś zaskoczenie, jakiś bezsensowny zwrot. Trwała była tylko niemoc, podsycana przez zarozumialstwo, niepewność, pustkę ideologiczną, podczas gdy przerażona władza rozpadała się na kawałki w rękach tego, kto się do niej dorwał. (Zwykle tego, kto był bardziej despotyczny lub szalony). Oficjalnie należała ona nadal do Ruchu Sił Zbrojnych, który obalił faszystowski reżim i ustanowił to, co nazywano rewolucją. Jednak Ruch Sił Zbrojnych, który jeszcze wczoraj wydawał się zwarty i jednolity, dziś objawiał wszystkie swoje pęknięcia. Łagodnie mówiąc, można było powiedzieć, że był podzielony na trzy nurty: komunistyczny Vasco Gonçalves, radykalizujący Otelo Saraivya de Carvalho, umiarkowany Ernesto Melo Antunesa. Mówiąc dokładnie, trzeba było przyznać, że był rozsypany na tyle frakcji, ilu było generałów, pułkowników, kapitanów. Jedyńm, który zabrał głos, by ujawnić rozkład i wezwać do odpowiedzialności, był Melo Antunes z dokumentem Grupy Dziewięciu. Ale nie wydawało się, by na wiele się to przydało, jako że nadal obawiano się rozlewu krwi na ulicach.

Armia już nie istniała. Nie istniało już nawet państwo. Uchodźcy zajmowali banki, księża organizowali rozruchy, żołnierze odmawiali służby wojskowej. Wykrzykiwali na przykład, że nie pojedą do Angoli, jeśli nie otrzymają pisemnej, poświadczonej przez notariusza gwarancji, że nie doznają tam najmniejszego draśnięcia. Politycy każdego dnia byli coraz bardziej wykluczani z gry. Żeby działać (a działali), musieli posługiwać się wojskowymi, sprzymierzając się z nimi niemal potajemnie. Każdy miał swojego. Cunhal miał Gonçalvesa. Soares miał Melo Antunesa. Maoiści mieli Otela. Co do innych, nie wiadomo. Ale wiadomo było, że najcięższa walka rozegra się między socjalistami a komunistami. O działającym Zgromadzeniu Ustawodawczym, powstałym w wyniku wyborów, nikt nawet nie wspominał. Na co by się to przydało? Kto by je szanował? Jeżeli weźmie się pod uwagę, że Otelo pozwolił uciec z więzienia pewnym ekstremistom po tym, jak ich aresztował, a teraz potajemnie ich odwiedzał, by z nimi studiować marksizm. To było coś nierealnego. Ponad rok wcześniej wydarzyło się w tym kraju coś, co sprawiło, że historia się zagmatwała i stała się nierealna. A może wykombinowała jakiś żart, happening? Nagle ci sami wojskowi, którzy przez czterdzieści lat stanowili kręgosłup faszyzmu,

wzniesli sztandar antyfaszyzmu i stali się obrońcami wolności. Jak gdyby źródłem wolności mogła być raptowna zmiana poglądów. Minimum, czego można się było po nich spodziewać, był kolejny nagły zwrot: zamach stanu w stylu Pinocheta. Imię Pinocheta nie schodziło z ust wielu ludzi. Wielu rozglądało się wokół, pytając, kto tutaj będzie Pinochetem? Wraz z wojną domową u bram stał również faszystowski zamach stanu. Miała wybuchnąć przed nim czy po nim? Spínola znajdował się niedaleko. Z Brazylii przybył do Paryża, gdzie ogłosił swój Ruch Wyzwolenia. A z Paryża pojechał do Madrytu; prawicowe, dobrze uzbrojone grupy obozowały na granicy portugalsko-hiszpańskiej. Czy to nie prawica wykorzystuje zawsze momenty szaleństwa? Słowo „nadzieja” padało niczym kamień, a słowo „katastrofa” miało smak przepowiedni. Jednak Soares wydawał się zadowolony, bo było jasne, że nowy rząd przyniesie więcej korzyści jemu niż Cunhalowi. Nie przypominał już spiętego, a nawet niepewnego siebie przywódcy, którego spotkałam trzy miesiące wcześniej, gdy wielki stalinowski przeciwnik zdawał się być najważniejszym człowiekiem w Portugalii. Jedząc z żywym apetytem (wywiad odbył się w restauracji mojego hotelu), mówił z wiarą i optymizmem, wydawał się być zaskoczony moimi wątpliwościami. Przede wszystkim zdawał się nie rozumieć pytania, które mu zadawałam: Czy jego zwycięstwo okaże się przejściowe, czy definitywne? Miał rację, jako że znał już odpowiedź i na koniec miał zostać premierem. Ale tak jak trzy miesiące wcześniej, gdy przeprowadziłam z nim wywiad i oceniłam go jako trochę niepewnego siebie, może nieco słabego, odpowiadał mi z przesadną ostrożnością lub wręcz robił uniki. Muszę przyznać, że nigdy nie zrozumiałam dobrze Mário Soaresa i w jego przypadku naprawdę do historii będzie należało ustalenie, kim był; człowiekiem, który ocalił Portugalię, czy człowiekiem, którego ocalił łut szczęścia. Na razie z całkowitą pewnością mogę o nim powiedzieć tylko to, że zawsze wydawał mi się bardzo kulturalnym i bardzo cierpliwym człowiekiem. Istotnie, nigdy nie miał mi za złe, że na początku potraktowałam go niezbyt wyrozumiale; „Proszę się tym za bardzo nie przejmować, nie pani jedna”, powiedział mi, opowiadając anegdotę o rzeźbie.

Soares jest jedynym bohaterem tej książki, któremu poświęciłam dwa rozdziały. Zrobiłam tak nie tylko dlatego, że oba wywiady odzwierciedlają szczególnie dla jego kraju moment, ale dlatego, że szczerze mówiąc, nie wiem, który z nich lepiej odmalowuje jego wewnętrzne oblicze.

*ORIANA FALLACI. Panie Soares, czy pamięta pan historyjkę, którą opowiedział mi pan w Neapolu trzy dni przed wyborami samorządowymi we Włoszech?*

**MÁRIO SOARES.** Jaką historyjkę?

*Tę o Anglika i Irlandczyku. Pewien Anglik pije sobie spokojnie w pubie, a Irlandczyk mu dokucza, szturchając go, obrażając. Anglik nie reaguje, pije dalej swoje piwo. Sytuacja się powtarza, dopóki Irlandczyk się nie zniechęca i nie rezygnuje. A nawet, gotów się pogodzić, wyjmując papierosa, zbliża twarz do Anglika i mówi: „Poproszę zapalną”. Ale Anglik zrywa się i buch, wymierza mu cios w brodę. Barman się oburza: „Jak to? Prowokował pana godzinami i pan nie zareagował. Potem poprosił o zapalną i powalił go pan na ziemię. Nie mógł się pan zdecydować wcześniej?”. Na to Anglik: „Nie, bo nie znajdował się w odpowiednim położeniu”. Panie Soares, wymierzył pan ten cios Cunhalowi, czy nie?*

Nie do mnie należy odpowiedź. Pani musi odpowiedzieć. Wymierzyłem?

*O, tak. Chyłkiem, chyłkiem, wymierzył go pan, tak. Nie wmówi nam pan, że wydarzenia ostatnich tygodni zostały podarowane przez Opatrzność. A porażka Cunhala jest wielka. Ale do kogo należy zwycięstwo? Do pana, do wojskowych czy do Amerykanów?*

Na pewno nie do Amerykanów. Aby wygrać bitwę, trzeba tę bitwę stoczyć, a nie sądzić, by Amerykanie zrobili cokolwiek, by obalić Gonçálvesa. Mają bardziej subtelne i skuteczne sposoby, by mieszać się w cudze sprawy; nie zapominajmy, że setki, jeśli nie tysiące portugalskich oficerów na wygnaniu organizują w Hiszpanii i wszędzie prawicowy przewrót. Nie tylko Spínola chce wrócić do Lizbony. Zwycięstwo należy więc do tych, którzy go pragnęli, to jest do niekomunistycznych sił demokratycznych. Jest to przede wszystkim zwycięstwo nasze, socjalistów. Czy Gonçálves nie był człowiekiem Cunhala, człowiekiem, na którego liczył, by wprowadzić komunistyczną dyktaturę? Nikt już w to nie wątpi, a zastanawianie się, czy Gonçálves jest zapisany do Portugalskiej Partii Komunistycznej, jest zbyteczne; jego język i jego zachowanie są typowe dla komunisty. Nie potrafię pojąć, jak mogłem nie zrozumieć tego wcześniej, ufać jego dobrym zamiarom. W każdym razie fakt, że Gonçálves poniósł porażkę jako premier, a później jako szef sztabu głównego, odrzucony przez naród i większość sił zbrojnych, jest bardzo ciężkim ciosem dla Cunhala.

*Ten, kto upadnie, może wstać. I nie jest powiedziane, że człowiek tak zdecydowany jak Cunhal pogodzi się z tym, co wydarzyło się w tych dniach. To ostateczne czy przejściowe zwycięstwo?*

Wczoraj rozmawiałem z pewnym europejskim przywódcą komunistycznym. Nie mogę zdradzić, z kim. Przybył do mnie w odwiedziny i pytał: „Ale dlaczego się nie dogadacie, wy, socjaliści i komuniści portugalscy? Co można zrobić?”. Odpowiedziałem mu, że błędy Cunhala



są zbyt liczne i zbyt wielkie. Na przykład to jego powtarzanie, że w Portugalii istnieje tylko jedna alternatywa: komunizm albo faszyzm. Planem Cunhala było i nadal jest to, co wyznał w wywiadzie, którego udzielił pani w czerwcu tego roku: dojść do komunistycznej dyktatury przy poparciu jednej z frakcji sił zbrojnych. A planowi temu sprzeciwił się prawie cały naród, jak również osiemdziesiąt procent sił zbrojnych, co w efekcie doprowadziło do odizolowania Portugalskiej Partii Komunistycznej od mas ludowych. Dziś straciła ona prestiż i wiarygodność w całym kraju. Nie ma prawa wstępu do żadnego regionu na północ od Tagu, napotyka niezliczone trudności nawet na południu. Została wykluczona z sojuszy ze skrajną lewicą, tych samych sojuszy, których pragnęła. Przegrała w wyborach w związkach zawodowych, i to właśnie w związkach, w których stanowiła lwią część, jak związek bankowców i urzędników. W końcu przegrał Gonçaves, to znaczy człowiek, na którego postawiła wszystkie karty. Ma już za sobą jedynie dwa procent kraju. Bardzo, bardzo krytyczna sytuacja.

*Tak, jednak powtarzam, że nie jest powiedziane, iż się podda.*

Jak powiedziałem temu europejskiemu przywódcy komunistycznemu, Cunhal stoi dziś przed dylematem. Ma dwa rozwiązania. Jedno to dalsze antydemokratyczne spiskowanie, nakłanianie wojskowych do nietrwalej przygody z konfliktem zbrojnym. Mówię „przygoda” i „nietrwala”, ponieważ dzięki konfliktowi zbrojnemu może odnieść jedynie chwilowy sukces. Nie ma po swojej stronie większości wojska. Drugie to uznanie, że nie jest już w stanie zdobyć władzy w sposób niedemokratyczny, i zaakceptowanie w związku z tym demokratycznej gry. Ale to oznacza całkowitą rewizję jego szalonej polityki. Oznacza rozpoczęcie od nowa, w okropnych warunkach, by odzyskać to, co stracił. Oznacza odbudowywanie jego autorytetu, który był tak wielki w Portugalii i wśród komunistów na całym świecie. Oznacza poproszenie o wybaczenie błędów, które popełnił, a które wybaczą mu już tylko stronnicy. Mówię o jego zygzakach. Na przykład jego dążenie do wyeliminowania socjalistów, a następnie próba zbliżenia się do nich. Albo ubliżanie skrajnej lewicy, a później sprzymierzanie się z nią. Mówię o nadszkakiwaniu wojskowym, na wszystkie sposoby i przy każdej okazji. Co mu przyszło z biegania na lotnisko za każdym razem, gdy odlatywał lub wracał jakiś generał? Ja, kiedy mnie pytano: „Dlaczego również ty nie nadskakujesz wojskowym”, odpowiadałem: „Nie ma potrzeby. Gdy wojskowi zorientują się, że nie mogą rządzić bez poparcia narodu, odrzucą Cunhala. I wtedy poszukają mnie. Poszukają Portugalskiej Partii Socjalistycznej. Bo ona ma poparcie narodu”.

*Bądźmy szczerzy, panie Soares; do tej porażki Cunhala doszło nie tylko na skutek jego błędów taktycznych i pewnego braku rozważli. Doszło do niej również na skutek tego, co przydarzyło mu się na północy. Ataki na siedziby komunistów, pożary siedzib komunistów. Zresztą dobrze zorganizowane.*

Czy jest pani pewna, że były zorganizowane? Jest pani pewna, że nie były spontaniczne albo w większości spontaniczne? Te wydarzenia wywarły wielkie wrażenie w Europie, wiem o tym. Wszyscy komuniści europejscy zerwali się na równe nogi, krzycząc, że Portugalska Partia Komunistyczna stała się obiektem prześladowań. Ale prawda jest zupełnie inna. Prawda jest taka, że jeszcze dziś w Portugalii komuniści są prześladowcami, a nie prześladowanymi. Nawet na północy. Kto dzierży w ręku aparat państwowy, upaństwowione przedsiębiorstwa, magistraty? Kto rozdziela miejsca pracy i pieniądze? Kto tyranizuje robotników niebędących komunistami albo sprzeciwiających się komunistom? Przemoc wobec komunistów słusznie was oburzyła, ale była i jest reakcją na ich przemoc. Reakcją spontaniczną, podobną do tej, która miała miejsce na Węgrzech w 1956 roku, a w Czechosłowacji w 1968. I dobrze wiem, że pomogła ona komunistom, czyniąc z nich ofiary, a więc kogoś sympatycznego. Ale to nie oni są ofiarami. Proszę porozmawiać z robotnikami i chłopami z północy. Proszę ich zapytać, kto zginął w tych zamieszkach. Odpowiedzą: ten, kto protestował przeciw komunistom. Bo strzelali zawsze komuniści, nie manifestanci.

*Miało miejsce polowanie na komunistów, panie Soares; być może zorganizowane przez element faszystowski, biskupów reakcjonistów...*

Jest pani pewna, że to byli faszyci? Co do biskupów reakcjonistów, nie neguję reakcyjnych poglądów części tych, którzy wzięli udział w zamieszkach. Twierdzą jednak, że należy wziąć pod uwagę niechęć wywołaną przez komunistów w Kościele i w katolikach. I to właśnie w momencie, gdy Kościół miał stanąć po naszej stronie. Proszę pomyśleć o zajęciu Renascença, katolickiego radia. Komuniści ukradli je dokładnie tak, jak ukradli dziennik „República” socjalistom. Co na przykład wydarzyło się w Bradze? Manifestacja popierająca biskupa, właśnie na skutek kradzieży radia Renascença. Po zakończeniu manifestacji demonstranci udali się w kierunku dworca autobusowego, by wrócić do swoich wiosek. Dworzec znajduje się dokładnie obok siedziby Partii Komunistycznej. Z okien siedziby komuniści zaczęli krzyczeć: „Barany, reakcyjniści, zaprzędani klechom”. Katolicy zareagowali. Zaczęli odpowiadać wyzwiskami, rzucać kamieniami w okna. A komuniści zaczęli strzelać w tłum.

*Muszę powiedzieć panu coś nieprzyjemnego, panie Soares; wiele osób sądzi, że wydarzenia na północy stanowią część socjalistycznej strategii. Strategii Anglika czekającego, aż broda Irlandczyka znajdzie się w zasięgu jego pięści.*

Przysięgam pani z całą możliwą stanowczością, że my, socjaliści, nie mamy nic wspólnego z tą paskudną historią. Przysięgam pani z całą możliwą stanowczością, że żaden działacz socjalistyczny nie mieszał się nigdy do tych ataków i że w wielu sytuacjach działacze socjalistyczni spieszyli z pomocą komunistom. Zresztą publicznie potępiliśmy te wydarzenia, w tym samym duchu i w sposób równie zdecydowany, w jaki potępiliśmy działania skierowane przeciwko Chrześcijańskiej Demokracji. Jednak potępiając je, musimy jednocześnie spróbować je zrozumieć. Musimy się zastanowić, dlaczego rozpętała się ta powszechna wściekłość, dlaczego naród, który był gotów dobrze przyjąć komunistów, nagle obrócił się przeciwko nim. Proszę mi wierzyć; to, co stało się i nadal się dzieje na północy, nie jest rezultatem reakcyjnych manewrów; reakcja nie ma wśród ludu żadnego autorytetu. To, co się stało i nadal się dzieje na północy, jest rezultatem arogancji i brutalności portugalskich komunistów. Stanowi konsekwencję polityki Portugalskiej Partii Komunistycznej. A raczej jej kierownictwa, które w ciągu roku wywołało większy antykomunizm niż ten głoszony przez pięćdziesiąt lat przez propagandę Salazara i Caetana.

*Twierdzi pan, że to osobista wina Cunhala?*

Tak. Margines jego osobistej odpowiedzialności jest duży, gdyż ma on wielki, decydujący wpływ na Portugalską Partię Komunistyczną. Ma niepodważalną i niezaprzeczną władzę. Znam jego komitet centralny, jego sekretariat; wiem, do jakiego stopnia towarzysze Cunhała są przez niego zdominowani. I dodam: jestem marksistą, marksistą niedogmatycznym, ale jednak marksistą. Jako taki zawsze uważałem, że ludzie są narzędziami lub odtwórcami historii, że o wielkich ruchach historycznych nie decydują jednostki. Jednak po tym, co zobaczyłem w Portugalii, zaczynam wierzyć w przypadek nosa Kleopatry.

*Pascal: „Gdyby nos Kleopatry był krótszy, cała historia wyglądałaby inaczej”.*

O, tak. Człowiek jest ważny, jest ważny.

*Ze swymi uczuciami, a także urazami. Czasami mam wrażenie, że między panem a Cunhalem toczy się prywatna wojna.*

Och, nie! Nie. Przeciwnie. Przynajmniej z mojej strony. W młodości żywiłem do niego wielki podziw z powodu jego inteligencji, jego odwagi, jego wiary. Wie pani, że był moim

profesorem w kolegium prowadzonym przez mojego ojca. Tak, profesorem, a nie woźnym, jak opowiedział pani podczas wywiadu. Może powiedział pani, że był woźnym, by nadać sobie bardziej proletariacki ton; był już wówczas magistrem prawa i mój ojciec zatrudnił go na zastępstwa jako profesora nauk humanistycznych, historii, filozofii. Nie zatrudnił go jako normalnego profesora, jako że musiałaby wydać na to zezwolenie PIDE, a przez Pide był już wcześniej aresztowany i notowany jako komunista. Jak mówiłem, podziwiałem go. Był tylko dwanaście lat starszy ode mnie, wówczas szesnastolatka, ale bardzo go podziwiałem. I podziwiałem go jeszcze bardziej, gdy wytoczono przeciwko niemu proces; zachował się wspaniale. Dumny, odważny. Należy złożyć mu za to hołd. Pamiętam jego mowę obrończą; trwała trzy godziny i nie była to nawet mowa obrończa, to był atak na Salazara. Wzorcowy atak; wywarł na mnie tak wielkie wrażenie. Zresztą, wzorcowe było również jego zachowanie w więzieniu; byłem poinformowany, bo codziennie widywałem jego ojca, który występował jako jego adwokat na procesie. To nieprawda, że jego ojciec był biedakiem, jak powiedział pani podczas wywiadu. Jego ojcem był Evelino Cunhal, wielki adwokat i znamienity profesor historii. A jego matka była damą z bogatej burżuazji, żarliwą katoliczką. Żyli bardzo dostatnio. Wiem o tym, często odwiedzałem ich rodzinę.

*Ale po co Cunhal miałby mi mówić tyle drobnych kłamstw na temat swojego życia?*

Nie wiem. W pewnych sprawach ja również nie rozumiem Cunhala. Na przykład powiedział pani, że nigdy nie był na wygnaniu ani w Pradze, ani w Moskwie, i przedstawił rzecz w ten sposób, by uwierzyła pani, że był na wygnaniu w Paryżu. To nieprawda. Wiele razy spotkałem go na wygnaniu i spotkałem go również w Pradze. A pewna osoba powiedziała mi, że mieszkała z nim w Moskwie przez cztery lata. Faktem jest, że Cunhal uwielbia otaczać się tajemnicą. Nikt nie wie na przykład, czy jest żonaty, czy nie; jego małżeństwo stanowi tajemnicę państwową. Mówi się, że ma córkę, ale to również należy do tajemnicy. Dlaczego? Ja mam córkę i jestem z niej taki dumny; wszystkim ją przedstawiam. Jednak mój adres i numer telefonu znajdują się w książce telefonicznej; adres Cunhala jest tajny. Och, tak, Cunhal to człowiek osobliwy, pełen sprzeczności. Gdy byłem ministrem i zbierał się rząd, obserwowałem go i myślałem: jest niezwykle opanowany, ale czasami jego równowaga się załamuje, istnieje jakby rozłam między jego zdolnością rozumowania a jego wrażliwością. W tym samym stopniu, w jakim jego rozumowanie jest mądre, jasne, jego wrażliwość jest znikoma. Myślałem później: może zbyt długo był w więzieniu, na wygnaniu. Ja również byłem w więzieniu, ale krótko.

Powiedzmy, że jednorazowo sześć miesięcy. Ja również byłem na wygnaniu, ale krótko: powiedzmy, że kilka lat. On natomiast spędził trzynaście lat w więzieniu, czternaście na wygnaniu, dziesięć w ukryciu; przez prawie czterdzieści lat żył z dala od portugalskiej rzeczywistości. Jak ma ją teraz zrozumieć?

*Myśli pan, że skończy się to tak, że zostanie odsunięty na bok za zgodą Moskwy?*

Słychać wiele szeptów na ten temat. Mówi się dużo o Alboimie Inglêsie, który dopiero co przybył z Moskwy. Podobno z misją zastąpienia Cunhala. Ale szczerze mówiąc, wątpię w to. Przede wszystkim dlatego, że jak powiedziałem, jest on bardzo silny w łonie Portugalskiej Partii Komunistycznej i nikt nie może go kontrolować. Poza tym dlatego, że struktura partii oparta jest na władzy lidera i trzeba by było trzęsienia ziemi, by ruszyć lidera. W końcu dlatego, że ma poparcie Związku Radzieckiego, który również za pośrednictwem swoich gazet, w szczególności „Prawdy”, powtarza zawsze teorie Cunhala. Co jest oczywiste, jako że Cunhal systematycznie odnosi się do doświadczeń radzieckich z 1917 roku i odrzuca jakąkolwiek inną drogę do socjalizmu. I tutaj proszę mi pozwolić dokończyć odpowiedź na pani pytanie o rzekomą rywalizację między mną a Cunhalem. Wie pani, dlaczego nie może istnieć rywalizacja między mną a Cunhalem? Ponieważ ja jestem do głębi demokratą, nigdy nie rozważałem możliwości narzucania się, nie będąc wybranym, i czułbym się zhańbiony, dochodząc do władzy wbrew woli narodu. Cunhal natomiast jest głęboko antydemokratyczny, nie interesuje go bycie wybranym, chce przeprowadzić swoją osobistą rewolucję wbrew woli ogółu. I być może myśli, że działa dla dobra Portugalii; ale w gruncie rzeczy również Salazar tak myślał. Tak więc jego poglądy są takie same, jak Salazara. Zmienia się tylko kolor.

*Wróćmy do ciosu w brodę Irlandczyka, panie Soares, i przyjrzyjmy się jego konsekwencjom. Wybuchnie wojna domowa czy nie?*

Cóż! Ryzyko jest wielkie. Mówię tak od sześciu miesięcy, a teraz mówi tak nawet komunistyczna prasa. Wojna domowa... Próbujemy wszystkiego, by jej uniknąć. Sądzę, że są pewne szanse, by jej uniknąć.

*Tylko pewne?*

Tak... Pewne szanse... *Il y a des chances... Il y a des chances...*

*Nie wydaje się pan zbyt przekonany.*

Widzi pani, gdy przeprowadzała pani poprzedni wywiad ze mną i z Cunhalem w maju i czerwcu, byłem przekonany, że znajdujemy się u progu komunistycznych rządów w Portugalii.

Albo lepiej, wojskowej dyktatury komunistycznej w Portugalii. Dyktatury sprawowanej przez Cunhala i Gonçalvesa. Zbyt wiele na to wskazywało, między innymi kradzież dziennika „República”. Wystąpiłem więc z rządu razem ze wszystkimi socjalistami i wielu krytykowało mnie, mówiąc, że w ten sposób pozostawiłem wolną drogę Cunhalowi. Było odwrotnie. Kłopoty Cunhala zaczęły się właśnie wraz z wystąpieniem socjalistów z rządu. Rzeczywiście, żeby to zrównoważyć, Cunhal szukał porozumienia z Otelem Saraivą de Carvalho, przewodniczącym Copconu. Otelo odwrócił się do niego plecami, Cunhal pozostał sam z Gonçalvesem i sytuacja pogorszyła się w sposób, jaki znamy. Stąd bunt i dokument Grupy Dziewięciu, pod przywództwem Melo Antunesa. Stąd kryzys w łonie sił zbrojnych i upadek Gonçalvesa. Używając pani przykładu, Irlandczyk leży teraz na ziemi. Jednak leży na ziemi, skompromitowany na oczach kraju i międzynarodowej opinii publicznej, i musi dokonać wyboru: demokratyczna gra czy przejęcie władzy siłą? Obawiam się, że Cunhal nie podda się demokratycznym regułom gry. Jego strategia stałaby się niezrozumiała, głupia, gdyby nie miał zawsze na celu przejęcia władzy siłą. A przejęcie władzy siłą oznacza jedno: zbrojną konfrontację, wojnę domową. My nie chcemy wojny domowej. I nie chce jej grupa Melo Antunesa, to znaczy większość Rady Sił Zbrojnych. Ale jeżeli komuniści rzucą się na głęboką wodę...

*Z jakim wynikiem? Niedawno mówił pan, że dla komunistów byłby to co najwyżej chwilowy sukces.*

Gonçalves dysponuje komunistycznymi i popierającymi komunistów generałami, takimi jak Corvacho, który dowodzi jednostkami stacjonującymi na północy, ale nie dysponuje tymi jednostkami. Również ostatnio oddziały Corvacho odmówiły strzelania i zgodziły się na wykonywanie manewrów pod jednym warunkiem: że nie będą mieć nabojów w lufie. Żołnierze w ogromnej większości nie są komunistami. Żołnierze reprezentują lud, są ludem. Wśród żołnierzy istnieją komórki komunistyczne, a komórki komunistyczne są bardzo zdyscyplinowane, wiadomo. Ale czy wystarczą, by wpłynąć na pułk, na dywizję? Prawie wszyscy oficerowie stoją po stronie Melo Antunesa, jak już powiedziano, również lotnictwo, dzięki swojemu dowódcy, którym jest Morais e Silva. Gonçalvesowi pozostaje tylko marynarka ze swymi fizylierami. Fizylierzy marynarki wojennej to elitarna grupa. Jednak jest ich niewielu. Cunhal twierdzi, że ma uzbrojone oddziały milicji ludowej, zwłaszcza w Lizbonie. Przypuśćmy, że są silne i zdecydowane, i połączmy je z oddziałami Piątej Dywizji, która jest komunistyczna; różnica sił

nadal pozostaje zbyt wielka. Gonçaves może osiągnąć chwilowy sukces w Lizbonie, ale później? Powtarzam wciąż, Gonçaves, a nie Cunhal, ponieważ decyzja o rzuceniu się na głęboką wodę należy do Gonçavesa. W tym wypadku Cunhal po prostu go wykorzystuje.

*Jakim człowiekiem jest ten Gonçaves?*

Och nie, nie jest antypatyczny. Ani trochę. Przeciwnie, jest bardzo sympatyczny, bo to idealista. Prawdziwy. Naprawdę wierzy w to, co robi, choć może w naiwny sposób. Oczywiście to człowiek, który pozwala sobie na ekscesy, ale w kontaktach międzyludzkich jest nieśmiały. W rządzie, na przykład, nigdy się z nim nie kłóciłem; zawsze był skłonny do szukania kompromisu, porozumienia. Staje się zdecydowany tylko w obliczu tłumu, w sytuacjach kryzysowych i mając Cunhala u boku.

*A Melo Antunes jakim jest człowiekiem?*

Och, on nie jest wojskowym, to polityk. Co najwyżej wojskowy intelektualista. Ma wspaniały polityczny umysł, jest najmądrzejszy ze wszystkich i jest silny również pod względem moralnym. On nie czekał do 25 kwietnia, by opowiedzieć się jako antyfaszysta; w 1969 roku zgłosił swoją kandydaturę w wyborach, rzucając wyzwanie Caetanowi. Znam go od tego czasu, od tego czasu jesteśmy przyjaciółmi. I mimo że nie istnieje żaden sojusz między Partią Socjalistyczną a Grupą Dziewięciu, między mną a Melo Antunesem, muszę powiedzieć, że nasze programy w pełni się pokrywają. Melo Antunes wie dobrze, że Partia Socjalistyczna stoi po jego stronie.

*A nowy premier, admirał Pinheiro de Azevedo?*

To bardzo prostoliniwny, bardzo szczery i bardzo emocjonalny człowiek. W Portugalii o ludziach takich jak on mówi się, że mają serce na ustach. Słowem, aż za często mówią to, co myślą. On sądzi, że jest bardzo silny, również zbrojnie, i ogłasza to. Ale należy sprawdzić, czy się nie łądzi; z pewnością nie jest osobą stworzoną do prowadzenia polityki. Również dlatego, że to wojskowy, któremu trudno przychodzi słuchanie innych. Twierdzi, że ideologicznie stoi pomiędzy socjalistami a komunistami; nie wiem, co przez to rozumie. Dlatego trudno przewidzieć, co z nim dalej będzie.

*A Costa Gomes, prezydent?*

Oto wielka zagadka, wielki znak zapytania: Costa Gomes. Jakie jest stanowisko Costy Gomesa? Kim naprawdę jest Costa Gomes? Przede wszystkim nie jest prawdziwym wojskowym; w wojsku był inżynierem ze stopniem pułkownika. Mianowano go generałem brygady podczas

rewolucji. Dlatego nie ma swego lobby w strukturach wojskowych, jak Gonalves, Otelo i Antunes; jednak ma w wojsku autorytet. I ma wielkie ludzkie doświadczenie wśród wojskowych, zna wojskowych. Costa Gomes jest magistrem matematyki; jaką grę prowadzi? Na pierwszy rzut oka poczynił wiele ustępstw wobec komunistów i nadal je czyni. Jednak zawsze używał zupełnie innego języka niż komuniści, niż Gonalves. Jedyłą pewną rzeczą na temat Costy Gomesa jest to, że dręczy go myśl o zbrojnej konfrontacji i chce jej uniknąć. Robi wszystko, by jej uniknąć i...

*Ale co robicie, aby jej uniknąć?*

Można zrobić tylko jedno – praktykować sztukę perswazji wobec Gonalvesa i Cunhala. Ja na przykład próbuję odwieść Cunhala od tego zamiaru, organizując spotkanie między europejskimi partiami socjalistycznymi i komunistycznymi. Bo widzi pani, po wydarzeniach na północy kampania solidarności z portugalskimi komunistami rozprzestrzeniła się, zwłaszcza w Europie. A to za sprawą Francuskiej Partii Komunistycznej, która ją wypromowała. Solidarność międzynarodowa to wspaniała sprawa, ale staje się czymś dyskusyjnym, gdy oparta jest na błędnych informacjach. Trzeba wytłumaczyć europejskim partiom komunistycznym i socjalistycznym, na czym polega ta portugalska rewolucja i jak diaboliczna, a raczej nierozważna jest strategia Portugalskiej Partii Komunistycznej. Ani Włoska Partia Komunistyczna, ani Hiszpańska Partia Komunistyczna, ani Francuska Partia Komunistyczna nie zamierzały nigdy pogrążyć państwa, niszczyć krajowej gospodarki, wywoływać totalnego chaosu dla zaprowadzenia komunistycznej dyktatury. Przeciwnie, uważają one, a Włoska Partia Komunistyczna jest tego najlepszym przykładem, że tylko w ramach rozwiniętego kapitalizmu można stworzyć demokrację propagującą socjalistyczne społeczeństwo. To znaczy, aby dojść do socjalizmu, nie trzeba niszczyć istniejącego demokratycznego państwa; nie trzeba i nie można poświęcać politycznej demokracji i swobód, które stanowią decydujące osiągnięcie. Chociaż są to swobody burżuazyjne, jak mówi Cunhal. Nie jest to wcale problem czysto teoretyczny i dotyczy co najmniej czterech krajów w Europie: Włoch, Hiszpanii, Francji i Portugalii. Jeśli partie komunistyczne tych czterech krajów zdołają przekonać Cunhala o korzyściach płynących ze spotkania, być może zdołają go również przekonać o konieczności uniknięcia wojny domowej.

*Niech mi pan spojrzy prosto w oczy, Soares. Jak dalece wierzy pan w możliwość uniknięcia wojny domowej?*



Portugalczyki różnią się bardzo od Hiszpanów. Są bardziej ugodowi, bardziej elastyczni. Nie znajdują upodobania w przelewaniu krwi. Gdyby wszystko to wydarzyło się w Hiszpanii, wojna domowa już by wybuchła. Jednak nie jesteśmy również świętymi i istnieją już oznaki, że nasz pacyfizm zaczyna się kruszyć. Wszystkie te samochody, wojskowe i nie, które znajduje się pełne amunicji. Cały ten brak umiaru. I w miejscu, do którego doszliśmy w konflikcie z komunistami, gdzie stoczył się kraj...

*Nawiązuje pan do anarchii, która wstrząsa Portugalią?*

Tak. Opowiem pani o dwóch wydarzeniach. Kilka dni temu miała miejsce manifestacja przeciwko wysłaniu żołnierzy do Angoli, zorganizowana przez samych żołnierzy. Wczoraj wchodzę do hotelu i widzę pięciu lub sześciu młodzieńców z policji wojskowej, wie pani, tych w kombinezonach maskujących. Otaczają mnie i mówią: „Panie Soares, powiedzieli panu, że parę dni temu próbowaliśmy zabić premiera?”. Otworzyłem usta ze zdziwienia: „Co?! Jak?!”. Na to oni: „Tak, tak. Byliśmy na manifestacji i pojawił się Gonçaves, jadący swoją limuzyną do Belem w eskorcie motocyklistów. Rzuciliśmy się na motocyklistów, a później na limuzynę Gonçavesa. Kopaliśmy ją, próbując otworzyć drzwi, i już prawie się nam udało, kiedy kierowca wykonał manewr i zdołał uciec”. Gdy opowiedziałem to Gomesowi, odrzekł: „Ach, tak. Słyszałem. To bardzo poważna sprawa”. Drugie wydarzenie. Przedwczoraj Bank Angoli został zajęty przez uchodźców, którzy chcieli wymienić swoje angolskie escudos na escudos portugalskie. „Okradziono nas, chcemy zwrotu naszych pieniędzy”, krzyczeli. Wojsku udało się ich wyprowadzić i następnego dnia rano staliśmy przed prezydentem republiki, który zadowolony opowiadał nam o wyniku operacji. Był w trakcie opowiadania, gdy zadzwonił telefon – bank został zajęty ponownie. Uchodźcy weszli grupą po ponownym otwarciu drzwi i teraz twierdzą wręcz, że chcą tam spać.

*Jednak wojna domowa rozgrywa się przy dwóch barykadach, nie trzech. A przeciwko komunistom Gonçavesa i Cunhala opowiadają się nie tylko socjaliści Soaresa i Melo Antunesa. Są również radykałowie Otela. Jednocześnie Otelo nie stoi wcale po stronie Soaresa i Melo Antunesa, a więc...*

Ja uważam, że Otelo jest demokratą i rewolucjonistą. Być może wywiera na niego wpływ skrajna lewica, ale nikt nim nie manipuluje. Dość często zmienia zdanie, to prawda, wygłasza dość oryginalne deklaracje. Wystarczy przypomnieć sobie to, co powiedział, wracając z Kuby, albo oskarżenia, jakie skierował wobec amerykańskiego ambasadora Carlucciego, oskarżając go,

że jest agentem CIA. W tamtym czasie byłem ministrem spraw zagranicznych i tylko ja wiem, jakich problemów przysporzyło mi to zdanie. Nikt nie mógłby przypisywać Otelowi talentu dyplomatycznego. Jednak zdania to tylko zdania i należy mu wybaczyć pewne emfatyczne gesty; może on odegrać w Portugalii bardzo ważną rolę. A w przypadku zbrojnej konfrontacji nie stanowiłby trzeciej barykady.

*A faszyci? Powiedzmy, że wojna domowa wybuchłaby między socjalistami a komunistami, z Otelem po stronie socjalistów. Jeżeli również faszyci wystąpią przeciw komunistom, znajdą się u waszego boku. Co zrobicie?*

Dokładnie takie kalkulacje przeprowadza Cunhal, gdy chce pchać nas w ręce reakcji. Nie wpadniemy w tę pułapkę, ponieważ jesteśmy siłą lewicową. Jesteśmy lewicową partią i być może mamy też pewne powiązania ze skrajną lewicą. Na przykład z Intersindicalem i maoistami. Nie niweluje to tego tak bardzo skomplikowanego, a raczej straszliwego zagrożenia. Ale również z tego powodu chcemy zażegnać wojnę domową. I jeżeli prawdą jest, że codziennie krążą pogłoski, według których Spínola miałby być sojusznikiem Soaresa, tak samo jest prawdą, że Soares nie chce tego typu sojuszy. Nie chce ich żaden socjalista. To, czego chcemy, to stać się partią klasy pracującej i pozyskać w całości klasę robotniczą. Jeżeli zostaniemy zmuszeni do wojny domowej przeciw komunistom, stawimy im opór sami, bez pomocy reakcji. Zresztą nie liczyłbym wcale na pomoc reakcji; prawica za nami nie przepada. I jeśli interweniowałaby przeciwko komunistom, interweniowałaby również przeciw nam. Ale przez trzecią barykadę; przez zamach stanu. W gruncie rzeczy bardziej niż wojny domowej obawiam się prawicowego zamachu stanu. W Portugalii istnieje dziś bardzo wielkie zagrożenie prawicowym zamachem stanu. I jeśli w maju ubiegłego roku dostrzegałem większe zagrożenie komunizmem, dziś widzę większe zagrożenie faszyzmem.

*Jak mówi przysłowie, gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta.*

To nie tak, bo pretekstu do takiego zamachu stanu nie dostarcza im spór między nami a komunistami. Dostarczają go komuniści. To oni popchnęli i popychają wielkie masy ludu w objęcia prawicy. W obecnej sytuacji ludzie mówią: „Jeśli ma panować ta *bagarre*, lepiej już mieć silny prawicowy rząd”. Mówią tak na każdym szczeblu; wystarczy posłuchać taksówkarza albo nadstawić ucha na ulicy. Ludzie są niezadowoleni, często zdesperowani i zastraszeni przez komunistów. Cunhalowi udaje się zastraszyć również robotników. Proszę dodać do tego powrót Portugalczyków z Angoli. To rozgoryczona, jeśli nie reakcyjna siła. To siła, którą reakcja bez

trudu manipuluje. Ponieważ stracili wszystko i chcą znaleźć winnego. W takim stanie ducha wracają do kraju ogarniętego kryzysem społecznym i gospodarczym, na wpół zniszczonego przez anarchię. Niektórzy już się organizują.

*I jest zbyt późno, by temu zaradzić, prawda?*

Nigdy nie jest zbyt późno na ratunek, pod warunkiem, że się tego chce. My, socjaliści, nadal walczymy. Oczywiście, jeśli przegramy, wydarzy się katastrofa. Jeśli nie uda nam się porozumieć w sprawie lewicowego rządu, rozwiązać szybko problemów robotników, nawiązać stosunków z Europą, przywrócić funkcjonowanie maszyny ekonomicznej, mówię pani, że za dwa miesiące... Tak, za dwa miesiące niezadowolenie będzie tak wielkie, że dla prawicy fraszka stanie się interwencja i przeprowadzenie kontrrewolucji.

*Dwa miesiące.*

Tak, tylko dwa miesiące. Setki, jeśli nie tysiące portugalskich oficerów przygotowują się we Francji, na granicy z Hiszpanią, a może również tu, w Portugalii. Na ulicach Lizbony rozdawano wczoraj ulotki wysławiające Spínolę. Miesiąc temu byłoby to nie do pomyślenia, ludzie by temu przeszkodzili. Dzisiaj natomiast ludzie na to przystają: chwytają ulotkę i ją czytają. Opowiedziałem to również Gomesowi. Odpowiedział, że o tym wie.

*Nasuwa się porównanie z ostatnimi miesiącami Chile Allendego.*

Rzekłbym raczej, że z Republiką Weimarską. Czyż nie odpokutowujemy konsekwencji wojny kolonialnej, porażki? Gdy pojawiliśmy się my, było już zbyt późno; wojsko zostało pokonane. I znamienne jest to, jak to wojsko, które było wojskiem okupacyjnym, identyfikuje się teraz z siłami wyzwolenческими. To jakiś fenomen psychoanalityczny. Żołnierze portugalscy nie tylko zapomnieli, że to oni okupowali kolonie i przeprowadzali represje; przedstawiają wręcz siebie jako wyzwolicieli. Psychoanaliza określa to jako „przeniesienie tego, kto został pokonany, ale nie uznaje porażki i dlatego identyfikuje się ze zwycięzcą”. W Niemczech po pierwszej wojnie światowej działo się to samo – armia niemiecka odmawiała uznania klęski i społecznych konsekwencji klęski. Wszyscy, od socjalistów po komunistów i socjaldemokratów, ułatwili ogromnie przejście władzy przez nazistów. I uświadomili to sobie dopiero wtedy, gdy spotkali się w obozach koncentracyjnych.

*A więc tak zwana rewolucja się nie powiodła.*

Jeszcze nie. A raczej, nie powiedziałbym, że się nie powiodła, lecz że grozi jej niepowodzenie. Jest co najmniej skompromitowana. Również, i przede wszystkim, dlatego, że

komuniści nie rozumieli, że należy ją przeprowadzić z niezmierną ostrożnością. Na przykład nie zapominając, że chłopci z północy są właścicielami ziemi lub samodzielnymi hodowcami. Albo że, owszem, istnieje klasa robotnicza o dużym znaczeniu, ale również niezmiernie liczba niskich urzędników i drobnych właścicieli. Albo że Portugalia jest krajem o europejskim wychowaniu i kulturze, że Portugalczycy czują się Europejczykami, że w Europie pracuje milion Portugalczyków, zatrudnianych przez wspólny rynek, że jesteśmy zależni od Europy w osiemdziesięciu procentach naszego handlu. Trzeba było cierpliwości. Należało nacjonalizować w sposób ostrożny, nie wywołując wrogości Europy. Co zaś zrobiono? Otwarto drogę demagogii, zdenerwowano drobne i średnie mieszczaństwo, przepędzono tych, którzy oferowali się jako sprzymierzeńcy, zepchnięto do opozycji Kościół, który zdawał się przychylnie do nas usposobiony. I zmarnowano ogromny kapitał, doprowadzając do zagrożenia drugim Pinochetem.

*Mówi pan o Spínoli?*

Nie. Spínola... Wie pani, ja nie za bardzo lubię rozmawiać o Spínoli. Z różnych względów. Sądzę, że owszem, popełnił poważne błędy, idiotyczne błędy. I sądzę, że być może jest on odpowiedzialny za to, co wydarzyło się później. Albo przynajmniej za część kłopotów, jakie pojawiły się później. Bo chciał przyspieszyć bieg wydarzeń i ewidentnie przyspieszył go, nie mając na to siły ani pomysłu. Spínola stanowił odstępstwo od rewolucyjnej praworządności. Prawicowe odstępstwo. Chciał na przykład zahamować rewolucję i nie zdawał sobie nawet sprawy, jak bardzo jest to niemożliwe. Jednak zostało też o nim rozgłoszonych nieco kłamstw, zwłaszcza przez komunistów. Chciałem powiedzieć, że jeśli istnieje rewolucyjna praworządność, a nie ma wątpliwości, że istnieje, jeśli takową rewolucyjną praworządność reprezentuje Rada Sił Zbrojnych i ucieleśniają to jej oficerowie, nie można zaprzeczyć, że Spínola stanowił jej część. Dobrze czy źle, na początku był także on. Właśnie dlatego nie lubię o nim rozmawiać. Właśnie dlatego wolę powiedzieć, że popełnił błędy. A to, że je popełnił, jest bezsporne; między innymi określał maoistów jako „szczerze demokratycznych demokratów”. Wygłaszał jeszcze poważniejsze stwierdzenia, będąc w błędzie. Pomylił się w wielu sprawach, niekiedy wywołując sensację. Ale nie jest to człowiek lotnego umysłu.

*I to nie on będzie Pinochetem.*

Nie sądę.

*Dziwne jednak, że przypisuje mu pan tak niewielkie znaczenie.*

Bo, powtarzam, nie wierzę w Spínolę. Nie wierzę w gwiazdę Spínoli, choć w Portugalii ma on nadal pewną charyzmę. Oczywiście mogę się mylić. Czyż nie pomyliłem się na początku w kwestii Gonçálvesa? Jednak nie wydaje mi się, by Spínola był człowiekiem, na którego stawia prawica.

*Wie pan oczywiście, co mówi się o panu i Spínoli. Mówi się, że utrzymujecie kontakt, choć nie bezpośredni. Mówi się, że spotkacie się w Paryżu...*

Wiem, wiem. Narodowa agencja prasowa, całkowicie zmanipulowana przez komunistów, rozsiewa codziennie drobne informacje, mające w ten lub inny sposób pokazać, że utrzymuję kontakty ze Spínolą. To głupie kłamstwa i denerwuje mnie, że muszę powtarzać: nie utrzymuję kontaktów ze Spínolą. Nie chcę kontaktów ze Spínolą. Nikt z mojej partii nie utrzymuje kontaktów ze Spínolą. Nie zgadzam się i nie zgodzimy się na kontakty ze Spínolą.

*Ale jeśli wykluczymy Spínolę, to gdzie jest Pinochet wśród tych wojskowych, którzy ciągle twierdzą, że należą do lewicy?*

Mam gotową odpowiedź. Dwa miesiące przed śmiercią Allende zostałem zaproszony do Chile. I kiedy Allende mnie przyjmował, Pinochet znajdował się w tym samym pokoju. Tak, był tam. Był tam... I nikt nie wiedział, że to Pinochet. Należał do grupy oficerów Allende, do gabinetu wojskowego Allende i uśmiechał się razem z innymi. I nikt nie wiedział, że to Pinochet, chociaż nazywał się Pinochet. Straszne. Tak, straszne...

*Niewątpliwie tego, kto przyjeżdża do Portugalii, ogarnia natychmiast pewne przeczucie: że ta historia skończy się tragicznie.*

Miejmy nadzieję, że nie, bo nie mam żadnych skłonności do tragizmu. Jestem człowiekiem spokojnym, lubię życie i nawet nie umiem strzelać. Mówi się, że cały kraj jest uzbrojony, ale ja zapewniam panią, że nie mam nawet straszaka. Ani w domu, ani nigdzie indziej. Ponieważ uważam, że moją bronią jest wieczne pióro i ponieważ nie umiem strzelać i nie chcę się nauczyć.

*Nie uczestniczyłby pan więc w zbrojnej walce, gdyby zaszła taka konieczność.*

Strzelając?

*Pewnie, strzelając. Również strzelając.*

Ja?! Och, nie! Nigdy. *Jamais! Jamais dans la vie!* Mówię pani, że nigdy w trakcie całego mojego życia nie dotknąłem spustu; nigdy nie wziąłem do ręki pistoletu, strzelby. Nigdy nie byłem na polowaniu. Nikt w moim domu nie był, nawet mój ojciec. Nigdy nie odbyłem służby

wojskowej! Gdy dostałem wezwanie, byłem tak chudy i chory na astmę, że mojemu ojcu nietrudno było sprawić, by uznano mnie za niezdolnego do służby wojskowej. Zresztą sędzę, że również Cunhal nigdy nie odbył służby wojskowej, naprawdę nie sędzę. Wie pani, wolałbym umrzeć, niż do kogoś strzelić. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, że mógłbym kogoś zabić albo zranić. Gdybym zabił człowieka w wypadku samochodowym, byłaby to dla mnie katastrofa psychiczna. Gdy pracowałem jako adwokat i broniłem kogoś, kto zabił, umyślnie czy nie, zawsze stawiałem sobie to pytanie. Co bym zrobił, gdyby zdarzyło się to mnie? I dochodziłem do wniosku – oszalałbym.

*A zatem, jeśli w Portugalii nastalby znowu faszyzm, nie posłużyłby się pan nawet bombką.*

Niech pani pozwoli, że się zastanowię. Otóż, podłożyłbym bombę, pod warunkiem że nie zabiłaby i nie zraniła nikogo. Mógłbym na przykład podłożyć ją w pustym, niezamieszkanym budynku. Gdybym wiedział, że ktoś tamtędy przechodzi, nie podłożyłbym jej. Nigdy. Nawet po to, by się bronić. Gdyby ktoś chciał mnie zabić, nie broniłbym się nigdy, zabijając go. Pozwoliłbym się zabić.

*Temat jest aktualny, bo wiem, że stale otrzymuje pan śmiertelne pogróżki.*

Każdego dnia. Kilka razy dziennie. Dzwoni telefon, odbieram i jakiś głos warczy: „Soares, zostaniesz zabity”. Albo: „Soares, dziś umrzesz”. A ja odpowiadam: „W porządku”. Jaki jest sens się bać, ukrywać, chodzić z bronią czy zatrudniać ochroniarza? Kiedy potężna organizacja chce kogoś zabić, zawsze jej się to udaje. Nawet jeśli jest dobrze chroniony. Proszę pomyśleć o dwóch Kennedych. Wniosek: wolę nadal żyć swoim życiem, chodzić sam i się nie zamartwiać. Strach jest głupi. Upokarzający. Gardzę nim. Istotnie, nie potrafię się bać. Nigdy nie potrafiłem. Przed kilkoma dniami zostałem zaatakowany na ulicy przez uchodźcę z Angoli. Byłem z towarzyszem Zenhą. Uchodźca rzucił się na mnie, wrzeszcząc: „Dlaczego sprzedałeś Angolę czarnym?”. Odepchnąłem go i odpowiedziałem: „Jeśli zapyta mnie pan uprzejmie, odpowiem, że niczego nikomu nie sprzedałem”. Wtedy on znowu się na mnie rzucił i znowu musiałem go od siebie odepchnąć i... Wie pani, jestem jednym z niewielu, którzy nadal śpią we własnym domu. W Lizbonie jest już ogromnie wielu tych, którzy zmieniają adres każdej nocy. Ze strachu przed zamachem, ze strachu przed aresztowaniem... Ja mówię: jeśli chcą mnie aresztować, jestem do dyspozycji. Jeśli mnie aresztują, będą mi później musieli wytłumaczyć, dlaczego. W każdym razie lepsze to niż ucieczka.

*Teraz rozumiem, co to jest.*

Co?

*Pański irytujący spokój. To zimna krew. Innymi słowy, odwaga.*

Napisała pani, że jestem słaby.

*To prawda. Przykro mi z tego powodu.*

Nie powinno być pani zbyt przykro, wielu tak sądzi. Z powodu mojej twarzy. Te ciężkie powieki, te obwisłe policzki. Kiedyś mój przyjaciel rzeźbiarz zapragnął zrobić moje popiersie. Zabrało mu to nieskończoną ilość czasu. Robił je i niszczył. Następnie powiedział: „Problem jest następujący. Masz pospolitą twarz, w tym sensie, że masz przeciętną twarz i miękkie rysy, nie będąc miękki”. Nie chcę przez to powiedzieć, że jestem twardzielem. Nie jestem twardzielem, choć czasem wpadam w złowrogą wściekłość. Ale nie jestem też osobą, która się poddaje albo którą można zastraszyć. W więzieniu nigdy nie byłem zniechęcony.

*Dzisiaj pan jest?*

Jedną sprawą jest nigdy się nie zniechęcać, a inną nie robić sobie złudzeń. Również wtedy, gdy człowiek się nie łudzi, może mieć nadzieję. Oczywiście, żeby zachowywać nadzieję, należy walczyć.

*Tak jak Anglik zadający cios Irlandczykowi?*

Nie wiem, czy zadałem ten cios.

*Lizbona, wrzesień 1975*

## Álvaro Cunhal

Człowiekiem, który w czerwcu 1975 roku znaczył najwięcej w Portugalii, człowiekiem, który wywierał wpływ na wojskowych u władzy, słowem, człowiekiem, który sprawiał wrażenie, że wygrał wybory, choć je przegrał, był Álvaro Cunhal, lider Portugalskiej Partii Komunistycznej. Niełatwo było przeprowadzić z nim wywiad. Jeśli jednak ci się to udało, wysłuchanie go wystarczyło, by zrozumieć, co działo się w tym kraju, otrzymać pełny tego obraz. Cunhal nie uznawał mglistych ścieżek dyplomacji. Otwierał usta i mówił to, co myślał, z okrutną szczerością. A wśród tego, co myślał i czego pragnął, co częściowo już osiągnął, było całkowite odrzucenie swobód demokratycznych, demokracji rozumianej jako tolerancja i dobre wychowanie. Istotą jego rozważań była albo dyktatura proletariatu, albo faszyzm. Trzecia siła się nie liczyła, liberalny socjalizm był głupstwem, a jeśli szkodziło to jego europejskim towarzyszom, tym gorzej. Przyznawał się, nie czyniąc z tego tajemnicy. Zresztą tajemnicę zachowywał tylko we własnych sprawach, nie chcąc nawet wyjawić, czy ma żonę i dzieci albo gdzie był podczas wygnania, które nastąpiło po ucieczce z fortecy Peniche. (Soares potwierdził jednak we wrześniu 1975 roku, że w trakcie wygnania Cunhal przebywał głównie w Moskwie. A miesiąc później Carrillo powtórzył mi to samo. Zarówno jeden, jak i drugi twierdzili ponadto, że Cunhal jest żonaty i ma co najmniej jedną córkę, nie rozumieli więc jego manii tajemniczości, całkowicie zbytecznej teraz, gdy skończyła się dyktatura, a wraz z nią tajność). Trudno powiedzieć, z czego wynikała ta jego przesadna dyskrekcja na swój temat; nie udało mi się wycisnąć z niego ani słowa nawet o jego aresztowaniu, procesie, wyroku dożywocia, czternastu latach spędzonych w więzieniu. A wszyscy wiedzą, że jego zachowanie w obliczu katów Salazara było zawsze nad wyraz szlachetne i odznaczało się wielką odwagą. Ja jednak sądzę, że jego upodobanie do tajemnic pochodziło z konspiracyjnej przeszłości i z nieprzystępności, typowej dla niektórych komunistów. Nie przez przypadek, spotykając się z Berlinguerem w związku z wywiadem, który nigdy nie miał się odbyć, ujrzałam przed sobą identyczną barierę. Gadatliwy i otwarty, dopóki rozmawiało się o ideach, Berlinguer zamykał się w pełnym zażenowania milczeniu, gdy napomykałam o jego życiu prywatnym lub o kwestiach, które dotyczyły go osobiście. Krótko mówiąc, zdarza się często, że mężczyźni agresywni w polityce stają się nieśmiali i pełni rezerwy w odniesieniu do siebie samych. Może dlatego, że brakuje im pewności siebie albo nie są z siebie zadowoleni.



Pomimo tak negatywnych cech Cunhal wydał mi się sympatyczny; być może był to jeden z najsympatyczniejszych przywódców, jakich kiedykolwiek poznałam. I wydaje się to paradoksalne, ale im bardziej cofałam się przerażona jego zasadami i jego słowami, tym bardziej ulegałam jego urokowi; musiałam usilnie się starać, by nie zapomnieć, że gdyby naprawdę miał władzę i byłabym jego wrogiem w tym samym kraju, bez wahania by mnie rozstrzelał. Również powody tej sympatii są trudne do określenia. Niektórzy twierdzą natomiast, że są proste: Cunhal podoba się kobietom i nie ma ani jednej, która pozostałaby obojętna wobec jego pięknej szczupłej twarzy, jego pięknych niebieskich oczu, jego pięknego uśmiechu, śnieżnobiałego jak jego włosy; pomimo podeszłego wieku, niskiego wzrostu, niedbałego ubioru, emanuje nieodpartą seksualnością. Ale mimo że jest w tym sporo prawdy, nie wystarcza to, by wyjaśnić ów fenomen. Istotnie, mężczyznom, i mówię o normalnych mężczyznach, Cunhal podoba się w tym samym stopniu, co kobietom; nie znajdzie się ani jeden dziennikarz czy przeciwnik polityczny, który twierdziłby inaczej. Opierając się na swoim doświadczeniu, powiedziałabym więc, że jego urok nie leży w rysach twarzy, lecz w jego porywczoci, spontaniczności, szczerości. A także wesołości. Nawet gdy przedstawiał mi najbardziej niemożliwe do zaakceptowania pomysły, wydawał się serdeczny, radosny, zdolny do sprzeczki; jego tępa wiara nie umniejszała nigdy jego inteligencji, jego lewicowa ortodoksja nie nadwężała nigdy jego jasności umysłu. Tak że chociaż go nienawidziłeś, potępiałeś, kończyło się na tym, że przebywając z nim, odczuwałeś dziwną przyjemność, a chwilami niemal potrzebę rozgrzeszenia go z wszystkich wypowiedzianych przez niego niedorzeczności. Pożegnaliśmy się serdecznym uściskiem dłoni i poklepywaniem po ramieniu.

Wywiad, opublikowany we Włoszech w przeddzień wyborów samorządowych i przedrukowywany w całej zachodniej prasie, wywołał niekończące się kontrowersje. W momencie gdy eurokomunizm trudził się, by udowodnić swą wiarę w demokrację parlamentarną i poszukiwał wiarygodności, wypowiedzi Álvaro Cunhala padały oczywiście niczym grad na zboże. Antykomuniści to wykorzystali, włoscy, francuscy i hiszpańscy komuniści się obrazili, Berlinguer wysłał do Lizbony Giancarla Pajettę, by ten sprawdził, czy przypadkiem czegoś sobie nie wymyśliłam. Pajetta spotkał się z Cunhalem i po powrocie, gdy zebrał się komitet centralny, oświadczył, otwierając ramiona w geście rezygnacji: „Przeczytajcie sobie ponownie wywiad Fallaci”. Cunhal powiedział mu dokładnie to samo, co mnie. Portugalska Partia Komunistyczna zachowała się natomiast nieuczciwie. Jeszcze przed przeanalizowaniem tego, co napisałam,

wydała komunikat, w którym oświadczała, że jestem kłamczuchą i całkowicie sfałszowałam odpowiedzi towarzysza Cunhala. Nietrudno przyszło mi jednak przypuścić na nich kontratak za pomocą samej prawdy, i tak jak w przypadku Kissingera odpowiedzieć, że na potwierdzenie tego, co usłyszałam i nagrałam, mam w rękach taśmę. O wydarzeniu tym rozmawiano jeszcze całymi tygodniami, miesiącami. I muszę powiedzieć, że jedynym, który wcale nie wyszedł na tym źle, był sam Cunhal, bo ani razu nie zniżył się do tego, by zaprzeczyć swoim stwierdzeniom lub obrażać mnie niedorzecznym dementowaniem. Przeciwnie, powiedziano mi, że zganił surowo tych z Portugalskiej Partii Komunistycznej, którzy to robili.

ÁLVARO CUNHAL. Niech pani mówi, co chce, myśli, co chce; my, portugalscy komuniści, potrzebujemy wojska. I stoimy po stronie wojska. Nie potrzebujemy frontu ludowego z socjalistami, takiego paktu, jak ten, który zawarli Nenni i Togliatti w 1948 roku. Podpisaliśmy już pakt z Ruchem Sił Zbrojnych. Tutaj front ludowy bez wojska jest niemożliwy. Socjaliści popełnili wielki błąd, nie rozumiejąc tej prostej prawdy, odsuwając się od wojska, pomimo tylu otrzymanych głosów. Nawet teraz nie potrafią wbić sobie tego do głowy. Nie chcą uznać, że przeprowadzamy rewolucję z udziałem Sił Zbrojnych, rewolucję rozpoczętą i realizowaną przez Siły Zbrojne. Socjaliści od 25 kwietnia stawiali na złego konia. W decydujących momentach my, komuniści, zawsze byliśmy pierwsi. Na przykład 11 marca, gdy miała miejsce próba zamachu stanu, nie czekaliśmy, by zobaczyć, na którą stronę przechyli się szala zwycięstwa. Nie traciliśmy czasu na odkrywanie, które ugrupowanie ma większe szanse na wygraną. Natychmiast wzięliśmy na siebie odpowiedzialność za ujawnienie kontrrewolucyjnego zagrożenia i potępienie Spínoli. I pozostaliśmy z Ruchem Sił Zbrojnych.

*ORIANA FALLACI. Niech pan mówi, co chce, myśli, co chce; niegodziwe jest neutralizowanie i ignorowanie partii, która reprezentuje ogromną większość narodu i która wygrała wybory. Jeśli nie akceptuje się gry wyborczej...*

Ale my, komuniści, nie akceptujemy gry wyborczej! Popelnia pani błąd, wychodząc z takiego założenia. Nie, nie, nie; wybory nic mnie nie obchodzą. Nic! Ach, ach! Jeżeli sądzi pani, że sprawa sprowadza się do procentowej liczby głosów otrzymanych przez tę czy inną partię, grubo się pani myli! Jeżeli myśli pani, że Partia Socjalistyczna ze swymi czterdziestoma procentami i Ludowa Partia Demokratyczna ze swoimi dwudziestoma siedmioma procentami stanowią większość, daje się pani omamić! Nie mają większości.

*Żartuje pan, panie Cunhal!? Czy też matematyka jest opinią?*

Twierdzą, że wybory mają niewiele albo nie mają nic wspólnego z rewolucyjną dynamiką. Czy to się pani podoba, czy nie, czy to się podoba socjalistom, czy nie. Twierdzą, że proces wyborczy jest jedynie drugorzędym dopełnieniem tej dynamiki. Bo Ruch Sił Zbrojnych stanowi tutaj siłę polityczną. Siłę niezależną, z własną myślą polityczną, z polityczną autonomią, choć nie ukazuje jej wynik wyborów. Tak, wiem, co chce mi pani odpowiedzieć: że również wojsko głosowało. I co z tego? Ich głosy rozproszyły się po różnych partiach politycznych; Ruch Sił Zbrojnych wcale przecież nie kandydował. I jeśli sądzi pani, że Zgromadzenie Ustawodawcze będzie działało bez udziału Ruchu Sił Zbrojnych, popełnia pani wielki błąd. Jeśli sądzi pani, że Zgromadzenie Ustawodawcze przekształci się w parlament, popełnia pani śmieszny błąd. Ach, nie! Zgromadzenie Ustawodawcze nie stworzy z pewnością organu ustawodawczego, nie będzie z pewnością Izbą Deputowanych. Obiecuję to pani. Będzie to tylko Zgromadzenie Ustawodawcze, o ograniczonym znaczeniu. Będzie działało w ściśle określonym kontekście politycznym, ściśle uwarunkowanym przez porozumienia, podpisane z Ruchem Sił Zbrojnych, przez siłę reprezentowaną przez Ruch. Bo to nie Partia Socjalistyczna, ale Ruch Sił Zbrojnych przeprowadził rewolucję 25 kwietnia.

*Czy dobrze zrozumiałam? Naprawdę powiedział pan, że w Portugalii nie będzie parlamentu?*

Zrozumiała pani doskonale. Ja pani obiecuję, że w Portugalii nie będzie parlamentu.

*Dlaczego więc przeprowadzaliście wybory? Dlaczego wy, komuniści, w nich uczestniczyliście? Dlaczego poświęciliście im tyle wysiłku i pieniędzy?*

Ech! Ech, ech! Może ma pani rację. Może lepiej byłoby w nich nie uczestniczyć. Lecz nie zawsze można robić to, na co miałyby się ochotę, nie zawsze można działać według programu. Wszystko było już zaplanowane, postanowione. Zdziałało wiele przeciwstawnych czynników; choćby ten heterogeniczny rząd. Ta szeroka koalicja, obejmująca nawet Ludową Partię Demokratyczną. My, komuniści, powiedzieliśmy wyraźnie wojskowemu, że tej partii ma nie być, że nie można doprowadzić kraju do socjalizmu przez szeroką koalicję demokratyczną. Ale oni chcieli połączyć socjalistów, komunistów, socjaldemokratów i różne nurty Ruchu Sił Zbrojnych... Ostrzegaliśmy ich, że wybory stanowią zagrożenie, że jest na nie za wcześnie, że jeśli nie zastosujemy środków zaradczych, to przegramy, że nie można mieszać biernego głosowania z aktywną walką polityczną. Udało nam się jedynie zapobiec wyborom okręgowym. Te do Zgromadzenia Ustawodawczego postanowili przeprowadzić.

*Panie Cunhal, jedyny termometr, pozwalający zbadać wolę narodu, stanowią wybory.*

Jeden z termometrów. Tylko jeden. I mówię tak wyłącznie po to, by była pani zadowolona, albo raczej dlatego, że jeśli odpowiedziałbym pani „to żaden termometr”, prowadzilibyśmy tę rozmowę w nieskończoność: tak, nie, tak, nie. Ale co chce pani mierzyć, jeśli istnieją regiony, gdzie ludzie nie potrafią nawet czytać i pisać! Jeśli istnieją regiony, gdzie propagandę przeprowadza się szeptem: „Jeśli zagłosujesz na sierp i młot, przyjdą komuniści i zrobią ci dziurę za uchem”.

*Panie Cunhal, twierdzi pan, że naród jest niedojrzały. Dyktatury używają zawsze tego pretekstu. I dokładnie to samo mówią faszyci.*

Cóż... nie chodzi o to, że naród jest niedojrzały... chodzi o to, że nie istnieje tylko jedna metoda wyborcza...

*Prawda jest taka, że nie spodziewał się pan tak sromotnej przegranej, panie Cunhal.*

Nie, nie. Wiedziałem, że wygra prawica. Czyż nie ostrzegłem nawet wojskowych? Spodziewałem się większej liczby głosów w Lizbonie, to prawda. Spodziewałem się większej liczby głosów w wielu regionach, na południu... Ale nigdy się nie łudziłem, że uzyskam większość. Byłaby to bezpodstawna nadzieja. Antykomunizm był tak silny, że w niektórych wioskach nie mogłem nawet przeprowadzić wieców wyborczych. Wypisywali na ścianach: „Cunhal, jeśli przyjedziesz, zginiesz”. Elektorat chłopski był dla nas bardzo nieprzychylny. Na wsiach panowała atmosfera terroru. I wszędzie wrogiem, z którym należało walczyć, był nie faszyzm, lecz Portugalska Partia Komunistyczna. Przeciwno nam byli wszyscy: prawica, centrum, lewica. Przeciwni nam byliście również wy, międzynarodowa prasa; ciągle mówiliście o Pradze, o Lizbonie jako Pradze... Podczas gdy radio watykańskie wzywało do niegłosowania na lewicę, a socjaliści straszili widmem wojny domowej, wojny z Hiszpanią, jeśli komuniści dojdą do władzy, wojskowego zamachu stanu ze strony komunistów. Zwycięstwo prawicy było nieuniknione.

*Panie Cunhal, nie wygrała prawica. Wygrali socjaliści. I nie było terroru; wypowiadał się pan, gdy chciał. Wybory przebiegły w poprawny sposób. To wy później zachowaliście się niepoprawnie. A raczej bezprawnie.*

Ach, ale w tym momencie muszę pani wytłumaczyć, co się dzieje w Portugalii, co ma tutaj miejsce. Ma miejsce rewolucja, wie pani? Proces rewolucyjny, wie pani? Mimo że przebiega równoległe do cywilnego procesu demokratycznego, który czasami pokrywa się z

celami procesu rewolucyjnego, a czasem jest z nimi sprzeczny. Rozwiązanie problemów opiera się na dynamice rewolucyjnej, natomiast cywilny proces demokratyczny chce je powierzyć starym ideom wyborczym, nawołując do praworządności. Domaga się pewnej sytuacji prawnej i chce jej strzec za pomocą praw poprzedniego ustroju. Mówi o prawach, których należy przestrzegać. Ale podczas procesu rewolucyjnego praw się nie przestrzega, ale się je ustanawia. Zrozumiano? Rewolucja nie przestrzega prawa. Ona je tworzy.

*To całkowicie słuszne. Najprawdziwsze. Dlaczego więc mówi mi pan o demokracji? Demokracja to pluralizm, to wolność myśli. To wybory, które należy szanować. Wybory, w których uczestniczą wszyscy, nie tylko tolerowane przez pana partie.*

To pani opinia. Nie moja.

*Rozumiem. Jednak co, u diabła, rozumie pan przez demokrację?*

Na pewno nie to, co rozumiecie wy, pluraliści. Demokracja oznacza dla mnie likwidację kapitalizmu, monopoli. I dodam, że w Portugalii nie ma już żadnych szans na taką demokrację, jak ta, którą macie w Europie Zachodniej. I przez „już” mam na myśli, że jest „już za późno”. Oczywiście, jeśli 24 kwietnia powiedziano by nam: „Będziecie mieć taki ustrój, jak we Francji, we Włoszech lub w Anglii”, wykrzyknęlibyśmy: „Jak cudownie, co za ulga!”. Jednak sprawy potoczyły się inaczej, zmiana sytuacji otworzyła przed nami nowe perspektywy i nie można dłużej wymagać, by pragnienia narodu zawężyły się, krystalizowały. Innymi słowy, wasza zachodnia demokracja już nam nie wystarcza. Wasze połączenie demokratycznych swobód z władzą monopoli już nas nie interesuje. Nie dojdziemy do tego, nawet gdybyśmy mogli. Bo nie chcemy do tego dojść. Nie chcemy takiej demokracji jak wasza. Nie chcemy nawet socjalizmu, a raczej snu o socjalizmie, takiego jak wasz. Czy to jasne?

*A jakże.*

Tutaj potrzeba głębokich, radykalnych zmian, na płaszczyźnie społecznej i ekonomicznej. Tutaj wyjścia są dwa: albo monopol z silnym rządem reakcyjnym, albo koniec monopolu z silną demokracją komunistyczną. W Portugalii kapitalizm przeszedł bardzo oryginalny rozwój, oparty na zacofanym przemyśle, prymitywnym rolnictwie, biedzie, której nigdy nie złagodziła technika. Ponadto zawsze miał poparcie aparatu państwowego. To faszystowskie państwo ułatwiało powstawanie monopoli, posługując się brutalnym systemem represji i utrzymując robotników w godnych pożałowania warunkach. Nasz kapitalizm zawsze był kapitalizmem zacofanym, zupełnie nieporównywalnym z tym, który panował w innych krajach europejskich. Istniała

zawsze ogromna różnica między płacami naszych robotników a płacami innych robotników europejskich, przepaść między poziomem życia jednych i drugich. Zależy mi na likwidacji monopolu, choć na razie robimy to w sposób chaotyczny. To, co widzi pani teraz w Portugalii, jest jedynie początkiem. A raczej sytuacją tymczasową. Proszę nie myśleć, że przeprowadzone do tej pory nacjonalizacje były rezultatem jakiegoś konkretnego programu. Stanowiły jedynie rozwiązanie bieżących problemów. Nawet nie chcąc socjalizmu, należało nacjonalizować. A pani mi tu mówi o wynikach wyborów, o swobodach demokratycznych, o wolności!

*Czy to dlatego, że nie chce pan o nich nawet słyszeć, zamknął pan socjalistyczny dziennik „República”? Czy to dlatego, że nie zależy panu na wolności, zmonopolizował pan wszystkie środki informacji, od gazet po radio i telewizję?*

Ja niczego nie zmonopolizowałem. Portugalska prasa jest całkowicie wolna, ideologicznie suwerenna. Postępuje zgodnie z procesem rewolucyjnym i mnie to odpowiada. Oczywiście, jeśli robotnicy uważają, że jakiś dyrektor albo redakcja są kontrrewolucjonistami, mają pełne prawo uniemożliwić im dalsze zajmowanie stanowiska. Mają wręcz taki obowiązek, duchowy i polityczny. Wszędzie w Portugalii pracownicy gazety mogą usunąć redaktora naczelnego. Albo przestać drukować jego gazetę. Stało się tak w przypadku „Repúbliki”. Socjaliści zachowali się w sposób historyczny, zrobili z tego skandal, by przypomnieć, że wygrali wybory. W rzeczywistości pracownicy zbuntowali się, ponieważ „República” nieustannie publikowała ataki na Portugalską Partię Komunistyczną, oszczerstwa wobec niej, głosy krytyki pod adresem rewolucji. Zaczęli od cenzurowania tekstów, które uważali za niesprawiedliwe, a następnie się zbuntowali. Zrobili bardzo dobrze.

*A gdyby socjalistyczni robotnicy zrobili to samo z pańskimi gazetami, z panem? Co by im pan powiedział, panie Cunhal?*

Ech, ech! Powiedziałbym im: chłopcy...

*Proszę posłuchać, panie Cunhal, jest pan nawet sympatyczny, bo jest pan despotą, który nie czyni ze swego despotyzmu żadnej tajemnicy, tyranem, który nie troszczy się o to, by ukryć swoją tyranie. Ale czy nie zdaje pan sobie sprawy z krzywdy, jaką pan wyrządza europejskiej lewicy, a w szczególności swoim towarzyszom komunistom z innych krajów? Niech pan pomyśli o Hiszpańskiej Partii Komunistycznej...*

Och, biedna Hiszpańska Partia Komunistyczna. Ach, biedni hiszpańscy komuniści! Jak bardzo mnie to wzrusza, jak bardzo cierpię z ich powodu!

*Niech pan pomyśli o Włoskiej Partii Komunistycznej i o przysłudze, jaką wyświadczył pan Chrześcijańskiej Demokracji we Włoszech...*

Ach, jaki jestem zmartwiony, udręczony, *navré! Je suis navré! Vraiment navré!* Ach, biedni włoscy komuniści! *Je pleure pour les communistes italiens!* Płacę, robię sobie wyrzuty, przeklinam siebie, cierpię za wszystkich europejskich komunistów! Tak, znam ich narzekania. Powtarzają mi je, kiedy tu przyjeżdżają. „Dlaczego to robicie”, „Dlaczego nie zaakceptujecie pewnych demokratycznych reguł gry”, „Dlaczego uniemożliwicie Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej udział w wyborach”, i tak dalej, i tak dalej, amen. Jaka partia chrześcijańsko-demokratyczna? Istniała tylko mała partyjka, utworzona zaledwie cztery tygodnie wcześniej, na której czele stał pewien faszysta. Faszysta, który od 28 września powinien znajdować się w więzieniu, ponieważ zdradził już Ruch Sił Zbrojnych, popierając Spínolę. Młoda, reakcyjna partia, która nie składała się nawet z katolików i która usiłowała już spiskować...

*Wszystko to należałoby udowodnić i jakkolwiek by było, czy również Ruch Ludowo-Demokratyczny nie był partyjką, która dopiero co została utworzona, bo panu to odpowiadało?*

Patrzmy przez dwa zupełnie inne okna. Pani okno nie jest moim oknem.

*To wydaje mi się oczywiste. Wydaje mi się jednak dziwne, że wyśmiewa się pan tak bardzo z braci komunistów z innego kraju. Włoska Partia Komunistyczna walczyła o kompromis historyczny, a pan...*

Och, jakie tortury przeżywam na myśl, że tyle przeze mnie wycierpieli! Och, jak potwornie mi przykro! Mieli tę szansę, a ja im ją zaprzepąściłem! Wie pani, co powiem? Jeśli jakiejś partii komunistycznej szkodzi to, co dzieje się w innym kraju, jeśli ponosi tego konsekwencje, oznacza to wówczas, że...

*...jest niewiele warta? Może i jest niewiele warta, ale Włoska Partia Komunistyczna ma siedem milionów głosów, a pan nie ma nawet siedmiuset tysięcy. Czy kiedykolwiek pan o tym pomyślał? Czy nigdy nie rozważał pan możliwości dokonania takiego wyboru, jakiego dokonał Togliatti, to znaczy włączenia się w tak zwaną burżuazyjną demokrację?*

Nie, nie, nie, nie, nie, nie i jeszcze raz nie! Osiągnęliśmy już o wiele więcej w ten sposób. Dziś w Portugalii nie istnieją prywatne banki, wszystkie podstawowe sektory są znacjonalizowane, a reforma rolna zostanie niedługo przeprowadzona, kapitalizm leży w gruzach, a monopole niebawem zostaną zlikwidowane i wszystko to stanowi proces nieodwracalny. Nieodwracalny! Dlatego komunistom z krajów zachodnich, ich skargom

odpowiadam: my nie czekamy na wyniki wyborów, by zmienić stan rzeczy i zburzyć przeszłość. U nas trwa rewolucja, która nie ma nic wspólnego z waszymi systemami.

*Czy poznał pan kiedyś Togliattiego?*

Zdaje mi się, że spotkałem go kilka razy. Przelotnie. I nie próbowałem zobaczyć się z nim ponownie czy dogłębniej porozmawiać. Nie, żeby włoscy komuniści do tej chwili nie byli wobec nas solidarni... Nie zamierzam ich oskarżać o to, że nie potrafili skorzystać w lot z okazji, albo że w pewnym sensie dopuścili się zdrady na skutek wyboru, jakiego dokonał Togliatti... Przypuszczam, że mieli swoje powody, by wybrać drogę, którą wybrali. Mówiłem już, że aż do 24 kwietnia, w latach czterdziestych, pięćdziesiątych i sześćdziesiątych my również z chęcią przyłączylibyśmy się do burżuazyjnej demokracji. Ale teraz historia oferuje nam inną szansę i nie zamierzamy jej zmarnować, i jej nie zmarnujemy, chyba że wkradnie się błąd. Na przykład błąd, który spowoduje prawicowy przewrót. Jakkolwiek by było, nie chcę osądzać włoskich komunistów i byłbym im bardzo wdzięczny, gdyby nie osądzali mnie.

*Nie chce pan oceniać nawet ich kompromisu historycznego?*

Ach! To dopiero! Po słowach, które dopiero co wypowiedziałem... jedynie prywatnie my, komuniści, mówimy sobie różne rzeczy, nawzajem się krytykujemy. I wywiad nie jest odpowiednim momentem na ocenianie ich kompromisu historycznego. Jednak... Co w sumie znaczy kompromis historyczny?! Co oznacza?! Nie można tego nawet przetłumaczyć na portugalski! Kompromis! *Compromiso!* *Compromis!* Wie pani, co pani odpowiem? Że my też mamy kompromis! Kompromis, który podpisaliśmy z klasą robotniczą! Kompromis w celu budowania społeczeństwa bez kapitalistów! Kompromis z ludem! Czy to jasne? U nas też niektórzy chcieli kompromisu! Chciał go monopol! Monopol, który twierdził, że jest gotów przestrzegać swobód demokratycznych! Jakbyśmy potrzebowali ich zgody, ich aprobaty!

*Dosyć, panie Cunhal, proszę się nie denerwować. Porozmawiajmy o czym innym. Sądzi pan, że w Portugalii zapanuje komunizm?*

Całkowicie w to wierzę! To moje dążenie, jako że jestem komunistą. I jest faktem bezspornym, że Portugalia zmierza już w stronę socjalizmu. Jedynym elementem, którego nie mogę dzisiaj przewidzieć, jest forma, jaką przybierze ten socjalizm. Być może powinienem móc to przewidzieć, zważywszy, że jestem osobą odpowiedzialną za partię, która bynajmniej nie przegrała. Ale szczerze mówiąc, nie czuję się na siłach. Bo tego nie wiem. My, komuniści, pragnęlibyśmy wszystkiego, ale musimy się liczyć z bardzo skomplikowaną, pełną sprzeczności



rzeczywistością społeczną. Nasz projekt komunistycznej Portugalii ulegnie z pewnością poprawkom. Podpisaliśmy pięcioletnie porozumienie z Ruchem Sił Zbrojnych. Myśl o wystąpieniu przeciwko Siłom Zbrojnym nie przychodzi nam nawet do głowy.

*Naprawdę uwielbia pan tych wojskowych, nie?*

Tak, naprawdę ich lubię, ponieważ są mi niezbędni. Pani może sobie pozwolić na luksus nienawidzenia ich, ja nie. Według mnie są mili, sympatyczni, uroczy. Co bym zrobił, co byśmy zrobili bez Ruchu Sił Zbrojnych? Gdyby nie on, mielibyśmy już kolejną prawicową dyktaturę. Jeśli armia nie jest już dawną armią, i tak samo marynarka, lotnictwo, zawdzięczamy to Ruchowi! Jest on tak silny, że nawet Spínola musiał go uznać, ogłaszając się jego przywódcą! I kiedy próbował usunąć kapitanów, to znaczy organy walki rewolucyjnej, połamał sobie zęby. Kapitanowie odpowiedzieli: „Panowie generałowie, wy jesteście generałami, a my tylko kapitanami. Ale nakazujemy wam odejść”. Ta struktura rewolucyjna miała spore trudności, by przetrwać, ale jej się to udało. Dziś ma swój wyraz prawny, konstytucyjny, ma swoją prawomocność, będącą prawomocnością rewolucyjną, a kto byłby tak szalony, by ją odrzucić? Zresztą nigdy nie widziałem, by jakaś rewolucja odbyła się bez poparcia wojska lub jakiejś siły wojskowej. Niech pani popatrzy na Kubę. Nie mając armii, Castro musiał ją sobie stworzyć. A my, mając gotową już armię, mielibyśmy ją ignorować? Proszę mi wierzyć, bez broni niczego się nie osiągnie.

*A co by było, gdyby wojsko odkryło, że nie kocha pana tak bardzo, jak pan kocha je, panie Cunhal? Gdyby zmieniło Portugalie w drugie Peru?*

Nie sądzę... Nie, nie Peru...

*Przypuśćmy, że by się to zdarzyło.*

Cóż, powiem więc pani tak: Wykluczam, by w Portugalii istniała siła polityczna, która byłaby w stanie przetrwać bez Partii Komunistycznej. Lub lepiej: Bez komunistów rewolucja jest niemożliwa. Nie mówię tego, by wyrazić opinię, mówię to, by ukazać rzeczywistość. Nie mówię tego nawet po to, by zastosować szantaż, mówię to po to, by pokazać, że jesteśmy świadomi naszej niezastąpioności. Zresztą, wojsko o tym wie i nie wyobraża sobie wcale, by mogło iść dalej bez nas. Ani teraz, ani w przyszłości.

*Nawet po to, by ewentualnie przekształcić Portugalie w drugie Peru. To znaczy w wojskową lewicową dyktaturę. Ale czy wasza zbieżność poglądów jest zupełna?*

Nigdy w życiu. Mówiłem już pani, że Ruch Sił Zbrojnych jest autonomicznym ruchem z własną polityką, własną etyką, własnym wychowaniem. To nie są ani komuniści, ani socjaliści, to Ruch Sił Zbrojnych! To rewolucjoniści odmienni od tradycyjnych rewolucjonistów. Istotnie, jeśli chodzi o ideologię, są podzieleni na różne frakcje. Różne polityczne odcienie. Jednak jest nieuniknione, byśmy my, komuniści, żyli z nimi w zgodzie, bo ich cele są naszymi celami. A jednym z tych celów jest władza, składająca się z elementu ludowego i z elementu wojskowego. Kto, jeśli nie komunistyczni robotnicy, komunistyczne masy, stał u boku wojska od 25 kwietnia? Siły demokratyczne, socjaliści, poparli je dopiero w ostatniej chwili. Zaczęli wymachiwać flagami dopiero po zwycięstwie.

*Jednakże istnieją również wojskowi, którzy was nie lubią. Mam na myśli maoistów, którzy twierdzą, że mają dość wpływu wywieranego przez Portugalską Partię Komunistyczną na Radę Rewolucyjną i Ruch Sił Zbrojnych.*

Z pewnością w armii ukrywają się maoistyczni wojskowi i dobrze wiadomo, że na nas naciskają, jako że kierują nimi reakcyjne siły. To ukierunkowanie grup maoistycznych jest uniwersalne, jednakowe na całym świecie. Ich wrogiem nie jest klasa średnia, nie jest kapitalizm; istotnie, ich członkowie pochodzą z klasy średniej albo wręcz z kapitalizmu. Ich wrogiem jest Partia Komunistyczna. Portugalscy maoiści są tacy jak maoiści włoscy, francuscy czy niemieccy; są marionetkami reakcji działającymi przeciwko Partii Komunistycznej. I owszem, przedstawiają zagrożenie. Nie mają jednak żadnej możliwości przejęcia władzy. Mogą jedynie próbować dokonywać podziałów, dokonywać prowokacji, tak jak dziś w nocy, gdy zaczęli krzyczeć, że w obozach dla więźniów politycznych znajdują się komuniści, którzy spiskowali z faszystami.

*Obozy więźniów?! A niech to! Nie wystarczą więzienia? Ilu więźniów politycznych macie dziś w Portugalii?*

Nie wiem. W każdym razie niewielu, niewystarczająco wielu. Zbyt łatwo ich uwalniają. Aresztują ich, a dzień później ich wypuszczają. Czasami ci wojskowi są naprawdę zbyt mili. A jednak przeprowadzili rewolucję!

*Niech pan posłucha, panie Cunhal, tutaj cały czas mówi się o rewolucji. Jaka rewolucja? Rewolucje mają miejsce, gdy uczestniczy w nich naród. Dwudziestego piątego kwietnia miał miejsce zamach stanu, nie rewolucja.*

Wcale nie! Jeżeli patrzy pani na Ruch Sił Zbrojnych jako na grupę spiskowców, którzy pewnego pięknego dnia zbierają się, by dokonać przewrotu, nie rozumie pani, co wydarzyło się w

Portugalii. To nie był przewrót; my, komuniści, natychmiast to oświadczyliśmy. To był ruch sił demokratycznych wewnątrz wojska, z zebraniem, w którym czterystu oficerów dyskutowało za każdym razem o sposobie zmiany ustroju. Nie powinienem nawet mówić „zebrania”, powinienem powiedzieć „zgromadzenia”. A jeśli spyta mnie pani, gdzie był naród podczas tych zgromadzeń, odpowiem, że Ruch Sił Zbrojnych nie powstałby, gdyby naród wcześniej nie rozpoczął walki. Postępowi oficerowie nie spadli z nieba, nie pojawili się samorzutnie jak grzyby po deszczu. Ale żeby panią przekonać, muszę przeprowadzić pewną analizę.

*Bardzo proszę, niech pan sobie nie przeszkadza.*

Żaden problem, oto ona. Ostatnie lata faszystowskiego reżimu były trudne również dla dominujących grup kapitalistycznych. Wojna kolonialna pochłaniała czterdzieści trzy procent narodowych zasobów i grupy te uświadamiały sobie, że nie opłaca im się dłużej jej popierać. Przede wszystkim izolowała je od Europy, przeszkadzała im w ekspansji gospodarczej. Caetano powinien zrewidować swą politykę międzynarodową i zliberalizować ustrój, powtarzali z niepokojem. Niepokój ten znalazł oddźwięk u Spínoli i innych generałów. Spínola był inteligentny, przygotowany i dysponował własną frakcją. Wewnątrz armii istniała też jednak druga frakcja, postępowych oficerów. Przyznajmy, że zasadnicza, nie ideologiczna. Niewiele było osób z przygotowaniem, komórki komunistyczne istniały na przykład wśród żołnierzy, ale rzadko wśród oficerów. I Ruch rozwinął się raczej jako ruch klasowy niż demokratyczny. Potem oficerowie zaczęli się gromadzić, by dyskutować o swoich problemach dotyczących kariery, zakres dyskusji się rozszerzył. Sprawily one, że dojrzeli. I kiedy dwie frakcje, Spínoli, która chciała jedynie liberalizacji reżimu, i postępowych oficerów, którzy chcieli dużo więcej, spotkały się 25 kwietnia...

*...przyszedł Cunhal i urobił sobie postępowych oficerów. Porządnie.*

Nie należy tak tego przedstawiać. My, komuniści, nie mieliśmy żadnych kontaktów przed 25 kwietnia. Mieliśmy jakieś oczekiwania, ale nie zakładaliśmy niczego konkretnego, bo nie dysponowaliśmy żadną siłą wewnątrz wojska, nie. Nie można nawet powiedzieć, żebyśmy mieli wielu sympatyków. Istotnie, planowanym przywódcą był Costa Gomes o umiarkowanych poglądach. Spínola zajął miejsce Gomesa, bo to Spínola negocjował z Caetanem i Caetano oświadczył, że podda się tylko pod warunkiem, że nowym przywódcą będzie Spínola. Jednak nie to chciałem pani wytłumaczyć. Chciałem wytłumaczyć to, że faszystowską dyktaturę obaliło wojsko, lecz tempo rewolucyjnej dynamice nadał naród. Istotnie, to naród przypuścił atak na

siedziby policji, uwalniał więźniów politycznych. Mogę to pani udowodnić, ponieważ istnieją filmy.

*Panie Cunhal, kiedy wrócił pan do Portugalii?*

Nie wiem, nie pamiętam.

*No dalej, niech się pan postara sobie przypomnieć. Niech pan spróbuje.*

Może dwudziestego dziewiątego, może trzydziestego. Z pewnością w przeddzień 1 Maja. Jednak potajemnie wracałem wiele razy. Faszystowski rząd nigdy nie zdołał mi tego uniemożliwić. Nie przebywałem za granicą dlatego, że chciał tak Caetano, przebywałem tam, bo chciała tego moja partia. I przekraczałem granicę, kiedy mi się podobało, jak wielu komunistów. Od roku 1940 do 1974 my, komuniści, nieustannie potajemnie podróżowaliśmy i tylko raz ponieśliśmy straty. Tak więc mój powrót w wigilię 1 Maja powinien być traktowany jako pierwszy powrót z legalnym paszportem.

*A dlaczego na dojazd potrzebował pan czterech dni? Skąd pan wracał?*

Z Paryża. Ale nie powiem pani, gdzie byłem przed Paryżem.

*Nieważne, wiem. Był pan w Pradze.*

Nie byłem w Pradze, ale nie powiem pani, gdzie byłem. Ech! Ech! Wy, dziennikarze, bardzo lubicie tajemnice, ale my, komuniści, też. Różnica polega na tym, że wy lubicie je z upodobania do odkrywania rzeczy, a my lubimy je z upodobania do ich ukrywania. To sposób, by utrzymać zainteresowanie sobą.

*Zapewniam pana, że zainteresowanie wami jest spowodowane zupełnie czym innym.*

W każdym razie nigdy nie mieszkałem w Pradze. Nigdy. Bywałem tam często, ale zawsze były to krótkie wizyty. Nie mieszkałem tam.

*Widocznie mieszkał pan w Moskwie.*

Stosując metodę eliminacji, trafi pani na Księżyc, bo ja nadal będę pani powtarzał nie, nie, nie. Co jeszcze pani o mnie wie?

*Niezbyt ważne rzeczy: że poślubił pan krewną Chruszczowa...*

Ach! Ciekawe. Nie wiedziałem.

*Teraz pan wie. Że był pan nauczycielem Soaresa, jego profesorem filozofii...*

Nigdy nie miałem dyplomu z filozofii. Mam tylko dyplom prawa, który uzyskałem w więzieniu, ale nigdy go nie używałem, bo z zawodu zawsze byłem rewolucjonistą. *Le révolutionnaire professionnel*. I nigdy nie byłem nauczycielem Mário Soaresa. W przeciwnym

razie byłbym bardzo złym nauczycielem... Pracowałem w kolegium ojca Soaresa, to prawda, ale nie jako profesor; jako woźny. Dzwoniłem dzwonkiem na początku i na końcu lekcji, prowadziłem dzieci do stołówki i na boisko. Rozmawiałem z nimi, to oczywiste, ale niekoniecznie o polityce. Powiedzmy, że o moralności, o moralnym zachowaniu. Ojciec Soaresa zachował się bardzo wspaniałomyślnie i bardzo odważnie, proponując mi to zajęcie, choć wiedział, że jestem komunistą i że z tego powodu byłem już w więzieniu. Wykazał się jeszcze większą odwagą, gdy zaproponował mi przeprowadzenie krótkiego cyklu wykładów z kosmografii i astronomii dla uczniów siódmej klasy. Byłem dość dobrze przygotowany z tych dwóch przedmiotów i... Co jeszcze pani o mnie wie?

*Że prędko zostanie panu odebrane stanowisko sekretarza Portugalskiej Partii Komunistycznej. Dadzą panu zaszczytny, lecz pusty tytuł przewodniczącego.*

Co?! Jak?! Co takiego?! Kto to pani powiedział? A to dobre! Kto niby miałby odebrać mi kierownictwo, kto miałby oferować mi stanowisko przewodniczącego? I dlaczego? Dlatego że jestem za stary?

*Nie, nie; dlatego, że jest pan zbyt wielkim despotą. Zbyt wielkim stalinistą. Bo zamyka pan socjalistyczne gazety i powoduje mnóstwo problemów dla komunistów z innych krajów. Bo w końcu pokrzyżuje pan plany Związku Radzieckiego i zniweczy pan porozumienie między Kissingerem a Breżniewem w kwestii Portugalii.*

Żartuje sobie pani ze mnie...

*Nie, mówię poważnie. Wszyscy mówią, że pana dni jako przywódcy komunistów są policzone.*

I to Związek Radziecki miałby mnie już nie chcieć. Kto to pani powiedział?

*Kissinger we własnej osobie. A później potwierdził to Breżniew.*

Ach!

*Nieźle się pan przestraszył, prawda?*

Ja? Skądże. Może pani powiedzieć samemu Breżniewowi, że na razie nie ma o tym mowy. Wcale! Zbyt wielki stalinista. Co? Należy ustalić, co rozumiemy przez pojęcie stalinisty. W komitecie centralnym mam tylko jeden głos, a w mojej partii nikt nie waha się wyrażać swoich opinii. Dlaczego więc nadaje mi się epitet nawiązujący do tego nieszczęśliwego okresu w radzieckim komunizmie? Jeżeli chodzi o to, że jestem apodyktyczny, odpowiem, że nigdy nie uważałem, że dysponuję gotowymi rozwiązaniami, nigdy nie miałem podręcznika w kieszeni.

Podręcznik nie przewidywał na przykład ustroju, gdzie lud dzieliłby władzę z wojskiem. A jednak się na to zgadzam. Krótko mówiąc, jako pierwszy pojmuję, że rzeczywistość jest bardziej bogata od teorii. Jeśli zaś chodzi o to, że jestem ortodoksyjny, odpowiem: my z Portugalskiej Partii Komunistycznej jesteśmy komunistami, nie socjaldemokratami. Jesteśmy rewolucjonistami, nie reformistami.

*Tak, ale rewolucje przeprowadza się po to, żeby ludziom żyło się lepiej. A nie wydaje mi się, żeby tak było w Portugalii.*

Zgadzam się z panią. Nawet po nacjonalizacji nasza gospodarka to katastrofa. Ale na gorzką rzeczywistość reaguję jak przystało na prawdziwego rewolucjonistę i mam odwagę sprzeciwić się strajkom, nadmiernym żądaniom, powtarzać, że nie należy oddawać się demagogii, zawodom, kto więcej obieca. Również dziś rano przeprowadziłem dyskusję z przedstawicielami personelu hotelowego. Zapytałem ich: „Myślicie, że dalsze żądania podwyżek rozwiążą wasze problemy? Może rozwiążą je w danej chwili. A jutro? Jutro nie będziecie już mieli turystów, już w tym roku nie przyjeżdżają i skończy się na tym, że hotele zostaną zamknięte. Trzeba mniej żądać, a więcej pracować, więcej produkować”.

*Gdyby usłyszały pana włoskie związki zawodowe!*

A co mnie obchodzą włoskie związki zawodowe? Prawda to prawda, a demagogia to demagogia. Jeśli nie pomożemy sobie sami, nikt nam nie pomoże.

*Soares mówi, że nawet Związek Radziecki.*

A co mnie obchodzi to, co mówi Soares? On mówi też, że istnieje radziecki imperializm.

*To prawda.*

Pewnego dnia przeprowadzę z panią wywiad o radzieckim imperializmie.

*A kto by panu opublikował w Portugalii taki wywiad?*

Ma pani rację. Poza tym wtedy może naprawdę Związek Radziecki mianowałby mnie przewodniczącym Portugalskiej Partii Komunistycznej. Jeszcze jakieś pytania?

*Tylko dwa. Pierwsze brzmi: Jak załatwimy sprawę NATO?*

Kilka dni temu spotkałem ambasadora amerykańskiego, który był tutaj przed Carluccim. Był z paroma Anglikami i razem zapytali: „Jak to?! Wy, portugalscy komuniści, popieracie NATO, chcecie w nim zostać?”. Ja na to: „Ależ kto wam powiedział, że je popieramy, że chcemy w nim zostać? Twierdzimy po prostu, że na razie nie chcemy rozpatrywać tego problemu. Należy go rozpatrzyć w szerszym kontekście: pokój na świecie, Układ Warszawski, współpraca między

narodami o różnych ustrojach politycznych. Kiedyś o tym porozmawiamy. Nie spieszy się nam. W tej chwili przynależność do NATO nie stanowi dla nas żadnego problemu”.

*Drugie pytanie dotyczy Układu Warszawskiego. Czy to prawda, że zaaprobował pan interwencję radziecką w Czechosłowacji?*

Chce pani zakończyć w ten sposób?

*Przykro mi, że wydaję się panu brutalna.*

Czemu brutalna? To całkowita prawda, że zaaprobowałem i poparłem interwencję radziecką w Czechosłowacji, tak zwane czołgi w Pradze. To żaden wstyd się do tego przyznać. Co najwyżej czasami jest to niestosowne. Jednak taki był mój wybór, nasz wybór, i mieliśmy rację. W każdym znaczeniu, politycznym, historycznym, kulturowym. I nie obchodzi mnie, jak się to interpretuje. I byłbym pani wdzięczny, gdyby ten punkt został dobrze podkreślony w tym wywiadzie. A także inny. Powtarzam: Portugalia nie będzie krajem demokratycznych swobód i monopoli. Nie będzie towarzyszką podróży waszych burżuazyjnych demokracji. Bo na to nie pozwolimy. Być może będziemy mieć ponownie Portugalię faszystowską. To ryzyko, które należy podjąć, choć w nie nie wierzę, ponieważ nie wierzę w faszystowski zamach stanu; my, komuniści, jesteśmy w stanie mu zapobiec dzięki naszemu porozumieniu z wojskiem. Ale z pewnością nie będzie Portugalii socjaldemokratycznej. Nigdy. Proszę to dobrze wyjaśnić.

*Może pan być spokojny, panie Cunhal. Tak zrobię.*

*Lizbona, czerwiec 1975*

## Santiago Carrillo

W powietrzu czuć było zapach krwi. Nie była to krew Juana Paredesa Manota, zwanego Txiki, rozstrzelanego w Barcelonie, na cmentarzu, w obecności brata Miguela, podczas gdy śpiewał *Eusko Gudariak*, „Żołnierze baskijskiej ziemi”. Nie była to krew Angela Otaegui, rozstrzelanego w Burgos, w niewiadomym miejscu, po ostatniej nocy spędzonej w samotności, gdy na próżno oczekiwał pożegnania z przyjacielem, z dalekim krewnym, którego nikt nie zawiadomił. Nie była to krew Ramona Garcii Sanza, José Sancheza Brava, Huberta Baeny, rozstrzelanych w Madrycie na poligonie Hoyo de Manzanares. Rozstrzelanych, a nie uduszonych garotą, z powodu braku kata; w Hiszpanii pozostało tylko dwóch katów wykonujących karę śmierci za pomocą garoty. Nie była to też krew Salvadora Puiga, Heiza Cheiza, zamordowanych rok wcześniej. Ani krew Pedro Martinez, zamordowanego trzy lata wcześniej. Ani krew Francisca Granadosa, Joacquina Esposito, Juliana Grimau, zamordowanych w 1963 roku. Ani ludzi zmarłych na skutek tortur lub zamordowanych w tajemnicy. Ich krew była już sucha, nie wydzielala już zapachu.

Krew, którą czuło się w powietrzu, była krwią ochotników, którzy wchodzili w skład plutonów egzekucyjnych w Burgos, Barcelonie, Madrycie, policjantów, którzy rozwiązywali trupa Txikiego, śmiejąc się: „Ten już nigdy nie będzie strzelał”, dozorców więziennych, którzy odmówili Otaeguiemu pociechy uściskania krewnego, członka straży obywatelskiej, który bestialsko pobił mamę Baeny, bo krzyczała we łzach: „Mordercy, mordercy!”. Była to krew tych wszystkich, którzy podtrzymywali reżim generała Franco; urzędników, którzy podpisywali jego ustawy i je stosowali. Policjantów, którzy aresztowali jego ofiary i je torturowali. Dziennikarzy, którzy wychwalali jego okrucieństwo i pisali: „Brawo dla rządu, który wymierzył porządną nauzkę”. Ministrów, którzy grozili, że opuszczą kraj, a następnie nie wyjeżdżali. Bogaczy i tchórzy, którzy kręcili głowami, ale pozostawali wierni staremu tyranowi, a ten śmiał odmówić nawet swojemu papieżowi, który zadzwonił, by go błagać. Słowem, krew nowej wojny domowej. Kolejnej po czterdziestu latach. Człowiek, którego miałam przed sobą, doskonale o tym wszystkim wiedział. Od czasu, gdy odkrył wstręt do przemocy, gdy zrozumiał bezcelowość jej stosowania, walczył o stworzenie warunków umożliwiających pokojową zmianę; cierpliwy, uparty, przekonany, że to jedyna droga. A teraz zachodziło ryzyko, że tych kilka trupów zniweczy pracę niemal całego jego życia. Być może budziło to w nim nawet obawę, której nie



chciał ulec: obawę, iż tyranów nie usuwa się za pomocą cywilizowanych protestów, dzięki powolnej działalności politycznej. Być może zastanawiał się z niepokojem, czy nie miało racji tych kilku, czy nie mieli zawsze racji ci, którzy uważają tak jak tych kilku: cierpliwość to błąd, tolerancja to zniewaga. I, zrozpaczony, odganiał tę myśl. Ale ta myśl powracała, zatruwała go, kazała mu mówić, że jeśli okaże się to konieczne, jeśli będzie to niezbędne, ujrzymy również jego z bronią w ręku. Już jej używał; przez trzy lata, a następnie przez kolejne dziewięć. Lata, gdy wierzył, że zabijanie czemuś służy, że nie można zmienić świata bez rozlewu krwi.

Człowiekiem tym był Santiago Carrillo, sławny już lider Hiszpańskiej Partii Komunistycznej – najbardziej dysydenckiej partii komunistycznej na świecie. Człowiek niezwykle, bo dysydent, inteligentny i bardzo dobry. Słuchając go, zastanawiałeś się, czy nie jest przypadkiem prawdą, że inteligencja i dobroć to to samo. Jego nieposłuszeństwo było ponadto tak pełne odwagi, tak prawe i nieuginające się nigdy przed nikim: ani przed Franco, ani przed Stalinem, ani wobec gróźb, ani wobec wyzwisk, ani wobec nieporozumień. Nawet gdyby go ukrzyżowano, powtarzałby uparcie, że wolność to najważniejszy obowiązek, najważniejsze prawo, socjalizm bez wolności to nie socjalizm, pluralistyczna demokracja jest niezbędna, dyktatura proletariatu to już niemożliwe zdanie. Powiedzmy sobie szczerze: był pierwszym komunistą w Europie, który to rozumiał. Wszyscy inni mieli nadejść po nim; od Berlinguera po Marchais. Włoscy komuniści byli jeszcze wierni Józefowi Stalinowi, gdy Carrillo ściągał na siebie klątwy Moskwy. A na takie klątwy ten cudowny, inny niż wszyscy człowiek reagował zawsze, opowiadając się po stronie takich jak Dubček, a potępiając takich jak Cunhal. Jeżeli kogoś podziwiał i pytałeś go, dlaczego, uśmiechał się błogo, mówiąc: „Był wielkim liberałem”. Zjeździł świat i dobrze mu się przyjrzał. Przebywał na wygnaniu w Moskwie, Nowym Jorku, Meksyku, na Kubie, w Buenos Aires, Paryżu, gdzie obecnie mieszkał; otrzymując nieustannie śmiertelne pogróżki. Istotnie wielu było takich, zarówno na lewicy, jak i na prawicy, którzy ucieszyliby się na wieść o jego śmierci. Musiał chronić się przy pomocy ochroniarzy, używać tajnych adresów i narzucać to poświęcenie również żonie i trzem synom: dwudziestopięcioletniemu Santiago, wykładowcy matematyki na uniwersytecie, dwudziestotrzyletniemu Pepe, świeżo upieczonemu magistrowi fizyki i matematyki, dwudziestodwuletniemu Jorge, studentowi nauk ekonomicznych. Niełatwo się było do niego zbliżyć. A kiedy wreszcie ci się to udawało, zastawałeś go w pokoju, którego jedynym wyposażeniem był owalny stół i sześć krzeseł. Żadnych manifestów, żadnych fotografii. Jeśli

wydawałeś się zaskoczony, wyjaśniał: „Kogo miałbym tam umieścić? Breżniewa? Nie, dziękuję. Mao Tse-tunga? Nie, dziękuję. Che Guevarę? Też nie. Lenina? Tak, być może, ale to byłoby banalne. Proszę posłuchać, należałoby tu zawiesić fotografie moich towarzyszy, zmarłych i przebywających w więzieniu. Ale jest ich zbyt wielu. Nie starczyłoby miejsca na ścianach”. A gdy to mówił, jego głos był spokojny, ironiczny, łagodny. Jego spojrzenie było natomiast surowe. Bez trudu poczułam do niego życzliwość i nie sądzę, bym kiedykolwiek miała tego pożałować. Gdyby wszyscy komuniści byli tacy jak Santiago Carrillo, świat byłby mądrzejszy i szczęśliwszy.

Sytuacja w Hiszpanii zmieniła się od dnia, w którym przeprowadziłam ten wywiad z Santiago Carrillo; Franco umarł i kraj, choć z trudem i niepewnie, usiłuje powrócić do demokracji. Wolnościowe wrzenia stały się bardziej jawne, ruch falangistowski upadł, Hiszpańskiej Partii Komunistycznej udało się wygrać długą batalię o zalegalizowanie. Jednak słowa tego zacnego człowieka, który jako pierwszy sprzeciwił się Moskwie w imię nieautorytarnego socjalizmu, nadal są aktualne i dlatego, jak niewiele innych, stanowią część Historii. Posłuchajmy ich ponownie z szacunkiem. Zbyt długo zapominaliśmy o tym kraju, który jako pierwszy walczył z faszyzmem i ginął za wolność. My, którzy mówiliśmy: w Hiszpanii i tak nic się nie wydarzy, nikt się nie podniesie, Hiszpanie się zmienili, stali się potulnymi owcami. My, którzy w najlepszym wypadku zwracaliśmy uwagę na nowe tragedie, na Wietnam, Grecję, Chile, Palestynę, i w tym zapomnieniu staliśmy się winni obrzydliwego współudziału z reżimem generała Franco, ohydnej milczącej zgody, a więc dalej, przyjeżdżajmy jako turyści na wybrzeże i do miast, gdzie paella jest taka dobra, morze takie lazururowe, wymiana na pesety taka korzystna, dalej, oglądajmy wstrętne corridy, poznawajmy głupich toreadorów, ekscytujmy się głupimi meczami piłki nożnej i flamenco, może z dwiema powieściami Hemingwaya w walizce, *Słońce też wschodzi* i *Komu bije dzwon*, odrobiną Garcii Lorki dla bardziej wybrednych, podczas gdy wymiana handlowa przynosi miliardowe zyski, ambasadorowie wymieniają z rządem uprzejmości. Oczywiście włącznie z przedstawicielami Chin i Związku Radzieckiego.

*ORIANA FALLACI. Tak więc generalissimus ich wymordował.*

SANTIAGO CARRILLO. I wymorduje ich więcej. Rozpoczął krwią i krwią chce zakończyć. Również pozostałych dwudziestu dwóch, którym ma zostać wytoczony proces, zostanie skazanych. Będzie to kolejna klęska ludzkiego sumienia, ale też dowód na to, że jego reżim znajduje się w stanie śpiączki. Te egzekucje to ostatnie drgawki konającego. To gest

histerii, akt desperacji. A raczej strachu. Służą jedynie temu, by zachęcić lud do buntu i przyspieszyć koniec Francisca Franco. To początek końca.

*Ale kiedy nadejdzie ten koniec?*

Już prędko. Bardzo prędko. Powiedzmy, że w ciągu następnych dziesięciu miesięcy. Najpóźniej w ciągu roku. Wszyscy jesteśmy już na to gotowi, lewica, centrum, a nawet prawica. Cały wachlarz hiszpańskich sił politycznych jest zgodny co do tego, że trzeba obalić reżim. Drogą pokojową. A jeżeli prawica nam nie pomoże, jeśli centrum będzie się wahać, jeśli zaplanowana akcja nie zostanie przeprowadzona we wspomnianym przeze mnie czasie, wtedy dyktatura upadnie w sposób niepokojowy. Chcę powiedzieć, że będziemy zmuszeni obalić ją za pomocą siły. Za pomocą powstania ludności i części wojska albo jednego z tych dwóch. Mam tylko nadzieję, że to drugie rozwiązanie nie będzie konieczne. Naprawdę na to liczę. Nadal.

*Dlaczego?*

Z tych samych powodów, dla których nie wierzę w terroryzm i w partyzantkę. My, komuniści, prowadziliśmy partyzantkę. Do 1949 roku. Ale potem zrozumieliśmy, że niczemu to nie służy, i zrezygnowaliśmy. Dlaczego to niczemu nie służyło? Ponieważ Hiszpanie nie zaleczyli jeszcze ran po wojnie domowej i faszystowskich represjach. W ciągu tych trzech lat wojny domowej zginęły nas miliony i zostaliśmy pokonani. Zginęło nas trzysta tysięcy na skutek represji, które po niej nastąpiły, i potrzeba było tak wiele czasu, byśmy doszli do siebie. Naród nadal ma uraz. Żywi coś w rodzaju wstrętu do zbrojnej walki, do rozlewu krwi. Jeśli nie zmusi go do tego konieczność, nie chce ponownie przeżywać tak wielkiej tragedii. Wojna domowa, gdy się ją wygrywa, podnosi morale bardziej niż cokolwiek innego. Gdy się ją przegrywa, obniża je bardziej niż cokolwiek innego. My, którzy w niej walczyliśmy, musieliśmy poczekać, aż dorosną nowe pokolenia, aż powstaną warunki konieczne do tego, by odzyskać wolność.

*Nowe pokolenia nie przeżyły wojny domowej i nie obawiają się jej.*

To prawda, ale my mimo to musimy spróbować jej uniknąć. To zasadniczy problem. Bo po naszej stronie walczyliby dziś synowie tych, którzy wczoraj walczyli przeciwko nam. Nie chcemy zabijać ojców tych, którzy dzisiaj są po naszej stronie. Nie chcemy żądać od dzisiejszej młodzieży, by zabijała swoich ojców. Nie chcemy dzielić demokratycznych sił za pomocą tak dramatycznych wyborów. Potrzebujemy wszystkich sił, wszystkich, by obalić reżim. Rozlew krwi to marnotrawstwo. Reżim frankistowski to nie tylko Franco; aby usunąć Franco, należy zniszczyć reżim frankistowski u podstaw. A to można zrobić za pomocą walki politycznej, nie

aktów zemsty. Właśnie tego nie rozumieją Baskowie i partyzanci z FRAP-u. Właśnie tutaj popełniają błąd w swoich zamachach. I pominiemy takie zamachy, jak ten na Carrera Blanco, który był niepotrzebny, ale polityczny. Pozostałe... Czemu służy zabijanie policjanta, który obecnie pracuje jako fryzjer? Komu, jeśli nie rządowi i policji? W niektórych przypadkach zastanawiam się, czy nie maczał w tym palców rząd, policja. Nie ma przekonujących dowodów przeciwko skazanym. Ani jednego, poza „zeznaniem” wydartym za pomocą tortur.

*Panie Carrillo, czy jest pan pewien, że zamach na Carrera Blanco okazał się bezcelowy?*

Śmierć Carrera Blanco wstrząsnęła nieco reżimem, ponieważ Carrero Blanco był człowiekiem, do którego obowiązków należało zapewnienie jego ciągłości poprzez nadawanie uprawnień. Jednak rzeczywistość nie zmieniła się z powodu jego śmierci. Istotnie, nastąpił Arias Navarro, który robi to samo, a dodatkowo wydaje ustawy przeciwko terroryzmowi. Nie popieram zamachów właśnie dlatego; dlatego że później przychodzi inny, który aresztuje i rozstrzeliwuje. Ale śmierć Carrera Blanco podniosła morale Hiszpanów, odpowie pani. Cóż, to prawda, naród go nie opłakiwał. W niektórych wypadkach nawet świętował. Dla mnie jednak problem nie polega na zapewnieniu sobie drobnych powodów do zadowolenia. Polega na tym, by obalić dyktaturę.

*Tak, ale kiedy Baskowie albo FRAP dokonają zamachu, myślimy, że w Hiszpanii coś się dzieje. Wcześniej myśleliśmy, że nic się nie dzieje w Hiszpanii. Wysiadaliśmy w Barcelonie, w Madrycie i mówiono nam: „No pasa nada. Corridy i tyle”.*

Spowijała nas zasłona milczenia. Nadal nas spowija. I przerywają ją tylko sensacyjne wydarzenia, takie jak śmierć Carrera Blanco czy rozstrzelanie tych pięciu osób, winnych antyfaszyzmu. Aby świat o nas pamiętał, musielibyśmy dostarczać mu dwa lub trzy trupy dziennie. Nikt nie mówi o naszych strajkach, o naszych walkach z policją. Nikt nie pisze o setkach tysięcy robotników i intelektualistów, którzy walczą za pomocą środków mniej rzucających się w oczy niż bomby, ale o wiele skuteczniejszych. Gdy zniknie Franco, będziecie się jednak musieli zastanowić, jak to się stało. Będziecie musieli sobie powiedzieć: może ci Hiszpanie coś zrobili, by odzyskać wolność. Będziecie też musieli przyznać, że dyktatura nie upadła jak zgniłe jabłko, ale dlatego, że miała miejsce walka. Za każdym razem, gdy słucham zarzutów, że poza zamachami Basków i FRAP-u w Hiszpanii nic się nie dzieje, ogromnie cierpię. I odpowiadam: trochę was rozumiem. Na tej planecie dzieje się tyle rzeczy, że aby uzyskać poparcie prasy, należy dostarczyć jej szokujących historii. Ale czy to możliwe, by nie zauważano

ruchu oporu, który trwa od lat? W innym przypadku czemu więzienia byłyby pełne? Czemu tortury byłyby tak okrutne?

*Wy sami nie mówicie o torturach. Przedstawiano nam dokumenty dotyczące tortur w Brazylii, w Grecji, w Chile i nigdy albo prawie nigdy na temat tortur w Hiszpanii.*

To prawda. Nigdy nie kładziemy nacisku na tortury. Celowo. Byłoby to tak, jakbyśmy powtarzali, że tylko w Hiszpanii zabija się za pomocą garoty i że garota to średniowieczne narzędzie, którego działanie polega na tym, że metalowa obręcz zaciska się wokół szyi, podczas gdy gwóźdź wbija się w kark. Powoli, powoli... Zniechęciłoby to walczących. Biada tym, którzy przesadzają w podkreślaniu ofiar, budząc litość. Nie interesuje nas litość, współczucie. Interesuje nas dźwięk wolności. A kiedy strajkuje się w kraju, gdzie strajk jest zakazany, budzi się dźwięk wolności. Gdy wygrywa się wybory do oficjalnych związków zawodowych i zdobywa się prawo do organizowania zgromadzeń, gdzie rozmawia się również o polityce, rozbrzmiewa dźwięk wolności. Gdy przeprowadza się studenckie agitacje i zdobywa się poparcie profesorów, rozbrzmiewa dźwięk wolności. Gdy zamienia się stowarzyszenia zawodowe w bastiony ruchu oporu, prawnicze, lekarskie i inżynierskie, rozbrzmiewa dźwięk wolności.

*A kiedy pięć istot ludzkich ginie przed plutonem egzekucyjnym, nie jest to dźwięk wolności?*

Tak, ale chętnie bym z tego zrezygnował, bo kosztuje on życie pięciu istot i kosztował życie innych i zagraża szansie dojścia do zmian drogą pokojową.

*Czy to tylko rozsądna kalkulacja, czy opinia podyktowana pańską nienawiścią do rozlewu krwi?*

Jedno i drugie. Niech pani posłucha, ja jestem politykiem. Jestem komunistą. Jestem rewolucjonistą. I nie obawiam się rewolucji. Dorastałem, marząc o niej, przygotowując ją. Ale kiedy mówię o rewolucji, nie mówię o bombach i partyzantce; mówię o zlikwidowaniu tego, co nazywamy wykorzystywaniem człowieka przez człowieka, mówię o ludzkiej wolności. I dodam, że nie potępiam przemocy, nie jestem przeciwny przemocy we wszystkich sytuacjach. Akceptuję ją, gdy jest konieczna. I jeżeli rewolucja w Hiszpanii będzie potrzebowała przemocy, jak potrzebowała jej w innych krajach, będę gotów ją zastosować. Nie mógłbym nigdy podłożyć bomby pod samochód Carrera Blanco, ale może być pani pewna, że gdyby jutro konieczne było powstanie, ujrzałaby mnie pani z rewolwerem w rękę. W historycznych sytuacjach, które wymagają użycia przemocy, prawdziwy rewolucjonista się nie waha. Jednak stosowanie

przemocy, gdy nie jest ona konieczna, a raczej jest niewskazana, nie oznacza, że akceptuje się przemoc. Oznacza, że uwielbia się przemoc, czerpie się z niej radość. A to przyprawia mnie o mdłości. I ciągle żywię nadzieję, że te nowe egzekucje nie doprowadzą do nowej wojny domowej.

*Czy istnieje może jakieś wydarzenie z tamtej wojny, które wzbudziło w panu obrzydzenie?*

Nie, nie mogę sprowadzić wszystkiego do pojedynczego wydarzenia. Musiałbym przytoczyć wiele wydarzeń. Wiele. Widziałem na przykład dużo martwych dzieci... Zawsze umiera jakieś dziecko, gdy ludzie do siebie strzelają. Poza tym... Widzi pani, ja naprawdę brałem udział w wojnie domowej. Przez całe trzy lata. Strzelając, zabijając. Walczyłem też w partyzantce, kiedy wierzyłem w partyzantkę. Przez dziewięć lat. I nie wiem, czy jestem dobrym strzelcem, ale wiem, że mierzyłem uważnie, by zabić. I zabijałem. I nie jestem pewien, czy mi się to podoba, chociaż nie żałuję, że to zrobiłem. I powiem: wojna domowa, wojna rewolucyjna, może być ekscytująca, ale jest obrzydliwa. Zawsze znajdzie się tam ktoś, kto lubi zabijać. Ktoś, kto uczy się później zabijać z zimną krwią, przeprowadzać represje, być policjantem. Ja nie mógłbym nigdy pracować jako policjant. Policjanci zawsze w końcu zaczynają kochać swój zawód. Jeśli kiedykolwiek my, komuniści, dojdziemy w Hiszpanii do władzy, obiecuję pani, że wcielimy do policji tylko ludzi nie lubiących pracy policjanta. I będę wymieniał tych ludzi co trzy miesiące, żeby się nie przyzwyczaili, nie przywiązali do zawodu. I zakazę jakichkolwiek represji.

*Ale ile osób w Hiszpańskiej Partii Komunistycznej myśli w ten sposób?*

Mogę panią zapewnić, że dziś wszyscy ci, którzy pełnią ważne funkcje albo mają w partii pewną zdolność decydowania, myślą tak jak ja. Jeśli nie każdy zapisany, to ogół partii się ze mną zgadza. Udało nam się przekonać nawet tych towarzyszy, którzy najwięcej wycierpieli, którzy najbardziej płonęli nienawiścią. I to było wielkie zwycięstwo.

*Niech mi pan więc powie: czy gdyby Franco został postawiony przed sądem, tak jak w Grecji został postawiony przed sądem Papadopoulos, chciałby pan, żeby został skazany na śmierć?*

Tak. Franco tak. Powtarzam, że jestem i zawsze będę przeciwny represjom w Hiszpanii, przeciwny zamiarom prześladowania tych, którzy skompromitowali się współpracą z reżimem. Twierdzę i będę twierdził, że powinniśmy wszystkich ułaskawić. Jednak, podczas gdy jestem skłonny pozostawić przy życiu policjantów generała Franco, nie jestem skłonny pozostawić przy życiu Franco. On jest zbyt winny. Jest o wiele bardziej winny od katów; nieszczęsnych bestii,

które zachowują się jak nieszczęsne bestie. Tak, podpisałbym karę śmierci dla Franco. Potwierdzam to, chociaż to stwierdzenie stawia mnie przed problemem sumienia; jestem przeciwny karze śmierci. Potwierdzam to, choć w głębi serca coś mi szepcze, że wolałbym, aby ten stary idiota uciekł. Choćby na Filipiny, gdzie kupił sobie kryjówkę.

*A gdyby umarł wcześniej? To znaczy ze starości.*

Byłoby mi z tego powodu bardzo przykro. Należę do tych Hiszpanów, którzy sądzą, że gdyby Franco miał umrzeć we własnym łóżku, byłaby to historyczna niesprawiedliwość. Niewiele krajów w Europie walczyło o wolność tak jak my i nie zasługujemy na to, by umarł on w przekonaniu, że jego tyrania jest niezniszczalna. Musi z otwartymi oczami doświadczyć końca swojej tyranii.

*Jednak właśnie tego wszyscy oczekują; naturalnej śmierci starca, który ledwo trzyma się na nogach i nie jest już nawet w stanie mówić. I pan, panie Carrillo, o tym wie. Czy to nie upokarzające dla was, Hiszpanów, że wolność kraju zależy od śmierci zgrzybiałego starca?*

Ja nigdy nie oczekiwałem, że Franco umrze, i robiłem wszystko, by go usunąć, zanim umrze. Nadal liczę na wygnanie go przed śmiercią. Jednak muszę przyznać, że mówi pani prawdę. Wielu czeka, aż wszystko się rozwiąże wraz ze śmiercią ponadsiemdziesięciolatka, który sika już pod siebie. Bo wielu wierzy, że zmiany łatwiej będzie kontrolować, jeśli nastąpią po śmierci Franco. Duża część prawicy, a także centrum obawia się powrotu do demokracji za życia Franco; utrzymują, że równałoby się to sztucznemu przyspieszeniu wydarzeń, oddaniu zbyt wielkiej władzy narodowi. Ponadto wielu z tych, którzy dziś należą do opozycji, jeszcze wczoraj było frankistami i żywi wobec Franco coś na kształt kompleksu. Słowem, nie chcą robić nic przeciwko niemu, ponieważ przysięgali mu wierność. Mówię przede wszystkim o wysokich rangą oficerach, rozgoryczonych frankizmem, ale nadal związanych z Franco. I mówię o tej części ludności, która czterdzieści lat temu zdecydowała się stanąć po stronie Franco. Są oni przekonani, że to koniec Franco i frankizmu, i dlatego można przekształcić kraj, unikając szoku, nie przyspieszając terminów. Nie rozumieją, że śmierć Franco nie oznacza koniecznie upadku frankizmu i że odejście jednego człowieka nie wystarczy, by obalić system.

*Jest to jednak system, który się z nim identyfikuje. I bądźmy uczciwi. Czy nie należy przyznać, że Franco ma wybitną inteligencję polityczną? Pozostać u władzy do osiemdziesiątego roku życia, po tym jak upadł Hitler i Mussolini, po tym jak rozpadły się o wiele nowsze dyktatury, to niezły rekord.*

Tak, należy uznać wielką przebiegłość Franco. Jednak każdy, kto wygrałby wojnę i zniszczył dwa pokolenia, które przeciwko niemu walczyły, każdy, kto byłby popierany przez międzynarodowy faszyzm tak jak on, dałby sobie radę. Nawet bez inteligencji. Nie zapominajmy, że miał on jeszcze jedno wielkie szczęście: zimną wojnę. Nie zapominajmy, że zimna wojna zapewniła mu poparcie Stanów Zjednoczonych. Krótko mówiąc, okoliczności historyczne okazały się dla niego przychylne. On sam to przyznaje. I to nie wszystko. Wie pani, dlaczego wielu frankistom nie spieszy się, by ujrzeć upadek frankizmu, w który już nie wierzą? Bo boją się kar, represji, zemsty. My, komuniści, tak doskonale zrozumieliśmy to od 1956 roku, że od tego czasu mówimy o narodowym pojednaniu i cierpliwości.

*Nie jest to przypadkiem przesadna cierpliwość? To znaczy, ma pan nadzieję, że reżim Franco upadnie przed śmiercią Franco. Jednocześnie jednak oczekuje pan, iż coś się wydarzy. Ale co?*

To, o co latami walczyliśmy, uwięczenie ruchu oporu, który wyraża się poprzez głosy wolności. Mapa polityczna Hiszpanii zapelnia się demokratycznymi plamami, i to nie tylko dlatego, że klasa robotnicza jest liczna, nie tylko dlatego, że znaczna większość populacji jest aktywna politycznie, ale dlatego, że istnieje ten szeroki wachlarz sił politycznych, o którym wspominałem na początku. Wachlarz ten obejmuje większość mieszczaństwa, kleru, wojska i całą kulturę. Istotnie, tak jak wszystkie faszystowskie dyktatury, frankizm nie zdołał nigdy przeciągnąć na swoją stronę kultury. Nawet prasa jest w Hiszpanii mniej lub bardziej otwarcie antyfrankistowska. Dlatego reżim jest otoczony i miota się wśród próżnych historycznych gestów, takich jak kara śmierci. Przyzna pani, że ustawa przeciwko terroryzmowi ma na celu jedynie zelektryzowanie ostatnich wyznawców i ukrycie rzeczywistości; rząd, który ma wszelkie możliwe środki do zabijania, nie potrzebuje podobnej ustawy. Tym sposobem i zakładając, że niecierpliwość Basków i FRAP-u nie zmuszą nas do innych rozwiązań, zbliża się chwila, w której zbierzemy plony. Kilka dni temu my z Rady Demokratycznej podpisaliśmy porozumienie z Platformą Współdziałania Demokratycznego. Jest to kompromis, który łączy wszystkie siły polityczne, by przyspieszyć bieg wydarzeń i zapobiec dalszemu trwaniu reżimu dzięki rządowi Juana Carlosa. W jakikolwiek sposób i w każdym wypadku. Rozumie pani, co to oznacza?

*Oznacza to, że według waszych planów w Hiszpanii wolność nie spadnie z nieba ani nie zostanie podarowana, jak stało się w Portugalii.*



Właśnie. To nie niebo i nie wojskowy pucz przywróca nam wolność. Przywróci nam ją walka polityczna, w której wzięły udział miliony Hiszpanów, a której świat nie zauważył. Hiszpania to nie Portugalia. I fakt, że wielu wojskowych stoi po naszej stronie, nie zmienia tej prawdy. Tych wojskowych nie zdemokratyzował naród Angoli i Mozambiku; zrobił to naród hiszpański. I nie walczył on w jakiejś Angoli czy Mozambiku, walczył w ojczyźnie. Dlatego w Hiszpanii to nie wojsko wywiera wpływ na siły polityczne, to siły polityczne wywierają wpływ na wojsko. Czy może powinienem powiedzieć: mają przewagę nad wojskiem? Celem młodych oficerów nie jest przeprowadzenie zamachu stanu; jest nim popieranie ruchu narodowego i śledzenie ruchu narodowego, który we właściwym momencie sparaliżuje kraj i zażąda władzy.

*Krótko mówiąc, coś na kształt dnia 0. Ale co spowoduje nastanie tego Dnia 0?*

Strajk narodowy, i to nie tylko w sensie geograficznym. To znaczy strajk, który nagle sparaliżuje cały kraj, od fabryk po uniwersytety, od handlu po komunikację. Gigantyczny, całkowity strajk, który zablokuje cały mechanizm państwowy i przeciwko któremu režim nie będzie mógł nic zrobić. Wszystko będzie się musiało wydarzyć w jednej chwili, wszystko. Tworzymy teraz warunki, by mogła nastąpić ta chwila. Rząd o tym wie, ale na próżno. Bo w takiej chwili lud wyjdzie na ulice, domagając się utworzenia nowego rządu, rządu tymczasowego, a wojsko go poprze. Jeśli nie całe wojsko, to przynajmniej młodzi oficerowie i... Nie mogę powiedzieć więcej.

*Rozumiem. Ale w jaki sposób uniknąć wymknięcia się sytuacji spod kontroli? Jak na przykład uniknąć anarchii?*

Proszę posłuchać, nie mogę odrzucić możliwości, że w paru wsiach lub miastach sprawy potoczą się w trochę nieuporządkowany sposób. Nawet poprzez anarchiczne ekscesy czy odizolowane inicjatywy. Jednak w przypadku akcji tego typu, to znaczy przeprowadzonej przez wszystkie partie według wspólnie ustalonej strategii, pewność, że wszystko wydarzy się bez udziału anarchii, wynosi niemal sto procent. Należy również liczyć na ludzką radość, bo powszechnie wiadomo, jak emocjonalny jest naród hiszpański. Dopóki trwa radość, nie myśli się o zemście i anarchii. A zanim przeminie radość, nastanie nowy rząd. Istnieje co najwyżej inne niebezpieczeństwo. Że naród narobi sobie przesadnych złudzeń, że powie: hurra!-koniec-z-Franco-i-teraz-wszystko-będzie-dobrze-wszystko-będzie-latwe. Ale takie jest ryzyko demokracji, słabości demokracji. Dobrze wiemy, że rządzenie jest bardzo proste dla dyktatorów, bardzo trudne w demokracji.

*A wszystko to w ciągu dziesięciu miesięcy, najwyżej roku. Panie Carrillo, niedawno pytałam pana, czy pańska cierpliwość nie jest przesadna. Teraz pytam, czy nie jest przesadny pański optymizm.*

Kiedy człowiek znajduje się w mojej sytuacji, chcąc nie chcąc, musi być optymistą. Jeśli będzie pesymistą, do niczego nie dojdzie. Jednak w tej chwili to nie jest nawet optymizm, to analiza historyczna. Sprawy w Hiszpanii zaszły tak daleko, że mogą się potoczyć tylko w taki sposób, jak powiedziałem. Mam na to wyraźne dowody. Przede wszystkim w ciągu ostatnich miesięcy przewinęły się przez ten pokój osoby bardzo związane z reżimem Franco. Mam na myśli przedstawicieli finansjery i Kościoła, dawniej gwałtownie antykomunistycznych. Przykro mi, że nie mogę podać pani nazwisk; otworzyłyby pani usta ze zdziwienia. Przyszli do mnie i usiedli tam, gdzie siedzi teraz pani, i dyskutowali ze mną o tym, co dzieje się w Hiszpanii. Również o tym, co stanie się niebawem. I okazało się, że są ze mną zgodni, powiem więc: jeśli ludzie należący do systemu przychodzą do mnie i są ze mną zgodni, oznacza to naprawdę, że system się rozpada. A raczej, że właściwie już się rozpadł.

*Jeżeli ma pan rację, byłby to trzeci przypadek faszyzmu upadającego bez użycia przemocy, z wycieńczenia. Trzeci przypadek na przestrzeni niecałych dwóch lat. Najpierw Grecja, potem Portugalia, a wreszcie Hiszpania.*

Nie, ponieważ w Grecji upadł on dzięki abdykacji wojskowych. Abdykacji spowodowanej zewnętrznym wydarzeniem, to znaczy tragedią Cypru. Nie, ponieważ w Portugalii upadł wyłącznie dzięki interwencji wojska. To znaczy dzięki przewrotowi, do którego doprowadziło wydarzenie zewnętrzne, wojna kolonialna. W Hiszpanii upadnie niezależnie od wszelkich zewnętrznych wydarzeń i nie dzięki wojskowemu przewrotowi lub abdykacji. Nawiązuję do powolnej i cichej walki, prowadzonej latami przez obywatelski ruch oporu. Widzi pani, cały czas powtarzam to samo. I może wydaje się pani, że to naciągane rozumowanie; ale historia przyzna mi rację.

*Panie Carrillo, po raz drugi mówimy o Portugalii. Nie zaprzeczy pan chyba, że upadek faszyzmu w Portugalii wpłynął na sytuację w Hiszpanii?*

Nie, nie przeczę. Odejście Caetano ogromnie dodało Hiszpanom odwagi, również dlatego, że był to przypadek bezkrwawej przemiany, w którą włączyły się tak różne siły, od Spínoli po Cunhala. Wszystko, co dzieje się w Portugalii, dotyczy bezpośrednio nas, Hiszpanów, wywiera wpływ na nas, Hiszpanów. Na przykład kwestia braku zgody między socjalistami i komunistami i

nierespektowania przez komunistów wyniku wyborów wygranych przez socjalistów bardzo nas dotknęła. Bardzo... Prawica od razu stwierdziła: to samo zrobią komuniści w Hiszpanii. I nie pomogło nam to, że następnie komuniści zostali zaatakowani; co najwyżej zachęciło to tych, którzy zamierzają ich zaatakować w odpowiedniej chwili. Gdy w Lizbonie doszło do kompromisu, odetchnąłem z ulgą. Tak, to, co dzieje się w Portugalii, dotyczy całej Europy, ale bardziej niż czegokolwiek innego dotyczy Hiszpanii. Powiem więcej, ten wpływ jest obustronny. Jeśli w Hiszpanii zostanie ustanowiony demokratyczny ustrój, pomoże to niezmiernie Portugalii. Oczywiście zobaczymy, co nastąpi wcześniej: demokracja w Hiszpanii czy prawicowy przewrót w Portugalii.

*Pan także wierzy w powrót faszyzmu w Portugalii?*

Błędy popełnione w Portugalii są poważne i niełatwo będzie je naprawić. Poza tym nie podoba mi się Spínola. Nie zgadzam się z tymi, którzy twierdzą: Spínola to nie Pinochet. Dlaczego Spínola nie mógłby być Pinochetem? Czy Pinochet nie był szefem sztabu głównego Allende? Czy Allende nie był przekonany, że to wierny człowiek? Pinochet nie był nawet faszystą, natomiast Spínola nim był. Z tym swoim monoklem. Spínola to nieprzyjemna postać. Irytuje mnie nawet jego monokl. Dodaje mu charyzmy. Z pewnością Soares zna lepiej ode mnie sytuację swojego kraju, jednak obawiam się, że popełnia błąd, nie uważając Spínoli za asa w rękawie prawicy.

*Wróćmy do Hiszpanii. Niektórzy twierdzą, że Stany Zjednoczone zrobią wszystko, by zapobiec obaleniu Franco i przywróceniu demokracji w Hiszpanii.*

Powiedzmy sobie szczerze: ja też się tego obawiam. Sądzę, że amerykańska klasa rządząca nie zaakceptuje łatwo zmian w Hiszpanii, i gdy do nich dojdzie, dokona przewrotu, aby je unieważnić. Amerykanie żywią przesadną nieufność wobec europejskiej lewicy. Deklaracje ambasadora Volpe'a to potwierdzają. I na próżno usiłuję wytłumaczyć Amerykanom, których spotykam, że hiszpańska lewica nie zamierza powodować żadnych zmian w obecnej równowadze strategicznej. Dzisiejszy świat jest już zanadto niestabilny, by opłacało się nam naruszać tę równowagę na korzyść jednych czy drugich. Mówię o blokach militarnych, o bazach wojskowych, o rozbrojeniu. Nam, hiszpańskim komunistom, nie marzy się Hiszpania antyamerykańska. Wiemy aż za dobrze, że Hiszpania będzie potrzebowała amerykańskiej technologii i amerykańskiego kapitału, by się rozwijać. Jesteśmy gotowi na politykę współpracy z wami, mówię im, i w pewnej mierze z krajami wschodnimi i ze Związkiem Radzieckim. Ale

jeśli Stany Zjednoczone nadal będą popierały Franco i będą opóźniały w ten sposób przywrócenie demokracji w Hiszpanii, jeśli Stany Zjednoczone zamierzają wręcz uniemożliwić nam odzyskanie wolności, wszystkie hiszpańskie siły polityczne staną się antyamerykańskie. Wszystkie. Nie tylko my, komuniści.

*Mimo to Ford właśnie przybył do Franco z rewizytą.*

Tak, i popełnił ogromne głupstwo. Chciałbym doprawdy wiedzieć, jaki kretylny mu to doradził. Zarówno Rada Demokratyczna, jak i Platforma Współpracy Demokratycznej wydały przeciwko niemu bardzo surowe deklaracje. Doszło do tego, że zażądały zamknięcia amerykańskich baz wojskowych w Hiszpanii. Amerykanie powinni przybrać mądrzejszą postawę, powinni mieć więcej zrozumienia i szacunku; inaczej stracą nawet poparcie tych, którzy do dziś byli im przychylni. Powinni zrozumieć podstawową prawdę; czy im się to podoba, czy nie, demokracja zostanie niebawem przywrócona w Hiszpanii. Co im bardziej odpowiada: demokracja antyamerykańska czy demokracja gotowa z nimi współpracować?

*Niektórzy twierdzą, że Kissinger liczy na Juana Carlosa.*

Och! Co mogę pani powiedzieć o Juanie Carlosie? To marionetka, którą Franco steruje jak chce, nieszczęśnik niemający żadnej godności ani zmysłu politycznego. To głupiec wplątanym w historię, która drogo go będzie kosztować. Zaraz pani wytłumaczę, kim jest Juan Carlos. Był na wakacjach na Balearach, gdy zadzwonił do niego Franco: „Przyjeżdżaj”. Ten pędzi do Galicji jak posłuszne dziecko, a Franco podaje mu kartkę. „Popatrz, nowa ustawa antyterrorystyczna. Dobra, nie?”. Na to Juan Carlos: „Tak, dobra”. Na to Franco: „Dobrze. Teraz możesz wracać na Baleary”. Wszyscy się zastanawiali: „Po co Juan Carlos przyjechał do Galicji?”. Po nic, przyjechał przeczytać ten dekret i powiedzieć: „Tak, dobry”. Tylko dlatego, że tego dnia Franco miał ochotę zawracać głowę również jemu. Jakie możliwości ma Juan Carlos? Co najwyżej może być królem przez kilka miesięcy. Gdyby na czas zerwał z Franco, mógłby uzyskać jakieś poparcie. Teraz nie ma nawet tego i wszyscy nim gardzą. Wolałbym, żeby spakował walizki i wyjechał razem ze swoim ojcem, mówiąc: „Oddaję monarchię w ręce narodu”. Jeśli tego nie zrobi, źle skończy. Naprawdę źle skończy. Grozi mu nawet śmierć.

*A gdyby referendum, które mu pan sugeruje, przyniosło zwycięstwo monarchii?*

Trudno. Jeśli naród zdecyduje się na monarchię, będziemy prowadzili politykę w ramach monarchii. To tak, jakby mnie pani zapytała: A jeśli wy, komuniści, po ustanowieniu demokracji przegracie wybory? Trudno. Zaczekamy. Powiemy temu, kto wygra: „Bon, gouvernez”. Ja nigdy

nie sprzeciwiałem się woli ludu. Nie pojmuję nawet, jak można się sprzeciwić wynikom wyborów. Nigdy nie zrobiłbym tego, co zrobił Cunhal. Nigdy! Powiedziałem to i będę to powtarzał, póki starczy mi tchu; my, hiszpańscy komuniści, nie będziemy próbowali narzucać socjalizmu. Socjalizm musi mieć swoje źródło w woli ludu, w większości. Nie można wprowadzać socjalizmu wbrew woli ludzi i kosztem wolności. Ja nie boję się wyborów. Przeciwnie, zabiegam o nie. Rada Demokratyczna przewiduje wybory rok po obaleniu Franco. Ja natomiast jestem gotów przeprowadzić je natychmiast, gdy tylko zostaną przygotowane listy wyborcze. Wybory otwarte dla wszystkich.

*Również dla frankistów?*

Oczywiście! Wiem, że prawica jest silna, ale wolę, żeby faszyci kandydowali jako tacy niż pod demokratyczną czy liberalną etykietką. Niech pani nie sądzi, że mówiąc tak, jestem aniołem; przeprowadzam kalkulacje. Biada, jeśli zakaże się prawicy używania jej prawdziwej nazwy. Zresztą Hiszpanie dojrżeli już do tego, by dobrze głosować, i nie obawiam się porażki mojej partii. Partią robotniczą jest w Hiszpanii Partia Komunistyczna. I większość katolików to nasi sprzymierzeńcy, nie przeciwnicy. Również socjaliści są naszymi sojusznikami, a nie przeciwnikami. I ostatnio wygraliśmy wybory samorządowe. I... jeśli się myślę, to trudno. Powtarzam pani, że nie jestem Cunhalem.

*Tak oto dotarliśmy do podstawowej kwestii: komunizm Santiago Carrillo. A raczej, różowy komunizm Santiago Carrillo, który opowiada się po stronie Soaresa przeciw Cunhalowi.*

Niech mnie pani dobrze posłucha. Jestem komunistą, nie socjaldemokratą. Nie jestem różowy. Nie, nie jestem. Ale analizuję europejskie doświadczenia, używając rozumu, i powiem tak: W 1917 roku wiele się wydarzyło i komunizm zatriumfował podczas leninowskiej rewolucji. Ale postrzeganie nadal rewolucji tak, jak się odbyła w 1917 roku, za Lenina, byłoby zachowywaniem się jak żona Lota. Wie pani, ta biblijna postać, która się odwraca i zamienia w słup soli. Nie należy patrzeć wstecz, nie należy patrzeć na rosyjską rewolucję. Należy patrzeć do przodu, w kierunku Europy. My, komuniści, powinniśmy się zastanowić, dlaczego partie komunistyczne zwyciężyły jedynie w krajach, których rozwój społeczno-ekonomiczny był na granicy feudalizmu, nie licząc Chin, gdzie panował wręcz azjatycki feudalizm. I należy się zastanowić, dlaczego zwłaszcza w krajach rozwiniętych socjaldemokracja długo pozostawała ulubienicą klasy robotniczej. Ech! Zbyt proste byłoby stwierdzenie, że socjaldemokracja współpracowała z mieszczaństwem do tego stopnia, iż stała się partią mieszczańską. To wcale nie

tłumaczy, dlaczego socjaldemokracja uzyskała tak wielkie poparcie robotników. Czy nie chodzi raczej o to, że to nas, komunistów, sparaliżował przykład Związku Radzieckiego, myśl, by zająć Pałac Zimowy tak jak bolszewicy? Czy nie chodzi raczej o to, że socjaldemokracja była lepiej od nas przygotowana do przeprowadzenia tych reform, do podniesienia poziomu życia robotników?

*Zastanawiam się, co myślą inne partie komunistyczne, gdy tego słuchają.*

Wie pani, dziś ruch komunistyczny nie jest bynajmniej jednolity; nie istnieje już Międzynarodówka. Istnieją narodowe partie komunistyczne, różniące się od siebie, każda ze swoimi tradycjami, swoimi poglądami i swoimi ludźmi. Nie wszystkie przyznają, że stosowaliśmy strategię niezgodną z rzeczywistością. Cóż, w Hiszpanii, we Włoszech i być może we Francji sprawy potoczyły się inaczej, ale w tych krajach miała miejsce wojna przeciwko faszyzmowi, wojna, której partia komunistyczna była główną uczestniczką, i to doprowadziło te trzy partie komunistyczne do stopienia się z masami w sposób demokratyczny. Jednym słowem, te trzy partie uniknęły usztywnienia poglądów i zdały sobie sprawę z tego, jakich prawd bronią. Po pierwsze, komunizm nie zatriumfował właśnie tam, gdzie uważano, że zatriumfuje z łatwością. Po drugie, socjalizm nie może przekreślić dokonanych już historycznych osiągnięć. To znaczy, demokracji politycznej i wolności osobistej. W rzeczywistości nie są to zdobycze należące jedynie do mieszczaństwa, jak twierdzą komuniści, przemienieni w słupy soli. Należą do wszystkich, chociaż klasa rządząca próbuje często obrócić je na swoją korzyść. Innymi słowy, te żony Lota muszą wbić sobie do głowy, że socjalizm nie oznacza obniżenia poziomu życia, ale jego podniesienie. Muszą też zrozumieć, że w naszych krajach może się on rozwinąć, tylko wychodząc od istniejących już zdobyczy i od rzeczywistości gospodarczej, która te zdobycze umożliwiła.

*Ale tak mówi również Willy Brandt i Saragat.*

Zacni ludzie. Mam jednak nadzieję, że zgodzą się ze mną, gdy powiem: tam gdzie zwyciężyli komuniści, ucierpiała wolność. Ucierpiały też pewne prawa człowieka, to prawda. Jednak tam, gdzie zwyciężyli socjaldemokraci, nie zapanował socjalizm. Pozostała jedynie wolność, czasami ograniczona. Bądźmy sprawiedliwi, w federalnych Niemczech nie ma zbyt wielu swobód dla komunistów. Jeśli więc zapyta mnie pani o to, o co zapytała pani Nenniego, to znaczy czy wolę skandynawską socjaldemokrację, czy radziecki komunizm, odpowiem: ani jedno, ani drugie. Wydaje mi się, że nie trzeba zaznaczać, że ustrój radziecki wcale mi nie odpowiada. Ale nie odpowiada mi także ustrój skandynawski, bo według mnie to nie socjalizm,

to wolność i nic więcej. I jeśli prawdą jest, że nie potrafię zrezygnować z wolności, tak samo prawdą jest, że nie potrafię się zadowolić samą wolnością. Marzę o ustroju, w którym komuniści, socjaldemokraci i ogólnie partie postępowe byliby zdolni współpracować w celu prawdziwego przekształcenia własności prywatnej, aż do zniesienia wyzysku człowieka przez człowieka.

*Młodzi ekstremiści, maoiści na przykład, odpowiedzą panu, że to nie jest komunizm. To nie rewolucja. To reformizm.*

Maoiści, lewicowi ekstremiści to szczeniaki. Szczeniaki, które nagle odkryły szpetotę tego społeczeństwa i znaczenie słów niesprawiedliwość, wyzysk, władza, ucisk. I tak samo jak robotnicy byli trochę anarchistami, gdy zaczęli się buntować, dziś te szczeniaki okazują się anarchistami. To nic innego, jak powtórzenie pewnego fenomenu historycznego. Albo może powinienem powiedzieć: rodzinnej przypadłości. Należy ich zrozumieć i z nimi rozmawiać, nie uważać ich za wrogów. W 1956 roku Mao Tse-tung powiedział mi: „Trzeba dać mieszczaństwu dziesięć tysięcy lat życia”. Nie mówię tego maoistom; wydaje mi się, że dziesięć tysięcy lat życia to dużo, a raczej za dużo, jeśli się pomyśli, że swojemu mieszczaństwu Mao nie dał nawet dziesięciu minut. Jednak pytam ich: Co rozumiecie przez komunizm, przez rewolucję? Przejęcie władzy? Ja nie. W najlepszym wypadku władza jest pierwszym etapem rewolucji. Dla mnie rewolucja oznacza ewolucję. A ewolucja jest powolna. Ogromnie powolna. Wymaga cierpliwości. Rozumu i cierpliwości. Zgoda?

*Zgoda.*

Więc po co się kłócić?

*Ja się nie kłócę, zamierzam tylko zwrócić panu uwagę, że jeszcze wczoraj żaden komunista tak nie mówił. I jako że na razie nie możecie nam zaoferować żadnych dowodów, jako że wasze wzorce pokazują coś zupełnie przeciwnego, pewna nieufność jest uzasadniona.*

Ach, jak mam panią przekonać, że nowy komunizm rodzi się właśnie ze złego przykładu tych wzorców? Jak mam panią przekonać, że stworzyliśmy go właśnie przez odrzucenie ich frazesów i doktrynalnej sztywności? Odrzucam te wzorce! Wcale nie oddają marksizmu! Jeśli czyta się Marksa i Engelsa we właściwy sposób...

*Mnie się wydaje, że marksizm jest jak Biblia, każdy znajduje w nim to, co chce.*

Ma pani zupełną rację. Ale powiedziałbym raczej, że każdy znajduje w nim to, czego szuka. I błąd tych, którzy znajdują w nim tylko katechetyczną formułkę, polega na tym, że nie

widzą go jako całości. To ten sam błąd, który popełniają księża studiujący katechizm. Ja nie jestem księdzem. I w marksizmie szukam tego, co jest potrzebne człowiekowi.

*A co pozostaje w pańskim marksizmie z dyktatury proletariatu? Dwa słowa, które składają się na niemodne wyrażenie?*

Również tutaj ma pani rację; wyrażenie „dyktatura proletariatu” jest już wyrażeniem niemodnym. Ja rzeczywiście bardzo niewiele mówię o dyktaturze proletariatu i w tych rzadkich momentach, gdy do niej nawiązuję, mam na myśli pojęcie bynajmniej nieortodoksyjne. Mam na myśli hipotetyczne państwo z ustawodawstwem chroniącym socjalistyczną własność i eliminującym to, co Marks nazywał dyktaturą proletariatu. Dyktatura proletariatu, rozumiana jako władza mniejszości, która zostaje narzucona siłą i przemocą, to przebrzmiała idea.

*A kiedy pan odkrył, że to przebrzmiała idea?*

Muszę powiedzieć, że XX Zjazd Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, podczas którego Chruszczow zadenuncjował Stalina, stanowił dla mnie początek bardzo głębokiej refleksji. A to, co stało się później, na przykład praska wiosna, posłużyło mi za potwierdzenie. Istotnie my, hiszpańscy komuniści, poparliśmy Dubčeka i pokładaliśmy wielkie nadzieje w jego eksperymencie. Wreszcie z oburzeniem potępiliśmy interwencję wojsk radzieckich. Jednak u źródeł wszystkiego leży doświadczenie hiszpańskie, to znaczy rząd, jaki mieliśmy podczas wojny domowej. Był to rząd, na którego czele stał socjalista i w którego skład wchodził socjaliści, republikanie, anarchiści, katolicy, baskijscy i katalońscy nacjonałiści i tylko dwóch komunistów. I pomimo swych ograniczeń ten rząd nauczył mnie, że można odegrać niezmiernie ważną rolę, również nie stosując katechetycznych frazesów żon Lota. Republika Hiszpańska nie opierała się na ustroju kapitalistycznym; była demokracją ludową w prawdziwym znaczeniu tego słowa.

*Przepraszam pana, panie Carrillo, ale jaka jest w takim razie różnica między wami a socjalistami?*

Żadna. Według mnie, między nami a prawdziwymi partiami socjalistycznymi, nie ma żadnej różnicy.

*Dlaczego więc się pan z nimi nie połączy?*

Ależ właśnie taką mam nadzieję, tego bym chciał. Moja partia kilka razy proponowała to, co nazywamy nową formacją polityczną, to znaczy konfederację składającą się z wszystkich sił socjalistycznych. Partię, która nazywałaby się na przykład Rewolucyjna Partia Pracy. Słowem, prawdziwą partię laburzystowską. I proszę zwrócić uwagę, że nie mam na myśli sojuszu



wyborczego ani frontu ludowego, mam na myśli właśnie partię. Taką, w której każdy zachowałby swoje poglądy filozoficzne i swoją osobowość, ale wszyscy byliby zgodni co do socjalistycznej przemiany kraju.

*Jeszcze raz przepraszam, panie Carrillo, ale czy pan nie był stalinistą?*

Ech! Byłem, byłem! Który komunista nie był stalinistą? Proszę podać mi choć jedno nazwisko. Był nim nawet socjalista Nenni. Poznałem Nenniego w Hiszpanii, gdy przyjechał walczyć razem z nami. Poznałem go za pośrednictwem Fernanda De Rosy, młodego socjalisty, który później miał zginąć za nas w walce. I mogę powiedzieć, że nawet Nenni miał w owym czasie dosyć stalinowskie poglądy. Ech!

*Czy poznał pan Stalina?*

Oczywiście. Poznałem go razem z Dolores Ibarruri i muszę powiedzieć, że nie wydawał mi się antypatyczny. Potrafił obchodzić się z ludźmi, stawał się surowy tylko wtedy, gdy mówił: „Nie, mylicie się”. Zwołał nas, bo nie zgadzał się z naszą polityką. Przyjął nas wraz z Susłowem, Mołotowem, Woroszyłowem i niemal natychmiast zaczął robić nam wyrzuty, że nie chcemy współpracować z faszystowskimi związkami zawodowymi. Powiedział, że w ten sposób odcinamy się od masowych organizacji i że jest w nas pewne lewactwo, *un certain gauchisme*. Nie mylił się też w obydwu kwestiach. Stalin... widzi pani, nie mogę powiedzieć, żebym źle wspominał Stalina, bo wówczas nie wiedziałem, że Stalin to Stalin. Może dlatego, że nie mówiłem po rosyjsku. Nigdy się nie nauczyłem. Lub może dlatego, że ja sam cieszyłem się w Moskwie całkowitą wolnością. Miałem dwadzieścia cztery lata i po raz pierwszy od zakończenia wojny nie ściagała mnie nagonka i wszystko wydawało mi się piękne. W przeciwieństwie do tego, czego miałem doświadczyć w Nowym Jorku.

*W Nowym Jorku? A kiedy był pan w Nowym Jorku?*

Zaraz potem. Wysłano mnie tam z misją z Moskwy jako przedstawiciela międzynarodowej młodzieżówki komunistycznej, abym spotkał się z Browderem, sekretarzem Amerykańskiej Partii Komunistycznej. Pojechałem z fałszywym paszportem, przez Japonię i Kanadę, i zostałem tam sześć miesięcy, tak jak w Moskwie. Mieszkałem na Amsterdam Street i byłem niezmiernie nieszczęśliwy. Przede wszystkim z powodu wieżowców. Pierwszą rzeczą, która sprawiła, że poczułem się źle, było wrażenie miasta, które na mnie spada i miażdży mnie swymi wieżowcami. Później syreny straży pożarnej, obsesyjne, ogłuszające, jakby miasto wiecznie się paliło. Wreszcie samotność. Nigdzie nie byłem tak bardzo samotny, jak w Nowym

Jorku. Być może dlatego, że również tutaj nie znałem języka. Może dlatego, że spotykałem się jedynie z Browderem i amerykańskimi komunistami. Może dlatego, że wcale się z Browderem nie zgadzałem. On też był taki sztywny. Byłem tak rozpaczliwie samotny, że polubiłem flamenco. Ja, który go nie znośłem. Kupiłem radio, żeby słuchać wiadomości po hiszpańsku, zawsze transmitowali to flamenco i skończyło się na tym, że je polubiłem.

*Wróćmy do Moskwy. A raczej do pańskich stosunków z Moskwą.*

Hmm... Czego chciałaby się pani dowiedzieć?

*Dobrze pan wie, czego chcę się dowiedzieć: Jakie są dzisiaj pana stosunki z Moskwą. Dyplomatyczne?*

Hmm... Wydaje mi się, że wyjaśniłem pani wystarczająco dobrze, że hiszpańscy komuniści różnią się całkowicie od komunistów radzieckich, że nasze pojmowanie socjalizmu nie jest takie jak ich. Powiedziałem też pani, że opowiedzieliśmy się po stronie Czechosłowacji Dubčeka i... tak, istotnie są to dosyć dyplomatyczne stosunki. To jasne. Ale w gruncie rzeczy nawet niedyplomatyczne, bo z radzieckimi przywódcami rozmawiam zawsze w sposób bardzo otwarty. Nawet brutalny. Cóż, nie powiem, żebyśmy drwili z siebie podczas spotkań. Jednak nasze dyskusje są bardzo, bardzo ożywione. Mówię zawsze rzeczy, które wcale im się nie podobają. I mówię je bez obaw, ponieważ nie mogę zapomnieć, że po pięćdziesięciu latach problem wolności nadal pozostaje w Rosji nierozwiązany. A problem wolności to dla socjalizmu problem zasadniczy. I zbyt wiele elementów w Rosji stanowi pozostałość caratu, a nie owoc socjalizmu. Proszę posłuchać, przedstawmy to tak: Nie przeczę, że bez ZSRR nigdy nie pokonalibyśmy nazistów w Europie. Nie przeczę, że bez radzieckiej broni my, Hiszpanie, nie moglibyśmy trzy lata walczyć przeciwko Franco. Pomógł nam jedynie Związek Radziecki, wysyłając nam działa, czołgi, karabiny maszynowe. Oprócz niego tylko Meksyk ofiarował nam pomocną dłoń, a raczej statek karabinów. Cała reszta pozostała neutralna lub stanęła przeciwko nam, tak jak Włochy Mussoliniego i hitlerowskie Niemcy. Jednak choć nadal jestem wdzięczny, powtarzam, że od nikogo nie przyjmuję rozkazów. Więc również od ZSRR. I z pewnością ZSRR nie będzie mi mówić, co mam robić; ani dziś, ani jutro, ani nigdy.

*Muszę powtórzyć panu wcześniejsze pytanie: Ile osób w Hiszpańskiej Partii Komunistycznej myśli tak jak pan?*

Wszyscy. Jaki miałoby to sens, gdybym tylko ja tak myślał? To nie ja jestem siłą polityczną, jest nią partia. Moja osobista ewolucja przebiegała równoległe z ewolucją partii, to

oczywiste. Na przykład jedyną grupą, która nie okazała się zgodna w kwestii Czechosłowacji, była grupa katalońskich księży. Wie pani, w Hiszpańskiej Partii Komunistycznej jest wielu księży i grupa księży katalońskich poparła interwencję wojsk radzieckich w Czechosłowacji. Ech! Księża! Biedacy, są tak bardzo przyzwyczajeni do posłuszeństwa.

*Bardzo chciałabym panu wierzyć, panie Carrillo. Albo lepiej: jako że wierzę panu, bardzo chciałabym wierzyć, że pańska partia jest taka jak pan. Ale pozostaję nieufna. Otóż przychodzi mi na myśl, że jeśli pan zachoruje i przyjdzie Cunhal...*

Może być pani pewna, że jeśli zachoruję, moja partia nadal będzie utrzymywała właściwy dystans wobec innych partii komunistycznych, a w szczególności wobec Cunhala. Nasz stosunek do Cunhala jest znany. Inne partie komunistyczne bardzo nas z tego powodu krytykowały. Jedynie podczas tej antykomunistycznej nagonki okazaliśmy mu naszą solidarność. Cunhal... widzi pani, poznałem Cunhala w 1944 roku, podczas mojego nielegalnego pobytu w Portugalii. I wówczas miałem o nim dobrą opinię, ponieważ jego życie było bardzo trudne, dokonywał okropnych poświęceń. Heroicznych. Później spotkałem go ponownie na kilku międzynarodowych kongresach i muszę powiedzieć... Tak, jednym słowem, muszę powiedzieć, że kiedy przeczytałem pani wywiad z nim, natychmiast rozpoznałem Cunhala. A kiedy on go zdementował...

*To nie Cunhal zdementował. Cunhal zachował się wobec mnie uczciwie. Wiedział, że powiedział dokładnie to, co napisałam, i nie zaprzeczył ani jednemu słowu. To Portugalska Partia Komunistyczna zarzuciła mi kłamstwo, oszczędziwszy sobie czytania wywiadu. To znaczy przed przeczytaniem wywiadu. Może chcieli ukarać Cunhala.*

Ale ja nie byłem zaskoczony jego deklaracjami. Byłem załamany. Tak, załamany to właściwe słowo. Jak można mówić pewne rzeczy, myśleć o pewnych rzeczach w 1975 roku?!? Jak można lekceważyć innych, drwić sobie z nich? Ja nie lekceważę innych, nie drwię z nich. W przeciwieństwie do niego, pracuję nad zjednoczeniem sił lewicowych i znalezieniem demokratycznego rozwiązania. Ach, gdybym mógł ujrzeć socjalizm z ludzką twarzą, zrealizowany gdziekolwiek, umarłbym szczęśliwy! Być może istnieje jakaś nadzieja; we Włoszech albo w Hiszpanii. Polityka włoskich komunistów wydaje mi się rozsądna.

*Rozsądna czy szczerza?*

Według mnie są szczerzy. Na przykład Amendola. Również Berlinguer. Nie widzę zbyt wielkich różnic między Amendolą a mną, Berlinguerem a mną. Oczywiście nie jestem tak

gwałtowny jak Amendola, a tym bardziej niewzruszony jak Berlinguer, ale są mi bliscy. Poza tym, gdyby któryś nie był szczery, wie pani, co pani powiem? To bez znaczenia. Ważne, by masy otrzymały demokratyczną edukację; kiedy ktoś próbuje zachowywać się jak Machiavelli wobec zdemokratyzowanych mas, zostaje przez te masy usunięty. Wiem, czasami w komunistach jest pewne sekciarstwo. Ale sekciarstwo jest wszędzie, i czego pani oczekuje od ludzi, którzy zawsze walczyli sami, nie czując się nigdy popierani przez nikogo? Komuniści walczyli zawsze w tak trudnych warunkach. Komunistom zarzucam co najwyżej przesadną dumę i triumfalizm. Może dlatego, że inni sprawiają, iż czują się odmienni... Mają jeszcze jedną wadę: gdy tylko stają się partią masową, robią się wyniośli. Gdy tylko wygrają, zaczynają zadzierać nosa. Ale czy to choroba komunistów, czy wszystkich ludzi? Wie pani, trzeba być filozofem i doznać wielu porażek, by polityka nie zawróciła w głowie.

*Albo nazywać się Santiago Carrillo. I mieć nadzieję, że tacy jak Santiago Carrillo wywierają wpływ na epokę. Historia nosa Kleopatry.*

Czyjego nosa?

*Nosa Kleopatry, według Pascala. „Gdyby nos Kleopatry był krótszy, cała historia świata wyglądałaby inaczej”. Soares twierdzi, że to niemarksistowska myśl.*

Negowanie roli człowieka w historii to zapominanie ogromnej części marksizmu. Jednostki, w takiej mierze, w jakiej są zdolne zrozumieć moment historyczny, mają ogromne znaczenie. Kto odważy się twierdzić, że na rewolucję rosyjską nie wywarła wpływu osobowość Lenina albo że sprawy nie potoczyłyby się inaczej, gdyby nie Stalin? Nawet Franco i jego cechy odegrały w Hiszpanii olbrzymią rolę. Gdyby nie jego upór, brak człowieczeństwa, pogarda dla cudzego życia i dla opinii innych, gdyby nie jego nieludzkie opanowanie, Hiszpania nie żyłaby tak długo w ciemnościach.

*Ale ciemności się kończą, prawda? Czy może pan to potwierdzić? Może mi pan to powtórzyć?*

Potwierdzam to, powtarzam. Bez rozlewu krwi czy z rozlewem krwi, Franco niebawem upadnie. Zamordowanie tych ludzi to ostatnie drgawki konającego. I początek końca.

*Paryż, październik 1975*

## Helder Camara

Jego kościół był biednym kościołem w mieście Recife, na północy Brazylii, gdzie jedyną piękną rzeczą jest morze i zawsze jest gorąco, bo niedaleko znajduje się równik. Tego roku ani razu nie padało i susza zabiła rośliny, dzieci, nadzieję. Nie zabiła nic więcej, bo niczego więcej w Recife nie ma, z wyjątkiem kilkudziesięciu barokowych kościołów, pokrytych przez czas czarną patyną brudu, którego nikt nie czyści. Jego kościół był natomiast czysty, śnieżnobiały, jak jego dobre sumienie. Jedyną brudną rzeczą był napis, wykonany krwistoczerwoną farbą, który pokrył odrobiną wapna, jednak farba z widocznym napisem znowu wychodziła na wierzch. Napis głosił: „Morte a o bispo vermelho”. Śmierć czerwonemu biskupowi. Pozostawili go tam całkiem niedawno jego prześladowcy, gdy ostrzelali go kilkoma seriami z karabinu maszynowego i obrzucili granatami. I od tego czasu placyk przed kościołem był prawie zawsze pusty, wielu ludzi bało się tamtędy przechodzić. Jeśli pytałeś policjanta: „Por favor onde está a Igreja das Fronteiras?”, przyglądał ci się podejrzliwie, a później zapisywał numer rejestracyjny twojej taksówki.

Jego dom przylegał do kościoła i nie wyglądał na siedzibę arcybiskupa. Odziani w miękkie tkaniny, obsypani klejnotami, obsługiwani przez unizonych lokajów arcybiskupi żyją w pałacach, do których dochodzi się eleganckimi ulicami. Do jego domu dochodziło się natomiast drogą prostopadłą do placyku, rua das Fronteiras, i był on ogrodzony murkiem, w który strzelali. W murku z trudem dostrzegało się małe pomalowane na zielono drzwiczki, a później dzwonek bez nazwiska. Naciskało się dzwonek, kilka kur trzepotało skrzydłami, piał kogut i zmieszany z tymi odgłosami miły głos zawiadamiał: „Idę, idę!”. Później drzwi się uchylały, choć ostrożnie, otwierały się na oścież, choć z wahaniem, i we wnęce pojawiał się mały człowieczek w czarnej sutannie. Na sutannie wyróżniał się drewniany krzyż, wiszący na stalowym łańcuchu. Człowieczek ten był blady, łysy i miał pomarszczoną twarz, wyraziste usta, kartoflowaty nos, zmęczone oczy osoby, która niewiele śpi. Miał też nieszkodliwy, skromny wygląd księdza z prowincji. Ale nie był księdzem z prowincji i nie był też człowieczkiem. Był najważniejszym człowiekiem, jakiego można spotkać w Brazylii, a raczej w całej Ameryce Łacińskiej. I być może najbardziej inteligentnym, najodważniejszym. Był to, jest, don Helder Camara, arcybiskup, który stawia czoło rządowi i ujawnia niesprawiedliwości, nadużycia, niegodziwości, o jakich inni milczą, który ma odwagę głosić socjalizm i powiedzieć nie wobec przemocy. Pokojowa Nagroda

Nobla powinna mu zostać przyznana wielokrotnie. Wielu nazywa go świętym. Jeśli słowo święty coś znaczy, ja również mówię, że to święty.

Rząd brazylijski tak nie uważa. Rząd brazylijski jest być może najbardziej faszystowskim, najbardziej mrocznym rządem, jaki istnieje w Ameryce Łacińskiej. Dla tego, kto mu się sprzeciwia, domagając się wolności, jego policja szykuje tortury, które przewyższają nawet tortury policji greckiej. Szykuje *pau de arara*, czyli papuzi kij, podobny do tego, na którym kołyszą się papugi. Jest zrobiony z żelaza lub drewna i wkłada się go między kolana i zagłębienie ramion nagiej ofiary, następnie unosi nad ziemią i trzyma w połowie wysokości między podłogą a sufitem. Ofiara pozostaje tam zawieszona podczas przesłuchania, a jako że jej stopy i kostki ściśnięte są sznurami, krążenie krwi ustaje, ciało puchnie, jak gdyby miało wybuchnąć, jak gdyby jego ciężar zwiększał się dziesięciokrotnie. Dla tego, kto się przeciwstawia, jest też „metoda hydrauliczna”, którą stanowi giętka rura; rura zostaje wsadzona do nosa ofiary, aby wlewać tam wodę, podczas gdy usta są zatkane. Tym sposobem ofierze wydaje się, że się topi i istotnie jest to częściowe podtopienie, przerywane na chwilę przed nastąpieniem śmierci. Dla tego, kto się przeciwstawia, domagając się wolności, są też elektrowstrząsy, do stosowania w uszach, genitaliach, w odbycie, na języku. Wyładowania mają zazwyczaj napięcie 110 woltów, ale sięgają nawet 230 woltów i powodują ataki padaczki, gwałtowne drgawki, poparzenia trzeciego stopnia, czasami zgon, jak pokazuje wiele przypadków, włącznie z przypadkiem dziennikarza, któremu wyładowali 230 woltów w odbyt. Zmarł na miejscu. Takie tortury spotykają tych wszystkich, którzy trafią do DOPS, Departamentu Porządku Publicznego i Społecznego, brazylijskiej wojskowej policji kryminalnej. Spotykają liberałów i komunistów, zakonnice i księży, partyzantów i studentów, a nawet obywateli innych krajów. Więzienia w Brazylii są pełne. Wiesz, kiedy do nich wchodzisz, lecz nie wiesz, kiedy z nich wyjdiesz. Jeśli wyjdiesz z nich żywy, w osiemdziesięciu przypadkach na sto wychodzisz kaleki: ze złamanym kręgosłupem, sparaliżowanymi nogami, zmiażdżonymi jądrami, oczami i uszami, które już nie działają. Literatura dotycząca tych niegodziwości jest niezwykle obszerna. Można ją znaleźć na przedrukowywanych kartkach organizacji ruchu oporu, w amerykańskich i europejskich gazetach, w dokumentach ambasad. Chociaż świat często o tym zapomina, bo Brazylia jest daleko, bo Brazylia to wakacje pełne morza, muzyki, samby, kawy, bo nie opłaca się przeszkadzać w stosunkach handlowych między krajami demokratycznymi a dyktaturami, ta tragedia nie stanowi z pewnością tajemnicy. Jednak biada, jeśli o tym rozmawiasz w Brazylii,

biada, jeśli do tego nawiądziesz czy to ujawniasz. I większość siedzi cicho. Helder Camara jest jedynym, który ośmiela się podnieść głos, wraz z grupką prałatów, którzy nie zapomnieli Ewangelii. Ale płaci za to, i to jak! Gdy w Paryżu opisał tortury zadawane więźniom politycznym w więzieniach São Paulo, Rio de Janeiro, Belo Horizonte, Porto Alegre, Recife, nazwano go zdrajcą, oszczercą, demagogiem. Gdy głosił oskarżenia ze swojego małego domku na rua das Fronteiras, ostrzelali go kilkoma seriami z karabinu i napisali mu na murze „Śmierć czerwonemu biskupowi”. Te niegodziwe władze brazylijskie uważają go za publiczne zagrożenie, bacznie śledzą każdy jego gest, każde spotkanie. Naród natomiast go uwielbia. Zwraca się do niego jak do taty, który nigdy nie odepchnie i przyjmuje o każdej godzinie dnia i nocy. Jeżeli nie ma go w domu, znaczy to, że poszedł odwiedzić jakiegoś uciśnionego w jakimś więzieniu, w jakiejś norze, w jakiejś wiosce, gdzie ludzie umierają z głodu i pragnienia, zanim osiągną wiek czterdziestu lat, i gdzie śmierć jest miłosiernym wyzwoleniem. Jeśli zaś nie ma go w Recife, oznacza to, że podróżuje po świecie, wykrzykując swoje orędzie i swoje oburzenie, raz w Berlinie, raz w Kioto, raz w Detroit, raz w Watykanie; wychudzone ramiona, uniesione ku niebu, i palce rozpięte jak szpony w poszukiwaniu Boga. To człowiek, który choć bez przemocy, wybrał walkę, niezależnie od tego, ile miałoby to kosztować. A atakowanymi przez niego siłami są siły hańby, uprzywilejowania, dyktatury. Nie oszczędza nikogo: ani katolików, ani marksistów, ani władzy kapitalistycznej, ani komunistycznej, ale najbardziej ze wszystkich nie oszczędza faszystów, których biczuje do krwi, rozgniewany niczym Chrystus zdecydowany wygonić faryzeuszy ze świątyni.

Historia don Helder Camary jest ciekawa. Urodził się w Fortalizie na północnym wschodzie Brazylii w 1909 roku. Jego ojciec był kupcem, który amatorsko zajmował się krytyką teatralną i dziennikarstwem, matka była wychowawczynią w szkole podstawowej. Jednym słowem, pochodzenie drobnomieszczańskie. Jednak nigdy nie zaznał bogactwa; pięcioro z jego rodzeństwa zmarło w dzieciństwie, w przeciągu kilku miesięcy, z powodu dyzenterii i braku leków. Do seminarium poszedł bardzo szybko, jako chłopiec. Twierdzi, że powołanie pojawiło się w nim nagle, gdy miał osiem lat, tajemnicze i uparte. Od tego czasu nie wyobrażał sobie dla siebie innego zajęcia niż bycie księdzem. Został księdzem w wieku około dwudziestu dwóch lat, w tym samym czasie, gdy został faszystą. Tak, przez pewien czas był faszystą. „W każdym z nas drzemie faszysta i niekiedy nigdy się nie budzi, we mnie natomiast się obudził”. Opowiada o tym bez wstydu, dokonując tym wyznaniem samobiczowania, i usprawiedliwia się jedynie wtedy, gdy

tłumaczy, że to jego biskup poprosił go o zostanie faszystą. Jeden z tych biskupów, którzy przywdziewają miękkie tkaniny, obsypują się klejnotami, każą sobie usługiwać pełnym szacunku lokajom i mieszkają w pałacach, których bramy znajdują się na eleganckich ulicach. Jeden z tych, których dewiza to „Bóg – Rodzina – Ojczyzna”. O, tak, don Helder poznał dobrze faszystów. Poznał ich dużo wcześniej, nim wylądował w tym małym kościółku w Recife, w tym małym domku z kurami grzebiącymi w piasku, na pryczy, gdzie odpoczywa tylko cztery godziny na dobę, bo w nocy nieustannie go budzą, dzwoniąc do niego z wyzwiskami, próbując go zastraszyć: „Zaraz przyjdziemy cię sprzątnąć, plugawy komunisto”, „Poleć duszę Bogu, bo nie doczekasz dnia, wstrętny sukinsynie”. Ale on mówi, że to nieważne; wystarczają mu cztery godziny snu.

Przeprowadziłam z nim wywiad na miejscu, w ciągu trzech dni. Rozmawiałam z nim po francusku, który to język zna doskonale, i sprawił na mnie raczej wrażenie lidera niż księdza. Z lidera miał pełen pasji głos, lśniące oczy, pewność siebie typową dla kogoś, kto wie, że mu wierzą. Co jakiś czas wstawał, by przygotować mi kawę. Potem wracał z kawą, herbatnikami i korzystał z okazji, by zerknąć ukradkiem na ulicę; sprawdzić, czy nikt nie brudzi mu znowu muru lub nie rzuca bomby. Śledziłam go wzrokiem i myślałam o Camilo Torresie, młodym księdzu, który zrzucił sutannę, by chwycić w ręce karabin, i zmarł podczas pierwszej potyczki, z kulą w czole. Myślałam o ojcu Tito de Alancar, młodym dominikaninie, którego DOPS torturowało w São Paulo, stosując katusze godne inkwizycji. „Otwórz usta, to damy ci poświęconą hostię, zanim cię zabijemy”. Następnie zamiast poświęconej hostii dawali mu 230-woltowy wstrząs w język. Myślałam o wszystkich duchownych, którzy w Ameryce Łacińskiej zapelniali więzienia i umierali w cierpieniach, podczas gdy biskupi, przyobleczeni w miękkie szaty i obsypani klejnotami, obsługiwani przez uniżonych lokajów, współpracowali z generałami u władzy, chronili rozstrzeliwujących. W Brazylii, Chile, Urugwaju, Paragwaju, Wenezueli, Gwatemali. I dochodziłam do następującego wniosku: „Don Helder, nie dostaniesz Pokojowej Nagrody Nobla. Nigdy jej nie dostaniesz. Jesteś dla wszystkich zbyt niewygodny”.

\* \* \*

Rzeczywiście jej nie dostał. Tamtego roku otrzymał ją Willy Brandt, a w roku 1973, kiedy ponownie została przedstawiona jego kandydatura, otrzymał ją Henry Kissinger i Le Duc Tho. Le Duc Tho na szczęście jej nie przyjął. Kissinger natomiast ją zachował.



*ORIANA FALLACI. Krążą słuchy, don Helder, że Paweł VI mówi o księdzu „mój czerwony arcybiskup”. I istotnie musi ksiądz być niewygodnym człowiekiem dla Watykanu. Pewnie wiele osób się tam księdza boi. Możemy trochę o tym porozmawiać?*

HELDER CAMARA. Proszę posłuchać, papież doskonale wie, co robię i mówię. Gdy ujawniam tortury stosowane w Brazylii, papież o tym wie. Kiedy walczę o ubogich i o więźniów politycznych, papież o tym wie. Gdy podróżuję za granicę, by domagać się sprawiedliwości, papież o tym wie. Zna moje poglądy od dawna, ponieważ od dawna się znamy. A dokładniej od 1950 roku, kiedy był sekretarzem stanu. Niczego przed nim nie ukrywam, nigdy niczego przed nim nie ukrywałem. I jeśli papież uznałby, że źle postępuję, robiąc to, co robię, i kazałby mi przestać, przestałbym. Bo jestem sługą Kościoła i znam wartość wyrzeczeń. Ale papież mi tego nie nakazuje i jeśli nazywa mnie „swoim czerwonym arcybiskupem”, mówi to żartobliwie, serdecznie, z pewnością nie tak, jak robią to tu, w Brazylii, gdzie każdy, kto nie jest reakcjonistą, jest określany jako komunista albo ktoś na usługach komunistów. To oskarżenie mnie nie dotyczy. Gdybym był agitatorom, komunistą, nie mógłbym wjeżdżać do Stanów Zjednoczonych i otrzymywać doktoratów *honoris causa* od amerykańskich uniwersytetów. Po tym wstępie muszę jednak zaznaczyć, że w moje poglądy i wypowiedzi nie angażuję autorytetu papieża; to, co mówię i robię, mówię i robię wyłącznie na własną odpowiedzialność. Nie czyni to ze mnie bohatera; nie jestem wcale jedynym, który o tym mówi. Na przykład tortury w Brazylii zostały ujawnione przede wszystkim przez komisję papieską, która reprezentuje władzę papieża. Potępił je sam papież, a jego potępienie znaczy więcej niż biednego księdza, którego nie boi się nikt w Watykanie.

*Biednego księdza, który jest księciem Kościoła, który jest jednym z najbardziej szanowanych i podziwianych ludzi na świecie. Biednego księdza, któremu planują przyznać Pokojową Nagrodę Nobla. Biednego księdza, który, gdy mówi o torturach, potrafi zapęłnić cały Pałac Sportu w Paryżu i obudzić sumienie milionów osób w każdym kraju. Porozmawiamy o tym, don Helder?*

Cóż, to było tak. Pojechałem do Paryża i poproszono mnie o opowiedzenie prawdy. Odpowiedziałem: oczywiście, obowiązkiem duchownego jest również udzielanie informacji, zwłaszcza na temat kraju takiego jak Brazylia, gdzie prasa jest kontrolowana i podporządkowana rządowi. Zacząłem od przypomnienia, że będę mówił o zbrodni dobrze znanej Francuzom, którzy dopuścili się jej podczas wojny w Algierii – o torturach. Dodałem, że niegodziwości te miały

miejsce również z powodu słabości nas, chrześcijan, zbyt przyzwyczajonych do kłaniania się władzy i instytucjom lub do milczenia. Wyjaśniłem, że nie opowiem niczego nowego, bo nie jest już tajemnicą, że więźniom politycznym w Brazylii zadawane są nieludzkie cierpienia, niczym w średniowieczu; niepodważalne dowody były już publikowane wszędzie. Następnie opisałem metody tortur: od wstrząsów elektrycznych po *pau de arara*. I opowiedziałem historie, które sam sprawdziłem. Na przykład przypadek studenta, któremu zrobiono tak potworne rzeczy, że rzucił się z okna siedziby policji. Jego nazwisko to Luis De Ledeiros. A historia wygląda pokrótce tak. Gdy tylko zostałem poinformowany, że Luis De Ledeiros znajduje się w szpitalu, pospieszyłem do niego wraz z jednym z moich doradców. I udało mi się go zobaczyć. Pomijając próbę samobójstwa, był w straszliwym stanie; między innymi wyrwali mu cztery paznokcie i zmiażdżyli jądra. Wrywanie paznokci i miażdżenie jąder to dwie zwykłe tortury. Lekarz, który się nim zajmował, potwierdził mi to i powiedział: proszę iść do gubernatora, który jest lekarzem, proszę poprosić go o przyjście tutaj i obejrzenie ciał torturowanych. To było to, czego szukałem – mieć wreszcie w ręku bezpośrednie świadectwo. Natychmiast udałem się z moim biskupem pomocniczym do pałacu gubernatora i złożyłem doniesienie. Następnie przesłałem to doniesienie do wszystkich parafii, wszystkich biskupów i do rady biskupów.

*Niektórzy biskupi w to nie wierzą, don Helder, i opowiadają się po stronie tych, którzy zaprzeczają torturom. Jak ksiądz ich ocenia?*

Jak miałbym ich oceniać! Mam nadzieję, że Bóg ich oświeci, że uczyni ich bardziej godnymi spoczywającej na nich odpowiedzialności. Ja zawsze opowiadałem się za pluralizmem w Kościele, ale wobec tych, którzy reprezentują zepsutą część Kościoła, mam ochotę powiedzieć to, co mówił papież Jan: „Drogi ojciec, wie ojciec, że jest kompletnie zgniły? Boże tchnienie do ojca nie dotarło”. A niech to, wątplenie w tortury na początku było zrozumiałe albo prawie zrozumiałe. Nie było dowodów. Ale wątplenie w nie dziś jest groteskowe; zostały one nawet opisane w raporcie Światowego Stowarzyszenia Prawników; z imionami, nazwiskami, datami. Poza tym, ilu księży mamy w więzieniach? Nie stanowią większości, jako że wygodniej jest aresztować osobę świecką niż księdza, łatwiej torturować osobę świecką niż księdza, ale jest ich wielu i są cennymi świadkami, jeśli uda ci się do nich dotrzeć. Mówię „jeśli”, ponieważ dzisiaj w Brazylii, gdy trafi się do więzienia, staje się niemożliwe poinformowanie o tym, czy skontaktowanie się z członkiem rodziny lub adwokatem. Ale nawet nie to jest najgorsze; najgorsze jest milczenie prasy i obywateli. Ani jedni, ani drudzy nie odważają się o tym mówić i

w ten sposób wydaje się, że naród zgadza się z reżimem, że ofiary opowiadają nieprawdę albo przesadzają. Mam jedynie nadzieję, że skandal, który wybuchł w zagranicznej prasie, i interwencja światowego Kościoła przyczynią się do poprawy sytuacji.

*Don Helder, co stało się księdzu po oświadczeniach wygłoszonych w Paryżu?*

Ujawnianie tortur stosowanych w Brazylii jest uznawane przez rząd za zbrodnię przeciwko ojczyźnie. I również w tym punkcie istnieje pewna rozbieżność poglądów między mną a rządem. Ja bowiem uważam za zbrodnię przeciwko ojczyźnie ich nieujawnianie. Dlatego opuściłem Paryż, myśląc: zobaczymy, don Helder, co się z tobą stanie, gdy wrócisz do Brazylii. Nic się nie stało. Przeszedłem spokojnie przez policję, urząd celny i pojechałem do domu. Pojawiły się ataki w prasie, to prawda. Ale tymi się nie zajmuję, bo rzadko czytam gazety, by uniknąć rozgoryczeń. Zresztą zastraszanie mnie niczemu nie służy, w moim sercu nie ma wątpliwości, a to, co jest w moim sercu, cisnie się bezpośrednio na moje usta; do moich wiernych, w czasie moich wizyt duszpasterskich, w kazaniach mówię dokładnie to samo, co mówię pani; nie mogą mnie uciszyć, jako że sprawując swój urząd, nie uznaję innej władzy niż papieska. Oczywiście nie wolno mi się wypowiadać w radiu, w telewizji i jako że nie jestem naiwny, zdaję sobie sprawę, że wcześniej czy później mogą mnie pozbawić praw obywatelskich. W tym zakresie, w jakim obowiązują, bo w Brazylii nie przeprowadza się wcale głosowania, nie ma wcale wyborów. Ale ogólnie rzecz biorąc, cieszę się pewną swobodą, męczą mnie tylko groźbami.

*Jakimi groźbami?*

Groźbami śmierci, nie? Serie z karabinów, bomby, telefony i oszczerstwa kierowane do Watykanu. Musi pani wiedzieć, że tutaj, w Brazylii, istnieje skrajnie prawicowy ruch zwany Rodzina i Bezpieczeństwo. Ci zaczęli mnie męczyć już dawno temu. Podchodzili do ludzi, którzy udawali się do kościoła, i pytali: „Jesteś za komunizmem czy przeciw?”. Ludzie oczywiście odpowiadali, że są przeciw, w ten sposób oni zbierali podpisy, a następnie wysyłali je do papieża, by zażądać od niego „wygnania tego komunisty don Helder”. Papież nigdy nie przykładał do tego wagi, ja również. Jednak później powstało tajne ugrupowanie, rodzaj brazylijskiego Ku-Klux-Klanu, zwanego Komando Polowania na Komunistów, czyli KPK. To KPK zajmuje się w szczególności domami, w których mieszkają osoby podejrzane o komunizm, i strzela w nie z karabinu lub rzuca granatami, wypisuje na murach wyzwiska. Oddali mi w ten sposób uszanowanie kilka razy, dwa razy tu, w domu, gdzie zniszczyli murek strzałami z karabinu i

gdzie wybrudzili ścianę kościoła, raz w pałacu arcybiskupim, raz w instytucie katolickim, raz w innym kościele, gdzie mam zwyczaj chodzić. Za każdym razem zostawiając podpis KPK. Jednak nigdy mnie nie zranili. Natomiast pewnemu studentowi, którego znam, strzelili z karabinu w plecy i teraz jest trwale sparaliżowany. Mojego dwudziestosiedmioletniego współpracownika Henrique Pereirę Neto, profesora socjologii uniwersytetu w Recife, który głosił Ewangelię w dzielnicach nędzy, znaleźliśmy powieszzonego na drzewie, z ciałem podziurawionym kulami jak sito. Te rzeczy już w Recife nie dziwią.

*Już nie dziwią?!*

Nie, tak jak telefoniczne groźby. Ja już się do nich przyzwyczałem. Dzwonią do mnie w nocy, z godzinnymi lub półgodzinnymi przerwami, i mówią: „Jesteś agitator, komunistą, przygotuj się na śmierć, zaraz przyjedziemy i pokażemy ci piekło”. Co za głupcy. Nawet im nie odpowiadam. Uśmiecham się i odkładam słuchawkę. Ale po co ją ksiądz podnosi, zapyta pani. Bo odbieranie telefonów jest moim obowiązkiem. Mógłby to być ktoś, kto jest chory, kto mnie potrzebuje, kto prosi o pomoc. Jestem księdzem czy nie? Podczas światowych mistrzostw piłki nożnej trochę się uspokoiłi. W tamtych dniach nie myśleli o niczym poza piłką. Później znowu zaczęli i dziś w nocy także nie pozwolili mi spać ani się modlić. Co pół godziny dryń, dryń! „Halo, przyjdziemy cię zabić”. Głupcy! Nie zrozumieli jeszcze, że zabicie mnie na nic się nie przyda, księży takich jak ja jest wielu.

*Niestety nie, don Helder, przeciwnie, jest ich bardzo niewielu. Ale wróćmy do przydomku „czerwony arcybiskup”. Jakie są dziś księdza wybory polityczne? Czy, tak jak się mówi, jest ksiądz socjalistą?*

Oczywiście, że jestem! Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo, aby był jego współtwórcą, a nie niewolnikiem. Jak można zaakceptować to, że większość ludzi jest wykorzystywana i żyje jak niewolnicy? Nie widzę żadnego rozwiązania w kapitalizmie. Nie widzę go jednak również w proponowanych nam dziś modelach socjalizmu, bo opierają się one na dyktaturach, a nie dochodzi się do socjalizmu drogą dyktatury; dyktaturę już mamy, oto moja obsesja. Owszem, doświadczenie marksistowskie jest zadziwiające; przyznaję, że Związek Radziecki odniósł wielki sukces, zmieniając swoje struktury, przyznaję, że czerwone Chiny dokonały jeszcze szybszego postępu. Ale gdy czytam o tym, co dzieje się w Związku Radzieckim, w czerwonych Chinach, o czystkach, donosach, aresztowaniach, strachu, widzę w tym tak wielkie podobieństwo do prawicowych dyktatur i faszystów! Gdy widzę wyrachowanie, z

jakim Związek Radziecki zachowuje się wobec krajów słabo rozwiniętych, na przykład Ameryki Łacińskiej, uświadamiam sobie, że jest on zupełnie identyczny z wyrachowaniem Stanów Zjednoczonych! Być może mógłbym się dopatrzeć jakichś przykładów mojego socjalizmu w niektórych krajach poza rosyjską czy chińską strefą wpływów, może w Tanzanii, w Czechosłowacji, zanim została zaatakowana. Ale nawet tam nie do końca. Mój socjalizm jest szczególny, to socjalizm, który szanuje osobę ludzką i odnosi się do Ewangelii. Mój socjalizm to sprawiedliwość.

*Don Helder, nie ma bardziej nadużywanego słowa niż sprawiedliwość. Nie ma większej utopii niż sprawiedliwość. Co rozumie ksiądz przez sprawiedliwość?*

Sprawiedliwość nie oznacza narzucenia wszystkim jednakowej ilości dóbr w jednakowy sposób. To byłoby okropne. Byłoby to tak, jak gdyby wszyscy mieli taką samą twarz, takie samo ciało, ten sam głos i taki sam rozum. Ja wierzę w prawo do posiadania odmiennych twarzy, odmiennych ciał, odmiennych głosów i odmiennego rozumu; Bóg może sobie pozwolić na ryzyko bycia ocenionym jako niesprawiedliwy. Ale Bóg nie jest niesprawiedliwy i chce, aby nie było uprzywilejowanych i uciśnionych, chce, żeby każdy otrzymał to, co jest mu niezbędne do życia, pozostając odmiennym. Co więc rozumiem przez sprawiedliwość? Mam na myśli lepszy podział dóbr, zarówno w skali krajowej, jak i międzynarodowej. Istnieje kolonializm wewnętrzny i kolonializm zewnętrzny. Aby ukazać ten ostatni, wystarczy przypomnieć, że osiemdziesiąt procent zasobów naszej planety znajduje się w rękach dwudziestu procent państw, to znaczy w rękach supermocarstw lub narodów podporządkowanych supermocarstwom. By podać choć dwa niewielkie przykłady, wystarczy powiedzieć, że w ciągu ostatnich piętnastu lat Stany Zjednoczone zarobiły kosztem Ameryki Łacińskiej aż jedenaście miliardów dolarów, kwotę tę podało biuro statystyczne Uniwersytetu w Detroit; albo wystarczy powiedzieć, że za jeden kanadyjski traktor Jamajka musi zapłacić równowartość 3200 ton cukru... By ukazać natomiast kolonializm wewnętrzny, wystarczy zająć się Brazylią. Na północy Brazylii istnieją obszary, które przesadą byłoby określić jako zacofane. Inne rejony przypominają prehistorię; ludzie żyją tam jak w czasach jaskiniowców i są szczęśliwi, mogąc zjeść to, co znajdują na śmietniku. Co opowiem tym ludziom? Że muszą cierpieć, żeby pójść do nieba? Wieczność zaczyna się tu, na ziemi, nie w niebie.

*Don Helder, czy czytał ksiądz Marksa?*

Oczywiście. I nie zgadzam się z jego wnioskami, ale zgadzam się z jego analizą społeczeństwa kapitalistycznego. Co nie upoważnia nikogo do przyklejania mi etykiety honorowego marksisty. Prawda jest taka, że należy interpretować Marksa w świetle zmieniającej się, zmienionej rzeczywistości. Zawsze mówię młodym, że błędem jest branie Marksa dosłownie, Marksa należy wykorzystywać, biorąc pod uwagę, że jego analiza została przeprowadzona w ubiegłym wieku. Dziś Marks nie powiedziałby na przykład, że religia jest siłą alienującą i wyalienowaną; religia zasłużyła sobie na tę opinię, ale opinia ta nie jest już aktualna, proszę popatrzeć, co dzieje się z księżmi w Ameryce Łacińskiej. Wszędzie. Zresztą wielu komunistów o tym wie. Wiedzą o tym tacy jak Francuz Garaudy, i nieważne, że tacy jak Garaudy są odrzuceni przez partię komunistyczną; oni istnieją i myślą, oni ucieleśniają to, co powiedziałby Marks w naszych czasach. Co mogę pani powiedzieć? Ludzie lewicy to często ci najinteligentniejsi, najbardziej szlachetni, jednak żyją w błędzie, na który składa się naiwność albo ślepotą. Nie chcą wbić sobie do głowy, że na świecie jest pięć olbrzymów: dwa olbrzymy kapitalistyczne, dwa olbrzymy komunistyczne i piąty olbrzym na glinianych nogach, to znaczy kraje słabo rozwinięte. Nie ma potrzeby zaznaczać, że pierwszy kapitalistyczny olbrzym to Stany Zjednoczone. Drugi to europejski Wspólny Rynek i również on postępuje według wszelkich reguł imperializmu. Pierwszy komunistyczny olbrzym to Związek Radziecki, drugi to czerwone Chiny; i tylko idioci ludzą się, że ideologie dzielą te dwa imperia kapitalistyczne od dwóch imperiów komunistycznych. W Jałcie podzielili świat między siebie i nadal go dzielą, marząc o drugiej konferencji w Jałcie. A zatem gdzie leży nadzieja dla nas, dla piątego olbrzyma na glinianych nogach? Nie widzę jej ani u amerykańskich i europejskich kapitalistów, ani u rosyjskich i chińskich komunistów.

*Don Helder, muszę zadać księdzu kłopotliwe i obowiązkowe pytanie. W księdza życiu był okres, kiedy wstąpił ksiądz na drogę faszyzmu. Jak to możliwe? I w jaki sposób doszedł ksiądz później do tak odmiennych wyborów? Proszę mi wybaczyć przywołanie niemiłych wspomnień.*

Ma pani pełne prawo przywołać to niemiłe wspomnienie, a ja odpowiem pani bez wstydu. W każdym z nas drzemie faszysta i czasami nigdy się on nie budzi, czasami natomiast się budzi. We mnie obudził się, gdy byłem młody. Miałem dwadzieścia dwa lata, również wtedy marzyłem o tym, by zmienić świat, i widziałem świat podzielony na prawicę i lewicę, to znaczy między faszyzm i komunizm. Jako przeciwnik komunizmu wybrałem faszyzm. W Brazylii nosił on nazwę Akcji Integralistycznej. Integraliści nosili zielone koszule, zamiast czarnych, takich jak

Włosi za rządów Mussoliniego. A ich dewiza brzmiała: Bóg – Rodzina – Ojczyzna, dewiza, która całkowicie mi odpowiadała. Jak to tłumaczyć? Moją młodzieńczą naiwnością, moją łatwowiernością, brakiem informacji; nie było zbyt wielu książek do czytania ani zbyt wielu mądrych ludzi, których można by było posłuchać. A także tym, że mój przełożony, biskup Ceary, był temu przychylny i poprosił mnie, bym współpracował z integralistami. Współpracowałem z nimi do dwudziestego szóstego roku życia, wie pani? Zaczęłem podejrzewać, że nie jest to właściwa droga, dopiero wtedy, gdy przybyłem do Rio de Janeiro, gdzie kardynał Leme, który myślał inaczej niż kardynał Ceary, nakazał mi porzucić ten ruch. Opowiadał to pani bez zażenowania, bo każde doświadczenie, każdy błąd wzbogaca i uczy; przynajmniej uczy rozumienia innych. Wiem, co mówię, mówiąc dzisiejszym faszystom: nie istnieje jedynie faszyzm i komunizm, rzeczywistość jest znacznie bardziej złożona. Ale pani chce wiedzieć, jak dotarłem do dzisiejszego wyboru. Odpowiedź jest prosta: kiedy człowiek styka się w pracy z cierpieniem, zawsze w końcu zostaje zapłodniony cierpieniem. Wielu jest reakcjonistami, bo nie zna nędzy, upokorzenia. Kiedy zostałem zapłodniony? Któż to wie. Mogę tylko powiedzieć, że moja ciąża istniała już w 1952 roku, gdy mianowano mnie biskupem. W 1955, roku Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego, była to już zaawansowana ciąża. Moje nowe poglądy narodziły się pewnego dnia 1960 roku, w kościele Candelarii, w dzień św. Wincentego à Paulo. Wszedłem na ambonę i zacząłem mówić o miłosierdziu rozumianym jako sprawiedliwość, a nie jako dobroczynność.

*Don Helder, niektórzy zamierzają osiągnąć tę sprawiedliwość przemocą. Co ksiądz sądzi o przemocy jako narzędziu walki?*

Szanuję ją. Jednak należy przeprowadzić tutaj pewne rozumowanie. Mówiąc o przemocy, nie należy zapominać, że przemoc numer jeden, przemoc będąca źródłem wszelkiej przemocy rodzi się z niesprawiedliwości. Ma na imię niesprawiedliwość. W ten sposób młodzi ludzie, którzy próbują wspomagać uciśnionych, reagują na przemoc numer jeden przemocą numer dwa, a ta wywołuje przemoc numer trzy, to znaczy przemoc faszystowską. To spirala. Ja jako duchowny nie mogę i nie powinienem godzić się na żaden z tych trzech rodzajów przemocy, jednak potrafię zrozumieć przemoc numer dwa; właśnie dlatego, że wiem, że dochodzi do niej poprzez prowokację. Nie znoszę tych, którzy pozostają bierni, którzy milczą, i kocham tylko tych, którzy walczą, którzy są odważni. Młodzi ludzie, którzy w Brazylii reagują na przemoc przemocą, to idealisci, których podziwiam. Niestety przemoc do niczego nie prowadzi i dlatego

muszę dodać: jeśli zaczniecie bawić się bronią, ciemżyciele was zniszczą. Myśl, by stawić im czoło na ich polu, jest czystym szaleństwem.

*Innymi słowy, don Helder, mówi mi ksiądz, że w Ameryce Łacińskiej zbrojne powstanie jest niemożliwe.*

Słuszne i niemożliwe. Słuszne, bo prowokowane, niemożliwe, bo zostanie stłumione. Pogląd, że partyzantka jest dla Ameryki Łacińskiej jedynym rozwiązaniem, rozwinął się po zwycięstwie Fidela Castro. Ale Fidel Castro na początku nie miał przeciwko sobie Stanów Zjednoczonych! Stany Zjednoczone dały się zaskoczyć Kubie i po Kubie przygotowały się do zwalczania partyzantki we wszystkich krajach Ameryki Łacińskiej, aby zapobiec kolejnej Kubie. Tak, że Pentagon pomaga dziś wszystkim wojskowym sprawującym władzę w Ameryce Łacińskiej zmiążyć każdego, kto usiłuje wywołać rewolucję. Nie tylko istnieją wyższe szkoły wojskowe, gdzie szkoli się żołnierzy w najcięższych warunkach, w dżungli, wśród żmij, ale gdzie uczy się również propagandy politycznej. To znaczy, podczas gdy ich ciało uczy się zabijać, ich umysł nabiera przekonania, że świat jest podzielony na dwie części: z jednej strony kapitalizm ze swymi wartościami, z drugiej komunizm ze swymi antywartościami. Krótko mówiąc, te siły specjalne są tak dobrze przygotowane, że ktokolwiek próbuje stawić im czoło, ponosi nieuchronną klęskę.

*Jak Che Guevara? Don Helder, jaka jest księdza opinia na temat Che Guevary?*

Che Guevara był na Kubie geniuszem partyzantki. Dowiódł tego na Kubie, bo to nie Fidel Castro, ale on odniósł to nadzwyczajne zwycięstwo. Mówię nadzwyczajne, bo wcale nie zapomniałem, czym była Kuba za czasów Batisty! Inni tak, ja nie. Jednak z politycznego punktu widzenia był o wiele mniej genialny i jego śmierć świadczy o tym, że moje rozumowanie jest słuszne. Potem wybrał Boliwię, to znaczy kraj z bardzo niewielką liczbą ludzi uprzywilejowanych i większością żyjącą poniżej granicy ubóstwa, pozbawioną nadziei i samoświadomości, by się zbuntować. I to był błąd, ponieważ nie mogli mu pomóc ci, za których walczył; ten, kto nie ma po co żyć, nie ma również za co umierać. Został sam i specjaliści od zwalczania partyzantki go zniszczyli. Nie, Kuba nie może się powtórzyć i nie sądzę, by Ameryka Łacińska „potrzebowała wielu Wietnamów”, jak twierdził Che Guevara. Gdy myślę o Wietnamie, myślę o bohaterskim narodzie, który walczy z supermocarstwem, gdyż wcale nie sądzę, by Stany Zjednoczone znajdowały się tam, by bronić wolnego świata. Ale nie sądzę



również, by komunistyczne Chiny obchodził cokolwiek Wietnam, i pytam: „Czy naprawdę łudzicie się, że gdy zakończy się ta wojna, naród wietnamski okaże się zwycięzcą?”.

*A Camilo Torres?*

To samo. Camilo był szczerym księdzem, ale w pewnym momencie, pozostając księdzem i chrześcijaninem, stracił wszelkie złudzenia, że Kościół potrafi i chce realizować swoje piękne pisma. I pomyślał, że partia komunistyczna jako jedyna jest w stanie coś zrobić. Komuniści wysłali go więc natychmiast do walki, tam gdzie było najbardziej niebezpiecznie. Mieli w głowie pewien plan: Camilo zostanie zabity i Kolumbia zapłonie. Camilo został zabity, ale Kolumbia nie zapłonęła. Ani młodzież, ani robotnicy się nie zbuntowali. I wracamy do tego, co mówiłem wcześniej.

*Don Helder, czy zastosowałby ksiądz tę opinię również do młodzieży, która dziś w Brazylii uprawia partyzantkę miejską?*

Oczywiście. Och! Ogromnie szanuję brazylijską młodzież, o której pani mówi. Kocham ich, bo są odważni, dojrzały, bo nigdy nie działają pod wpływem nienawiści i myślą jedynie o wyswobodzeniu kraju. Kosztem swojego życia. Nie mają czasu, by przygotować masy, są niecierpliwi i płacą za to życiem. Nie chciałbym zniechęcać tej młodzieży, ale muszę. Czy warto poświęcać życie za nic? Lub prawie za nic? Proszę wziąć przede wszystkim pod uwagę napady przeprowadzane przez nich na banki, by zdobyć pieniądze konieczne do kupienia broni. Ceny broni są zawrotne, wprowadzenie jej do miasta jest szaleństwem. Czy to ryzyko, to poświęcenie nie jest więc zbyt duże? Proszę teraz przyjrzeć się porwaniom dyplomatów, przeprowadzanym w celu uwolnienia towarzyszy przebywających w więzieniach. Za każdym razem, gdy jakiś ambasador zostaje uwolniony w zamian za uwięzionych towarzyszy, policja przeprowadza łapankę i opustoszałe cele znowu się zapelniają. Tak samo pokoje tortur. Słowem, z jednej strony wychodzą, z drugiej wchodzi. Jaki to ma sens? Sens polegający na zastąpieniu się nawzajem, dodaniu kulek do kulek, zmarłych do zmarłych? Na poszerzeniu spirali przemocy, na ułatwieniu zadania faszystowskiej dyktaturze? Jak pani widzi, mój sprzeciw nie opiera się na powodach religijnych, lecz na powodach taktycznych. Nie wywodzi się z żadnego idealizmu, wywodzi się z wybitnie politycznego realizmu. Realizmu, który można zastosować do każdego innego kraju: Stanów Zjednoczonych, Włoch, Francji, Hiszpanii, Rosji. Jeśli w którymkolwiek z tych krajów młodzież wyszłaby tłumnie na ulice, próbując przeprowadzić rewolucję, zostałaby zgładzona w

mgnieniu oka. W Stanach Zjednoczonych na przykład Pentagon przejąłby całkowicie władzę. Nie należy się niecierpliwić!

*Również Jezus Chrystus był niecierpliwy, don Helder. I nie przeprowadzał zbyt wielu taktycznych rozważań, gdy stawiał czoło oficjalnym władzom. W dziejach świata zwyciężali zawsze ci, którzy porywali się na to, co nieosiągalne. A młodzież...*

Gdyby pani wiedziała, jak rozumiem młodzież! Ja także byłem za młodu niecierpliwy; w seminarium byłem takim kontestatorem, że nie potrafiłem zostać synem Maryi. Gadałem w godzinach ciszy, pisałem wiersze, choć było to zakazane, polemizowałem z moimi przełożonymi. I dzisiejsze nowe pokolenia napełniają mnie podziwem, bo są sto razy bardziej nieposłuszne ode mnie, sto razy ode mnie odważniejsze. W Stanach Zjednoczonych, w Europie, wszędzie. Nie wiem nic na temat młodzieży rosyjskiej, ale jestem pewien, że ona również usiłuje coś zrobić. Tak, wiem, że dzisiejszej młodzieży wszystko przychodzi łatwiej, bo ma więcej informacji, więcej wiadomości, ma drogę, którą wytyczyło dla niej moje pokolenie. Ale oni tak dobrze wykorzystują tę drogę! Jest w nich takie pragnienie sprawiedliwości, buntu, takie poczucie odpowiedzialności. Są wymagający wobec swoich rodziców, swoich profesorów, swoich duszpasterzy, siebie samych. Odwracają się od religii, bo zdali sobie sprawę, że religia zawiodła. I są szczerzy, gdy napotkają szczerłość, wrażliwość. Jakiś czas temu przyszło do mnie kilku młodych marksistów i z pewną dozą arogancji oświadczyło, że postanowili mnie zaakceptować. Hola, hola, odpowiedziałem, załóżmy w takim razie, że ja was nie zaakceptuję. Wynikła z tego żywa, a raczej ostra dyskusja, ale zakończyła się wzajemnymi uściskami. Nie tylko Kocham dzisiejszą młodzież, zazdroszczę jej, jako że ma szczęście przeżywać swoją młodość razem z młodością świata. Ale nie może mi pani zabronić bycia starym, a więc mądrym, nie niecierpliwym.

*Zgoda. W takim razie, don Helder, zapytam: Jakie sposoby znalazła księdza mądrość na usunięcie niesprawiedliwości?*

Ktokolwiek miałby gotowe rozwiązania w kieszeni, byłby zarozumiałym głupcem. Ja nie mam rozwiązań. Mam tylko opinie, wskazówki, które można streścić w dwóch słowach: pokojowa przemoc. To znaczy nie przemoc wybierana przez młodzież z bronią w rękę, lecz, jeśli pani woli, przemoc głoszona już przez Gandhiego i przez Martina Luthera Kinga. Przemoc Chrystusa. Nazywam ją przemocą, bo nie zadowala się małymi reformami, rewizjonizmem, lecz żąda całkowitej zmiany obecnych struktur; utworzenia na nowo społeczeństwa. Na

socjalistycznych fundamentach i bez rozlewu krwi. Nie wystarczy walczyć za biednych, umierać za biednych; należy uświadomić biednym ich prawa i ich nędzę. Masy muszą poczuć konieczność oswobodzenia się, a nie bycia oswobodzonym przez garstkę idealistów, którzy stawiają czoło torturom, jak chrześcijanie stawiali czoło lwom w Koloseum. Dać się zjeść lwom na niewiele się przyda, jeśli masy będą nadal siedzieć, oglądając widowisko. Ale w jaki sposób możemy sprawić, by zerwały się na nogi, zapyta pani, to błędne koło! Cóż, może jestem marzycielem, kimś naiwnym, ale powiem: można uświadomić masy i być może można rozpocząć dialog z ciemieczkami. Nie istnieją ludzie całkowicie źli, nawet w najbardziej niegodziwej istocie można znaleźć pozytywne cechy. A gdybyśmy zdołali w jakiś sposób porozmawiać z najmądrzejszymi wśród wojskowych? Gdybyśmy zdołali ich wręcz nakłonić do zrewidowania ich filozofii politycznej? Jako że byłem integralistą, faszystą, znam mechanizm ich rozumowania; być może udałoby się nam ich przekonać, że mechanizm ten jest błędny, że torturując i mordując, nie zabije się idei, że porządku nie można utrzymać za pomocą terroru, że postęp osiąga się jedynie poprzez godność, że nie broni się zacofanych krajów, podporządkowując je kapitalistycznym mocarstwom, że kapitalistyczne mocarstwa żyją w zgodzie z mocarstwami komunistycznymi. Trzeba spróbować.

*Czy ksiądz próbował?*

Będę próbował. Próbuję już teraz, mówiąc to pani w tym wywiadzie. Będą przecież musieli zrozumieć, że świat posuwa się naprzód, że podmuch buntu ogarnia nie tylko Brazylię i Amerykę Łacińską, ale całą planetę. A niech to! Ogarnął nawet Kościół katolicki! Kościół dotarł już do pewnych wniosków w kwestii sprawiedliwości. I wnioski te znajdują się na papierze, podpisane. Bo prawdą jest, że wielu księży dyskutuje na temat celibatu, ale jeszcze częściej na temat głodu i wolności. Ponadto należy zastanowić się nad konsekwencjami dyskusji o celibacie; istnieje pewna zależność między różnymi rodzajami buntu, nie można wymagać zmiany zewnętrznych struktur, jeśli nie ma się odwagi na zmianę struktur wewnętrznych. Wielkie ludzkie problemy nie stanowią monopolu księży żyjących w Ameryce Łacińskiej, don Helder. Stawiają im czoło księża w Europie, w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, wszędzie.

*To odosobnione grupy, don Helder. Na szczycie piramidy stoją ci, którzy bronią starych struktur i ustanowionej władzy.*

Nie mogę odmówić pani racji. Istnieje ogromna różnica między wnioskami na piśmie a żywą rzeczywistością. Kościół był zawsze zbyt zajęty problemem utrzymania porządku,

uniknięcia chaosu, i to nie pozwoliło mu się zorientować, że jego porządek był raczej nieporządkiem. Często się zastanawiam, nie usprawiedliwiając Kościoła, jak to możliwe, że poważne i cnotliwe osoby godziły się i godzą na tyle niesprawiedliwości. Przez trzy stulecia Kościół w Brazylii uważał za normalne, że Murzyni są niewolnikami! Prawda jest taka, że Kościół katolicki należy do mechanizmów władzy. Kościół ma pieniądze, a więc inwestuje swoje pieniądze, grzęźnie po uszy w przedsięwzięciach handlowych i wiąże się z tymi, którzy posiadają dobra. Sądzi, że w ten sposób broni swojego prestiżu, ale jeśli chcemy spełnić rolę, którą sobie przypisaliśmy, nie powinniśmy dłużej myśleć w kategoriach prestiżu. Nie powinniśmy też umywać rąk, jak Poncjusz Piłat, powinniśmy oczyścić się z grzechu zaniedbania i spłacić dług. I odzyskać szacunek młodzieży, jeśli nie jej sympatię, a może miłość. Precz z pieniędzmi, koniec głoszenia religii pod hasłem cierpliwości, posłuszeństwa, ostrożności, cierpienia, jałmużny. Dostyc dobroczynności, kanapek i ciasteczek. Godności ludzi nie broni się, ofiarując im ciastka i kanapki, lecz ucząc ich mówić: należy mi się szynka! To my, księża, jesteśmy winni fatalizmu, z jakim ubodzy godzili się zawsze z tym, że są ubodzy, zacofane narody z tym, że są zacofane. I postępując tak nadal, przyznajemy rację marksistom, według których religie są siłą alienującą i wyalienowaną, czyli opium dla mas!

*A niech to, don Helder! Czy Paweł VI wie, że mówi ksiądz również takie rzeczy?*

Wie, wie. I tego nie potępia. Tyle tylko, że on nie może mówić tego, co ja. Ma wokół siebie pewne osoby, biedaczysko!

*Don Helder, ale czy naprawdę wierzy ksiądz, że obecnie Kościół może spełnić jakąś rolę w poszukiwaniu i wprowadzaniu w życie sprawiedliwości?*

Och, nie. Wybijmy sobie z głowy, by po spowodowaniu tylu nieszczęść Kościół mógł sobie pozwolić na przyjęcie tego typu roli. Owszem, mamy obowiązek wypełnić to zadanie, lecz bez chełpienia się. Nie zapominając, że najcięższe winy spoczywają na nas, chrześcijanach. W zeszłym roku w Berlinie uczestniczyłem przez tydzień w okrągłym stole chrześcijan, buddystów, hinduistów, marksistów. Dyskutowaliśmy tam o ważnych problemach świata, analizowaliśmy to, co zrobiliśmy, i doszliśmy do wniosku, że religie mają wielki dług wobec świata, jednak największy dług mają chrześcijanie, a raczej katolicy. Jak można wytłumaczyć, że ta garstka krajów, dzierżąca w rękach osiemdziesiąt procent światowych zasobów, to kraje chrześcijańskie, a często katolickie? Podsumowuję więc: jeśli istnieje jakaś nadzieja, leży ona w wysiłku wszystkich religii połączonych razem. Nie samego Kościoła katolickiego czy samych religii

chrześcijańskich. Nie istnieje już ani jedna religia, która miałaby wielkie możliwości. Pokój można osiągnąć jedynie dzięki tym, których papież Jan nazywał ludźmi dobrej woli.

*Którzy stanowią pozbawioną władzy mniejszość, don Helder.*

Liczą się właśnie mniejszości. To mniejszości zmieniały zawsze świat, buntując się, walcząc, a następnie poruszając masy. Tu jakiś ksiądz, tam jakiś partyzant, tu jakiś biskup, tam jakiś dziennikarz. Nie, żeby próbował pani schlebiać, ale muszę powiedzieć, że jestem jednym z niewielu, którzy lubią dziennikarzy. Kto, jeśli nie dziennikarze, ujawnia niesprawiedliwości i informuje miliony osób? Proszę nie usuwać z wywiadu tej uwagi; fenomen dziennikarzy jest ważny we współczesnym świecie. Dawniej przyjeżdżaliście do Brazylii tylko po to, by mówić o naszych motylach, naszych papugach, naszym karnawale, słowem, o folklorze. Teraz zaś przyjeżdżacie i przedstawiacie problem naszej nędzy, naszych tortur. Zgoda, nie wszyscy; istnieją też ludzie beztroscy, których nie obchodzi, że umieramy z głodu czy wskutek elektrowstrząsów. Zgoda, nie zawsze odnosicie sukces; wasze pragnienie prawdy zatrzymuje się tam, gdzie zaczyna się interes firmy, której służycie. Ale Bóg jest dobry i czasami pozwala, by wasi chlebodawcy okazali się niezbyt inteligentni. W ten sposób, z Bożym błogosławieństwem, wiadomości zawsze się przedostają i gdy tylko zostaną wydrukowane, rozchodzą się z prędkością rakiety wystrzelonej na Księżyc, a następnie rozlewają się jak rzeka przerywająca wały. Odbiorcy nie są głupi, choć milczą. Mają oczy i uszy, choć nie mają ust. I zawsze przychodzi dzień, w którym wracają myślą do tego, co przeczytali. Czekam tylko na to, by przeczytali tę ostateczną prawdę: nie należy mówić, że bogacze są bogaci, bo ciężiej pracowali albo są bardziej inteligentni. Nie należy mówić, że biedni są biedni z powodu głupoty i lenistwa. Gdy brakuje nadziei i dziedziczy się tylko biedę, na nic nie zda się praca czy inteligencja.

*Don Helder, gdyby nie był ksiądz księdzem...*

Może sobie pani zaoszczędzić pytania; nie potrafię sobie nawet wyobrazić, bym mógł być kimkolwiek innym niż księdzem. Proszę pomyśleć: uważam brak wyobraźni za zbrodnię, a jednak brakuje mi wyobraźni, by ujrzeć siebie jako nieksiędza. Bycie księdzem jest dla mnie nie tylko wyborem, jest sposobem na życie. Jest tym, czym woda dla ryby, niebo dla ptaka. Ja naprawdę wierzę w Chrystusa, Chrystus nie jest dla mnie abstrakcyjnym pojęciem, jest osobistym przyjacielem. Bycie księdzem nigdy mnie nie rozczarowało ani nie było powodem do żalu. Celibat, czystość, brak rodziny, rozumianej tak jak rozumiecie ją wy, ludzie świeccy, to wszystko nigdy nie stanowiło dla mnie ciężaru. Jeśli zabrakło mi pewnych radości, otrzymałem i

otrzymuję inne, o wiele bardziej podniosłe. Gdyby pani wiedziała, co czuję, gdy odprawiam mszę, jak bardzo się z tym utożsamiam! Msza naprawdę jest dla mnie Golgotą i Zmartwychwstaniem, jest szaloną radością! Jeden rodzi się, by śpiewać, inny, by pisać, inny, by grać w piłkę, a kto inny rodzi się, by zostać księdzem. Ja urodziłem się po to, by zostać księdzem; zacząłem tak twierdzić w wieku ośmiu lat, i to z pewnością nie dlatego, że rodzice wbili mi to do głowy. Mój ojciec był masonem, a moja matka chodziła do kościoła raz na rok. Pamiętam nawet, że pewnego dnia mój ojciec się wystraszył i rzekł: „Synu, mówisz zawsze, że chcesz zostać księdzem. Ale czy wiesz, co to znaczy? Ksiądz to ktoś, kto nie należy do siebie samego, bo należy do Boga i ludzi, ktoś, kto musi rozdzielać tylko miłość, wiarę i miłosierdzie...”. A ja mu odpowiedziałem: „Wiem. Dlatego właśnie chcę zostać księdzem”.

*Ale nie zakonnikiem. Ksiądz telefon dzwoni zbyt często, a ten murek, ostrzeliwany seriami z karabinu maszynowego, nie nadaje się na klasztor.*

Och, myli się pani! Noszę klasztor w swoim wnętrzu. Może jest we mnie niewiele mistycyzmu i w moich bezpośrednich spotkaniach z Chrystusem też jestem impertynencki, jak chciał Chrystus. Zawsze przychodzi jednak chwila, gdy izoluję się niczym mnich. Co noc budzę się o drugiej, wstaję, ubieram się i składam części, które porozsypywałem za dnia: tu ręka, tam noga, głowa nie wiadomo gdzie. W samotności sklejam siebie, rozmyślam, piszę albo się modłę i przygotowuję do mszy. Za dnia jestem człowiekiem umiarkowanym. Niewiele jem, nie lubię pierścieni i drogocennych krzyży; jak pani widzi, cieszę się ogólnie dostępnymi darami: słońcem, wodą, ludźmi, życiem. Piękne jest to życie i często się zastanawiam, dlaczego, aby je podtrzymać, trzeba zabijać inne życie; choćby to było jajko albo pomidor. Tak, wiem, że przeżuwając pomidora, sprawiam, że staje się on don Helderem, i w ten sposób go idealizuję, czynię go nieśmiertelnym. Pozostaje jednak faktem, że niszczę pomidora. Dlaczego? To tajemnica, której nie potrafię zgłębić i którą odsuwam od siebie, mówiąc: trudno, człowiek jest ważniejszy od pomidora.

*A kiedy nie myśli ksiądz o pomidorach, czy nie zdarza się księdzu być trochę mniej zakonnikiem i trochę mniej księdzem? Słowem, denerwować się na ludzi, że są mniej warci od pomidora, i marzyć co najmniej o tym, by trochę im przyłożyć?*

Gdyby mi się to zdarzało, byłbym księdzem z karabinem na ramieniu. I bardzo szanuję księży z karabinem na ramieniu, nigdy nie mówiłem, by używanie broni przeciwko ciemnościom było niemoralne czy niechrześcijańskie. Ale to nie mój wybór, nie moja droga, nie mój sposób

wprowadzania w życie Ewangelii. Dlatego, gdy się denerwuję i zauważam to po tym, że nie potrafię wydusić słowa, hamuję się i mówię: „Spokojnie, don Helder!”. Tak, rozumiem, nie potrafi pani pogodzić tego, co właśnie pani powiedziałem z tym, co mówiłem wcześniej; z jednej strony klasztor, z drugiej polityka. Ale to, co pani nazywa polityką, dla mnie jest religią. Chrystus nie stał po stronie ciemnych, nie ugiął się przed tymi, którzy mówili: jeśli broniś młodych ludzi porywających ambasadorów, jeśli broniś młodych ludzi napadających na banki, by kupić broń, popełniasz zbrodnię przeciwko ojczyźnie i państwu. Kościół chce, abym zajmował się wyzwoleniem duszy, lecz jak mogę wyzwolić duszę, jeśli nie wyzwolę ciała, w którym ta dusza się znajduje? Chcę zaprowadzić do nieba ludzi, nie posłuszne szczeniaki. A tym bardziej nie szczeniaki z pustym żołądkiem i zmiażdżonymi genitaliami.

*Dziękuję, don Helder. Wydaje mi się, że zostało powiedziane prawie wszystko. Ale co się teraz z księdzem stanie?*

Cóż! Nie chowam się, nie bronię i nie trzeba zbyt wiele odwagi, żeby mnie sprzątać. Jestem jednak przekonany, że nie mogą mnie zabić, jeśli nie zechce tego Bóg. Jeśli zaś Bóg tak zechce, bo uważa, że tak będzie właściwie, przyjmę to jako łaskę; kto wie, może moja śmierć się na coś przyda. Straciłem prawie wszystkie włosy, tych kilka, które mi zostało, jest białych i nie pozostaje mi wiele lat życia. Ich groźby nie budzą więc we mnie strachu. Słowem, raczej trudno im będzie zmusić mnie za ich pomocą do zamknięcia gęby. Jedynym sędzią, którego uznaję, jest Bóg.

*Recife, sierpień 1970*

## Arcybiskup Makarios

W pewnym momencie powiedziałam Makariosowi: „Wasza Wielbność przywodzi mi na myśl pewną radę Jane Austen”. „Jaką radę Jane Austen?”, uśmiechnął się Makarios. „Kobieta inteligentna nigdy nie powinna pokazywać, jak bardzo jest inteligentna”. „Ale ja nie jestem kobietą”, uśmiechnął się Makarios. „Nie, ale jest ksiądz inteligentny. Tak bardzo inteligentny, że robi ksiądz wszystko, bym tego nie zauważyła”, podsumowałam. Wtedy jego spojrzenie stało się surowe, coś się w nim najeżyło jak grzbiet kota szykującego się do walki. Ja też się najeżyłam, oczekując drapnięcia, szykując się, by je oddać. Drapnięcie nie nastąpiło. Z tą samą szybkością, z jaką się zirytowałam, stał się na powrót spokojny i kontynuował opowiadanie. „Jak już pani tłumaczyłam, mam szczęście. Wiem już, co napiszą w gazetach, gdy odejdę do lepszego świata. W lipcu ubiegłego roku czytałem takie miłe nekrologii na swój temat. Uważali mnie za zmarłego, pamięta pani? Miłe były również telegramy do moich ambasadorów. Najmilszy przyszedł od lorda Caredona, ostatniego gubernatora Cypru, mojego wielkiego wroga. W Londynie spotkałem lorda Caredona. Zaczęliśmy rozmawiać o czasach, gdy klóciliśmy się o bazy brytyjskie na Cyprze. Powiedziałem mu, że bazy te przydały się tylko do jednej rzeczy: uchroniły mnie przed niebezpieczeństwem po zamachu stanu i pomogły mi opuścić wyspę”. Był to jeden z powodów, dla których Makarios mnie oczarował i wszedł do wąskiego grona tych, którzy mimo że dzierżą władzę, cieszą się moją sympatią.

Wcześniej go nie lubiłam. Pewnego razu próbowałam nawet mu to okazać, z takim skutkiem, że uzyskałam jego błogosławieństwo. Było to w Atenach, w okresie zaślubin Juana Carlosa z Sofią. Mieszkał w hotelu Gran Bretagna. Ja również tam mieszkałam. Pewnego wieczoru zszedł do holu i gdy tylko się pojawił, wystrojony jak ikona, lśniący od złota i klejnotów, dzierżąc w ręku patriarchalny kij, hol zamienił się w kaplicę. Jedni kłaniali się tak, że dotykali nosem pępka, drudzy klękali na podłodze, inni próbowali ucałować jego rękę lub przynajmniej szaty. Jedyne uniesiona głowa należała do mnie i była ponadto doskonale widoczna, ponieważ siedziałam sobie na wysokim fotelu. Fotel znajdował się między windą a wyjściem i on natychmiast mnie zauważył. Jego oczy przeszyły moje igłami oburzenia, zdziwienia, bólu. Kim byłam? Jak śmiałam? Potem nadal uroczyście postępował naprzód, a kiedy przechodził koło mnie, zatrzymał się. Rzucił mi wściekle spojrzenie i udzielił mi błogosławieństwa. Nie trzeba dodawać, że chętnie bym się bez tego obyła i że jeszcze dzisiaj



wspomnienie tego wydarzenia sprawia, że czuję się nieswojo. W świadomości laika Makarios jest co najmniej irytujący, gdyż reprezentuje najtrwalsze połączenie władzy świeckiej z władzą religijną; jest jak papież, który zamiast w Watykanie, zasiadałby w Kwirynale. Zwierzchnik kościoła prawosławnego, a jednocześnie prezydent Cypru; nigdy nie wiadomo, czy zwracać się do niego jak do przywódcy religijnego, czy jak do przywódcy politycznego, czy mówić do niego Wasza Wielbność, czy panie prezydencie, księżę arcybiskupie, czy panie Makarios. Nawet fakt, że został demokratycznie wybrany, nie pozwala zapomnieć gorzkiej prawdy: zdobywa te głosy dzięki swoim związkom z rajem, dla cypryjskich wieśniaków głosowanie na niego to niemal sakrament. Mówi się, że oddając kartę z jego nazwiskiem, nawet komuniści robią znak krzyża. Niemniej, niemniej jednak... jest on jednym z niewielu szefów państw, przed którymi warto wstać, jeśli nie uklęknąć. Bo jest jednym z niewielu, którym nie brakuje rozumu. A wraz z rozumem odwagi. Razem z odwagą poczucia humoru, niezależności opinii, godności. Godności, która przypomina królewską, i Bóg jeden wie, skąd mu się ona bierze. Będąc synem pasterza analfabety, do dwunastego roku życia pilnował owiec.

Wielu za nim nie przepada. Oskarżają go na przykład, że za dużo czasu poświęca lub poświęcił kobietom, że nie jest w żadnym sensie ascetą. Wierzę. Oskarżają go, że rządzi, posługując się kłamstwem, intrygami, przypadkiem. W to nie wierzę, chyba że przez kłamstwo rozumie się wyrafinowanie, przez intrygi elastyczność, przez przypadek fantazję. Postaci tej nie można oceniać według kryteriów, które stosujemy na Zachodzie. Makarios nie należy do Zachodu. Należy do czegoś, co nie jest już Zachodem, jeszcze nie jest Wschodem, zanurza korzenie w kulturze, która jest jednocześnie wytworna i archaiczna, jest mistrzynią w sztuce przetrwania. Ma on zdolność przetrwania, zdobytą i odzyskiwaną przez podstawianie nóg, wykręty, spryt, jasność umysłu, cynizm. Cztery razy próbowano go zabić. Cztery razy dał sobie radę. Dwa razy został wygnany z kraju. Dwa razy wracał. I tylko raz wydawało się, że przegrał na zawsze, gdy faszystowska junta w Atenach za pomocą zamachu stanu obaliła jego rząd i próbowała go zamordować. Ale również w tym przypadku Makarios miał szczęście, bo udało mu się uciec i schronić w brytyjskiej bazie wojskowej, a później w Londynie. Tym, kto zapłacił za to do końca, wśród łez i krwi, był cypryjski lud. Istotnie, pucz pułkowników doprowadził do inwazji tureckiej, do wojny, rzezi i w praktyce do podziału wyspy. Tragedii tej nie miało załagodzić nawet porozumienie narzucone przez mocarstwa i ONZ. Od tego czasu Cypr jest w rejonie Morza Śródziemnego płonącym lontem.

Wywiad z Makariosem odbył się w Nowym Jorku, kilka miesięcy później. Były to dni, kiedy ONZ dyskutowało na temat mało prawdopodobnego wycofania wojsk tureckich z zajmowanych terenów i posiedzenia były bardzo burzliwe. Aby je śledzić i mieć na oku zachowanie Kissingera, z którym pragnął się również spotkać, Makarios przerwał swe londyńskie wygnanie i ulokował się w jednym z apartamentów hotelu Plaza, gdzie osłaniany przez niezliczonych ochroniarzy, przygotowywał swój powrót. Tutaj się z nim spotkałam i dwukrotnie z nim rozmawiałam, około sześciu godzin. Nie był już wystrojony w złoto i klejnoty, przyjął mnie ubrany w niezwykle surowy, granatowy habit i wyglądał na znacznie więcej niż na swoje ówczesne sześćdziesiąt jeden lat; tak jakby przeżyty dramat nagle go postarzył. Lody zostały przełamane niemal natychmiast, to znaczy wtedy, gdy niepomna tego, że przykazano mi, by nie palić, gdyż Jego Wielbność nie znosi zapachu tytoniu, zapytałam go, czy mogę zapalić papierosa. Z westchnieniem ulgi odrzekł: „A czy ja mogę? Strasznie tego potrzebuję”. Następnie pokazał mi palce żółte od nikotyny. Bardziej niż przełamanie lodów było to jednak porozumienie, paradoksalne i niespodziewane. Człowiek, który wiele lat wcześniej wydawał mi się obmierzłym wrogiem, teraz jawił mi się jako urocza istota, inteligentna i błyskotliwa. O czymkolwiek byśmy rozmawiali, udawało mu się mnie zainteresować, a nawet rozbawić w kalejdoskopie dowcipów, anegdot, przenikliwych uwag. Wystarczyło rzucić jakieś nazwisko, na przykład Tito lub Mao Tse-tung, lub Naser, lub Czou En-laj, żeby wyszła z tego historia albo portret, któremu trudno się było oprzeć. Nie wspominając o wdzięczności, jaką odczuwałam, słuchając, jak on kocha wolność i niepodległość. Jaką piękną książkę można by napisać o Makariosie! Oczywiście w takim wypadku nie chciałabym się znaleźć na miejscu Kissingera. Był on osobą, której najbardziej nienawidził. Po wyłączeniu magnetofonu powiedział mi bez ogródek, że sekretarz stanu i CIA wiedzieli o zamachu stanu na Cyprze dużo wcześniej, niż miał miejsce. „To Kissinger dał zielone światło”. I gdy wymawiał te słowa, jego głos stracił charakterystyczny łagodny ton.

Rozstaliśmy się jako przyjaciele. W drzwiach szepnął do mnie: „Ta rada Jane Austen... odnosi się także do pani. Szkoda, że jest pani kobietą”. A ja odrzekłam: „Szkoda, że pan jest księdzem”. Następnie uzgodniliśmy, że zobaczymy się na Cyprze, gdzie z całym prawdopodobieństwem miał rychło powrócić. Rzeczywiście, właśnie tam zobaczyłam go ponownie, wraz z Aleksandrosem Panagulisem, osiem miesięcy później, podczas grzecznościowej wizyty. (W 1968 roku, gdy pułkownicy poszukiwali go po całej wyspie,

Panagulis uniknął pojmania dzięki Makariosowi, który polecił swemu ministrowi spraw wewnętrznych Gheorgazisowi wydać mu fałszywy paszport). Przyjął nas w swoim jakże skromnym gabinecie w pałacu rządowym. Poczęstował kawą i grożąc palcem wskazującym, narzekał: „Ach! Jakie rzeczy kazała mi pani powiedzieć w tym wywiadzie! Postąpiłem doprawdy nieostrożnie”. Jednocześnie jego oczy się śmiały. Ale twarz miał jeszcze bardziej zmęczoną, a plecy jeszcze bardziej zgarbione. Stał się wcieleniem władzy, która boli niczym krwawiąca rana. Słowem, jedynej władzy możliwej do zaakceptowania.

*ORIANA FALLACI. Wasza Wielebność, niegrzeczne pytanie: Czy wróci ksiądz na Cypr?*

ARCYBISKUP MAKARIOS. Oczywiście, że wrócę. Na pewno! Wrócę tam w listopadzie. Najpóźniej do końca grudnia. Termin zależy wyłącznie ode mnie. Nie wracałem do dziś tylko dlatego, że czekałem, aż grecki rząd usunie i zastąpi oficerów odpowiedzialnych za skierowany przeciwko mnie zamach stanu. A także dlatego, że chciałem z bliska śledzić debatę ONZ na temat Cypru. Nie rozumiem, dlaczego miałyby istnieć wątpliwości co do mojego powrotu; nie złożyłem bynajmniej dymisji. Nikt i nic nie sprzeciwia się mojemu powrotowi, z wyjątkiem tych, którzy obawiają się, że zostaną postawieni przed sądem i ukarani. Czego nie mam zamiaru robić, bo zaszkodziłoby to jedności kraju. Oczywiście nie oznacza to, że zamierzam przekazać historii fałszywą wersję wydarzeń. Przeciwnie, chcę, żeby świat dowiedział się dokładnie, co się stało. Jednak chcę, by odbyło się to bez jakichkolwiek kar, bez zemsty. Udzielę powszechnej amnestii i wszyscy ci, którzy drżą przed moim powrotem, mogą się uspokoić. Zresztą jest tych osób niewiele. Naród popiera mnie dziś bardziej niż przed zamachem stanu. Niecierpliw się, by mnie zobaczyć, w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach stoi po mojej stronie.

*Dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludności obejmuje też cypryjskich Turków. Nie sądzę, by idea zobaczenia ponownie Waszej Wielebności napęłniała ich entuzjazmem.*

Zgoda. Ja również nie uważam, by popierała mnie większość Turków. Przeciwnie, myślę, że panu Denktaşowi, tureckiemu wiceprezydentowi, bardzo nie podoba się myśl o moim powrocie. Ale to mnie nie martwi, a w każdym razie nie do mnie będą należały negocjacje z panem Denktaşem i turecką społecznością. Nadal będzie się tym zajmował Clerides, który jest doskonałym negocjatorem i zna Denktaşa lepiej ode mnie. Och, oczywiście pozostaje w domyśle, że Clerides nie podejmie żadnej decyzji bez mojego przyzwolenia. Pozostaje w domyśle, że mówiąc o powrocie na Cypr, mówię o powrocie w roli prezydenta. Jestem prezydentem, pojadę

tam jako prezydent, nigdy nie zgodziłbym się pojechać tam w innej roli niż jako prezydent. A to, czy pozostanę prezydentem na długo, czy nie, zależy tylko ode mnie. To znaczy od decyzji, jaką podejmę na Cyprze. Mówię pani, że nie wykluczam możliwości rezygnacji po pewnym czasie z prezydenckiego mandatu. Będę musiał podjąć decyzję na podstawie sytuacji. Jeśli na przykład dojdzie do niekorzystnego porozumienia, nie będę chciał pozostać prezydentem. Ale to, powtarzam, okaże się później.

*Co ksiądz rozumie przez niekorzystne porozumienie?*

Turecja będzie się domagała federacji geograficznej, a ja nie zgodzę się nigdy na federację na bazie geograficznej. Doprowadziłaby ona do podziału wyspy i podwójnej enosis; połowa Cypru zostałaby oddana Grecji, a połowa Turcji. Oznaczałoby to koniec Cypru jako niezależnego państwa. Jestem nad wyraz gotowy do rozmów na temat federacji, owszem, ale na bazie administracyjnej. Nie geograficznej. Czym innym jest mieć obszary zarządzane przez Turków i obszary zarządzane przez Greków, a czym innym podzielić kraj na dwie części. Czym innym jest połączyć przykładowo dwie lub trzy tureckie wioski i powierzyć je administracji tureckiego rządu, a czym innym przemieścić z jednego krańca wyspy na drugi ponad dwieście tysięcy osób. Cypryjscy Turcy rozproszeni są po całym Cyprze. Jak można im powiedzieć: „Zwijajcie manatki, opuszczajcie wasze domy, waszą ziemię, przenoście się gdzie indziej, bo robimy federację”?! To co najmniej nieludzkie.

*I właśnie to niepokoi Waszą Wielebność? To znaczy, dramat cypryjskich Turków? Nie wydaje mi się, aby jeszcze wczoraj cieszyli się oni zbyt dużymi względami. Byli traktowani jak obywatele drugiej kategorii i...*

Nieprawda! Nieprawda! Choć stanowili mniejszość, mieli wiele przywilejów i zachowywali się tak, jakby stanowili większość. To nie my źle ich traktowaliśmy, robili to ich tureccy przywódcy, zmuszając ich do mieszkania w oddzielnych wioskach, szantażując ich, zakazując im współpracować z nami również gospodarczo i posuwać się naprzód. Nie pozwalali im nawet z nami handlować, rozwijać z nami turystyki. Nie byli naszymi ofiarami, byli ich ofiarami. Nikt nie może zaprzeczyć, że na Cyprze istniała prawdziwa demokracja, dobra demokracja. W swoich gazetach Turcy mogli się nade mną znęcać i obrażać mnie, ile tylko chcieli. Mogli zapytać o mnie w arcybiskupstwie i spotkać się ze mną, gdy tylko chcieli. Problem w tym, że byli zmuszeni szukać mnie potajemnie, w ukryciu przed swoimi przywódcami. W

mieszanych wioskach żyliśmy razem bez żadnych problemów. W przeszłości, a nawet w czasie wojny grecko-tureckiej było tak samo. Nie jest prawdą to, co pani mówi.

*A czy prawdą jest, że Wasza Wielbność pozbawił ich wielu przywilejów konstytucyjnych?*

Niczego ich nie pozbawiłem. Narzekałem po prostu na te przywileje, bo spowalniały jedynie funkcjonowanie państwa. Konstytucja przewiduje, by mieli oni trzydzieści procent miejsc w rządzie. A bardzo często cypryjskim Turkom brakowało ludzi zdolnych zająć te trzydzieści procent. Istniało na przykład stanowisko, które mógłby objąć mądry Grek, a trzeba było je oddać Turkowi analfabecie. Tylko dlatego, że był Turkiem. Kiedyś zagłosowali przeciwko podatkom. Próbowałem im wytłumaczyć, że państwo nie przetrwa, jeśli obywatele nie będą płacili podatków; dali mi odmowną odpowiedź. Zmusiłem ich więc do zapłacenia mimo wszystko. Czy było to nadużycie? Innym razem, gdy wyjeżdżałem do Belgradu na konferencję krajów niezaangażowanych, pan Denktaş próbował mnie zatrzymać, stosując prawo weta. Odpowiedziałem: „Niech pan stosuje, co chce. Ja i tak pojedę”. Czy było to nadużycie?

*Wasza Wielbność, czy ma ksiądz rację, czy nie, dziś rzeczywistość jest inna. Turcy zajmują czterdzieści procent powierzchni wyspy i...*

I ja tego nie akceptuję. Ponieważ nie mogę uznać faktów dokonanych, nie mogę zalegalizować swoim podpisem sytuacji stworzonej przy użyciu siły. Tak zwani realiści radzą mi, bym negocjował z Turkami federację geograficzną, twierdzą, że nie powinienem być taki nieugięty. Zamiast utrzymać zajmowane czterdzieści procent wyspy, być może zadowolą się trzydziestoma procentami, proszę być elastycznym. Nie chcę być elastyczny.

*Słowo elastyczny jest drogie Henry'emu Kissingerowi. Czy to on tak księdzu radzi?*

Kissinger nie powiedział mi nigdy otwarcie, że opowiada się za federacją geograficzną. Nigdy nie powiedział mi otwarcie, co robi. Mówił mi zawsze o „rozwiązaniu możliwym do zaakceptowania dla obu stron” i zawsze mi powtarzał: „Nie zamierzamy wyjawiać tego, co robimy, by przekonać Turcję”. Dlatego nie mogę stwierdzić, że przygotowuje właśnie porozumienie, które odrzucę, ale mogę stwierdzić, że w wielu kwestiach nadal się nie zgadzamy. W wielu. Stany Zjednoczone, gdyby tylko chciały, mogłyby odegrać bardziej decydującą i konkretną rolę w tej sprawie. Czy to nie one dostarczają Turcji pomocy ekonomicznej i broni? Czy to nie one, jako jedyne, mogłyby skłonić czy wręcz zmusić Turcję do rozsądku?

*Wasza Wielbność, czy sądzi ksiądz, że to, co stało się na Cyprze, byłoby możliwe bez cichego przyzwolenia Kissingera, innymi słowy bez przyzwolenia Amerykanów?*

Ach! Uważam, że Stany Zjednoczone i inne kraje wiedziały z wyprzedzeniem, że Turcy przygotowywali inwazję na Cypr. I być może zostali oszukani przez Turków, może wpadli w zasadzkę, gdy powiedzieli im oni, że będzie to operacja o ograniczonym zasięgu, operacja policyjna, mająca na celu przywrócenie porządku konstytucyjnego w ciągu dwóch dni. Może dopiero później zrozumieli, jakie były prawdziwe plany Turcji. Jednak mimo wszystko mogliby zapobiec temu, co się stało. Mogliby zatrzymać ten ciągły napływ tureckich oddziałów. Przeprowadziłem na ten temat długą dyskusję z Kissingerem. I wyraziłem mu cały ogrom mojego rozczarowania, powiedziałem mu bez ogródek, jak bardzo jestem niezadowolony z postawy jego kraju.

*Co on na to?*

Powiedział, że się ze mną nie zgadza, że próbował przekonać Turcję, że działał za kulisami. I również tym razem nie chciał jasno wytłumaczyć, co dokładnie zrobił.

*Wasza Wielebność, wielu osobom wydaje się, że odpowiedzialność Kissingera i Stanów Zjednoczonych wykracza znacznie poza inwazję turecką na Cypr. Nie zapominajmy, że inwazja miała miejsce w następstwie skierowanego przeciwko księdzu zamachu stanu, przeprowadzonego przez juntę w Atenach, i...*

Oczywiście! Pierwszy rozdział tragedii został napisany przez grecką juntę wojskową. Cypr został zniszczony przede wszystkim na skutek interwencji Grecji. Turcja przyszła później, jako drugie nieszczęście. Przykro mi to mówić. Przykro mi, bo obecny rząd grecki zachowuje się dobrze w stosunku do mnie, lojalnie i uczciwie. Nie spotkałem nigdy Karamanlisa ani Averoffa, ale poznałem Mavrosa. I Mavros mi się podoba. To porządny człowiek. Jest szczerzy i otwarty: cechy jak najbardziej dla mnie wystarczające. Jednak pozostaje faktem, że Grecja nie odzyskałaby wolności, gdyby Cypr jej nie stracił. Pozostaje faktem, że Turcja nigdy nie odważyłaby się interweniować, gdyby poprzedni rząd, junta, nie dostarczył jej pretekstu. Turcy od dawna grozili, że nas zaatakują, jednak nigdy tego nie robili. Nigdy nie znajdowali usprawiedliwienia...

*Tak, ale czy nie sądzi ksiądz, że Stany Zjednoczone albo CIA miały coś wspólnego z tym zamachem stanu? Chodzą słuchy, że CIA nie ma nawet nic przeciwko zamachom na księdza życie...*

Co do zamachów, nie sądzę. W rzeczywistości przed ostatnim z nich to właśnie ludzie z ambasady amerykańskiej w Nairobi poinformowali mnie, podczas mojej podróży do Afryki, że

moje życie znajduje się w niebezpieczeństwie. Przyszli do mnie i powiedzieli: „Wiemy, że po powrocie ktoś będzie próbował księdza zabić. Proszę uważać”. Kilka dni później, na Cyprze, potwierdzili mi tę wiadomość i dodali, że zamach nastąpi w ciągu piętnastu dni. I rzeczywiście tak się stało. Jeśli zaś chodzi o zamach stanu... nie wiem. Kissinger oświadczył mi: „Ten zamach stanu skierowany przeciwko księdzu nie leżał w naszym interesie”. Przypuszczam, że mogę mu wierzyć, ale czy powinienem? Liczne znaki wskazują na coś zupełnie przeciwnego niż to, co mówi Kissinger, jednak nie mam niczego konkretnego. Prosiłem o informacje w Atenach, próbowałem dowiedzieć się czegoś więcej. Na próżno. Jestem zmuszony żyć ze swoją obsesją, nie mając dowodów, że jest to słuszna opinia. Kissinger dodał: „Oczywiście śledziliśmy sytuację i wiedzieliśmy, że nie podobał się ksiądz Ioannidisowi ani reszcie Rady. Ale nie mieliśmy konkretnych informacji na temat dnia, kiedy wymierzony w księdza zamach stanu ma nastąpić”.

*Być może przyczynił się do niego list, który napisał ksiądz w lipcu do Ghizikisa.*

Powiedzmy, że ten list go przyspieszył. Gdybym go nie napisał, zamach stanu i tak by nastąpił; miesiąc lub dwa później. Jak przyznaje Kissinger, był bardziej niż pewny; pozostawało jedynie ustalenie dnia. Stanowiłem zbyt wielką przeszkodę na drodze do *enosis*, a im za bardzo na *enosis* zależało. Za każdym razem, gdy znajdowaliśmy się o krok od osiągnięcia porozumienia między Cypryjczykami Grekami, a Cypryjczykami Turkami, interweniowali ateńscy urzędnicy, nawołując do *enosis*. „Nic nas nie obchodzą wasze lokalne porozumienia, naszym celem jest *enosis*”. Pamiętam, jak jeden z tych urzędników przyszedł do mnie i powiedział: „Powinien ksiądz ogłosić *enosis*. I tak potrzeba będzie trzech lub czterech lat, zanim Turcy będą mogli wysłać oddziały na Cypr. W tym czasie będą interweniować Stany Zjednoczone i przeszkodzą im w ataku na wyspę. W przeciągu tygodnia *enosis* stanie się faktem dokonany”. Może naprawdę wierzyli, że istnieje możliwość przyłączenia do Grecji. Jednak żądali, abym przyjmował rozkazy z Aten, abym był im posłuszny, jak marionetka, a to przy moim charakterze jest stanowczo niemożliwe. Słucham tylko samego siebie.

*Tak więc również ksiądz spodziewał się przewrotu.*

Nigdy nie sądziłem, że są na tyle głupi, by uknuć przeciwko mnie przewrót. Wydawało mi się istotnie niemożliwe, by nie brali pod uwagę konsekwencji. Słowem, interwencji tureckiej. Sądziłem co najwyżej, że zrobią coś podobnego w porozumieniu z Turcją, to znaczy po to, by dać Turcji powód do interwencji, a Grecji do rewanzu. Wynikłby z tego podział i podwójna *enosis*. Sądziłem tak nadal jeszcze po przewrocie, gdy dotarłem do Londynu. Potrzeba mi było

czasu, by się przekonać, że działanie Ioannidisa spowodowane było jedynie brakiem inteligencji. A przecież go znałem. W roku 1963 i 1964 przebywał na Cyprze jako oficer gwardii narodowej i pewnego dnia przyszedł do mnie, w towarzystwie Samsona, by „przedstawić w tajemnicy plan, który wszystko rozwiąże”. Skłonił się, pocałował mnie w rękę, pełen szacunku, i mówi: „Wasza Wielbność, oto plan. Zaatakować z zaskoczenia, w każdej części wyspy, cypryjskich Turków. Wyeliminować ich od pierwszego do ostatniego. Koniec”. Oślupiałem. Odpowiedziałem mu, że się z nim nie zgadzam i nie mieści mi się w głowie, by pozabijać tyle niewinnych osób. Znowu pocałował mnie w rękę i odszedł, przepelniony złością. Mówię pani, to kryminalista.

*Czy sądzi ksiądz, że Papadopoulos był lepszy?*

Powiedziałbym, że tak. Mając wybierać między Papadopulosem a Ioannidisem, wybrałbym Papadopulosa. Jest przynajmniej bardziej inteligentny albo, jeśli pani woli, mniej głupi. Spotkałem go po raz pierwszy, gdy przybył na Cypr natychmiast po swoim zamachu, jako obrońca prezydentury, i nikt nie może powiedzieć, abym okazał mu wówczas szczególne uznanie. Jednak spotkałem się z nim kilka razy ponownie w Atenach, gdy udałem się tam, by przedyskutować kwestię Cypru, i muszę powiedzieć, że przy tej okazji wydał mi się bardziej bystry. W każdym razie obdarzony zmysłem praktycznym. Cóż, Papadopoulos cierpiał na megalomanię, ponadto nie wiem, jakie naprawdę były jego poglądy w kwestii Cypru. Natomiast potrafił kontrolować kilka sytuacji jednocześnie i przewyższał swoich współpracowników. Nie wydaje mi się nawet, aby od początku mnie nienawidził. Zaczął mnie nienawidzić później, w ciągu ostatnich dwóch lat. A może dopiero w ciągu ostatniego roku.

*A Wasza Wielbność jest zdolny do nienawiści?*

Cóż, powiedzmy, że uczucie zwane nienawiścią stanowi część ludzkiej natury; nie można nikomu zakazać odczuwania go od czasu do czasu. I, choć przykro mi to przyznać, bo powinienem głosić miłość, są chwile, w których... Cóż, powiedzmy, że nie lubię niektórych ludzi. Czemu się pani uśmiecha?

*Bo przypomina mi ksiądz pewnych papieży, którzy dowodzili armią w czasie wojny, i nie potrafię zrozumieć, do jakiego stopnia jest ksiądz księdzem. I dochodzę do wniosku, że być może wcale nie jest ksiądz księdzem, lecz wybitnym politykiem, przebranym za księdza.*

Myli się pani. Jestem najpierw księdzem, a dopiero później politykiem. Albo raczej wcale nie jestem politykiem. Jestem księdzem, przede wszystkim księdzem, nade wszystko księdzem.



Księdzem, którego poproszono, by sprawował funkcję szefa państwa, a w konsekwencji polityka. Ale można by powiedzieć, że pani się to nie podoba.

*Nie, i mnie niepokoi. W moim świecie laicy walczą właśnie o to, by nie pozwolić na łączenie władzy duchownej ze świecką i o to, by nie pozwolić przywódcom religijnym stać się przywódcami politycznymi.*

W moim świecie jest to natomiast dosyć normalne. A jeszcze bardziej na Cyprze, gdzie arcybiskup, jak również biskupi są wybierani bezpośrednio przez lud w powszechnym głosowaniu. Innymi słowy, na Cyprze arcybiskup jest nie tylko przedstawicielem i administratorem Kościoła, jest również postacią narodową. Etnarchą. Poza tym, moim zdaniem, Kościół interesuje się wszystkimi aspektami życia; religia chrześcijańska nie ogranicza się do zajmowania się rozwojem moralnym człowieka, zajmuje się również jego dobrobytem społecznym. Nie widzę sprzeczności między moją funkcją księdza a moją funkcją prezydenta. Nie widzę skandalu w sprawowaniu przeze mnie władzy doczesnej i religijnej. Zresztą nie opieram się na żadnej partii, nie jestem przywódcą partii politycznej, który chodzi po ludziach, prosząc, by go wybrali. Ograniczam się do służenia ludowi na dwóch stanowiskach, które ofiarowywał mi uparcie podczas niemal jednogłośniego głosowania. Jak tłumaczyłem kilka lat temu innemu laikowi, premierowi Jeorjosowi Papandreu, jestem silny z powodu mojej słabości. Ponieważ nie stoi za mną żadna partia ani wojsko, ani policja. I dlatego, że nawet nie znam zasad polityki. Bo stosuję się do pewnych zasad, które są zasadami chrześcijańskimi, nie gierkami, sztuczkami, politycznymi manewrami.

*A to dopiero! Niech Wasza Wielbność da spokój! Właśnie ksiądz, będący mistrzem najbardziej zawilej gry i kompromisu. Właśnie ksiądz, uważany za najwspanialszego specjalistę od intryg i kalkulacji...*

Nie! Nie, ja nie stosuję tych metod! Skłaniam się do kompromisów, oczywiście, ale nigdy do czegoś, co nie byłoby jasne i uczciwe. Nie jestem świętym. Ale jestem człowiekiem uczciwym i nie wierzę, by polityka musiała być nieuczciwa. Nie wierzę, że aby osiągnąć sukces, należy uciekać się do oszustwa. Wie pani, dlaczego mój lud mnie kocha? Wie pani, dlaczego wybacza wszystkie popełniane przeze mnie błędy? Bo rozumie, że są one spowodowane złą oceną sytuacji, nie złymi intencjami. Nie powinna mnie pani mylić z dawnymi papieżami i rzeczywiście, jeśli zapyta mnie pani o opinię na ich temat, będzie ona negatywna. Naprawdę staram się wprowadzać nauczanie chrześcijańskie w meandry stanowiska, które zostało mi

powierzone i które przyjąłem. Dam pani przykład. Na Cyprze istnieje kara śmierci i do mnie, jako do szefa państwa, należy podpisywanie wyroków śmierci. Ale egzekucje odbywają się na Cyprze niezwykle rzadko, bo za każdym razem, gdy skazany wniesie do mnie apelację, ja go ułaskawiam. Wszyscy na Cyprze wiedzą, że kara śmierci jest nominalna; że zawsze zawieszam egzekucję. Tamci papieże chodzili na wojnę, lecz ja nie uznaję wojny, uważam ją za szaleństwo, które musi się skończyć i które będzie wspomniane z niedowierzaniem. Nie uznaję rozlewu krwi.

*Proszę wybaczyć, ale to właśnie Wasza Wielebność na początku walki o niepodległość Cypru mówił: „Będzie musiało zostać przelane wiele krwi”.*

Nie mogłem tak powiedzieć. Być może powiedziałem: „Droga do wolności naznaczona jest krwią”, coś w tym rodzaju. Może powiedziałem: „Będziemy musieli umierać”, nie „Będziemy musieli zabijać”. To prawda, popierałem akty sabotażu, ale pod warunkiem, że nie kosztowały krwi niewinnych. Całe to zabijanie miało miejsce podczas mojego wygnania, gdy nie mogłem zrobić nic, by zaprotestować. Och, nie jestem tą straszną osobą, za jaką mnie pani uważa!

*Zaraz się przekonamy. Bo teraz zostawimy Cypr i zajmiemy się wyłącznie księdzem. Zaczynijmy od tego: Dlaczego Wasza Wielebność został księdzem?*

Zawsze chciałem być księdzem. Od dziecka. Wstąpiłem do zakonu w wieku zaledwie trzynastu lat. Dlaczego... trudno mi powiedzieć. Może dlatego, że wywarły na mnie duże wrażenie wizyty w klasztorach wokół mojej wioski. Bardzo podobały mi się klasztory. Życie tam, wewnątrz, było tak odmienne od życia w wiosce i czasami zastanawiam się, czy klasztor nie był dla mnie sposobem ucieczki od owiec, od biedy. Mój ojciec był pasterzem. I zawsze chciał, abym mu pomagał pilnować owiec, a ja nie lubiłem pilnować owiec. Istotnie, narzekał, mówiąc: „Od swojego starszego syna nie mogę niczego oczekiwać! Jeśli w starości będę potrzebował pomocy, będę musiał się zwrócić do młodszego syna!”. Powtarzał mi to tak często, że w ostatnich latach jego życia, gdy byłem już arcybiskupem, lubiłem mu dogryzać: „Pamiętasz, jak zrzędziłeś, że nie możesz po mnie niczego oczekiwać?”. Był bardzo religijny, jak wszyscy w rodzinie, ale nie rozumiał, dlaczego w niedzielny poranek opuszczam owce, by iść do klasztoru i pomagać księdzu, służąc do mszy. Kiedy wyznałem mu, że chcę pójść tą drogą, miałem dwanaście lat, rozzłościł się. Ale ja się nie przestraszyłem, i tak byłem pewien, że nic nie będzie mogło mnie powstrzymać.

*A księdza matka?*

Nie pamiętam dobrze mojej matki. Zmarła, gdy byłem mały, nie mam nawet jej zdjęcia. W tamtych czasach ludzie ubodzy nie robili sobie zdjęć, zwłaszcza w cypryjskich górach. Pamiętam jedynie dzień, gdy moja matka zachorowała. W całym dystrykcie był tylko jeden lekarz i mój ojciec wyruszył pieszo na poszukiwanie tego lekarza. Nie wiedział, w której wiosce będzie mógł go znaleźć, błądził godzinami i wreszcie wrócił, ciągnąc go za sobą jak barana. Lekarz używał na wszystkie choroby tej samej pigułki. Przypuszczam, że aspiryny. Dał mamie tę pigułkę i zaraz potem mama umarła. Pamiętam pogrzeb. Pamiętam noce, gdy spałem z moim ojcem, bo przy nim mniej płakałem. I pamiętam noc, kiedy on także zaczął płakać i powiedział mi: „Jeśli przestaniesz płakać, ja też przestanę”. Pamiętam też, jak babcia zabrała mnie do siebie i krewni mówili mojemu ojcu: „Jesteś młody, musisz ożenić się ponownie. Również ze względu na dzieci”. Oprócz mnie był jeszcze mój braciszek i moja dopiero co narodzona siostrzyczka. I pewnego dnia zaprowadzili mnie do nowej mamy; tata ożenił się ponownie. Nowa mama stała na środku pokoju i szeptała: „Wejdz, wejdz!”. Nie chciałem wchodzić, bo jej nie znałem. Ale później wszedłem i prędko ją pokochałem. Była dobra. Żyje jeszcze, nadal jest dobra i nadal ją kocham. Bardzo. Och, tak trudno, a zarazem tak łatwo wytłumaczyć, skąd pochodzę. Mój ojciec nie umiał czytać ani pisać. Ani moja matka, ani moja babcia, ani moja macocha. Sądzę, że mój ojciec pogodził się z myślą, że pozwoli mi iść do klasztoru, bo tam nauczę się czytać i pisać. Odprowadzając mnie, przykazywał: „Bądź posłuszny, ucz się...”.

*Czy również wtedy był ksiądz nieposłuszny? Dopiero co ksiądz powiedział, że słucha tylko siebie samego...*

Byłem nieśmiały. Byłem tak bardzo nieśmiały, że w szkole nie miałem nigdy odwagi, by wstać i pokazać, że się nauczyłem. Gdy nauczyciel mnie wywoływał, robiłem się czerwony i drętwiał mi język. Jednak nawet wtedy nie potrafiłem być posłuszny. Na przykład historia z brodą. Gdy miałem dwadzieścia lat, przeor klasztoru nakazał mi zapuścić brodę. A nowicjusz nie ma obowiązku zapuszczać brody. Odmówiłem, rozgniewał się. „Albo będziesz posłuszny, albo odchodzisz”. „Zgoda, odchodzę”. Natychmiast potem spakowałem walizki, i tak wiedziałem, co się stanie. „Nie odchódź! Zostań!”. „Dobrze, zostanę”. „Ale zapuścisz brodę?”. „Nie, żadnej brody”. „Bo cię zbiję”. „Zbij mnie”. Zaczął mnie bić, krzycząc: „Zapuścisz ją?”. „Nie”. Wreszcie opadł wyczerpany na krzesło: „Proszę, zapuść ją trochę. Tylko trochę, żeby nie stracił twarzy”. „Nie”. „Minimalnie, żeby można było się zastanawiać, czy masz brodę, czy nie”. Uśmiechnąłem

się. „Minimalnie?”. „Tak”. „I ani milimetra więcej?”. „Ani milimetra więcej”. „Dobrze”. I kompromis został osiągnięty, a ja nie musiałem się zmuszać do posłuszeństwa.

*Znamienne, powiedziałabym.*

To moja strategia. Zawsze taka była. Chciałem powiedzieć: zawsze lubiłem dochodzić do brzegu przepaści, a później się zatrzymywać, by nie spaść. Czy to jasne? To nie jest tak, że zatrzymuję się w ostatniej chwili, bo dopiero zdaję sobie sprawę, że dalej jest przepaść; obliczam co do milimetra, że mogę się posunąć do tego miejsca, a nie dalej. Inni rzecz jasna sądzą, że zaraz spadnę, zabiję się. Ja zaś idę spokojnie, wiedząc, że wyhamuję. Tak było z przeorem. Nie miałem najmniejszego zamiaru opuszczać zakonu; za bardzo mi się tam podobało. Jednak wiedziałem, że jeśli dam mu do zrozumienia coś odwrotnego i przyjmę jego razy, ustąpi, zgadzając się na kompromis, który był dla mnie zwycięstwem.

*I nie było przypadku, w którym księdza obliczenia by się nie sprawdziły, w którym przeznaczenie zdecydowałoby za księdza?*

Nie wierzę w przeznaczenie. Każdy jest kowalem własnego losu. Istnieją co najwyżej nieprzewidziane okoliczności, które jednak należy wykorzystywać. Ja na przykład nie przewidziałem, że zostanę biskupem w wieku trzydziestu pięciu lat i arcybiskupem w wieku trzydziestu siedmiu... Ale to historia, którą warto opowiedzieć. Po siedmiu latach w klasztorze, z których trzy spędziłem, ucząc się w szkole wyższej w Nikozji, zostałem wysłany do Aten, by uzyskać dyplom prawa i teologii. Tutaj zaskoczyła mnie wojna włoska, a później niemiecka okupacja, okres zarówno trudny, jak i pełen przygód. Po wyzwoleniu otrzymałem jednak stypendium na wyjazd do Stanów Zjednoczonych i dotarłem do Bostonu. Ameryka mi się spodobała; powierzono mi między innymi probostwo małej grecko-prawosławnej społeczności. Postanowiłem zostać tam pięć lat, zamiast trzech ustalonych, i uzyskać tytuł wykładowcy teologii. I tutaj plan się nie powiódł. Minęły zaledwie dwa lata, kiedy otrzymałem z Cypru telegram, w którym informowano mnie, że w pewnym dystrykcie zamierzano wybrać mnie na biskupa. Zaniepokoiłem się. Nie chciałem stracić Ameryki, nie chciałem wracać na Cypr. Cypr nie znaczył dla mnie nic, poza ogólnikową wiedzą geograficzną. I również ta była niewielka, jako że ograniczała się do gór, w których się urodziłem, do klasztoru, w którym dorastałem, do szkoły w Nikozji, gdzie się uczyłem. Czy wie pani, że po raz pierwszy zobaczyłem morze w wieku osiemnastu lat? Natychmiast odpowiedziałem: „Stokrotne dzięki, ale nie chcę zostać biskupem stop”.

*Twierdzi ksiądz, że nie był ambitny?!*

Oczywiście, że byłem! Żaden ksiądz nie jest zadowolony, nie osiągając sukcesu w karierze kościelnej. Ale ja miałem inne ambicje. Problem w tym, że zaledwie wysłałem odpowiedź, dotarł kolejny telegram: „Wybory przeprowadzone. Lud wybrał księdza jednomyślnie”. Był to 1948 rok, przeddzień walki o niepodległość. Wsiadłem smętny na pokład samolotu, którym dotarłem do Aten, i pamiętam, że pytałem tam wszystkich: „Czy na lotnisku w Nikozji znajdę taksówkę?”. Następnie w Atenach wsiadłem do samolotu do Nikozji i... Powiedziałem już pani, że na Cyprze wybory biskupa są czymś niezwykle demokratycznym; lud uczestniczy w nich dobrowolnie, entuzjastycznie i bez oszustw. Nie powiedziałem pani jednak, że wywołują one szalony fanatyzm. A ja nie znoszę fanatyzmu. Żadnej formy fanatyzmu. Proszę więc sobie wyobrazić, jak się poczułem, gdy wychodząc, by poszukać taksówki, ujrzałem ten niesłychany tłum, wykrzykujący fanatycznie moje imię. Wróciłem do siebie tylko po to, by wypowiedzieć zdanie, które miało być moją pierwszą polityczną deklaracją: „Chcieliście mnie. Poświęcę się więc Kościołowi i Cyprowi. I zrobię wszystko, by Cypr zdobył wolność, zrywając łańcuchy kolonializmu”. Później poczułem, jak mnie unoszą i prowadzą do Larnaki, dystryktu, gdzie zostałem wybrany. I od tego momentu Cypr stał się moim życiem.

*Pięknym życiem, Wasza Wielbność. Szczęśliwym życiem, trzeba przyznać.*

Ciężkim życiem, trudnym, naznaczonym zamachami, niebezpieczeństwami, niepokojem, wygnaniem. Uczestniczyłem w ruchu oporu przeciwko Anglikom. To prawda, że dwa lata później, gdy zmarł arcybiskup, zostałem triumfalnie wybrany na jego miejsce, stając się najmłodszym przywódcą Kościoła na świecie. To prawda, że mi się to spodobało. Jednak podwoiło moje zaangażowanie polityczne i kosztowało mnie wygnanie. By się mnie pozbyć, Anglicy wysłali mnie na Seszele i... Zgoda, z dzisiejszego punktu widzenia nie wydaje mi się to bynajmniej tragedią. W gruncie rzeczy nie było to wygnanie, były to wakacje. Miałem do dyspozycji willę, gdzie byłem obsługiwany i szanowany, krajobraz był wspaniały. Tak wspaniały, że zapragnąłem ujrzeć go ponownie i wróciłem tam jako turysta, kupiłem nawet niewielką działkę niedaleko willi, której właściciel niestety nie chciał mi sprzedać. Anglicy traktowali mnie dobrze i trzymali mnie tam krótko, zaledwie jedenaście miesięcy. Ale wówczas tego nie wiedziałem i sądziłem, że będą mnie tam trzymali przynajmniej dziesięć lat albo zawsze, i nie wiedziałem nic na temat tego, co działo się na Cyprze, nie miałem radia, nie miałem gazet, nie mogłem z nikim rozmawiać. I...

*I...?*

A niech tam, powiem pani: nie jestem stworzony do życia kontemplacyjnego. Przez tydzień mogę siedzieć zamknięty w tym apartamencie w Plaza, ale ósmego dnia muszę wyjść, widzieć ludzi, czymś się zająć, żyć. Zaoponuje pani, mówiąc: Czy zakon niczego księdza nie nauczył? Cóż, nasze zakony nie są zbyt surowe; ten, kto pozostaje w nich zamknięty, robi to z wyboru, nie z przymusu. I nie jest powiedziane, że wróciłbym do zakonu. Wolę robić to, co robię i... Dlaczego miałbym wracać do zakonu?!?

*Miałam więc rację, przyrównując księdza do tych papieży. Zresztą nigdy nie wierzyłam w to, jak niektórzy ludzie księdza przedstawiają: asceta, wegetarianin...*

Nie jestem wegetarianinem! Lubię warzywa, ale jem również mięso. Jedno z moich najbardziej przykrych wspomnień wiąże się z pewnym oficjalnym obiadem, który przygotowano dla mnie w Indiach. Podszedł kelner i zapytał mnie: „Are you vegetarian?”. Sądziłem, że pyta, czy lubię warzywa i odpowiedziałem: Tak. Wówczas on położył koło talerza kwiat i przez całą kolację nie podawał mi nic poza warzywami. Zjadała mnie zazdrość, gdy patrzyłem, jak inni pozerają kurczaka, ryby, befsztyki. Istotnie, gdy tylko dają mi do ręki kwiat, staję się nieufny.

*Ale ja robiłam aluzję do innych kwiatów, Wasza Wielbność. Zdaje się, że był ksiądz kiedyś na przyjęciu, podczas którego pewna tancerka zaprezentowała rozpasany taniec brzucha, a ksiądz skomentował: „Kobiece piękno jest darem Boga”.*

Nie znam tej historii. To prawda, kocham bardzo ludowe tańce, lubię folklor...

*Nie, nie, nie miałam na myśli folkloru. Miałam na myśli taniec brzucha. Próbowalam się upewnić, czy Wasza Wielbność nie jest jednym z tych księży, którzy modlą się od rana do wieczora, a...*

Zazwyczaj jestem bardzo skromnym człowiekiem. Równocześnie jednak... jakby to powiedzieć... kiedy trzeba, godzę się na pewne... poprawki. Lubię na przykład spacerować, biegać, wspinać się po górach, ćwiczyć. Również dlatego, że jestem miłośnikiem sportu i nie cierpię grubych osób. Dlatego, gdy tylko mogę, wybieram się na wycieczki, wspinać się po górach. Jak pani widzi, pod sutanną noszę spodnie. Jeśli również w domu ubieram się w ten sposób, w sutannę, to dlatego, że moi ludzie przyzwyczaili się widzieć mnie w sutannie i nie mogę ich zawieść. Jednak koktajle mnie nudzą i tak samo życie światowe...

*Nadal się nie rozumiemy, Wasza Ekscelencjo. Może lepiej nazwać rzeczy po imieniu. Robiłam aluzję do kobiet, do plotek, według których bardzo podobają się księdzu kobiety. Mówi się wręcz, że na Cyprze ma ksiądz dwie, hmm, dwie żony.*

A to dopiero! W kościele prawosławnym biskupi i arcybiskupi nie mogą się żenić. Mogą to robić tylko księża. Ale wtedy nie zostają biskupami.

*Wiem. Powiedziałam „żony”, by zabrzmiało to grzeczniej.*

...

*Czy nie jest prawdą, że bardzo podobają się księdzu kobiety?*

...

*Cóż, zmieńmy temat. Mówi się też, że nie jest ksiądz osobą szczerą, że z księdza ust nie pada ani śdźbło prawdy. Czy sądzi ksiądz, że szef państwa jest upoważniony do kłamstwa?*

Nie, to coś, czego nie akceptuję. Jestem tak niezdolny do kłamstwa, jakiegokolwiek kłamstwa, że kiedy nie mogę powiedzieć prawdy, wolę milczeć. Milczenie jest zawsze lepsze od kłamstwa. Proszę posłuchać, podczas walk powstańczych Anglicy aresztowali mnie kilka razy. Po aresztowaniu następowało przesłuchanie i oczywiście nie mogłem wyprzeć się tego, co robiłem. Poza tym wszyscy wiedzieli, że utrzymuję kontakty z Grivasem. Dlatego, by nie skłamać, odpowiadałem: „Nie mogę nic powiedzieć. Nie chcę nic powiedzieć. Odmawiam odpowiedzi”. I milczałem.

*Dokładnie tak, jak zrobił ksiądz ze mną, gdy zapytałam księdza o kobiety.*

Co powiedziałem?

*Nic.*

Doskonała odpowiedź.

*Wasza Ekscelencja zaczyna mi się podobać. Do tego stopnia, że przykro mi naciskać w sprawie złych rzeczy, które o księdzu mówią. Na przykład, że rządzi ksiądz za pomocą przysług, że jest ksiądz bardzo bogaty i że...*

Ja niczego nie posiadam. Absolutnie niczego, poza tym kawałeczkiem ziemi na Seszelach. Nie mam ani grosza w żadnym banku na świecie. Mam jedynie coś w rodzaju pensji, którą mogę wykorzystywać według swojego upodobania, ale to niewielka kwota. Zarządzam dobrami Kościoła grecko-prawosławnego na Cyprze, to prawda, i jako arcybiskup dysponuję tym wszystkim, co należy do arcybiskupstwa, ale nie jestem upoważniony do wydania choćby jednego centa na siebie. Teoretycznie również moja bielizna należy do arcybiskupstwa. Co do

przysług, to pomagam wielu ludziom, to prawda. Jednak najmniej ze wszystkich swoim przyjaciółom. A jeszcze mniej swoim krewnym. Mój brat jest moim kierowcą. Nie wydaje mi się, by była to wielka kariera, również biorąc pod uwagę zamachy, których jestem celem. To prawda, gdy podróżuję, mieszkam w dobrych hotelach. Ale wie pani, dlaczego? Ponieważ mam przyjaciół na całym świecie i pragną oni za mnie płacić. Na przykład w Londynie, po zamachu stanu, zatrzymałem się w Grosvenor House, gdzie zawsze jeżdżę. Następnego dnia zjawia się Charles Forte, którego znałem z Cypru, gdzie chciał otworzyć hotel, i mówi mi: „Czy wie ksiądz, że jestem właścicielem Grosvenor House?”. Nie wiedziałem. „Dobrze. Będzie dla mnie zaszczytem móc gościć księdza przez cały czas, jaki będzie ksiądz chciał spędzić w Londynie”. I w ten sposób nie płaciłem. Co więcej, on chciał, bym w Nowym Jorku był jego gościem w Pierre, innym hotelu, który do niego należy. Nie przyjąłem propozycji właśnie dlatego, by nie nadużywać jego gościnności.

*Tak, ale dlaczego nazywają księdza „czerwonym arcybiskupem”?*

Nigdy nie rozumiałem, skąd pochodzi to określenie. Być może z faktu, że nigdy nie prowadziłem antykomunistycznej propagandy. Albo z faktu, że prowadzę politykę neutralności. Większość krajów niezaangażowanych jest oskarżana o lewicową orientację albo wręcz o patrzenie w kierunku Związku Radzieckiego.

*Czy Wasza Wielebność jest socjalistą?*

Jeżeli nawiązuje pani do socjalizmu szwedzkiego, nie do socjalizmu radzieckiego, odpowiem: nie mam doprawdy nic przeciw socjalizmowi. Wśród wszystkich ustrojów społecznych jest on najbliższy chrześcijaństwu, pewnego rodzaju chrześcijaństwu lub przynajmniej tego, czym powinna być nauka chrześcijańska. Chrześcijaństwo nie faworyzuje żadnego ustroju społecznego; uznaje, że każdy ustrój, od kapitalistycznego po komunistyczny, może zawierać coś dobrego. Jednak mając wybrać najlepszy ustrój albo ustrój najbardziej chrześcijański, wybieram socjalizm. Powiedziałem socjalizm, nie komunizm. I dodam: moim zdaniem przyszłość należy do socjalizmu. Zdobędzie on przewagę na skutek czegoś w rodzaju osmozy, w krajach komunistycznych i kapitalistycznych. Już się to dzieje w sensie duchowym. Duch socjalizmu, to znaczy duch egalitarny, przenika wszystkie stosunki międzyludzkie. Poczucie równości jest dziś niemal spontaniczne.

*Wasza Wielebność jest optymistą.*



Zawsze nim byłem. I nigdy bezmyślnie. W ciągu ostatnich trzydziestu lat na świecie dokonały się wielkie zmiany. Kto by pomyślał trzydzieści lat temu, że kolonializm się skończy i że wojna przestanie być akceptowana jako sposób ujarzmania krajów? Kto by pomyślał, że hierarchie społeczne przestaną być akceptowane z takim przekonaniem, że słowo socjalizm przestanie budzić strach...

*Ale jeśli wierzy ksiądz w socjalizm, jak może ksiądz kierować Kościołem, który należy do najbogatszych na świecie?*

Nie tak bogatym, jak Kościół katolicki. W każdym razie Kościół nie jest reakcyjną siłą, nie reprezentuje kapitalistycznego świata. Jeśli często skłania się w stronę prawicy, winę ponoszą jego przedstawiciele. A przedstawiciele Kościoła to nie Kościół, przedstawiciele religii to nie religia. Proszę pomyśleć, że nawet księża, biskupi, arcybiskupi, teolodzy nie zdołali wykorzenić religii z ludzkiego serca! Może jestem przesadnym optymistą, ale nawet Kościół katolicki skłania mnie do pozytywnej refleksji. Tak bardzo zmienił się w ostatnich latach dzięki papieżowi Janowi. W roku 1961, gdy zostałem zaproszony do Rzymu na państwową wizytę, zaprosił mnie papież i oczywiście miałem wielką ochotę tam pójść, jednak zastanawiałem się, czy powinienem. Nasze nieporozumienia sięgały tak daleko. Nie spotkałem się nigdy wcześniej, nie powiem, z katolickim biskupem, ale nawet z katolickim księdzem! Mówiłem sobie: inni przywódcy kościoła prawosławnego się o to obrażą. Tymczasem zaraz potem patriarcha Konstantynopola Atenagora spotkał się z Pawłem VI w Jerozolimie.

*Czuł się ksiądz swobodnie w towarzystwie papieża?*

To było interesujące. Szkoda, że istnieje cała ta etykieta.

*A w towarzystwie jakich przywódców czuł się ksiądz swobodnie?*

Powiedzmy, że niektórzy przywódcy, nieliczni, wywarli na mnie wrażenie, inni pozostawili mnie obojętnym. Uważano ich za wielkich ludzi, ale byli tylko ludźmi stojącymi na czele wielkich państw. Wśród tych, którzy zrobili na mnie wrażenie, wymieniłbym Jacka Kennedy'ego. Ta jego dziecinna twarz była naprawdę sympatyczna; miał swoją godność. Poza tym Kennedy był skromny, ludzki. Razem z Kennedym wymieniłbym Tito. Ale ja i Tito jesteśmy przyjaciółmi, lubię myśleć, że żywi on do mnie taki sam sentyment, jak ja do niego... To taki energiczny człowiek, tak pełen jasnych pomysłów. Poza tym hojny: „Czegokolwiek by ksiądz potrzebował, proszę tylko powiedzieć”, powtarza. Lubiałem też Nasera. Pamiętam, jak go poznałem na pierwszej konferencji krajów niezaangażowanych w Bandungu w Indonezji. Po raz

pierwszy wyjeżdżał z Egiptu, po raz pierwszy leciał niewojskowym samolotem i był taki podekscytowany. Wydało mi się to wzruszające. Co do Castro... nie wiem. Ma pewne cechy niezbędne dla lidera. Wobec mnie zachował się, cóż, zachował się jak zachowuje się Castro. Golda Meir jest bardzo silną, interesującą kobietą, ale nie zgadzamy się w zbyt wielu kwestiach. Widzieliśmy się dwa razy i nie rzuciliśmy się sobie w ramiona. Sukarno... nie zrobił na mnie wrażenia. Nixon tym bardziej. Przeciętny człowiek, bardzo przeciętny. Poza tym, co mógłbym pani powiedzieć? Lubię Konstantyna. Nie dlatego, że jestem monarchistą; widziałem, jak się urodził, jak dorastał, czuję do niego sympatię. Ale nie mogę tego mówić, bo nie byłoby w porządku, gdybym robił mu propagandę wyborczą.

*A Mao Tse-tung?*

Nie powiedziałbym, abym miał z nim wiele wspólnego. I nie potrafię określić, jakie wywarł na mnie wrażenie. Stan jego zdrowia, gdy spotkaliśmy się w maju ubiegłego roku, naprawdę nie był dobry i... Przedstawmy to tak: w Chinach jest on kimś w rodzaju boga. Jego linie papilarne znajdują się wszędzie, natarczywe, a ja tłumaczyłem już pani, że nie znoszę fanatyzmu. Czuję się lepiej w towarzystwie Czou En-laja. Zresztą, znam go od dziewiętnastu lat, od konferencji w Bandungu. Czou En-laj jest taki inteligentny, sympatyczny; można z nim nawet pozartować. Zgotował mi baśniowe przyjęcie: setki tysięcy ludzi na ulicach Pekinu, milion w Szanghaju. Powtarzałem mu: „Pan chce sprawić, bym poczuł się kimś!”. Ubawiliśmy się również, kiedy zaczął mówić o naszych dwóch krajach, o roli, jaką odegrają w historii. Cały czas powtarzał: „Nasze dwa kraje...”. Wreszcie mu przerwałem, wykrzykując: „Czy mógłby mi pan wyświadczyć przysługę? Może pan przestać mówić o naszych dwóch krajach, o ich roli historycznej? Czuję się śmiesznie. Jak można porównywać wysepkę z pięciuset tysiącami mieszkańców z Chinami, mającymi osiemset milionów mieszkańców?!? Jaką możemy mieć wspólną rolę historyczną? Ja jestem komarem postawionym obok słonia!”. Był tam też Mao Tse-tung. Próbował to naprawić, mówiąc, że komary mogą czasem bardzo dokuczać, słonie natomiast są nieszkodliwe. Ale się na to nie nabrałem. I pozostał mi kompleks niższości.

*Czy często odczuwa ksiądz ów kompleks niższości?*

Och, tak. Jeżeli nie jest to niższość, to dyskomfort. Na przykład podczas mojej wizyty w Związku Radzieckim mieszkałem na Kremlu. Każdego ranka mówiłem sobie: „Boże! Arcybiskup na Kremlu!”. Podgorny był miły, uprzejmy, nieustannie się do mnie uśmiechał, jednak nie zdołał sprawić, bym zapomniał o tym paradoksie. Aby sobie poradzić, połączyłem

wizytę państwową z wizytą w rosyjskim Kościele prawosławnym. Było jeszcze gorzej. W tych dniach przypadła uroczystość koronacji nowego patriarchy Moskwy i tłum był tak liczny jak w Pekinie, jak w Szanghaju. Z trudem zachowywałem się, jakbym naprawdę czuł się ważny. Wie pani, tylko raz pozbyłem się tego kompleksu niższości.

*Kiedy?*

Gdy odwiedziłem Maltę.

*My możemy zaferować księdzu San Marino.*

Nigdy mnie nie zaprosili. Jednak czułem się dobrze również w Afryce. Och, ogromna jest liczba dzieci i ulic, którym nadano w Afryce moje imię! W Tanzanii cały czas spotykałem małych czarnych Makariosów i tak samo w Zanzibarze, choć Zanzibar jest muzułmański. W Mombasie istnieje aleja, która nazywa się Makarios Avenue. A w Nairobi... Ach, w Nairobi było najwspanialej, bo w ciągu tygodnia ochrzciłem pięć tysięcy osób. Zostałem zaproszony przez Kenyattę, kolejnego przywódcę, który wywarł na mnie wielkie wrażenie, i nagle naszła mnie pewna myśl. Zapytałem: „Ile osób mógłbym ochrzcić, gdybym został tu tydzień?”. Na to oni: „Ile ksiądz chce”. „Nawet pięćdziesiąt tysięcy?”. „Nawet pięćdziesiąt tysięcy”. Cóż, pięćdziesiąt tysięcy to było zbyt wiele. Powiedziałem: „Niech będzie pięć tysięcy”. Pierwsza grupa dotarła w ciągu dwóch dni, wędrując pieszo z niezmiernie odległych wiosek. Naturalnie byłbym zmuszony chrzcić w rzece. Ale nie chciałem ryzykować. Woda była skażona, a ja jestem miłośnikiem higieny. Dlatego wrzuciłem ich wszystkich do basenu, dorosłych, dzieci i... Przez tydzień nie robiłem nic innego, tylko napełniałem ten basen. Było to zabawne, bo jest tam misja katolicka, niezbyt lubiana ze względu na dawne powiązania z kolonializmem, i aby ochrzcić choć jedną osobę, ci biedni misjonarze muszą się niezłe namęczyć. Pomóc kobiecie podczas porodu, karmić dzieci, bo ja wiem. Dla mnie natomiast było to niezwykle proste, nie musiałem robić żadnej z tych okropnych rzeczy i wynik jest taki, że dysponuję w Afryce największym skupiskiem czarnoskórych prawosławnych. Oczywiście nie rozumieją wcale, co oznacza przynależność do Kościoła grecko-prawosławnego. Spotykasz człowieka na ulicy i pytasz: „Do jakiej religii należysz?”. A on odpowiada: „Do religii Makariosa!”. Ale to i tak dobrze i... Proszę posłuchać, ja zawsze będę mieszkał na Cyprze. Mówiłem pani, że Cypr jest już moim życiem. Ale jeśli nie mógłbym mieszkać na Cyprze, zamieszkałbym w Afryce.

*I tym sposobem zaczynam trochę rozumieć Waszą Wielebność. Żegnam się, dziękuję Waszej Wielebności i mówię: do zobaczenia na Cyprze.*

Do zobaczenia na Cyprze. Proszę przyjeżdżać, kiedy pani zechce. Powitam panią jako prezydent.

*Nowy Jork, listopad 1974*

## Aleksandros Panagulis

Tego dnia miał twarz dziesięciokrotnie ukrzyżowanego Chrystusa i wyglądał znacznie starzej niż na swoje trzydzieści cztery lata. Na bladych policzkach widniało już nieco zmarszczek, wśród czarnych włosów odznaczały się już białe kosmyki, a jego oczy były jak dwie studnie melancholii. A może gniewu? Nawet gdy się śmiał, trudno było uwierzyć w jego śmiech. Zresztą był to wymuszony śmiech, który trwał krótko, jak huk wystrzału. Jego usta zaciskały się natychmiast w pełnym goryczy grymasie i w grymasie tym szukało się na próżno śladu zdrowia i młodości. Zdrowie, wraz z młodością, stracił w chwili, gdy po raz pierwszy został przywiązany do stołu tortur i powiedziano mu: „Teraz będziesz cierpieć tak bardzo, że pożałujesz, że się urodziłeś”. Ale natychmiast można było zrozumieć, że nie żałował, iż się urodził; nigdy tego nie żałował i nigdy nie miał żałować. Natychmiast można było zrozumieć, że był jednym z tych ludzi, dla których nawet śmierć staje się sposobem na życie, tak dobrze to życie wykorzystują. Ani najokrutniejsze tortury, ani wyrok śmierci, ani trzy noce spędzone w oczekiwaniu na rozstrzelanie, ani najstraszliwsze więzienie, pięć lat w cementowej celi półtora metra na trzy, nie sprawiły, by się ugiął. Dwa dni wcześniej, wychodząc z Boiati dzięki ułaskawieniu, którego Papadopoulos udzielił mu razem z amnestią dla trzystu więźniów politycznych, nie wypowiedział ani słowa, które sprawiłoby, że zostawiono by go w spokoju. Przeciwnie, oświadczył z pogardą: „Ja nie prosiłem o łaskę. To oni mi ją narzucili. Ja jestem gotów wrócić do więzienia choćby zaraz”. A ci, którzy go kochali, drżeli o jego nietykalność tak jak wcześniej, a nawet bardziej. Poza więzieniem był zbyt niewygodny dla pułkowników. Tygrysy na wolności zawsze są niewygodne. Do tygrysów na wolności się strzela. Albo zastawia się na nie pułapkę, by zamknąć je w klatce. Jak długo miał zostać na wolności? Taka była moja pierwsza myśl w ten czwartek 23 sierpnia 1973 roku, gdy zobaczyłam Aleksandrosa Panagulisa.

Aleksandros Panagulis. Dla przyjaciół i dla policji Alekos. Urodzony w 1939 roku w Atenach, z Ateny i Basilia Panagulis, pułkownika, wielokrotnie odznaczonego w wojnie bałkańskiej, w pierwszej wojnie światowej, w wojnie przeciw Turkom w Azji Mniejszej, w wojnie domowej w 1950 roku. Drugi z trzech niezwykłych braci, demokratów, antyfaszystów. Założyciel i przywódca Greckiego Ruchu Oporu, ruchu, którego pułkownikom nigdy nie udało się zniszczyć. Autor zamachu, który 13 sierpnia 1967 roku niemal kosztował życie Papadopoulosa i znaczył koniec junty. Dlatego był aresztowany, torturowany, skazany na śmierć – karę, o którą

sam zabiegał w mowie obrończej, która na dwie godziny zapała sędziom dech w piersiach. „Jesteście przedstawicielami tyranii i wiem, że wyślecie mnie przed pluton egzekucyjny. Ale wiem również, że łabędzim śpiewem każdego prawdziwego bojownika jest ostatni szloch przed plutonem egzekucyjnym”. Ten niezapomniany proces. Nigdy nie widziano, by oskarżony przemienił się w ten sposób w oskarżyciela. Pojawiał się na sali sądowej z rękami skutymi na plecach, policjanci zdejmowali mu kajdanki i zamykali go w czymś w rodzaju dybów, chwytając go za barki, ramiona, w talii, jednak on i tak zrywał się na nogi z wyciągniętym palcem wskazującym, by wykrzyknąć swoje oburzenie. Nie stracili go, by nie zrobić z niego bohatera. I rozumie się samo przez się, że stał się nim mimo wszystko, bo czasem łatwiej umrzeć niż żyć tak jak żył on. Przewozili go z jednego więzienia do drugiego, mówiąc: „Czeka na ciebie pluton egzekucyjny”. Wchodzili do celi i dotkliwie go bili. I przez jedenaście miesięcy trzymali go w kajdankach, dniem i nocą, mimo że zaczęły mu gnąć nadgarstki. Poza tym okresowo zakazywali mu palenia, czytania, posiadania kartki i ołówka, by mógł pisać swoje wiersze. A on pisał je mimo wszystko, na maleńkich kartkach papieru welinowego, używając własnej krwi jako atramentu. „Zapałka zamiast pióra / krew która spłynęła na ziemię zamiast atramentu / zwitek zapomnianej gazy zamiast kartki / Ale co mam napisać? / Może starczy mi czasu tylko na mój adres / Dziwne, atrament zakrzepł/ Piszę do was z więzienia/ w Grecji”. Udawało mu się nawet wysyłać na zewnątrz więzienia te piękne wiersze pisane krwią. Jego pierwsza książka otrzymała nagrodę literacką Premio Viareggio i był już uznanym poetą, tłumaczonym na niejeden język; na jego temat pisano eseje, napuszone analizy rodem z historii literatury. Ale bardziej niż poetą był symbolem. Symbolem odwagi, godności, umiłowania wolności. I wszystko to wprawiało mnie w zakłopotanie teraz, gdy stał przede mną. Jak przywitać się z człowiekiem, który dopiero co wyszedł z grobu? Jak rozmawiać z symbolem? I zdenerwowana, obgryzałam paznokcie, doskonale pamiętam. Pamiętam to, bo z tego czwartku 23 sierpnia pamiętam wszystko. Lądowanie w Atenach. Obawę, że go nie zastanę, choć uprzedziłam go o moim przyjeździe. Poszukiwania ulicy Aristofanosa w dzielnicy Glifada, gdzie mieścił się jego dom; taksówkarza, który wreszcie dostrzegł willę i zaczął krzyknąć, robiąc znak krzyża. Parne popołudnie, moje ubranie lepiące się do ciała. Tłum gości, którzy zapełniali ogród, taras, wszystkie zakamarki willi. Innych dziennikarzy, głosy, popychanie. I jego, siedzącego pośród tego chaosu z obliczem Chrystusa.

Wyglądał na zmęczonego, a raczej wyczerpanego. Jednak gdy tylko mnie zobaczył, zerwał się kocim skokiem i podbiegł mnie uściskać, jak gdyby znał mnie od zawsze. Zresztą, jeśli nawet nie znał mnie od zawsze, to już się znaliśmy. W chwilach, gdy pozwalali mu czytać jakieś gazety, miał mi później opowiedzieć, towarzyszyły mu moje artykuły. A on dodawał mi odwagi samym faktem, że istniał i był tym, kim był. Tym sposobem zniknął niepokój, że będę musiała stanąć naprzeciwko symbolu, a nie człowieka. Odwzajemniłam uścisk, mówiąc „Cześć”, on odpowiedział „Cześć” i nie było innych słów powitania czy gratulacji. Dodałam po prostu: „Mam dwadzieścia cztery godziny na pobyt w Atenach i przygotowanie wywiadu. Zaraz potem muszę lecieć do Bonn. Jest jakiś ką, gdzie można by spokojnie popracować?”. Skinął głową w milczeniu, a następnie, rozgarniając tłum gości, zaprowadził mnie do pokoju, gdzie znajdowało się wiele egzemplarzy jednej z moich książek po grecku. Oprócz nich był tam bukiet czerwonych róż, które wysłał mi na lotnisko, a które wróciły, ponieważ przyjaciel, który miał mnie przywitać, nie znalazł mnie. Wzruszona, oschle podziękowałam. Lecz on zrozumiał ten oschły ton, bo melancholia zniknęła na chwilę z jego oczu i w jego źrenicach pojawił się błysk rozbawienia, który znowu wywołał mój niepokój. Był to błysk, który pozwalał ci wyczuć gęstwinę kłócących się ze sobą czułości i furii, niespokojną duszę. Czy uda mi się zrozumieć tego mężczyznę?

Rozpoczęliśmy wywiad. I natychmiast uderzył mnie jego głos, niezwykle czarujący, o głębokim, niemal gardłowym tembrze. Głos stworzony do przekonywania ludzi. Jego ton budził zaufanie, był spokojny; był to ton kogoś, kto jest bardzo pewny siebie i nie przyjmuje zastrzeżeń wobec tego, co mówi, jako że nie ma co do tego wątpliwości. Mówił jak przywódca. Mówiąc, palił fajkę, której właściwie nie odrywał nigdy od ust. Dlatego zdawało się, że jego uwaga była skupiona na tej fajce, nie na tobie, i przydawało mu to pewnej surowości, która onieśmiałała, bo nie była to surowość niedawna, to znaczy powstała na skutek cierpień fizycznych i moralnych. Jednocześnie był troskliwy, uprzejmy i czułeś się zagubiony, gdy na skutek nagłego zwrotu, wiesz, zwrotu motorówki, która płynie prosto i nagle zawraca, cała ta surowość ustępowała miejsca słodyczy, wzruszającej jak uśmiech dziecka. Na przykład sposób, w jaki nalewał ci piwo. Sposób, w jaki dotykał twojej ręki, by podziękować za spostrzeżenie. Zmieniało mu to rysy twarzy, która z bolesnej stawała się bezbronna. Jego twarz nie była piękna: te małe, dziwne oczy, te duże i jeszcze dziwniejsze usta, ten krótki podbródek, wreszcie te blizny, które całą ją szpeciły. Na ustach, na policzkach. A jednak bardzo szybko zaczynał ci się wydawać niemal piękny, pięknem absurdalnym, paradoksalnym i niezależnym od piękna jego duszy. Nie, może nigdy nie

miałam go zrozumieć. Już podczas tego pierwszego spotkania ustaliłam, że ten mężczyzna jest studnią sprzeczności, niespodzianek, egoizmu, szlachetności, nielogiczności, które na zawsze miały skrywać jakąś tajemnicę. Ale również jest to nieskończone źródło możliwości i postać, której znaczenie wykracza poza znaczenie postaci politycznej. Możliwe, że polityka stanowiła jedynie jeden z elementów jego życia, jedynie jeden z jego talentów. Może, gdyby nie został niebawem zamordowany, gdyby nie zamknęli go ponownie w klatce, pewnego dnia kto wie, co jeszcze byśmy o nim usłyszeli.

Ile godzin spędziliśmy w pokoju z książkami i kwiatami, rozmawiając? To jedyny szczegół, którego nie pamiętam. Nie zauważałeś mijającego czasu, gdy słuchałeś tego, co opowiadał. Przede wszystkim historię tortur, pochodzenie blizn. Powiedział mi, że ma je wszędzie. Pokazał mi te na rękach, na nadgarstkach, na ramionach, na stopach, na klatce piersiowej. Tutaj znajdowały się one dokładnie tam, gdzie rany Chrystusa: na wysokości serca. Zadano mu je w obecności Konstantinosa Papadopoulosa, brata tego Papadopoulosa, za pomocą połamanego noża do papieru. Jednak pokazywał mi je obojętnie, bez żadnego uzalania się nad sobą; czyniła go twardym wyjątkowa, niemal okrutna samokontrola. Tym bardziej okrutna, gdy zdawałeś sobie sprawę, że jego nerwy nie wyszły nietknięte z pięciu lat piekła. Mówiły to jego zęby, gdy gryzły fajkę, mówiły to jego oczy, gdy zachodziły mgłą w przebłyskach nienawiści lub niemej pogardy. Wymówiwszy imiona swoich katów, zapadał w nieprzeniknione przerwy milczenia i nie odpowiadał nawet swojej matce, która wchodziła, pytając, czy nie chce jeszcze piwa albo kawy. Jego matka często wchodziła. Była stara, ubrana na czarno, jak wdowy, które w Grecji nie porzucają czerni, a jej twarz pokrywała pajęczyna zmarszczek głębokich jak jej cierpienia. Mąż zmarł ze zgryzoty, gdy Alekos był w więzieniu. Najstarszy syn zaginął. Trzeci syn w więzieniu. Zresztą, ona też była w więzieniu przez cztery i pół miesiąca. Ale nawet jej nie udało się im ujarzmić. Ani groźbami, ani szantażem. W liście do pewnej londyńskiej gazety napisała kiedyś o synach: „Drzewa umierają, stojąc”. Jedno z drzew umarło niemal sześć lat wcześniej, Georgios.

Od niemal sześciu lat nikt nic nie słyszał o Georgiosie, starszym bracie, który poszedł w ślady ojca, uzyskując stopień kapitana. W sierpniu 1967 roku Georgios odmówił dalszego pozostawania w greckiej armii i, tak jak Alekos, zdezerterował. Przekroczył rzekę Ewros, zbiegł do Turcji, gdzie dotarł do Stambułu, by starać się o azyl w ambasadzie włoskiej. Ku naszej hańbie ambasada włoska odmówiła mu azylu, wykręcając się koniecznością powiadomienia



rządu tureckiego, potem rządu włoskiego, potem nie wiadomo kogo. Georgios ponownie uciekł, tym razem do Syrii, i w Damaszku znowu zwrócił się do ambasady włoskiej, która zachowała się w ten sam sposób. Jednak bardziej godna ambasada, jedna z ambasad skandynawskich, ofiarowała mu gościnę i pozostał tam przez miesiąc, do dnia, w którym wyszedł na ulicę i syryjska policja odkryła, że nie ma paszportu. Umknąwszy również syryjskiej policji, dotarł do Libanu. Z Libanu chciał popłynąć statkiem do Włoch, lecz tego nie zrobił, bo kraje arabskie uznawały Grecję pułkowników. Wolał przedostać się na terytorium Izraela, kraju, który z Grecją pułkowników nie utrzymywał stosunków dyplomatycznych, by udać się do Włoch, wsiadając na statek w Hajfie. Tymczasem w Hajfie Izraelczycy go aresztowali. Georgios im zaufał, powiedział, kim jest, a oni go aresztowali, by przekazać greckiemu rządowi. Nie zrobili mu nawet procesu. Po prostu załadowali go na grecki statek kursujący między Egirą a Pireusem. Ale gdy statek zbliżył się do portu, kabina była pusta. Uciekł, wyskakując przez iluminator? Jego ciało nigdy nie miało zostać odnalezione. Co jakiś czas morze wyrzucało jakiegoś trupa, władze wzywały Atenę, by sprawdzić, czy go rozpoznaje, a Atena odpowiadała: „Nie, to nie jest mój syn Georgios”.

O pewnej godzinie w nocy przerwaliśmy wywiad. Rozproszył się tłum odwiedzających i Atena zaproponowała mi nocleg. Przygotowała też kolację na najlepszym obrusie. Alekos wydawał się mniej spięty, mniej uroczysty i niebawem uchylił drzwi jednej ze swych niezliczonych niespodzianek, pozwalając sobie na żartobliwą rozmowę. Nazywał na przykład swoją celę „moją willą Boiati” i opisywał ją jako niezwykle luksusową willę, z krytymi i odkrytymi basenami, polami golfowymi, prywatnymi kinami, lśniącymi salonami, szefem kuchni kupującym świeży kawior w Iranie, odaliskami, które tańczyły i polerowały kajdanki. W takim raję ogłosił pewnego razu strajk głodowy, „bo kawior był nieświeży i nie miał szarej barwy”. Potem tym samym tonem komentował swoją „powszechnie znaną przyjaźń” z Onassisem, Niarchosem, Rockefellerem, Henrym Kissingerem, albo opisywał „swoje prywatne odrzutowce”, jacht, który poprzedniego dnia „pożyczył Annie angielskiej”. A ja nie wierzyłam własnym oczom, własnym uszom. Czy to możliwe, by w cementowym grobie udało mu się zachować poczucie humoru, zdolność do śmiechu? Możliwe, a raczej niepodlegające dyskusji. Jednak, gdy po kolacji ponownie zaczęliśmy wywiad, Alekos znowu spoważniał i zaczął nerwowo gryźć fajkę. Tym razem rozmawialiśmy do trzeciej, a o wpół do czwartej padłam wyczerpana na łóżko, które przygotowano dla mnie w salonie. Nad łóżkiem wisiało zdjęcie Basilia, w jego mundurze

pułkownika, a ramka ugięła się od złotych, srebrnych i brązowych medali, będących świadectwem różnych kampanii, w których walczył do 1950 roku. Obok łóżka stała natomiast fotografia Alekosa z czasów, gdy był studentem inżynierii na politechnice i członkiem komitetu centralnego młodzieżowego związku partii Unia Centrum. Bystra, niezwykle inteligentna twarz, wówczas bez wąsów, która nie pozwalała mi przeniknąć jego tajemnicy. Wtedy przypomniałam sobie, że w pokoju obok widziałam zdjęcia dwóch braci w dzieciństwie. Wstałam i przyjrzałam się im. Zdjęcie Georgiosa przedstawiało eleganckie i pełne skromności dziecko, grzecznie siedzące na czerwonym aksamicie. Zdjęcie Alekosa ukazywało natomiast tygryśka z gniewną miną, który stojąc wyprostowany na czerwonym aksamicie, jako zapowiedź anarchistycznej niezależności, zdawał się mówić: „Nie i jeszcze raz nie! Ja na tym czymś nie usiądę!”. Trykotowe ubranko zwisało w strzępach, pokazując, że wygląd zewnętrzny wcale go nie obchodzi, więc na próżno mama go upominała, prosiła, on i tak robił to, co chciał. I niemal na dowód całkowitego odrzucenia cudzych rad, rozkazów, interwencji, prawa rączka opierała się dumnie i prowokacyjnie na boku; lewa przytrzymywała spodenki w miejscu, w którym odpadł jeden z guzików. Jak długo przyglądałam się tym zdjęciom? Tego naprawdę nie pamiętam. Pamiętam jednak, że w pewnej chwili moją uwagę przyciągnęło coś innego: prostokątny przedmiot pokryty kurzem. Wzięłam go do ręki z uczuciem, że zgłębiłam jakiś sekret, i odkryłam, że jest to siedemnastowieczna Biblia z dokumentem, który przypisywał jej własność Alekosowi Panagulisowi. Ale był to dokument sprzed trzystu lat i ów Alekos był pradziadkiem, który walczył jako partyzant przeciwko Turkom. Miałam się później dowiedzieć, że od 1600 do 1825 roku rodzina Panagulisów wydawała samych bohaterów. Niektórzy mieli na imię Jorgos, czyli Jerzy, jak młody Jorgos, który poległ w bitwie pod Faliero w 1823 roku. Ale większość z nich miała na imię Alekos.

Nazajutrz wyruszyłam do Bonn. I rozumie się samo przez się, że nie był to ostateczny wyjazd. Odwożąc mnie na lotnisko, Alekos kazał mi obiecać, że wrócę, i kilka dni później, gdy trafił do szpitala, wróciłam, odkrywając rzeczy, które pomogły mi nieco rozproszyć tajemnicę jego nieuchwytniej osobowości. Przede wszystkim długi wiersz, który miał mi zadedykować. Był zatytułowany *Podróż* i mówił o statku, który wyruszył w nieprzerwaną podróż, statku, który nigdy nie uległ pokusie czy potrzebie przybicia do portu, zbliżenia się do brzegu, słowem, zarzucenia kotwicy. Załoga się tego domagała, czasem błagała, lecz kapitan opierał się jej, niczym sztormowi, wciąż podążając za światłem. Statkiem był on, Alekos. I również kapitanem

był on, i załogą. Podróżą było jego życie. Podróżą, która miała zakończyć się dopiero śmiercią, bo nigdy nie miał zarzucić kotwicy. Ani kotwicy uczuć, ani kotwicy pragnień, ani kotwicy zasłużonego odpoczynku. I żadne rozumowanie, żadna pokusa, żadna groźba nie mogłaby skłonić go do czegoś przeciwnego. Dlatego, jeśli wierzyłeś w ten statek, jeśli ci na tym statku zależało, nie powinienes próbować go zatrzymać, hamować go mirażem zielonych brzegów, rajy na ziemi. Powinienes pozwolić mu odpłynąć w szaloną podróż, którą wybrał i która w gąszczu jego wewnętrznych sprzeczności była stałym punktem bezwzględnej konsekwencji. „Nawet Ulisses w końcu odpoczywa. Dociera do Itaki i odpoczywa”, zauważyłam po przeczytaniu wiersza. A on odpowiedział: „Biedny Ulisses”. Później podał mi drugi poemat, który zaczynał się tak: „Gdy dopłynąłeś do Itaki / jak bardzo musiałeś być nieszczęśliwy, Ulissiesie / Jeśli miałeś jeszcze przed sobą życie / po co dopływać tak prędko?”. Myślę, że tego dnia stałam się naprawdę jego przyjaciółką, słuchając go w szpitalu. Udawałam się do Aten jeszcze kilkakrotnie i trudno, jeśli za każdym razem greckie władze były coraz mniej zadowolone. Straż graniczna, choć nie odważyła się odmówić mi prawa wjazdu, wypełniała dla mnie kartki, których nie wypełniała nigdy dla nikogo, i podczas mojego pobytu w Atenach pilnie zajmowano się moją osobą. Rzecz nietrudna, jako że mieszkalam w domu przy ulicy Aristofanosa, gdzie telefon był na podsłuchu, a czterech policjantów w mundurach i kto wie ilu tajniaków pilnowało każdych drzwi, każdego okna, samej ulicy, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Z psychologicznego punktu widzenia wyglądało to tak, jakby Alekos nadal był w więzieniu, a ja weszłabym tam razem z nim. Kiedyś poleciał ze mną na Kretę na pięć dni. I przez pięć dni byliśmy nieustannie śledzeni, szpiegowani, prowokowani. W Iraklionie, gdzie pojechaliśmy, by zwiedzić Knossos, samochody policyjne jechały pół metra za nami. Wchodziliśmy coś zjeść do restauracji, a oni na nas czekali. Wchodziliśmy do muzeum, a oni na nas czekali. Ponadto często widzieliśmy, jak podjeżdżają do nas z naprzeciwka, bo byli zaopatrzeni w radio i się zmieniali. Koszmar. Na lotnisku w Chanii obraził mnie jakiś tajniak. W samolocie, którym wracaliśmy do Aten, zostaliśmy przesadzeni na dwa ostatnie fotele i pilnowano nas przez całą podróż. Po powrocie do Aten nie mogliśmy pozwolić sobie na przyjemność zjedzenia kolacji w Pireusie, by nie przyłączył się do nas niebawem policjant, deptając nam po piętach. Prześladowali nas nawet na pogrzebie pewnego popierającego demokrację ministra, zmarłego na zawał, i nie trzeba mówić, że Papadopoulos nigdy nie udzielił mi wywiadu, do którego według ambasady greckiej w Rzymie wydawał się skłonny. Szkoda.

Zabawnie byłoby spytać pana Papadopoulosa, co rozumie przez demokrację. A także przez amnestię. Jeszcze zabawniej byłoby mu opowiedzieć, że Alekos, gdziekolwiek się udawał, był przyjmowany jako bohater narodowy. Ludzie zatrzymywali go na ulicy, ściskali go, a nawet próbowali całować go w rękę. Taksówkarze pozwalali mu wsiadać nawet w miejscach zakazu. Kierowcy tamowali ruch, by go pozdrowić. I nierzadko w barach nie chciano, by płacił rachunek. Słowem, wszyscy byli za nim i z nim, tylko ci, którzy pozostawali na służbie pułkowników, byli przeciwko niemu. A ja obserwowałam to niezwykle zjawisko, zaczynając wreszcie nieco rozumieć tę skomplikowaną istotę, której ono dotyczyło. Wyczuwając na przykład lepiej jej niechęci i niedole, pragnienie spokoju, które miało nigdy nie zostać zaspokojone, a które objawiało się poprzez rozpaczliwe wybuchy gniewu albo niepotrzebne zuchwałości, albo wściekłe telefony do ważnego człowieka reżimu, Ioannidisa, by go sprowokować i dać się znowu aresztować. Lub śledząc jego fortele godne Ulissesa, jego nagłe przeczucia, przywodzące na myśl Ulissesa, do którego pod każdym względem coraz bardziej się upodabniał. I łzy, napływające mu do oczu, gdy spoglądał na Akropol, będący dla niego symbolem wszystkiego, w co wierzył. I jego ponure milczenie. I porywy radości, które przenosiły go całego w młodość, odzyskaną na kilka godzin, na kilka minut. I nagłe wybuchy chłopięcego śmiechu, niespodziewane żarty, natychmiast przekreślane przez te jego nagłe zmiany humoru. I przesadna, a nawet purytańska wstydlivość, którą okazywał kobietom, gdy oferowały mu się za pomocą miłosnych liścików, otwartych propozycji, lisich forteli. Zresztą nigdy nie zwierzał się nikomu ani ze swoich dawnych przygód, ani z obecnych uczuć: „Poważny mężczyzna tego nie robi”. Nieśmiały, uparty, dumny, był tysiącem osób w jednej osobie, której nie dało się nie rozgrzeszyć. Z jaką radością słuchało się go, gdy mówił o swoim zamachu: „Nie chciałem zabić człowieka. Nie jestem w stanie zabić człowieka. Chciałem zabić tyrana”.

W tym czasie poprosił o paszport. Ale nie przyszło mu łatwo nawet uzyskanie dokumentów niezbędnych do złożenia podania. W każdym biurze, do którego się zwracał, napotykał ciche, kafkowskie przeszkody. W urzędzie gminy w Glifadzie okazywało się na przykład, że się nie urodził. Nagle zabrakło jego imienia w księgach urodzeń. Było imię Ateny, a jego nie. Śmiał się z tego ze źle ukrywaną goryczą: „Widzisz, nie urodziłem się. Nigdy się nie urodziłem”. Pewnego ranka wrócił, skacząc z radości: „Urodziłem się! Urodziłem się!”. Kto wie, dlaczego zmienili zdanie. Siedem dni później, w poniedziałek, wydano mu paszport, ważny na jedną podróż powrotną. I trzy godziny później wyruszyliśmy samolotem Alitalii do Rzymu. Ale

nawet wylot nie był cywilizowany. Po przejściu przez odprawę celną, policję graniczną, rewizję, weszliśmy do poczekalni i natychmiast otoczyła nas prowokatorska chmara policjantów w cywilu. Później zapowiedziano lot i dotarliśmy do bramki numer dwa. Podaliśmy nasze karty pokładowe. Odepchnięto nas do tyłu. „Dlaczego?“, zapytał Alekos. Milczenie. „Mamy ważne paszporty i ważne karty pokładowe. I dopełniliśmy wszelkich formalności”. Milczenie. Wszyscy inni pasażerowie przeszli, wsiedli do autobusu, wysiedli z autobusu, weszli na pokład samolotu. Samolot czekał tylko na nas. A my nie mogliśmy nawet zbliżyć się do schodków. Co gorsza, nie podawano nam żadnego wyjaśnienia, nie dawano go również pracownikom Alitalii, którzy eskortowali nas, jak VIP-ów. Dziesięć minut, piętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia pięć, trzydzieści... Nie rozumiałam, dlaczego po trzydziestu minutach pozwolono nam wejść na pokład. Może ktoś zadzwonił do szefa Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Może ten powiadomił Papadopolosa i Papadopoulos zdecydował, że nie warto było, również na arenie międzynarodowej, popełniać błędu, zakazując mu w ostatniej chwili lotu. Ale nie zrozumiałam też czego innego: nie rozumiałam, czemu po zamknięciu drzwi samolot stał nieruchomo na pasie startowym przez kolejne czterdzieści minut. Tego dnia nie było problemów z wieżą kontrolną. Było tylko wielkie zakłopotanie na pokładzie. Zakłopotanie, które jednak zniknęło, gdy znaleźliśmy się w powietrzu. Pod najbardziej błękitnym niebem na świecie.

\* \* \*

To, co wydarzyło się później, to już inna książka, bo Alekos został towarzyszem mojego życia i wielka miłość złączyła nas do dnia jego śmierci, która nastąpiła w nocy pierwszego maja 1976 roku, gdy został zamordowany za pomocą zainscenizowanego wypadku samochodowego, rychło przedstawionego przez władze jako banalny nieszczęśliwy wypadek. Jednak by móc lepiej zrozumieć poniższy wywiad, na którym bardzo mu zależało, warto poznać główne wydarzenia, które stanowiły oś jego egzystencji od chwili, gdy samolot dotarł do Rzymu, do chwili, gdy został zamordowany. Oto one.

Po opuszczeniu wraz ze mną Grecji Alekos wybrał Włochy na polityczną i geograficzną bazę swojej walki. Tu mieliśmy dom, który utrzymywaliśmy latami, stąd wyjeżdżał w swoje podróże do Francji, do Niemiec, do Szwecji, a także do ojczyzny, gdzie podczas wygnania powracał potajemnie wiele razy, nigdy niewykryty przez policję Ioannidisa. W listopadzie 1973 roku bunt na politechnice i rzeź studentów spowodowały przewrót wewnątrz przewrotu; Ioannidis zdyskredytował Papadopolosa, osadzając go w areszcie i ogłaszając się samowolnie

bezspornym władcą Grecji. Głównym wrogiem Alekosa stał się więc Ioannidis, którego teraz prowokował z samobójczą zuchwałością, gdy tylko wysiadał w Atenach z podrobionym paszportem. Ioannidis o tym wiedział i za każdym razem poszukiwał Alekosa, ale na próżno. Jak w czapce niewidce Alekosowi udawało się zawsze przeniknąć ogniwa policyjnych sieci i przed opuszczeniem kraju zabawiał się nawet, wysyłając Ioannidisowi pocztówkę z drwiącymi pozdrowieniami. Zresztą w Atenach pozostawał krótko: od dwudziestu czterech do czterdziestu ośmiu godzin, na czas, który wystarczał, by zorganizować towarzyszy czy podłożyć demonstracyjnie jakąś bombę. Przywrócił do życia Grecki Ruch Oporu, przypisując szczególne znaczenie grupie zwanej Laos, Lud. Wraz z tą grupą przeprowadzał najbardziej niebezpieczne akcje, uważając jednak, by nie przelewać krwi niewinnych; żadna bomba nie przysporzyła nigdy ofiar. W Europie działał zaś za pośrednictwem emigrantów, partii demokratycznych, prasy, radia, telewizji i kontaktów z partiami socjalistycznymi, z którymi był oczywiście związany. Trwało to do lata 1974 roku, gdy junta upadła, przytłoczona własnymi błędami i nieudolnością. Papadopoulos był przebiegłym dyktatorem, niepozbawionym zmysłu politycznego, Ioannidis był nieokrzesanym żołnierzem, który niewiele znał się na polityce. Łudząc się, że zaanektuje Cypr, obalił Makariosa, który jedynie cudem uniknął śmierci, a to doprowadziło do tureckiej inwazji na wyspę. Później, gdy Grecja znajdowała się na krawędzi wojny z Turcją, skłonił juntę do abdykacji i na skutek rozpaczliwej, a zarazem absurdalnej decyzji, powierzył rządy tym samym przeciwnikom, których w 1967 roku obalił Papadopoulos. Karamanlis wrócił do Aten, by utworzyć rząd tymczasowy, demokracja została oficjalnie przywrócona.

Podczas tych jedenastu miesięcy z Alekosem zastanawiałam się ciągle, jak on zareaguje, jeśli dyktatura upadnie, zakładając, że wcześniej go nie zabiją. Istotnie, według mnie polityka stanowiła jedynie jeden z aspektów jego wyjątkowego talentu i jego porywającej osobowości. Istniały w nim znamiona mówcy i przywódcy, to prawda, i z trudem by z nich zrezygnował; jednak moim zdaniem jego znaczenie rodziło się z powołania literackiego, jego prawdziwym talentem był talent poetycki. Nie przez przypadek powtarzał: „Polityka to obowiązek, poezja to potrzeba”. Krótko mówiąc, myślałam, że zdolności trybuna i przywódcy przejawiały się u niego lepiej w sytuacjach kryzysowych, gorzej w demokratycznej codzienności. I podobne wątpliwości musiały ogarnąć również jego, gdyż ku mojemu zdumieniu po powrocie Karamanlisa nie pojechał natychmiast do Grecji. Postanowił to zrobić dopiero 13 sierpnia, w rocznicę swego zamachu na Papadopoulosa. Powrót oddał go w ręce jego przeznaczenia bojownika i odsunął go

od literatury. W Atenach przygotowywano wybory parlamentarne. Partia Unia Centrum natychmiast zaoferowała mu kandydowanie. Zgodził się i na skutek magicznego zbiegu dat, który zawsze towarzyszył poszczególnym etapom jego życia, włącznie z datą jego śmierci, został wybrany dokładnie 17 listopada, w rocznicę wyroku skazującego go na rozstrzelanie, którego wykonania uniknął w roku 1968. Rozumie się samo przez się, że zwycięstwo wzbudziło w nim niewiele entuzjazmu; tydzień później był już we Włoszech, do których miał wracać z uporczywą częstością, wiernie, i które zawsze uważał za swą drugą ojczyznę. Bardzo poprawnie mówił po włosku. Pisał niemal bezbłędnie. Ubierał się i jadł jak Włoch. Swoje ateńskie mieszkanie wyposażył we włoskie meble, czyniąc z niego dokładną kopię naszego domu we Florencji.

W sejmie Alekos okazał się niebawem najbardziej walecznym posłem. Nie dawał spokoju nikomu, a najmniej ministrowi obrony Evangelosowi Averoff-Tositsasowi, człowiekowi, który miał niejasne kontakty z poprzednim reżimem. Potęga Averoffa przewyższała potęgę Karamanlisa, ponieważ opierała się na wojsku, a ze strony wojska istniało niebezpieczeństwo nowego zamachu stanu. Alekos uważał go za zagrożenie dla kraju i zawsze gdy prosił o głos, robił to po to, by go o to oskarżyć. Wiedział rzeczywiście o istnieniu dokumentów, które dowodziły byłej kolaboracji Averoffa, i powodów, dla których nie rozliczył nigdy generałów, pułkowników, kapitanów dowodzących w czasie tyranii. Dokumenty te były przechowywane w archiwach EAT-ESA, wojskowej policji, i w tajemniczy sposób zaginęły wraz z obaleniem Rady. Przez cały 1975 rok, podczas gdy nikt o tym nie wiedział, główne zajęcie Alekosa stanowiło poszukiwanie tych archiwów. A procesy przeciwko Papadopoulosowi, Makarezosowi, Pattakosowi, Ioannidisowi, innym przedstawicielom junty, później przeciwko katom, takim jak Theofiloyannakos i Hazizikis, pomogły mu w pewnym sensie w zachowaniu tajemnicy, bo rozproszyły uwagę ogółu. O Alekosie mówiono w ciągu tych miesięcy tylko ze względu na jego szlachetną postawę wobec oskarżonych. Walczył rzeczywiście o to, by Papadopoulos i inni nie zostali skazani na śmierć: „W czasach dyktatury tyranobójstwo jest obowiązkiem, w czasach demokracji przebaczenie jest koniecznością. Nie osiągnie się sprawiedliwości, kopiąc groby”. Okazał się bardzo wspaniałomyślny, składając zeznania przeciwko Theofiloyannakosowi, który torturował go z takim okrucieństwem; jego zeznanie trwało zaledwie czterdzieści minut i nawiązał tylko do najpoważniejszych zająć, przedstawiając je chłodno i z dystansem. Oświadczył wręcz, że jego wrogami nie są już dawni kaci zakuci w łańcuchy, lecz podejrzani przedstawiciele nowej władzy.

W pierwszych miesiącach 1976 roku Alekos wszedł w posiadanie archiwów ESA, a w szczególności dokumentów, których szukał. Znalazł również takie, które świadczyły przeciwko posłowi z jego partii Demetriowi Tzatzosowi. Przyczyniło się to do jego decyzji o opuszczeniu Unii Centrum i pozostaniu w parlamencie jako niezależny poseł lewicy. Jednak dumna samotność, w której zamknął się od tej chwili, zwiększyła stokrotnie niebezpieczeństwo, jakie zawsze mu zagrażało. Stał się najbardziej niewygodnym człowiekiem w Grecji. Zbyt wiele wiedział o przywódcach fałszywej i chwiejnej demokracji. I zwykle był zbyt odważny, by dać się zastraszyć. Trzeba go było zlikwidować. Zlikwidowano go w przeddzień dostarczenia archiwów do parlamentu. Podburzona przez Averoffa prokuratura zakazała ich publikacji. Alekosowi nie pozostawało dlatego nic innego, jak wręczyć je w parlamencie Karamanlisowi gestem, który wywołałby skandal. Miało to nastąpić rano w poniedziałek 3 maja. W nocy z piątku na sobotę 1 maja, gdy jechał na noc do domu swej matki w Glifadzie, zaczęły go ścigać dwa samochody. Na ulicy Vouliagmeni jeden z nich jechał z wielką prędkością obok niego i za pomocą zręcznego manewru przód-tył, wyrzucił go z drogi. Alekos zmarł niemal na miejscu. W jego pogrzebie wzięło udział półtora miliona ludzi.

Ale to, powtarzam, inna książka. Tutaj należało jedynie wyjaśnić najważniejsze etapy jego życia po wywiadzie. Wywiadzie, który wykracza daleko poza portret mężczyzny, którego kochałam, który mnie kochał, którego kocham. Z odległości czterech lat nie mogę nie uznać go za rodzaj duchowego testamentu, wyjaśnienia tego, czego Alekos zawsze na próżno poszukiwał. Ponieważ to, czego poszukiwał, czego powinna poszukiwać każda ludzka istota godna tego, by się narodzić, nie istnieje. Jest to sen zwany wolnością, zwany sprawiedliwością. I płacząc, przeklinając, cierpiąc, możemy jedynie za nim podążać, mówiąc sobie samemu, że jeśli coś nie istnieje, należy to wymyślić. Czy nie zrobiliśmy tak samo z Bogiem? Czy ludzkie przeznaczenie nie polega właśnie na wymyśleniu tego, co nie istnieje, i walce o jakiś sen?

*ORIANA FALLACI. Nie wyglądasz na szczęśliwego, Alekos. Jak to? Nareszcie wyszedłeś z piekła i nie jesteś szczęśliwy?*

ALEKSANDROS PANAGULIS. Nie, nie jestem. Wiem, że mi nie uwierzysz, że wyda ci się to niemożliwe, absurdalne, ale czuję się raczej poirytowany niż szczęśliwy, raczej smutny niż szczęśliwy. Czuję się tak, jak w ubiegłą niedzielę, gdy usłyszałem te wiwatujące okrzyki rozlegające się z cel innych więźniów; nie znałem przyczyny tych okrzyków i pomyślałem: „Pewnie chodzi o jakąś amnestię. Papadopoulos przygotowuje swoją odezwę, dlatego robi



przedstawienie z amnestią, zdolne zrobić wrażenie na naiwnych. Może już sobie pozwolić na ten luksus, by mniej się bać. A raczej, by udawać, że mniej się boi. Zresztą, co go kosztuje wypuszczenie kilku z nas”. Pomyślałem „kilku z nas”, bo nie myślałem, że uwolni również mnie. I kiedy dowiedziałem się o tym w poniedziałek rano, nie odczułem żadnej radości. Żadnej. Powiedziałem sobie: jeśli zdecydował, że opłaca mu się uwolnić również mnie, oznacza to, że jego plan jest bardziej ambitny; oznacza to, że zamierza zalegalizować juntę w ramach konstytucji i szukać uznania dawnych przeciwników. Komendant więzienia ogłosił mi łaskę, wchodząc do celi: „Panagulis, otrzymałeś ułaskawienie”. Odpowiedziałem: „Jakie ułaskawienie? Nie prosiłem nikogo o żadne ułaskawienie”. Później dodałem: „Prędko się przekonacie, że łatwo mnie wsadzić, ale trudno wyciągnąć na zewnątrz. Zanim dotrę do Erytrei, znowu mnie zamkniecie. Erytrea to przedmieście Aten”.

*Tak mu powiedziałeś?*

Jasne. Co innego mogłem mu powiedzieć? Miałem może powiedzieć: dziękuję, to bardzo miłe z pana strony, proszę pozdrowić ode mnie pana Papadopolosa? Zresztą we wtorek było gorzej. Wiesz, istnieje specjalna procedura odczytywania skazanemu dekretu ułaskawiającego, rodzaj ceremonii z plutonem prezentującym broń, resztą stojącą na baczność. Tak więc około południa przyjeżdża na ceremonię prokurator Nicolodimus i wyprowadzają mnie z celi, by zaprowadzić mnie przed kwaterę komendanta, gdzie wszyscy stoją i tak dalej. Ja zauważam krzesło i natychmiast siadam. Oszołomienie, zaskoczenie i rozkaz Nicolodimusa: „Panagulis! Wstawaj!”. „Dlaczego? – pytam. – Bo masz przeczytać kartkę, którą nazywasz prezydenckim dekretem, a która dla mnie jest tylko kartką jakiegoś pułkownika?... Nie, nie wstanę. Nie!”. I nadal siedzę. Inni na stojąco, na baczność i tak dalej, a ja siedzę. Nie opuściłbym tego krzesła, nawet jeśli mieliby mnie pokroić na kawałki. Byli zmuszeni przeprowadzić ceremonię, podczas gdy siedziałem tak sobie z nogą założoną na nogę. Nigdy nie przestałem ich prowokować. Kiedy około drugiej po południu przyszedł po mnie podpułkownik, sprowokowałem również jego. „Panagulis, jesteś wolny. Zbieraj swoje rzeczy”. „Ja niczego nie będę zbierał. Sam je zbieraj. Ja nie prosiłem o wyjście”.

*Co on na to?*

Och, powtórzył to samo zdanie, co inni: „Gdy tylko znajdziesz się na zewnątrz, przestaniesz tak mówić. Odkryjesz słodkie życie i zmienisz zdanie”. Później zabrali moje torby i zanieśli je aż do bramy, jak tragarze. Było to zabawne, bo w jednej z toreb, które nieśli mi jak

tragarze, ukryłem ostatnie napisane przeze mnie wiersze i pilniki, których używałem do przecinania krat. Popatrz, to małe pilniczki. Ale działają. Znajdowali mi te pilniki siedemnaście razy, a jednak zawsze udawało mi się zdobyć je ponownie i wychodząc z Boiati, miałem ich około dziesięciu. Trzymałem je tutaj, widzisz? A następnym razem... Cały czas czekam, aż znowu mnie zabiorą i tam umieszczą. A ty chcesz, bym był szczęśliwy!

*A jednak to musiało być piękne, gdy wyszedłeś na zewnątrz, gdy ujrzawsz słońce i swoją matkę.*

Nie było nawet piękne. To było niczym oślepienie. Od tylu lat nie wychodziłem z tego cementowego grobu, od tylu lat nie widziałem słońca i przestrzeni. Zapomniałem, jak wygląda słońce, a słońce na zewnątrz świeciło bardzo mocno. Gdy poczułem je na sobie, musiałem zamknąć oczy. Później troszeczkę je otworzyłem, ale tylko troszeczkę i z na wpół przymkniętymi oczami poszedłem dalej. I idąc dalej, odkryłem przestrzeń. Moja cela miała wymiary półtora metra na trzy, chodząc, mogłem zrobić jedynie dwa i pół kroku. Co najwyżej trzy. Ponowne odkrycie przestrzeni przyprawiło mnie o zawroty głowy. Poczułem, że kręci się dookoła mnie jak karuzela, zachwiałem się i omal nie upadłem. Zresztą nawet teraz, gdy przejdę więcej niż sto metrów, staję się zmęczony i dezorientowany. Nie, to nie było piękne. I nieważne, jeśli mi nie wierzysz. Albo ważne, ale trudno. Podejmowałem straszliwy wysiłek, by iść dalej w całym tym słońcu, całej tej przestrzeni. Potem w całym tym słońcu, całej tej przestrzeni zobaczyłem nagle jakąś plamę. Ta plama była grupką osób. I od tej grupki osób odłączyła się czarna postać. Wyszła mi naprzeciw i stopniowo stawała się moją matką. A za moją matką odłączyła się inna postać. I również ona do mnie podeszła. I stopniowo stawała się panią Mandilaras, wdową po Nikoforosie Mandilarasie zamordowanym przez pułkowników. I uściskałem moją matkę, uściskałem panią Mandilaras, a potem...

*Potem się rozplakałeś.*

Nie, nie płakałem! Nawet moja matka nie płakała! My jesteśmy ludźmi, którzy nie płaczą. Jeżeli przypadkiem się płacze, nigdy nie płacze się w obecności innych. Podczas tych lat płakałem tylko dwa razy: gdy zamordowano Georgadjisa i gdy powiedziano mi, że zmarł mój ojciec. Ale nikt nie widział, jak płacę; byłem w mojej celi. Później... później nic takiego. Poszedłem do domu z matką, z panią Mandilaras i adwokatem. A w domu zastałem mnóstwo przyjaciół. Siedziałem z przyjaciółmi do szóstej rano, po czym poszedłem do łóżka, do mojego łóżka, i nie pytaj, czy wzruszyłem się, śpiąc we własnym łóżku. Bo się nie wzruszyłem. Och,

wiesz, nie jestem niewrażliwy! Nie jestem! Ale stałem się twardy. Bardzo twardy, i czego innego można się spodziewać po człowieku, który przez pięć lat był pogrzebany żywcem w cementowym grobie, nie mając żadnego kontaktu ze światem poza tymi, którzy go bili, znieważali, torturowali, a nawet próbowali zabić? To prawda, nie stracili mnie po ogłoszeniu tego wyroku śmierci. Jednak pogrzebali mnie mimo wszystko, żywego, zamiast martwego. I dlatego nimi gardzę. Mieli prawo mnie stracić, bo dokonałem zamachu, a jakże. Ale nie mieli prawa pogrzebać mnie za życia, zamiast po śmierci. Oto dlaczego odczuwam jedynie gniew wobec tych błaznów, którzy teraz pozwalają mi spać we własnym łóżku.

*Alekos, nie mów takich rzeczy. Chcesz wrócić do więzienia?*

Jeśli mielibyśmy popatrzeć na to w sposób logiczny, naprawdę powinienem był tam wrócić przed dotarciem do Erytrei. Jestem gotów wrócić do więzienia w każdej chwili. Od teraz. Od wczoraj, od przedwczoraj, od chwili, gdy oślepiło mnie słońce. Powiem więcej, jeśli mój powrót do więzienia na coś się przyda, z radością wrócę do więzienia. Bo z jakiego powodu mieliby mnie znowu wtrącić do więzienia? Z powodu tego, co mówię tobie i innym? Ale czy mówienie tego, co myślę, nie jest moim prawem w demokratycznym ustroju i czy Papadopoulos nie twierdzi, że w Grecji panuje demokracja? Leży całkowicie w interesie Papadopoulosa, by pozostawić mnie na wolności i udowodnić światu, że nic go nie obchodzi to, co mówię. I jeśli chce mnie skrzywdzić w inteligentny sposób, musi zastawić na mnie jakąś pułapkę. Ale tego już próbował. Dzień po moim zwolnieniu z więzienia przyszedł tu jakiś chłopak, który twierdził, że jest studentem, choć również po fryzurze widać było od razu, że należy do policji wojskowej. Opowiedział mi, że jakiś czas temu zabił Amerykanina wziętego jako zakładnika, by uwolnić Panagulisę, a później poprosił mnie o parę karabinów. Wygoniłem go z krzykiem i natychmiast zadzwoniłem do policji wojskowej. Zapytałem o dowódcę, jednego z tych, którzy mnie torturowali. Nie było go, dlatego powiedziałem telefoniście: „Wytłumacz mu, że jeśli wyśle do mnie jeszcze jednego ze swoich agentów prowokatorów, pobiję go do nieprzytomności”. A niech to! Nie zdołali mnie ugiąć w więzieniu; myślisz, że uda im się to teraz?

*Alekos, nie boisz się, że cię zamordują?*

Cóż! Jako że chcą wydawać się liberalni, demokratyczni, nie opłacałoby im się nawet teraz mnie mordować. Później mogą o tym pomyśleć. W marcu 1970 roku, zaraz po zamordowaniu Polycarposa Georgadjisa, bohatera wojny o niepodległość Cypru i ministra arcybiskupa Makariosa, usiłowali to zrobić. Było około siódmej wieczorem, a ja piąty dzień

przeprowadzałem nowy strajk głodowy. Nagle usłyszałem syk i zapalił się siennik. Rzuciłem się na ziemię, krzychałem: „Mordercy, bękarty, bestie, otwórzcie mi drzwi”. Godzina, podczas której siennik płonął i płonął... Nic już nie widziałem, przestałem oddychać. Gdy przyszedł lekarz więzienny, młody podporucznik, byłem nieprzytomny. Jak miałem dowiedzieć się później, poprosił on o natychmiastowe umieszczenie mnie w szpitalu, lecz mu na to nie pozwolono i przez dwa dni pozostawałem w swojej celi, na granicy życia i śmierci. Lekarz czynił rozpaczliwe wysiłki, by mnie uratować i przenieść do szpitala. Ludzie z junty byli zupełnie obojętni. Bardzo często mdlałem i nie mogłem mówić, ponieważ bolała mnie klatka piersiowa i nawet oddychanie sprawiało mi ból. Po czterdziestu ośmiu godzinach udało się sprawić, by zbadali mnie starsi lekarze oficerowie i gdy zobaczyli, w jakim jestem stanie, ogarnął ich gniew. Szef lekarzy oficerów powiedział, że trzymanie mnie w celi to zbrodnia, i zadzwonił do swoich przełożonych, by zaprotestować. Jeśli prawdą jest to, czego dowiedziałem się później, zadzwonił również do dowódcy sił zbrojnych, który teraz jest wiceprezydentem pseudodemokracji, Odisseo Angelisa. Powiedział mu, że odmawianie przez nich przeniesienia mnie do szpitala to czyn zbrodniczy i że ich zadenuncjuje. I to dzięki niemu wreszcie trafiłem do szpitala. W szpitalu odkryto w mojej krwi dziewięćdziesięciodwuprocentowe stężenie dwutlenku węgla i powiedziano, że nie przeżyję więcej niż dwie godziny; a nawet gdybym przeżył dwie godziny, i tak miałem nie przeżyć. I... Ale czy wiesz, dlaczego uwolnili Teodorakisa?

*Teodorakisa? Nie.*

Bo ja umierałem. W Atenach znajdował się ów Francuz. Ten Servan-Schreiber. I zdaje się, że przyjechał, by mnie zabrać. Naturalnie nie oddaliby mnie Servan-Schreiberowi, nawet gdybym był zdrowy. A na dodatek znajdowałem się w stanie śpiączki na skutek ich próby zamordowania mnie. Dlatego, również przewidując skandal, jaki miał wybuchnąć po mojej śmierci, podarowali mu Teodorakisa. Zabawne, co? Nie chcę przez to powiedzieć, że nie cieszyłem się z uwolnienia Teodorakisa. On tyle wycierpiał w więzieniu. Jednak... historia mimo wszystko jest zabawna.

*Interesujące. Ale skąd masz dowody na to, że próbowali cię zamordować?*

Kilka dni przed tym wydarzeniem zabrali siennik, by go „wytrzepać”. Zdarzało się to bardzo rzadko, co trzy lub cztery miesiące. A kiedy odnieśli go do celi, przyszedł do mnie strażnik. Strażnik był przyjacielem. Zapytał mnie: „Alekos, ukryłeś coś w sienniku?”. „Nie, nic. Dlaczego?”, odpowiedziałem. „Bo widziałem, jak kapral Karakaxas manewrował przy nim,

jakby czegoś szukał”. Wówczas nie przykładałem wagi do tego zdarzenia, jednak pierwszą rzeczą, o jakiej pomyślałem, było to, że napchali tam fosforu, plastiku, nie wiem czego. I pierwszym nazwiskiem, jakie przyszło mi do głowy, było nazwisko Karakaxasa. Oczywiście oskarżyli mnie o podpalenie. Ale kiedy im przypomniałem, że przed sześcioma dniami zabrali mi nawet papierosy i zapałki, zrozumieli, że mają kłopoty. Przyszedł do mnie major Kutras z policji wojskowej i rzekł: „Jeśli nie opowiesz nikomu o tym, co się stało, masz moje słowo honoru, że pozwolimy ci wyjechać za granicę”. Jako że odmówiłem nawet rozpatrzenia podobnej oferty, po dziesięciu dniach wrzucili mnie ponownie do celi i od tej chwili zabroniono wizyt nawet mojej matce. Co do mojego adwokata, w ciągu pięciu lat nigdy go nie widziałem. Nigdy nie dostałem jego listów, on nigdy nie otrzymał moich. To też świadczy o ich bezprawnym i zbrodniczym zachowaniu wobec mnie. Bali się widocznie, że ujawnię usiłowanie zabójstwa i dlatego cała moja poczta trafiała na stół dyrektora więzienia. Nawet listy, które wysyłałem do Papadopolosa. Pisałem do Papadopolosa jako do moralnego przywódcy junty, by wyrazić mu całe moje obrzydzenie i pogardę. Powinni mieć odwagę opublikować te listy albo przynajmniej je upublicznić. Wysłałem mu ich wiele, na wszystkie adresy. Pisałem też do przewodniczącego Arios Pagos, Trybunału Konstytucyjnego. Wysyłałem do niego telegramy, by ujawnić to, co mi robili, i powiedzieć mu, że jestem chory. Ale on również nigdy nie otrzymał moich telegramów i...

*A jak się czujesz teraz, Alekos?*

Gorzej niż się wydaje. Moje zdrowie szwankuje. Ciągłe czuję się słaby, wyczerpany. Czasami miewam zapaści. Jedna dopadła mnie wczoraj, inna zaraz po wyjściu z więzienia. Nie mogę chodzić; po trzech krokach siadam. Oprócz tego szwankuje wiele rzeczy: wątroba, płuca, nerki. Zawieziono mnie do kliniki i pierwsze badania nie wypadły pocieszająco; w poniedziałek będę musiał pójść do szpitala, by zrobić kolejne. Osłabiły mnie na przykład te wszystkie strajki głodowe. Pewnie powiesz: Ale po co brać na siebie jeszcze te strajki głodowe? Bo podczas przesłuchań strajk głodowy jest sposobem na to, by stawić im czoło. Pokazujesz im mianowicie, że nie mogą odebrać ci wszystkiego, bo masz odwagę ze wszystkiego zrezygnować. Wytlumaczę to lepiej. Jeśli odmawiasz jedzenia i ich atakujesz, denerwują się i nie pozwala im to na zastosowanie systematycznej formy przesłuchań. Na przykład podczas tortur, jeśli torturowany przybiera prowokacyjną i agresywną postawę, systematyczne przesłuchanie zamienia się w osobistą walkę torturowanego. Czy to jasne? Chciałem powiedzieć, że dzięki strajkowi

głodowemu ciało słabnie, a to uniemożliwia kontynuację przesłuchania, gdyż nie ma sensu przesłuchiwać czy torturować kogoś, kto stracił przytomność. Do takiego stanu dochodzisz po trzech lub czterech dniach bez wody i jedzenia, zwłaszcza jeśli krwawisz z ran odniesionych podczas tortur. Wtedy są zmuszeni przenieść cię do szpitala i... Och, również moje szpitalne wspomnienia są bolesne. Próbowali mnie karmić za pomocą plastikowej rury, którą wsadzali mi do nosa. Bardzo cierpiałem, choć miałem wrażenie, że zyskuję na czasie. Później...

*Później?*

Później ze szpitala zabierali mnie z powrotem do pokoju tortur i ponownie zaczęli mnie torturować. Wtedy ja znowu przeprowadzałem strajk głodowy i znowu ich prowokowałem, znowu zachowywałem się pogardliwie, agresywnie. W ten sposób ich system znowu zawodził. I znowu byli zmuszeni zawieźć mnie do szpitala, gdzie znowu usiłowali mnie karmić sondą włożoną do nosa. Och, również niektórzy lekarze zachowywali się obrzydliwie. W szpitalu moi kaci kontynuowali przesłuchanie, jednak mniej spójnie, ponieważ nie mogli tam stosować swoich metod. Powtarzam, zyskiwałem na czasie, i to było dla mnie ważne. Słowem, nie mógłbym zrezygnować ze strajków głodowych. Była to zbyt nieodzowna broń.

*Rozumiem, że w czasie przesłuchań... Ale potem, Alekos, w więzieniu?*

Również w więzieniu nie było skuteczniejszego sposobu na wyrażenie swojego obrzydzenia, swojej pogardy i na udowodnienie im, że nie mogą mnie ujarzmić. Nawet jeśli byłem już więźniem. Protestując poprzez strajk głodowy, miałem wrażenie, iż nie jestem sam, i myślałem, że ofiarowuję coś sprawie Grecji. Myślałem, że jeśli zachowam zdecydowaną, odważną postawę, żołnierze, strażnicy i sami oficerowie zrozumieją, że reprezentuję naród zdeterminowany, by wygrać. Zresztą, wiele ze strajków głodowych, które przeprowadzałem w więzieniu, było spowodowanych sposobem, w jaki się wobec mnie zachowywali. Odmawiali mi nawet gazety, książki, ołówka, papierosa. I aby zdobyć gazetę, książkę, ołówek, by zapalić papierosa, odmawiałem jedzenia. Przez wiele dni. Przeprowadziłem jeden strajk trwający czterdzieści siedem dni, jeden trwający czterdzieści cztery, jeden czterdzieści, jeden trzydzieści siedem, dwa trzydzieści dwa, jeden trzydzieści, pięć od dwudziestu do trzydziestu... Przeprowadziłem ich wiele. I mimo to oni nigdy nie przestali mnie bić. Nigdy. Otrzymałem w tej celi tyle ciosów. Żebra, które mi połamali, bijąc mnie żelaznymi prętami, dopiero się zrosły.

*Kiedy pobili cię po raz ostatni?*

Jeśli mówisz o poważnym pobiciu, to 25 października 1972 roku; w trzydziestym drugim dniu strajku głodowego. Przyszedł Nicholas Zakarakis, naczelnik więzienia Boiati, a ja leżałem na sienniku. Nie miałem sił, nie mogłem już niemal oddychać. On, mimo wszystko, zaczął mnie wyzywać i w pewnej chwili powiedział, że zapłacono mi za mój zamach na Papadopulosa i że zdeponowałem pieniądze w Szwajcarii. Wtedy nie zdołałem usiedzieć cicho. Zebrałem resztkę sił i krzyknąłem do niego: „Malakas. Plugawy malakas!”. Malakas to brzydkie słowo po grecku. Zakarakis zareagował takim gradem ciosów, że nadal przykro mi o tym myśleć. Z reguły się broniłem. Tego dnia nie mogłem zaś ruszyć palcem i... Pobili mnie również 18 marca. Przywiązali mnie do pryczy i bili mnie przez półtorej godziny. Gdy doktor Zografos uniósł prześcieradło i zobaczył moje ciało, zamknął oczy z przerażenia. Było to ciało czarne jak atrament, jeden wielki siniec od stóp do głów. Bili mnie przede wszystkim po płucach i nerkach, tak więc przez dwa tygodnie plułem i sikałem krwią. Jak miałbym czuć się teraz dobrze?! Zresztą kwestia krwawego moczu jest również spowodowana czymś innym, co zrobili mi podczas przesłuchania.

*Nie będę cię o to pytać, Alekos.*

Dlaczego? I tak opowiedziałem o tym podczas procesu i poinformowałem o tym Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Robił mi to Babalis, jeden z moich katów. Podczas gdy leżałem nago, przywiązany do tego żelaznego łóżka, wsadzał mi do cewki moczowej żelazny drut. Coś w rodzaju igły. Następnie, podczas gdy inni wrzeszczeli sprośności, rozgrzewał zapalniczką do czerwoności część pozostającą na zewnątrz. Coś potwornego. Zapytasz: „A nie zrobili ci elektrowstrząsów?”. Nie, mnie ich nie zrobili. Jednak zrobili mi to i mówiąc o torturach, jak można ustalić, która z nich jest najgorsza? Pozostawać dziesięć miesięcy w kajdankach, powtarzam, dziesięć miesięcy, dzień i noc, nie jest może torturą? Dziesięć miesięcy, dzień i noc. Dopiero od dziewiątego miesiąca uwalniali mi nadgarstki na kilka godzin. Dwie albo trzy godziny rano, na skutek nalegań więziennego lekarza. Moje ręce były napuchnięte, nadgarstki krwawiły i w kilku miejscach ukazywały ropiejące rany... Udało mi się zawiadomić moją matkę, która złożyła w prokuraturze generalnej oficjalną skargę na piśmie. I to oskarżenie stanowi dowód, bo jeśli moja matka napisałaby nieprawdę, oskarżyliby ją, tak czy nie? Czyż nie oskarżyli pani Manganis, gdy ujawniła, że jej mąż, profesor Jorgos Manganis, był torturowany? Zamknęli tę wielką panią w więzieniu, choć powiedziała prawdę. Mogli sobie na to pozwolić, bo w jej przypadku trudno było udowodnić oskarżenia. Jednak nie w moim przypadku. Nie mogli

uwięzić mojej matki; istniały dowody. I to oczywiste. Były nimi rany i blizny, które nosiłem na całym ciele. Gdybym miał sporządzić listę tortur... Popatrz na te trzy blizny po stronie serca. Zrobili mi je tego dnia, gdy złamali mi lewą stopę za pomocą falangi. Oczywiście zawsze robili mi falangę, która polega na obijaniu ci prętem stóp, aż ból przeniknie do mózgu i zemdlejesz. Ja znosiłem to nawet dosyć dobrze. Ale tego dnia Babalis bardzo się postarał i złamał mi lewą stopę. Pięć minut później przybył Konstantinos Papadopoulos. Wiesz, brat Papadopoulosa. Przyłożył mi do skroni rewolwer i krzyknął: „Teraz cię zabiję, zabiję cię!” i mnie okładał. Podczas gdy mnie okładał, Theofiloyannakos zadawał mi rany w serce żelaznym nożem do listów o wyszczerbionym końcu. „Wbiję ci go w serce, wbiję ci go w serce!”. Stąd te trzy blizny.

*A te blizny na nadgarstkach?*

Och, te zrobili mi, gdy udawali, że podcinają mi żyły. Nic poważnego. Cięli mnie tylko powierzchownie. Zresztą wiesz, że mam blizny na całym ciele. Czasami jakąś odkrywam i się zastanawiam: a tę kiedy mi zrobili? W trzecim tygodniu tortur nie zwracałem już na to uwagi. Czuję, jak tu cieknie mi krew, tam otwiera się ciało, i myślałem tylko: „Znowu się zaczyna”. Rozpoczynali zwyczajne tortury, biczując mnie metalową liną. To Theofiloyannakos mnie biczował. Albo wieszali mnie pod sufitem za przeguby i zostawiali tak godzinami. To trudne do zniesienia, bo po jakimś czasie górna część ciała staje się jakby sparaliżowana. To znaczy, nie czujesz już rąk i ramion. Nie możesz oddychać, nie możesz krzyczeć, nie możesz w żaden sposób zaprotestować i... Naturalnie wiedzieli o tym wszystkim i gdy dochodziłem to tego stanu, okładali mnie kijem po nerkach. Wiesz, do czego nigdy się nie przyzwyczałem? Do duszenia. To też robił mi Theofiloyannakos, zatykając mi obiema rękami nos i usta; och, to było najgorsze ze wszystkiego. Ze wszystkiego! Zatykał mi nos i usta na minutę, patrząc na zegarek i pozwalał mi zaczerpnąć oddech dopiero wtedy, gdy stawałem się siny. Przestał robić to rękami, gdy udało mi się mu je pogryźć. Jednym ugryzieniem oderwałem mu niemal palec. Ale wtedy przerzucił się na koc i... Inną rzeczą, którą źle znosiłem, były wyzwiska. Nie torturowali mnie nigdy w milczeniu. Nigdy. Wrzeszczeli, wrzeszczeli... Głosem, który nie był już głosem, lecz hukiem... Poza tym gaszenie papierosów na jądrach. Słuchaj, ale dlaczego chcesz się dowiadywać tych rzeczy tylko ode mnie? To nawet nie jest sprawiedliwe. Nie robili tego tylko mnie. Jeśli ci się uda, idź do szpitala wojskowego 401 i zapytaj, czy możesz się zobaczyć z majorem Mustaklisem. Jemu podczas przesłuchania zrobili *aloni*. Wiesz, co to jest *aloni*? Oprawcy ustawiają się w okrąg, następnie wrzucają cię do środka okręgu i uderzają w ciebie wszyscy naraz. Jego bili w kręgosłup



i kark. Został całkowicie sparaliżowany. Leży w łóżku jak roślina i lekarze określają jego stan jako śmierć kliniczną.

*Chciałabym cię o coś zapytać, Alekos. Czy zanim to się wydarzyło, dobrze znosiłeś ból fizyczny?*

Och, nie! Nie. Najbardziej niewinny ból zębów dokuczał mi ponad miarę i nie znosiłem widoku krwi. Cierpiałem już od samego patrzenia, jak cierpią ludzie, podziwiałem z niedowierzaniem osoby zdolne znosić fizyczny ból. Człowiek jest doprawdy niezwykłym stworzeniem, morzem niespodzianek. To niewiarygodne, jak człowiek może się zmienić, i cudowne, że człowiek może okazać się zdolny znieść to, co nie do zniesienia. To pompatyczne powiedzenie „Stal hartuje się w ogniu” jest zupełnie prawdziwe. Im dłużej mnie dręczyli, tym stawałem się twardszy. Im dłużej mnie torturowali, tym większy stawiałem opór. Niektórzy mówią, że podczas tortur błaga się o śmierć jak o wyzwolenie. To nieprawda. Przynajmniej w moim wypadku. Skłamałbym, mówiąc, że nigdy się nie bałem, ale skłamałbym również, mówiąc, że chciałem umrzeć. Śmierć była ostatnią rzeczą, która przychodziła mi do głowy. Myślałem tylko o tym, by się nie poddać, by nie zacząć mówić, by się buntować. Gdybyś wiedziała, ile razy ja również ich pobiliśmy! Gdy nie byłem przywiązany do żelaznego stołu, kopałem ich, gryzłem, deptałem. Było to bardzo przydatne, gdyż w ten sposób bardziej się denerwowali, bili mnie jeszcze mocniej i mdlałem. Zawsze chciałem zemdleć, bo omdlenie jest jak odpoczynek. Później znowu zaczynali, ale...

*Wybacz, Alekos. Interesuje mnie jedna rzecz. Czy wiedziałeś, że cały świat zajmował się tobą i protestował w twoim imieniu?*

Nie. Zrozumiałem to dopiero w dniu, gdy weszli do mojej celi, wymachując gazetami i krzycząc: „Rosyjskie czołgi wjechały do Czechosłowacji! Teraz nikt nie będzie miał czasu i ochoty, żeby się tobą zajmować!”. Poza tym zrozumiałem to wtedy, gdy pokazano mnie dziennikarzom po pierwszej próbie ucieczki. Było ich wielu, z różnych krajów, i powiedziałem sobie: „A więc wiedzą!”. I poczułem coś w rodzaju pieszczoty na sercu. I wydało mi się, że jestem mniej samotny. Bo wiesz, najokropniejszą rzeczą nie jest cierpienie. Jest nią cierpienie w samotności.

*Wróćmy do twojego opowiadania, Alekos.*

No więc mówiłem, że gdy oni mnie wyzywali: „Zbrodniarz, sukinsyn, zdrajca, ciota” i inne wulgaryzmy nie do powtórzenia, ja wyzywałem ich. Wrzeszczałem do nich straszne rzeczy.

Na przykład: „Wypieprzę ci córkę!”. Ale bez emocji, nie tracąc głowy. Czy to jasne? Ja, który jestem tak uczuciowy, w gniewie staję się opanowany. Pewnego dnia przysłali do mnie oficera zajmującego się przesłuchaniem psychologicznym. Wiesz, jednego z tych, którzy mówią: „Mój drogi, byłoby lepiej, gdybyś mówił”. Jako że był taki uprzejmy, poprosiłem go o szklankę wody. Troskliwie kazał mi ją przynieść. Ale gdy tylko dostałem szklankę do ręki, zamiast z niej pić, potłukłem ją. Następnie z rozbitą szklanką rzuciłem się na tych drani. Zraniłem dwóch albo trzech, zanim nie rzucili się na mnie i nie powalili mnie na ziemię, na odłamki szkła, gdzie jeden z odłamków przeciął mi prawie na pół mały palec prawej ręki. Widzisz, przeciął mi również ścięgno. Nie ruszam już tym palcem. Jest martwy. Wiesz, co zrobił później ten potwór Babalis? Zawołał lekarza i nie uwalniając mi przegubów, związanych na plecach, kazał zszyć mi palec. Tak po prostu, bez znieczulenia. Co za ból! Tego dnia krzyczałem. Krzyczałem jak szalony.

*Śluchaj, Alekos, czy nigdy nie ogarnęła cię pokusa, żeby zacząć mówić?*

Nigdy! Nigdy! Nigdy! Nigdy niczego nie powiedziałem. Nigdy. Nigdy nikogo w to nie wplątałem. Nigdy. Jako że wziąłem na siebie całą odpowiedzialność za zamach, chcieli wiedzieć, kto miał wziąć na siebie całą odpowiedzialność za rzędy, gdyby zamach się udał. Jednak z moich ust nie padło nigdy ani jedno słowo. Pewnego dnia, gdy leżałem na żelaznym łóżku i naprawdę nie dawałem już rady, przyprowadzili do mnie pewnego Greka o imieniu Brindisi. Wygadał się i płakał. Łkając, rzekł: „Dosyć, Alekos. Mów, Alekos”. Lecz ja odpowiedziałem: „Kim jest ten Brindisi? Ja znam tylko włoski port o nazwie Brindisi”. Tego samego dnia przyprowadzili do mnie Avramisa. Avramis był członkiem Greckiego Ruchu Oporu i oficerem policji, odważnym, uczciwym człowiekiem. Zaprzeczyłem, jakoby go znał i jakoby należał do Ruchu Oporu. Theofiloyannakos wrzeszczał: „Jak widzisz, on cię zna. I już się przyznał. Potwierdź to i na zawsze skończymy z tą sprawą”. Odpowiedziałem: „Posłuchaj, Theofiloyannakos. Gdybym miał cię w swoich rękach zaledwie przez godzinę, sprawiłbym, że przyznałbyś się do wszystkiego. Nawet do tego, że zgwałciłeś swoją matkę. Nie znam tego człowieka. Poddaliście go torturom i teraz mówi to, co chcecie”. Na to Theofiloyannakos: „I tak, czy coś powiesz, czy nie, my powiemy, że mówiłeś”. Śluchaj, nawet w trakcie najokrutniejszych tortur nigdy nikogo nie zdradziłem. Nikogo. Jest to coś, co szanują nawet te bestie. Kierowanie moimi torturami zostało powierzone naczelnikowi policji, ówczesnemu podpułkownikowi, a dziś generałowi brygady, Ioannidisowi. Pewnej nocy, widząc, jak plują krwią, potrząsnął głową i rzekł: „Nie można nic na to poradzić. Nie ma sensu naciskać. Raz na sto tysięcy zdarza się, że ktoś nie mówi. Ale to

właśnie ten przypadek. Ten Panagulis jest zbyt twardy. Nic nie powie”. Ioannidis mówił zawsze: „Jedyna grupa, co do której nie jesteśmy pewni, czy udało nam się ją zdziętkować, to grupa Panagulisa. Ten tygrys rozrywał kajdanki”. Cóż, może to nieładnie, że ci to opowiadam. Może pomyślisz, że jestem zarozumiała, i napiszesz, że jest we mnie samozachwyty albo coś podobnego. Ale ja i tak muszę ci to powiedzieć, bo to duża satysfakcja. Czy nie mam racji?

*Tak. Masz. A teraz, Alekos, chciałabym się od ciebie dowiedzieć innej rzeczy. Następującej: Czy po tylu cierpieniach jesteś jeszcze w stanie kochać ludzi?*

Jeszcze ich kochać?! Chcesz chyba powiedzieć, kochać ich jeszcze bardziej! A niech to, jak możesz zadawać podobne pytanie? Nie sądzisz chyba, że utożsamiam ludzkość z potworami z greckiej policji wojskowej? Przecież to garstka ludzi! Czy nic nie mówi ci to, że przez wszystkie te lata byli to zawsze ci sami? Zawsze ci sami. Słuchaj, ludzie źli stanowią mniejszość. I na jednego złego przypada tysiąc, dziesięć tysięcy dobrych, to znaczy jego ofiar. Tych, za których należy walczyć. Nie możesz, nie powinnaś widzieć tego w tak czarnych barwach! Spotkałem tak wielu dobrych ludzi w ciągu tych pięciu lat! Nawet wśród policjantów. Tak, tak! Pomyśl tylko o tych młodych żołnierzach, którzy narażali się, by wynieść z więzienia moje listy, moje wiersze! Pomyśl o tych wszystkich, którzy pomagali mi w próbach ucieczki! Pomyśl o lekarzach, którzy przynosili mnie do szpitala, a gdy tam byłem, rozkazywali strażnikom nie przywiązywać mnie do łóżka za kostki. „Nie mogę”, odpowiadali strażnicy. Na to lekarze: „To nie więzienie! To szpitaaal!”. A sam Panayotidis, który brał udział w torturach i zawsze na mnie pluł? Pewnego dnia podszedł do mnie okropnie zmieszany i mówi: „Alekos, przepraszam. Robiłem to, co mi kazali. Zrobiłbym to, nawet gdyby kazali mi to zrobić własnemu ojcu. Nie mam odwagi się sprzeciwić. Wybacz mi, Alekos”. Och, człowiek...

*Chcesz powiedzieć, że człowiek jest z zasady dobry, że człowiek rodzi się dobry?*

Nie. Chcę powiedzieć, że człowiek rodzi się, by być dobrym, i że częściej jest dobry niż zły. Posłuchaj, by zaakceptować ludzi, wystarczy to, co przytrafiło mi się, gdy byłem w szpitalu po tym, jak usiłowali mnie zamordować za pomocą płonącego siennika. Była w tej sali stara posługaczka. Wiesz, jedna z tych staruszek, które myją podłogi i sprzątają ubikacje. Pewnego dnia podchodzi do mnie, głaszcze mnie po czole i mówi: „Biedny Alekos! Ciągłe jesteś sam! Nigdy z nikim nie rozmawiasz! Dzisiaj wieczorem przyjdę tu, usiądę koło ciebie i wszystko mi opowiesz”. Później poszła w kierunku drzwi, a tam pochwyciły ją strażę, które ją zabrały. Nie

przyszła tego wieczoru. Czekałem na nią, ale nie przyszła. Więcej jej nie zobaczyłem. Nigdy się nie dowiedziałem, co jej zrobili i...

*Placzesz, Alekos? Ty?!*

Nie płaczę. Ja nie płaczę. Ja się wzruszam. Wzrusza mnie uprzejmość. Wzrusza mnie dobroć. I wtedy jestem wzruszony. Jasne?

*Jasne. Jesteś wierzący, Alekos?*

Ja? Ja nie. To znaczy, nie wierzę w Boga. Jeśli pytasz mnie o Boga, odpowiem ci odpowiedzią Einsteina: wierzę w Boga Spinozy. Nazywaj to panteizmem, nazywaj to, jak chcesz. A jeśli zapytasz mnie o Jezusa Chrystusa, odpowiem, że mi odpowiada, bo nie uważam go za Syna Bożego, ale za ludzkiego syna. Sam fakt, że jego życie było zainspirowane pragnieniem złagodzenia ludzkiego bólu, sam fakt, że cierpiał i umarł za ludzi, a nie dla Bożej chwały, wystarcza mi, by uznać go za wielkiego. Największego ze wszystkich bogów, wymyślonych przez człowieka. Widzisz, człowiek nie może obyć się bez idei miłości, gdyż nie może żyć bez miłości. Ja w swoim życiu doznałem wiele nienawiści, ale też wiele miłości. Na przykład jako dziecko. Byłem szczęśliwym dzieckiem, bo wychowałem się w rodzinie, w której bardzo się nawzajem kochano. Ale to nie tylko kwestia rodziny. To była kwestia... jak to ująć? Odkryć. Na przykład podczas włoskiej okupacji schroniliśmy się na wyspie Lefkas, gdzie było wielu włoskich żołnierzy. Ciągłe mnie wołali: „Mały, mały, mały!”, a później dawali mi prezenty. Czekoladę, suchara. Mój ojciec, oficer, nie chciał, abym je przyjmował, i domagał się, żebym wyrzucił te prezenty. Moja matka zaś nie: „Weź i podziękuj”. Moja matka wiedziała, że nie robią tego, żeby mnie obrazić, ale przez uprzejmość. Wiedziała, że nie są złymi żołnierzami, tylko dobrymi ludźmi. Byłem mniej szczęśliwy później, dorastając. Trudno czuć się całkowicie szczęśliwym, gdy człowiek zdaje sobie sprawę, że dla innych nie zawsze ważne są te rzeczy, które są ważne dla ciebie. I kiedy widziałem wśród moich rówieśników obojętność wobec życiowych problemów, ja... nie potrafiłem być dłużej szczęśliwy. Tak jak dzisiaj.

*To ciekawe, Alekos; mówisz, jak człowiek, któremu nie przyszłoby nawet na myśl, by zorganizować zamach, by kogoś zabić.*

Przed 21 kwietnia, to znaczy przed objęciem władzy przez pułkowników, nie mogłem nawet pojąć, jak można kogoś zabić. Nie potrafiłbym zrobić krzywdy swojemu najgorszemu wrogowi. Zresztą jeszcze dziś myśl o zabiciu kogoś budzi we mnie odrazę. Nie jestem fanatykiem. Chciałbym, aby wszystko zmieniło się w Grecji bez ani jednej kropli krwi. Nie

wierzę w sprawiedliwość wymierzaną osobiście. Jeszcze mniej w słowo zemsta. Ja nawet w stosunku do tych, którzy mnie torturowali, nie pojmuję słowa zemsta. Używam słowa kara i marzę jedynie o procesie. Wystarczyłoby mi, by skazano ich jedynie na dzień więzienia w celi, w której przebywałem pięć lat. Za bardzo zależy mi na przepisach, na prawach, na obowiązkach. Istotnie, nigdy nie kwestionowałem tego, że Papadopoulos miał prawo mnie osądzić i skazać. Protestowałem zawsze przeciwko temu, w jaki sposób wykonywali swoją karę, przeciwko biciu mnie, przeciwko okrucieństwom, jakich się wobec mnie dopuszczali, przeciwko przetrzymywaniu mnie w cementowym grobie, w którym zakazywano mi nawet czytać i pisać. Ale jeśli ktoś dokona tego, czego dokonałem ja, to znaczy zamachu, nie postępuje niezgodnie z prawem. Ponieważ działa w kraju bezprawia. A na bezprawie odpowiada się bezprawiem. Czy to jasne? Słuchaj, jeśli idziesz ulicą, nikomu nie przeszkadzając, a ja cię spoliczkuję i nie możesz nawet zgłosić tego na policję, bo prawo cię nie chroni, co sobie myślisz? Co zrobisz? Zwróć uwagę, że mówię tylko o spoliczkowaniu, niczym więcej. Spoliczkowanie nawet nie boli, to tylko zniewaga. Jednak musi przecież istnieć prawo, które zabrania cię policzkować! Prawo, które zabraniałoby mi cię nawet pocałować, jeśli tego nie chcesz! A jeśli to prawo nie istnieje, co zrobisz? Czy nie masz może prawa zareagować, a może nawet mnie zabić, bym więcej ci nie przeszkadzał? Wymierzenie sprawiedliwości samemu staje się koniecznością! A raczej obowiązkiem! Tak czy nie?

*Tak.*

Nie boję się tego powiedzieć: znam również nienawiść. Bardzo kocham miłość, ale jestem pełen nienawiści dla tych, którzy zabijają wolność, na przykład dla tych, którzy zabili ją w Grecji. A niech to, trudno mówić te rzeczy, nie wydając się napuszonym, ale... Jest takie zdanie, które często się powtarza w greckiej literaturze. „Szczęśliwy, będąc wolnym, i wolny, by być szczęśliwym”. Dlatego gdy jakiś tyran umiera śmiercią naturalną we własnym łóżku, ja... Cóż poradzić? Czuję, że ogarnia mnie gniew. Ponosi mnie nienawiść. Według mnie to zaszczyt dla Włochów, że Mussolini skończył tak, a nie inaczej, a wstyd dla Portugalczyków, że Salazar umarł we własnym łóżku. Tak samo jak będzie wstydem dla Hiszpanów, jeśli Franco umrze ze starości. Do diabła! Nie można pozwolić, by cały naród zamienił się w stado. Posłuchaj, ja nie marzę o utopii. Dobrze wiem, że absolutna sprawiedliwość nie istnieje, nigdy nie będzie istnieć. Wiem jednak, że istnieją kraje, gdzie działa proces sprawiedliwości. Tak więc marzę o kraju, gdzie ten, kto zostanie zaatakowany, znieważony, pozbawiony swoich praw, może domagać się

sprawiedliwości w sądzie. Czy to zbyt wiele? Cóż! Mnie się wydaje, że to minimum, jakiego może domagać się człowiek. Oto dlaczego tak bardzo denerwuję się na tchórzów, którzy nie oponują, gdy naruszane są ich podstawowe prawa. Na ścianach swojej celi napisałem: „Nienawidzę tyranów, a tchórze budzą we mnie wstręt”.

*Alekos... to trudne pytanie. Co czuleś, gdy skazali cię na śmierć?*

W pierwszej chwili nic. Spodziewałem się tego, byłem na to przygotowany, nie poczułem więc nic poza świadomością, że umierając, wniosę wkład w walkę, która będzie kontynuowana przez innych.

*I byłeś pewien, że cię rozstrzelają?*

Tak. Całkowicie pewien.

*Alekos, to pytanie jest jeszcze trudniejsze. I nie wiem, czy zechcesz mi odpowiedzieć. Co myśli człowiek, który ma zostać rozstrzelany?*

Też się nad tym zastanawiałem. Wiele razy. I próbowałem na to odpowiedzieć w wierszu, który napisałem w myśli tego ranka, gdy przyszli mnie zapytać, czy proszę o łaskę, ale odpowiedziałem przecząco... To wiersz dobrze oddający to, o czym myślałem w owej chwili. Oto on. „Jak / gałęzie drzew słuchają / pierwszych uderzeń siekiery / tak / tego ranka / komendy / docierały do moich uszu / Jednocześnie / dawne wspomnienia / które miałem za umarłe / zalewały myśli / niczym płacz / rozdzierający płacz przeszłości / za przyszłością która nie nadejdzie / Wola / tego ranka / była tylko życzeniem / Nadzieja? / ją też traciłem / lecz ani przez chwilę nie żałowałem / że czeka na mnie pluton”. I słuchaj, z tego, co wiem, istnieje trzech pisarzy, którzy przedstawili to w sposób podobny do tego, co czułem ja. Jeden to Dostojewski w *Idiocie*. Drugi to Camus w *Obcym*. Trzeci to Kazantzakis w książce opowiadającej o śmierci Chrystusa. Wiedziałem, co mówi Dostojewski, czytałem *Idiotę*. Jednak *Obcego* nie czytałem i kiedy go przeczytałem, dużo później, w Boiati, poruszyło mnie odkrycie, że myślałem o tym samym, gdy oczekiwałem na moment egzekucji. Mam na myśli wszystko to, co człowiek chciałby zrobić, gdyby nie mieli zaraz uciąć mu głowy. Na przykład napisać wiersz albo list. Przeczytać książkę, stworzyć sobie małe życie w tej małej celi. Życie cudowne mimo wszystko, bo byłoby życiem... Ale przede wszystkim poruszyła mnie wersja śmierci Chrystusa, podana przez Kazantzakisa. Jest w tej książce chwila, gdy Chrystus zamyka oczy na krzyżu i śpi. I śni sen, który jest snem o życiu. Śni, że... Ale nie chcę o tym mówić. Nieładnie o tym mówić.

*Nie szkodzi, i tak zrozumiałam, że śniłeś, iż kochasz się z kobietą. W książce Kazantzakisa Chrystus śni, że kocha się z Martą i Marią, siostrami Łazarza. Tak... dziesięć minut snu, by śnić o życiu... Tak powinno być, to piękne. Ale jak spędziłeś resztę tej nocy?*

Cela była pusta, brakowało nawet pryczy. Położyli mi na ziemi koc i tyle. Miałem kajdanki. Cały czas kajdanki. Tak więc przez jakiś czas leżałem w kajdankach, a następnie wstałem i zacząłem rozmawiać ze strażnikami. Strażnikami byli trzej podoficerowie. Młodzi, w wieku około dwudziestu jeden lat. Wyglądali na porządnych chłopców i nie zachowywali się wrogo, przeciwnie, zdawali się być smutni z mojego powodu, bardzo przygnębieni myślą, że niebawem mnie rozstrzelają. Aby dodać im odwagi, zacząłem dyskutować o polityce. Zwracałem się do nich tak, jak zwracałbym się do studentów podczas manifestacji. Tłumaczyłem im, że nie powinni pozostawać bierni, że powinni walczyć o wolność. A oni słuchali mnie z szacunkiem. Wyrecytowałem im również wiersz, który napisałem: *Pierwsi polegli*. Wiesz, ten, na którego podstawie Teodorakis napisał piosenkę. Gdy recytowałem, pisali wersy na opakowaniach od papierosów. Później tych trzech zastąpiło trzech innych, również poborowych, i wśród nich był jeden, który śpiewał w kościelnym chórze. Pozwoliłem sobie na okrutny żart. Poprosiłem, by zaśpiewał mi to, co śpiewają podczas mszy żałobnej. Zaśpiewał mi to. A ja, ciągle żartując, powiedziałem: „Nie podobają mi się niektóre słowa. I kiedy będziesz śpiewał dla mnie, na mszy żałobnej, masz nie wymawiać pewnych słów. Na przykład masz nie nazywać mnie sługą bożym. Żaden człowiek nie jest niczym sługą. Żaden człowiek nie powinien być niczym sługą. Nawet Boga”. A on obiecał, że dla mnie nie zaśpiewa tych słów, nie nazwie mnie sługą bożym. Zaprzestaliśmy więc tej okrutnej zabawy i przeszliśmy do innych piosenek Teodorakisa.

*Alekos... co czuje człowiek, kiedy mówią mu, że jednak nie zostanie rozstrzelany?*

Nigdy mi nie powiedziano, że kara śmierci została zawieszona. W ciągu trzech lat nigdy mi tego nie powiedziano. A w Grecji kara śmierci zachowuje ważność przez trzy lata. W każdej chwili podczas tych trzech długich lat mogliby otworzyć drzwi mojej celi i powiedzieć: „Idziemy, Panagulis. Pluton egzekucyjny czeka”. Pierwszego dnia rano spodziewałem się, że zostanę rozstrzelany o piątej, piątej trzydzieści. Nawet grób był gotowy. Gdy zobaczyłem, że minęła piąta trzydzieści, szósta, szósta trzydzieści, siódma, zacząłem podejrzewać, że coś się zmieniło. Ale nie myślałem, że rozstrzelanie zostało zawieszone; myślałem, iż przesunęło się o kilka godzin. Może helikopter miał opóźnienie, może prokurator napotkał jakąś biurokratyczną przeszkodę... Później, około ósmej, do drzwi mojej celi podszedł pluton. Powiedziałem sobie:

„Zaczyna się”, lecz ktoś wydał rozkaz i pluton się oddalił. Zaraz potem powiedziano mi, że tego dnia nie zostaną rozstrzelani, bo jest to święto Ofiarowania Najświętszej Maryi Panny, więc nie odbywają się egzekucje. Mieli mnie rozstrzelać następnego dnia, 22 listopada. Rozpoczęło się oczekiwanie na świt, druga noc była taka sama jak poprzednia i o świcie znowu byłem gotowy. Przyszedł oficer i powiedział: „Podpisz prośbę o ułaskawienie, a nie zostaniesz rozstrzelany”. Odmówiłem i w tej samej chwili usłyszałem innego oficera, który wydawał ostry rozkaz: Wymarsz! I pomyślałem: „Już się zaczyna. Teraz naprawdę się zaczyna”. Tymczasem nic się nie wydarzyło, a po południu zabrali mnie z więzienia w Eginie. Zawieźli mnie do portu wojskowego, a tam statkiem zwiadowczym P21 zawieźli mnie do biura policji wojskowej. Tego, w którym odbywały się przesłuchania. Był tam jakiś oficer, który mi powiedział: „Panagulis, gazety ogłosiły już twoje rozstrzelanie. Teraz będziemy mogli przesłuchiwać cię tak, jak nam się podoba. Sprawimy, że powiesz nam wszystko, czego chcemy, i umrzesz na torturach. I nikt się o tym nie dowie, bo wszyscy sądzą, że zostałeś już rozstrzelany”. Była to jednak tylko złośliwa pogrożka; tego dnia mnie nie torturowali. O świcie 23 listopada kazali mi wsiąść do samochodu i powiedzieli: „Panagulis, żarty się skończyły. Zabieramy cię na egzekucję”. Tymczasem zabrali mnie do Boiati.

*Alekos, zastanawiam się, jak udało ci się zachować jasny umysł po tym, jak przez pięć lat byłeś sam, pogrzebany w cementowej puszcze, niewiele szerszej od łóżka? Jak ci się to udało?*

Po prostu odrzucając myśl, że zostałem pokonany. Zresztą nigdy nie czułem się pokonany. Dlatego nigdy nie przestałem walczyć. Każdy dzień był nową bitwą. Bo chciałem, by każdy dzień był nową bitwą. Nigdy nie pozwoliłem sobie popaść w inercję. Myślałem o moim uciśnionym narodzie i mój gniew przeradzał się w energię. Właśnie ta energia pomagała mi wymyślać coraz to nowe sposoby ucieczki. Nie pragnąłem uciec tylko po to, by uciec, słowem, by nie przebywać dłużej w więzieniu. Pragnąłem uciec, by kontynuować walkę, by znowu być ze swoimi towarzyszami. Przystąpiłem do walki zdeterminowany, by dać z siebie wszystko, i moja rozpacz wynikała z pewności, że dałem z siebie zbyt mało, że zbyt mało zrobiłem. Kiedy Grecją zawładnęła dyktatura, powiedziałem swoim przyjaciołom: „Moją jedyną ambicją jest oddać życie, by położyć kres tej dyktaturze, moim jedynym pragnieniem jest umrzeć w tej walce jako ostatni. Nie po to, by żyć dłużej od innych, lecz by więcej niż inni ofiarować”. I dziś całkowicie szczerze mogę powiedzieć moim przyjaciołom to samo i nie obchodzi mnie, że nasi wrogowie się o tym dowiedzą. Przeciwnie. Nie luję się wcale, że będę żywy w dniu, gdy będziemy świętować



zwycięstwo, lecz wierzę całym sercem, że ten dzień nadejdzie. Aby tak się stało, powinienem jednak nadal walczyć. I ta myśl, wraz z myślą o ucieczce, pomogła mi nie oszaleć w ciągu tych pięciu lat.

*Ale jak chciałeś uciec z tego grobowca?*

Najbardziej niewiarygodnymi sposobami. Przede wszystkim myślałem o sposobie wysłania wiadomości do moich towarzyszy... Choć wiedziałem, że szanse na powodzenie ucieczki są bardzo niewielkie, ta myśl nigdy mnie nie opuszczała. Nigdy. Kierowałem się taką samą zasadą jak dziś: lepiej ponieść porażkę, niż pozostawać biernym. Opowiem ci zaraz o dwóch próbach, które się nie udały, lecz mnie wydają się zabawne. Pewnego wieczora strażnicy o tej samej godzinie, co zwykle, otwierają drzwi mojej celi i nie zastają mnie w środku. Jak przewidziałem, te świry wpadają w panikę i zaczynają krzyczeć, sapać, oskarżać się nawzajem, szukać mnie na ścianach, na suficie i nie przychodzi im na myśl, by spojrzeć w jedyne miejsce, gdzie mógłbym się schować, to znaczy pod łóżko. Byłem pod łóżkiem i wyśmieniecie się bawiłem, słuchając ich: „To ty wchodziłeś do celi dziś rano!”. Na to inny: „To ty miałeś klucze!”. „Koniec kłótni! Spróbujmy raczej go znaleźć!”. I dalej, z celi, żeby ogłosić alarm; zostawiając otwarte drzwi. Tak więc rzuciłem się do drzwi i biegłem w ciemności około pięćdziesięciu metrów. Zatrzymałem się, przywierając do drzewa. Od tego drzewa dobiegłem do innego, później do cienia rzucanego przez kuchnię, później do muru granicznego. Na podwórzu panował jeden wielki wrzask: „Alarm, alarm!”. Ja również krzyczałem, tyle że mówiąc: „Alarm odwołany! Odwołany!”. Miałem nadzieję, że ktoś to usłyszy i uwierzy. Musiałem już tylko przeskoczyć przez mur. Przygotowywałem się do skoku, gdy dostrzegł mnie jakiś żołnierz i złapał.

*Jak się poczułeś, gdy zostałeś złapany?*

Z pewnością nie byłem z tego powodu szczęśliwy. Ale się nie denerwowałem, myśląc: nieważne. Następnym razem pójdzie lepiej. Następnym razem użyłem mydlanego rewolweru. Zrobiłem go sam, wykorzystując miękisz chleba i mydło, a następnie pomalowałem go na czarno czubkami spalonych zapalek. Wiesz, jedną zapalką na raz, jakby to był pędzel. Lufę zrobiłem z folii cynowej od papierosów i wyglądała naprawdę jak metalowa lufa. Pewnego wieczoru weszli jak zwykle do celi, by przynieść mi jedzenie i... wycelowałem do nich z mojego pistoletu. Było ich trzech. Tak bardzo się wystraszyli, że ten, który niósł tacę, upuścił ją. Zaś pozostali dwaj wydawali się sparaliżowani. Cała ta sytuacja była tak komiczna, że nie udało mi się

kontynuować; za bardzo chciało mi się śmiać. Nie uwierzysz, ale jeśli bym nie uległ chęci śmiechu, być może udałoby mi się uciec. Pozostała mi jednak ta pociecha, że na chwilę się rozerwałem. A to niemało.

*Ale ile razy próbowałeś uciec, Alekos?*

Wiele razy. Raz na przykład, drążąc ścianę swojej celi łyżką. Był październik 1969 roku i udało mi się sprawić, że zamontowano mi w celi ubikację. Następnie, dzięki strajkowi głodowemu, udało mi się również sprawić, że przed ubikacją zawieszono zasłonkę. Wybrałem to miejsce na zrobienie dziury; zasłonka służyła za parawan. Pracowałem nad tym co najmniej piętnaście dni i 18 października otwór był gotowy. Wsunąłem się więc do środka, lecz nie udało mi się przejść od razu na drugą stronę, gdyż miałem na sobie zbyt dużo ubrań. Musiałem je zdjąć, wyrzucić na zewnątrz, a potem znowu wsunąć się w otwór. To mnie zgubiło. Przechodził strażnik, zobaczył ubrania i wszczął alarm. Natychmiast się na mnie rzucili. Od razu zaczęło się przesłuchanie. Nie chcieli uwierzyć, że wydrążyłem mur jedynie za pomocą łyżki. Poddali mnie torturom, by dowiedzieć się, jak to zrobiłem. Och, nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, jak mnie torturowali! Po torturach odprowadzili mnie do celi i zabrali mi nawet pryczę. Znowu spałem na ziemi, jedynie na kocu, i w kajdankach. Dwa dni później pojawił się ponownie Theofiloyannakos: „Jak to zrobiłeś?”. „Łyżką, wiesz o tym”. „To niemożliwe, nieprawda!”. „A co mnie obchodzi, czy w to wierzysz, czy nie, Theofiloyannakos?”. Stało się to początkiem nowych ciosów, nowych kopniaków. Potem, piętnaście dni później, przyszedł też generał Fedon Ghizikis. Bardzo grzeczny, uprzejmy. „Alekos, nie możesz narzekać, jeśli trzymają cię w kajdankach. W końcu zrobiłeś dziurę w murze za pomocą łyżki!”. A ja na to: „Chyba nie wierzysz tym idiotom? Nie wzięłaś chyba na serio tej historii o łyżce? Co? Czy mur to crème-caramel?”. Źle to przyjął. W konsekwencji tej złośliwości musiałem się uciec do kolejnego strajku głodowego. Nie chcieli oddać mi pryczy ani zdjąć kajdanków. Zdjęli mi je wreszcie i oddali pryczę po czterdziestu siedmiu dniach, które spędziłem, żywiąc się wyłącznie paroma kroplami kawy. Napisałem nawet o tym poezję.

*Jaką?*

Tę zatytułowaną *Chcę*. „Chcę się modlić / tak samo mocno jak chcę bluźnić / Chcę karać / tak samo mocno jak chcę wybaczać / Chcę dawać / tak samo mocno jak chciałem na początku / Chcę wygrać / jako że nie mogę zostać pokonany”. Ale teraz opowiem ci o innej próbie. O tej, którą podjąłem pod koniec lutego 1970 roku. W styczniu zostałem przeniesiony do Centrum

Szkoleniowego Policji Wojskowej w Gudi i wśród strażników był pewien przyjaciel. Natychmiast zaplanowałem kolejną ucieczkę. Moja cela była zamykana na dwie kłódki. Poprosiłem przyjaciela, by kupił na bazarze tyle kłódek podobnych do tych, ile tylko zdoła. Razem z kłódkami klucze. Przyniósł mi ich około stu. Wypróbowywaliśmy je kolejno i jeden był tym, którego szukaliśmy. Ale oczywiście otwierał tylko jedną kłódkę. Należało więc znaleźć również drugi. Kazałem mu wrócić na bazar i kupić więcej kłódek. Tak zrobił i dwa dni później, 16 lutego, on mnie pilnował; od ósmej do jedenastej rano, od dziesiątej do północy wieczorem. Wykorzystaliśmy poranek na wyprobowanie nowych kłódek i w ten sposób znaleźliśmy klucz otwierający drugą kłódkę. Oszalałem z radości; miałem uciec tej nocy. A raczej mieliśmy uciec. Z pewnością nie mógł tam zostać po mojej ucieczce. Wszystko było gotowe. Niepowodzenie wydawało się niemożliwe. Tymczasem... Tymczasem dwie godziny później, około jedenastej rano, przyszli po mnie i zabrali mnie znowu do Boiati. Gdzie wybudowali dla mnie specjalną celę. Z żelbetonu. Wtedy zrozumiałem, że przeniesienie do Gudi było jedynie po to, by zbudować dla mnie nową celę. Bezpieczną celę, z żelbetonu.

*Celę, w której przebywałeś do przedwczoraj?*

Tak. I w niej mnie zamknęli. Z tej nowej celi po raz pierwszy próbowałem uciec 2 czerwca 1971 roku. Wówczas znowu przeniesiono mnie do Centrum Policji Wojskowej, ale tu również próbowałem ucieczki, 30 sierpnia. Ta ucieczka zyskała więcej rozgłosu, bo była w nią zamieszana lady Fleming i wyniknęła z niej proces. Widzisz, sekret polega na tym, by się nie poddawać, nie czuć się nigdy ofiarą, nie zachowywać się nigdy jak ofiara. Ja nigdy nie grałem ofiary; nawet wtedy, gdy zadreślałem się strajkami głodowymi. Wymyślałem nieustannie nowe sposoby ucieczki i zawsze udawałem, że jestem w dobrym humorze albo agresywny. Choć zdychałem ze smutku. Smutek... Samotność... Opowiedziałem o niej również w tomiku wierszy, który otrzymał Premio Viareggio. Posłuchaj, samotność pokonuje się wyobraźnią. Ile biografii stworzyłem w myśli, usiłując pokonać samotność. I jak intensywnie przeżyłem każde życie dzięki wyobraźni.

*Jednak raz udało ci się uciec, Alekos.*

Tak, z Georgiosem Morakisem, który z mojej winy został skazany na szesnaście lat więzienia i nie korzysta nawet z tej amnestii, bo jest uważany za dezertera. Georgios Morakis był młodym podoficerem i dobrowolnie zaoferował swoją pomoc. Och, moja ucieczka z Georgiosem Morakisem była taka zabawna. Byłem przebrany za kaprała i trzymałem w ręku pęk kluczy do

wszystkich cel. Gdy dotarliśmy do ostatnich drzwi, rzuciłem klucze młodemu żołnierzowi pełniącemu wartę i mówię: „Otwieraj drzwi, kuchciku”. Żołnierz mnie nie rozpoznał. Wypreżył się na baczność, otworzył nam drzwi, a ja nakazałem nawet, by nie robić hałasu, krzyżąc kto tam, gdybyśmy wracali. Rozumiesz, cały czas istniała możliwość, że nam się nie uda i że będziemy musieli wrócić po cichu do więzienia, jeśli nie zdołamy przeskoczyć muru. Ostatnie drzwi prowadziły na właściwy plac wojskowy; żeby się stamtąd wydostać, wystarczyło przeskoczyć mur. Chociaż mur był bardzo wysoki i zwieńczony drutem kolczastym. Pochyliłem się, Morakis wszedł mi na ramiona i przeskoczył przez mur. Potem ja chwyciłem się wyciągniętych rąk Morakisa i w drogę. Na spacer po Atenach. Szkoda, że cztery dni później nas złapali. Aresztowali mnie w domu zdrajcy, Takisa Patitsasa. Ten Patitsas był związany z Greckim Ruchem Oporu od 1967 roku. Pracował w biurze podróży i dostarczył nam pewną liczbę kradzionych paszportów. Podczas przesłuchań torturowali mnie również po to, by dowiedzieć się czegoś o nim i oczywiście nic nie powiedziałem. Rzeczywiście, Patitsas nigdy nie został aresztowany. Po ucieczce poszedłem do jego domu pełen zaufania. Planowałem, że zostanę tam tylko kilka dni. Na czas, jaki będzie konieczny, by zdobyć informacje i odzyskać kontakt z towarzyszami z mojej grupy Greckiego Ruchu Oporu. Przyjął mnie, całując i ściskając, ale dzień później opuścił dom, w którym mnie gościł i pojawił się ponownie dopiero po czterdziestu ośmiu godzinach. Porozmawialiśmy, zjedliśmy coś razem, a następnego ranka wyszedł, mówiąc, że idzie do pracy. Tymczasem nie poszedł do pracy. Poszedł na żandarmerię i przekazał im klucze. Tak nas złapali: otwierając drzwi kluczami Patitsasa. W zamian za to otrzymał nagrodę w wysokości pięciuset tysięcy drachm. Około dziesięciu milionów lirów. Porozmawiajmy proszę o czym innym.

*Tak, porozmawiajmy o czym innym. Porozmawiajmy o Papadopolosie.*

Słuchaj, ja nie potrafię brać tego Papadopolosa na poważnie. To postać, którą można zrozumieć tylko wtedy, gdy przeanalizuje się jej historię. Historię, która od razu ukazuje, jak bardzo jest nikczemny, chory na umyśle, fałszywy. Przez sześć lat mówił wyłącznie kłamstwa i ileż razy mu to napisałem, by wyrzucić z siebie niesmak! Wiesz, w tych listach, które przekazywałem naczelnikowi więzienia. W każdym z nich nazywałem go pajacem, błaznem, bufonem, zbrodniarzem i umyślowo chorym. Nie myśl, że przesadzam albo ponosi mnie gniew. Wszystko to wynika jasno z jego życiorysu. To on był tym kapitanem, który w 1951 roku wziął udział w zamachu stanu, zresztą nieudanym, dowodząc brygami „Cristeas” i „Tabularis”. To on,

jako podpułkownik, był sekretarzem komisji, która przygotowała słynny plan Peryklesa, mający na celu sfałszowanie wyników wyborów w 1961 roku. Kiedy demokratyczny rząd zarządził śledztwo na temat planu Peryklesa, ten kretyn odrzekł, że nie zna greckiej składni, więc nie może ponosić za to odpowiedzialności. Możesz znaleźć tę informację w oficjalnych dokumentach, opublikowanych zresztą we wszystkich greckich gazetach z tego okresu. To on na początku 1965 roku dokonał sabotażu w swoim oddziale, a potem osobiście torturował kilku swoich żołnierzy, by wyznali, że był to sabotaż komunistyczny. Stał na czele Biura Propagandy i Wojny Psychologicznej i wszyscy wiedzą, że nakazał zamordowanie Policarposa Gheogatzisa. Wszyscy wiedzą, że to on chciał tego epizodu, za pomocą którego usiłowano mnie zamordować w więzieniu. Zresztą to, że jest człowiekiem śmiesznym, można wywnioskować również z faktu, że objął amnestią także katów. Czy to nie jest potwierdzenie, że tortury istniały? I czy nie jest to jednoznaczne z zachętą do dalszych tortur?

*Tak, ale nie uniemożliwia mu to pozostania przy władzy.*

Słuchaj, skoro odpowiadasz mi, że to wszystko nie wyklucza jego zdolności pozostania przy władzy, odpowiem pewną refleksją. Przebywając w Rzymie, widziałem film z Mussolinim przemawiającym do tłumu z Palazzo Venezia. I oszołomiony zastanawiałem się, jak Włosi przez tyle lat mogli wierzyć tak śmiesznemu człowiekowi, który przemawiał w tak śmieszny sposób. A jednak Mussolini był potężnym i na swój sposób zdolnym dyktatorem. Czy kradzież i sprawowanie władzy powoduje może, że nie można być śmiesznym? Różnica między Papadopulosem a Mussolinim jest taka, że jakkolwiek by było, Mussolini miał poparcie ludu. Papadopoulos nie ma zaś nawet tego. Jego władza opiera się jedynie na juncie, czyli na dziesięciu oficerach sprawujących kontrolę nad całą armią. Jest drobnym przywódcą drobnej szajki. Ponadto działa w zły wierz. Nie przedstawia siebie tak jak Franco, który mówi: „Ja jestem szefem. Koniec i kropka”. Przedstawia siebie, mówiąc o rewolucji czy wręcz o demokracji. Demokracja! Ale co to za demokracja, gdzie jeden człowiek sam staje do wyborów, nie mając nawet tyle wstydu, by wymyślić sobie przeciwnika i opozycję? Powiecie: ale przecież jesteś wolny dzięki amnestii Papadopoulosa. Czyż nie rozumiecie, że to oszustwo, kpina? Czy nie rozumiecie, że za tym jego zarządzeniem ukryty jest podstęp, pozwalający na przedłużenie tyranii?

*Co sądzisz o Konstantynie, Alekos?*

Naturalnie zawsze byłem republikaninem i to nie ja z pewnością ubolewam nad Konstantynem. Poza tym Konstantyn stworzył warunki do wypędzenia go z kraju, gdy zmusił Papandreu do dymisji w lipcu 1965 roku. Nie interesuje mnie podkreślanie, czy lubię Konstantyna, czy nie. Interesuje mnie, czy Konstantyn może być przydatny w walce z juntą. Możliwe, że tak. Ponieważ możliwe jest, że Konstantyn ma jeszcze wpływy w niektórych sekcjach wojska, zwłaszcza wśród oficerów. Być może na razie nie powinniśmy go ignorować. I obecnie nie możemy czynić mu problemów. Jest już wrogiem junty. I nie ma już innego wyboru niż pozostać wrogiem junty.

*Alekos, czy sądzisz, że Papadopoulos uwolnił was, by go obalić?*

Doprawdy, nie. Ale on sądzi, że nie można go obalić. Na tym polega jego błąd, bo ruch oporu jest w Grecji rzeczywistością. Ludzie w nim uczestniczą, choć na razie w sposób bierny. Uczestniczą w nim na przykład, odrzucając jednogłośnie dyktaturę. Zobowiązanie, jakiego podjął się cały grecki świat polityczny, polega na posłuszeństwie wobec woli ludu. I zobowiązanie to przejawia się w nieudzielaniu Papadopoulosowi pomocy w legalizacji jego reżimu. Jestem pewien, że żaden odpowiedzialny grecki polityk nie weźmie udziału w maskaradzie, jaką są wybory. Powinnaś zrozumieć, że możemy go obalić. Papadopoulos nie wyłonił się z wojny domowej jak Franco; wyłonił się z zamachu stanu. Gdy Franco doszedł do władzy, jego przeciwnicy byli zdziesiątkowani. Pokonani. Ostatni zwolennicy demokracji opuścili Hiszpanię, tak jak El Campesino. Tutaj sytuacja jest inna. Tu nikt nie został pokonany. Nikogo nie zdziesiątkowano. I by położyć kres dyktaturze, wystarczy, żeby naród grecki nie zasnął tak, jak zasnął naród włoski. Naród ma zawsze tendencję do spania, poddawania się, godzenia się na wszystko. Jednak wystarczy niewiele, by go obudzić. Cóż! Może brakuje mi realizmu, informacji i logiki. Ale jeśli mówimy o logice, odpowiem: Od kiedy to logika tworzy historię? Gdyby logika tworzyła historię, Włosi nie pozwoliliby się omamić Mussoliniemu, nie istniałby Hitler, a Papadopoulos nigdy nie doszedłby do władzy. Dowodził jedynie paroma jednostkami w całej Attyce i paroma jednostkami w Macedonii. A jeśli mówimy o polityce...

*Ale jaka jest twoja ideologia polityczna, Alekos?*

Nie jestem komunistą, jeśli o to ci chodzi. Nigdy nie mógłbym nim być, jako że odrzucam dogmaty. Tam gdzie są dogmaty, nie ma wolności, więc dogmaty mi nie odpowiadają. Zarówno dogmaty religijne, jak i społeczno-polityczne. Wyjaśnwszy to, trudno mi założyć identyfikator i powiedzieć, że należę do tej czy innej ideologii. Mogę jedynie powiedzieć, że jestem socjalistą;

w naszych czasach bycie socjalistą jest normalne, rzekłbym, nieuniknione. Jednak mówiąc o socjalizmie, mam na myśli socjalizm wprowadzony w całkowicie wolnym ustroju. Nie może istnieć sprawiedliwość społeczna, jeśli nie istnieje wolność. Te dwa pojęcia są dla mnie powiązane. I taką politykę chciałbym prowadzić, gdybyśmy mieli w Grecji demokrację. Taka polityka zawsze mnie pociągała. Och, gdybym pochodził z demokratycznego kraju, sądzę doprawdy, że poświęciłbym się polityce. Bo to, czym zajmuję się teraz i czym zajmowałem się dotychczas, to nie polityka; to tylko flirt z polityką. A ja owszem, lubię flirtować, ale o wiele bardziej podoba mi się miłość. W demokracji prowadzenie polityki staje się tak piękne, jak kochanie się z miłości. I na tym polega mój problem. Widzisz, istnieją ludzie zdolni do prowadzenia polityki tylko w czasie wojny, to znaczy w dramatycznych okolicznościach, i istnieją ludzie zdolni do uprawiania polityki tylko w czasie pokoju, to znaczy w normalnych okolicznościach. Paradoksalnie, należę do tych drugich. Koniec końców, z Garibaldiego i Cavoura wolę Cavoura. Musisz jednak zrozumieć, że od chwili, gdy Rada przejęła władzę, ani ja, ani moi towarzysze nie uprawialiśmy polityki. I nie będziemy jej uprawiać do chwili, aż Rada zostanie obalona. Nie powinniśmy uprawiać polityki, nie możemy uprawiać polityki, jeśli nie mamy skutecznej siły. A tą skuteczną siłą jest opór, to znaczy walka.

*Alekos, twierdzisz, że paradoksalnie, należysz do zwolenników Cavoura. To doprawdy paradoks, zważywszy, że jako postać polityczna, wstawiałeś się dość garibaldińskim zamachem. Alekos, czy zdarza ci się kiedykolwiek przeklinać dzień, w którym dokonałeś tego zamachu?*

Nigdy. Z tych samych powodów, dla których nigdy nie żałuję. Posłuchaj, wystarczyłoby, abym powiedział na procesie, że żałuję, a nie skazano by mnie na śmierć. Tymczasem tego nie powiedziałem, tak jak nie mówię tego teraz, ponieważ nie zmieniłem zdania. I myślę, że nie zmienię go również w przyszłości. Papadopoulos winny jest zdrady stanu i wielu innych przestępstw, za które w moim kraju karze się śmiercią. Nie postąpiłem jak szalony fanatyk i nie jestem szalonym fanatykiem. Zarówno ja, jak i moi towarzysze działaliśmy jako narzędzia sprawiedliwości. Gdy jakiemuś narodowi zostaje narzucona tyrania, obowiązkiem każdego obywatela staje się zabicie tyrana. Nie należy żałować i nasza walka będzie trwała, dopóki w Grecji nie zostanie przywrócona sprawiedliwość i wolność. Wstąpiłem, a raczej wstąpiliśmy na drogę, z której nie ma odwrotu.

*Wiem. Opowiedz mi o zamachu, Alekos.*

To był dobrze przygotowany zamach, do najdrobniejszych szczegółów. Przewidziałem wszystko. Miałem zdetonować dwie miny z odległości około dwustu metrów. Miny były dobrze umieszczone. Sam je zrobiłem. To były dwie porządne miny. Każda z nich zawierała pięć kilogramów trotylu i półtora kilograma innego środka wybuchowego, C3. Zakopałem je na głębokości metra po obu stronach małego mostu, przez który miał przejeżdżać samochód Papadopulosa, podążając drogą ciągnącą się wzdłuż morza od Sunio do Aten. Wybuch miał mieć zasięg czterdziestu pięciu stopni i stworzyć kolistą wyrwę mniej więcej dwumetrowej średnicy. Wystarczyłby jeden wybuch, wybuch jednej tylko miny, by ugodzić w cel, pod warunkiem, że samochód przejechałby we właściwym momencie. Lecz na skutek błędu towarzysza, który wkładał lont do bagażnika samochodu, okazał się poplątany i pogmatwany do tego stopnia, że udało mi się z niego odzyskać tylko około czterdziestu metrów. Problem w tym, że z tej odległości niemożliwe było odpalenia zapalnika, ponieważ nie miałbym żadnego miejsca, aby się schować. Jedyne miejsce, gdzie mogłem się schować, znajdowało się w odległości ośmiu do dziesięciu metrów od mostu. Musiałem spróbować mimo wszystko. Natychmiast zdałem sobie sprawę z wad i zagrożeń takiej pozycji. Najpoważniejsze było to, że nie widziałem dobrze drogi. Przed zamachem przeprowadziłem wiele prób i wybrałem stanowisko oddalone o dwieście metrów, ponieważ zauważyłem, że gdy samochód znajduje się między mną a mostem, jest na wpół zasłonięty przez znak drogowy. W tej chwili powinienem podpalić lont. Na nowym stanowisku nie miałem zaś dobrego widoku drogi, nie mogłem więc dostrzec samochodu w chwili, gdy miałem zapalić lont. Inną wadą tego stanowiska było to, że ucieczka stamtąd była niemal niemożliwa. Wzdłuż drogi co pięćdziesiąt albo sto metrów stał żandarm. A dalej wiele policyjnych samochodów. Jeden z nich w odległości nie więcej niż dziesięciu metrów.

*Więc musiałbyś skoczyć stamtąd do morza?*

Dokładnie. A szybka motorówka czekała na mnie ukryta w odległości dobrych trzystu metrów. Zrozumiałem natychmiast, że ucieczka nie była prawie niemożliwa, lecz niemożliwa. Postanowiłem działać mimo wszystko. Podpaliłem lont i od razu wskoczyłem do wody. Przepląnąłem pod wodą dwadzieścia lub trzydzieści metrów. Później wypłynąłem na powierzchnię, by zaczerpnąć tchu. Zdałem sobie natychmiast sprawę, że nie widzieli, jak skakałem do morza. Policjanci biegli ze wszystkich stron w kierunku miejsca wybuchu. Przepląnąłem jeszcze kawałek, a następnie wyszedłem z wody, by dotrzeć do motorówki przez skały, a więc szybciej. Biegłem pochylony, z opuszczoną głową. I w pewnej chwili ujrzałem



oddalającą się motorówkę. Plan przewidywał, że będzie na mnie czekała pięć minut, nie dłużej. Nie uległem jednak rozpaczy. Plan miał pewien wariant: gdyby motorówka nie mogła przyplłynąć lub musiałaby odplłynąć, zanim mnie zabierze, miałem pozostać ukryty wśród skał do późna w nocy. Wiele samochodów miało na mnie czekać w różnych miejscach i po wyjściu z mojej kryjówki w ciemności dotarłbym do jednego z nich. Oczywiście byłoby to niewygodne, bo miałbym na sobie jedynie kąpielówki, ale nie stanowiło to zbyt wielkiego problemu. Schowałem się więc wewnątrz małej jaskini i pozostałem tam przez dwie godziny. Dwie godziny, podczas których policja przybrzeżna i wojskowa szukały mnie bez przerwy. I w ciągu tych dwóch godzin nabrałem optymizmu; nie znaleźli mnie do tej pory, więc już mnie nie znajdą. Później wydarzyło się coś, co powinienem określić mianem fatum. Dokładnie nad jaskinią, gdzie byłem ukryty, stał oficer żandarmerii. Usłyszałem, jak mówił: „Tu go nie ma, rzućmy okiem za tymi krzakami, a potem poszukajmy go gdzie indziej”. Ale kiedy kierował się gdzie indziej, przewrócił do tyłu i... upadł dokładnie przede mną. Natychmiast mnie zobaczył. W ułamku sekundy wszyscy znaleźli się nade mną. Bili mnie, pytali: „Kim jesteś? Gdzie są pozostali? Kto uciekł motorówką? Mów, mów!”. I dalej ciosy... ciosy... Udałem, że jestem niemy, i nie odpowiedziałem na żadne z pytań. Wtedy zabrali mnie na górę i wepchnęli mnie do samochodu i...

*Nie opowiadaj dalej, jeśli nie chcesz. Tyle wystarczy.*

Dlaczego? Miałem powiedzieć, że w samochodzie znajdowali się minister bezpieczeństwa publicznego generał Zevelekos i pułkownik Ladas. Pewien policjant, który znał mnie od dawna, wykrzyknął: „To Panagulis!”. W ten sposób oficerowie pomyśleli, że to mój brat, Georgios. Kapitan Georgios Panagulis, którego szukali od sierpnia 1967 roku. Zaczęli krzyżeć: „Złapaliśmy cię, kapitanie! Teraz obedrzemy cię ze skóry!”. Potrzebowali dalszych trzydziestu godzin, by zrozumieć nieporozumienie. W ciągu tych trzydziestu godzin stosowali wszystkie najbardziej brutalne, najpodlejsze metody przesłuchania. Mówili mi: „W Salonikach aresztowaliśmy Aleksandrosa! I Aleksandros cierpi w tej chwili jeszcze bardziej niż ty!”. Wypytywali mnie też o oficerów, których oczywiście nie znałem. Pytali mnie na przykład o generała Angelisa, który był wówczas dowódcą naczelnym sił zbrojnych. Chcieli się dowiedzieć, czy był zamieszany w zamach, i torturowali mnie, żeby się tego dowiedzieć. Byli ogarnięci paniką i robili mi okropne rzeczy, ale przesłuchiwali mnie w sposób bynajmniej niesystematyczny; histerycznie. Gdy wreszcie zrozumieli, że nie jestem Georgiose, tylko Aleksandrosem, rozwścieczyli się do tego stopnia, że podwoili tortury.

*Nie myśl już o tym, Alekos. Może to okrutne, co powiem, ale wydarzyło się to, co miało się wydarzyć. Bo dzisiaj stanowisz symbol, na który nawet wrogowie spoglądają z podziwem i szacunkiem.*

Wydajesz się jedną z tych, którzy mówią: „Alekos, jesteś bohaterem!”. Nie jestem bohaterem i nie czuję się jak bohater. Nie stanowią symbolu i nie czuję się jak symbol. Nie jestem liderem i nie chcę być liderem. A ta popularność mnie peszy. Przeszkadza mi. Mówiłem ci już, że nie jestem jedynym Grekiem, który cierpiał w więzieniu. Przysięgam ci, że jestem w stanie znosić tę popularność tylko wtedy, gdy pomyślę, że może czemuś posłużyć, tak jak posłużyłaby moja śmierć. A wtedy podchodzę do niej z takim samym dystansem, z jakim przyjąłem swój wyrok śmierci. Jednak nawet rozpatrywana w ten sposób jest to bardzo niewygodna popularność. I niemiła. Kiedy mnie pytacie: „Co zrobisz, Alekos”, robi mi się słabo. Co mam zrobić, żeby was nie zawieść? Tak bardzo się boję, że zawiodę was, którzy tyle we mnie widzicie! Och, gdybyście zdołali nie patrzeć na mnie jak na bohatera! Gdybyście zdołali ujrzeć we mnie tylko człowieka!

*Alekos, co oznacza bycie człowiekiem?*

Oznacza mieć odwagę, mieć godność. Oznacza wierzyć w ludzkość. Oznacza kochać, nie pozwalając, by miłość stała się kotwicą. Oznacza walczyć. I zwyciężać. Wiesz, mniej więcej to, co mówi Kipling w wierszu zatytułowanym *Jeśli*. A czym dla ciebie jest człowiek?

*Myszę, że człowiek to ty, Alekos.*

*Ateny, wrzesień 1973*

# SUPPLEMENT

## Nota od wydawcy

Rizzoli opublikowało *Wywiad z historią* w 1974 roku, w wersji w twardej oprawie i z obwolutą. Jak pisze Oriana Fallaci w przedmowie z 1974 roku, książka powstała „w przeciągu dwóch lat, podczas których przeprowadziłam osiemnaście wywiadów dla mojego dziennika »L'Europeo«”. Pierwsze wydanie zawiera wywiady z Henrym Kissingerem (listopad 1972), Nguyenem Van Thieu (styczeń 1973), generałem Giapem (luty 1969), Norodomem Sihanoukiem (czerwiec 1973), Goldą Meir (listopad 1972), Jasirem Arafatem (marzec 1972), George'em Habbaszem (marzec 1972), królem Jordanii Husajnem (kwiecień 1972), Indirą Gandhi (luty 1972), Alim Bhutto (kwiecień 1972), Sirimavo Bandaranaike (sierpień 1972), Pietro Nennim (kwiecień 1971), Giovannim Leone (kwiecień 1973), Willy Brandtem (wrzesień 1973), Hajle Syllasje (czerwiec 1972), Mohammadem Rezą Pahlawim (październik 1973), Helderem Camarą (sierpień 1970), Aleksandrosem Panagulisem (wrzesień 1973).

Książka zdobyła natychmiastowe powodzenie wśród czytelników, została przetłumaczona w jedenastu krajach, a w 1977 roku wydawnictwo BUR opublikowało ją ponownie w wersji kieszonkowej, poszerzonej o dziesięć nowych wywiadów: z Giuliem Andreottim (marzec 1974), Giorgiem Amendolą (styczeń 1974), Ahmedem Zakim Yamanim (sierpień 1975), Williamem Colbym (marzec 1976), Otisem Pike'em (marzec 1976), Mário Soaresem (dwa wywiady, maj i wrzesień 1975), Álvaro Cunhalem (czerwiec 1975), Santiago Carrillem (październik 1975) i z arcybiskupem Makariosem (listopad 1974). Z tego nowego wydania został wyłączony wywiad z Giovannim Leone. W roku 1994 ukazała się edycja Superbur, a w roku 2001 edycja BUR Oro.

Wywiady nie zostały ułożone w porządku chronologicznym, lecz zebrane przez autorkę w sekwencję, która odpowiada jej wizji „historii najnowszej” i jej powstawania. Każde spotkanie poprzedza tekst, w którym Fallaci przedstawia postać czytelnikowi, opowiadając częściowo jej życie i dodając nieco komentarzy na temat wywiadu, tego, co ewentualnie działo się za kulisami, i późniejszego przyjęcia po opublikowaniu przez „L'Europeo” ze strony bezpośrednio zainteresowanego i jego zwolenników. Teksty te, tak samo jak przedmowa, zostały przejrane i uaktualnione przez autorkę do wydania BUR z 1977 roku i w tej formie powtórzone w wydaniach z 1994 i 2001 roku.

Obecne wydanie zawiera pełne dwadzieścia osiem wywiadów. W dalszej części znajdują się noty biograficzne postaci, z którymi przeprowadzono wywiady, autorstwa redakcji BUR;

została zachowana oryginalna pisownia nazwisk, wybrana przez Autorkę (w tym wydaniu zastosowano pisownię przyjętą w Polsce).

## Noty biograficzne

**Henry Kissinger**, właściwie Heinz Alfred Kissinger, urodził się w Fürth w Niemczech 27 maja 1923 roku; w 1938 roku, na skutek nazistowskich prześladowań antysemickich, wraz z rodziną opuścił kraj i osiadł w Nowym Jorku. W roku 1943 uzyskał amerykańskie obywatelstwo. Studiował na Harvardzie, wyróżniał się w badaniach stosunków międzynarodowych, udzielał konsultacji wielu organom rządu federalnego, włączył się do polityki jako republikanin o tendencjach liberalnych. Zrobił błyskawiczną karierę. Oriana Fallaci przeprowadziła z nim wywiad w listopadzie 1972 roku, gdy był sekretarzem stanu podczas prezydentury Nixona. Nie będąc zamieszany w aferę Watergate, pozostał na tym stanowisku również za prezydentury Forda, odgrywając dominującą rolę w amerykańskiej polityce zagranicznej do 1977 roku. Nadal działa w dyplomacji na scenie amerykańskiej i międzynarodowej. W wywiadzie udzielonym 25 listopada 2006 roku Gianniemu Riotcie dla stacji TG1 powiedział na temat Oriany Fallaci: „Była wielką Włoszką. Esencja [moich odpowiedzi podczas wywiadu] była prawdziwa”.

**Nguyen Van Thieu** urodził się 5 kwietnia 1923 roku w środkowym Wietnamie w wiosce na wybrzeżu. Został prezydentem Wietnamu Południowego w 1967 roku, po swoim udziale w zamachu w 1963 roku mającym na celu obalenie ówczesnego prezydenta. Radykalny antykomunista, sprzeciwiał się jakimkolwiek próbom porozumienia z przywódcami komunistycznej partyzantki podejmowanym przez amerykańskiego sojusznika. W 1975 roku, na krótko przed zwycięstwem Wietnamu Północnego, podał się do dymisji i wyjechał się na Tajwan. W 1979 roku udał się do Anglii, przebywał w Surrey, a następnie w Londynie. W roku 1990 przeprowadził się do Bostonu, skąd apelował do wietnamskich uchodźców, by wracali do ojczyzny uzbrojeni i obalili komunistyczny reżim. W tym samym roku wietnamski rząd zniszczył w zarodku tajną sieć komórek wojskowych. W 1992 roku, w wywiadzie udzielonym „Boston Globe”, Van Thieu wyraził przekonanie, iż mógłby stać się dla ówczesnego prezydenta Clintona pośrednikiem w stosunkach z komunistycznym Wietnamem. Zmarł we wrześniu 2001 roku w szpitalu Beth Israel w Bostonie.

**Vo Nguyen Giap** urodził się 25 sierpnia 1911 roku w An Ka w Wietnamie. Doskonały taktyk i strateg wojskowy, dowodził siłami, które uwolniły Wietnam spod francuskiej dominacji kolonialnej i pokonały siły amerykańskie i południowowietnamskie w wojnie wietnamskiej. Po śmierci Ho Chi Minha we wrześniu 1969 roku, mimo iż był kandydatem na prezydenta, zachował

stanowisko ministra obrony. Odegrał decydującą rolę w zdjęciu z urzędu przywódcy Kambodży Pol Pota. Był kluczową postacią Wietnamskiej Partii Komunistycznej; choć w 1982 roku wycofał się z życia publicznego, nadal pozostawał ważną osobistością w kraju. W maju 2004 roku, podczas obchodów pięćdziesiątej rocznicy klęski Francuzów pod Dien Bien Phu, legendarny generał pojawił się publicznie.

**Norodom Sihanouk** urodził się 31 października 1922 roku, odbył studia w Phnom Penh i w Sajgonie, został mianowany królem Kambodży we wrześniu 1941 roku po śmierci dziadka ze strony matki. W 1953 roku przebywał na wygnaniu w Tajlandii, w tym czasie Kambodża uwolniła się spod panowania Francji. W 1955 roku abdykował na rzecz ojca, mianował się premierem, a następnie, w 1963 roku, dożywotnią głową państwa, łącząc w swym ręku całą władzę. Podczas wojny w Wietnamie jego stanowisko początkowo było neutralne, później przychylne wobec Wietnamu Północnego i otwarte na handel z Chinami. Został obalony na skutek zamachu stanu w 1970 roku i osiadł w Pekinie, skąd wspierał Czerwonych Khmerów Pol Pota. To oni w 1975 roku pozwolili mu wrócić do kraju, odbierając mu jednak część władzy. Od 1979 roku, w następstwie inwazji wietnamskiej na Kambodżę, przebywał ponownie na wygnaniu przez dwanaście lat. Wrócił w roku 1992, a w następnym roku został znowu koronowany na króla; był nim aż do abdykacji 7 października 2004 roku. Od tej chwili znany jest jako „król ojciec” (*Preahmâhaviraksat*) i nadal sprawuje niektóre funkcje reprezentacyjne. Słynie z ekstrawaganckiego i nietypowego stylu życia, stworzył własną stronę internetową będącą zarówno źródłem informacji na temat działalności rządu, jak i wiadomości o jego pasji piosenkarza i reżysera.

**Golda Meir** urodziła się jako Golda Mabowicz w Kijowie w 1898 roku. W roku 1906 opuściła Związek Radziecki, by przenieść się do Stanów Zjednoczonych, do Milwaukee w stanie Wisconsin. Działaczka ruchu syjonistycznego, w 1921 roku wraz z mężem Morrisem Meyersonem przeniosła się do Palestyny z zamiarem stworzenia Żydom ojczyzny. W 1948 roku należała do sygnatariuszy Deklaracji Niepodległości Państwa Izraelskiego. W tym samym roku mianowano ją ambasadorem w Związku Radzieckim. Po powrocie do Izraela została wybrana do parlamentu i mianowana ministrem pracy. W 1956 roku zmieniła nazwisko na hebrajskie Meir. Była ministrem spraw zagranicznych od 1956 do 1965 roku i w tych latach zdobyła sławę i zyskała międzynarodowy autorytet. Sekretarz generalna Partii Pracy od 1966 do 1968 roku, została wybrana na premiera w 1969. Po wojnie Jom Kipur w 1974 postanowiła odejść z czynnej

polityki, reprezentując nadal ważny głos w Partii Pracy. Zmarła w Jerozolimie 8 grudnia 1978 roku.

**Jasir Arafat**, znany również pod pseudonimem Abu Ammar, urodził się w Kairze 4 lub 24 sierpnia 1929 roku. Tam odbył studia i uzyskał tytuł magistra inżynierii lądowej. Przystąpił do Bractwa Muzułmańskiego i do Związku Studentów Palestyńskich, któremu przewodniczył od 1952 do 1956 roku. W roku 1956 odbył służbę w egipskim wojsku podczas kryzysu wokół Kanału Sueskiego. W Kuwejcie, gdzie pracował jako inżynier, brał udział w powstaniu Al-Fatah, organizacji mającej na celu utworzenie niepodległego państwa palestyńskiego. W 1969 roku stanął na czele Organizacji Wyzwolenia Palestyny, która w 1974 została uznana przez państwa arabskie za jedyne prawomocnego przedstawiciela wszystkich Palestyńczyków. Jako postać wyróżniająca się na tle światowej panoramy politycznej, Arafat stał się symbolem sprawy palestyńskiej. W 1994 roku otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla wraz z izraelskimi przywódcami Szimonem Peresem i Icchakiem Rabinem. W 1996 roku został wybrany na prezydenta Autonomii Palestyńskiej. Zmarł 11 listopada 2004 roku, po przewiezieniu ze swej kwatery głównej w Ramallah w południowej Jordanii do szpitala w Paryżu.

**George Habbasz** urodził się 2 sierpnia 1926 roku w Lod (15 kilometrów na południowy wschód od Tel Awiwu) w rodzinie o korzeniach grecko-prawosławnych. W 1948 roku, w celu zapewnienia kontroli strategicznej drogi łączącej Tel Awiw z Jerozolimą, wojsko izraelskie usunęło z tego terenu ludność arabską. Habbasz wraz z rodziną znalazł schronienie w Bejrucie, tam kontynuował studia na amerykańskim uniwersytecie medycznym, gdzie w 1951 roku uzyskał stopień lekarza pediatri. Należał do założycieli Arabskiego Ruchu Nacjonalistycznego – jego sekcja palestyńska w 1967 roku przekształciła się w Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny, którego Habbasz został sekretarzem generalnym. Odmówił uznania państwa izraelskiego, popierał zbrojną walkę w wojnie z Izraelem i stał się z czasem autorytetem dla wszystkich radykalnych grup opozycyjnych Organizacji Wyzwolenia Palestyny, postacią cieszącą się estymą wśród ludności palestyńskiej oraz arabskiej. Odgrywał aktywną rolę podczas libańskiej wojny domowej w latach 1975–1976. W 1992 roku w Tunisie doznał udaru mózgu i został przewieziony na leczenie do Paryża; w październiku tego roku ogłosił wycofanie się z działalności politycznej z powodów zdrowotnych. Zmarł w Ammanie w Jordanii 26 stycznia 2008 roku.



**Husajn**, król Jordanii urodził się 14 listopada 1935 roku. Został ogłoszony królem w roku 1953, po abdykacji ojca. Jego polityka zagraniczna uważana jest przez międzynarodowych obserwatorów za kontrowersyjną; król popierał otwarcie swego kraju na Zachód, ale by wewnątrz kraju stawić czoło partyzantom palestyńskim, musiał pozostawić wolną rękę wojsku. W 1973 roku, po zakończeniu wojny Jom Kipur, zrezygnował z wszelkich pretensji terytorialnych do południowej Jordanii. W roku 1980, po wybuchu wojny między Iranem a Irakiem, zajął stanowisko przychylne wobec Iraku (dzięki korzystnym umowom na uzyskanie ropy) i został zmuszony postawić swoje wojsko przeciwko wojsku syryjskiemu wzdłuż granicy dwóch krajów, jako że Syria sprzymierzyła się z Iranem. W kolejnych latach zerwał wszelkie stosunki z Organizacją Wyzwolenia Palestyny i zniósł w kraju prawo wojenne, pozwalając na tworzenie partii politycznych. W 1994 roku, dzięki mediacji Billa Clintona, podpisał z premierem Izraela Icchakiem Rabinem traktat pokojowy między Izraelem a Jordanią. Chory na białaczkę król Husajn zmarł w Ammanie 7 lutego 1999 roku, wprowadziwszy uprzednio poprawki do konstytucji i pozbawiwszy władzy brata Hasana, dziedzica tronu, by umożliwić sukcesję swemu pierworodnemu synowi Abdullahowi II.

**Indira Gandhi** urodziła się 19 listopada 1917 roku w Allahabadzie, jako jedyna córka Kamli i Jawaharlala Nehru, premiera Indii. W styczniu 1966 roku ona sama została wybrana na premiera i pozostawała u władzy do 1975 roku, gdy sąd uznał ją winną oszustw wyborczych i zakazał jej piastowania urzędów przez sześć lat. W tym samym roku krajem wstrząsały działania secesjonistyczne, które skłoniły Indirę Gandhi do ogłoszenia stanu wyjątkowego i do podjęcia surowych środków przeciwko opozycji. W wyborach w roku 1977 jej partia przegrała, a Indira rok później została uwięziona na kilka dni. Dokonała jednak reorganizacji i w ciągu kilku miesięcy założyła nową partię, Indyjski Kongres Narodowy, która wygrała wybory w 1980 roku, co pozwoliło jej wrócić na stanowisko szefa rządu. Trzydziestego pierwszego października 1984 roku Indira udała się z wizytą do amerykańskiego aktora Petera Ustinova do New Delhi i została tam zamordowana strzałami z pistoletu przez dwóch ze swych ochroniarzy z plemienia Sikhów. Linia rodzinna w rządzie indyjskim nie uległa przerwaniu: Rajiv Gandhi zastąpił matkę w roli premiera. W kolejnych dniach Sikhowie padli ofiarą rzezi, zginęło ich ponad trzy tysiące. W roku 1991 Rajiv zginął w zamachu podczas zjazdu wyborczego. Na krótko przed śmiercią Indira Gandhi miała publicznie oświadczyć: „Gdybym dzisiaj zmarła, każda kropla mojej krwi umocniłaby naród”.

**Ali Bhutto** urodził się w Larkanie w Pakistanie 5 stycznia 1928 roku w zamożnej rodzinie. Wkroczył do polityki i pełnił funkcje prezydenta Pakistanu w latach 1971–1973, premiera w latach 1973–1977. Próbował skierować swój kraj ku modernizacji kulturalnej i ekonomicznej, promując laicyzm i emancypację kobiet. Udało mu się opanować konflikty z Chinami i Indiami, uznał niezależność Bangladeszu, przeprowadził drastyczną, lecz bezkrwawą czystkę urzędników cywilnych i wojskowych uznanych za winnych korupcji, przeprowadził nacjonalizację głównych fabryk. Zamach stanu generała Muhammada Zia-ul-Haqa odsunął go od rządów. Został uwięziony, a następnie skazany na karę śmierci przez sąd wojskowy, na podstawie nigdy niepotwierzonego oskarżenia o zezwolenie na zabójstwo przeciwnika politycznego. Wyrok przez powieszenie wykonano w Rawalpindi 4 kwietnia 1979 roku. Jego dziedzictwo polityczne przejęła córka Benazir, która stanęła na czele Pakistańskiej Partii Ludowej, sprawując dwukrotnie funkcję premiera. Zginęła w zamachu w Rawalpindi 27 listopada 2007 roku.

**Sirimavo Bandaranaike** urodziła się 17 kwietnia 1916 roku w Ratnapurze w Sri Lance. była żoną Solomona Bandaranaike, twórcy niepodległości kraju i premiera od 1956 roku; po jego zamordowaniu w 1959 zajęła jego miejsce na czele założonej przez niego Partii Wolności Sri Lanki. Po zwycięstwie w wyborach w 1960 roku Sirimavo objęła władzę w kraju i rządziła, podążając linią polityczną zainspirowaną socjalizmem. Zmuszona do dymisji w 1965 roku, została wybrana ponownie w 1970, stając na czele koalicji składającej się z Partii Komunistycznej i Partii Trockistowskiej. Trudności gospodarcze, napięcia etniczne między Syngalezami i Tamilami oraz oskarżenia o nepotyzm doprowadziły do odsunięcia jej od władzy w 1977 roku. Po wyborze swojej córki Chandriki Kumaratungi na prezydenta kraju, w listopadzie 1994 roku ponownie objęła stanowisko premiera, jednak jej władza została mocno ograniczona. Opuściła stanowisko w sierpniu 2000 roku, na kilka tygodni przed śmiercią. Zmarła 10 października w Colombo, dokładnie w dniu nowych wyborów.

**Pietro Nenni** urodził w Faenzy 9 lutego 1891 roku. Po wywiadzie z Orianą Fallaci nadal śledził wydarzenia wewnątrz Włoskiej Partii Socjalistycznej, której był honorowym przewodniczącym, i uczestniczył w działalności senatu – w 1970 roku został mianowany dożywotnim senatorem przez Giuseppe Saragata. Znamienne było jego poparcie zwolenników rozwodów w referendum w 1974 roku. Zmarł w Rzymie 1 stycznia 1980 roku.

**Giovanni Leone** urodził się 3 listopada 1908 w Pomigliano d'Arco, w prowincji Neapol. Po wywiadzie z Orianą Fallaci, w kwietniu 1973 roku, sprawował nadal urząd prezydenta do roku 1978, kiedy to podał się do dymisji na sześć miesięcy przed zakończeniem kadencji, na skutek wybuchu afery Lockheed, związanej z bezprawnym zakupem przez państwo włoskie amerykańskich samolotów. Żaden z wysuniętych przeciwko niemu zarzutów nie został nigdy udowodniony. Po dymisji wrócił do senatu – został mianowany dożywotnim senatorem przez Giuseppe Saragata – wstępując do grupy mieszanej. Z okazji jego dziewięćdziesiątych urodzin w senacie zorganizowano kongres na jego cześć. Tego samego dnia dzienniki opublikowały komunikat, w którym Marco Pannella i Emma Bonino przyznali, że nie mieli racji, atakując Leone dwadzieścia lat wcześniej. Zmarł w Rzymie 9 listopada 2001 roku.

**Giulio Andreotti** urodził się w Rzymie 14 stycznia 1919 roku. Po wywiadzie z Orianą Fallaci, w marcu 1974, znalazł się w centrum włoskiego życia politycznego, sprawując kilka razy urząd premiera i ministra. W 1991 roku został mianowany przez Francesco Cossigę dożywotnim senatorem. Uczestniczył w licznych sprawach sądowych, z których wyszedł uniewinniony po długich procesach, które dzieliły opinię publiczną. Obok kariery politycznej prowadził działalność dziennikarską i pisarską, publikował książki o tematyce historycznej i pamiętniki.

**Giorgio Amendola** urodził się w Rzymie 21 listopada 1917 roku. Po wywiadzie z Orianą Fallaci, w styczniu 1974 roku, nadal sprawował funkcje we Włoskiej Partii Komunistycznej, lecz oddawał się również pasji pisarskiej, wydając ważne dzieła. Zmarł w Rzymie 5 czerwca 1980 roku. Kilka godzin po jego zgonie zmarła złamana bólem jego żona, Germaine Lecocq, Francuzka, poznana w Paryżu w latach wygnania.

**Willy Brandt**, pseudonim Herberta Ernsta Karla Frahma, urodzonego w Lubece 18 grudnia 1913 roku. Był burmistrzem Berlina od 1957 do 1966 roku, ministrem spraw zagranicznych i wicekanclerzem od 1966 do 1969 roku i kanclerzem Republiki Federalnej Niemiec od roku 1969 do 1974. Czołowy przedstawiciel i poseł Socjaldemokratycznej Partii Niemiec, której był przewodniczącym od roku 1964 aż do 1987, zyskał sławę na arenie międzynarodowej dzięki tak zwanej Ostpolitik, zorientowanej na poszerzenie stosunków z krajami wschodnimi. W 1971 roku otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla. W latach 1976–1992 był przewodniczącym Międzynarodówki Socjalistycznej i członkiem Parlamentu Europejskiego od 1979 do 1983 roku. W roku 1990 otworzył pierwsze po zjednoczeniu wspólne obrady

połączonego Bundestagu. Spełniło się marzenie jego życia. Zmarł w Unkel 8 października 1992 roku.

**Hajle Syllasje** urodził się 23 lipca 1892 roku. Cesarz Etiopii w latach 1930–1936 i 1941–1974. W roku 1931 utworzył pierwszy senat notabli, a następnie założył uniwersytet w Addis Abebie. W 1936 roku musiał opuścić kraj na skutek inwazji włoskiej, wrócił do ojczyzny w roku 1941 i kontynuował dzieło modernizacji, likwidując władzę arystokracji ziemskiej, reorganizując wojsko i ogłaszając w roku 1955 pierwszą konstytucję. Zapewnił Etiopii przewodnictwo Organizacji Jedności Afrykańskiej. W roku 1974 wybuchł poważny bunt wojska, który zmusił Syllasje do poczynienia licznych ustępstw na rzecz sił zbrojnych. Zdetronizowany w październiku 1974 roku przez Tymczasową Radę Wojskową zmarł 27 sierpnia 1975 roku w niewyjaśnionych okolicznościach. Od jego imienia Ras Tafari wziął nazwę ruch religijny rastafarian, który powstał na Jamajce.

**Mohammad Reza Pahlawi** urodził się w Teheranie 26 października 1919 roku. Jego ojciec, szach Persji od roku 1925, utrzymywał przyjazne stosunki z nazistowskimi Niemcami. W 1941 roku alianci zmusili go do opuszczenia kraju i nakłonili Mohammada Rezę, aby został szachem. Z czasem przejął pełnię władzy, prowadził politykę przychylną Stanom Zjednoczonym, pozwalając międzynarodowym korporacjom na eksploatację krajowych zasobów i wywołując silne niezadowolenie ludności, która źle znosiła jego władzę absolutną i represje tajnej policji. Pod koniec 1978 roku wrócił do kraju wygnany na skutek spisku w roku 1963 opozycyjny wobec szacha ajatollah Chomeini i wojsko przeszło na jego stronę. W roku 1979 szach został zmuszony do opuszczenia kraju i schronienia się w Stanach Zjednoczonych, gdzie Jimmy Carter udzielił mu azylu politycznego. W celu rozwiązania sytuacji Amerykanów, przetrzymywanych jako zakładnicy w ambasadzie w Teheranie przez islamskich studentów, będących zwolennikami Chomeiniego, Mohammad Reza Pahlawi przyjął zaproszenie egipskiego prezydenta Sadata. Zmarł w Kairze 27 lipca 1980 roku.

**Ahmed Zaki Yamani** urodził się w Mekce 30 czerwca 1930 roku. Po studiach uniwersyteckich w Stanach Zjednoczonych w 1958 roku został doradcą rządu saudyjskiego, a w 1962 otrzymał stanowisko ministra do spraw ropy naftowej i surowców mineralnych. Funkcję tę sprawował do roku 1986, łącząc ją ze stanowiskiem ministra OPEC przez 25 lat. Podczas kryzysu naftowego w 1973 roku zdobył międzynarodową sławę dzięki swoim zdolnościom dyplomatycznym. W grudniu 1975 roku, uwięziony w Wiedniu jako zakładnik wraz z innymi

przedstawicielami OPEC przez terrorystę Carlosa, zamierzającego go zabić, zdołał się uratować po wielogodzinnych pertraktacjach. W roku 1986 król Fahd pozbawił go stanowiska ministra, kładąc kres jego niekwestionowanej władzy w przemyśle i gospodarce naftowej. W 1990 roku Yamani założył w Londynie Centrum Globalnych Badań nad Energią.

**William Egan Colby** urodził się 4 kwietnia 1920 roku w St. Paul w Minnesocie. Zaciągnął się do wojska jako ochotnik i podczas drugiej wojny światowej działał w Biurze Służb Strategicznych (wywiadzie USA). Dwa razy skakał jako spadochroniarz za linię wroga, we Francji i w Norwegii. Po zakończeniu wojny i ukończeniu studiów w Columbia Law School, po długim okresie spędzonym w kancelarii prawnej w Nowym Jorku, przeprowadził się do Waszyngtonu i wstąpił do CIA. W latach pięćdziesiątych przebywał w Rzymie, gdzie kierował działalnością antykomunistyczną. W 1959 roku był w Sajgonie, pozostał tam do 1962 roku i wrócił w roku 1968, by śledzić projekt Phoenix. Był szefem CIA od 1973 do 1975 roku i objęło go dochodzenie na temat działalności agencji w czasie ostatnich 25 lat. Jego gotowość do współpracy z Kongresem skłoniła prezydenta Forda, by za radą Kissingera zastąpić go w 1975 George'em H.W. Bushem. Colby poświęcił się doradztwu i pisał pamiętniki. Zmarł 27 kwietnia 1996 roku w wyniku wypadku niedaleko własnego domu w Rock Point w stanie Maryland, prawdopodobnie wpadając do wody podczas wycieczki kajakiem. Wiele osób sądzi jednak, że nie był to wypadek.

**Otis Pike** urodził się 31 sierpnia 1921 roku w Riverhead w stanie Nowy Jork. Od roku 1942 do 1946 służył w korpusie marines; podczas drugiej wojny światowej pięciokrotnie go odznaczono. W 1946 roku uzyskał dyplom Princeton, w 1948 Columbia Law School, pracował jako prawnik i sprawował funkcję sędziego pokoju od 1954 do 1960 roku, kiedy to został wybrany do Kongresu. W następstwie artykułu opublikowanego przez Seymoura Hersh'a w grudniu 1974 roku w „New York Times”, w którym zostało ujawnione wewnętrzne szpiegostwo CIA, Kongres postanowił rozpocząć dochodzenie na temat całej działalności wywiadu i powołał Komisję Specjalną, której przewodnictwo powierzył w 1975 roku Otisowi Pike'owi. Ujawnienie raportu Komisji zostało zablokowane, jednak tekst ukazał się w „The Village Voice”, wywołując sensację i protesty. W 1978 roku Pike zrezygnował ze stanowiska w Kongresie. Poświęcił się dziennikarstwu i swojemu hobby, wędkarstwu. W wieku 80 lat wyprowadził się do Vero Beach na Florydzie.

**Mário Soares** urodził się w Lizbonie 7 grudnia 1924 roku. Adwokat, bohater licznych procesów politycznych, w trakcie których otwarcie okazywał niechęć wobec dyktatury Salazara, był kilkakrotnie aresztowany, deportowany na wyspę São Tomé, a wreszcie zmuszony do wyjazdu do Francji. Wrócił do kraju w roku 1974, w następstwie rewolucji goździków, która położyła kres dyktaturze, i objął stanowisko ministra spraw zagranicznych rządu tymczasowego, który miał przeprowadzić proces przejścia do demokracji. W tej roli Soares sterował procesem wyzwolenia kolonii, który prowadził do odzyskania niepodległości przez posiadłości portugalskie w Afryce. Socjalista, stał się pierwszoplanową postacią w życiu politycznym kraju, począwszy od 1975 roku, gdy jego partia uzyskała względną większość głosów. Został wybrany na prezydenta w 1986 i w 1991 roku. Po zakończeniu w 1996 roku drugiej kadencji, w 1999 został wybrany do Parlamentu Europejskiego gdzie działał do 2004 roku.

**Álvaro Cunhal** urodził się 10 listopada 1913 roku w Coimbrze. W roku 1934 został sekretarzem studenckiej organizacji młodych komunistów portugalskich, jawnie wrogiej wobec reżimu Salazara, i był dwukrotnie aresztowany: pierwszy raz w roku 1940, następnie w 1949. Został skazany na trzydzieści lat więzienia, ale w 1960 roku udało mu się uciec i schronił się w Moskwie, następnie osiadł w Paryżu. W roku 1961 przez aklamację został wybrany w ojczyźnie na sekretarza Portugalskiej Partii Komunistycznej. Wrócił do Portugalii w 1974 roku po rewolucji goździków i wszedł w skład rządu tymczasowego. Niebawem z niego wystąpił, by stanąć na czele skrajnie lewicowych ugrupowań. W 1992 roku wycofał się z polityki i pisał eseje i artykuły pod pseudonimem Manuela Tiago. Zmarł w Lizbonie 12 czerwca 2005 roku.

**Santiago Carrillo**, urodził się 18 stycznia 1915 roku w Gijón w Asturii. Już w wieku trzynastu lat zapisał się do organizacji młodzieżowej Hiszpańskiej Robotniczej Partii Socjalistycznej i w 1934 roku został jej sekretarzem generalnym. Podczas wojny domowej przeszedł do Partii Komunistycznej. Po zakończeniu konfliktu, na skutek zwycięstwa Francisca Franco, opuścił Hiszpanię i przebywał w różnych krajach, przede wszystkim we Francji i w Związku Radzieckim, spędzając niemal czterdzieści lat na wygnaniu. Powrócił do ojczyzny po śmierci Franco w roku 1975, w 1977 przyłączył się do eurokomunizmu, razem z Enrico Berlinguerem i Georges'em Marchais'em, odrzucając stalinizm. Rok później otwarcie potępił wkroczenie wojsk Układu Warszawskiego do Pragi. Zrezygnował ze stanowiska sekretarza w 1982 roku na skutek poważnej porażki wyborczej, a w 1985 roku został usunięty z partii z powodu swego umiarkowania, które uważano za nadmierne. W tym samym roku założył Partię

Pracowniczą, która następnie połączyła się z Hiszpańską Robotniczą Partią Socjalistyczną. Do wstąpienia do niej zapraszał go Zapatero, ale Carrillo odmówił.

**Helder Camara** urodził się 7 lutego 1909 roku w Fortalezie w Brazylii, w bardzo ubogiej rodzinie. Został wyświęcony na księdza w 1931 roku, a na biskupa w 1952; w roku 1964 został mianowany arcybiskupem Olindy i Recife. Przez całe życie zajmował się ludźmi opuszczonymi, żyjącymi w obozowiskach wokół wielkich brazylijskich miast, i z tego powodu nazywano go biskupem od faveli. Jest uważany za jednego z czołowych przedstawicieli tak zwanej teologii wyzwolenia, która podkreśla wartości emancypacji społecznej i politycznej, obecne w nauczaniu chrześcijańskim. Podczas prac Soboru Watykańskiego II, wraz z innymi biskupami pochodzącymi z Południa, był jednym z najbardziej szanowanych zwolenników nurtu, który został później nazwany opcją wspierania ubogich. W ciągu całego życia otrzymywał niezliczone groźby, jednak wielka sława międzynarodowa ochroniła go przed konkretnymi działaniami przeciwko jego osobie. W roku 1985 opuścił diecezję ze względu na wiek, ale nadal mieszkał w prostym domku w Recife, do którego przeprowadził się na początku swej posługi biskupiej. Tam też zmarł 27 sierpnia 1999 roku.

**Makarios**, właściwie Michail Christodhulos Muskos, urodził się w Ano Panaghia koło Pafo na Cyprze 13 sierpnia 1913 roku. Uczył się w Atenach, gdzie został kapłanem, kontynuował studia w Stanach Zjednoczonych, a po powrocie do ojczyzny został przywódcą Cypryjskich Greków, stanowiących około 80 procent ludności. W roku 1950 został obrany arcybiskupem cypryjskiego Kościoła prawosławnego i przyjął imię Makariosa III. Opowiadał się za *enosis*, czyli przyłączeniem do Grecji wyspy będącej wówczas brytyjską kolonią, jednak później opowiadał się za niezależnością. W 1956 roku został resztowany przez Anglików, a rok później uwolniony na skutek zamieszek odbywających się w całej Grecji, w 1960 roku uzyskał niezależność Cypru, ogłoszonego republiką, i został wybrany na stanowisko prezydenta, którym był aż do dnia śmierci. Zmarł 3 sierpnia 1977 roku w Nikozji.

**Aleksandros Panagulis** urodził się w Glyfadzcie 2 lipca 1939 roku. Studiował na politechnice ateńskiej i od wczesnej młodości poświęcił się działalności politycznej. Po zamachu stanu z 21 kwietnia 1967 roku sprzeciwił się reżimowi wojskowemu Papadopolosa i założył organizację Grecki Ruch Oporu. Po nieudanym zamachu na życie Papadopolosa 13 sierpnia 1968 roku został aresztowany i skazany na śmierć; na skutek presji światowej opinii publicznej zamiast tego przeniesiono go do więzienia Boiati. Tam długo poddawano go okrutnym torturom

fizycznym i psychicznym. Został zwolniony dzięki amnestii w sierpniu 1973 roku. Junta wojskowa upadła rok później i w pierwszych demokratycznych wyborach Panagulis został wybrany do parlamentu z ramienia Unii Centrum. Walczył o odsunięcie od władzy polityków, którzy współpracowali z pułkownikami, a nadal zajmowali stanowiska rządowe, lecz był w tym odosobniony i otrzymywał śmiertelne pogróżki. Pierwszego maja 1976 roku zginął w tajemniczym wypadku samochodowym. Był symbolem wolności; w jego pogrzebie w Atenach uczestniczyło ponad milion ludzi.